



artefakty

IAN

MCDONALD

DROGA BEZ ZNACZENIA
EKSPRES ARES



Ian McDonald

DROGA BEZ ZNACZENIA

EKSPRES ARES

Przełożył Wojciech M. Próchniewicz

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2023

Spis treści

Droga bez znaczenia

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41

Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64
Rozdział 65
Rozdział 66
Rozdział 67
Rozdział 68
Rozdział 69

Ekspres Ares

Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Przypisy

Tytuł oryginału: *Desolation Road. Ares Express*

Copyright © 1988, 2001 by Ian McDonald

Copyright for the Polish translation © 2023 by Wydawnictwo MAG

Przekład: Wojciech M. Próchniewicz

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja, Elwira Wyszyńska

Projekt graficzny serii, projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Dark Crayon

Nazwa serii: Vanrad

Redaktor serii: Andrzej Miszkurka

Wydanie II

ISBN 978-83-67353-73-1

Wydawca: Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10, 00-657 Warszawa

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 227335010

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

droga bez znaczenia

*Licznym osobom, które pomogły
„Drodze Bez Znaczenia” powstać z prochu i pyłu,
a zwłaszcza Patricii –
architektce i Pierwszej Damie miasta,
za jej nieustające wsparcie*

Doktor Alimantando trzy dni szedł za zieloną osobą przez pustynię. Przyzywany palcem złożonym z przegubowych strączków zielonej fasolki przeżeglował w ślad za nim pustynię czerwonego żwiru, pustynię czerwonego kamienia i pustynię czerwonego piasku. A co noc, kiedy zasiadał przy ognisku ze szczapek wysuszonego drewna i pisał w dzienniku, na niebo wschodził księżycowy pierścień, ten rozfikany ciąg sztucznych satelitów, i wywabiał zieloną osobę z głębi pustyni.

Pierwszej nocy, gdy do niego przyszła, wysoko w stratosferze migotały meteory.

– Użycz mi swego ognia, niech się ogrzeję, daj mi schronienie, bo pochodzę z cieplejszej epoki. – Doktor Alimantando kiwnął na zieloną osobę, by podeszła bliżej. Obserwując tę dziwną, nagą postać, poczuł potrzebę zapytać: – Co z ciebie za istota?

– Jestem człowiekiem – odpowiedziała zielona osoba. Jej usta, wargi, język, kiedy się odzywała, były koloru zielonych liści. Zęby miała małe i żółte jak ziarenka kukurydzy. – A ty?

– Też jestem człowiekiem.

– No to jesteśmy tacy sami. Dorzuć do ognia, przyjacielu, niech poczuję ciepło.

Doktor Alimantando kopnął szary sękaty kawałek i wysoko w noc poszybowały iskry.

Po jakimś czasie zielona osoba zapytała:

– A masz wodę, przyjacielu?

– Mam, ale muszę oszczędzać. Nie wiem, jak długo będę szedł przez pustynię i czy znajdę na niej wodę.

– Przyjacielu, jeśli dasz mi dzisiaj swój bidon, jutro doprowadzę cię do wody.

Doktor Alimantando długo siedział nieruchomo pod migotliwymi światłami księżycowego pierścienia. Potem odpiął od plecaka jeden z bidonów i podał go nad ogniem. Zielona osoba wypita wszystko. Powietrze wokół niej zaiskrzyło aromatem zieleni, jak las po wiosennym deszczu. Doktor Alimantando zaraz zasnął i nic a nic mu się nie śniło.

Następnego ranka przy ognisku, w miejscu, gdzie siedziała zielona osoba, był tylko czerwony kamień.

Kolejnego wieczoru doktor Alimantando rozbił obóz, zjadł posiłek i zaczął pisać dziennik. Potem po prostu siedział, sycąc się radością kamiennej pustyni. Płynął przez nią i płynął, oddalwszy się od wzgórz Deuteronomium, od pustyni czerwonego żwiru, przez pustynię czerwonego kamienia, przez krainę szczelin i rozpadlin, niczym skamieniały mózg, przez gładkie kamienne chodniki, pomiędzy zerodowanymi słupami ciemnego wulkanicznego szkła, przez skamieniałe od miliarda lat lasy, przez suche od miliarda lat koryta rzeczne, przez wyrzeźbione wiatrem palisady z czerwonego kamienia, przez nawiedzone płaskowyże, nurkujące stromymi granitowymi ścianami w głąb kanionów o nieskończonym echu, ściskając z wytrzeszczonymi ze strachu oczyma uchwyty wiatrowej deski, gdy jej promagnetyczne lewitatory wysilały się, z trudem utrzymując ją w górze. Uciekał przed wielkim wiatrem, żeglując i żeglując i żeglując, póki nieba nie przeszyły pierwsze szpileczki wieczornych gwiazd.

Gdy tak siedział, na sklepieniu niebieskim nerwowo zamigotały ciepłobłękitne lasery i znów przyszła zielona osoba.

– Gdzie jest ta obiecana woda? – zapytał doktor.

– Wszędzie była kiedyś woda i wszędzie będzie znów – powiedziała zielona osoba. – Ten kamień był kiedyś piaskiem i za milion lat od teraz znów będzie piaskiem na plaży.

– Gdzie jest woda, którą mi obiecałeś?! – krzyknął doktor Alimantando.

– Chodź ze mną, przyjacielu.

Zielona osoba poprowadziła go do zagłębienia pod czerwonym urwiskiem, a tam, w jeszcze głębszej ciemności ciurkała sobie samotna, czysta woda, wyciekająca z pęknięcia w skale i zbierająca się w małym, ciemnym stawku. Doktor Alimantando napełnił swoje bidony, ale nie napił się – bał się zbrukać przedwieczną wodę. W miejscu, gdzie stała wcześniej zielona osoba, na wilgotnych odciskach jej stóp wykiełkowały

bladozielone łodyżki. Potem Doktor Alimantando zasnął i nic a nic mu się nie śniło.

Następnego ranka przy węgielkach ogniska, w miejscu, gdzie siedziała zielona osoba, stało uschnięte, szare drzewo.

W trzecią noc po trzecim dniu, przeżeglowawszy pustynię czerwonego piasku, doktor Alimantando rozpałił ognisko, rozbił obóz i zaczął zapisywać swe spostrzeżenia i spekulacje w oprawnym w skórę dzienniku, eleganckim, delikatnym pismem, pełnym pętelek i zawijasów. Tej nocy był znużony, wyczerpany podróżą przez pustynię czerwonego kamienia. Na początku czuł się łaskotany radością i miecionym przez wiatr piaskiem, jadąc wiatrową deską w górę i w dół, w górę i w dół przez wiecznie załamujące się piaskowe fale. Przejechał czerwony piasek i niebieski piasek, piasek żółty i zielony, piasek biały i czarny, fala za falą za falą, póki te fale go nie wyczerpały i nie wyżyły do cna, tak że nie miał już sił na pustynię sody, pustynię soli i pustynię kwasu. A za tymi pustyniami, w miejscu poza wszelkim wyczerpaniem, była pustynia bezruchu, na której słyszało się dzwonięcie odległych dzwonów, jakby z dzwonnicy miast zakopanych na miliardy lat głęboko pod piaskiem lub z dzwonnicy miast niezrodzonych przez kolejne miliardy lat, które kiedyś będą tam stać. Tam, w sercu pustyni, zatrzymał się i pod niebem rozjaśnionym światłami przybywającego na kraniec świata Żaglowca zielona osoba przyszła do niego po raz trzeci. Kucnęła tuż poza kręgiem światła i coś kreśliła palcem na piasku.

– Kim ty jesteś? – zapytał doktor. – Dlaczego mnie co noc nawiedzasz?

– Choć podróżujemy przez różne wymiary, tak jak ty jestem podróżnikiem idącym przez to suche i bezwodne miejsce – odpowiedziała zielona osoba.

– Wyjaśnij mi te „różne wymiary”.

– Czas i przestrzeń. Ty – przestrzeń, ja – czas.

– Jak to być może?! – zawołał doktor Alimantando, pasjonujący się czasem i czasowością. Właśnie przez czas został wygnany ze swego domu na zielonych wzgórzach Deuteronomium, obwołany „demonem”, „czarnoksiężnikiem” i „pożeraczem dzieci” przez sąsiadów, którym jego twórcza ekscentryczność nie mogła pomieścić się w ciasnym świecie, zdefiniowanym przez krowy, obite deseczkami domy, owce, kiszonkę i płatki z bielonych sztachet. – Jak ci się udaje podróżować w czasie, coś, co chciałem osiągnąć od lat?

– Czas jest częścią mnie – powiedziała zielona osoba, prostując się i muskając swe ciało czubkami palców. – Nauczyłem się więc nad nim panować, tak jak panuję nad innymi częściami ciała.

– Da się tego nauczyć?

– Ciebie? Nie. Masz nieodpowiedni kolor. Ale myślę, że któregoś dnia nauczysz się tego inaczej.

Serce mu podskoczyło.

– Co masz na myśli?

– To już od ciebie zależy. Ja jestem tutaj tylko dlatego, że wymaga tego przyszłość.

– Jak dla mnie trochę zbyt sprawny jesteś w mówieniu zagadkami. Nie cierpię takich niejasności

– Jestem tutaj, żeby poprowadzić cię do twojego przeznaczenia.

– O! Jak?

– Jeśli mnie tu nie będzie, pewne ciągi zdarzeń nie zaistnieją; tak zdecydowali moi panowie, dowolnie bowiem manipulują wszelką przestrzenią i czasem. Wysłali mnie tu, żebym cię poprowadził ku przeznaczeniu!

– Człowieku, mów konkretniej! – zawołał doktor Alimantando, zapalczywy jak zawsze.

Jednakże ogień zamigotał, w świetle niewidocznego słońca błysnęły wypełniające niebo żagle statku Praesidium i zielona osoba zniknęła. Odczekał pod osłoną swojej deski, aż ogień skurczy się do czerwonych węgielków. A potem, wiedząc, że zielona osoba już tej nocy nie wróci, położył się spać i śnił mu się stalowy sen. W tym śnie tytaniczne maszyny koloru rdzy zdejmowały z pustyni skórę i składały w jej miękkie mięso żelazne jaja. Z jaj wykluwały się wijące się metalowe larwy, głodne hematytu, hematytu amerykańskiego i magnetytu. Stalowe robale zbudowały sobie ogromne gniazdo pełne pieców i kominów, istne miasto buchające dymem i syczące parą, dzwoniące młotami i sypiące iskrami, z rzekami z białej, stopionej stali i służącymi robakom białymi, mięsistymi robotnikami.

Następnego dnia doktor Alimantando obudził się i stwierdził, że w nocy zerwał się wiatr i pokrył wiatrową deskę piaskiem. W miejscu, gdzie siedziała zielona osoba, na skraju kręgu światła z ogniska, stała spękana bryła zielonego malachitu.

Wiatr wzmógł się i wyniósł doktora Alimantanda z serca pustyni.

Zaciągnął się ostrym jak wino powietrzem i wsłuchał się w trzaskanie wiatru w żaglach, w szept sypiącego się przed nim, poruszanego wiatrem

piasku. Poczuł, jak pot schnie mu na skórze, a sól wgryza się w twarz i dłonie.

Żeglował tak i żeglował, i żeglował, cały ranek. Słońce właśnie dotarło do zenitu, gdy zobaczył swoją pierwszą i ostatnią fatamorganę. Jego rozmyślania o czasie i czasowych podróżnikach przecięła linia czystego, błyszczącego srebra – najczystszej, jasno świecącej – biegnąca ze wschodu na zachód ponad ciągiem niskich wzgórz, zdaje się znaczących koniec pustyni. Zbliżając się, zaczął odróżniać w srebrnym blasku ciemniejsze cienie i odbity zielony poblask, jakby rosło tam coś zielonego.

„Złudzenie w wyschniętym umyśle”, powiedział sobie, wnosząc wiatrową deskę po ledwie widocznej ścieżce prowadzącej na usianą jaskiniami skałę, jednakże, dotarłszy na szczyt, zdał sobie sprawę, że to nie sprawka umysłu ani nie fatamorgana. Ten poblask zieleni naprawdę pochodził od zielonych roślin, cień był ciemną sylwetką osobliwej skalnej wypukłości, dźwigającej na szczycie maszt z pierzastymi czułkami anten i talerzami mikrofalowymi, a srebrna linia była dokładnie tym – błyszczącymi w słońcu dwiema równoległymi stalowymi szynami o standardowym rozstawie.

Doktor Alimantando pospacerował dłuższą chwilę po zielonej oazie, przypominając sobie, jak pachnie zieleń, jak wygląda zieleń, jak zachowuje się zieleń pod stopami. Usiadł, by posłuchać szmeru wody przelewającej się kaskadami z rowka do rowka oraz cierpliwego skrzypienia pomp wiatrowych wyciągających ją z jakiejś podziemnej warstwy wodonośnej. Poczęstował się bananami, figami i granatami, zjadł markotny lunch w cieniu topoli. Ucieszył się, że to koniec surowej pustynnej krainy, choć jednocześnie zamarł w nim duchowy wiatr pędzący go przez pustkowia. Słońce świeciło na rozbrzęczaną od pszczoł oazą i doktor Alimantando osunął się w ospałą, wygodną sjęstę.

Nieokreślony czas później obudziło go tarcie piasku o policzek. Przez zaspaną chwilę, póki miał zamknięte oczy, nie docierało do niego znaczenie tego bodźca. Potem uderzyło jak gwóźdź wbity między oczy. Raptownie usiadł prosto i cały zadygotał z przerażenia.

W pośpiechu zapomniał zacumować wiatrową deskę.

Niesiona porywistym wiatrem deska podskakiwała i kołysała się na suchej równinie. Bezradnie patrzył, jak jego jedyny środek transportu oddala się od niego na drugą stronę Wielkich Równin. Obserwował jaskrawozielony żagiel, póki nie zniknął jako bezbarwna kropka za horyzontem. Potem przez długą i głupią chwilę stał i próbował się

zastanowić, co teraz począć, ale nie był w stanie myśleć o niczym innym poza tą drwiąco podskakującą na wietrze deską. Stracił swoje przeznaczenie, pozwolił mu odpłynąć z wiatrem. Wieczorem zielona osoba wyjdzie z czasu, żeby z nim porozmawiać, ale jego tam nie będzie, bo spóźnił się na swoje przeznaczenie i wszystkie te ciągi zdarzeń, które wielkie umysły zielonych przewidziały, nigdy nie zaistnieją. Wszystko przepadło. Zbrzydzone do mdłości własną głupotą doktor Alimantando odstawił plecak i zastanowił się nad szansami ratunku. Być może nadjedzie pociąg. Być może udałoby mu się pomajstrować przy tych urządzeniach na maszcie i nadać jakiś sygnał pomocy. Być może pomoże mu właściciel tego żyznego, zielonego, podstępnie łagodnego miejsca. Być może... może. A być może to wszystko to tylko sen podczas sjeisty, z którego się obudzi i zostanie unoszącą się obok poobijaną wiatrową deskę.

„Być może” zmieniło się w „gdyby”. Gdyby nie zasnął, gdyby przywiązał deskę... gdyby.

Oazą zatrząśł infradźwiękowy rumor, taki, od którego zgrzytają trzonowce. Powietrze zawibrowało. Woda spadła kroplami z liści roślin. Metalowy maszt przekaźnikowy zadygotał, a doktor Alimantando zerwał się skonsternowany na równe nogi. Coś działo się pod pustynią – jej powierzchnia gotowała się i kipiała, jakby pod spodem kręciło się i wirowało coś wielkiego. Piasek wydał się w wielki bąbel i pękł, osuwając się lawinami na wszystkie strony. Spod pustyni wyłoniło się coś ogromnego, prostokątnego, jaskrawopomarańczowego, z łagodnie zaokrąglonymi rogami. Na niebotycznych ścianach widniał czarny napis ROTECH. Doktor Alimantando, motywowany swą zgubną ciekawością, podpełzł bliżej zbocza. Pomarańczowa skrzynia, wielka jak dom, stała na ziemi i potężnie buczała.

– Orf – szepnął doktor Alimantando z bijącym z podziwu sercem.

– Dzień dobry, człowieku! – odezwał się nagle głos w jego głowie.

– Co? – zaskomłał.

– Dzień dobry, człowieku. Przepraszam, że cię wcześniej nie przywitałem, ale jak widzisz, ja umieram, a ten proces jest dla mnie mocno kłopotliwy.

– Słucham?

– Umieram: moje systemy się psują, pękają jak nici, mój kiedyś tytaniczny umysł osuwa się w kretynizm. Popatrz tylko na mnie, człowieku, moje piękne ciało jest odrapane, popękane, poplamione. Umieram porzucony przez moje siostry, które zostawiły mnie na śmierć

na tej okropnej pustyni, zamiast na skraju nieba, jak przystało na orfa – gdzie odrzuciłbym osłony i na moment rozbłysnął pełnym glorii blaskiem w górnych warstwach atmosfery. Niech przeklęte będą zdradzieckie siostry! Mówię ci, człowieku, jeśli tak ma wyglądać to nowe pokolenie, to cieszę się, że schodzę z tego świata. Gdyby tylko miało to trochę więcej godności. Może tobie uda się pomóc mi odejść z godnością.

– Pomóc? Tobie? Jesteś orfem, sługą Błogosławionej Pani; to ty powinieneś mi pomóc. Tak jak ty utknąłem na środku pustyni i jeśli nikt mi nie pomoże, zginę zaraz po tobie. Porzucił mnie tu kapryśny los, mój środek transportu mnie zawiódł.

– Masz nogi.

– Chyba żartujesz.

– Człowieku, nie nękać mnie swoimi przyziemnymi potrzebami. W tym stanie nie mogę ci pomóc. Nie mogę cię stąd zabrać. Nawet sam siebie nie mogę stąd zabrać. Obaj tu zostaniemy, w miejscu, które stworzyłem. Prawda, twoja obecność tutaj jest nieplanowana i nieoficjalna; Plan Pięćsetletni nie zezwala na osiedlanie się w tym mikrośrodku przez kolejne sześć lat, ale możesz tu zostać, póki nie przyjedzie pociąg, żeby cię gdzieś zabrać.

– A kiedy to będzie?

– Za dwadzieścia osiem miesięcy.

– Za dwadzieścia osiem miesięcy?

– Przykro mi, ale tak prognozuje Plan Pięćsetletni. Środowisko, które tu przygotowałem, jest dość ascetyczne, prawda, ale utrzyma cię przy życiu, a po mojej śmierci będziesz mieć dostęp do całego sprzętu, który mam w sobie. Dobrze, jeśli skończyłeś nękać mnie twoimi kłopotami, możemy zająć się moimi?

– Ależ musisz mnie stąd zabrać! Moim przeznaczeniem nie jest być... Kim właściwie?

– Strażnikiem systemów łączności.

– Strażnikiem systemów łączności. Są inne, wielkie wydarzenia, które muszę wprawić w ruch gdzie indziej!

– Obojętne, jakie jest twoje przeznaczenie, teraz będzie się wypełniało w tym miejscu. A teraz, człowieku, oszczędź mi, proszę, swoich jęków i daj mi umrzeć z odrobiną godności.

– Umrzeć? Jak to umrzeć? Jak może umrzeć maszyna, moduł inżynierii środowiskowej ROTECH-u, jak może umrzeć orf?

– Odpowiem ci na to jedno pytanie i na żadne więcej. Życie orfa jest długie, ja liczę sobie prawie siedemset lat, ale jestem tak samo

śmiertelny jak ty. A teraz zostaw mnie w spokoju i powierz moją duszę opiece Świętej Pani z Tharsis.

Uporczywe buczenie nagle ustało. Doktor Alimantando wstrzymywał oddech w wyczekiwaniu, orf jednak niezmiennie stał na czerwonym piasku. Doktor w nabożnej ciszy zbadał małe ręcznie zbudowane królestwo, które po nim dziedziczył. Odkrył wyjątkowo schludne jaskinie, którymi był usiany skalny występ z przekaźnikiem mikrofalowym; te uznał za swój dom. W wielkich, okrągłych grotach jego skromny dobytek prawie ginał. Rozwinął śpiwór, by go przewietrzyć, i poszedł zebrać coś na kolację.

Zapadał zmrok. Na niebie zabłyśły pierwsze klejnoty księżycowego pierścienia. Wysoko w górze nieczułe orfy toczyły się i koziołkowały pogrążone w wiecznym spadaniu. Ich umierający brat uwięziony przez ziemię i grawitację rzucał na piasek wielkie fioletowe cienie. Doktor Alimantando zjadł w przygnębieniu kolację i poszedł spać. Dwie po drugiej obudził go potężny głos:

– Zgiń, przepadnij, ROTECH!

Doktor Alimantando wybiegł z ciemnej jaskini, żeby zobaczyć, co się dzieje. Nocne powietrze wibrowało mocą, ciemność przeszywały snopy reflektorów, panele potężnego ciała orfa rozsuwały się i zasuwwały, otwierały i zamykały. Orf wyczuł obecność dygocącego w koszuli nocnej doktora i przygwoździł go jak męczennika snopami światła.

– Człowieku, pomóż mi! To umieranie nie jest tak proste, jak myślałem.

– To dlatego, że jesteś maszyną, nie człowiekiem! – zawołał doktor Alimantando, osłaniając oczy przed blaskiem reflektorów. – Ludzie umierają bardzo łatwo.

– Czemu nie mogę umrzeć, skoro chcę? Pomóż mi, człowieku, podejdź do mnie, pokażę ci, jak okazać mi miłosierdzie, albowiem ta mechaniczna niepełnosprawność jest nie do zniesienia. Podejdź do mnie, człowieku. Pomóż mi!

Doktor Alimantando zszedł więc boso nierówną ścieżką, którą rano niósł pod górę deskę. Dotarło do niego, że musiał przepłynąć, nic nie wiedząc, nad zakopany orfem. Dziwne to, dziwne. Pośpieszył po jeszcze ciepłym piasku ku buczącej ścianie giganta. Na gładkim metalu pojawiła się ciemna plama wielkości dwudziestocentawowej monety.

– To jest aktywator procedury zniszczenia systemu. Dotknij go, a przestanę istnieć. Wszystkie moje układy się wyłączą, obwody się przepalą i umrę. Człowieku, zrób to.

– Nie wiem...

– Człowieku, mam siedemset lat, tyle, co ziemia, po której chodzisz, czy w tych upadłych dniach sędziwy wiek już nie budzi u was, ludzi, szacunku? Uszanuj moją wolę. Niczego nie pragnę bardziej niż umrzeć. Dotknij tego miejsca. Zrób to, człowieku. Pomóż mi.

Doktor Alimantando dotknął ciemnego punktu, który od razu rozpląnął się w ciepłym, pomarańczowym metalu. Potem buczenie orfa stopniowo, bardzo powoli ucichło, umilkło, umarło, zapadło się w ciszę Wielkiej Pustyni. Gdy wielka machina rozluźniała się, umierając, pootwierały się jej rozliczne panele, klapy i płyty i odsłoniły wspaniałe wewnętrzne mechanizmy. Doktor, kiedy był już pewien, że orf nie żyje, powlókł się z powrotem spać, udręczony i pełen poczucia winy.

Rano poszedł rozebrać ciało orfa, którego zabił. W ciągu pięciu dni zawziętej, gorączkowej i niezwykle przyjemnej pracy zbudował z niego romboidalny panel słoneczny, pięć razy wyższy od niego samego, i zamontował go, nie bez trudności, na kratownicy pompy wiatrowej. Mając zapewnioną energię i gorącą wodę, poszedł powybijać okna w ścianach swoich grot i oszklić ten niewiarygodny widok na Wielką Pustynię arkuszami folii z orfowego polimeryzatora. Rozmontował trupa na części i kawałek po kawałku wniósł na górę do swego nowego domu. Przegrzebał trzewia maszyny, wyciągając elementy, które mogły się przy odrobinie pomysłowości i pracy nadać na automatyczne kultywatory, pompy nawadniające, elektryczne płyty grzejne, biometanownie, zraszacze. Doktor Alimantando uwielbiał pomysłowość, zwłaszcza swoją własną. Każde nowe i ulepszone urządzenie cieszyło go przez całe dni, dopóki nie skonstruował nowego. Dni mijały, a orf coraz bardziej przypominał pustą, żalostną skorupę, a potem części skorupy, z których doktor zbudował nowe panele słoneczne, wreszcie jeszcze mniejsze części, aż którejś nocy powiał naprawdę silny, burzowy wiatr, tak porywisty, że doktor Alimantando całą noc kulił się i dygotał w śpiworze na swoim zaimprovizowanym pościeli. Z rana kości martwej maszyny zniknęły pod piaskiem niczym starożytne miasto.

Dzięki jej śmierci doktor Alimantando przemienił oczekującą oazę w prawdziwą, wygodną, stechnologizowaną pustelnię, prywatny świat nieznany nawet tym, którzy ten świat zbudowali, miejsce, gdzie można prowadzić długie i dogłębne rozmyślania o przeznaczeniu i gęstości, czasie, przestrzeni i sensie życia. Wszystko to robił doktor Alimantando, a z braku papieru zapisywał swe spekulacje węglem na ścianach jaskiń. Przez rok i dzień pokrywał je wyrażeniami algebraicznymi i twierdzeniami

w logice symbolicznej, a potem pewnego popołudnia dostrzegł na zachodnim horyzoncie słup pary z lokomotywy i wiedział, że ziszcza się obietnica orfa, i to całe siedem miesięcy wcześniej. Odczekał, aż pociąg zbliży się na tyle, by móc odczytać nazwę *Koleje Bethlehem Ares*, po czym wszedł do najwyższego pomieszczenia swego domu, swojego pokoju meteo i usiadł, patrząc na wielką pustynię, póki pociąg nie zniknął za wschodnim horyzontem. Uświadomił sobie, że przeznaczenie jest płynnym, żywym srebrem – wiedział ze swych badań, że idzie po różnych ścieżkach przez krainy czasu i paradoksów, docierając do celu, albowiem czyż nie przypadkiem i ten cel określa się mianem przeznaczenia? To było jego przeznaczenie – żyć w owocnej samotności na skale pośrodku pustyni. Znał gorsze rzeczy. Zatem pewnego ranka, zaraz po tym, jak przez jego wszechświat przejechał pierwszy pociąg w historii, wziął butelkę groszkowego wina i poszedł do pokoju meteo. Ta grota na samej górze, z czterema oknami wychodzącymi na cztery strony świata, fascynowała go tak, że odwiedzał ją jak najrzadziej, żeby jak najdłużej pozostała czymś szczególnym. Długo patrzył w każdym z kierunków. Potem nalał sobie szklanekę groszkowego wina i kolejną, kolejną i kolejną, a wylawszy z butelki ostatnią kroplę, uniósł szklanekę i nadał nazwę wszystkiemu, co widział.

– Droga Bez Znaczenia – wybełkotał, dopijając resztkę groszkowego wina. – Będiesz Drogą Bez Znaczenia.

I tak już zostało, choć, wytrzeźwiawszy, doktor Alimantando uświadomił sobie, że w ogóle nie chodziło mu o Drogę Bez Znaczenia, lecz Drogę Przeznaczenia.

Pan Jericho pompował wajchą drezyny, jadąc przez równiny i lasy. Pompował przez łąki i metropolie. Pompował przez pola ryżowe i sady, mokradła i góry. A teraz przez Wielką Pustynię. Był cierpliwy. Był uparty. Był małym, żylastym mężczyzną, twardym i ciemnym jak wypolerowany korzeń jakiegoś pustynnego drzewa, pozbawiony wieku i niezłomny. Będzie machał tą wajchą choćby do krańca świata, jeśli tam zdoła się ukryć przed ludźmi, którzy chcą go zabić. Znaleźli go w Telphersonie, znaleźli go w Namanga Loop, znaleźli go w Xipotle – a nawet on miał wcześniej trudności ze znalezieniem Xipotle. Przez pięć dni ciągle oglądał się przez ramię, a szóstego dnia nie było to już potrzebne, gdyż ubrani po miejsku mordercy wysiedli z pociągu, skupiając na sobie wszystkie spojrzenia, a pan Jericho o tej samej godzinie odjechał.

Wyjazd na Wielką Pustynię był desperackim ruchem, lecz panu Jerichowi nie zostało już nic poza desperacją i pustynią. Na dłoniach miał bąble od machania wajchą, kończyła mu się woda, ale wciąż pompował i pompował, i pompował, jadąc tą absurdalną ręczną drezyną przez niekończące się kilometry kamienia i rozżarzonego czerwonego piasku. Nie uśmiechało mu się umieranie wśród kamieni i rozżarzonego czerwonego piasku. Taka śmierć nie przystoi paternostrowi Czcigodnych Rodów. Tak twierdził Jim Jericho. Tak twierdziła zbiorowa mądrość Czcigodnych Przodków, przewalających się w chipie limbusowym wszczepionym do jego podwzgórza. Może i strzałka asasyna byłaby od tego lepsza. A może nie. Pan Jericho po raz kolejny chwycił za wajchę i powoli, z bólem, wprowadził dreżynę w ruch.

Był najmłodszym paternostrem, który awansował do Czcigodnych Rodów i aby przetrwać pierwsze kilka miesięcy na tym stanowisku,

potrzebował całej zakumulowanej wiedzy antenatów, w tym swego nieodżałowanej pamięci bezpośredniego poprzednika, paternostra Willema. To właśnie Czcigodni Przodkowie podsunęli mu wyjazd z Metropolis do Nowego Świata.

„Rozwijająca się gospodarka”, mówili, „tysiąc i jeden nisz ekonomicznych do wykorzystywania”. Wykorzystał je, i to jak, Czcigodne Rody bowiem specjalizowały się właśnie w wykorzystywaniu – w zbrodni, występku, szantażu, korupcji, narkotykach, hazardzie, oszustwach komputerowych, handlu żywym towarem, czyli tysiącu i jednej nisz ekonomicznych. Pan Jericho nie był pierwszy, za to był najlepszy. To prawda, zuchwałość jego przestępczych poczynań zaparła publiczności dech, budząc westchnienia oburzenia i podziwu, ale także zmusiła konkurentów, by zapomnieli o swych drobnych waśniach i zjednoczyli się przeciwko jemu i jego Rodzinie. Kiedy zostanie przywrócony pokój, wrócą sobie do swoich bratobójczych walk.

Przystanął, by otrzeć z czoła słony pot. Nawet mimo pomocy Dyscyplin Damantyńskich był u kresu sił. Zamknął oczy na rażący blask słońca i piasku, skupił się, starając się przymusić nadnercza do wydzielania fali noradrenaliny, która popędzi go dalej. Głosy Czcigodnych Przodków jazgotały mu w głowie jak wrony w katedrze – dobre rady, słowa zachęty, słowa pouczenia, słowa upomnienia.

– Cicho być! – wrzasnął w jonowo-błękitne niebo.

I ucichło.

Wzmocniony tym sukcesem ponownie chwycił za dźwignię. Dźwignia w dół. Dźwignia w górę. Drezyna skrzypaneła i ruszyła. Dźwignia w dół. Dźwignia w górę. Kiedy poszła w górę, panu Jerichowi mignęło na horyzoncie coś zielonego. Zamrugał, otarł oczy z gryzącego potu, przyjrzał się dokładniej. Coś zielonego. Plama koloru dopełniającego na czerwieni. Zdyscyplinował wzrok, jak go uczył paternoster Augustine, skupiając się na granicach między kolorami, gdzie różnice stają się wyraźniejsze. Z taką pomocą zdołał rozróżnić drobne punkciki światła – słońce odbijające się od paneli słonecznych, zawyrokowała zbiorowa mądrość Czcigodnych Przodków. Zielone na czerwonym i panele słoneczne. Osada. Z nowym wigorem wziął dźwignię w dłonie.

Pod stopami miał dwie rzeczy. Jedną był jedwabny szal z deseniem w piórka. Spowijał strzałkowiec z kolbą z ludzkiej kości, tradycyjną honorową broń wśród Czcigodnych Rodów. Drugą była zwodniczo niewielka skórzana torba, zwana niegdyś sakwożażem Gladstone. Mieściła trzy i ćwierć miliona nowych dolarów w banknotach

Zjednoczonego Banku Przesilenia o wysokich nominałach. Te dwa przedmioty, plus ubranie na grzbiecie i buty na stopach, to było wszystko, co pan Jericho zdołał zabrać ze sobą w Wigilię Zniszczenia.

Jego wrogowie uderzyli wszyscy jednocześnie i wszędzie. I pan Jericho, choć jego imperium waliło się pośród orgii zamachów bombowych, podpaleń i zabójstw, przystanął na chwilę, by podziwiać sprawność swych przeciwników. Tak nakazywała droga honoru. Niestety nie docenił ich, nie byli kmiotkami i drobnymi zaściankowymi watażkami, za których ich błędnie wziął. Następnym razem będzie wiedział. A z kolei oni nie docenili Jamesona Jericha, skoro pomyśleli, że się podda. Jego ludzie giną wokół niego – bardzo dobrze, zatem będzie pracował sam. Odpalił swój awaryjny plan ucieczki. W ułamku chwili, zanim programy wirusowe rozpuściły jego sieć danych na białkową zupę, Jameson Jericho zyskał nową tożsamość. W ułamku ułamka ułamka sekundy, zanim rządowe programy audytorskie przebiły się do jego macierzy kredytowych, przelał siedem milionów dolarów na konta depozytowe firmy-wydmuszki w oddziałach banków w pięćdziesięciu małych miasteczkach rozrzuconych po całej północnej półkuli planety. Póki paternostrowie nie rozpracowali jego sfalsyfikowanego zgonu (słaby był ten sobowtór, ale pies to drapał) i nie wysłali za nim asasynów i programów śledzących, zdążył sobie wypłacić tylko to, co miał teraz w sakwojażu. Zostawił dom, dzieci, żonę, wszystko, co w życiu kochał i co w życiu stworzył. I uciekał przez wielką pustynię ręczną drezyną ukradzioną kolejom Bethlehem Ares, szukając ostatniego miejsca na świecie, w którym mogliby go szukać.

Kiedy dotarł do osady, zapadał wieczór. Nie była imponująca, nie dla kogoś przyzwyczajonego do imponujących architektonicznych cudów przedwiecznych miast Wielkiej Doliny, kogoś, kto dorastał w Metropolis, mieście-pierścieniu, najpotężniejszym z miast. Tu był jeden dom, byle jaka buda z suszonej cegły, oparta o wypukłość usianej okienkami czerwonej skały, jeden maszt z przekaźnikiem mikrofalowym, parę kolektorów słonecznych i pomp wiatrowych oraz spory, nieco zapuszczony zielony ogród. Pana Jericha urzekło jednak samo odosobnienie tego miejsca. Tu nikt go nie będzie szukał. Zszedł ze skrzypiącej drezyny, żeby zamoczyć odciski w beczce na wodę obok domu. Namoczył czerwoną chusteczkę i zwilżył ciepłą wodą kark, jednocześnie w myślach katalogując uprawy. Kukurydza, fasola, matoke, cebula, marchew, ziemniaki i bataty; jamy, szpinak, rozmaite zioła. Czerwonawa woda ciurkała kanałkami irygacyjnymi pomiędzy zagonami.

– Powinno się świetnie nadać – powiedział do siebie pan Jericho.

Czcigodni Przodkowie zgodzili się. Ze szczytu masztu mikrofalowego zaskrzeczał pustynny jastrząb.

– Halo?! – krzyknął na całe gardło pan Jericho. – Haaaaaalo... – Nie było echa. Nie miało od czego się odbić, nie licząc czerwonych wzgórz na południowym horyzoncie. – Halo00000....

Po dłuższym czasie z niskiej glinianej budy wyłoniła się postać – wysoki, chudy facet, bardzo brązowy, jak wyprawiona skóra. Miał długie, podkreśnione wąsy.

– Jestem Jericho – powiedział pan Jericho, śpiesząc się, by zyskać przewagę.

– Alimantando – powiedział wysoki, chudy pan skórzany. Patrzył powątpiewająco. – Doktor.

Obaj ukłonili się sobie, dość sztywno, dość niepewnie.

– Miło mi pana poznać – powiedział pan Jericho. Alimantando – to było nazwisko z Deuteronomium, a ci ludzie z Deuteronomium są drażliwi. Uważają się za pierwszych osadników i mają skłonność do myślenia, że cała planeta należy do nich, więc słabo tolerują nowych. –

Proszę posłuchać, ja jestem tylko przejazdem, ale potrzebuję schronienia na noc – trochę wody, trochę jedzenia, dachu nad głową. Może mi pan pomóc?

Doktor Alimantando zlustrował nieproszonego gościa. Wzruszył ramionami.

– Pan posłucha. Jestem bardzo zajęty. Prowadzę bardzo ważne badania i wolałbym, żeby nikt nie zakłócał mi spokoju umysłu.

– A co pan dokładnie bada?

– Kompiluję kompendium teorii chronodynamicznych.

Tu Czcigodni Przodkowie wynurzyli na powierzchnię umysłu pana Jericha stosowną odpowiedź.

– Aha, czyli coś w stylu postulatów synchroniczności Webenera i potrójnego paradoksu Chena Tsu?

W podejrzliwym spojrzeniu doktora Alimantanda pojawiła się iskierka szacunku.

– Długo pan chce zostać?

– Tylko na jedną noc.

– Na pewno?

– Na pewno. Tylko przejazdem. Na jedną noc.

I pan Jericho został tylko na jedną noc, ale trwała ona dwanaście lat.

Burza była już blisko i szynowy szkuner uciekał przed nią pod pełnymi żaglami, walcząc o każdy kilometr przewagi nad skłębioną brązową chmurą pyłu. Pędził tak od trzech dni, od poranka, kiedy dziadek Haran zwrócił swe lewe oko, to pogodowe, na zachodni horyzont i zauważył pod niebem brudnoolchrową kreskę.

– Idzie paskudna pogoda – powiedział i paskudna pogoda przyszła i cały czas się zbliżała, a teraz była tak blisko, że nawet Rael Mandella, posiadający przeklęty dar pragmatyzmu, uświadomił sobie, że przed nią nie ucieknie i że jedyna nadzieja jego rodziny to znaleźć jakieś schronienie, zanim pochłoną ich kłęby pyłu.

– Szybciej! Szybciej! – krzyczał, a dziadek Haran i piękna, kochana mistyczna żona Eva Mandella, w zaawansowanej ciąży, stawiali wszystkie żagle co do ostatniej chusteczki, aż szkuner szynowy zaczynał buczeć i piszczeć, sunąc po prostym stalowym torze. Drzewca trzeszczały, liny skrzypiały i dźwięczały jak struny, cały pojazd kołysał się i przechylał. W przyczepie, którą ciągnął, beczały załęknięte kozy i lamy, a świnie drapały o pręty klatek. A za nią kłęby brązowego pyłu przelewały się po ziemi jak coraz bliższy pościg.

Rael Mandella znów zaczął się samobiczować za pochopną decyzję zabrania ojca, żony i nienarodzonego dziecka w podróż przez Wielką Pustynię. Cztery dni temu na równinach Murcheson wybór był prosty. Przerzucenie zwrotnicy w jedną stronę wysłała rodzinę na zasiedlone tereny Deuteronomium i Wielkiego Oxusa, w drugą stronę – przez Wielką Pustynię w puste rejony północnego Argyre i Transpolaris. Wtedy się nie zawahał. Miło było myśleć o sobie jako o odważnym pionierze wytyczającym nowe szlaki, budującym tymi rękami własny los. Był wtedy

dumny. I to była kara za to. Mapy były nieubłagane, geodeci ROTECH-u nie zaznaczyli żadnej osady na odcinku tysiąca kilometrów wzdłuż tej linii.

Poryw wiatru chwycił grot i rozdarł go w połowie. Rael Mandella gapił się oszołomiony na łopoczące szmaty. Potem dał rozkaz zwrotu ostro na wiatr. Nie zdążył – w tym samym momencie trzy kolejne żagle rozdarły się z trzaskiem przywodzącym na myśl strzał z pistoletu. Szkuner zadygotał i stracił część pędu. Wtedy Eva Mandella podniosła się chwiejnie, chwyciwszy się gwizdzącej wanty. Brzuch jej falował, poród był bliski; z nozdrzami rozszerzonymi jak u spłoszonego jelenia wpatrywała się w dal.

– Tam coś jest – powiedziała głosem ginącym w wyciu wiatru i lin. – Wyczuwam to, rośnie tam coś zielonego. Haran, ty masz oko, co widzisz?

Dziadek Haran zwrócił swe pogodowe oko wzdłuż idealnie prostej geometrycznej linii i wśród zwiastującego burzę wirującego pyłu i mgły zobaczył to, co poczuła Eva Mandella – plamkę zielonej roślinności i coś więcej – wysoki metalowy maszt i parę rombówatych paneli słonecznych.

– Osada! – zawołał. – Osada! Jesteśmy uratowani.

– Więcej żagla! – zaryczał Rael Mandella, a strzępy grota powiewały mu wokół uszu. – Więcej żagla!

Dziadek Haran poświęcił zabytkowy rodowy sztandar z najprzedniejszego jedwabiu z Nowego Merionedd, który zamierzał z dumą wywiesić w królestwie syna, w krainie za pustynią, Eva Mandella swoją kremową organdyńską suknię ślubną i eleganckie halki. Rael Mandella odzwałował sześć arkuszy niezastąpionej folii solarnej i razem wciągnęli to wszystko na maszt. Wiatr pochwycił szynowy szkuner, który zatrząsł się, lekko podskoczył i wyglądając bardziej na obwoźne wesołe miasteczko porwane przez trąbę wodną niż na pionierów szukających nowych ziem, podróżnicza rodzina Mandellów potoczyła się po torach ku schronieniu.

Doktor Alimantando i pan Jericho zobaczyli szkuner z daleka, płataninę wielobarwnych szmat uciekającą przed frontem burzy. Wyszli, narażając się na pierwsze podmuchy, porywy i pyłowe wiry, żeby poskładać delikatne płatki paneli słonecznych w ciasne pączki oraz schować pierzaste czułki i talerzowe anteny do wieży przekaźnikowej. Kiedy pracowali, z dłońmi i głowami owiniętymi grubymi turbanami, wiatr wzmógł się do zagłuszającego krzyki wycia i wypełnił powietrze latającymi piaskowymi igłami. Szkuner gwałtownie zahamował, piszcząc,

jęcząc i sypiąc iskrami, a dr Alimantando i pan Jericho pobiegli pomóc w rozładunku. Pracowali w milczącej, bezinteresownej synchronizacji ludzi, którzy od długiego czasu znają tylko siebie nawzajem. Evie Mandelli ich niestrudzone, mechaniczne dźwiganie i noszenie wydało się dość przerażające – żywina, roślina, maszyna, narzędzia, materiały, tkaniny, artykuły gospodarstwa domowego, gwoździe, śruby, farby, podnieś, przenieś, podnieś, przenieś, a wszystko to bez słów.

– Gdzie mogą się schować?! – wrzasnął Rael Mandella.

Doktor Alimantando kiwnął owiniętym tkaniną palcem i zaprowadził ich do cieplej, suchej groty.

– Ta dla was, ta przyległa na wasze sprzęty.

Siedemnaście po siedemnastej burza pyłowa uderzyła. W tej samej chwili Eva Mandella zaczęła rodzić. Gdy wiatry, które mogły obrać ludzkie kości z mięsa, uniosły w stratosferę jej suknię ślubną, halki, rodowy sztandar i sześć arkuszy drogocennych folii solarnych, ona parła, parła, jęczała, dyszała i sapała, i parła, parła, w cieplej, suchej grocie, przy świetle łojowych świec; parła i parła, i parła, i parła, aż wyparła na świat parę kwilących noworodków. Ich pierwsze krzyki roztopiły się w głośniejszym lamencie burzy. Odrobina czerwonego piasku przesaczyła się do wlotu jaskini. W żółtym, migotliwym świetle świec Rael Mandella uniósł syna i córkę.

– Limaal – powiedział do dziecka na prawej dłoni. – Taasmin – powiedział do dziecka na lewej i czyniąc to, przekazał im swą klątwę, tak że jego praworęczny racjonalizm przeszedł na syna, a leworęczny mistycyzm żony na córkę.

Byli pierwszymi rodowitymi mieszkańcami Drogi Bez Znaczenia, a ich obywatelstwo przeszło także na rodziców i dziadka – nie mogli bowiem wyruszyć na pustynię, mając pod opieką niemowlęta. Zostali więc na zawsze i nigdy nie odkryli ziem za górami, których od tego czasu szukają wszyscy Mandellowie, wiedząc, że Droga Bez Znaczenia jest zawsze o jeden krok od rajy, a to im nie wystarcza.

Rajandra Das mieszkał w dole pod peronem 19 dworca Południk Główny. Współdzielił go z masą innych ludzi, a takich dołów pod dworcem była cała masa, więc i ludzi była cała masa. Określali siebie mianem wolnych dżentelmenów, koneserów wolności, uczonych z Universum Życia, Duchów Beztroski. Zarządcy kolei natomiast określali ich mianem rynsztokowych szczurów, meneli, żebraków, złodziejasków, gundów i żuli. Pasażerowie nazywali ich biedakami, nieszczęśnikami, upadłymi duszami i ludźmi, którym powinęła się noga, dlatego otwierali przed nimi swe portfele, kiedy przysiadali na schodach dworca, wyciągając rękę po deszcz centawo i patrząc mlecznobiałymi, ślepymi oczyma, które zawdzięczali specjalnym kataraktowym soczewkom kontaktowym produkowanym przez Firmę Optyczną Gwiazda Zaranna na East Bread Street. Jednakże Rajandra Das nie musiał się zniżać do hojności podróżnych z Południka Głównego. Egzystował wyłącznie w podziemnym społeczeństwie dworca i żył z tego, co żebracy mogli zapłacić za jego usługi. Cieszył się pewną dozą szacunku (choć to sporna kwestia, co oznacza szacunek w królestwie włóczęgów), bo miał talent.

Rajandra Das miał dar zaczarowywania maszyn. Nie było na świecie nic mechanicznego, elektrycznego, elektronicznego czy submolekularnego, co nie chciałoby z nim współpracować. Kochał te maszyny, uwielbiał je rozmontowywać, majstrować przy nich, składać je z powrotem, tak że były lepsze niż wcześniej, a maszyny uwielbiały dotyk jego długich, zręcznych palców, głaszczących je po wnętrzościach i regulujących ich wrażliwe narządy. Maszyny dla niego śpiewały, dla niego mruczały, dla niego zrobiłyby wszystko. Maszyny kochały go do szaleństwa. Gdy tylko w dołach pod peronami Południka coś przestawało

działać, od razu zabierano to do Rajandry Dasa, który chrząkał, mruczał i gładził swoją schludną brązową bródkę. Potem wyciągał z licznych kieszeni kurtki śrubokręty, rozbierał urządzenie. Po pięciu minutach było naprawione i działało lepiej niż przedtem. Umiał wyciągnąć dwa lata funkcjonowania z żarówek obliczonych na cztery miesiące. Potrafił nastroić radia tak dokładnie, że odbierały kosmiczne pogawędki habitatów ROTECH-u na wysokich orbitach. Był w stanie przerobić protezy rąk i nóg (których pod Dworcem Głównym nie brakowało), tak że były sprawniejsze i silniejsze od zastępowanych przez nie części ciała.

Takie zdolności nie uszły uwagi władz kolejowych i przy sporadycznych problemach, kiedy przedfuzyjny perkolator po prostu nie chciał stabilnie osiadać albo taliowana butla numer 3 uparcie zachowywała się tak, że inżynierowie w furii ciskali elektromagnetycznymi kluczami indukcyjnymi o ziemię, od razu posyłano najmłodszego stażem praktykanta w labirynt cuchnących odchodami korytarzy i tuneli, żeby sprowadził Rajandrę Dasa. A Rajandra Das przemawiał butli do rozumu, regulował uszkodzony perkolator i wszystko znów chodziło jak w zegarku, albo i lepiej.

Tak więc Rajandra Das żył sobie jak pączek w maśle, mając immunitet na okresowe policyjne czystki w tunelach, szanowany, lubiany i zasobny. Wtem pewnego dnia Rajandra Das wygrał na Wielkiej Loterii Kolejowej.

Loteria była bardzo cwany kawałkiem inżynierii społecznej, wymyślonym przez legendarnego włóczęgę znanego tylko jako Stary Mędrzec, i działała tak oto: co miesiąc nazwiska wszystkich podziemniaków spod dworca lądowały w wielkim bębnie. Losowano jedno i zwycięzca mógł jeszcze tego samego wieczoru opuścić dworzec dowolnie wybranym pociągiem. Albowiem Stary Mędrzec uświadamiał sobie, jaką pułapką jest dworzec Południk Główny – wygodną, suchą, ciepłą norą, zapraszającą do dożywotniego żebractwa i samoumartwienia. Pozbawiającą każdego człowieka całego jego potencjału. Jak więzienie o łagodnym rygorze. A ponieważ był Stary (według legendy stary jak świat) i był Mędrce, dodał do swej gry dwie rządzące nią reguły. Pierwsza: w loterii musi brać udział każde nazwisko, bez wyjątku. Druga: zwycięzcy nie wolno nie przyjąć nagrody.

I nagle maszynka losująca w małym pokoiku obwieszonym pocztówkami od poprzednich zwycięzców zawarczała, zawirowała i wypluła nazwisko Rajandry Dasa. Mógł to być czysty traf. Ale mogła to też być prosta chęć podlizania mu się ze strony maszynki losującej. W każdym razie Rajandra Das wygrał, a kiedy pakował swój skąpy

dobytek do płóciennej torby, wieść rozeszła się po dworcu, tak pod ziemią, jak i nad ziemią, od boczniczy towarowej Estehazie Avenue po gabinet pana Populescu, naczelnika stacji: „Rajandra Das wygrał na loterii... słyszeliście? Rajandra Das wygrał na loterii... i dziś wyjeżdża... naprawdę? Tak, bo wygrał na loterii”. Zatem kiedy Rajandra Das kucał we wnęce inspekcyjnej przy torze 2, czekając, aż zmieni się światło na semaforze, wzdłuż toru stała ponad setka ludzi, którzy przyszli go pożegnać.

– Dokąd jedziesz? – zapytał Djong Pot Huahn, współlokator z nory i wierny żywiciel.

– Nie wiem. W końcu pewnie do Mądrości, tak myślę. Zawsze chciałem zobaczyć Mądrość.

– Ale to jest dokładnie po przeciwnej stronie świata.

– Tym bardziej warto tam dotrzeć.

Wtem światło zmieniło się na zielone i z głębi toru w jasnym świetle Południka Głównego dobiegło sapanie, dyszenie i świstanie grzanej termojądrowo pary. Spomiędzy światła i obłoków pary wyłonił się pociąg, półtora tysiąca ton szczękającej i turkoczącej stali Bethlehem Ares. Wagony towarowe przetoczyły się ociężale obok kryjówki Rajandry Dasa, powolne i ciężkie. Odliczył dwanaście, swój szczęśliwy numer, i ruszył. Kiedy biegł pomiędzy pociągiem a szeregiem żegnających ludzi, dłonie wyciągały się, by poklepać go po plecach, a usta wykrzykiwały słowa zachęty. Rajandra Das, biegnąc, uśmiechał się i machał do nich. Pociąg powoli nabierał szybkości. Rajandra Das wybrał swój wagon i wskoczył na sprzęg. Z ciemności wciąż dobiegały okrzyki, owacje i oklaski. Przesunął się na bok wagonu i sprawdził drzwi. Nie były zamknięte, jego czar go nie zawiódł. Przesunął je i wtoczył się do środka. Ułożył się wygodnie na stercie skrzynek z mango. Pociąg poturkotał w noc. W niespokojnym, płochliwym śnie Rajandrze wydawało się, że stawał na długo na anonimowych krzyżówkach, by przepuścić jaśniejsze i szybsze pociągi. O świcie obudził się i zjadł mango na śniadanie. Odsunął drzwi i usiadł, zwieszając nogi nad tory, patrząc, jak nad ogromną czerwoną pustynią wstaje słońce, jedząc plasterki mango pokrojonego wojskowym scyzorykiem o wielu ostrzach, ukradzionym ze sklepu Narzędzia Specjalistyczne Krishnamurti na Water Street. A skoro nie było na co patrzeć oprócz połączenia czerwonej pustyni, poszedł z powrotem spać i śnił mu się wieże Mądrości połyskujące w świetle słońca wschodzącego nad Syrtis Major.

Dwanaście po dwunastej obudziła go drobna eksplozja u podstawy kręgosłupa. Gwiazdy stanęły mu przed oczyma, jęknął, z trudem nabrał powietrza, sapnął, stęknął. Nastąpiła kolejna eksplozja i kolejna. Zdołał obudzić się na tyle, żeby zrozumieć, że to są kopniaki w nerki. Bez tchu, nie mógł nawet zawyc, przetoczył się więc i spocona, zła twarz owionęła go parszywymi wyziewami.

– Parszywy leniwy przeklęty żul-darmozjad, co jeździ na gapę – burknęła spocona twarz. Stopa cofnęła się do kolejnego kopniaka.

– Nie nie nie nie nie nie nie nie kop – wyjęczał Rajandra Das, znajdując w płucach jakąś rezerwę powietrza, żeby błagać, unosząc dłonie w próżnej prośbie.

– Parszywy leniwy przeklęty żul-darmozjad, co jeździ na gapę – powtórzył Paskudny Oddech dla podkreślenia i kopnął go w pierś. Dłoń chwyciła go za znoszoną kurtkę i uniosła.

– Wysiadka – powiedziała twarz, ciągnąc Rajandrę Dasa ku otwartym drzwiom. Pod kołami pędziła czerwona pustynia.

– Nie nie nie nie nie – błagał Rajandra Das. – Nie na pustyni. To morderstwo!

– A co mnie to? – warknęła spocona twarz, choć musiało to podrażnić jakieś resztki przyzwoitości nietknięte przez pracę w Bethlehem Ares, usadził go bowiem z powrotem na stercie skrzynek i sam usiadł, żeby go pilnować, postukując się pałką po udzie. – Następnym razem, jak choćby trochę zwolnimy, wypad z pociągu.

Rajandra Das nic nie powiedział. Czuł, że siniaki na plecach robią się fioletowe.

Po półgodzinie wagonem szarpnęło. Rajandra Das poznał po ucisku na fioletowe siniaki, że pociąg zwalnia.

– Gdzie jesteście? W jakimś cywilizowanym miejscu?

Ochroniarz uśmiechnął się, pokazując szpaler psujących się zębów. Pociąg zwolnił i ze zgrzytem hamulców zahamował. Ochroniarz rozsunął drzwi, wpuszczając do środka jaskrawe światło.

– Ej, ej, ej, co to ma być? – powiedział Rajandra Das, mrugając.

Nagle stwierdził, że leży na twardej ziemi, znów pozbawiony tchu. Płócienna torba walnęła go boleśnie w pierś. Gwizdnęły gwizdki, zasyczała para, szarpnęły się tłoki. Po jego twarzy pociekła strużka gorącej cieczy. Krew! – pomyślał, potem zamrugnął, splunął, usiadł. Strażnik skończył na niego sikać i roześmiał się tubalnie, chowając krostowatego członka do śmierdzących spodni. Pociąg ryknął syreną i ruszył.

– Sukinsyny – powiedział Rajandra Das, kierując to słowo ogólnie do spółki kolejowej.

Otarł twarz rękawem. Mocz utworzył na piasku ciemną czerwoną plamę. Równie dobrze mogła to być krew. Rozejrzał się, lustrując okolicę. Niskie domy z suszonej cegły, jedna czy dwie pobielone ściany, trochę zieleni, parę drzew, parę pomp z wiatrakami, kilka dużych, rombów paneli słonecznych i przysadzista wieża z przekaźnikiem mikrofalowym na szczycie góry gładów, które wyglądały, jakby ktoś w nich mieszkał.

– Ujdzie – powiedział Rajandra Das, ulubieniec loterii, pociągów i wagonów towarowych, ale nie ochroniarzy, a już szczególnie nie ochrony Spółki Kolejowej Bethlehem Ares.

Zbliżały się do niego jakieś postacie, niewyraźne przez rozfalowane od południowego upału powietrze. Rajandra Das pozbił się i wyszedł na spotkanie swoim nowym gospodarzom.

– Cześć – powiedział. – Pocztówek z widokami stąd to pewnie nie macie, co?

Babuszka nie lubiła pociągów. Ich rozmiary budziły w niej lęk. Przytłaczał ją ich ciężar. Przerażała szybkość, a odgłos kół przywodził na myśl nadchodzącą apokalipsę. Bała się pary i jej strumieni pod ciśnieniem, bała się tego, że ich termojądrowe tokamaki wybuchną i rozrzucają jej luźne atomy po górnych warstwach atmosfery. Nie cierpiała pociągów. A zwłaszcza pociągów, które musiały przejechać przez groźne czerwone pustynie. Za to pociągi przeważnie odnosiły się do Babuszki obojętnie. Nawet ten, który przejeżdżał przez groźną czerwoną pustynię.

– Misza, kiedy wreszcie wysiadziemy z tej okropnej maszyny?

Mikał Margolis, mineralog i chemik przemysłowy, oddany syn i młody pionier, odwrócił wzrok od hipnotycznej czerwonej pustyni, czystej, ascetycznej i pięknej swym geologicznym potencjałem, i powiedział do maleńkiej staruszki-matuszki:

– Wsiądziemy, kiedy wsiądziemy, a wtedy znajdziemy się w Rajskiej Dolinie, gdzie deszcz pada tylko o drugiej w nocy, gdzie siejesz nasiono i musisz się odsunąć, żeby, rosnąc, nie ukuło cię w podbródek, gdzie oswojone ptaki siadają ci na palcu i śpiewają i gdzie ty, matko, i ja dorobimy się fortuny i dożyjemy końca naszych dni w szczęściu, zdrowiu i pomyślności.

Babuszkę ucieszyła ta prosta opowieść o cudach. Najbardziej się jej spodobał kawałek o siadających na palcach oswojonych ptakach. W Nowym Cosmoadzie jedynymi ptakami były hałaśliwe czarne wrony.

– Misza, ale długo jeszcze?

– Na następnej stacji wsiadamy. Na pustyni nie ma miast, więc pociąg zatrzyma się dopiero tam. Następna stacja, tam przesiadamy się na górską kolej, która zawiezie nas do Rajskiej Doliny.

– Och, jeszcze przesiadka, jak ja ich nie cierpię. Nie lubię pociągów, Misza, nic a nic ich nie lubię.

– Spokojnie, mateczko, spokojnie. Jestem z tobą. Może miętowej herbaty na uspokojenie nerwów?

– Tak, Misza, to by było bardzo miłe. Dziękuję.

Mikal zadzwonił po stewarda, który przyniósł miętową herbatę w eleganckim czajniczku ozdobionym czarno-złotym znakiem Spółki Kolejowej Bethlehem Ares. Babuszka popijała herbatę i między łykami uśmiechała się do syna. Mikal Margolis odpowiadał uśmiechem i zachodził w głowę, co też powie matce, kiedy dojadą do Rajskiej Doliny, rajem ona bowiem była tylko dla przemysłowego chemika; gdzie deszcz padał o drugiej w nocy, bo wtedy rafinerie wypuszczały gazy odpadowe do atmosfery, gdzie to etylen w glebie kazał roślinom strzelać w górę w jedną noc, a potem więdnąć i umierać; i gdzie toksyczne wyziewy dawno wykończyły wszystkie ptaki, a te, co teraz siadają na palcach, to sprytne mechaniczne podróbki, część programu public relations Firmy.

Będzie się tym martwić, kiedy przyjdzie czas. Za spolaryzowanym oknem przesuwiała się wspaniała czerwona pustynia, iście męski krajobraz, surowa kraina skalnych i mineralnych cudów. Wyobraził sobie, że jedzie po niej konno, owinięty poncho i zawojem, z objającą się o plecy skórzaną torbą na próbki. Kiedy pogrążył się w tych marzeniach, nie trzeba było długo czekać, by łagodne drgania pociągu ukołysały go do snu.

Obudził się w pandemonium. Nie Pandemonium – stacji, na której mieli przesiadkę do Rajskiej Doliny, lecz w innym, znacznie straszniejszym. Syczały zawory, metal uderzał ze szczękiem o metal, a nim ktoś potrząsał i wołał:

– Sir, pana matka, sir, pan się obudzi, pana matka, sir, sir, sir! – Skupił wzrok na bladej twarzy stewarda. – Sir, pańska matka.

Babuszki nie było na jej miejscu. Zniknął też cały bagaż. Mikal Margolis skoczył do okna i zobaczył, jak matka sunie radośnie wzdłuż torów, kiwając na szczupłego młodego człowieka z brodą, uśmiechniętego pod stosem paczek i skrzyń.

– Mamo! – ryknął. – Mamo!

Babuszka uniosła wzrok i pomachała, maleńka, porcelanowa laleczka. Głos też miała jak laleczka.

– Misza! Chodź! Nie ma czasu, trzeba przejść na drugą stację!

– Mamo! – rozdarł się Mikal Margolis. – To nie ten przystanek!

Jego słowa zginęły w kłębach pary i grzmocie startujących silników termojądrowych. Skrzypiąc, jakby ze starości, pociąg zaczął się toczyć.

– Sir, sir! – wykrzyknął steward, wymachując rękoma.

Mikal Margolis odepchnął go na puste siedzenie i popędził do drzwi. Wyskoczył dokładnie w chwili, gdy wagon mijał koniec zaimprovizowanego peronu.

Babuszka podbiegła wzdłuż peronu, kipiąc oburzeniem.

– Misza, jak ty możesz tak denerwować swoją biedną matkę! Żeby zasypiać w pociągu, nie do pomyślenia! Chodź, bo spóźnimy się na pociąg w góry.

Bezczelny typ-bagażowy musiał odłożyć walizki, tak bardzo się śmiał.

– Matko, a gdzie są góry?

– Za tymi budynkami.

– Matko, przecież widzisz, co jest za budynkami, takie są niskie. Matko, to jest nie ta stacja.

– Och, nie? To gdzie cię stara, biedna matka uplasowała?

Mikal Margolis wskazał słowa ułożone z ładnych białych kamyczków obok torów.

– Droga Bez Znaczenia, matko.

– Ale to jest właśnie następna stacja?

– Mieliśmy wysiąść w Pandemonium. Pociąg nie powinien się tu zatrzymywać. Tej miejscowości nie powinno tu być.

– To obwiniaj o to kolej albo to miasteczko, ale nie swoją biedną matkę! – oburzyła się Babuszka i zaczęła objeżdżać, obsztorcowywać, obgadywać i ogólnie przeklinać spółkę kolejową, ich pociągi, ich tory i semafony, lokomotywy, maszynistów, konduktorów i ochroniarzy, i wszystkich choćby odrobinę związanych ze Spółką Kolejową Bethlehem Ares, aż po najwredniejszą babcię klozetową z trzeciej klasy. Trwało to jakieś dwadzieścia minut.

W końcu doktor Alimantando, nominalny przywódca Drogi Bez Znaczenia, mieszk. 7, wys. n.p.m. 1250 m, „o krok od Raju”, przybył zakończyć to zamieszanie, żeby móc w spokoju wrócić do swoich badań chronokinetycznych. Zaledwie dzień wcześniej zatrudnił Rajandrę Dasa, złotą rączkę od wszystkiego, ucznia czarnoksiężnika, mistrza wszelkiej fuchy i stacyjnego bagażowego, by wypisał obok torów nazwę miasteczka, pięknymi białymi kamyczkami, żeby każdy przejeżdżający pociąg wiedział, że ludzie z Drogi Bez Znaczenia są dumni ze swej osady. I jakby zwabiony magicznym sprzężeniem, pociąg wiozący Babuszkę i Mikala Margolisa wyłonił się zza horyzontu i się zatrzymał.

Rajandra Das umiał czarować maszyny, ale nie aż tak. Niemniej powołał czarodziejsko na świat Babuszkę i jej syna i teraz doktor Alimantando musiał zdecydować, co z nimi począć. zaproponował im schronienie w jednej z ciepłych i suchych grot, którymi usiane były skalne zbocza, do czasu, gdy postanowią wyjechać albo zbudują sobie trwalsze schronienie. Babuszka zeszywniała z oburzenia i odrzuciła tę propozycję. Nie będzie spać w brudnej jaskini, z odchodami nietoperzy na podłodze i jaszczurkami do towarzystwa, i nie, nie będzie współdzielić jej z synem, który jest wiarołomnym nicponiem i nie ma pojęcia, jak powinno się traktować wiekową damę, którą jest jego nieszczęsna matka. Doktor Alimantando słuchał, mobilizując resztki swej cierpliwości, a potem wymusił na Mandellach, których dom był przewidziany dla licznej rodziny, by przyjęli tę przybłądę. Mikal Margolis wybrał jaskinię. Były tam odchody nietoperzy i były jaszczurki, ale nie było matki, więc nie było tak źle.

W domu Mandellów Babuszka znalazła sobie rówieśnika w osobie dziadka Harana, który podjął ją groszkowym winem i miodoustymi komplementami oraz poprosił syna, by dobudował do ich i tak rozłożystego domu dodatkowy pokój specjalnie dla niej. Co wieczór popijali wino, wspominali czasy, kiedy oni i ten świat byli młodzi, i grali w słowne gry, które Babuszka uwielbiała. Jednego z takich wieczorów, wczesną jesienią, gdy dziadek Haran położył słowo „boksytów” na podwójnej premii słownej i potrójnej literowej, Babuszka po raz pierwszy zauważyła jego szacowne siwe włosy i proste jak struna ciało, wyszczerbione zębem czasu jak chiński bożek z porcelany, ale silne i niezerodowane. Zawiesiła wzrok na sztywnej jak stal brodzie, na pięknych, lśniących oczach jak guziczki, po czym wydała ciche westchnienie i się w nim zakochała.

– Haranie Mandello, jak to się mówi w Starym Nowym Cosmoadzie, jesteś bardzo bardzo dżentelmenem.

– Anastazio Tiuriszczewo Margolis, jak to się mówi w Drodze Bez Znaczenia, jesteś bardzo bardzo damą – odparł dziadek Haran.

Datę ślubu ustalono na najbliższą wiosnę.

Mikal Margolis śnił w swojej jaskini o mineralnych źródłach Rajskiej Doliny. Wśród skał Drogi Bez Znaczenia nigdy nie znalazł dla siebie fortuny, znalazł za to kryształowy siarczanu dylematu. Z czasem uległy rafinacji do czystej formy – by odnaleźć swą fortunę, musi zostawić Drogę Bez Znaczenia i matkę; ale to oznaczało pozostawienie jej samej sobie, a na to nie miał odwagi. Taka była kwintesencja tego dylematu.

Przereagowanie go do użytecznych związków oraz jego misja w poszukiwaniu antymatczynej odwagi miały doprowadzić przez cudzołstwo, zbrodnię i wygnanie do upadku Drogi Bez Znaczenia. Ale jeszcze nie teraz.

Pewnego popołudnia, zaraz po oficjalnym zakończeniu sjeisty, gdy ludzie wciąż nieoficjalnie mrugali, przeciągali się i ziewali, spoceni po śnie, w Drodze Bez Znaczenia rozległ się odgłos, którego nikt tam wcześniej nie słyszał.

- Brzmi jak wielka pszczoła – powiedziała Babuszka.
- Albo rój pszczół – dodał dziadek Haran.
- Albo wielki rój wielkich pszczół – powiedział Rajandra Das.
- Pszczół-morderców? – zapytała Eva Mandella.
- Nie ma takich – odparł Rael Mandella.

Bliźniaki zagulgotały. Próbowaly już chodzić, były w wieku, kiedy nieustannie przewracały się w przód. We wsi nie było dla nich zamkniętych drzwi, były nieustraszonymi, zawziętymi poszukiwaczami przygód. Pszczoły-mordercy by ich nie zraziły.

- Bardziej jak silnik samolotu – stwierdził Mikal Margolis.
- Jeden silnik? – zaryzykował doktor Alimantando. – Jednosilnikowy, jednomiejscowy samolot do oprysków? – W Deuteronomium często się takie widywało.

– Bardziej dwusilnikowy – orzekł pan Jericho, wysilając swój nastrojony słuch. – Dwusilnikowy, dwumiejscowy, ale nie rolniczy, akrobacyjny, Yamaguchi & Jones z dwoma silnikami Maybach/Wurtel, pchającym i ciągnącym, o ile się nie myłę.

Obojętne, jakie było jego źródło, hałas stawał się coraz głośniejszy. Potem pan Jericho wypatrzył na tarczy słońca czarny punkcik.

- Tam jest, patrzcie!

Wyjął jak wielki rój wielkich morderczych pszczół, samolot wyskoczył ze słońca i zagrzmiał nad Drogą Bez Znaczenia. Wszyscy zrobili unik

oprócz Limaala i Taasmin, którzy śledzili go, zadzierając głowy, aż przewrócili się w tył.

– Co to było?

– Czekać... zawraca, będzie wracać.

W trakcie nawrotu wszyscy zdążyli dobrze się przyjrzeć samolotowi, który nad nimi śmignął. Był opływowy, w kształcie rekina, z dwoma śmigłami, z przodu i z tyłu, skośnymi skrzydłami i skierowanym w dół ogonem. Nikt nie przeoczył też jaskrawych tygrysiich pasków wymalowanych na kadłubie i wyszczerzonych zębów na nosie. Po raz kolejny śmignął nad Drogą Bez Znaczenia, ledwo mijając czubek masztu antenowego. Głowy znów poszły w dół. Samolot zawisł w najwyższym punkcie nawrotu, popołudniowe słońce odbiło się od błyszczącego metalu. Mieszkańcy Drogi Bez Znaczenia pomachali. Samolot raz jeszcze zanurkował nad osadę.

– Patrzcie, pilot macha do nas!

Wszyscy zamachali jeszcze energiczniej.

Trzeci raz samolot śmignął nad glinianymi domami Drogi Bez Znaczenia. I trzeci raz zrobił ciasny nawrót.

– Chyba będzie lądował! – zawołał pan Jericho. – Ląduje!

Z końcówek skrzydeł, nosa i opuszczonego ogona wysunęło się podwozie. Samolot zrobił ostatni przelot, prawie na wysokości ich głów i opadł ku pustej przestrzeni po drugiej stronie torów.

– Nie uda mu się! – powiedział doktor Alimantando, ale i tak pobiegł razem ze wszystkimi ku wielkiej chmurze pyłu, która wzniosła się za torami. Po krótkiej chwili wpadli na jadący prosto na nich samolot.

Ludzie rozpiechli się, samolot gwałtownie skręcił, zawadził skrzydłowym kółkiem o kamień i przewrócił się na bok, ryjąc w piasku długą i głęboką bruzdę. Dobrzy obywatele Drogi Bez Znaczenia pośpieszyli na pomoc pilotowi i pasażerowi, ten pierwszy jednak uwolnił się sam, odsunął owiewkę kabiny, wstał i wrzasnął:

– Durne! Durne wieśniaki! Po co żeście to zrobili? Co? Maszyna jest rozwalona, już nigdy nie polecą, tylko dlatego, że durne wieśniaki nie wiedzą, że nie wchodzi się przed lądujący samolot! Zobaczcie, co narobiliście, zobaczcie po prostu!

I pilotka załała się łzami.

Nazywała się Persis Tatterdemalion.

Urodziła się ze skrzydłami, w jej żyłach płynął lotniczy ciekły wodór, a w nerwach wiatr. Po stronie ojca miała trzy pokolenia Latającego Cyrku Rockette Morgana, po stronie matki – całą genealogię pilotów rolniczych,

komercyjnych, czarterowych i kaskaderów, aż po prapraprababkę Indhirę, która podobno pilotowała żaglowce Praesidium, kiedy ten świat dopiero się wynajdował. Utrata samolotu była dla niej czymś równie poważnym jak utrata kończyny, ukochanej osoby czy życia.

Całą swą energię, pieniądze i miłość od dziesiątego roku życia inwestowała w Niesamowity Powietrzny Bazar Tatterdemalionów, jednoosobowy, jednosamolotowy latający cyrk, podniebne przedsięwzięcie rozrywkowo-edukacyjne, które nie tylko zdumiewało oszołomioną publiczność śmiertelnie niebezpiecznymi akrobacjami i wyczynami, ale i kształciło ich, zapewniając tym, którzy zapłacili skromną kwotę, widok z powietrza na ich pola, widok z bliska na zjawiska pogodowe oraz lotnicze wypadki do pobliskich wartych obejrzenia miejsc. Tak zarabiając na życie, przemieszczała się na wschód przez górną półkulę świata, aż dotarła do równinnej osady Stacja Wollamurra.

– Zobaczcie Wielką Pustynię – zaśpiewała hodowcom owiec ze Stacji Wollamurra. – Podziwiajcie niesamowite głębiny wielkich kanionów, zachwycajcie się siłami natury, które wyrzeźbiły potężne naturalne łuki i niebotyczne skalne kolumny. Pod wami – cała historia tej ziemi zapisana w kamieniu; za jednego dolara pięćdziesiąt gwarantuję wycieczkę, której w życiu nie zapomnicie.

Dla Juniusa Lambe'a, oszołomionego na siedzeniu pasażera, ta reklamowa gadka okazała się stuprocentową prawdą. Dwadzieścia minut od Wollamurra Station, nie mając w promieniu stu kilometrów żadnego kanionu, potężnego skalnego łuku czy niebotycznej skalnej kolumny, Persis Tatterdemalion zauważyła, że jej wskaźnik paliwa się nie poruszył. Postukała w niego. Czerwone wskazówki zamigotały i przesunęły się na pustą pozycję. Postukała jeszcze raz. Zostały tam, gdzie były.

– Jasna cholera – rzuciła.

Puściła nagrany komentarz o cudach Wielkiej Pustyni, żeby uspokoić Juniusa Lambe'a, i poszukała na mapach pobliskich osad, w których można by awaryjnie wylądować. Oczywiście było, że nie da rady wrócić do Stacji Wollamurra, to było oczywiste, ale mapy ROTECH-u nie były pocieszające. Sprawdziła sprzęt radiolokacyjny. Pokazywał iskierkę promieniowania mikrofalowego niecałe dwadzieścia kilometrów stąd, typową dla przekaźników planetarnej łączności.

– No chyba muszę to sprawdzić – mruknęła i zawierzyła tej decyzji samolot, siebie i pasażera.

Znalazła maleńką osadę w miejscu, gdzie nie powinno jej być. Równe kwadraciki zieleni, odbłyśki światła od paneli słonecznych i kanałów

nawadniających. Zobaczyła czerwone dachy domów. I ludzi.

– Trzymaj się mocno – powiedziała do Juniusa, który dopiero teraz się zorientował, że coś jest nie tak. – Schodzimy.

Na oparach paliwa sprowadziła swego ukochanego ptaka w dół. I wtedy co? Jej niesmak był tak wielki, że odmówiła odjechania z Juniusem Lambe'em Ares Expressem Llangonnedd-Rejoice o 14:14.

– Przyleciałam tu i stąd odleczę – oświadczyła. – Nie opuszczę tej dziury inaczej niż na skrzydłach.

Rajandra Das próbował zaczarować kółko, by wróciło na skrzydło, ale doprowadzenie samolotu do sprawności przekraczało jego możliwości, a nawet możliwości palnika spawalniczego Raela Mandelli. A już szczególnie upokarzające dla jedynej ocalałej z Niesamowitego Powietrznego Bazaru Tatterdemalionów było to, że palnik spawalniczy Raela Mandelli był napędzany niczym innym, tylko stuprocentowym, czystym, niez mieszanym lotniczym ciekłym wodorem.

Tak więc doktor Alimantando znalazł Persis Tatterdemalion dom i ogródek, żeby nie umarła z głodu, ona jednak nie była szczęśliwa, bo w oczach wciąż miała niebo. Patrzyła na chude pustynne ptaki siadające na antenach i czuła gorycz, bo jej skrzydła przetręćli głupi ludzie. Stawała na skraju urwisk i patrzyła, jak wznoszą się w wieczorne niebo na prądach termicznych, i zastanawiała się, jak szeroko musiałyby rozłożyć ręce, by unieść się tak jak one i wykonać spiralę w termice, aż zniknie z pola widzenia.

Którejś nocy Mikal Margolis złożył jej dwie propozycje, a ponieważ wiedziała, że tylko zatracając się w nich, zapomni o niebie, zgodziła się na obie. Tej nocy i przez dwanaście kolejnych, spokój mieszkańców zakłócały dobiegające z domostwa Margolisów dziwne odgłosy. Niektóre z nich brzmiały jak jęki i stęki podczas stosunków płciowych. Inne – jak odgłosy remontu.

Kiedy pojawił się szyld, wszystko stało się oczywiste.

Brzmiał tak:

BETHLEHEM ARES – RESTAURACJA/HOTEL

JEDZENIE * PICIE * SPANIE

WŁAŚCICIELE: M. MARGOLIS, P. TATTERDEMALION

– To już nie jest mój syn – oświadczyła oburzona Babuszka. – Nie posłuchał swojej drogiej matki i poszedł do tej taniej, cudzoziemskiej kobiety, żeby wypełniać spokój nocy odgłosami, których nie ważę się

opisać; co za wstyd mi przynosi! A teraz jeszcze ta jaskinia grzechu i sodomii! B.A.R./Hotel, ha! Jakby jego droga matka nie wiedziała, co to znaczy! Myśli, że ona nie umie czytać, co? Haran... – powiedziała do swego przyszłego męża – ...moja noga nigdy w życiu tam nie postanie. Od dzisiaj nie jest moim synem. Wyrzekam się go. – I splunęła skromnie na ziemię przed B.A.R-em/Hotelem.

Tego wieczoru Persis Tatterdemalion i Mikal Margolis urządzili wielką imprezę, z taką ilością piwa kukurydzianego, żeby każdy mógł pić, ile chce, czyli niezbyt wiele, zważywszy, że gości było tylko pięcioro. Nawet doktor Alimantando dał się przekonać, by na jeden wieczór porzucił swe badania naukowe i uczcił otwarcie hotelu. Dziadek Haran i Babuszka zostali i pilnowali Limaala i Taasmin. Dziadek Haran chętnie by poszedł i zaliczał pełne wyrzutu spojrzenie za każdym razem, gdy Babuszka przyłapała go na tęsknym spoglądaniu w stronę świateł i hałasów. Całkowity zakaz wstępu za próg B.A.R-u z konieczności musiał obejmować także męża.

Następnego dnia po imprezie Persis Tatterdemalion wzięła Rajandrę Dasa, pana Jericha i Raela Mandellę za tory, gdzie trzej mężczyźni rozmontowali nadgryziony przez piasek samolot akrobacyjny i spakowali go do piętnastu skrzynek. Persis Tatterdemalion przez cały czas demontażu się nie odzywała. Zamknęła resztki swojego samolotu w najgłębszej i najciemniejszej grocie B.A.R-u/Hotelu, a klucz wsadziła do słoika. Jednakże nijak nie mogła się zmusić, by zapomnieć, gdzie stoi ten słoik.

Pewnej nocy, dwie po drugiej, obróciła się, wchodząc na Mikala Margolisa, i szepnęła mu do ucha:

– Skarbie, wiesz, czego nam potrzeba? Co jest potrzebne, żeby było naprawdę idealnie?

Mikal wstrzymał oddech, spodziewając się obrączek, dzieci czy drobnych perwersji z wykorzystaniem skóry i gumy.

– Stół do snookera.

Braci Gallacellich było trzech – Ed, Louie i Umberto. Nikt nie miał pojęcia, który to jest Ed, który Louie, a który Umberto, bo byli trojaczkami, podobnymi do siebie jak groszki w strączku albo dni w więzieniu. Dorastali w rolniczej społeczności Burma Shave, gdzie krążyły na ich temat trzy typowe pogłoski. Pierwsza – że znaleziono ich porzuconych w kartonie na skraju pola kukurydzy Giovanna Gallacelliego. Druga – że są czymś więcej niż zwykłymi trojaczkami, choć czym dokładnie, tego nikt nie był gotów powiedzieć na głos, żeby nie urazić świętej pani Gallacelli. Wreszcie trzecia – że chłopcy od niemowlęctwa co najmniej raz zamienili się tożsamościami, tak że Louie dorósł jako Ed lub Umberto, Umberto jako Louie lub Ed, a Ed jako Umberto lub Louie plus wszystkie możliwe permutacje podczas kolejnych zamian. Nawet sami chłopcy nie byli pewni, który z nich to Ed, który Louie, a który Umberto – za to mieszkańcy Burma Shave byli pewni, że w życiu nie widzieli tak identycznych trojaczków („klonów”, o rany, no, się wymknęło, rozumiesz, to słowo, którego nie należy wymawiać przy ich rodzicach) ani tak diabelsko przystojnych.

Agneta Gallacelli była przysadzistą jak ropucha kobietą o sercu z ciepłej mlecznej czekolady. Giovanni Gallacelli był wysoki i chudy jak szczapa. Natomiast Ed, Louie i Umberto byli ciemnookimi, kędzierzawymi, roześmianymi bożkami miłości. I dobrze o tym wiedzieli. Podobnie jak każda dziewczyna w Burma Shave. I dlatego właśnie bracia Gallacelli postanowili wyjechać z Burma Shave bladym wtorkowym świtem, wagonem silnikowym, na który sami przerobili rolniczego dostawczaka.

Przydarzyła się taka dziewczyna. Nazywała się Magdała, w skrócie Mags. Zawsze jest taka dziewczyna, która flirtuje, bawi się, rozrabia, wygłupia się i nie ma żadnej wątpliwości, że zalicza się do chłopaków, aż przyjdzie moment, kiedy i chłopaki, i ona, uświadomią sobie, że jednak nie, zupełnie nie jest chłopakiem, ani trochę. Dla Mags ten moment uświadomienia przyszedł dwa tygodnie po tym, jak objechała z Gallacellimi co dalsze pola na pace ich dostawczaka. Dla Eda, Louie'ego i Umberta przyszedł, kiedy podjechali pod obejście Mayaguezów, żeby zapytać, czemu Mags nie chce się z nimi spotykać – i ich dostawczak oberwał śrutem.

Naczelną zasadą życia braci była braterska solidarność. Nie zachwiała się nawet w konfrontacji ze zrezygnowanym ojcem i wściekłym sąsiadem. Nie przyznali się, który z nich zapłodnił Magdalę Mayaguez. Całkiem możliwe, że sami tego nie wiedzieli.

– Albo który powie, albo wszystkie się z nią żenią – powiedział Sonny Mayaguez. Żona podkreśliła jego słowa lufą strzelby. – No, to jak? Gadka albo ślub.

Bracia Gallacelli nie wybrali żadnej z opcji.

Gdziekolwiek indziej na świecie nikt nie przejąłby się nawet odrobinę taką głupiutką dziewczyną jak Mags Mayaguez. W pobliskiej Belladonna na samej Tombolova Street można było się doliczyć osiemdziesięciu pięciu punktów aborcyjnych i dwunastu biur pośredniczących w handlu płodami, specjalnie dla głupiutkich dziewczyn dokładnie w tej sytuacji. Ale Belladonna to Belladonna, a Burma Shave to Burma Shave, dlatego właśnie bracia Gallacelli wybrali Belladonnę, a nie Burma Shave. Dorobili się dyplomów po dziesięć dolarów sztuka z agrotechniki, prawa i budowy maszyn, przyznanych przez universuum typu „dziura w ścianie”. I żyliby tam w zadowoleniu do końca życia, gdyby nie smutne nieporozumienie z nożem, pijanym ładowaczem i dziewczyną, w barze na Primavera Street. Zatem znowu uciekli, w Belladonna bowiem obowiązywało jeszcze jakieś prawo, zgodnie z którym zaraz po stuprocentowo uczciwej policji najlepsza jest policja stuprocentowo skorumpowana.

Przyciągnęła ich, rolnika, prawnika, mechanika, siatka lśniących stalowych szyn pokrywających świat jak pajęczyna. Ed był mechanikiem, Louie prawnikiem, Umberto rolnikiem. Z takimi kwalifikacjami daliby sobie radę wszędzie na świecie, bo świat był jeszcze na tyle młody, że roboty było aż nadto dla każdej pary rąk. Ale w końcu trafili do Drogi Bez Znaczenia.

Wyskoczyli ze swojego wagonika nieco spoceni, ale wciąż zabójczo przystojni, i wpadli do B.A.R-u/Hotelu. Jeden po drugim pacnęli dzwonek. Głowy odwracały się ku nim. Bracia Gallacelli uśmiechali się i machali.

– Ed, Louie i Umberto – przedstawił ich pierwszy.

– Szukamy miejsca na nocleg – dodał drugi.

– Czystych łóżek, gorącej kąpieli i ciepłej kolacji – dopowiedział trzeci.

Persis Tatterdemalion wyszła z piwnicy, gdzie podłączała nową beczkę z piwem.

– Tak? – zapytała.

– Ed, Louie i... – powiedział Ed.

– Szukamy... – dodał Louie.

– Czystych łóżek, gorącej... – uzupełnił Umberto i wszyscy trzej, w jednej chwili, beznadziejnie i rozpaczliwie się w niej zakochali.

Bo wiecie, jest taka teoria, która mówi, że dla każdej osoby istnieje druga, która idealnie i całkowicie spełnia ich marzenie o miłości. A skoro bracia Gallacelli byli jedną osobą pomnożoną trzy razy, oczywiście i ten ideał musiał być dla nich wspólny, a tym ideałem okazała się Persis Tatterdemalion.

Następnego dnia bracia Gallacelli udali się do doktora Alimantanda, żeby dostać pobyt stały. Przydzielił Umbertowi dużą działkę, Edowi szopę, w której mógł naprawiać maszyny, a skoro Louie'emu nie mógł dać stanowiska w sądzie rejonowym czy choćby stolika w rogu baru, gdzie mógłby praktykować swą sztukę, dał mu działkę prawie tak samo wielką jak Umbertowi i doradził zajęcie się hodowlą zwierząt, mówiąc, że ze wszystkiego, co ma do zaoferowania Droga Bez Znaczenia, to jest najbliższe praktyce prawniczej.

Mikal Margolis miał problem. Cierpiał, bo zakochał się w pani weterynarz z domu nr 12 po drugiej stronie drogi. Jednakże obiektem jego pożądania, który je w dodatku zaspokajał, była Persis Tatterdemalion, z którą miał wspólnotę łoża i interesów. Pani weterynarz z domu nr 12, nazywająca się Marya Quinsana, też miała problem. Taki, że była obiektem pożądania swego brata Mortona. Niestety nie kochała go, ani trochę, nie kochała też Mikala Margolisa. Kochała tylko siebie. Ta samomiłość była oszlifowana jak brylant o wielu lśniących fasetkach, tak że jej promienie odbijały się w kierunku innych osób wokół niej, które uważały, że ona ich kocha, a oni ją.

Jedną z takich osób był jej brat Morton Quinsana, dentysta z dziwnymi obsesjami, w którego zaborczość wobec siostry nie wierzył nikt. Wszyscy wiedzieli, że on jej skrycie pożąda, on wiedział, że skrycie jej pożąda, więc nawet nie było to skryte, skoro tyle osób o tym wiedziało. Żywił jednak do niej taki szacunek, że nie ważył się tknąć jej nawet palcem. Płonął więc piekielną frustracją w przyzwoitej odległości. A im dłużej płonął, tym gorętszy był żar jego obsesji. Któregoś wieczoru przyłapał siostrę na flirtowaniu z braćmi Gallacellimi – śmiała się z ich nieokrzesanych farmerskich dowcipów, piła ich napoje, dotykała ich szorstkich i brzydkich rąk. Przysiągł wtedy na miejscu, że nigdy nie będzie leczył żadnego z braci Gallacellich, choćby przyszli do niego z bolącym zębem, z krzykiem i płakaniem, choćby gnijąca zębina wyzwoliła w nich zwierzę i kazała im walić bezsilnie głową o ścianę; nie, odprawi ich, wygoni bez zastanowienia, skaże ich na jęki, cierpienia i zgrzytanie zębów, za to, że zarzucili sieć swych lubieżnych żądz na jego siostrę Maryę.

Kolejnym z tych głupców był Mikal Margolis. Przez matkę nigdy nie był szczęśliwy w miłości. Jednakże kiedy matka ogłosiła swoje zaręczyny, stał się szczęśliwy – i był szczęśliwy z pełną zapału, energiczną i zachłanną Persis Tatterdemalion. Nagle jednak z cotygodniowego pociągu z zaopatrzeniem z Południka wysiedli Morton i Marya Quinsanowie. Mikal Margolis właśnie odbierał ze stacji beczki piwa i skrzynki alkoholi, kiedy zauważył wysoką, silną kobietę idącą wzdłuż peronu z naturalnym wdziękiem i dyskretną siłą polującej kotki. Ich spojrzenia spotkały się i powędrowały dalej, ale po tym przelotnym kontakcie Mikal Margolis poczuł, że przeskakująca po kręgosłupie elektryczna iskra stapia mu na czarne szkło podstawę serca, kryjącą wszelką przyzwoitość i uczciwość. Zakochał się. Nie był w stanie myśleć o niczym innym, tylko o tym, że ją kocha.

Kiedy doktor Alimantando przydzielił Quinsanom jaskinię, pobiegł w te pędy pomagać budować im dom.

– Ej, a kto przetrze rzeczy, kto umyje szklanki? – zapytała Persis.

Mikal pomachał i pobiegł. Kiedy doktor Alimantando dał Quinsanom działkę, Mikal Margolis przyszedł i kopał, przegradzał i zalewał, aż księżycowy pierścień zalśnił jak diamenty.

– Może byś nalał parę drinków? – mówiła Persis. – Może byś zrobił jakąś kolację dla głodnych ludzi?

A kiedy Morton Quinsana z siostrą przyszli do Bethlehem Ares Restauracji/Hotelu, Mikal dał im po misie gorącego jagnięcego pilawu i tyle darmowego piwa, ile byli w stanie wypić, a potem gadał i żartował z nimi aż do zamknięcia. Kiedy w hotelu zachorowała kura, mimo że była przeznaczona na wieczorny rosół, i tak zabrał ją do Maryi Quinsany, która szturchała ją i badała wprawnymi palcami, a on marzył, że jej palce robią to samo jemu. Tej jesieni wiele zwierząt Margolisa i Tatterdemalion się rozchorowało.

Mimo to Mikal Margolis nie był szczęśliwy. Oscylował między miłością dobrej kobiety a miłością złej kobiety, jak odmierzający czas mały kwarcowy kryształek. Persis Tatterdemalion, praktyczna i niewinna jak orzeł na niebie, pytała, czy jest chory. Mikal Margolis tylko stękał z niespełnionego pożądanego.

– Kochanie, może byś się kogoś poradził, co? Od paru dni nie możesz się skupić na pracy. Może do tej pani weterynarz pójdziesz? No wiesz, ludzie to tylko jeszcze jeden gatunek zwierząt, nie? Może ona ci coś pomoże.

Mikal Margolis odwrócił się do Persis Tatterdemalion.

– Żartujesz, co?

– Nie. Poważnie mówię.

Stęknął jeszcze głośniej.

A Maryi Quinsany nie obchodziło to nic a nic. Dokładnie tak – nie obchodziło. Do osób na tyle słabych, żeby się w niej zakochać, czuła wyłącznie pogardę. Gardziła swoim przygłupim bratem, gardziła tym tępym chłopakiem z za baru. Ale nie mogła się oprzeć wyzwaniu. Odbije tego głupiego chłopaka kochającej prostytutce, z którą mieszka i z którą się kocha. To jest gra, to tylko gra, w grze pionki nie mają znaczenia, liczy się umysł, który nimi porusza, oraz zwycięstwo, bo, zwyciężając, będzie mogła jeszcze bardziej pogardzać przegranymi. Jednym sprytnym gambitem może zatriumfować nad Mikalem Margolisem i swoim cholernym bratem. Wtedy będzie mogła wreszcie się z nim rozstać i niech świat usłyszy jej imię.

„Opiekuj się Mortonem” – takie słowa wygłosiła na łożu śmierci jej żelazna matka. „Opiekuj się nim, dbaj o niego, niech mu się wydaje, że podejmuje wszystkie decyzje, ale dopilnuj, żeby nie podejmował żadnych. Maryo, tak ci rozkazuję”.

Opiekuj się Mortonem, opiekuj się Mortonem; tak, już od pięciu lat wypełniała ostatnią wolę matki. Pojechała za nim na pustynię po tym romansie z małą dziewczynką w parku; ale, matko, musi przyjść taki dzień, że Morton się usamodzielnia, i tego dnia od razu z rana ona wsiądzie do pierwszego pociągu jadącego do Mądrości.

Stąd właśnie brały się te gry. Bawiły ją, zapewniały równowagę umysłu przez pięć lat narastającego zauroczenia Mortona, dawały jej nadzieję, że dzięki nim będzie miała siłę rzeczywiście wsiąść do tego porannego pociągu. Wymyśliła więc, że będzie karmić kury dokładnie o tej porze, kiedy Mikal Margolis po drugiej stronie uliczki, na tyłach B.A.R-u/Hotelu karmi swoje. To gra kazała mu poprosić go, żeby podszedł i spojrział, czemu jej biometanownia nie działa, jak trzeba, choć Rajandra Das zrobiłby to o wiele lepiej.

– Problemy z chemią – orzekł Mikal Margolis. – Ktoś tu wlał używany płyn dezynfekcyjny i pozabijał bakteriofagi.

Marya Quinsana uśmiechnęła się. Dopiero co wlała rano do zbiornika trzy butelki płynu do sterylizacji. Gra szła świetnie. Z wdzięczności zaprosiła go do środka na drinka, potem na rozmowę, potem do łóżka (a Mikal Margolis przez cały czas trzął się jak osika), a wreszcie na seks.

I w tym łożku zostały zasiane nasiona zniszczenia Drogi Bez
Znaczenia.

Konflikt pomiędzy Stalinami i Tenebrae zaczął się, kiedy odkryli, że niejaki pan E.P. Vencatatchalum sprzedał im tę samą działkę w idyllicznym, rajskim miasteczku Droga Bez Znaczenia. Pan E.P. Vencatatchalum był kiedyś agentem do spraw ziemi w Biurze Imigracji i Osadnictwa, a teraz siedział w białym pokoju, przesłuchiwany pod zarzutem współudziału w oszustwie przez inspektora Djiena Xhao-Pina z komisariatu Bleriot. Stalinom i Tenebrae nie dość, że sprzedano tę samą działkę (do której zresztą pan E.P. Vencatatchalum nie miał żadnych praw), to jeszcze dostali bilety na ten sam przedział sypialny w nocnym pociągu 19:19 do Portu Przesilenia, przez North Ben's Town, Annency, Murchesonville, New Enterprise, Wollamurra i Droga Bez Znaczenia. Żadna rodzina nie zamierzała ustąpić ani o krok. Kuszetkowy zamknął się w swojej kabinie i puścił głośno radio. Powinni sami się dogadać. Tej nocy w wagonie nr 36 nocnego pociągu nikt się nie wyspał. Pięcioro ludzi, z bagażem dla pięciorga ludzi, próbowało się urządzić w przedziale sypialnym dla trojga, z miejscem na bagaż dla trojga. Pierwszej nocy tylko mały Johnny Stalin, wiek: 3 lata i 3/4¹, miał łóżko dla siebie. A to dlatego, że był nadpobudliwym małym, okrągłutkim grubaskiem i gdyby nie dostał tego łóżka, darłby się bez końca. Matka w końcu ustąpiła i wcisnęła mu trzy czy cztery tabletki nasenne dla dorosłych, żeby się uspokoił i był posłuszny. Johnny Stalin był rozpieszczonym i nadpobudliwym małym, okrągłutkim lekomanem.

Następny dzień mijał w kruchej ciszy, dopóki Gaston Tenebrae dokładnie o czternastej nie odchrząknął i nie zasugerował, że może to byłby dobry pomysł, żeby wszyscy spali na zmianę. On i jego żona,

Genevieve, będą siedzieć całą noc i spać cały dzień, jeśli Stalinowie przesiedzą cały dzień i prześpią całą noc.

Z początku wydawało się to całkiem sprawiedliwe. Potem górę wzięły proste i nieprzyjemne zagadnienia logistyczne narzucone przez rozmiar przedziału. Jedno łóżko trzeba było złożyć, żeby utworzyć siedzenia dla tej dwójki, która miała siedzieć. Pozostawały dwa łóżka dla trzech osób. Potem trójka musiała siedzieć, a dwójka wygodnie spać. Państwo Stalinowie wierzili się i stękali w swoim ciasnym łóżku, mały Johnny chrapał astmatycznie, Gaston i Genevieve Tenebrae prowadzili drobne, miłosne sprzeczki, pełnym furii szeptem i drobnymi, agresywnymi gestami rąk, a pociąg stukał, szczekał, cofał się, dzielił na nowe pociągi i tym zmiennym tempem przybliżał się coraz bardziej do Drogi Bez Znaczenia.

Chaotyczna przesiadka z leżanek na fotele z rana trzeciego dnia doprowadziła do oficjalnego podjęcia wrogich działań. Genevieve Tenebrae oskarżyła małego Johnny'ego Stalina, że próbuje jej zajrzeć pod spódnicę, kiedy wchodzi po drabince na górną pryczę. Pan Stalin oskarżył Gastona Tenebrae, że grzebie w ich bagażu, kiedy śpią. Gaston Tenebrae oskarżył pana Stalina o czynienie jego żonie niestosownych awansów w kolejce do łazienki drugiej klasy. Pani Stalin oskarżyła panią Tenebrae o oszukiwanie przy beziku. Zawirowały zamiecie awantur, jak śnieżne zamiecie poprzedzające srogą zimę; i nastał czwarty dzień, a potem czwarta noc.

– Droga Bez Znaczenia! – zawołał kuszetkowy, wychodząc z ukrycia i stukając w drzwi srebrnym ołówkiem. Stuk-stuk-stuk. – Droga Bez Znaczenia! Trzy minuty! – Stuk-stuk-stuk.

Paradoksalnie, przez dwie minuty i trzydzieści sekund panowała anarchia, gdy Stalinowie i Tenebrae wstawali, myli się, ubierali, zbierali torby, książki, cenne rzeczy, synów-grubasków i przeciskali się, gramolili i taszczyli wąskim korytarzem, potem przez wąskie drzwi, wychodząc wreszcie pod cienki rąbek słońca o siódmej rano. I wszystko to bez choćby jednego spojrzenia przez okno, by sprawdzić, gdzie są – szkoda, bo gdyby spojrzeli, być może nie wysiedliby z pociągu. A tak rozejrzeli się...

– Zielone łąki... – powiedział pan Stalin.

– Żyzna ziemia czekająca na pług – dodał Gaston Tenebrae.

– Powietrze pachnące milionem kwiatów – dodała pani Stalin.

– Błogi i spokojny raj na ziemi – uzupełniła Genevieve Tenebrae.

Johnny Stalin popatrzył na oślepiająco białą suszoną glinę i spieczoną czerwoną ziemię, jaskrawe odbłyśki słońca na panelach słonecznych i gołe szkielety masztów z wiatrakami. Po czym wykręcił twarz jak wyżymaną moką gąbkę i przygotował się do ataku wściekłego wrzasku.

– Mama! – wyjęczał. – Ja nie... – Pani Stalin trzasnęła go potężnie w lewe ucho.

Johnny zajęczał jeszcze bardziej, a na ten znak Stalinowie i Tenebrae zaczęli obrzucać się potokiem płomiennych wyzwisk, od których na pobliskich ścianach zostawały osmolone ślady. Dzieciak poczłapał na bok, żeby być samemu ze swoim nieszczęściem. Nikt nie zwracał na niego uwagi, a tym samym go nie kochał. Limaal i Taasmin Mandellowie znaleźli go siedzącego i siąkającego nosem obok głównej biometanowni, gdy biegali po osadzie, wypatrując czegoś nowego do zabawy w nowy dzień.

– Cześć – powiedział Limaal. – Jesteś nowy.

– Jak się nazywasz? – dodała Taasmin, czterdzieści osiem sekund starsza od brata.

– Johnny Stalin – powiedział Johnny Stalin.

– Długo tu będziesz mieszkać?

– Chyba długo.

– To chodź, pokażemy ci, gdzie tu się bawić – powiedziała Taasmin i dwójka szybkich, zwinnych dzieciaków wzięła bladego i grubawego Johnny'ego Stalina za rękę i pokazała mu wspaniałe bajory dla świń, pompy wodne, kanały irygacyjne, na których można puszczać stateczki, zagrody, gdzie Rael Mandella trzyma zwierzęta, urodzone z jego zestawu zarodków, oraz krzewy jagód, z których można jeść, aż się pęknie, i nikomu to nie przeszkadza, ani trochę. Pokazali mu dom doktora Alimantanda i samego doktora, który był bardzo wysoki, bardzo stary i bardzo miły, na swój trochę groźny sposób. Doktor zaś wziął umorusanego błotem, gównem, wodą i jagodami chłopaka i zaprowadził go z powrotem do wciąż kłócących się rodziców. Dał im zgodę na pobyt stały w Drodze Bez Znaczenia. Pierwsze dwie noce spędzili w B.A.R-ze/Hotelu, podczas gdy dr Alimantando zastanawiał się, co z nimi począć. Wreszcie zwołał swoich najbardziej zaufanych przyjaciół i doradców – pana Jericha, Raela Mandellę i Rajandrę Dasa i razem, z pomocą Czcigodnych Przodków pana Jericha, podjęli niezwykle prostą decyzję.

Droga Bez Znaczenia jest za mała, żeby pozwolić sobie na wielkomiejskie luksusy w rodzaju wojujących rodów. Stalinowie

i Tenebrae muszą nauczyć się żyć razem. Dlatego doktor Alimantando dał im sąsiadujące domy, graniczące ze sobą działki i tylko jedną wiatrową pompę. Zadowolony ze swojej salomonowej mądrości, wrócił do swego pokoju meteo i do badań nad przestrzenią, czasem i całą resztą.

- Ojczy, powiedz mi jeshczy raz, czemu my tam jedziemy?
 - Żeby uciec od niedobrych ludzi, którzy mówią o tobie i o mnie złe rzeczy, od ludzi, którzy chcą mi cię zabrać.
 - Powiedz jeshczy raz, czemu ci ludzie chcą mi cię zabrać.
 - Bo jesteś moją córką. Bo mówią, że jesteś nienaturalna, że jesteś dziwadłem, produktem eksperymentu, mój mały wróbelku. Bo mówią, że urodziłaś się niezgodnie z prawem i powinienem zostać za to ukarany.
 - Ale powiedz, ojczy, jeshczy raz: czemu by mieli cię ukarać? Czy ja nie jestem twoją córką, twoim małym wróbelkiem?
 - Jesteś moim ćwierkającym wróbelkiem i moją córeczką, ale oni mówią, że jesteś tylko... lalką, maszyną, czymś stworzonym przez ludzi, i według ich prawa nie wolno nikomu mieć takiej córki, którą dla siebie stworzył, choćby kochał ją nad życie.
 - A ty kochasz mnie nad życie, ojczy?
 - Kocham, moja wisienko, i dlatego właśnie uciekamy przed tymi niedobrymi ludźmi, bo chcą mi cię odebrać, a tego bym nie przeżył.
 - Ja też, ojczy, nie przeżyłabym bez cię.
 - Czyli będziemy razem, prawda? Już zawsze.
 - Tak, ojczy. Ale powiedz mi raz jeshczy, co to za miejsce, do którego jedziemy?
 - Nazywa się Droga Bez Znaczenia i jest tak maleńkie i tak odległe od wszystkiego, że znamy je tylko z opowieści.
 - I dlatego tam jedziemy?
 - Tak, kotku, jedziemy do ostatniego miejsca na świecie. Do tej Drogi Bez Znaczenia.

Meredith Blue Mountain i jego córka Ruthie byli cisi. Byli zwyczajni, niezauważalni, pospolici. Do tego stopnia, że w przedziale trzeciej klasy pustynnego osobowego pociągu Południk-Belladonna byli praktycznie niewidzialni pod górą bagażu innych osób, kur innych osób, dzieci innych osób i innych osób. Nikt się do nich nie odzywał, nikt nie pytał, czy może usiąść obok albo zwalić na nich swoje bagaże-kury-dzieci. Kiedy wysiedli na maleńkiej stacyjce pośrodku pustyni, przez ponad godzinę nikt nie zauważył, że ich nie ma, a nawet wtedy nikt nie pamiętał, jak właściwie wyglądali ci towarzysze podróży.

Nikt nie zauważył, jak wysiadają z pociągu, nikt nie zauważył, jak przybywają do Drogi Bez Znaczenia, nawet Rajandra Das, samozwańczy naczelnik stacji, który witał każdy pociąg zatrzymujący się na jego partyzanckiej stacyjce, nikt nie dostrzegł, jak za dwanaście dwunasta wchodzi do B.A.R-u/Hotelu. Wtem hotel wypełniło coś jak przeciągnięta eksplozja światła, a w epicentrum tego blasku stała najpiękniejsza kobieta, jaką ktokolwiek w życiu widział. Wszyscy obecni mężczyźni musieli nerwowo przełknąć ślinę. Każda kobieta walczyła z niewytłumaczalną potrzebą westchnienia. Tuzin serc pękł na pół, cała miłość wyfrunęła z nich jak skowronki i zakrążyła wokół tej niesamowitej istoty. Zupełnie jakby pojawił się przed nimi Bóg we własnej osobie.

Nagle boskie światło zgasło i zapadła ciemność, w której się mruga i przeciera oczy. Po odzyskaniu wzroku wszyscy zobaczyli przed sobą niskiego, pospolitego mężczyznę i młodą dziewczynę, mniej więcej ośmioletnią, najzwyklejszą i najbezbarwniejszą, jaką ktokolwiek w życiu widział. Taka była bowiem natura Ruthie Blue Mountain, niezwykle zwykłej dziewczyny – chłonęła jak światło słońca piękno wszystkiego, co ją otaczało i przechowywała je, póki nie postanowiła go uwolnić, jak w impulsie lampy błyskowej oszłamiającego piękna. Po czym znów wracała do niegustownej anonimowości, zostawiając za sobą powidok i poczucie niewypowiedzianej straty. To był pierwszy sekret Ruthie Blue Mountain. Drugi był taki, że ojciec, w swoim słoju-genezis, taką ją właśnie stworzył.

Kiedy Meredith Blue Mountain z córką poszedł spotkać się z doktorem Alimantando, w osadzie wciąż mówiło się o nadzwyczajnym wydarzeniu w B.A.R-ze. Wielki uczoney był pogrążony w pracy w swoim pokoju meteo, wypełniając ściany wypisywanymi węglem niezrozumiałymi symbolami algebraicznymi.

– Nazywam się Meredith Blue Mountain, a to jest Ruthie, moja córka.
– Tu Ruthie dygnęła i uśmiechnęła się tak, jak ją ojciec cierpliwie

wyćwiczył w hotelowym pokoju. – Jestem hodowcą zwierząt z Marsaryt, niestety niezrozumianym przez miejscową społeczność. Moja córka jest dla mnie wszystkim, ale potrzebuje schronienia, obrony przed okrutnymi i złośliwymi ludźmi. Ta nieszczęsna i prosta istota na zawsze zatrzymała się umysłowo w wieku pięciu lat. Proszę więc o azyl dla siebie i mojej biednej córki. – Tak oto przemówił Meredith Blue Mountain.

Doktor Alimantando przetarł okulary.

– Mój drogi panie, ja doskonale rozumiem, jak to jest być niezrozumianym przez społeczność i zapewniam pana, że w Drodze Bez Znaczenia nikogo nie odtrącamy. Biedni, potrzebujący, prześladowani, zrozpaczeni, głodni, bezdomni, niekochani, winni, dręczeni przez przeszłość, tu jest miejsce dla wszystkich. – Spojrzał na główny Plan Pięćsetletni na ścianie pokoju meteo, któremu już zagrażały okrążające go wzory matematyczne. – Przydzielam wam działkę nr 17, grotę nr 9. Proszę porozmawiać z Raelem Mandellą w sprawie narzędzi rolniczych i z panem Jerichem w sprawie budowy domu. Póki nie będzie zbudowany, możecie bezpłatnie nocować w naszym hotelu. – Wręczył Meredithowi Blue Mountain zwój papierów. – Wniosek o obywatelstwo. Wypełnij go w swoim czasie i przekazaj mnie albo Persis Tatterdemalion. I nie zapominaj o dwóch naszych regułach. Po pierwsze: należy zawsze pukać przed wejściem. Po drugie: nie wolno krzyczeć podczas sjeisty. Przestrzegaj tych dwóch reguł, a będzie ci u nas dobrze.

Tak więc Meredith Blue Mountain wziął córkę i poszedł spotkać się z panem Jerichem, który obiecał mu dom w tydzień, z bieżącą wodą, gazem ze społecznej biometanowni i prądem ze społecznych paneli słonecznych, a potem z Raelem Mandellą, który pożyczył im motykę, szpadel, graczę, autosiewnik oraz zestaw nasion, bulw, kłączy i szczeppek. Dał im także ze swego magazynu komórek parę kultur o przyśpieszonym wzroście, na świnię, kozy, kury i lamy.

– Powiedz mi, ojcze, czy to jest miejsce, w którym zostaniemy na zawsze?

– Tak, mój kotku, tak.

– Ładnie tu, ale chyba trochę sucho, prawda?

– Prawda.

Ruthie powiedziała jeszcze parę głupawych i oczywistych rzeczy, ale czego miał się Meredith Blue Mountain spodziewać po dziewczynie o umyśle pięciolatki? Zresztą uwielbiał te jej głupie pytania. Kochał jej oddanie i stuprocentowy podziw, chociaż chwilami żałował, że nie zaprojektował jej wyższego IQ.

Pierwszego dnia wiosny drugiego roku Babuszka i Dziadek Haran wzięli ślub pod topolą kanadyjską w ogrodzie doktora Alimantanda. Dzień był pogodny, rześki i błękitny, jak przystało na pierwszy dzień wiosny, choć w Drodze Bez Znaczenia większość dni była rześka i pogodna. Doktor Alimantando prowadził ceremonię, Eva Mandella i mała Taasmin były druhami, a Mikal Margolis tym, który oddawał pannę panu młodemu.

– Będziesz musiał swoją kochaną matkę wydać – zaćwierkała Babuszka na ich jedynym spotkaniu od czasu przybycia do Drogi Bez Znaczenia.

– Ja, mamó? Nie byłaś w stanie znaleźć nikogo lepszego?

– Próbowałam, Miszka, próbowałam, ale to nie przystoi nikomu innemu, tylko synowi – syn musi wydać za żonę swoją kochaną, steraną życiem mateczkę. Więc to będziesz ty.

Mikal Margolis nigdy nie był w stanie swojej matce odmówić. Zgodził się, mimo że Persis Tatterdemalion pogardliwie odniosła się do jego słabości i mimo ostatnich, pożegnalnych słów matki:

– A, Miszka, i nie zapomnij: to jest szczególny dzień dla twojej matki i nie chcę, żebyś go zepsuł, przyprowadzając tę kobietę wątpliwej kondyty, rozumiesz?

Tak więc Persis Tatterdemalion podczas przemówienia doktora stała z tyłu.

Doktor sam tę mowę napisał. Uważał, że brzmiała bardzo dobrze. Lubił myśleć, że ma ładny głos. Po odczytaniu i podpisaniu wszystkiego, wymianie obrączek i ukoronowaniu głów odbyło się wesele.

Była to pierwsza impreza w historii Drogi Bez Znaczenia, a więc siłą rzeczy musiała być najlepsza. Nad dołami z rozżarzoną węglą

drzewnym pieczono całe barany, dla mniej głodnych krążyły tace z rachatlukum i nadziewanymi daktylami, parowały wielkie gary matoke i kuskusu, do gardeł gości wlewały się szklanice chłodnego ponczu owocowego. Do gałęzi topoli przywiązano wstążeczkami cukierki, a dzieci skakały, próbując je ściągnąć. Limaal i Taasmin, zwinne małe małpki, objadły się mlecznymi krówkami. Nie trwało to zbyt długo, bo dostały mdłości. Natomiast pulchny Johnny Stalin, mimo przewagi wieku, nie doskoczył do ani jednego cukierka i do końca popołudnia kwękał nieznośnie pod stołem.

Kiedy kopułę nocy przeniknęły pierwsze gwiazdy, na drzewach zapalono papierowe lampiony, a na gałęziach zawieszono klateczki z żywymi świetlikami. Dzieci zmuszały je do działania, szturchając je długimi słomkami, a wyglądało to jakby galaktyka łagodnie zielonkawych gwiazd spadła z księżycowego pierścienia i uwięzła pomiędzy gałęziami. Potem nadszedł najwspanialszy moment wieczoru. Rajandra Das i Ed Gallacelli wtoczyli wielkie radio, które potajemnie skonstruowali na wesele, w obudowie z kufra bagażowego Raela Mandelli. Rajandra Das skłonił się zamasyście i obwieścił:

– Panie i panowie, młoda paro, drodzy przyjaciele, zapraszam do tańca! Niech gra muzyka!

Ed Gallacelli pokręcił gałką strojenia i zabrzmiała muzyka – trzeszcząca, odległa, źle nastrojona, ale jednak muzyka. Goście wstrzymali oddech. Rajanda Das dotknął pokrętki swymi magicznymi palcami, radio słyszalnie westchnęło w ekstazie i rozległa się muzyka – głośna, uporczywa, taka, że noga sama chodzi. Goście urządzili owację.

– Zatańczymy? – powiedział Dziadek Haran do swej ślubnej.

Babuszka zmarszczyła się w uśmiechu i dygnęła. Wtedy chwycił ją i po chwili już wirowali po udeptanej ziemi wśród powodzi halek i ręcznie szytego jedwabiu. Ośmieleni ich przykładem wszyscy dobrali się w pary i tańczyli, tańczyli, tańczyli do charakternej muzyki z Zachodniego Portu Przesilenia. Doktor Alimantando prowadził Evę Mandellę do statecznego, przyciężkiego tańca ludowego z jego ojczystego Deuteronomium. Mikal Margolis, wciąż bojąc się uwag matki, tańczył z Maryą Quinsaną, która uśmiechała się i ocierała się ciałem o jego ciało tak, że przetańczył wieczór z bolesnym wzwodem. Stalinowie i Tenebrae tańczyli ze stosownymi partnerami i komentowali niezdarność i niezgrabność swoich wrogów, choć Genevieve Tenebrae odbyła jeden szybki pląs z panem Jerichem, którego uznała za niezwykle zwinnego. Porzucona na ten wieczór Persis Tatterdemalion tańczyła na zmianę z każdym z braci

Gallacellich i patrzyła w tę samą twarz tyle razy, że miała wrażenie, że całe wesele przetańczyła z tym samym facetem. Limaal i Taasmin Mandellowie szaleli i wygłupiali się z niespożytą energią, a Johnny Stalin zakradał się do stołów i wyżerał resztki.

Tańczyli, tańczyli i tańczyli pod pośpiesznymi księżycami, póki spiker w radiu nie powiedział, że kończą nadawanie i że życzy wszystkim dobrej nocy.

– Dobrej nocy! – zawołali wszyscy.

– Piiiiiiiiiiiiiiiiiii – powiedziało radio.

I wszyscy mieli dobrą noc.

– Najlepsza noc – powiedział Rajandra Das do pana Jericha, kiedy szli chwiejnym krokiem, każdy do swojego łóżka. I wszyscy Czcigodni Przodkowie zgodzili się.

Małżeństwo wspaniale służyło Babuszce i Dziadkowi Haranowi – każdy, kto tylko na nich spojrzał, czuł aurę miłości, otaczającą ich, kiedy byli razem i cieszył się wraz z nimi. Jednakże ich radość była niepełna, gdyż w jej sercu czaił się cień. Któregoś wieczoru Babuszka, opatulona przed wieczornym chłodem w szkarłatną flanelową piżamę, nazwała ten cień po imieniu.

– Haran, chciałabym mieć dziecko.

Dziadek Haran zakrztusił się gorącą czekoladą.

– Co?

– Czemu nie możemy mieć dziecka, drogi mężu? Małego i ślicznego dzidziusia.

– Kobieto, bądź poważna. Jesteśmy za starzy na dzieci.

– Ależ, Haran, mamy Dwudziestą Dekadę i cuda zdarzają się codziennie. Mamy erę możliwości, tak mówią, więc może i to byłoby możliwe, co? Powiedz mi, mój kochany, chcesz mieć dziecko?

– No... byłoby wspaniale, ale...

– Mężu mój, ja po to żyję. Być żoną jest pięknie, ale matką jeszcze lepiej. Haranie mój, powiedz mi, jeśli znajdę sposób na urodzenie dziecka, zgodzisz się je mieć? Powiedz?

Dziadek Haran, uznawszy to, błędnie, za przelotny kaprys świeżo zaślubionej żony, odstawił kubek, przekręcił się na bok i mruknął:

– Oczywiście, skarbie, oczywiście. – I zaraz zasnął.

A Babuszka siedziała w łóżku, aż nadszedł świt. Oczy jej błyszczały i skrzyły się jak granaty.

W Drodze Bez Znaczenia bardzo mało co uchodziło uwagi Limaala i Taasmin Mandellów. Jeszcze zanim doktor Alimantando, pogrążony w algebrze w swoim pokoju meteo, zwrócił w tym kierunku swój optikon, bliźniaki zauważyły słup pyłu po drugiej stronie świata za torami. Pobiegły powiedzieć o tym doktorowi. Odkąd ich prawdziwy dziadek się ożenił, doktor Alimantando stał się dla nich o niebo bardziej satysfakcjonującym dziadkiem, dziadkiem z przymieszką czarodzieja, miłym, choć także niesamowitym. Usłyszał, jak tupią na kręconych schodach, i ucieszył się. Rola dziadka całkiem mu odpowiadała.

W optikonie słup pyłu przybrał kształt wzorzystej gąsienicy, która w mocniejszym powiększeniu okazała się ciężarówką i dwiema przyczepami, jadącymi z wielką prędkością przez suchą równinę.

– Popatrzcie – powiedział doktor Alimantando, wskazując ekran. – Co tam jest napisane?

– ROTECH – odparł Limaal, w którym już kiełkowało nasiono racjonalizmu.

– Serce Lothian, Edukacja Genetyczna – powiedziała Taasmin, w podobny sposób przeklęta mistycyzmem.

– No to wyjdźmy na spotkanie temu Sercu Lothian, co? – zaproponował doktor Alimantando.

Dzieci wzięły go za ręce, Limaal za prawą, Taasmin za lewą, i pociągnęły po stromych, krętych schodach, a potem w skwar dnia za czternaście minut czternasta. Reszta mieszkańców poszła przed nimi, jednak nie mając między sobą tytularnego przywódcy, nie wiedzieli, co mogliby zrobić, i stali tylko niepewnie, czując pewien respekt do słowa

ROTECH na malowanej we wzór paisley ciężarówce. Wielka, tęga baba z twarzą jak ziemniak rozdawała wizytówki.

– Witamy w Drodze Bez Znaczenia – powiedział doktor Alimantando, kłaniając się elegancko. Dzieci powtórzyły jego gest.

– Alimantando.

– Miło mi pana poznać – odparła ogromna kobieta. Mówiła z dziwnym akcentem, którego nikt nie potrafił do końca określić. – Serce Lothian, inżynier genetyczny, konsultantka do spraw hybrydyzacji, edukatorka eugeniczna w ROTECH. Dziękuję. – Skłoniła swe wielkie ciało kolejno przed doktorem Alimantandem, Limaalem i Taasmin. – Jedna rzecz... tego miejsca nie ma na żadnych mapach... Jest pan pewien, że jesteście zarejestrowani w Biurze Zagospodarowania Terenu?

– No... – odrzekł doktor Alimantando – ...tego...

– Zresztą nieważne – zagrzmiała Serce Lothian. – Ciągłe się na takie rzeczy natygam. Powiem chłopakom z Porcelanowej Góry, jak wrócę. Cały czas się to zdarza, ale to nie mój problem. Proszę... – Wręczyła każdemu z nich wizytówkę i zawołała głosem jak grzmot: – Wizytówka, którą macie w rękach, pozwala na jednorazowy wstęp na Objazdowy Pokaz Edukacji Genetycznej Serca Lothian plus bezpłatną lampkę wina! Będą tam wszelkie cuda dzisiejszej biotechnologii, dostępne dla was, bezpłatnie, dzięki komisji rozwoju regionalnego ROTECH-u. Podejdźcie, podejdźcie, przyprowadźcie rodzinę, młodych i starych, mężczyzn i chłopców, przyjdźcie wszyscy, żeby się dowiedzieć, jak ROTECH może pomóc waszym uprawom, waszym ogrodom, sadom, pastwiskom, hodowlom, ptakom, zwierzom i krzakom, a wszystko to na naszym Wielkim Biotechnologicznym Pokazie. Drzwi otwierają się o dwunastej. Pierwsze dziesięć osób dostaje bezpłatne przypinki ROTECH-u, nalepki i plakaty. Dla dzieci – czapeczki, dla wszystkich bezpłatna lampka wina. A potem... – dodała z błyskiem w oku – ...pokazuję wam, jak ja to wszystko robię.

Przed dwunastą każdy mężczyzna, kobieta i dziecko z Drogi Bez Znaczenia już stali w kolejce przed obwoźnym pokazem Serca Lothian, który jakimś sposobem z ciągnika siodłowego i dwóch przyczep rozłożył się w labirynt wzorzystych markiz i namiotów, pełen błyskających neonów. Sto metrów nad nim unosił się helowy balon na uwięzi, z powiewającym długim proporcem sławiącym cuda Objazdowego Pokazu Edukacji Genetycznej. Z głośników lała się szybka, taneczna muzyka. Wszyscy byli bardzo podekscytowani, nie ze względu na możliwe korzyści dla ich maleńkich gospodarstw (choć Rael Mandella

niepokoił się kurczącymi się zasobami jego banku zarodków – bo w związku z tym zwierzęta hodowane były coraz bardziej wsobnie), ale dlatego, że w osadzie z dziesięcioma domami, gdzie nawet przybycie cotygodniowego pociągu było wydarzeniem, przyjazd obwoźnego pokazu to coś tylko odrobinę mniej fantastycznego, niż gdyby sam Panarcha i zastępy pięciu chórów niebieskich przemaszerowali przez środek przy wtórze fletów i bębnow.

Dwanaście po dwunastej Serce Lothian otworzyła drzwi i ludzie wiali się do środka, cisnąc się i przepychając łokciami. Wszyscy dostali po torbie rozmaitych gadżetów ROTECH-u – przy takiej wielkości osady ograniczenie tej hojności do pierwszych dziesięciu osób byłoby niesprawiedliwe. Z kieliszkami wina w dłoniach patrzyli na cuda inżynierii genetycznej ROTECH-u. Zachwycali się hormonami płodności, dzięki którym kozy potrafiły urodzić nawet osiem koźląt za jednym razem; podziwiali zestawy klonatorskie, pozwalające na wyhodowanie żywych kur z piór i skorupki jajek; wydawali „ochy” i „achy” na widok przyśpieszaczy wzrostu, mogących doprowadzić wszystko, co żywe, warzywo czy zwierzę („nawet człowieka”, powiedziała Serce Lothian), do pełnej dojrzałości w parę dni; oglądali modyfikowane bakterie, żywiące się skałą i wydzielające plastiki, leczące choroby roślin, wytwarzające metan i produkujące żelazo z piasku; wytrzeszczali oczy na widok fermentorium, wielkiego wora niebieskiego syntetycznego mięcha, który trawił dowolne domowe odpadki i na żądanie sączył z sutfków wino czerwone, białe i różowe; zaglądali bojaźliwie do zaciemnionego pomieszczenia podpisanego *Sala potworów* i udawali oburzenie, widząc genetycznych mieszańców, czających się, ryczących i pełzających po swoich zamkniętych środowiskach ochronnych. Limaal, Taasmin i Johnny Stalin, wystrojeni w pomarańczowe papierowe czapeczki z napisem ROTECH i czarnym, dziewięcioramiennym kołem Świętej Katarzyny, zostali tam na wiele godzin, drażniąc agapanty, by kłapały swymi metrowymi szczękami, i smoki, by ziały małymi ognistymi kulkami. Wreszcie Serce Lothian sama musiała ich wyrzucić, gdy przyłapała Limaala i Taasmin na próbie wepchnięcia Johnny’ego Stalina przez służbę do chłodzonego terrarium z nietoperzami-piraniami.

Ludzie zostali do późna, bardzo późna, jak na rolników, którzy wstają i kładą się ze słońcem. Zadawali pytania, składali zamówienia, unosili grube pliki darmowej literatury i pili kieliszek za kieliszkiem znakomitego czerwonego, białego lub różowego. Rael Mandella kupił partię plazmy zarodkowej („gwarantowane, że jest zdrowsza i silniejsza”, powiedziała

Serce Lothian), by uzupełnić swoje chudnące zapasy. Bracia Gallacelli, wypiwszy zbyt dużo czerwonego, białego i różowego, zapytali Serce Lothian, czy byłaby w stanie skonstruować dla każdego z nich identyczną żonę, idealną w każdym fizycznym szczególe. Serce Lothian wygoniła ich śmiechem ze swego gabinetu, ale powiedziała, żeby wrócili, kiedy będzie się zwijać, jeśli chcą zakosztować doskonałości jej obfitego ciała. Pan Jericho i jego Czcigodni Przodkowie bawili ją przez ponad godzinę stymulującą i wyrafinowaną rozmową, Meredith Blue Mountain kupił jakąś bakteryjną kurację dla swoich ziemniaków, Tenebrae i Stalinowie postarali się o różne gatunki wielkich i obrzydliwych pomrowików do podrzucania sobie nawzajem do ogrodów, Persis Tatterdemalion złożyła zamówienie na żywiącą się śmieciami domową winiarnię (choć Wielki Biotechnologiczny Pokaz boleśnie jej przypominał świętej pamięci Niesamowity Powietrzny Bazar Tatterdemalionów), a na koniec przyszła Babuszka.

Neony już pogasły, markizy i namioty zwijały się z powrotem do przyczep, bracia Gallacelli czaili się niepotrzebnie pod pompą wiatrową, a gwiazdy jasno świeciły, kiedy do Serca Lothian przyszła Babuszka.

– Madame, ja widziałam te pani wspaniałości i cuda, naprawdę są wspaniałe i cudowne, czego to nie da się dzisiaj zrobić, ale zastanawiam się nad jednym: czy cała ta nauka i technika może mi dać jedno, czego pragnę najbardziej na świecie – własne dziecko.

Serce Lothian, kobieta wielka jak matka ziemia, przyjrzała się Babuszce, drobnej i twardej jak pustynny wróbel.

– Pani szanowna, nie ma żadnych szans, żeby urodziła pani dziecko. Absolutnie. Ale to nie znaczy, że nie może go pani mieć. Musiałoby się rozwijać poza ciałem, mogłabym do tego zaadaptować jedno z moich placentoriów, zapewne to krowie, zresztą krów kiedyś często używano jako surogatek dla ludzkich płodów, wie pani? Mogę zapłodnić jajeczko in vitro, prosta sprawa, mogłaby to pani sama zrobić; jajeczko powinno się dać gdzieś znaleźć, a jak nie, mogę pobrać materiał z innych komórek... a pani mąż, on jest jeszcze sprawny seksualnie?

– Słucham?

– Da się od niego pobrać próbkę nasienia?

– To już do niego pytanie. Ale proszę powiedzieć: czy to możliwe, abym miała dziecko?

– Jak najbardziej. Genetycznie będzie to pani dziecko, choć nie może go pani nosić w sobie. Jeśli się pani zdecyduje, proszę przyjść do mnie jutro o dziewiętnastej, razem z mężem.

– Jak ja się pani odwdzięczę?

– To tylko mój obowiązek.

Babuszka oddaliła się w noc, a bracia Gallacelli z nocy wychynęli. Nikt nie widział ani jej odejścia, ani ich przyjscia.

Podobnie nikt nie zobaczył Babuszki, kiedy trzy dni później niosła do domu placentorium w wielkim okrągłym słoju.

– Mężu Haranie, mamy nasze dziecko. – Westchnęła i zdjęła dyskretne przykrycie, ukazując czerwoną, pulsującą maź.

– Co, ten, to... ten abort to nasze dziecko?! – ryknął Haran Mandella, sięgając po tęgi kij, żeby rozbić tę nieczystą okropność.

Babuszka stanęła pomiędzy oburzonym mężem i mokro ciamkającą sztuczną macicą.

– Haranie Mandello, mój mężu, to jest moje dziecko, najdroższe ze wszystkiego na świecie, i jeśli choćby tkniesz ten słoć palcem bez mojej zgody, odejdę i nigdy nie wrócę.

Stanowczość dziadka Harana przygasała. Kij zadrżał w jego dłoni. Babuszka stała przed nim, mała i bojowa niczym kos. Uspokoiła go śpiewnymi słowami.

– To dziecko będzie cudowne, zobaczysz, nasze dziecko, nasza córeczka – będzie śpiewać, tańczyć, cały świat rozjaśni swoją urodą, to dziecko Harana i Anastasji Tiuriszczewy Mandellów.

Dziadek Haran odłożył kij i poszedł do łóżka. W oknie, gdzie miało je żywić światło brzasku, placentorium bekało i pulsowało.

Okazało się, że nocne eskapady Babuszki nie pozostały całkiem niezauważone. Tenebrae, odkąd usłyszeli, że Stalinowie czekają na wysyłkę zamówionych u Serca Lothian ogromnych, obrzydliwych pomrowików, nieustannie czuwali, czekając na ich atak. W noc, kiedy Babuszka zabierała do siebie blastocyt, na straży przeciwślimakowej stała Genevieve. Zobaczyła staruszkę z tobołkiem w objęciach i od razu domyśliła się z wielką i niezachwianą pewnością, co Babuszka załatwiała z Sercem Lothian. A jej własne serce zawyło i popękało z zawiści.

Genevieve Tenebrae nie ufała swojemu mężowi. Nie ufała mu, bo nie chciał jej dać dziecka, dziecka, które związałoby jej rodzinę w ścisły, gordyjski węzeł bliskości, dziecka, dzięki któremu stałaby się równa tym cholernym snobom Stalinom, którzy nie wiadomo z czego są tak dumni, skoro ich jedyny syn to wredna, humorzasta i rozpuszczona jak dziadowski bicz kupa sadła. Mając dziecko, miałyby już wszystko w życiu, ale Gaston Tenebrae nie zamierzał jej go dać.

– Dziecko, jedyne, czego chcę, to mieć dziecko, czemu ty mi go nie dasz? – dręczyła go każdego dnia, a on każdego dnia wymyślał jakąś żalosaną wymówkę, cienką warstewkę pretekstów sprowadzających się do samolubstwa, tak, czystego i prostego samolubstwa – a tu proszę, ta stara rura, ta wżeniona w Mandellów wiedźma o wyschłej macicy ma dziecko, którego sama by nie urodziła, ona zaś, z łonem płodnym jak czarnoziem z Oxusa, nie ma czego w nim zasiać, by wyrosło; to niesprawiedliwe, nic a nic, i nagle wpadł jej do głowy pewien pomysł, kiedy chowała się w kępach karłowatych krzaków matoke na straży przeciw ślimakom, wspaniałały i okropny pomysł.

Następnego dnia rano, kiedy cała osada żegnała Serce Lothian, machając jej na drogę powrotną do Porcelanowej Góry, a ta zostawiała osadzie oficjalne błogosławieństwo ROTECH-u, Genevieve Tenebrae wśliznęła się do przybudówki przy domu Mandellów, zamieszkiwanej przez Babuszkę i dziadka Harana. Placentorium pulsowało i drgało na parapecie. Podeszła do niego z niesmakiem i determinacją. Z torby wyciągnęła słoje do biologicznego podtrzymywania życia, który dał jej mężowi Rael Mandella. Parę minut obrzydzenia i rybiego smrodu – i zniknęła w chmurze pyłu i poczucia winy, z przyciśniętym do piersi słojem, w którym maleńki blastocyt fikał blade, ślepe koziołki. Żeby nie zauważyli braku zarodka, wsunęła do sztucznej macicy niedojrzałe mango.

Gdy tylko opadł kurz po odjeździe Serca Lothian, Genevieve zapukała do drzwi Maryi Quinsany.

– Dzień dobry pani – powiedziała Marya, elegancja i profesjonalna w zielonym plastikowym kombinezonie. – Prywatnie czy służbowo?

– Służbowo – odpowiedziała Genevieve. Postawiła biologiczny słoje na stole zabiegowym. – To dziecko, które zrobiła dla mnie Serce Lothian. Nie zdążyła sama mi go wszczepić, ale powiedziała, że ty zrobisz to bez problemu.

Operacja zajęła dziesięć minut. Dokończywszy kawę i karmelki, Genevieve Tenebrae przekradła się do domu, do swego małostkowego i próżnego męża. Zniknęło całe poczucie winy, usunięte sprytnymi narzędziami Maryi Quinsany. W kieszeni spódnicy grzechotała fiolka immunosupresantów, żeby nie odrzuciła zarodka; wyobrażała sobie, że już czuje, jak kradzione dziecko kopie i się wierci. Miała nadzieję, że to będzie dziewczynka. Zastanawiała się, jak powiedzieć o tym mężowi. Na pewno ciekawie będzie patrzeć na jego minę.

Rael Mandella bał się, że dzieci mu wyrosną na dzikusów. Przez trzy lata biegały niewinne i nic niewiedzące, jak kury, po całej maleńkiej osadzie. To był jedyny świat, jaki znały, rozległy jak całe niebo, a jednocześnie tak ciasno opisany, że nadaktywny trzylatek mógł wszystko obieć dookoła w niecałe dziesięć minut. Bliźniakom nigdy nawet nie przyszło do głowy, że jest jakiś świat, niebo, nawet światy ponad niebem, wszystkie pełne ludzi i historii. Pociągi, które przejeżdżały w nieregularnych odstępach, buchając parą, zawsze jechały skądś dokądś, ale na samą myśl o tym „dokądś” dzieciaki robiły się nerwowe i zakłopotane. Odpowiadał im świat mały i przytulny jak narzuta na łóżku. A jednak Rael Mandella uparł się, że powinny wiedzieć o tych innych światach. „Nauka” – tak się nazywał ten proces i wymagał poświęcenia całych poranków, które o wiele pożyteczniej można by wykorzystać na słuchanie doktora Alimantanda, miłego, ale niezbyt dobrze się komunikującego, albo pana Jericha, który wiedział o świecie tak wiele, że to było aż przerażające, albo na naukę czytania z pięknie ilustrowanych matczynych książek z obrazkami, które opowiadały o czasach, kiedy ROTECH i Święta Katarzyna budowały ten świat.

Limaal i Taasmin pozostali entuzjastycznymi dzikusami. O wiele bardziej woleli poświęcać dni na dręczenie grubego Johnny’ego Stalina za pomocą błota, wody, odchodów lub na niezrównane akrobatyczne wyczyny na słupach pomp wiatrowych. Niemniej Rael Mandella był nieugięty: jego dzieci nie wyrosną na przygarbionych niewolników łopaty, tępych jak stare kamasze. Będą mieć to, czego on nie ma. Świat będzie ich zabawką. Próbował wszczepić im ekscytację nauką, lecz ich nie wzruszył nawet Objazdowy Pokaz Edukacji Genetycznej Serca Lothian.

I tak było, dopóki do miasteczka nie przyjechała Objazdowa Edukacyjno-Rozrywkowa Ekstrawagancja Adama Blacka.

W noc poprzedzającą przybycie wielkiego showmana na wschodnim horyzoncie strzelało i iskrzyło srebrnymi i złotymi fajerwerkami. Droga Bez Znaczenia nie miała wątpliwości, że zbliża się do nich wielkie wydarzenie. Następnego dnia na partyzancką stację Drogi Bez Znaczenia wjechał pozarozkładowy pociąg, skierowany na bocznice przez Rajandrę Dasa, nieoficjalnego naczelnika stacji. Stał tam, buchając parą i grzmiąc muzyką z zamontowanych na lokomotywie głośników, podczas gdy wokół zbierali się ludzie chcący zobaczyć, co to właściwie przyjechało.

– Objazdowa Edukacyjno-Rozrywkowa Ekstrawagancja Adama Blacka – odczytał Rajandra Das krzykliwe złoto-czerwone napisy wymalowane afiszową czcionką na wagonach. Splunął na piasek. Muzyka grała dalej. Czas mijał. Robiło się gorąco. Ludzie zaczęli się męczyć czekaniem w upale. Genevieve Tenebrae omal nie zemdląca.

– Panie i panowie, chłopcy i dziewczyny, jeden i jedyny... Adam Black! – zawył osobiście mechaniczny głos.

Z wagonów opuściły się schodki. Wszedł na nie wysoki, chudy, elegancki człowiek. Nosił ciemny surdut z długimi jaskółkami i spodnie z prawdziwym złotym lampasem. Wokół szyi miał zawiązaną czarną koronkę, a na głowie nosił kapelusz z ogromnym rondem. Miał laskę ze złotą gałką, a oczy mu lśniły jak dzety. I oczywiście miał też cienki jak ołówkowa kreska wąsik. Trudno było sobie wyobrazić kogoś bardziej wyrazistego niż Adam Black. Dopilnował, żeby wszyscy mu się należycie przyjrżeli. Potem zawołał:

– Panie i panowie, widzicie przez sobą największą składnicę ludzkiej wiedzy: Objazdową Edukacyjno-Rozrywkową Ekstrawagancję Adama Blacka! Historia, sztuka, nauka, przyroda, cuda na ziemi i na niebie, dokonania nauki i techniki, opowieści o dziwnych miejscach i dalekich krainach, gdzie cuda są na porządku dziennym, wszystko to macie przed sobą. Zobaczycie na własne oczy potężne dzieła ROTECH-u, dzięki Patentowemu Optikonowi Adama Blacka; usłyszycie tajemnicze i pełne wyobraźni opowieści Adama Blacka z czterech stron świata; zachwycicie się pociągiem, tak, tym właśnie pociągiem, który sam jeździ i ma własny umysł; wytrzeszczycie oczy na Dumbletonian – pół ludzi, pół maszyny – poznacie sekrety fizyki, chemii, filozofii, teologii, sztuki i przyrody; wszystko to może należeć do was, panie i panowie, cały ten róg odwiecznej obfitości, za jedyne pięćdziesiąt centawo, tak jest,

pięćdziesiąt centawo lub równowartość w wybranym przez was towarze, tak, panie i panowie, chłopcy i dziewczyny. Oto Adam Black przedstawia swoją Objazdową Edukacyjno-Rozrywkową Ekstrawagancję!

Roztańczony dandys zwinnie postukał laską w burtę czerwono-złotozielonego wagonu i lokomotywa wypuściła pięć kółek z pary, jedno w drugim, oraz zagrała marsza, tak głośno, że pękały bębunki.

Adam Black otworzył drzwi do swego świata cudów nauki i omal nie został odepchnięty na bok, gdy do środka rzucili się Rael Mandella i jego uparte dzieciaki żądne kształcenia. Sekrety fizyki, chemii, filozofii, sztuki i przyrody Limaala i Taasmin nie zainteresowały. Ziewali na widok Dumbletonian – pół ludzi, pół maszyny – wiercili się z nudów, gdy skomputeryzowany pociąg, który ma swój umysł, próbował wciągnąć ich w rozmowę, gadali i chichotali na ilustrowanym odczycie Adama Blacka o cudach świata przyrody. Natomiast potężne dzieła ROTECH-u, widziane przez Patentowy Optikon Adama Blacka, sprawiły, że oczy wyszły im z orbit.

Siedzieli w wagonie, na twardych plastikowych krzeselkach. Limaal odkrył, że skrzypią, kiedy kołysał się na nich w przód i w tył, więc to właśnie robił, kiedy w wagonie nagle zapadła ciemność całkowita jak śmierć. Z tyłu rozległy się krzyki, z miejsca, gdzie bracia Gallacelli siedzieli za Persis Tatterdemalion. Potem rozległ się głos: „Kosmos – ostatnia granica” i nagle wagon wypełnił się polatującymi świetlnymi iskierkami. Bliźniaki próbowały je łapać, jednak świetliste pyłki przenikały im przez palce. Wirująca galaktyka spiralna przepłynęła Limaalowi przez pierś. Zamachnął się na nią, ale przeleciała przez tył wagonu. Ze świetlistej galaktycznej sieci wydzielila się gwiazda, zwiększając jasność i wielkość, aż zaczęła rzucać na ściany wyraźne cienie.

– Nasze słońce – powiedział Adam Black. – Zbliżamy się do naszego Układu Słonecznego z symulowaną prędkością dwadzieścia tysięcy razy większą od prędkości światła. Kiedy wejdziemy do środka układu, zwolnimy, byście mogli dostrzec piękno planet. – Gwiazda stała się teraz odległym Słońcem. Przed nią w statecznym walcu przemieszały się planety, procesja kul i pierścieni. – Mijamy zewnętrzne światy, chmurę komet, która okala nasz układ, tu widzicie daleką Nemezis, słabą towarzyszkę naszego Słońca, tu jest Avernus, tutaj Charon; Posejdon, to jest Uran i jego pierścienie, Kronos, także z pierścieniami, a tu Zeus, największy ze światów, gdyby nasz świat, który widzicie teraz, za pasem skalistych asteroid, obrać jak pomarańczę i rozpląszczyć na powierzchni Jowisza, wydawałby się nie większy niż półdolarówka... oto nasz świat,

nasz dom, do niego wrócimy za moment, ale najpierw złożymy przelotną wizytę błyszczącej Afrodycie i maleńkiemu Hermesowi, leżącemu najbliżej Słońca, zanim na koniec skupimy się na Macierzystym Świecie, z którego pochodzą wszyscy mieszkańcy naszego.

Świetlny punkt na skraju pomieszczenia rozrósł się w układ dwóch wielkich światów, jednego jak martwa biała czaszka, drugiego jak opalowo-błękitna kula, nakrapiana mlecznobiało jak szklana kulka do gry. Martwy biały świat-czaszka odsunął się poza publiczność i bliźniaki odkryły, że unoszą się nad niebieskim światem-łonem, niczym dwa umorusane serafiny Panarchy. Zobaczyły, że ten żywy błękitny świat opasuje srebrna pętla, której rozmiary wymykały się wyobraźni. I znów ogniskowa obrazu zmieniła się, wyostrając cieniutkie szprychy, jak rowerowe, łączące świat pętli ze światem kuli.

W małej salce było aż gęsto od podziwu. Bliźniaki siedziały cicho i nieruchomo. Przeróżające rzeczy na niebie pozbawiły je wszelkiej chęci do ruchu. Adam Black kontynuował wykład:

– Widzicie przed sobą Ojczysty Świat, planetę, z której wywodzi się nasza rasa. To jest stary, niewiarygodnie stary świat. Na naszym świecie ludzie żyją od zaledwie siedmiuset lat, z czego większość przybyła w ciągu niecałych stu ostatnich, po zakończeniu humanformacji. Natomiast na Ojczystym Świecie są cywilizacje, które liczą sobie wiele tysięcy lat. – Błękitny Ojczysty Świat obracał się pod wszechwiedzącym spojrzeniem bliźniąt. Gdy jego przesłonięte chmurami lądy przemieściły się w noc, ożyły dziesiątkami milionów milionów światła w pokrywających całe kontynenty miastach. – Stary, stary świat – wyśpiewał Adam Black, hipnotyzując publiczność. – Stary i zużyty. I zatłoczony. Bardzo. Nawet sobie nie wyobrażacie jak.

Limaal Mandella chwycił się ojca w strachu, bo wyobrażał to sobie aż za dobrze. Widział wszystkich tych nagich, łysych ludzi, stłoczonych jeden przy drugim, żywy, oddychający dywan ciał przykrywający wzgórza, góry, równiny, aż po brzeg morza. Tam ludzie stali po pas w wodzie, zepchnięci przez napór ciał, spychani coraz głębiej przez wiecznie rosnącą maltuzjańską masę, aż woda zamknęła im się nad głowami. Wyobraził sobie, jak ten ociążały glob pełen eksplodujących ciał spada z nieba, bo jest za ciężki i miażdży go swoim ciężarem.

– Ludność jest tam tak liczna, że lądy dawno się zapełniły i nawet wielkie miasta pływające po oceanach nie są w stanie pomieścić więcej. Dlatego ludzie musieli wspiąć się po tych szprychach, tych windach

orbitalnych, by żyć w pierścieniowym mieście zbudowanym w kosmosie nad światem, gdzie energii i surowców jest aż nadto.

Projekcja zogniskowała się teraz na tej srebrnej pętli, która rozrosła się do niepokojącej plątaniny geometrycznych kształtów wyrastających jeden z drugiego jak kryształy. W zbliżeniu i uwidoczniły się szczegóły tych geometrycznych kształtów, wielkich jak całe miasta: rury, kule, wachlarzowate formacje i dziwne wypukłości, sześciiany i przekrzywione trapezoidy. W jeszcze większym zbliżeniu było widać przezroczyście dachy, a pod nimi krzątające się i uwijające postacie małe jak bakterie.

Taasmin Mandella miała zaciśnięte z całej siły powieki i przyciskała do nich piąstki. Limaal, po drugiej stronie ojca, siedział z rozdziawionymi ustami, zanihilowany tą wiedzą.

– To miasto nazywa się Metropolis – powiedział Adam Black. Pan Jericho jednocześnie bezgłośnie wypowiedział tę samą nazwę. Na wpeł obawiał się, że pod tą wielką przezroczystą kopułą zobaczy samego siebie, siedzącego u stóp paternostra Augustine'a. – Mimo że jest ogromne, liczba mieszkańców rośnie tak szybko, że maszyny rozbudowujące je w każdej godzinie każdego dnia nie nadążają za tym przyrostem. A teraz żegnamy się z Ojczystym Światem... –

błękitnoopalowy glob, z metalową obręczą i satelitą jak biała czaszka, rozdymany bilionami ludzi, skurczył się do odległej kropki – ...i skupiamy uwagę bliżej nas.

Teraz przed oczyma bliźniaków nabrzmiała ich ziemia i zobaczyły jej znane z atlasu śnieżne bieguny, błękitne zamknięte wśród lądu morza, zielone lasy, żółte równiny i wielkie czerwone pustynie. Spojrzały z góry na Olympus Mons, tak wysoką, że jej szczyt wznosił się ponad najwyższe śniegi, na pełną ruchu krainę Doliny Marinerów, gęstą od miast i miasteczek. Gdy ich ziemia się przybliżyła, zobaczyły lśniący pierścień księżycowy i w tym momencie oko wyroczni zatrzymało się, wypełniając pokój niezrozumiałymi, pływającymi w przestrzeni kształtami. Niektóre były tak wielkie, że przelot zajmował im wiele minut, inne były małe i koziółkowały, a jeszcze inne były ruchliwe jak owady i polatywały w polu widzenia zajęte swymi owadzimi sprawami – ale wszystkie miały gdzieś na sobie logo ROTECH-u.

– Patrzcie, państwo, oto siły, które ukształtowały nasz świat i sprawiły, że nadaje się do zamieszkania dla ludzi. Tysiąc lat temu pewni mądrzy ludzie, święci mędrzy bez wątpienia, przewidzieli to, co właśnie oglądaliście na własne oczy: że Ojczysty Świat nie pomieści wszystkich ludzi, którzy się na nim pojawią. Trzeba znaleźć inne światy, jednak

wszystkie pobliskie są martwe i bez życia, nawet ten. Tak, nasza ziemia była martwa jak ta biała czaszka, którą widzieliście ledwie parę minut temu. Zwrócili się więc do rządów wielu państw Ojczystego Świata i utworzyli ROTECH, Remote Orbital Terraforming and Environmental Control Headquarters, po czym uzbrojeni w całą naukę i technikę swej epoki, trudzili się przez siedemset lat, aby uczynić tę ziemię zdatną dla ludzi.

Przez salkę przepłynął wielki asymetryczny przedmiot, usiany maleńkimi świecącymi okienkami i podpisany tą świętą nazwą, której litery musiały mieć po dwieście metrów wysokości. Wokół niego bzyczały zaaferowane, uwijające się maleńkie muszki. Limaal Mandella aż podskakiwał w ekscytacji na krześle, widząc te niebiańskie kształty.

– Siedzieć grzecznie – zasyczał ojciec.

Zerknął na swoją matkę, szukając, z kim by tu się podzielić całą tą ekscytacją, lecz Eva Mandella miała na twarzy wypisane niezrozumienie. A jego siostra siedziała z wytrzeszczonymi oczyma i twarzą bez wyrazu jak u świętego na obrazku.

– Widzicie tu niektóre z orbitalnych urządzeń, za pomocą których ROTECH utrzymuje delikatną równowagę środowiska na naszym świecie. Niektóre maszyny służą do sterowania pogodą, te mają podczerwone lasery podgrzewające obszary powierzchni planety, by wygenerować różnice ciśnienia, a tym samym wiatry. Inne to superrdzenie magnetyczne, induktory wytwarzające silne pole magnetyczne chroniące nasz świat przed naładowanymi cząsteczkami słonecznymi i promieniami kosmicznymi. Jeszcze inne to wany, orbitalne lustra, z braku księżyców rozjaśniające ciemne noce, albo orfy, bezpośrednio pracujące nad tym światem, jeszcze teraz zapładniające życiem jałowe części ziemi, albo holowniki, które przyciągają bryły kometarnego lodu z tego obłoku, który wcześniej widzieliśmy na obrzeżach układu, i wprowadzają go do naszego świata, by zachowywał równowagę hydrostatyczną; jeszcze inne to akceleratory cząstek, bronie o potwornej sile niszczącej, którymi ROTECH może obronić ten kruchy świat przed atakiem z... daleka. Było ich wszystkich kiedyś o wiele więcej, ale razem z ROTECH-em rozpoczęły pracę nad większymi wyzwaniem – nad ujarzmieniem piekielnego świata, który nazywamy Afrodytą, choć właściwsze jest jego poprzednie imię, Lucyfer, czy nad zazielenieniem bezpowietrznego księżycy Ojczystego Świata. A teraz popatrzcie na to...

I dzieciakom wydało się, że śmignęły niczym wielki kosmiczny ptak nad ramieniem świata i zobaczyły daleko poza księżycowym pierścieniem, że do ich świata zbliża się coś gigantycznego, coś jakby wielokilometrowy motyl, coś tak olbrzymiego i skomplikowanego w konstrukcji, że wymykało się wyobraźni. Obróciło się powoli, tak że błysnęło w słońcu i bliźniaki oraz wszyscy inni wokół zatchnęli się, gdy nagle rozświetliły się trzy miliony kilometrów kwadratowych żagla.

– Żagle tak wielkie, że dałoby się nim owinać ten świat – szepnął Adam Black, a potem dramatycznie podniósł głos, deklamując: – Żaglowiec Praesidium przybijający do orbitalnego doku ROTECH-u. Rok i dzień temu wyruszył z Metropolis, mając w ładowniach jeden i trzy czwarte miliona śpiących w hibernacji kolonistów. Teraz ich podróż dobiegła końca. Przybyli na nasz świat. Będzie im się wydawał dziwnym, postawionym na głowie, cudacznym miejscem, tak samo jak ojcom ojców naszych ojców i matkom matek naszych matek. Niektórzy z nich umrą, inni wrócą do domu, jeszcze inni upadną na dno naszego społeczeństwa, lecz większość, kiedy wyląduje w miastach-rozdzielniach, Touchdown, Bleriocie i Belladonnie, popatrzy dobrze na ten świat i pomyśli, że znalazła się w raju.

Bezcielesny punkt widzenia zanurkował ku ziemi, w dół, w dół, aż wydawało się, że Limaal i Taasmin zaraz się o nią roztrzaskają. Kostki rąk zbieleły, Babuszka wrzasnęła. Zapaliły się lampy. W snopach światła polatywały pyłki kurzu. Adam Black wszedł w światła i powiedział:

– Na tym kończy się nasza wycieczka po cudach nieba i ziemi. Bezpiecznie powracacie na dobrze wam znaną *terra firma*.

Na końcu wagonu otworzyły się drzwi, wpuszczając do środka zapyłone światło dzienne. Wychodzący na popołudniowe słońce ludzie nic nie mówili.

– No i co o tym myślicie? – zapytał swoje dzieci Rael Mandella.

Nie odpowiedziały. Były pogrążone we własnych myślach.

Głowę Limaala Mandelli wypełniały spadające planety brzemienne ludzkością, kręcące się świetliste koła o średnicy wielu tysięcy kilometrów, pełne z pozoru anarchicznych kształtów, które jednak sprawiały, że wszystko w tym świecie chodzi jak w naoliwionym zegarku. Racjonalna część jego jaźni sięgała i przyjmowała wszystko, co widział. Rozumiał, że zarówno świat ludzki, jak i materialny działa według pewnych fundamentalnych zasad i jeśli te zasady da się poznać, to poznawalne są także wszelkie światy materii i umysłu. Zaakceptował ten Wielki Projekt i widział go teraz powielony w miniaturze wszędzie, gdzie

spoczął jego wzrok. Wszystko było zrozumiałe, wszystko było wytłumaczalne; nie było żadnych tajemnic i wszystko było zorientowane do wewnątrz.

Taasmin Mandella podobnie widziała cuda na ziemi i niebie, lecz wybrała wśród nich ścieżkę mistyczną. Zobaczyła, że wszystkie porządki organizacji służą wyższym porządkom, a te wyższe porządki z kolei wykonują rozkazy jeszcze wyższych rzędów, potężniejszych i wspanialszych inteligencji – i ta spirala świadomości pnie się ku szczytowi, na którym zasiada Bóg Niepoznawalny Wszechwładca, Niewymowny i Milczący jak Światło, którego planów można się jedynie domyślać z objawień, jakie puszcza w dół tej spirali świadomości niczym kropelki słodkiego likieru. Wszystko było dla niej zorientowane w górę albo w dół.

Rael Mandella nie mógł wiedzieć, co uczynił swoim dzieciom, ani w chwili ich narodzin, gdy obdarzył je rodzinną klątwą, ani teraz, gdy nasiono tej klątwy wykiełkowało, podczas holograficznego seansu Adama Blacka. Dzieciaki wyglądały na zachwycone. Może dowiedziały się czegoś wartościowego. Jeśli zakorzeni się w nich ta miłość do nauki, dwa buszle truskawek i kura, które zainwestował w ich edukację, mogą się bardzo opłacić.

Wieczorem w piątek 21 wrzesierpnia, za dwadzieścia dwudziesta, pośrodku jednej z niekończących się ich gier słownych, w momencie, kiedy dziadek Haran już miał położyć słowo „zoomorfy” na potrójnej premii słownej, Babuszka zerwała się i wykrzyknęła:

– Już czas! Już czas! Moje dziecko, och, moje dziecko!

Wbiegła do pokoju, gdzie dzień za dniem, godzina za godziną, od dwustu osiemdziesięciu dni, siedmiu tysięcy pięciuset dwudziestu godzin, pulsowało, pompowało i nabrzmiawało placentorium, wielka bryła sinoczerwonego mięsa.

– Co takiego, mój kwiatuszku?! – zawołał dziadek Haran. – Co się dzieje?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, pobiegł za nią i zobaczył, że żona stoi wpatrzona w placentorium, zakrywając usta rękoma. Sztuczna macica pulsowała i kurczyła się, wypełniając pokój paskudnym odorem zgnilizny.

– Już czas! – paplała Babuszka. – Moje dziecko dojrzało! Nasze dziecko. Och, Haranie! Mężu!

Dziadek Haran zaciągnął się ohydny smrodem. Z placentorium wyciekła strużka czarnej cieczy, brudząc płyn odżywczy. Jego serce ścisnęło przeczucie wielkiego zła.

– Wyjdź – rozkazał Babuszce.

– Ależ, Haranie... nasze dziecko! Ja, matka, muszę być przy dziecku! – I sięgnęła na parapet po nabrzmiące obrzydlistwo.

– Wyjdź! Ja, twój mąż, rozkazuję ci!

Dziadek Haran chwycił żonę za ramiona, odwrócił i wypchnął za drzwi, które zamknął za nią na zasuwę. Ze spazmującego placentorium dobywały się teraz paskudne beknięcia. Haran podszedł do niego

z obawą. Postukał w ślój. Placentorium wydało przenikliwy gwizd, jakby uchodził z niego gaz pod wysokim ciśnieniem. Na powierzchni cieczy w słoju zabulgotały bąbelki i pękły, uwalniając dławiący smród. Dziadek Haran zakrył usta i nos chusteczką i dźgnął macicę ołówkiem. Placentorium skurczyło się i z przeraźliwym beknięciem wypluło w powietrze parszywą szarą maź, plunęło strugami czarnego paskudztwa, przerywając je spazmatycznymi pierdnięciami, potem pękło na pół i zdechło. Wstrzymując oddech, żeby nie wymiotować, dziadek Haran pogrzebał ołówkiem w rozkładających się szczątkach. Nie było śladu, by kiedykolwiek było tam dziecko. Znalazł natomiast parę zgniłych czarnych resztek czegoś, co wyglądało jak skórka od mango. Upewniony, że nie ma żadnego dziecka, żywego czy martwego, wyszedł z pokoju i zamknął go za sobą na klucz.

– Zdarzyło się tam dzisiaj coś potwornego i bluźnierczego – powiedział do żony. – Póki ja żyję, nikt do tego pokoju nie wejdzie. – Poszedł do drzwi frontowych i cisnął klucz jak najdalej w ciemność.

– Ale dziecko, Haranie, moje dziecko, ono żyje, umarło? – Babuszka przełknęła ślinę. – Czy jest... człowiekiem?

– Tam nie było żadnego dziecka – odparł dziadek Haran, patrząc przed siebie. – Serce Lothian nas oszukała. Macica była pusta. Całkiem pusta. – I zaraz złamał przysięgę, którą żona złożyła za niego, i poszedł do B.A.R-u Persis Tatterdemalion, żeby się konkretnie napić.

Dokładnie w tej chwili, w której Babuszka zrywała się, porzucając grę, Genevieve Tenebrae poczuła przeszywający ból. Wydała cichy, płaczliwy jęk i wiedziała, że już czas.

– Najdroższa, coś się stało? – zapytał Gaston Tenebrae ze swojego krzesła przy kominku, gdzie co wieczór siadywał, paląc sziszę i snując marzenia o zdradzie małżeńskiej.

Genevieve poczuła kolejny skurcz.

– Dziecko – powiedziała. – Ja rodzę.

– Dziecko? – zdziwił się Gaston Tenebrae. – Jakie dziecko?

Genevieve uśmiechnęła się przez ból. Właśnie z myślą o tej wspaniałej chwili przez dziewięć miesięcy ukrywała ciążę.

– Twoje dziecko – szepnęła. – Ty próżny idioto.

– Co takiego?! – ryknął Gaston, oddalony o tysiąc kilometrów, wysoki i bezsensowny jak mokra trzcina.

– Raz się zapomniałeś, mężu. Twoje dziecko... którego mi odmawiałeś... i odmawiałeś... i kazałeś mi czekać... więc czekałam... a teraz... już koniec czekania. – Sapnęła, czując nowy skurcz. Gaston

Tenebrae podskakiwał i trzepotał rękami jak mały, żaloszny ptaszek w szklarni. – Prowadź mnie do Quinsany... do Maryi Quinsany.

Zebrała resztki godności i skierowała się do drzwi. Tam ogarnęła ją najsilniejsza jak dotąd fala skurczów.

– Pomóż mi, ty nieczuła świnió – jęknęła i Gaston podszedł i poprowadził ją przez zimną, ciemną noc do Kliniki Dentystyczno-Weterynaryjnej Maryi Quinsany.

Widziana przez znieczuleniowe otępienie twarz Maryi Quinsany wydawała się Genevieve podobna do pyska lamy. Ta uporczywa myśl krążyła w nadprzewodzących obwodach jej umysłu, póki nie włożono jej w ramiona opakowanego jak prezent noworodka i o wszystkim nie zapomniała.

– Nie było to dużo trudniejsze niż w przypadku kozy – powiedziała Marya Quinsana, uśmiechając się swoją twarzą lamy. – Ale pomyślałam, że na wszelki wypadek cię znieczulę.

– Gaston. Gdzie Gaston? – zapytała Genevieve Tenebrae.

Twarz męża, z kozią bródką, nachyliła się ku niej.

I powiedziała do niej konfidencjonalnym szeptem:

– Pomówimy, jak będziemy sami.

Genevieve Tenebrae uśmiechnęła się, uznając męża za coś równie ważnego jak denerwująca mucha. Liczyło się dziecko w jej objęciach, jej dziecko. Czyż nie urodziła go sama, nie nosiła pod sercem przez dziewięć miesięcy, nie miała go w sobie przez prawie pół roku?

– Arnie Nicolodea – wyszeptała. – Mała Arnie.

Kiedy wieść o niespodziewanych narodzinach trzeciego rodowitego obywatela Drogi Bez Znaczenia dotarła do B.A.R-u, Persis Tatterdemalion ogłosiła, że wszyscy piją za darmo i nastąpiła wielka fala toastów i życzeń, od wszystkich z wyjątkiem dziadka Harana, do którego nad ranem dotarło, co mu zrobiono. A także, że nigdy nie będzie w stanie niczego udowodnić.

– Czy to nie dziwne, że para, która chciała dziecka, go nie ma, a para, która nie chciała, ma? – stwierdził Rajandra Das, nabrawszy elokwencji po kukurydzianym piwie i winie z hotelowego fermentorium.

Wszyscy uznali, że to świetne i zwięzłe podsumowanie.

Rajandra Das kiedyś mieszkał w norze pod Dworcem Głównym w Południku. I dalej mieszkał w norze, tylko że pod Wielką Pustynią. Rajandra Das był kiedyś księciem rynsztokowych szczurów, meneli, żebraków, złodziejasków, gundów i żuli. I nadal był księciem rynsztokowych szczurów, meneli, żebraków, złodziejasków, gundów i żuli. Nie było nikogo, kto konkurowałby z nim o ten tytuł. Zbyt leniwy, żeby uprawiać ziemię, żył ze swego talentu i łaskawości sąsiadów, wyczarowując z ich zepsutych kultywatorów i uszkodzonych siłowników do śledzenia słońca nowe pokłady sił albo pomagając Edowi Gallacelliemu w konstruowaniu mechanicznych urządzeń o niewielkiej wartości praktycznej, z wyjątkiem zagospodarowywania nadmiaru czasu. Raz naprawił lokomotywę Kolei Bethlehem Ares, klasy 19, pamiętał; z trudem dotoczyła się do Drogi Bez Znaczenia ze źle wyregulowanym tokamakiem. Poczuł się jak za dawnych czasów. W przypiływie nostalgii omal nie poprosił maszynistów, żeby go przewieźli – do Mądrości, pięknego marzenia w jego sercu.

A potem pomyślał o ochroniarzu, który wyrzucił go z pociągu, o kopniakach, udrękach i ciężkiej pracy, którą będzie musiał znosić podczas takiej podróży. Droga Bez Znaczenia jest spokojna, daleko od wszystkiego, jest wygodna, a owoce zrywa się prosto z drzewa. Nie, na razie tu jeszcze zostanie.

Podczas przesilenia zimowego, gdy słońce stało nisko nad horyzontem, a czerwony pył lśnił szronem, do miasteczka ponownie przyjechał Adam Black. Jego przyjazd był dla zmęczonej zimą rolniczej społeczności niczym nadejście wiosny.

– Chodźcie, chodźcie, chodźcie! – wydarł się. – Objazdowa Edukacyjno-Rozrywkowa Ekstrawagancja Adama Blacka raz jeszcze... – (tu dla podkreślenia walnął laską o złotej gałce w mały drewniany klocek) – ...przedstawia państwu cuda z czterech stron świata w zupełnie nowym – (łup, łup) – pokazie! W którym dla waszej przyjemności i zachwytu, panie – (łup) – panowie – (łup) – chłopcy – (łup) – i dziewczyny – (łup) – wystąpi po raz pierwszy na tym świecie rewelacja, najprawdziwszy anioł z Królestwa Glorii! Przejęty z Niebiańskiego Cyrku, prawdziwy, autentyczny, stuprocentowo oryginalny anioł. – (Łup, łup!). – Tak, chodźcie, dobrzy ludzie, jedyne pięćdziesiąt centawo za ten epokowy cud, pięćdziesiąt centawo, dobrzy ludzie, czy naprawdę możecie sobie pozwolić na to, by nie zobaczyć tego jedyne w swoim rodzaju fenomenu? – (Łup, łup?). – Gdybyście byli tak uprzejmi i ustawili się ładnie w kolejce, dziękuję... proszę się nie przepychać, czasu wystarczy dla wszystkich.

Rajandra Das spóźnił się na pokaz. Spał sobie smacznie przy ogniu, kiedy przytoczył się pociąg z Ekstrawagancją i wskutek tego musiał przez ponad godzinę stać na zimnie, zanim przyszła jego kolej.

- Tylko pan jeden? – zapytał Adam Black.
- Nikogo więcej nie widać.
- No to pięćdziesiąt centawo.
- Skąd u mnie pięćdziesiąt centawo. Mogą być dwa plastry miodu?
- Dwa plastry miodu mogą być. Pięć minut.

W wagonie było ciepło. Okna zasłaniały czarne kotary, które szeleściły poruszane gorącym powietrzem z wentylatorów. Pośrodku wagonu stała wielka, ciężka i solidna stalowa klatka, bez żadnych drzwiczek ani zamków. Na trapezie zwieszającym się ze szczytu klatki siedziała melancholijna istota, którą Rajandra Das miał uznać za anioła, choć nie był to anioł, o jakim się uczył jako dziecko, na pobożnym kolanie kochanej świętej pamięci matki.

Twarz i korpus miał nadzwyczajnie pięknego młodego mężczyzny. Ręce i nogi były z nitowanego metalu. W barkach i biodrach ciało przenikało się z metalem, bez wyraźnej granicy. Rajandra Das widział, że to nie jest po prostu człowiek połączony z protezami. To było coś zupełnie innego.

Anioła otaczała świetlista niebieska aura, będąca jedynym światłem w czarnym, ciepłym wagonie.

Rajandra Das nie miał pojęcia, jak długo stał i wytrzeszczał oczy, póki anioł nie wydłużył nóg do cienkich szczudeł i nie zszedł z trapezu. Złożył

je teleskopowo, wracając do ludzkiego wzrostu i przycisnął twarz do prętów, oko w oko z wytrzeszczonym Rajandram Dasem.

– Skoro masz tylko pięć minut, sugeruję, żebyś mnie o coś zapytał – powiedział ekscytującym kontraltem.

To wyrwało go ze zdumienia.

– Ojjj! – powiedział Rajandra Das. – Co z ciebie właściwie za stworzenie?

– To zwykle jest pierwsze pytanie – powiedział blaszany anioł ze znużeniem niezmiennie od lat rutyny. – Jestem aniołem, serafinem z Piątego Szeregu Niebiańskich Zastępów, służą Błogosławionej Pani z Tharsis. A teraz, czy chcesz, żebym prosił o coś Panią Naszą, w imieniu twoim czy innych, albo przekazał wiadomość ukochanej osobie za woalem śmierci? Takie zwykle jest drugie pytanie.

– Tym razem nie – odparł Rajandra. – Każdy głupi widzi, że nie przekażesz nigdzie żadnej wiadomości, przynajmniej, póki siedzisz w tej klatce i występujesz u Adama Blacka. Nie, ja chcę wiedzieć, co z ciebie właściwie za anioł, bo mnie zawsze uczyli, że anioły to kobiety z długimi włosami, pięknymi skrzydłami, w świecących sukienkach i tak dalej.

Anioł wydał usta lekko urażony.

– Żadnej godności w tych czasach. No, to jest trzecie pytanie większości śmiertelników. Po tym, jak przepuściłeś pytanie numer dwa, spodziewałem się po tobie czegoś lepszego.

– No to może dla odmiany byś odpowiedział, co?

Anioł westchnął.

– Patrz, śmiertelniku.

Z jego pleców rozwinęły się dwa komplety łopatek składanych wirników. Klatka była za mała, żeby mogły się rozprostować i obwisłe łopaty przydawały aniołowi jeszcze bardziej żalosnego i bezcelowego wyglądu.

– To skrzydła. A jeśli chodzi o płęć...

Aureola anioła zamigotała. Po jego cielesnych częściach zaczęły przesuwać się dziwne wypukłości. Rysy twarzy roztopiły się i spłynęły jak deszczówka z dachu. Podskórne wzgórki skupiły się, zestaliły, tworząc nowy obraz rysów.

Rajandra Das gwizdnął z podziwem.

– Niezłe cycki. Czyli jesteś jednym i drugim.

– Albo żadnym – powiedział anioł i powtórzył sztuczkę z roztapianiem twarzy, przemieniając się w nadzwyczaj piękną młodą osobę nieokreślonej płci. Teraz, określane wbrew urodzie rodzajem nijakim,

schowało łopaty wirników z powrotem w plecach i uśmiechnęło się niepokieszone.

Rajandra Das poczuł w sercu ukłucie współczucia. Wiedział, jak to jest być gdzieś nie z własnej woli. Wiedział, jak to jest, kiedy życie ci daje popalić.

– Coś jeszcze, śmiertelniku? – zapytał ze znużeniem anioł.

– Ej, stary, no weź się tak nie obrażaj. Jestem po twojej stronie, naprawdę. Powiedz mi, jak to jest, że ty nie możesz pstryknąć małym palcem i rozwalić tej klatki? Mnie uczyli, że anioły to dość potężne stwory.

Anioł nachylił się konfidencjonalnie do prętów klatki.

– Ja jestem tylko aniołem z Piątego Szeregu Niebiańskich Zastępów, a nie jakąś grubą rybą jak FARIOSTER czy TELEMEGON – to są najnowsze modele; Pierwsze Szeregi, archangielskie, one mogą zrobić, co tylko zechcą, ale my jesteśmy z tych pierwszych, my byliśmy prototypami, potem Nasza Pani ulepszała konstrukcję z każdym kolejnym modelem, w Awatach, Lorarchach, Szerafach, Archangielskach.

– Zaraz, zaraz, to ty mówisz, że jesteś skonstruowany?

– Wszyscy jesteśmy, śmiertelniku, w ten czy inny sposób. Ale chodzi o coś innego – my, anioły, jesteśmy na energię słoneczną, dlatego właśnie Adam Black trzyma tę klatkę w ciemności, żeby nie nagromadził dość energii, by uwolnić się z tych prętów. Chociaż... – dodał ze smutkiem – ...jesteśmy stworzone głównie do latania, nie do walki; większość mojej siły idzie na napędzanie wirników.

– A jakbym rozsunął wszystkie zasłony?

– To przyjdzie Adam Black i zasunie je z powrotem. Dzięki za tę myśl, śmiertelniku, ale, żeby odzyskać pełną anielską moc, potrzebowałbym ze trzech tygodni ciągłego słońca.

Adam Black wetknął głowę przez drzwi i powiedział:

– Koniec czasu. Proszę wychodzić. – I spojrzał surowo na anioła. – Znowu cały czas gadasz? Mówiłem ci, że ma być krótko.

– Ej, zaraz, po co ten pośpiech? – zaprotestował Rajandra Das. – Po mnie nikogo już nie ma, a właśnie mamy ciekawą fazę w rozmowie. Jeszcze minutę, dobra?

– No dobrze. – Adam Black wycofał się, by przeliczyć zarobek – sześć dolarów pięćdziesiąt centawo, kurę, trzy butelki groszkowego wina i dwa plastry miodu.

– Słuchaj, powiedz coś więcej – powiedział Rajandra Das. – Na przykład, jak w ogóle wylądowałeś w tej klatce.

– Przez nieuwagę. Byłem w Zaszczynym Orszaku Błogosławionej Pani, urządzaliśmy paradę nad jakąś dziurą za dziesięć centawo na Wielkich Równinach. Nazywała się Francuz. Robimy takie rzeczy od czasu do czasu, coś jak wielka cyrkowa parada, żeby śmiertelnicy pamiętali o wyższych rzeczach, kto ten świat stworzył, i tak dalej, a poza tym Błogosławiona Pani ma teraz tę nową strategię bezpośredniej interwencji wśród istot organicznych. No, w każdym razie impreza była spora, Wielkie Moce, Dominia, Duchowa Menażeria, Wielki Niebieski Plymouth, Jeździec na Wielogłowej Bestii i tak dalej, zanim to wszystko przeszło, trwało prawie cały dzień. Ja byłem w ostatniej fali i musiałem tyle czekać, że strasznie się już nudziłem, a znudzone anioły robią się nieuważne. I chwilę potem wleciałem prosto w kable wysokiego napięcia stacji łącza mikrofalowego. Oszło mi. Poleciały mi bezpieczniki. Straciłem przytomność. Śmiertelnicy mnie odcięli, wsadzili mnie do tej klatki w piwnicy i karmili plackami kukurydzianymi i piwem. Wyobrażasz sobie, jak to jest być aniołem-alkoholikiem? W kółko im powtarzałem, że jestem na energię słoneczną, ale w ogóle nie docierało. Śmiertelnicy zaczęli się zastanawiać, co właściwie im przyjdzie z anioła z Niebiańskich Zastępów, i wtedy pojawił się Adam Black i kupił mnie razem z klatką za piętnaście złotych dolarów.

– No a czemu nie próbowałaś uciec? – zasugerował Rajandra Das, któremu po głowie chodziły złe myśli.

– Nie ma zamka. Jeśli chodzi o mechanizmy, to my jesteśmy w tym dobrzy. Otworzyłbym każdy zamek, który by tu był, ale Adam Black zna się na hagiografii, więc kiedy odzyskałem siłę i poodrastały mi obwody, zaspawał drzwiczki.

– To słabo – powiedział Rajandra, mając w pamięci doły pod dworcem w Południku. – Nikt nie powinien przez pomyłkę siedzieć w klatce.

Anioł wzruszył wymownie ramionami. Adam Black znów wetknął głowę przez drzwi.

– No dobra, teraz to już naprawdę koniec. Poważnie mówię. Chcę już zamykać.

– Pomóż mi – szepnął desperacko anioł, ściskając grube na palec pręty. – Możesz mnie stąd wydostać, ja to wiem, widzę to w twoim sercu.

– To już chyba będzie pytanie numer pięć – powiedział Rajandra Das i odwrócił się, żeby wyjść z ciemnego wagonu. W tym samym momencie wyciągnął z kieszeni swój wojskowy scyzoryk o wielu ostrzach, ukradziony ze sklepu Narzędzia Specjalistyczne Krishnamurti. Ukrył go we wnętrzu dłoni i podał dyskretnie aniołowi.

– Schowaj to – wyszeptał, nie poruszając ustami. – A jak się uwolnisz, obiecaj mi, że zrobisz dwie rzeczy. Po pierwsze, nie wracaj tutaj. Nigdy. Po drugie, wspomnij o mnie Błogosławionej Pani, kiedy ją zobaczysz, bo to dzięki niej jestem dobry dla maszyn, a maszyny są dobre dla mnie. – Ukradkowy gest zmienił się w machanie na pożegnanie.

Adam Black już czekał z kluczem w drzwiach.

– Niezły ten twój pokaz na bogu – rzucił Rajandra Das. – Powiem ci jedno, po tym to trudno będzie czymś nas zaskoczyć. Co tam masz na jutro przygotowane, Świętą Katarzynę w klatce? – Puścił oko do showmana. I wydało mu się, że już słyszy zgrzyt metalu o metal.

Tego ranka, gdy przyszedł ROTECH, pojawił się w świecie najpierw jako tępe brzęczenie w snach ludzi, potem wypełził z nich jako basowa pulsacja. Pobudziła wszystkich i dopiero wówczas do nich dotarło, że to nie był jakiś zbiorowy senny koszmar, że ten hałas był obiektywnym zjawiskiem, tak realnym i obiektywnym, że w domach grzechotały od niego wszystkie luźne przedmioty, a talerze spadały z półek i się tłukły.

– Co to jest, co to jest? – pytali się nawzajem, przebierając się wienne ubrania, przerzucając się zabobonnymi stwierdzeniami o apokalipsie, Armagedonie, wybuchach atomowych, międzyplanetarnej wojnie lub niebie spadającym im na głowy.

Dygot nasilił się tak, że zaczął im nawet wypełniać miejsce pod czaszką. Trząsł skałami pod ich nogami, trząsł kośćmi pod skórą, trząsł niebem i ziemią, strząsał ludzi ze schodów i wytrząsał przez drzwi frontowe, żeby zobaczyli, co się dzieje.

Nad Drogą Bez Znaczenia wisiało tysiąc srebrnych spodków, tak lśniących w porannym słońcu, że aż raziły oczy – tysiąc srebrnych podniebnych pojazdów, a łoskot ich silników trząsł ziemią. Każdy miał pełne pięćdziesiąt metrów średnicy i był opatrzony świętym imieniem ROTECH-u z numerem seryjnym, a pod spodem, mniejszymi literami było dopisane: „Wydział Utrzymania Planet”. Reflektory pocięły osadę snopami, wyszukując oszołomionych mieszkańców na gankach i werandach. Babuszka, opromieniona światłem z nieba, padła na kolana i modliła się, żeby Anioł Pięciu Fiolek Zniszczenia (plagi ciemności, plagi głodu i pragnienia, plagi bezduszności, plagi sarkazmu i plagi pożerających wszystko kóz-mutantów) zostawił ją w spokoju. Dzieci Drogi Bez Znaczenia machały do załóg w ich wysuniętych kabinach.

Piloci odmachiwali i migali reflektorami. Kiedy ludzie przyzwyczaili się do statków ROTECH-u nad miasteczkiem, nagle dotarło do nich, że nie są ich tysiące, setki, nawet nie pięćdziesiąt, lecz dwadzieścia trzy. Jednakże z samego rana silne wrażenie robią nawet dwadzieścia trzy statki wypełniające niebo i ziemię hukami silników.

Z kruszącymi skałami rykiem dwadzieścia dwa sterowce uniosły się wysoko w powietrze, przechyliły się i odleciały na zachód, reflektorami wydrapując na niebie długie smugi. Jedyne pozostałe sterowce opadły niżej i podszedły do lądowania po drugiej stronie torów, dokładnie w miejscu, gdzie kiedyś rozbiła się Persis Tatterdemalion. Natomiast lądowanie ROTECH-u odbyło się pod pełną kontrolą i z arogancką łatwością. Wentylatory odwróciły się ku górze, wzbijając w powietrze duszące tumany pyłu. Kiedy kaszel się uspokoił, sterowiec stał już na wspornikach i rozwijał schodki prowadzące do jaskrawo oświetlonego wnętrza. Razem z nimi wydobył się stamtąd zapach przygotowywanego śniadania.

Obywatele Drogi Bez Znaczenia zebrali się po swojej stronie torów, wszyscy oprócz Persis Tatterdemalion, która uciekła po pierwszym muśnięciu snopem światła, bo sterowce mogły latać, a ona nie. Przyglądali się rozwojowi wydarzeń wokół statku z lękiem zmieszonym z ekscytacją. To mogli być najlepsi goście jak dotąd.

– No idź – powiedział pan Jericho do doktora Alimantanda. – Ty tu jesteś szefem.

Doktor Alimantando otarł kurz ze swojego wiecznie zakurzonego ubrania i przeszedł sto metrów wzdłuż torów w stronę sterowca. Nie usłyszał ani jednego zachęcającego okrzyku.

Po schodkach zszedł niesamowicie elegancki mężczyzna w pięknym białym garniturze ze stójką i zagapił się na niego. Doktor Alimantando, zapyłony i skromny, skłonił się uprzejmie.

– Jestem doktor Alimantando, tymczasowy wójt Drogi Bez Znaczenia, ludność: dwadzieścia dwie osoby, wysokość: tysiąc dwieście pięćdziesiąt metrów, „o krok od Raju”. Witamy w naszym miasteczku, mam nadzieję, że się wam spodoba, dla waszej wygody i komfortu mamy bardzo dobry hotel, czysty, tani, ze wszystkimi udogodnieniami.

Obcy, wciąż się nań gapiąc (wyjątkowo chamsko według nieśmiałych standardów Deuteronomium), kiwnął głową w najbardziej zdawkowym powitaniu.

– Dominic Frontera, Biuro Osadnictwa i Zabudowy, Wydział Utrzymania Planet, ROTECH, Porcelanowa Góra. Co wy tu, do cholery,

robicie?

Pobudliwy doktor Alimantando szybko się pobudził.

– W sumie mogę pana zapytać o to samo.

Zatem Dominic Frontera mu powiedział. A doktor Alimantando natychmiast zwołał spotkanie wszystkich mieszkańców, żeby Dominic Frontera mógł im powtórzyć to, co powiedział jemu. I rzekł im tak:

– We wtorek, szesnastego maja, czyli za trzy dni, o szesnastej dwadzieścia cztery, Droga Bez Znaczenia wyparuje na skutek uderzenia jądra komety o wadze około dwustu pięćdziesięciu megaton, lecącego z prędkością pięciu kilometrów na sekundę, które będzie miało miejsce około trzydziestu czterech kilometrów na południe stąd.

I wybuchło pandemonium. Doktor Alimantando walił swoim młoteczkim tymczasowego wójta, aż popękał mu klocek, potem ochrypl od krzyku, a ludzie dalej się darli, wściekali się i wymachiwali w powietrzu najlepszymi krzesłami Persis Tatterdemalion.

Dominic Frontera ledwie mógł uwierzyć, że dwadzieścia dwie osoby mogą wygenerować taki chaos. W ogóle nie powinien brać w tym udziału. Powinien był w jeden dzień do południa skończyć obmierzenie miejsca uderzenia i już być w Regionalnym Biurze w Południku. Grać w tryktraka w swoim ulubionym zakątku herbaciarni Chena Tsu, popijać belladońską brandy i patrzeć, jak kwitną morele. A zamiast tego stał naprzeciwko rozwścieczonej bandy gotowej pobić go na śmierć taboretami z pustynnej sosny – popatrzcie tylko na tę starą babę, pewnie ma koło czterdziestki, a niczego nie pragnie bardziej niż zlizać moją krew z podłogi – i to wszystko dlatego, że znalazł tę zasraną dziurę w miejscu, gdzie żadnej zasranej dziury nie powinno być, w oazie, która w ogóle była planowana do geoinżynierii dopiero dwa lata po upadku komety. Westchnął. Wyszarpnął z kabury swego pilota pistolet raketowy Presneya i oddał trzy szybkie strzały w strop B.A.R-u/Hotelu.

Pełna szoku cisza, która natychmiast zapadła, ucieszyła go. Pociski dalej syczały wbite w dachówki. Przywróciwszy spokój, wyjaśnił, dlaczego Droga Bez Znaczenia musi ulec zniszczeniu.

Chodziło o wodę. Było jej za mało. Cały ten świat trzymał się na szeregu ekologicznych równań, które zawsze muszą być spełnione. Po jednej stronie znaku równości było sztuczne środowisko świata: powietrze, woda, pogoda i te mniej namacalne czynniki, na przykład orbitalne magnesy nadprzewodzące, tworzące wokół planety ochronną siatkę odpychającą promieniowanie i burze słonecznych cząstek, które inaczej wysterylizowałyby jej powierzchnię albo warstwę metalowych

jonów zawieszoną wysoko ponad tropopauzą, wzmacniającą światło słońca plus orbitalne lustra, vany, wyrównujące miejscowe różnice temperatury i ciśnienia: równanie stabilne, choć kruche. Po drugiej stronie znaku równości stali mieszkańcy tej ziemi, rodowici i przyjezdni, ich powiększająca się liczba i coraz większa presja na świat i jego zasoby. A to równanie musi zawsze być w równowadze, choćby populacja rosła arytmetycznie, geometrycznie, logarytmicznie, *to musi się równać* (tu Dominic Frontera dla podkreślenia dźgnął w publiczność lufą pistoletu) i jeśli to oznacza, że od czasu do czasu trzeba skądś zaimportować trochę wody („od czasu do czasu” oznaczało mniej więcej co dziesięć lat przez kolejne pół tysiąclecia, a „skądś” – gigatony kometarnego lodu czekającego na grawitacyjny sygnał za kulisami Układu Słonecznego), to ona będzie zaimportowana i koniec.

– W przeszłości waliliśmy tymi jądrami komet gdzie popadnie – tłumaczył rzędem rozdziawionych ust. – Lód, który nie odparował przy wejściu w atmosferę, odparowywał przy uderzeniu, a ogromne ilości wzbitego pyłu powodowały, że para zbijała się w chmury i wywoływała opady. W pierwszych dniach komety uderzały nawet trzy razy na tydzień. Oczywiście wtedy nikogo nie było, więc nie spadały nikomu na głowę. –

Dominic Frontera przypomniał sobie, że nie wyklada na lekcji geografii w szkole średniej, lecz przed bandą durnych wieśniaków i zezłościł się. –

Jak się domyślicie, odkąd zaczęło się osadnictwo, coraz trudniej znaleźć miejsce do zrzucenia lodu, a jeśli się da, wolimy go roztrzaskać, bo to zdecydowanie najtańszy sposób na wytworzenie pary wodnej. No i wybraliśmy sobie takie miejsce, w Ćwiartce Północno-Zachodniej, gdzie nie ma żadnych planów zagospodarowania na co najmniej cztery lata, może się trafić jakiś podróżnik, jakiś pociąg, jakiś sterowiec, ale da się ich ostrzec przez uderzeniem, a potem wrócić, naprawić tory i zawołać z orbity orfy, żeby zrobiły z pustyni ogród. Taki jest plan. I co my tu mamy? Co mamy? – Podniósł głos do krzyku. – Was. Co wy tu, do cholery, robicie?! Tu nawet oazy nie powinno być, a co dopiero jakiejś osady!

Doktor Alimantando wstał, żeby opowiedzieć swą historię o desce wiatrowej i szalonym orfie. Dominic Frontera usadził go machnięciem ręki.

– Darujcie sobie. Wy nie jesteście odpowiedzialni. Coś się powaliło w Wydziale Orbitalnej Inżynierii Środowiskowej, program jakiegoś orfa poszedł w maliny. Z nimi tak bywa. Dobra, czyli to nie wasza wina, ale ja nie mogę nic poradzić. Kometa już leci, leci od siedemdziesięciu dwóch

miesiący. We wtorek szesnastego maja o szesnastej dwadzieścia cztery spadnie, trzydzieści cztery kilometry na południe stąd i całe to wasze miasteczko i oaza złożą się jak... jak domek z kart.

Nastąpiły wrzaski protestu. Dominic Frontera uniósł dłonie, by je uciszyć i przywrócić spokój.

– Przykro mi. Naprawdę mi przykro, ale nic nie mogę zrobić. Komety nie da się przekierować, nie ma gdzie polecieć, nie w tej ostatniej fazie. Gdybyście tylko kiedyś, obojętne komu, dali znać, że tu jesteście, moglibyśmy wyliczyć inną trajektorię. A tak, jest za późno. Przykro mi.

– A Serce Lothian?! – wykrzyknął Ed Gallacelli.

– Obiecała, że komuś o nas powie – przytaknął Umberto.

– No, mówiła, że powie w Porcelanowej Górze – dodał Louie.

– Serce Lothian? – zapytał Dominic Frontera.

Pilot wzruszył wymownie ramionami.

– Z Wydziału Edukacji Ogólnej, taka objazdowa przedstawicielka – wyjaśnił doktor Alimantando.

– Aaa. Inny wydział – powiedział Dominic Frontera.

Mieszkańcy oburzyli się, słysząc tę kiepską wymówkę.

– Bałaganiarskie biurwy! – wrzasnął Morton Quinsana. – Planistyczna zaraza!

Dominic Frontera próbował załagodzić sytuację.

– Dobrze, dobrze, zgadzam się, że był ogromny biurokratyczny bałagan, ale nie na tym polega problem. Problem jest taki, że za trzy dni spadnie kometa i wasze miasteczko rozbryźnie się na wszystkie strony, mówiąc wprost. Jedno, co mogę zrobić, to zawołać z powrotem dywizjon sterowców i kazać im was stąd zabrać. Może potem, jak oczyścimy miejsce uderzenia, będziecie mogli wrócić, jeśli wam się naprawdę tu podoba, ale teraz w trzy dni musicie stąd zniknąć, ze wszystkimi kozami, lamami, świniami, kurami, dziećmi i maszynami w komplecie. Czy są pytania?

Rael Mandella zerwał się na równe nogi szybciej niż reszta.

– To jest nasze miasteczko, my je zbudowaliśmy, jest nasze i nie pozwolimy go zniszczyć. Tu jest wszystko, co mam, żona, dzieci, dom, całe moje życie, nie zostawię tego, żebyście to rozwalili waszą kometa. To wy, inżynierowie, co strzelacie sobie planetami jak kulami bilardowymi, dajcie sobie tę kometa gdzie indziej.

Nastąpiła burzliwa owacja. Dominic Frontera przeczekał ją.

– Następnym.

Wystąpiła Persis Tatterdemalion i wrzasnęła:

– To jest mój hotel, w którym pan robi dziury pistoletem! Jedną firmę, latającą, już straciłam i nie zamierzam stracić drugiej. Ja zostaję. Niech ta wasza kometa leci sobie gdzie indziej.

Mikał Margolis energicznie pokiwał głową i zawołał:

– Właśnie! Właśnie!

Wtedy wystąpiła Ruthie Blue Mountain i cisza opadła wokół niej jak śnieg.

– Tak? – rzucił ze znużeniem Dominic Frontera. – Może jakieś pytania, a nie monolog z ławy oskarżonych.

– Panie Frontera... – powiedziała prosta Ruthie, która z całej afery rozumiała tylko, że jej przyjaciele są w niebezpieczeństwie – ...nie wolno panu skrzywdzić moich przyjaciół.

– Proszę pani, to jest ostatnia rzecz, której bym chciał. Ale jeśli oni sami chcą się skrzywdzić, bo wbrew rozsądkowi nie usuną się przed niebezpieczeństwem, to już zupełnie inna kwestia.

Ruthie nie rozumiała odpowiedzi przedstawiciela ROTECH-u.

– Nie pozwolę panu skrzywdzić moich przyjaciół – mruknęła tępo. W sali zapadła cisza, z tych, co poprzedzają niezwykle wydarzenia. –

Gdyby pan ich kochał tak jak ja, to nie skrzywdziłby ich pan. Więc sprawię, że mnie pan pokocha.

Doktor Alimantando na podwyższeniu dostrzegł, że jej twarz rozświetla się na ułamek sekundy przed tym, jak napuściła na Dominica Fronterę cztery lata zakumulowanego piękna. Tymczasowy wójt dał nura pod stolik tymczasowego wójta i zakrył oczy dłońmi. Dominic Frontera nie miał takiego ostrzeżenia. Trzydzieści sekund stał skąpany w blasku nowej, po czym wydał z siebie osobliwy kwik i zwałił się na podłogę jak worek ziemniaków.

Doktor przejął inicjatywę. Kiwnął na pilota sterowca, uratowanego przez polaryzujące soczewki kontaktowe.

– Zabierz go do któregoś pokoju – rozkazał. – Wy dwoje, pokażcie mu gdzie.

Wskazał Persis Tatterdemalion i Mikala Margolisa, żeby pomogli pilotowi zanieść obezwładnionego miłością agenta ROTECH-u gdzieś, gdzie dojdzie do siebie. Spojrzeniem uciszył pomruki reszty.

– No, słyszeliście wszyscy, co miał do powiedzenia nasz przyjaciel i ja ani trochę nie wątpię, że mówił prawdę. Dlatego nakazuję wam wszystkim, bez wyjątku, przygotowywać się do ewakuacji. – Wzmogła się konsternacja. – Cicho, cicho. Ewakuacja. W ostateczności. Bo ja, Alimantando, spróbuję jeszcze uratować nasze miasteczko!

Wstał i parę minut cieszył się publiczną owacją, po czym wybiegł z B.A.R-u/Hotelu, żeby ratować świat.

Dniami i nocami doktor Alimantando wypełniał ściany swojego pokoju meteo chronodynamicznymi symbolami. Ten logiczny ciąg zaczął się trzy lata wcześniej w lewym dolnym rogu jego kuchni, wił się przez salon, jadalnię i hol, w górę schodami, z małymi dygresyjnymi wypadami do sypialni numer jeden i numer dwa, przez łazienkę, po ścianach toalety i w górę kolejnymi schodami do pokoju meteo, gdzie okrążał ściany, coraz wyżej i wyżej, aż pozostała tylko pusta przestrzeń pośrodku sufitu, mniej więcej wielkości dolarowego banknotu.

Pod tym punktem siedział doktor Alimantando z twarzą ukrytą w dłoniach. Trzęsły mu się ramiona. Nie od łez, lecz od złości, monumentalnej złości na szyderczy wszechświat, który, jak wymalowana tancerka rumbi w opiumowej jaskini w Belladonna, zrzucił z siebie kolejne warstwy okryć tylko po to, by w kluczowym momencie ostatecznego objawienia zgasło światło.

Powiedział ludziom, że uratuje miasteczko.

I nie był w stanie.

Nie był w stanie odwrócić kluczowego równania.

Nie był w stanie znaleźć wzoru algebraicznego, który zrównoważyłby piętnaście lat zapisywania ścian w Drodze Bez Znaczenia, Jingjang Soreng i Universum Lyx i sprowadziłby to do zera. Wiedział, że musi istnieć. Koło musi się kręcić, wąż musi połykać własny ogon. Podejrzał, że musi być bardzo prosty, ale nie był w stanie go znaleźć.

Zawiódł sam siebie. Zawiódł naukę. Zawiódł swoich obywateli. To była najbardziej przytłaczająca ze wszystkich porażek. Bo z czasem zaczął się niezwykle przejmować ich losem, swoich ludzi, jak o nich myślał, dzieci, których wydawało mu się, że nigdy nie będzie pragnał. Kiedy nie

potrzebowali ratunku, ratował ich. Teraz, kiedy ratunek był konieczny, nie umiał.

Kiedy to sobie uświadomił, nagle poczuł, że napięcie zelżało. Zupełnie jak u zwierzęcia, które walczy, walczy, walczy, a potem w szponach nieubłaganego godzi się ze śmiercią, złość z niego uleciała i spłynęła przez dom do rozpadlin w skałach Wielkiej Pustyni.

Było sześć po szóstej rano w poniedziałek, szesnastego. Latarnie gazowe pykały, owady obijały się o szybki. Przez wschodnie okno zobaczył Raela Mandellę zabierającego się do swoich samotnych porannych prac. Nie były już teraz potrzebne. Zejdzie teraz z góry i powie swoim ludziom, żeby się zabierali. Nie chce ich przebaczenia, choć mu przebaczą. Chce tylko, by zrozumieli. Zacisnął powieki i poczuł napływający z pustyni wielki spokój, falę błogości przelewającą się nad nim, poprzez niego. Poranna mgiełka niosła aromat rzeczy rosnących w wilgotnej, żyznej ziemi, czarnej jak czekolada i płodnej jak Matuzalem. Dźwięk, jakby brzęknięcie dzwonków wiatrowych, kazał mu odwrócić wzrok od okna.

Powinien poczuć szok, oszołomienie, którąś z innych ludzkich emocji stosownych w momencie zaskoczenia, lecz obecność zielonej osoby siedzącej na krawędzi stołu wydała mu się czymś najbardziej naturalnym na świecie.

– Dzień dobry – powiedziała zielona osoba. – Musiałem cię przegapić na następnym obozowisku... Ile to było, pięć lat temu?

– Jesteś wytworem mojej wyobraźni? – zapytał doktor Alimantando. –

Chyba coś w tym rodzaju. Archetyp, coś, co mój mózg wyświetla w stresie, halucynacja. Tak, jesteś halucynacją, symbolem.

– No daj spokój, chcesz uważać się za człowieka, którego nawiedzają halucynacje?

– Lepiej niż za człowieka, którego nawiedzają ożywione resztki warzyw.

– Punkt dla ciebie. No to zobaczmy, w którą stronę cię to zwróci. – Zielona osoba stanęła na stole. Wyciągnęła z jakiegoś niewidocznego miejsca laskę czerwonej kredy i pośrodku sufitu, na wolnym miejscu wielkości banknotu dolarowego dopisała krótkie równanie w logice symbolicznej.

– Chyba czegoś takiego szukałeś. – Zielona osoba połknęła kredę. – Minerale są bardzo przydatne, rozumiesz. – Doktor Alimantando wgramolił się na stół i wpatrzył w równanie.

– Tak – mruknął. – Tak, tak... – Przeszedł wzdłuż spirali czarnych węglowych wzorów, na suficie, po ścianach, w kółko i w kółko, na czworakach przy podłodze, cały czas mamrocząc: – Tak... tak... tak... – W dół schodów, wokół sedesu, przez łazienkę, zbacząc do sypialni numer jeden i dwa, jeszcze niżej schodami, przez hol, przez jadalnię i salon, aż do kuchni. Na górze, w pokoju meteo, zielona osoba siedziała na stole z bardzo zadowoloną miną.

Z czeluści domu doktora Alimantanda wydobył się potężny triumfalny okrzyk. Doszedł ciągiem rozumowania do samego źródła, w dolnym lewym rogu kuchni.

– Juhuuu! Zgadza się! Zgadza! Czyste, piękne, absolutne, okrągłe zero!

Zanim z powrotem doszedł do pokoju meteo, zielonej osoby nie było. Na stole leżało tylko parę suchych liści.

Czasozwijacz Alimantando 1 wyglądał jak mała maszyna do szycia oplątana pajęczyną. Stał na stoliku kuchennym doktora Alimantanda i czekał na aprobatę projektanta.

– Kupa roboty była, żeby to zrobić – powiedział Ed Gallacelli.

– A przez połowę czasu nie mieliśmy pojęcia, co właściwie robimy – dodał Rajandra Das. – Ale jest.

– To są po prostu dwa zsynchronizowane generatory jednoczesnego pola działające w parze, ale ze zmienną, sterowalną fazą – powiedział pan Jericho. – Co tworzy różnicę czasową między tymi dwoma polami.

– Ja wiem, jak to działa – odparł doktor Alimantando. – W końcu ja to zaprojektowałem, nie? – Przyglądał się urządzeniu z coraz większym zachwytem. – Wygląda, jak trzeba, muszę powiedzieć. Nie mogę się doczekać, aż je wypróbuję.

– Znaczy, użyjesz tego na sobie? – zapytał Rajandra Das.

– No, przecież nie mogę poprosić nikogo innego? Oczywiście, i to już zaraz. Pewnie jakoś po obiedzie.

– Zaczekaj – odezwał się pan Jericho. – Ty chcesz zrobić to, co ja myślę, to znaczy...

– Cofnąć się w przeszłość i zmienić historię? Oczywiście. –

Pomajstrował przy paru gałkach i ustawieniach, za co czasozwijacz nagrodził go donośnym buczeniem. – To tylko historia i kiedy ją zmienię, wszystko zmieni się razem z nią i nikt się nawet nie zorientuje. A już na pewno nikt w Drodze Bez Znaczenia.

– Mój Boże. – To Ed Gallacelli to powiedział.

– No tak, trochę o taki efekt mi chodzi – odparł doktor Alimantando. Udało mu się otoczyć czasozwijacz świetlistym niebieskim bąblem. –

Oczywiście jest parę paradoksów czasowych, które trzeba będzie jakoś rozwiązać, ale myślę, że mam to wszystko pod kontrolą. Główny paradoks jest taki, że jeśli mi się uda, przestanie istnieć powód mojej podróży – rozumiecie, w ten sposób to wszystko zaczyna się zapętlać; myślę jednak, że powinienem zniknąć z Drogi Bez Znaczenia i się tu nie pojawiać; wtedy wykształci się jakiś powód mojego zniknięcia, pewnie coś związanego z podróżami w czasie. Najpewniej. Bo te rzeczy lubią się zbiegać. No i będzie masa międzyczasowych przesłuchów, nie bójcie się ich, bo w chwili przeskoku wokół wszystkich znaczących węzłów powstanie dużo rezonujących czasowych ech – możecie odkryć, że drobne kawałki alternatywnych historii, tych poprzednich światów równoległych, ponakładają się na wasz świat, więc bądźcie przygotowani na różne drobne cuda. Ogólnie, majstrowanie przy historii powoduje kupę skutków ubocznych.

Mówiąc, zręcznymi palcami odnalazł ustawienia regulatorów czasu, których szukał. Cofnął się od czasozwijacza, który westchnął, zadygotał i zniknął wśród rozmytych powidoków.

– Dokąd poleciał? – zapytali Rajandra Das i Ed Gallacelli.

– Trzy godziny w przyszłość – wyjaśnił doktor Alimantando. – Odbiorę go po obiedzie. Panowie, widzieliście na własne oczy, że podróż w czasie jest możliwa. Jeśli przyjdziecie do mnie o trzynastej trzydzieści, będziecie mogli być świadkami pierwszej załogowej podróży w historii.

Nad złożonym z porów i sera lunchem doktor Alimantando planował, jak zmienić historię. Pomyślał, że można zacząć od orfa, który darował mu oazę. Ale od tego miejsca historia będzie musiała pójść w inną stronę. Możliwe, że w jeden wieczór poświęci całe życie na ratowanie tego miasteczka. Będzie to dobre i wartościowe życie. Podszedł do specjalnej szafki w kuchni i otworzył ją. W środku miał swoje sprzęty amatorskiego podróżnika w czasie. Na ich zebranie poszło pięć lat i spora część jego środków w Banku Deuteronomium. Na początku była to fantazja z nudów, coś jak hobby, któremu oddają się mężczyźni, żeby udowodnić, że spełniają swoje niemożliwe marzenia, a potem, w miarę jak paczki przychodziły z firm wysyłkowych w Południku, marzenie przesuwało się, aż znalazło się w tym punkcie, co teraz – przygotowań do podróży w czasy i miejsca, gdzie nikt wcześniej nie dotarł.

Rozkładając to wszystko, doktor Alimantando uśmiechał się do każdego przedmiotu.

Jednoosobowy wojskowy namiot surwiwalowy, z podwójnie uszczelnianymi zapięciami i zintegrowaną podłogą.

Wojskowy śpiwór typu mumia.

Przezroczysty skafander izolacyjny, w zestawie z plastikowym hełmem i maską z aparatem oddechowym.

Dwa komplety czystej bielizny, jedna z długimi nogawkami. Skarpetki.

Jedna kompletna zmiana ubrań.

Jedna wojskowa kuchenka, składana, przystosowana do jego przenośnego zasilania. Prasowane racje żywnościowe na chwilę desperacji.

Pięćset dolarów gotówką.

Kapelusz przeciwsłoneczny i dwie tuby sun blocka.

Kosmetyczka z mydłem, gąbką i ręcznikiem.

Szczotka i pasta do zębów (miętowa).

Apteczka, w tym antyhistaminy, morfina i antybiotyki ogólne.

Do użycia z powyższym, metalowa piersiówka brandy z Belladonny.

Okulary przeciwsłoneczne i gogle piaskowe.

Szalik z czystego jedwabiu, we wzór paisley.

Jedna kieszonkowa krótkofalówka.

Kompas, sekstant i nawigator bezwładnościowy oraz mapy geologiczne, pozwalające mu na ustalenie położenia na planecie po wyjściu z przepływów czasowych.

Mały zestaw narzędzi, klej i winylowe łatki do skafandra i namiotu.

Jedno opakowanie tabletek do uzdatniania wody.

Aparat fotograficzny, trzy obiektywy i dwanaście rolek samowyołującego się filmu.

Pięć notatników w skórzanych okładkach i jeden gwarantowany wiecznotrwały długopis.

Jeden dozymetr na rękę.

Sześć tabliczek awaryjnej czekolady.

Jeden nóż Sił Obrony, z ostrzem na każdy dzień roku, plus puszka suchych zapalek.

Flary alarmowe.

Jeden egzemplarz *Dzieł zebranych Watchmana Ree*.

Jeden przenośny transstabilny zasilacz mionowy, z wielorazowym syfonem do ładowania z dowolnego źródła energii, własnego wyrobu.

Korzystający z powyższego domowej roboty miotacz tachionów, wielkości i kształtu składanej parasolki, o mocy wystarczającej, by odparować niewielki wieżowiec.

Jeden duży wojskowy plecak ze stelażem, żeby to wszystko pomieścić.

Doktor Alimantando zaczął pakować sprzęt. Wszystko złożyło się do nadzwyczaj małych rozmiarów. Potem zerknął na zegarek. Była prawie trzynasta. Podszedł do stołu kuchennego i odliczył sekundy na zegarze.

– Teraz. – Wskazał stół.

W kaskadzie nakładających się obrazów na stole pojawił się czasozwijacz. Podniósł go i dołożył do reszty sprzętu. Potem poszedł i przebrał się w stare, bardzo znoszone i bardzo ukochane pustynne ciuchy, a wbijając się w długi, szary pustynny płaszcz, wymyślił osiemset sześć powodów, dla których nie powinien się wyprawiać.

Osiemset sześć przeciw i jeden za. Po prostu trzeba było. Zarzucił na ramiona wielki plecak i zapiął na nadgarstku regulatory kontrolne. Weszli pan Jericho, Rajandra Das i Ed Gallacelli, punktualni, jak tylko mógł być pan Jericho.

– Gotowy? – zapytał pan Jericho.

– A można być gotowym do czegoś takiego? Posłuchajcie, jeśli mi się uda, nigdy się o tym nie dowiecie, rozumiecie?

– Rozumiem.

– Bo ze względu na naturę chronodynamiki ja zmienię całą historię i nigdy się nie dowiecie, że byliście w niebezpieczeństwie, bo tego niebezpieczeństwa nigdy nie było. Z obiektywnego punktu widzenia, mojego punktu widzenia, bo będę wyzwolony z czasu, cały wszechświat, a nie ta subiektywna linia czasowa, przeskoczy na nowe tory. Spróbuję zostawić jakąś notkę o tym, co zrobiłem, jeśli mi się uda, gdzieś w przeszłości.

– Za dużo mówisz – odezwał się Rajandra Das. – Po prostu leć. Lepiej nie być za późno.

Doktor Alimantando uśmiechnął się. Pożegnał się z każdym z nich po kolei i dał im po tabliczce awaryjnej czekolady, uprzedzając, żeby zjedli ją zaraz, zanim jakaś transtemporalna anomalia wymaże tę chwilę. Potem pstryknął przełącznikami na nadgarstku. Czasozwijacz zaczął buczeć.

– Ostatnia rzecz. Jeśli mi się uda, nie wrócę. Za wiele jest tam rzeczy, które chcę zobaczyć. Ale mogę wpaść czasem z wizytą, więc trzymajcie dla mnie miejsce przy stole.

A do pana Jericha dodał:

– Wiedziałem, kim jesteś. Od początku. Niczego to dla mnie nie zmieniało, jak to przeszłość, choć mam na jej punkcie obsesję. Zabawne. Słuchaj, opiekuj się za mnie tymi ludźmi. No dobra. Pora ruszać.

Nacisnął czerwony trzpień na przegubie. Pisk męczzonego continuum czasoprzestrzennego, ciąg niknących powidoków w kształcie doktora

Alimantanda i już go nie było.

W noc przed Wtorkiem Komety wszystkim śnił się ten sam sen. Śnili, że trzęsienie ziemi zatrzęsało miastem tak mocno, że ze ścian i podłóg wytrzęsło się drugie miasto, jak podwójny widok, jaki ma się czasami po wstaniu, kiedy wzrok przez chwilę nie chce się skupić. To widmowe miasto w komplecie z widmowymi mieszkańcami (tak bardzo przypominającymi prawdziwych, że nie dawali się odróżnić) oddzieliło się od Drogi Bez Znaczenia, jak kłaczki mleka od serwatki, i odpłynęło, choć nikt nie potrafił powiedzieć, w jakim kierunku.

– Ej! – krzyczeli ludzie we śnie. – Oddawać nasze duchy!

Duchy bowiem są częścią społeczności tak samo jak instalacje w ścianach czy biblioteka. No bo jak może wspólnota istnieć bez wspomnień? Potem nastąpił szok, który wybił ich wszystkich z fazy R.E.M. Nie mogli wiedzieć, że w tym momencie umarli i odrodzili się w nowych życiach. Jednakże kiedy odzyskali azyl wspólnego snu, stwierdzili, że odbyła się w nim subtelna rewolucja. To oni byli duchami, realnymi, cielesnymi duchami z krwi i kości, a miasteczkiem, które odpływało w nieogarnialnym kierunku, była Droga Bez Znaczenia, którą zbudowali i kochali.

Ze snu wybudził się Dominic Frontera, poderwany alarmowym połączeniem na komunikatorze. Przetarł z oczu sen i Ruthie Blue Mountain.

– Frontera.

– Asro Omielianczik. – Jego pierwsza oficer. Twarda cholera. – Robi się niezłe piekło, chłopaki z orbity wykryli ogromną falę energii probabilistycznej skupiającą się pięć, piętnaście i osiemnaście lat w przeszłości, z chronoechami rezonującymi po całej osi czasu w górę i w dół.

– Hm.

– Szlag, szefie, ktoś tu się bawi czasem! Orbitalni dają ponad dziewięćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że nasz wszechświat przeskoczy na inną linię czasową; obojętne, co to jest, to zmieni historię, całą, kurna, historię świata!

– Nie rozumiem... Co to ma wspólnego ze mną?

– Bo, do cholery, wychodzi z twojego obszaru! Ktoś w promieniu pięciu kilometrów od ciebie coś kombinuje z chronokinetycznymi zwrotnicami! Prześledziliśmy siatkę prawdopodobieństw i prowadzi do ciebie!

– Jasna cholera! – wykrzyknął Dominic, nagle obudzony i przytomny.
– Wiem, kto to może być!

Wtem znowu zasnął i znowu śniła mu się Ruthie Blue Mountain, jak każdej nocy od... Od kiedy? Skąd? Czemu on się w niej zakochał?

Wszechświat się zmienił. Ruthie Blue Mountain nigdy nie otworzyła przed Dominikiem Fronterą kwiatu swego piękna, a on sam nie miał powodu być w Drodze Bez Znaczenia, skoro przeszłość była inna – a jednak spał w swoim pokoju w B.A.R-ze/Hotelu i śniła mu się Ruthie Blue Mountain, bo wszechświaty przychodzą i odchodzą, ale miłość trwa; a poza tym doktor Alimantando w noc, kiedy zmieniał świat, obiecywał, że będą różne drobne, cudowne międzywymiarowe przesłuchy.

A z rana nastał Wtorek Komety, wszyscy obudzili się, przetarli z oczu dziwne nocne sny i popatrzyli na statut miasteczka, dumnie wiszący na ich ścianach, statut, który wiele lat temu doktor Alimantando podpisał z ROTECH-em, żeby móc zbudować tu osadę, statut, który oznaczał, że nadlatująca kometa zostanie odparowana w górnych warstwach atmosfery, zamiast zderzać się z ziemią w ogromnej eksplozji, jak to wcześniej praktykował ROTECH. Wszyscy w głębi serca podziękowali doktorowi Alimantandowi (gdziekolwiek teraz jest) za to, że wszystko tak elegancko załatwił.

Czternaście minut po czternastej wszyscy bez wyjątku wyszli na wysoką skalną wyniosłość zwaną Szczytem Bez Znaczenia, z ciepłymi kocami, termosami gorącej herbaty z belladońską brandy, i przygotowali się na to, co według zapewnień Dominica Frontery miało być spektaklem dziesięciolecia.

Według zegarka Eda Gallacelliego Wtorek Komety był o dwie minuty spóźniony, chociaż kieszonkowy zegarek pana Jericha mówił, że był o czterdzieści osiem sekund za wcześnie. Kometa, nie zwracając uwagi na naziemne chronometry, przyleciała, kiedy przyleciała, a przyleciała z tępym grzmotem, który zatrzęsł skałami pod stopami widzów, podczas gdy nad ich głowami, wysoko w jonosferze, zamigotały nieznaczące zorze, meteory posypały się jak salwy rakiet, a płaszczyzny jonowych wyładowań podświetliły na ułamek sekundy całą pustynię.

Nagle niebo poprzecinały błękitne promienie, zbiegające się ku niewidocznej jeszcze komecie jak szprychy koła. Nastąpiły zbiorowe westchnienia zachwytu.

– Strumienie cząstek! – zawołał Dominic Frontera, próbując z trudem przekrzyczeć odgłosy z nieba. – Patrzcie na to!

I, jakby wypowiedział zaklęcie, niebo wypełnił nagły rozbłysk.

– Ooo! – zawołali wszyscy, wymrugując z oczu plamki powidoków.

Wielka złota łuna rozlała się po horyzont i powoli wygasła. Jonowe pioruny postrzelały jeszcze nerwowo i ustały, sporadyczne meteory się pospalały. Koniec przedstawienia. Wszyscy zaklaskali. Czterdzieści kilometrów nad nimi kometa 8462M została rozbita przez miotacze cząstek ROTECH-u na odłamki lodu wielkości i kształtu mrożonego groszku, a potem błyskawicznie odparowała podgrzana przez te cząstki. Drobny lodowy deszcz przez wiele dni i tygodni opadał przez jonosferę, troposferę, tropopauzę i stratosferę, tworząc warstwę chmur. Ale to już nie był Wtorek Komety.

Kiedy ostatnia spadająca gwiazda zaiskrzyła i spadła za horyzont, Rajandra Das ściągnął usta w zamyśleniu i powiedział:

– No, to nie było złe. W ogóle mógłbym z tym żyć, gdybym musiał.

I taka oto jest historia Wtorku Komety.

I taka była historia Wtorku Komety.

W miejscu odległym od Drogi Bez Znaczenia, ale tak bliskim jak druk na drugiej stronie kartki, dwieście pięćdziesiąt megaton brudnego wodnego lodu, jak niehigieniczny sorbet, zważyło się z nieba z prędkością pięciu kilometrów na godzinę i spadło na Wielką Pustynię. Newtonowski wzór na energię kinetyczną pozwala nam ustalić, że uwolniona podczas tego energia wynosiła $3,216 \times 10^{26}$ dżuli, dość, by do końca wszechświata zasilić lampowe radio, albo równowartość kaloryczną góry rumsztyków wielkości planety Posejdon; a już na pewno wystarczająco, by komętę 8562M na miejscu zamienić w parę, tę parę i pył wyrzucić na dziesiątki kilometrów w atmosferę i by fala uderzeniowa, rozchodząca się z czterokrotnością prędkości dźwięku przez skały pod pustynią, spowodowała wielkie piaskowe tsunami, które pogrzebało Drogę Bez Znaczenia razem z całym jej ładunkiem marzeń i śmiechu, pod piętnastometrową warstwą piasku. A towarzyszącą temu chmurę w kształcie grzyba duchy Drogi Bez Znaczenia wygnane do Południka i O mogły stamtąd oglądać jeszcze długo – i długo po Wtorku Komety zdarzały się czerwonordzawe deszcze. Ale to było tak daleko w przestrzeni i czasie, że miało niewielkie znaczenie, jak sen.

I taka jest druga historia Wtorku Komety.

Któż wie, która jest prawdziwa, a która fałszywa?

W dni najgorszego, najbardziej dojmującego rozdwojenia Mikal Margolis często wyprawiał się na długie wędrówki na Wielką Pustynię, żeby wiatr wywiał mu te kobiety z głowy. A wiatr wiał, tak jak wiał od stu pięćdziesięciu tysięcy lat i jak będzie wiał przez kolejne sto pięćdziesiąt, a i to będzie za mało, żeby rozproszyć poczucie winy wrośnięte w jego serce. Miał trzy kobiety – ukochaną, kochankę i matkę, i tak, jak mówią uczeni astronomowie z Universuum w Lyx, że dynamika układu trzech gwiazd nigdy nie może być stabilna, tak i Mikal Margolis, zbłąkana planeta, wędrował przez pola przyciągania swoich trzech kobiet. Czasem tęsknił za trwałą miłością Persis Tatterdemalion, czasem brakowało mu pikanterii lubieżnego romansu z Maryą Quinsaną, czasem, gdy gryzły go wyrzuty sumienia, pragnął wyrozumiałości swej matki, a czasami żałował, że nie może w ogóle uciec z ich wirowych pól grawitacyjnych i wędrować sobie swobodnie przez kosmos.

Jego ucieczką były te pustynne spacerunki. Nie miał odwagi całkiem ujść przed siłami, które go niszczyły; stać go było co najwyżej na parę godzin między czerwonymi wydhami – na tyle mógł się oddalić od gwiazd-kobiet swego życia; a jednak podczas tych pustynnych godzin rozkoszował się samotnością i mógł odgrywać w teatrze wyobraźni swe fantazje o pustynnych rozbójnikach, ponurych, milkliwych rewolwerowcach; dzielnych podróżnikach szukających zagubionych miast; o jeźdźcach pustyni i samotnych poszukiwaczach na tropie skarbu. Godzinami człapał w górę i w dół po zboczach, będąc wszystkim, czym kobiety nie pozwalały mu być, i próbując pod smaganiem wiatru i słońca wypocić z siebie wyrzuty sumienia.

Tego dnia jednak wiatr nie wiał, a słońce nie świeciło. Po stu pięćdziesięciu latach nieprzerwanego wiatru i słońca jedno i drugie się zepsuło. Nad Wielką pustynią wisiała gęsta pokrywa chmur, od końca do końca nieba, czarna i skrzepła w kłaczkach niczym diabelskie mleko. Była to spuścizna komety 8462M, warstwa skraplającej się pary wodnej pokrywającej większość Ćwiartki Północno-Zachodniej, która zamieniła się w deszcz i spadła w Belladonnie, Południku, Transpolarisie i Nowym Merionedd, wszędzie, tylko nie w Drodze Bez Znaczenia, gdzie jakoś zapomniała spaść. Mikal Margolis, wydmowy wędrowiec, niewiele o tym wiedział i niewiele go to obchodziło, był uczony w glebie, a nie w niebie, a poza tym był zaprzątnięty czymś innym, bo właśnie miał dokonać przypadkowego odkrycia.

Piasek. Paskudny piasek. Czerwony żwir. Bezwartościowy, a jednak Mikal Margolis, z błyskiem objawienia w oczach, nachylił się, wziął garść i przesypał go przez palce. Zacisnął pięść na pozostałym osadzie, wstał i wykrzyczał swą radość na całą Wielką Pustynię.

– Oczywiście! Oczywiście! Oczywiście!

Wypchał swój worek na drugie śniadanie po brzegi piaskiem i pośpieszył tanecznym krokiem do Drogi Bez Znaczenia.

Kiedy przyszedł Ręka, Limaal i Taasmin Mandellowie, Johnny Stalin i mała Arnie Tenebrae, sześć dni po swoich drugich urodzinach, stali na Szczycie Bez Znaczenia i puszczali z góry papierowe samolociki. Nie wiedzieli wtedy, że to Ręka, nie od razu. Taasmin Mandella, o najbystrzejszym wzroku, myślała z początku, że to złudzenie wywołane upałem, tak jak przymglone prądy termiczne wynoszące papierowe samoloty pod ciężkie, szare chmury. Potem wszyscy to coś zauważyli i się zdumiali.

– To człowiek – powiedział Limaal Mandella, ledwie rozróżniając jego kształt.

– Człowiek ze światła – powiedziała Taasmin Mandella, zauważając, że postać świeci jaśniej niż skryte za chmurami słońce.

– To anioł – stwierdził Johnny Stalin, widząc parę złożonych na plecach czerwonych skrzydeł.

– To coś o wiele, wiele lepszego! – pisnęła Arnie Tenebrae.

I nagle wszystkie dzieci przyjrzały się i nie zobaczyły tego, co chciały widzieć, lecz to, co chciało być zobaczone, czyli wysokiego, chudego człowieka w białym garniturze ze stójką, na którym wyświetlały się ruchome obrazki ptaków, zwierząt, roślin oraz dziwne geometryczne wzory, a skrzydła na jego plecach okazały się nie skrzydłami, ale wielką czerwoną gitarą.

Dzieciaki wybiegły mu na spotkanie.

– Cześć, jestem Limaal, a to moja siostra Taasmin – powiedział Limaal Mandella. – A to nasz kolega, Johnny Stalin.

– I Arnie Tenebrae, ja! – dodała mała Arnie, podskakując z ekscytacji.

– A na nas mówią „Ręka” – odpowiedział nieznajomy. Miał dziwny głos, jakby mówił pograżony we śnie. – A co to za miejsce?

– Nazywa się „Droga Bez Znaczenia”! – chórem odparły dzieciaki. – Chodź.

Dwoje dzieci chwyciło go za ręce, trzecie pobiegło przodem, a czwarte na czele. I tak pogalopowali po wzniesieniach i przez zielone aleje Drogi Bez Znaczenia aż do B.A.R-u/Hotelu, gdyż do tego miejsca najpierw przychodzili wszyscy przybysze.

– Zobaczcie, co znaleźliśmy – powiedziały dzieciaki.

– Nazywa się „Ręka”! – zawołała Arnie Tenebrae.

– I przyszedł na piechotę przez Wielką Pustynię – dodał Limaal.

Wśród gości poniósł się szmer, bo jeden jedyny doktor Alimantando (zaginiony w czasie w pogoni za legendarnym zielonym człowiekiem, niech się Bóg nad nim zmiłuje w tym szaleństwie) przyszedł tu przez Wielką Pustynię.

– To na pewno chce pić – powiedział Rael Mandella i skinął na Persis Tatterdemalion, żeby nalała szklanek zimnego kukurydzianego piwa.

– Pięknie dziękuję – powiedział Ręka swoim dziwnym, odległym głosem. Przyjął poczęstunek. – Czy mógłbym zdjąć buty? Wielka Pustynia nie jest miła dla stóp.

Zdjął z ramion gitarę, usiadł na stole, a blask z obrazkowego stroju rzucał dziwne cienie na jego rekinie rysy. Dzieci usiadły wokół, czekając na pochwały za swoje fantastyczne znalezisko. Wtedy człowiek zwany Ręką ściągnął buty i wszyscy jęknęli skonsternowani.

Stopy miał szczupłe i drobne jak damskie dłonie, z palcami długimi i giętkimi jak na rękach, a jego kolana, jego kolana zginały się w tył i w przód, jak u ptaka.

Nagle odezwała się Persis Tatterdemalion, uspokajając burzę:

– A może by pan coś nam zagrał na gitarze, co?

Ręka odszukał wzrokiem pytającą, w cieniu daleko na zapleczu. Wstał i wykonał skomplikowany ukłon, niemożliwy dla żadnej mniej elastycznej osoby. Po obrazkowym stroju przeleciały poklatkowe ujęcia kwiatów.

– Skoro pani prosi, to chyba tak zrobimy.

Wziął gitarę i zagrał flażolet. Potem położył na strunach długie, smukłe palce i wypuścił w powietrze rój nut.

W B.A.R-ze/Hotelu nikt nigdy nie grał tak, jak tego popołudnia. Muzyka odnajdywała nuty w stołach, krzesłach, lustrach i ścianach; znajdowała melodie w sypialni i w kuchni, w piwnicy i w kiblu, wyciągała harmonie z miejsc, gdzie kryły się nieodkryte przez lata, tropiła je,

uwalniała, wcielała w siebie i dzięki nim rosła. Były to melodie, od których noga sama chodziła, i melodie porywające do ataków tańca. Melodie przewracające stoły i dzwoniące szkłem. Melodie budzące uśmiech, wyciskające łzy i wywołujące wzdłuż kręgosłupa dreszcz rozkoszy. Była w tym przedwieczna muzyka pustyni i powietrzna, przestrzenna muzyka nieba. Była muzyka tańczących płomieni i był nieskończony świst odległych gwiazd, była radość i magia, żałoba i obłęd; muzyka podskakująca, muzyka płacząca, śmiejąca się i lamentująca, kochająca i umierająca.

Gdy skończył, nikt nie uwierzył, że to koniec. Nikt nie wierzył, że tylko jeden człowiek, z gitarą na kolanach, mógł stworzyć tak potężnie brzmiącą muzykę. Zapanowała cisza taka, że aż dzwoniło. Ręka rozprostował swe osobliwe palce na dłoniach i stopach. Na ubraniu rozjarzyły się czerwienią i fioletem pustynne zachody słońca. Nagle Umberto Gallacelli zawołał:

– A w ogóle to skąd pan jest?!

Nikt nie usłyszał, jak wchodzi pan Jericho. Nikt nie widział, jak zajmuje stołek przy barze. Nikt nawet nie wiedział, że tam jest, dopóki się nie odezwał:

– Ja wam powiem, skąd on jest. – Wskazał na sufit. – Dobrze mówię? Ręka wstał, spięty i najeżony.

– Z zewnątrz, tak? – Pan Jericho kontynuował rozumowanie. – Stopy. Z takimi stopami istoty rodzą się w mikrogravitacji, prawda? Żeby mieć dodatkowe dłonie. A obrazkowe ubrania są powszechnie używane przez personel orbitalny ROTECH-u, żeby szybko przeglądać informacje wizualne. Teraz, myślę, że po prostu wyświetla losowe obrazy kontrolne, bo nie ma żadnych danych, tak?

Ręka nie powiedział ani „tak”, ani „nie”. Pan Jericho ciągnął.

– No dobra, to co pan tu robi? Prawo nie pozwala ludziom przystosowanym do nieważkości schodzić na powierzchnię bez przepustki. Ma pan przepustkę?

Człowiek zwany Ręką spiął się, gotowy do ucieczki, trzymając czerwoną gitarę w obronnym geście przed sobą.

– Może powinien pan pogadać z naszym zarządcą, burmistrzem Dominikiem Fronterą. On może ściągnąć ludzi z ROTECH-u, z Porcelanowej Góry, żeby pana sprawdzili.

Nawet niesamowite doświadczenie Czcigodnych Przodków pana Jericha nie przygotowałyby go na to, co wtedy zrobił Ręka. Ogłuszający dwudźwięk, *power chord* z czerwonej gitary skręcił świat i wgrzył się

w umysły chromowanymi zębami. Pod jego osłoną Ręka zniknął, a dzieci razem z nim.

Limaal Taasmin, Johnny Stalin i Arnie Tenebrae ukryli Rękę w małej grocie za domem pana Blue Mountain. To była najlepsza kryjówka. Nikt go tam nie znajdzie, bo nikt dorosły nie wie, że tam jest grotka. Wokół Drogi Bez Znaczenia była masa takich miejsc, o których nie wiedział żaden dorosły, dziesiątki naprawdę dobrych kryjówek, gdzie można na bardzo, bardzo długo schować zabawkę, zwierzę czy człowieka. Raz Limaal i Taasmin próbowali schować w tajemnej grocie Johnny'ego Stalina, ale narobił wrzasku i matka przyleciała z łopotem skrzydeł na ratunek. Ta kryjówka już się nie nadawała do użytku.

Przynieśli Ręce wykradzione rzeczy, które mogłyby mu się przydać dla wygody – dywanik, poduszkę, talerzyk i kubek, dzbanek wody, parę świeczek, trochę pomarańczy i bananów. Arnie Tenebrae dała mu swoją książeczkę do kolorowania i nowe kredki świecowe, które dostała na urodziny i które przyszły aż tutaj z wielkiego sklepu katalogowego w dużym mieście. Złożyli swe dary przed Ręką jak mali Trzej Królowie. Przyjął je z wdzięcznością i nagroził melodią i opowieścią.

Taką oto historię im opowiedział.

W latających miastach, okrążających ziemię jak odłamki tłuczonego szkła, mieszkała rasa ludzi, którzy wciąż mieli się za ludzi, takich samych jak ich przykuci do ziemi bracia, lecz przez wieki narzuconego sobie orbitalnego wygnania stali się odmienni i osobliwi, tak że byli w istocie odrębnym gatunkiem. Przed tą magiczną rasą postawiono dwa wielkie zadania – zadania, dzięki którym w ogóle zaistnieli. Pierwszym było utrzymanie i konserwacja, a także zarządzanie światem zbudowanym przez ich przodków, przynajmniej do czasu, gdy nie zaczną sam się zarządzać. Drugim była obrona go przed obcymi siłami, które mogłyby,

z zazdrości, chciwości czy urażonej dumy, zniszczyć to największe ludzkie dzieło. Wypełnienie tych świętych obowiązków, narzuconych przez samą Błogosławioną Panią, wymagało takiej koncentracji wysiłku niebiańskiego ludu, że nikogo nie można było oddać do innych zadań. Dlatego wprowadzili u siebie jedno proste prawo.

A mianowicie, że osiągając wiek dojrzałości i rozsądku, otrzymując berło odpowiedzialności, każdy człowiek musi sobie wybrać jedną z przyszłości. Albo pójdzie w ślady swoich wiecznie żywych przodków, złoży katarzyńskie śluby i będzie służyć ROTECH-owi i jego niebieskiej patronce, albo podda się przystosowującym operacjom i wybierze wygnanie i nowe życie na świecie w dole, z wymazanymi wspomnieniami o wszystkim, co było przedtem. Lub, w ramach trzeciej możliwości, wyzwoli się z oków ciała i połączy z maszynami, by żyć jako bezcielesny duch w sieci komputerowej, czy też ustawi kurs maszyny transmattowej na ściśle strzeżone współrzędne znane jako Punkt Epsilon, gdzie quasi-rozumni Psymbii, wegetatywne istoty ze światła i próżni przyjdą, zabiorą go i otoczą, wnikną weń, przenikną, aż stanie się wraz z nimi symbiontem ciała i rośliny, żyjącym wolno w rozległych przestrzeniach księżycowego pierścienia.

Mimo to zdarzali się tacy, którym wszystkie te opcje wydawały się straszne i nie do pomyślenia, wybierali więc własne. Niektórzy decydowali się pozostać tacy, jacy byli, i szli nieprzystosowani na świat w dole, gdzie żyli krótko i umierali w wielkim cierpieniu. Inni wsiadali do statków, żeglowali w noc, ku najbliższym gwiazdom i słuch o nich ginął. Niektórzy zaś szukali schronienia w ścianach świata, w tunelach powietrznych i studniach świetlnych, jako bracia i siostry szczurów.

Do tych zaliczał się i Ręka. W dziesiąte urodziny, tradycyjny dzień podjęcia decyzji, ukradł bratu obrazkowy strój i wśliznął się pomiędzy ściany, by uciekać tunelami i kładkami, albowiem nie chciał służyć Błogosławionej Pani, lecz Muzyce. Tam stał się Panem Ciemnych Kątów – co szybko się mówi, ale się szybko nie dzieje – Królem w świecie, w którym muzyka była prawem, a gitara elektryczna panem światła i ciemności.

Gdy na stacji Carioca wieczorne cienie pod świetlikami wydłużały się do nieskończoności, jaskrawoskrzydłe istoty niczym heroinowe anioły błyskały w niosących się echem holach i zbijały się w gromadki na dźwigarach i odciągach jak nietoperze-wampiry, osłaniając się skrzydłami, by kibicować muzycznym pojedynkom. Przez całą noc, póki słońce nie wypędziło ich do cienia, jak wampiry, słuchały ścierających się

gitar. Szyby i tunele dźwięczały szaloną muzyką, gitary jęczały i krzyczały jak spoceni kochankowie, a odpowiedzialni i praworządni obywatele budzili się ze snów o spadaniu, słysząc echa dzikiej i swobodnej muzyki dobiegające z kratek wentylacyjnych, muzyki, jaka im się w życiu nie śniła. A kiedy skończyły się wszystkie walki i z pociętych opuszek palców spadły ostatnie krople krwi, kiedy ostatni zwęglony trup gitary poleciał przez służę w kosmos, ukoronowano nowego króla i obwieszczono wszem wobec, że to Ręka i jego czerwona gitara są teraz największymi gwiazdami stacji Carioca.

Przez jeden sezon w tunelach i chodnikach stacji Carioca rządził Ręka i nie było nikogo, kto rzuciłby mu wyzwanie. Potem rozeszła się wieść, że Król Stacji McCartney chciałby z nim powalczyć. Rękawica została rzucona. Stawką było królestwo przegranego ze wszystkimi jego poddanymi.

Spotkali się w kopule obserwacyjnej pod powoli obracającymi się gwiazdami. Obrazkowy strój Króla Stacji Carioca (który wolał nosić zamiast szmat, plastików, metalu i sztucznych futer lubianych przez zaścienny lud) przez cały dzień wyświetlał czarno-białe, niezwykle stare obrazy, dawny materiał rozrywkowy, którego tytuł, przetłumaczony ze starożytnych języków, brzmiał *Biały Dom*. Potem sekundant Króla Stacji Carioca podał mu świeżo nastrojoną gitarę. Dotknął strun palcami i poczuł, jak ręka mu mrowi duchem zła, a mózg zamienia się w magmę. Sekundant Króla Stacji McCartney wręczył mu jego broń – dziewięćsetletniego stratocastera. Słońce odbiło się od jego powierzchni, płynnie przechodzącej z jasnej w ciemną, i zachwyciło widzów, w nabożnej ciszy trzymających się stopami i ogonami poprzecznych linek.

Sędzia dał sygnał. Zaczął się pojedynek.

Podczas obowiązkowego zestawu fug Król Stacji McCartney szedł równo z Królem Stacji Carioca. Ich melodie wiły się i pętliły wokół siebie, jak ptaki w locie, z tak niesamowitą dokładnością, że trudno było poznać, gdzie kończy się jedna, a zaczyna druga. Swobodna improwizacja szybowała w katedralny przestwór Szybu nr 12, a płatki skryzalizowanych dwudźwięków spadały jak śnieg, oprószając gwiazdnym pyłem głowy dziewczyn. Gitary obchodziły się nawzajem w harmonicznym światach modali – jońskiego, doryckiego, frygijskiego, lidyjskiego i miksolidyjskiego, eolskiego i lokryckiego. W gęstej dżungli skal i arpeggiów czas zwolnił, nie było już czasu, gwiazdy zamarły w połowie swych łuków, rysując ślimaczo powolne srebrne ślady na

glasytowej kopule. Gitary błyskały jak sprężynowce, jak metadonowe sny. Krzyczały jak gwałcone anioły. Szala bitwy przechylała się raz na jedną, raz na drugą stronę, lecz żadna z nich nie zyskiwała większej przewagi.

Król Stacji Carioca wiedział, że spotkał godnego przeciwnika. Teraz może wygrać tylko w jeden sposób, a cena tego zwycięstwa będzie zaiste potworna. Jednakże gitara zwietrzyła już krew i stal i nie pozwoliła swojemu niewolnikowi na luksus poddania się.

Król Stacji Carioca, czyli Ręka, sięgnął w głąb siebie, w mroczne miejsce pełne szaleństwa i z pomocą modlitwy do Błogosławionej Pani otworzył je na światło i pozwolił wylać się mrokowi. Uwolniona czerwona gitara zaryczała jak demon w rui i wchłonęła ciemną ciecz swymi wzmacniaczami i syntezatorami. Po strunach przebiegły fioletowe pioruny, dzwoniąc piekielnymi flazoletami, o jakich nikomu się dotąd nie śniło. Mroczna muzyka uderzyła jak pięść Boga. Publiczność uciekła z wrzaskiem przed czarnymi nieczystymi dźwiękami. Język błyskawicy wyskoczył z czerwonej gitary i spalił stratocastera pretendenta na dymiące szczątki. Wnętrze czaszki przybysza na moment rozświetliło się niebiańskim blaskiem, a potem z błyskiem wypaliło mu gałki oczne, buchnął z nich dym i już był martwy, martwy, martwy, Król Carioki zaś był po dwakroć królem, królem dwóch światów, ale za jaką cenę, jaką cenę, jaką cenę zapłacił za tę koronę?

Wtem ze wszystkich przejść wyroiły się skrzydlate kobiety o zaciętych twarzach – ochrona stacji uzbrojona w pałki wstrząsowe i pistolety miłości. Zebrały poddanych króla w równe sześćoosobowe grupki i poprowadziły ku nieznannej, ale pewnej przyszłości. Spryskały zwęglonego, koziółkującego trupa Króla Stacji McCartney pianką gaśniczą. Zabrały omotanego narkotyczną nicią Króla Dwóch Światów oraz jego czerwoną gitarę. Wzięły go do uzdrawiaczy Świętej Katarzyny, którzy mieli wykonać wyrok Grupy Dziewiętnaściorga, podając mu niezwykle starannie odmierzone, maleńkie dawki supresantów mielinowych, dzięki którym dusza zamordowanego wróciłaby do życia, w ciele swego mordercy, a ten morderca zapłaciłby za to własną, ginącą z wrzaskiem duszą i już by go nie było.

I to byłby koniec Ręki, gdyby nie uciekł świętym doktorom Świętej Katarzyny. Jak od nich uciekł, nie mówił, wystarczy, że uciekł, uratował swą czerwoną gitarę przed piecem i razem ustawili regulator budki transmattowej na stacji na zakazaną ziemię w dole. Z szybkością myśli on, jego gitara i embrionalna dusza Króla Stacji McCartney przenieśli się do przemysłowego getta Touchdown, gdzie miłosierdzie okazały mu

Siostry Mniejsze z Tharsis, biorąc go do swojego schroniska dla żebraków-inwalidów. Stary beznogi żebrak nauczył go wstawać z wózka – kolejna rzecz, którą szybko się mówi, a powoli robi – a potem, domyślając się jego pochodzenia, nauczył go wszystkiego, co wiedział o tym świecie, musiał bowiem nauczyć się tego albo zginąć, na koniec zaś zorganizował mu ucieczkę od Sióstr Mniejszych. Ręka wyżebrał sobie podwózkę konwojem ciężarówek przez Góry Eklezjastesa do pradawnego centrum Wielkiego Oxusa, gdzie przez rok wędrował po plantacjach ryżu, oferując sadzenie go na zalanych polach swymi zręcznymi stopami. Wiezorami zaś bawił rolników melodiami wydobywanymi z czerwonej gitary i zarabiał na miskę zupy, szklanek piwa czy parę centawo do kieszeni.

Nie zaznał jednak spokoju, gdyż dusza człowieka, którego zabił, nie dawała mu spokoju. W nocy budziła go, rozkrzyczanego, spoconego, ze snów o własnej śmierci. Dźgała go wyrzutami sumienia za każdym razem, gdy dotknął strun gitary, i pędziła w drogę nieustannymi przypomnieniami, co chcą mu zrobić święci doktorowie Świętej Katarzyny. Obszedł zatem świat wszerz i wzdłuż, wiedząc, że jeśli się zatrzyma, znajdą go, zabiorą z powrotem do nieba i zniszczą. Taka była klątwa Ręki: po wieki wieków wędrować po świecie z czerwoną gitarą na plecach, uciekając przed duchem zamordowanego, który czeka za oczyma, by przejąć jego duszę.

– Dobra historia – powiedziała Arnie Tenebrae.

– Każdy człowiek ma jakąś dobrą historię – odezwał się Rael Mandella. Dzieci pisnęły wystraszone. Ręka sięgnął po czerwoną gitarę, żeby odpalić kolejny paraliżujący akord. – Spokojnie – powiedział Rael. – Ja ci źle nie życzę. – A do dzieci dodał: – Następnym razem, jak będziecie kogoś ukrywać, musicie bardziej uważać z wodą. Przeszedłem tu po śladach kropel. Czemu to zrobiliście?

– Bo to nasz przyjaciel – odparł Limaal Mandella.

– Bo potrzebował kogoś, kto będzie dla niego dobry – dodała Taasmin Mandella.

– Bo się bał – odpowiedziała Arnie Tenebrae.

– Chyba nie powiesz nikomu, prawda? – zapytał Johnny Stalin. I dzieci chórem zaprotestowały.

– Cicho – powiedział Rael Mandella, nagle wypełniając sobą grotę. – Słyszałem pana historię i powiem panu jedno: to, co ktoś robił w przeszłości, nie ma dla mnie znaczenia i nie powinno mieć dla nikogo innego. Kiedy doktor Alimantando (pamiętacie go, dzieciaki?) zakładał tę

osadę, powiedział, że nikogo nie odtrącimy tylko za to, co robił wcześniej. To miało być miejsce, gdzie można zacząć od nowa. No cóż, doktora już nie ma, poszedł w przyszłość czy przeszłość, sam nie wiem, ale myślę, że miał rację. To jest miejsce, gdzie można zacząć od nowa. Muszę powiedzieć, że te nowe wymysły z tym burmistrzem do mnie nie przemawiają, wszystko tu lepiej działało, kiedy doktor Alimantando tego doglądał. Ale nie mam pretensji do ludzi, którzy chodzą do burmistrza i proszą o dobre odpowiedzi; dobre odpowiedzi albo masz w sobie, albo w ogóle ich nie ma, czyli, innymi słowy, ja nikomu nie powiem, że tu jesteś. Jeśli zapytają, powiem im, i wy tak samo, że widzieliście, jak szedł wzdłuż torów, bo jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to i tak niedługo będziesz musiał stąd zniknąć.

Ręka kiwnął głową z wdzięcznością.

– Dziękuję, sir. Jutro będziemy stąd iść. Czy możemy coś dla was zrobić, żeby okazać naszą wdzięczność?

– Tak – powiedział Rael Mandella. – Mówisz, że jesteś z Zewnątrz, to może będziesz wiedział, czemu od stu pięćdziesięciu tysięcy lat nie padał deszcz. Dobra, dzieciaki, przeciwczcie swoje alibi i chodźcie wszystkie do nas do domu na kolację.

Ziemia skrzyła się szronem pod stalowoszarym niebem, kiedy Rael Mandella niósł uchodźcy do jaskini garnek owsianki i dwa banany. Rael lubił spokój tych godzin, kiedy reszta świata jeszcze się z ziewnięciem i pierdnięciem nie obudziła. Zwykle tylko ptaki budziły się przed nim, dlatego zdziwił się niepomiernie, widząc Rękę na chodzie, przytomnego i skupionego nad jakimiś nieodgadnionymi prywatnymi sprawami. Jego obrazkowy strój na noc stał się czarny, a na tym tle tłoczyły się, jak szprychy koła, linie pełne migających cyfr, przelatujących wykresów i kolorowych zdań, wypełniając małą grootę migotliwym blaskiem.

– Co to jest? – zapytał.

– Ciii. Graficzny odczyt klimatycznych i ekologicznych warunków w Porcie Przesilenia, na siedemset lat od rozpoczęcia terraformacji. Podpięliśmy się do Anagnosty na pokładzie Stacji Papieża Piusa, żeby sprawdzić, czy da się namierzyć załamanie dyscypliny w miejscowym mikroklimacie, i to nie tylko wyświetla się niesamowicie szybko, ale jeszcze musimy to odczytywać w lustrzanym odbiciu w tym dzbanku z wodą, więc bardzo prosimy o chwilę ciszy, bo musimy się skupić.

– To niemożliwe – powiedział Rael Mandella.

Kolory śmigały, wirowały słowa. Oszałamiający obraz nagle się wyłączył.

– Mam to. Ale jest problem, bo oni też mają nas. Wyśledzili nas przez łącze komputerowe, więc zjemy śniadanie, podziękujemy i pójdziemy.

– No dobra, ale dlaczego ten deszcz nie pada?

Ręka poczęstował się owsianką i pomiędzy kopiastymi łyżkami powiedział:

– Przez sto różnych rzeczy. Anomalie czasowe, gradienty barometryczne, czynniki opadowe, odchylenia prądów strumieniowych, mikroklimatyczne strefy probabilistyczne, pola katastrof – ale głównie dlatego, że zapomnieliście imię deszczu.

Na co dzieciaki, które potajemnie szły za Raelem do groty, wykrzyknęły:

– Zapomnieliście imię deszczu?!

– A co to „deszcz”? – zapytała Arnie Tenebrae.

Kiedy Ręka wyjaśnił, odparła poważnie:

– No, głupie, jak może woda spadać z nieba? Na niebie to jest słońce, woda nie może się z niego brać, woda jest z ziemi.

– Widzisz? – powiedział Ręka. – One nigdy nie nauczyły się imienia deszczu, jego prawdziwego imienia, tego z serca; wszystko ma takie imię i przychodzi, kiedy się je wypowie. Ale jeśli zapomnieliście imię z serca, to deszcz w ogóle nie może was usłyszeć.

Rael Mandella wzdrygnął się z niewiadomego powodu.

– To pan nam powie imię deszczu – powiedziała Arnie Tenebrae.

– No dalej, pokaż nam, jak woda może spadać z nieba – dodał Limaal Mandella.

– Tak, spraw ten deszcz, żebyśmy wiedzieli, jak go nazywać – powiedziała Taasmin.

– No, no, pokaż – dopowiedział Johnny Stalin.

Ręka odłożył miskę i łyżkę.

– Bardzo dobrze. Wyście nam pomogli to i ja wam pomogę. Szefie, macie coś, żeby pojechać w głąb pustyni?

– Gallacelli mają buggy’ego.

– Da się go pożyczyć? Trzeba pojechać spory kawał, będziemy wpływać na siły na dość kosmiczną skalę, nikt nigdy wcześniej nie próbował akustycznego zasiewania chmur, z tego, co wiemy, ale teoria jest całkiem solidna. Zrobimy deszcz w Drodze Bez Znaczenia.

Piaskowy buggy braci Gallacellich był cudacznym pojazdem-mieszkańcem. Sklecony przez Eda w wolnej chwili, wyglądał jak sześciomiejscowy terenowy trójkołowiec z wielką sklepową markizą w charakterze dachu. Rael Mandella nigdy wcześniej nim nie jechał. Dzieciaki chichotały i pokrzykiwały, kiedy podskakiwał na nierównym terenie, wjeżdżając między wydmy. W końcu nabrał pewności w prowadzeniu trudnego pojazdu po kanałach pomiędzy czerwonymi piaskowymi skałami. Ręka zabawiał dzieci opowieścią o swojej wędrówce przez pustynię, pokazywał ciekawe miejsca i punkty

orientacyjne. Jechali i jechali, i jechali, aż wjechali pod wielką szarą chmurę, z dala od ludzkich siedzib, w krajobrazie, gdzie czas był płynny i zmienny jak mieciony wiatrem piasek, gdzie pod ruchomą powierzchnią pustyni rozbrzmiewały dzwony z zasypanych miast.

Wszystkie ich zegarki zatrzymały się dwanaście po dwunastej.

Ręka kiwnął na Raela Mandellę, żeby się zatrzymał, wstał i powąchał powietrze. Po jego ubraniu przebiegały telewizyjne chmury.

– Tutaj. To jest to miejsce. Czujecie?

Wyskoczył z buggy'ego i wgramolił się na szczyt wielkiej czerwonej wydmy. Rael Mandella i dzieci poszły za nim, zsuwając się z osypującego się piasku.

– Tu – powiedział Ręka. – Widzicie? – Na wpół zasypana w wydmie stała pajęcza rzeźba z rdzewiejącego metalu, nadgryziona zębem czasu i piasku. – Chodźcie.

Razem zjechali po stoku w kaskadach sypkiego piasku. Dzieciaki podbiegły do metalowej rzeźby, żeby dotknąć jej dziwnych powierzchni.

– Czuję, że jest jakby żywa – powiedziała Taasmin Mandella.

– Czuję, że jest stara, zimna i martwa – powiedział Limaal.

– Czuję, że ona nie jest stąd – dodała Arnie Tenebrae.

– A ja tam nic nie czuję – stwierdził Johnny Stalin.

Rael Mandella znalazł jakieś napisy w dziwnym języku. Pan Jericho na pewno umiałby je przetłumaczyć. Rael jednak nie miał daru do języków. Wyczuwał w tym miejscu pomiędzy wydmami dziwną, płaską ciszę, jakby jakaś ogromna siła wysysała tu życie z powietrza i ze słów, które w nim zawisały.

– Tu jest serce pustyni – powiedział Ręka. – Tutaj ta moc jest najsilniejsza, stąd wypływa i tu wraca. Wszystko tu przyciąga, przyciągała nas, kiedy przejeżdżaliśmy, na pewno tak samo było z waszym doktorem Alimantandem, kiedy szedł przez Wielką Pustynię, a setki lat temu – z tym czymś. To starożytny pojazd kosmiczny. Wylądował tu mniej więcej osiemset lat temu, to była pierwsza próba zbadania przez człowieka, czy ten świat nadaje się do życia. Jego nazwa, zapisana tutaj, panie Mandella, oznacza „Żeglarz Północy”, czy, tłumacząc dosłownie, „ten, kto zamieszkuje zatoki i fiordy”. Stoi tu od bardzo dawna, w samym sercu pustyni. W sercu pustyni piasek jest bardzo mocny.

Chmury nad ich głowami stały się grube i pękate. Czas zahaczył się o punkt dwunastu minut po dwunastej. Nie wypowiedziano już żadnych słów – nie były potrzebne, a te, które były potrzebne, zabrała pustynia.

Ręka zdjął z pleców czerwoną gitarę i zagrał flażolet. Wsłuchał się weń w skupieniu.

Nagle rozbrzmiała deszczowa muzyka.

*Piaskoszeptwiatroszeptopowiewzboczewydmy,
unieśrzućunieśrzućunieśrzuć, uczasownikowiony ziarnisty marsz pustyni
wirounosi się, opada, umiera, diabelską-mocą-szlifuje-kamienie wszystkie
rzeczy są z piasku i do piasku powrócą – powiedziała czerwona gitara –
słuchaj piaskogłosu, słuchaj wiatru, głosu lwa, wiatru z za ramienia
świata, chmuroniosącego-sunącego-spadającego, powietrznych warstw
frontów okluzyjnych spiralnoniżowych: żywiołu stref i granic, choć
bezgranicznego, ruchomych pogranicz płynnych królestw powietrza,
sunących z wyciem wokół-wokół-wokół-wkrągświata – gitara śpiewała
pieśń powietrza i piasku – teraz zaśpiewaj pieśń światła i ciepła, szybów
i płaszczyzn i ich geometrycznie precyzyjnych przecięć, w domenie
wiecznoprostopadłości, snopów światła, pól ciepła, duszenia
w pustynnych warstwach i piecach chlebowych, srebrnych brwi słońca
uniesionych w zdziwieniu nad ciemnym woalem chmur: oto jest pieśń
światła, oto jest pieśń ciepła, ale zostały jeszcze inne do zaśpiewania –
powiedziała gitara – zanim deszcz będzie mógł spaśćpaśćpaść, a jedna
z nich to pieśń chmur, pieśń podniebnychpoduszekpuchucukrowejwaty
oddechy skrzeple w parowozy, garnki, patelnie i wanny w zimowe poranki
ubijane przez wiatr i posyłane w rejs jak białe armady żaglowców płynące
przez niebieskieniebieskie morze; i słysz głos wyciąganej w powietrze
wody, kropelekciurkówstrużekstrumyczków mnożących się
w strumieniedopływyrzeczeki aż do morza! do morza! gdzie prądy światła
i ciepła biorą się za nie niczym boże palce, a wiatr unosi je w górę w górę
w górę do królestwa barometrycznego pogranicza, gdzie morze przybiera
kształt akordów Stratus dur, Cirrus moll i Cumulus zwiększony: a każda
z tych rzeczy miała swoją własną pieśń i muzykę, która była imieniem,
jakie ludzie im w swoich sercach nadawali, ukrytym niczym harmonie
w strunach gitary. To były ich prawdziwe imiona, wypowiedane przez
duszę i łatwo zagłuszone przez drobną codzienną krzątaninę zwykłego
człowieka.*

Muzyka wdzierwała się w niebo jak żywioł. Rzuciła się na ścianę chmur z rykiem i wyciem, dzika i nieposkromiona, narastająca i narastająca, aż wyrwała się z granic ludzkiego rozumienia i rozlała poza nimi, tam, gdzie mieszkają prawdziwe imiona. Gitara błagała o uwolnienie wody. Chmury szamotały się w ciasnych okowach. Czas szarpał za dwanaście minut po dwunastej, lecz melodia nie puszczała ani jego, ani ich. Odbite obrazy

szaleństwa migotały na obrazkowym białym ubraniu Ręki. Dzieciaki schowały się pod połami pustynnego burnusa Raela Mandelli.

Świat nie mógł znieść takiej ilości prawdy.

Nagle spadła kropla. Spłynęła po boku wraku kosmicznego statku badawczego i zrobiła ciemny kleks na piasku. Dołączyła do niej kolejna. I jeszcze jedna. Potem następna i następna i następna i nagle okazało się, że pada deszcz.

Pieśń deszczu się skończyła. Ziemię wypełnił a cappella głos deszczu. Dzieci z niedowierzaniem wyciągały ręce po ciężkie krople. Nagle chmury eksplodowały i sto pięćdziesiąt tysięcy lat spadło na ziemię. Rael Mandella, oślepiiony, zdyszany, bez tchu w płucach, odszukał przerażone dzieci i schował je pod płaszczem. Niebo lało się na skuloną, biedną gromadkę ludzi.

Ściany wody rozeszły się koncentrycznie z serca pustyni. Na wzniesieniu zwanym Szczyt Bez Znaczenia Babuszka i dziadek Haran przygotowywali sobie prywatny piknik na czas sjesty. Deszcz zmienił go w paniczny odwrót. Babuszka, w żalośnie przemoczonej wzorzystej tafcie, w oszołomieniu pakowała talerze i dywaniki do wiklinowego kosza szybko napełniającego się wodą. Strugi czerwonej wody wdarły się do wszystkich domów i porwały dywany, krzesła, stoły i luźne przedmioty. Ludzie byli osłupiali. Potem usłyszeli bębnienie w dachówki, wszyscy zawołali: „Deszcz, deszcz, deszcz!”, po czym wybiegli w uliczki i zaułki, by unieść twarze do nieba i dać deszczowi zmyć z ciał suche lata.

A deszcz padał jak nigdy wcześniej. Wąskimi zaułkami płynęły czerwone rzeki, ze wzgórz spadał mały, ale malowniczy wodospad, kanały nawadniające w ogrodach wezbrały gęstą brązowo-czekoladową mazią przetykaną wymyętymi sadzonkami i warzywami. Wszystko podskakiwało i syczało, sieczone ulewą. Deszcz chłostał Drogę Bez Znaczenia.

A ludzie się nie przejmowali. Deszcz, w końcu deszcz! Woda z nieba, koniec suszy, która trzymała ich pustynną krainę od stu pięćdziesięciu tysięcy lat. Ludzie patrzyli na miasteczko. Patrzyli na deszcz. Był tak ulewny, że ledwo było widać lampkę przekaźnika na szczycie domu doktora Alimantanda. Patrzyli po sobie, na ubrania lepiące się do ciała, włosy przyklejone do głów, twarze wymazane czerwonym błotem. Ktoś się zaśmiał, rechotał z głębi brzucha. Ktoś inny mu zawtórował, potem ktoś jeszcze i jeszcze, tak że w jednej chwili roześmiali się wszyscy, wspaniałym, dobrym, dobrym śmiechem. Zrzucili z siebie ubrania i wybiegli nago w potop, by deszcz zalał im oczy, usta, żeby spłynął im po

policzkach, brodach, piersiach, brzuchach, nogach i rękach. Śmiali się, pohukiwali, tańczyli w chlupiącym czerwonym błocie, a patrząc po sobie nawzajem, wymazanych czerwienią i nagich jak zamieszkujące góry upiory z Hansenlandu, zaśmiewali się jeszcze bardziej.

Na początku deszczu za kroplą poszła kropla, a za nią kolejna kropla: podobnie się i skończył, kropla po kropli. W pewnym momencie ludzie zaczęli widzieć wyraźnie i słyszeć się nawzajem przez ryk ulewy. Potop zelżał, potem osłabł i stał się zaledwie drobną mżawką. Kropla po kropli ustał. Spadła ostatnia kropla. Zapadła cisza jak przed stworzeniem świata. Woda skapywała z czarnych rombów kolektorów słonecznych. Chmury, zrobione przez ROTECH, skropiły się do końca. Przebiło się przez nie słońce, rzucając na pustynię świetlne kałuże. Powstała podwójna tęcza, mająca stopy na odległych wzgórzach, a głowę w niebie. Z ziemi uniosły się widmowe smużki mgły.

Deszcze się skończyły. Ludzie znów byli ludźmi podejmującymi codzienne życie mężczyzn i kobiet. Zawstydzeni własną nagością naciągali na siebie przemoczone, brudne ubrania. Po czym stało się coś cudownego.

– Ojej, patrzcie! – wykrzyknęła Ruthie Blue Mountain.

Wskazała na horyzont. Tam odbywała się mistyczna przemiana – na oczach zdumionych mieszkańców Drogi Bez Znaczenia pustynia się zazieleniała. Linia tej alchemii szła przez pola wydm jak sztormowa fala. W parę minut było zielono jak okiem sięgnąć, nawet okiem pana Jericha. Chmury rozproszyły się, na intensywnie błękitnym niebie rozbłysło słońce. Ludzie wstrzymali oddech. Zaraz się stanie coś gigantycznego.

Niczym na boski rozkaz, Wielka Pustynia eksplodowała kolorem. Za dotknięciem słońca po deszczu na wydmach rozjarzył się puentylistyczny krajobraz czerwieni, błękitu, żółceni, delikatnej bieli. Wiatr rozfalowywał ocean kwiatnych płatków i zawiewał do osady aromat stu milionów kwiatów. Ludzie Drogi Bez Znaczenia zbiegli ze swoich nagich kamiennych wzniesień na nieskończone kwieciste łąki. Za nimi opuszczone miasteczko parowało, dwie minuty po drugiej.

W sercu pustyni Rael Mandella zauważył, że przestało padać. Dzieci wyrzały spod jego płaszcza jak kurczęta. Pod ich sandałami zielone pędy rozprostowywały się jak sprężyny zegarków i falowały bladą zielenią na wietrze.

Wokół czerwonej gitary z ziemi przebiły się kwiaty. Rael Mandella podszedł do instrumentu i podniósł go. W jałowym miejscu, gdzie leżał, o światło błagały cienkie białe łodyżki.

Czerwona gitara nie żyła. Jej gładka plastikowa skóra była pełna pęcherzy, zwęglona, progi miała okaleczone, struny poczerniały, palisandrowy gryf pękł na pół. Ze spalonych syntezatorów i wzmacniaczy unosił się dym. Kiedy Rael Mandella obracał ten martwy przedmiot w dłoniach, pękły struny, wydając precyzyjne i ostateczne dźwięki. Po śmierci gitara miała w sobie coś czystego, zupełnie jakby deszcz zmył jej grzechy.

A z człowieka, który mówił na siebie Ręka, niegdysiejszego Króla Dwóch Światów, został tylko jeden strzęp obrazkowego materiału z jego telewizyjnego ubrania.

– Za dużo muzyki – szepnął Rael Mandella do czerwonej gitary. – Tym razem narobiłaś za dużo muzyki.

– A co się stało z Ręką? – zapytał Limaal.

– Gdzie się podział? – zapytała Taasmin.

– Dopadli go źli doktorzy? – zapytała Arnie Tenebrae.

– Tak, na pewno mają go źli doktorzy – powiedział Rael Mandella.

– I co, wetkną mu tego nieżywego człowieka? – zapytał Johnny Stalin.

– Nie wydaje mi się – odparł Rael Mandella, patrząc w niebo. – I powiem wam, dlaczego. Bo myślę, że to, co mają w rękach, to nie jest ani Ręka, ani ten zabity. Według mnie on jest teraz jednym i drugim, bo w kulminacyjnym punkcie muzyki stopili się razem, jak piasek na szkło, i to jest dla nich jak nowy początek.

– Jakby się na nowo urodzili? – zapytała Arnie Tenebrae.

– Jakby się na nowo urodzili, dokładnie. Szkoda, że tak szybko go znaleźli i zabrali, nawet nie zdążyliśmy mu podziękować za ten deszcz. To nieładnie. Oby nie miał nam tego za złe. No dobra, dzieciaki, idziemy.

Limaal Mandella chciał zaciągnąć do domu czerwoną gitarę, na pamiątkę, ale była za ciężka, a ojciec kazał zostawić ją właśnie tam, w sercu pustyni obok starożytnego pojazdu badawczego. Wrócił więc do świata z pustymi rękoma.

O dziesiątej rano w niedzielny poranek, wczesną wiosną roku 127 Persis Tatterdemalion wzięła ślub z Edem, Louie'em i Umbertem Gallacellimi. Dominic Frontera, z mocy swojej władzy jako zarządca miasta, ogłosił ich poliandrycznymi mężami i żoną i odprowadził na pociąg do Południka, na podróż poślubną pod wulkany. Ślub był dla niego poruszającym przeżyciem. Minutę po odjeździe pociągu poszedł do Mereditha Blue Mountain i poprosił o rękę nijakiej Ruthie. Meredith Blue Mountain był niechętny. Dominic Frontera wyznał swą mistyczną, zrodzoną w innym wymiarze miłość, swoją obsesyjną wizję piękna, która dręczyła go w noc i dnie, po czym wybuchnął płaczem.

– Oj, biedaku, co mam zrobić, żebyś znów był szczęśliwy? – zapytała niewinna Ruthie, wchodząc do pokoju na dźwięk beczenia.

Kiedy Dominic Frontera jej powiedział, odparła:

– Tylko tyle? To oczywiście się zgadzam.

Druga szczęśliwie zaślubiona para w ciągu dwóch dni pojechała w podróż poślubną do tysiąca wspaniałych i unikatowych wsi Porcelanowej Góry.

Na drzwiach B.A.R-u/Hotelu zawisła tabliczka z napisem: „Zamknięte na tydzień, otwarcie 23 o godz. 20., właściciele: P. Tatterdemalion, E., L. i U. Gallacelli”. Namalował ją Mikal Margolis. Zamalowując swoje nazwisko i zastępując je swymi zwycięskimi rywalami w miłości, nie czuł zazdrości, jedynie nienawiść i drętwe poczucie fatum, które się wokół niego zamyka. Zamknął drzwi na klucz, który wrzucił do studni. Potem poszedł i zapukał do drzwi Maryi Quinsany.

Maryja natychmiast zrozumiała, jaka jest sytuacja.

– Morton, biorę Mikala na pomocnika do gabinetu. Rozumiesz?

Morton Quinsana nic nie powiedział, tylko wybiegł, trzaskając w furii drzwiami.

– Ale o co chodziło? – zapytał Mikal Margolis.

– Morton jest bardzo do mnie przywiązany – powiedziała Marya Quinsana. – No cóż, będzie się musiał po prostu przyzwyczaić, że teraz ty tu jesteś i wszystko wygląda trochę inaczej.

Tydzień później Persis Tatterdemalion wróciła do Drogi Bez Znaczenia ze swoim starym, dumnym nazwiskiem, trzema mężami i pełnowymiarowym profesjonalnym stołem do snookera, wyprodukowanym przez MacMurdo i Chunga z Landhries Road. Zwołano wszystkich mieszkańców, żeby pomogli go przetransportować ze stacji do B.A.R-u/Hotelu. Zapewniono im darmowy poczęstunek, a dzieciaki, tańczące wokół, ciągnące za liny i noszące kije, wiwatowały, przewidując nieskończone dzbanki przejrzystej lemoniady. Gdy Persis Tatterdemalion-Gallacelli zobaczyła kłódki i tabliczkę, pobiegła prosto do Mikala Margolisa.

– Nie musisz iść.

Mikal Margolis sterylizował właśnie szczypce do kastrowania prosiąt. Stwierdził, że nie jest w stanie być na nią zły, choć, racjonalnie rzecz biorąc, powinien. To było przeznaczenie, a złoszczenie się na przeznaczenie ma tyle sensu, co złoszczenie się na pogodę.

– Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli sobie pójdę. – Jego głos aż ociekał dławioną miłością. – To by już nie działało, nie dałoby się wrócić do starych dobrych czasów, wiedząc, że należysz do kogoś innego, że nosisz cudze dziecko. To już się nie uda. Powiedzmy, że mój udział w hotelu to jest twój ślubny prezent. Mam nadzieję, że przyniesie ci radość. Jedna tylko rzecz... Powiedz mi, czemu musiałaś to zrobić?

– Co zrobić?

– Zająć w ciążę... akurat z Gallacellimi! Co robiłaś tego dnia, kiedy przyszły deszcze? Tego jednego nie rozumiem, czemu z nimi. Ty widziałaś w ogóle, jak oni mieszkają? To jest chlew!

– Nie ma sprawy. Posłuchaj. Byłam wtedy szalona, wszyscy byliśmy trochę szaleni...

Przypomniała sobie, jak w dniu, kiedy przyszły deszcze, leżała na posłaniu z czerwonych maków, obracając w palcach jednego maczka i nucąc głupkowatą melodyjkę, podczas gdy miliony milionów lat świetlnych stąd coś w niej robiło ump-łump, ump-łump, ump-łump. Z radością zerwała z siebie ubranie, kiedy spadł deszcz, i natarła włosy przepięknym czerwonym błotem; było to przyjemne, zupełnie jak latanie,

jakby mogła spadać wiecznie niczym ciężka, ciężarna kropla deszczu i rozbryzgiwać swe kobiece płyny po suchej ziemi. Rozłożyła ręce na boki i z piskiem pobiegła na pola kwiatów, a jej śmigła wyrzucały w powietrze margerytki, stokrotki, maki, sypiące się łukiem w górę przed dwoma silnikami o okrągłych sutkach. O, święte dziecko, była wtedy szalona, ale czyż nie wszyscy wtedy oszaleli, jeśli to cholerne miasteczko, w którym stale się widzi te same twarze, nie jest wymówką, by od czasu do czasu oszaleć, to co jest? Może posunęła się faktycznie trochę za daleko – braci Gallacellich nigdy nie trzeba było specjalnie namawiać, ale kiedy EdUmbertoLouie jej dosiedli, naprawdę poleciała!

– Nie mam pojęcia, co robiłam, wydawało mi się, że latam.

Nawet jej nie przekonało to tłumaczenie. Kiedy się rozstali, Mikal Margolis poczuł, że poczucie winy podnosi się w nim jak mgła. Musi stąd iść, i to szybko, oddalić się od kobiet, które przyciągają jego serce niebezpiecznie blisko granicy Roche'a.

W B.A.R-ze/Hotelu, w nowej dobudówce ze snookerem, pan Jericho wbijał bile z wytrawną łatwością człowieka, za którego kąty liczą jego Czcigodni Przodkowie. Limaal Mandella, lat siedem i trzy czwarte, obserwował go. Kiedy stół się zwolnił, wziął kij i kiedy uwaga wszystkich skupiła się na piwie i fasolowym gulaszu, zrobił breaka za sto siedem punktów. Ed Gallacelli usłyszał za barem dźwięk wpadających do luz bil i się zainteresował. Zobaczył, jak Limaal Mandella robi swoje sto siedem, a potem bierze się za sto piętnaście.

– O, święte dziecko! – wykrzyknął po cichu. Podszedł do chłopca zajętego ustawianiem trójkąta czerwonych kul do kolejnej partii. – Jak ty to robisz?

Limaal Mandella wzruszył ramionami.

– Uderzam tak, jak mi się wydaje, że trzeba.

– Znaczy, że nigdy wcześniej nie miałeś kija w rękach?

– A gdzie miałem mieć?

– O, święte dziecko!

– Popatrzyłem na pana Jericha i zacząłem robić to, co on. To świetna gra, tylko od ciebie zależy, co się stanie. Liczą się tylko kąty i szybkości. Tym razem chyba spróbuję zrobić dużo.

– Jak dużo?

– Już chyba wiem, o co w tym chodzi. Maksa.

– O, święte dziecko!

I Limaal Mandella zrobił maksymalnego breaka, sto czterdzieści siedem punktów, a Ed Gallacelli osłupiał. Po głowie zaczęły mu chodzić

pomysły na zakłady, wyzwania, pule pieniężne.

Mijały miesiące ciąży Persis Tatterdemalion. Zrobiła się wielka, pękata, nieopływowa, co przygnębiało ją bardziej, niż ktokolwiek podejrzewał. Zrobiła się tak ogromna i rozdęta, że mężowie wzięli ją do gabinetu weterynaryjnego Maryi Quinsany, żeby zyskać drugą opinię. Marya prawie przez godzinę osłuchiwała ją urządzeniem służącym do monitorowania ciąży u lam i na koniec obwieściła, że są bliźniaki. Miasteczko wiwatowało, Persis człapała ociężała i obolała po B.A.R-ze/Hotelu, padały deszcze, rosły zboża. Limaal Mandella pod mecenatem Eda Gallacelliego zmienił się w nastoletniego rekina, oskubującego łatwowiernych przejezdnych pedologów, geofizyków i patologów botanicznych z dolarów na piwo. A Mikal Margolis zbliżył się nieodpowiedzialnie do masy Maryi Quinsany i prawem dynamiki emocjonalnej sprawił, że Morton Quinsana znalazł się w cieniu.

W pewną brzydką i mroźną jesienną noc Rajandra Das obszedł wszystkie domy w osadzie i zapukał do każdych drzwi.

– Już pora, zaraz będą! – mówił i biegł z ostrzeżeniem do kolejnego domostwa. – Zaraz będą, już pora!

– Kto będzie? – zapytał pan Jericho, łapiąc śmigłego Merkurego sprytnym chwytem za rękę.

– Bliźnięta! Persis Tatterdemalion rodzi!

I w ciągu pięciu minut całe miasteczko, z wyjątkiem Babuszki i dziadka Harana, stawilo się w B.A.R-ze na darmowe drinki, podczas gdy w głównej sypialni Marya Quinsana i Eva Mandella przeszkadzały sobie nawzajem, a Persis Tatterdemalion sapała i parła, sapała i parła, aż wysapała i wyparła na ten świat dwójkę wspaniałych synów. Jak należało się spodziewać, byli w każdym szczególe podobni do swoich ojców.

– Sevriano i Batisto! – obwieścili bracia Gallacelli (seniorzy).

A kiedy bracia Gallacelli (seniorzy) przebywali z matką i braćmi Gallacelli (juniorami), Rajandra Das zadał pytanie, które chcieli zadać wszyscy, ale się nie odważyli.

– No dobra, to który z nich jest ojcem?

To Wielkie Pytanie bzycało wokół Drogi Bez Znaczenia jak rój denerwujących owadów. Ed, Umberto czy Louie? Persis Tatterdemalion nie wiedziała. Bracia Gallacelli (seniorzy) nie chcieli powiedzieć. Bracia Gallacelli (juniorzy) nie byli w stanie. Pytanie Rajandry Dasa rządziło niepodzielnie przez dwadzieścia cztery godziny, a potem zastąpiło je inne, lepsze. Brzmiało: kto zabił Gastona Tenebrae i zostawił go przy torach z głową roztrzaskaną jak skorupka jajka?

Musiał się odbyć proces. Ludzie nie mogli się go doczekać. Miało to być największe wydarzenie roku albo i największe w całej historii. Symbolizowało także, że Droga Bez Znaczenia jest prawdziwą miejscowością, żadne bowiem miejsce nie jest prawdziwe, póki ktoś w nim nie umrze i nie zaznaczy się wielką czarną pinezką na monochromatycznych mapach umarłych. Było to tak ważne, że Dominic Frontera porozmawiał przez przekaźnik mikrofalowy ze swymi przełożonymi i zakontraktował Sąd Targowy.

Dwa dni później czarno-złoty pociąg wyłonił się zza horyzontu, a Rajandra Das, p.o. zawiadowcy stacji, skierował go na bocznice. Wagon wypluł stado prawników w białych perukach, protokolantów i woźnych, którzy wezwali wszystkich powyżej dziesiątego roku życia na ławników.

Sala Sądu Targowego powstała w jednym z wagonów. Dlatego była dość długa i wąska jak na salę sądową. Sędzia zasiadał na jednym z końców, ze swymi księgami, asystentami i butelką brandy, na drugim stał podsądny. Publiczność i ławnicy siedzieli naprzeciwko siebie pośrodku wagonu i podczas pytań krzyżowych dostawali ostrego zespołu kibica tenisowego. Przewodnictwo objął sędzia Dunne i rozprawa się rozpoczęła.

– Niniejszym rozpoczynamy posiedzenie Mobilnej Służby Sądowej, pod jurysdykcją Sądownictwa Północno-Zachodniej Czwartki (zapewnianego przez korporację Bethlehem Ares) przeznaczonego do rozpatrywania spraw ludności nieposiadającej dostępu do oficjalnych Sądów Okręgowych i towarzyszących im usług prawnych. – Sędzia

Dunne cierpiał na ostrą postać hemoroidów. W przeszłości zdarzało się, że wpływało to na jego wyroki.

– W imieniu Państwa i Korporacji?

– Adwokaci Prye, Peake i Meddyl. – Trzech prawników o lisich twarzach wstało i skłoniło się.

– W imieniu podsądnego?

– Ja, Wysoki Sądzie, Louie Gallacelli. – Wstał i ukłonił się.

Persis Tatterdemalion pomyślała, że w adwokackiej todze wygląda bardzo elegancko i pewnie. Louie Gallacelli zaś trząsł się, pocił się i cierpiał, bo spodnie piły go w kroczu. Nigdy dotąd nie nosił tej śmierdzącej naftaliną togi ani nie praktykował swojej sztuki.

– Jakie są zarzuty?

Protokolant wstał i się skłonił.

– Że w nocy trzydziestego pierwszego sierlipca pan Gaston Tenebrae, mieszkaniec Oficjalnie Zarejestrowanej Osady Droga Bez Znaczenia został z zimną krwią i premedytacją zamordowany przez pana Josepha Stalina, mieszkańca Drogi Bez Znaczenia.

W historii sądownictwa rzadko trafia się tak ewidentny winny jak pan Stalin. Był tak oczywistym podejrzanym o zamordowanie swego znieawidzonego rywala Gastona Tenebrae, że według większości proces był stratą czasu i pieniędzy – chętnie zlinczowaliby go i powiesili na maszcie wiatraka.

– Będzie proces – powiedział jednak Dominic Frontera. – Wszystko musi być lege artis. – I dodał: – Najpierw proces, potem wieszanie.

Mimo zapewnień o niewinności dowody winy pana Stalina mnożyły się. Miał motyw, miał okazję i absolutnie żadnego alibi na tę noc. Był winny jak cholera.

– Czy oskarżony przyznaje się do winy? – zapytał sędzia Dunne. Hemoroidy wydały pierwsze pomruki. Trudny będzie ten proces.

Louie Gallacelli wstał, przybrał stosowną prawniczą pozę i głośno oznajmił:

– Oskarżony jest niewinny.

Po pięciu walnięciach młotkiem udało się przywrócić porządek.

– Jeszcze raz zakłóćcie porządek, a usunę publiczność z sądu – napomniął ich sędzia Dunne. – Co więcej, nie jestem usatysfakcjonowany bezstronnością ławy przysięgłych, ale nie mamy innych kandydatów, więc musimy procedować z taką ławą. Proszę wezwać pierwszego świadka.

Rajandra Das został na czas procesu tymczasowym woźnym.

– Wprowadzić Genevieve Tenebrae! – zawołał.

Genevieve weszła na podest dla świadków i złożyła zeznania. Świadek za świadkiem i stawało się oczywistą oczywistością, że pan Stalin jest winny jak cholera. Oskarżyciele roznieśli na strzępy jego alibi (że grał w domino z panem Jerichem) i ujawnili odwieczny konflikt między rodzinami Stalinów i Tenebrae. Z radością sędów opadających zdechłą lamę rzucili się na sprawę jednej pompy dla dwóch ogrodów.

– Główny motyw! – rzekli chórem, unosząc triumfalnie palce.

Potem jeden za drugim cisnęli na ręce jury rzekomy flirt w pociągu do Drogi Bez Znaczenia, zawiść o dziecko (w tym momencie Genevieve Tenebrae opuściła sąd) oraz tysiąc jeden drobnych zatargów i kłótni. Adw. Prye, Peake i Meddyl triumfowali. Obronie załamało się morale. Wszystko zmierzało do skazania pana Stalina za zabójstwo swego sąsiada, Gastona Tenebrae.

W desperacji Louie Gallacelli, uświadamiając sobie, że nie gra w tej kategorii wagowej, co Prye, Peake i Meddyl, wniósł o przerwę w rozprawie. Ku jego zaskoczeniu sędziego Dunne się zgodził. Wysoki Sąd miał dwa motywy. Po pierwsze, Sąd Targowy rozliczał się za dniówkę, a po drugie, że hemoroidy tak już dawały mu się we znaki, że nie zniósłby kolejnej godziny na ławie sędziego. Rozprawę odroczone, wszyscy wstali, a sędzia Dunne udał się na kolację z kotletów i czerwonego wina, a po niej na intymną sesję z Nagietkową Maścią na Hemoroidy Mateczki Lee.

Natomiast Louie Gallacelli siedział w cichym kącie B.A.R-u/Hotelu i analizował przebieg rozprawy przy gratisowej butelce belladońskiej brandy.

– Matko Boska, jaki byłem beznadziejny.

Zobaczył, że pan Jericho wchodzi i zamawia piwo. Nie lubił pana Jericha. Żaden z braci Gallacellich za nim nie przepadał. Czuli się przy nim prymitywni i niezdarni, bardziej jak zwierzęta niż ludzie. Jednakże to nie ta niechęć kazała Louie'emu zawołać go głośno do siebie, lecz fakt, że pan Jericho odmówił wystąpienia jako świadek i potwierdzenia alibi oskarżonego.

– Co to jest, do cholery, czemu nie chcesz potwierdzić alibi Joeya? Czemu, kurde, nie staniesz przed sądem i nie powiesz: „Tego i tego dnia, o takiej i takiej godzinie graliśmy w domino”?

Pan Jericho wzruszył ramionami.

– No to jak, graliście w noc morderstwa w to domino czy nie?

– Oczywiście, że graliśmy.

– No to powiedz to, do cholery, w sądzie! Posłuchaj, zamierzam cię wezwać na świadka, zostaniesz doprowadzony i wtedy to już będziesz musiał powiedzieć, że graliście wtedy w domino!

– Nie stawię się w sądzie i nie dam się doprowadzić.

– Dlaczego, kurde? Boisz się, że ktoś cię rozpozna? Sędzia? Boisz się pytań krzyżowych?

– Dokładnie. – Ale zanim Louie Gallacelli zdążył zadać jakiegokolwiek trudne prawnicze pytania, pan Jericho dodał konfidencjonalnym szeptem: – Załatwię ci wszystkie dowody bez potrzeby występowania jako świadek.

– O! Jak?

– Chodź ze mną.

Pan Jericho zaprowadził adwokata do byłego domu doktora Alimantanda, pustego i zakurzonego od tego dnia, dwa lata temu, gdy doktor magicznie zniknął w czasie w pogoni za mityczną zieloną osobą. W pracowni doktora Alimantanda pan Jericho stał kurz z małego urządzenia, wyglądającego jak oplątana pajęczyną maszyna do szycia.

– Nikt nie wie, że to istnieje, ale to jest czasozwijacz Alimantando model 2.

– I co? Masz na myśli, że całe to gadanie o podróżującym w czasie zielonym ludziku to prawda?

– Trzeba było rozmawiać trochę ze swoim bratem. On pomagał to zbudować. Doktor Alimantando zostawił nam instrukcje, jak skonstruować model 2, na wypadek gdyby coś się po czasie w tamtym zepsuło; mógłby się zahibernować na parę milionów lat i pojawić się tu po drugą maszynę.

– Fascynujące – odparł Louie Gallacelli, ani trochę niezafascynowany.

– A co to ma do mojego kluczowego świadka?

– Możemy tego użyć i cofnąć czas, żeby spojrzeć na noc morderstwa i zobaczyć, kto naprawdę je popełnił.

– Czyli ty nie wiesz?

– Oczywiście, że nie. Skąd w ogóle pomysł, że wiem?

– Nie wierzę.

– To poczekaj, zobaczysz.

Rajandra Das i Ed Gallacelli zostali oderwani od kolacji i zaprowadzeni w miejsce przy torach, gdzie Rajandra znalazł trupa. Noc była zimna, tak samo jak noc morderstwa. Gwiazdy błyszczały jak stalowe groty włóczy. Na sklepieniu nieba nerwowo migotały lasery.

Louie wymachiwał rękoma, żeby się ogrzać, i próbował coś wyczytać z heliografu na niebie. Oddechy unosiły się wielkimi kłębami pary.

– Jak tam, gotowi jesteście?

Pan Jericho podregulował ustawienia generatora pola.

– Gotowi. Jedziemy.

Ed Gallacelli pstryknął wyłącznikiem na pilocie i uwięził Drogę Bez Znaczenia w przejrzystym niebieskim bąblu.

– Święte dziecko! – wykrzyknął Louie.

Ed Gallacelli łypnął na niego. To było jego powiedzenie.

– Wyszło nie to, co trzeba – powiedział bez potrzeby Rajandra Das. – Zrób coś, zanim ktoś zauważy.

– Próbuję, próbuję – odparł Ed Gallacelli, który zamarł z niezdarnymi palcami nad precyzyjnymi gałkami.

– Chyba przeoczyliśmy Problem Inwersji Temporalnej – wysnuł hipotezę pan Jericho.

– O, a co to jest? – spytał prawnik Louie.

– Pole elektromagnetograwitacyjne o zmiennym gradiencie entropii – odpowiedział Ed Gallacelli.

– Nie, co to jest *to*. – Coś jakby miniaturowa burza z piorunami bombardowało górną część bąbla całkiem ładnymi, acz całkowicie nieskutecznymi błękitnymi błyskawicami.

Trzech inżynierów uniosło głowy znad czasozwijacza.

– Święte dziecko! – powiedział Ed Gallacelli.

– Według mnie to jest duch – stwierdził Rajandra Das.

Burza entropicznej ektoplazmy zawęziła się w przezroczystą, niebieską podobiznę Gastona Tenebrae. Głowę miał zgiętą pod niemożliwym kątem i wydawało się, że kipi tłumioną furią. Może dlatego, że był nagi. Ubrania ewidentnie nie przechodziły w zaświaty, nawet te skromne białe koszule nocne, w które publiczna wyobraźnia przystraja dla przyzwoitości swe zjawy.

– Na oko jest wściekły – rzucił Rajandra Das.

– Też byś był, gdyby ktoś cię zamordował – odparł Louie.

– Przecież duchów nie ma – powiedział stanowczo pan Jericho.

– Aha, nie ma? – odrzekły trzy głosy jednocześnie.

– To uwikłany czasowo zestaw engramów tej osoby, zapisany holograficznie w lokalnej macierzy naprężeń przestrzennych.

– A już tam – rzekł Rajandra Das. – To jest duch i tyle.

– W sumie tak wygląda – przyznał pan Jericho.

– No dobra. Czyli mamy naszego kluczowego świadka. Pomajstruj przy tym czymś i zobacz, czy dasz radę go tu ściągnąć. Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł przedstawić przed sądem ducha ofiary zabójstwa, żeby zeznawała we własnym imieniu.

Sześć rąk wyciągnęło się do gałek generatora pola. Pan Jericho odtrącił te mniej zręczne i pogładził noniusze. Błękitny bąbel skurczył się do dwukrotnie mniejszej objętości, przecinając na pół pompę wiatrową i odcinając jedną trzecią farmy solarnej.

– Zrób to jeszcze raz – powiedział Louie Gallacelli, w myślach opracowując już pytania. Zapisze się w historii prawa. Pierwszy adwokat na świecie przesłuchujący ducha. Bąbel ponownie się skurczył. Teraz był niecałe sto metrów od nich, a duch łytał groźnie na swych prześladowców i ostrzeliwał więzącą go kopułę magicznymi piorunami.

– Żeby tylko nie zechciał użyć tego na nas – zauważył Rajandra Das.

Duch krążył teraz z maksymalną szybkością pod szczytem kopuły, kipiąc w niewypowiedzianej furii.

– Dawajcie go bliżej – powiedział Louie Gallacelli, bezwiednie przyjmując postawę jak przed sądem. W jego myślach proces już był wygrany. Nazwisko „Gallacelli” rozchodziło się szeptem w obie strony wzdłuż torów, wszędzie, gdzie ktoś walczył z niesprawiedliwością i o prawa człowieka.

Elektromagnetograwitacyjne pole o zmiennej entropii miało teraz niecały metr średnicy. Duch, ściśnięty i powyginany w bolesny supeł ektoplazmy, rzucał bezgłośnie przekleństwa, które panu Jerichowi, wprawnie czytającemu z ust, wydały się dość szokujące i kompletnie niestosowne dla kogoś, kto podobno jest teraz w bliskości Panarchy. Louie Gallacelli spróbował pierwszych pytań, lecz duch był tak niewdzięczny i chamski, że Rajandra nie miał wyjścia – musiał skurczyć pole do średnicy piętnastu centymetrów i zostawić je tak, póki duch nie zyska odrobiny szacunku dla prawnych procedur. Czasozwijacz model 2 i kluczowy duch zostały zabrane do B.A.R-u/Hotelu, by poczekać do rana. Umberto Gallacelli przez parę godzin zabawiał się, plując na pole siłowe i pokazując duchowi swoją obszerną kolekcję zdjęć kobiet, które uprawiały, zamierzały uprawiać albo myślały o uprawianiu seksu ze sobą, z innymi kobietami, rozmaitymi zwierzętami hodowanymi i mężczyznami o ogromnych członkach.

Przed ogłoszeniem wyroku sędzia Dunne był w złym nastroju. Od miejscowej wody dostał biegunki, co w połączeniu z hemoroidami sprawiało, że czuł się, jakby srał strumieniami ognia. Śniadanie było zimne i skromne, z radia dowiedział się, że w Biegu Morongai na 10 000 m jego koń faworyt upadł i złamał sobie kark, a teraz brakowało jeszcze dwojga ławników. Kazał swemu woźnemu, temu obdartemu łobuzowi Rajandrze Dasowi, przeszukać całe miasteczko, a kiedy to nie przyniosło skutku, zarządził, że proces będzie kontynuowany z ośmioma ławnikami. Zapisał sobie w pamięci, żeby do i tak znacznego rachunku dla miasteczka doliczyć pięćdziesiąt złotych dolarów za tę dodatkową decyzję. No i jeszcze obrońca, ten durnowaty niedouczoney kmiot mający wygórowane mniemanie o swoich prawniczych talentach, na serio proponował, żeby na tak późnym etapie procedury dopuścić nowego, kluczowego świadka.

– Jak się nazywa ten kluczowy świadek?

Louie Gallacelli odchrząknął.

– Duch Gastona Tenebrae.

Adw. Prye, Peake i Meddyl natychmiast zerwali się na nogi. Genevieve Tenebrae zemdląca i trzeba ją było wynieść. Sędzia Dunne westchnął. Odbyt znów zaczynał go swędzieć. Prawnicy zaczęli się sprzeczać. Oskarżony zjadł śniadanie złożone ze smażonego chleba i kawy. Po godzinie ława przysięgłych, publiczność i świadkowie poszli zając się swoimi polami. Argumenty nacierały i były parowane. Sędzia Dunne walczył z uporczywą chęcią, by wetknąć sobie palec w tyłek i drapać to frustrujące miejsce do krwi. Minęły dwie godziny. Nie widząc

szans na zakończenie, jeśli się nie wtrąci, sędzia Dunne walnął młotkiem i oświadczył:

– Zezwalam na powołanie ducha w charakterze świadka.

Rajandra Das obiegł pola i domy Drogi Bez Znaczenia zbierając ławników, świadków i widzów. Nie było ani śladu dwojga ławników – Mikala Margolisa i Maryi Quinsany.

– Wezwać ducha Gastona Tenebrae.

Łapacze duchów pokazali sobie triumfalnie zaciśnięte pięści. Ed Gallacelli wtoczył czasozwijacz model 2 i sprawdził transduktory, które poumieszczał wokół brzegów bąbla.

– Słyszycie mnie? – zaskrzeczał duch.

Genevieve Tenebrae, dopiero co ocucona, natychmiast zemdlą z powrotem. Głos ducha dochodził, trzeszczący, ale zrozumiały, przez wzmacniacz radiowy Eda Gallacelliego.

– A zatem, panie Tenebrae, czy raczej, świętej pamięci panie Tenebrae, czy ten człowiek, oskarżony, zabił pana w nocy trzydziestego pierwszego sierlipca, około dwudziestu minut po niczym?

Duch w niebieskiej kryształowej kuli wykonał radosne salto.

– Joey i ja w przeszłości się poróżniliśmy, pierwszy to przyznam, ale teraz, kiedy jestem w bliskości Panarchy, wszystko to zostało zapomniane i wybaczone. Nie, to nie on mnie zabił. On tego nie zrobił.

– A więc kto?

Genevieve Tenebrae odzyskała przytomność w samą porę, by usłyszeć, jak mąż podaje nazwisko mordercy.

– To był Mikal Margolis. On to zrobił.

Wśród ogromnego jazgotu Genevieve Tenebrae zemdlą po raz trzeci, a Babuszka zaskrzeczała triumfalnie:

– A mówiłam, mówiłam, że ten mój syn to niezłe ziółko.

Sędzia Dunne stuknął młotkiem tak mocno, że odpadła mu główka.

– Jeszcze raz się tak zachowacie, to wszyscy dostaniecie po grzywnie za obrazę sądu – zagrzmiał.

Po przywróceniu porządku duch rozpoczął swe ohydne zeznania, o cudzołóstwie, ognistej namiętności, gwałtownej śmierci i zakazanym trójkacie pomiędzy Gastonem Tenebrae, Mikalem Margolisem i Maryą Quinsaną.

– Zapewne nie powinienem tego robić – skrzeczał duch. – Ale wciąż miałem się za atrakcyjnego mężczyznę; chciałem sprawdzić, czy nie zatraciłem swego talentu do kobiet, więc flirtowałem z Maryą Quinsaną, bo to jest piękna, piękna kobieta.

– Gaston! – wrzasnęła wdowa, powstawszy po trzecim omdleniu i gotowa na czwarte. – Jak mogłeś mi to zrobić?!

– Spokój – powiedział sędzia Dunne.

– A z dzieckiem to co było, skarbie mój? – powiedział duch. – Odkąd jestem w zaświatach, wielu ciekawych rzeczy się dowiedziałem. Na przykład, skąd wzięła się mała Arnie.

Genevieve Tenebrae wybuchnęła płaczem i Eva Mandella wyprowadziła ją z sali. Duch podjął opowieść o potajemnych schadzkach i czułościach w jedwabnej pościeli, ku kompletnemu zdumieniu mieszkańców Drogi Bez Znaczenia. Zdumieniu i podziwowi, że tak intensywną cudzołożną relację (i to z tak publicznie rozwiązłą osobą jak Marya Quinsana) dało się tak skutecznie ukryć przed zaledwie dwudziestoma dwoma mieszkańcami.

– Usidliła mnie, i to jak. Ale teraz jestem mądrzejszy. – Od czasu przewędrowania duszą na Niebiańską Płaszczyznę Gaston Tenebrae dowiedział się o jednoczesnym romansie Maryi Quinsany z Mikalem Margolisem. – Rozgrywała nas, jeden przeciw drugiemu, mnie, Mikala i swojego brata Mortona, rozgrywała nas po prostu dla zabawy. Bawiło ją manipulowanie ludźmi. A Mikal Margolis, no cóż, był zawziętym chłopakiem i nigdy nie wychodziło mu w miłości; kiedy się okazało, że ja jestem jego rywalem, to było dla niego za dużo. – Podejrzewając coś, Mikal śledził Maryę, kiedy szła na schadzkę z Gastonem, i podglądał, jak się kochali. Wtedy zaczęły się dygoty. W przychodni trząśł się z tłumionej furii, upuszczał narzędzia i fiołki. Napięcie narastało, aż krew zagotowała mu się wokół kości, jak ocean tłukący o skały, aż coś zadawnionego i parszywego pękło mu w środku jak czarny wrzód. Znalazł Gastona wracającego ze schadzki wzdłuż torów. Wtedy podniósł kawałek szyny, może półmetrowy, który leżał obok torów, i walnął mnie nim w bok szyi. Przetracił mi kręgosłup, zginąłem na miejscu.

Na tym duch zakończył zeznanie i został wytoczony. Sędzia Dunne wygłosił mowę podsumowującą, a potem, poprosiwszy ławę przysięgłych, by była obiektywna wobec tego, co widziała i słyszała, dał jej czas na naradę i zastanowienie się nad wyrokiem. Ława, ograniczona teraz do siedmiorga ławników, udała się do B.A.R-u/Hotelu. Morton Quinsana, niepostrzeżenie dla wszystkich, wymknął się bowiem pod koniec zeznania.

Czternaście po czternastej jurorzy wrócili.

– Czy ława przysięgłych uznaje oskarżonego za winnego czy niewinnego?

- Niewinnego – powiedział Rael Mandella.
- Czy wszyscy zgadzają się z tym wyrokiem?
- Wszyscy.

Sędzia uniewinnił pana Stalina. Nastąpiły owacje i oklaski. Louie'ego Gallacelliego wyniesiono z Sądu Targowego na rękach i poniesiono przez miasteczko, żeby wszystkie kozy, kury i lamy widziały, jakiego świetnego prawnika zrodziła Droga Bez Znaczenia. Genevieve Tenebrae wzięła córkę i poszła poprosić Eda Gallacelliego o ducha męża.

– Chodzi o uwikłany czasowo zestaw engramów danej osoby, zapisany holograficznie w lokalnej macierzy naprężeń przestrzennych? – zapytał inżynier Ed. – Jasne. Już dają.

Genevieve Tenebrae wzięła do domu czasozwijacz i mały bąbelek zawierający jej świętej pamięci męża, postawiła je na półce i przez dwanaście lat wyrzucała duchowi jego niewierność.

Sędzia Dunne wrócił do swojego wagonu-przebiegalni i kazał jego osobistej służącej, ośmioletniej dziewczynie z Xanthe o śliwkowych oczach, nałożyć na hemoroidy maść kojącą.

Pan Stalin z radością wrócił do żony i grubego nastoletniego syna, którego nos przez cały proces generował strumień błyszczącego śluzu. Świętowali przy pieczonym indyku i groszkowym winie, ale ich szampański nastrój legł w gruzach, gdy czterech uzbrojonych ludzi w czarno-złoty skórzanych strojach wyważyło drzwi kolbami karabinów.

– Joseph Mencke Stalin? – zapytał dowódca.

Żona i syn jednocześnie wskazali na męża i ojca.

– Przekazuję rachunek za usługi wykonane przez Dział Służb Prawnych Korporacji Bethlehem Ares, w tym wynajęcie sali sądowej, opłaty sądowe, wynajęcie na dwa dni personelu sądowego, wynagrodzenie dla tychże, wykorzystanie energii elektrycznej, papieru, wykorzystanie archiwów sądowych, wynagrodzenie prokuratorów, protokolantów, sędziego, artykuły spożywcze, w tym inne, w tym posiłki, maść na hemoroidy i czerwone wino, wynagrodzenie służącej sędziego, opłaty za przyjazd i powrót lokomotywy, ubezpieczenie tejże, opłaty za wysłuchanie stron, za uniewinnienie, podatek od sądu i koszt wymiany sądowego młotka, sztuk jeden: razem, 3548 nowych dolarów, dwadzieścia osiem centawo.

Stalinowie wyglądali jak kupka nieszczęścia.

– Ale ja zapłaciłem. Zapłaciłem Louie'emu Gallacelliemu jego dwadzieścia jeden dolarów – wyjąkał pan Stalin.

– Zwykle wszystkie koszty sądowe ponosi winny – powiedział główny funkcjonariusz. – Jednakże, skoro winny zbiegł przed sprawiedliwością, koszty, zgodnie z artykułem 37, paragrafem 16 Ustawy o Odroczonej Płatności Kosztów Sądowych (w Sądach Okręgowych i u ich podwykonawców) przechodzą na oskarżonego, w świetle prawa osobę najbliższą winnej. Jednakże Korporacja, z dobroci dla osób o ograniczonych środkach, przyjmuje płatność w pieniądzu lub w naturze, a na żądanie wyda nakaz sądowy zwrotu tej płatności przez pana Mikala Margolisa, faktycznego winnego.

– Ale my nie mamy pieniędzy – powiedziała błagalnym tonem pani Stalin.

– W pieniądzu lub w naturze – powiedział porządkowy, już taksując pokój sądowym okiem. Jego wzrok padł na Johnny'ego Stalina, który zamarł z porcją indyka na widelcu pomiędzy talerzem i otwartymi ustami. – On się nada.

Trzech uzbrojonych sekwestratorów wmaszerowało do jadalni i uniosło Johnny'ego z krzesła, cały czas z widelcem w dłoni. Porządkowy nabazgrał coś na swoim clipboardzie.

– Podpisać tutaj i tutaj – powiedział do pana Stalina. – Dobrze. To... – ciągnął, przedzierając różowy formularz wzdłuż perforacji – ...jest zaświadczenie o oddaniu pańskiego syna na służbę na poczet należnych Sądowi Targowemu opłat sądowych, na czas nieokreślony, ale nie krótszy niż dwadzieścia lat i nie dłuższy niż sześćdziesiąt. A to... – wcisnął mu w dłoń niebieską karteczkę – ...jest pańskie pokwitowanie.

Johnny Stalin, lat osiem i trzy czwarte, krzycząc i jęcząc jak zarzynane prosię, został wyprowadzony ze swojego domu na ulicę i wsadzony do pociągu. Lokomotywa z ogłuszającym rykiem odpaliła termojądrowe silniki i odjechała z Drogi Bez Znaczenia. I nikt tu już nigdy nie widział Sądu Targowego.

Morton Quinsana wrócił do pustego gabinetu. Zebrał swoje narzędzia dentystyczne, książki dentystyczne, kitle dentystyczne, fotel dentystyczny. Zrzucił to wszystko na kupę pośrodku gabinetu i podpalił. Kiedy zostały już tylko popioły, wyjął z szafki kawał sznura konopnego, zrobił solidną pętlę i w imię miłości powiesił się na belce dachowej. Jego stopy kołysały się jak wahadło, przechodząc przez kupkę popiołów i nadtopionego metalu i rysując słabe szare smugi na podłodze.

Od roku codziennie było to samo. Codziennie: jaki on był niewierny, i jak ona kochała tylko jego, wyłącznie, zawsze tylko jego i nigdy nawet przez myśl nie przeszedł jej inny mężczyzna, nie, nigdy, ani razu przez te wszystkie lata, przenigdy, no a on, kiedy siedziała w domu i czciła go w świątyni swego serca, co robił, a tak, dobrze wiesz co; i to jeszcze z taką szkapą, z tą szkarłatną babą o podłym rodowodzie (oby przegniło jej łono, a piersi wyschły jak stare bakłażany), i zasłużył sobie na to, co go spotkało, o tak, to jest sprawiedliwość, za zdradę takiej kochającej żony, za to, co zrobił, co zrobił, przyniósł jej wstyd na oczach całego miasta, tak całego miasta, w którym już nigdy nie będzie mogła chodzić z godnością i z podniesioną głową, w którym musi się chować przed ludźmi, a ci, kiedy ją mijają, mówią: „O, idzie, patrzcie, ta kobieta, którą zdradzał mąż, a ona niczego się nie domyśliła”; no, ale teraz dzięki niemu wszyscy wiedzą, dzięki dobroci jego serca, dzięki jego dobrym intencjom, żeby uwolnić tego całego Stalina od zarzutów, własnego rywala i wroga do tego, tak, tyle myślał o rywalach, o wrogach, ale czy choć jedną myśl poświęcił nieszczęsnym oddanym żonom, tym, co kochają niezrównaną miłością, a on co zrobił z tą miłością, no, co zrobił? Tylko ją sprzeniewierzył, idąc do jakiejś taniej ladacznicy, co nie mendziła-mendziła od świtu do nocy, a on widział, jak od tego mendzenia zbrzydła na ciele i duszy, i nienawidził jej za to, nienawidził tej złościwości, co kazała jej zrządzić przez wieczność na łonie Panarchy, nienawidził jej i bardzo pragnął ją ukarać, więc któregoś dnia zagwizdał i zawołał swą córkę, aż ta odłożyła książkę i przytknęła twarz do niebieskiego bąbla, i wtedy powiedział do niej:

– Arnie, skarbie, a zastanawiałaś się kiedyś, skąd się wzięłaś?

Arnie zaś odparła, muskając ustami niebieskie pole siłowe:

– Znaczy chodzi ci o seks i tak dalej?

Na co on odrzekł:

– Oj, nie, skąd się wzięłaś konkretnie ty, bo wiesz, Arnie, ja nie jestem twoim tatą.

I opowiedział jej o tym, czego się dowiedział podczas przelotnego kontaktu z Panarchiczną Wszechwiedzą, jak to pewna kobieta ukradła dziecko bezdzietnej staruszce, jak ta kobieta pragnęła tego dziecka najbardziej ze wszystkich rzeczy w materialnym i niematerialnym świecie, więc hołubiła, pielęgnowała i urodziła to dziecko jak swoje własne, a kiedy powiedział jej to wszystko, dodał:

– Arnie, popatrz no w lustro i zastanów się: czy ty naprawdę wyglądasz jak Tenebrae, czy może wyglądasz jak Mandellowie, bo w istocie jesteś siostrą Raela, a ciotką Limaala i Taasmin.

A kiedy poszła do swojego pokoju do lustra i usłyszała jej szloch, ucieszył się bardzo, zasiał bowiem nasiono zniszczenia swej żony w dziewczynie, która nie była, ani teraz, ani nigdy, jego ukochaną córką. I tak wielka była jego złośliwa radość, że zaczął w swoim opalizującym niebieskim bąbelku fikać drobne koziołki.

Nazywał się Trik O'Rourke. Miał diamentowe plomby w zębach i kij ze złotymi wstawkami. Jego garnitur był z najdelikatniejszej jedwabnej organzy, a buty ze skóry z Christadelfii. Tytułował się wieloma wymyślnymi tytułami – Mistrz świata, Sułtan Snookera, Władca Zielonego Sukna, Największy Snookerzysta w Historii Wszechświata, lecz był już gasnącą gwiazdą i wszyscy o tym wiedzieli, bo przecież człowiek utrzymujący, że ma takie tytuły, nie grałby o dziesięciodolarowe stawki w B.A.R-ze/Hotelu w Drodze Bez Znaczenia. Niemniej jego gwiazda – nawet przygasła – świeciła jaśniej niż gwiazdy innych bilardzistów w Drodze Bez Znaczenia i zanim zapytał, czy ktoś jeszcze chce się z nim zmierzyć, zgromadził całkiem pokaźną kupkę banknotów.

– Ja znam jednego – powiedziała Persis Tatterdemalion. – Jeśli jeszcze nie poszedł spać. Widział ktoś Limaala?

Plamka ciemności oddzieliła się od najciemniejszego stolika w najciemniejszym kącie i podpłynęła do stołu do snookera. Trik O'Rourke przyjrzał się przeciwnikowi. Domyślał się, że ma dziewięć–dziesięć lat – ten niedookreślony i bolesny wiek pomiędzy chłopięctwem i męskością. Młody, pewny siebie; patrzcie tylko, jak chowa kredę do kieszeni kamizelki. Co to będzie za gracz – ciężko się trudzący czy mistrz taktyki, książę wbijaczy czy król wojny psychologicznej?

– Jaka stawka? – zapytał.

– A ile chcesz?

– O całość?

– Chyba da się zrobić.

Parę osób przy barze kiwnęło na zgodę. Chyba się szeroko uśmiechali. Na blacie uzbierała się kupka dziesięciodolarówek.

– Kto rozbija? Rzucamy monetą?
– Dla mnie orzeł.
– Reszka. Ja rozbijam. – Gdzie dziewięcioletni chłopak-mężczyzna nauczył się takiej pewności siebie? Trik O'Rourke patrzył, jak przeciwnik pochyła się z kijem.

Jest jak wąż, pomyślał, giętki i elegancki. Ale myślę, że dam mu radę.

I grał ze wszystkich swoich sił i prządnął swój talent tak cienko, że wydawało się, że pęknie, ale ten chudy chłopak o zapadniętych oczach musiał brać energię z ciemności, gdyż każdy jego strzał był równie starannie przemyślany i wykonany jak poprzedni. Grał ze śmiertelnością nieomylnością, która zużywała Trika O'Rourke'a niczym koło szlifierskie. Stary kombinator zagrał z chłopakiem pięć partii. Pod koniec piątej był zmęczony i wyżęty, za to młody był świeży i dokładny, jakby dopiero co zaczął. Cofnął się, w szczerym podziwieniu dla talentu chłopaka, i kiedy ostatnia czarna bila przyniosła mu zwycięstwo, trzy do dwóch, zawodowiec pierwszy mu pogratulował.

– Synu, ty masz talent. Prawdziwy talent, przegrać do kogoś takiego sto dolarów to żadna ujma. Aż przyjemnie było na to popatrzeć. Ale pozwól, że wyświadczę ci jedną przysługę. Wywróżę ci przyszłość.

– To ty wróżysz?

– Przy stole, z bil? Nie spotkałeś się z tym? – Trik O'Rourke wyciągnął z torby szeroki zwój czarnego sukna i rozłożył je na stole. Było podzielone na części, każda opatrzona tajemniczymi symbolami i osobliwymi złotymi podpisami – „Niewidząca jaźń”, „Zmiany w sobie i w świecie”, „Przestrzeń”, „Za nim”, „Przed nim”, „Ponad nim”. Ustawił kolorowe bile w trójkąt, a białą postawił w złotym kółku podpisanym „Co przyjdzie”.

– Zasady są proste. Rozbijasz te bile. Od ciebie zależy, jaki będzie kąt, siła, jaka rotacja, a z tego, jak się rozproszą, odczytam twoje przeznaczenie. – Chudy chłopak ujął kij i przetarł go szmatką. – Jedna rada. Ty grasz racjonalnie. Pewnie dokładnie wiesz, gdzie chciałbyś te bile poumieszczać. Jeśli tak zrobisz, to się nie uda. Musisz wyłączyć umysł i pozwolić zdecydować sercu.

Chłopak kiwnął głową. Spojrzał wzdłuż kija. Nagły przeskok ciemnej energii, taki, że wszyscy aż się wzdrygnęli, i biała bila rozbiła piramidkę kolorowych. Przez sekundę stół był kwantowym koszmarem rykoszetujących bil. Potem znów wszystko znieruchomiało. Trik O'Rourke zaczął chrząkać i pomrukiwać nad stołem.

– Interesujące. Czegoś takiego w życiu nie widziałem. Popatrz: pomarańczowa bila, Podróż, stoi w Złotym Skarbie, zaraz obok czerwonej bili Serca, która stoi dokładnie pomiędzy Złotym Skarbem a Domem Boga. Sądząc po bili Przelotności, wyjedziesz stąd, i to szybko; widać też kogoś, kogo pokochasz w miejscu sławy i fortuny, ale ten ktoś nie będzie stamtąd. A teraz najlepsze. Widzisz tę turkusową bilę, Ambicję, siedzi tuż przy bandzie pośrodku Konfliktu zaraz obok szarej bili Ciemności. Zinterpretowałbym to tak: wejdziesz w konflikt z potężną siłą ciemności, może nawet z samym Niszczycielem.

W B.A.R-ze/Hotelu nagle zrobiło się zimno. Limaal Mandella uśmiechnął się i zapytał:

– A wygram?

– Twoja bila stoi przy samej bandzie. Wygrasz. Ale zobacz: biała bila, bila Miłości, nie wróciła na swoje miejsce. A bila Odpowiedzi, limonkowa, stoi w Wielkim Kręgu, podczas gdy fioletowa, od Pytań, stoi w Zmianie w sobie i świetle. Wyjeżdżasz stąd, żeby szukać odpowiedzi na swoje pytania, ale znajdziesz je dopiero, kiedy wrócisz do domu, tam, gdzie twoje serce.

– Moje serce? W tej dziurze?

Limaal Mandella zaśmiał się wrednie, o wiele zbyt wrednie jak na dziewięciolatka.

– Tak mówią bile.

– A mówią te bile, kiedy Limaal Mandella umrze, staruszk?

– Popatrz na czarną bilę Śmierci. Zobaczy, jak leży tuż przy Nadziei, na linii pomiędzy Słowem a Ciemnością. Tam, gdzie twoje serce, stoczysz największą bitwę w życiu, a przegrywając ją, stracisz wszystko.

Limaal Mandella znów się zaśmiał. Złapał się za pierś.

– Moje serce, staruszk, jest tutaj. I tylko tu jest. We mnie.

– Prawdę mówisz.

Limaal przetoczył czarną bilę Śmierci czubkiem palca.

– Wszyscy umrzemy i nikt nie wybiera, jak i gdzie to nastąpi. Dziękuję za wróżbę, panie O'Rourke, ale ja sam sobie wykuję moje przeznaczenie z tych bil. Snooker to gra dla racjonalistów, nie dla mistyków. No, pan powie, nie za głęboka myśl jak na dziewięciolatka? Ale świetnie pan grał, naprawdę fantastycznie. Teraz ten dziewięciolatek naprawdę już musi iść spać.

Wyszedł, a Trik O'Rourke zebrał swoje magiczne bile i wróżebne sukno.

Po tym wieczorze Limaal Mandella nabrał przekonania o swojej wielkości. Choć racjonalizm nie pozwalał mu uwierzyć w wyrocznię z bil, sercem dostrzegł swoje imię wypisane wielkimi literami między gwiazdami i zaczął grać nie dla miłości, nie dla pieniędzy, lecz dla władzy. Jego wielkość rosła za każdym razem, gdy rozwalił jakiegoś przejezdnego geologa, geofizyka, botanika, biopatologa pedologa czy meteorologa. Pieniądze były bez znaczenia, stawiał za nie kolejki wszystkim obecnym. Nazwisko Limaala Mandelli rozchodziło się w obie strony po torach, razem z legendą o chłopaku z Drogi Bez Znaczenia, który jest niepokonany, o ile jest w swoim miasteczku. Nie brakowało młodych pistoletów chcących zakwestionować legendę, a ich porażki tylko ją wzmacniały. Toczące się bile, jak koziołkujące planety z dziecinnych koszmarów, miażdżyły wszystkich przeciwników Limaala Mandelli.

Jakoś w późną noc, czy nad ranem, w swoje dziesiąte urodziny, kiedy osiągał pełnoletność i właśnie zapadała kurtyna nad kolejnym zwycięstwem na suknie, a krzesła lądowały na stolikach, podszedł do Persis Tatterdemalion.

– Ja chcę czegoś więcej – powiedział, kiedy zmywała szklanki. – Musi być coś więcej, w jakimś innym miejscu, gdzie światła świecą jasno, muzyka jest głośna i cały świat nie zamyka się trzy minuty po trzeciej. I ja tego chcę. Jezus, najbardziej ze wszystkiego. Chcę zobaczyć ten świat i pokazać mu, jaki jestem dobry. Gdzieś tam w górze są ludzie, którzy pykają światami jak bilami do snookera, chcę się z nimi zmierzyć, zobaczyć, kto jest lepszy. Chcę stąd wyjechać.

Persis Tatterdemalion odstawiła szklankę i długo patrzyła w noc. Przypominała sobie, jak to jest być uwięzionym w ciasnym, nieznanym miejscu.

– Wiem. Ja wiem. Ale posłuchaj mnie i choć raz posłuchaj. Od dziś jesteś mężczyzną i panem swojego losu. Ty decydujesz, jaki będzie i dokąd cię poprowadzi. Limaal, świat może mieć taki kształt, jaki się będzie podobał tobie.

– Znaczą: jechać?

– Jedź. Jedź teraz, zanim zmienisz zdanie, zanim wykruszy ci się wola. Rany, szkoda, że nie jestem na tyle odważna i wolna, żeby pojechać z tobą.

W oczach barmanki zabłyśły łzy.

Tego ranka Limaal Mandella spakował mały plecak ubrań, wsadził do buta osiemset dolarów uzbieranych z wygranych, a do futerału na kije

schował dwa kije. Napisał liścik do rodziców i zakradł się do ich sypialni, żeby zostawić go przy łóżku. Nie prosił ich o wybaczenie, prosił tylko, by zrozumieli. Zobaczył prezenty, które miał dostać na urodziny, i zachwiał się w swojej stanowczości. Odetchnął głęboko, po czym wyszedł – na zawsze. Zaczekał w mroźnym powietrzu, pod skrzącym się od gwiazd niebem na nocny pociąg do Belladonny. O świcie już był pół kontynentu stąd.

Nigdy się nie myła. Nigdy nie ścinała włosów. Paznokcie na jej nogach i rękach zawijały się na końcach, a włosy z głowy sięgały za tyłek zbitą, tłustą masą, grubo plecioną. Znalazła tam schronienie cała armia pasożytów, podobnie jak we włosach w kroczu i cuchnących, sklejonych potem matach pod pachami. Swędziało i ropiało, ale nigdy się nie podrapała. Podrapać się oznaczało poddać się ciału.

Wojnę przeciwko ciału rozpoczęła w dziesiąte urodziny. Czyli w dniu, kiedy Limaal wyjechał. Klonowy kij, który ojciec sam mu wytoczył, stał zawinięty w szmatkę przy kuchennym stole. Gdy nadszedł wieczór i stało się jasne, że Limaal nie wróci, schowano go do szafki, a szafkę zamknięto na klucz i zapomniano. Potem Taasmin poszła sama na czerwone skały, żeby jeszcze raz przyrzeć się światu. Stała nad Wielką Pustynią i pozwoliła się siec wiatrowi, próbując nauczyć się od niego, jak to jest być kobietą. Wiatr, który nigdy nie ustawał, szarpał ją, jakby była latawcem, który zaraz uleci w niebiosy.

Uświadomiła sobie, że to by się jej podobało. Byłoby pięknie, gdyby duchowy wiatr uniósł ją jak papierową torebkę, jak kawałek ludzkiego śmiecia, niesiony wyżej i wyżej ponad rozpaloną, suchą, suchą ziemię, w niebo wypełnione anielskimi istotami i sprzętem do inżynierii orbitalnej. Poczwała, że żegluję, unosi się w boskim wietrze, i w panice zawołała wewnętrznym głosem do swego brata, lecz ta bliskość już przepadła, napięła się i pękła, rozproszyła się, zniknęła. Bliźniaki stały się niezrównoważone. Mistycyzm jednego już nie kontrolował racjonalizmu drugiego – uleciały w kosmos jak pozbawione sterowności maszyny. Niekontrolowany mistycyzm wlał się w pustkę w umyśle Taasmin, gdzie

wcześniej był jej brat, i przeobraził ją w istotę z czystego światła; czystego, wiecznego światła tryskającego w niebo.

– Światło – szepnęła. – Jesteśmy światłem, jesteśmy ze światła i do światła powracamy.

Otworzyła oczy i przyjrzała się przyziemnej czerwonej pustyni i skulonemu obok niej paskudnemu miasteczku. Przyjrzała się swemu ciału, świeżo ukobieconemu, patrząc z nienawiścią na jego krągłości i muskularną gładkość. Brzydziły ją jego nieskończone głody, nienasycone apetyty i ślepe lekceważenie wszystkiego poza samym sobą.

Nagle wydało się Taasmin Mandelli, że słyszy głos niesiony wiatrem z bardzo, bardzo daleka, spoza świata, spoza czasu, a głos ten wołał: „Umartwienie ciała! Umartwienie ciała!”.

Powtórzyła to jak echo i wypowiedziała wojnę swemu ciału i materialnym sprawom tego świata. Od razu zrzuciła z siebie ubranie, pięknie utkane przez Evę Mandellę na krośnie matczynej miłości. Odtąd chodziła boso, nawet kiedy w deszczu ulice spływały brudem czy ziemię skuwał mróz. Piła deszczówkę z beczki, jadła warzywa prosto z ziemi i spała pod gołym niebem, pod topolami, z lamami do towarzystwa. W południe, kiedy inni obywatele rozkoszowali się uświęconą sjeścią, kucą na rozpalonych skałach Szczytu Bez Znaczenia, pogrążona w modlitwie, niepomna słońca garbującego jej skórę i bielącego włosy na kolor kości. Medytowała nad życiem Katarzyny z Tharsis, której poszukiwania duchowości w przyziemnie pogańskiej epoce doprowadziły ją do porzucenia cielesności i połączenia się duszą z maszynami budującymi świat.

Umartwienie ciała.

Taasmin Mandella wyzuła się z człowieczeństwa. Rodzice nie mogli jej nic zrobić, próby wymuszenia przyzwoitości w ubiorze przez Dominica Fronterę całkowicie ignorowała. Liczyła się tylko wewnętrzna symfonia, kaskada świętych głosów pokazujących bramę niebios za zasłonami ciała. Tą właśnie drogą szła przed nią Błogosławiona Pani, a jeśli ta droga oznaczała zasłużenie sobie na pełne odrazy spojrzenia nowych przybyszów w Drodze Bez Znaczenia, rolników, sklepikarzy, mechaników i kolejarzy, to była to cena, którą należało za to zapłacić. Te nowe twarze z Żelaznej Góry i Llangonnedd, Nowego Merionedd i Doliny Marinerów postrzegały ją jako brzydką i tak szeptały jej za plecami. Ona postrzegała siebie jako piękną ponad wszystko – pięknem ducha.

Pewnego lipcowego dnia, gdy letnie słońce stało w zenicie, a od jego południowego żaru pękały kamyki i trzaskały dachówki, Dominic Frontera wspiął się, zgrzany i spocony, do Taasmin Mandelli, siedzącej wysoko na stromych czerwonych skałach niczym skórzasty ptak.

– Tak dłużej być nie może – powiedział. – Miasteczko rośnie, cały czas pojawiają się nowi ludzie – Merchandani, siostry Pentecost, Chungowie, Axamenidowie, Smithowie... Co oni sobie pomyślą o tym miejscu? Że tu dziewczyny.... kobiety chodzą na golasa przez cały dzień i śmierdzą jak bajoro dla świń? Tak być nie może, Taasmin.

Taasmin Mandella wbiła wzrok w horyzont przed sobą, mrużąc oczy od blasku.

– Posłuchaj, musimy coś zrobić, tak? Tak? Dobrze. Posłuchaj: to może być tak wróciła ze mną do rodziców albo, jeśli nie chcesz, to może Ruthie się tobą zaopiekuje, wykąpie cię, umyje, ubierze jakoś ładnie. Co ty na to?

Powiew wiatru owionął go smrodem. Zrobiło mu się niedobrze.

– Taasmin, Droga Bez Znaczenia nie jest już taka jak kiedyś i nie możemy wrócić do tego, co było. Rośniemy, wchodzimy w Czternastą Dekadę. I na pewne zachowania nie możemy się już godzić. To jak, idziesz?

Taasmin Mandella, nie poruszywszy oczyma, powiedziała:

– Nie.

Nie odzywała się od pięćdziesięciu pięciu dni i wypowiedzenie tego słowa ją zbrzydziło. Dominic Frontera wstał, wzruszył ramionami, zszedł ze skał i wrócił do domu na resztkę sjesty. Wieczorem tego samego dnia Taasmin Mandella wyniosła się od ludzi Trzynastej Dekady i szła po skałach, póki nie znalazła groty, w której z podziemnego oceanu przesączała się woda. Tam mieszkała przez dziewięćdziesiąt dni, dniami śpiąc i modląc się, nocami chodząc dwanaście kilometrów do Drogi Bez Znaczenia, by rabować ogródki obywateli Trzynastej Dekady. Kiedy zaczęły się pokazywać psy i strzelby, poczuła boski zew, by oddalić się bardziej, zatem któregoś słonecznego poranka szła sobie i szła i szła w głąb Wielkiej Pustyni, szła i szła, aż wyszła z pustyni czerwonego piasku na pustynię czerwonego kamienia. Tam znalazła sobie kamienny słup, na którym mogła zostać słupniczką, kamienny pał, na który będzie mogła się nadziać. Tej nocy spała u podstawy słupa, pokazującego jej drogę ku Pięciorgu Niebiosom, a dla zaspokojenia pragnienia zlizywała rosę, która osiadała na jej nagim ciele. Od świtu do zmierzchu wspinała się na kamienny słup, zwinna i zręczna niczym pustynna jaszczurka.

Połamane paznokcie, pokaleczone palce stóp, bąble na palcach rąk, pocięte ciało – wszystko to znaczyło dla niej tyle, co głód w żołądku; zaledwie drobne umartwienia, pomniejsze zwycięstwa nad ciałem.

Trzy dni przesiedziała po turecku na szczycie czerwonego skalnego słupa, nie śpiąc i nie jedząc, nie pijąc i nie wykonując najdrobniejszych ruchów, spychając wrzaski ciała gdzieś głęboko, głęboko, głęboko i daleko, daleko, daleko. Nad ranem czwartego dnia Taasmin Mandella się poruszyła. Podczas długiej nocy śniła, że skamieniała, lecz nad ranem poruszyła się. Nie był to zamaszysty ruch, zaledwie obrócenie wyschniętych gałek ocznych w kierunku chmury nadciągającej z południa, samotnej ciemnej chmury przetykanej błyskawicami. Z chmury dobywał się odgłos jakby roju wściekłych pszczoł. Gdy zbliżyła się nieco, Taasmin Mandella dostrzegła, że składa się z wielu drobnych, rozpaczliwie ruchliwych cząsteczek, istotnie przypominających rój owadów. Przybliżyła się, przybliżyła się jeszcze, wtedy zobaczyła ku swemu zdumieniu (albowiem Taasmin Mandella była jeszcze trochę zdolna do niektórych ludzkich uczuć), że ta chmura składa się z tysięcy tysięcy anielskich istot łopoczących w powietrzu świętymi skrzydełkami. Były podobne do anioła, którego Rajandra Das uwolnił z Ekstrawagancji Adama Blacka, a w powietrzu utrzymywały się dzięki oszałamiającej różnaitości skrzydeł, łopatek, rakiet, płatów, śmigieł, balonów, wirników, dmuchaw i silników odrzutowych. Anielskie zastępy leciały z Południa, tak liczne, że chyba, minąwszy ją, zawracały w tropopauzie, żeby przeparadować jeszcze raz. Nagle z bzyczącej chmury wyłoniło się potężne urządzenie, pudełkowaty obiekt latający, lśniący błękitem i srebrem, długi na pełny kilometr. Jego osobliwa konstrukcja skojarzyła się Taasmin z obrazkami riksza i automobili, które widziała w książkach z obrazkami matki. Na tępym dziobie szczyrzył się chromowany grill opatrzony nazwą „Plymouth”, wypisaną literami wielkimi jak Taasmin Mandella. Pod grillem była prostokątna, jaskrawoniebieska tabliczka, z żółtymi literami głoszącymi:

MARSJAŃSKI STAN ŚW. KASI

Niebieski Plymouth zatrzymał się nad skalną kolumną, a kiedy Taasmin próbowała się domyślić, co to może być (maszyna inżynieryjna ROTECH-u, rydwan niebieski, latająca hala targowa, iluzja ze słońca i kamienia), chór anielski wpłynął pod niego i zaśpiewał przy akompaniamencie cytry, serpentu, okaryny, krumhornu i stratocastera:

*Du łap abi bap
Szubi dubi du
Du łap szłady szłady
A bap bam bu
Bi bap a lula
Szi bap szubi du
Ri bap a lula
Bi bap pam bu*

Pojedynczy anioł odłączył się od niebieskiego chóru i opadł na helikopterowych łopatkach, aż zawisł twarzą w twarz z Taasmin Mandellą.

*Błogosławionaś pani, nowinę ci niosę
Na ugoszczenie świętej przygotuj się, proszę
Naszej największej świętej, z Tharsis wielkiéy pani
Oto przed cię zstępuje, pokłon winnaś dla niéj*

Wydeklamował to nieskazitelnym trzynastozgłoskowcem. Dwa przeciwbieżne wirniki uniosły go z powrotem ku niebu. Wielki Niebieski Plymouth odegrał na swych pięciu klaksonach bardzo starożytną melodię zwaną *Diksy* i wysunął rampę. Drobna, krótko ostrzyżona kobieta, ubrana w olśniewająco biały tropikalny garnitur zeszła po pochylni i podeszła do Taasmin Mandelli, rozpościerając ramiona w uniwersalnym geście powitania.

Pierwszy raz patrząc na miasto Kershaw, siedzibę korporacji Bethlehem Ares, Johnny Stalin nie do końca rozumiał, co widzi. Wydało mu się, że z okienka w kabinie strażniczej w pociągu turkoczującym przez wzgórza koloru łupka i rdzy dostrzega sześcian, czarny jak zamknięte powieki, z wypisanymi wzdłuż górnych krawędzi złotymi literami słowami KORPORACJA BETHLEHEM ARES KORPORACJA BETHLEHEM ARES KORPORACJA BETHLEHEM ARES KORPORACJA BETHLEHEM ARES. Nie potrafił natomiast ocenić proporcji tego sześcianu, bo stał w kałuży brudnej wody, która pozbawiała go jakiegokolwiek perspektywy. Potem zobaczył chmury, brudnobiałe cumulusy, jak zabrudzona wata, zbierające się w trzech czwartych wysokości kostki. Johnny Stalin odwrócił się od okna i ukrył przed tym, co zobaczył.

Sześcian musiał mieć ze trzy kilometry wysokości.

Świat wreszcie nabrał właściwych proporcji – wzgórza poryte piecami i odlewniami, staw, który nie był stawem, lecz wielkim jeziorem, pośrodku którego stało Kershaw. Odraza i fascynacja przyciągnęły go z powrotem do okna. Widział teraz, że cieniutkie nitki wiążące kostkę z brzegami jeziora to szerokie gruntowe wały, mieszczące dwie pary torów kolejowych, a to, co wziął wcześniej za ptaki fruujące wokół ścianek kostki, było śmigłowcami i sterowcami.

Sąd Targowy wtoczył się na taki nasyp. Mijały go pędzące dumne czarno-złote ekspresy, aż kołysał się od fal ciśnienia. Kiedy przejechały, Johnny Stalin po raz pierwszy mógł się dobrze przyjrzeć jezioru. Wydawało się wypełnione oleistą mazią, bulgoczącą i delikatnie parującą. Na powierzchni miało plamy żółcieni chromowej i rdzawej czerwieni, gdzieś daleko oleisty gejzer pluł czarną ohydą, a obszar jeziora wielkości

małego miasteczka eksplodował żółtą siarczaną parą, wyrzucającą kaskady kwaśnego błota na setki metrów we wszystkie strony. Niecałe pół kilometra od nasypu z torami z piany spolimeryzowanych bąbelków uniosło się coś ogromnego, woskowego i różowego – skomplikowana płatanina iglic i kratownic jak przewrócona katedra, wiecznie krusząca się i rozpadająca pod własnym ciężarem.

Johnny Stalin jęknął ze strachu. Nie ogarniał rozumem tego piekła. Nagle dostrzegł coś, co wyglądało na ludzką postać, dziwnie ubraną, idącą po przeciwległym brzegu jeziora. Widok człowieka w tej chemicznej dżungli pocieszył go. Nie wiedział, zresztą nie obchodziło go to, że tą postacią był Udziałowiec Miasta Kershaw przechadzający się po malowniczych brzegach zatrutego jeziora Syss, w słoniowatym aparacie oddechowym i hermetycznym kombinezonie. Udziałowcy Kershaw dosłownie uwielbiali pryzmatyczne barwy i tęczyowy połysk jeziora, jego potężne gejzery, erupcje i spontaniczne polimerowe akrecje; melancholijna atmosfera Zatoki Sepia, należycie przefiltrowana przez aparat oddechowy, inspirowała głównie refleksje o miłości i stracie; Zatoka Zielona, bogata w azotan miedzi, przynosiła spokój umysłu i ciszę niezbędną do podejmowania decyzji zarządczych; niezdrowy rozkład Zatoki Żółtej, cuchnący śmiercią, był ulubionym miejscem samobójców; Zatoka Niebieska była pełna namysłu i zadumy; Zatoka Czerwona była uwielbiana przez menedżerów niższego szczebla, agresywna i dynamiczna. Menedżerowie spacerujący po rdzawych brzegach zobaczyli powrót Sądu Targowego, zobaczyli osobliwego polimerowego chemoida powstającego z chemicznej brei i zagadali do siebie w ożywieniu przez mikrofony. Uważano, że takie zjawiska przynoszą szczęście, dają obserwatorom powodzenie w miłości, sukces w biznesie i dobre wróżby. Podróżnikom przybywającym do Kershaw zwiastowały wielkie powodzenie. Johnny Stalin, zamknięty od ośmiu dni w przedziale strażniczym, nie miał pojęcia o wróżbach i zwiastunach. W ogóle nie miał pojęcia o Korporacji Bethlehem Ares. Ale niedługo miał mieć.

– Udziałowiec 703286543 – powiedzieli mu. – Nie zapomnij: 703286543.

Trudno byłoby mu to zapomnieć. Miał to wydrukowane na plastikowym identyfikatorze, na jednoczęściowym papierowym kombinezonie, który mu dali, na drzwiach pokoju, który dostał, a także na wszystkich przedmiotach w tej maleńkiej klitce bez okna – na stole, krześle, łóżku, lampie, ręcznikach, mydle, egzemplarzu *Ku nowemu feudalizmowi* pod również ponumerowaną poduszką: Udziałowiec 703286543. Co rano,

podczas sprawdzania obecności na korytarzu gruba kobieta w szarym papierowym garniturze menedżera niższego szczebla wołała: „Udziałowiec 703286543” i co rano Johnny Stalin podnosił rękę i mówił: „Jestem”. Był tuż po Udziałowcu 703286542 a przed Udziałowcem 703286544 i nauczył się, gdzie ma stać w szeregu na podstawie tych numerów, nie twarzy. Po liście obecności gruba kobieta czytała im krótki urywek z *Ku nowemu feudalizmowi*, wygłaszała krótką homilię o zaletach feudalizmu przemysłowego i wykrzykiwała codzienne normy produkcyjne, które Udziałowcy odkrzykiwali z powrotem, jednocześnie wykonując czterdzieści pompek, czterdzieści przysiadów i bieg w miejscu przy grzmiącej z głośników dość militarnej muzyce. Potem zdejmowali papierowe czapki i trzymali je na sercu, śpiewając hymn Korporacji. Kiedy Zmiana C maszerowała korytarzem do grawitobusa, gruba kobieta recytowała kursy akcji firmy na światowych giełdach. Polityka firmy zobowiązywała wszystkich Udziałowców do odczuwania osobistej satysfakcji z własnego drobnego wkładu w dzieło Korporacji Bethlehem Ares. Gruba kobieta pakowała Zmianę C do grawitobusa, Udziałowiec bla-bla-bla, Udziałowiec bla-bla-bla, Udziałowiec bla-bla-bla. Drzwi zamykały się, grawitobus pędził w górę dół przód tyłem w prawo, potem Udziałowiec 703286543 rozśmieszał swoją zmianę, naśladując grubą szarą kobietę mówiącą „bla-bla-bla”. Wreszcie grawitobus z szarpnięciem, które rzucało pasażerami jak workami kartofli, docierał do celu, drzwi otwierały się z hukiem, a śmiechy i uśmiechy wyłączały się jak nocny program radiowy, gdy Zmiana C wmaszerowywała do fabryki.

Maszyny również były ponumerowane – przy taśmie stała maszyna numer 703286543, pomiędzy maszynami 703286542 oraz 703286544. Udziałowcy zajmowali pozycje przy maszynach, wyła syrena, na końcu taśmy otwierała się kłapa i serpentynową linią produkcyjną zaczynały płynąć części. Od 9:00 do 11:00 (kiedy była przerwa na herbatę) i od 11:15 do 13:00 (kiedy był obiad) Udziałowiec 703286543 brał część przypominającą trochę ludzkie ucho oraz drugą, jak ozdobna litera P, i zgrzewał je razem na swojej zgrzewarce. Od 13:30 do 16:30 zgrzewał jeszcze więcej uszu i literek P, po czym Zmiana C odbijała karty i wymaszerowywała z fabryki, spotykając wchodzącą do niej Zmianę A. Ponownie wsiadali do grawitobusa, ponownie szarpało nimi w górę i w dół oraz tam i z powrotem, aż w końcu lądowali w dobrze znanych korytarzach. Następowala hałaśliwa i pełna żartów nieco-ponad-godzina w korytarzowej łaźni, potem kolacja w stołówce (tak podobnej do fabrycznej, że Udziałowiec 703286543 zastanawiał się czasami, czy to

nie ta sama stołówka), a po niej towarzysze ze Zmiany C szli do baru i nabijali niesamowite rachunki, zamawiając lodowe daiquiri i inne absurdalne drinki, robione głównie z morwowej pulpy. W poniedziałki, środy i piątki szli do baru. We wtorki i czwartki szli do kina albo na występ, a w soboty szli tańczyć, bo Palais de Danse był jedynym miejscem, gdzie mogli poznać jakieś dziewczyny. Udziałowiec 703286543 był trochę za niski i trochę za młody, żeby tańce mu się podobały. Zęby miał, dość niebezpiecznie, na wysokości sutków swoich partnerek, ale podobała mu się muzyka, szczególnie nowa muzyka tego typu, Glenna Millera. Buddy Mercx też był dobry. W niedzielę były zakupy w Galerii Cud, a wieczorem wszyscy szli do korporacyjnego relaxarium, gdzie młody Udziałowiec przedwcześnie dowiedział się wszystkiego o Męskiej Przyjemności.

„Młody jest na to za młody”, powiedzieli towarzysze, ale ciągnęli go ze sobą każdego tygodnia, bo solidarność zmiany tego wymagała. Solidarność zmiany była głównym punktem nawigacyjnym na mapie życia jednostek robotniczych. Trzymasz się swoich kolegów albo nie trzymasz się w ogóle. I tak było, dopóki Johnny Stalin nie poznał znaczenia skrzynki na pomysły racjonalizatorskie w tygrysie paski.

Podczas pierwszych miesięcy w korporacji Johnny Stalin wiele się nauczył. Nauczył się czapkować menedżerom i stroić miny za ich plecami. Nauczył się zadowalać innych mężczyzn, jednocześnie zadowalając siebie. Nauczył się meandrów pseudonauki zwanej ekonomią i jej iluzorycznych praw, zalecał się do jej nieprawej córki-kretynki zwanej feudalizmem przemysłowym. Wieczorami pił i żartował z chłopakami, dniami zgrzewał kawałki plastiku w kształcie uszu z kawałkami plastiku w kształcie litery P i przekazywał je Udziałowcowi 703286544, który zgrzewał je z plastikiem w kształcie grubasa. Mijały tygodnie i miesiące, podobne do siebie i bezkształtne jak wyciągane z pudełka papierowe chusteczki, aż któregoś dnia, w połowie zgrzewu, do Johnny'ego Stalina dotarło, że nie ma pojęcia, gdzie idą te części w kształcie P, ucha i grubasa, i co się z nimi potem dzieje. Od dwunastu miesięcy zgrzewał dwie części i musiał się dowiedzieć dlaczego. Kiedy spał w swoim ponumerowanym łóżku, śniły mu się plastikowe odlewy – wirowały wokół niego i stapały się w olbrzymie plastikowe góry, plastikowe łańcuchy górskie, plastikowe kontynenty, przytłaczające plastikowe księżycy, w których sercu tkwiła plastikowa część w kształcie litery P zgrzana z częścią w kształcie ucha.

Któregoś dnia zasymulował, że ma biegunkę, wymknął się ze zmiany tuż przed końcem i odczekał, aż grawitobus ze szczękiem i trzaskiem ruszy ze swego miejsca. Dyskretnie wymknął się przez wahadłowe drzwi, przeszedł spokojnie obok milczących jak kamień Udziałowców i dotarł na początek linii, gdzie części wychodziły ze ściany i rozpoczynały swą podróż przez kolejne połączenia. Poszedł wzdłuż meandrującej taśmy, zaglądał przez ramię Udziałowcom spawającym, przykręcającym gałki, składającym obudowy i pokrywy, lutującym elementy elektroniczne i zakładającym elementy ozdobne. Zajęci sprawami Firmy, przeważnie nie zwracali na niego uwagi; nielicznym, którzy zerkali zdziwieni, odpowiadał swoją najlepszą menedżerską miną (wyszlifowaną przez miesiące ćwiczeń) i mówił tonem brygadzysty:

– Tak jest, dobrze, bardzo dobrze, kontynuować.

Zaczął się orientować co to za urządzenie – połączenie radia, czajnika i lampki nocnej, pewnie dość przydatne, chociaż nie widział, gdzie w nim ląduje jego litera P z uchem. Na końcu linii produkcyjnej radioczajnikolampki znikwały w szczelinie w ścianie. Obok taśmociągu były drzwi z napisem „Tylko dla personelu zarządczego”. Johnny Stalin otworzył je i znalazł się w krótkim korytarzu, kończącym się kolejnymi drzwiami z napisem „Tylko dla personelu zarządczego”. Otworzył je i znalazł się w pomieszczeniu tak podobnym do tego, z którego wyszedł, że przez chwilę myślał, że pomylił drzwi. Potem przyjrzał się dokładniej i zobaczył, że wszystko jest tu urządzone zupełnie inaczej. Radioczajnikolampki wyjeżdżały z dziury w ścianie i szły taśmą, wzdłuż której stali Udziałowcy w papierowych kombinezonach z plastikowymi identyfikatorami, i rozmontowywali je na części. Linia demontażowa, linia deprodukcyjna. Osłupiały Johnny Stalin znalazł punkt, w którym jego odpowiednik wtykał plastikowe ucho i literę P pod snop promieniowania i usuwał ich połączenie. Miał numer udziałowca 345682307. Na końcu linii, za stanowiskiem 215682307, strumień plastikowych i chromowych części znikał w szczelinie w ścianie, obok której były drzwi z napisem „Tylko dla personelu zarządczego”.

Tej nocy, pijąc gazowane drinki w barze, Udziałowiec 703286543 napisał na małej karteczce:

„W interesie poprawy wskaźnika wolumenu wytwarzanego sprzedawalnego produktu na jednostkę roboczą zalecam skontrolowanie, a później zamknięcie wszystkich linii wytwarzających produkt 34216. Z poważaniem, Udziałowiec 703286543, J. Stalin”.

Następnego dnia, z samego rana wrzucił swą papierową bombę do skrzynki w żółto-czarne pasy z napisem „Pomysły racjonalizatorskie”.

W ciągu dwóch tygodni Zmiana C została przeniesiona na nowe linie produkcyjne. Johnny Stalin uśmiechał się sam do siebie na myśl o szarych ludzikach w szarych garniturach odkrywających z przerażeniem tę ekonomiczną potworność – fabrykę, która w kółko montuje i rozmontowuje ten sam produkt. Po przeniesieniu Udziałowiec 703286543 znalazł się w nowym pokoju w nowym korytarzu w pracy na nowej linii z nowym ratingiem kredytowym. Kupił sobie do pokoju małe radyjko, żeby móc w niedzielne popołudnia słuchać *Godziny z big-bandem*. Bardzo mu się podobała ta nowa muzyka – Hamilton Bohannon, Buddy Mercx, Jimmy Chung oraz największy z wielkich, Glenn Miller. Stać go było na drobiazgi i pierdółki od straganiarzy w Galerii Cud, które były jedynym sposobem, aby twój roboczy kombinezon się jakoś wyróżniał. Stać go było, żeby trzy razy w tygodniu się napić. Stać go było na dziewczynę, chudą, ostrzyżoną na jeża dziecinę w okularach, którą brał na romantyczne (i drogie) spacerunki wzdłuż Zatoki Sepia i na którą nie skąpił pieniędzy, skąpił zaś zaufania. Spodziewał się, że jakiś szary menedżerski garnitur ma go na oku, i postanowił dobrze podtrzymać to zainteresowanie, żeby szarogarniturzaste anioły stróżę cały czas trzymały się blisko nad nim.

Któregoś dnia przy obiedzie usłyszał, że Udziałowiec 108462793 szepcze coś do Udziałowca 93674306, podając mu butelkę z sosem podczas spotkania Związku na tyłach baru Delahanty’ego. Johnny Stalin zamknął się w kabinie męskiej toalety, ołówkiem napisał liścik do szarych aniołów i posłał go do skrzynki na Pomysły.

Następnego dnia Udziałowcy 108462793 i 93674306 nie przyszli do pracy, i kolejnego, i kolejnego, a potem brygadzysta linii poinformował zmianę, że zgłosili się na ochotnika do przeniesienia na inną linię, z uwagi na niewystarczającą obsadę. Johnny Stalin prawie by w to uwierzył, gdyby przez kratkę klimatyzatora nie słyszał odgłosów policyjnego nalotu na Delahanty’ego. Musiał podkręcić radio na cały regulator, żeby zagłuszyć krzyki i wrzaski. Sąsiad, Udziałowiec 396243088 przez godzinę albo i dłużej bardzo nieprzyjemnie walił w ścianę, żeby je ściszył.

Dwa dni później Udziałowiec 396243088 przy obiedzie zażartował z seksualnego prowadzenia się dyrektorów Firmy podczas spotkań zarządu. Johnny Stalin ryknął śmiechem jak wszyscy. Ale zupełnie nie jak wszyscy wysłał do szarego garnitura krótki liścik.

„Oskarżam Udziałowca 396243088 o nieprzestrzeganie zasad Przyzwoitej Myśli w kontekście Firmy, jej Szacownego Zarządu oraz zasad feudalizmu przemysłowego. Jest nielojalny, nie wykazuje szacunku i podejrzewam go o prozwiązkowe zapatrywania”.

Kiedy na stanowisku Udziałowca 396243088 jako Nadzorującego Sekcję nagle pojawił się wakat („Relokacja i awans”, powiedział nadzorca linii), Johnny Stalin stał się najmłodszą osobą, jaka awansowała na to stanowisko w wydziale lekkiej inżynierii rolniczej. Rating kredytowy miał jak ktoś pięć razy starszy i pięć razy bardziej doświadczony. Nadszedł czas przyznawania Wzorowego Pracownika Roku (sekcja lekkiej inżynierii). Johnny Stalin anonimowo zdemaskował drobny układ korupcyjno-złodziejski, sięgający aż kierownictwa niższego szczebla, po czym, zrobiwszy to w idealnym momencie, został Wzorowym Pracownikiem Roku (sekcja lekkiej inżynierii) dosłownie na dwa dni przed tym, jak korporacyjny topór opadł na dwanaście stanowisk w wydziale rolniczym. Wykazując się przykładową solidarnością, odmówił obecności na posiedzeniach firmowego Sądu, na których dwunastu podsądnych zostało obwinionych zarówno przez sąd pracowniczy, jak i menedżerski oraz zwolnionych dyscyplinarnie.

– To mógł być każdy z nas – powiedział Wzorowy Pracownik Roku do swoich kolegów ze Zmiany A, kiedy popijali mandarynkowe daiquiri w świeżo wyremontowanym barze Delahanty. – To się mogło zdarzyć każdemu.

I tak było. Zdarzyło się to Udziałowcowi 2684437 (Podejrzewam Udziałowca (...) o uprawianie szpiegostwa przemysłowego i zdradę na rzecz konkurencyjnych firm, których jako lojalny i uczciwy Udziałowiec, nie będę wymieniał z nazwy, z poważaniem, J. Stalin), Udziałowcom 216447890 i 552706123 (Podejrzewam Udziałowców (...) o nielegalne erotyczne schadzki w czasie pracy, z poważaniem, J. Stalin) oraz Udziałowcowi 664973505 (Zarzucam Udziałowcowi (...) Nadzorcy Liniowego na linii produkcyjnej nr 76543 w Wydziale Lekkiej Inżynierii lenistwo, bumelanctwo i brak gorliwości w promowaniu Dziewięciu Cnót Feudalizmu Przemysłowego, z poważaniem, J. Stalin).

To była tylko kwestia czasu, kiedy szare garnitury zaproszą ten wzór przemysłowych cnót w szeregi managementu niższego szczebla. Dopiero wtedy odkrył, że szary garnitur nie jest jeden, lecz jest ich jedenastu, zasiadających teraz po trzech stronach dębowego stołu, a wszyscy wyglądali jak zdjęci z taśmy w jakiejś fabryce produkującej menedżerów niższego szczebla. U szczytu stołu siedział najwyższy

szczebel niższego szczebla, szary garnitur, którego słuchały wszystkie inne. Po przeciwnej stronie, w pełnej szacunku odległości od tych luminarzy kasty kierowniczej, stał Johnny Stalin. Najstarszy szary garnitur wygłosił krótką mowę pełną wyrażeń w stylu „wzorowy pracownik”, „przykład”, „produktywna jednostka”, „lojalność wobec firmy”, „wyższe wartości” oraz „udziałowiec rozumiejący zasady Feudalizmu Przemysłowego”. Johnny Stalin pilnie zapamiętywał te frazesy do użytku we własnych pochwalnych i wyróżniających przemowach. Po rozmowie podano kleiste koktajle, złożono gratulacje i Johnny Stalin pożegnał się niskimi ukłonami z kastą kierowniczą. W drodze do swego ponumerowanego pokoju znalazł wsuniętą pod drzwi kopertę zawierającą dokumenty przeniesienia do jednostki szkoleniowej zarządzania produkcją. Z tyłu drzwi odkrył papierowy garnitur w standardowym rozmiarze, szary, wiszący na plastikowym wieszaku, szarym.

Mądrość, stolica tego świata, rozciąga się na czterdziestu wzgórzach nad brzegiem Morza Syrtyjskiego, a z jej kryształowych wież zwieszają się girlandy zielonych pnączy i letnich kwiatów. Llangonnedd leży na wyspie na jeziorze i z czasem wyrwało się z jej granic, wypączkowując całe dzielnice unoszące się na siatce pontonów albo usadowione niepewnie na tysiącach pali. Lyx stoi na obu brzegach wielkiej szczeliny, a po dwudziestu mostach pomiędzy nimi, a każdy z nich jest arcydziełem i oczkiem w głowie jednego z wydziałów Universuum, chodzą w togach z kapturami Magistrowie Katedr, z niskich zaś, walcowatych wież wznosi się w niebo dziesięć tysięcy latawców modlitewnych z błaganiami do Panów Lyx. Reduta ROTECH-u, Porcelanowa Góra, jest federacją setki małych wsi rozrzuconych po wspaniałym parku. Jest tam wioska zawieszona w gałęziach drzew niczym plecione gniazda niektórych ptaków, inna jest zbudowana z pięknie szklonej i wypalanej porcelany, jeszcze inna leży na pływającej wyspie na jeziorze, kolejna składa się z pstrokatych wozów i namiotów wędrujących krętą ścieżką przez las, jest także taka, która spoczywa na sieci diamentowych włókien rozpiętych pomiędzy szczytami Porcelanowej Góry.

To niektóre z wielkich miast tego świata. Do tej listy należy dodać i Belladonnę. Bez wątpienia może się równać ze wszystkimi wymienionymi, choć jej cuda są mniej oczywiste. Podróżnik zbliżający się do niej przez suche i pyliste Stamos zobaczy tylko parę talerzy anten, wysoką wieżę kontroli lotów, parę brudnych ruder z suszonej cegły i parę kilometrów pasów startowych upstrzonych śladami opon. A jednak Belladonna tam jest, obecna, a niewidoczna niczym boska postać w paschalnej hostii – zaprawdę, najbardziej podstępne miasto na świecie

– oczekuje już na podróżnika, ledwie parę metrów pod jego stopami, niczym mrówkolew, czekający, by żarłocznie rozewrzeć paszczę i go pochłonąć.

Belladonna jest dumna ze swego apetytu i dumna ze swej przebiegłości. To miasto – stara cyniczna dziwka, portowa kurwa. W Belladonnie pod betonowym niebem zawsze jest trzecia nad ranem. Nigdzie na świecie nie ma tyle rogów ulic, co w Belladonnie. I w tym mieście, które ma więcej barów, sushi barów, tawern, butików erotycznych, winiarni, burdeli, serajów, łaźni, prywatnych klubów filmowych, całonocnych kabaretów, klubów rozrywkowych, restauracji, salonów z automatami, bilardowni, jaskiń hazardu, opiumowych spelun, tanecznych pałaców, karcianych szkół, kosmetyczek, salonów gry w kości, salonów masażu, biur prywatnych detektywów, rafinerii narkotyków, podziemnych barów, saun, punktów gry w trzy karty, pijalni dzinu, podziemi do krępowania, barów dla singli, targowisk ciał, pchlich targów, aukcji niewolników, siłowni, galerii sztuki, bistr, wystaw, targów, sklepów z bronią, księgarni, sal tortur, relaksariów, klubów jazzowych, piwiarni, straganów warzywnych, sal prób, domów gejsz, kwiaciarni, klinik aborcyjnych, herbaciarni, ringów zapaśniczych, aren do walk kogutów, byków i borsuków, salonów gry w rosyjską ruletkę, fryzjerów, winiarni, butików z modą, hal sportowych, kin, teatrów, publicznych auli, prywatnych bibliotek, muzeów rzeczy osobliwych i spektakularnych, klubów ze striptizem, pokazów osobliwości, salonów tatuażu, sekt religijnych, świątyń, kaplic i zakładów pogrzebowych niż którekolwiek miasto na świecie, może być trudno znaleźć człowieka, jeśli on nie chce być znaleziony. Ale jeśli jest tak sławny jak Limaal Mandella, Największy Snookerzysta, Jakiego Znał Wszechświat, to pewnie da się go znaleźć w pokoiku na tyłach Baru Glenna Millera na ulicy Smutnej. I podobnie, niewielu było ludzi, którzy nie potrafili wyrecytować listy jego podbojów, nie w Belladonnie, mieście, gdzie wielkość polega na długości list. Nie ma żadnego wielkiego belladończyka, który nie miałby za sobą paru odpowiednio znakomitych list.

Jak zatem nazywali się ci ludzie, których pokonał Limaal Mandella, by zostać mistrzem? Zaraz ich wymienimy.

Tony Julius, Oliphant Dow, Jimmy „Klejnot” Petrolenko, „As” Quartuccio, Ahmen Sina Ben Adam, „Łuza” Johnson, Itamuro (Sammy) Joshi, Louie Manzanera, Raphael Raphael junior, „Palec” Lo, Noburo G. Washington, Henry Naminga, biskup R.A. Wickramasinghe, pan C. Asiim, Jackson „Szczęka” junior, „Mrożon” Larry Lemescue, Jesus Ben Sirach,

Valentine Quee, pan Peter Melterjones, „Francuz” Rey, Dharma Alimangansoreng, Nehemiah Chung (Rozpruwacz), pan David Bowie, Mikal „Micky” Manzanera (zbieżność przypadkowa), Saloman Salrissian, Vladimir „Palownik” Dracul, pan Norman Mailer, pan Halran Elissian, Mercedes Brown, „Czerwony” Futuba, sędzia (sędzia Dred) Simonsenn, „Profesor” Chaz Xavier, Czarny John Delorean, Hugh O’Hare, pan Peter Melterjones (ponownie).

Zwycięzając, Limaal Mandella pozostawał skromnym człowiekiem. Gardził pretensjonalnymi i kosztownymi gadżetami swoich przeciwników – futerałami na kije wyłożonymi futrem z nerek, diamentami w zębach, kijami z intarsjami z macicy perłowej, wyhodowanymi w laboratoriach ochroniarzami, strzałkowcami z litego złota, wszelkimi tymi błyskotkami przegrywów. Z fortuny, którą gromadził, szesnaście procent szło do jego menedżera, Glenna Millera, który założył własną wytwórnię płytową „American Patrol” wydającą nowe podziemne kapele i zbudował dla nich studio nagrań, sam zaś zostawiał sobie tyle, żeby móc utrzymać ciało i duszę, a resztę anonimowo rozdawał organizacjom pomagającym emerytowanym prostytutkom, wydającym gorące posiłki 175 tysiącom zarejestrowanych w Belladonnie żebraków czy prowadzącym odwyk dla uzależnionych od alkoholu, narkotyków i pornografii.

Mimo tej ascetyczności, wielkoduszności nawet, w życiu osobistym nie dało się o nim powiedzieć, by posiadał choć odrobinę skromności w kwestii swoich dokonań. Sądził z niezachwianą pewnością, że jest najlepszy. Stał się zawzięty, wychudł, zapuścił brodę, która tylko podkreślała stalowy odcień oczu. Glenn Miller, zaniepokojony fanatyzmem podopiecznego, obserwował go któregoś ranka, kiedy zespół spakował się już i poszedł do domu, jak wbija bilę za bilą, ćwicz, ćwicz, ćwicz, doskonali się, szlifuje, wiecznie nieusatisfakcjonowany.

– Strasznie sobą orzesz, Limaal – powiedział Glenn Miller, kładąc swój puzon na stole. Bile ze szczęknięciem lądowały w łuzach, pędzone nieubłaganą matematyką kija. – Nikt nie umie tyle, co ty. Ile ty tu jesteś, rok, co? No, trochę dłużej, dwadzieścia sześć miesięcy, dokładnie licząc; dopiero co skończyłeś jedenaście lat, a już rozgromiłeś ludzi, którzy mają całe lata doświadczenia; jesteś mistrzem, ulubieńcem Belladonny, to ci nie starcza? Czego jeszcze mógłbyś chcieć?

Limaal Mandella odezwał się dopiero, kiedy opróżnił stół z bil.

– Wszystkiego. Wszystkiego, co jest. – Biała kula potoczyła się i zatrzymała na środku stołu. – Najlepszy w Belladonnie. To mi nie wystarcza, dopóki gdzieś może być ktoś lepszy. Póki się nie przekonam,

że jest albo go nie ma, nie jestem w stanie odpuścić. – Powyciągał bile z luz i ustawił je do kolejnej partii z samym sobą.

Zrodziło się wyzwanie. Człowiekowi, który go pokona, Limaal Mandella odda swą koronę, połowę własnego majątku i przysięgnie, że więcej nie dotknie kija. Jeśli zaś przegra, wymaga tylko, by się uklonił i pogratulował zwycięzcy. Wyzwanie rozeszło się po falach radiowych podczas niedzielnej wieczornej audycji Glenna Millera *Godzina z big-bandem* i dziewięć kontynentów rzuciło się podjąć rękawicę.

A ci wszyscy podejmujący ją to kolejna lista.

Byli to młodzi ludzie, starzy ludzie, ludzie w średnim wieku, ludzie wysocy, ludzie niscy, ludzie grubi, ludzie chudzi, chorzy ludzie, zdrowi ludzie, łysi ludzie, kudłaci ludzie, ogoleni, brodaci, wąsaci, bez kapeluszy, czarni, rudzi, brązowi, żółci, białawi, zadowoleni, smutni, inteligentni, prości, nerwowi, pewni siebie, skromni, aroganccy, poważni, roześmiani, milczący, gadatliwi, ludzie hetero, ludzie homo, ludzie-jedno i drugie, ludzie-żadne z tych dwóch, ludzie niebieskoocy, piwnoocy, zielonoocy, radaroocy, źli ludzie, dobrzy ludzie, ludzie z O, z Południka, z Mądrości, ludzie z Xanthe, z Chryse i z Wielkiego Oxusa, ludzie z Doliny Marinerów i Wielkiej Pustyni, z Archipelagu, ludzie transpolarni i ludzie z Borealis, ludzie z Portu Przesilenia, ludzie z Llangonnedd i Lyx, z Kershaw i Żelaznej Góry, z Bleriota i Touchdown, ludzie z wielkich miast i maleńkich wioseczek, ludzie z gór i z dolin, z lasów i z równin, z pustyń i z mórz; przychodzili i przychodzili i przychodzili, aż miasteczka opustoszały, aż w fabrykach stanęły maszyny, aż zboża na polach dojrzały pod letnim słońcem.

Przyszli starzy mężczyźni, ze śmiercią w oczach, kojarzący się Limaalowi z jego dziadkiem Haranem, oraz kobiety, żony i kochanki, silne kobiety niosące na plecach brzemię świata, wielkie silne kobiety z dziewięciu kontynentów, przyszły także dzieci, ze szkół, z przedszkoli i klubików dziecięcych, z przyciętymi kijami i skrzynkami po piwie, na których musiały stawać przy stole.

Limaal Mandella pokonał ich wszystkich.

Na całej planecie nie było mężczyzny, kobiety czy dziecka, które byłoby w stanie wygrać z Limaalem Mandellą. Był Największym, Jakiego Znał Wszechświat. A kiedy poległ ostatni pretendent, Limaal wszedł na stół, uniósł oburącz kij i zawołał:

– Jestem Limaal Mandella, Największy Snookerzysta, Jakiego Znał Wszechświat! Czy jest ktoś jeszcze, człowiek czy bóg, który rzuci mi

wyzwanie, czy jest ktoś śmiertelny lub nieśmiertelny, grzesznik lub święty, którego nie będę w stanie pokonać?

– Ja nim jestem, jam jest nim. Zagraj ze mną, Limaalu Mandello, i naucz się trochę pokory, mały hałaśliwy koguciku.

Mówiący wstał, żeby mógł go widzieć. Był eleganckim dżentelmenem o oliwkowej cerze, ubranym w czerwony atłas i wspartym na lasce, jakby odrobinę kulał.

– Kim jesteś ty, który mi rzucasz wyzwanie? – nadał się Limaal Mandella.

– Nie muszę podawać imienia, jedynie rzucić ci wyzwanie – odparł elegancki pan.

I istotnie, nie musiał podawać imienia, gdyż chwilowy błysk ognia piekielnego w czarnych aksamitnych oczach przedstawił go wszystkim jako: Abaddona, Satanachię, Arymana, Capa z Mendes, Mefisto(felesa), Arcyłotra, Antychrysta, Hermesa Trismegistusa, Starego Tułacza, Adwersarza, Lucyfera, Ojca Kłamstw, Satana Mekratrigo, Diabolusa, Kusiciela, Starego Nicka, Węża, Władcę Much, Starego Pana, Szatana, Wroga, Diabła, zło, które nie potrzebuje okrywać się żadnym imieniem.

Być może Limaal Mandella był zbyt upojony zwycięstwem, aby rozpoznać przeciwnika, być może jego racjonalizm nie dopuścił do niego myśli o jego piekielnej proveniencji, a może po prostu nie był się w stanie oprzeć żadnemu wyzwaniu, bo zawołał:

– Ile gier? Jak bardzo chcesz zostać upokorzony?

– Do siedemdziesięciu sześciu? – zaproponował Wróg.

– Oczywiście. Rzucamy, kto rozbija.

– Zaraz. Jeszcze stawka.

– Taka sama jak dla każdego pretendenta.

– To trochę za nisko, jeśli pozwolisz. Jeśli wygrasz, Satan Mekrartig zegnije przed tobą kolano, ale jeśli przegrasz, zabierze twoją koronę, majątek i duszę.

– Dobra, dobra. Dość tego teatru. Orzeł czy reszka?

– Reszka – powiedział Wróg, uśmiechając się do swej piekielnej jaźni. Limaal Mandella wygrał rzut i rozbił.

I zaraz stwierdził, że mierzy się z przeciwnikiem, jakiego nigdy w życiu nie spotkał. Dzięki bowiem swej niegdyś boskiej naturze, mógł wykorzystać i nadużyć wszelki ludzki rozum i naukę, ale przez wzgląd na niezrozumiały dla ludzi demoniczny kodeks honorowy, wiążący diabłów i Panarchów, nie wolno mu było wykorzystać tych nadnaturalnych mocy do zmanipulowania gry. Jednakże jego naturalne moce były aż nadto

wystarczające, by zrównać się z Limaalem Mandellą. Szala zwycięstwa przechylała się na zielonym suknie to na jedną, to na drugą stronę – teraz Wróg prowadził o dwa zwycięstwa, teraz Limaal nadrabiał i prowadził o jedno. Nigdy nie dzieliła ich różnica większa niż kilku partii.

Co cztery godziny robili sześćdziesięciminutową przerwę. Limaal Mandella jadł, kąpał się, wypijał piwo albo szedł się na moment zdrzemnąć. Wróg siedział samotnie w swoim fotelu i popijał absynt ze szklanki uzupełnianej przez zdenerwowanego barmana. Gdy po korytarzach i zaułkach rozeszło się, że Limaal Mandella gra z diabłem o własną duszę, tłumy ciekawskich zaczęły wciskać się do Jazz Baru Glenna Millera, stłoczone i sprasowane niemal do uduszenia i implozji, a wzdłuż bulwaru jeździła tam i z powrotem konna policja, odganiając tłum od drzwi. Nastoletni gońce wypadali ze środka z najnowszym wynikiem dla agencji prasowych i podekscytowani belladończycy patrzyli na pojawiające się afisze głoszące „Mandella prowadzi o jeden” albo siadali w barach, kawiarniach i słuchali radiowego komentarza Maelstroma Morgana. U fryzjerów, w barach sushi, łaźniach i riksach, całe miasto Belladonna kibicowało Największemu Snookerzyście, Jakiego Znał Wszechświat.

Niestety Największy Snookerzysta, Jakiego Znał Wszechświat wiedział, że przegrywa. Grał na poziomie, w który trudno było uwierzyć, ale wiedział, że przegrywa. Zagrania przeciwnika miały w sobie nieludzką dokładność, planowanie w jego grze graniczyło z wszechwiedzą i Limaal Mandella wiedział, że choćby grał jak nigdy, swym ludzkim talentem nigdy nie przewyższy demonicznej doskonałości Szatana. Stracił inicjatywę, został z tyłu i zaczął gonić diabła, wiecznie nadrabiając stracone punkty, żeby pozostać w grze, lecz nigdy nie wysforowując się naprzód, by przejąć kontrolę nad stołem. Okrzyki i pokrzykiwania jego kibiców miały teraz w sobie nutę desperacji.

Po trzydziestu dwóch godzinach przy stole Limaal Mandella był wrakiem człowieka. Rozkudłany, nieogolony, zionący zmęczeniem ze wszystkich porów, kiedy ponownie nachylał się do stołu. Rękę z kijem poruszał już tylko jego racjonalizm, niezachwiana wiara, że umiejętność musi na koniec zatriumfować nad czarną magią.

Nadeszła, z trudem, ostatnia partia. Trzecia zmiana sędziów ogłosiła wynik: 38 gier Limaal Mandella, 38 gier Pretendent. Zostały tylko kolory. Limaal, aby wygrać, potrzebował niebieskiego, różowego i czarnego. Wróg – czarnego i różowego. Popijał swój absynt i był świeży i rześki jak żonkil na letniej łące. Wszechświat z zielonego sukna z maleńkimi,

kolorowymi układami słonecznymi zawirował przed oczyma Limaala Mandelli i nagle gra sprowadziła się do czarnej bili. Limaal wziął głęboki wdech i zmusił się do zmobilizowania resztek swego racjonalizmu. Czarna bila poszybowała po stole, odbiła się od narożników w łuzie, wróciła.

Publiczność jęknęła.

Diabeł spojrzał wzdłuż kija. I wtedy Limaala Mandellę olśniło. Wszedł na boczny stolik, wycelował kij we Wroga i wrzasnął:

– Nie możesz wygrać! Nie możesz wygrać, bo nie jesteś prawdziwy! Nie ma żadnego diabła, nie ma Panarchy, nie ma Świętej Katarzyny, jesteśmy tylko my, my sami. Człowiek jest własnym bogiem i własnym diabłem i jeśli przegrywam teraz z diabłem, to z diabłem, który tkwi we mnie. Jesteś oszustem, starym dziadem, który się stroi, mówi „jestem Szatan” i wszyscy mu wierzą! Uwierzyliśmy mu. Sam mu uwierzyłem! Ale już przestałem, już w ciebie nie wierzę! W racjonalnym świecie nie ma miejsca dla diabła!

Sędzia próbował przywrócić kontemplacyjny spokój w sali do snookera. Jazz Bar Glenna Millera uspokoił się po tym niespodziewanym wybryku. Cap z Mendes raz jeszcze spojrzał wzdłuż kija i uderzył. Biała bila trafiła w czarną, czarna potoczyła się ku łuzie. Jednakże kiedy bile przemieszczały się po stole, piekielny ogień w oczach mężczyzny zamigotał i zgasł. Zniknęła piekielna moc, nieziemska perfekcja, wymazana aktem niewiary Limaala Mandelli. Miasto Belladonna wstrzymało oddech. Czarna bila traciła rozpęd. Zatrzymała się o włos od łuzi. Zapadła absolutna cisza. Nawet trajkotliwy gaduła Maelstrom Morgan zamilkł, słowa uwięzły i nie przedostały się do mikrofonu. Limaal Mandella, mający teraz dziesięć kilometrów wzrostu, podszedł do stołu.

Nagle diabeł stał się po prostu zmęczonym i wystraszonego starszym panem.

Limaal Mandella ustawił kij do strzału, niepomny rozdzierającego wszystkie mięśnie zmęczenia. W sali znów zapadła cisza, jakby tym gestem zatrzymał czas. Ramię odsunęło się w tył jak tłok, tym samym precyzyjnym maszynowym ruchem, który wykonał dziesięć tysięcy identycznych razy w ciągu ostatniego półtora dnia. Uśmiechnął się sam do siebie i ledwo tknął bilę kijem. Biała bila potoczyła się po stole i musnęła czarną, delikatnie jak pieszczota kochanka. Czarna drgnęła i wpadła do łuzi, niczym spadające porcelanowe planetoidy w jego koszmarach.

Po tym, jak odeszła od Mikala Margolisa w barze soba na stacji przesiadkowej Ishiwara, Marya Quinsana wycelowała swe serce w generalnym kierunku Mądrości i pozwoliła, żeby wolność ją tam poprowadziła.

Wolność. Tak długo była więźniarką potrzeb innych osób, że całkiem zapomniała smak wolności. Jednakże wolność miała smak. Smakowała jak centymetr belladońskiej brandy na dnie szklanki, gdy myślałaś, że szklanka jest już pusta. Smakowała jak gorący makaron soba z sosem w zimny poranek po jeszcze zimniejszej nocy. Smakowała tak dobrze, że wstała znad tego śniadania i odeszła od Mikala Margolisa, od baru soba, na drugą stronę ulicy, gdzie starzy mężczyźni celowali strugami brązowego soku z przeżutych konopi do poobijanej mosiężnej spluwaczki, i minawszy ich, podeszła do drzemiącego na bocznicy pociągu towarowego. Przy każdym kroku czuła na sobie wzrok Mikala Margolisa. Podeszła do kabiny lokomotywy, gdzie na semafor czekało dwóch maszynistów, żaden nie miał więcej niż dziesięć lat.

– Jest szansa na przejażdżkę? – zapytała.

Gdy dwóch żujących betel młodziaków zlustrowało ją od stóp do głów, zerknęła przez ulicę do baru soba MacMurdo, a stamtąd spojrzały na nią zdradzone oczy.

– W sumie moglibyśmy zapytać o to samo – powiedział ciemnobrązowy chłopaczek-maszynista z imieniem „Aron” na czapce.

– Jasne. Czemu nie? – Marya Quinsana obróciła w ustach smak wolności, jak zwinięty liść betelu. W przeliczeniu na walutę ambicji skurwienie się było warte drobne grosze.

– W takim razie czemu nie? – Maszynista Aron otworzył drzwi kabiny.

Marya wspięła się do środka i usiadła pomiędzy nagle spiętymi chłopakami. Światło na semaforze się zmieniło, tokamaki zaryczały i pociąg odjechał ze stacji Ishiwara.

Przesiadając się o świcie, kolejny raz pół dnia czekając na poboczu głównych dróg z uniesionym totemem kciuka, zabierając się nocnymi sterowcami towarowymi, Marya Quinsana gonila ducha wolności przez pół świata, póki nie dopadła go na bocznicę towarowej obok Dworca Głównego l'Esperado.

Pociąg był staroświecki, zdezelowany, złaziła z niego farba, narażona latami na rzeczy cudowne i wspaniałe, lecz Marya Quinsana poznała legendę po samym tylko żółtym sodowym blasku – Objazdowa Edukacyjno-Rozrywkowa Ekstrawagancja Adama Blacka. U podnóża schodków stał znudzony tłumek dworcowych meneli, nie mając nawet garści drobniaków na cuda Adama Blacka. Marya Quinsana nie umiała powiedzieć, co kazało jej wejść tamtej nocy do środka; może łagodna nostalgia, może jakaś atawistyczny przymus, a może chęć rozdrapywania starych ran. Przepchnęła się przez meneli i weszła. Adam Black był trochę bardziej siwy i trochę bardziej smutny, ale poza tym się nie zmienił. Cieszyło ją, że ona go poznaje, a on jej nie.

– Ile to kosztuje?

– Pięćdziesiąt centawo. Gotówką lub w naturze. Jak zawsze.

Przyjrzał jej się wzrokiem, jakby próbował skojarzyć jakieś wspomnienie.

– Jeśli wejdiesz, pokażę ci cuda mojego Gabinetu Luster. – Wziął ją za rękę i wprowadził do zaciemnionego wagonu. – Lustra w Gabinetcie Luster Adama Blacka to nie są zwykłe lustra. Odlali je Mistrzowie Luster z Merionedd, których sztuka wspięła się na takie wyżyny doskonałości, że ich zwierciadła odbijają nie obraz optyczny, lecz czasowy. Odbijają chronony, nie fotony, obrazy czasowe miriady możliwych przyszłości, które mogą się ziścić, a rozchodzą się wachlarzem w czasie, gdy padnie na nie spojrzenie patrzącego. Wyświetlą ci przyszłości, możliwe dla ciebie w kluczowych punktach zwrotnych życia – na tej podstawie mądry człowiek może się zastanowić, pomedytować i odpowiednio skorygować swe życie. – Wygłaszając tę drętwą przemowę, Adam Black prowadził Maryę Quinsanę przez zaciemniony labirynt klaustrofobicznych zakrętów i wygibasów. Gdy ją zakończył, zatrzymał się.

Marya Quinsana usłyszała, jak nabiera powietrza, po czym ogłosił:

– Niech oświecili się przyszłość!

Pomieszczenie było wypełnione nieprzyjemnym fioletowym światłem, rzucanym przez lampę o osobliwym kształcie umieszczoną nad ich głowami. W blasku tej dziwnej lampy Marya Quinsana zobaczyła się odbitą tysiąc tysięcy razy w nieskończonym lustrzanym labiryncie. Obrazy były efemeryczne, ulatywały w chwili, gdy oko je objęło, dzięki skomplikowanemu mechanizmowi, który obracał lustro. Marya Quinsana po chwili pojęła, że można to obejść, przytrzymując je w peryferyjnym polu widzenia, i dzięki temu optycznemu podstępowi zobaczyła widmowe migawki przyszłej siebie – kobietę w mundurze polowym z UBS-ką przewieszonym przez ramię, kobietę z pięciorgiem dzieci pod spódnicą i brzuchem wyдутym od szóstego, kobietę szacowną i potężną w sędziowskiej todze, kobietę nagą na wypełnionym gliceryną łóżku, kobietę znużoną, radosną, zapłakaną, martwą... a wszystkie migwały i znikwały jak nieznajomi z pociągu, rozchodząc się we własne przyszłości. Były to twarze pełne niespełnionej ambicji, frustracji, nadziei, twarze, które porzuciły wszelką nadzieję, bo wiedziały, że to, co mają teraz, jest absolutnym szczytem ich możliwości; twarze śmierci, tysiąc twarzy zakrwawionych lub bladych jak popiół, spalonych na węgiel lub pokrytych ropiejącymi wrzodami chorób, zapadniętych ze starości i wyniszczenia lub spokoju, fałszywego spokoju, który śmierć przynosi tym, co najbardziej z nią walczą.

– Każdy człowiek ma w przyszłości śmierć – powiedziała Marya Quinsana. – Pokaż mi, jak wygląda przyszłość żywych.

– To popatrz tutaj – odrzekł Adam Black.

Marya Quinsana popatrzyła tam, gdzie pokazywał, i zobaczyła śmiejącą się sardonicznie postać, która zerknęła jej przez ramię i odeszła w głąb labiryntu, przeskakując z lustro do lustro swobodnym krokiem jaguara, czując moc rozkołysaną nisko w brzuchu. To był krok osoby pełnej mocy, tak chodzą ci, którzy tworzą i kształtują świat. Tak właśnie zawsze sobie siebie wyobrażała.

– Tę chcę.

– To idź naprzód i ją sobie weź.

Marya Quinsana zrobiła krok naprzód w pogoni za swoją przyszłą jaźnią, a pewność siebie z każdym krokiem rozwijała się w niej jak pąk. Puściła się biegiem, biegiem łowczyni, a kiedy lustro usuwały się jej z drogi, pokazując tylko puste odbicia siebie nawzajem, zobaczyła, że ofiara zwalnia. Z każdym krokiem siła i moc przepływała z niej ku Maryi. Dotarła na długość ramienia do uciekającego obrazu.

– Mam cię! – zawołała i chwyciła go za ramię.

Obraz jęknął z przerażenia, odwrócił się i zobaczyła siebie, poprzednią swą osobę, pewną, choć niepewną, wtajemniczoną, choć nic niewiedzącą, niewolnicę wolności, i zrozumiała, że w pewnym momencie pogoni stała się obrazem, a obraz stał się nią. Obraz rozsypał się w lśniący pył, a Marya Quinsana ponownie znalazła się w wejściu do Gabinetu Luster.

– Jestem przekonany, że to przeżycie było dla pani cenne – powiedział uprzejmie Adam Black.

– Ja także. Proszę, bo zapomniałam: pięćdziesiąt centawo.

– Pani nic nie płaci. Zadowolony klient nigdy nie płaci, płacą tylko niezadowoleni. Ale w sumie płacą tak czy owak, prawda? Choć teraz sobie myślę... ja chyba pamiętam, pani twarz wydała mi się znajoma... ma pani coś wspólnego z miejscowością zwaną Droga Bez Znaczenia?

– Niestety, to było dawno temu i daleko stąd. I nie jestem już tą osobą, co wtedy.

– To samo można, proszę pani, powiedzieć o nas wszystkich. No cóż, do widzenia, dziękuję za wizytę i gdybym mógł prosić o jedną przysługę: gdyby mogła pani powiedzieć swoim przyjaciołom i krewnym o wspaniałościach Objazdowej Edukacyjno-Rozrywkowej Ekstrawagancji Adama Blacka.

Marya Quinsana przeszła przez oświetlone sodowymi lampami tory, tam, gdzie właśnie odpalał lokomotywę pociąg chemicznych cystern podpisanych „Mądrość”. Zaczęło padać, rzadkim, zimnym, nieprzyjemnym deszczem. Obracała w głowie obrazy, które zobaczyła. Już wiedziała, kim jest. Miała cel w życiu. Wciąż była wolna, ale teraz ta wolność miała cel. Poszuka odpowiedzialności, albowiem wolność bez odpowiedzialności jest bezwartościowa, a do tych dwóch cech doda jeszcze władzę, albowiem odpowiedzialność bez władzy to bezsilność. Pojedzie do Mądrości i zakorzeni w sobie tę trójcę swobód.

Zbliżywszy się do pociągu, zobaczyła, że maszynista do niej macha. Uśmiechnęła się i odmachnęła.

W jej koncepcji nie mieściły się dwie osobliwości tego wieczoru. Pierwsza – że Adam Black nie odbijał się w żadnym z czasowych luster. Druga – że obraz, z którym postanowiła się utożsamić, poruszał się w kierunku Drogi Bez Znaczenia.

Odkąd duch ojca wyjawiał jej, że jest podrzutkiem, Arnie Tenebrae odmówiła mieszkania pod jednym dachem z którymkolwiek z rodziców, żywym czy martwym. Skoro jest Mandellą, będzie mieszkać jak Mandella, w domu Mandellów. Znalazła dziadka Harana śpiącego na werandzie wśród sadzonek (ostatnio bowiem rozwinął w sobie pasję do ogrodnictwa, po części z braku dzieci). Usta miał rozdziawione i chrapał. Arnie Tenebrae wrzuciła do nich papryczkę chili, a kiedy uspokoiły się żar i złość, dygnęła i powiedziała:

– Panie Mandella, jestem Arnie i jestem pana córką.

Tak oto opuściła domostwo Tenebrae i weszła pod dach rodziny Mandellów, odtąd przedstawiając się nowym nazwiskiem, choć wszyscy, jak zawsze, mówili o niej „mała Arnie Tenebrae”. Nie cierpiała, kiedy ktoś tak na nią mówił. Miała pięć lat i była panią własnego losu, co udowodniła, adoptując sobie rodzinę, i zasługiwała na poważne traktowanie. Czyż nie wywołała największego skandalu w Drodze Bez Znaczenia od czasu zamordowania jej ojca, wskutek czego matka była teraz dosłownie wyrzutkiem i odzywali się do niej już tylko Stalinowie, a i to wyłącznie szyderczo lub oskarżycielsko? Była osobą znaczącą i nienawidziła ludzi, którzy śmiali się z jej kaprysów.

– Ja im pokażę – powiedziała swemu lustru. – Mandella czy Tenebrae, jeszcze niebo rozbrzmi moim imieniem. Jestem liczącą się osobą. Naprawdę.

Droga Bez Znaczenia była miasteczkiem, które się nie liczyło i nie miało imion, którymi rozbrzmiewałoby niebo. Było sobie, po prostu było i Arnie Tenebrae dostawała furii, że jest takie zadowolone z tego, że po prostu jest, bo ona nie mogła być zadowolona, nie stając się kimś. Droga

Bez Znaczenia nudziła ją. Nudzili ją adoptowani rodzice. Nie cierpiała ich ciągłego okazywania miłości w drobiazgach, a nieustanne drobne czułości ją mierzili.

– Uwolnię się stąd – wyznała swemu odbiciu. – Tak jak Limaal, który zdobył nazwisko i sławę w Belladonnie, czy nawet Taasmin; ona była na tyle silna, żeby wydobyć się ze społecznej formy i żyć wśród skał jak góralek, to czemu nie ja?

Zacęła unikać obecności ludzi, nawet kochającego ojca i matki, wiedziała bowiem, że wszyscy uważają ją za małą, która chce się dorobić, grając na fantazjach starego bezdzietnego małżeństwa. Udało jej się dostać do domu doktora Alimantanda i spędzała długie godziny w błogiej samotności, czytając jego księgi i spekulacje o czasie i czasowości w dyskrekcji opuszczonego pokoju meteo. Odszedł, odszedł, odszedł, wszyscy sobie idą z Drogi Bez Znaczenia, każdy, kto jest choć trochę ciekawy i interesujący. A co z Arnie Tenebrae?

Któregoś dnia wypatrzyła sunące przez pustynię wały pyłu i wiedziała, jeszcze zanim zmieniły się w dziesiątki uzbrojonych w UBS-ki kobiet i mężczyzn w płowych polowych mundurach, dosiadających terenowych trójkołowców, że oto przyjeżdża jej zbawienie.

Z początku bała się je spłoszyć, jakby było nerwowym ptaszkiem, trzymała się więc z tyłu, kiedy uzbrojeni żołnierze odczytali obwieszczenie, że są Korpusem Prawdy Ćwiartki Północno-Zachodniej Armii Całej Ziemi i że osada jest teraz pod ich tymczasową okupacją. Zachowała milczenie, gdy wyjaśniali deklarowane cele Armii Całej Ziemi – zamknięcie świata przed dalszą imigracją, zdanie przez ROTECH kontroli nad sprzętem zarządzania środowiskiem i przekazanie jej władzom planetarnym, utworzenie na każdym kontynencie autonomicznego parlamentu regionalnego, promocję autentycznej i oddolnej kultury planetarnej, nieskażonej ohydą i degeneracją Świata Ojczystego, oraz rozbięcie transplanetarnych korporacji, których chciwość i korupcja wyciskały planetę do sucha. Nie dołączyła do protestujących, kiedy Dominic Frontera i trójka pracowników Kolei Bethlehem Ares trafili do aresztu domowego na czas okupacji, nie była obecna, kiedy Ruthie Frontera, wzburzona i we łzach tarzała się po ziemi przed domem, w którym pilnowano aresztantów.

Przeciwnie – skryła się w cieniu drzewa parasolowego i patrzyła, jak partyzanci uwijają się na dachu domu doktora Alimantanda, robiąc coś przy przekaźniku mikrofalowym. Zobaczyła logo na skrzynkach ze sprzętem radiowym i nagle cała okupacja stała się dla niej jasna.

– *All Swing Radio* – szepnęła, obrysowując palcami słowa na skrzynkach. – *All Swing Radio*.

All Swing Radio było wampiryczną muzyką. W niektórych miasteczkach dać się przyłapać na jego słuchaniu oznaczało grzywnę, pięćdziesiąt dni prac społecznych, konfiskatę radia albo i publiczną chłostę. To była muzyka wywrotowców, terrorystów, anarchistów, którzy objeżdżali pustkowiec świata na swoich trójkołowcach, szukając anten mikrofalowych, do których mogliby podpiąć swe nielegalne nadajniki i nadać swoją wywrotową, okropną, anarchiczną muzykę dzieciakom w ślepych zaułkach, pustych siłowniach, na tylnych siedzeniach riksza, w nieczynnych barach, zamkniętych spółdzielniach oraz małej Arnie Tenebrae/Mandelli słuchającej Wielkiego Głosu Nowej Muzyki pod kołdrą o godzinie dwie po drugiej w nocy. To była najlepsza muzyka na świecie, przyjacielu, stopy zajmowały się od niej ogniem, zmuszała do tańca, dziewczynom kazała zakasać spódnice albo podwinąć nogawki kombinezonów i tańczyć, a chłopakom robić salta w przód i w tył i wirować na parkiecie, na betonie, na udeptanej brązowej ziemi; odważna i zadzierzysta piwniczna muzyka Dharamjita Singha i Hamiltona Bohannona, Buddy'ego Mercxa oraz samego Króla Swingu, Człowieka, który wpadł w pętlę czasową, Glenna Millera i jego Orkiestry. Była to muzyka zadymionych piwnic głęboko pod Belladonną i obskurnych studiów nagraniowych o nazwach w stylu American Patrol, Yellow Dog czy Zoot Money: muzyka, która szokowała twoją matkę; to było *All Swing Radio* i było nielegalne.

A nielegalne było dlatego, że mimo braku politycznego przesłania niosło propagandę. To była rewolucja przez zabawę. Najlepsza robota reklamowa w historii tej branży, której sukces można było mierzyć faktem, że słynny dżingiel stacji gwizdało pół miliona dzieciaków i nuciło tyleż rodziców, nawet nie wiedząc, co to jest. Od pół ryżowych Wielkiego Oxusa po wieżowce Mądrości, od fawel Radości po hodowle bydła w Woolamagong, gdy zbliżała się godzina dwunasta, dzieciaki nastawiały radia na pasmo 881 – a dzisiaj ten słynny dżingiel miał rozbrzmieć na cały glob z Drogi Bez Znaczenia.

– Pasma 881 – powiedziała Arnie Tenebrae. – Tutaj, w Drodze Bez Znaczenia. – Zupełnie jakby Bóg zesłał swe anioły, żeby śpiewały i tańczyły specjalnie dla niej.

– Ej, mała! – Tęga młoda kobieta machnęła na nią Uniwersalną Bronią Szturmową. – Nie ruszaj sprzętu.

Arnie Tenebrae uciekła z powrotem do kryjówki pod parasolowcem i do obiadu obserwowała żołnierzy przy pracy. Tej nocy, o drugiej dwie słuchała *All Swing Radio* pod kołdrą, żeby przybrani rodzice nie słyszeli. Po policzkach ciekły jej łzy frustracji, a szalona, zła muzyka grała, grała i grała.

Następnego dnia, kiedy wrywała w ogrodzie marchewki, uśmiechnął się do niej niejaki inżynier Chandrasekahr, niewiele starszy od niej chłopak z farmy pod Wielkim Oxusem. Arnie Tenebrae odpowiedziała uśmiechem i pochyliła się jeszcze niżej, żeby mógł lepiej zajrzeć w dekolt jej kombinezonu. Po południu inżynier Chandrasekahr przyszedł z nią porozmawiać i próbował jej dotknąć, lecz Arnie była nieco przerażona siłami, które rozbudziła w młodym żołnierzu, i odtrąciła jego szczenięce zaloty. Wieczorem jednak poszła do drewnianego baraku, który Korpus Prawdy zajął na studio radiowe, i zapytała o podporucznika Chandrasekahra. Kiedy podszedł do drzwi, Arnie Tenebrae błysnęła do niego swymi lśniącymi białymi zębami i rozpięła bluzkę, ukazując dumne dziewięcioletnie piersi, lśniące jak kopuły cerkwi w świetle księżycowego pierścienia.

Po wszystkim położyli się wśród pasków padającego przez żaluzje światła. Arnie Tenebrae włączyła radio i powiedziała:

– Zabierz mnie ze sobą.

Inżynier Chandrasekahr mimowolnie postukiwał stopą do rytmu *All Swing Radia*.

– To nie takie proste.

– Proste. Za parę dni musicie jechać do kolejnego przekaźnika. Po prostu weź mnie ze sobą.

– Jesteśmy tajną i mobilną jednostką, nie możemy tak sobie brać każdego, kto zechce. To zbyt wiele zaufania.

– Właśnie dałam ci tyle zaufania, ile ci może dać kobieta. Może dasz mi trochę w zamian?

– A jak z twoim zaangażowaniem ideologicznym?

– Znaczący pytasz o całe to „zamknięcie nieba”? Pewnie, znam fakty. Posłuchaj. – Arnie Tenebrae usiadła i zdominowała inżyniera Chandrasekahra swoim posiekanyim świetlnymi paskami ciała, odliczając punkty ideologii na palcach. – To jest tak, nie? Jeden zagłowiec Praesidium mieści półtora miliona kolonistów. Kiedy przylecą do nas, trzeba mieć dla nich domy, pola, jedzenie, wodę i pracę. I jeśli co roku przybywa dziesięć takich statków, to jest piętnaście milionów ludzi, czyli co roku pięć miast wielkości Południka. Jeśli to trwa przez sto lat, to

jest trzysta miast, tysiąc żaglowców, półtora miliarda ludzi – i skąd się wezmą jedzenie, woda, praca, domy, fabryki, pola dla tych wszystkich ludzi? O to właśnie chodzi Armii Całej Ziemi, żeby zachować ziemię dla nas, powstrzymać tych chciwych ludzi, którzy chcieliby zawłaszczyć nasz piękny świat i wypełnić go swoimi paskudnymi ciałami. Nie jest tak?

– No, w uproszczeniu... tak.

– Czyli znam zasady. To jak, przyjmiecie mnie?

– Nie...

Arnie Tenebrae krzyknęła sfrustrowana i ugryzła inżyniera Chandrasekahra w pierś. Dziadek Haran załomotał w ścianę i krzyknął, żeby ściszyła radio.

– Ale ja chcę!

– To nie ode mnie zależy.

– Słuchaj, zrobię dla ciebie wszystko, rzeczy, których sobie nie wyobrażasz.

– Już zrobiłaś, mój mały pączuszk.

– Nie o to mi chodzi. Chodzi mi o broń, rzeczy, dzięki którym będziesz niezwyciężony. Posłuchaj, wiele lat temu mieszkał tu stary człowiek. To on wymyślił to miejsce, historia mówi, że spotkał zielonego ludzika i poszedł z nim podróżować w czasie, choć o tym to za wiele nie wiem. Ale jego dom jest dokładnie pod nadajnikiem i jest pełen pomysłów, takich, że nie uwierzysz.

– Że czego na przykład?

– Na przykład miotaczy sonicznych, induktorów pól elektromagnetograwitacyjnych, których można użyć w obronie i ataku, można nawet wyłączyć nimi na chwilę grawitację, pól rozpraszających światło, dzięki którym można stać się prawie niewidzialnym...

– Rany boskie.

– Wiem, że to tam jest, sama to widziałam. Na własne oczy. I teraz: jeśli chcesz to dostać, musisz mnie ze sobą wziąć. To jak?

– Wyjeżdżamy jutro o świcie. Jeśli chcesz się zabrać, przyjdź wtedy.

– Pewnie, że przyjdę. No to zbieraj ubranie i idź powiedz szefowi, że bierzecie Arnie Mandellę.

Arnie Mandella wierzyła, że trzeba płacić tylko tyle, ile coś jest dla ciebie warte. Dlatego uznała, że nieznamy dyskomfort pomiędzy udami to dobra cena za to, że może siedzieć za inżynierem Chandrasekahrem na jego terenowym trójkołowcu, kiedy Korpus Prawdy przegazowuje silniki i z rykiem odjeżdża w przedświt. Trzymała się go mocno, czuła, jak

pustynny wiatr smaga ją po policzkach i próbuje zerwać jej z ramienia tubę ze zwiniętymi dokumentami.

– Nie, nie – mówiła wiatrowi. – To moje. Dzięki tym papierom niebo wreszcie rozbrzmi moim imieniem. – Spojrzała w dół na plaketkę Armii Całej Ziemi przypiętą do kombinezonu khaki i poczuła, że wzbiera w niej fala podniecenia.

Horyzont opadł poniżej słońca, świat nabrał kształtu i blasku. Arnie Tenebrae obejrzała się na Drogę Bez Znaczenia, płataninę bursztynu, czerwieni i Iśniejącego srebra. Nic nie mogłoby bardziej wyglądać jak nic nieznacząca, ogłupiająca dziura na pustyni i kiedy dotarło do niej, że wreszcie ją opuszcza, poczuła dziką i niepowstrzymaną radość. Złapała ptaka-zbawcę, pośpiewała mu, oswoiła go i skrzyła mu kark. To było jej spełnienie, podskakiwanie na tylnym siodełku rebelianckiego trójkołowca, w drodze na wygnanie wśród romantycznych rewolucjonistów. To był szczyt nic nieznaczącego, ogłupiającego, maleńkiego życia Arnie Tenebrae.

Pomimo aureoli wokół lewego nadgarstka i władzy nad wszelkimi urządzeniami mechanicznymi Taasmin Mandella doszła do wniosku, że świętość jest dość nudna. Nienawidziła spędzać niekończących się godzin w małej kapliczce, którą ojciec dobudował do już i tak chaotycznego domiszcza – na zewnątrz świeciło słońce i rosły zielone rzeczy, a ona siedzi w ciemnym pokoju i przyjmuje listy próśb od starych kobiet ze zmarłymi mężami (należycie zmarłymi; bo od czasu do czasu zastanawiała się, dokąd poszła jej niegdysiejsza ciotka, kiedy z rana zniknęła z Drogi Bez Znaczenia razem z obdartymi buntownikami) oraz kładzie lewą rękę, która leczy, na zepsutych radiach, autosadzarkach, silnikach rikszy i pompach wodnych, by je uzdrowić.

Gdy jedna stara dewotka wychodziła i wchodziła kolejna, przez drzwi wpadał snop żółtego słonecznego światła i Taasmin ubolewała, że nie może wrócić do swych jaszczurczych dni, kiedy prażyła się naga i uduchowiona, nie odpowiadając przed nikim oprócz Najwyższego Panarchy. Jednakże Błogosławiona Pani złożyła na nią święty obowiązek.

– Mój świat się zmienia – powiedziała kobieta o wyglądzie drobnej, świętej na jeża łobuzicy, ubranej w obrazkowy strój. – Przez siedemset lat byłam świętą maszyn i tylko maszyn, bo nic innego tutaj nie było i przez nie kształtowałam ten świat i czyniłam go dobrym i przyjemnym dla człowieka. Teraz, kiedy człowiek przyszedł, trzeba moją relację z nim zmienić. Uznali mnie za swojego boga – ja o to nie prosiłam, a już w ogóle nie chciałam zostać tym bogiem, ale jest, jak jest, i muszę nieść tę odpowiedzialność. Dlatego wybieram sobie śmiertelników, wybacz to słowo, ale przychodzi mi ono dość naturalnie, by byli moimi agentami na

ziemi. Bo widzisz, nie mam innego głosu niż ludzki, żeby przemawiać do ludzi. Daję ci więc na własność mój proroczy głos i moją władzę nad maszynami; ta aureola – która rozbłysła luminescencją wokół jej lewego przegubu – będzie oznaką twojego statusu proroka. To pseudoorganiczne informacyjne pole rezonansowe, dzięki jej mocy będziesz panować nad wszelką maszyną. Korzystaj z niej mądrze i dobrze, bo kiedyś zostaniesz rozliczona z tego, jak ją wykorzystałaś.

Teraz to wydawało się snem. Gdyby nie aureola wokół nadgarstka, można by się łudzić, że to nigdy nie zaszło. Dziewczyny z małych miasteczek, które idą obłąkane, pchane przerostem duszy, na Wielką Pustynię, nie wracają do domu na świetlnym promieniu z latającego Niebieskiego Plymoutha. Giną na pustyni i zostają z nich kości i wygarbowana skóra. Dziewczyny z małych miasteczek nie mają mocy rządzenia wszelką maszyną przez aureolę wokół lewego nadgarstka. Dziewczyny z małych miasteczek nie bywają prorokiniami.

To wszystko było prawdą. Błogosławiona Katarzyna („mów mi Cathy, na miłość boską, nigdy, przenigdy nie pozwól, żeby ktoś nadał ci tytuł, którego sama sobie nie wybrałaś”) niczego więcej się od niej nie domagała, kazała jedynie być mądrą i uczciwą. Jednakże misja prorokini Taasmin to musiało być coś więcej niż tylko siedzenie w dusznej od kadzidła klitce i czynienie co minutę drobnych cudów dla zabobonnych babć z osad wzdłuż torów.

Dziennikarze też nie pomagali. Artykułu w magazynie jeszcze nie widziała, z jakiegoś powodu rodzice schowali przed nią otrzymane egzemplarze, była jednak pewna, że kiedy znajdzie się w kioskach na całym świecie, ustawi się tu kolejka pielgrzymów przybywających aż z Południka. I w ogóle już nie zobaczy światła dziennego.

Dlatego się zbuntowała.

– Jak mnie chcą, to niech mnie sobie poszukają.

– Ależ, Taasmin, skarbie, masz obowiązki – zagruchała matka.

– „Korzystaj z niej mądrze i dobrze, bo kiedyś zostaniesz rozliczona z tego, jak ją wykorzystałaś”. Tyle tylko powiedziała. Nic o żadnych obowiązkach.

– Powiedziała, kto? Ta tak zwana Nasza Pani z Tharsis?

– Tak, albo Cathy.

Prorokini Taasmin zaczęła więc chodzić na lanczyki do B.A.R-u/Hotelu, drzemać przy radiu podczas sjeisty, sadzić rzędy fasolek w ogrodzie ojca i malować białe ściany na jeszcze bielszy kolor. Jeśli potrzebny był cud, uzdrowienie czy modlitwa, odprawiała je tam i teraz,

na miejscu, w hotelu, na werandzie, na polu, przy ścianie. A kiedy wiernych i ich żądań robiło się zbyt wiele, chowała się w zacisznym kącie ogrodu dziadka Harana i tam, skryta pomiędzy drzewami, zrzuciła z siebie ubranie, by po prostu być.

Pewnego dnia na skraju miasteczka pojawił się stary człowiek. Miał mechaniczną lewą rękę, nogę i oko. Pożyczył szpadel od Stalinów, których konflikt, z braku godnego wroga, przerodził się w pospolitą małżeńską kłótnię, i wykopał wielki dół przy samych torach. Wokół tego dołu chodził w kółko przez cały dzień, budząc wielkie zdziwienie i rozbawienie mieszkańców Drogi Bez Znaczenia, oraz przez cały następny ranek, dopóki i Taasmin Mandella nie przyszła pośmiać się z tego cudaka. Widząc ją, stary człowiek przerwał, długo wbijał w nią wzrok i w końcu powiedział:

– No, to chyba ty, prawda?

– A kto pyta?

– Cadillac Natchniony, dawniej Ewan P. Dumbleton z Hironnelle; Ubożątko Niepokalane Po Częściach.

Taasmin Mandella nie była pewna, czy to ostatnie określenie dotyczy jego, czy jej.

– Poważnie mówisz?

– Śmiertelnie poważnie. Czytałem o tobie w czasopiśmie, młoda damo i muszę wiedzieć, czy to ty nią jesteś?

– Może i tak.

– Pomóż mi wstać, proszę.

Taasmin wyciągnęła otoczoną aureolą lewą dłoń. Zacisnęła się na metalowej ręce Cadillaca Natchnionego i błękitny ogień przeskoczył po jego mechanicznych kończynach i strzelił ze sztucznego oka.

– Tak, to ty, bez dwóch zdań – obwieścił.

Dwa dni później do Drogi Bez Znaczenia przyjechał pociąg. Takiego pociągu nikt tu jeszcze nie widział. Był to rżący, syczący, rozklekotany stary rupiel, który przy każdym suwie korbowodów groził wybuchem kotłów. Ciągnął pięć rozwalających się wagonów, holujących dywizjon latawców i sterowców modlitewnych, całych obwieszonych pstrokacizną religijnych flag, proporców, emblematów i wszelkiego typu dewocjonaliów. Wagony pękały w szwach od stłoczonych pasażerów. Wysypali się przez drzwi i okna jakby pod ciśnieniem i na rozkaz Cadillaca Natchnionego rozebrali wagony i lokomotywę, a z ich części zbudowali byle jakie osiedle bud, ruder, namiotów i faweli. Wśród tej gorączkowej krzątaniny

nie uszło oka żadnego z obserwatorów, że wszyscy pracujący mają przynajmniej jedną mechaniczną część ciała.

Niebawem na miejsce przybyła urzędowa delegacja, z Dominikiem Fronterą na czele i jego trzema świeżo zatrudnionymi konstablami, których zażądał w Południku, na wypadek gdyby Armia Całej Ziemi próbowała kolejnego zamachu.

– Co wy tu, do cholery, robicie?

– Przybyliśmy, by służyć prorokini Błogosławionej Pani – odparł Cadillac Natchniony, a budowniczowie bud jak na dany znak wszyscy uklękli.

– Jesteśmy Ubożatkami Niepokalanymi Po Częściach – ciągnął Cadillac Natchniony. – Niegdyś zwaliśmy się Dumbletonianami. Wierzmy w naśladownictwo przykładu Świętej Katarzyny, umartwienie ciała przez zastąpienie grzesznych cielesnych organów czystymi i uduchowionymi organami mechanicznymi. Wierzmy w uduchowanie tego, co mechaniczne, w całkowite przemienienie ciała w metal, w równe prawa dla maszyn. Niestety, wskutek naszego oddania tej ostatniej zasadzie zostaliśmy wygnani z Ekumenicznej Enklawy Christadelfia – spalenie fabryk nie było zamierzone, zostaliśmy źle zrozumiani i ponieśliśmy ciężką karę. Dowiedzieliśmy się jednak, różnymi kanałami, duchowymi i świeckimi, o młodej kobiecie, błogosławionej przez Panią prorokini i przybyliśmy do niej w odpowiedzi na anielską wizję, by jej służyć i poprzez nią osiągnąć nasz ideał umartwienia.

Gdy skończył, akurat przyszła Taasmin Mandella, wytrącona z medytacji coraz większym harmidrem. Kiedy przypatrywała się faweli i jej obdartym mieszkańcom, Ubożątka Niepokalane Po Częściach zaczęły wznosić okrzyki.

– To ona! To jest ona! – I cały tłum Dumbletonian padł na kolana do adoracji.

– Błogosławione dziecko – powiedział Cadillac Natchniony, uśmiechając się obrzydliwie. – Oto jest twoje stadko. Jak możemy ci służyć?

Taasmin Mandella popatrzyła na metalowe kończyny, metalowe głowy, metalowe serca, puste stalowe usta, plastikowe oczy. Brzydziła się nimi. Wrzasnęła:

– Nie! Nie trzeba mi waszej służby! Nie chcę być waszą prorokinią, waszą panią! W ogóle was nie chcę! Idźcie tam, skąd przyszliście, i dajcie mi święty spokój! – I uciekła od wściekłych wyznawców, przez skały, do swej dawnej pustelni.

– Ja ich nie chcę, słyszysz?! – krzyczała do ścian grotty. – Nie chcę tych paskudnych metalowych ciał, niedobrze mi na sam widok, nie chcę, żeby mi służyli, żeby mnie czcili, w ogóle, żeby cokolwiek mieli ze mną wspólnego!

Uniosła ręce nad głowę i uwolniła całą swą świętą moc. Powietrze zajaśniało niebiesko, skała jęknęła i zatrzęsła się, a Taasmin Mandella ciskała w strop piorunami swej frustracji, jeden za drugim. W końcu wyczerpała się, siadła skulona na kamiennej podłodze i zaczęła rozmyślać o władzy, wolności i odpowiedzialności. Wizualizowała sobie w umyśle Ubożątka Niepokalane Po Częściach. Widziała ich metalowe nogi, metalowe ręce, metalowe barki, stalowe oczy, cynowe podbródki, żelazne uszy, połówki metalowych twarzy wyglądające z paskudnych bud faweli. Ogarnęła ją litość. Są żałośni. Biedni, słabi, głupi, pożałowania godne dzieci. Ona im pokaże lepszą drogę. Poprowadzi ich do szacunku dla samych siebie.

Po czterech dnia rozmyślań i postanowień Taasmin Mandella zgłodniała i wróciła do Drogi Bez Znaczenia na chili z jagnięciną w B.A.R-ze/Hotelu. Aureola świeciła tak jasno, że nie dało się na nią patrzeć. Odkryła, że w jej miasteczku kłębią się budowlańcy w żółtych kaskach, że jeżdżą wielkimi żółtymi spychaczami i wielkimi żółtymi koparkami. Wielkie żółte sterowce transportowe wyładowały dwudziestotonowe wiązki stali sprężającej, a wielkie żółte pociągi – gotowy beton i piasek budowlany do małych żółtych wywrotek.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – zapytała Taasmin Mandella, bezwiednie naśladując powitalne pytanie burmistrza.

Znalazła Cadillaca Natchnionego nadzorującego wylewanie fundamentów. Miał na sobie żółty kombinezon i żółty kask. Wręczył Taasmin drugi podobny.

– Podoba ci się?

– Podoba mi się... co?

– Miasto Wiary – powiedział. – Duchowe centrum świata, cel pielgrzymek i wszystkich poszukujących.

– Że co?

– Twoja bazylika, o Pani. Nasz dar dla ciebie. Miasto Wiary.

– Nie chcę żadnej bazyliki, nie chcę żadnego miasta wiary. Nie chcę być duchowym centrum świata i celem wszystkich poszukujących.

Nad ich głowami przesunęła się wiązka belek konstrukcyjnych podwieszona do opadającego sterowca.

– A skąd się biorą pieniądze na to wszystko? To mi powiedz.

Wzrok Cadillaca Natchnionego był utkwiony w budowie. Taasmin widziała po jego minie, że już patrzy na ukończoną bazylikę.

– Pieniądze? No cóż. Jak ci się wydaje, czemu to się nazywa Miasto Wiary?

Największy Snookerzysta, Jakiego Znał Wszechświat i Król Swingu szli sobie pewnego razu ulicą Tombolovej w Belladonnie, gdy Największy Snookerzysta, Jakiego Znał Wszechświat stanął jak wryty przed małą uliczną kapliczką wciśniętą między klub z męskim strip-tease'em i bar z tempurą.

– Popatrz – powiedział Największy Snookerzysta, Jakiego Znał Wszechświat.

Przed dziewięcioramiennym słońcem Świętej Katarzyny modliła się młoda kobieta, poruszając bezgłośnie ustami w litanii i wznosząc do nieba oczy, w których odbijał się blask świec. Największy Snookerzysta, Jakiego Znał Wszechświat i Król Swingu patrzyli, jak kończy się modlić, zapala pałeczkę kadzidła i przypina karteczkę z modlitwą do framugi drzwi.

– Zakochałem się – powiedział Największy Snookerzysta, Jakiego Znał Wszechświat. – Muszę ją mieć.

Nazywała się Santa Ekatrina Esteban. Miała delikatną oliwkową cerę, a włosy i oczy ciemne jak sekretne miejsce nad sercem. Mieszkała z matką, ojcem, czterema siostrami, trzema braćmi, kotem i ptaszkiem śpiewającym w mieszkaniu nad sklepem z przyprawami pana Chambalayi na Depot Lane. Przez lata mieszkania nad sklepem pana Chambalayi jej skóra przesiąkała aromatem przypraw i kadzideł.

– Pachnę jak łagodne curry – żartowała.

Lubiła żartować. Uwielbiała się śmiać. Miała jedenaście lat. Limaal Mandella zakochał się w niej do szaleństwa.

Idąc tropem kardamonu, imbiru i kolendry, dotarł ulicami i zaułkami do jej domu nad sklepem, a tam, na oczach ojca, matki, czterech sióstr,

trzech braci, kota i ptaszka śpiewającego, padł na kolana i poprosił o jej rękę. Dziesięć dni później byli po ślubie. Drużbą był Glenn Miller, a z urzędu do oczekującej rikszy państwo młodzi przeszli pod szpalerem uniesionych kijów bilardowych. Orkiestra Glenna Millera pojechała za pochodem weselnym na specjalnej platformie, aż do stacji Brama Czajkowskiego, grając wybór swoich największych przebojów, gdy nowożeńcy wsiadali do pociągu. Sypały się na nich ryż i soczewica, w ramach życzeń do rikszy i pociągu przyklejano papierowe karteczki z modlitwą o pomyślność. Uśmiechając się i machając wiwatującemu tłumowi, Limaal Mandella ścisnął rękę żony i wtedy do głowy przysłała mu zabląkana myśl.

To była pierwsza irracjonalna rzecz, jaką w życiu zrobił.

Jednakże ta irracjonalność już czaiła się wokół niego. Podchodziła od wielu miesięcy; zatrzymała się na trochę po zwycięstwie nad diabłem, lecz znów się przybliżała. A w tamtej chwili, pomiędzy klubem z męskim strip-tease'em i barem z tempurą, zaatakowała i związała go ze sobą poprzez Santa Ekatrinę... Szczęśliwy z żoną, potem z pierwszym synem, Raelem juniorem, potem drugim, Kaanem, był błogo niepomny na fakt, że Bóg szykuje mu Coś Wielkiego.

Odkąd pokonał anty-Boga, był absolutnym i niekwestionowanym władcą krainy Snookera. Ponieważ nikt nie mógł z nim wygrać, nikt z nim nie grał. Praktycznie wyeliminował się z gry przez własną doskonałość. Bez niego odbywały się mistrzostwa miejskie, okręgowe, kontynentalne i mistrzostwa świata, a ich zwycięzcy dostawali tytuły w rodzaju „Mistrz Belladonny, nie licząc Limaala Mandelli”, czy „Mistrz Zawodowców Portu Przesilenia, z wyjątkiem Limaala Mandelli”.

Limaal Mandella nie dbał o to. Dzięki nieobecności w klubie bilardowym miał czas dla swej ukochanej żony i dzieci. Dzięki nieobecności w klubie irracjonalność miała czas przesączyć się w jego duszę.

Kiedy w kręgach snookerzystów w Belladonnie rozniosła się wieść, że pojawił się chętny, by rzucić mu wyzwanie, wszyscy wiedzieli, że to musi być ktoś albo coś zupełnie wyjątkowego. Może sam Panarcha zszedł z niebios i wziął kij w dłonie sterujące galaktykami, by upokorzyć dumnego śmiertelnika...

Nic podobnego. Pretendentem okazał się nic nieznaczący myszowaty facecik, noszący okulary do góry nogami i zachowujący się z nerwowością biurowego stażysty w wielkiej korporacji. I tak można by go podsumować, gdyby nie istotny fakt, że pokroił swoją żonę na drobne

kawałeczki, zmielił je na hamburgery i teraz za karę był tylko cielesnym naczyniem dla projekcyjnej osobowości komputera ROTECH-u – Anagnosty Gabriela. Był psychonambulikiem, obi-manem², stworem z dziecięcych historii o duchach.

– Ile? – zapytał Limaal Mandella w pokoju na zapleczu Jazz Baru Glenna Millera, był bowiem graczem, którego talent był mocno związany z miejscem.

– Trzydzieści siedem gier – odpowiedział Casper Milquetoast³, obi-man.

Dodatkowych zakładów nie omawiali, nie były istotne. Stawką był tytuł Największego Snookerzysty, Jakiego Znał Wszechświat. Limaal Mandella wygrał rzut monetą i rozbił piramidkę w pierwszej z trzydziestu siedmiu gier. Jak słusznie wywnioskował lata temu, gdy Trik O'Rourke pokazał mu przeznaczenie, z którym się nie pogodził, snooker był stuprocentowo racjonalistyczną grą. Jednakże Anagnosta Gabriel był wcielonym racjonalizmem. Dla jego nadprzewodzącej duszy taniec bil na stole nie różnił się niczym od baletu orbitalnej technologii, począwszy od monitorów wielkości winogron po dziesięciokilometrowe habitaty, którym codziennie rutynowo ogarniał choreografię. Za każdym ruchem kija Caspera Milquetoasta stał maleńki fragment tej mocy obliczeniowej, prowadzący dokładne wyliczenia pędu, momentu pędu i spinu. W glosolalii Anagnostów słowo „szczęście” nie miało odpowiednika. Dotąd Limaal Mandella zawsze mógł liczyć na szczęśliwy fuks, przypadkowy błąd przeciwnika, który pozwalał mu wygrać partię, a zakumulowany w ciąg pechowych zdarzeń demoralizował przeciwnika tak, że ten pokonywał się sam; jednak komputerom nie załamuje się morale i nie popełniają błędów. Limaal Mandella zawsze twierdził, że umiejętności wygrywają ze szczęściem. Teraz na własne oczy widział dowód tego twierdzenia.

W przerwie w połowie sesji (nawet obi-man musi bowiem jeść, pić i sikać) Glenn Miller odciągnął Limaala na bok i szepnął:

– Parę błędów zrobiłeś. Pechowo.

Limaal Mandella wściekł się i przysunął spoconą twarz do twarzy jazzmana.

– Nie mów tego, nigdy tak nie mów, żebym tego nigdy więcej nie słyszał. Sam jesteś kowalem własnego szczęścia. Szczęście to talent.

Puścił zdetonowanego muzyka, sam zawstydzony i przerażony tym, jak wysoko wezbrała w nim fala irracjonalności. „Limaal Mandella nigdy nie traci opanowania”, powiedział sam sobie. Tak mówi legenda. Limaal

Mandella ukrywa swoją duszę. Jednakże ten wybuch zawstydził go i załamał, a po wznowieniu gry Anagnosta Gabriel wykorzystywał wszystkie jego błędy. Trafił na kogoś, kto przelicytował go w racjonalizmie. Kiedy siedział na krześle, odruchowo wycierając kij, a komputerowo sterowane ręce Caspera Milquetoasta robiły break za breakiem, rozumiał, jak to było grać przeciwko niemu samemu. Jakby miażdżył cię wielki, toczący się gład. Tak się czuli inni – ukrzyżowani na krzyżu własnej nienawiści do samych siebie. Nienawidził teraz tej nienawiści, którą wykrzesał z niezliczonych pokonanych przeciwników. Było to paskudne, robacze, wyżerające duszę uczucie. Limaal Mandella w swoim cichym kąciku poznał wyrzuty sumienia, a nienawiść do samego siebie wypaliła jego moc.

Dłonie miał drętwe i głupie, oczy suche jak dwa pustynne kamienie, nie był w stanie trafić w bile.

– Limaal Mandella przegrywa, Limaal Mandella przegrywa! – Wieść leciała spiralą z Jazz Baru, przez ulice i zaułki Belladonny, a za nią szła cisza, tak absolutna, że szcęk zderzających się bil niósł się z wentylatorów we wszystkich dzielnicach miasta.

Komputer rozbił go w drobny mak. Nie miał litości, nie patyczkował się. Gra miała trwać do pewnego zwycięstwa. Limaal Mandella przegrywał partię za partią. Zaczynał nawet poddawać gry, które przy odrobinie determinacji mógłby wygrać.

– Co się dzieje, człowieku? – zapytał Glenn Miller, nie rozumiejąc cierpienia swego podopiecznego.

Limaal Mandella wrócił w milczeniu do stołu. Ponoślił klęskę na oczach widzów. Nie był w stanie podnieść wzroku, żeby nie zobaczyć, że Santa Ekatrina też patrzy. Kibicowali mu już nawet wrogowie.

I przyszedł koniec. Wpadła ostatnia bila. ROTECH Anagnosta Gabriel, działający przez synapsy skazanego mordercy, został Największym Snookerzystą, Jakiego Znał Wszechświat. Miasto i świat oklaskiwały go. Limaal Mandella siedział w fotelu pokonany własną bronią. Santa Ekatrina uklękła i wzięła go w ramiona. Patrzył w przestrzeń przed siebie, nie widząc nic poza wezbraną falą irracjonalności, która go zatapiała.

– Wracam – powiedział. – Nie mogę tu zostać, będę się wstydzić przez każdą minutę każdego dnia. Wracam. Do domu.

Pięć dni później przełamał wszystkie kije na pół i podpalił. W płomienie cisnął swój kontrakt z Glennem Millerem. Potem zabrał żonę, synów, walizki, bagaże i tyle pieniędzy, żeby móc znieść ich widok,

a za tę podejrzaną kasę kupił cztery bilety na najbliższy pociąg do Drogi Bez Znaczenia.

Na dworcu Brama Czajkowskiego bagażowi łapali go za poły.

– Ponieść walizeczki, panie Mandella, sir, proszę, ponieść walizeczki?

Wpakował bagaże do pociągu. A kiedy odjeżdżał spod ogromnej mozaikowej kopuły dworca, z galeryjki z semaforami na dach wagonu zeskoczyli gundowie, ulicznicy i dworcowi menele, za biedni nawet na bilet trzeciej klasy. Wychylali się i łomotali w okna przedziału, wołając:

– Na miłość boską, panie Mandella, niech pan nas wpuści, dobry panie, proszę, bardzo proszę nas wpuścić, bardzo proszę!

Limaal Mandella zaciągnął rolety, zawołał ochronę i po pierwszym postoju w Cathedral Oaks już nikt nie zakłócał mu spokoju.

Tuba ze zwiniętymi dokumentami zwiisała z ramienia Mikala Margolisa dwadzieścia pięć centymetrów nad torami. Mikal Margolis zwiisał z podwozia klimatyzowanego wagonu pierwszej klasy Model 12 Kolei Bethlehem Ares. Wagon pierwszej klasy Model 12 Kolei Bethlehem Ares zwiisał ze spodu Nowej Kolumbii, a Nowa Kolumbia zwiisała ze spodu świata, który okrążał Słońce z prędkością dwóch milionów kilometrów na godzinę, niosąc ze sobą Nową Kolumbię, kolej, pociąg, Mikala Margolisa i tubę z dokumentami.

Stacja przesiadkowa Ishiwara była o pół świata stąd. Ręce miał teraz mocne, mogły go utrzymać pod pociągami przez pół drogi świata wokół Słońca. Nie czuł już bólu, ani bólu ramion, ani bólu pochodzącego ze stacji Ishiwara. Zaczynał podejrzewać, że ma wybiórczą pamięć. Wiszenie pod pociągami zapewniało mnóstwo czasu na rozmyślenia i wgląd w samego siebie. Przy pierwszej takiej jeździe ze stacji Ishiwara, umyślił sobie plan, który prowadził go po Isniących torach przez stacje przesiadkowe, zwrotnice, krzyżownice, rampy i górki rozrządowe ku miastu Kershaw, nieodparcie przyciągajacemu jego mrok swoim mrokiem. Zresztą przewieszony przez ramię zwój papierów nie pozwalał na jakikolwiek inny cel.

Przesunął się w najmniej niewygodną pozycję i próbował wyobrazić sobie miasto Kershaw. Wyobrażenia wypełniała wielki czarny sześcian przepastnymi centrami handlowymi, gdzie oko i portfel wabiły nadzwyczajne dzieła tysięcy warsztatów; piętro za pięciem centrów rozrywkowych, gdzie można było zaspokoić każdy kaprys, od gry w go w ustronnych herbaciarniach, przez koncerty najlepszych orkiestr symfonicznych, aż po lochy pełne gliceryny i miękkiej gumy. Byłyby tam

muzea i sale koncertowe, dzielnice artystycznej bohemy, tysiące restauracji reprezentujących tysiące kuchni świata i zadaszone parki zaprojektowane tak sprytnie, że się człowiekowi wydaje, że spaceruje pod gołym niebem.

Widział brzękliwe stalownie, gdzie budowano dumne lokomotywy Kolei Bethlehem Ares, oraz Centralną Lokomotywownię, z której rozsyłano je po całej półkuli północnej, podziemne fabryki chemiczne, których bulgoczące ścieki wylewały się do jeziora Syss, fabryki-farmy, gdzie ze zbiorników ze ściekami zbierano kozuchy sztucznych bakterii, by w tysiącu restauracji przetworzyć je na tysiące kuchni świata. Myślał o zlewniach deszczówki, o wspaniale oszczędnych systemach odzysku i uzdatniania wody, o szybach wentylacyjnych, w których wirowały wieczne huragany, unosząc do atmosfery smrodliwe oddechy dwóch milionów Udziałowców. Wyobrażał sobie leżące w zewnętrznych warstwach penthouse'y kasty menedżerskiej, widok z nich na Syss i jego zatruty brzeg, coraz bardziej panoramiczny wraz z wysokością, mieszkania w spokojnych rodzinnych dzielnicach mieszkalnych wychodzące na jasne i przewiewne studnie-światliki. Myślał o dzieciach, szczęśliwych i porządnie wymytych, uczących się w firmowych szkołach o radosnym feudalizmie przemysłowym, co, jak podejrzewał, nie było dla nich żadną trudnością, skoro w każdej sekundzie każdego dnia otoczone były jego szczytowym osiągnięciem. Wisząc pod przedziałami pierwszej klasy nocnego pociągu z Nowej Kolumbii, Mikał Margolis widział przed oczyma duszy swojej całe dzieło Korporacji Bethlehem Ares i wołał:

– Kershaw, oto nadjeżdżam!

Nagle pierwsze kwaśne wyziewy jeziora Syss uwięzły mu w gardle, a oczy oślepiły od łez.

Istnieje poziom hierarchii niższy niż poziom zasuwania przy maszynach, na którym Johnny Stalin wszedł do stolicy Korporacji Bethlehem Ares. To poziom zarezerwowany dla tych, którzy wjeżdżają na Główną Stację uczepleni podwozia wagonu pierwszej klasy nocnego pociągu z Nowej Kolumbii. To poziom beznumerowych. Poziom niewidzialności. Nie wyćwiczonej niewidzialności, która pozwoliła Mikałowi Margolisowi niepostrzeżenie wydostać się z Głównej Stacji wśród mas Udziałowców, ale niedostrzegania człowieka przez ciało korporacyjne.

Mikał Margolis poszedł w górę po marmurowych stopniach, przeszedł przez dziesięć razy wyższe od niego mosiężne wrota i znalazł się w przepastnym holu z lśniącego marmuru i polerowanej ciszy. Przed

sobą miał ogromną i bardzo brzydką figurę Wiktorii Skrzydlatej, z podpisem „Laborare est Orare”. Parę kilometrów dalej w głąb marmurowej równiny stało marmurowe biurko, nad którym wisiała tabliczka głosząca ROZMOWY KWALIFIKACYJNE, SPOTKANIA, PYTANIA O AUDIENCJĘ. Obdrapane przez jazdę pociągami buty Mikala Margolisa stuknęły prostacko o święty marmur. Gruby facet w korporacyjnym papierowym garniturze popatrzył na niego z wysokości marmurowej twierdzy.

– Tak?

– Chciałbym się umówić na spotkanie.

– Tak?

– Z kimś z inwestycji przemysłowych.

– To będą Regionalne Biura Rozwoju.

– Od stali.

– Regionalne Biura Rozwoju, Wydział Żelaza i Stali.

– W regionie Drogi Bez Znaczenia... Znaczy Wielkiej Pustyni, rozumie pan.

– Chwilę. – Gruby recepcjonista postukał w komputer. – Departament Projektów i Rozwoju na Ćwiartkę Północno-Zachodnią, Wydział Żelaza i Stali, Regionalne Biura Rozwoju, pokój 156302, proszę się ustawić w kolejce A po wstępny wniosek o spotkanie z podasystentem pod-podwydziału panowania. – Wręczył Mikalowi karteczkę. – Pana numer: 33256. Kolejka A jest za tymi drzwiami.

– Ale to ważne! – Mikal Margolis zamachał recepcjoniście przed nosem rulonem dokumentów. – Nie mogę czekać, aż obsłużą 33255 innych osób, tylko po jakiś... jakiś wniosek o spotkanie z podasystentem.

– Wstępny wniosek o wstępny wniosek o spotkanie z podasystentem pod-podwydziału planowania. Ale jeśli to pilne, powinien pan ustawić się w kolejce B, w ramach Programu Dostępu Priorytetowego. – Oderwał nową karteczkę z bloczka. – Proszę. Numer 2304. Drzwi B.

Mikal Margolis podarł obie karteczki na strzępy i cisnął je w powietrze.

– Proszę mnie umówić zaraz, najpóźniej na jutro.

– To absolutnie niemożliwe. Najbliższe spotkanie jest we wrzeszczu, a dokładnie szesnastego, z menedżerem uzdatniania wody i ścieków, o 13:30. Nie może pan naginać systemu, jak pan zechce, to jest dla dobra nas wszystkich. Proszę, oto nowy numer. Proszę podać swój, żebym wiedział, kto prosi o spotkanie i udać się do kolejki B.

– Słucham?

– Proszę podać swój numer i udać się do kolejki B.

– Numer?

– Numer Udziałowca. Ma pan chyba numer Udziałowca?

– Nie.

– To ma pan wizę gościa. Mogę ją zobaczyć?

– Nie mam żadnej...

Pełen oburzenia wrzask grubego recepcjonisty sprawił, że w całej marmurowej katedrze podwracały się głowy.

– Nie ma numeru! Nie ma wizy! Święta Pani, jesteś z tych... z tych...

Rozdzwoniły się dzwonki. Czarno-złoci korporacyjni policjanci wyskoczyli zza dyskretnie ukrytych drzwi i ruszyli ku niemu. Mikal Margolis rozejrzył się za drogą ucieczki.

– Aresztować to, tego ulicznika, tego włóczęgę, oszusta, gundę i żula!

– darł się recepcjonista. – Aresztować tego... Freelancera! – Z ust bryzgała mu piana.

Policja wyciągnęła krótkie pałki paraliżujące i ruszyła do ataku.

Nagła seria z broni automatycznej rzuciła wszystkich na ziemię. Obowiązkowy w takich sytuacjach krzykacz rozkrzyczał się. Postać w szarym papierowym garniturze stała przy drzwiach do kolejki A, grożąc holowi małą czarną UBS-ką.

– Nie ruszać się! – zawołał. Nikt się nie ruszył. – Podejdź tutaj!

Mikal Margolis rozejrzył się, szukając, o kogo mogłoby mu chodzić. Wskazał na siebie, bezgłośnie pytając „ja”?

– Tak, ty! Chodź tu! Ruszaj się!

Któryś z korporacyjnych policjantów chyba sięgnął po komunikator, bo poszła kolejna seria i posypały się z wizgiem marmurowe odłamki. Mikal Margolis wstał zalękniony. Facet z karabinem kazał mu przejść bokiem, żeby nie blokować strzału.

– Co się dzieje? – zapytał Mikal.

– Ratuje cię – powiedział strzelec w biznesowym garniturze. – A teraz, obojętne, co się dzieje, idziesz za mną i nie męczysz mnie już pytaniami. – Cisnął do holu wyjęty z kieszeni marynarki granat dymny. – Lecimy.

Mikal Margolis nie miał pojęcia, jak daleko biegnie i przez ile marmurowych, dębowych i plastikowych korytarzy; po prostu biegł, zadzierając nogi wysoko jak ktoś, kto w każdej chwili spodziewa się dostać kulkę w kręgosłup. Kiedy odgłosy pogoni stały się wystarczająco odległe, zbawca zatrzymał się i dość pomysłowym narzędziem otworzył jedną z plastikowych sekcji ściany.

– Do środka.

– Do środka?

Odgłos pogoni nagle się wzmógł.

– Do środka.

Obaj zanurkowali w dziurę w ścianie i zamknęli ją za sobą. Ratownik przestawił laser na swojej UBS-ce na rozproszoną emisję i przy błękitnym świetle poprowadził Mikala Margolisa w dżungłę kabli, przewodów, rur i kanałów.

– Uważaj na to – powiedział, gdy Mikal wyciągnął rękę do kabla, po tym, jak zachwiał się na krawędzi dwukilometrowego szybu wentylacyjnego. – Tam jest dwadzieścia tysięcy voltów. – Mikal cofnął rękę, jak od węża albo kabla pod napięciem dwudziestu tysięcy voltów.

– Kim ty w ogóle jesteś? – zapytał.

– Arpe Magnusson, systemowy inżynier serwisowy.

– Z UBS-ką?

– Freelancer – dodał systemowy inżynier serwisowy, jakby to słowo wszystko tłumaczyło. – Widzisz te świecące pyłki, tam? Uważaj na nie. Tam idzie laser łącznościowy. Odciąłby ci głowę, elegancko i równiutko.

– Freelancer?

– Niezależny podmiot w zamkniętej korporacyjnej gospodarce. Takie wyzwisko. Widzisz, ja tak samo jak ty chciałem się spotkać z kimś z Firmy, miałem świetny pomysł na zrewolucjonizowanie klimatyzacji w Kershaw, ale nikt nie chciał się ze mną spotykać, bo nie miałem numeru ani wizy. No i wylądowałem w ścianach, bo tu nie potrzeba numerów, i dołączyłem do Freelancerów. Jakieś cztery lata temu.

– To was jest więcej?

– Około dwóch tysięcy. W tej kostce są miejsca, których nie ma na żadnych korporacyjnych schematach. Od czasu do czasu wykonuję jakieś niezależne zlecenia dla Udziałowców; głównie, jak się popsuje coś z domowych rzeczy, rzeczy ciągle się psują, taka polityka firmy, wbudowana awaryjność, a naprawiać to oni nie lubią, lepiej dla firmy, jak kupisz nowe, więc dają mi znać, ja przychodzę i naprawiam. A, no i mam oko na recepcję, na potencjalnych Freelancerów – od czasu do czasu pojawia się ktoś taki jak ty i ja go zabieram w ściany.

– Z UBS-ką?

– Pierwszy raz musiałem jej użyć. Trochę za późno po ciebie przyszedłem, bo komputer prawie przegapił ten telefon na policję. Uważaj na powiew z tego wentylatora... łatwo się tu nie mieszka, ale jak przeżyjesz pierwsze dwanaście miesięcy, to już dasz radę. – Magnusson odwrócił się i wyciągnął do Mikala dłoń. – Witamy u Freelancerów.

Następne miesiące, spędzone na lawirowaniu pomiędzy przepaściami, kwasem, odpadami chemicznymi, wyłączeniami prądu

i porażeniami prądem, były najszcześniejsze w całym jego życiu. Był w ciągłym niebezpieczeństwie, zarówno od zagrożeń czających się za ścianami, jak i sporadycznych nalotów korporacyjnych Sprzątaczy, lecz nigdy nie czuł się bardziej zadowolony i wyluzowany. Właśnie o czymś takim marzył podczas długich jazd skrajem pustyni. Życie było brutalne, niebezpieczne i wspaniałe. Komputer Freelancerów, Piątek, który mieszkał w ich głównej siedzibie, na siatce z linek rozpiętej w poprzek Szybu 19, zapewniał mu numery zmarłych Udziałowców i wyposażony w nie Mikal mógł bezkarnie jeść w dowolnej korporacyjnej stołówce w mieście, kąpać się w korporacyjnych łaźniach, ubierać się w korporacyjne papierowe garnitury wydawane przez automaty na rogu, a nawet spać w korporacyjnym łóżku, póki Korporacja nie wycofała numeru z obiegu. Wtedy wracał do świata kanałów i szybów, by spać w hamaku zawieszonym w kilometrowej głębokości szybie, kołysanym oddechami stu tysięcy Udziałowców.

Kiedy zabrzmiał alarm, omal nie wyskoczył z hamaka. Gdyby nie wyszlifowany wśród Freelancerów refleks, skoczyłby prosto do szybu. Zatrzymał się na moment, żeby się opanować. Opanowanie to przetrwanie. Najpierw pomyśl, potem rób. Wszystko przemyślane, zero spontaniczności. Sprawdził, czy ma na ramieniu tubę z dokumentami, chwycił linę i przerzucił się jak Tarzan na krawędź szybu. Alarmy z czujników zbliżeniowych. Sprzątacze. Skumulowały się skargi na szkodniki w instalacjach i wydział uzdatniania ścieków i wody został zmuszony do działania. Namacał maskę przeciwgazową. Była dokładnie tam, gdzie ją zostawił. Nasunął ją na głowę i przerzucił się na główny kabel, idący równolegle do kanału serwisowego. Obok jego policzka zapulsowały tysiące amperów. Zerknął przez szczelinę w panelach i patrzył, jak tunelem suną chmury gazu przeciw zamieszkom, przecinane szermującymi snopami światła z latarek. Pojawili się Sprzątacze: dwóch mężczyzn i kobieta, garniturowcy z wydziału uzdatniania wody i ścieków, ubrani w pękate, baloniaste plastikowe skafandry izolacyjne. Z plecaków wylewali w głąb tunelu mgłę neurotoksycznego gazu, rozfalowując powietrze zamocowanymi na nadgarstkach ultradźwiękowymi mieszaczami. Jeden ze Sprzątaczy podniósł alarm zbliżeniowy Mikala i pokazał reszcie. Pokiwali głowami, czołówki na hełmach podskoczyły i się skłoniły.

Z włazu wychynęła zamaskowana przeciwgazowo twarz Arpego Magnussona, a za nią ręka i karteczka.

Przekradli się przez labirynt włazów, galeryjek, szybów, aż dotarli na skrzyżowanie z szybem wentylacyjnym poziomu dziesiątego, przez które niedawno przeszli Sprzątacze. Na metalowej kratce leżały sztywniejące truchła myszy, dowód skuteczności broni Sprzątaczy. Arpe Magnusson wskazał trzy wijące się plastikowe węże. Mikal Margolis kiwnął głową. Wiedział, co to – pępowiny powietrzne Sprzątaczy. Arpe Magnusson poszedł wzdłuż nich aż do wlotu powietrza. Kiwnąwszy na Mikala Margolisa, żeby patrzył uważnie, odczepił je i podłączył do rury ze ściekami z poziomu dziesiątego. Brązowa maź popęzła przewodami w siną od gazu dal. Nagle czołówki zamaryły bez ruchu, potem zaczęły się kręcić szaleńczo tam i z powrotem. Wreszcie padły na ziemię i znieruchomiały. Parę sekund później obaj wyraźnie usłyszeli dwie miękkie, mokre, brązowe eksplozje.

Kiedy nadeszła okazja, Mikal Margolis był w tunelach od dwóch lat. Komputer poinformował o zgonie w Wydziale Żelaza i Stali Departamentu Projektów i Rozwoju na Ćwiartkę Północno-Zachodnią. Jakiś młodszy pod-podasyent rzucił się do gejzeru w Zatoce Żółtej przez złą decyzję w projekcie Arkadia. Zanim Brygada Chryzantemowa, stworzona specjalnie do takich zadań, wyłowiła go, na wpół ugotowanego, z gejzeru, Mikal już miał jego numer, nazwisko, stanowisko, biurko, pokój, mieszkanie, życie i duszę. Ryzyko takiego bezpośredniego kontaktu z Menedżerem/Dyrektorem Projektów i Rozwoju na Ćwiartkę Północno-Zachodnią było niemal stuprocentowe, ale Mikal Margolis nie był gotowy poświęcić wielu lat i całego skarbcza czarnej gotówki, żeby piąć się w górę po szczeblach asystentów, młodszych podmenedżerów, p.o. koordynatorów, młodszych menedżerów d.s. produkcji, organizatorów sektorowych, młodszych analityków systemowych, dyrektorów sprzedaży, dyrektorów finansowych (młodsze i starsze), dyrektorów regionalnych, dyrektorów zarządzających, dyrektorów projektów, podmenedżerów i osobistych menedżerów dyrektorów projektów. Informacje zawarte w jego rulonie z papierami były na to zbyt ważne.

A zatem we wtorek rano około 10:15, bo była to pora największego spokoju umysłu człowieka interesów, według *Psychologii praktyk zarządczych* Lemuela Shipwrighta, wydawnictwo Ree and Ree, dwa tomy, Mikal Margolis poprawił swój papierowy krawat i zapukał do drzwi Menedżera/Dyrektora Projektów i Rozwoju na Ćwiartkę Północno-Zachodnią.

– Proszę – powiedział Menedżer/Dyrektor Projektów i Rozwoju na Ćwiartkę Północno-Zachodnią.

Mikal Margolis wszedł, skłonił się grzecznie i powiedział wyraźnie, ale niezbyt głośno:

– Raporty mineralogiczne z projektu Droga Bez Znaczenia.

Menedżer/Dyrektor Projektów i Rozwoju na Ćwiartkę Północno-Zachodnią, zaprzątnięty swoim terminalem komputerowym, siedział odwrócony do niego plecami.

– W ogóle nie kojarzę jakiegoś projektu Droga Bez Znaczenia – powiedział Menedżer/Dyrektor Projektów i Rozwoju na Ćwiartkę Północno-Zachodnią.

Mikal Margolis nagle poczuł, że usta ma jak krocze papugi. W tym głosie było coś dziwnie znajomego.

– Projekt Droga Bez Znaczenia, sir. Ekstrakcja rudy z piasku. Studium wykonalności, które zleciła komisja planowania.

Blef był tak zamaszysty, że musiał się udać dzięki samej bezczelności. Mikal Margolis był przekonany, że Menedżer/Dyrektor Projektów i Rozwoju na Ćwiartkę Północno-Zachodnią nie zna z twarzy i nazwiska wszystkich pracowników swojego departamentu. Był równie pewien, że Menedżer/Dyrektor Projektów i Rozwoju na Ćwiartkę Północno-Zachodnią jest tak zajęty, że nie jest w stanie spamiętać wszystkich swoich decyzji.

– Proszę przypomnieć mi coś więcej.

Przynęta zaczynała działać.

– Stwierdzono, że czerwone piaski w rejonie wokół odizolowanej osady posiadają niezwykle wysoki poziom tlenków żelaza, tak że ten piasek to praktycznie czysta rdza. Celem projektu było zbadanie możliwości eksploatacji tego surowca przez bakteryjną ekstrakcję ułatwiającą dalszą obróbkę. W raporcie jest wszystko dokładnie napisane.

– Bardzo interesujące, panie Margolis.

Serce Mikala stanęło na długą i niebezpieczną chwilę. Menedżer/Dyrektor Projektów i Rozwoju na Ćwiartkę Północno-Zachodnią odwrócił się twarzą do niego. Z początku Mikal nie rozpoznawał eleganckiego młodego człowieka, pewnego siebie, silnego i groźnego, ani trochę nie pulchnego i nie jękliwego, jak go pamiętał.

– Rany boskie. Johnny Stalin.

– Udziałowiec 703286543.

Mikal Margolis stał i czekał, aż przyjdzie korporacyjna policja. Czekał, czekał i czekał. Wreszcie zapytał:

– To co, nie dzwonisz po nich?

– To nie będzie konieczne. Najpierw te pana dokumenty.

– Co z nimi?

– Chcę je przejrzeć. Skoro warto dla nich wyjść ze ścian i ryzykować taką maskaradę, no... bo wiem o panu wszystko, panie Margolis, wszystko, to na pewno są warte przejrzania.

– Ale...

– Ale pan jest mordercą z wyrokiem i Freelancerem... Panie Margolis, a mój ojciec był przygłupem i gdybym został w Drodze Bez Znaczenia, byłbym teraz biednym jak mysz kościelna rolnikiem, a nie człowiekiem biznesu i przemysłu. To, co pan w przeszłości zrobił mojej rodzinie, to przeszłość. Proszę pokazać te papiery. Rozumiem, że przeprowadził pan pełną analizę mineralogiczną, chemiczną, biologiczną i kosztową, żeby to uzasadnić?

Mikal Margolis pomajstrował przy kradzionej teczce i rozłożył papiery na biurku Menedżera/Dyrektora Projektów i Rozwoju na Ćwiartkę Północno-Zachodnią. Rogi obciążył małymi przyciskami w kształcie nagich chłopczyków leżących na plecach z zadartymi do góry nogami.

– Dam jej ziemię – powiedział Umberto Gallacelli, odbywając sjęstę na łóżku, z głową podpartą kupą brudnych majtek. – Dla niej tylko cała ziemia.

– A ja dam jej morze – stwierdził Louie Gallacelli, wiążąc przed lustrem wąski jak sznurówka krawat. Odkąd pojawili się pielgrzymi, interesy szły niesamowicie. – Bo ona jest jak morze, bezkresna, nieposkromiona, niespożyta, choć ustępliwa. Dla niej tylko morze. –

Zerknął na Eda Gallacelliego, wymazanego smarem i zaczytanego w numerze *Praktycznego mechanika*. – Ej, Eduardo, a ty co dasz naszej kochanej żonie na urodziny?

Ed Gallacelli, nieskłonny odzywać się bez potrzeby, tylko opuścił gazetę i uśmiechnął się subtelnie. Tego samego dnia wieczorem wsiadł do Ekspresu Południk, nie mówiąc braciom, kiedy wróci. Do dwudziestych urodzin Persis zostało siedem dni. Minęły jak z bicza trzaśł. Louie szesnaście godzin dziennie oskarżał w sądzie do spraw drobnych przestępstw Dominica Frontery – z pielgrzymami pojawiły się drobne przestępstwa i drobni przestępcy i mimo że burmistrz i umęczony prawnik rozpatrywali po pięćdziesiąt spraw dziennie, miejski areszt cały czas był przepelniony. Trójce dobrodusznym konstabli, których Dominic ściągnął z komendy w Południku, ledwie udawało się powstrzymać strumień drobnych przestępstw.

Umberto wykonał prosty przeskok z rolnictwa do nieruchomości. Dzierżawienie pól okazało się tak zyskowne, że założył z Raelem Mandellą spółkę przekształcającą surową skałę i piasek w pola uprawne i dzierżawiącą je za czynsz tylko odrobinę niższy niż rujnujący. Nawet Persis Tatterdemalion była tak zapracowana, że zatrudniła dodatkowe

osoby i zaczęła się zastanawiać, czy nie wynająć przyległej działki z domem, żeby móc rozbudować hotel.

– Biznes żre jak dziki – oświadczyła swoim stałym klientom, wskazując brodą zabiedzonych pobożnych pielgrzymów siedzących w kąciku z syropem z gujawy i rozmyślających o Pani Taasmin. – Biznes żre jak dziki.

A potem Sevriano i Batisto wymykali się, każdego wieczoru o tej samej porze, patrzyła wtedy na nich, wzdychała i dziwiła się, jak to wyrosli w zaledwie dziewięć lat. Mieli szatańską urodę i łobuzerski wdzięk swoich ojców. W całej Drodze Bez Znaczenia nie było dziewczyny, która nie chciałaby się przespać z Sevrianem i Batistem, najlepiej jednocześnie. Pamiętając o tym, wołała ich do baru, skakała nad nimi i przyglądała im kręcone czarne włosy, które zaczynały z powrotem odstawać w sekundę po wyjściu za drzwi, a kiedy nikt nie patrzył, wsuwała im do kieszeni koszuli męskie pigułki antykoncepcyjne.

Dziewięć lat. Nawet czas nie był już taki jak kiedyś. A nostalgia – nie ma co mówić. Persis Tatterdemalion ze zdumieniem uświadomiła sobie, że za zaledwie pięć dni kończy dwadzieścia lat. Dwadzieścia. Połowa życia. Po dwudziestce już się na nic dobrego nie czeka. Zabawne, jak ten czas leci. Leci, no tak. Nie myślała o lataniu od... nie pamiętała od kiedy. Ból przeminął, ale świerzbienie pozostało. Nie była pilotką. Zarządzała hotelem. Dobrze zarządzała. Zajęcie tak samo szanowane, jak zawód pilota. Tak sobie mówiła. Gdy ktoś mówił o pielgrzymce do Drogi Bez Znaczenia, mówił „B.A.R/Hotel”. Powinna być z tego dumna, tak sobie powtarzała, lecz w najgłębszej głębi serca wiedziała, że i tak wolałaby latać.

Drgnęła, uświadamiając sobie, że ma klienta.

– Przepraszam. Się zamyśliłam.

– Nie ma sprawy – powiedział Rael Mandella. – Jeszcze dwa piwa. Coś słyhać o tym twoim zaginionym mężu? Umberto mówił, że nie ma go od trzech dni.

– Przyjdzie, przyjdzie.

Ed był czarnym szczenięciem w miocie. Kiedy jego głodni sukcesu bracia dorabiali się jako adwokaci i agenci nieruchomości, Ed był szczęśliwy, siedząc w swojej szopie, naprawiając ludziom różne drobiazgi i nie biorąc za to pieniędzy. Kochany Ed. Ale gdzie on jest?

Nadszedł dzień dwudziestych urodzin, Umberto i Louie wyprawili dla żony śniadaniowe przyjęcie-niespodziankę, z tortami, winem i dekoracjami. Ed wciąż się nie pojawił.

– Co za syfiarz – powiedział Umberto.

– Co to za mąż, którego nie ma na urodzinach żony? – dodał Louie. Pokazali Persis swe prezenty.

– Ja daję ci ziemię – powiedział Umberto, rolnik o brudnych od ziemi palcach, i wręczył żonie pierścionek z diamentem, ręcznie wykonany przez karłowatych jubilerów z Yazzoo.

– A ja daję ci morze – rzekł Louie i podał jej kupon na wakacje na Wietrznych Wyspach na Morzu Argyre. – Dziesięć lat tu pracujesz, bez dnia wakacji. Zrób sobie teraz tyle wolnego, ile tylko zechcesz. Zasługujesz na to. – I obaj ją ucałowali.

A Eda wciąż nie było.

Nagle Persis Tatterdemalion usłyszała dźwięk. Nie był głośny i z łatwością zatraciłby się w radosnym zgietku imprezy, gdyby nie nasłuchiwała go od dziesięciu lat. Zrobił się głośniejszy, lecz i tak tylko ona go słyszała. Wstała, jakby owładnięta archanielskim czarem. Dźwięk wywołał ją z hotelu na zewnątrz. Już wiedziała, co to takiego. Dwa silniki Maybach/Wurtel w konfiguracji pchająco-ciągącej. Osłoniła oczy od słońca i spojrzała. Oto był, wylatywał prosto ze słońca, czarny pyłek, który najpierw stał się ptakiem, potem jastrzębiem, a wreszcie grzmiaćco-wyjącym dwusilnikowym samolotem akrobacyjnym Yamaguchi & Jones, który przeleciał z hukiem nad jej głową, owiewając ją tumanem kurzu i obsypując kamykami. Patrzyła, jak robi nawrót. Z miejsca pasażera machał do niej Ed Gallacelli, cichy Ed, smutny Ed, szczęśliwy tu i teraz Ed. Odtąd Persis Tatterdemalion kochała tylko i wyłącznie jego, albowiem ze wszystkich jej mężów on jeden rozumiał ją na tyle, by dać jej to, czego pragnie najbardziej. Umberto dał jej ziemię, Louie morze, a Ed zwrócił jej niebo.

Słabość oparta na wspomnieniach, której nie potrafiła się wyzbyć, ciągle kazała jej wracać do Owoców Morza Raana Thurinnena na Ocean Boulevard. Nie chodziło tylko o jakość chowdera, choć była bezdyskusyjna. Nie chodziło o radosne usposobienie Raana, zaróżowionego od piwa „Stahler”, mimo że mówił do niej teraz per „pani Quinsana”. Chodziło raczej, jak myślała, o niemożność puszczenia w niepamięć trzech przepracowanych tam lat.

– To co zawsze, pani Quinsana?

– Dzięki, Raani.

Miskę parującego świeżego chowdera podała jej żująca betel nastolatka o tępym wzroku.

Mała nie wytrzyma trzech miesięcy, nie mówiąc o trzech latach, pomyślała Marya Quinsana. Ale chowder był bardzo dobry. Ciekawe, że przez tyle lat, kiedy tu pracowała, gdy mogła go jeść za darmo, nie spróbowała ani razu.

Wciąż zdumiewało ją, ile miała wtedy energii. Od szesnastej do północy serwowała chowder, bouillabaisse i gumbo, a potem zrywała się o ósmej i szła do biura partii na prospekcie Kayanga, żeby adresować koperty i gadać z wyborcami na Nabrzeżu 66. Zwolenniczka partii, członkini partii, działaczka partii, aż przyszedł czas wybierać pomiędzy kandydatką partii a zupą rybną. Wybór był oczywisty, choć wciąż była wdzięczna Raanowi za jego dolary. I z pełnych chowdera ust klientów też usłyszała sporo, dość, by na nowo napisać manifest partii przed wyborami do Regionalnego Parlamentu Syrtii i zaprowadzić ją na zwycięskie balkony na całym kontynencie. I ona była na balkonie razem z innymi lojalnymi działaczami, oklaskując zwycięskich kandydatów, choć

w sercu myślała tylko „biedne marionetki, biedne marionetki”. Zaprowadziła ich manipulacją do władzy, każąc im słuchać ludzi.

„Słuchajcie”, mówiła, „słuchajcie ludzi, co lubią, czego nienawidzą, co ich złości, co ich cieszy, co ich obchodzi, a co nie. Partia, która słucha, wygrywa wybory”. Naprawdę jednak chciała, żeby słuchali Maryi Quinsany, która im mówi, że mają słuchać.

– Sama powinnaś startować – podsunął Mohandas Gee. – Tak świetnie wiesz, czego chcą ludzie.

Odmówiła. Wtedy. Wyglądało to jak poświęcenie. Chodziło o ambicję. Jej czas miał przyjść podczas wyborów światowych za dwa lata. A tymczasem była młotem, a jej manifest kowadłem, na którym wykuwała się Nowa Partia. Gorliwy zapał do reform wymiół kadry. Zawiązano nowe kolegium elektorów i wielu starych reakcjonistów („zawodowych polityków”, jak krytykowała ich Marya) odkryło, że po regionalnych wyborach muszą się obyć bez nominacji. Działała jednak ostrożnie. Jej własna fundamentalna hipokryzja nie mogła zostać zdemaskowana – to, że ona, potępiająca zawodowstwo, sama chce wprowadzić na polityczną arenę całkiem nowy wymiar sprofesjonalizowania. Wciąż zbyt wielu politycznych luminarzy mogło ją zniszczyć kiwnięciem palca.

Zanurzyła chleb w zupie i patrzyła na kutry rybackie przy kejach za bulwarem, wypełnione krzątaniem przy sieciach i żaglach. Lata, dziesięciolecia. W tych wyborach zadowolony się lokalnym mandatem. Trzy lata potem zdobędzie chwałę jako liderka partii. Mewy darły się i krążyły nad otwartymi ładowniami kutrów. Polityka jest jak morze. Manifest jest siecią, społeczeństwo rybą, a ona szyprem.

Raano Thurinnen usiadł ciężko naprzeciwko niej.

– Smakuje kolacja, pani Q?

– Jakość jak zawsze u ciebie, Raani.

– Świetnie. Jeśli chcesz posłuchać, za pięć minut będziesz w radiu.

– Nie cierpię tych wyborczych audycji. Brzmie w nich jak lama. Tylko zepsujesz gościom apetyt. Idziesz jutro głosować?

– Oczywiście. Na panią, pani Q.

– Cicho, Raani. Tajność wyborów to konstytucyjne prawo każdego człowieka.

– Ja się niczego nie wstydzę. Jak ktoś się ze mną nie zgadza, to won z mojej knajpy.

– No, no, Raani, prawa demokratyczne, nie pamiętasz? Każdy ma prawo do własnych poglądów.

– Nie w mojej knajpie. Nawet dzisiaj, wiesz, przyszło dwóch szmacciarzy z plakietkami Armii Całej Ziemi, zaczęli rozdawać ulotki. Nie ma mowy, wywaliłem ich. Zrobili się nieprzyjemni, trzeba im było trochę przywalić. Dziewczyna, która z nimi była, chciała mi wydrapać oczy, wyobrażasz sobie? Z tą Armią to ja w ogóle nie wiem, pani Q, poglądy to jedna sprawa, ale zamachy, bomby, z tym trzeba by coś zrobić, nie? Zrobisz coś z nimi, jak cię wybiorą, co? Trochę się boję, że przyleżą w nocy i spalą mi lokal, słyszałem, że już robili takie rzeczy. Musisz coś z nimi zrobić. Trzeba ich zatrzymać, to szajbusy, a ta muzyka, którą grają, rozwydrza dzieciaki. Dostają pierdolca. Ja na to nie pozwalam... I jak cię wybiorą, wiem, że coś z tym zrobisz.

– Zrobię – powiedziała Marya Quinsana. – Masz moje słowo.

I wtedy radio ogłosiło, że zostanie wyemitowane wyborcze wystąpienie Maryi Quinsany z Nowej Partii. Kiedy zagrała muzyka, zaczęła się zastanawiać, których jeszcze z rozlicznych obietnic wyborczych dotrzyma w takim stopniu, jak obietnicy rozbicia Armii Całej Ziemi.

Teraz, gdy drzewa rozrosły się i zaczęły dawać przyjemny cień, dziadek Haran spędzał w urządzonym przez siebie ogrodzie coraz więcej czasu. Uwielbiał w nim rozmyślać o rzeczach minionych. O chłopięctwie w Thompson's Falls, o swojej pierwszej żonie Jewgienii, o chłopięctwie swojego syna i jego syna. Myślał o swej przybranej córce, zmienionej w dzikie dziecko-zwierzę, o wnuczce, wbrew swej woli uczynionej bóstwem, wnuku, Największym Snookerzyście, Jakiego Znał Wszechświat. Zastanawiał się, czy jeszcze go kiedykolwiek zobaczy. Myślał myślami człowieka, który ma ich czterdzieści pięć. A gdy je wszystkie przemyślał, lubił, jak ktoś mu przyniósł posiłek, by móc go spożyć w spokoju ogrodu, wśród niezakłóconych wspomnień, tak że raz czy dwa razy Babuszka musiała o zmierzchu pójść, by zagonić go do domu.

– Powinieneś go udostępnić dla wszystkich – stwierdził Rael Mandella, pamiętając o wypchanych kieszeniach pielgrzymów tłumnie ściągających, by zobaczyć jego córkę. – Ogród Spokoju Szarej Pani. Wstęp: dwadzieścia centawo. – Ostatnio Ubożątka Niepokalane Po Częściach zaczęły nazywać ją Szarą Panią.

– A w życiu – odparł dziadek Haran. – To jest mój ogród, do osobistego użytku mojej żony, mojego i gości, których zechcę tam zaprosić.

Aby zachować tę prywatność, zatrudnił parę rozpaczliwie biednych Ubożątek z faweli zwanej Miastem Wiary, otaczającej wielką szarą bazylikę, i zapłacił im za wzniesienie muru wokół ogrodu. Zadowolony z ich dzieła zainstalował furtkę zamykaną na solidną kłódkę. Jeden klucz

schował do kieszeni, drugi powiesił na szyi żony, na długim złotym łańcuszku.

Kiedy harmider i zgiełk nowej Drogi Bez Znaczenia pełnej przedsiębiorców, sprzedawców dewocjonalnych pierdółek i pazernych hotelarzy robił się zbyt silny, zamykali się w ogrodzie i słuchali śpiewu ptaków oraz pluskania rybek w małym strumyku. Sadzili kwiaty i krzewy, albowiem ogród nigdy nie jest ukończony, póki żyje ogrodnik, a posuwając się z umorusanymi ziemią rękoma wzdłuż ścieżek i grządek, odkrywali części, których sadzenia sobie nie przypominali – sekretne dolinki, maleńkie wodospady, chłodne zagajniki, labirynt, ogród piaskowy, trawnik z ogrodem słonecznym pośrodku.

– Żono najdroższa, nie wydaje ci się czasami, że nasz ogród sięga poza mury, którymi go otoczyłem? – pytał dziadek Haran.

Idąc prawie godzinę intrygującą wyłożoną kamieniami ścieżką dotarli do kamiennej ławki pod wierzbą i tam siedli, by odpocząć. Babuszka patrzyła w niebo, które wydało jej się dziwnie łagodne, zupełnie niepodobne do ostrego błękitu Drogi Bez Znaczenia i pełne puchatych obłoczków.

– Mężu najdroższy, ja myślę, że tak jak my obsiewaliśmy ten ogród, tak ten ogród obsiewał nas i wszystko niespodziewane, co w nim znajdujemy, to nasiona, które umieścił w naszej wyobraźni.

Długo siedzieli w ciszy na kamiennej ławeczce pod wierzbą, patrząc w chmury, milcząc milczeniem starych ludzi, którzy nie potrzebują mowy, by się komunikować. Gdy świat zaczął odwracać twarz od słońca, zeszli stamtąd i wrócili ścieżką dzikszą i piękniejszą, niż szli kiedykolwiek, aż do furtki w murze. Gdy zamykali ją za sobą, obok nich po chamsku przecisnęło się trzech sprzedawców ciastek i turystów-bladawców.

– Myślę sobie, że jeśli to, co mówisz, jest prawdą, to nasz ogród może mieć nieskończoną wielkość i różnorodność – stwierdził dziadek Haran.

Babuszka z zachwytem klasnęła w dłonie.

– No, mężu Haranie, skoro tak, to musimy go zbadać! Jutro zaczniemy, prawda?

Nazajutrz z samego rana, zanim uliczki i zaułki wypełniły się tłumem obcych, Babuszka i dziadek Haran wyruszyli na eksplorację ogrodu. Babuszka przywiązała do furtki jedną z wielkich szpul szpagatu i ją rozwinęła. W sakwie miała takich jeszcze osiemnaście, do tego szkiecowniki i kredki, żeby móc rysować mapy niezbadanych rejonów wyobraźni oraz suchy prowiant dla dwojga. Dziadek Haran prowadził,

uzbrojony w lunetę, sekstans, zegarek i kompas. Po dziesięciu minutach drogi od furtki znaleźli się w nieznanym terenie.

– Tutaj powinna być kępa brzózek o przyśpieszonym wzroście – powiedział dziadek Haran. – Sam je sadziłem, dobrze pamiętam. –

Przed sobą miał małą, zadrzewioną dolinkę. Jej stoki zarastały rododendrony, po kamieniach ciurkał mały strumyczek. – Tu nie powinno być żadnych rododendronów, są na lewo od furtki, ten ogród, myślę, cały czas musi się zmieniać. Fascynujące.

– Ciii – odezwała się Babuszka. – Słyszysz ten głos? – Dziadek Haran wyteńczył swój nie tak dobry słuch.

– To Rael?

– Tak. Cicho, słuchaj. Słyszysz, co mówi?

– Zdaje się, że woła coś... jakby, że Limaal wrócił do domu.

– Tak. A więc, mężu, czy wracamy?

Dziadek Haran przesunął szpagat w palcach. Za sobą ledwo widział żelazną bramę. Przed sobą zaś widział nową dolinę, a za nią, wydało mu się, rozległy, dziewiczy krajobraz, połączenie zalesionych wzgórz i bystrych rzek, jasnych łąk, pełnych skaczących jeleni.

– Naprzód – powiedział i razem zeszli w dolinę, on patrzył na pozycję słońca i notował azymuty z kompasu, ona rozwijała za sobą szpagat. Przeszli przez strumień i trzymając się za ręce, weszli na lesiste wzgórze, na kwieciste łąki i nigdy nie wrócili.

Gdy Rael Mandella przyszedł ich poszukać, znalazł tylko szpagat, który rozwijała za sobą Babuszka. Poszedł jego krętym szlakiem wokół drzew i grządek, fontann i szkótek, wielką spiralą prowadzącą od murów ku środkowi ogrodu. Na końcu przedarł się przez ścianę z ligustru na mały, schludny trawniczek i doszedł do końca sznurka. Był obwiązany wokół pnia wielkiego wiązu, jednego z dwóch, które rosły tak blisko siebie, że ich zrośniętych gałęzi i korzeni nie byłoby w stanie rozdzielić żaden człowiek.

Limaal Mandella wrócił z żoną, dziećmi i całym majdanem do Drogi Bez Znaczenia, by uciec przed ludzką plagą, był jednak tak sławny, że większość pierwszego roku spędził dosłownie uwięziony we własnym domu.

– Nie jestem Największym Snookerzystą, Jakiego Znał Wszechświat!
– wykrzykiwał sfrustrowany do tłumku wielbicieli zbierającego się co rano przed domem Mandellów. – Już nie. Idźcie sobie! Idźcie i padajcie na twarz przed ROTECH-owym Anagnostą Gabrielem, ja was nie chcę.

Wreszcie Rael Mandella senior zaczął odbywać codzienne patrole ze strzelbą, żeby przepłoszyć co gorsze tałatajstwo, a Eva Mandella, która latem przebywała głównie na zewnątrz, w cieniu wielkiego drzewa parasolowego przed domem, sprawdzała się wspaniale jako recepcjonistka i selekcjonerka gości. Lecz nagle, gdy Limaal Mandella zaczynał już przeżywać pierwszy okres spokoju od czasu, gdy wszedł do Jazz Baru Glenna Millera, na Drogę Bez Znaczenia spadła plaga geodetów.

A plaga geodetów zrodziła plagę kwadratów z plastikowej taśmy, plaga kwadratów z plastikowej taśmy zrodziła plagę planistów, plaga planistów zrodziła plagę robotników budowlanych, a plaga robotników budowlanych zapędziła Limaala Mandellę z powrotem w izolację. Akurat, kiedy zdołał przyzwyczaić się do pielgrzymów i biznesmenów, a oni do niego, miasteczko zniecka zaczęło wypełniać się kolejno falami geodetów, planistów, budowlańców, od których pękały w szwach hotele, hostele, tawerny, zajazdy, gospody i noclegownie. Nie był już w stanie spokojnie przejść się do sklepu wielobranżowego Pentecost po *Głos Południka*, żeby dziesięć głosów nie zawołało: „E, Sanchi, zobacz, Limaal

Mandella”. „Tak, to on, mówię ci, Największy Snookerzysta, Jakiego Znał Wszechświat”. „No... o faktycznie... Limaal Mandella”, a dziesiątki dłoni nie wyciągnęło skrawków papieru, paragonów, odcinków rent i kuponów zakładów po autografy i żeby nie padły dziesiątki zaproszeń na rozegranie pokazowego meczu w jakimś hotelu, barze czy świetlicy dla robotników.

– Co tu się, kurna, dzieje?! – zrzędził przed Santa Ekatríną. – Najpierw ktoś poszatkował tą taśmą całą cholerną pustynię, jak tarczę do rzutków, a teraz dniem i nocą przylatuje tyle ciężkiego sprzętu, że mogliby cały nowy kontynent nim postawić. I ledwo się tutejsi nauczyli, że nie chcę gadać o snookerze, o tym, jak wygrałem z diabłem, o konkurentach Największego Snookerzysty, Jakiego Znał Wszechświat, ledwo mogę pójść sobie w spokoju do sklepu, do baru, nałazi tu tego gówna i znowu muszę się ukrywać. I co oni tu w ogóle robią? Budują zapasową windę orbitalną czy co?

Włączył się Kaan Mandella, czteroletni, bystry i opchany pilawem z jagnięciną:

– Żelazo, tata. Cała ta pustynia ma pełno żelaza. To dosłownie czysta rdza, tak mówiła nauczycielka, a ona się zna, bo była gelelo... gelo...

– Geologiem. Żelazo! Pani łaskawa, i co jeszcze? Czyli to Korporacja Bethlehem Ares to robi. No nie wiem... i co się stanie z naszą Drogą Bez Znaczenia?

Bo z Drogą Bez Znaczenia podczas jego pobytu w Belladonnie stało się tyle, że w ogóle jej nie poznawał. Świątce, prorokinie, bazyliki, ludzie z metalowymi rękoma, hotele, gospody, noclegownie migające pstrokatymi neonami, latawce modlitewne, gongi, harfy eolskie, rozbrzęczone dzwonnice, zaginieni dziadkowie, otoczone murem ogrody, tajemniczy krewni, którzy znikali równie szybko, jak się pojawili, nieznanymi o twarzy koloru kitu wystający zdumieni na rogach ulic, pięć pociągów dziennie, do tego port dla sterowców, sklepy, bary, slumsy i fawele, ludzie śpiący w nocy na ulicy, ludzie stojący cały dzień w kolejce do drzwi z tabliczką „Prośby”; kradzieże, gwałty, porwania – policja! Konstable z elektrycznymi pałkami, sądy, Louie Gallacelli w todze, nieruchomości, działki i dzierżawy. Sprzedawcy ciastek na każdym rogu, chłopcy z taczkami, przekupnie, handlarze dewocjonaliami – ulice! Lany beton i blacha falista, szkło, stal i plastik; piwo smakujące jak szczyny – importowane jedzenie! Kolejki do pomp z wodą, hektary fotowoltaiki, wszechobecny smród odchodów z przeciążonych biometanowni. Rowery, riksze, trójkołowce – ciężarówki! Ludzie krzyczący w trakcie sjesty, ludzie

wchodzący bez pukania, obcy, pełno obcych, gapiących się i gapiących, rozdziawiających paszcze, wydających dźwięki. Nawet siostra wydawała mu się obca, zamknięta w paskudnym betonowym czyraku mieniącym się Bazyliką Szarej Pani; wstęp wyłącznie dla pobożnych suplikantów, pokutników i tych o duszy pielgrzyma. Limaal Mandella wciąż posiadał dość dumy człowieka światowego, żeby odmówić ustawienia się w kolejce pod tabliczką „Prośby, błagania, intencje”.

– Cały ten dom, to miasto, ten świat, co się z nim porobiło?! – zawołał i wypadł z domu, żeby przebiec przez podwórko do domu rodziców.

W ciągu dwudziestu sekund, bo tyle trwało przecięcie obsranego przez lamy podwórka, zrobiono mu dwa zdjęcia z lampą błyskową, a jedna kobieta, skryta w ciemności za donicą z wawrzynem błagała go, żeby ją seksualnie wykorzystał.

– Mamo, szlag mnie trafi w tym mieście!

Eva Mandella uśmiechnęła się zajęta swoim krosnem i powiedziała:

– Limaal! Jak dobrze cię widzieć!

– Mamo, ja tu nie mam za grosz prywatności. Trzydzieści sekund temu jakaś baba mnie błagała, żebym ją związał, zakneblował, owinął folią i obsikał! Tak dalej być nie może! Muszę mieć trochę prywatności!

– Ależ, Limaal. Jesteś znany z twarzy.

– Mamo, ta część mojego życia się już skończyła.

– Póki żyjesz, żadna część twojego życia się nie skończyła. Właśnie po to to robię. Powiedz mi, Limaalu, co o tym sądzisz? – Pokazała mu gobelin, nad którym pracowała.

– Bardzo ładny – powiedział Limaal Mandella, wciąż dygocąc z furii.

– Prawda? To jest historia tego miasteczka. Umieszczam tu wszystko, co się w nim wydarzyło, żeby, kiedy mnie już dawno nie będzie, twoje dzieci i ich dzieci mogły na to popatrzeć i wiedzieć, że mają dumną historię. To bardzo ważne, by wiedzieć, skąd przychodzisz i dokąd idziesz. To jest właśnie twój problem, Limaalu – przyszedłeś, ale na razie nie masz dokąd iść. Musisz mieć jakiś cel.

Limaal Mandella nie powiedział nic, ale stał, wiercąc stopą w zakurzonym kamieniu. Potem ucałował krótko matkę w policzek, zawinął się i wybiegł z domu, mijając sfrustrowaną kobietę i paparazzich na gałęziach drzewa morwowego, przebiegł przez kuchnię, mijając zdumioną żonę, synów i wypadł w noc pełną huku wielkich maszyn budowlanych. Pędził z ponurą determinacją, nie zwracając uwagi na okrzyki rozpoznania i zachwyty ze strony robotników, aż wpadł do zachwaszczonego ogrodu otaczającego skalny dom doktora

Alimantanda. Drzwi były wyważone, przedpokój zakurzony i zatęchły. Gdy zapaliły się świetlne panele, z grzęd na suficie spłoszyły się nietoperze.

Gdzieś w tym miejscu musi się kryć klucz do niezadowolenia, drażliwości, złego humoru, niespokojnej duszy. Jako dziecko wierzył, że na ścianach domu doktora wypisana jest wszelka ludzka mądrość i wiedza, teraz potrzebował tylko czegoś, w co wyceluje swój racjonalizm. Stał przed ścianami pełnymi chronodynamicznych hieroglifów i uśmiechał się coraz szerzej. Zapłonęło w nim światelko. Może i nie jest już Największym Snookerzystą, Jakiego Znał Wszechświat, ale ma przed sobą klucz do stania się Panem Czasu i Przestrzeni. Ma przed sobą całe życie tajemnic, osiągnięć, porażek i triumfów.

– Tata? – Przestraszył się, słysząc ten głos. – Tata, wszystko dobrze?

– Był to Rael junior, pięcioletni i już obarczony rodzinną klątwą.

Limaal Mandella położył mu dłoń na głowie.

– Wszystko dobrze. Po prostu, odkąd tu przyjechaliśmy, nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić.

– Wiem. Byłeś jak papierowy samolocik na wietrze.

Aż tak nieudolny był w ukrywaniu swojej frustracji?

– Ale teraz z tym koniec. Rael, twój ojciec będzie luminarzem nauki i wiedzy, tak jak doktor Alimantando w historiach z Drogi Bez Znaczenia, które ci opowiadałem. Popatrz tutaj... – Ojciec i syn uklękli, by wpatrzeć się w wyblakłe bazgroły. – Tu się to wszystko zaczyna. – I poszedł ciągiem rozumowania wzdłuż ściany, i wyżej, i w kółko, a Rael junior za nim – tak rozpoczął wieloletnią drogę wzdłuż tego ciągu, która miała go doprowadzić na środek sufitu w pokoju meteo doktora Alimantanda.

– Patrzcie! – wołał Cadillac Natchniony, a od jego stalowej czaszki odbijało się światło chirurgicznych lamp. – Pierwsze całkowite umartwienie!

Chirurdzy, pielęgniarki, protetycy padli na kolana, unosząc ręce w adoracji. Taasmin Mandella odsunęła się od metalowego czegoś na stole operacyjnym. Przerazało ją to.

Pod plastikową kopułą pulsował mózg usiany elektromechanicznymi transdaktorami. Odpalił neuron, transdaktor drgnął, metalowe ramię uniosło się, metalowe palce rozwarły się, żeby chwycić powietrze.

– Gloria, gloria, gloria! – darli się chirurdzy, pielęgniarki, protetycy.

– Zabierzcie to ode mnie – mruknęła Taasmin Mandella. – Niedobrze mi się od tego robi.

Cadillac natychmiast do niej przyskoczył i grzecznym szeptem zaczął przekonywać.

– Ależ, Pani, zastanów się, jakie to osiągnięcie! Pierwsze całkowite umartwienie! Ciało zamienione w metal. To zaiste święta chwila!

Taasmin cofnęła się, słysząc nieskrywaną zawiść w jego głosie. Stwór otworzył metalową przesłonę oka i obrócił ku niej stalową gałkę oczną. Usta otworzyły się i wyrzygały stek bulgotliwego bełkotu. Próbował usiąść i ją objąć.

– Zabijcie to, zabijcie to paskudztwo, zabierzcie to ode mnie! – wrzasnęła Pani Taasmin.

Całkowite Umartwienie usiadło. Wstrząsnął nim skurcz. Cybernetyczny bełkot wzmógł się, zmieniając się w zgrzyt metalu o metal. Z dygocących ust pociekł olej. Chirurdzy-pielęgniarki-protetycy zerwali się z kolan i rzucili się do stołu operacyjnego. Całkowite

Umartwienie zaczęło spazmować, trząść się, w końcu padło ze skrzypieniem zacierających się trybów. Taasmin Mandella, korzystając z zamieszania, wymknęła się z sali operacyjnej i uciekła pustymi, sterylnymi korytarzami i słonecznymi krużgankami, szeleszcząc zadrukowaną w obwody suknią.

O zmierzchu, gdy medytowała w piaskowym ogrodzie, usłyszała śpiewy. Maszynowe mantry Ubożątek, mieszające się z bardziej chrypliwymi głosami ludności, wdarły się w jej postrzeganie jak dźwięk srebrnego dzwoneczka i ściągnęły z powrotem w świat ludzi. Kłopoty nigdy się nie kończą. Przeciągnęła się, wyginając plecy i napierając nimi na usztywniające oparcie stołka do medytacji. Za minutę do drzwi zapuka Cadillac i wezwie ją do nowych obowiązków. Wstała ze stołka, poszła do pokoju, włożyła szary fartuch i szelki. Cadillac twierdził, że jej nagość jest mało wzniosła i bulwersująca.

Była gotowa na pukanie do drzwi.

– Co jest?

– Problem, o Pani. Ubożątka...

– Słyszałam je.

– Chyba najlepiej, jeśli Pani sama zobaczy. – Cadillac Natchniony poprowadził ją wyprazonymi słońcem krużgankami, oddającymi niebu swój całodzienny żar.

– Jak się udał... eksperyment? – Nie była w stanie powstrzymać załamania głosu.

Cadillac wyraźnie to usłyszał, odpowiedział bowiem:

– Z całym szacunkiem, nie powinna pani bagatelizować trudów naukowców, oni próbują udoskonalić nowego człowieka, człowieka przyszłości. Niestety, w tym wypadku organizm pacjenta obumarł, ale jego odwaga i wiara na pewno otworzyły przed nim prostą drogę na łono Wielkiego Inżyniera.

Otworzył ciężkie, mocno zdobione wrota prowadzące na ulicę. Odgłosy śpiewów i owacji się wzmożyły.

– Co tu się dzieje?

– Pani, pozwól za mną. – Szambelan i prorokini skręcili za róg i stanęli oko w oko z gęstym tłumem.

– Na górę, będzie lepszy widok – poradził Cadillac Natchniony, pośpieszając Taasmin Mandellę kamiennymi schodkami na balkon.

Za ciżbą osłupiałych mieszkańców Taasmin widziała błyszczące w wieczornym słońcu maszynowe kończyny. Ubożątka Niepokalane Po Częściach klęczały obok płotu z drucianej siatki otaczającego plac

budowy Bethlehem Ares Steel. Powietrze wypełniało buczenie binarnych mantr i ramiona wymachujące jak żurawie skrzydła w geście ekstatycznego oddania. Co kilka sekund któreś Ubożątko odłączało się od grupy i bezczelnie ignorując liczne ostrzeżenia, że siatka jest pod napięciem, przyciskało do niej swe metalowe protezy. Prąd iskrzył, a wyznawca jęczał i wyginał się w religijnej ekstazie. Potem wracał na swoje miejsce i wznawiał recytację 10111010101111000001101101010, a na jego miejsce szedł inny.

– Co oni robią? – zapytała Taasmin Mandella.

– Wydawało mi się, Pani, że to oczywiste. Oddają cześć.

– Placowi budowy?

– Wygląda na to, że pomiędzy niższymi warstwami Miasta Wiary krążyło prorocstwo. Twierdzi ono, że Korporacja Bethlehem Ares buduje tutaj, ni mniej, ni więcej, tylko miejsce narodzin, jeśli można to tak określić, Stalowego Mesjasza, Wyzwoliciela, Machiny z Sercem Człowieka, która wyzwoli maszyny z ich tysiącletniego uwiązania do ciał.

– I dlatego modlą się do jakichś... fundamentów i wykopów?

Za siatką schodzący ze zmiany robotnicy przystanęli, żeby pogapić się na adorujących Dumbletonian.

– Dokładnie. To jest święte miejsce, miejsce adoracji i oddawania czci.

Taasmin Mandella jeszcze raz popatrzyła na niesłabnący strumień Ubożątek radośnie rażących się prądem z siatki pod napięciem.

– To chore – szepnęła.

W tłumie miejskich gapiów rozległ się okrzyk.

– Patrzcie! To ona! Szara Pani!

Głowy się odwróciły, palce zaczęły pokazywać. Ubożątka zaprzestały Adoracji Drutu i zwróciły metalowe gałki oczne ku balkonowi. Młoda kobieta z metalową klatką piersiową i lewą nogą wstała i wrzasnęła:

– Przesłanie! Daj nam przesłanie!

W okamgnieniu krzyk podjęli wszyscy.

– Przesłanie! Przesłanie! Daj nam przesłanie!

Pięć tysięcy oczu krzyżowało Taasmin Mandellę.

– Czekają na twoje przywództwo, o Pani – przypochebił się Cadillac Natchniony.

– Nie mogę – szepnęła Taasmin. – To obrzydliwe. Bałwochwalstwo, ohyda... To nie jest prawdziwa duchowość, prawdziwa modlitwa... trzeba to przerwać.

– Jesteś ich przywódczynią, przewodniczką duchową, pasterzem, drogą i sumieniem. Musisz ich poprowadzić.

Skandowanie wzmogło się do obłędu. Ziemia zatrzęsała się, gdy tłukło w nią dwa i pół tysiąca pięści.

– Nie! Odmawiam! To obraza boska! Nie pragnę ich czci... brzydzę się nią. Nie prosiłam, żebyś za mną poszedł, ja służę Błogosławionej Pani, a nie Dumbletonianom, jestem dzieckiem Panarchy, a nie Ubożątek Niepokalanych Po Częściach. – Próbowała ugryźć się w język, lecz słowa wyleciały z jej ust jak przepiękne ptaki: – I nie twoim, Ewanie P. Dumbletonie!

Nagle przestała słyszeć skandowanie i czuć siłę żądań Ubożątek. Spojrzała w żywe oko Cadillaca Natchnionego i zobaczyła płonąca w nim taką nienawiść, że aż się zatchnęła.

Zawsze mnie tak nienawidził? – pomyślała i już myśląc to, uświadomiła sobie, że tak, nienawidził, od chwili, gdy ujął ją za rękę przy torach kolejowych, nienawidził jej i zazdrościł jej, bo była prawdziwym naczyniem boskim, a nie samozwańcem i uzurpatorem jak on. Zazdrościł jej duchowości, bo jedyne, na co go było stać, to zblazowana światowość przebrana w święte szaty. Nienawidził jej, zazdrościł jej i każdą chwilę poświęcał, aby ją zmanipulować, skorumpować i przejąć nad nią kontrolę.

– Jakże ty musisz mnie nienawidzić – szepnęła.

– Słucham, Pani? Nie dosłyszałem. Jakie przesłanie dasz swojemu ludowi? On czeka. – Głos aż ociekał mu hipokryzją.

Taasmin Mandella zacisnęła lewą pięść. Aureola pojaśniała do intensywnego błękitu i już nie dawała się skryć przed oczyma gapiów.

– Jesteś moim wrogiem, Cadillacu Natchniony, Ewanie Dumbletonie, czy jak tam chcesz się nazywać, jesteś wrogiem moim i Boga.

– Takie przesłanie chcesz im przekazać? – Skandowanie dudniło jej w duszy.

– Tak! Nie! Powiedz im tak: Święta Katarzyna wybrała mnie na wysłanniczkę do świata ludzi, bowiem od siedmiuset lat jest Świętą Maszyn i zapragnęła także ludzi prowadzić do Boga. Do Boga, nie do fabryki. Tak powiedz swoim wiernym.

Zeszła z balkonu i wróciła do siebie. Tak jak przyjaciela, dobrze było mieć i wroga. Po latach bez osiągnięć czuła, że ma cel i moc. Była bożym krzyżowcem, walczyła w dobrej sprawie, była aniołem z ognistym mieczem. Przyjemne to było. Bardzo przyjemne, o wiele lepsze niż cokolwiek, co powinna pozwolić sobie czuć jakakolwiek prorokini Błogosławionej Pani.

Co rano, jedenaście po jedenastej, Arnie Tenebrae stawała na końcu łóżka, żeby móc zobaczyć przez zakratowane okno trzy rzeczy. W kolejności perspektywy były to: drzewko pomarańczowe w terakotowej doniczce, trzydzieści sześć kilometrów suchych pustkowi Stampos i jedno błękitne niebo. Żadna z tych trzech rzeczy nie zmieniała się ani trochę, mimo to Arnie Tenebrae codziennie, jedenaście po jedenastej, wspinała się na łóżko – nie dlatego, że widok wydawał się jej choć trochę interesujący, tylko dlatego, że Migli wyraźnie zabronił jej stawać na łóżku (podejrzewała, że z obawy, że się powiesi) i kiedy przychodził punktualnie dwanaście po jedenastej, lubiła odnosić nad nim drobne zwycięstwo przed męczącą codzienną sesją resocjalizacyjną.

– Pani Tenebrae, proszę, ten... nie stawać na łóżku. Bo strażnicy, ten... nie lubią tego.

Niebo niebieskie, Stampos brązowe, drzewko przykurzono zielone. Mogła już zejść.

– Dzień dobry, Migli.

„Migli” nazywał się Prakesh Merchandani-Singhalong i był psychologiem resocjalizacyjnym w Regionalnym Ośrodku Poprawczym Chepsenyt, małym, śniadym, myszowatym, nerwowym, niezdarnym w obsłudze dyktafonu i notatników, tak że nie mógł być określany inaczej niż Migli.

– Co tam dzisiaj, Migli?

Poeksperymentował z różnymi układami kaset, dyktafonu i notatników na stole.

– Ja, ten... myślałem, że moglibyśmy, ten... kontynuować tam, gdzie stanęliśmy wczoraj.

– A gdzie stanęliśmy? – Te rozmowy były marnotrawstwem państwowego czasu i pieniędzy. Podejrzewała, że Migli czuje to samo, ale musi kontynuować teatrzyk, ze wszystkimi szykanami – pilnym notowaniem i wygłaszaniem drobnych i niezbyt drobnych kłamstw, jakich wymaga ta gra.

– Na twoich pierwszych dniach w Korpusie Prawdy Ćwiartki Północno-Zachodniej i, ten... różnych relacjach seksualnych z jego członkami. – Migli łypnął jak sowa przez okulary jak denka od butelek.

Arnie Tenebrae splotła ręce i rozsiadła się na łóżku. Otworzyła usta i pozwoliła kłamstwom płynąć.

– No, po jakimś pół roku w Korpusie w sumie to było OK, ale trochę już się nudziłam, romantyzm się skończył i zostały tylko długie jazdy na trajkach przez pył i parę dni w jakichś dziurach na zadupiu, po podłączeniu się do sieci; nie byłoby to takie złe, gdybyśmy naprawdę mogli tę muzykę nagrywać. Ale od tego jeżdżenia zrobiły mi się odciski między nogami. I bardzo chciałam się przenieść do Aktywnej Służby.

– I co zrobiłaś? – Migli nachylił się ku niej z zainteresowaniem. Pewnie już to słyszał na nagraniach z przesłuchań.

Arnie Tenebrae wyciągnęła rękę i poskrobała paznokciami o tynk.

– Zaprosiłam Paschala O'Hare'a, dowódcę Brygady Północ-Zachód, żeby popróbował wdzięków mojego dziewięcioletniego ciała za szopą łącznościową w Kwaterze Głównej Oblivionville. Przyjechał do Kwatery Głównej po zaopatrzenie, tak samo jak my, i po prostu nie można było przegapić takiej okazji. Masz pojęcie, jaki był dobry w seksie?

Migli zaślinił się w klasyczny pawłowowski sposób.

Arnie Tenebrae czuła niesmak na myśl o tym, że absolwent Universuum w Lyx może się tak łatwo nabierać na jej opowieści o uwodzeniu i panterkowym seksie. Nic z tego, co opisywała, nigdy nie nastąpiło, lecz Migli tak naprawdę nie chciał tego wiedzieć. Faktycznie spotkała w Oblivionville Paschala O'Hare'a i prehandlowała wszystkie tajemnice doktora Alimantanda za miejsce w aktywnej jednostce, a obrzydliwą opowieść o seksualnych poniżeniach, torturach, odmowach, karach i mękach snuła tylko po to, żeby się z Miglim podrażnić. Jak na psychologa resocjalizacyjnego stanowczo sam potrzebował terapii. Pryszczaty dewiant. Opisała trzy miesiące walk w drastycznych szczegółach, jednocześnie w kinie wyobraźni oglądając rzeczywistość. Miesiące bezczynności, marznięcia na biwakach w Górach Eklezjastesa, nudy, czerwunki i nurkowania do wąskich okopów za każdym razem, gdy przelatywał jakiś samolot.

– I co się potem stało? – zapytał Migli pośrednio upojony śmiercią i chwałą.

– Zostanie na jutro – odparła więźniarka Tenebrae. – Czas minął. – Migli zerknął na zegarek i zaczął zgarniać dyktafony, naręcza notatników i długopisów.

– Jutro o tej samej porze, Migli?

– Tak, i... ten...

– Nie stawać na łóżku.

Jednakże następnego dnia o tej samej porze znowu stała na łóżku, a drobny napad złości Migliego ucieszył ją tak bardzo, że zamknęła oczy i wygłosiła wspaniałą i sążnistą improwizowaną opowieść o pierwszym roku na pierwszej linii w służbie Armii Całej Ziemi, pełną spektakularnych ostrzałów artyleryjskich, zamachów bombowych, zasadzek, napadów na banki, porwań, morderstw i najrozmaitszych okrucieństw w miejscowościach o dźwięcznych nazwach w rodzaju Jatna Ridge, Hotwater Valley, Naramanga Plain oraz Chromiumville. A kiedy Migli poszedł, a ona siedziała na łóżku i bawiła się w kocią kołyskę sznurowadłami, przypomniała sobie, jak krew dowódcy grupy Heuha Linha ciekła jej przez palce do błotnistej kryjówki pod górą Zabobon. Przypomniała sobie, jak z dłońmi całymi w jego śmierci podniosła wzrok znad czerwonego błota i zobaczyła szarżującą Bojówkę Czarnogórską, szarżującą, szarżującą, z szeroko rozdziawionymi ustami. Przypomniała sobie strach, który pachniał jak ta krew na rękach, gówno w spodniach i to, jak z wyjącego strachu oszalała, złapała za UBS-kę, wrzeszczała i strzelała, wrzeszczała i strzelała, aż strach zniknął i wszystko znieruchomiało. Awansu nie chciała. W liście pochwalnym napisane było: „Za męstwo wobec przeważających sił wroga”, ona jednak wiedziała, że to strach kazał jej strzelać. Dopiero parę miesięcy później dowiedziała się, że pierwsza akcja Paschala O’Hare’a z nową bronią opartą na induktorach pola poszła jak z płatka i chciał jej podziękować tym odznaczeniem. Stopień młodszej major w Dywizji Deuteronomium. Płacząc kocie kołyski w Regionalnym Ośrodku Poprawczym Chepsenyt, nawet nie potrafiła sobie przypomnieć, co zrobiła z medalem.

Trzeciego dnia Migli znowu przyszedł ze swoimi taśmami i notatnikami. Arnie Tenebrae siedziała na łóżku.

– Dziś jakoś nie, ten... pod oknem? – Sarkazm średnio mu wychodził.

– Jeszcze nie zobaczyłam tego, czego wyglądam. – Postanowiła, że dziś będzie mówić prawdę i tylko prawdę. Żadna satysfakcja z kłamstwa, kiedy tylko ona wie, że kłamie. – Dzisiaj, Migli, opowiem ci o ataku na

system naprowadzania do lądowania w Cosmobadzie. Wystarczy ci taśmy? Papieru? Baterii? Szkoda by było coś z tego przegapić. – Oparła się plecami o ścianę, zamknęła oczy i zaczęła opowieść.

– Z regionalnego dowództwa przyszły rozkazy, duża ofensywa podczas wyborów do ogólnoplanetarnego parlamentu. Po bitwie pod Smith's Shack dywizja straciła parę poziomów dowodzenia, bo wtedy nie mieliśmy jeszcze broni I.P. – i ja zostałam dowodzącą brygadami 5. i 6. Pomyśleliśmy, ja pomyślałam, że skoro nie dostaliśmy jeszcze nowego sprzętu, to wybierzemy sobie jakiś łatwy cel, a konkretnie, system naprowadzania w Cosmobadzie. Ze Skywheela oni schodzą na zdalnym sterowaniu. Jak rozwalimy radary naprowadzania, w Belladonnie nie wyląduje żaden wahadłowiec. Zsynchronizowaliśmy akcję z innymi w sektorze i zajęliśmy pozycje pod Cosmobadem.

Atak był idealnie przygotowany i sprawnie wykonany. Dwanaście po dwunastej miny zniszczyły sześćdziesiąt pięć radarowych bikonów, a komputer naprowadzania zmagął się z niszcząco-tropiącym programem kupionym od Czcigodnych Rodów. Zakłócona została cała łączność ziemia-orbita w sektorze Belladonny. Piękne to było – nie pięknem żółtych wybuchów i walących się wieżowców, ale wewnętrznym intelektualnym pięknem czegoś idealnie wykonanego. Dowódcy plutonów zameldowali zniszczenie wszystkich głównych celów. Arnie Tenebrae wydała rozkaz odwrotu i rozproszenia się. Jej własna grupa, Grupa 27, wycofała się ku Clarksgradowi i tam wpadła prosto na kompanie A i C ochotników z Nowego Merionedd, które akurat były w tym rejonie na manewrach. Strzelanina była krótka i krwawa. Pamiętała, że przez całą potyczkę nie oddała ani jednego strzału. Była tak oszołomiona własną głupotą i niesprawdzeniem aktywności wojskowej w rejonie, że nawet nie podniosła UBS-ki. Grupa 27 poniosła osiemdziesięciodwuprocentowe straty, a młodsza major Tenebrae się poddała.

– Następnym razem zadbam o wywiad – powiedziała młodsza major Tenebrae.

– Następnym razem jest... ten... mało prawdopodobny.

– Oj tam, oj tam. W każdym razie: Grupa 27 została rozbita, a ja mieszkam teraz w Regionalnym Ośrodku Poprawczym Chepsenyt, rozmawiam z tobą, Migli i mówię ci, że koniec czasu. O czym chcesz porozmawiać jutro?

Migli wzruszył ramionami.

Tej nocy młodsza major Tenebrae leżała w snopie poszatowanego kratami światła gwiazd i obracała w palcach kawałek sznurka. W głowie

miała gwiazdne myśli o strachu i grozie. Od poranka, kiedy opuściła Drogę Bez Znaczenia na tylnym siedzeniu terenowego trójkołowca inżyniera Chandrasekaha, nie było ani jednego dnia, żeby nie zbudziła się w strachu i w strachu nie kładła się spać. Strach był jak powietrze, którym oddychała. Wdychała je większymi lub mniejszymi haustami, jak strach luzujący kiszki w okopie Charlie, kiedy Hueh Linh wykrwawiał jej się przez palce, jak pełne napięcia spojrzenie w niebo, by zidentyfikować nadlatujący samolot. Owijała sznurówkę wokół palców, w kółko, w kółko i bała się. Strach. Albo ona wykorzystała strach, albo strach wykorzystał ją.

Palce znieruchomiały w tańcu. Uderzyła ją myśl, głęboka i niepokonana jak boskie prawo. Swym świętym blaskiem oświetliła jej dotychczasową bezcelowość. Dotąd to strach ją wykorzystywał i przyniósł jej niekompetencję, klęskę, odrazę i śmierć. Od tego momentu, kolejny raz kręcąc sznurówką, to ona będzie wykorzystywać strach. Użyje go, bo nie chce sama być użyta. Będzie straszniejsza, brutalniejsza, podstępniejsza, skuteczniejsza niż jakikolwiek dowódca Armii Całej Ziemi przed nią. Samo jej imię będzie przekleństwem pełnym strachu i pogardy. Będą się jej bać jeszcze nienarodzone dzieci, a umarli będą umierać z jej imieniem na ustach, bo albo ona wykorzystała strach, albo strach wykorzystał ją.

Tej nocy długo leżała, nie śpiąc, myśląc w poszatkiwanym kratami snopie gwiazdnego światła.

Czwartego dnia, dwanaście po jedenastej, 19. grupa Dywizji Deuteronomium Armii Całej Ziemi natarła na Regionalny Ośrodek Poprawczy Chepseny, zlikwidowała strażników, wypuściła więźniów i uwolniła młodszą major Arnie Tenebrae. Gdy przypinała sobie do pasa nowy induktor pola, który przynieśli dla niej wyzwoliciele, mały, młody facecik w okularach, jak obleśna sowa, wypadł zza drzwi, wymachując ogromnym, długolufowym pistoletem rakietowym Presneya. Ewidentnie nie miał pojęcia, jak go używać.

– Nie ruszać się, ten, ręce do góry, jesteście, ten, aresztowani.

– Oj Migli, nie bądź głupi – powiedziała Arnie Tenebrae i odstrzeliła mu potylicę krótkim impulsem z induktora pola. 19. grupa spaliła Regionalny Ośrodek Poprawczy i odjechała w głąb brudnobrązowego pustkowia Stamos, a nad nią wisiał brudnobrązowy dym.

Zupełnie jakby ich wszystkich porwała noc – ludzi, domy, wielkie żółte maszyny, wszystko zniknęło. W nocy była najgorsza burza, jaką pamiętano, a bracia leżeli w łózkach, czując przepyszny dreszcz strachu za każdym razem, gdy błyskawica rzucała na ścianę wielkie błękitne cienie, a grzmot dudnił tak głośno i przeciągle, jakby był z nimi w pokoju, czy obok w łóżku. Nie pamiętali, że zasnęli, ale przecież musieli, bo następnym, co pamiętali, był widok matki odsłaniającej zasłony, by wpuścić do środka to osobliwe światło, jakie zdarza się tylko po wielkich burzach, kiedy wszystko jest tak czyste i jasne, jakby zostało dopiero co wyprane. Wytoczyli się z łóżka w ubrania, przez śniadanie, w wyprany poranek.

– Cicho, nie? – Dla uszu, od miesięcy, lat, przyzwyczajonych do całodobowego łomotu, cisza była aż onieśmielająca.

– Nie słysząc, żeby pracowali – powiedział Rael junior. – Czemu nie pracują?

Bracia pobiegli do dołka, który wykopali pod siatkowym płotem, żeby móc bawić się na najbardziej ekscytującym placu zabaw – placu budowy. Zatrzymali się przy siatce i spojrzeli – na nic.

– Nie ma ich! – krzyknął Kaan.

Nie było ani jednej równiarki, pompy do betonu, żurawia wieżowego, ani jednego baraku noclegowego, stołówkowego czy socjalnego, ani jednego spawacza, murarza, betoniarza czy choćby brygadzysty, kierownika budowy, operatora żurawia, ładowacza ciężarówek. Zupełnie jakby burza zassała ich wszystkich prosto w niebo i ślad po nich zaginął. Rael junior i jego młodszy brat przetoczyli się pod siatką i zaczęli badać nowy, pusty świat.

Przemykali nieśmiało zacienionymi uliczkami pomiędzy ogromnymi wspornikami konwertorów. Podskakiwali przy każdym skrzeknięciu pustynnego ptaka i przy każdym zniekształconym własnym odbiciu w dżungli metalowych rur. Gdy stało się oczywiste, że fabryka jest całkowicie opustoszała, odwaga wzrosła.

– Juhuu! – zawołał Kaan Mandella przez zwinięte dłonie.

– JUHUU, JUhuu, Juhuu, juhUU... – odpowiedziały echa w osadnikach i przenośnikach rudy.

– Ooo, patrz na to! – wrzasnął Rael junior.

Pod osłoną niebotycznej płataniny rur i kominów w schludnych szeregach stało zaparkowanych dwieście wywrotek. Chłopcy, zwinni jak małpy, zaczęli wspinać się po nich i pełzać, huśtać się na klamkach, skakać po stopniach, zjeżdżać po pochyłych ścianach do skrzyń, które mogłyby pomieścić całą hacjendę Mandellów. Energia przeniosła ich z wielkich ciężarówek na galeryjki i kładki, gdzie mogli bawić się w niebezpieczną grę, trójwymiarowego berka pomiędzy rurami i przewodami systemu filtrowania rudy. Kaan Mandella, wisząc na jednej ręce w oszalamiającej wysokości nad skrzynią wywrotki, wydał nagle radosny okrzyk:

– Rael, kurde, zobacz! Pociągi!

Małpi gaj chemii przemysłowej natychmiast został porzucony na rzecz dwunastu oczekujących pociągów. Eksploratorzy w życiu takich nie widzieli – każdy miał ponad kilometr długości i ciągnęły go dwie lokomotywy klasy 88 w podwójnej trakcji. Poczucie mocy drzemiącej w wyłączonych tokamakach zmuszało chłopców do zachowania ciszy. Rael junior dotknął jednego z tytanów wierzchem dłoni.

– Zimna – powiedział. – Wyłączona. – Na siódme urodziny dostał od dziadka książkę o pociągach.

– „Edmund Gee”, „Śmigła”, „Indomptable” – Kaan czytał napisy na czarno-złoty gigantach. – Co by było, gdyby któraś się nagle włączyła? – Rael junior wyobraził sobie eksplodujące życiem silniki termojądrowe i sama ta wizja tak go przeraziła, że kazał Kaanowi zostawić śpiące olbrzymy w spokoju i poprowadził go w zupełnie inną część kompleksu, której w ogóle nie widzieli podczas swych wcześniejszych potajemnych wizyt na placu zabaw.

– Zupełnie jak druga Droga Bez Znaczenia – stwierdził Kaan.

– Droga Bez Znaczenia taka, jaka być powinna – dodał Rael junior.

Znaleźli się na skraju małego, ale kompletnego osiedla mającego około sześciu tysięcy mieszkańców, czy raczej mogącego pomieścić

sześć tysięcy mieszkańców, było bowiem martwe jak cmentarz. Osiedle było elegancko uporządkowane, z równymi szeregami domów z białej suszonej cegły, z czerwonymi dachami (gdyż niektóre rzeczy były zbyt święte, żeby nawet Korporacja Bethlehem Ares poważyła się jej zmienić), wzdłuż przestronnych ulic, odchodzących promieniście od centralnego placu z parkiem. Na końcu każdej ulicy, w miejscu, gdzie łączyła się z okrężną drogą techniczną, stały korporacyjna kantyna, korporacyjna szkoła, korporacyjny dom kultury i korporacyjna baza małych, zwinnych elektrycznych trójkołowców.

– Ooo! Super one są! – krzyczał Kaan, kręcąc ciasne bączki trzykołowym wózkiem. – Ścigamy się!

Rael junior podjął wyzwanie, odpalił drugi trójkołowiec i zaczęli się ścigać tam i z powrotem po pustych ulicach Stalogrodu, wzdłuż pustych domów, pustych sklepów, pustych szkół, domów kultury, herbaciarni, przychodni, kaplic, wszystko to puste, puste, puste, jak oczodoły czaszki. Pokrzykiwali radośnie, wzbijając kołami chmury czerwonego pyłu, który przedostał się nawet w to święte miejsce.

U zbiegu promienistych ulic był okrągły park z tabliczką „Ogrody Feudalizmu Przemysłowego” nad bramą z kutego żelaza. Gdy chłopcy znudzili się wyścigami, ściągnęli z siebie zapyłone, przepocone ubrania, pochlapali się w ozdobnym jeziorcu i poopalali na wypielęgnowanych trawnikach.

– Super tu jest, nie? – powiedział Rael junior.

– Jak myślisz, kiedy oni wszyscy przyjadą?

– Nieważne. Aby nie dzisiaj. Mógłbym tu siedzieć cały czas. – Rael junior przeciągnął się jak kot i wystawił twarz do niewinnego słońca.

– Myślisz, że będziesz tu pracować, kiedy dorośniesz?

– Może tak. Może nie. Nie zastanawiałem się za bardzo, co bym chciał robić. A ty?

– Ja chcę być bogaty i sławny i mieć wielki dom, jak mieliśmy w Belladonnie, basen i sterowiec i żeby wszyscy mnie znali, tak jak tatę.

– No proszę, siedem lat i wie dokładnie, czego chce. A jak do tego wszystkiego dojdiesz?

– Założę firmę z Rajandrą Dasem.

– Z tym żulem? Ale on nic nie umie.

– Otworzymy stragan z ciepłym jedzeniem, a jak dorobimy się na nim góry pieniędzy, otworzymy następny i następny i następny i będę bogaty i sławny, zobaczysz!

Rael junior leżał na pięknie wywałowanej trawie i zastanawiał się, jak to jest, że jego młodszy brat widzi przed sobą wszystkie swoje dni, podczas gdy on pragnie tylko polatywać jak ćma z mistycznym pustynnym wiatrem.

– Słyszysz? – Kaan usiadł czujnie. – Jakby sterowce.

Rael junior wytężył słuch i usłyszał w wietrze pomruk silników lotniczych.

– Stamtąd. Może to będą ludzie.

– O nie, może faktycznie – zgodził się Kaan, naciągając na siebie lepkie ciuchy. Pierwszy aerostat wpłynął nad stalowe iglice miasta. – Chodźmy.

Bracia pobiegli wymarłymi ulicami wypełnionymi hukami silników, a nad ich głowami przepływał sterowiec za sterowcem, za sterowcem. Rael junior biegł z jednym okiem wpatrzonym w niebo.

– Muszą ich być setki. – W jego głosie pobrzmiwały podziw i lęk jednocześnie.

– Chodźmy stąd – stwierdził Kaan, obarczony klątwą pragmatyzmu.

– Nie, chcę zobaczyć, co się będzie działo.

Rael junior już biegł w górę po kratownicowych schodach prowadzących na szczyt kolumny katalizatora. Kaan wahał się tylko przez chwilę i ruszył za nim. Faktycznie był pragmatyczny, ale i ciekawy. Na galerijce pod szczytem kolumny plan operacji stał się oczywisty. Sterowce zajmowały pozycje w wielkim kole, którego środkiem była Droga Bez Znaczenia.

– Wow, muszą ich być tysiące – powiedział Kaan, korygując wcześniejsze szacunki brata.

Nad ich głowami cały czas leciały kolejne, trwało to jeszcze pół godziny, zanim szary stał się kompletny. Niebo było czarne od nich, czernią przetykaną malowanymi na burtach złotymi błyskawicami, przemysłową burzą, która zaraz miała opaść na Drogę Bez Znaczenia. Sterowce czekały jak sięgnąć okiem bystrookiego pustynnego chłopca. Przestraszyli się tej czarnej chmury. Wiedzieli, że Korporacja Bethlehem Ares jest potężna, ale nie, że jest tak potężna, by zasłonić całe niebo.

I nagle jakby ktoś wypowiedział zaklęcie.

Wszędzie naraz, wszędzie, otworzyły się klapy ładowni sterowców i wypłynęły z nich chmury pomarańczowego dymu.

– Gaz! – krzyknęli w przerażeniu chłopcy, lecz pomarańczowy dym nie rozptywał się jak gaz – wisiał falującymi kurtynami wokół Drogi Bez

Znaczenia. Parę sekund tak powisał, potem nadspodziewanie szybko osiadł na ziemi.

– Cwane – zauważył Rael junior. – Spychają go w dół swoimi śmigłami.

– Chcę do domu – powiedział chłopiec o zaplanowanej przyszłości.

– Ciii. To ciekawe. – Po minucie od otwarcia klap ładowni chmura osiadła na Wielkiej Pustyni, jak gruba warstwa szlamu, pomarańczowego na czerwonym.

– Chcę do domu, boję się – powtórzył chłopiec, który chciał być bogaty i sławny.

Rael junior spojrzął na wydmy i wysoki, suchy płaskowyż, widział jednak tylko sterowce odłączające się jeden po drugim od szyku.

– Zobaczyłem już dość. Możemy iść.

Tato w domu był w szampańskim humorze.

– Chodźcie tu, zobaczcie – powiedział i zabrał synów na swoje pole kukurydzy. – I co o tym myślicie?

Raelowi najbardziej skojarzyło się to z kryształem siarczanu miedzi, który hodował w szkole, ten jednak był matowoczarny, pordzewiały i miał pół metra wysokości. A poza tym rósł pośrodku pola kukurydzy – żaden kryształ siarczanu miedzi nigdy tak nie robił.

Limaal Mandella z nutą dumy w głosie dodał:

– Chyba go sobie wykopię na pamiątkę.

– A co to w ogóle jest?

– Radia nie słuchaliście? To ferrotropowy kryształ żelaza. Chłopaku, żyjemy w samym środku największej strefy aktywności bakteriologicznej na świecie!

Chłopcy nie byli w stanie zrozumieć, czemu tato się tak cieszy.

– Jak weźmiecie lornetki i pójdziecie na skraj wzgórz, zobaczycie, że cała pustynia, jak okiem sięgnąć, jest nimi porośnięta! Krystaliczne ferrotropy! Tak właśnie Korporacja Bethlehem Ares wydobywa z piasku żelazo – bakteriami, małymi żywymi organizmami, które zjadają bezużyteczną rdzę i srają kryształami. Sprytne, nie? Bardzo! Pierwszy raz w Drodze Bez Znaczenia. I nigdzie dotąd to nie było stosowane. Jesteśmy pierwsi!

– A co to było, co oni rozsypywali ze sterowców? – zapytał Kaan.

Rael junior kopnął go w kostkę, żeby się zamknął, zanim powie, że byli za siatką w zakazanym Stalogrodzie, lecz wzrok ojca były zbyt utkwiony w blasku technologii, by mógł dostrzec takie drobiazgi.

– Zarodniki mikrobów. Tak właśnie, zarodniki. Ale wiecie, co jest w tym najlepsze? Ta... zaraza, bo można by to tak nazwać, dotyka tylko rdzy, jednego szczególnego tlenku żelaza. Nie rusza niczego innego, można by iść przez pustynię całymi kilometrami i nic by się człowiekowi nie stało. Bethlehem Ares rozproszyla to w kręgu o średnicy dwudziestu kilometrów. Najbogatsze złoża rudy żelaza na całej planecie, tak słyszałem od jednego z budowlańców, zanim wyjechali.

– A ten skąd się tu wziął? – Rael junior pochylił się nad obcym wtrętem na polu kukurydzy.

– Pewnie pod glebą też jest żelazo. Zawiało tu parę zarodników i dostały się do rdzy. Mówię wam, u Eda Gallacelliego to nawet na dachu szopy powyrastały!

– Wow! Mogę iść zobaczyć? – zapytał Kaan.

– Pewnie – zgodził się tato. – Ja też pójdę, wezmę lornetkę i pójdziemy w stronę wzgórz. Wszyscy tam są i patrzą. Rael, idziesz?

Rael junior nie poszedł. Zaszył się w domu i czytał swoją książkę o pociągach, a kiedy ojciec, brat, matka, babka, dziadek wrócili pełni opowieści o gigantycznych kryształach wyrastających z piasku i rosnących na dziesięć, dwadzieścia, pięćdziesiąt metrów, wreszcie załamujących się pod własnym ciężarem, udawał, że bawi się z kotem, choć tak naprawdę ich nienawidził, ojca, brata, matki, babki, dziadka, bo nie wiedział, jak nienawidzić tych pilotów i planistów, którzy sprowadzili na jego świat taką wstrząsającą zmianę. Nie rozumiał, dlaczego czuje tę nienawiść, dlaczego czuje się okradziony, zgwałcony, dlaczego źle mu na duszy. Próbował o tym powiedzieć bratu, matce, nawet zdystansowanemu ojcu, lecz nie rozumieli, nikt, nawet mądra Eva Mandella ze swymi mądrymi tkającymi dłońmi. Jediną osobą w całej Drodze Bez Znaczenia, która mogłaby zrozumieć udrękę Raela juniora, była ciocia Taasmin, gdyż tylko ona jedna wiedziała, jak to jest być przeklętym przez nieodgadnione mistyczne przeznaczenie.

Sześć po szóstej zawyły syreny.

Zawyły jak anielskie rogi. Jak letnie burze owiewające kratownice pomp i czerwone dachówki. Zawyły jak Siedem Tręb Apokalipsy, jak pękające niebo, jak oddech Panarchy, kiedy tchnął życie w martwą materię.

Sześć po szóstej wrzask syren rozdarł pustynne powietrze i otworzyły się drzwi każdego domu na każdej ulicy nowego miasta, wypluwając ludzi, ludzi ze wszystkich kontynentów tego świata i nie tylko, z Metropolis, odwiecznie biegnącego w tył, aby nadążyć za sobą, ludzi z zubożalego, dławiącego się przeludnieniem Świata Ojczystego, a wszyscy przybyli tu, by produkować stal na lokomotywy, na maszyny rolnicze, na mechaniczne krosna, riksze, mosty i budowle nowego, energicznego świata; wysypali się teraz z domów, by robić stal dla potężnej firmy Bethlehem Ares Steel; popłynęli do fabryk, z kolejnych dopływów zlewała się jedna rzeka głów, dłonie i serca maszerowały zacienionymi uliczkami Stalogrodu. Menedżerowie niższego szczebla w papierowych garniturach, świeżo wyjętych dziś rano z paczek, śmigali wzdłuż pochodu na elektrycznych trójkołowcach, dzieci człapały do szkół i firmowych przedszkoli, sklepikarze i sprzedawcy w kantynach podciągali rolety i wystawiali krzesła na werandy, żeby obwieścić, że są otwarci dla klientów.

Na okrzyk syren dwieście żółtych ciężarówek otrząsnęło się ze snu jak zmęczone psy i z rumorem wytoczyło się z garaży. Na krystalicznych wydmych polach koparki zgarniakowe i czerpakowe przerwały bogobojny odpoczynek, by zacząć żerowanie. Z rykiem i grzmotem

dwadzieścia cztery czarno-złote pociągi towarowe klasy 88 odpaliły swe termojądrowe tokamaki i wyturkotały z bocznic na główny tor.

Na zawołanie syren z setki kominów buchnął dym: buchnął, porobił kółka i rozwiął się po późnoletnim niebie, czarny, biały, pomarańczowy, brązowy. Poruszyły się taśmociągi, zapłonęły piece, rozżarzone do białości węglowe elektrody opuściły się w wirujące kadzie roztopionego żaru, rozpędziły się walce walcowni, a w samym sercu kompleksu, za murami z betonu, dźwięku, stali, żelaza, ołowiu i magnetyzmu, plazmowy džinn uniósł swoją plastikową butelkę i polał miasto magiczną mocą.

Na krzyk syren Ubożątka Niepokalane Po Częściach wysypały się z kartonowo-foliowych bud wokół bazyliki i przebiegły przez uliczki i zaułki starej Drogi Bez Znaczenia w chórze psalmów i mantr, by stanąć pod drzwiami Stalogrodu i sypać modlitewne confetti ciężarówkom pod koła. Ochrona śmiała się i machała, kierowcy w kraciastych koszulach błyskali światłami i trąbili. Obdarte Ubożątka tańczyły dla nich i śpiewały. Latawce modlitewne zaimprovizowane z worków na śmieci uniosły się w porannym wietrze i zostały przywiązane do siatkowego płotu – jakże wielkie to było święto, pierwszy dzień nadejścia Stalowego Mesjasza! Ciężarówki przejeżdżały z hukiem, pięćdziesiąt, sto, dwieście. Grzmot ich silników zagłuszał hymny wiernych, wielkie koła obsypywały ich pyłem. Dzień pojaśniał, blask słońca zalał geometrię fabrycznych hal, rzucając przez siatkę wspaniałe industrialne cienie na tańczące Ubożątka. W miarę podnoszenia się słońca gasły reflektory.

Na wołanie syren obudzili się Sevriano i Batisto Gallacelli, a był to dzień ich dziesiątych urodzin. Dziesięć lat – dziś. Hura. Hura. Dzień pełnoletności, dzień dorosłości, dzień, w którym zostawia się za sobą rzeczy chłopięce – udawane zapasy prawdziwych twardzieli na rogach ulic, kukurydziane piwo, słońce, muzykę z radia w B.A.R-ze/Hotelu, łypanie na dziewczyny, grzebanie w kieszeniach, obstawienie kart, opowiadanie kawałów, chłopców do bicia i policjantów do pyskowania, sporadyczne i ukradkowe buszki zioła z ogrodu pana Jericha i sobotnie wieczorne potańcówki na imprezie dla budowlańców, gdzie czasami puszczały Big-Bandy z Big Miast, jak Buddy'ego Mercxa i Hamiltona Bohannona, a raz i legendarnego króla swingu we własnej osobie, Glenna Millera i jego Orkiestrę albo i te nowe rzeczy, co je grają w *All Swing Radio*, sambę, salsę, czy jak to się tam nazywa. Ach, te sobotnie imprezy! Odliczanie czasu, odkąd zamknęły się w niedzielę rankiem aż do dwadzieścia po dwudziestej w kolejną sobotę. Strojenie się, nadymanie się, malowanie, zamaszysty krok, picie i rzyganie, pozowanie,

przechodzenie, a czasami, na koniec stosunkowo udanej nocy, obściskiwanie się i posuwanie na parkingu dla riksza za taneczną budą. Wszystko to przeszłość. Było, minęło, bo dziś zawyły syreny i bracia Gallacelli (nieodróżnialni jak groszki w strączku lub dni w więzieniu) skończyli dziesięć lat.

A zatem, kiedy Stalogród zbudził się do swego pierwszego roboczego poranka, matka Sevriana i Batista zawołała synów do siebie.

– Dzisiaj skończyliście dziesięć lat – powiedziała im. – Jesteście odtąd mężczyznami i macie dorosłe obowiązki. Zastanawialiście się na przykład, co chcecie zrobić ze swoim życiem?

Nie zastanawiali się. W sumie odpowiadało im to, co robili dotąd ze swoim życiem. Obiecali jednak matce i ojcu, że za pięć dni będą wiedzieć, co chcą zrobić ze swoim życiem. Zapytali więc szkolnego doradcę zawodowego, kolegów, dziewczyn spotykanych na sobotnich imprezach, sąsiadów, księży, polityków, policjantów i prostytutki i na koniec pięciu dni wiedzieli, co chcą zrobić ze swoim życiem.

– Mamo, chcemy być pilotami jak ty – oświadczyli.

– Co takiego? – zapytał Umberto, który chciał, żeby razem z nim zajęli się nieruchomościami.

– Co takiego? – zapytał Louise, który chciał, żeby razem z nim zajęli się prawem.

– Chcemy latać – powiedzieli Sevriano i Batisto, myśląc o wietrze, stalowych linkach, słońcu na skrzydłach i zmysłowym ryku silników Maybach/Wurtel w konfiguracji pchająco-ciągącej, wspominając, jak radosna i promienna była matka po długich popołudniach wlatywania z hukiem w głąb pustynnych kanionów i ocierania się o wymarłe płaskowyże. Ziemia nie miała dla nich tyle powabu, co niebo.

– Jak chcecie latać, to latajcie – odparł Ed, który jako jedyny rozumiał, jak wiatr może rozwiewać krew w żyłach. – A myśleliście, jak się do tego zabrać?

– Rozmawialiśmy z panem Wongiem, doradcą zawodowym w szkole – powiedział Sevriano.

– Powiedział, żeby zatrudnić się w Firmie, jako zawodowi piloci sterowców – dodał Batisto.

– Pewni jesteście, że to właśnie chcecie robić? – zapytała Persis Tatterdemalion, w skrytości ducha zachwycona, że przynajmniej synowie ziszczą jej marzenia.

– Tak. – Chłopaki wyciągnęły formularze zgłoszeniowe.

– No to musicie iść za głosem serca – odparła, podpisując zgody na dole. Z jakiegoś powodu w kartkach papieru widziała twarz Limaala Mandelli, jak pradawny znak wodny.

I ostatnia rzecz w tym dniu nowych początków – syreny wywołały pewnego człowieka na balkon obwieszony czarno-złotym korporacyjnym transparentem. Popatrzył na falę robotników, na krzątających się jak mróweczki menedżerów, na ożywające ruchem maszyny. Popatrzył, jak iskra życia przeskakuje przez Stalogród, a tam, gdzie padnie, krzesze ogień pracy i przemysłu. Menedżer/Dyrektor Projektów i Rozwoju na Ćwiartkę Północno-Zachodnią patrzył na świt pierwszego dnia Stalogrodu i był zadowolony. Bardzo, ale to bardzo zadowolony.

27 maja o godzinie 6:13 siedem dziesięciokilotonowych ładunków jednocześnie eksplodowało nad żaglowcem *Praesidium Jonathon Byrde*, przygotowującym się akurat do wyładowania pasażerów, załogi i ładunku na orbitalnej stacji ROTECH-u będącej przesiadką na orbitalną windę Skywheel. Trzysta pięćdziesiąt pięć tysięcy ludzi wyparowało w wybuchu. Kolejne sto pięćdziesiąt tysięcy zebrały urządzenia robocze ROTECH-u z niskich pogrzebowych orbit. Pięćdziesiąt osiem tysięcy przeżyło eksplozję w odległych częściach statku albo w kapsułach ładunkowych gładko oderwanych od jego konstrukcji. Z tych dwanaście tysięcy pięćset zginęło od silnego promieniowania. Kolejne siedemnaście tysięcy zginęło, gdy wirujące elementy statku spaliły się na żużel w atmosferze, zanim udało się wszystkim ewakuować w bezpieczne miejsce. Zginęło tysiąc sześćset pracowników ROTECH-u, w tym dwudziestoosmioosobowa załoga *Jonathona Byrde'a* oraz dziewiętnastu pilotów kapsuł Skywheel odjeżdżających z górnego końca liny. W momencie zniszczenia *Jonathona Byrde'a* na ziemię zdążono przenieść dziewięćdziesiąt siedem tysięcy imigrantów. Jeden wahadłowiec z piętnastoma tysiącami pasażerów został wytracony z orbity na kurs kolizyjny z wirującą liną, która przecięła go na pół. Kolejne dwieście trzydzieści osiem ofiar spowodowało zbombardowanie miejscowości Dolencias Cui przez grad szczątków z orbity. Pięćsettonowy fragment statku lecący z prędkością ośmiu kilometrów na sekundę trafił tam w szkołę i w nanosekundę uczynił Dolencias Cui bezdzielnym. Siedemdziesięciu dwóch tysięcy ludzi nigdy się nie doliczono – a wśród nich musiało być tych siedmiu fanatyków, którzy przemycili na pokład żaglowca głowice bojowe.

Liczba ofiar z *Jonathona Byrde'a* wyniosła 589 545. Do zamachu przyznała się grupa nazywająca się Grupą Taktyczną Armii Całej Ziemi.

W namiocie pod dębem na północnym skraju świętego Lasu Chryse, gdzie teren unosi się i rozdziera, jak składane ćapati, prowadząc do Palisad Hallsbecka, Arnie Tenebrae siedziała przy radiu i słuchała wiadomości specjalnych. Kiwnęła głową, uśmiechnęła się, pokręciła gałką, żeby usłyszeć jeszcze raz to samo wypowiedziane innym głosem. Teraz jej imię będzie żyć wiecznie.

* * *

Marya Quinsana przerwała, żeby wypić łyk wody i ocenić sytuację. Całkiem dobra publiczność, prosta, do nieskomplikowanej gadki. Pomachać flagą, pouderzać w bębenek, niech myślą, że przekonali cię do swojej sprawy, kiedy to ty przekonujesz ich do swojej; zaorać przygłupiego krzykacza, wbić gwóźdź między oczy i walić, walić, walić. Lokalne wybory to całkiem niezła zabawa. Uśmiechnęła się do miejscowego kandydata, bladożółtego, bystrego młodego człowieka i wzięła młotek w dłoń.

– Obywatele Jabalpuru! Naprawdę muszę wam to wszystko mówić? Muszę powtarzać, że na waszej ziemi grasują mordercy i bandyci, którzy palą fabryki i firmy, podpalają pola, wypędzają osadników z ich domów? Muszę przypominać o niewinnych ludziach ginących jak zwierzęta w zamachach bombowych albo zastrzelonych na progach własnych domów? Nie!

Publiczność zarżała z aprobatą.

– Nie! Nie muszę wam tego mówić, obywatele! Wiecie to aż za dobrze. I możecie zadać pytanie: gdzie są patrolujący ulice uzbrojeni konstable? Gdzie są Jednostki Obrony Terytorialnej, gdzie są regularne wojska? No właśnie, gdzie są Ochotnicy z Jabalpuru, I Oxiańska Dywizja, XXI Powietrzna? Ja wam powiem, gdzie oni są.

Uraczyła ich kolejną wykalkulowaną kilkusekundową pauzą.

– Siedzą na tyłkach w koszarach, oto gdzie są. A dlaczego? Dlaczego? Bo wasz lokalny parlament, zdominowany przez opozycję, nie uważa, że sytuacja wymaga takiej interwencji! Więc najlepsza wojskowa technika za trzy miliony dolarów się kurczy, a lokalne siły obrony nie mają nawet w czym ćwiczyć, nie mają ani broni, ani mundurów, bo Campbell Mukajee nie uważa, że sytuacja wymaga takiej interwencji! Niech to powie rodzinie Garbosacchich! Niech to powie rodzinom Bannerjee,

Chung, MacAlpine, Ambani, Questa, już oni mu wytłumaczą, czy sytuacja wymaga interwencji, czy nie!

Pozwoliła im zawyć, wskazując brodą kandydata, a potem opadającym ruchem dłoni uspokoiła buzujące emocje.

– Ale co najlepsze... najlepsze jest, moi przyjaciele, że konstable, wasi konstable, wasi stróżowie prawa i porządku, ochraniają demonstrantów Armii Całej Ziemi, kiedy przechodzą przez ulice miasta! „Ochrona wolności wyrażania poglądów politycznych”, tak mówi Campbell Mukajee. Naprawdę, Mukajee? A co z prawami Constantine’a Garbosacchiego, Katii Bannerjee, Roia MacAlpine’a, Abrama Ambaniego, Ignacia, Mavdy, Annunciata i Dominica Cuestów, zaszlachtowanych w zeszłym tygodniu przez mordercze oddziały Armii Całej Ziemi?

Publiczność nabrała powietrza, by zagrzmieć słowami potępienia, lecz Marya Quinsana bawiła się nimi jak tilapią z Blue Mountain na żyłce.

– Ochraniać ich? Powinni ich aresztować! – Wyczuwała w sali miazmaty szału i hysterii, ale nie uwolniła ich. – W każdej z trzech izb tutejszego regionalnego parlamentu zasiadają przedstawiciele Armii Całej Ziemi! Otwarcie pochwalają morderstwa i przemoc, a pan Campbell Mukerjee ani razu nie poddał pod głosowanie wniosku, by ich odwołać! Jawnie dogaduje się z mordercami i terrorystami, on i cała jego partia, przez ten ich gołębi liberalizm zginęły setki waszych rodaków; odmawia zmobilizowania sił bezpieczeństwa, bo nie uważa, że sytuacja wymaga takiej interwencji; to jego własne słowa, panie i panowie! A teraz... teraz... prosi, żeby ponownie na niego zagłosować i wybrać go – i jego partię – na kolejne trzy lata! Ja jednak wiem, czuję to w głębi mojego serca, że ludzie Regionu Jabalpur w czwartek powiedzą „nie”, po tysiącokroć „nie”, dziesięć tysięcy razy, sto tysięcy, milion razy „nie” na kolejne trzy lata nierządu liberałów i powiedzą „tak”, tak, milion razy „tak” Nowej Partii, partii, której się chce, partii, która jest stanowcza, partii, która będzie mieć siłę i wasz mandat, obywatele, by zmieść Armię Całej Ziemi z powierzchni globu. Wiem, że w czwartek powiecie „tak” Nowej Partii, „tak” Pranhowi Kaikoribetsengowi, który jest waszym lokalnym kandydatem, „tak” dla zwycięstwa i siły!

Teraz ich puściła. Publiczność jak jeden mąż wstała, publiczność, nominaci partii, członkowie partii, działacze partyjni, burza klaszczących rąk. Marya Quinsana uśmiechnęła się, skłoniła się. Jednakże nie była zachwycona własnym występem. Wolą subtelność od agresywnego walenia jak młotem i krzyczenia wniebogłosy. Słabe to było, mało

wyrafinowane, prymitywne. Brudna robota. Na scenę wśliznął się posłaniec, niewidzialny i niesłyszalny wśród tumultu, i podał jej kawałek papieru. Telegram.

WRACAJ NATYCHMIAST MĄDROŚĆ PRZECINEK NAGŁE SPOTKANIE KAROLAITIS WS
JONATHONA BYRDE'A STOP

Jonathon Byrde? Jonathon Byrde?

O tym, że *Jonathon Byrde* nie jest jakimś zabitym w zamachu dygnitarzem, dowiedziała się dopiero, kiedy steward w nocnym pociągu Jabalpur–Syrtia przyniósł jej do śniadania poranne gazety, w których wielkie nagłówki wchodziły jeden na drugi, nurzając się w falach pełnych oburzenia i przerażenia wyrazów bliskoznacznych.

Z premierem Vangelisem Karolaitisem spotkała się na werandzie jego miejskiej willi z widokiem na Morze Syrtyjskie. Elegancki stary dżentelmen, szacowny jak jego tytuł, mądry, a Marya Quinsana miała nadzieję, że umrze we śnie, w łóżku, zanim będzie konieczne usunięcie go ze stanowiska. Służący podał miętową herbatę. Wiatr niósł zapach jaśminu i glicynii ze schodzących do samego morza ogrodów.

– No – powiedział premier.

– To samo, co mówiłam cały czas. Przenieś mnie z Nauki i Edukacji do Bezpieczeństwa, a Armia Całej Ziemi w sześć miesięcy padnie na kolana.

– Wieczorem ogłoszę rekonstrukcję rządu. Przedstawię też awaryjną ustawę delegalizującą Armię Całej Ziemi *per se*; nie powinno być problemu z głosami, dzisiaj z rana liberałowie wcale nie brzmiali specjalnie liberalnie. Czyli: Armia jest twoja. Pamiętaj, oni nigdy nie walczyli w prawdziwej wojnie, postaraj się ich przyprowadzić w jednym kawałku, ale poza tym zrób, co trzeba, żeby pozbyć się z tej ziemi tego... terrorystycznego nowotworu.

– Jedno pytanie: kto rozwalił *Jonathona Byrde'a*? Jego chcę na pierwszy ogień.

– Jakiś tam odłam, Grupa Taktyczna Armii Całej Ziemi, tak mówią o sobie. Klub Armii w parlamencie wyparł się jakichkolwiek związków z tą grupą: ja osobiście im nie wierzę. Przywódczyni się nazywa... tak, Arnie Nicolodea Tenebrae.

Świat zatracił zdolność dziwienia się i zachwycania. Cudowności, które siedem, sześć, pięć lat temu wywoływały pełne zdumienia westchnienia i sapnięcia, dziś wywoływały niechętnie, znudzone ziewnięcia. Świat miał dopiero sto pięćdziesiąt lat, a był już w średnim wieku i cyniczny, skazując swój kontyngent gabinetów osobliwości, opowiadaczy historii, showmenów, pokazów cudów, szarlatanów na egzystencję na zardzewiałych bocznicach zapomnianych stacyjek.

– Stary pociągu, świat zatracił zdolność dziwienia się! – zawołał Adam Black.

Nalał sobie kolejną konkretną miarkę brandy i stanął pośrodku swego niegdyś pełnego przepychu, a teraz zapuszczonego wagonu, unosząc szklankę w ironicznym toaście.

– Świat, przyjacielu, ma już dość Edukacyjno-Rozrywkowych Ekstrawagancji. I co ma teraz począć Adam Black?

– Może zasugerowałbym połączenie wysiłków z Imamem Bejem i jego Szklanym Cyrkiem?

Adam Black cisnął szklanką brandy o ścianę!

– Z tym szarlatanem?! Tym hochsztaplerem?! Tym pazernym rozpieszczaczem najniższych instynktów! Adam Black to człowiek nauki i edukacji, jego misja to nauczać i pouczać, a nie stręczyć i się kurwić!

– Zauważę jednak, że to jedyny objazdowy pokaz na tej półkuli, który przetrwał. – Głos pociągu był spokojny i cierpliwy, niemal nie do zniesienia.

– A zauważaj sobie, co chcesz. Adam Black nie pójdzie drogą Imama Beja.

Dwa dni później lokomotywa z trzema wagonami zjechała z bocznic towarowych stacji Ahuallpa i włączyła się do ruchu na głównej, ośmiorowej linii prowadzącej na południe. Tego dnia kłębiło się na niej mnóstwo wagonów osobowych i towarowych wszystkich wielkich firm kolejowych tego świata – Bethlehem Ares, Great Southern, Great Eastern, Dolina Marinerów, Argyre Express, Transpolaris Traction, Llangonnedd i Northeastern, a wśród ich lśniących jak klejnoty malatur przemykały łuszczące się i obłazzące wagony Objazdowej Edukacyjno-Rozrywkowej Ekstrawagancji Adama Blacka. Ten zaś w swojej salonce szalał i ciskał przedmiotami.

Brzdęk.

– Natychmiast zawrót pociąg.

– Wiesz tak samo dobrze jak ja, że to fizycznie niemożliwe. – Głos pociągu był wzorcem niewzruszenia, gdy przeskakiwał przez ciąg zwrotnic z prędkością dwustu kilometrów na godzinę.

Łup, brzdęk.

– Nie bądź taki cwaniak. Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Zakazuję ci jechać do Beysbadu, zabraniam jechać do Imama Beja. – Adam Black załomotał w zamknięte drzwi. Wagon podskakiwał i kołysał się, pociąg nabierał jeszcze większej prędkości. Adam Black obawiał się o tokamaki. Od dawna nie stać go było na serwis.

– Mogę doprecyzować jedną rzecz? – zapytał pociąg. – Ty jesteś pasażerem. Ja nie ciebie wiozę do Beysbadu. Wiozę siebie. Jestem przekonany, że dla jedynego w swoim rodzaju skomputeryzowanego i myślącego pociągu Imam Bej znajdzie zaszczytne i honorowe miejsce w swoim Szklanym Cyrku.

– Niewdzięcznik! – ryknął Adam Black. Brzdęk-łup-brzdęk, zrobiły butelki belladońskiej brandy, trafiając w oko kamery. – Jak możesz tak zdradzać kogoś, kto cię stworzył, kto dał ci życie i świadomość?!

– Nie bądź taki melodramatyczny – powiedział pociąg, a Adamowi Blackowi wydało się, że w jego idealnej wymowie pojawił się dziwnie złowrogi ton. – I tak nie jestem twoim synem.

– Jeszcze zobaczymy! – wrzasnął Adam Black. Zatoczył się w rozkołysanym wagonie i otworzył solidną metalową szafkę. Wyciągnął z niej hełm z pierzastymi czułkami.

– Nie radzę używać cyberczapki – powiedział pociąg. Teraz groźba w tonie była już ewidentna.

– A, nie radzisz? – Łapiąc równowagę, wcisnął hełm na głowę. – Teraz zawrócisz.

- Nie rób tego.
- Zrobię.
- Nie rób... ja odwróciłem polaryzację, więc nie możesz...

Adam Black przycisnął palce do skroni. Jednocześnie wyłączyły się jego zmysły numer jeden, dwa, trzy, cztery, pięć i sześć. Zakipiwały halucynacje: zmaganie się ze świetlistym wiatrem, płonące w brzuchu rozżarzone ognie, niestrudzone nogi, niestrudzone ramiona, solidny mur z cegły.

Czyli pociąg stawia mi opór. Zebrał całą siłę umysłu i rzucił wyobraźnię w cegły. Rozprysnęły się jak papierowe i Adam Black spadł, spadł w otchłań przedświadości.

– Odwrócona polaryzacja, odwrócona polaryzacja, odwrócona polaryzacja. – Kiedy spadał, te słowa krążyły wokół niego jak kondory. Czuł, że jego ciało się zmienia, rośnie, rozszerza, nabiera nowych faktur i powierzchni, nowych twardych płaszczyzn, nowych konfiguracji mocy.

– Nie! – zawył, gdy jego świadomość stopiła się z metalem, olejem i parą pociągu.

Nie nie nie nie nienienie nieeeeeeee; jak pociąg zwiększający ciśnienie pary, jego niezgoda zatraciła słowa i stała się gwizdem parowego gwizdka pędzącego przez pola ryżowe Wielkiego Oxusa.

W salonce ciało Adama Blacka szarpnęło się konwulsyjnie, jakby przeszło przez nie milion woltów, bo w istocie przeszło – komputerowa osobowość pociągu była zbyt mocna dla delikatnych synaps w mózgu Adama Blacka i spalały się jedna za drugą, trzaskając, pękając, dymiąc, eksplodując. W okamgnieniu wypaliły mu się gałki oczne, dym buchnął z rozdziawionych ust i pustych oczodołów. Rozpuszczony mózg wypłynął przez nie na kolana, jak skrzepla zupa, i pociąg w krzyku rozpaczy uświadomił sobie, że umarł, umarł, umarł, a w stalowym ciele lokomotywy klasy Great Western 27 tkwi teraz jaźń Adama Blacka, jego niegdysiejszego ojca.

Teraz posłuchajcie.

Pewnego razu był sobie człowiek, który mieszkał w domu z brązowymi drzwiami. Niezbyt lubił brązowy kolor. Uważał, że jest bez charakteru i mdły. Jednakże wszystkie drzwi na każdej ulicy miasteczka były brązowe i zmieniając ten kolor, zwróciłby na siebie uwagę ludzi, którym brązowe drzwi odpowiadają. Co rano, wychodząc, zamykał na klucz brązowe drzwi swojego domu i szedł do pracy, gdzie aż do wieczornego gwizdka jeździł odlewniczą suwnicą, po czym szedł z powrotem do domu, otwierał kluczem brązowe drzwi i każdego wieczoru przygnębiała go ich ponurość. Codziennie otwierał je i zamykał i robiło mu się coraz gorzej, bo brązowe drzwi zaczynały symbolizować wszystko co ponure, monotonne i bezbarwne w jego życiu.

Pewnego niedzielnego ranka poszedł do korporacyjnego sklepu i kupił pędzel oraz wielką puszkę zielonej farby. Tak naprawdę nie wiedział, dlaczego kupił pędzel oraz wielką puszkę zielonej farby, obudził się jednak tego ranka z intensywnie zieloną wizją w głowie. Zielony zielony zielony. Spokojny, medytacyjny kolor, łagodny dla oka i duszy, przyjemny; barwa zieleni i roślinności, ulubiony kolor Boga; w końcu narobił go strasznie dużo. Ubrał się więc w stary roboczy kombinezon i zabrał się do pracy. Zaraz zebrali się gapie. Niektórzy chcieli spróbować, więc człowiek, który lubił zielony, dawał im pędzel i pozwalał pomalować kawałek swoich drzwi. Przy takiej pomocy drzwi szybko zostały skończone i wszyscy gapie zgodzili się, że zielony to bardzo dobry kolor dla frontowych drzwi. Wtedy człowiek podziękował pomocnikom, wywiesił tabliczkę „Świeżo malowane” i wszedł do środka, by zjeść obiad. Przez całą niedzielę spacerowicze przechodzili przed jego domem, podziwiając

zielone drzwi frontowe, i zachwycali się, bo wśród nieskończonych ulic pełnych brązowych drzwi tylko te jedne były zielone.

Ponieważ następnego dnia był poniedziałek, człowiek, który lubił zielony, włożył kamizelkę, spodnie, kask i wyszedł przez zielone drzwi, żeby dołączyć do wpływającego do fabryki strumienia robotników. Przez całe przedpołudnie lał stal, potem zjadł lunch, napił się piwa z kolegami, poszedł do toalety, potem znów lał stal do godziny siedemnastej, kiedy zawyła syrena i poszedł do domu.

I nie mógł tego domu znaleźć.

Każdy dom na jego ulicy miał brązowe drzwi.

Może źle skreślił – sprawdził nazwę ulicy. Ogrody Adama Smitha. Mieszkał na Ogrodach Adama Smitha. Ale gdzie jego dom z zielonymi drzwiami? Ruszył, licząc, wzdłuż rzędu brązowych drzwi, aż dotarł do numeru siedemnaście. Mieszkał pod numerem siedemnaście, w domu z zielonymi drzwiami. Tylko że drzwi znowu były brązowe.

Rano, kiedy wychodził, były zielone. Gdy wrócił, były brązowe. Nagle zauważył, w miejscu, gdzie ktoś zostawił niechlujny odcisk dłoni, odrobinę prześwitującej spod brązu zieleni.

– Wy sukinsyny! – zawołał człowiek, który lubił zielony.

Brązowe drzwi frontowe otworzyły się i na zewnątrz wyszedł mały facecik z krzywymi zębami, w firmowym papierowym garniturku, by wygłosić krótkie kazanie o konieczności eliminacji niepożądanych skłonności do indywidualizmu wśród jednostek roboczych, w interesie większej harmonii ekonomicznej, zgodnie z Manifestem Projektu i Planem Rozwojowym, które nie przewidują w systemie inżynierii społecznej jednostek roboczych miejsca na dysfunkcyjne i indywidualistyczne kolory, na przykład zielony, w przeciwieństwie do jednolitych, oficjalnych, usankcjonowanych i społecznie harmonijnych kolorów, takich jak jasnobrązowy stosowany do elementów wejścia i wyjścia w modułach kwadrantowych jednostek roboczych.

Człowiek, który lubił zielony, cierpliwie tego wysłuchał. Potem wziął głęboki wdech i walnął facecika w firmowym papierowym garniturku w jego szczerbatą gębę, najmocniej jak umiał.

Człowiek, który lubił zielony, nazywał się Rael Mandella junior. Był prostym człowiekiem, nieskomplikowanym, niemyślącym o wyższych celach i niepomyślnym na tajemnicę, której przekłute korzenie już rosły mu wzdłuż kręgosłupa. W dziesiąte urodziny tak właśnie powiedział matce:

– Ja tak naprawdę jestem prostym człowiekiem. Lubię proste rzeczy: słońce, deszcz, drzewa. Nie za bardzo chcę być kimś wielkim w historii,

widziałem, co się przez to porobiło z tatą i ciocią Taasmin. Nie chcę być kimś ważnym i liczącym się, jak Kaan i jego sieć jadłodajni, chcę po prostu być szczęśliwy, a jeśli to znaczy, że nigdy za wiele nie osiągnę, to nie ma sprawy.

Następnego dnia rano Rael Mandella junior zrobił krótki spacer z domu Mandellów do bram Stalogrodu, a przechodząc przez nie, stał się Udziałowcem 954327186, operatorem suwnicy i wytapiaczem; i z zadowoleniem tkwił w tej roli, prosty człowiek, który nigdy się za wiele nie liczył, dopóki w niedzielny poranek tajemnicza chęć nie kazała mu pomalować drzwi na zielono.

Udziałowiec 954327186 został zawieszony w obowiązkach do czasu rozpatrzenia sprawy przez Sąd Przemysłowy. Skłonił się urzędnikowi, który przyniósł mu wezwanie, z szacunkiem, bez śladu gorczy czy niechęci, w końcu sąd to sąd, i wrócił do domu, pod brązowe drzwi wejściowe, by zastać tam kilku maszerujących w kółko demonstrantów.

– Przywrócić Raela Mandellę do pracy! – skandowali. – Przy-wró-cić! Przy-wró-cić!

– Co wy robicie przed moim domem? – zapytał Rael Mandella junior.

– Protestujemy przeciwko twojemu niesprawiedliwemu zawieszeniu – powiedział młody człowiek o wyglądzie nadgorliwca, z tablicą mówiącą „Brązowy – nuda, zielony – piękno”.

– Jesteśmy głosem tych, którzy głosu nie mają – dodała chuderlawa kobieta.

– Przepraszam, ale nie życzę sobie waszych protestów. Dziękuję. W życiu nikogo z was nie widziałem na oczy. Idźcie sobie.

– Ależ nie – powiedział młody nadgorliwiec. – Jesteś symbolem, wiesz, symbolem wolności uciskanych niewolników Korporacji. Jesteś duchem wolności zdeptanym przez bucior korporacyjnego przemysłu.

– Ja tylko pomalowałem sobie drzwi na zielono. Nie jestem żadnym symbolem. Idźcie, zanim ochrona firmy się do was przyczepi.

Paradowali mu przed domem, póki nie zapadła noc. Rael Mandella junior nastawił radio na cały regulator i zaciągnął zasłony.

Sąd Przemysłowy uznał go winnym zachowania antyspołecznego i napaści na przedstawiciela Firmy wykonującego obowiązki służbowe. Przewodniczący, w krótkiej mowie końcowej, trzydzieści dziewięć razy użył terminu „feudalizm przemysłowy” i stwierdził, że nawet jeśli Młodszy Referent Działu Relacji z Siłą Roboczą E.P. Veerasawmy jest tchórzliwym gówniarzem, któremu dawno należało dać w mordę, to jednak nie Udziałowiec 954327186 jest od wymierzania sprawiedliwości, dlatego

wymierza mu się grzywnę w wysokości dwumiesięcznych poborów, rozłożoną na raty na dwanaście miesięcy, dodatkowo orzeka się zakaz awansu na dwa lata. Przywrócono go do pracy na stanowisku operatora suwnicy. Rael Mandella wzruszył ramionami. Słyszał o gorszych wyrokach.

Demonstranci stali na zewnątrz i czekali na niego, z transparentami i sloganami w pogotowiu.

– Drakońskie opresje wobec Udziałowców! – krzyknęła chuderława kobieta.

– Dość pokazowych procesów! – zawołał nadgorliwiec.

– Mamy prawo do zielonych drzwi! – krzyknął trzeci demonstrant.

– Rael Mandella jest niewinny – rozdarł się czwarty, a piąty dodał: – Złagodzić wyrok! Złagodzić wyrok!

– W sumie to myślałem, że dość łagodnie mnie potraktowali – stwierdził Rael Mandella junior.

Poszli za nim do domu. Zaczęli maszerować w kółko przed domem. Poszliby za nim i wieczorem do domu kultury, gdyby nie uczestniczyli akurat w bojkocie ośrodków rozrywkowych korporacji, więc pikietowali na zewnątrz, wymachując transparentami, skandując slogany i śpiewając protest songi. Rael Mandella junior, jak zawsze łagodny i bezkonfliktowy, wyszedł drzwiami na zapleczu, żeby protestujący nie poszli za nim. Usłyszał krzyki i wyjrzał zza rogu korporacyjnej kantyny, żeby sprawdzić, czy nie dowiedzieli się jakoś o jego ucieczce. To, co zobaczył, natychmiast go otrzeźwiło.

Zobaczył uzbrojoną i opancerzoną policję bezpieczeństwa, pakującą demonstrantów, slogany, transparenty, tablice i okrzyki do czarno-złotej pancерnej furgonetki, jakiej nigdy wcześniej nie widział. Dwóch czarno-złotych strażników wyskoczyło z domu kultury, kręcąc głowami. Wskoczyli na tył furgonetki, która odjechała. W stronę domu Raela Mandelli juniora.

Przysięgał wcześniej, że póki ma pracę i jest niezależny, nigdy nie wróci do rodziców, lecz tej nocy odwołał tę przysięgę, przesliznął się pod siatką i przespał się w domu Mandellów.

Następnego dnia w korporacyjnych wiadomościach o szóstej rano pojawiła się ponura opowieść. Poprzedniej nocy pewna liczba Udziałowców wzięła udział w libacji alkoholowej (zwanej potocznie „rundą po mieście”). Kompletnie upojeni podeszli zbyt blisko krawędzi urwiska, spadli i ponieśli śmierć. Spikerka zakończyła swą pouczającą opowieść, przestrzegając przed pijaństwem i przypominając, że Prawdziwy Udziałowiec nie pozwala sobie na nic, co zakłóciłoby jego wydajność

w pracy dla Firmy. Nie wyczytała nazwisk ani numerów. Rael junior zresztą nie potrzebował ich słyszeć. Wspominał duchową udrękę z dzieciństwa, te mdłości, potrzebę, żądzę, przeznaczenia, tajemnice, i teraz, gdy Santa Ekatrina nakładała mu smażone jajka i placki ryżowe, wiedział, że nie może już myśleć, ma cel, musi przemówić, musi ich pomścić. Kiedy siedział w kuchni u matki, chmury rozstały się dla niego i dojrzał swoją przyszłość, straszną i okropną. I nieuniknioną.

– No – powiedziała zajęta śniadaniem Santa Ekatrina. – I co teraz?

– Nie wiem. Boję się... nie mogę tam wrócić, oni mnie też aresztują.

– Nie interesuje mnie, co zrobiłeś, a czego nie zrobiłeś – odparła Santa Ekatrina. – Po prostu zrób, co należy, to wszystko. Pójdź za kompasem swego serca.

Uzbrojony w pożyczony megafon Rael Mandella junior przeszedł przez pole rzepy, zszedł do kanału, o którym wiedział tylko on z bratem, i przekradł się wśród płynących odchodów do centrum Stalogrodu. Kiedy nikt nie patrzył, wdrapał się na betonową donicę w Ogrodach Feudalizmu Przemysłowego i przygotował się do przemowy.

Jednakże słowa nie chciały przyjść.

Nie był mówcą. Był prostym człowiekiem, nie miał mocy sprawiania, by słowa wznosiły się jak orły czy uderzały jak miecze. Był prostym człowiekiem. Prosty człowiek, z krzywdą w sercu, rozzłoszczony. Tak... to ta złość, ten gniew przemówi za niego. Wziął gniew z serca i umieścił w ustach.

A matki, dzieci, starcy, ludzie, którzy mieli wolne, przystawali i słuchali jego zacinających się, pełnych gniewu zdań. Mówił o drzwiach zielonych i brązowych. Mówił o ludziach i o miękkich ludzkich rzeczach, które nie występują w korporacyjnych raportach i Sprawozdaniach Finansowych; o zaufaniu, prawie wyborcu, wyrażaniu siebie, o rzeczach, których potrzebuje każdy, właśnie dlatego, że nie są rzeczami, materialnymi i zapewnianymi przez Firmę, bez których ludzie więdną i umierają. Mówił o tym, że jest prostym człowiekiem, ale nie rzeczą. O tym, jak strasznie Firma postąpiła z ludźmi, którzy chcieli być ludźmi, a nie rzeczami, mówił o czarno-złotej policji, o furgonetce, której nigdy wcześniej nie widział, o ludziach wywiezionych w środku piątkowej nocy i zrzuconych z urwiska, bo chcieli czegoś więcej, niż Firma miała ochotę dać. Mówił o sąsiadach i kolegach z pracy zabranych z domów przez szeptki korporacyjnych donosicieli, mówił nieartykułowaną mową serca i otwierał wielkie, ziejące rany w duszach słuchających.

– Co radzisz zrobić? – zapytał wysoki, chudy mężczyzna, którego smukłość zdradzała pochodzenie z Metropolis.

Wezwanie podjął tłum, już całkiem pokaźny.

– Ja... nie wiem – powiedział Rael Mandella junior. Duch uleciał. Ludzie zwątpili, sprowadzeni na krawędź i tam porzuceni. – Nie wiem.

Wokół dźwięczały okrzyki – co zrobić, co zrobić, co mamy zrobić – i nagle go olśniło. Wiedział już, co trzeba zrobić, było to proste, nieskomplikowane i jasne jak letni poranek. Podniósł upuszczony megafon.

– Organizujmy się! – wołał. – Organizujmy się! Nie jesteśmy niczyją własnością!

Był piękny dzień na marsz.

Tak mówili hutnicy wystrojeni w najlepsze ubrania, objedzeni po kokardy śniadaniowym ananasek i jajkiem sadzonym, wychodząc na ostre poranne słońce.

Tak mówili kolejarze, poprawiając czapki i ścierając patynę z mosiężnych guzików, zanim wyszli i dołączyli do rosnącego tłumu.

Tak mówili kierowcy ciężarówek, zawsze w szelkach i kraciastych koszulach, kontrolując swe znoszone dżinsy pod kątem profesjonalnie odpowiedniego stopnia zabrudzenia.

Tak mówili operatorzy suwnic, walcowni, zgarniarek, odlewnicy, piecowi i ładowniczy, ludzie od separatorów, myjek, szlifierni, obsługujący siłownie termojądrowe; a także ich żony, mężowie, rodzice i dzieci: wszyscy powiedzieli, wychodząc przez brązowe drzwi frontowe, że to piękny dzień na marsz.

Kiedy sunęli w kierunku Ogrodów Feudalizmu Przemysłowego, depcząc ulotki, które jeszcze minutę temu znajdowały się na tylnym siedzeniu małego, szybkiego śmigłowego samolotu, a potem posypały się jak śnieg na dachy i ogrody Stalogrodu. Druk był nierówny, papier tani, język prosty i niewyrafinowany.

MASOWY MITYNG W SOBOTĘ 15 WRZESIERPNIA, DZIESIĘĆ PO DZIESIĄTEJ. POCHÓD ZACZNIE SIĘ POD OGRODAMI FEUDALIZMU PRZEMYSŁOWEGO NA ROGU HEARTATTACK I DWUNASTEJ I PRZEMASZERUJE POD BIURA FIRMY, ŻEBY DOMAGAĆ SIĘ WYJAŚNIENIA ŚMIERCI (tu niechlujna ulotka wymieniała nieszczęsnych, głupich protestujących) ORAZ UZNANIA PRAW WSZYSTKICH UDZIAŁOWCÓW. BĘDZIE PRZEMAWIAŁ RAEŁ MANDELLA JUNIOR.

Rael Mandella czekał na rogu Heartattack i Dwunastej ubrany w najelegantszy czarny snookerowy garnitur ojca.

– Musisz wyglądać, jak trzeba – powiedziała mu z rana Santa Ekatrina. – Twój ojciec, gdy mierzył się ze światem, wyglądał elegancko i ty też musisz.

Spojrzał na zegarek kieszonkowy ojca. Pięciu towarzyszy – ulotkarz, brat męczennika, rozczarowany menedżer niższego szczebla, agitator polityczny i osoba empatyczna – popatrzyło na własne zegarki. Dziesiąta. Tik-tak. Rael Mandella junior kołysał się tam i z powrotem na obcasach czarnych snookerowych butów ojca.

Co, jeśli nikt nie przyjdzie?

Co, jeśli nikt nie jest gotowy postawić się Firmie, postawić się ostrzeżeniom ogłoszonym przez czarno-złote furgonetki (nowsze z nich przypominały raczej transportery opancerzone)?

Co, jeśli nikt nie okaże się niełojalny? Jeśli każda ręka będzie korporacyjną ręką, a każde serce korporacyjnym sercem?

Co, jeśli nikogo to nie obchodzi?

– Piękny dzień na marsz – powiedział Harper Tew.

I wtedy to usłyszeli – trzask tysiąca malowanych na brązowo drzwi, dźwięk tysięcy par stóp wychodzących na zewnątrz i ustawiających się w szeregach, nabrzmiewający i wzmagający się do szumu, jakby zapomnianego morza. Pierwsi protestujący napłynęli do Ogrodów Feudalizmu Przemysłowego i odpowiedzieli Raelowi na jego pytania.

– Przybyli! – krzyknął. – Zależy im!

Pochód uformował się pod sztandarami wszystkich biorących w nich udział fachów i zawodów. Kierowcy ciężarówek zebrali się pod symbolem gniewnej pomarańczowej ciężarówki, odlewnicy i stalownicy pod podobizną jarzącego się białą wlewka, czarno-złota lokomotywa łopotała dumnie w powietrzu ponad maszynistami i ładowniczymi. Ci bez transparentu czy symbolu zebrali się pod flagami regionalnymi, świętymi symbolami i najróżniejszymi sloganami, od humorystycznych, przez skatologiczne, do zjadliwych. Rael Mandella junior i jego pięciu zastępców ustawili się na czele pochodu. Unieśli zwinięty sztandar. Pociągnięto za sznurek i wiatr rozwiął wielkie białe tło z zielonym kołem pośrodku. Przez pochód przeszedł szmer zdziwienia. To nie był emblemat żadnego znanego cechu, zawodu, regionu ani religii reprezentowanej w Stalogradzie.

Świsnęły gwizdki, zatrąbiły trąbki i uczestnicy marszu odbyli krótki i przyjemny spacer z Ogrodów Feudalizmu Przemysłowego wśród

dymiących i buzujących ogniem fabryk na Plac Korporacji, z jego fontannami i posągami. Wypełnienie placu zajęło dwadzieścia minut, a gdy maszerujący przechodzili przez brzękliwe stalowe kaniony prowadzące do biur Firmy, z galeryjek i dźwigów dobiegały okrzyki zachęty. Przeliczając głowy, Rael Mandella junior oszacował, że obecna jest pełna jedna trzecia siły roboczej.

– Nie widać żadnej policji – powiedział do Mavdy Arondella. – Zaczynamy?

Banda pięciorga kiwnęła głowami. Rael Mandella junior przywołał swój mistyczny gniew i dał mu się ulać przez megafon na Plac Korporacji.

– Chciałbym wam podziękować, wszystkim, absolutnie wszystkim, za to, że tu dzisiaj przyszliście. W swoim imieniu, w imieniu moich kolegów tutaj – nawet nie potrafię wyrazić, jak wiele to dla mnie znaczyło, jak się czułem, maszerując i mając wszystkich was za plecami. Firma nas zastraszała, Firma nam groziła, niektórych z nas nawet zabiła, ale wy, ludzie Stalogrodu, wznosicie się ponad te groźby i przemoc. – Czuł już przepływ mistycznego prądu. Chwycił flagę z zielonym kołem na białym tle i rozpostarł ją na wietrze. – Dzisiaj możecie być z siebie dumni, od dzisiaj ta siła i determinacja zyskuje nazwę i kiedy wnuki na waszych kolanach zapytają, gdzie byliście piętnastego wrzesierpnia, odpowiecie: „Tak, byłem tam, byłem na Placu Korporacji, kiedy rodził się Konkordat!”. Tak, przyjaciele! Oto mamy Konkordat.

Zdziwienie przerodziło się w owację. Rael junior odwrócił się do swoich zastępców i zapytał, przekrzykując zgiełk:

– I jak, dobrze mi poszło?!

– Dobrze ci poszło, Rael.

Kiedy zapadła cisza, uniósł wysoko zmięty arkusz papieru.

– Mam tutaj nasz Manifest, nasze Sześć Słusznych Postulatów. Są słuszne i są sprawiedliwe. Teraz odczytam je, wam i Firmie, żeby usłyszała głos swoich Udziałowców.

– Słuszny Postulat numer jeden: uznanie organizacji przedstawicielskiej, a mianowicie Konkordatu, za oficjalny głos zarówno siły roboczej, jak i kadry zarządzającej.

– Słuszny Postulat numer dwa: wycofanie firmowych kuponów ważnych tylko w firmowych kantynach i wprowadzenie państwowego środka płatniczego, nowego dolara.

– Słuszny Postulat numer trzy: obowiązkowe konsultowanie z organizacją związkową wszystkich kwestii dotyczących siły roboczej,

w tym przydzielania obowiązków, pracy zmianowej, nadgodzin, norm produkcyjnych, automatyzacji i programów zwiększania wydajności.

– Słuszny Postulat numer cztery: stopniowe wycofanie systemu feudalizmu przemysłowego z życia prywatnego, włączając sferę edukacji, rozrywki, zdrowia i usług publicznych.

– Słuszny Postulat numer pięć: pełna wolność słowa, zrzeszania się i religii dla wszystkich Udziałowców firmy. Wszelki majątek jest wspólną własnością Udziałowców, a nie Firmy, rzekomo w imieniu Udziałowców.

– Słuszny Postulat numer sześć: zniesienie systemu awansów opartego na szpiegowaniu i donoszeniu na współpracowników.

Po odczytaniu Sześciu Słusznych Postulatów Rael Mandella junior złożył zmiętą kartkę, potem splótł ręce i czekał na odpowiedź Korporacji Bethlehem Ares.

Minęło pięć minut. Minęło pięć kolejnych i słońce pory sjeisty zaczęło zalewać Plac Korporacji żarem i potem. Pięć następnych minut. Ludzie byli cierpliwi. Pięciu zastępców było cierpliwych. Rael Mandella junior był cierpliwy. Po dwudziestu minutach otworzyły się stalowo-szklane drzwi w stalowo-szklanej fasadzie biura Korporacji i na Plac Korporacji wyszedł człowiek w czarno-złotym mundurze korporacyjnej ochrony. Hełm z polaryzującą szybą ukrywał jego twarz przed demonstrantami, choć była to zbędna ostrożność, bowiem nikt z obecnych nie był w stanie zidentyfikować go jako Mikala Margolisa.

– Mam obowiązek przekazać wam, że to zgromadzenie jest nielegalne, a jego organizatorzy i uczestnicy naruszają rozdział 38, paragraf 19, ustęp F Zarządzenia Korporacji Bethlehem Ares o Zgromadzeniach i Stowarzyszeniach. Macie pięć minut, by się rozproszyć, wrócić do domów i cieszyć się resztą wolnego dnia. Pięć minut.

Nikt się nie ruszył. Na zegarku kieszonkowym Limaala Mandelli odtykało pięć minut, napięcie na Placu Korporacji bardzo wzrosło. Rael Mandella junior, pocąc się w najlepszym zawodniczym garniturze ojca, uświadomił sobie z przerażeniem, jak niewiele takich krótkich, pięciominutowych okresów składa się na całe życie.

– Jedna minuta – powiedział czarno-złoty człowiek z ochrony. Układy wzmacniające w hełmie nadawały jego głosowi ciężar głosu całej Korporacji Bethlehem Ares.

Protestujący emanowali jednak bojowością, przemieszana z niedowierzaniem, by Firma mogła użyć siły przeciwko własnym Udziałowcom.

– Nie rób tego – szepnął Rael Mandella junior do czarno-złotego zjawiska.

– Muszę – odpowiedział Mikal Margolis. – Mam rozkazy. – Po czym krzyknął: – Bardzo dobrze! Zlekceważyliście ostrzeżenia od Korporacji. Więcej ostrzeżeń nie będzie. Komendancie Ree, proszę rozproszyć to nielegalne zgromadzenie.

Wtedy rozległy się strzały.

I krzyki. Głowy odwracały się tu, tam, tłum zafalował jak mieszana owsianka. Ochroniarze wyszli z ukrycia i ruszyli na tłum czarno-złotą falą, strzelając seriami w powietrze. Tłum spanikował, uporządkowana demonstracja zmieniała się w motłoch. Transparenty zachwiały się szaleńczo, tratowano podarte sztandary, ludzie kołysali się i napierali z powrotem. Czarno-złota linia rzuciła się na skraj demonstracji w szarży z pałkami elektrycznymi. Plac Korporacji wypełniła pełna przekleństw i wrzasków panika. Ochroniarze oczyścili kliny przed sobą, ale kiedy wdzierali się ku sercu demonstracji, opór skrytyzował się, z dłoni wydzierano elektryczne pałki, odbierano plastikowe tarcze. Gdzieś na skraju bitwy ktoś chaotycznie strzelał do nacierających ze strzałkowca rannego strażnika. Strażnicy i demonstranci rzucali się na siebie jak fale. Puszki gazu łzawiącego kreśliły w powietrzu pomarańczowe serpentyny. Demonstranci, zakrywając twarze chusteczkami, odrzucali je z powrotem w stronę napastników. Zatrzymali ich, demonstranci ich zatrzymali... ale ochrona wycofała się, przegrupowała, wyciągnęła tarcze szturmowe i ruszyła, osłaniając się potężną salwą strzałek i miękkich plastikowych pocisków. Kolejny oddział wypadł z biura Firmy i ruszył na stopnie, skupiony na Raelu Mandelli i jego kolegach. Młody kierowca ciężarówki (koszula w kratę, czerwone szelki, brudne dżinsy, żona i dwójka dzieci) rzucił się na napastników uzbrojony w ciężką elektryczną pałę. Dowódca ochrony opuścił strzałkowiec i strzelając z bliska, zamienił jego głowę w czerwoną maź. Strzał i krew zelektryzowały napastników. Strzelby gładkolufowe opuściły się do pozycji na krótki dystans i zaczęły oddawać do przerażonego pandemonium strzał za strzałem. Ręce, nogi, barki, twarze eksplodowały czerwonymi strzępami. Tych, co upadli, tratowały falujące masy. Rael Mandella junior uchylił się od salwy ochroniarza celującego mu w głowę i obalił go potężnym kopniakiem w jaja. Porwał strzelbę i rzucił się z wrzaskiem na szturmujących strażników. Przeraziła ich maniakalna furia. Rozpierzchli się. Mikal Margolis, osamotniony oko w oko z Raelem i jego szalonymi zastępcami, taktycznie się wycofał.

Rael Mandella junior podniósł z powrotem megafon.

– Uciekać, wszyscy uciekać! Pozabijają was! Zamordują! Firma rozumie tylko jedno słowo: strajk! Strajk! Strajk!

Kule uderzyły w betonową elewację biura Korporacji i obsypały Raela juniora odłamkami. Jego słowa poniosły się ponad bitewną pieśnią i krzyki tłumu nabrały kształtu i formy.

– Strajk, strajk, strajk! – skandowali, napierając klinami na policyjne szeregi i przełamując je zdobytymi pałkami elektrycznymi i strzelbami. – Strajk, strajk, strajk! – Tłum wyłamał się z okrążenia i uciekł ulicami, krzycząc: – Strajk, strajk, strajk!

Ochroniarze strzelali za nimi ze strzałkowców.

Wiele godzin później ochroniarze wciąż przeszukiwali Plac Korporacji, szukając Raela Mandelli, zaglądając pod rozdeptane transparenty, podarte szturmówki i porzucone hełmy, sprawdzając krwawiących, rannych i, tak, nawet zabitych, byli tam bowiem i zabici, zaglądali w twarze niepokieszonych lamentujących, klęczących u boku synów, ojców, mężów, żon, matek, córek, kochanek, kochanków, by sprawdzić, czy nie mają twarzy zdrajcy Raela Mandelli juniora, głupca, który ściągnął to wszystko na niewinnych ludzi. Spodziewali się znaleźć go rannego, mieli nadzieję znaleźć go zabitego, lecz on uciekł w czarnym burnusie starej kobiety z Nowego Glasgow, zmarłej na zakaźną panikę. Do piersi miał przyciśnięte Sześć Słusznych Postulatów i zwinięty zielono-biały sztandar Konkordatu.

Sześć minut po szóstej zawyły syreny. Wyły co rano o tej samej porze i nie to wyróżniało ten poranek. Wzdłuż promienistych ulic pootwierały się brązowe drzwi i wypuściły w świt jednostki robocze. Jednakże to w sumie też nie różniło się od dowolnego innego poranka. Różniło się to, że na każde otwarte drzwi pięć pozostało zamkniętych. Gdy każdego innego dnia przez kanionowe ulice Stalogrodu płynęła rzeka robotników, dziś ledwie strumyczek ciurkał pod łukiem obwieszczającym Trzy Gospodarcze Ideały Firmy: Zysk, Imperium, Przemysł. Gdy w każdy inny dzień przez wąskie ulice Drogi Bez Znaczenia pędziło arogancko dwieście ciężarówek, dziś tę hałaśliwą drogę pomiędzy dziećmi, domami i lamami pokonało ledwo czterdzieści. Gdzie kopało wcześniej sto koparek zgarniakowych, teraz pracowało tylko dziesięć, a tam, gdzie pięćdziesiąt koparek czerpakowych zdrapywało strupy ze skóry Wielkiej Pustyni, dziś było ich tylko pięć – i wszędzie było to samo, od lokomotywni, przez piekielne paszcze pieców, po sterowce uśpione w podziemnych hangarach.

A wszystko to dlatego, że dziś był dzień strajku.

– Strajk! Strajk! Strajk!

Rael Mandella junior zwołał komitet strajkowy na spotkanie przy stole kuchennym matki. Nastąpiły gratulacje, krótkie przemowy pochwalne i oświadczenia o poparciu. Potem Rael junior poprosił o raporty.

– Fundusz strajkowy wystarczy na trzy miesiące – rzekł Mavda Arondello. – Plus mamy obietnice wsparcia od najrozmaitszych instytucji, od Cechu Łyżkarzy z Llangonnedd po Siostry Mniejsze z Tharsis.

– Na pikiecie się za wiele nie dzieje – dodał B.J. Amritraj. – Firmowa ochrona nadal najpierw strzela, potem myśli. Musimy zachować

dyskrecję.

– Wywiad mówi, że Firma już wystawia oferty na tymczasową siłę roboczą. Może dałoby się to utracić w zarodku, robiąc pikiety w większych miastach, B.J. mógłby tam przemycić paru agitatorów, nie?

– Ari Osnan, szef wywiadu, splótł grube łąpska i rozsiadł się na krześle.

– Produkcja spadła o sześćdziesiąt procent – powiedział Harper Tew.

– Za trzy dni skończą się bieżące zapasy rudy i będą musieli wyłączyć co najmniej trzy piece. Za tydzień nie wyjdzie stąd nawet gram stali.

– Grupa akcji bezpośredniej nie ma co meldować.

Rael Mandella junior popatrzył długo i ostro na Winstona Karamazowa.

– Jak to nie ma co meldować?

– Bo na razie nie ma. Jak przyjdą łamistrajki, może będę miał coś do zameldowania.

– Wyjaśnij, proszę.

Winston Karamazow tylko wzruszył ramionami i Rael zakończył spotkanie nieco w głębi duszy zaniepokojony.

Następnego dnia w domach strajkujących odcięto prąd, gaz i wodę.

– Firma kontratakuje – powiedział do komitetu strajkowego Rael Mandella junior.

Santa Ekatrina uwijała się w kuchni, zadowolona, podśpiewująca, piekła ryżowe placuszki.

– Chyba nie puścicie im tego płazem – zaćwierkała.

Miejscowi przedstawiciele Konkordatu zareagowali wspaniale.

– Będziemy kraść prąd z Firmy, żeby móc gotować obiady, wodę weźmiemy z Drogi Bez Znaczenia, jak będzie trzeba, będziemy podawać sobie wiadra z rąk do rąk, będziemy kłaść się o zmroku i wstawać o świcie jak nasi pradziadowie – powiedzieli.

W nocy inżynierowie przeciągnęli pod siatką plastikowe rury i zaczęli pompować wodę z podziemnego oceanu rur i zbiorników do wiader. Uzbrojeni strażnicy przechodzili nieufnie obok, nie chcąc prowokować zajść. Santa Ekatrina zamieniła hacjendę Mandellów w garkuchnię i nawet Evę przekonała do oderwania się od gobelinu z historią Drogi Bez Znaczenia i stanięcia przy ogromnych garach z gulaszem i ryżem.

– Wystarczająco długo tkasz tę historię, teraz sama możesz się w niej znaleźć – powiedziała teściowej.

Cały pokój pokryła cienka biała warstewka ryżowej skrobi, aż zdziwił się Limaal Mandella podczas jednego ze swych coraz radszych powrotów ze szczytu domu doktora Alimantanda.

– Co tu się dzieje?

– Strajk się dzieje – wyśpiewała Santa Ekatrina, która nigdy nie była tak szczęśliwa, nakładając długiej kolejce strajkujących curry z soczewicy.

Pożerający curry hutnicy wskazywali Limaala Mandellę, rozpoznając go.

– Święte dziecko, nawet we własnym domu nie mam spokoju! – zawołał i na nowo zamknął się w domu doktora Alimantanda, by jeszcze bardziej zagłębić się w sekrety czasu i czasowości.

Rael junior i komitet strajkowy pilnowali dostawy pierwszych darów żywnościowych do Drogi Bez Znaczenia. Po drugiej stronie torów firma developerska Gallacelli-Mandella pogrodziła pomarańczową taśmą kilka hektarów ziemi, przygotowując je pod budowę wielkiego osiedla dla spodziewanego napływu mieszkańców. Pomarańczowe kwadraty taśmy idealnie nadawały się do tego, by trzy wyczarterowane sterowce usiadły pomiędzy nimi i wyładowały trzydzieści ton produktów spożywczych.

– Tu pan podpisze – powiedział pilot, podsuwając Raelowi pokwitowanie i ołówek.

Łańcuch rąk przeniósł zapasy do nowego magazynu Centrum Gorących Przekąsek Mandella i Das. Na skrzynkach i kartonach widniały wymalowane od szablonu nazwy dawców – Siostry Mniejsze z Tharsis, Kolej Great Southern, Separatyści z Argyre, Przyjaciele Ziemi, Ubogie Magdalenki.

– Jak to wpływa na fundusz strajkowy? – zapytał Rael junior, licząc kartony kapusty, soczewicy, mydła i herbaty.

– Nie będzie trzeba wydawać tyle na jedzenie, a skoro udało się wprowadzić system płacenia kuponami, nie gotówką, powiedziałbym, że z pięć miesięcy.

Kiedy ostatni worek znalazł się w magazynie Rajandry Dasa i Kaana Mandelli, zamknięto drzwi na dwa spusty i postawiono pod nimi strażnika. Firma mogła zniżyć się nawet do podpalenia.

– Statystyki z produkcji? – zapytał Rael Mandella. Odkąd matka zamieniła rodzinny dom w jadalnię, coraz trudniej było utrzymać porządek na zebraniach komitetu strajkowego.

– Dokładnie jak przewidywałem. – Harper Tew uśmiechnął się z samozadowoleniem. Przed strajkiem był młodszym zastępcą kierownika produkcji; jakimś cudem Firmie nie udało się wyplenić z niego człowieczeństwa. – Produkcja stali to cienki strumyczek, mniej niż osiem

procent całkowitej mocy. Szacuję, że w ciągu dziesięciu dni Firma stanie na progu ekonomicznej decyzji: zamknąć się i upaść czy nie.

Szesnastego dnia strajku o piątej rano pana E.T. Dharamjitsingha, strajkującego maszynistę, jego żonę Misę i ośmioro dzieci obudził z głębokiego snu dźwięk nie do pomylenia – odgłos kolb wyważających frontowe drzwi. Do sypialni wdarło się czterech uzbrojonych firmowych ochroniarzy, celując przed siebie lufami UBS-ek.

– Ubierać się, wychodzić – rozkazali. – Macie pięć minut.

Kiedy uciekali 12. ulicą, ściskając pośpiesznie pozbierane wartościowe przedmioty, Dharamjitsinghowie zobaczyli, jak podjeżdża pancerna furgonetka i jak ekipa uzbrojonych ludzi idzie do każdych brązowych drzwi każdego domu na ich ulicy. Za sobą słyszeli krzyki, strzały i odgłosy towarzyszące rozwalaniu mebli.

– Tu nie! – rozdarł się sierżant na swoich ludzi, aż palących się, by skopać brązowe frontowe drzwi. – Ten jest lojalny. Zostawić. Następny dom.

Tego dnia rano wyeksmitowano dwieście rodzin strajkujących. Kolejne dwieście następnego dnia o świcie, a następnego jeszcze dwieście. Ulice Drogi Bez Znaczenia wypełniły chwiejne piramidy mebli zwieńczonych dziećmi o załzawionych oczach. Rodziny chroniły się pod zaimprovizowanymi namiotami zrobionymi z pościeli i worków na śmieci.

– Zbankrutujemy od tego – oświadczył Mavda Arondello. – Nie stać nas na ewakuowanie takiej liczby dzieci i kobiet z Drogi Bez Znaczenia do azylów w Dolinie Marinerów. Bilety na pociąg są potwornie drogie, w takim tempie fundusz strajkowy skończy nam się w niecałe dwa miesiące.

– Rael, idź pogadaj z ciotką – powiedziała Santa Ekatrina, biała jak duch od mąki ryżowej, pszennej i altruistycznego trudu. – Taasmin na pewno pomoże.

Tego samego dnia przez stację Droga Bez Znaczenia powoli przetoczył się nieoznaczony pociąg. Zza kontuaru swojego przytorowego baru Rajandra Das zauważył pozamykane drzwi, zaciągnięte rolety w oknach i tabliczki wskazujące, że jest poskładany z wagonów z całej półkuli północnej. Pociąg przepełniony jak upiór przez zwrotnice na bocznicy Stalogrodu. Ochroniarze oczyścili okolicę i zarządzili ścisłą godzinę policyjną, lecz Rajandra Das zobaczył to, czego nie widzieli wyglądający zza żaluzji – uzbrojeni czarno-złoci ludzie prowadzili ludzi o ponurych twarzach z torbami i walizkami do świeżo opróżnionych domów.

O szóstej syreny zawyły i półtora tysiąca łamistrajków podniosło się z kradzionych łóżek, założyło robocze ubrania i pod silną ochroną pomaszzerowało promienistymi ulicami do fabryki, mijając tłumy skandujące „Ła-mi-straj-ki! Ła-mi-straj-ki!”. Z zimnych kominów buchnął dym, a powietrze zatrzęsało się od ryku budzących się maszyn.

– To poważna sprawa – powiedział Rael Mandella swojemu komitetowi strajkowemu.

Przenieśli się do B.A.R-u/Hotelu (który ostatnio na skutek ustnego nacisku domu rodzinnego Mandellów zamalował kropki, zmieniając nazwę na uczciwsze i zamierzone od samego początku „Bar”).

Harper Tew oszacował, że w ciągu dziesięciu dni produkcja wróci do sześćdziesięciu procent normalnego poziomu.

– Zabraknie pięćdziesięciu dwóch godzin do bankructwa – powiedział.
– Jeśli nie znajdziemy sposobu na usunięcie łamistrajków, to jest koniec Konkordatu.

– My się nimi zajmiemy – rzekł Winston Karamazow. Wydawało się, że wokół niego zbiera się ciemna chmura.

– Wreszcie Grupa Akcji Bezpośredniej ma coś do zameldowania – rzucił Ari Osnan.

– Cicho.

Rael Mandella junior splótł palce i nagle poczuł potworną, potworną pustkę. Wizja, duchowy wiatr, mistyczna moc, która pchała go jak szynowy szkuner, która kładła mu na języku rozżarzony węgielek, nagle ustała i zawiodła go. Był człowiekiem, osamotnionym, słabym i omylnym. Zdarzenia zamknęły go w pułapce. Nie mógł powiedzieć „nie” szefowi grupy akcji bezpośredniej, a mówiąc „tak”, sam stawał się mafiosem. Czuł się idealnie przygwożdżony przez ten dylemat.

– Bardzo dobrze. Niech Grupa Akcji Bezpośredniej robi, co konieczne.

Tej nocy spalił się Dom Imprez Analogia Gospodarcza. Wśród popiołów Dominic Frontera i jego konstable znaleźli szczątki osiemnastu łamistrajków, przedszkolanki z korporacyjnego przedszkola, właściciela, jego żony i bliźnięt. Tej nocy na rogu Heartattack łamistrajk piętnaście razy dostał nożem. Cudem przeżył, by nosić te blizny do grobu. Tej nocy trzech obcych zostało porwanych do pustej budki dróżnika, gdzie rozebrano ich, przywiązano do krzesel i sekatorem obcięto im genitalia.

Tej nocy Rael Mandella junior przekradł się do domu i wyznał matce swe wątpliwości, przewiny, swą bezradność. Mimo że mu odpuściła, nie czuł się rozgrzeszony.

Przemoc eskalowała z nocy na noc, popełniano okrucieństwo za okrucieństwem. Dominic Frontera, mimo sympatyzowania ze strajkiem, nie mógł już patrzeć przez palce na szaleństwo i rzezie w mieście. Firma zagroziła działaniami przeciwko sprawcom, mimo że ich ochrona nie miała za siatką żadnej władzy. Frontera obiecał szefowi korporacyjnej ochrony natychmiastowe działania, choć nie miał pojęcia, jak wypełni tę obietnicę. Poszedł spotkać się z Raelem Mandellą juniorem w Barze/Hotelu.

Osobisty ochroniarz Raela nie pozwolił mu zbliżyć się na mniej niż trzy metry.

– Rael, to się musi skończyć.

Przywódcą strajku wzruszył ramionami.

– Bardzo mi przykro. Kiedy łamistrajki sobie pojedają, to się skończy. To wszystko ich wina. Jak chcesz pokojowego rozwiązania, rozmawiaj z Firmą, a nie ze mną.

– Przed chwilą z nimi rozmawiałem. Mówią dokładnie to samo, tylko odwrotnie. Rael, nie udawaj głupszego, niż jesteś. Znam cię od małego. Nie mam dowodów, nie znam nazwisk, ale nieważne, z kim sympatyzuję, prawo jest prawem, i jak tylko je zdobędę, prawo zadziała, jak należy.

– Czy ty mi grozisz?

Dominic Frontera był aż nadto świadomy bezsensu grożenia swoją garstką otłuszczonych dobrodusznym konstablom komuś, kto stawiał czoło międzyplanetarnemu imperium Bethlehem Ares Corporation. Mimo to powiedział:

– Nie grożę, Rael. Radzę.

Do końca tygodnia wyjechali wszyscy poza trzystoma łamistrajkami. Pięćdziesięciu dwóch na zawsze zostało na miejskim cmentarzu. W ten sam weekend Konkordat urządził pogrzeb pierwszego swojego męczennika. Willy Goomera, lat 9, kawaler, operator oddzielacza, został zabity ciosem cegły w szyję, kiedy próbował podejść z nożem łamistrajka, operatora oddzielacza z Maginota, pod Żłobkiem Przemysłowa Ekstaza. Willy był męczennikiem, a niedoszła ofiara stała się potworem. Pochowano go w ziemi w urnie owiniętej biało-zielonym sztandarem Konkordatu, podczas gdy jego matka i dwie siostry zalewały się łzami.

Rael Mandella junior i jego komitet strajkowy stawili się na pogrzebie.

– I jak teraz wyglądają statystyki produkcji?

– Wypłaszczają się na mniej więcej dziesięciu procentach optimum. Szacuję, że zakład wyjdzie na plus w jakieś dwadzieścia dwa dni.

– Fundusz strajkowy wystarcza na piętnaście. Mavda, rozejrzyj się za wsparciem finansowym od naszych sojuszników i za regularnymi zrzutami zaopatrzenia. B.J., musisz dalej męczyć inne międzyplanetarne korporacje, nieszczęście Bethlehem Ares to ich szczęście. A ja chyba pogadam z ciotką, zobaczę, czy nie da się załatwić jakiegoś darmowego zakwaterowania w hostelach jej kościoła. To uwolni trochę pieniędzy z budżetu na relokacje.

Sześcioro spiskowców skłoniło się i rozeszło, każdy w swoją stronę, a na ceramiczną urnę Willy'ego Goomery spadły pierwsze łopaty czerwonej ziemi.

Cadillac Natchniony, odkąd umartwił się w ponad trzech czwartych, stał się o wiele mniej posłuszny, pomyślała Taasmin Mandella.

– Pani, nie możesz sobie pozwolić na angażowanie się w spór w Bethlehem Ares Steel. Nie wolno mieszać tego, co duchowe, z tym, co polityczne.

Szara Pani i Żelazny Szambelan biegli podziemnym przejściem łączącym pomieszczenia prywatne i publiczne. Na słowo „polityczne” Taasmin zatrzymała się i szepnęła mu na ucho:

– Ty hipokryto. Powiedz mi jedną rzecz: skoro duchowość nie obejmuje wszystkich aspektów życia, na przykład polityki, to co z niej za duchowość? Odpowiadaj. – I ruszyła oświetlonym światłówkami korytarzem.

Protezy protetycznego szambelana szczękały i szurały, gdy pędził za nią.

– Pani, z całym szacunkiem, ale pozwalasz emocjom zaburzyć swoje postrzeganie. Nie zwracaj uwagi na fakt, że Rael Mandella junior jest twoim siostrzeńcem; musisz podjąć obiektywną decyzję, czy pozwolić heretykom... przepraszam, Pani, strajkującym, na korzystanie z twojej noclegowni. Kiedy usunie się z oglądu względy subiektywne, decyzja jest oczywista.

Taasmin Mandella zatrzymała się ponownie w drzwiach do sali audiencyjnej.

– Istotnie, jest oczywista, szambelanie. Deklaruję pełne duchowe, moralne i ekonomiczne wsparcie dla Konkordatu.

– Pani! To szaleństwo! Zważ na pielgrzymów, od których hojności jesteśmy zależni, czy nie zniechęci ich ta pochopna decyzja. Zważ na

Ubożątka, stając po stronie heret... strajkujących w istocie kwestionujesz ich wiarę w Święte Miasto Stalogród. Nie możesz porzucić swoich oddanych wiernych, tak pielgrzymów, jak i Ubożątek!

– Ja wiem, skąd wzięły się te podejrzane prorocstwa o fabryce, szambelanie. Nie jestem nawet w jednej trzeciej taką idiotką, za jaką mnie masz.

W sali audiencyjnej zasiadła na tronie, oświetlona pojedynczym snopem światła odbitego od ukośnych zwierciadeł pod kopułą. Pod nogami miała rozsypane kwiaty i metalowe opiłki, przed sobą – ciągnącą się w mrok kolejkę pielgrzymów z wymalowanymi na czołach dziewięcioramiennymi gwiazdami. W powietrze sączyła się mroźna pobożność.

– Potrzeba tu więcej światła – szepnęła, wyobrażając sobie dłoń Panarchy unoszącą kopułę bazyliki jak pokrywkę od słoika z ogórkami kiszonymi, by wpuścić do środka pełne światło dnia.

– Słucham, Pani? – zapytało asystujące Ubożątko o metalowej głowie. Biedne Ubożątko, pomyślała Taasmin Mandella.

W miarę jak kolejka uzdrowień, błogosławieństw, prorocstw, błagań, wybaczeń posuwała się naprzód, złapała się na tym, że patrzy na odbicie chmur w lustrach pod kopułą i myśli o swoim siostrzeńcu, który walczy z tym, do zwalczania czego ona dostała moc, pod pustynnym słońcem, pod gołym niebem i okiem Panarchy. Duchowość w działaniu, wiara w roboczych butach, ostrze rewolucyjnej miłości. Dobrze zrobiła, ogłaszając poparcie dla Konkordatu. Mimo wszystkich swych ludzkich grzechów byli bastionem człowieczeństwa, życia i wolności, wobec przygniatającej sterylności, maszynowych procedur i anihilacji Firmy.

– Pani, oto Staruszki z Czernowy.

Stadko szczerbatych babinek okutanych w czarne chusty skłoniło się pośród kwiatów i opiłków. Niosły paskudną, drewnianą figurę małego dziecka. Niezdarnie wyrzeźbiona i jeszcze gorzej pomalowana, miała minę, jakby w tyłek wetknięto jej ostre narzędzie.

– Przynoszą prośbę, o Pani. – Przyboczny skłonił się z szacunkiem i skinął na Staruszki z Czernowy, by podeszły.

– Co to za prośba? – Słońce odbijało się od zimnej, czystej wody, liście rzucały plamiaste, błogie cienie; Taasmin Mandella ledwie słyszała ich błagalne głosy.

– ...odbierają nam synów i synów naszych synów, naszą wolność i godność, zabierają to wszystko i oddają w strzępach i kawałkach;

nazywają to „feudalizmem przemysłowym” i jeszcze mamy im za to dziękować.

– Zaraz. Wy jesteście ze Stalogrodu?

Najstarsze babcie wzdrygnęły się.

– Wstańcie, wszystkie. – Słońce i zimna, czysta woda wyparowały w promieniach wyższego słońca. – Jesteście z... – poszukała w pamięci, przeklinając się za tę chwilę nieuwagi – ...Czernowy w Nowym Merionedd?

– Tak jest, o Pani.

– I uciskają was firmowi... strajkujący, rozumiem?

Najmłodsza z babć precyzyjnie nacisnęła się na czoło stadka.

– Pani, oni pozbawili nasze brzuchy jedzenia, a nasze usta wody, nasze oczy światła, nasze palce mocy, wygnali nas z naszych domów, tak że musimy pozostawić rodziny albo mieszkać jak zwierzęta w ruderach z folii i kartonu! Szara Pani, błagamy cię, pomóż nam! Módl się za nami, wstaw się za nami, zanieś wołania uciśnionych do uszy Panarchy, niech opromieni nas swoją łaską, pobłogosław nas.

– Dosyć. – Kobieta cofnęła się spłoszona na miejsce, zawstydzona tym wybuchem. – Co tam macie ze sobą?

– To nasza święta ikona, Jasne Pacholę z Czernowy, które za wstawiennictwem Błogosławionej Pani uratowało nasze miast od zagłady przez spadający z windy orbitalnej wahadłowiec, przywołując mistyczny wiatr i odpychając zagrożenie.

Taasmin Mandella słyszała o cudzie z Czernowy. Miasto zostało uratowane, ale wahadłowiec i jego dwustu pięćdziesięciu sześciu pasażerów wyparowało. Cud w lepszym gatunku uratowałby jednych i drugich, pomyślała. A do tego jaka paskudna była ta figura.

– Dawajcie ją tutaj. – Wyciągnęła lewą rękę ku posążkowi.

Świetlne impulsy przepłynęły w górę po obwodach w jej sukni i zogniskowały się na lewym przegubie. Aureola pojaśniała tak, że zaczęła rzucać cienie w najdalsze zakamarki sali audiencyjnej. Poczowała, jak ogarnia ją fala niewinności – wewnętrzna symfonia na nowo zagrała w jej sercu, była wolna, wybaczone jej. Metalowe serpentyny, jak paski obwodów drukowanych popłynęły z ręki i oplótły Jasne Pacholę z Czernowy warstwą elektroniki. Zebrani wierni patrzyli w nabożnym podziwie, jak chropowatą drewnianą powłokę pokrywają obwody. Prąd zaiskrzył wzdłuż kończyn, w oczach zabłysło termojądrowe światło, z ust wydobył się strumień nonsensownego kodu maszynowego.

Przeistoczenie drewna w maszynę zakończyło się. Pielgrzymi padli na kolana. Niektórzy uciekli w przestachu z bazyliki. Staruszki z Czernowy zaczęły się kłaniać, lecz Taasmin je powstrzymała.

– Weźcie to i pokażcie mojemu siostrzeńcowi. To odpowiedź, na którą czeka. Zanieście mu także moje błogosławieństwo: Bóg jest po twojej stronie. Nie jesteś niczyją własnością.

Przyptyw świętej figlarności kazał Taasmin Mandelli jeszcze unieść lewą dłoń, zaciśniętą w pięść w konkordatowym salucie. Wstała, by wszyscy widzieli Solidarność Szarej Pani, po czym zawirowała sukniami i zeszła z podwyższenia.

– Na dzisiaj koniec z audiencjami! – zawołała do swej bionicznej majordomus.

Patrzyła, jak przybiera zmieszana minę i leci-pędzi powiedzieć Cadillacowi Natchnionemu. Nie przejęła się tym. Bóg dał znak, wojna została wypowiedziana, a ona postąpiła zgodnie ze swoim sumieniem. Wojna została wypowiedziana i była z tego powodu bardzo, bardzo szczęśliwa.

– Ja też nie jestem niczyją własnością – powiedziała do swojego odbicia w czystej, zimnej wodzie ogrodowego stawku.

Każdy, kto okazał legitymację Konkordatu jednemu z właścicieli Centrum Gorących Przekąsek Mandella i Das, miał prawo wybierać do woli z ich skarbów – gotujących się kiełbasek, grillujących się kebabów, ciecierzycy smażącej się wesolutko w głębokim tłuszczu oraz najrozmaitszych samos, pakor i pasztecików. Był to gest braterskiej solidarności ze strony mandellowej połówki Centrum Gorących Przekąsek Mandella i Das; miał katastrofalny wpływ na zyskowność przedsięwzięcia, lecz mandellowa połówka wiedziała, że Das ma całe worki złotych dolarów zachomikowane ze wspomnianych teraz ze smutkiem czasów, kiedy był miejską złotą rączką, kombinatorem, gundą i żulem. Na nich Centrum będzie mogło przepłynąć przez konkordatowy kryzys.

Centrum Gorących Przekąsek miało niezwykłą, wręcz jedyną w swoim rodzaju konstrukcję. Przednia połowa pochodziła ze starej rikszy, która przez trzy lata leżała za szopą Eda, tył był zaadaptowany z zezłomowanej mesy sterowca, wzbogaconej o składane stołki barowe, muzykę, lampiony w wesołych barwach oraz ogrom świętych obrazków, medali i papierowych karteczek modlitewnych. Co rano, zanim pierwsze promienie słońca musnęły jego okno, Das uruchamiał kopniakiem astmatyczny silniczek rikszy i wjeżdżał niezgrabną landarą w wąskie zaułki, lawirując między kurami, kozami, lamami, dziećmi i ciężarówkami, aż znalazł dobre miejsce do zaparkowania. Prawie zawsze było to na wprost sklepu wielobranżowego sióstr Pentecost, żeby Rajandra Das mógł uśmiechać się do nich z wdziękiem, gdy osiem po ósmej przychodziły go otwierać, i aby one z kolei w najgorętszym momencie dnia mogły go zaprosić na miętową herbatkę. Zanim przybyła mandellowa połówka spółki (połówka o ostrym jak brzytwa zmyśle

biznesowym, spadku genetycznym po ojcu-racjoniście), kiełbaski już się smażyły, unosiły się zapachy z garów miętowej herbaty i kawy, a przed straganem stała długa jak darmowe śniadanie kolejka ludzi z legitymacjami Konkordatu w rękach.

Sześćdziesiątego szóstego dnia strajku Rajandra Das właśnie pakował kiełbasę długą jak jego przedramię, by wręczyć ją strajkującemu, którego twarz niewyraźnie skądś kojarzył, gdy nagle zamarł w pół ruchu.

– R.D. – powiedziała połówka mandellowa. – Co tam zobaczyłeś?

Rajandra automatycznie podał kiełbasę strajkującemu.

– To on.

– On? – Kaan Mandella spojrzał, ale zobaczył tylko ciemnowłosego człowieka w średnim wieku przyglądającego się im z końca ulicy.

– Ma czelność wrócić, po tym, co zrobił... – Kaan Mandella spojrzał jeszcze raz, ale tamtego już nie było.

– Kto to jest?

Rajandra Das nie powiedział, ale przez cały dzień miał zupełnie niepodobną do niego zdenerwowaną i mściwą minę. Kiedy Centrum Gorących Przekąsek zostało bezpiecznie zaparkowane na noc, udał się z wizytą do pana Jericha.

– On wrócił – powiedział, a kiedy pan Jericho dowiedział się, kto wrócił, kazał Rajandrze zebrać wszystkich Członków-Założycieli, z wyjątkiem Dominica Frontery, sam zaś, kiedy Rajandra zbierał Członków-Założycieli, podszedł do szuflady, w której trzymał igłowiec, i wyciągnął go z jedwabnego zawiniątka.

O drugiej czterdzieści pięć Mikal Margolis, szef ochrony w projekcie Droga Bez Znaczenia, miał zamiar brać kąpiel w swoim menedżerskim apartamencie. Wstępne potajemne rozpoznanie w Drodze Bez Znaczenia zostało zakończone i Firma mogła w dowolnym momencie zaatakować Konkordat i zniszczyć go, dzień był ciężki i długa, gorąca kąpiel była dokładnie tym, czego potrzebował. Otworzył drzwi i zobaczył przed sobą wylot zabytkowego igłowca z kościaną kolbą.

– Nie trzaskaj drzwiami – powiedział głos, który zapomniał. – Mogę cię przez nie zastrzelić, jak będzie trzeba. Teraz pozwól ze mną.

Gdy się ubierał, pan Jericho zauważył mundur Korporacji.

– Tego nie wiedziałem.

– Chociaż jest coś, czego nie wiesz. Szef Zabezpieczenia Projektu, ni mniej, ni więcej.

Pan Jericho nic nie powiedział, ale do listy w głowie dopisał kolejną zbrodnię. Poprowadził aresztanta bocznymi i pobocznymi uliczkami, aż do siatki. Nitka czystego napięcia elektrycznego łączyła lufę igłowca z karkiem Mikala Margolisa.

– Tutaj – powiedział pan Jericho, wskazując otwartą pokrywę studzienki, o której istnieniu Mikal Margolis nie miał pojęcia.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytał, kiedy obaj brodzili w ściekach Stalogrodu.

– Dyscypliny Damantyńskie, choć to ci pewnie nic nie mówi.

A jednak mówiło – i Mikal Margolis w jednej chwili dowiedział się wiele o panu Jerichu. Wiedział też, że nie ujdzie swemu prześladowcy, mimo zmysłów wyostrzonych przez lata jako Freelancer. Dał się więc wyprowadzić ze Stalogrodu do Drogi Bez Znaczenia.

Nieformalny sąd zebrał się w magazynie Rajandry Dasa, pomiędzy skrzynkami ciecierzycy przysłanymi Konkordatowi przez Związek Sprzedawców Ulicznych Południka. Rozglądając się, Mikal Margolis rozpoznał Mandellów, braci Gallacelli, Stalinów, Genevieve Tenebrae trzymającą kulę z duchem męża, nawet ojca i córkę Blue Mountain. Wzdrygnął się. Poczul się tak, jakby był sądzony przez parlament upiorów. Potem zobaczył Persis Tatterdemalion.

– Persis, co to ma być? Powiedz mi.

Odwróciła wzrok. Pan Jericho odczytał formalny akt oskarżenia. Potem zapytał podsądnego, czy przyznaje się do winy.

– A powiedzcie, moja matka nie żyje?

– Nie żyje – odparł Rael Mandella senior.

– To dobrze. Nie chciałbym, żeby to widziała.

– Przyznajesz się do winy? – powtórzył pan Jericho.

– Przyznaję się.

I wszyscy sędziowie także uznali go za winnego. Wszyscy. Nawet Persis. Nawet duch.

– To wiecie, co robić – powiedział pan Jericho i Mikal Margolis po raz pierwszy zobaczył stryczek.

Gdy wprowadzano go na zaimprovizowaną szubienicę (z dwóch składanych sklepowych drabinek) nie czuł ani złości, ani nienawiści, jedynie bezgraniczny niesmak, że człowieka, który zmierzył się z Korporacją Bethlehem Ares i przekonał ją do siebie, spotyka taki żaloszny koniec. Pętla znalazła się na jego szyi.

– Żałujesz w ogóle tego, co zrobiłeś? – zapytała Genevieve Tenebrae, pokręcona, blada kreatura, hermetyczna troglodytka. – Czujesz coś

w ogóle wobec biednego Gastona?

Teraz to „biedny Gaston”, tak? Menel i kobieciarz.

– Byłem wtedy dzieciakiem – powiedział. – Szalonym, zdezorientowanym. To się zdarza. – Spojrzał na Persis Tatterdemalion i uniósł ręce. – Zobacz, Persis. Już się nie trzęsą.

Obywatelscy sędziowie związali mu te pewne dłonie i zaczęli się kłócić, jakimi słowami pożegnać duszę skazańca. Mikal Margolis stał na drabinkach i czuł, jak rośnie w nim furia. Nie mógł się pogodzić z tym, że tak głupio ginie.

– Skończyliście?! – krzyknął.

– Tak, dziękuję – odparł pan Jericho. – Wieszać go.

Rajandra Das wykopał drabinkę spod nóg Mikala. Mikal Margolis poczuł, że żelazna pięść próbuje oderwać mu głowę od ciała, potem coś trzasnęło (Moja szyja, moja szyja!)... i zwałił się na słomę.

– Co za gówniana lina! – krzyknął ktoś.

Mikal Margolis przetoczył się do pozycji stojącej i rzucił się głową naprzód do wyłącznika światła. W pokoju zapadła ciemność, pełna krzyków – jedna z igiełek pana Jericha zdarła mu skórę z policzka. Wypadł na ulicę i zygzakiem, jak kura, pobiegł ku siatkowym bramom Stalogrodu.

– Ratunku, ratunku, mordują! – krzyczał.

Ochroniarze wysypali się ze swoich przewoźnych budek i zagrozili ulicy lufami karabinów. Pan Jericho, który starannie mierzył z igłowca, odłożył broń.

– Poza zasięgiem. Przykro mi. I osłonę ma.

– Uciekł, sukinsyn! – zaszlochała Genevieve Tenebrae.

– Drugi raz! – dodał Rajandra Das, patrząc, jak ochrona otwiera szeroko bramkę, żeby wpuścić uciekiniera.

– Trzeciego już nie będzie – powiedział pan Jericho.

Nikt nie był do końca pewien, o co mu właściwie chodziło.

Sens słów pana Jericha stał się oczywisty we wtorek, 12 listopada, gdy Korporacja Bethlehem Ares rozbiła Konkordat.

Była to bardzo skuteczna operacja, jak należałoby się spodziewać po Korporacji. Dokładnie wiedzieli, dokąd pójść i kogo zabrać. Wchodzili do domów, przebijali się do zabarykadowanych pomieszczeń, robili naloty na hotele, bary, biura. Siatka ich nie zatrzymywała, rozbijali się po ulicach Drogi Bez Znaczenia w swoich czarno-złoty pancernych furgonach. Powietrze rozdzierały serie z UBS-ek. Dominic Frontera i jego policja nie mogli nic poradzić. Zostali rozbrojeni przez czarno-złoty szturmowców i zamknięci we własnym miejskim areszcie. Inni, którzy próbowali ich powstrzymać, byli traktowani mniej łagodnie. Niektórym przestrelono kolano lub łokieć. Garstka wykpiła się tylko zmiażdżeniem palców kolbami. Ludzi wywlekano z hoteli i kryjówek, kazano klękać z rękoma za głową przed ścianami z wymalowanymi sloganami, podczas gdy młodszy menedżerowie, pijący idiotyczne napoje z bananów i tapioki, wypatrywali wśród nich organizatorów i przywódców sekcji. Niektórych wywoziły czarno-złote furgony. Niektórych wypuszczano. Paru szczególnych wicherzycieli po prostu wzięto pod ścianę i dostali kulkę w oko. Córki, żony, kochanki, matki, które postanowiły zostać, wyły w bezsilnej furii. Ochrona Firmy wdarła się do aneksu przy Barze/Hotelu Tatterdemalion i aresztowała trzech z pięciu członków komitetu strajkującego i dwóch niewinnych pielgrzymów, po prostu, żeby liczby się zgadzały. Więźniów zaprowadzono na zaplecze baru i zastrzelono, pomiędzy skrzynkami i beczkami z piwem. Potem ochroniarze wylali na podłogę benzynę i spalili dobudówkę.

W faweli Concorde, która wyrosła za siatką, by dać schronienie eksmitowanym ze Stalogrodu, czarno-złoci ochroniarze polali plastikowo-kartonowe budy paliwem do riksza i podpalili. Ogień ogarnął rudery szybciej, niż mieszkańcy zdążyli uciec. W parę minut z osiedla Concorde został tylko popiół.

Ochroniarze nie respektowali żadnych granic i nie wykazywali sumienia. Odepchnąwszy na bok protestujące Ubożątka, opróżnili noclegownie Miasta Wiary i przepatrzyli ustawione w szeregach twarze pod kątem rysów z ich listów gończych. Szarża ochroniarzy z karabinami zbezczeszczyła Bazylikę Szarej Pani, lecz zanim Taasmin Mandella przyszła ze swoich medytacji, Korporacja Bethlehem Ares przemknęła przez środek i rozwiła się jak tajfun, zostawiając po sobie tylko zniszczenia i krew.

Korporacja urządziła masakrę także w Drodze Bez Znaczenia, pozwalając sobie na wszystko, co tylko zechciała. Cywilne władze nie były w stanie pomóc. Stało się oczywiste, że ta brutalność ma jeszcze inny, bardziej złowrogi aspekt. Do ataków wybrano wyłącznie domy i biznesy członków-założycieli Drogi Bez Znaczenia. Gdy z przybudówki przy Barze/Hotelu uniósł się dym, biura Firmy Developerskiej Gallacelli i Mandella zniszczył potężny wybuch. Tuż za rogiem, Centrum Gorących Przekąsek Mandella i Das rozwalono na części na oczach właścicieli.

– Zadowoleni, co?! – krzyknęła dasowska połówka spółki. – Mam nadzieję, że jesteście, kurna, zadowoleni!

Obaj wspólnicy unieśli pięści do konkordatowego salutu, widząc oddalające się plecy strażników.

– Nie jesteśmy niczyją własnością! – wrzasnął Rajandra Das.

Ochroniarze zawrócili i powalili obu kolbami karabinków.

Pięciu ochroniarzy wdarło się do hacjendy Mandellów pod pretekstem poszukiwania Raela juniora i wyrócili wszystko do góry nogami.

– Gdzie on jest? – wypytywali świętą Santa Ekatrinę, przykładając jej lufę UBS-ki do skroni.

– Nie ma go w domu – odparła.

Z frustracji i żądzy zemsty zaszlachtowali wszystkie zwierzęta w gospodarstwie, rozwalili w drzazgi wszystkie meble, w kuchni przewracali gary soczewicy i gulaszu, zniszczyli romb kolektora słonecznego i zabrali się do niszczenia krosna z gobelinem Evy Mandelli.

– Na waszym miejscu bym tego nie dotykał – powiedział Rael Mandella senior ze złowrogim spokojem, na jaki pozwala strzelba myśliwska w dłoniach.

Ochroniarze wzruszyli ramionami (stary, a głupi) i unieśli kolby UBS-ek. Rael Mandella zawył za zarzniętymi zwierzętami, wywróconymi garnkami, rozbitymi kolektorami i rzucił się pomiędzy nich a krosno. Pocisk z UBS-ki rozerwał mu klatkę piersiową i rzucił go na ramę z gobelinem, tak że jego krew zaplamiła melodramatyczną czerwienią na wpół ukończoną historię.

Wśród dymu, krwi, odoru palonego ciała, delikatne, kulturalne kasznięcie pozostało prawie niedosłyszane, choć wystarczyło, by zabójcy się odwrócili. Przed nimi stał Limaal Mandella z igłowcem pana Jericha w dłoni. Na twarzy miał paskudny, paskudny uśmiech. Zanim palce zdążyły dotknąć cyngli, wszyscy nie żyli, z wbitymi centralnie w środek czoła igłami wystrzelonymi z niezrównaną szybkością i precyzją Największego Snookerzysty, Jakiego Znał Wszechświat.

Kiedy wszystko to się działo, kiedy jego dziadek leżał rozpostarty na krośnie babki, a ojciec stał straszny i triumfujący, z rozszlochaną matką obok i z pistoletem Czcigodnych Rodów w dłoni, Rael Mandella junior w towarzystwie Eda, Sevriana i Batista Gallacellich kradli z pola za Stalogradem towarowego sterowca Bethlehem Ares Steel.

Zakończywszy sekwencję testów przed startem, Sevriano i Batisto rozpędzili dmuchawy i przygotowali się do zrzutu balastu.

– Święte dziecko – mruknął Ed Gallacelli.

Opancerzeni do bitwy ochroniarze sunęli przez pole ku Dzikiej Gęsi. Piloci nad pulpitem wymienili niespokojne spojrzenia. Coś trzeba było zrobić, ale co i kto ma zrobić, było niejasne. Ed Gallacelli rozejrzał się po reszcie twarzy.

– No dobra – powiedział. – Ja się ich pozbędę. – I zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, wyskoczył przez klapę dla załogi na beton.

– Tak w ogóle to zawsze byłem ja! – krzyknął, prawie niesłyszalny przez narastający ryk silników. – Ja! Ja byłem waszym ojcem!

Po czym wyszczerzył się do okienek kabiny, pomachał na pożegnanie i ruszył ku nacierającym ochroniarzom. Pogrzebał w swych przepastnych kieszeniach.

– O, proszę, łapcie!

Rzucił w powietrze mechanicznego gołębia, który poszybował ku ludziom Firmy, śpiewając swą infradźwiękową pieśń. Gdy zobaczył, że ochroniarze zgięli się wpół w ataku mdłości i migreny, zapiał na cześć swojej pomysłowości, wyrzucił dłonie w górę i wypuścił w powietrze rój mechanicznych pszczoł. Uzbrojone w laserowe żądła maleńkie wynalazki przerzedzały cierpiących ochroniarzy, aż jeden, obdarzony większą

przytomnością umysłu od swoich towarzyszy, zestrzelił i akustycznego gołębia, i mordercze pszczoły seriami z UBS-ki.

– To spróbujcie tego! – wrzasnął Ed Gallacelli.

Usłyszał wycie startującego sterowca i nagle poczuł zadowolenie, choć nie do końca wiedział dlaczego. Z jego rękawów buchnął kłęb gęstego, czarnego dymu. Zanim ta chmura go pochłonęła, obejrzał się jeszcze przez ramię, upewniając się, że sterowiec wznosi się i oddala znad Stalogrodu na północ.

Odlecieli.

Ucieszył się.

Nasunawszy na oczy gogle termowizyjne, Ed Gallacelli zbliżył się do ochroniarzy i zaczął rozdawać kopniaki w dupę i jaja, kompletnie niewidoczny, póki nie pojawił się nieplanowany podmuch wiatru i nie wywiał jego zasłony dymnej za horyzont.

– O rany – rzucił nieśmiało Ed Gallacelli. – Poddaję się. – Podniósł rękę.

Palce natychmiast zacisnęły się na spustach UBS-ek.

– Och, jej. Przepraszam. – Zasalutował zaciśniętą pięścią. – Niech żyje Konkordat. Amen!

Zaczął się śmiać i śmiać i śmiać, gdyż elegancki oficer ochrony zdjął hełm i to był Mikal Margolis – czy to nie był najlepszy żart na świecie, lepszy niż te sztuczki, które miał w rękawie? – a wtedy dowódca wydał rozkaz, z dwunastu laserów trysnęło dwanaście promieni i skąpało go w ogniu, nie przestając strzelać, póki zdradziecki wiatr nie zaczął rozwiewać jego popiołów.

Po bitwie pod Żółtym Brodem Arnie Tenebrae wzniosła przed swoim namiotem dowodzenia pryzmę z głów. Parlamentariusze zostali rozgromieni, biegli przez pola ryżowe, porzucając broń, hełmy, mundury, ranni, panicznie uciekający przed niestrudzeniem ich ścigającymi demonami wymalowanym w tygrysie pasy. Rozkazała komandosom ze swojej grupy śmierci przynosić sobie obcięte głowy wszystkich martwych i rannych. Pryzma była jej wzrostu. Patrzyła na wyszczerzone twarze chłopaków od pług, mechaników od rikszy, pilotów sterowców, górników z kopalni cyny, studentów, agentów ubezpieczeniowych i buzołów w niej jakiś nieczysty ogień szaleństwa. Tej nocy pomalowała twarz na podobieństwo Deathbirda, a kiedy wstrzyknęła sobie morfinę z apteczki, ptak śmierci z otchłani ciemności stanął przed nią na jej wezwanie i powiedział jej, wrzeszcząc jak torturowany człowiek, że jest Awatarem, wcieleniem Kosmicznej Reguły; Wastatorką, Niszczycielką, Burzycielką Światów, Zabójczynią Bogów i Tą, Której Się Nie Da Przewidzieć.

Żółty Bród, Wzgórze 27, Prom przez Elehanuę, Stodoła Harpera: skrzydła Ptaka Śmierci rozwiewały Parlamentariuszy jak plewy.

– Chłopcy przeciwko mężczyznom – powiedziała swoim dowódcom. – Mają nad nami stukrotną przewagę, a kosimy ich jak ryż!

Wiedziała, że oficerowie się jej boją. I słusznie. Była szalona, szukała trupów do złożenia na ołtarzu zniszczenia, miała się za boginię, demona, mrocznego anioła. Mieli rację, że tak o niej myśleli. Dobrze myśleli. Zwycięstwa przychodziły jedno po drugim.

– Dzięki induktorom pola jesteśmy niezwyciężeni – oświadczyła sztabowi po bitwie pod stacją Sakamoto.

Kapitanowie i porucznicy wiedzieli, że to oznacza, że to dzięki Arnie Tenebrae, Wastatorce, są niezwyciężeni. Zaczęli się obawiać, że w tej kwestii też ma rację.

Potem, podczas bitwy pod Tetsenok, Parlamentariusze jakimś cudem obrócili szturm Grupy Taktycznej Armii Całej Ziemi w odwrót. Arnie Tenebrae to nie zaskoczyło. Już rano wyczuła klęskę.

– Tam jest ktoś, kto mnie chce – powiedziała.

Wśród jej kadry zaczęły pojawiać się wątpliwości i spadek zaangażowania. Arnie Tenebrae nie godziła się z tym. Jak można mieć wątpliwości, stojąc w obliczu żywego ucieleśnienia Kosmicznej Mocy?

A jednak na następnej naradzie sztabu porucznik Lim Chung zapytał:

– Po co my walczymy, skoro nic nie zyskujemy?

Arnie Tenebrae nie widziała potrzeby, by odpowiadać. Później kazała porucznika Lima Chunga zabrać daleko w las, rozebrać, przywiązać rozpostartego do dwóch drzew i zostawić na pastwę żywiołów i czasu.

Po bitwie pod Wzgórzem 66, kiedy Parlamentariusze zdobyli umocnione pozycje Armii Całej Ziemi, pomimo ich niezwycięzonych induktorów pola i tarcz niewidzialności, blady jak mąka chłopak z farmy z białą flagą na ramieniu przywędrował do kwatery głównej dowodzenia Grupy Taktycznej na tyłach. Arnie Tenebrae cierpliwie wysłuchiwała przedstawionych przez Parlamentariuszy warunków kapitulacji. Potem zadała dwa pytania.

– Jak się nazywasz?

– Szeregowy MacNaughton Bellewe, nr 703286543.

– Kto jest twoim głównodowodzącym?

– Marszałek Quinsana, proszę pani. Marszałek Marya Quinsana.

Marya Quinsana. No, no, no.

Arnie Tenebrae nie kazała odrzucenia warunków kapitulacji spisać na skórze zdartej z szeregowca MacNaughtona Bellewe'a, jak pierwotnie zamierzała. Chłopak został wypuszczony cały i zdrowy na granicy strefy bitwy, z wiadomością od generała do generała w dłoni i girlandą wysuszonych, miniaturowych główek przywiązaną do pasa.

Po Wzgórzach 66 Arnie Tenebrae zrobiła się milkliwa i niebezpieczna. Na scenę wkroczyła kolejna Kosmiczna Reguła. Awatar Mścicielki. Piękne – każda ludzka walka i każda wojna jest symbolicznym odegraniem wzniosłych zmagania Kosmicznej Mocy, tak że każda chwila teraźniejszości jest zaledwie powtarzaniem w kółko okruchem przeszłości. Dekoracje już stoją, Götterdämmerung się odbędzie, zadmie Ostatnia

Trąba i wszystko sprowadzi się do walki: ona przeciwko Maryi Quinsanie: Wastatorka kontra Mścicielka, tak jak było zawsze, teraz i na wieki.

Grzbiet Donohue, Dharmstadt, Czerwony Most – trzy miażdżące klęski w tyleż miesięcy. Arnie Tenebrae głównie siedziała po turecku w namiocie i medytowała nad sobą. Przebiegali porucznikowie i kapitanowie, małe myszki zaprzęgnięte raportami o poddaniach, masakrach, zniszczeniach. Nic to nie znaczyło. Ludzkie marionetki muszą tańczyć, jak boże bębny zagrają. Dłonie Arnie Tenebrae zatrzepotały na klepisku – łup-łup-łup w bęben. Ona i Marya Quinsana są tymi doboszkami. Łup-łup-łup.

Skoncentrowała swoje ocalałe siły, niecałe dwie regularne dywizje i wycofała się z nimi w serce nawiedzonego lasu Chryse, by przygotować się do ostatecznej walki.

Był sobie mur. Zbudowany ze starego szarego kamienia, bez zaprawy, sięgający człowiekowi do pasa, nie wyglądał na specjalnie ważny. A jednak był ważny. Jak to zwykle z murami, znaczenie nadawało mu to, co miał po obu stronach; czy jego zadaniem było nie wpuszczać, nie wypuszczać czy po prostu dzielić. Po jednej stronie muru znajdowało się pole ziemniaków, zamglone poranną mgłą, szare i zimne jak stary ziemniak. Na tym polu stał sterowiec transportowy *Wschodnie Oświecenie* Bethlehem Ares Steel, wyłączony, pusty, z otwartymi klapami i kłębkami mgły wirującymi wokół wsporników i włazów. Po drugiej stronie muru był las Chryse, Las Pani, najstarsze ze wszystkich młodych miejsc tego świata, miejsce, gdzie sama Święta Katarzyna zasadziła swymi stalowymi manipulatorami Drzewo Początku Świata. Drzewa napierały na mur, wychylały się na drugą stronę, gęste i ciemne jak kamienie. Ich gałęzie sięgały nad pole ziemniaczane, w niektórych miejscach korzenie poprzewracały odcinki kamiennego muru, granica jednak trwała, gdyż granica między lasem i polem była starsza niż upamiętniający ją mur. Był to mur izolujący, niewpuszczający świata do lasu, a nie na odwrót.

Dla trzech ludzi z plecakami idących samym skrajem lasu miało się to okazać istotne. Już pierwsze kroki po zadrzewionej stronie muru uczyniły z nich bezpieczeństwałowców, wygnańców. Usłyszeli, jak ładunki wybuchowe niszczą sterowiec, choć huk był dziwnie stłumiony przez drzewa, i ucieszyli się, bo nie mogli już wrócić do domu. Dym z płonącego sterowca wznosił się oskarżycielsko znad kartofliska.

W ciągu pierwszych godzin znaleźli wiele przelotnych oznak ludzkiej ręki – małe kupki szarego drzewnego popiołu, rozłożone lub zasuszone skóry zwierząt, brzydkie blaszane puszki rdzewiejące na leśny brąz,

w miarę jednak oddalania się od muru w głąb lasu takich oznak było coraz mniej. Tu mgła wygrywała ze słońcem, zalegając w wilgotnych dolinkach i wykrotach, nawet samo słońce wyglądało przez koronę liści na odległe i bezradne. Las trzymał się sam siebie, pogrążony w głębokim korzeniowym śnie, trzech ludzi szło nieufnie pomiędzy drzewami liczącymi sobie tyle lat, co ten świat. Nie śpiewał żaden ptak, nie skomlał lis, nie szarżował jaguar, nie parskął wombat – nawet głosy mężczyzn nie zakłócały lasowi snu.

Na noc rozbili obóz pod ogromnymi brzoźami, starszymi niż wspomnienia najstarszych ludzi. Księżycowy pierścień błyszczał, niesamowicie wysoki i odległy na upstrzonym liśćmi niebie, a ognisko wydawało się małe i lekkomyślne; wywabiało z lasu ciemne stworzenia czające się na skraju ciemności. Rael Mandella został na straży i utrzymywał ciemność w należyтым oddaleniu od ognia, czytając fragmenty książek, które dostał przed ucieczką od ojca.

– Weź je – powiedział wtedy. – Są dla ciebie, rób z nimi, co chcesz. Przeczytaj, spal, podetrzyj się nimi, są twoje. Oddaję ci je za wszystkie te bezużyteczne lata. Oddaję ci je z powrotem.

Wszystkie ich strony wypełniały zawile matematyczne twierdzenia napisane pięknym pismem ojca. Były to jego przekształcenia zapisków doktora Alimantanda, dzieła jego życia. Dla Raela juniora nic nie znaczyły. Schował je do plecaka i siedział, patrząc w ciemność, póki nie zmienił go Sevriano Gallacelli.

Tej nocy wygnańcom śnił się nie-sen, antysen o opróżnianiu umysłu, w którym wszystkie symbole i alegorie śpiącego mózgu wyciekały z niego, zostawiając tylko męczącą, czarną pustkę, niczym puste oczodoły.

Następnego dnia rano przemaszerowali przez świetlny pawilon podpierany dębowymi kolumnami. Przez koronę liści przebłyskiwały snopy zielonego światła, falujące i migocące jak zielona rzeczna woda, gdy gałęzie falowały na wietrze, choć do podłoża nie docierał z wysokości ani jeden szelest. Gruba, miękka warstwa liści i próchnicy pochłaniała nawet odgłos człapania uchodźców. Po południu Sevriano znalazł nadziany na drzewo rozbity śmigłowiec rozpoznawczy. Jego załoga zwisała z otwartych włazów, martwa od tak dawna, że sroki wydziobały im oczy, a na językach zdążył wyrosnąć zielony mech. Mała dziurka, prosta i cienka jak ołówek, przebijała owiewkę kabiny, pilota i główny silnik.

– Lasery – powiedział Sevriano Gallacelli.

Takie epitafium wystarczyło starej tragedii i ruszyli dalej w głąb lasu. Było to pierwsze słowo wypowiedziane tego dnia. Przez następne godziny napotykali wiele pamiątek wojny i okrucieństw – wstęgi podartego jedwabiu spadochronowego delikatnie powiewające z gałęzi wiązowego zagajnika; szkielet w mundurze polowym z wyrastającą z wyszczerzonych ust paprocią; osmolone kręgi w zdeptanym mchu polan; usadowione w rozwidleniach gałęzi trupy z dziwacznymi broniami w pogotowiu. Pod wieczór napotkali jeszcze bardziej ponure *memento mori* – na skrzyżowaniu ścieżek w ziemię wbita była rozwidlona gałąź, na którą ponadziewano ludzkie głowy z pustymi oczodołami, wargami obgryzionymi przez łasice, skórą obłazącą w strzępach i płatach.

W nocy drzewa znów podeszły blisko i znów osuszyły wygnańców ze snów.

Przez cały następny ranek szli przez zniszczony wojną krajobraz. Toczyła się tu wielka bitwa. Drzewa porozrywane na białe drzazgi, ziemia rozdarta i rozkopana w kraterzyki i okopy, ciężka od świeżych pamiątek okrucieństw. Spalony jednoosobowy latający skuter, bez śladu tej jednej osoby, oprawiona w ramkę fotografia przystojnej kobiety z napisem „Mojemu ukochanemu – Jeanelle” w lewym dolnym rogu, oczyszczony pas lasu w miejscu, gdzie rozbił się dwumiejscowy myśliwiec, żłobiąc bruzdę w błocie, teraz już zarośniętą zielskiem. Rael Mandella junior podniósł zdjęcie przystojnej kobiety i wetknął je sobie do kieszeni na piersi. Czuł, że potrzebuje przyjaciółki.

Niemniej Las Pani był silny nawet mimo takiego zniszczenia. Pędy wiciokrzewu i powojnika, zupełnie jakby chciały wyegzorcymować wrogię wspomnienia, wspinały się po wrakach machin bojowych, a wielkie paprocie osłaniały poległych zielonymi całunami. Obok martwego radiooperatora Batisto Gallacelli znalazł działające wojskowe radio. Chłopak miał najwyżej dziewięć lat. Trzej mężczyźni zjedli obiad przy akompaniamencie programu Jimmy’ego Wonga, słońce świeciło, na trawie skrzyła się późna rosa, a od wschodu przez martwe pobojuisko płynęła potężna fala spokoju.

Rael Mandella junior zostawił martwemu radiooperatorowi zdjęcie przystojnej kobiety. Wyglądał, jakby bardziej potrzebował przyjaciółki.

Wczesnym popołudniem przeszli z pobojuiska w tajemny matecznik Chryse. Tu gigantyczne sekwoje strzelały w niebo na sto, dwieście, trzysta metrów, niczym miasto łagodnych czerwonych wieżowców, z szerokimi, pokrytymi igliwiami bulwarami. Trzech podróżników, którzy powinni się cieszyć bliskością matecznika i legendarnego Drzewa

Początku Świata, tym, że są tak daleko od wojny Potęg, czuło zamiast tego przerażenie, wzmagające się z każdą minutą, z każdym krokiem. Pośród wspaniałości lasu było jak trucizna, którą gleba wchłonęła z powietrza i przekazywała wygnańcom podczas wypranych ze snów nocy. Zaczęli stąpać ostrożnie, czujnie wyteżać wzrok i słuch, nieufni jak koty. Nie potrafili powiedzieć, dlaczego. Puls przelatującego gdzieś daleko na wschodzie samolotu kazał im z wrzaskiem rzucić się w ukrycie pomiędzy szkarpowe korzenie sekwoi. Kropla za kroplą wyciekało z nich człowieczeństwo, kropla za kroplą las wypełniał ich swym duchem, swym przerażającym, zatrutym, roztrzaskanym, nieludzkim duchem. Puścili się truchtem, biegiem, nie wiedzieli, dlaczego pędzą ani dokąd, bo nie ścigał ich żaden wróg oprócz mroku w ich własnych sercach. Uciekali przed lękiem, przed przerażeniem, przedzierając się na oślep przez ciernie i kolce, strumyki i groble, biegnąc, biegnąc, biegnąc, by uwolnić się od strachu, lecz nie byli w stanie, to bowiem oni sami byli strachem.

Zapuściwszy się w gęsty pierścień ogromnych sekwoi, weszli na okrągłą polanę, pośrodku której rosnęło największe z drzew, Drzewo-Patriarcha, o głowę i ramiona wyższe od swych najwyższych dzieci. Wysoko, na wysokości chmur, gałęzie falowały na wietrze, a przez igły przebijały się oświetlające leśne poszycie snopy witrażowego światła. Trzech ludzi stało pod Drzewem Początku Świata i z niekłamanym zachwytem i radością spoglądało w górę na poruszające się gałęzie. Świętość tego miejsca poruszyła głęboko zepchniętym człowieczeństwem i uwolniła ich od lęku. Gałęzie poruszały się i udzielały im błogosławieństwa.

Pomiędzy korzeniami drzewa stała postać w bieli, z twarzą uniesioną do słońca. Obracała się powoli, ekstatycznie, oświetlona słupem światła. Wśród swego świętego obrotu dostrzegła trzech oczarowanych mężczyzn.

– O, dzień dobry – powiedziała postać w bieli, wychodząc ze światła, żeby ich przywitać, i zmieniając się z mistycznego anioła w człowieka w średnim wieku ubranego w przybrudzony złotogłów. – Co wam zajęło tyle czasu?

Nazywał się Jean-Michel Gastineau, „znany także jako Niesamowity Pan Pogarda, Zmutowany Mistrz Błyskotliwego Sarkazmu i Ciętej Riposty, a niegdyś Najbardziej Sarkastyczny Człowiek Świata” i uwielbiał gadać. Trzech wygnańców z zadowoleniem go słuchało, kiedy zajmował się smaženiem jajek i grzybów w swojej małej budce pomiędzy korzeniami.

– Kiedyś, lata temu, byłem kimś w rodzaju gwiazdy, kiedy ten świat był młodszy, brałem udział w takim obwoźnym show, wiecie, Cuda Ziemi i Nieba, Największy Pokaz na Ziemi i inne takie. Byłem tam ja (Niesamowity Pan Pogarda), Leopold Lenz, karzeł-połykacz mieczy, co przy metrze wzrostu połykał półtorametrowe miecze; Tanqueray Bob, wilkołak, paru jeszcze innych, których już nie pamiętam, takie tam, normalne rzeczy. Pokazywałem, jak mój sarkazm potrafi zabijać karaluchy i złuszczać farbę ze ścian, banały, póki któregoś dnia taki jeden poeta, wielki, wielki typ i gruby jak beka, z rudą brodą, nie przyszedł i nie powiedział, że jest Największym Satyrykiem, Jakiego Znał Świat, i ja mówię, no, synu, nic z tego, ja urodziłem się z darem sarkazmu, słyszałeś może, że ludzie się czasem rodzą z rozkazującym głosem i nikt nie może się im sprzeciwić? No, miałem rzeczywiście ten dar, sarkazmu i satyry, wiecie, jak dwuletnie dzieciaki mówią sobie rzeczy, żeby ten drugi się zaczerwienił, nie? No, to kiedy ja coś mówiłem, to robiły się u nich małe ranki. Nie wiedzieliście. Tak myślałem. W każdym razie w bardzo eleganckim hotelu, bardzo ą-ę, miał się odbyć wielki pojedynek na sarkazm... przyszło pół dzielnicy, no... i w skrócie, z czym zawsze miałem problem, trochę mnie poniosło. Troszeczkę. Jak zacząłem obrabiać tego pana poetę, na skórze pojawiły mu się wielkie rany, trysnęła krew, trzeba było wtedy przestać, naprawdę trzeba było, ale nie

mogłem, sarkazm mną kierował, mówiłem dalej i ten wielki facet, no... miał po prostu wielki zawał i umarł, padł na miejscu. I to był koniec, ale nie miałem pojęcia, że to był jakiś miejscowy bohater, wielki człowiek w więcej niż jednym sensie i, cholera, przyszli po mnie z pistoletami, z psami, z pumami tropiącymi, a ja, cholera, byłem strasznie wstrząśnięty, więc biegłem, biegłem, uciekałem, aż wylądowałem tutaj. Powiedziałem do siebie: Jean-Michel Gastineau, jesteś zbyt niebezpieczny, żeby żyć między ludźmi, jeśli ten twój język znów wymknie się spod kontroli, zginą ludzie, dlatego przysiągłem, że już nie będzie Niesamowitego Pana Pogardy, Zmutowanego Mistrza Błyskotliwego Sarkazmu i Ciętej Riposty; że dożyję końca swych dni jako samotny pustelnik, który nikomu nie robi krzywdy i unika towarzystwa innych ludzi. Bo widzicie, drzewa nie czują sarkazmu. Ich percepcja jest zbyt głęboka, by dały się ranić byle słowami. W każdym razie mnie, tak jak was, ciągnęło tu, do serca lasu, do Drzewa Początku Świata. W tamtych czasach Las Pani był życzliwym miejscem, były ptaki, kangury, motyle i w ogóle, nie to, co teraz, po tym, jak tu przyszli żołnierze – kto by pomyślał, odbywać bitwy w lesie Chryse? Na pewno nie Jean-Michel Gastineau. I wiecie co? Odkąd oni tu przyszli, miejsce zrobiło się mroczne. Dobrze wiecie, widzieliście to lepiej niż ja... ten las ma taki jakby... swój umysł, wszystkie te splecione korzenie, gałęzie i tak dalej, połączenia, łączność, tak mi mówili, każde drzewo jest jak element sieci; ten wielki wrak tam, w stronę Bellweather zabrał im masę wyższych poziomów poznawczych, teraz jakby wpadły z powrotem w głęboki sen. Ale znowu odbiegam od tematu.

Podał im omlet z grzybami i mate.

– Sam ją robię, z ziół i korzeni. Ma się po niej parę jak kozioł, naprawdę. W każdym razie... na razie jedzcie, jedzcie, a ja będę gadał... przyciągnęło mnie tu do Drzewa Początku Świata i przyszła do mnie Błogosławiona Pani... słowo honoru, Święta Katarzyna we własnej osobie, piękna była, promieniała bielą, a jej twarz... twarz, to po prostu nie wiem, piękniejsza niż u anioła... W każdym razie mówi do mnie: „Jean-Michel Gastineau, mam dla ciebie zajęcie. Opiekuj się dla mnie moim lasem, a ja ci wybaczę to, co się stało tam w mieście. Las potrzebuje kogoś, kto się nim zajmie, zaopiekuje, zatroszczy, pokocha nawet. Będziesz mieć moc wiedzy o wszystkim, co się dzieje w Chryse (stąd właśnie wiedziałem, że wy nadchodzicie; szkoda trochę tego sterowca), będziesz mieć władzę nad wszystkimi strefami Genesis, wylęgarniami; tam rodzą się anioły, spod drzewnych korzeni, a i maszyny

też... wciąż wiele ich zostało z czasów humanformacji; i rób to, dopóki nie powołam cię do wyższych celów, co pewnego dnia nastąpi. No to Jean-Michel Gastineau jest tu i Jean-Michel Gastineau nigdzie nie idzie. Dobrze się tu żyje, jeśli ktoś lubi świeże powietrze i tak dalej; w ciągu pięciu lat nie wypowiedziałem ani jednego sarkastycznego słowa. Wyobrażacie sobie? Ale dzisiaj, no, dzisiaj robi się tu trochę mrocznie. Zaraz wytłumaczę.

Kopnął w swój ogień z sekwojowych szyszek, aż iskry poleciały kominem w nadciągający mrok.

– To drzewo tutaj... – poklepał korzeń, na którym siedział – ...nazywa się *Sequoia Sempervirens*, to znaczy w starym, starym języku „wiecznie młoda” i tak właśnie z nim jest... zostało zasadzone tutaj pierwszego dnia humanformacji przez samą Świętą Katarzynę, a las wyrósł wokół niego. Jako wielkie Drzewo-Ojciec jest najstarszy i najmądrzejszy. Tak jest, mądry i bardzo daleko sięga pamięcią. Bo drzewa są żywe, świadome, one wiedzą, wiecie, czują, myślą. Mielście tutaj jakieś nie-sny? Oczywiście, że mieliście – to las się o was dowiadywał, chłonał wasze wspomnienia, by dorzucić je do wielkich pokładów pamięci Drzewa-Ojca. Ale tak samo chłonięły strach, nienawiść, to gówno, które się tu działo, i las od tego zrobił się mroczny, straszny i trochę, nawet nie trochę, niebezpieczny. Martwi mnie, że to zatruwa drzewa, nie tak, jakby polać korzenie pestycydem, nic takiego, to zatruwa ich duszę. Ja i maszyny możemy zrobić bardzo niewiele, a całe obszary lasu umierają, a młode drzewa wzrastają rachityczne i zniekształcone. To źle. I boję się tego, bo jeśli tak się będzie dalej działo, umrze dusza tego świata. Przepraszam, że tak gadam i gadam. Rzadko mam okazję. Co, kręci się wam w głowach od tego gładzenia? Za dużo filozofii? Jasne, pewnie chcielibyście się przespać, sam się kładę mniej więcej o tej porze. Nawiasem mówiąc, możecie mieć dzisiaj różne dziwne sny, nie przejmujcie się, to tylko Wielkie Drzewo nad nami będzie was badać, próbować nawiązać kontakt.

Spali tej nocy wokół koksownika z węglem drzewnym. Czerwony żar odpychał noc, a oczy zbiegów poruszały się i drgały w szybkich sennych ruchach. Rael Mandella junior śnił, że się obudził i ten sen o jawie poprowadził go z małego domku pomiędzy korzeniami w noc. Ogarnęło go poczucie świętości i długo stał z twarzą zadartą ku niebu, obracając się wkoło. Gdy zakręciło mu się od tych obrotów w głowie, tak że gwiazdy zawirowały, a pnie sekwoi wydawały się zwałać na niego jak zapalki, Rael Mandella junior opadł na ziemię i przycisnął policzek do chłodnej,

wilgotnej ziemi. Przez długą chwilę tak pozostawał, a potem przyśniło mu się, że słyszy głos nucący melodię. Podniósł głowę i zobaczył stojącą w snopie światła Santa Ekatrinę.

– Jesteś duchem? – zapytał.

A matka we śnie odpowiedziała:

– Duchem, tak, ale żyję. Są duchy żywe i duchy martwe. – Nagle z ciemności wyłonił się ojciec.

– A co ty tu w ogóle robisz? – zapytał gniewnie Limaal Mandella.

Rael Mandella junior otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nocne ptaki ukradły mu słowa.

– Odpowiedz ojcu – rozkazała Santa Ekatrina.

– Uciekasz, tak? – oskarżył go Limaal Mandella. – Nie próbuj ściemniać, synu. Ja wiem, o co chodzi. Nie potrafisz zmierzyć się z porażką, dlatego uciekasz.

Rael Mandella junior przygotował się, żeby wykrzyknąć, że on, Limaal Mandella, Największy Snookerzysta, Jakiego Znał Wszechświat, wcale się lepiej nie zachował, kiedy uciekł do Drogi Bez Znaczenia, gdy z cieni księżycowego pierścienia wyłoniły się kolejne znajome osoby, dołączając do rodziców. Były to twarze jego życia – koledzy ze Zmiany C w stalowni, dziewczyny, z którymi tańczył na sobotnich wieczorkach, koledzy ze szkoły, twarze z Belladonny – rekiny, kombinatorzy, dziwki, agenci, Glenn Miller z puzonem pod pachą; patrzyli na niego, klęczącego na miękkim brązowym igliwiu, z nieskończoną litością.

– I co ty teraz zrobisz? – pytali. – Co teraz zrobisz?

– Sam do tego doprowadziłeś – powiedział jego rodzony brat, pokryty fioletowymi siniakami. – Jesteś na tyle Mandellą, żeby to znieść?

– Byłeś za to odpowiedzialny – dodała matka.

– Nadal jesteś odpowiedzialny – dodał ojciec, przegryw, uciekinier, tchórz.

– Gdyby tylko te triki mi się nie skończyły! – rzucił Ed Gallacelli, wskrzeszony z popiołów, z językiem jarzącym się jak węgielki.

– Stop, stop, stop, stop! – wrzasnął Rael Mandella junior. – Przerwać sen! Chcę się obudzić!

I rzeczywiście obudził się i odkrył, że jest sam w świętym miejscu wśród drzew. Księżycowy pierścień migotał w zenicie, wiatr szemrał w gałęziach, a powietrze było nieruchome, słodkie i boskie. W snopie gwiazdnego blasku światło skrzepło, zgęstniało i przybrało ludzki kształt. Wysoki facet z wąsami i w długim szarym płaszczu usiadł na korzeniu obok Raela.

– Piękna noc – powiedział, szukając w licznych kieszeniach fajki. – Piękna noc. – Znalazł ją, nabił, zapalił i parę razy pyknął w zamyśleniu.

– Wiesz, musisz wracać.

– Dość snów – szepnął Rael junior. – Dość duchów.

– Snów? Mistagogowie z Xanth uważali, że byt skończył się trzeciego dnia i nasz świat jest tylko snem z drugiej nocy – powiedział szary nieznajomy. – Duchów? Pff. My jesteśmy najbardziej materialnymi istotami nocy, fundamentami teraźniejszości. Jesteśmy wspomnieniami. –

Fajka rozjarzyła noc jak czerwony robaczek świętojański. – Mnemologami. To z nas składa się życie, ale tylko tutaj, w tym jednym miejscu, mamy ciało i materię. Jesteśmy snami drzew. Wiesz, co to za drzewo? Pewnie, że wiesz – Drzewo Początku Świata. Ale to jest także Drzewo Końca Świata, bo każdy początek musi mieć swój koniec. Raelu, masz niedokończone sprawy w swoim mieście i póki nie dokończysz tego, co zacząłeś, wspomnienia nie dadzą ci spokoju.

– Kim ty jesteś?

– Znasz mnie, choć nigdy mnie nie spotkałeś. Twój ojciec mnie znał, kiedy był mały, także twój dziadek, a i ty niosłeś mnie na grzbiecie przez te dni. Jestem najstarszym wspomnieniem Drogi Bez Znaczenia. Jestem doktor Alimantando.

– Ale podobno ty podróżujesz w czasie, w pogoni za jakąś legendarną istotą.

– Tak jest, ale wspomnienie pozostaje. Posłuchaj, niechętnie to mówię jako człowiek nauki, ale muszę: masz w sobie magię. Jeśli tutejsza ziemia jest na tyle silna, by ucieleścić twoje wspomnienia i lęki, to może i ty sam jesteś na tyle silny, żeby ucieleścić swoje nadzieje i pragnienia? A skoro tak, to może ta siła jest w tobie, tak jak ja, a nie przywiązana do jakiegoś miejsca, choćby nie wiem jak szczególnego? Pomyśl o tym. –

Doktor Alimantando wstał i wetknął fajkę do ust. – Piękna noc – powiedział. – Piękna, piękna noc. No dobrze. Do zobaczenia, Raelu. Miło było cię poznać. Jesteś Mandellą w każdym calu. Poradzisz sobie. – Po czym splótł ręce i odszedł w gwiazdne cienie.

Raela juniora obudził dźwięk radia Jean-Michela Gastineau. I tak jak ono był źle nastrojony, gdzieś pomiędzy programem o końcu wszechświata a porannym programem z muzyką pop. Światło przeświecało przez niedopasowane deski ściany. Pachniały i skwierczały smażące się na palenisku jajka.

– Dzień dobry, dzień dobry, dzień dobry – powiedział Jean-Michel Gastineau. – Wstawajcie, i to zaraz, przed nami dzisiaj długa droga, a nie

możecie przecież iść bez porządnego śniadania.

Rael junior przetarł oczy, nie rozumiejąc.

– Y?

– Idziemy. Dzisiaj. Dostałem wezwanie. W nocy. Kiedy ciebie zaprzętał twój mnemolog, ja miałem swój, a w nim Świętą Panią, czy raczej jej wspomnienie; w każdym razie powiedziała mi, że to już czas, że mam iść z wami. Podobno potrzebujecie moich specjalnych zdolności. Może w ogóle dlatego tutaj trafiliście. Tu wszystko ma ukryte połączenia.

– A czy nie...

– A czy nie jestem zły, że muszę to wszystko zostawić? No... tylko trochę. To chwilowe, jak tylko wypełnię Świętą Wolę, zaraz tu wrócę. Zresztą ona powiedziała, że jak nie pójdę, to nie będzie już lasu do pilnowania. Punkt Zwrotny Wydarzeń, jak to mówią; masa przyszłości zależy od paru osób, a w tym przyszłość lasu Chryse.

– Ale...

– Ale kto się będzie opiekował lasem, kiedy ja pójdę go ratować? Nie powinienem wam tego mówić, ale już się buduje cały nowy chór aniołów, w wylęgarniach dokładnie pod waszymi stopami: Model 6, Amschastriowie, zaprojektowani specjalnie do opieki nad środowiskiem. Przez jakiś czas las da sobie radę beze mnie. No dobra, ruszajcie się. Wstawać, myć się, jeść śniadanie! Do leśnego muru jest kawał drogi, a ja muszę się spakować i pożegnać z kurami. Co macie takie zdziwione miny? Myśleliście, że skąd się te jajka biorą? Z powietrza?

Jeden z Patroli Jaguar Arnie Tenebrae schwytał czterech ludzi w samym środku 6. Strefy Pasywnej Obrony. Stały rozkaz kazał natychmiast wszystkich ujętych likwidować, podporucznika Sergia Estramadurę zaintrygowała jednak ich zdolność do przejścia bez szwanku przez dziesięć kilometrów min, wilczych dołów, drutów-pułapek i unurzanych w gównie szpikulców pungii. Nie bacząc na powietrzne patrole Parlamentariuszy, naruszył ciszę radiową, żeby zadać pytanie dowódcy.

– A co to za jedni? – zapytała Arnie Tenebrae.

– Czterech mężczyzn. Jeden z nich to ten Leśny Dziad, ten sarkastyczny typ, reszta wygląda normalnie. Nie mają dokumentów, ale mają trochę sprzętu z Korporacji.

– Interesujące. Gastineau nigdy oficjalnie nie stawał po żadnej stronie. To on ich musiał przeprowadzić przez zabezpieczenia. Chętnie ich zobaczę.

Patrzyła, jak jej partyzanci wprowadzają jeńców. Żołnierze związali ich, zawiązali im oczy i prowadzili ich na smyczach. Trzech potykało się na nierównej ziemi w dolinie; czwarty szedł wyprostowany, wysoki, prowadził, a nie był prowadzony, zupełnie jakby widział innymi zmysłami niż wzrok. To musi być Gastineau. Choć spotkała go do tej pory tylko dwa razy, facet był legendą wśród weteranów kampanii Chryse, tak ze strony Armii Całej Ziemi, jak i Parlamentariuszy.

Jaki byłby z niego partyzant. Jest jak część lasu, ma iście zwierzęcą świadomość. Popatrzyła na swoich partyzantów, niezdarnych chłopaczków w kameleonowych kombinezonach, z ciężkimi wojskowymi plecakami, o twarzach pokrytych zawijasami tatuaży lub pomalowanych we wzory tygrysie, owadzie i demoniczne, plamiaste, pasiaste, zawijaste.

Głupole, co bawią się w głupie gry. Wyrzutki, wygnańcy, wymoczki, wysłodki, babochłopy, schizole, homoseksualiści i mitomani. Aktorzy w teatrze wojny. Dajcie jej tysiąc takich ludzi jak Gastineau, a zetrze Quinsanę na pył.

Twarze dwóch jeńców wyglądały znajomo. Próbowwała umiejscowić ich w pamięci, gdy podporucznik Estramadura odbierał im plecaki, ubrania i godność, a potem przywiązywał do bambusowej klatki. Jego meldunek to była farsa. Czy on nie ma oczu, nie ma uszu? Informacja sprowadzała się do „no i nagle się pojawili”. W leśnych walkach człowiek, który nie ma oczu i uszu, długo nie przetrwa. Przeszukała ubrania jeńców. Znoszona biel Gastineau nie kryła niczego, pozostałe to były stroje Firmy, solidne, mocne, porządne. W kieszeniach nie było niczego poza chusteczkami, farfocłami i małą kulką sreberka.

Zanim przeszukała plecaki, zapytała podporucznika Estramadurę:

– Nazwiska?

– Oj. Zapomniałem zapytać.

– To idź i zapytaj.

Popędził na dół do więziennych klatek, z twarzą czerwoną i upokorzoną pod jaskrawymi niebieskimi i żółtymi tygrysimi pasami.

Długo nie pożyje. Nie ma za grosz inteligencji.

Wrócił minutę później.

– Pani generał, nazywają się...

– Mandella. – Wskazała oprawną w skórę książkę na ziemi. – Najmłodszy to syn Limaala Mandelli.

– Rael junior, pani generał.

– No.

– Dwaj pozostali to...

– Gallacelli. Sevriano i Batisto. Wiedziałam, że ich twarze wyglądają znajomo. Kiedy ich ostatni raz widziałam, mieli po dwa lata.

– Pani...

– Chcę z nimi porozmawiać. Każ ich tu przyprowadzić. I oddaj im ubrania. Nadzy faceci są żałośni.

Kiedy podporucznik Estramadura poszedł, Arnie Tenebrae pogładziła się po krótkich, delikatnych jak futro włosach; głasku-głasku-głasku, maniakalne, kompulsywne głaskanie. Mandella. Gallacelli. Quinsana. Ukryty za okładką książki Alimantando. Czy to boże przeznaczenie mówiło, że ma się nigdy od nich nie uwolnić? Czy całe miasto Droga Bez Znaczenia żeglowało wokół świata jak chmara prześladowców chcących ściągnąć ją z powrotem w stagnację i ogłupienie? Jaką to zbrodnię

popęłniła, że przeszłość pokolenie za pokoleniem chce wymierzać jej karę? Czy to taka straszna rzecz, chcieć widzieć własne imię wypisane na niebie? Igrała z pomysłem, by ich szybko, cicho i anonimowo zabić. Odrzuciła tę myśl. To byłoby niemożliwe. To spotkanie było Zapisane w Kosmosie. To się już zdarzało, dzieje się teraz i zdarzy się jeszcze. Przypatrywała się im, gdy klękali po drugiej stronie ogniska, mrugając i krzywiąc się w zadymionym baraku. Czyli to jest syn jej bratanka. Patrzyła, jak zerkają przez dym w jej stronę, była jednak niewidzialna, oświetlona od tyłu przeświecającym przez bambus silnym słońcem. Jean-Michel Gastineau otworzył usta, żeby coś powiedzieć.

– Pokój ci, o szanowny. Ciebie znam aż za dobrze. Znam też nazwisko Mandella i nazwisko Gallacelli.

– A ty kim jesteś? – zapytał Rael junior. Odważny był. To dobrze.

– Znasz mnie. Jestem demonem, który zjada małe dzieci, strachem, który zagania dzieci do łóżek, jestem złem wcielonym, na to wygląda. Jestem Arnie Tenebrae. I jestem twoją cioteczną babką, Raelu juniorze. –

A ponieważ miała ochotę, opowiedziała jeszcze historię o skradzionych dzieciach, opowieść, którą usłyszała od swojego ojca-ducha i która doprowadziła ją dokładnie w to miejsce i czas. Pełna przerażenia mina krewnego wielce ją ucieszyła. – Ale co się tak przeraziłeś, Raelu? Z tego, co słyszałam, jesteś równie wielkim zbrodniarzem jak ja.

– Nieprawda. Ja tylko walczę o sprawiedliwość dla uciśnionych przeciwko autorytarnemu reżimowi Bethlehem Ares Steel.

– Bądź tak dobry i daruj sobie te związkowe slogany. Ja to wszystko rozumiem. Przerabiałam to dawno przed tobą. Możecie odejść.

Gdy podporucznik Estramadura wrócił, zamknawszy więźniów z powrotem w klatce, Arnie Tenebrae znowu myślała ręce i gapiała się na nie z ogromną fascynacją.

– Zastrzelić ich, pani generał? Tak przeważnie postępujemy.

– To prawda, przeważnie. Nie. Oddaj im plecaki, nienaruszone i odprowadź ich na północ do muru, koło Nowego Hallsbeck. Mogą sobie iść wolno. Tu są aktywne moce większe niż zwykły sposób postępowania.

Podporucznik Estramadura się nie poruszył.

– Wykonać.

Wyobraziała go sobie rozebranego i rozpostartego między dwoma drzewami, pozostawionego na pastwę słońca, deszczu i głodu. Kiedy wróci, pomyślała. Naprawdę jest zbyt głupi, żeby pozwolić mu żyć. Patrzyła na Patrol Jaguar eskortujący uciekinierów z doliny w las. Nad

Wzgórzami Tetydy na wschodzie zabzyczał samolot rozpoznawczy Parlamentariuszy. Personel od maskowania zaczął uwijać się z burzą siatek, gałęzi i plandek.

– Ładne, ładne samolociki, Quinsana. Dawaj je tutaj, spuść na mnie ogień z nieba, zawołaj kruszącą światy kosmiczną broń ROTECH-u, spuść mi niebo na głowę, zawołaj samego Panarchę, żeby mnie anihilował, a ja i tak cię przelicytuję. Mam klucz do Broni Ostatecznej!

Cieszyła ją ta melodramatyczność. Przypomniała sobie oprawne w skórę notatniki Raela Mandelli juniora. I ściany domu doktora Alimantanda, całe pokryte zawiłymi chronodynamicznymi wzorami. Szkoda, że wtedy nie zwróciła na nie większej uwagi. Uśmiechnęła się.

– Mogę mieć władzę nad czasem.

Przywołała do siebie sztab generalny. Kucnęli w półkolu na klepisku w jej baraku.

– Przygotować wszystkie dywizje i sekcje do wymarszu.

– Ależ, pani generał, umocnienia, obrona, przygotowania do rozstrzygającej bitwy...

Długo i groźnie patrzyła na młodszego majora Jonathona Bi. O wiele za dużo mówi. Powinien się nauczyć wartości ciszy.

– Po prostu rozstrzygająca bitwa będzie się musiała odbyć gdzie indziej.

Odkąd Johnny Stalin zastąpił cały swój bezpośredni personel robotami, wskaźniki wydajności się potroiły. Działo to tak świetnie, że po południu często udawał się na długie sesje do swojego prywatnego saloniku masażu, pod palce Tai Manzanery, gdzie medytował nad wspaniałością swojego planu. Roboty bowiem nigdy się nie męczą, nigdy nie śpią, nie konsumują i nie wydalają, nigdy nie trzeba im płacić. Wynagrodzenia za ich niestrudzoną pracę szły na utrzymanie ich białkowych oryginałów, wypoczywających na wiecznych wakacjach w biegunowych kurortach narciarskich, na wyspiarskich rajach morza Tysus, czy w jaskiniach występku w Belladonna i Gumowym Pasażu w Kershaw. I tak będzie, póki ktoś jego planu nie odkryje.

– Wspaniałe – mówił do siebie Johnny Stalin, patrząc z panoramicznego okna na 526 piętrze na zdeformowane krajobrazy wokół Kershaw.

Wspominał przerażenie, jakie ta zatruta ziemia wzbudziła w ośmio-trzy-czwarte-latku, który przyjechał pod wielką kostkę. Teraz uwielbiał olejowe gejzery i chemiczne stawy. Swe liczne ukochane brał na spacer nad Zatokę Sepia i przez aparat oddechowy szeptał czułe słówka do chętnych uszu. Zysk, Imperium, Przedsiębiorczość. Co przy tym znaczy jedno martwe jezioro, parę zatrutych rzek, parę zmienionych w żużel wzgórz? Priorytety i tyle. Priorytety i Postęp.

Pukanie do drzwi.

– Wejść.

Ukłon i obok niego znalazł się Carter Housemann, czy raczej jego robotyczny sobowtór.

– Pocztówki z Porcelanowej Góry, stacji St. Maud i Świata Dżungli Nowa Brazylia, jak zwykle podziękowania i pochwały. – Ostatnich trzech zastąpionych wyglądało na zadowolonych. A kiedy kwota na ich kontach będzie się powiększać co miesiąc, będą jeszcze bardziej zadowoleni. – I mam jeszcze ostatnie raporty z projektu Droga Bez Znaczenia.

Szampański humor opuścił Johnny'ego Stalina.

– Mów od najgorszego.

Przewrócił się na plecy, żeby Tai Manzanera mogła pougniatać mu brzuch. Dzięki Bogu jeszcze twardy. Na wyższych szczeblach menedżerskich nie można okazać najmniejszej słabości.

– Są wiadomości dobre i złe. Produkcja wróciła do normalnego poziomu, opór wobec zasad feudalno-przemysłowych został w zasadzie wyeliminowany. Pojawia się sporadyczny problem z handlem czarnorynkowym w korporacyjnych kantynach, jest brak poparcia ludności miasta, ale Organizacja Konkordat została praktycznie rozproszona po zniszczeniu jej czołowych przywódców.

– Możesz sobie odpuścić ten korporacyjny język. Skoro to jest dobra wiadomość, to jaka jest zła? – Po przeszczepach wrzody były do wytrzymania, choć trzy nowe żołądki i trzy jelita cienkie w trzy lata kosztowały więcej, niż był wart cały projekt Droga Bez Znaczenia.

– Mamy informacje, że Rael Mandella junior planuje wrócić do Drogi Bez Znaczenia, żeby pomścić śmierć dziadka. Wiemy też, że był w kontakcie z Grupą Taktyczną Armii Całej Ziemi w Południowym Chryse.

– Święte dziecko. Tutaj, skarbie, uda... Co za rodzina. Ale starego szkoda. Dobrze go znałem, kiedy byłem mały. Nie trzeba było tego robić.

– W dowództwie ochrony był pewien rewanżystyczny element. Ale jest takie przysłowie o omlecie i jajkach, sir. Mam także informację, że Taasmin Mandella planuje marsz protestacyjny, zbiegający się z pana wizytą w fabryce w przyszłym miesiącu. Słyszałem, że dzieciom całego świata ukazuje się w wizjach sama Błogosławiona Pani: dwa przypadki zaraportowano i tutaj, w Kershaw. Dzieci zabrały się na gapę sterowcami transportowymi.

– Szlag. Rekomendacje?

– Rekomenduję odwołać wizytę w projekcie Droga Bez Znaczenia w planowanym terminie.

– Zgadzam się. Niestety mam do towarzystwa trzech członków zarządu. Chcą sprawdzić, czy dobrze się sprawiłem, tłumiąc sprzeciw, a ich kalendarze są dość zapchane.

Czasami roboty-zastępcy były tak ludzkie, że to aż niepokoiło. Kiedy sobowtór przestąpił z nogi na nogę, żeby zasugerować, że chce coś doradzić, Johnny aż wzdrygnął się, tak bardzo to przypominało Cartera.

– A mogę zapytać, tak swoją drogą, jakie jest pana ulubione hobby?

Johnny Stalin na moment wystraszył się, że w jego robotach-sobowtórach nastąpiła masowa awaria.

– Łowienie tilapii w Calumie w górach Sinn. A czemu pytasz?

– Bo być może wolałby pan spędzać więcej czasu na tym przyjemnym zajęciu, a mniej na nudnych przyziemnych sprawach projektu Droga Bez Znaczenia.

A więc tak do tego doszło. Od dawna spodziewał się, że któregoś dnia roboty zapytają go, czy nie chciałby się udać na dłuższe wakacje, a w swoich butach i za swoim biurkiem zainstalować maszynę-sobowtóra.

– Od jak dawna pracowałeś nad dublerem? – Położył się na wznak i popatrzył w sufit. Dziwne, ale nie bał się tak, jak oczekiwał. Zupełnie nie przypominało to śmierci.

– Dubler jest gotowy prawie od osiemnastu miesięcy.

– Ale aż do dzisiaj nie miałeś okazji zapytać.

– Dokładnie, sir.

Oczywiście wyobraźni Johnny Stalin widział już żyłki z muchą nurkujące do spienionej, burzliwej rzeki Caluma. Pociągający pomysł, lśniący, śliski i bystry jak tilapia z Calumy.

– Chyba przy takiej ilości dowodów przeciwko mnie, nie mam specjalnie wyboru.

Robot realistycznie odegrał oburzenie.

– W żadnym razie, sir! To jest w pana najlepszym interesie.

Liście nad wodospadami na Calumie na pewno już barwią się na brąz i bursztyn. Na szczytach leży śnieg, a w domku myśliwskim czekają chłodne noce i ciepły kominek.

– No cóż, Tai, skarbie, niestety chyba straciłaś właśnie pracę. Robot ma niewielkie potrzeby w zakresie masażu. – Zlustrował Tai Manzanerę od stóp do głów. Naprawdę dobra dziewczyna. – W sumie, po tej rozmowie, nie za bardzo mogę cię też tu zostawić. Nie chciałabyś pojechać ze mną? W Sinnach o tej porze roku świetnie biorą ryby.

Dowiedziawszy się o śmierci ojca, Taasmin Mandella złożyła sama przed sobą ślub milczenia. W ostatnich słowach przed zapieczeniem ust niewygodną metalową maską zmaistrowaną przez Ubożątka obiecała, że przemówi ponownie dopiero, kiedy zbrodniarzy, którzy popełnili te czyny, spotka sprawiedliwość. Sprawiedliwość, dodała, nie zemsta.

Tej samej nocy ruszyła wzdłuż wzgórz, z dala od buchającej piekielnym żarem paszczy Stalogrodu, idąc wytyczoną przez siebie wiele lat temu ścieżką umartwienia. Ponownie odnalazła maleńką grootę z sączącą się wodą. Leżały tam zmumifikowane fasola i marchew. Uśmiechnęła się na ten widok pod maską. Stała u wejścia do groty i obejrzała się na Wielką Pustynię, pobliznioną i trędotą pod ręką człowieka przemysłu. Odrzuciła głowę i uwolniła całą swą moc w energetycznym psalmie.

Tysiąc dzieci śpiących w tysiącu łóżek w tysiącu domów śniło ten sam sen. Śniły im się paskudne metalowe owady opadające na pustynną równinę i budujące tam gniazdo pełne dzwoniącego metalu i wysokich, kopcących kominów. Białe robotnice podawały im wydarte ze skóry pustyni kęsy czerwonej ziemi. Po czym w niebie otworzyła się dziura i wyszła z niej Święta Katarzyna z Tharsis, ubrana w wielobarwny trykot baletowy. Uniosła ręce, pokazując sączący się z ran olej, i powiedziała:

– Ratujcie mój lud, mieszkańców Drogi Bez Znaczenia.

Wtedy stalowe owady, które tymczasem wzniosły ze swych połączonych metalowych ciał chwiejną piramidę, dosięgnęły jej swymi chwytakami i wciągnęły, wrzeszczącą i sapiącą, w metalowe młyny swych żuwaczek.

* * *

Kaan Mandella nazywał je Straconym Pokoleniem.

– Pełno tych dzieciaków w mieście – tłumaczył z za baru swoim klientom. Od napędzanej krzywdą ucieczki Persis Tatterdemalion w kierunku zachodzącego słońca, własność Baru/Hotelu przeszła na niego i Rajandrę Dasa. – Potykasz się o nich w drodze do sklepu, nie da się ruszyć na dworcu, bo śpią na peronach. Ja wam mówię, ja nie mam pojęcia, co ta moja ciotka myśli, że osiągnie. Czy taka dziecięca kruczata zaimponuje... No wiecie? – W Barze/Hotelu nie wolno było wypowiadać nazwy Korporacji Bethlehem Ares, mimo że kiedyś wziął od niej nazwę. – Stracone pokolenie i tyle. Straszne, patrzy się na te dzieciaki i – puf! – nic tam nie ma. Puste oczy.

Puste oczy tak samo niepokoiły Cadillaca Natchnionego. Wyczerpał cały swój arsenał ostrzeżeń, dobrych rad, upomnień i zawołowanych grózb. Zostało tylko nabożne zadziwienie kapryśnymi uczynkami Szarej Pani. Nie rozumiał, dlaczego Boska Energia postanowiła objawić się w tak słabym i pełnym wad naczyniu.

PIELGRZYMI, 12:12, 12 GRUDNIOPADA – obwieszczała Taasmin Mandella na wypisanym kredkami afiszu na ścianie bazyliki. DUCH–STWO, UBOŻ., PIELG., OBYW. MARSZ NA ST-GRÓD NIECH KORPO BA SŁUCHA. THSMN PRZEMÓWI.

Pielgrzymi? Stalowa maska ewidentnie zaślepiła statystyczne zmysły Szarej Pani równie dokładnie jak usta. Od zarania Konkordatu strumień pielgrzymów malał, aż ograniczył się do fanatyków, których można było policzyć na palcach jednej ręki. Bóg i polityka to jak olej i woda. Nic dobrego z tego nie przyjdzie, powtarzał sobie Cadillac Natchniony.

Tuż przed porą sjesty do pana Jericha przyszła pani Arbotinski z poczty z listem z Halloway. Pan Jericho w życiu nie dostał żadnego listu. Nikt nie wiedział, gdzie był, więc nie mógł mu nic wysłać, a ci, co byli zainteresowani, gdyby się dowiedzieli, wysłaliby zamachowców, a nie listy. Dowiedział się z niego, że Rael, Sevriano i Batisto oraz ich kuzyn Jean-Michel przyjeżdżają następnego dnia Ekspresem Ares o 14:14. Pan Jericho uwielbiał intrygę i incognito, więc kiedy nadszedł ten czas, doprowadził się do porządku, kupił sobie lunch w jednej z franszysowych budek Mandelli i Dasa na peronie, a kiedy Ekspres Ares *Katarzyna z Tharsis* wjechał o 14:14, buchając kłębami pary, ciepło przywitał czterech brodatych i bokobrodatych dżentelmenów, biorąc ich po kolei w serdeczne objęcia. W domu brody i baki poleciały do toalety. Bracia Gallacelli poszli na grób ojca, a od swoich dwóch hipotetycznych ojców

dowiedzieli się o ucieczce matki. To bardzo ich zmartwiło. Pan Jericho spędził przyjemny i stymulujący wieczór w towarzystwie Niesamowitego Pana Pogardy, Zmutowanego Mistrza Błyskotliwego Sarkazmu i Ciężkiej Riposty, a Rael junior wrócił do rodzinnej rezydencji Mandellów.

– O, Rael, wróciłeś – powiedziała zadziwiająco niezdziwiona Santa Ekatrina. – Wiedzieliśmy, że będziesz. Ojciec chce się z tobą zobaczyć. Jest w domu doktora Alimantanda.

Limaal Mandella przywitał syna w czterostronnej panoramie pokoju meteo.

– Wiesz, że twój dziadek nie żyje.

– Nie!

– Firma zrobiła najazd na dom, widziałeś pewnie jeszcze szkody. Rael zginął, próbując bronić swojej własności.

– Nie.

– Grób, jeśli chcesz go odwiedzić, jest na miejskim cmentarzu. Poza tym pewnie powinieneś zająć się też do babci. Dalej uważa, że to ty jesteś odpowiedzialny za śmierć jej męża. – Limaal Mandella wyszedł, by syn mógł w spokoju przeżyć żałobę, lecz zanim zamknął drzwi, dorzucił jeszcze: – A swoją drogą to i twoja ciotka chce się z tobą zobaczyć.

– Skąd ona wie, że przyjechałem?

– Ona wie wszystko.

Pod okapami dachów pojawiły się nowe afisze: PIELGRZYMKA ŁASKI, 12 GRUDNIOPADA, 12:12. PRZEMÓWIENIE WYGŁOSI RAEŁ MANDELLA JUNIOR.

Mikal Margolis miał dylemat. Pielgrzymka Łaski zbiegała się z wizytą Johnny'ego Stalina i trzech członków zarządu. Gdyby nie obecność Raela Mandelli juniora, przymknąłby oko na ten marsz, był bezskuteczny – zbierze wielkie tłumy, jasne, ale nic nie wskóra. Nie chciał też ryzykować kolejnego wypadu do Drogi Bez Znaczenia w celu aresztowania mącieli – Dominic Frontera uzyskał w sądzie okręgowym sądowy zakaz wstępu dla bojówek Firmy, z obietnicą wojskowego wsparcia w przypadku jego otwartego naruszenia. Może dobrym pomysłem byłaby tajna operacja, lecz zważywszy, ile zleciało się do miasta medialnych jastrzębi, ściągniętych przez Ubożątka, które zaczęły występować wszędzie, aż strach było otworzyć lodówkę, najdrobniejszy incydent doprowadziłby do takiej katastrofy wizerunkowej, że dział PR zionąłby ogniem. A i tak już niezłe zarysował korporacyjny chrom swoją taktyką ciężkiej ręki w walce z Konkordatem. Święte Dziecko, co oni chcą mieć? Firmę czy zlepek skłóconych związków zawodowych? Dylematy, dylematy, dylematy. Czasami żałował, że tego zwoju raportów

geologicznych nie cisnął do szybu wentylacyjnego i nie pozostał Freelancerem. Jako dyrektor ds. bezpieczeństwa projektu Droga Bez Znaczenia spełnił wszystkie swoje młodzieńcze ambicje, ale od grawitacji się nie uwolnił. Patrzył na siebie w lustrze i widział, że czarny ze złotym tak naprawdę mu nie pasują.

Dwunastego grudniopada o dwunastej dwanaście była idealna pogoda na pielgrzymkę. I tak być powinno – Taasmin Mandella przez cały miesiąc delikatnie majstrowała przy orbitalnych stacjach sterowania pogodą, by ani jedna kropla deszczu nie zepsuła Pielgrzymki Łaski. Przed Bazyliką Szarej Pani zebrał się wielki tłum. Pośród żaru sjęsty tysięcy dzieci, odzianych w dziewiczą biel, denerwowało się, narzekało, rzygało i mdlało, jak każda zbieranina czekających w skwarze grzeszników. W umówionej chwili na dzwonicach zadźwięczały gongi i brzęknęły talerze, a wielkie spiżowe odrzwia bazyliki otworzyły się, napędzane dawno nieużywanym mechanizmem, i wyszła z nich Taasmin Mandella, Szara Pani Milczenia. Nie kroczyła z godnością. Stawiała kroki jak kobieta, która za swą maską maszyny wiedziała, że jej czas się kończy. W pełnej szacunku odległości za nią szedł Rael Mandella junior; jej brat, a jego ojciec, Limaal, Mavda Arondello i Harper Tew – dwóch ocalałych członków komitetu strajkowego, Sevriano i Batisto Gallacelli oraz Jean-Michel Gastineau w stroju Niesamowitego Pana Pogardy, Zmutowanego Mistrza Błyskotliwego Sarkazmu i Ciętej Riposty. Aureola wokół lewego przegubu Taasmin Mandelli płonęła tak głębokim błękitem, że wydawała się prawie czarna.

Wokół niej uformowała się pielgrzymka: Dzieci Łaski, Dzieci Niepokalane Po Częściach (i Ubogie), najrozmaitsze sodalicje ze Stalogrodu niosące wota, ikony, relikwie i święte figurki, wśród których był i Niebiański Patron Konkordatu, czyli Jasne Pacholę z Czernowy. Za wiernymi szli rzemieślnicy oraz przedstawiciele wszystkich branż i zawodów Stalogrodu, pod sztandarami, które leżały schowane w piwnicach i na strychach, odkąd Firma zmiażdżyła Konkordat, i – tak – nawet parę bezczelnych flag Konkordatu, małych, ale nie do pomylenia, z jaskrawym zielonym kręgiem życia. Za robotnikami szła ludność, żony, mężowie, dzieci i rodzice robotników, a wśród nich także mniej liczna ludność Drogi Bez Znaczenia, jej rolnicy, prawnicy, sklepikarze, mechanicy, dziwki i policjanci. A po nich gundowie, żule, menele, nicponie i kombinatorzy, a za nimi jeszcze reporterzy z gazet, radia, kina i telewizji, ze swymi kamerzystami, dźwiękowcami, fotografami i apoplektycznymi reżyserami.

Pochód ruszył, z Taasmin Mandellą na czele. Gdy mijał rezydencję Mandellów, hymny i psalmy z szacunku ucichły. Bramy Stalogrodu były zamknięte przed Pielgrzymką Łaski. Taasmin Mandella użyła nieznacznego ułamka bożej mocy. Kłódki eksplodowały i bramy odchyliły się na zawiasach. Wycofujący się strażnicy celowali z UBS-ek raczej ze strachem niż złością i rzucili je, krzyżąc z bólu, gdy na rozkaz Szarej Pani rozżarzyły się do czerwoności. Tłum zaczął krzyczeć i wiwatować. Pochód, pchając ochronę Bethlehem Ares przed sobą, napierał ku Placowi Korporacji.

Na balkonie przeszklonego korporacyjnego biurowca roboci sobowtór Johnny'ego Stalina i trzech członkowie zarządu patrzyli na to z coraz większym zdumieniem.

– Co to wszystko ma znaczyć? – zapytał Gruby Członek.

– Zdawało mi się, że te niepożądane zakłócenia się zakończyły – powiedział Chudy Członek.

– Właśnie, jeśli ten idiotyczny Konkordat został zgnieciony, jak nas przekonywałeś, to co tu robią te zielone flagi? – dodał Średniومیęśniony Członek.

– To bardzo niepolityczne, że taki marsz odbywa się na terenie projektu – odparł dubler Menedżera/Dyrektora Projektów i Rozwoju na Ćwiartkę Północno-Zachodnią. – Ale jeszcze bardziej kompromitujące byłoby podjęcie działania przeciwko nim w obecności ekip filmowych i telewizyjnych ze wszystkich dziewięciu kontynentów. Proszę, panowie, abyśmy po prostu przełknęli to upokorzenie w milczeniu.

– Hym-hym-hmm – powiedział Gruby Członek.

– To tak być nie powinno – dodał Chudy Członek.

– To bardzo nieekonomiczne – stwierdził Średniومیęśniony Członek.

– Mikal Margolis wszystkiego dopilnuje – powiedział Robot Stalin. – Konkordat nie powstanie z martwych.

Zaczęły się przemowy.

Najpierw Sevriano i Batisto Gallacelli powiedzieli o zamordowaniu ojca przez lasery Korporacji Bethlehem Ares. Potem Limaal Mandella powiedział o zamordowaniu ojca przez kule Korporacji Bethlehem Ares. Taasmin Mandella kiwnęła na Raela Mandellę juniora, żeby i on wystąpił i zabrał głos. Popatrzył na morze twarzy i poczuł wielkie znużenie. Dość już się w życiu napatrzył na podwyższenia, podesty i mównice. Westchnął i wystąpił naprzód, żeby wszyscy go zobaczyli.

Mikal Margolis, wysoko na galeryjce nad konwertorem numer 5, skorzystał z tego kroku naprzód, by zogniskować swój celownik.

Jedna kula. Tylko tyle trzeba. Jeden pocisk, powleczony i wyciszony przez Bethlehem Ares Steel. I już nie będzie więcej dylematów.

Limaal Mandella patrzył, jak syn występuje naprzód i grzeje się w uwielbieniu tłumu. Udali mu się synowie. Byli dokładnie tacy, o jakich wnukach marzyłby jego ojciec. Nagle zobaczył błysk światła w rurach wiszących wokół Placu Korporacji. Zbyt długo mieszkał w najbardziej podstępnym mieście na świecie, żeby nie wiedzieć, co to takiego.

Rzucił się na syna i powalił go, a jego wyostrzony w salach bilardowych słuch wyłapał strzał, czysty i wyraźny, jak trąba Archangielska ponad głosem mas. Coś wielkiego i czarnego eksplodowało mu z pleców, coś, o czym nie miał pojęcia, że się tam skrywało. Poczłł zdziwienie, złość, ból, a w ustach smak miedziaków i powiedział: „Rany boskie, dostałem”. Stwierdził to takim beznamiętnym tonem, że wciąż sam się sobie dziwił, gdy zza jego ramienia wyłoniła się ciemność i zabrała go ze sobą.

Tłum falował i krzyczał. Dwa tysiące palców wskazujących pokazywało miejsce, gdzie winny zbiegał po drabinkach prosto w serce przemysłowego labiryntu. Rael Mandella junior pochylał się nad ciałem ojca; Taasmin Mandella była zdruzgotana śmiercią brata bliźniaka. W ostatniej chwili jego życia mistyczna więź między Limaalem i jego siostrą wznowiła się – Taasmin poczuła smak krwi w ustach, ból, strach i pochłaniającą go ciemność. Choć nadal żyła, umarła razem ze swoim bratem.

Po czym Szara Pani stanęła przed ludźmi i zdjęła maskę. Zobaczyli ciemną i straszną twarz, taką, że krzyknęli w przestraszu.

– To jest sprawa między moją rodziną a Mikalem Margolisem! – krzyknęła, zrywając śluby milczenia.

Uniosła świętą lewą dłoń i nad Placem Korporacji przetoczył się grzmot. Na jej wezwanie w powietrze uniosły się wszystkie luźne części i urządzenia w całym Stalogrodzie – rury, palniki spawalnicze, grabie, radia, elektryczne trójkołowce, pompy, woltomierze, nawet Jasne Pacholę z Czernowy opuściło swoją tyczkę i uniosło się na rozkaz. Cały ten złom utworzył nad placem wirujący rój. Skomasował się, skompresował i przerażone masy ujrzały, że metal płynie i stapia się w dwa stalowe anioły, zacięte i mściwe. Jeden miał płaty nośne i silniki odrzutowe, drugi dwa wirniki z łopatami.

– Znaleźć go! – rozkazała Taasmin Mandella i anioły poleciały z wyciem w stalowe kaniony Stalogrodu, by wykonać rozkaz.

Aureola Taasmin rozbłysła ponownie i obserwującym wydało się, że jej niewygodna suknia roztopia się i zmienia kształt, otulając ciasno chude ciało, a kiedy zeskoczyła ze sceny, by samej także puścić się w pogoń, jej maska przeskoczyła do ręki i zmieniła się w potężną broń.

Na Placu Korporacji zapanowało pandemonium. Pozbawiona przywódców demonstracja kłębiła się i panikowała. Pielgrzymka Łaski zmieniła się w motłoch, pokonana własną wściekłością i przerażeniem. Na dachach i galerijkach pojawili się uzbrojeni ochroniarze, ściągając na siebie grad kamieni. Unieśli broń, ale nie otworzyli ognia. Rael Mandella ruszył się, by stanąć i uspokoić wzburzony tłum, jednak Jean-Michel Gastineau precyzyjnie przycisnął się przed niego.

– Zastrzelą cię jak psa – powiedział. – To jest moja chwila. Do tego zostałem stworzony. – Wziął głęboki wdech i w jednej ostrej jak brzytwa satyrze wypuścił cały swój zmutowany sarkazm.

Choć nie był wycelowany w nich, ludzie i tak poczuli jego ostrze. Niektórzy krzyczeli, inni płakali, mdleli, wymiotowali, czasem nawet krwawili z pełnych poczucia winy ran, które otwierał na ich ciałach. Omiótł promieniem satyry pozycje ochrony i zaraz rozległy się jęki i krzyki, gdy zbrojni ludzie uświadomili sobie, kim są i co zrobili. Niektórzy nie byli w stanie znieść wstydu i rzucali się z wysokich punktów obserwacyjnych. Inni zwracali broń przeciwko sobie lub swoim towarzyszom; jeszcze inni w reakcji na słowa Niesamowitego Pana Pogardy wybuchali histerycznym płaczem. Krzyczeli, mamrotali, niektórzy wymiotowali, jakby, wymiotując, dało się poznać nienawiści do samych siebie, wzbudzonej przez słowa małego człowieczka na schodkach, jeszcze inni opróżniali kiszki i pęcherze albo z wrzaskiem uciekali ze Stalogrodu na pustynię, gdzie słuch po nich ginął, niektórzy zaś padali na ziemię, zakrwawieni, z połamanymi kośćmi, rozpruci i pokiereszowani przez sarkazm.

Upokorzywszy zbrojną siłę Korporacji Bethlehem Ares, Niesamowity Pan Pogarda zwrócił swój język ku wysokiemu balkonowi, gdzie ukryli się członkowie zarządu. W jednej chwili Gruby Członek, Chudy Członek i Średniomięśniony Członek zmienili się w rozdygotane kłębki wyrzutów sumienia.

– Przestań, przestań, przestań – błagali, dławiąc się własną złością i wymiocinami.

Jednakże satyra trwała i trwała, uderzając ciosami w każdy mroczny i wstydlivy uczynek, jaki w życiu popełnili. Rozdzierała im ubrania na strzępy, zadawała krwawe rany, potężni dyrektorowie krzyczeli i wyli, lecz

słowa cięły, cięły i cięły, aż nie zostało nic, tylko trupy, siekane mięso i tłuszcz na potwornie drogim dywanie.

Zrobotyzowany zastępca Johnny'ego Stalina patrzył na trzęsące się mięso z niechęcią pomieszaną ze zdumieniem. Nie był w stanie zrozumieć, co się stało, poza tym, że członkowie zarządu okazali się słabi i nieodporni na jakiś niezrozumiały czynnik. On nie był słaby, nie był nieodporny, bo jako robot nie był podatny na sarkazm. To niedopuszczalne, by dyrektorzy firmy mogli być tacy słabi, gdy on i jemu podobni są tak silni. Nawiązał neutrinowe połączenie ze swymi maszynowymi towarzyszami, by w najbliższym dogodnym momencie zwołać awaryjne spotkanie i uratować Korporację przed samą sobą.

Jean Michel-Gastineau zamilkł na schodkach. Zmutowany sarkazm upokorzył Korporację Bethlehem Ares. Ludzie wstali z kolan, zszokowani, oszołomieni, nierozumiejący. Popatrzył na dzieci odziane w dziewiczą biel, na biednych, głupich Dumbletonian, na zszokowanych rzemieślników i sklepikarzy, dziennikarzy i kamerzystów, którym pod naporem zmutowanej sarkastycznej mocy popękały obiektywy i mikrofony; popatrzył na żuli, włóczęgów, gundów i biednych głupków. Poczł litość.

– Idźcie do domu – powiedział. – Po prostu idźcie do domu.

Wtem na umówiony sygnał pięć transportowych sterowców, które wisały niezauważone nad całym tym dramatem, wyłączyło swoje tarcze niewidzialności i zaczęła się inwazja na Drogę Bez Znaczenia.

Taasmin Mandella, cyfrowa łowczyni, szła za ofiarą w labiryntowe czeluści Stalogrodu. Czuła, że żyje, co zdarzyło się do tej pory tylko raz, kiedy Błogosławiona Katarzyna odwiedziła ją na jej pustynnym słupie. Tym razem natura tego uczucia była całkiem inna. Karabin cudów w dłoni był gorący i wygłodniały, a przemieniona szata opinała jedwabście i zmysłowo jej ciało. Bawiła się świetnie. Mikal Margolis dwa razy strzelił do niej z UBS-ki, którą nie wiadomo skąd wytrzasnął; to było ekscytujące i niebezpieczne.

Aniel Sikorsky nadleciał znad separatora Sekcji 2 i zameldował.

– Cel na pozycji na poziomie 17.

Wydała świąty rozkaz Anielowi Luftwaffe i nagrodziło ją natychmiastowe wycie silników odrzutowych i brutalny terkot zamontowanych pod skrzydłami działek 35 mm.

– Narzędzia, chodźcie, zabawki, chodźcie, żelazo, chodź – zaintonowała i z przywołanych części maszyn i rupieci zmajstrowała sobie małe sanie grawitacyjne.

Wiatr rozwiewał jej włosy, gdy surfowała po fali przemysłu, zwinnie przemykając pomiędzy rurami, wspornikami i przewodami. Do tego była stworzona, do wiatru we włosach i karabinu w dłoni, zygzakowania ulicą Henry'ego Forda pomiędzy wystrzeliwanymi przez Margolisa seriami pocisków. Roześmiała się i wypłoszyła go z ukrycia strzałem z przenośnego miotacza tachionów.

– Załatw go, Luftwaffe.

Odrzutowy anioł śmignął jej nad głową i ostrzelał separator z działek w palcach. Eksplozje rozpruły dach hali i obsypały Taasmin Mandellę odłamkami, lecz wcale się tym nie przejęła; zaśmiała się tylko, siedząc

okrakiem na swojej powietrznej desce, i przeistoczyła grad metalu w kolejne przystawki do skomplikowanej broni. Aniel Luftwaffe zrobił nawrót do kolejnego ataku. W szczytowym punkcie lotu zza osłony wyleciały trzy naprowadzane termicznie rakiety. Aniel Luftwaffe eksplodował, zadymił i rozsypał się nad Stalogrodem.

Proszę. Promień tachionowy Taasmin Mandelli uderzył chwilę po tym, jak czarno-złota postać przeskoczyła tanecznie po wąskim przesmyku między dwoma szybami wentylacyjnymi. Szara Pani zawyła i puściła się w pogoń. Strzelała Mikalowi Margolisowi pod nogi. Mogła go odparować w dowolnie wybranym momencie, ale chciała wyprowadzić go na otwartą przestrzeń, na pustynię, gdzie będzie tylko człowiek w średnim wieku kontra święta w średnim wieku.

Aniel Sikorsky trzymał się blisko, nękając ofiarę. Zaulek był bardzo ciasny... Taasmin Mandella musiała się w najwyższym stopniu skupić, by manewrować pomiędzy zaworami i rurociągami.

– Sikorsky, cofnij się.

Powietrze przeszły wachlarzowate promienie lasera. Aniel Sikorsky zrobił unik przed rubinowymi kreskami, otarł się o zbiornik odstożnika, odbił się od jednej ściany, drugiej i roztrzaskał się w kuli ognia.

Czyli w końcu jednak tak będzie, człowiek kontra święta. Ucieszyło ją to. Gdzieś z oddali upominał ją głos świętego sumienia, ale tylko z oddali. Śmierć brata bliźniaka była bliższa i bardziej osobista. Wciąż czuła posmak mroku. Mikal Margolis wydarł się spomiędzy płataniny rur i puścił się sprintem przez lądowisko sterowców. Taasmin Mandella uderzyła w niego rojem robocich pszczół z jednej z wielu luf swej boskiej broni. Swe sanie wzbiła wysoko w niebo, by móc z wysoka dramatycznie zanurkować nad ofiarę i odciąć jej drogę.

Mikal Margolis wystrzelił z UBS-ki łukiem rakiet. Impuls energii przepłynął po obwodach drukowanych na jej kostiumie i przemienił je w ptaki. Taasmin Mandella krzyknęła z zachwytem. Nigdy nie była tak potężna. Aureola jarzyła się czernią kolapsara i migotała pochłoniętymi białymi gwiazdkami sumienia. Otoczyła Mikala Margolisa kręgiem płomieni z miotacza ognia i zatrzymała sanie tuż przed nim. Przyłożyła broń do twarzy i kazała płomieniom zniknąć. Mikal Margolis zareagował ostrożnym ruchem. Za nim w niebo niósł się dym z płonącego Sikorsky'ego, razem z wielką falą lamentów ze Stalogrodu.

– Pokaż twarz – powiedziała Szara Pani. – Chcę zobaczyć, jak się zmieniłeś.

Mikal Margolis zdjął hełm. Taasmin Mandella ze zdziwieniem stwierdziła, że zmienił się bardzo mało. Postarzał się, zmęczył, ogorzał, posiwiiał, ale zmienił się niewiele. Wciąż był ofiarą zbiegów okoliczności.

– Ale melodramatów to mi oszczędź – powiedział Mikal Margolis. Upuścił UBS-kę. – I tak nic by ci nie zrobiła, nie? I proszę, nie rozwódź się nad swoim ojcem i matką. To nie ma sensu. Ja nie mam wyrzutów sumienia, nie jestem tego typu osobą, a poza tym ja tylko wypełniałem obowiązki. Dawaj.

Pył tworzył wokół jej stóp małe wydmy. Taasmin Mandella powoli skanalizowała całą swą moc w jeden boski piorun, który miał zamienić Mikala Margolisa w węglową stal. Uniosła lewą dłoń, żeby uderzyć, lecz nagle, niespodziewanie, pochłonał ją snop materialnego światła.

Przez lądowisko szła ku niej jakaś postać. Skąd się wzięła, Taasmin nie widziała, ale była to drobna, szczupła, krótko ostrzyżona kobieta w kostiumie z ekranowego materiału.

– Nie! – jęknęła Taasmin Mandella, Szara Pani. – Nie! Nie teraz! Nie ty i nie teraz, akurat nie teraz!

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale warunki twojego statusu prorokini mówiły, że będziesz się musiała rozliczyć z tego, jak wykorzystywałaś swoją moc – powiedziała Katarzyna z Tharsis.

Mikal Margolis zrobił ruch, jakby miał podnieść broń i sobie pójść. Święta Katarzyna unieruchomiła go jednym gestem.

– Ciasna pętla czasowa – wyjaśniła z uśmiechem. – Jak tylko sobie pójdziemy, wyrwie się z niej.

– Masz beznadziejne wyczucie czasu – rzuciła Taasmin Mandella, zamarła w snopie bieli.

– Fajny strój – stwierdziła Błogosławiona Pani. – Bardzo mi się podoba. Bardzo ci pasuje. Swoją drogą my, słudzy Panarchy, nie musimy się tłumaczyć śmiertelnikom z naszych objawień. Nadszedł umówiony czas, musisz pójść ze mną i zdać sprawę z tego, jak wykorzystywałaś swój przywilej.

Świetlny słup zawirował wokół Taasmin Mandelli i poczuła, że się rozciąga, wyciąga, jak ciągutka na festynie, że zmienia się w coś nie do końca ludzkiego. Poczowała, że ziemia usuwa jej się spod stóp. Była lekka, lekka, świetlista... Ostatni raz splunęła z niesmakiem, po czym moc Katarzyny ogarnęła ją i, tak jak marzyła kiedyś, nago na rozżarzonych skałach, przemieniła w istotę z najczystszej światła, białą, lśniąca wiecznym blaskiem, czystą informacją. Pomknęła w niebo.

Mała, chuda kobieta, która była biologicznym konstruktem Błogosławionej Pani z Tharsis, poruszyła dłonią w szczególny sposób, manipulując przestrzenią i czasem, po czym zniknęła.

Arnie Tenebrae spędziła pięć dni w przebraniu pokutniczki z zakonu żebraczego, tarzając się w błocie, bicząc się, leżąc krzyżem i klęcząc na ostrych kamieniach zanurzonych w ściekach, dopóki pod bramą Stalogrodu nie odłączyła się od głównej pielgrzymki, nie schowała się za gospodarczym zbiornikiem na metan i nie wypowiedziała do komunikatora na kciuku pięciu słów będących rozkazem do inwazji. Na jej rozkaz pięć transportowych sterowców, które, poruszając się na wyciszonych dmuchawach, zakradły się na pozycję nad Stalogrodem, wyłączyło tarcze-niewidki i zaczęło emitować przez megafony uspokajające wiadomości do oszołomionych twarzy w dole. Z dolnych luków na desantowych uprzężach zaczęły zjeżdżać oddziały szturmowe Armii Całej Ziemi, trzymając w pogotowiu induktory pola, by przy najmniejszej oznace oporu zmienić wroga w czerwoną marmoladę. Wróg nie był już w stanie stawiać oporu.

– Nie bójcie się – grzmiąły nagrania. – Taktyczna Grupa Armii Całej Ziemi wyzwala Drogę Bez Znaczenia spod tyranii Korporacji Bethlehem Ares. Nie ma powodu do niepokoju. Powtarzam: jesteście wyzwalani. Proszę zachować spokój i udzielić wszelkiej pomocy siłom wyzwolicielskim. Dziękujemy.

Za zbiornikiem z metanem Arnie zrzuciła z siebie wymazany odchodami burnus, który przez pięć dni skrywał jej wojskowy kombinezon i plecak. Pomalowała twarz na podobieństwo Deathbirda i przypięła sobie mikrofon.

– Grupa 19, do mnie – szepnęła. – Pozostałe grupy, zgodnie z rozkazami.

Na umówionych pozycjach wokół Placu Korporacji kilkunastu podobnie ubranych pokutników zrzuciło przebrania i ruszyło przez tłum ku biurom Firmy. Kiedy oddziały powietrznodesantowe zjeżdżały, zrzuciły uprząże i zajmowały zaplanowane pozycje, by kontrolować elektrownie, lądowisko, dworzec, bazę ciężarówek, biuro burmistrza, komisariat policji, łącze mikrofalowe, panele solarne, banki, kancelarie prawne i zajezdnie, Arnie Tenebrae zebrała swą grupę i ruszyła do szturm na serce Bethlehem Ares Steel.

Kiedy stara pani Kanderambelow, obsługująca centralę telefoniczną, robiła herbatkę dla sześciu uprzejmych, choć dość przerażająco obwieszonych odznaczeniami mężczyzn w polowych mundurach, a Dominic Frontera stwierdzał, że patrzy w głowice emisyjne czterech induktorów pola, 19. Grupa wjeżdżała windą na piętro menedżmentu. Pani Fanshaw, Korporacyjna Asystentka Roku, wstała zza biurka, by zaprotestować przeciwko nieuprawnionemu wtargnięciu, i została rozsmarowana na ścianie siłą silnego oddziaływania grawitacyjnego. Arnie Tenebrae wysadziła czarno-złote drzwi z czarno-złotym herbem i weszła nieśpiesznie do środka.

– Dzień dobry – powiedziała do załzawionych, zakrwawionych, upokorzonych menedżerów wydziałów, szefów fabryk, dyrektorów finansowych, dyrektorów marketingu i konsultantów od zasobów ludzkich. – Gdzie jest Menedżer/Dyrektor Projektów i Rozwoju na Ćwiartkę Północno-Zachodnią?

Nagły strumień energii odpowiedział jej i wybił krater w brzuchu podporucznika Henry'ego Chana. Ten wytrzeszczył oczy, niespodziewanie widząc własny kręgosłup, i upadł, w dwóch połówkach.

– Osłony, chłopcy, on ma induktor.

Włączane osłony zadzwoniły pod młotem induktora jak świątynne gongi. Sarkastyczni menedżerowie puciekali z wrzaskiem, mijając czerwoną plamę, niegdyś Korporacyjną Asystentkę Roku.

– Gdzie on, do cholery, jest?! – krzyknął ktoś.

– Ma pole rozpraszające światło! – odkrzyknęła Arnie Tenebrae, rozkoszując się skomplikowaną sytuacją taktyczną. – Wszyscy, wyjść. Tylko byśmy sobie przeszkadzali. Ja go zdejmę. – Miała w tym prywatny, osobisty interes. Żołnierze wycofali się pod windy, żeby pilnować pojmanych menedżerów.

– Ej, Johnny, skąd wytrzasnąłeś induktor?

Strumień energii z wyciem roztrzaskał wypchaną głowę antylopy. Posypały się trociny i wióry. Johnny Stalin na moment stał się widoczny,

kuczał za fotelem Menedżera/Dyrektora. Zniknął dokładnie w momencie, gdy Arnie hipersonicznym promieniem rozbiła w drzazgi koniec stołu konferencyjnego.

– I jeszcze tarcza-niewidka. Nieźle. – Okrażyła salę, w pełni widoczna, z podniesioną osłoną i zmysłami wyostrzonymi jak słuch kota. – Johnny – zaśpiewała. – Musiałam przyjść cię zobaczyć, kiedy się dowiedziałam, że to ty. Pamiętasz mnie? Małą, śliczną dziewczynkę, którą pocałowałeś za biometanownią Raela Mandelli? – Wystrzelony impuls energetyczny odbił się z wyciem i piskiem od osłony Johnny’ego Stalina. Na moment zamigotał i pokazał się, półprzejrzysty. – No chodź, Johnny, niech to będzie porządna walka. Dobrze wiesz, jaką masz broń, wiesz, że nie możesz jej użyć jednocześnie do obrony i do ataku, a ja wiem, że tarcza-niewidka wyżera ci energię. To może pokażesz się i powalczysz jak człowiek?

Fragment powietrza zafalował i Johnny Stalin się pokazał. Arnie Tenebrae zdziwiła się, jak bardzo się zmienił – zniknął pulchny, wystraszony chłopak, jękliwy i mendzący; postać, którą miała przed sobą, prawie mogłaby być męskim odpowiednikiem jej samej.

– Nieźle wyglądasz, Johnny.

Sprawdziła wskaźnik na nadgarstku: 85% naładowania. Dobrze.

Johnny Stalin zaczął obchodzić ją od lewej. Oboje czekali na kluczowy moment, gdy osłona drugiego wyłącza się na moment przed strzałem. Arnie Tenebrae krążyła, czekała. Powietrze w jej osłonie zrobiło się stęchłe.

– Oj, Johnny – powiedziała raz jeszcze. – Pamiętaj, jak przebijesz się przeze mnie, tam czeka jeszcze dwanaście osób. – Strzeliła, zanurkowała w ukrycie.

Odpowiedź Stalina była wolna, wolna, wolna. Miała aż nadto czasu, by się odwrócić, wycelować i wbić w jego wyłączoną osłonę pięść pola siłowego, od której rozprysnął się jak jajko.

Głównodowodząca Tenebrae kazała swoim ludziom przeszukać zadymione gruzy i znaleźć jakąś pamiątkę po Johnnym Stalinie, którą mogłaby dodać do swojej kolekcji trofeów, znaleźli jednak tylko resztki osmolonych mechanizmów. Nagle szeregowy Jensenn przyniósł Arnie głowę Johnny’ego Stalina. Długo siedziała i śmiała się z kabli i skomplikowanych aluminiowych przegubów tworzących kręgi szyjne.

– Robot. – Roześmiała się. – Rabe-rabe robo-robot.

Cisnęła głowę i zaśmiewała się tak długo i intensywnie, że żołnierze 19. Grupy zaczęli się bać.

Dominic Frontera pierwszy dowiedział się, że wyzwolenie Drogi Bez Znaczenia tak naprawdę jest okupacją i że wszyscy rozradowani mieszkańcy, którzy na rękach nieśli przez uliczki partyzantów Armii Całej Ziemi, są zakładnikami marzenia o Zmierzchu Bogów Arnie Tenebrae. Dowiedział się tego sześć po szóstej rano, gdy pięciu uzbrojonych ludzi wywlokło go z piwnicy sklepu wielobranżowego sióstr Pentecost, gdzie był przetrzymywany, i postawiło pod olśniewająco białą ścianą. Żołnierze narysowali na ziemi linię i ustawili go za nią.

– Jakieś ostatnie życzenie? – zapytał kapitan Peres Estoban.

– Jak to ostatnie życzenie? – odparł Dominic Frontera.

– Jest taki zwyczaj, że człowiek stojący przed plutonem egzekucyjnym ma prawo do ostatniego życzenia.

– A – powiedział Dominic Frontera i zesrał się w swój ładny, biały mundur ROTECH-u. – Ojej, mogę się tylko oczyścić?

Pluton egzekucyjny wypalił fajkę czy dwie, podczas gdy burmistrz Drogi Bez Znaczenia zdejmował spodnie i doprowadzał się do porządku. Potem zawiązali mu oczy i postawili go z powrotem pod ścianą.

– Pluton, do strzału, pluton, cel... pluton... pluton. O, święte dziecko, co znowu?

Karmiąc kury, wierna, ale mało inteligentna Ruthie zobaczyła, jak żołnierze biorą jej męża, ustawiając pod ścianą i celują w niego z broni. Wydała z siebie krótki okrzyk, jak zdumiony ptak, i pobiegła na łeb na szyję pod budynek urzędu, docierając dokładnie w momencie, gdy Peres Estoban wydawał rozkaz do strzału.

– Nie zabijajcie mojego męża! – wrzasnęła, rzucając się pomiędzy strzelających i ofiarę, łopocząc rękoma i spódnicami.

– Ruthie? – szepnął Dominic Frontera.

– Proszę nie przeszkadzać – rozkazał Peres Estoban. Ruthie stała nieporuszona, jak bura Walkiria na grubych nogach. – Proszę pani, to jest zorganizowany zgodnie z prawem Rewolucyjny Pluton Egzekucyjny, wykonujący wydany zgodnie z prawem wyrok. Proszę zejść z linii ognia. Albo każę panią aresztować.

– Ha! – powiedziała Ruthie. – Ha. Ha. Ha. Co za świnie z was. Puszczajcie go.

– Proszę pani, to jest wróg ludu.

– Proszę pana, to jest mój mąż i ja go kocham.

Nastąpił błysk, który widział mimo zawiązanych oczu nawet Dominic. Ruthie Frontera, z domu Blue Mountain, wyzwoliła w jednej intensywnej chwili dwanaście lat zakumulowanego piękna. Omiotła promieniem charyzmy pluton egzekucyjny i wszyscy żołnierze naraz zabełkotali, gdy skupiła się na nich moc jej urody, po czym padli z wytrzeszczonymi oczyma i pianą na ustach. Ruthie Frontera uwolniła męża i tego samego ranka uciekli, ze starym ojcem i całym dobytkiem, jaki dało się załadować na pakę ukradzonej z Bethlehem Ares Steel ciężarówki. Przebili się przez drucziane ogrodzenie Stalogrodu, odjechali w Krainę Krystalicznych Ferroidów i nikt ich nigdy więcej w Drodze Bez Znaczenia nie widział. Większość ludzi podejrzewała, że zginęli na Wielkiej Pustyni od szaleństwa spowodowanego wypiciem wody z chłodnicy. Było jednak zupełnie inaczej. Dominic Frontera i jego rodzina dotarli do Południka i zostali oddelegowani do pięknego i spokojnego Pine Rapids w górach Sinn, pełnego wysokich drzew, czystego powietrza i delikatnie pluskających wód. Żył tam bardzo szczęśliwie jako burmistrz aż do pewnego dnia, kiedy zimowy turysta rozpoznał jego żonę i teścia z dawnego miejsca i czasu, po czym opowiedział mu, jak szalony człowiek, nienawidzący żon, lecz kochający dzieci, zmieszał jej geny, jak drinka, w Genezisorium. Odtąd Ruthie Frontera już nie wydawała się burmistrzowi Pine Rapids zbyt piękna, co być może nie było winą jej, lecz jej ojca, który, projektując ją, wbudował jej klątwę, polegającą na tym, że swej mocy piękna mogła użyć tylko trzy razy, a potem przepadała ona na zawsze. Tak więc, ratując Dominica Fronterę przed plutonem egzekucyjnym, Ruthie straciła swą miłość. Było, minęło, dawno minęło.

Natomiast dyrektorzy zarządzający projektu Stalogród nie mieli niestety Ruthie, która uratowałaby ich mocą swej miłości. W ciągu dziesięciu dni zostali poustawiani po pięciu i rozerwani na strzępy induktorami pola Armii Wyzwoleńczej Arnie Tenebrae. Na miejscu byli

przedstawiciele mediów, ściągnięci pod lufami broni, żeby oglądać i nagrywać egzekucję despotów, jednak wszyscy dawno doszli do wniosku, że Droga Bez Znaczenia i jej mieszkańcy są zakładnikami w improwizowanej walce Arnie Tenebrae przeciwko Maryi Quinsanie.

Wprowadzono ściśle przestrzeganą godzinę policyjną, przepustki do wychodzenia na ulicę i racjonowanie żywności. Pociągi towarowe były zatrzymywane na skraju Krystalicznej Strefy, wprowadzane na bocznice do Drogi Bez Znaczenia i systematycznie rabowane. Całą żywność zawłaszczwał Rewolucyjny Dyrektoriat i teoretycznie dzielił równo między wszystkich, lecz Droga Bez Znaczenia cierpiała teraz głód gorszy niż w najbardziej głodnych dniach podczas strajku. Lwia część szła do ust dwóch tysięcy okupujących miasto żołnierzy, a mieszkańcy, hutnicy, pielgrzymi, Ubożątka, dziennikarze, gundowie i żule musieli żywić się soczewicą i ryżem. Peter Iposhlu, ogrodnik w agencji ziemskiej Mandella/Gallacelli, odmówił wydania swych zbiorów Armii Całej Ziemi i powieszono go na topoli. Alba Askenazy, lubiany i nieszkodliwy żebrak, spróbował ukraść salami z Komitetu Rewolucyjnego i został potraktowany identycznie. Rajandra Das, aby móc utrzymać Centrum Gorących Przekąsek, musiał błagać klientów, by dawali mu kartki żywnościowe, a Bar/Hotel, zarządzany przez Kaana Mandellę, musiał wywiesić tabliczkę „Zamknięte do odwołania”, pierwszy raz jak pamięcią sięgnąć. Natomiast po godzinie policyjnej jego piwnice rozświetlały świeczki kontrrewolucyjnych myszek.

– Czego w ogóle ona od nas chce? – pytał Umberto Gallacelli.

– Mówi, że chce tu ściągnąć Parlamentarzystów na ostateczną bitwę?

– Święte dziecko! – wykrzyknął Louie Gallacelli. – Skąd ty to wiesz?

– Z żołnierzami gadałem – odpowiedział nieprzekonująco pan Jericho.

– Ja tam myślę, że ona chce się na nas wszystkich odegrać – stwierdził Rajandra Das. – Myśli, że wygoniliśmy ją z miasta, więc teraz chce się nam odpłacić. Pieprzona karierowiczka.

– Czyli zemsta? – podsunął Umberto Gallacelli.

– Musi tu być coś, czego ona chce – powiedział Niesamowity Pan Pogarda ściszym, gardłowym i rakowatym szeptem. Wypalił sobie gardło w sądnym dniu na Placu Korporacji i moc już nie wróciła. Już nie stać go było na sarkazm. – Kiedy nas złapała w Chryse, wyglądało na to, że z jakiegoś powodu chce nas zachować przy życiu, i to miało coś wspólnego z tym miastem.

Pan Jericho stukał pięścią w otwartą dłoń, jak podobno robią ludzie w głębokim namyśle. Naradzał się ze swymi Czcigodnymi Przodkami,

szukając w ich zapisanych osobowościach przedwiecznych mądrości.

– O, święta pani! Ja wiem! Święte dziecko, chodzi o wehikuł czasu. Czasozwizacz Alimantando model 2. Ostateczna broń...

Na żwirze na zewnątrz zaszurały buciory. Spiskowcy, uciszając się nawzajem, pogasili świece i rozpełzli się siecią tuneli i jaskiń do swoich pełnych strachu łóżek.

Dwunastego dnia okupacji Arnie Tenebrae rozpoczęła przygotowania do bitwy. Wozy z megafonami wyzwolone z magazynów Firmy obwieściły, że wszyscy obywatele w wieku powyżej trzech lat zostają powołani do siły roboczej, i podały czasy i miejsca zbiórek. Pod lufami induktorów 14. i 22. Korpusu Inżynieryjnego zagoniono ich do kopania na wzgórzach umocnień, stawiania pierścieniowego pola minowego wokół całej Drogi Bez Znaczenia, po wewnętrznej stronie Krainy Kryształów, oraz budowania labiryntów okopów, bunkrów, kryjówek i strzelnic, tak by obrońcy mogli objąć ogniem cały chaotyczny plan ulic Drogi Bez Znaczenia. Słońce wzniosło się na wysokość sjesty, jednak powszechna siła robocza pracowała dalej, gdyż wyzwoliciele uwolnili dzień spod tyranii sjesty. Ludzie mdleli, padali, ociągali się, rzucali narzędzia. Gruby, spocony hotelarz Marshall Cree odłożył łopatę i odmówił dalszej pracy. Dwóch strażników z Korpusu Inżynieryjnego wyprowadziło go. Pół godziny później po wszystkich placach budowy obniesiono jego dłonie nadziane na zaostrzoną gałąź. Jak nie chce używać rąk dla Armii, nie będzie używać ich w ogóle. Trzynastę po trzynastej, kiedy nawet zimą słońce wylewało z kadzi roztopiony żar, dwóch strażników z Korpusu Inżynieryjnego przyszło po Genevieve Tenebrae.

– Nie, nie, nie, tylko nie ja, proszę! – wrzeszczała, szamocząc się i wierzgając tak mocno, że wydawało się, że jej wiekowe kartonowe kości zaraz potrzaskają.

Strażnicy nie zaprowadzili jej jednak na pień amputacyjny, tylko do własnego domu, gdzie czekała na nią córka.

– Cześć, mamó – powiedziała Arnie Tenebrae. – Dobrze się czujesz? To dobrze. Chciałam się tylko przywitać.

Genevieve zawsze trochę bała się swojej kradzionej córki. Zawsze, gdy słyszała w radiu jej imię, połączone z jakimiś nowymi okrucieństwami, powtarzała sobie, że Arnie jest Mandellą, tak, w ogóle nie z jej ciała i krwi. Teraz przeraziła się jeszcze bardziej na widok córki w bojowym pancerzu i demonicznym kamuflażu.

– Naprawdę chciałam pozdrowić moją matkę i ojca, ale oboje nie żyją, tak samo mój brat i siostrzeniec. I nikomu nie przyszło do głowy mi

powiedzieć.

– Czego chcesz? – zapytała Genevieve Tenebrae.

Arnie omiotła oceniającym wzrokiem brudny pokój, zagracony najróżniejszymi przedmiotami i zapominalstwem starej, zwariowanej kobiety. Jej wzrok spoczął na błękitnym bąbelku na brudnej półce nad kominkiem. Wisiał nad czymś, co przypominało oplątana pajęczyną maszynę do szycia. W środku izoinformacyjnego pola jej przybrany ojciec wciąż fikał błękitne koziółki. Już nie mówił. Po dwunastu latach zamknięcia nie miał nic do powiedzenia. Arnie musnęła ustami niebieski pęcherzyk.

– Cześć, tato. Przyszłam cię uwolnić, tak jak ty mnie uwolniłeś.

Pokręta czasozwijacza były podobne do nadgarstkowych regulatorów induktorów polowych – i nic dziwnego, broń Armii Całej Ziemi była oparta na projektach doktora Alimantanda. Uśmiechnęła się, ustawiając noniusze na zero.

– Żegnaj, tato.

Niebieski bąbelek pękł, zapadając się pod ciśnieniem. Duch ojca zniknął.

Oddała czasozwijacz majorowi Dhavramowi Mantonesowi z elitarnej 55. Strategicznej Grupy Inżynieryjnej.

– Zrób tak, żeby pracował dla nas, Dhav – powiedziała i poszła nadzorować postępy na budowach. Lubiła chodzić wzdłuż okopów i umocnień, grając w głowie w herosów i demony.

Dhavram Mantones wrócił następnego dnia z samego rana.

– Nie da się tego zrobić – oświadczył. – Najlepsze, co uda mi się osiągnąć, to lokalne pole stabilności czasowej.

– Skoro doktor Alimantando dał radę, to i ty dasz, Dhav – odparła Arnie, wyglądając za okno swej kwatery głównej w Stalogradzie, jakby dla podkreślenia ulotności czasu. – Jeśli potrzebujesz pomocy, weź pana Jericha, Rajandrę Dasa i Eda Gallacelliego. Oni pracowali przy pierwszym czasozwijaczu. Damy radę ich przekonać.

Narzędziem perswazji było urządzenie zwane Marsjańskim Osłem. Składało się tylko z metalowej sztaby, trójkątnej w przekroju, zawieszanej półtora metra nad podłogą, wierzchołkiem trójkąta ku górze. Działanie było równie proste – osobę, którą należało przekonać, rozbierano, przywiązywano ręce do belki sufitowej, by siedziała pewnie, i sadzano okrakiem na metalowej sztabie. Parę godzin na Marsjańskim Osle wystarczało do przekonania choćby najbardziej upartego jeźdźca. Pan Jericho i Rajandra Das nie wymagali nawet minuty.

- Wiemy tyle, co ty.
- A Ed Gallacelli?
- Nie żyje.
- Może coś powiedział żonie?
- Może i tak, ale ona wyjechała. Odleciała.
- To kto może wiedzieć?
- Limaal Mandella.
- Nie bądźcie tacy cwani, on też nie żyje.
- To może Rael. Limaal przekazał Raelowi juniorowi dużo tajemnic doktora Alimantanda.
- To wiemy. Nie znaleźliśmy niczego w notatnikach. Ani w domu.
- Może trzeba go zapytać osobiście. Limaal mógł mu powiedzieć coś, czego nie ma na piśmie.
- To prawda.

Zatem Rael Mandella junior, od czasu zamordowania ojca, zniknięcia ciotki i pyrrusowego zwycięstwa nad Firmą żyjący praktycznie jak pustelnik, dostał niespodziewane zaproszenie na przejażdżkę na Marsjańskim Ośle. Nie był tym zachwycony; po zaledwie czterech godzinach został z niego zdjęty w stanie bliskim śpiączki, a Arnie Tenebrae przekonała się, że nie wie nic o arkanach sztuk chronokinetycznych doktora Alimantanda. Choć otrzymała od niego jedną informację, dzięki której zasłużył sobie na puszczenie wolno – że wszystkie tajemnice doktora, w tym tajemnicza Inwersja Temporalna, dzięki której możliwa jest chronodynamika, są zapisane gdzieś na ścianach jego domu. Oddelegowano Dhavrama Mantonesa, żeby dokładnie przyjrzał się tym freskom, pod groźbą regularnych jazd na Marsjańskim Ośle. Raela Mandellę juniora rozwiązano i odstawiono do domu rodzinnego. Szkoda. Arnie Tenebrae z przyjemnością by go tam zostawiła, żeby zobaczyć, czy będzie w stanie pobić obecny rekord jazdy na ośle, wynoszący trzydzieści godzin.

Zabrano go, gorączkującego, do kuchni babki, gdzie razem z matką opatrzyły go i położyły do łóżka. Tam wyhalucynował, że miał kiedyś ojca zrobionego z klonu i matkę z kwiatów i puszek po fasoli. Leżał tak przez trzy dni, a córka sąsiada, nieśmiała dziewczyna nazywająca się Kwai Chen Pak, która pomagała Santa Ekatrie w czasach strajkowej garkuchni, przynosiła mu kwiaty, ładne kamyczki, a ze skąpych racji robiła mu ludziki z chleba i kangury z krówek. Wybudził się z gorączki, by dowiedzieć się o dwóch ważnych rzeczach. Po pierwsze, że rozpaczliwie

kocha Kwai Chen Pak. Po drugie, że w nocy oddziały Parlamentariuszy okrążyły Drogę Bez Znaczenia i przygotowują się do ostatecznej bitwy.

– Musi być ich ponad osiem tysięcy – stwierdził pan Jericho, wyężając swój wyćwiczony wzrok, by wypatrzeć coś w rozfalowanym od ciepła powietrzu ponad krystaloidami.

Sevriano Gallacelli uniósł łopatę i udawał, że pracuje, kiedy strażnik patrzy.

– To co to właściwie jest? – Wskazał brodą ogromne trójnożne maszyny, przechadzające się arogancko wśród krystalicznego krajobrazu i odparowujące kawałki ferrotropów groźnymi białoniebieskimi promieniami.

– Tak dokładnie to nie wiem – powiedział pan Jericho. – Coś jak te maszyny tropiące, których dawno temu używał ROTECH. Ale jedno wam powiem: jak to się zacznie, będzie gorąco. One mają miotacze tachionowe.

Obaj machali łopatom, udając, że kopią, i patrzyli, jak niezdarne maszyny maszerują przez pustynię, ani trochę nie próbując się ukrywać, i doszli do wspólnego i nieuniknionego wniosku, że oto nadchodzi koniec Drogi Bez Znaczenia.

Arnie Tenebrae w wysuniętym punkcie obserwacyjnym nr 5 dochodziła do podobnych wniosków.

– Ocena? – zapytała swego adiutanta, podpułkownika Lennarda Lecke'a.

– Maszyny bojowe, idealnie przystosowane do terenu. Przykro mi to mówić, ale mogą przejść gładko przez nasze miny.

– Tak właśnie pomyślałam. Uzbrojenie?

– Przykro mi to mówić, pani generał, ale...

– Ale te promienie tachionowe mogą przejść w czasie przez nasze pola obronne i wybić nam dziury w dachu.

Zostawiła Lennarda na inspekcji niezwykniętych maszyn bojowych i poszła szukać Dhavrama Mantonesa. Chciała się upewnić, jaki jest stan jej własnej niezwykniętej maszyny bojowej. Wspinając się na skały, minęła ciała dwóch dziennikarzy SRBC, którzy próbowali wymachiwać białą flagą. Rozciągnięte na drewnianych ramach, po trzech dniach na słońcu zaczynały wyglądać jak wygarbowana skóra, a śmierdziały potwornie. Poddanie się było nie tylko niedozwolone, lecz i niewyobrażalne.

Na wysuniętym posterunku dowodzenia Zebra Marya Quinsana obserwowała przez lornetkę mumifikujące się ciała. Nie zszokowało jej barbarzyństwo tej egzekucji, tylko fakt, że wszystkie te pochylone przy pracy postacie, na ziemi, na umocnieniach, wyglądały tak znajomo. Nawet samo miasteczko Droga Bez Znaczenia, ta jego część wciśnięta pomiędzy brzydką betonową narośl bazyliki i płataninę rur fabryki, nie zmieniło się, wciąż było bałaganiarskim zlepkiem pomp wiatrowych, błyskających kolektorów słonecznych i czerwonych dachówek. Zastanawiała się, co tam u Mortona. Nie widziała go przy pracy na skałach, ale w miasteczku były jeszcze inne place budów. Od dwunastu lat o nim nie myślała. Pomyślała także o Mikalu Margolisie, biednym głupku, którego wiatr niósł tam, gdzie zechciał. Zastanawiała się, co się z nim stało po tym, jak zostawiła go w barze soba na stacji Ishiwara.

Czas na marzenia na jawie będzie, kiedy to się skończy. Obrona Armii Całej Ziemi wyglądała na silną, ale nie aż tak, pomyślała, żeby stawić czoło jej maszynom bojowym z promieniami tachionowymi. Zainwestowała dużo kapitału politycznego, by wyciągnąć od mędrców w Porcelanowej Górze specyfikację kroczących zwiadowców, i była pewna, że ta inwestycja szybko się zwróci. Jej siły naziemne miały nad przeciwnikiem trzy- lub czterokrotną przewagę, tachionowy system uzbrojenia dawał przewagę nad induktorami pola Armii Całej Ziemi... Była pokusa, by porozmyślać o zwycięstwie i ambicjach... Potrzebowała jednak przytomnej głowy i spokoju. Kiedy schodziła z posterunku Zebra, usłyszała dalekie brzęczenie owada.

Ten sam dźwięk wkradł się do obłąkanej percepcji Arnie Tenebrae, kiedy siedziała przy biurku i bawiła się sznurkiem. Jej umysł uczepił się owadziego brzęczenia i zapomniał wysłuchać raportu Dhavrama Mantonesa z postępów w odcyfrowywaniu hieroglifów doktora Alimantanda. Bzyk, brzęk, ospała pszczoła w zimowej czapeczce –

przypomniała sobie pełne kwiatów poranki, gdy pluskała się w kanałach nawadniających, dni wypełnione słońcem i brzęczeniem pszczoł.

– Słucham?

– Mamy coś, na co powinna pani spojrzeć.

– Pokaż.

Brzęczenie rozlegało się w jej uchu przez całą drogę do domu doktora Alimantanda i na górę do pokoju meteo, grubo pokrytego kurzem i zastawionego niedopitymi kubkami z herbatą pozostawionymi przez Limaala Mandellę, tak że w poszukiwaniu tego bzyka ciągle uciekała uwagą za jedno z czterech okien.

– O, to, proszę pani. – Dhavran Mantones pokazał fragment wyblakłych czerwonych bazgrołów dokładnie pośrodku sufitu.

Arnie wspięła się na kamienny stół i spojrzała przez lupę.

– I co to jest?

– Uważamy, że to jest wzór na Inwersję Temporalną, która sprawi, że czasozwijacz i wszystko w zasięgu jego wpływu oderwie się od czasu i stanie się chronokinetyczne. Wieczorem chcemy to wypróbować.

– Chcę przy tym być.

Skąd się bierze to brzęczenie? Arnie Tenebrae zaczynała się obawiać, że ze środka jej własnej głowy.

Dźwięk przesączał się nawet do podziemia Baru/Hotelu, gdzie odbywało się tajne spotkanie ruchu oporu. Pięć dusz zebrało się wokół zwykłej brązowej drewnianej skrzynki, w którą wbudowany był nadajnik radiowy.

– Żeby tylko nas nie namierzyli – powiedział Rajandra Das, pamiętając o ukrzyżowanych reporterach telewizyjnych.

– Udało się wam z nimi skontaktować? – zapytała Santa Ekatrina Mandella, zawzięta przeciwniczka wszelkich autorytaryzmów. Batisto Gallacelli znów wcisnął przycisk nadawania.

– Halo, siły Parlamentariuszy, halo, siły Parlamentariuszy, mówi Droga Bez Znaczenia, słyszycie mnie, mówi Droga Bez Znaczenia. – Powtórzył ten zaśpiew kilka razy i nagrodził go trzeszczący głos.

Antyliberacjoniści nachylili się nad radiem.

– Halo, tu mówi Wolna Droga Bez Znaczenia, ostrzegamy: zachowajcie szczególną ostrożność, Armia Całej Ziemi dysponuje bronią wporu czasowego; powtarzam, uważajcie na broń wporu czasowego. Zaatakujcie jak najszybciej, by ocalić historię; powtarzam: zaatakujcie jak najszybciej, by ocalić. Odbiór...

Głos wyskrzeczwał odpowiedź. Pan Jericho jako jedyny nie skupiał się na zaszumionych sylabach, lecz na czymś powyżej stropu.

– Ciii. – Uciszył resztę gestem. – Coś tam jest na górze.

– Bez odbioru – szepnął Batisto Gallacelli i wyłączył nadajnik.

– Słyszycie to? – Pan Jericho obrócił się powoli, jakby próbując namierzyć zagubione wspomnienie. – Ja znam ten dźwięk, znam ten dźwięk. – Nikt inny nawet go jeszcze nie słyszał przez dachówki, cegły, kamienie. – Silniki... silniki lotnicze, zaraz, czekajcie... dwa silniki Maybach/Wurtel w konfiguracji pchająco-ciągącej. Wróciła!

Niepomni zakazu zgromadzeń kontrrewolucjoniści wysypali się z podziemia na ulicę.

– Tam! – Pan Jericho wskazał niebo. – Tam jest!

Trzy świetlne igiełki zamrugały podczas zwrotu i z zapierającym dech okrzykiem mocy zmieniły się w trzy śmigłowe samoloty o rekinich nosach. Ustawione w klucz przeleciały z rykiem nad Droga Bez Znaczenia, a kiedy ich mijały, z prowadzącego samolotu posypały się ulotki. Ulice natychmiast zapełniły się biegającymi partyzantami. Rozdzielili pięciu kontrrewolucjonistów i zaciągnęli ich pod osłonę. Pan Jericho kątem oka przeczytał ulotkę przelatującą przed nim we wznieconym strumieniem zaśmigłowym tumanie pyłu.

– Latający Cyrk Tatterdemalion przybywa – głosiła. – Strzeż się, Bethlehem Ares!

Ta naiwność wywołała u niego uśmiech. Trzydzieści lat i jeszcze nie wie, jak działa świat, niech ją Bóg ma w opiece. Latający cyrk zatoczył krąg wokół Drogi Bez Znaczenia i nadleciał na wysokości dachów. Rozległo się sześć gromkich eksplozji. Pan Jericho zobaczył niebiesko-białe promienie wydobywające się z czubków skrzydeł samolotów i aż zagwizdał w szczerym podziwie.

– Tachiony! Skąd ona, u diabła, wzięła miotacze tachionów? – Po czym pobiegł do Baru/Hotelu, a żołnierze zajęli miejsca na dachach, żeby odpowiadać ogniem.

Prowadząc klucz za tory, do ataku na Stalogród, Persis Tatterdemalion uświadomiła sobie, że bawi się jak nigdy w życiu.

– Anioł Zielony i Niebieski, wykonać drugi nalot – zaśpiewała.

Nie było ucieczki. Eda nie było, nie było już Eda, ona mogła jednak polecieć na koniec wszechświata, a i tam by o nim nie zapomniała. Nawet na Stacji Woolamurra nie było ucieczki. Była tylko pełna dusza szaleństwa, dzięki któremu natrafiła na dwójkę tych opryskujących pola obdartusów i porwała ich, by obsadzić dwa samoloty akrobacyjne

kupione od firmy Yamaguchi & Jones, wyposażyć je w najnowszą wojskową technologię i dokonać szaleńczego ataku najpierw na sunący przez Wysokie Równiny pociąg towarowy Bethlehem Ares Steel, a potem na czarne jak żużel serce tej niszczącej wszelkie marzenia firmy – twierdzą Stalogród. Kiwnęła skrzydłami i klucz złożył się za nią.

Cieszyła się, kiedy żołnierze rozbiegali się jak kury pod trzaskami miotaczy tachionowych. Cieszyła się czystością niebiesko-białych promieni i jaskrawymi kwiatami wybuchów niszczących biura, zbiorniki, ciężarówki, koparki, kolektory słoneczne. Uwielbiała to od pierwszego naciśnięcia spustów, po którym dwie lokomotywy towarowe klasy 88, pięćdziesiąt wagonów i dwóch maszynistów rozsadziła podkwantowa eksplozja termojądrowa.

– Bum! – zaśpiewała i nacisnęła spusty.

Pod nią trzy zaparkowane sterowce transportowe buchnęły ogniem.

– Łiiii! – zawyła i przechyliła Yamaguchiego & Jonesa do kolejnego nalotu.

Radio zatrzeszczało, w uchu zasyczał znajomy głos.

– Persiss, sssskarbie, to ja. Jimmm Jericho, pamiętasz?

– Ta, pamiętam! – odkrzyknęła.

Miotacze tachionów przecięły Stalogród dwiema długimi dymiącymi kreskami. Kominy się pozawałały, rurociągi obwisły.

– Ważżzna informacsssja. Droga Bez Znaczenia jest pod okupacsssjsją, powtarzam, pod okupacsssjsją Grupy Takchchchtycznej Armii Całej Ziemi, powtarzam, Grupy Takchchchtycznej Armii Całej Ziemi. Firma jest zniszczona, powtarzam, zniszczona.

Z ziemi wzniosł się wachlarz rakiet i zwróciły się w jej stronę.

– Ka-bum! – wrzasnęła i odparowała je. – Zniszczona?

– Takch. Mówię do csssiebie z Baru/Hhhhhotelu przez nielegalny nadajnik. Ssssugeruję atakować cele wojsssskowe, powtarzam, cele wojsssskowe. Dowodzi nimi Arnie Tenebrae.

Jeszcze raz przeleciała nisko nad Drogą Bez Znaczenia, zobaczyła okopy i kryjówki. Przeleciała nad skałami i zobaczyła tam ukrzyżowane ciała i lśniące w słońcu hełmy żołnierzy na pozycjach. Arnie Tenebrae? Tutaj?

– Anioły, w szyk – rozkazała.

– Dobra dziewczyna – syknął pan Jericho i przerwał nadawanie.

Niebieski i zielony anioł ustawiły się za nią w klucz. Dobre dzieciaki. Poinformowała ich o nowej sytuacji.

– Zrozumiałem – powiedziała Callan Lefteremides.

– Zrozumiałem – powtórzył jej brat Venn.

Klucz Aniołów wykonał zwrot jak jeden i nadleciał nad pozycje Armii Całej Ziemi. Lecieli zaledwie kilka metrów nad pustynią. Skrzydłowe miotacze tachionów rozbijały ochronę, z umocnień naprzeciw nich wystrzeliwano rakiety.

– Zielony, zielony, rakietka po twojej...

Długi pocisk przeciwlotniczy Brothers 337 „Feniks”, wystrzelony w panice przez szeregową Cassandrę O. Miccini, dopadł Venna Lefteremidesa i gładko odstrzelił ogon jego samolotowi. Zielony Anioł wpadł w śmiertelny korkociąg i zwałił się pośrodku opuszczonego nowego osiedla mieszkalnego za torami.

Persis Tatterdemalion wydało się, że widziała rozpościerający się spadochron. No dobra, Arnie Tenebrae, to jest dla ciebie. Obróciła nos samolotu w kierunku Stalogrodu i nacisnęła spusty.

Arnie Tenebrae obserwowała atak powietrzny z okna z osobliwym podziwem.

– Dobrzy są. Naprawdę dobrzy – zauważyła, gdy dwa ocalałe samoloty Latającego Cyrku Tatterdemalion nadleciały na wysokości dachów do kolejnego tachionowego ataku na Stalogród.

– Nie myśli pani, że powinniśmy zejść z tej wystawionej pozycji? – zasugerował Lennard Hecke.

– Absolutnie nie – odparła Arnie Tenebrae. – Nie mogą mi nic zrobić. Tylko Mścicielka może mi coś zrobić.

Mścicielka Marya Quinsana patrzyła na walkę powietrzną z Krainy Krystalicznych Ferrotropów.

– Ktokolwiek to jest, jest bardzo dobry. Sprawdźcie mi numery rejestracyjne, chcę wiedzieć, kto to.

– Oczywiście. Pani marszałek, wiadomość z miasta, od zakładników. – Albie Vessarian, lizus i wazeliniarz, któremu nie była pisana kula, wręczył jej notatkę od łączności i pośpieszył wykonać rozkaz identyfikacji pirackich samolotów.

Przejrzała notatkę. Broń temporalna? Rzuciła ją na ziemię i wróciła do ataku powietrznego w samą porę, by zobaczyć, jak Venn Lefteremides wpada w korkociąg, zapala się i roztrzaskuje.

– A więc to jest to – sapnęła. – Rozpocząć atak!

Piętnaście sekund później drugi atakujący został zestrzelony i spadł na Bazylikę Szarej Pani.

– Rozpocząć atak! – zawołał generał Emiliano Murphy.

– Rozpocząć atak! – zawołali majorowie Lee i Wo.

– Rozpocząć atak! – zawołali najrozmaitsi kapitanowie, porucznicy i podporucznicy.

– Do ataku! – krzyknęli sierżanci i dowódcy grup, po czym czterdzieści osiem długonogich maszyn bojowych zrobiło pierwsze powolne kroki ku Drodze Bez Znaczenia.

– Parlamentariusze atakują!

Arnie Tenebrae przyjęła wiadomość tak flegmatycznie, że Lennard Hecke uznał, że nie dosłyszała.

– Pani generał, Parlamentariusze...

– Słyszałam, żołnierzu. – I dalej goliła sobie głowę, kosząc bujne łąki włosów, póki w słońcu nie zaśniła naga czaszka. Spojrzała na siebie w lustrze. Wynik ją ucieszył. Teraz była wcieleniem wojny, Wastatorką. Mścicielko, strzeż się. Przemówiła nieśpiesznie do mikrofonu na krtani.

– Tu głównodowodząca. Wróg atakuje niekonwencjonalnymi siłami pancernymi uzbrojonymi w broń tachionową; wszystkie jednostki, zachować wyjątkową ostrożność w walce. Major Dhavram Mantones, uruchomić czasozwijacz.

Dhavram Mantones odezwał się przez miniaturowy głośniczek, trzeszczący i zestresowany.

– Pani generał, Inwersja Temporalna jest nieprzetestowana, nadal nie jesteśmy pewni, jakie powinny być operandy w tym równaniu, dodatnie czy ujemne.

– Będę tam za trzy minuty. – A do swych sił powiedziała: – To jest to, chłopcy i dziewczęta. To jest wojna!

Kiedy wydała rozkaz do ataku, z wysuniętych pozycji dobiegły odgłosy pierwszych wybuchów.

Strzelec Johnston M'bote zaliczał się do tego nieuniknionego gatunku ludzi, których życie jest jak parowy pociąg – zdolne tylko do ruchu naprzód, w ograniczonym zakresie kierunków. Te chodzące przykłady predestynacji dźwigają podwójną klątwę, bo są także całkowicie nieświadome nieuniknioności własnego życia i pędzą obok niezliczonych innych ludzi, którzy stoją z boku torów i machają do dumnego ekspresu. Jednakże ci stojący obok torów dokładnie wiedzą, dokąd jedzie dany pociąg, bo wiedzą, dokąd prowadzą tory. A życie pociągu po prostu turla się naprzód, nic niewiedzące i nieoświecone. Dlatego pani January M'bote od razu, jak tylko rejonowa położna pokazała jej brzydkiego, paskudnego siódmego syna, wiedziała, że cokolwiek zrobi czy nie zrobi ze swoim życiem, będzie mu pisane zostać dolnym strzelcem numer 2 w maszynie bojowej Parlamentarzystów w bitwie o Drogę Bez Znaczenia. Widziała po prostu, dokąd prowadzą tory.

Jako dziecko Johnston M'bote był mały i pozostał niewielki jako młodzieniec, w rozmiarze w sam raz, by zwinąć się w dolnej wieżycze wiszącej pod owadziim ciałem maszyny jak krzywo umieszczone jądro. Głowę miał okrągłą i płaską na czubku, w idealnym kształcie dla wojskowego hełmu; usposobienie niespokojne i nerwowe (określone mianem „szybkiego do cyngla” przez wojskowych psychologów), dziesięć punktów na dziesięć; dłonie długie i smukłe, kobiece niemal, doskonałe do niestety dość skomplikowanych przyrządów spustowych nowej broni tachionowej model 27. IQ zaś miał na poziomie kołka w płocie, co skutecznie uniemożliwiało mu zatrudnienie w jakimkolwiek zawodzie wymagającym choćby skrawka kreatywności. Johnson M'bote, jeden z naturalnie urodzonych dolnych strzelców, od początku miał przerąbane.

Sam oczywiście nie miał o tym pojęcia. Zbyt dobrze się bawił. Zwinięty jak embrion w kiwającym się, trzeszczącym, śmierzącym olejem plastikowym bąblu, patrzył przez szczeliny celownika na trzęsącą się pustynię w dole i słał w trędowaty piach łukiem serie z ciężkich karabinów maszynowych. Efekt cieszył go niepomiernie. Nie mógł się doczekać, jak to będzie wyglądało, kiedy zaczną strzelać z nich do ludzi. Mrużył oczy i patrzył w monitorki na poziomie oczu. Masa, masa czerwonej pustyni. Maszyna człapała, kołyszac się na boki. Strzelec Johnston M'bote kręcił się w kółko w swoim stalowym jądrze i walczył z chęcią naciśnięcia małego czerwonego spustu przed sobą. To było sterowanie ogniem ciężkiego miotacza tachionowego. Ostrzegano go przed użyciem go bez powodu – to marnowało energię, a poza tym dowódca nie do końca mu ufał, że przez pomyłkę nie odstrzeli nóg własnej maszynie. Człap, człap, buju-buju. Jego wujek Asda miał kiedyś wielbłąda i jedyna przejażdżka na tym wrednym stworzeniu kojarzyła się bardzo z rozkołysanym krokiem maszyny. Johnston M'bote szedł na wojnę w dwudziestometrowych butach, z grzmiącym w obu słuchawkach *Big Swing Sound* Glenna Millera i jego orkiestry. Falował ramionami i naprzemiennie unosił w górę palce wskazujące, raz-dwa, raz-dwa; tylko tak dawało się tańczyć w dolnej wieżycze Maszyny Bojowej Model 4. Jeśli tak wygląda wojna, myślał Johnston M'bote, to jest fantastyczna.

Wojskowy kamasz, uszyty przez Hammonda i Tew z Nowego Merionedd, trzy razy postukał ciężko we właz na stropie; dup-dup-dup, czemu towarzyszył przytłumiony strumień wyzwisk. Strzelec Johnston M'bote pstryknął przełącznikiem radia:

– ...do Małego Misia, Duży Miś do Małego Misia, cotykurwatamsepuszczaszniewieszżejestwojnatydurnapa... cel na zero koma cztery stopnia, elewacja piętnaście stopni. – Wystawiając język w niesamowitym skupieniu, strzelec M'bote zakręcił małymi mosiężnymi gałeczkami i suwaczkami, kierując wielki miotacz tachionów na niczym się nieodróżniający fragment czerwonego urwiska.

– Mały miś do Dużego Misia, cel namierzony, co mam teraz robić?

– Duży Miś do Małego Misia, ognia, kiedy jesteś gotowy. Rany boskie, co za tępy...

– Dobrze, Duży Misiu. – Johnston M'bote radośnie przycisnął oba kciuki do czerwonego guzika, którego tak się nie mógł doczekać. – Jebut! – krzyknął. – Jebut, sukinsyny!

Podporucznik Shannon Ysangani właśnie zgodnie z rozkazami Arnie Tenebrae wycofywała swoją grupę bojową z pogranicznej pozycji

(obrzydliwie już śmierdzącej moczem i elektrycznością) do umocnień w Blue Alley, gdy Parlamentariusze odparowali całą Brygadę Nowego Glasgow. Ona i jej piętnastu żołnierzy stanowili jedyne ocalałe dwa procent. Shannon Ysangani prowadziła swą grupę wzdłuż Domu Pielgrzyma Wesoły Prezbiter, gdy niezwykle jasne światło padające pod niezwykłym kątem rzuciło niezwykle czarny cień na ścianę z suszonej cegły. Miała w sam raz czasu, by zdążyć zdziwić się tym cieniem oraz faktem, że czerwono-niebieski neon Wesołego Prezbitera nagle się rozświetlił (mocą dotąd nieodkrytego efektu ubocznego urządzeń tachionowych), kiedy strzał uniósł jej ciało i duszę i cisnął nimi o fasadę Domu Pielgrzyma, a dla lepszego finału jeszcze zrzucił na nią ściany, sufit i grubego neonowego Prezbitera we własnej osobie.

Gdyby nie osłona, Shannon Ysangani została by rozsmarowana jak pasztet. Dzięki niej, została tylko zamknięta w czarnym bąblu ceglanego zawału. Czubkami palców po omacku zbadała gładkie granice swego więzienia. Powietrze pachniało prądem i nieświeżym potem. Dwie opcje. Może tkwić pod Wesołym Prezbiterem, póki jej nie uratują lub nie zużyje całego powietrza. Może wyłączyć osłonę (zapewne jedyną rzecz, która nie pozwalała wielotonowemu Prezbiterowi runąć na nią jak prostacki kochanek) i próbować przebić się induktorem pola. Taki był wybór. Przeżyła dość bitew, by wiedzieć, że nie jest tak prosty, jak się wydaje. Ziemia zatrzęsała się, jakby w Drodze Bez Znaczenia stąpnęła zakazana stopa Panarchy; potem jeszcze raz i jeszcze. Szły maszyny bojowe.

Nie mogła uwierzyć, z jaką łatwością Parlamentariusze przebili się przez obronę. Nie mogła uwierzyć, że jeden tak krótki błysk światła mógł nieść taką ilość śmierci i zniszczenia. Ziemia trzęsała się od nieprzerwanej serii ciosów. Kolejny rozbłysk, kolejna anihilacja. Stwierdziła, że w tę nową śmierć też niezbyt wierzy. Ta wojna za bardzo przypominała radiową niedzielną powieść grozy w odcinkach, żeby być wiarygodną. Kolejny strzał. Wesoły Prezbiter z ciężkim stęknieniem osunął się na Shannon Ysangani. Ktoś musi zanieść do kwatery głównej wieść o zniszczeniu. Męczył ją głos, w którym z trudem rozpoznawała obowiązek. Wykonaj swój obowiązek... obowiązek... obowiązek. Wstrząs. Wybuch, gdzieś blisko. Łup, łup, łup, maszynowe buciory maszyny bojowej, gdzieś blisko. A co, jeśli któraś na mnie wlezie? Czy osłona to wytrzyma? Obowiązek, wypełnij...

– Dobra! Już dobra!

Kłęknęła w ciemności pod duszącym masywem Wesołego Prezbitera, dotykiem namacała sterowanie ogniem. Chciała być pewna, pewna

i jeszcze pewniejsza. Bo zdąży oddać tylko jeden strzał. Westchnęła krótko, z rezygnacją i wyłączyła osłonę. Gruzy stęknęły i osiadły. Trzeszczały, miażdżyły... przesunęła induktor pola i walnęła pełną mocą w górę.

Zupełnie jakby wyszła na inny świat. Cały południowoschodni kraniec Drogi Bez Znaczenia zamieniony w dymiące ruiny. Jarzące się szklane kratery, dziewięcioramienne jak słońce Świętej Katarzyny, świadczyły o potwornej skuteczności nowej broni Parlamentariuszy. Przeszli tędy wielką siłą, ich potężne maszyny bojowe, stwory z dziecięcych żelaznych koszmarów stały w rozkroku nad ulicami i budynkami, sycząc parą z przegubów i przerzucając się potężnymi salwami artyleryjskimi z pozycjami oporu Armii Całej Ziemi okopanymi wzdłuż 1. Ulicy. Przejście Parlamentariuszy przez zewnętrzny pierścień obrony rozwalcowało miasto jak trąba powietrzna pole ryżowe. Choć bez strat się nie obyło. Wśród płataniny metalowych nóg leżała zmiażdżona wieżyczka dowódcy maszyny bojowej, niczym rozdeptany pająk. Shannon Ysangani pstryknęła wyłącznikiem osłony, potem się zawahała. W takiej wojnie chyba lepszą taktyką będzie niewidzialność – nie da się strzelać w to, czego nie widzisz. Włączyła nadajnik na kanał grupy i zwołała do siebie ocalałych. Z garści ludzi została garstka. Dwunastu z piętnastu wypełzło z pobitewnego chaosu. Podporucznik Ysangani przełączyła się na kanał dowództwa i krótko zameldowała Arnie Tenebrae o stratach.

Arnie Tenebrae siedziała w sztabie z palcami złączonymi w pozie spokojnej medytacji. W początkowej fazie było dziewięćdziesiąt osiem procent strat, a teraz Parlamentariusze już depczą im po piętach w Stalogrodzie. Kiedyś dziewięćdziesiąt osiem procent strat oburzyłoby jej wojskowy rozsądek i kazało wykrzyknąć żołnierzom nowe, genialne, inspirujące rozkazy. Teraz po prostu siedziała z palcami złożonymi w daszek i tylko kiwała głową.

– Rozkazy są zmienione – powiedziała, kiedy podporucznik skończyła. – Żołnierze mają pod żadnym pozorem nie korzystać z osłon. Tylko tarcze rozpraszające światło i duża mobilność. Jesteście partyzantami. To bądźcie partyzantami. – Przerwała łączność z obrońcami i skupiła się wyłącznie na skomplikowanej maszynie buczącej na kafelkowej podłodze. – Ile to jeszcze zajmie?

– Za dziesięć-dwadzieścia minut będzie podłączone zasilanie – powiedział Dhavram Mantones. – A źródła zasilania trzeba będzie bronić.

– To rozkaż to zrobić.

Arnie nagle wstała i poszła do siebie. W lustrze na ścianie przyjrzała się swojej pomalowanej twarzy. Głupi kaprys – przecież nie była już Ptakiem Śmierci, była teraz Ptakiem Czasu, Chronofeniksem. Ścierając z twarzy idiotyczną farbę rozmyślała o dziewięćdziesięciu ośmiu procentach strat w zewnętrznym pierścieniu okopów. Bez znaczenia. Plastikowe żołnierzyki. Teraz najważniejsza była obrona czasozwijacza i podczas niej zgodzi się spokojnie nawet na sto procent strat. Wszechświatowa śmierć. Ta wizja zaczynała do niej przemawiać.

Shannon Ysangani i jej oddział w najlepszym partyzanckim stylu przekradli się na paluszkach przez Drogę Bez Znaczenia. Sporadyczne szklane kratery upamiętniały tych, którzy za bardzo wierzyli w swoje osłony. Na rogu Błękitnej Alei maszyna bojowa przebiła się przez ściany kancelarii prawnej Singh-Singh-Singh-Maclvor. Kiedy żołnierze rozplynęli się w niewidzialności, Shannon stwierdziła, że ona i szeregowy Murtagh Melintzakis oddzielili się od reszty. Wprowadziła swą niewidzialną postać na werandę herbaciarni New Paradise i przyglądała się, jak wieżyczki kręcą się tam i z powrotem, tam i z powrotem, szukając życia do zniszczenia. Złowrogie maszyny. Wydało jej się, że dostrzeża nawet załogę w hełmach na stanowiskach bojowych. Lęk przed potworami sparaliżował cały jej wojskowy zmysł, nie była w stanie ich zaatakować, nie bardziej niż żelazne potwory z dzieciennych koszmarów. Co innego szeregowy Melintzakis. Musiał w dzieciństwie dobrze spać, bo wysliznął się z niewidzialności, podniósł induktor pola do ataku, a lufa wieżyczki, która akurat pechowo celowała w jego stronę, plunęła z bliska ładunkiem subkwantowej furii. Światło nowej wybieliło każdy centymetr odsłoniętej farby na skrzyżowaniu Błękitnej i Chryzantem. Neony pustych hoteli zamigotały spazmatycznie, jak luminescencyjne wspomnienia, a niedobitki Grupy, z chwilowo przeciążonymi układami rozpraszaczy światła, ukazały się jako niewyraźne półprzejrzyste widma. Shannon Ysangani wykrzyczała paniczny rozkaz rozproszenia się i uciekła w głąb Błękitnej.

– Niezły strzał, Mały Miś! Niezły strzał!

Strzelec Johnston M'bote jednocześnie uśmiechnął się szeroko i splunął, co umiał tylko on, głównie dlatego, że nikt by nie chciał go naśladować.

– Nic takiego. Po prostu celowałem w dobre miejsce w dobrym momencie. Ej! – Rozlatane gałki oczne zarejestrowały ruch na jednym z małych monochromatycznych telewizorków. – Ej, tu jakiś wróg ucieka!

- A daj jej spokój...
- Ale to wróg! Chcę ją zestrzelić.
- Mały Miś, z MT-kim to ostrożnie, jak nie będziesz uważał, odstrzelisz nam nogę!

– A już tam! – burknął Johnston M'bote.

Wyładował swe urażone uczucia na fasadzie herbaciarni New Paradise, kilkunastoma pociskami z działka 88 mm, zanim Duży Miś (a w rzeczywistości komandor podporucznik Gabriel O'Byrne) zbluzgał go za marnowanie amunicji. W nagrodę porządnie się podrapał, głęboko w czeluściach swoich brudnych gaci, a maszyna bojowa T27 *Oświecenie Wschodu* rzuciła się do wsparcia wielkiej walki pod bramami Stalogrodu, po drodze przypadkiem i bez złośliwości rozpruwając pół domostwa Stalinów i całą panią Stalin jednym niedbałym machnięciem przedniej prawej nogi.

– E, tam ktoś jest! – Johnston M'bote widział go przez szczeliny celownicze swojej wieżyczki, osobliwie skróconego przez perspektywę pana Stalina, w bezsilnej furii wymachującego pięściami machinie bojowej, która właśnie zabiła jego żonę z dwudziestoletnim stażem.

– Że co?

– Gość jakiś, Duży Miś!

– Pewnie właściciel tego domu, co go właśnie rozwaliłeś, Duży Miś – zaczął Mama Miś z wyżyn swojej górnej wieżyczki.

Johnston M'bote znał go tylko z płaczącego głosu. Nigdy go nie widział, ale podejrzewał jakąś rywalizację pomiędzy pierwszym bombardierem a dowódcą. W sumie, jak się zastanowić, to dowódcy też nigdy nie widział.

– Że co? – powtórzył Duży Miś.

– Gość, na dole, na wielkim polu fasoli – powiedział Johnston M'bote, w idealnej pozycji, by widzieć to, co się teraz stanie. – No wiesz, myślę, że powinniśmy, ten... uważać, tak jak zawsze mnie ostrzegasz. Oj. No trudno.

– Co tam, Mały Miś?

– Nic.

T27 *Oświecenie Wschodu* przeskoczył na ulicę Zieloną z panem Stalinem pechowo rozmazanym na przedniej prawej nodze.

– Święta Katarzyno! Masz pojęcie, co właśnie zrobiłeś?! – wrzasnął Mama Miś i zaczął opowiadać to dowódcy tak rozwlekle i z takimi szczegółami, że Johnston M'bote wyłączył to karcące gładzenie i zaczął

tańczyć swój palcowy taniec do *Serenady z ulicy Tombolovej* Hamiltona Bohannona i *Rhythm Aces*. Wojna znów stała się frajdą.

Frajdą było nawalanie z działka do obłożonego workami z piaskiem umocnienia, frajdą było stawanie okrakiem nad uciekającymi partyzantami i spopielenie ich jednym „pstryk” MT-ka, frajda była nawet kiedy było strasznie, kiedy usłyszał, jak załoga T32 *Owoc Absaloma* ginie na żywo w jego słuchawkach, wskutek niezauważenia potencjalnych celów.

– Mówię ci, nikogo tam nie ma!

– Musi być!

– Ale komputer mówi...

– Walić komputer!

– Ciebie walić!

– I widzisz, miałem rację, był isssssgrzrzrzzgmmm sffaghszszsz...

– I T32 *Owoc Absaloma* dostał pełny ładunek z induktora pola młodego żołnierzyka Armii Całej Ziemi, wyrzucając swego Dużego Misia, Małego Misia i Mamę Miś wysoko w powietrze w fontannie metalowych odłamków i czerwonego deszczu.

Widząc śmierć *Owocu Absaloma*, Johnston M'bote poczuł w głowie coś nieznanego. Była to oryginalna myśl, przemyślenie jasno świadczące, że jego predestynowana egzystencja dojeżdża do końca torów. Ta oryginalna myśl wzięła go z zaskoczenia, na tyle, że dopiero prawie po minucie włączył mikrofon i odezwał się do Dużego Misia:

– Oj, Duży Miś – zaśpiewał. – Chyba mamy przed sobą niewidzialnego wroga. – Duży Miś zapluł się i zagulgotał w hełmofonie – dowódca awansowany powyżej poziomu swoich kompetencji.

– Ej, a ma ktoś gogle termowizyjne? – Mama Miś zostawił swoje w namiocie razem ze środkiem na owady.

Wywiązała się zawzięta kłótnia. Johnston M'bote założył swoje, nabierając wyglądu sowy z niestrawnością. Rozmyta monochromatyczna mgła, którą widział, niemal natychmiast przyniosła dywidendę.

– Ej! Duży Miś! Duży Miś! Widzę wroga! Żywego wroga!

– Gdzie?

– Po bakburcie, jedynka... – Lubił wojskowe wyrażenia.

Wróg nazywał się Shannon Ysangani.

– No dobra, walimy w nią, tam jest...

Zwisając z dennego włazu dwanaście metrów nad ziemią, w zadymionym powietrzu, strzelec Johnston M'bote sterował machiną i wywrzaskiwał wskazówki do hełmofonu. Maszyna bojowa, wierna

i posłuszna, przeszła przez opuszczone zachodnie skrzydło hacjendy Mandellów, rozpruwając jak strączek groszku ten najtajniejszy pokój, który dziadek Haran niegdyś zamknął na klucz i przeklął, by nigdy nie został otwarty.

Pył osypał się na głowy dynastii Mandellów ukrywającej się w najgłębszej piwnicy. Skały zadygotały i stęknęły. Rael Mandella junior, wciąż nieco deliryczny po jeździe na Marsjańskim Ośle, halucynował o dniach dowodzenia Wielkim Strajkiem, a Kwai Chen Pak śpieszyła, by łagodzić jego tyrady herbatką ziołową. Eva, pracując beztrosko na krośnie, odwinęła ze szpuli na grzebieniu pasmo ogniście czerwonej przędzy i oświadczyła:

– Wszystko to będzie się musiało znaleźć na gobelinie.

Maszyna bojowa T27 *Oświecenie Wschodu* stanęła na baczność na środkowym dziedzińcu domu Mandellów, buchając parą z zaworów ciśnieniowych. Dym owiał wieżyczkę, przydając jej nieludzkiej, złośliwej inteligencji.

– M'bote, coś tam widzisz?

Strzelec M'bote zwisał ze swego podbrzusznego bąbla, rozglądając się przez gogle po kłębach pary i dymu nawianych od strony Stalogrodu, gdzie Parlamentariusze i obrońcy z Armii Całej Ziemi rzucali się na siebie jak ścierające się fale. Wśród monochromatycznego mułu poruszyło się coś niewyraźnie migotliwego.

– Tak! Jest tam! Niech ją ktoś zestrzeli! – Mama Miś okręcił się ze skrzypieniem, by wykonać rozkaz; Duży Miś uniósł morderczą prawą przednią nogę, by zgnieść wroga.

Przez ostatnie parę minut natura wiary w Boga u Shannon Ysangani zmieniła się fundamentalnie, z Wielkiego Łagodnego Miększona, który przydzielił jej nieco więcej szczęścia, niż nakazywałaby sprawiedliwość, we Wrednego Mściwego Dziada-Rybaka, który nie da ujść z haczyka żadnej ofierze. Kiedy Murtagh Melintzakis spłonął zamiast niej – to było szczęście. A teraz pomsta – bo nie mogła się uwolnić od sprawcy tego spopielenia. Machina bojowa bawiła się z nią. Jeden z tych szmaciarzy z załogi nawet wysadzał łeb z wieżyczki, by śledzić przez gogle termowizyjne każdy jej ruch. A jej wspaniała niewidzialność była równie bezużyteczna jak osłona. Pozostawało tylko walczyć i zginąć jak Murtagh Melintzakis.

– Boże, niech cię szlag! – zawołała solipsystycznie, przedzierając się ku Twierdzy Stalogród z maszyną bojową przebijającą się za nią w bezlitosnym pościgu. – Szlag, szlag, szlag!

Wielkie działa kręciły się tam i z powrotem, paskudny mały małpolud pokazywał, stopa się unosiła, a ona nie chciała, nie, kategorycznie nie, pod żadnym pozorem nie chciała skończyć tak jak ten dziesięcioletni żołnierz, w ogniu, jako kula wrzeszczącej z bólu plazmy. Gdy uniosła induktor do strzału, dotarło do niej, że jest już zmęczona zabijaniem. Zmęczona, zbrzydzone, rozczarowana. Głupi małpolud bełkotał coś i nie chciała go zabijać.

– Ja cię nawet nie znam – szepnęła. Ale jeśli zrobi cokolwiek innego, sama zginie.

Okienko na kontakt zamknęło się. Moment przed wyłączeniem osłony do strzału miażdżący stalowy kopniak cisnął ją pod ścianę obory dla lam. Strzał był niecelny, osłona zgasła i Shannon Ysangani poleciała na ścianę z suszonej cegły, która była aż za solidna. Coś w środku popękało i potrzaskało, poczuła smak stali i mosiądzu. Zmąconą resztką samoświadomości zobaczyła, że nie do końca spudłowała. Odstrzeliła górną wieżyczkę, razem ze strzelcem i działem. Z metalowej rany tryskały para i olej, jak krew tętnicza. Zachichotała, aż rozboleły ją żebra i zgasła.

– Kurde, kurde, kurde, kurde, kurde...

Johnson M'bote, zwinięty dla bezpieczeństwa w kłębek w swojej wygodnej i fajnej wieżyczce, ledwo słyszał okrzyki dowódcy.

– Mam cię, a mam cię, mam cię, cholero pieprzona, mam cię, mam...

– Johnston M'bote aż wystawił język spomiędzy zębów, szepcząc do siebie we wścieklej radości i zawzięcie kręcąc małymi mosiężnymi gałeczkami i noniuszami. – Mam cię, babo jedna! – Wycelował ciężką broń w kobietę leżącą na górze popękanych cegieł. – Mam cię... – Co to tam krzyczy Duży Miś? Nie wie, jak trudno się strzela, kiedy cały ten grat trzęsie się i zatacza jak pijak w sobotnią noc? Ostrzega? O czym, kurna? Celownik zajarzył się, idealnie w celu. Strzelec Johnston M'bote nacisnął czerwony guziczek.

– Trach! – krzyknął i w oślepiającym rozbłysku gładko odstrzelił lewą przednią nogę.

– Kurde – powiedział.

– Ty debilu! – rozdarł się Duży Miś. – Ostrzegałem cię, mówiłem, kurna, uważaj...

T27 *Oświecenie Wschodu* zachwiał się jak drzewo na skraju przepaści. Metal jęknął i szcęknął, żyroskopowe stabilizatory zawyły, usiłując utrzymać maszynę w pionie, po czym katastrofalnie zawiodły, nie mogąc sprostać tej próbie. Z majestatyczną, baletową gracją, maszyna

krocząca przewróciła się, szaleńczo waląc we wszystkie strony z miotaczy tachionowych, z parą tryskającą ze zniszczonych stawów, po czym roztrzaskała się o nieustępliwą ziemię Drogi Bez Znaczenia. W ostatnich sekundach upadku Johnston M'bote zdołał dojrzeć, że całe jego życie jechało po szynach ku temu momentowi wspaniałego zniszczenia. Zanim zmiążdżeniu uległa dolna wieżyczka i ciężar spadającego metalu rozgniół go jak dojrzałą śliwkę, zobaczył chwilę swych narodzin i swoją idealnie ukształtowaną główkę wysuwającą się spomiędzy ud matki i zrozumiał, że od samego początku był skazany. Poczł ogromny niesmak. A zaraz potem znów nic nie czuł.

Oscylując na granicy między bólem i przytomnością, podporucznik Shannon Ysangali dojrzała, jak gigant upada powalony własną bronią. Poczł, że wzbiera w niej ogromna, bolesna, rozdzierająca fala śmiechu.

Zakopana pięć pięter pod Stalogrodem Arnie Tenebrae także zobaczyła upadek giganta. Dla niej był to jeden z barwniejszych obrazków w mozaice wojny. Ściana monitorów przedstawiała wojnę we wszystkich jej kolorach, a Arnie delektowała się każdym z nich, przeskakując wzrokiem z ekranu na ekran; krótkie, migawkowe spotkania z wojną, żeby nie utracić ani chwili ze Starcia Potęg.

Wastatorka przeniosła wzrok z emitowanej w telewizji rzeźni na czasozwijacz pośrodku podłogi.

– Ile jeszcze?

– Dwie minuty. Już podpinamy generatory pola do tokamaka.

Obserwatorzy przed monitorami wydali okrzyk.

– Piechota! Rzucają tu piechotę!

Arnie Tenebrae skupiła się z powrotem na ścianie ekranów. Cienka biała linia walki bez wysiłku sunęła przez okopy ku Stalogrodowi. Ostrzał z maszyn bojowych dawał jej wystarczającą osłonę. Podkręciła powiększenie i zobaczyła na białych ramionach Parlamentariuszy znajome wielkie plecaki.

– Cwana, cwana, cwana Marya Quinsana – szepnęła, żeby nikt nie usłyszał i nie pomyślał, że zwariowała. – Wstrzelałaś się we mnie, prawie dobrze, ale jednak nie do końca. – Odgłosy wystrzałów docierały do jej uszu jak strzały korkowców z dzieciństwa, gdy szturmowcy ścierali się z obrońcami. Wojna na kapiszony, nie-żyjesz-padaaj, a kiedy się skończy, wszyscy wstaną i pójdą do domu na obiad. Induktory pola tłukły w induktory pola, póki nie przemówiło tachionowe uzbrojenie na mechach bojowych i nie obwieściło, że koniec gry, teraz i na wieki.

– Gotowy do uruchomienia! – krzyknął Dhavram Mantones.

– No to jedziemy, nie? – powiedział Arnie Tenebrae, Wastatorka.

Zarzuciła wojskowy plecak na ramiona. Dhavram Mantones przerzucił przełącznik kierujący całą moc tokamaka Stalogrodu do czasozwijacza. Eony otworzyły się przed Arnie Tenebrae jak paszcza; rzuciła się w tę rozpadlinę w kaskadzie powidoków.

I rzeczywistość się skończyła.

Pan Jericho i reszta uciekinierów w Barze/Hotelu dowiedzieli się o końcu rzeczywistości, kiedy stwierdzili, że przyciska ich do sufitu. Choć rozdzielili się podczas ataku lotniczego, zeszli się z powrotem tunelami i jaskiniami, którymi zryte były skały pod Drogą Bez Znaczenia; ledwie zdążyli się nerwowo przywitać, gdy odkryli, że stoły, kubki, dywany, butelki i krzesła unoszą się im wokół uszu. Kaan Mandella gonił nadajnik radiowy w skrzynce od piwa, płynąc pod belkami dachowymi czymś w rodzaju nieregularnej żabki. Rajandra Das uczepił się lambrekina i wyjrzał do góry nogami przez okno. Pod okapami domów unosili się napastnicy, obrońcy, niedbające o życie ekipy z kamerami, lamy, świny i kundły. Wydawało się, że w połowie ulicy grawitacja całkowicie się odwraca – tam domy, drzewa, zwierzęta, żołnierze, ziemia i kamienie spadały prosto w niebo. Gdzie indziej trzy puste hotele i Excelsior Curry House pochłonęła ogromna czerwona wydma. Na ulicę w nieważkości padał wielki cień – nad Drogą Bez Znaczenia przelatywało coś wielkości stodoły, kanciastego i brudnopomarańczowego.

– Co się dzieje?

Czcigodni Przodkowie pana Jericha kłócili się w czeluściach jego podwzgórza, kiedy podskakiwał pomiędzy żyrandolami. Wniosek, do którego doszli na koniec, był straszny:

– Musiało im się udać włączyć czasozwijacz.

– Ale kiedy doktor A go użył, tak to nie wyglądało.

Połowa obecnych nie miała pojęcia, o czym mówią Rajandra Das i pan Jericho.

– Alimantando zachował wzór na Inwersję Temporalną w tajemnicy: inżynierowie Tenebrae musieli źle zgadnąć. Zamiast otworzyć strefę

płynności poprzez czas, otworzyli strefę płynnego czasu w przestrzeni, tu i teraz, i rzeczywistość zaczęła się pruć. Prawa czasoprzestrzeni się łamią i wydaje mi się, że na nasz wszechświat nakładają się inne, alternatywne.

– Co to znaczy? – zapytała Santa Ekatrina Mandella, która przez jedenaście lat była żoną praw czasoprzestrzeni.

– To oznacza koniec konsensusowej rzeczywistości przyczynowo-skutkowej. – Barem/Hotelem poruszyły pierwsze wstrząsy. Skały pod ulicą, uwolnione od ciężenia, zaczęły się poruszać. – Chyba że.

– Chyba że? – zapytali jednocześnie Sevriano i Batisto Gallacelli.

Czcigodni Przodkowie na to pytanie też już odpowiedzieli i ta odpowiedź była nie mniej straszna od poprzedniej.

– Chyba że uda nam się odciąć czasozwijaczowi zasilanie.

– To znaczy wyłączyć stalogrodowy tokamak?

– To znaczy. I, Rajandra, potrzebny mi jesteś do tego. Potrzebuję twojego talentu do czarowania maszyn.

– W życiu ci się to nie uda, staruszkule – powiedział Kaan Mandella. – Ja to zrobię.

Pan Jericho już trzymał otwarte drzwi. Ulicą wiał świetlisty wiatr wypełniony widmowymi twarzami, unosząc wszystko co nieważkie i niezamocowane na pustynię.

– Niestety, chyba tylko ja mogę to zrobić. Umiesz dochować tajemnicy? Słyszałeś o Dyscyplinach Damantyńskich?

– Tylko Czcigodne Rody... – zaczął Kaan, lecz pan Jericho odparł: „Dokładnie” i wyskoczył na ulicę.

Rajandra Das po chwili wahania rzucił się za nim.

– Spróbujcie jeszcze wywołać Persis przez radio! – zawołał w przelocie. – Może będzie nam potrzebna, żeby narobić zamieszania. – Nie dodał: „O ile jeszcze żyje”.

Na skrzyżowaniu Bread Alley ciężenie wróciło do normy, ale ulewa wrzącego deszczu kazała panu Jerichowi i Rajandrze poszukać osłony. Pod parapetem okna znaleźli podgotowanego partyzanta. Pan Jericho zdarł z niego pancerz i ubrał w niego Rajandrę, razem z hełmem, modułem zasilającym i modułem uzbrojenia.

– Może ci się przydać – powiedział.

Nie trzeba było mieć wyostrzonego po damantyńsku słuchu, by słyszeć gdzieś blisko strzały z broni krótkiej. Puścili się biegiem pomiędzy kroplami parzącego deszczu na Plac Sędziego Mosmana, gdzie wskazówki miejskiego zegara kręciły się, robiąc godzinę w sekundy.

W widoczny sposób starzejąc się w biegu, uciekli ze strefy przyśpieszonego czasu i pobiegli ulicą w dżunglę zielonych lian i pnączy, które oplątały dymiące szkielety dwóch maszyn bojowych. Pan Jericho obszedł strefę relatywistyczną i przeszedł przez region niewytłumaczalnej nocy na ulicę Alimantanda. Fala uderzeniowa bliskiego trafienia z induktora pola przewróciła ich obu. Rajandra Das rzucił się za panem Jerichem do ukrycia, gdy seria kolejnych strzałów z dachu urzędu burmistrza roztrzaskiwała fasady kolejnych domów na ulicy Alimantanda. Sekundę później trzęsienie czasu porwało siedzibę burmistrza do kiedy bądź i zastąpiło ją ćwierćhektarowym pastwiskiem z białym płotkiem oraz trzema i pół czarno-białymi krowami.

– Święte dziecko! – szepnął Rajandra Das.

Pan Jericho znalazł w drzwiach wypalonego domu chłopaczka-żołnierza Parlamentariuszy i rozszabrował biały mundur polowy. Na drugim końcu ulicy gniewnie zamigotała fioletowa błyskawica.

Przedzierali się dalej przez świat ogarnięty szaleństwem. Tu ciężenie przekręciło się o dziewięćdziesiąt stopni, zmieniając ulice w ściany urwisk, tam bąble nieważkości toczyły się uliczkami, czatując, by dopaść śmiałków, którzy wypuścili się ze swoich piwnic; ówdzie pół domu szło w tył, a gdzieś jeszcze rośliny w ogrodzie w parę sekund urastały do dających cień drzew. Na dachach domów widać było uganiające się zielone postacie, niczym wysokich, chudych ludzi. Ściągały na siebie ogień żołnierzy, którzy byli jeszcze zdolni do walki. Pod drzewami, które jeszcze były nasionami, tańczyły, trzymając się za ręce, widma nienarodzonych dzieci.

– Jak myślisz, daleko to sięga? – zapytał Rajandra Das.

Zerwał się potężny wiatr, ciągnący ich do wewnątrz Stalogrodu, gdzie epicentrum tego obłędu wirowało szybciej-szybciej-szybciej, sięgając we Wszechplazmatyczne Omniwersum.

– Na razie jest lokalne – odparł pan Jericho. Siekł go stalowy wiatr. – Ale im dłużej będzie chodził czasozwijacz, tym większa będzie strefa zaburzeń.

– Pewnie nie powinienem tego mówić, ale moje nogi nie chcą tam iść. Boję się. Strasznie.

Pan Jericho popatrzył na otulającą Stalogród kurtynę czarnego dymu przetykanego błyskawicami.

– Ja też – przyznał.

Kiedy biegli do ściany czasowej, rzeczywistość zatrzęsała się i zadygotała. Na dworzec Drogi Bez Znaczenia wpłynął wieloryb.

Archangielsk sikał na polu kapusty. Widmowa postać, wysoka jak drzewo, stała w rozkroku nad miejskimi bateriami solarnymi i wymiatała na czerwonej gitarze ogniste solówki. Z palców sypały mu się błyskawice, zbierające się w małe kulki, turlające się jak biegacze pustynne pod nogami dwóch mężczyzn. Pan Jericho i Rajandra Das dali nura w wir dymu.

– Co, kur...

Toczyła się tu bitwa posągów – ślimaki i żółwie atakowały się nawzajem promieniami tachionowymi powolnymi jak pięści pijaka.

– Rozciągnięcie czasu – wyjaśnił pan Jericho. – Chodźmy.

– Znaczący przez środek tego?

– Oni nas nie widzą. Patrz.

Pan Jericho lawirował na polu bitwy, kucając pod ślimaczymi promieniami tachionowymi i uchylając się przed żółwimi impulsami induktorów pola.

– No chodź.

Rajandra Das przekradł się przez einstenowskie pole bitwy. Próbował wyobrazić sobie, jak jego przejście wygląda dla zamrożonych w czasie walczących – czy jest wirem, błyskiem światła, sekwencją rozmazanych obrazów, niczym kapitan Quick w starych komiksach, jakie mu kiedyś kupowała matka? Poszedł za panem Jerichem w korytarz pomiędzy dwiema gruszkami stalowni i wylądował w nieoczekiwanej strefie nieważkiej. Dzięki rozpędowi wykonał eleganckie salto w tył.

Pan Jericho coś krzyczał, coś o jego induktorach pola? Nawet nie pomyślał o urządzeniach, które miał na sobie. Włączyć osłonę? Nie wiedział, jak to się robi. Pomajstrował przy gałkach na przegubie i nagrodziło go elektrostatyczne ukłucie w twarz, dokładnie w tej samej chwili, w której nagły potężny cios rzucił go, wirującego, w przestrzeń. Gdy odbił się rykoszetem od boku komina nr 16, mignął mu pan Jericho odbijający się od ściany do ściany jak we fliperze. Centralny tokamak ewidentnie był dobrze broniony.

Drugi impuls z induktora i pan Jericho rzucił się zygzakiem od wielkiego pieca, po taśmociąg, po gruszkę. Tylko kradziona osłona uratowała go przed śmiercią i rozbiciem w pył.

– Za stary na to jestem – powiedział swoim Czcigodnym Przodkom.

Przypomnieli mu o obowiązku, honorze, odwadze. Łatwo im mówić, wolnym od tyranii skrępowanego czasem ciała. Mogą się cały dzień tak odbijać jak gumowe piłeczki, jak tylko zechcą. Nagle przed nim zamajaczył Rajandra Das; zderzyli się ze sobą i odbili. Gdy pan Jericho

koziółkował przez Strefę Anarchiczną, Czcigodni Przodkowie przypominali mu, że z każdą sekundą i każdym wahnięciem świat coraz bardziej oddala się od konsensusowej rzeczywistości.

W połowie lotu Rajandra Das uświadomił sobie, że przeszedł z fazy przerażenia zbyt wielkiego, by móc się bać, do fazy histerycznego śmiechu. Jest coś bardziej absurdalnego niż odbijanie się od maszyn hutniczych podczas burzy czasowej uruchomionej przez bandę terrorystów broniących termojądrowego tokamaka zasilającego maszynę czasu, która wymknęła się spod kontroli? Wiedział, że jeśli raz się z tego zaśmieje, nie będzie już w stanie przestać.

Coś mu zatrzeszczało w słuchawce w uchu.

– Cześć, chłopaki. Jak tam się bawicie?

Pan Jericho też usłyszał ten głos i odpowiedział:

– Persis! Kochana! Tu Jim Jericho. Proszę, żebyś natychmiast zaatakowała siły okopane wokół elektrowni w Stalogradzie.

– Zrozumiałam.

– Persis, sugeruję uważać na poważne zaburzenia rzeczywistości.

– Nie musisz mi mówić.

– I, Persis...

– Tak?

– Jeśli nic się nie uda, i tylko jeśli nic się nie uda, rozwal tokamak.

– Ale będzie...

– Wybuch termojądrowy. Tak.

– Zrozumiałam. Raz... dwa... lecę.

Seria strzałów z pozycji wokół tokamaka rzuciła Jimem Jerichem jak piłką ręczną, gdy pomiędzy kominów zanurkował Yamaguchi & Jones. Podskrzydłowe miotacze tachionowe uruchomiły się, nastąpił wybuch taki, że pan Jericho przestraszył się, że może jednak rozwaliła tokamak, lecz nagle Persis Tatterdemalion zaczęła wzbijać się w niebo w ucieczce przed skrzydlatymi postaciami goniącymi ją z szablami. Pan Jericho opuścił osłonę i złapał się filaru. Rajandra Das zrobił to samo, a kiedy przepływał, pan Jericho chwycił go za kołnierz.

Z obrońców nie pozostał ani strzęp munduru, ani but. Hala generatorów była pusta, nie licząc śpiewu tokamaka.

– Groźne urządzenia – powiedział Rajandra, kładąc niechlujnie dłonie na sterownikach.

– Myślałem, że się na nich znasz.

– Na tych z lokomotyw. Ten jest inny.

– Teraz mi mówisz.

- No, panie Dyscyplina Damantyńska, pan go wyłącz.
- Nie mam pojęcia jak.

Powietrze rozdarły odległe wybuchy. Metal zazgrzytał i zajęczał, żelazne kroki maszyny bojowej zatrzęsły halą generatorów. Palce Rajandry Dasa przebiegły po lampkach kontrolnych i się zawahały.

- A co się stanie, kiedy prąd się wyłączy?

– Nie jestem pewien.

– Nie jesteś? Nie jesteś?! – Okrzyk Rajandry odbił się brzękliwie od stalowych ścian.

- Teoretycznie rzeczywistość powinna wrócić do konsensusowej.

– Teoretycznie.

– Teoretycznie.

– W sam raz czas na „teoretycznie”. – Palce Rajandry zatańczyły na sterownikach. Nic się nie stało. Przeleciały jeszcze raz. Za trzecim razem Rajandra Das zagrał na tablicy sterującej jak na fisharmonii w kaplicy i tym razem też nic się nie stało.

- Coś nie tak?

– Nie umiem! Za dużo czasu minęło. Straciłem mój dotyk.

- Daj, ja zobaczę...

Rajandra Das lufą induktora pola odpędził pana Jericha od kontrolek. Wymamrotał parę modlitewnych słów i wpakował w tablicę sterującą pełny impuls. Kiedy eksplodowała, zatoczyli się w tył, oślepieni iskrami i lecącymi obwodami. Łagodne regularne buczenie tokamaka wzmoгло się do pisku, wycia, ryku furii. Rajandra Das padł na kolana, błagając bogów o wybaczenie marnotrawnego życia, gdy nagle niszczycielski wizg reakcji termojądrowej ucichł. I w tej samej sekundzie obaj poczuli, że hala, Stalogród, cały świat wywraca się na lewą stronę i z powrotem na prawą. Z grzmotem wdzierającej się w świat rzeczywistości czasozwijacz implodował i wessał pięciopoziomowe centrum kontroli czasu Arnie Tenebrae oraz cały jego personel w nigdość.

Ściana czasu eksplodowała promieniście. Z nieba pospadali nieważcy ludzie; wieloryby, archaniołowie i gitarzyści zniknęli, a świetlisty wiatr przewiał wrzący deszcz. Zatrzymał się każdy zegar i został tak na zawsze, mimo prób naprawy podejmowanych przez kolejne pokolenia oddalone o wiele kilometrów od dnia burzy czasowej.

Kiedy burza czasowa się uspokoiła, pan Jericho wyszedł z hali martwego tokamaka, by stwierdzić, że tylko częściowo miał teoretycznie rację. Pełna ćwiartka Stalogrodu została odcięta jakby niesamowicie ostrym nożem, a w miejscu rur i belek po horyzont ciągnęła się czerwona skała. Pole Krystalicznych Ferrotropów przerywały niespójne odcinki dziewiczych wydm, zielone oazy bananowców i pryszcze stopionych na szkło kraterów. Gdy dołączył do niego Rajandra Das i zaczęli wracać do Drogi Bez Znaczenia, szli przez fantastyczny krajobraz dziwów i cudów. Ulice kończyły się nagle pustynią albo były zasypane potężnymi wałami wydmowymi; pośrodku ogródków stały lokomotywy, a domy – w jeziorach. Jeden tor linii kolejowej kończył się nagle pośrodku małej, ale bujnej dżungli, a cały obszar nowej zabudowy za torami stał się z powrotem pustą równiną.

Ulice zaczęły wypełniać się twarzami. Oszołomieni alchemią, która pochłonęła Drogę Bez Znaczenia, szukali zagubionych w czasie domów i rodzin. Nie wiedzieli, bo i nie mogli, że kiedy zginająca rzeczywistość moc czasozwijacza została wyłączona, wszystkie fantomowe geografie Drogi Bez Znaczenia skleiły się, skrzepli i utrwaliły się w chwili, gdy pan Jericho i Rajandra Das zatrzasnęli drzwi do Wszechplazmatycznego Omniwersum.

Pęknięcie było zasklepienie, a bitwa skończona. Ocalali szacowali stopień zwycięstwa. Pełna jedna trzecia Legionu Parlamentarnego Maryi Quinsany uległa nieistnieniu, gdy uderzyła burza i wróciła do zadań, zajęć, życ, które mogliby prowadzić, gdyby nie uwiodło ich bębnienie werbunkowego werbelka. Ci, których nie zmiotło w innoczasowość, ponieśli tylko lekkie ofiary. Za to broniąca się Armia Całej Ziemi została

w dużej mierze zanihilowana. Siedemdziesiąt procent strat i odcięta cała dowódcza głowa, w zdarzeniach, które zaszły w mocno bronionej reducie pod Stalogrodem; Shannon Ysangani poddała niedobitki swej armii generałowi Emilianowi Murphy'emu i płakała łzami radości, gdy jej towarzyszy prowadzono do obozów internowania na skraju pustyni.

– Przegraliśmy! – Śmiała się, a łzy ciekły jej po twarzy. – Przegraliśmy! Przegraliśmy!

Armia Całej Ziemi przestała istnieć.

Dwie godziny przed zmrokiem dwusilnikowy samolot akrobatyczny Yamaguchi & Jones GF666Z podszedł do lądowania tuż za torami. Przyjaciele, którzy najbardziej ją kochali. Przyjaciele, którzy najbardziej ją kochali, ponieśli ostatnią ocalałą z Latającego Cyrku Tatterdemalion na ramionach przez ulice, do Baru/Hotelu, a po drodze salutowały jej wszystkie serca i dłonie.

Tego samego wieczoru Marya Quinsana zorganizowała w miasteczku triumfalny pochód z pochodniami. Obwodnicę Stalogrodu obstawiały na jej cześć maszyny bojowe, obywatele na jej cześć wiwatowali, lecz ona nie była zadowolona. To nie było czyste zwycięstwo. Majstrowanie przy czasie i historii kłóciło się z jej polityczną wrażliwością. Historia jest wryta w kamieniu. Nie jest widmową istotą, którą można rzucić w powietrze, by leżała tam, gdzie upadnie. Nie lubiła myśleć o swoim życiu jako o zbiegu potencjalnych rzeczywistości. Nie lubiła myśleć o tym, gdzie trafili wszyscy jej znieistnieni chłopcy-żołnierze.

Po nabożeństwie dziękczynnym w Bazylice Szarej Pani zażądała, by przyprowadzono do niej Arnie Tenebrae. Bardzo chciała wyładować swoje niezadowolenie przez okaleczenia i męki, lecz poszukiwania w Stalogrodzie i Drodze Bez Znaczenia, które nastąpiły, nie przyniosły wyników – nie znaleziono nawet jej trupa. A zatem po pięciu dniach triumfowania przed kamerami dziewięciu kontynentów Marya Quinsana wróciła na wzgórze Mądrości, żeby zdjąć premierowski pierścień z palca czcigodnego Vangelisa Karolaitisa, przy czym zrozumiała, że szacowny starszy dżentelmen nie jest ani szacowny, ani dżentelmeński, ani czcigodny, dotarło do niego bowiem tyle relacji o okrucieństwach popełnianych przez jego minister bezpieczeństwa podczas dławienia Armii Całej Ziemi, że powinien był dopilnować, aby ten pierścień dostała po jego trupie. A co do małej Arnie Tenebrae, Deathbirda, Wastatorki, nikt już nigdy o niej nie usłyszał, choć nie brakowało wyjaśnień, wymysłów i plotek, które z czasem stały się kanwą ludowej opowieści, która z czasem stała się legendą, która z czasem stała się mitem, i tak oto imię

małej Arnie Tenebrae zostało wypisane na niebie – a przecież tylko tego zawsze pragnęła.

Cadillac Natchniony obudził się ze stalowym krzykiem z żelaznego snu. Pamięć i świadomość zawodziły go – co to za jasne światła, wysoki strop, co to za słudzy w zielonych kitlach kłaniający mu się w pas? Usiadł, by domagać się wyjaśnień, ale odpowiedziały mu okrzyki przerażenia i religijnej trwogi.

– O panie, o panie, och, to prawda, to prawda! Och, panie, pobłogosław.

Młody postulant z metalową połową twarzy padł na podłogę w adoracji. Cadillac Natchniony zszedł z łóżka (czy stołu operacyjnego?), spostrzegł własne odbicie w białych ściennych kafelkach i wszystko sobie przypomniał.

– Całkowite umartwienie! Z człowieka w stal... – Popatrzył na swe ciało, dłonie, kończyny. Metal, gładki, twardy metal nieskażony zepsuciem ciała, niesplamiony czerwoną krwią, sam czysty, święty metal. Uniósł stalowe ramiona w dziękczynnym geście.

– Całkowite umartwienie! Udane całkowite umartwienie! – Śpiewając „Alleluja”, personel techniczny padł krzyżem.

Cadillac Natchniony podziwiał własną postać w kafelkach i przypominał sobie...

...głos Wielkiego Inżyniera ogłaszający go prorokiem

...armię stojącą naprzeciw armii, a pomiędzy nimi Ubożątka, bezradne, pozbawione przywództwa

...jaskrawe światła, buczące, świetliste maszyny, zimne, zimne kafelki, błyskającą stal, ciemność.

– Osiem dni, o święty. Świat oszalał, święty ojciec: kopuła bazyliki zniszczona, sanktuarium sprofanowane przez mięsuchów świętujących

zwycięstwo; na tych tu ulicach odbyła się wojna, przegrana i wygrana, zginęły setki ludzi, a potem... proszę wybaczyć, ale oszalały i czas, i przestrzeń. Wszystko się zmieniło; obłąd szaleje we wszechświecie.

– Spokojnie, o maluczki. Jest więc pora na przywrócenie porządku i harmonii – odrzekł Cadillac Natchniony. Skupił się, wokół jego prawego przegubu zamigotała i zmaterializowała się czarna aureola.

Techników zatchnęło i zawołali „Alleluja”.

– Jestem tym, czym była Szara Pani, a nawet więcej. Ona była z prostego ciała, ja jestem ze świętej stali. Jestem wybrańcem Wielkiego Inżyniera, Człowieka Przyszłości. W moich obwodach płonie moc...

I wtedy rozwarł prawą dłoń i ciemność popłynęła na wszystkich techników oprócz tych dwóch, którzy z nim rozmawiali, i przemieniła ich w czarne, dymiące stwory, tak paskudne i odrażające, że aż wymykały się wyobraźni. Natchniony Cadillac zaśmiał się metalowym śmiechem. Był uzależniony od potęgi, a każde kolejne okrucieństwo musiało być większe, głębsze, pełniejsze. Na oczach skulonych akolitów przeobraził się, rozmazał w alchemii, wyrosły mu skrzydła, wirniki, piły mechaniczne, miotacze tachionowe, anteny radiowe, przenośne stołowe fisharmonie, koła, gąsienice, silniki odrzutowe, płozy i pralki.

– Chodźcie ze mną – rozkazał cybernetykowi i technikowi, który tytułował go panem. – Zmęczyła mnie ta przemiana. – Zwrócił się do cybernetyka: – Będziesz moim szambelanem. – A do technika powiedział: – A ty głównym inżynierem. Nie bójcie się mnie... kochajcie mnie. Musicie. Bo ja tak rozkazuję. A teraz chcę odebrać cześć od moich wiernych.

– Tego – powiedział szambelan.

– Ten – powiedział główny inżynier.

– Gdzie są ci wierni? – dopytywał się Cadillac Natchniony.

– Niestety nie okazali się tak wierni jak my – stwierdził szambelan.

– Uznali, panie, że zginąłeś, kiedy samolot uderzył w kopułę i się zawaliła – dodał główny inżynier.

– Ale ty oczywiście byłeś bezpieczny pod ziemią.

– Ale oni tego nie wiedzieli.

– Więc, ten... skierowali swą wiarę gdzie indziej.

– Wybrali sobie inny przedmiot czci.

– Znaczący... pociąg.

– Przyjechał ze Stalogrodu po burzy czasowej i zaproponował, że wywiezie Ubożątka w bezpieczne miejsce.

– Widzisz paralelę, prawda, święty ojciec? Z prorocत्वami, które rozgłaszałeś? Że ze Stalogrodu wyjdzie Stalowy Mesjasz i zbawi wiernych przed wojną i zniszczeniem.

– I one, ten... poszły w to.

– Co takiego?! – zaryczał Cadillac Natchniony. Powiększył łopaty wirników i rzucił się w powietrze.

– Na zachód – dodał jeszcze szambelan.

Z powietrza Cadillac Natchniony widział, że w Miasto Wiary musiała uderzyć katastrofa gorsza od zwykłej wojny. Kopuła Bazyliki Szarej Pani (teraz, zauważył, Bazyliki Całkowitego Umartwienia) leżała w gruzach na kafelkowej podłodze sali audiencyjnej. Całe wschodnie skrzydło razem z kilkunastoma hektarami Miasta Wiary zostało zmiecione i zastąpione podobnym arealem obsadzonym dobrze nawodnioną kukurydzą. Prywatne pokoje Szarej Pani były stopionym kraterem w skale, a obok nich stały splątane resztki jakiegoś prymitywnego trójnożnego urządzenia.

– Co tu się działo? Wojna, groza, szok, apostazja; i to na rzecz lokomotywy!

Żeby to jeszcze był jakiś okaz talentu budowniczych lokomotyw, pomyślał Cadillac Natchniony, patrząc z daleka na linię białej pary na zachodnim horyzoncie. Termojądrowa, towarowa klasa 27 firmy Great Southern, z tokamakami dawno wymagającymi remontu. Farba obłazi i łuszczy się, a co to w ogóle jest tam napisane, Objazdowa Edukacyjno-Rozrywkowa Ekstrawagancja Adama Blacka? Żałosne. Lśniąc srebrzyście w pustynnym słońcu, Cadillac Natchniony uruchomił wbudowany system megafonów i zaczął karcić swoich wiernych.

– Ech, wy, ludzie małej wiary!

Twarze w oknach zaimprovizowanych wagonów. Przerażone miny. To dobrze.

– Co za niewierne i przewrotne pokolenie! Obiecałem, że wrócę do was jako Całkowite Umartwienie, lecz nikomu nie chciało się poczekać ośmiu dni na spełnienie tej obietnicy! Złamaliście przymierze! Bałwochwalcy! Czciecie tego... złotego cielca zamiast fizycznego objawienia Kosmicznego Inżyniera! Patrzcie oto, jak roztrzaskują fałszywych bożków!

Nadleciał jak śmigłowiec nad jadący pociąg i uniósł dłoń, by cisnąć cybernetyczny piorun.

– Wolelibyśmy wszyscy, żebyś tego nie robił – odezwał się bardzo niespodziewanie pociąg.

Moc wyparowała z czubków palców Cadillaca Natchnionego.

– Co takiego?

Pociąg powtórzył wypowiedź słowo w słowo.

– Gadający pociąg! No, no, no.

– Coś więcej – powiedziała Klasa 27. – Ja jestem Totalnym Umartwieniem.

– Bzdura! Bluźnierstwo! Ja jestem Totalnym Umartwieniem, jedynym i prawdziwym.

– Jesteś maszyną uczynioną z człowieka. Ja jestem człowiekiem uczynionym z maszyny. W głębi duszy nadal jesteś cielesny, bo wciąż masz zewnętrzne kształty człowieka, a ja wyzwoliłem się z tego antropomorficznego szowinizmu. Jestem maszyną w kształcie maszyny.

Z okien wysunęły się głowy Ubożątek, ewidentnie delektujących się teologicznymi zapasami. Cadillac Natchniony stwierdził, że mimo wściekłości budzi to w nim ciekawość, i zapytał:

– Co z ciebie za stworzenie?

– Zajrzyj do mojego pomalowanego wagonu – odparł pociąg.

Cadillac schował wirniki i wylądował przy użyciu silników odrzutowych na dachu, z którego oblażyła farba. Wysunął teleskopowe oko kamery, by zajrzeć do środka. Okna były zarośnięte pajęczynami i kurzem, podobnie samo wewnątrz wagonu – kurz, pajęczyny, starość i zaniedbanie. Pośrodku wagonu stał spękany skórzany fotel, a w nim siedział zmumifikowany trup. Na głowie miał metalowy diadem o dziwnej i misternej konstrukcji.

– To był Adam Black – powiedział pociąg. – Gdy jego dusza przeszła na mnie, zamknąłem ten wagon, żeby już nigdy nie został otwarty. To, co on reprezentuje, jest już poza mną, jestem maszyną/człowiekiem, prawdziwą istotą przyszłości, Całkowitym Umartwieniem, jeśli wolisz. Przez wiele lat podróżowałem torami tego świata w poszukiwaniu misji dla mojej duchowej tożsamości, aż wreszcie usłyszałem o Dumbletonianach z Drogi Bez Znaczenia, miejsca, które dobrze poznałem w cielesnym wcieleniu – i serce podpowiedziało mi, że to jest sens mego istnienia. Przyjechałem więc, a oni obwołali mnie Stałym Mesjaszem i zabrali się ze mną swoją zdezelowaną karawaną ze starych wagonów i wozów. A ponieważ może być tylko jeden Stały Mesjasz, niestety musimy odbyć walkę.

Cadillac Natchniony poderwał się z pędzącego pociągu impulsem odrzutowym, a Adam Black puścił po swojej konstrukcji wypalającą obwody cybernetyczną komendę. Cadillac uniósł się na bezpieczną

wysokość i strzelił piorunem najczystszej boskiej mocy, odłączając zdezelowane wagony Ubożątek od Objazdowej Edukacyjno-Rozrywkowej Ekstrawagancji Adama Blacka. Zanim bluźnierczy pociąg włączył awaryjne hamowanie i się zatrzymał, Cadillac Natchniony wysnuł ze swoich stóp diamentową linię i zaczął holować wiernych z powrotem do Drogi Bez Znaczenia. Adam Black buchnął białą parą, zmienił kierunek jazdy i przyśpieszył w pogoni za Ubożátkami.

Cadillac Natchniony puścił ładunek i odwrócił się do agresora. Adam Black zahamował i stał na torach, pulsując termojądrową energią.

– Nie tutaj – powiedział. – Zgodzisz się, że bezpieczeństwo Ubożątek przede wszystkim?

– Tak.

– No to dobrze.

Adam Black dodał gazu i ruszył zachodnią linią. Cadillac Natchniony rzucił weń ognistym rozkazem detonacji silników termojądrowych. Skomputeryzowane systemy obronne Adama Blacka bez wysiłku anulowały to zakłęcie. Przez pięćdziesiąt kilometrów drogi przez pustynię człowiek-rakieta i człowiek-pociąg bezskutecznie obrzucali się komendami i kontrkomendami. Na kolejnych dwudziestu uciekli się do broni fizycznej. Impulsy dźwiękowe ścierały się z impulsami dźwiękowymi, rakiety natykały się na roje morderczych robocich pszczoł, karabiny maszynowe na wieżyczki laserowe, miny na mechaniczne małpy, błyskawice na pioruny, pazury na działka wodne, wspomagane siłownikami ciosy na piankę polimerową, strumienie przegrzanej pary na impulsy mikrofalowe – dwaj Całkowicie Umartwieni walczyli, aż po Drodze Bez Znaczenia zostało tylko wspomnienie skryte za wschodnim horyzontem.

Wtem Cadillac Natchniony zobaczył na skraju świata oślepiający rozbłysk, a po nim kolejny, jeszcze jeden i jeszcze, aż mrugając porażonymi oczyma, zdał sobie sprawę, że tkwi zamknięty w stożku białego światła. Chromowana powłoka rozjarzyła mu się na wiśniowo, czerwono, żółto, a obwody zaczęły się przepalać i działać wolno jak mucha w smole, zanim dotarło do niego, co mu zrobił Adam Black.

– Bardzo pomysłowe, niezmiernie, przestawić lustra orbitalne ROTECH-u, żeby skupiły się na mnie. Nie pomyślałem, że mój wróg może być taki przedsiębiorczy.

Śmiałe myśli, ale puste. Był już rozpalony do białości. Choć jego układy naprawiały się samoczynnie równie szybko, jak uszkadzał je żar,

wytrzymają tak jeszcze ledwo kilka minut. Spróbował sięgnąć i pozbawić Adama Blacka kontroli nad vanami, lecz wola lokomotywy była zbyt silna.

Czuł, że jego wciąż ludzki mózg wygotowuje się w metalowej czaszce. Nagle go olśniło.

– Ja cię przelicytuję! – wrzasnął do swoich rozpalonych układów. – Przelicytuję!

Przywołał resztki gasnącej siły i wzbił się w niebo, wysoko, wysoko, wyżej niż orbitalne lustra, orfy i habitaty, aż po niszczycielskie akceleratory cząstek. Wśliznął się do nich, przejął kontrolę i wycelował piętnaście orbitalnych akceleratorów subkwarkowych w Adama Blacka, małą pchełkę pędzącą po skórze okrągłego globu.

Zanim Cadillac Natchniony wydał rozkaz strzału, Adam Black domyślił się jego strategii.

– Głupi, głupi, głupi, wybuch zniszczy nas obu! Nie! Nie rób tego!

– Tak, tak, tak! – zawołał Cadillac Natchniony, gdy zdrowie jego umysłu topniało, a mózg się rozpuszczał. Odpalił akceleratory.

Ludzie w Drodze Bez Znaczenia mówili, że to było jak drugi świt; piękne było, mówili. Zobaczyli piętnaście fioletowych promieni uderzających z nieba niczym sprawiedliwość Panarchy, a potem biały rozbłysk, czysty jak cnota, wypełniający cały zachodni horyzont przez dwie sekundy. Piękne, mówili, piękne... łuna po wybuchu zabarwiła zachodnią stronę nieba na różowo i niebiesko, a zwiewne welony zórz falowały jak duchy nad pobojuwiskiem. Jeszcze przez miesiąc Droga Bez Znaczenia mogła się cieszyć oszałamiającymi zachodami słońca.

Kiedy wróciły Ubożątka, ciągnąc za sobą rozklekotany pociąg ze starych wagonów, po części zbudowanych z rozebranych faweli, przyniosły ze sobą prawdziwą historię końca Objazdowej Edukacyjno-Rozrywkowej Ekstrawagancji Adama Blacka oraz Cadillaca Natchnionego, Szambelana Szarej Pani, Całkowicie Umartwionego.

– Świat nie był gotowy na Całkowite Umartwienie – powiedziały.

Szambelan i główny inżynier, cybernetyk i technik długo deliberowali nad znaczeniem tego, co stało się na zachodnim kraju świata, a potem wydali długo oczekiwany i na wpół zapomniany rozkaz, każący Ubożątkom Niepokalanym Po Częściach zakraść się w środku nocy do Stalogrodu i uprowadzić jedną z zapomnianych i porzuconych lokomotyw towarowych klasy 88, które zbierały tam rdzę i pajęczyny od czasu Wielkiego Strajku. Pod przywództwem szambelana i głównego inżyniera, którzy nazywali się Plymouth Glyde i Spirit Dynamo, Ubożątka Niepokalane Po Częściach wyjechały z Drogi Bez Znaczenia, by zająć

się nadal nierozwiązaną kwestią praw dla maszyn. Odjechały w przeciwnym kierunku niż ten, z którego tyle lat temu przybyły, ponieważ, jadąc tam, wpadłyby do ziejącej dziury w pustyni, krateru zielonego szkła w miejscu, gdzie zdezelowane tokamaki Adama Blacka eksplodowały pod wizgiem i ostrzałem superprzyspieszonych promieni subkwarkowych z nieba i rozproszyły atomy człowieka, maszyny i umartwionego, tworząc z nich przepiękny zachód słońca.

W pyliste wieczory, gdy letnie błyskawice przydawały efemerycznego życia popękany m rurkom neonów pozamykanych hoteli i jadłodajni, pan Jericho i Rajandra Das siadywali na werandzie, żeby pić piwo i wspominać.

– Ej, a pamiętasz Persis Tatterdemalion? – mówił Rajandra Das.

– Świetna kobieta z niej była – odpowiadał pan Jericho, patrząc na iskrzenie nad horyzontem. – Świetna, naprawdę świetna kobieta.

I obaj przywoływali z pamięci barwny wątek historii, który wplotła w opowieść o Drodze Bez Znaczenia i zakończyła odlotem w stronę zachodzącego słońca, po obwołaniu zbawczynią miasta, z dwoma synami lecącymi w szyku w transportowych sterowcach zakupionych po likwidacyjnych cenach od Korporacji Bethlehem Ares. Pieniądze ze sprzedaży Baru/Hotelu pozwoliły jej zatrudnić dwoje dodatkowych pilotów, Callan i Venna Lefteremidesów, noszących wojenne blizny, ale nietkniętych po ataku na Drogę Bez Znaczenia.

– Ciekawe, co ona tam teraz porabia? – mówił Rajandra Das.

A pan Jericho odpowiadał:

– Dalej lata. Ostatnie, co słyszałem, to że ma ten swój Latający Cyrk gdzieś w transpolarnym regionie, zdaje się w Nowym Glasgow, czy coś, i chyba całkiem nieźle jej idzie.

Wtedy Rajandra Das dodawał:

– A ciekawe, co tam u Umberta i Louiego?

Po ostatecznej bitwie, gdy bezpieczniacy ROTECH-u przeczesywali Drogę Bez Znaczenia w poszukiwaniu czegoś, co tak bezczelnie zburzyło im święty spokój, Persis Tatterdemalion jasno powiedziała braciom Gallacellim, że nie wróciła do nich, tylko żeby zabrać synów i sprzedać

Bar/Hotel. Ich jedyna miłość życia nigdy nie była odwzajemniona. Trzech mężczyzn mogło kochać tę samą idealną kobietę, ale nie jedna kobieta – trzech mężczyzn. Spakowali więc wszystkie swe lata do tekturowych walizek, razem z majtkami, dokumentami, kuferkami z gotówką oraz kolekcją pornograficznych zdjęć Umberto. Z braku pociągów (Korporacja zwlekała z odbudową odcinka linii o siedemdziesiąt kilometrów na zachód, bo wyklócała się o dodatek za szkodliwe warunki pracy na napromieniowanym terenie) Umberto i Louie zabrali się konwojem ciężarówek do Południka, gdzie Umberto założył firmę obrotu nieruchomościami handlującą działkami w Górach Eklezjastesa, a Louie wynajął sobie biuro i otworzył kancelarię prawną, parę lat później wygrywając słynną sprawę, w której uniewinniono Rzeźnika z Llandridnodd Wells.

– Po wojnie to już nie było to samo miasto – kończył zawsze Rajandra Das. Odbywali tę rozmowę tyle razy, że już zdążyła przejść przez fazę bezmyślnego odklepywania modlitwy i na nowo nabrała sensu. – Ludzie wyjechali i wszystko po prostu zdechło.

Najpierw pielgrzymi i Święte Dzieci, potem ludzie mediów. Później hotelarze, hostelarze i restauratorzy, którzy ich nocowali, karmili i poili. Następnie w jeden dzień i noc wywiało Korporację Bethlehem Ares, porwaną huraganem spadających na łeb na szyję marż i walk na noże w podniebnej troposferze zarządu, w miarę jak stopniowo odsłaniała się, jak przysypane ziemią pokłady odchodów, afera z robocimi dublerami. Wszystkie jednostki robocze, menedżerów i kierowników sekcji rozproszyły się jak czerwony pył po całej planecie. Wreszcie Ubożątka Niepokalane Po Częściach, po tym, jak Bitwa Proroków wywalila dziesięciomegatonową dziurę w linii kolejowej Południk-Pandemonium. A na sam koniec Jean-Michel Gastineau, Najbardziej Sarkastyczny Człowiek Świata, z na zawsze stępionym sarkazmem wrócił do lasów i pagórków upiornego Chryse.

– I co to wszystko dało? – pytał na koniec Rajandra Das.

Zgodnie z uświęconą czasem tradycją pan Jericho powstrzymywał się od odpowiedzi, choć znał ją być może lepiej niż ktokolwiek inny, kto pozostał w Drodze Bez Znaczenia.

– Nic – odpowiadał Rajandra sam sobie. – Ja ci powiem: wszystkie te modlitwy, marsze, strajki, wszystkie te walki, krew, dni i noce pełne strachu, co to im dało? Nic. Nic kompletnie. Strata czasu, energii, życia.

Pan Jericho nie wypowiedział słów w rodzaju „zasad” i „wartości”, kiedy Rajandra Das wyrzucał Konkordatowi, że nie odniósł prawdziwego

zwycięstwa nad Bethlehem Ares Steel, bo nie był już pewien, czy jeszcze wierzy w zasady i wartości. Dla niego upadek firmy i potem miasteczka był mało istotny, o ile słońce nadal wschodziło, zboże rosło, a z nieba od czasu do czasu padał deszcz. Jego wiara w Drogę Bez Znaczenia była bardziej samolubna niż Rajandry. Lubił sądzić, że także bardziej realistyczna. Wspomniał pierwszy deszcz w historii. Od tego czasu minęło piętnaście lat. Czas pędził teraz tak szybko. Gdzieś w głębi duszy kołatał mu się irracjonalny lęk, że Droga Bez Znaczenia całkowicie zniknie, a on nawet nie zauważy różnicy. Ludzie wyjechali, pozamykały się sklepy, banki powywoziły pieniądze do wielkich miast w Dolinie Marinerów, prawnicy, fryzjerzy, mechanicy, psychologowie, lekarze wyjechali pierwszego dnia, kiedy naprawiono tory; zostały tylko farmy, panele słoneczne, skrzypiące pompy wiatrowe i puste, puste ulice. Teraz pociąg przyjeżdżał tylko raz na tydzień albo i rzadziej. Wszystko było takie, jak na początku. W Drodze Bez Znaczenia zatrzymała się historia i Droga Bez Znaczenia była za to wdzięczna.

Któregoś dnia, gdy tak siedzieli we dwóch, patrząc, jak wiatr miecie ulicą pustynny pył, Rajandra Das powiedział:

– Wiesz co, ja to musiałem być z tych, co nie nadają się do małżeństwa.

Pan Jericho nie zrozumiał, o co mu chodzi.

– Zawsze myślałem, że weźmie mnie sobie jedna z sióstr Pentecost, ale to się nigdy nie stało. Śmieszne. Cały czas myślałem, że tak będzie. No a teraz one są Bóg wie gdzie, a ja tutaj, bez żony, bez pola, mam tylko pół formalnego udziału w tej werandzie, na której siedzimy. I nie mam mojej władzy nad maszynami, to też mi odebrano. Po prostu znowu jestem dziadem. Może zawsze nim byłem i dlatego nie chciały za mnie wyjść.

– Myślisz o wyjeździe? – zapytał pan Jericho. Znał Rajandrę Dasa na tyle długo, by móc czytać jego serce jak rozkład jazdy pociągów.

– Nic już mnie tu nie trzyma, a najmniej to miejsce. Wiesz, zawsze chciałem zobaczyć Mądrość, te błyszczące wieżowce za Morzem Syrtyjskim.

– Trzeba było Quinsanę poprosić, żeby cię ze sobą zabrała.

Rajandra Das splunął na widok księżycowego pierścienia.

– Wtedy to nawet podetrzeć by się mną nie chciała, a teraz ja nią też nie. Nie, jak pojedę, chcę to zrobić sam. Mam dość czasu, żeby się nauczyć, jak znowu być włóczęgą, ale też jestem na tyle stary, żeby mieć

z tego przyjemność. Bo już nie potrzebuję się przejmować żadną przyszłością.

Pan Jericho spojrzął w niebo. Tej nocy gwiazdy były tak blisko, że prawie dałoby się ich dotknąć.

– Może powinienem pojechać z tobą – zastanowił się. – Zawsze mówiłem, że jestem tu tylko przejazdem.

Mimo to został, a Rajandra Das pobiegł wzdłuż burt powolnego porannego pociągu z rudą. Gdy wskoczył na stopień wagonu i wdrapał się po drabince na dach, poczuł, jak z grzbietu ubywa mu lat. Właśnie to powinien był robić przez całe życie. Był Wiecznym Włóczęgą, archetypem Obieżyświata. Po prostu tak się złożyło, że trochę długo czekał na kolejny pociąg.

Przez jeden rok i jeden dzień wędrował po ciekawych miejscach świata, wysyłając jako pocztówki własne zdjęcia nad Szczeliną Lyx, na pływającym targu kwiatowym w Llangonnedd albo w kucki przed legendarnym Jazz Barem Glenna Millera na Sorrowful Street w Belladonnii. Kaan Mandella przypinał je wokół lustra za barem, żeby mieszkańcy mogli patrzeć i się dziwować. Wtem w pewien czwartek Rajandra Das uległ chęci, której opierał się skutecznie przez rok i dzień – i pojechał do Mądrości, najpiękniejszego miasta na świecie. Opierał się tej pokusie tak długo, bo bał się rozczarowania, ale idąc po słonecznych bulwarach i podziwiając potężne mosty i wieżowce, a potem odbywając sjestę (stare nawyki trudno wyplenić) w kawiarni w cieniu pagodowych figowców wzdłuż Newskiego Prospektu i jedząc obiad w nadbrzeżnej restauracji z owocami morza, a potem jadąc tramwajami na szczyty wszystkich dziewiętnastu wzgórz, czuł, że to jest dokładnie to, co sobie wyobrażał, przepiękne w każdym szczególe. Słał panu Jerichowi kartkę za kartką z zachwytem.

– To najpiękniejsze miejsce na świecie – napisał na ostatniej kartce z Mądrości. – Ale nie mogę tu zostać na zawsze. Są inne miejsca, które muszę zobaczyć, a do Mądrości zawsze mogę wrócić. Nigdzie nie pójdzie. Jeśli będę przejeżdżał, wpadnę do Ciebie.

Była to ostatnia kartka Rajandry skądkolwiek. Kiedy jechał z powrotem do Llangonnedd, zastanawiając się, dokąd pojechać, co go teraz usatysfakcjonuje po ziszczeniu życiowej ambicji, pyłek kurzu załaskotał go w nos. Ogarnął go nagły atak kichania i wykichał ostatnią kroplę swej władzy nad maszynami. Uścisk dłoni na wózku wagonu zelżał, spadł z krótkim okrzykiem pod koła Syrtyjskiego Ekspresu Mądrość–Llangonnedd i umarł.

W dniu, kiedy pan Jericho otrzymał od niego ostatnią kartkę, do Drogi Bez Znaczenia przyjechał pociąg. Odkąd miasto wymarło, było to na tyle niecodzienne zdarzenie, że zjawiali się wszyscy mieszkańcy. Większość pociągów przelatywała z hukiem, pędząc 400 km/h, zostawiając na pamiątkę pył i latające kamyki. Jeszcze bardziej niespodziewana rzecz – pociąg nie tylko się zatrzymał, wysiadła z niego dwójka pasażerów. Nie licząc obwoźnych sprzedawców i łatwowiernych turystów, których Kaan Mandella zwabiał do Baru/Hotelu obietnicą wycieczek do geologicznych osobliwości Kryształowej Krainy, co do zasady w Drodze Bez Znaczenia się zawsze do pociągu *wsiadało*. Ci pasażerowie nie wyglądali na handlarzy czy turystów. Nosili jedwabne marynarki do kolan, z tych, które się ostatnio stały modne w Wielkich Miastach. Nosili skórzane, ręcznie robione buty kowbojskie, a na głowach mieli okrągłe kapelusze kardynalskie z szerokimi rondami. Wyglądali jak mordercy.

Jeden rzut kątem oka wystarczył, by przekonać o tym pana Jericha. Wyśliznął się z tłumu gapiów i poszedł do swojej sypialni. W dolnej szufladzie wysokiej komody miał zawinięty w czerwony szal igłowiec z okładzinami z ludzkiej kości na kolbie. Pan Jericho wiedział, kim są ci goście. To byli zabójcy Czcigodnych Rodów i przyszli go zabić.

Wreszcie.

Nazywali się Alfajohn i Betajohn. Od wyjścia z butli-Genesis paternostra Damiana spędzili całe życie na poszukiwaniach paternostra Jericha. Przez pierwsze kilka lat życia (spędzone w dwuosobowej wspólnocie typowej dla identycznych bliźniaków) przeszukiwali miasta i miasteczka. Nic nie znaleźli. Potem przez półtora roku przeczesywali tereny już raz przeszukane przez poprzedników, przed ich własnym *in vitro*. Jako klony-zabójcy, hodowane dla swego daru bliźniaczej empatii, uważali się za nieomylnych i pogardzali umiejętnościami owych poprzedników. Jednakże te poszukiwania także nic nie przyniosły. Potem przez kolejne półtora roku badali stare dokumenty i dane w sieciach, szukając tropu, którym dałoby się pójść; jakiegoś śladu, zapachu, odcisku palca, który mógłby ich doprowadzić do paternostra Jericha. Byli zawzięci, zdeterminowani i gorliwi. Połączyli się więc z komputerem Czcigodnych Rodów i za jego pomocą opracowali listę miejsc, gdzie paternostra Jericha nie było, teraz czy w przeszłości. Metodą eliminacji ograniczyli grube miliony miast, miasteczek i metropolii planety do piętnastu lokalizacji. Ostatnia na liście była Droga Bez Znaczenia. Ostatnie miejsce na świecie, gdzie przyszło im do głowy go szukać.

Dlatego byli już pewni siebie, kiedy pytali Raela Mandellę juniora, czy w mieście mieszka człowiek nazwiskiem Jericho, a ten w całej swej prostoduszności potwierdził i powiedział, gdzie można go znaleźć. Poczuli coś w rodzaju radości, że inwestycja w ich stworzenie przyniesie dawno należną dywidendę. Alfajohn i Betajohn odliczyli dwanaście kanałów wzdłuż i pięć kanałów wszerz i znaleźli pana Jericha zapyłającego piórkiem kępę hybrydowej kukurydzy.

– Powinni pójść dalej, nie zatrzymywać się – mruknął do siebie i wyszedł im na spotkanie.

Wymieniono uprzejme ukłony, imiona, zdawkowe słowa o pogodzie.

– Od Damiena? – zapytał po pewnym czasie pan Jericho. Dwa wielkie jak koła młyńskie kapelusze pochyliły się jednocześnie.

– Cały świat przeszukaliśmy – powiedział Alfajohn.

– Ostatnie miejsce – dodał Betajohn.

Trzymali dłonie nad kieszeniami. Pan Jericho wiedział, że mają tam igłowce.

– Trochę się wam zeszło – stwierdził pan Jericho, szukając u Czcigodnych Przodków czegoś, co mogłoby ochronić go przed hańbiącą śmiercią na polu kukurydzy. – Powiedzcie, chłopcy, dobrzy jesteście? – Johnowie skinęli głowami. – Najlepsi? – Znów powolny ruch wielkich kapeluszy. – A skąd wiecie? – Kapelusze zamarty w połowie kiwnięcia. Z cieni pod nimi łypnęły małe porzeczkowe oczka. – Jedyne, co robicie, to tropicie ludzi. Jeśli jesteście dobrzy, musicie to udowodnić. Mnie udowodnić. W walce ze mną. – Dał im chwilę na przetrwanie tego i znów zaatakował. – Bo ja myślę, że ten oto stary człowiek pokona was obu. Co wy na to? – Po reakcji na te słowa wywnioskował, że muszą być klonami, może nawet pseudojednojąkowymi, bo na to wyzwanie ich oczy pseudojednojąkowo zabłyśły.

– Przyjęte – powiedział Alfajohn.

– Miejsce, czas – dodał Betajohn.

Pan Jericho powstrzymał triumfalny uśmiezek. Już ich miał, a wiedząc to, wiedział, że może z nimi wygrać. Prawdziwy zawodowiec rozpruły go od krocza po czoło od razu po słowach „Dzień dobry”. Bliźniaki-kloniaki były zarozumiałe, a skoro miały taką wadę, pewnie mają i inne, które da się wykorzystać.

– Przed barem – powiedział pan Jericho. – Dozwolone całe miasto. –

Ich telegraficzny sposób mówienia okazał się zaraźliwy. – Żadnych cywili, żadnych zakładników, żadnych trucizn, normalne oficjalne reguły. Tylko pistolety igłowe. Rozumiem, chłopcy, że macie? Dobrze. To bądźcie

tam... w samo południe. – O nie, to przecież pora sjesty. Sjesta jest tradycyjnie nie do ruszenia. Nic nie może zakłócać umierającemu miastu jego świętego odpoczynku w najgorętszej porze dnia. – Nie, przepraszam, stary zwyczaj... musi być o piętnastej. – W Drodze Bez Znaczenia nawet powtórne przyjście Pantochrystusa zwiastowane przez pięć niebiańskich zastępów będzie musiało poczekać, aż skończy się sjesta.

O piętnastej pan Jericho stanął w pyle pod uszkodzonym burzą czasową zegarze na budynku baru i wspomniął klęczenie. Klęczenie w Sali Dziesięciu Tysięcy Świec (i to nie była mylna nazwa, bo kiedyś za karę za jakieś chłopięce przewinienie kazano mu je policzyć – 10 027) w próbie zrozumienia sensu zagadkowych koanów paternostra Augustine'a. Nie miał wtedy w sobie głębi, nie nosząc dusz przodków i zagadki paternostra wydawały mu się bezsensowne; teraz zaś cenił sobie te okruchy mądrości.

– Używaj zmysłów – powtarzał w kółko paternoster Augustine. – Używaj wszystkich zmysłów. Rozważ królika.

No tak, ale teraz od pięciu lat siedział w norze, a do tego był stary i choć ostatnio zajął się z powrotem Dyscyplinami Damantyńskimi, żeby zwalczyć sztywniejące ścięgna i skrzypiące kości, nie był już tym człowiekiem, co kiedyś. Prawda, ale wtedy załatwiłby tych dwóch próżnych klonów w sekundę, lewą nogą. Wtedy. Teraz – jego wyszkolone zmysły kontra identyczność-telepatia. Czary-mary. Splunął trzy razy pod wiatr i skrzyżował palce rąk i nóg.

Nikt nie zdziwił się bardziej od niego, kiedy mały mechaniczny osobnik odziany w zieleń z Deuteronomium, ogłaszający godziny w Drodze Bez Znaczenia, sprzeciwił się swojemu unieruchomionemu w czasie mechanizmowi i wyszedł, żeby uderzyć małym młoteczką w dzwoneczek z brązu. Po ostatnim uderzeniu zaciął się artretycznie, a dwie pary ręcznie szytych kowbojskich butów na wysokim obcasie wzbiły kurz i zwróciły się czubkami w kierunku zdeptanych mokasynów pana Jericha.

– Oficjalne reguły?

- Oficjalne reguły.
- Bez trucizn?
- Bez trucizn.
- No to możemy zaczynać. – I od uderzenia dwóch stalowych igieł z muru na końcu ulicy posypała się farba.

„Rany, jacy są szybcy!”. Pan Jericho wyczołgał się po drugiej stronie werandy, pod którą się wtoczył, i rozejrzał się za osłoną. Igła drasnęła go w lewe ucho i zaryła się w wypaczonych deskach. „Szybcy, bardzo, może za szybcy dla starego człowieka?”. Wskoczył za niski murek i wystrzelił swoją pierwszą igłą do szybkiej jak wąż postaci w czarnym jedwabiu, która do niego strzeliła. „Leć-leć-leć!”, krzyknęli Czcigodni Przodkowie i leciał-leciał-leciał, a strumień igieł złuszczał i rozbijał biały tynk w miejscu, gdzie przysiadął. „I cały czas pamiętaj, że ich jest dwóch”, dodały dusze z limbusa.

„No raczej nie zapomnę”, odparł i przetoczył się i strzelił w jednym, wykonanym z gracją kota ruchu. Igła przeszła w sporej odległości od zeskakującej z dachu postaci w czarnym kapeluszu.

„Jeden od ulicy, drugi od podwórka. Zmuszają cię do biegu. To i ty ich zmusz do biegu. Zbudowałeś to miasto własnymi rękoma, znasz je. Wykorzystaj tę wiedzę”. Przodkowie byli dogmatyczni. Pan Jericho pobiegł zygzakiem ulicą Alimantanda w stronę zagubionej w czasie kępy dżunglowej roślinności i ściągnął ścieg igieł pod swoje migające obcasy. Rzucił się na werandę sklepu sióstr Pentecost i ostatnia igła wbiła się w miejscu, gdzie zostawił ostatni ślad buta.

„Dobrzy są. Idealna współpraca. Co widzi jeden, widzi drugi, co wie drugi, wie pierwszy”. Świadomie zdyscyplinował swój oddech w Trybie Harmonii i pozwolił Przodkom wprowadzić się w stan sensoryczny Damantyńskiej Praxis. Zamknął oczy i usłyszał osiadające na ulicy pyłki kurzu. Zrobił głęboki wdech przez nos, złapał zapach gorącego, nerwowego potu, wysunął się z okna i oddał dwa strzały.

„Wiedza”. Nieproszone wspomnienie, natarczywe, jak to zawsze nieproszone wspomnienia, wynurzyło mu się z przodu głowy – ogród paternostra Augustine’a, pergola pomiędzy drzewami, śpiewające ptaki, aksamitna trawa pod stopami, zapach tymianku i jaśminu w powietrzu, nad głową prążkowany opał Ojczystego Świata.

– Dowiedz się wszystkiego, czego zdołasz – powiedział paternoster Augustine, siedząc w motylarni pełnej rzadkich liliowców. – Wiedza to władza. To nie jest żadna zagadka, ale prawdziwe stwierdzenie i należy w nie wierzyć. Wiedza to siła.

„Wiedza to siła”, powtórzył chór armii dusz. Co wiesz o swoich przeciwnikach, co może ci dać nad nimi przewagę? Są identycznymi klonami. Zostali wyhodowani w identycznym środowisku, dzięki czemu tak samo reagują na takie same bodźce i można ich uznawać za jedną osobę w dwóch ciałach.

To była suma jego wiedzy o Alfajohnie i Betajohnie. I nagle pan Jericho zrozumiał, jak ich pokonać.

Cień wystrzelił igłę zza masztu wiatraka. Pan Jericho uchylił głowę, gdy tylko poczuł, że metalowa kratownica stygnie w cieniu człowieka. Wymknął się z werandy sklepu wielobranżowego, przekradł się jak człowiek-tygrys, na czworakach, przez pnącza dżungli i szybko, pochylony, przebiegł przez pola kukurydzy do celu. Do elektrowni słonecznej. Poczłogał się na brzuchu, wymazany ziemią, przez królestwo geometrycznych odbić, przyciskając do piersi swój zabytkowy igłowiec. Uśmiechał się. Niech chłopaki-cwaniaki przyjdą tu go szukać. Czekał, jak stary, wyschnięty, czarny pająk czeka na muchy. I przyszli, ostrożnie posuwając się naprzód przez pole ukośnych luster, rozglądając się po odbiciach i świetlnych igraszkach. Pan Jericho zamknął oczy i dał się prowadzić słuchowi i węchowi. Słyszał heliotropowe silniczki przesuwające romby w ślad za słońcem; słyszał wodę bulgocącą w czarnych plastikowych rurach, słyszał odgłosy i czuł zapachy dezorientacji, gdy klony w lustrzanym labiryncie odkrywały, że się klonują. Usłyszał, jak Alfajohn okręca się i strzela do majaczącego kształtu za sobą. Usłyszał trzask pękającego w pajęczynę panelu, któremu przestrelono serce. Na moment zapadła cisza – i wiedział, że Johnowie się naradzają, ustalają nawzajem pozycje, by nie strzelać do siebie. Skończywszy telepatyczną naradę, podjęli pogoń. Pan Jericho ukucnął i słuchał.

Usłyszał kroki na miękkim czerwonym pyle. Zbliżały się. Poznał, że cel chwilowo odwrócił się w drugą stronę, po stukaniu obcasów. Poczł ludzki pot. Klon wchodził w rząd luster. Pan Jericho z całej siły zacisnął powieki, wstał i strzelił z trzymanej oburącz broni. Igła trafiła Alfajohna (a może Betajohna, rozróżnienie było nieistotne) dokładnie między oczy. Na jego czole pojawił się mały, czerwony znak kasty. Skrzeknął dziwnie i zwał się na ziemię. Echem odpowiedział taki sam jęk z czeluści labiryntu, a pan Jericho poczuł falę satysfakcji, biegnąc ku temu okrzykowi przez rzędy odbić. Bliźniak poczuł śmierć razem z bratem. Poczł, że igła wbija mu się w przodomózgowie i zabiera światło, życie, miłość – dlatego że byli jedną osobą w dwóch ciałach. Dokładnie jak

założyli pan Jericho i jego Czcigodni Przodkowie. Znalazł brata dyszącego na ziemi, ze wzrokiem wbitym w nieboskłon. Na czole miał maleńki krwawy stygmat.

– Nie trzeba było dawać mi szansy – powiedział pan Jericho i strzelił mu w lewe oko. – Szmaciarze.

Po czym wrócił do Baru/Hotelu, gdzie zegarowy człowieczek w zieleni z Deuteronomium zamarł na upamiętnienie ostatniej strzelaniny. Podszedł do baru i powiedział Kaanowi Mandelli, żeby wszystko rzucił, pakował swój doczesny dobytek i natychmiast wyruszał z nim w ważne miejsca tego świata, gdzie razem odzyskają władzę, prestiż i międzyplanetarną potęgę, którą mógł mieć kiedyś paternoster Jericho.

– Skoro to byli ich najlepsi ludzie, to nie mają szans ze starym człowiekiem. Nikt z nich nie ma. Zmiękli przez te lata, a mnie pustynia utwardziła i zahartowała, jak korzeń drzewa.

– Ale czemu ja? – zapytał Kaan Mandella, któremu kręciło się i wirowało w głowie, takie to było niespodziewane.

– Bo jesteś synem swojego ojca – powiedział pan Jericho. – Jesteś naznaczony rodzinną klątwą racjonalizmu, tak jak Limaal przed tobą, ja to widzę, czuję, głęboko pod nosem do interesów, do dolarów i centawo, tam głęboko ty pragniesz porządku, władzy, odpowiedzi na każde pytanie, a tam, dokąd pojedziemy, to będzie bardzo użyteczny talent. To jak, jedziesz ze mną?

– Pewnie. Czemu nie? – odparł z szerokim uśmiechem Kaan Mandella i tego samego popołudnia ich dwóch, uzbrojonych tylko w zabytkowy igłowiec z okładziną z ludzkiej kości, dokonało skutecznego napadu i porwania Ekspresu Ares o 14:14 i wjechało nim na Dworzec Czajkowskiego w Belladonnie, ku przeznaczeniu tyleż wspaniałemu co straszному.

Teraz, gdy wreszcie przyszło lato, Eva Mandella lubiła pracować pod cieniem parasolowca, obok drzwi frontowych swego rozłożystego domu. Lubiła się uśmiechać i zagadywać do nieznajomych, ale była już tak niesamowicie stara, że nie mieszkała w Drodze Bez Znaczenia 14. dekady, lecz w Drodze Bez Znaczenia w znacznej mierze zbudowanej i zaludnionej wspomnieniami ze wszystkich dziesięcioleci od wynalezienia tego świata. Wielu nieznajomych, do których się uśmiechała i zagadywała, było zatem wspomnieniami, podobnie jak pielgrzymi i turyści, dla których co rano wykladała swe ręcznie tkane ozdoby w tradycyjne (tradycyjne w sensie, że to ona je wymyśliła i były osobliwe dla jej czasu i miejsca) wzory z kondorami, lamami i małymi ludzikami trzymającymi się za ręce. Czasem, coraz rzadziej, rozlegało się brzęknięcie dolarów i centawo w puszcze na pieniądze; Eva Mandella unosiła wtedy głowę znad krosna i przypominała sobie dzień, miesiąc, rok i dekadę. Z wdzięczności za to, że doprowadzili ją aż do 14. dekady, czy może zaprzeczając temu faktowi, obecnie zawsze oddawała pieniądze szukającym osobliwości turystom, którzy kupowali jej wyroby. Po czym podejmowała rozmowę z niewidzialnymi gośćmi.

Na początku sierpnia przybył pewien nieznajomy i zapytał:

– To dom Mandellów, prawda?

– Tak – odparła Eva Mandella, zajęta swoją gobelinową historią Drogi Bez Znaczenia.

Nie była w stanie powiedzieć, czy przybysz jest wspomnieniem, czy rzeczywistością. Był wysokim, ogorzałym mężczyzną w długim szarym pustynnym płaszczu. Na grzbiecie miał wielki i bardzo skomplikowany plecak, z którego sterczały zwoje kabli i anteny. Był za bardzo

wspomnieniem, żeby mógł być realny, ale za bardzo śmierdział potem i pyłem, by móc być stuprocentowym wspomnieniem. Eva Mandella nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywał.

– Zastałem Raela? – zapytał nieznajomy.

– Mój mąż nie żyje – odrzekła Eva Mandella. Tragedia była tak stara, zimna i zastała, że nie była już tragiczna.

– A Limaala?

– Limaal także nie żyje. – Lecz wspomnienia syna i ojca często spędzały razem popołudnia na wspominkach jeszcze innych dni. – Mój wnuk, Rael junior, jest teraz na polu, jeśli chce pan z nim porozmawiać.

– Rael junior, tego imienia nie znam – odparł obcy. – Porozmawiam więc z tobą, Evo. Możesz mi powiedzieć, który jest rok?

– Sto trzydziesty dziewiąty – powiedziała Eva Mandella, powracając z pełnej duchów pustyni do gasnącego lata, a po drodze przechodząc przez odpowiednie miejsce, by przypomnieć sobie twarz i nazwisko nieznajomego.

– Tak wcześnie – powiedział doktor Alimantando. Wyjął fajkę z kieszeni płaszcza, nabił ją i zapalił. – Czy raczej tak późno? Staralem się przyjść osiemnaście miesięcy później, albo trzy lata wcześniej, żeby się dowiedzieć, co się stało, albo raczej, co się stanie z miastem. Przy naprawdę długich skokach trochę ciężko o dokładność – dziesięć minut temu byłem osiem milionów lat stąd.

Evie Mandelli wydało się cudowne nie to, z jak daleka, czy jak szybko, przybył, lecz sam fakt, że w ogóle się pojawił; nawet bowiem ona, która w pierwszych dniach osady znała go osobiście, sama prawie uwierzyła tym, którzy twierdzili, że doktor Alimantando jest postacią równie legendarną, jak zielona osoba, za którą się udał w pogoń.

– Czyli nie znalazłeś zielonej osoby? – zapytała, zakładając nową nitkę, szarą jak pustynny płaszcz.

– Nie znalazłem zielonych ludzi – przyznał doktor Alimantando, nieśpiesznie i długo zaciągając się fajką. – Ale uratowałem miasto, na czym zależało mi przede wszystkim. Tyle osiągnąłem i jestem całkiem z tego zadowolony, chociaż nie otrzymam słowa podziękowań ani pochwały, bo nikt się o tym nigdy nie dowie. Nawet sam czasami zapominam – chyba od życia w dwóch liniach czasowych rozmywa mi się świadomość, co jest historią, a co nie.

– O czym ty mówisz, głupi człowieku? – zadrwiła Eva Mandella.

– O czasie i paradoksie, kształtowaniu rzeczywistości, kształtowaniu historii. Czy wiesz, jak dawno była ta noc, w którą wszedłem w czas? –

Uniósł jeden długi palec. – Tak dawno. Rok. Dla mnie. Dla ciebie... Evo, ja ledwo cię poznałem! Wszystko się tak bardzo zmieniło. Przez ten jeden rok wędrowałem po liniach czasowych w górę i w dół, tam i z powrotem. – Popatrzył, jak palce Evy Mandelli splatają nitki, skręcają je, zaginają, splątują. – Podróżowanie w czasie jest jak twoje tkanie. Nie ma pojedynczej nitki prowadzącej z przeszłości w przyszłość, tych nitek jest bardzo wiele i, tak jak u ciebie na krośnie, krzyżują się i mieszają, tworząc tkaninę czasu. A ja widziałem tę tkaninę, domyśliłem się jej szerokości i zobaczyłem tak wiele rzeczy dziwnych i wspaniałych, że gdybym miał ci o nich wszystkich opowiedzieć, musiałbym zostać do zmierzchu.

Zatem został i opowiedział. Zanim skończył kronikę swych przygód w martwych od bileniów plastikowych lasach, gdzie szkicował w notatnikach dziwną polimerową florę i faunę, oraz swych wycieczek pomiędzy przyszłe osiągnięcia ludzkości, niesamowite naukowe wyczyny, przy których klejnot w koronie tej epoki, humanformacja tego świata, wydała się w porównaniu banalna i nieciekawa; zanim opowiedział o swych podróżach po planetarnej dżungli pełnej ukwieconych drzew w poszukiwaniu ludzi, którzy nie byli już ludźmi, bo tak sami siebie odmienili, że mieli postać czerwonych organicznych glutów, lub pękatych nadrzewnych stworzeń o twardych pancerzach i chwytnych mackach, rzutujących swą kształtującą rzeczywistość świadomość w czeluści multiwersum, aby bratać się z panującymi tam wyniosłymi międzywymiarowymi istotami, zanim to wszystko opowiedział i jeszcze dołożył to, jak widział słońce skuwane lodem i chodził po ciepłych jak lava skałach nowo narodzonej ziemi, z rozwidlającymi się wokół niego błyskawicami Genesis; i o tym, że widział, jak Święta Katarzyna zasadza Drzewo Początku Świata w nagich czerwonych skałach Chryse, a także stał na szczycie Olimpii, najwyższej z gór i patrzył, jak niebo rozświetla się fioletowymi promieniami z akceleratorów, gdy ROTECH walczył z pozaświatowymi najeźdźcami zwanymi jako Podniebni, w pierwszym dniu 222. Dekady, oraz jak tego ranka, tego samego ranka popijał na śniadanie miętową herbatkę na planetarnej czapie lodowej, a horyzont wypełniał się wzdętym, złowrogim słońcem, pod jego namiotem zaś na powierzchni lodu pełzały osobliwe geometryczne wzory, które, jak się domyślał, musiały być niedobitkami ludzkości w owym końcowym czasie; zanim to wszystko opowiedział, cienie pod parasolowcem istotnie zaczęły się wydłużać, powietrze nabrało wieczornej rześkości, na niebie zaiskrzył księżycowy pierścień, a Eva

Mandella wplotła doktora Alimantanda oraz wszystkie jego cudowne i straszne historie w swój gobelin, w barwny splot dżunglowej zieleni, bitewnego fioletu, krwawej czerwieni i lodowego błękitu, przez który przechodziła samotna szara nić podróżnika w czasie.

– Ale nigdzie podczas mych wędrówek przez wszystkie wieki świata nie natrafiłem na erę zielonych ludzi – powiedział doktor Alimantando. – Mimo to cała historia jest naznaczona ich tropami. – Zerknął na srebrzystą bransoletkę pierścienia księżycowego. – Nawet to miejsce. To miejsce chyba najbardziej. Bo to zielona osoba przyprowadziła mnie tutaj, żebym założył Drogę Bez Znaczenia.

– Głupoty – powiedziała Eva Mandella. – Wszyscy wiedzą, że Droga Bez Znaczenia została założona przez komisję z ROTECH-u.

– Są historie takie i historie owakie – odparł Alimantando. – Od wyzwolenia się z czasu mignęło mi tyle różnych historii równoległych do tej tutaj, że nie jestem już pewien, która jest prawdziwa i autentyczna. Droga Bez Znaczenia ma w nich różne początki i różne końce.

I po raz pierwszy zobaczył, nad czym właściwie pracuje Eva Mandella.

– Co to takiego?! – wykrzyknął z większym zdumieniem, niż powinien budzić jakikolwiek gobelin.

Eva Mandella, powoli, łagodnie osuwająca się z powrotem w pustynię duchów, ocknęła się z powrotem w teraźniejszości.

– To moja historia – powiedziała. – Historia Drogi Bez Znaczenia. Wszystko, co się tu dzieje, trafia na tę ramę. Nawet ty. Widzisz? Historia jest jak tkanie; każda postać to wątek, splata się i rozplata z osnową zdarzeń. Widzisz?

Doktor Alimantando rozpiął długi przeciwpyłowy płaszcz i wyciągnął zwój tkaniny. Rozwinął go przed Evą Mandellą. Spojrzała nań w srebrzystym, słabym świetle.

– To mój gobelin. Skąd ty masz mój gobelin?

– Z punktu dalej w czasie. To nie jest moja pierwsza wizyta w Drodze Bez Znaczenia.

Nie powiedział jej, gdzie go znalazł, rozpiętego na ramie krosna w zaduszonych pyłem ruinach tego właśnie domu, przed którym siedział w przyszłej Drodze Bez Znaczenia, martwej, opuszczonej, pochłoniętej przez pustynię. Nie chciał jej straszyć. Eva Mandella postukała palcem w tkaninę.

– Widzisz? Tych nici jeszcze nie splotłam. Zobacz, ta jest zielona, ta brązowa i... – Nagle niespodziewanie przeraziła się i zezłościła. – Zabieraj to, nie chcę tego widzieć. Nie chcę się dowiadywać, jaka będzie

przyszłość, bo gdzieś w tym jest utkana moja śmierć i koniec Drogi Bez Znaczenia.

Wtedy z pola kukurydzy wrócił Rael junior, aby zabrać babcię do środka na kolację, bo często zdarzało jej się tak daleko zapuścić w pustynię wspomnień, że zapomniała wrócić do domu przed zimną nocą. Obawiał się o jej zdrowie; lecz, choć z pozoru krucha, była silniejsza, niż się domyślał; bał się, że noc skuje ją lodem.

W tych późnych dniach historii wiele tradycji z pierwszych dni wróciło na swoje zaszczytne miejsca. Wśród nich tradycja otwartych drzwi dla gości. Doktora Alimantanda usadzono u szczytu stołu, gdzie pomiędzy kęsami pilawu z ryżem Kwai Chen Pak dowiedział się, dlaczego wokół heblowanego blatu z pustynnego dębu są pozostawione puste krzesła. Opowieść o tej dawnej tragedii wyjaśniła mu wiele rzeczy, które wydawały mu się dziwne, kiedy wysiadł z czasu, bo przez rok podróży wykształcił się w nim pewien dystans do wszystkich zdarzeń, nawet jeśli dotyczyły przyjaciół z miasta, które sam wymyślił. Choć ludowa historia nasuwała więcej pytań, niż dawała odpowiedzi, wieść o burzy czasowej wyjaśniła mu coś dziwnego – rozumiał teraz, dlaczego nie był w stanie przedostać się do głównego ciągu zdarzeń, które doprowadziły do zniszczenia Drogi: wykradziony czasozwijacz (raczej plusowy niż minusowy, jak się domyślał) stworzył strefę chronokinetycznego odpychania, której siła rosła tym bardziej, im bliżej był trzyletniego epicentrum. Zastanowił się, czy nie cofnąć się w czasie przed bitwę o Drogę Bez Znaczenia, być może nawet przeżyć ten czas incognito. Bardzo go kusił ten pomysł, wiedział jednak, że jeśli to zrobi, przepisze na nowo całą historię, o której się właśnie dowiedział.

Jednakże piękny miraż dalszej, bliższej, wyższej podróży wisiał przed nim jak jarząca się paschalna świeca. Im dłużej siedział za stołem, tym bardziej czuł, że wokół niego zbiera się śmierć, śmierć, duchy umarłych i przejmujące do kości znużenie Drogą Bez Znaczenia, i wiedział, że to miasto już nie ma dla niego żadnej przyszłości. To ruiny, patchworkowa mieszanka niemożliwości, pył, rozkład, sen. Droga Bez Znaczenia umierała. Jego ekscentryczna wizja świata, w którym wszystko będzie mile widziane, wypełniła się i dobiegła końca. Świat stał się zbyt cyniczny na taką niewinność.

Lata świetlne od okna sypialni, którą dała doktorowi Kwai Chen Pak, świeciły gwiazdy. Przypomniawszy sobie czas, kiedy wydawały się bliskie i ciepłe, uczepione gałęzi topoli podczas pierwszej imprezy w Drodze Bez

Znaczenia. Wspomniał niewinność, naiwność i nagle ciężar tego marzenia stał się nieznośny.

Czas był ogromny. Zielone osoby miały całą wieczność na ukrycie swych lśniących miast. Choć wciąż szukał, nigdy nie miał się rozczarować. Pustynny wiatr pachniał dziś zielenią, a światełka pierścienia księżycowego brzękały jak wietrzne dzwonki. Odwrócił się od okna, by zasnąć i przespać rozczarowanie – a tam już była zielona osoba, uczepiona do góry nogami sufitu jak zielony gekon.

– Pozdrowienia od znieistniałych – powiedziała. – My, niemożliwi, witamy ciebie, nazbyt prawdopodobnego.

Doktor Alimantando usiadł osłupiały na łóżku.

– O – powiedział.

– Tyle tylko możesz z siebie wykrztusić? – Zielona osoba przemaszerowała po suficie na małych stópkach.

– W takim razie jak to jest, że przeszukałem świat od początku po koniec i nie udało mi się was znaleźć?

– Bo aby cię pozdrowić, wyszedłem z nieistnienia.

– Czyli jednak jesteś wytworem mojej wyobraźni. – Kwai Chen Pak położyła mu pod poduszką suszone zioła, by sprowadzały zdrowotne sny; pokój nagle wypełnił ich zielony zapach.

– Nie bardziej niż ty mojej. – Zielona osoba wbiła w doktora Alimantanda spojrzenie zielonych oczu. – Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o przeznaczeniu? Tylko że to było przeinaczenie, nie przeznaczenie. Widzisz, to nie było twoje przeznaczenie, a ponieważ ja w przebraniu brokuła nie doprowadziłem cię do twojego przeznaczenia, my zostaliśmy znieistnieni.

– Wyjaśnij to, człowieku-zagadko.

Zielona osoba opadła z sufitu, przekręciła się w powietrzu zwinnie jak kot i kucnęła na podłodze jak zielona ropucha. Jako ropucha wydawała się bardziej ludzka niż jako jaszczurka, choć doktor Alimantando i tak wzdrygnął się od jej obcości.

– Drogi Bez Znaczenia nigdy miało nie być. Zawiedliśmy raz, kiedy porzuciłem cię tutaj i założyłeś osadę, ale pomyśleliśmy, wszystko jedno, nieważne, zaraz i tak przyleci kometa, wszystko będzie zgodnie z przeznaczeniem. Tu jednak polegliśmy drugi raz, i to katastrofalnie, kiedy przyszła kometa. Powinna rozproszyć was w diasporę po najdalszych zakątkach świata, a tymczasem ty pomajstrowałeś przy historii i uratowałeś miasteczko za cenę konsensusowej rzeczywistości –

przy czym rozumiemy oczywiście, że oba te pojęcia są iluzoryczne i złudne.

Zielona osoba wilgotnym palcem narysowała na terakocie tory kolejowe i przejechała palcami-wagonami po skomplikowanym systemie zwrotnic.

– Rzeczywistość, tory kolejowe, tkanie. Eva jest blisko z tym swoim gobelinem, ale ma za mało przędzy, żeby wpleść w niego inne historie Drogi Bez Znaczenia. Ja jestem jedną z takich nieutkanych, pustych historii: nie istniałbym, gdyby nie wielka czasowa burza, która na moment rozsunała zasłony między naszymi rzeczywistościami i pozwoliła mi tu wejść z mojej nierzeczywistości, mojego alternatywnego gobelinu i dowolnie się przemieszczać.

– Jak ci się udało...

Pięć zielonych strączkowych palców uniosło się, nakazując spokój i ciszę.

– Nasza nauka wie o czasie więcej niż twoja. Wysłuchaj mnie, to jeszcze tylko chwila. W innym czasie przeszedłeś całą Wielką Pustynię, a dotarłeś na drugi zielony brzeg, osiadłeś w małej miejscowości zwanej Francuzem, miasteczku całkiem podobnym do tego, z którego uciekłeś w Deuteronomium, z wyjątkiem tego, że ci ludzie nie napiętnowali cię jako demona, czarnoksiężnika i pożeracza dzieci.

– Miło to słyszeć.

Za oknem wzmagał się wiatr; miótł zaułkami wokół domu Mandellów duchy i pył.

– Nasza opieka nad tobą – na marginesie, to nie byłem ja – wzbudziła u ciebie fascynację dziwnym kolorem naszej skóry. Zieloni ludzie – pomyślałeś – jak to być może? Badałeś, eksperymentowałeś, próbowałeś; pokrótce, bo muszę się streszczać, z moją skłonnością do rozwlekłości, opracowałeś odmianę roślinnej plazmy, która, wprowadzona do ludzkiego krwiobiegu, czyniła ludzi zdolnymi do fotosyntezy pożywienia z wody, słońca i minerałów śladowych, na podobieństwo naszych sędziwych zakorzenionych w ziemi kuzynów. – Zielona osoba podsunęła mu pod nos zielony jak jabłko tyłek. – Zauważ: zero odbytu. Jedną z modyfikacji, które wprowadziliśmy do twojego pierwotnego projektu, razem z hermafrodytyzmem – choć wątpię, byś to zauważył – psychologiczny polimorfizm, przez który widzisz mnie w wielu różnych kształtach, oraz Dogłębna Świadomość, dzięki której, podobnie jak nasi sędziwi kuzyni, rośliny, postrzegamy sam wszechświat bezpośrednio,

a nie przez analogi i analogie ludzkiej percepcji i dzięki temu potrafimy bezpośrednio manipulować przestrzenią i czasem.

Być może za sprawą srebrzystej poświaty księżycowego pierścienia, a może prawem czasowego prawdopodobieństwa i paradoksu, rysy zielonej osoby stawały się teraz bardziej rozpoznawalnie ludzkie, a mniej zielono-obce.

– Ale nic z tego się nie ziściło – poskarżył się doktor Alimantando. – Ja nigdy nie przeszedłem Wielkiej Pustyni, więc wy nigdy nie powstałiście.

– Powiedzmy raczej, że rozkład prawdopodobieństw diametralnie się zmienił. Dla tego, który prowadził cię przez pustynię, prawdopodobieństwo znacząco spadło, a moje znacznie wzrosło. Linie czasowe są zbieżne, pamiętasz? No tak, kometa była w drodze, hura, hura, przez rok i rok, i rok, i dzień. Historia, gdybyś opuścił Drogę Bez Znaczenia, byłaby trochę inna, inne miejsca, czasy, postacie, ale linie czasu i tak by się zbiegły. – Palce-wagoniki zderzyły się czołowo na wymalowanej śliną linii kolejowej. – Zieloni ludzie znów wyskoczyliby z twojego czoła jak Atena i skoczyliby w czas szukać przyjaznej dla siebie epoki i cywilizacji. Bo byli prześladowani, wiesz o tym? Brązowa skóra, żółta, czerwona, czarna, choćby brudnobiała, to świat może znieść, ale zielona? Zielona?

– Ale to ty sam dałeś mi sekret Inwersji Czasowej, która była kluczem do chronodynamizmu; to dzięki niej uratowałem Drogę Bez Znaczenia od komety... i zniszczyłem ciebie.

– Dobre rozumowanie, mój drogi panie doktorze, ale nie do końca poprawne. Ty mnie nie zanihilowałeś, ty dałeś mi życie. Jestem produktem ciągu zdarzeń, który ty uruchomiłeś.

– Twoje zagadki robią się już męczące.

– Cierpliwości, cierpliwości, drogi doktorze. Widzisz, ja nie jestem tą zieloną osobą, która prowadziła cię przez Wielką Pustynię. Tego biedaka niestety znieistniałeś, chociaż myślę, że może kiedyś zaistnieje znowu i może znów poprowadzi cię przez pustynię żwiru, pustynię kamienia i pustynię piasku. Linie czasowe się zbiegają. Nie, ja jestem zupełnie inną zieloną osobą. Może widziałeś mnie wcześniej?

Doktor Alimantando przyjrzał się zielonym rysom i wydały mu się rzeczywiście trochę znajome, jak wyrzeźbione w malachicie nieokreślone skojarzenie.

– A teraz będzie coś zupełnie nieakceptowalnego – obwieściła zielona osoba. – Choć nie powinienem istnieć, istnieję. Czyli muszę mieć jakiś nienaukowy powód. Cudowny powód. – Stała na jednej nodze. –

Jedna noga, dziesięć nóg, tysiąc, milion nóg nauki, tyle nóg ma nauka, a i tak nigdy nie utrzyma równowagi, jeśli nie podeprze jej jedna noga cudu. – Wyprostowała drugą nogę, pochyliła się, przeciągnęła się. – Nauka, która nie uwzględnia tego, czego nie jest w stanie wytłumaczyć, to żadna nauka.

– Bzdura i zabobon.

– Te nadrzewne istoty, które odwiedzałeś, one też mają naukę, badanie niezbadanego. To, co określamy mistycznym i magicznym, to nauka z wyższego poziomu organizacji, która spływa jak słodki nektar-destylat w dół po Spirali Świadomości – oto jest przedmiot ich badań. Badają niezbadane, by poznać niepoznawalne, bo co jest wielkiego w poznaniu tylko tego, co poznawalne?

– Nic, tylko rzucasz rymami, zadajesz zagadki. – Doktor Alimantando najeżył się gniewnie.

– O tak, aliteracja! Uwielbiam aliteracje! A chcesz zagadkę? To masz zagadkę: jak się nazywam?

Doktor tylko burknął zirytowany i splótł ramiona.

– Moje nazwisko, drogi doktorze. Zgadnij moje nazwisko, a dowiesz się wszystkiego. Podpowiedź: to normalne nazwisko, nie jakaś kombinacja liter czy cyfr. Ludzkie nazwisko.

I tak jak ludzie, początkowo niechętni, zwykle nie mogą się oprzeć grze w zgadywanie tego, co ktoś widzi, tak i doktor Alimantando zaczął zgadywać nazwiska. Zgadywał i zgadywał i zgadywał, do późnej, zimnej, ciemnej nocy, lecz zielona osoba, przysiadając pomiędzy lepkimi narysowanymi torami i robiąc się z każdą mijającą godziną coraz bardziej nieokreślenie znajoma, tylko kręciła zieloną głową i mówiła: „Nie, nie, nie, nie”. Doktor Alimantando zgadywał, aż ochrypl, aż skraj świata zaczął oświetlać pierwszy promień świtu, lecz zielona osoba wciąż mówiła: „Nie, nie, nie, nie”.

– Daj mi jeszcze jedną podpowiedź – jęknął doktor Alimantando.

– Podpowiedź, podpowiedź – zaśpiewała zielona osoba. – Dobra, będzie podpowiedź. To pospolite nazwisko z twojego dawnego kraju ojczystego, przyjacielu. Bo ja jestem zieloną osobą z Deuteronomium. –

Doktor Alimantando wymienił zatem wszystkie nazwiska, jakie był sobie w stanie przypomnieć z młodszych czasów w Deuteronomium.

– ...Arumangasendo, Amaganda, Jinganseng, Sanusangendo, Ichiganseng... – Zielona osoba cały czas kręciła głową (robiąc się coraz bardziej znajoma przy każdej sylabie potocznych deuteronomicznych nazwisk) i mówiła: „Nie, nie, nie, nie, nie”. Gdy świat zaczął przechylać

się nad brzeg słońca, wyobraźnia doktora Alimantanda opróżniła się i powiedział: – Poddaję się.

– Wszystkie wymieniłeś?

– Wszystkie.

– Niezupełnie, drogi doktorze. Jedno nazwisko pominąłeś.

– Tak, wiem.

– Powiedz mi je.

– Alimantando.

I zielona osoba wyciągnęła rękę i dotknęła palcem dłoni doktora Alimantanda, a ta dłoń była jego własną dłonią i nagle w iskrze zielonego światła przeniknął samo sedno tajemnicy. Pierścień Czasu, Wielki Annulus, w którym krąży wszystko, musi zasklepić rany, jakie zadały mu jego zabawy z historią. Za zewnętrzną krawędzią pierścienia i w jego środku przepływała cudowność, która wdarła się w czas, by sprawić zaistnienie zielonych ludzi, czyniąc z nich jego własne dzieło. Odtąd przez eony jeden z synów przyszłości będzie prowadził go za rękę przez Wielką Pustynię: i to nie ta zielona osoba, która teraz przed nim stoi, ta bowiem zielona osoba to jest przyszły on. Wiedział teraz, skąd wziął się wypisany czerwoną kredą zawijas na jego suficie. Sam spełnił swoje własne największe pragnienie, a czyniąc to, posłał sam siebie na wielką zieloną chronodynamiczną karuzelę, która z początku oddaliła go od przeznaczenia – w którym zostawał ojcem zielonych ludzi – ale z czasem dowiozła go z powrotem w ten moment cudownego stworzenia. Wielki Annulus uleczył się, był cały. Przyszłość była pewna, a przeszłość niezmienna.

– Niech tak będzie – powiedział doktor Alimantando.

Magiczna zieloność przepłynęła z palców zielonej osoby w palce doktora Alimantanda. Pozieleniała mu dłoń, nadgarstek, ręka. Krzyknął przerażony.

– Będzie trochę bolało – powiedziała zielona osoba. – Narodziny muszą trochę boleć.

Doktor Alimantando soczyście zielonymi palcami zdarł z siebie ubranie i odsłonił sunącą po ciele falę zieleni. Padł z jękiem na ziemię, bo jego wnętrze zaczęło się przeobrażać, zanim zieleń na dobre wypłukała brąz z jego zewnętrznej powłoki. Zielona krew popłynęła w jego żyłach, wypierając prymitywny czerwony jak mięso płyn. Gruczoły hormonalne nabrzmiały w nowe kształty, narządy uwiędły lub zmieniły się zgodnie z tym, co narzucały im obce funkcje zielonej likantropii. Soki popłynęły, hormony powydzielały się, puste przestrzenie w środku się pozapadały.

Doktor Alimantando przez nieświadomy niczego czas wił się na podłodze, aż wszystko się dokonało. Przez okno wpadł blask świtu i w tym ożywym świetle doktor zaczął eksplorować swe nowe ciało.

– Od ciebie do mnie, ode mnie do ciebie, od nas do nas – zaśpiewała zielona osoba. – Patrz i podziwiaj, oto twoje przyszłe ja. Zielone osoby stanęły naprzeciw siebie, dwie malachitowe rzeźby. – Przyszłość musi zostać zachowana, zieloni ludzie muszą się ziścić, dlatego to, co cudowne, przebiło się do świata i uczyniło cię mną. To jak, idziesz ze mną? Jest tyle do zrobienia.

– Tyle do zrobienia. – Zgodziła się zielona osoba.

– To prawda – powiedziała zielona osoba i nagle owiał ją zapach świeżo skoszonego siana, sędziwych sekwoi, świeżo przeoranej gleby po deszczu i dzikiego czosnku z żywopłotów Deuteronomium; jednym krokiem zieloni ludzie przeskoczyli o milion milionów lat w czas snów.

Sześć minut po szóstej będąca w późnej ciąży Kwai Chen Pak Mandella (żona *de facto*, a nie *de iure*, bo w Drodze Bez Znaczenia nie było już żadnego prawa pozwalającego na zawieranie małżeństw) weszła, puk-puk-puk-pukając, do gościnnego pokoju ze śniadaniem na tacy. Puk-puk-puk-nic-puk-puk-puk-nic, więc powiedziała do siebie, że na pewno jeszcze śpi, i weszła po cichu, żeby zostawić tacę przy łóżku. Pokój był pusty, a okno otwarte. Na łóżko, w którym na oko nikt się nie kładł, nawiało pyłu. Na podłodze leżały rozrzucone i podarte ubrania przybysza, a pomiędzy nimi ciekawa Kwai Chen Pak znalazła ciekawą rzecz – cienką jak papier srebrzystą powłokę w kształcie ciała człowieka, suchą i łuskowatą, rozsypującą się jej w palcach. Jakby jakiś osobliwy pustynny wąż zrzucił skórę i oddalił się w zimną noc.

W dniu, kiedy mężczyzna i dwie kobiety włamywali się do zamkniętego domu, padał deszcz, ciężki, przenikliwy deszcz, spadający ciężko z nieba i chłuszczący ziemię. Do tego wtorku nie padało przez trzy lata. W zamkniętym domu okropnie śmierdziało, jak czymś, co zaczęło umierać lata temu, ale jeszcze nie skończyło. Rael Mandella junior był więc przygotowany, kiedy znalazł trupa w fotelu przed kominkiem, choć zasuszone skóra, obnażone zęby i wytrzeszczone, zmumifikowane oczy i tak sprawiły, że krzyknął ze strachu. Słyszając ten krótki okrzyk, Santa Ekatrina natychmiast zabrała Kwai Chen Pak z powrotem do domu, jeśli bowiem trup minie kobietę w ciąży, dziecko bez wątpienia urodzi się martwe. Zatem Rael Mandella junior sam wyniósł stamtąd lekkie jak papier zwłoki i sam wykopał dla nich płytki grób w gąbczastej ziemi miejskiego cmentarza. Deszcz spływał mu po twarzy, szyi, gołych ramionach i zalewał grób, a ponieważ nie było burmistrza ani księdza, by wypowiedzieli odpowiednie słowa, sam pochylił głowę i wypowiedział pożegnalne zdania pośród strug ulewy. Zasypawszy grób gąbczastą ziemią, wbił w nią drewnianą deskę z wezglowia łóżka i namalował na niej: „Genevieve Tenebrae: obywatelka-założycielka Drogi Bez Znaczenia”, a ponieważ nie znał żadnych dat ani miejsc, dopisał proste epitafium: „Zmarła na złamane serce”. Potem począpał przez czerwone błoto do domowego ogniska i żony, z ciężkim sercem, bo zostali już tylko Mandellowie.

Eva Mandella, tkając przy lampie gazowej w swojej pracowni, zobaczyła naciągnięty na ramę krosna koniec czasu. Związała nitki życia Genevieve Tenebrae i wplotła jej w ziemię. Tak niewiele tych nitki zostało.

– Dokąd one prowadzą, jaka jest ich przyszłość? – zapytała syczących gazowych płomyczków.

Wiedziały, i ona wiedziała, bo i ona, i płomyczki zbyt długo pracowały nad gobelinem czasu, by nie znać jego kształtu, kroju, i że to, co utkane, wymusza kształt, jaki musi przybrać to, co nieutkane. Zbliżał się koniec wszystkiego – wszystkie wątki prowadziły w czerwony pył, a dalej już nic nie widziała, bo to nie była już przyszłość Drogi Bez Znaczenia. Tkąta przelękniona tą przyszłością, przy syczących lampach gazowych, a nitka cały czas kończyła jej się w palcach i padał deszcz.

Padał przez trzy dni, jak nie padał nigdy żaden deszcz, nawet wtedy, gdy Ręka wyśpiewała z suchego, drwiącego nieba deszcz ze stu pięćdziesięciu tysięcy lat. Rael Mandella patrzył nań po kolei z każdego okna hacjendy. Widział w nich, jak wezbrane rzeki deszczówki unoszą zasiewy na kolejny sezon, i wydawało mu się, że w ciężkich kroplach słyszy śmiech Panarchy, boskie sylaby mówiące mu, że Droga Bez Znaczenia nie ma przyszłości. Tak było przez trzy dni, potem szare chmury skłębiły się, przez ich trzewne kłęby wyrzało słońce i wielki wiatr z południa popędził przed sobą deszcz, który zniknął ze świata, parując i dymiąc, przed słońcem o piętnastej piętnaście. Tej nocy medytacyjną ciszę pustyni zakłóciły krzyki, straszne, rozdzierające krzyki przepełnione strachem i bólem, krzyki rodzącej kobiety.

– No-no-no, już-już, mój mały kurczaczku, moje słoneczko, no przyj, przyj, no dawaj... – prosiła Santa Ekatrina, a Kwai Chen Pak, mały kurczaczek, małe słoneczko, sapłała i dyszała i znów krzyknęła, aż Rael junior, denerwujący się w salonie razem ze swoją mistyczną babką, zerwał się z fotela i chwycił za klamkę.

Okolo świtu Santa Ekatrina przekręciła tę klamkę i przywołała syna do pokoju narodzin.

– Już bardzo blisko, ale biedactwo jest takie słabe. Weź ją za rękę i daj jej całą swoją siłę.

Gdy niebo rozjaśniło się szkarłatem i złotem, Kwai Chen Pak otworzyła oczy szeroko, szeroko, szeroko, rozdziawiła usta och-a-och szeroko, dość, by połknąć świat i parła-parła-parła-parła.

– No chodź, no chodź, no chodź, no chodź – szeptała Santa Ekatrina, a Rael junior zamknął oczy, bo nie był w stanie znieść tego, co działo się z jego żoną, ale ścisnął jej dłoń, jakby już nigdy miał jej nie puścić. – No chodź, no chodź, no chodź, no chodź...

Nagle rozległ się zduszony okrzyk i Rael junior otworzył oczy, by zobaczyć paskudną, czerwoną, popiskującą istotę w ramionach żony

i pościel poplamioną paskudnymi czerwono-czarnymi kobiecymi wydzielinami.

– Syn – powiedziała Santa Ekatrina. – Syn.

Rael junior uniósł małego, wijącego się, czerwonego stworka i pobiegł z nim na zewnątrz, w poranek, gdzie słońce rzucało na ziemię olbrzymie cienie. Powoli, z uczuciem, poniósł go przez zniszczone pola i ścieżki na skraj urwiska i tam uniósł go ku niebu i wyszeptał pustyni jego imię.

– Haran Mandella.

Odpowiedziała mu błyskawica wzdłuż horyzontu. Rael Mandella junior spojrział w puste czarne oczy swego syna i zobaczył ją przeskakującą w otwartych źrenicach. Choć te oczy nie umiały się jeszcze skupić na jego twarzy, wydało mu się, że widzą rozleglejszy, większy świat, nieograniczony kręgiem horyzontu. Tępy huk grzmotu wstrząsnął znużonymi ruinami Drogi Bez Znaczenia, a Rael Mandella junior też się wstrząsnął, nie od przetaczającego się grzmotu, lecz dlatego, że wyczytał w tych oczach, że trzyma w ramionach dawno wyczekiwanego potomka kończącego kłutwę ciężącą na pokoleniach Mandellów, dziecko, w którym harmonijnie jednoczy się to, co mistyczne, z tym, co racjonalne.

Grom zatrzęsł czerwonymi skałami głębokiej piwnicy, gdzie nic czasu Ewy Mandelli sama splatała się z osnową, gazowe płomyki zadrżały wyczekująco i szepnęły: „pył pył pył”. Historia zwieriała przed Evą Mandellą swe wilcze szczęki, tkąła teraz w historii Drogi Bez Znaczenia to, co stało się zaledwie parę minut temu. Narodziny syna, grom; palce przewijały nici z pośpieszną zręcznością, aż sama się tego bała. Zupełnie jakby Droga Bez Znaczenia niecierpliwiała się, kiedy się jej wreszcie pozbędzie. Palce przeskoczyły przez teraźniejszość w przyszłość, w czas końca, który pamiętała z gobelinu pokazanego jej przez doktora Alimantanda. Pył, czerwony pył, tylko taki kolor nici jej pozostał, jedyny kolor, którym można ukończyć gobelin. Nawinęła na czótenko długie pasmo czerwonej przędzy i zakończyła historię Drogi Bez Znaczenia. Gdy nic dobiegła do supelka i historia się skończyła, Eva Mandella zobaczyła, jak gazowe płomyki falują, i poczuła na wierzchu dłoni nieznajomy powiew.

Skończony. Gobelin był skończony. Historia dobiegła końca. Droga Bez Znaczenia, jej początek, jej koniec, wszystko było tu zapisane. Powiodła palcami po czterech nitkach, które prowadziły dalej, na zewnątrz, poprzez koniec czasu w przyszłość. Jedna z tych nici zaczęła się ledwie minuty temu, a jej końca nie widziała w gęstniejącym mroku,

choć z nagłym mistycznym szokiem wyczuła, że wiedzie przez skały i kamienie do miejsca wykraczającego poza jej rozumienie.

Nie potrafiła za to ustalić, gdzie kończy się nić jej życia. Mogła śledzić ją wstecz, od początku w Nowym Merionedd, potem srebrzystą linią aż po zielony obszar burzy; widziała, jak z jej łona wyrastają dwa bliźniacze wątki mistycyzmu i racjonalności, szła za swoją nicią przez lata spokoju i tragedii, aż docierała do miejsca, gdzie nić zlewała się z niszczącym wszystkim pyłem, i tam traciła jej trop. Nie kończyła się, nie była ucięta ani urwana, po prostu ginęła. Jednak echa jej koloru były widoczne w gobelinie. Zdziwiona Eva Mandella przytknęła palec do ostatniego widocznego punktu i przeszedł ją dziwny dreszcz. Poczowała zawrót głowy, niewinny, iście dziewczęcy. Poczowała, że unosi się, gaśnie, rozplywa, że wszystkie jej nadzieje, marzenia, lęki, miłości i nienawiści obracają się w lśniący pył i opadają na gobelin. Jej ciało zrobiło się niematerialne i przejrzyste. Przeszła duszą i ciałem w splot nici, który był historią Drogi Bez Znaczenia. Ponieważ jej rolą w historii było ją zapisać, to zapisując siebie, stała się tą historią. Gobelin-czas zaiskrzył srebrzystą miłością Evy Mandelli, po czym do pokoju wdarł się nieznajomy poryw wiatru i zgasił posyające gazowe płomyczki.

Wiatr się wzmaczał, szarpał wszystko, siekł zawzięcie, zwiastując toczące się przez Wielką Pustynię brązowe pyłowe wały. Burza pyłowa rozpętała się na pustkowiu, huraganowy wir latających igieł i szła błyskawic. Przyciągane do ziemi przez Krystaliczne Ferrotropy strzelały i rozsypywały je w czarny, rozwiewany wiatrem proch. Wielka Pyłowa Burza nadchodziła, coraz większa, coraz mocniejsza, coraz bardziej żarłoczna z każdym pokonanym metrem wydm. Rael Mandella junior przycisnął syna do piersi i uciekł przed nią. Igły pyłu pokłuły go, gdy przeciskał się przez drzwi do środka domu.

– Szybko, szybko, idzie Wielka Burza! – zawołał.

Syn i matka opatulili się w chusty, rękawice i zmierzylili się z siekącym wirem piasku, by zagonić zwierzęta do obór i pozamykać okiennice. Wielka Burza zwała się na Drogę Bez Znaczenia z wyciem i wrzaskiem demonów. Powietrze w jednej chwili stało się nieprzezroczyste, gryzące, śmiercionośne. Niesiony wiatrem piasek z piskiem zdarł, zeszlifował startł każdy centymetr farby do gołego drewna i metalu. Drzewa zostały oheblowane, potem pocięte na zapałki, metalowe maszty pomp wiatrowych wypolerowane do srebrzystego połysku. Czarne romby ogniw słonecznych potrzaskały się i popękały; zanim minęło popołudnie, ich

czarne powierzchnie leżały na ziemi jako wyszlifowane wiatrem czarne otoczaki.

Burza trwała przez całą noc. Kwai Chen Pak, leżąc na łóżku, gdzie urodziła, z małym Haranem szukającym po omacku piersi, słuchała wycie wiatru w dachówkach i krzyczała ze strachu, bo wydało jej się nagle, że wszystkie demony z usianej demonami przeszłości Drogi Bez Znaczenia przyszły upomnieć się o jej ciało. Santa Ekatrina i Rael junior nie słyszeli tych krzyków. Przy świecach szukali w pełnych przeciągów pokojach i piwnicach Evy, która zniknęła, gdy wiatr napadł na domostwo Mandellów. Rael junior bał się, że znajdzie ją martwą i startą do białych kości, Santa Ekatrinie mignął jednak gdzieś jaskrawy gobelin i ogarnął ją osobliwy i wielki strach. Miała wrażenie, że wiatr wdarł się do domu i roztańił jej kości na proch. Podejrzewała, choć nie powiedziała tego na głos, bo sama nie była pewna, czy wierzy w to, że Eva Mandella przeszła na swój gobelin i tym samym wróciła do początku historii miasta.

Burza pyłowa nękała miasteczko przez pięć dni. Wiatr uganiał się po opuszczonych hotelach i jadłodajniach, owiewał rozbite jajko kopuły Bazyliki Całkowitego Umartwienia, falował wokół buczących stalowych kominów Stalogrodu i grał na rurach jego bebechów jak na fisharmonii. Nawiewał piach na szkielety, przewracał ściany, zasypywał pola wydmami, miał domy na piasek. Rozłamał na pół skalny dom doktora Alimantanda i rozsypał po całej ziemi książki, narzędzia, dywany, sprzęty kuchenne, armaturę łazienkową, eschatometry i tanatoskopy. Wiał i wiał i wiał i kamień za kamieniem, cegła za cegłą, pyłek za pyłkiem, unosił Drogę Bez Znaczenia ze sobą. Próbował zabrać i domostwo Mandellów, stękał i mozolił się, zrywał z dachu dachówki i ciskał je w powietrze, wrzaskiem wzbudzał strach i wściekłość w uchodźcach, którzy dzień i noc bali się, że któryś poryw w końcu zabierze im ściany, dach i wystawi ich nagich i bezbronnych na ostrza burzy.

Tak było przez pięć dni, a szóstego ranka Rael Mandella junior usłyszał przez wycie wiatru dźwięk. Gwizd lokomotywy. Nie był zbyt głośny i nie różnił się zanadto od świstu wiatru, ale kiedy go raz usłyszał, był nie do pomylenia.

– Pociąg, pociąg! – zawołał, podrywając matkę, żonę, syna do gorączkowego pakowania walizek. – Możemy stąd uciec!

Wiatr uspokoił się na tyle, że mogli poowijać się w chusty, ciężkie burnusy i stawić czoło burzy pyłowej. Rael junior wypuścił zwierzęta z zagród. Lamy, kozy, świnie, kury pogalopowały w pył i zniknęły. Zastanawiał się, co się z nimi stanie. Po czym rodzina Mandellów na

oślep utorowała sobie drogę przez zadławione pyłem ulice zniszczonego miasteczka do torów kolejowych. Tam przysiedli, nasłuchując śpiewu piasku na wypolerowanych szynach.

Droga Bez Znaczenia przestała istnieć. Wiatr wywiał wszystko. Nie było domów, nie było ulic, nie było pól, nie było hoteli i zajazdów, Boga i Mamony; wszystko było tak, jak na początku – goła skała i stal. Uchodźcy czekali i czekali i czekali. Dwa razy Raelowi wydało się, że słyszy gwizd lokomotywy, dwa razy zerwał się niecierpliwie na nogi i dwa razy się rozczarował. Wiatr zwalniał, pomarańczowe obłoki robiły się mniej nieprzeniknione. Mały Haran Mandella kwilił i pojękiwał. Kwai Chen Pak przycisnęła go do siebie i zaczęła karmić pod osłoną wiatroszczelnych okryć.

– Słyszycie?! – krzyknął Rael junior, z obłędem w oczach zmęczonych pięcioma dniami piaskowych wirów. – O! Słyszaliście? Ja słyszałem. Słuchajcie! – Santa Ekatrina i Kwai Chen Pak nadstawiły uszu, jak im kazano, i tym razem, tak, usłyszały, gwizd lokomotywy, daleko na torach. Potem przez wzniecony pył rozbłysło światło i znów – gwizd lokomotywy i ostatni pociąg w historii wtoczył się do Drogi Bez Znaczenia i wziął uchodźców na pokład.

Gdy pociąg ruszał, Rael Mandella junior wziął w ramiona swego małego syna i ucałował go. Wielka Burza poszła na północ, zza chmur pyłu i piasku wyszło słońce, rozświetlając miejsce bez znaczenia.

Drogi Bez Znaczenia już nie było. Nie była już potrzebna. Wypełniła swój cel i mogła z powodzeniem obrócić się w pył; jej czas dobiegł końca, a nazwa została zapomniana.

Jednakże nie mogła zostać zapomniana, gdyż przez dwadzieścia trzy lata, kiedy ją nosiła, wydarzyło się w niej zbyt wiele cudownych rzeczy – a w dzielnicy Pelnam Park w Południku dorosło jej ostatnie dziecko; dobre, szanowane i kochane przez wszystkich. Pewnego letniego dnia ojciec tego mężczyzny zawołał go do pełnego zgiełku i krzątaniny ogrodu i powiedział:

– Synu, za trzy tygodnie będziesz miał dziesięć lat i staniesz się mężczyzną. Co wtedy zrobisz ze swoim życiem?

A syn odrzekł:

– Ojciec, napiszę książkę o wszystkim, co mi opowiedziałeś, o wszystkich cudach i dziwach, radościach i smutkach, zwycięstwach i klęskach.

– I jak zamierzasz tego dokonać? W tej historii jest o wiele więcej, niż ci opowiedziałem.

– Wiem, bo widziałem to wszystko zapisane w tym – odpowiedział syn i pokazał ojcu osobliwy, świetlisty gobelin, wykonany mistrzowsko i misternie, cudowny i magiczny.

– Skąd ty to wzięłeś? – zapytał ojciec syna.

Syn zaś zaśmiał się i powiedział:

– Tato, a wierzysz w małe zielone ludziki?

Napisał zatem tę książkę i zatytułował ją *Droga Bez Znaczenia* – historia małego miasteczka pośrodku Wielkiej Pustyni w Ćwiartce Północno-Zachodniej planety Mars. I tu się ona kończy.

ekspres ares

Oto pojawia się Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII. Ma osiem lat i pojawia się tak mianowicie:

Najpierw widzimy piasek. Jest czerwony i ma charakterystyczną ziarnistość, jaką nadaje piaskowi tylko wiatr. Pachnie elektrycznością – zawiera dużo żelaza. Przyciąga pioruny ze sporadycznych chmur, a raz czy dwa na długi rok także deszcz. Kiedy uderza błyskawica, piasek głęboko przerastają żyły żelaznego spieku. To piasek-rdza, przemiatany marnotrawnie po pozbawionym konturów krajobrazie. Czerwony piasek, rdzawy piasek, czerwony piasek, żelazna pustynia usiana brzydkimi kamieniami. Tu, na równinach dalekiej, dalekiej północy, wiatr nigdy nie ustaje. Formuje piasek w ostre zbocza, długie półksiężycowate kopce. Zmysłowy, falisty krajobraz, pełen uwodzicielskich krągłości, od kształtów zboczy wydm aż po krzywiznę bliskiego horyzontu.

Tej łagodnej, północnej żelaznej krainie stawia czoło jeden twardy wzwód. Smukły stalowy słup ma pięć metrów wysokości, jest pobrużdżony od ostrych wiatrów i pobliźniony od letnich błyskawic. Jest ich naturalną ofiarą. Na górze ma trzy światła, najwyżej czerwone, pośrodku pomarańczowe, na dole zielone. Semafor. Semafor pośrodku rdzawej pustyni.

Teraz widzimy tory. Dwie idealnie równoległe linie ze stali z Bethlehem Ares, wywalcowane w walcowniach Nowego Merionedd, połączone w pary betonowymi podkładami, zamocowane do nich ósemkowymi okuciami, przypięte, przymocowane, przyśrubowane. Proste i absolutne jak twierdzenie geometryczne. Zejdźmy niżej. Nachylmy się – ale nie za nisko, bo przy tym słońcu policzek przyklei się do gorącej szyny i zejdzie z niego skóra. Tylko tyle, żeby usiąść między nimi, w lufie wycelowanej

w punkt, gdzie horyzont i upalna mgiełka stapiają się w jedno. Proste i absolutne. Możemy przejechać za kraniec świata, a one i tak będą szły, proste i absolutne, przez siedemset kilometrów. Wielkie lokomotywy transkontynentalne mają w kabinach czerwone guziki, których maszynista musi dotknąć co dwadzieścia sekund, inaczej automatycznie włączą się hamulce. Bardzo łatwo tu zasnąć nad przepustnicą. Bo kraina jest hipnotyczna. Wysysa ci duszę przez wytrzeszczone oczy i ciągnie wzdłuż bliźniaczych stalowych szyn ku temu, co mieszka w srebrnej mgielce na krawędzi świata. Sporadyczne kłębowiska wypolerowanego przez piasek metalu obok torów dowodzą zagrożeń stwarzanych przez długi, prosty tor.

Ale nie rozpędzajmy się zanadto. Trzeba trochę poczekać pod semaforem i pozadawać pytania. Co on tu w ogóle sygnalizuje? Co jest wśród tego pyłu i rdzy tak ważnego, żeby zasługiwać na semafor? Dwie rzeczy. Pierwsza to mijanka. Ten fragment pustyni to jedyne miejsce na przestrzeni dwustu kilometrów, gdzie pociągi mogą się minąć i wjechać z powrotem na linię. Tu drużyny wymieniają się zabytkowymi mosiężnymi berłami, wyglądającymi trochę jak klucz, a trochę jak tarcza i pozwalającymi wjechać na odcinek. A także nowinami i plotkami, czasem członkami rodziny albo i płynami ustrojowymi, jeśli są to wielkie i powolne pociągi z rudą, którym rozkład jazdy pozwala na odrobinę luzu. Druga rzecz – jeśli przyjrzymy się linii, zobaczymy, że się rozchodzi. To węzeł Borealis – jedna linia gwałtownie skręca ku śnieżnej krainie bieguna północnego, gdzie mróz przykleja dłoń maszynisty do przepustnicy równie skutecznie jak skwar. Jedzie górą przez szczyt świata i zjeżdża po drugiej stronie w stare rejony Deuteronomium i Dioscu, zielone ziemie pełne pastwisk i trzody, gdzie każdy wiejski dom ma spadzisty dach uświęcony mnóstwem latawców modlitewnych. Druga linia dryfuje na lewo, aż zniknie pomiędzy grzmiącymi rozpadlinami gór Fosse'a, poprzecinanymi zdradzieckimi mostami na kozłach i betonowymi wiaduktami, wypływającymi podenerwowanych maszynistów między ponure płaskowyże lzydy. Przez pół ćwiartki linie schodzą się, przyciągane wzajemnym magnetyzmem, aż spotkają się ponownie na węźle Schiaparelli, by pobiec dalej na zachód wzdłuż niecek Wielkiego Oxusa i tysiąca miasteczek Doliny Marinerów, gdzie Dach Świata skrzy się na horyzoncie jak wielka rafa oświetlonych brzaskiem chmur.

Zatem ten semafor robi coś więcej niż wstrzymywanie ruchu na środku pustkowie. Jest strażnikiem bezpieczeństwa linii, opiekunem

berła, bramą do nowych widoków. Oraz, ni mniej, ni więcej, jest wujem Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistki XII.

Która teraz ma swoje wejście.

Uświadamiacie sobie, że szyna parząca przez podeszwę pustynnego buta drga. Nachylcie się – nie dotykajcie! Tak. Szyna zaczęła buczeć. Jedzie pociąg. Mrużycie ocienione dłońią oczy. Co prawdziwe, a co potencjalne – to się jeszcze w tej mgiełce nie zdecydowało. Lecz szyny już wyśpiewują głęboki, basowy, harmonijny lament. Ostre, suche szczęknięcie. Trzeba kilka razy uważnie przepatrzyć pustkę, żeby dostrzec drobną, ale znaczącą zmianę. Zwrotnica przeskoczyła na mijankę.

Spójrzcie jeszcze raz: w rozfalowanym powietrzu coś się porusza, coś płynnego, tak że nie wiadomo, czy to jeden kształt, czy wiele. Srebrne na srebrnym. Potem ze srebra wypływa srebro – skrzydlata kobieta o skrzydłach-ramionach odrzuconych do tyłu, z wypiętą piersią i rozwianymi na wietrze włosami. W zdumieniu prawie nie dostrzegacie, że szyny już ryczą. Spomiędzy podkładów unosi się czerwony pył. Teraz rozumiecie swoją pomyłkę. To nie anioł. Jego cień ciągnie się za nim jak ciemna tarcza – patrzycie na front kotła i galion wielkiego pociągu. Nawet bardzo wielkiego pociągu – to pozbawiona twarzy kraina wypaczała wam perspektywę. Wydawało się wam, że ta skrzydlata kobieta jest krasnałem, no może Amszastrią średniej klasy, w każdym razie czymś bliskim i w ludzkiej skali. Nie. Ta srebrna anielica jest gigantyczna, a zakrzywiony przód kotła – gargantuiczny. Pociąg jest wiele kilometrów stąd. Ale jest bardzo, bardzo wielki. Jak sterowiec. Jak kwartał kamienic. Jak statek oceaniczny, gdyby na tym świecie były nadające się dla niego oceany. Płyty buforów, rozstawione groźnie jak pięści bokerskiego mistrza, są o trzy metry od siebie. Lemiesz, pełen barokowych zdobień z angelografii Świętej Katarzyny, mógłby zmieść z torów całe gromady taksonomiczne. Osiem wózków ma wysokość porządnego domu, a szprychy kół napędowych są jak ukrzyżowane ramiona wiatraków. Korbowody, grubości tułowia grubasa, pompują niestrudzenie, z płynnością i regularnością chłopaczka z domu uciech w Belladonie. Reflektor jest jak olbrzymie oko cyklopa, wściekle od żaru i wszystkowidzące. Teraz jest zakryte, lecz o magicznej godzinie zaczyna rzucać swój śnieżnobiały snop na kilometry przed siebie, zwiastując nadejście boga. Para buchająca z ostro zakończonego komina jest tak gorąca, że dopiero w jednej trzeciej długości termojądrowego kotła

kondensuje się i staje się widoczna. Pociąg zostawia wzdłuż torów dziesięciokilometrową smugę kondensacyjną.

Kolejne spojrzenie na ten komin. U podstawy, gdzie rozszerza się, łącząc się z głównym walczakiem, czy to balustrada? Czy to są schody, a to balkon? Te odbłyски światła, czy to okna? A tam, tuż ponad aureolą anioła Kolei Bethlehem Ares, czy to szklany łuk jak mostek statku? A wsparte chwiejnie na opływowych obudowach cylindrów i schodzące schodkami i drabinkami na bufory, przecież to niskie budynki? Brzegów ciężkiej termojądrowej lokomotywy towarowej klasy 22 *Katarzyna z Tharsis* uczeplił się ciąg niskich bungalowów. A tam, na tym niebezpiecznym, otoczonym balustradą punkcie widokowym pod kominem, czy to człowiek?

Bliżej. Tak, ogorzała od słońca szczupła kobieta w mundurowej pomarańczowej kamizelce swego klanu, narzuconej na kokieteryjną kwiecistą sukienkę. Czarne loki powiewają jej wokół twarzy, odrzucone pędem powietrza znad wydatnych kości policzkowych.

I teraz zauważacie, jak blisko jest ten pociąg. Zbyt długo gapiliście się na dziewczynę na wysokim balkonie. Jest tuż nad wami. Powinniście – musicie – uciekać. Lecz nie jesteście w stanie. Cały świat trzęsie się od dudnienia silników, a wy stoicie zahipnotyzowani jak sarna w światłach samochodu. Stalowa lawina wznosi się nad wami. Śmierć dyszy wam w twarz. Czarno-srebrny anioł unosi się jak wyrok i skręca. *Katarzyna z Tharsis* przeskakuje na tor mijanki, zwinnie przerzucając za sobą trzykilometrowy ogon. Hamulce piszczą, stal i pył gryzą się i łączą. Wielkie transpolarniki mają długą drogę hamowania. Ten tutaj nie jest nawet największy – pod Żelazną Górą jeżdżą dziesięciokilometrowe pociągi z potrójną trakcją. Wiozą te magiczne tysiąc ciężarówek. Widać je nawet z orbity, jak stalowe rzeki.

Ze zwrotnicy zjeżdża ostatni wagon, służbowy. Jest jak szalona mieszanka kolejowej utylitarności i katarzyńskich ozdóbek. Napis NIE STAWAĆ otoczony ręcznie malowanymi okrągłookimi ikonami Siedmiorga Świętych. Skrzynki z piaskiem i flagi modlitewne, teraz obwisłe i oklapłe. Bassarini lubią pstrokaciznę. W hierarchii społecznej plasują się poniżej soli, ale maszyniści, poza ograniczeniami Formy, zawsze dobrze się z nimi dogadywali. Parę pokoleń temu nastąpiło wymieszanie genów. Stuardowie nigdy nie wybaczyli, nigdy nie zapomnieli, ale też Stuardowie to Domostwo o ekstremalnie analnej osobowości.

Strużka, struga, syk pary. Trzydzieści trzy tysiące ton stali z Bethlehem Ares balansuje na dwóch dziesięciocentymetrowych

wstążkach metalu pod palącym, wysokim słońcem.

Szczęk. Zwrotnica znów się przestawiła, z powrotem na główną linię. Światło na semaforze zmieniło się z żółtego na zielone. Nadjeżdża nowy pociąg. Ale on już nie należy do waszej opowieści. Wasza opowieść się zakończyła. Wasza rola jako obserwatora tych zdarzeń dobiegła końca. Wasze oczy pokazały nam to, co widzi tylko pustynia i Bóg Panarcha na tym zapomnianym węźle kolejowym wśród podbiegunowego pustkowia. Rozpływacie się z powrotem w większej opowieści, która się tu zaczyna – opowieści Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistki XII.

Naon Sextus Solstice-Rising Maszynista XI zawsze czuł, że zdejmując dłonie z przepustnicy, trochę umiera. Jak po seksie. Nieśmiało odpędził tę myśl wzruszeniem ramion – przesada – ale za pierwszym razem, gdy jego ojciec Bedzo X wziął go za rękę i położył ją na przepustnicy, a potem uniósł ją stamtąd, to czy aby nie miał maleńkiej mokrej plamki przy rozporku?

Przez dwadzieścia lat jazdy po torach i zwrotnicach wyczulił się na wszystkie szmery i drgnienia swej maszyny. Kiedy w magnetycznych cewkach dogasały termojądrowe ognie, czuł ten powolny rozkład, czuł, jak obwisają pełne smutku. Kiedy silniki termojądrowe spały, nigdy nie był naprawdę sobą. Nie mógł się skupić, łatwo się złościł. Cała rodzina nauczyła się tego wiele lat temu i się wycwaniła.

Wywołał raport o stanie torów Północno-Zachodniej Kolei Regionalnej w Suvebray. Rzutnik wyostrzył pryszczatą ćwiartkę globu, na której główne magistrale pulsowały jak tętnice w łonie. Szybki ekspres Zorza Polarna wciąż opóźniony o dwadzieścia minut, mimo że jego maszyniści mieli wszystkie manometry na czerwonych polach na długim podejździe pod Axidy. Wykolejenie na węźle Perdition, ruch po jednym torze. Cholerne dojazdówki, wypchane ludźmi, z dachem obwieszonym gundami, co zatrzymują się w każdej dziurze. Woolamagong! Serendip! Wzgórza Akacji! Aleja Atomowa! Naon Sextus nie wzruszał ramionami na opóźnienia. Każdą straconą sekundę odczuwał jak ścięcie nożem skrawka odstłoniętego końca jego życia, niczym suchego solonego sera. Jako dziecko czytał rozkłady i uczył się ich na pamięć. Dla zabawy. Ściągnął z kołka lunetę, spojrzął niecierpliwie wzdłuż bocznej linii, lecz

nawet z wysokości mostka *Katarzyny z Tharsis* nie był w stanie przeniknąć rozfalowanej mgiełki.

– Kha!

Rozglądając się za czymś, na czym mógłby się wyżyć, zauważył przez kratkę galeryjki parę żółtych pustynnych trepów. Skierował na nie obiektyw lunety.

– Matko z dziećmi, czy ta mała wstydu nie ma?

Z tyłu odpowiedział mu głos kobiety: Child'a'grace, pani Asiim, Maszynistka XI pokolenia, umączona po łokcie i lepiąca samosy w kambuzie.

– Co tam, skarbie?

Naon Sextus cechował się stanowczością nie mniej niż punktualnością. Wiele razy niespodziewany głos żony prawie skusił go do odezwania się, lecz nigdy jeszcze nie uległ pokusie, ani razu w ciągu czterech lat. Zacisnął wargi i znów wrednie zakaszłał – to był sygnał dla żony, by na niego spojrzała. Odwrócił się od pulpitu, na tyle, by zerknąć na Child'a'grace, ale nie aż tak bardzo, żeby pomyślała, że na nią patrzy.

– *Nie ma bielizny!* – powiedziały jego palce, trzęsąc się z oburzenia.

– Bardzo ciepły dzień – rzuciła Child'a'grace, zręcznie sklejjając trójkącik ciasta i rzucając go w gorący olej.

– *Co za wstyd!* – zamigał maszynista Naon.

– A kto to zobaczy?

– *Wszyscy, co patrzą w okna w ekspresie Zorza Polarna o 13:27!* – Bo z płynnego powietrza coś się wyłaniało. – *Za trzy i pół minuty!* – Na zakończenie palce dodały: – *I co sobie pomyślą?!*

– Pomyślą sobie, że stoi tam ładna młoda kobieta, prawie dziewięcioletnia, z ciałem Avaty i niecierpliwa jak szczur, która, jak dobrze wiemy, drogi mężu, dawno powinna była wyjść za mąż. – odparła pogodnie Child'a'grace, drucianym cedzakiem wyławiając samosę z głębokiego tłuszczu. Odsączyła złoty olej z powrotem do garnka. –

A jeśli przypadkiem wiatr zadrze jej tę spódnicę, bo może, jeśli dobrze pamiętam, jest dość krótka i powiewna – i zobaczą, że nie nosi bielizny, to będą szczęściarzami i życzę im, żeby przez wiele nocy nie mogli zasnąć, tak będzie ich męczyło pożądanie.

Child'a'grace, zanim zostawiła swą rodzinę na bezimiennym przystanku pod wulkanami, gdzie tankowało się wodę, była z Suskawannów, którzy od dwóch długich stuleci handlowali gorącymi przekąskami na wszystkich peronach Ćwiartki Północno-Zachodniej. Pierozki mieli w genach, tak jak Maszyniści parę, ona jednak stanowczo

sprzeniewierzyła się kastowym zasadom, a mianowicie odwiecznej granicy między torem a peronem. Naon Sextus, syn swego ojca i całego rodu przed nim, mocno nad tym ubolewał. Prawda, posag rozwiązał mu kwestię spłaty hipoteki, ale często żałował, że dziadek Taal nie wyswatał go z kimś trochę mniej peronowym. Lecz jedzenie wciąż było ekscytujące, nawet po jedenastu latach. Seks może zaniknąć, podobnie rozmowy, z szacunku da się udeptać znajome tory przewidywalności, ale na Miłosierną Matkę, gotowanie pozostaje.

Jednakże dziewczyna nie nosiła bielizny, a jedno małżeństwo poniżej honoru już wystarczy. Kobiety bez majątek lądują jako żony Bassarinich i rodzą im dzieci w wagonach hamulcowych. Palce przygotowały się na przekazanie tej riposty Child'a'grace, zmiotł je jednak nagły huk przejeżdżającego ekspresu.

Była taka chwila, którą Sweetness Asiim Maszynistka ceniła najbardziej ze wszystkich charakterystycznych chwil. Okrążyła świat wystarczająco dużo razy, by móc przyznać, że jest prawie erotyczna, ale w zupełności prywatna. Zaczynało się od lekkiego falowania, wdechu, rozwiania włosów i ubrania – zmiany ciśnienia. Teraz najlepszy efekt osiągało się, zamykając oczy i wsłuchując się w narastający szum kół. Trzeba zwalczyć strach i odruch spojrzenia na źródło tego piekielnego hałasu. Potem drugi impuls ciśnienia: teraz. Sweetness otworzyła oczy. Ekspres wznosił się przed nią jak klif. Świat składał się wyłącznie ze stali, pary i ogłuszającego huk. Sweetness uwolniła swój głęboki, mroczny strach: *Jesteś na złym torze, zwrotnica nie przeskoczyła, sześćdziesiąt tysięcy ton pociągów zaraz się zderzy z prędkością trzystu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, a ty stoisz pomiędzy nimi!*

Byłoby to szybkie i piękne.

Góra wycelowała w jej serce i w ostatniej chwili skręciła w bok.

Fala ciśnienia uderzyła ją mocno, oślepiła parą i pyłem. Potem pociągnął ją pęd powietrza: *No, chodź*. Sweetness nie potrzebowała zaproszenia. Rzuciła się za rozmazaną smugą chromu i czerni. Po dudniących pomostach. Po żelaznych schodkach. Po niebezpiecznych galeryjkach, platformach, przeskakując przez wyciągnięte nogi swego brata Sleeveła, rozwalonego leniwie razem z najlepszym kumplem Rotherhamem i oglądającego na tablecie popołudniowy mecz peloty.

– Sli?

– Co? A. To tylko moja siostra.

Sweetness gonila twarze za przyciemnionymi szybami, lecz cały czas wygrywały. Ustawał niosący ją wiatr. Upuścił ją na mały obramowany

żelazem szyld z wilgą, wysoko na prawej burcie tendra. Wychyliła się przez mosiężną balustradę, uniosła dłoń, salutując szklanej kopułce obserwacyjnej, grzechotce na ogonie ekspresu. Na otwartym balkonie w końcu pociągu stała elegancka wielkomiejska dama w prześwitującej koronkowej sukni. Zawirowanie powietrza wyrwało jej z palców parasolkę, która poszybowała wysoko i daleko, jak latający spodek z bambusa i pergaminu. Miejska dama uniosła wzrok zmartwiona i w tej dokładnie chwili spojrzała w oczy czarnowłosej dziewczyny w pomarańczowej służbowej kamizelce, w narośli z kutego żelaza na burcie wielkiego pociągu towarowego.

Dama i pociąg stały się cienkim czarnym wężem wijącym się po czerwonej pustyni. Parasolka, poniesiona wysoko wiatrem, stała się niewidzialna. Upalna mgiełka pochłonęła wszystko. Zniknęło.

– Sama siebie oszukujesz – dodał jakiś głos po przyzwoitej przerwie.

Huk kół zagłuszył jego kroki, lecz Sweetness domyśliła się obecności Romereaux po zapachu. Wszyscy Reaktorowi mieli charakterystyczny zapach, coś jakby elektryczność i chłodne wieczory po upalnych dniach albo beton po deszczu. Sweetness wyobrażała sobie, że tak pachną atomy.

– Myślisz?

Opierał się o drzwi wieżyczki w nonszalanckiej pozie, jak to umieją mężczyźni, kiedy nie zależy im, czy patrzysz na nich, czy nie. Ród Romereaux współdzielił z Maszynistami kolor i gęstość włosów – oraz płyny ustrojowe, pewną liczbę pokoleń temu – lecz on był drobny i blady, z wąskim cieniem niedorobionej koziej bródki. Do reaktorów termo w sercu ciężkiego pociągu nie docierało słońce.

Był o półtora roku starszy od Sweetness i, kiepskie geny czy nie, na następnym korrobori⁴ miał się żenić z dziewczyną, Trakcyjną z lokomotywy klasy 88 *Cztery Strony Świata*. Będzie za nim tęsknić.

– Zawsze musi być pierwszy raz.

Widział, jak patrzyła w dal wzdłuż prostych torów, i miał ochotę naściemniać, obiecać jej niestworzone rzeczy, ale nigdy nie był w stanie jej okłamać, nigdy, przez te wszystkie lata, kiedy dorastali razem na *Katarzynie z Tharsis*.

– XII Maszynistą będzie Sli. Dobrze o tym wiesz.

Wiedziała, równie dobrze jak to, że jutro wszędzie słońce, ale i tak warknęła:

– Jego interesuje tylko pelota i łapanie za tyłek. I nawet w tym nie jest za dobry.

Romereaux uśmiechnął się blado.

– W innych dziedzinach Domostwa są kobiety-maszynistki – ciągnęła.
– U Maszynistów ze Slipher. Na Wielkiej Zachodniej. W Nowym Merionedd co drugi Maszynista to kobieta. Nie mógłbyś choć raz trochę poudawać, co? Choć raz powiedzieć mi: „Tak, Sweetness, tak, będziesz prowadzić, zasiądziesz tam na górze z ręką na przepustnicy?”. Tak ciężko? Choć raz?

– Sweetness... Ja wiem. A byłaś już pozdrowić wujka? – dodał.

– O kur... prawie zapomniałam. Ile jest czasu?

– Jakies pięć minut.

– To idę. Ty też?

– Jeśli mogę...

Pociągowi, pomyślała Sweetness, czekając aż Ricardo Trakcyjny opuści drabinkę. Możemy być, gdzie tylko zechcemy na całym świecie, o ile zostaniemy na torach.

– Uszanowanie dla wuja! – zawołała ciotka Miriamme Trakcyjna z maleńkiego okienka swej pralni, gdy Sweetness zeskakiwała na czerwony piasek.

Zostać na torach. Bo jak z nich zejdziesz, w nocy przyjdzie pech i wpelźnie ci do nosa i przez uszy. Zabobony, litanie, rytuały. Przypadkowe zdarzenia, w których przyczyny po latach spiekają się ze skutkami. Prawdy wiary. Na przykład, że córki nie prowadzą. I tak obejrzała się przez ramię, kiedy przestała czuć na karku psychiczną bliskość *Katarzyny z Tharsis*. Wielki pociąg stał niczym wytopiony z rdzawego piasku czarny monolit.

Romereaux pierwszy pozdrowił wujka. Przelotnie przytknął dłoń do zeszlifowanego przez piasek słupa semafora. Wszyscy – to znaczy załoga, bo pasażerowie się nie liczyli – na *Katarzynie z Tharsis* byli w jakimś stopniu spokrewnieni, nawet krzykliwi Bassarini, lecz pokrewieństwo Romereaux z wujkiem Neonem było naciągane, a poza tym on nigdy nie wierzył, że kolejowy semafor może mieć duszę. Pewnie dlatego nigdy nie poczuł niczego poza ocynkowaną stalą z Bethlehem Ares, pomyślała Sweetness. Skłonił się i się cofnął.

Sweetness dwa razy klasnęła w dłonie. Na rozległej i płaskiej pustyni dźwięk był cichy i płaski. Odkręciła bidon, który wzięła od *madre* Marii Stuard, i wylała na ziemię zimną herbatę przeznaczoną na libację. Zapieniła się i poplamiała czerwony piasek jak mocz. Sweetness zamknęła oczy i śmiało przytknęła dłoń do słupa. Jak zawsze, na początku był tylko cień dźwięku, stalowy syk, buczenie wiatru i kół na szynach,

wspomnienie życia w pędzie, dwóch wstążek metalu śpiewających jak kamerton. Jej słuch rozpostarł się jak skrzydła, najpierw na dole, słuchając grania krzemu i pieśni kamieni, potem przedostał się wyżej przez przemieszane wiatrem ziarenka, słuchając, jak tworzą piaskowe harmonie, powolne morskie fale załamujące się ziarenko za ziarenkiem. Jeszcze wyżej, aż usłyszała wszystko, co ograniczone ciasnym horyzontem. Do akordów piaskowej pieśni przyłączyły się rytmy i puls jej własnego ciała. Przez jedną boską chwilę wielka północna pustynia była jak jedna kwantowa funkcja falowa, zamodelowana w piasku jak ogród-wyrocznia Szandastriów. A Sweetness stała w punkcie o maksimum prawdopodobieństwa.

Otworzyła oczy. Jak zawsze znalazła się gdzie indziej. W tym miejscu nie było szyn, nie było pociągu, a tam, gdzie pustynia stykała się z dalekimi górami, czerwień przesączała się na niebo. Krwistoczerwone niebo, różowy zenit. I ani chmurki, ani nadziei, ani wspomnienia deszczu. Skały wokół przyprószone szronem. Piasek, na którym stała, aż syczał od elektrostatyki. Na całym świecie była tylko ona i pionowy słup semafora, uparcie zakorzeniony w obcej ziemi.

Sweetness zawsze wiedziała o tym miejscu trzy rzeczy: po pierwsze, żadne z nich tak naprawdę nie powinno tu być. Po drugie, powinno być dla niej zabójcze, tak jakby gleba była kwasem. Po trzecie – to było ich prywatne miejsce, tylko wujka i jej, i nigdy nie wolno nikomu o nim powiedzieć. Nawet rodzinie. Już z Małą Śliczną wystarczająco się narobiło. Chcieli ją posłać do Latającego Terapeuty. A to...

– Wujku?

Kiedy się odezwał, brzmiał mniej jak ten praktyczny pirat, którego pamiętała, a bardziej tak, jak sobie wyobrażała Boga Panarchę. Głosem, który dochodził jakby z wielkiej odległości, zapytał:

– Który mamy rok?

– Ten sam, co ostatnio.

– A kiedy było „ostatnio”?

– Wtórwrzesień. Równonoc jesienna. Kontrakt z Kadmowej Doliny?

– A, no tak. – Jakby cichła burza piaskowa. – A który to rok właściwie?

Powiedziała mu. Odparł:

– Tutaj tracę rachubę.

Wiedząc, że te rozmowy z wujem odbywają się poza normalną przestrzenią, Sweetness rozumiała także, że są w szczególnym czasie, niebędącym przeszłością, przyszłością ani teraźniejszością, lecz czasem innym, lustrzanym. Śnionym.

- Więc... – powiedział wujek Neon. – Sli...
- Dalej myśli, że będzie wielką gwiazdą peloty. Tylko że ma dwie lewe nogi, wielki bebzon, a mózg zlasowany od telewizji i walenia konia.
- Czyli jeszcze nie ożenił się z tą kusycką dziewczyną, co miała piętnaście złotych kolczyków?
- Jeszcze nie.
- A czy...?
- Poznał ją? Też nie.
- Rozumiem.

Rozumiał i widział dużo i szeroko, ale nieostro, jak zniekształcająca soczewka. Sweetness często natykała się na jego tęsknotę za przyszłością, która być może nigdy się nie wydarzy. A czasem zdarzało się, że bocznica przyszłości, którą wybierał na tej monstualnej górcie rozrządowej, okazywała się główną linią torów.

- Chcą cię wydać – powiedział.
- Mów.
- Za Stuarda. Stuarda z *Avaty IX*, na linii do Llangonedd.
- Ja pierdzielę.
- Nie przejmuj się.
- Nie przejmuj się? Właśnie mi powiedziałeś, że zmarnuję moje szalone lata na parzenie samowarów mięty dla katarskich pielgrzymów.

Śmiech wuja Neona był odpowiednio straszny. Czuło się go tak, jakby piasek zgrzytał pod czaszką. Skrzywiła się.

– Sweetness, to zupełnie nie koniec twoich szalonych lat – powiedział i odśpiewał starą dziecienną pioseneczkę o żeglarzu, który przepłynął niebo i przywiózł swojej ukochanej srebrną figę i diamentową grzechotkę. Kiepsko śpiewał, nawet po śmierci, ale Sweetness miała cierpliwość do rodziny.

Kiedy skończył, odczekała kulturalną chwilę i zapytała:

- To tyle?
- Co tyle?
- Wyjdę za Stuarda i to nie koniec moich szalonych lat?

Pauza. Sweetness wyobraziła sobie, jak trójlampowy semafor przekrzywia w namyśle głowę.

– Tak. To tyle. Nic się nie przejmuj. Zaufaj mi. A teraz mi powiedz, co tam u niej?

Sweetness założyła, że chodzi mu o *Katarzynę z Tharsis* i że o swojej przyszłości już nic więcej nie usłyszy. Sapnęła przez nos poirytowana tą kapryśną wyrocznią.

- Pole izolacyjne w tylnym reaktorze cały czas nie siedzi, jak trzeba.
- A robi tak? – „Tak” oznaczało falujący trochę gwizd, trochę syk.
- Bardziej tak. – Sweetness dodała wysoki klik o kadencji wznoszącej. Wujek Neon zacmokał.

– Musicie to naprawić. Co w ogóle robią Reaktorowi? Ja nie wiem, odkąd umarłem, wszystko się w niej sypie. Nikt już nie ma za grosz szacunku do porządnej maszyny. A *on* to już w ogóle. Z dupą się na głowy pozamieniał – i nie chodzi tylko o pociągi. Popatrz tylko na tę biedną maciorę, z którą się ożenił, to znaczy twoją świętą matkę.

Telepatyczne przeprosiny wuja Neona odczuła jak dwa skrzyżowane palce krążące w geście błogosławieństwa nad płatem czołowym. Uwielbiała to uczucie. Aż zamruczała.

- Dalej do niej nie gada?
- Ani słowa. Miga.

Kolejne neuronalne cmoknięcie.

– To powinnaś być ty. Zawsze to mówiłem. Byś doprowadziła ten generator pola do porządku *tout de suite*.

– W ogóle bym nie dopuściła do takiego stanu – rzuciła z dumą Sweetness. Zbyt wiele było ślepych torów kończących się zielonymi błyszczącymi kraterami – pomników byle jak serwisowanych tokamaków. Toromistrze układali wokół nich nowe szyny, lecz kraterzy świeciły przez dziesięciolecia, jarząc się niezdrowo w nocy. Pomyślawszy o nich, Sweetness wściekła się: – Ale ja mam wyjść za durnego Stuarda na dojazdówce do Boga i robić herbatkę i ciasteczka migdałowe, co nie?

- Tak?
- Mówiłeś, że tak widziałeś.
- Widzę o wiele więcej, niż mówię. Niż mogę powiedzieć.

„No nie gadaj?” – miała ochotę powiedzieć Sweetness, lecz nagły powiew pyłu startł jej te słowa z ust, pyłu, o którym wiedziała, że nie jest piaskiem, rdzą, lecz fragmentami czasu. Zbitym w ziarna czasem. Wyciągało ją stąd. Droga z powrotem była zawsze szybsza i gwałtowniejsza – pęd, zawrót głowy, szeleszcząca czerń, wrażenie skrzydeł tak wielkich, że mogłyby okryć świat – i już jest *tam*; wielka, wielka pustynia i gorące, gorące słońce.

Romereaux kuczał na piętach przy torach, nabierając w dłoń piasku i przesypując go przez palce. Zabijając czas.

- Jak ty to robisz? – zapytał.
- Jak co robię? – Tamto miejsce dopiero po chwili dało się jak paproch wymrunąć z oczu.

– To, co robisz. Kiedy gdzieś tam z nim idziesz.

– Idę? – zapytała podejrzliwie. Co on właściwie mógł widzieć? – Ja nigdzie nie idę.

– No rozumiesz: jesteś tu, ale cię nie ma. To gdzie jesteś?

– Do czego ty zmierzasz?

Romereaux wzruszył ramionami, rozwarł dłoń, spojrzał na ściśnięte w niej kamyki i ziemię.

– Po prostu mnie ciekawi, dokąd idziesz.

– To niech cię nie ciekawi.

– Co się tak strasznie bronisz?

– Muszę mieć coś tylko dla siebie. – W pociągu, gdzie pięć rodzin chodzi sobie po głowie, na terytoriach o splątanych granicach. – Jakieś miejsce dla siebie.

– Czyli jednak gdzieś idziesz.

– A tobie co do tego?

– Nic. Gwizdali.

To ją poderwało.

– Co takiego? Ile razy?

– Dwa.

– Ja pier...

Po trzech gwizdkach pociąg odjeżdża. Z tobą lub bez. I nieważne, rodzina czy pasażer. Rozkład sam się przestrzegać nie będzie, nie? Kiedy puściła się pędem do *Katarzyny z Tharsis*, z organów parowych zamontowanych na złączu między głównym kotłem a tendrem buchnęła para. Bezczelne nuty *Liberty Lillian's Rag* uniosły się zamasyście nad pustynię, gdy odziane w azbestowe rękawice dłonie *madre* Mercedes Reaktorowej przeskakowały po parzących klawiszach. Co ma jechać, na pokład! Co ma zostać, na ziemię! Zadzierając spódnicę po uda, Sweetness popędziła po torach. Romereaux wyprzedził ją bez wysiłku. Za nimi wujek Neon zamknął pomarańczowe oko i otworzył zielone. *Katarzyna z Tharsis* przeczyściła cylindry impulsem pary. Korby drgnęły, koła się zakręciły. Moloch zaczął się poruszać, niczym przesuwająca się płyta tektoniczna.

Sweetness widziała, jak Romereaux łapie za dolny szczebel chowającego się trapu. Minał jej głowę i przesunął się w przeciwnym kierunku. Sweetness okręciła się na pięcie i popędziła za usuwającą się drabinką. Wysokie jak dom koła turkotały obok jej głowy. Romereaux kucnął na najniższym stopniu. Matko święta, trochę zabraknie.

– Romereaux!

Wyciągnięta dłoń się oddalała. Ostatkiem sił Sweetness skoczyła. Jego dłoń zacisnęła się jak żelazne okowy na jej nadgarstku. Odbiła się ciałem od zaworu bezpieczeństwa na owiewce. Bez tchu zawisła w uścisku Romereaux. Wały napędowe dudniły jej obok głowy.

„Nie dam rady...” – mówił wyraz twarzy Romereaux; młodzieńcza siła skonfrontowana z bezlitosną rzeczywistością. Sweetness zakołysała się, usiłując sięgnąć nogami rombowego bieźnika na szczeblu. Paznokcie otarły się o stal. Końce podkładów w dole już się rozmazywały. Spaść teraz to gorzej niż nie zdążyć na pociąg. Zamachnęła się nogami. Sięgnęła.

– Ooooch!

Palce zacisnęły się na metalowym szczeblu. Romereaux podciągał ją, póki nie miał dobrego chwytu obiema dłońmi. Złapał mocno za torową kamizelkę i kwiecistą letnią sukienkę, wydzwignął ją na podest. Metal zadrapał o gołą skórę, zawiosłowała stopami. Bieźnik butów odnalazł bieźnik schodów.

W domu.

– Mało brakowało! – zawołała *tante* Miriamme, składając pościel, gdy Romereaux i Sweetness przemknęli pod jej oknem. – A, i Sweetness, no wiesz? Na pustyni? Prawdziwa dama nigdy nie zapomina o bieliźnie.

Dwieście kilometrów wyżej orbitalne lustro pochwyliło promień słońca znad krawędzi świata i posłało go prosto w oko Naona Maszynisty. Chwilowo oślepiony upuścił wątek dyskusji na podłogę Sali Narad.

– Eee...

– Posag – podsunęła szczupłą, groźna Maria Stuard.

Pięciokilometrowy krążek z szarej błony, beztroski i święty, popłynął po orbicie za zachodzącym słońcem.

– A, tak. Oczywiście. I co ja proponowałem?

– Pięć tysięcy dolarów gotówką.

– No tak.

Zerknięcie na dziadka Bedza, śliniącego się w Zdalnie Sterowanym Zbiorniku pod miedzianymi zwojami cyber-czepka. Zbiornikowanie – dla zgrzybiałego starego Maszynisty to powinien być prosty proces, lecz Naonowi XI nie podobało się, że staremu tak często ucieka oko.

– Plus...

– Plus co?

– Dwa procent przez kolejne pięć lat.

Walnięcie pięścią w blat stołu z autentycznego drewna. Dziadek Bedzo ocknął się z wieloletniej demencji. Przypomniał sobie twardość ręki swej żony.

– W życiu! – oświadczyła babcia Taal, drobna, zamarynowana staruszka, pełna życia, mięsa i potencjału. W wieku czterdziestu dwóch lat wciąż odrzucała lub przyjmowała potężne kontrakty, gdy *locodores* w czerwonych flanelowych surdutach przyjeżdżali na bocznice w swoich lektykach, żeby ogłaszać oferty dnia. Oczywiście miała jak małe zwinne muszki.

– Jeden procent, przez trzy lata.

Naon Maszynista XI znów zerknął na swojego ojca. Postukiwał nogą o nitowaną ścianę, do rytmu chlupotu wody w rurach zbiornika. Naon pomodlił się do Panów Żelaznej Drogi, by Bedzo nie dostał ataku nietrzymających zwieraczy. To bardzo by utrudniło matrymonialne targi.

– Jeden i trzy czwarte procent i cztery lata.

Matrony Maszynistów i Stuardów spojrzały sobie w oczy nad stołem do targów. Na tym drewnianym owalu, podobno zrobionym z oryginalnej gałęzi z Drzewa Początku Świata, dwanaście pokoleń temu i miliard kilometrów stąd, Maszynista I i Stuard I podpisali Akty Współpracy.

– Gdyby jeszcze on był z twojej linii, *tante* Maria, mogłabym się zgodzić – stwierdziła babcia Taal. – Ale ten...

– Narob – odezwał się Salam Selene Stuard, najmłodszy z Domostwa, pierwszy raz zasiadający przy wielkim stole i radośnie nieświadom społecznych gier, które uwielbiają rozgrywać ważne staruszki.

Cioteczna babka łypnęła na niego.

– ...ma wielkie perspektywy. – Co znaczyło: „A twoja wnuczka to tylko córka. Macica i drabina do historii”. – Jest *Chef du Chemin*. I ma własną kuchnię.

– Z nierdzewki – dodał Salam Najmłodszy z pewną nutką zawiści. Sam dopiero awansował do Obsługi Serwet i Tac.

Babcia Taal złapała tę niemądrą próbę odzyskania głosu jak gorące *nimki* z tacy peronowego sprzedawcy.

– Na *Avacie IX!* – powiedziała.

– Tak! – wykrzyknął Naon, mając wrażenie, że przegapił w tej grze parę kolejek. – Jeden i jedna czwarta procenta, trzy i pół roku!

– Naon! – Głosem matki do syna. – Nie wątpię, że jesteś największym specem od przepustnicy w tej ćwiartce, ale to dokładnie dlatego mężczyźni prowadzą lokomotywy, a kobiety prowadzą targi. Więc... – Zwróciła się do swej przeciwniczki. – Ona jest Maszynistką z krwi i kości. Ma parę w duszy, olej w sercu, żelazo w biodrach i ogień termojądrowy w oczach, ma za sobą milion kilometrów, jest stuprocentową wnuczką tej oto babki i wiedz, że posieka twojego *chefa du chemin* Naroba na plasterki jego własnymi nożami, w jego własnej kuchni z nierdzewki i poda go z solą i chili jego klientom i dlatego właśnie nie pójdzie na *Avatę IX* za mniej niż półtora procenta za trzy lata i dwadzieścia cztery miesiące. Koniec. Kropka...

Jednakże zanim babcia Taal mogła dodać „stoi” i dobić targu, Maria Stuard wetknęła kciuki za haftowane złotem klapy swej bluzy i zawołała:

– No tak, pani Maszynistko, ale co ona teraz robi?!

Ten wredny cios poniósł się rykoszetem od stołu, od otwartych ust do uniesionych brwi, odbił się od zmarszczonego w niesmaku czoła Naona Maszynisty, przez okno, dwieście kilometrów w górę w wieczorne niebo, by odbić się od lustrzanej tarczy wielkiej vany, zsuwającej się akurat przez terminator w noc, i wrócić na ziemię dwa i pół kilometra dalej, do Zbiornika Czerpalnego Inatra nr 6, w którym Sweetness Maszynistka radośnie sobie pływała. Odczuła go jako gęsią skórkę na gołych plecach, płynąc ku betonowemu brzegowi, gdzie siedziała Psalli, zanurzając w wodzie palce stóp. Sweetness uniosła wzrok – nierówna krawędź skarpy wzniosła się powyżej słońca. To by tłumaczyło ten dziwny dreszcz. Magiczna godzina. Triskeliony pomp wiatrowych kręciły się leniwie na tle ciemnego błękitu.

– Długo tu jeszcze będziesz?! – zawołała Psalli, gdy Sweetness zrobiła nawrót do kolejnej długości.

Była mocno zbudowaną dziewczyną o ponurej twarzy, typową Trakcyjną. Mając dokładnie osiem lat i ani dnia więcej, była najbliższą rówieśniczką Sweetness, a tym samym przyjaciółką, choć Sweetness zastanawiała się czasem, czy tak by było, gdyby miały nieco mniej mobilne życie. Bo potrafiła być straszną jęczybułą.

– Jak ci zimno, to możesz wracać – odpowiedziała zaczepiona łokciami o drugą krawędź zbiornika.

– Nie – burknęła Psalli.

– Nie musisz na mnie czekać.

Dziewczyna wzruszyła mięsistymi ramionami. Sweetness odbiła się od drugiego końca zbiornika. Dwa zamachy i dopłynęła do Psalli.

– Czemu nie?

Psalli zerknęła poza tarasowe zbiorniki ku warzywnikom.

– Ciebie nie będą zaczepiać – powiedziała Sweetness.

– Cały czas się gapią i machają.

– Tak? A, no dobra, to niech mają na co popatrzeć i komu pomachać.

Sweetness wydobyła się zamasyście z wody, w kaskadzie wielkich kropel. Balansując jak gimnastyczka na wąskiej krawędzi, wyprostowała się na swój pełny metr siedemdziesiąt pięć gołego ciała. Miodową skórę pokrywała rosa z miliardoletniej wody. Zgarnęła włosy za uszy, wetknęła palce do ust i gwizdnęła, przesywając indygowy chłód Inatry jak sztyletem. Wszystkie ciemne sylwetki chowające się w wysokich zaroślach za kanałami nawadniającymi obróciły się jak jeden mąż.

– E! Chłopaki! Widzicie to? – Sweetness zakręciła biodrami. – W życiu tego nie dostaniecie. – Zatoczyła powolną gwiazdę na krawędzi basenu.

Wszyscy podglądający chłopcy z Inatry dostali cios w oczy, taki, że jeszcze długo nie potrafili kochać, jak należy, bo na siatkówkach mieli wytatuowaną wizję nieosiągalnej młodości i straty, z zimną wodą spływającą łukowatymi strużkami z jej pięt. Sweetness wyprostowała się sprężyście.

– Tak żebyście wiedzieli, nie?

Postacie pochowały się z powrotem w zaroślach.

Z dłońmi na biodrach zlustrowała swą zdobycz. Inatra była miasteczkiem wodnym na szlaku, pełnym studni, szybów i pomp, z wodą szemrzącą omszonymi duktami ze zbiornika do zbiornika, z bulgocącymi kanałami nawadniającymi i kiwającymi się w namyśle kiwonami, wyniosłymi wieżami ciśnień i małymi, śniadymi dzieciakami figlującymi w tęczowej mgiełce pod przeciekającymi węzami. Tutaj łagodne nachylenie równiny Tanagyre pękało jak paschalny opłatek i zmieniało się w kilometrową stromiznę Praesoline. Tutaj wielkie termojądrowe lokomotywy przystawały na długo u wodopoju, przed mozolną wspinaczką długimi pochylniami i serpentynami Podjazdu Inatra. A kiedy pociągi piły, pociągowi bawili się w wodzie.

– Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistko, ty nic a nic wstydu nie masz – powiedziała Psalli.

– Super, co nie?

Jej przenikliwy gwizd na dwóch palcach zdążył już przeniknąć do Sali Domostw na *Katarzynie z Tharsis* i choć słaby, miał jeszcze dość siły, by dotrzeć do ucha Marii Stuard. Uśmiechnęła się. Wszyscy wokół stołu tak samo jak ona domyślali się, skąd pochodzi. Położyła dłoń wierzchem do góry na gładkim drewnie.

– Trzy tysiące, jeden koma siedem procent i trzy lata, trzydzieści miesięcy. Koniec, kropka, stoi.

Wytrzymała spojrzenie babci Taal. Stara Maszynistka wzruszyła ramionami.

– Tinguoise.

– Major's Gate.

– Ethan's Soul.

Koniec formułki. Nikt żywy czy nieumarły nie znał jej źródła ani nie był w stanie cofnąć tego, co przypieczętowała.

– Skontaktuję się z ludźmi z *Avaty IX* i poproszę o przygotowanie kontraktu.

Maria Stuard ze swoją delegacją podniosła się od stołu. Kiedy wychodziła, Child'a'grace mruknęła:

– Za tanio.

Jej mąż ryknął.

– Powiedz tej kobiecie... – rozkazał babci Taal, ta jednak już poszła, szeleszcząc wielowarstwowymi spódnicami, więc tylko zamigał: – *To tylko córka!* – I dodał jeszcze palcami: – *Pół córki.*

Child'a'grace uniosła się w nagłej furii.

– Nigdy...

Przepraszam, przepraszam, mój błąd – wymigał się Naon Maszynista. Popęłił ciężki grzech. Wiedział, że źle sprawił się na negocjacjach. Może i urodził się z dłonią na przepustnicy, ale Marii Stuard się bał. Bał się i miał wobec niej dług – nikomu w żadnym Domostwie na *Katarzynie* z *Tharsis* nie pozwalano zapomnieć, że ona sama jedna stawiała czoło słynnej bandzie Starke'a obrabowującej wagon pełen lewickich pielgrzymów. Ta waleczność kosztowała ją igłę w biodrze, które potem bolało ją, kiedy to było dla niej dogodne politycznie, ale swoim przykładem obudziła demony w łagodnie usposobionych pielgrzymach. Zerwali się jak jeden mąż, złapali dakoitów i wyrzucili ich na następnym przystanku. A sama Maria Stuard do tego stopnia wściekła się za tę igłę, że powaliła starego, groźnego Selvyna Starke'a ciśniętą jak frisbee srebrną tacą.

– Któregoś dnia, i niech Bóg da, że szybko, na rachunku tej kobiety będzie debet – wymamrotał Naon Maszynista, idąc zmienić woreczki i wyczyścić rurki dziadkowi Bedzowi.

Nad Inatrą był już zupełny mrok. Sweetness wracała do domu po torach, samotnie, pod pierwszymi przebłyskami księżycowego pierścienia, tej koziółkującej po orbicie konstrukcji podtrzymującej kruchą ekosferę tego świata. Psalli skorzystała z chwili zaskoczenia wywołanej występem Sweetness i wymknęła się pierwsza, zanim chamscy chłopcy zdolali wykrzesać z siebie odrobinę odwagi. Szła pomiędzy końcami podkładów a ruderami. Handlarze ciasteczkami i pasztecikami wstawali znad tłących się ognisk z ludzkiego obornika, a potem opadali z powrotem na widok pomarańczowej kamizelki Maszynistki. Androgynicznie chude chłopco-dziewczyny, pozbawione płci przez głód, potrząsały naręczami miedzianych bransoletek-amuletów. „Szczęścia, szczęścia, dziewczyno, a każdy zwój to modlitwa”. Sweetness kręciła głową. Ten drut kradziono z przekaźników zwrotnic. „Każdy zwój to modlitwa”, oprócz sporadycznie usmażonego prądem bransoletkarza, często oznaczało wykolejony przód.

Katarzyna z Tharsis wznosiła się pośród nocy, monolityczna jak skarpa, na którą zamierzała wejść. Światła migwały, okna zapraszały. Lecz jeden szepł sprowadził Sweetness z tej drogi, pod ostatnią budą, przed samym domem.

– Wszystko wie, wszystko słyszy, wszystko widzi. Przeszłość terażniejszość przyszłość. Odsłoń okno czasu, o piękna damo.

Głos był jak gadzi syk, ale przy tym dziwnie atrakcyjny; był to gad o pięknej, wysadzonej klejnotami skórze, z wymyślnym grzebieniem i krętym niebieskim językiem. Odezwała się jakaś nieoczekiwana podatność w jej duszy. Usłyszała, jak mówi:

– No dobrze. A ile za to?

– Bardzo mało – odparł jaszczurczy język.

Jego budka była obwisłą jurta w lamparcie cętki. Gdy pochylała się wchodząc, kłapa jurty otarła jej się o kark. Była w dotyku jak żywa skóra.

– Trochę tu ciasno.

Ciaśniej, niżby sugerował wygląd zewnętrzny. Ledwo widziała człowieka o jaszczurczych wargach za ośmiokątnym stolikiem. Wydawał się mały i bezwłosy, skórę miał dziwnie ciemną, nawet jak na ciemnoskórych ludzi. Mogłaby przysiąc, że w tym słabym, padającym zewsząd i znikąd blasku wydawała się zielona.

– Nie powinienesz mnie poprosić o danie do ręki kilku centawo? – zapytała Sweetness.

W jurcie mocno pachniało zielenią i roślinami, pleśnią i liśćmi, kwiatowymi słupkami i świeżo skopaną ziemią.

– Jeśli chcesz – odparł wróżbita.

Kiedy szukała w biodrowej torbie srebrników, położył na stole urządzenie przypominające rozdęty minutnik do jajek. Jego górną półkulę wypełniały małe białe fasolki. Drogę do dolnej półkuli przegradzało im coś w rodzaju jeża z powtykanych w siatkę patyczków.

– To wystarczy?

Wróżbita zgarnął strumyczek centawo, wsadził je do ust i połknął.

– Czy ty...?

Magik nachylił się ku niej. Był zielony i to od niego bił ten roślinny zapach. Rozszerzył nozdrza.

– Kąpałaś się.

– Mam mokre włosy, panie wielki detektywie.

– Pachniesz wodą. Proszę. – Szybko jak atakujący wąż wyszarpnął z klepsydry jeden szpikulec. Miał niebieski czubek i wypalone słowa „Spełnienia pierwszy szczyt” i „Jeden za darmo”. Mały zielony człowieczek przyjrzał się temu mottu. – Mogło się gorzej zacząć. – Położył patyczek na stole. – Teraz ty grasz. Wyciągasz który chcesz patyczek, a celem gry nie jest wygrana, bo wygrać się w to nie da, ale by te fasolki spadły jak najpóźniej. Potem będziemy to odczytywać.

– Nie ma problemu. – Sweetness wyciągnęła rękę po patyczek.

– Jedna zasada. Dotknięte, musisz wyciągnąć.

– Dobra. – Pewnym ruchem wysunęła patyczek, w który celowała palcem. Pierwsze pięć ruchów było prostych, nawet bezmyślnych, potem, w miarę jak fasolki osypywały się z grzechotem, gra nabierała znaczenia, domagając się namysłu i planu. Zagryzła dolną wargę w skupieniu

i wybierała pomiędzy dwoma szpikulcami krzyżującymi się głęboko pod stołem fasolek.

– To jak to w ogóle działa?

– Ty wyciągasz patyczki, grawitacja robi resztę.

– No nie, ale jak przepowiada przyszłość?

– A skąd ja mam wiedzieć? – odparł zielony człowiek. – Wiem tyle, że przepowiada.

Palce zakołysały się, podjęły decyzję, zmieniły ją, zacisnęły się stanowczo na patyczku sterczącym pod kątem trzydziestu stopni. Wyciągając go, czuła, że fasolki ocierają się o drewno. Szarpnięcie. Jedna fasolka wylądowała na dnie maszyny wróżącej. Złapała się na tym, że wstrzymywała oddech, i wypuściła powietrze z westchnieniem ulgi.

– Jakaś zawsze spadnie – powiedział zielony, biorąc patyczek. – Hm. Kanton Królowej.

– To dobrze jest czy źle?

– Po prostu jest. – Ułożył go obok innych w równiutkim rzędku.

– Ja mam wuja, co widzi przyszłość – powiedziała beznamiętnie Sweetness. Kucnęła nisko, z dłońmi na stole i oczyma na poziomie płataniny patyczków.

– Naprawdę? – zapytał zielony.

– Chociaż on by powiedział, że nie tyle widzi przyszłość, ile ma jakby szerszą terażniejszość.

– Ciekawa perspektywa.

– Tak mówi. Ale w sumie to on jest semaforem.

– To na pewno ma nowatorskie... przemyślenia.

– Pracował na tym słupie i trafił go piorun. – Sweetness wyciągnęła patyczek jak szpadzista z Belladonny rapier. – Proszę!

– Brawo – powiedział zielony.

Trzy patyczki później coś pyknęło, osypało się i wszystkie fasolki uderzyły w dno naczynia jak rzucane przez łobuzów kamyki w okno wdowy.

– Oj – powiedziała Sweetness.

Teraz zielony człowieczek kucnął i przyglądał się układowi pozostałych patyczków. Obracał przyszłościomiat w dłoniach. Sweetness zauważyła, że marszczy czoło, co skojarzyło jej się z oraniem pola.

– Sandały z Kości równoległe do Chłopca z Dwóch Pyłów, krzyżują się ukośnie z Niewinnymi Ekscesami. Ale Chłopiec z Dwóch Pyłów przecina Zapach Lawendy i wychodzi otworem osiem osiem, w górnej prawej ćwiartce, Ćwiartce Pustej.

– To znaczy?

Zielony człowiek przytknął palec do ust. Uniósł klepsydrę do dobywającego się zewsząd światła.

– Widzisz? Złoty Pierścień na Kciuk jest bardzo, bardzo poziomy i w samotnej ćwiartce; zauważ, że jedyne, do czego się zbliża, to Wieczna Pomoc. Twoja rodzina chce cię wydać.

Jego oczy – które, jak zauważyła Sweetness, miały żółte tęczęwki – spojrzały wyczekująco, czy zrobiło to na niej wrażenie.

– Nic trudnego. Dziewczyna z kolei, w moim wieku? Musisz się bardziej postarać.

– Jednak ślubu nie widzę.

– To już lepiej. Znaczy w ogóle?

Zielony człowiek wyciągnął przyszłościomierz do Sweetness.

– Nie w ramach tej opowieści.

– A co to za opowieść?

– Ta, w której się znajdujesz. W której wszyscy się znajdujemy. – Objął dłońmi szklany tułów o talii osy. – Opowieści powstają z żyć, ale nie wszystko w życiu to opowieść. Tylko niektóre jego fragmenty mają konstrukcję, fabułę, energię dramatyczną, splot przypadków, pragnień i okoliczności, które tworzą opowieść. Tutaj... – znów pogładził szkło – ... jest historia twojego życia. Tutaj i tutaj... – dotknął dwóch zielonych końcówek patyczków – ...przenikasz ze sfery „pewnego razu była sobie” do „żyła długo i szczęśliwie”. Te pręciki oczywiście są nieskończone. – Palcami nakreślił w powietrzu ich przedłużenia.

Sweetness przez krótką chwilę patrzyła cudzymi oczyma, widząc, jak ciągną się poza jego zasięg, wskroś niego, wskroś niej, przez miękkie ściany jurty i jeszcze miększe ściany nocy i czasu.

– Myślisz, że wszystko, co ci się do tej pory w życiu przydarzyło, to przypadek? Co za szczęście w takim razie! Wszystko, czym byłaś, prowadzi do tego miejsca, tego słoja, tego zbiegu sił. Oczywiście ty możesz patrzeć na to wszystko inaczej. – Żółtozielone dłonie obróciły wyrocznie o 180 stopni. Na Sweetness spojrzała groźnie inna armia kolców. – Jeśli prawa wszechświata są tak odwracalne, jak twierdzą mędrcy, to musi być także prawdą, że to, czym będziesz, wpływa na to, czym jesteś teraz.

– A te fasolki to coś jak boże gówno, co spadnie na mnie, jak nie zrobię tego czy tamtego?

Zielony człowieczek zasznurował usta.

– Zważywszy na to, że dla mnie gówno to znakomity nawóz, a dla tych ludzi jedyna metoda na ciepło w życiu, to być może. Ale też możesz uznać, że to ciężar niezdecydowanych zdarzeń, którego trzeba się pozbyć, żeby ukazały się kości twojej opowieści.

Sweetness przekrzywiła głowę, splotła ramiona i spojrzała wyzywająco spod ciemnych loków.

– A będę jeździć pociągiem czy nie?

– Dużo będziesz jeździć.

– Jeździć czy będę wożona?

Zielony zakręcił patyczkiem między kciukiem i palcem wskazującym.

– Wizyta Szarej Pani krzyżuje się z Trąbką z Alves pod ostrym kątem. Jedno i drugie, moja kochana. Teraz parę rad dla ciebie. Trzymaj się mocno poruszających się szybko rzeczy. Nie wierz zanadto pozorom, chociaż, z drugiej strony, pierwsze wrażenie to trwałe wrażenie. Kiedy się wspinasz, patrz na ręce, nie na stopy. Bądź świadoma, że zawsze masz wokół to, co cudowne. Nie zbywaj rodziny. Nie rzucaj śmieci. I zawsze spodziewaj się niespodziewanej pomocy. Noś szczotkę do zębów i jedną zmianę bielizny. Drobną monetą zajmują miejsce i bardzo łatwo się wysypują z kieszeni. Noś banknoty w skarpetce. Anioły istnieją, jeśli wiesz, jak je wykorzystać. Każdego dnia trochę poczytaj. Pustynia uczy suchości, miasto kąpiel. Zwykle śmierdzisz bardziej, niż ci się wydaje. Któregoś dnia, niedługo, będziesz kosztować świat jeden księżyc. Twoja babcia bardzo cię kocha. Spokojnie z przepustnicą, póki cylindry się nie rozszerzą. Świat to o wiele więcej, niż się wydaje. Kiedy widzisz zielone, ufaj mu, jest bowiem jednością ze mną i ja też w nim będę, w tej czy innej formie. I nigdy nie płąć dużych pieniędzy przytorowym kombinatorom.

Zielony człowieczek wyciągnął pozostałe szpikulce i położył je obok reszty na ośmiokątnym stoliku. Przyszłość została przepowiedziana.

– To tyle? – zapytała Sweetness, na wypadek gdyby tak nie było.

– Tak, to tyle – odparł zielony człowiek z takim namysłem, jakby w każdej sylabie jej pytania kryła się ruda mądrości.

– Miej oczy szeroko otwarte i noś bieliznę na zmianę? Coś takiego to każdy może powiedzieć. Co ze mną będzie, dokąd pójdę, co będę robić, kogo poznam?

– Chcesz, żebym zdradził całą historię? – zapytał zielony.

– To jest gówno warte – oświadczyła Sweetness Asiim Maszynistka. – Oddawaj pieniądze.

– Weź sobie fasolki – powiedział zielony i cisnął jej w twarz garść.

Rozsypały się w proch.

Sweetness zatoczyła się oślepiąca beżową mgłą, która, kiedy osiadła, zmieniła się w pospolity pył drogowy z Inatry. Jurta z miękkiej skóry i jej mieszkańiec oczywiście zniknęli.

– Ej!

W pyłe pod stopami Sweetness dojrzała trzy srebrne błyski. Jej monety. Syk – uniosła wzrok: kłęby pary buchały z przegubów wałów *Katarzyny z Tharsis*. Ascent zapraszał. Rozproszył ją jakiś błysk pochwycony kątem oka; błysk światła, drobny jak pięciocentawowa moneta, unoszący się nad szczytem skarpy. Szybko jak żywe srebro śmignął między pompami wiatrowymi, przeskoczył nad zygzakami Ascentu, zamigotał wśród tarasowych zbiorników. I z każdą chwilą rósł: nad ciężarówkami, ogrodami, wieżami ciśnień i kratownicami z węzami, cały czas wycelowany prosto w Sweetness. Strach i zdumienie ją zahipnotyzowały. Reflektor z nieba przeskoczył po bocznicach, przez kartonowe dachy biedoty, omiótł ją. I zatrzymał się. Stała w snopie światła. Wydawało jej się, że powietrze wokół śpiewa. Z ziemi wzbijał się pył. Trzy centawo w dłoni błyszcząły jak rozżarzona platyna. Jednakże nie bała się. Ocieśniła oczy dłonią i spojrzała w stronę źródła – orbitalnego zwierciadła. Od światła popłynęły jej łzy z oczu.

– Dzięki, ale muszę już iść!

Wyszła z zaklętego kręgu. Krąg poszedł za nią.

Zachichotała nerwowo.

Bądź świadoma, że zawsze masz wokół to, co cudowne.

Wetknęła trzy centawo do swojej biodrówki i skąpana w świetle ruszyła do domu.

Chwilę po czwartej nad ranem *Katarzyna z Tharsis* ukończyła Podjazd Inatra i przeciągnęła ostatni ze stu wagonów z rudą przez przełęcz, na zjazd do Leidenlandu. Za dwanaście piąta Sweetness Asiim Maszynistkę XII obudziło w jej wąskiej koi palące łaskotanie w lewym boku, od biodra po dolne żebra. Kiedy się do końca obudziła, w lustrze na drzwiach szafki kuciała Mała Śliczna. Jak zawsze miała na sobie wczorajsze ubranie Sweetness.

– Zrobili to, paskudniki – powiedziała bez wstępów, jak to miała w zwyczaju.

– Która to godzina? – zapytała Sweetness.

– Jakieś trzy godziny do Jałowca. Słuchaj, jeśli cię to nie interesuje...

– To i tak mi powiesz.

Przez osiem i pół roku można nauczyć się wszystkich gier i nastrojów wyimaginowanej przyjaciółki. Ale nie tak, jak będąc z nią zrośniętą, kość z kością, narząd z narządem, od biodra po dolne żebra.

Wśród kolejowych bliźnięta były samą radością – dwie stabilne szyny, po których można jechać ze wspólnym życiem. Tak więc, kiedy wielka jak góra ciężarna Child'a'grace poczuła, że coś się rusza w jej wodach, a Naon Maszynista (wówczas przemawiający do niej czułymi słówkami) pojechał na pełnym gazie do Wędrownej Położnej w Odwodnieniu, a położna przejechała fetoskopem po brzuchu Child'a'grace i stanowczo obwieściła „bliźniaczki”, oboje się cieszyli. Mimo że to były dziewczynki. Więc nikt tak naprawdę nie słuchał, gdy położna dodała:

– Wydają się blisko. Bardzo blisko.

Jak blisko – stało się oczywiście pięć miesięcy później, w pokoju położniczym Latającej (a nie Wędrownej) Położnej, w jej sterowcu,

zaparkowanym jak jajko w filizance w starym kraterze uderzeniowym nieco na południe od wysokiej i samotnej linii Alt Colorado.

– Dziewczynka! – Żadna niespodzianka. – I druga!

Tak szybko? Naon Maszynista wpatrzył się w płataninę kończyn, rurek i krwi. Nagle wszystko nabrało sensu i wydał z siebie okrzyk zabobonnego lęku.

Bliźniaczki syjamskie.

– Widziałam gorsze – stwierdziła Latająca Położna, wielka, brzydka, ale sympatyczna kobieta imieniem Moon'o'May, przesuwając skanerem nad popiskującymi ludzikami o pomarszczonych twarzyczkach. – Widzi pan?

Naon Maszynista niczego nie rozumiał z pseudokolorowego obrazu przedstawiającego organy, kości i różne pulsujące rzeczy.

– Wspólna nerka, z tym może być później problem. To samo z jajnikiem. Ale układ nerwowy nie jest połączony. Rdzenie są oddzielne, a miednice poprawne anatomicznie.

– Czyli da się je rozdzielić – powiedział Naon Maszynista, choć jego żona pocila się, uśmiechała i próbowała zrozumieć niespodziewanie skomplikowaną rzecz, która wyszła z jej macicy.

– Powinno to być proste.

– To niech pani to zrobi.

– Wrócę za rok, kiedy będą silniejsze, a organy się ustabilizują.

– Nie, proszę to robić już.

Potem Naon Maszynista zawsze tłumaczył się tak, że nie mógł dopuścić, by stworzenia o połączonych tułowjach tarasowały wąskie korytarze i schodki *Katarzyny z Tharsis*. W razie przecieku ciśnieniowego albo, nie daj Boże, wycieku plazmy, wystawiłyby na szwank życie nie tylko swoje, ale i całej rodziny. Child'a'grace, wciąż oszołomiona po lekach znieczulających, rozumiała, że boi się, że inni będą podejrzewać Domostwo Maszynistów o złe geny. Aha, za blisko tokamaków. No tak. I teraz jest taki płytki grób, zaraz obok bocznicy McAuleyburg. Właśnie. Oczywiście, że nic już tam nie ma, kondory wszystko zeżrą. Ale popatrzeć tylko na te obojczyki i policzyć kręgi...

– Dobra – powiedziała Latająca Położna, kiedy wydrukowała formularze zgód i położyła małe, czerwone popiskujące stworzenie na białym stole pod białymi lampami. – To która bierze nerkę, a która jajnik?

– Ta bierze nerkę – pokazał Naon Maszynista. – A ta jajnik.

– Nie ma sprawy – odparła Latająca Położna i zadzwoniła do chirurga, z którym współpracowała w Belladonna.

Właśnie wyjechał na weekend odbudowywać swe małżeństwo, pływając po kanałach Nowego Merionedd, wsunął więc dłoń w rękawicę manipulatora i założył cyber-czepek. Poruszył palcami. W kraterze koło Alt Colorado ostrza skalpeli zatańczyły nad bliźniaczkami. Ramiona robota zawirowały, palce zafalowały, a na koniec ta z nerką przeżyła, a ta z jajnikiem umarła i naprawdę pojawił się płytki grób, tuż obok bocznicy, niepodpisany, ale bardzo poplamiony rzadkimi, krwawymi odchodami kondorów.

Child'a'grace, na wpół radosna, na wpół zrozpaczona, zawiesiła nad łóżeczkiem tej, która przeżyła, mobil z lustrzanych ptaszków i w nocy pojawiła się w nich Mała Śliczna i pilnowała siostry, choć oczy Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim jeszcze nie nauczyły się ogniskować.

Taka była ta historia według Małej Ślicznej.

– Mam nadzieję, że lubisz zapach gorącego tłuszczu – powiedziała bliźniaczka-duch w lustrze w sypialni.

Sweetness wyskoczyła z koi najgwałtowniej, jak tylko pozwalała małeńka sypialenka.

– Babcia Taal...

– Jest potężna, ale nie wszechmocna. Wytargowała najwięcej, jak mogła...

Noc, pył, delikatne drgania szyn w dole, ciepła obecność stałej prędkości, basowe buczenie tokamaków w tle, chłód przedwiecznych wód Inatry, smród ognisk z obornika, zielony aromat jurty zielonego człowieka; wszystko to zagłuszył szcęk patelni i talerzy i zamówienia wyrzaskiwane przez okienko do kuchni. Sprzedana. Jakiemuś Stuardowi.

– *Avata IX?*

– Kto ci powiedział?

– Wujek.

Mała Śliczna wydeła usta, naburmuszyła się. Nie lubiła, że w rodzinie jest konkurencyjna wyrocznia.

– Wujek powiedział, jak on się nazywa?

– Gadaj.

– Narob Chi-Ora ze Stuardów z Pętli Południowej.

– I jak?

– Całkiem ładny. Czarne włosy. Niezły tyłek. Ładne oczy. Będzie dobry. Ma ambicje. Dyrektor cateringu na całą Ćwiartkę Północno-Zachodnią. I może do tego dojść.

Po ośmiu latach Sweetness wiedziała, że kiedy Mała Śliczna mówi „może”, to zwykle znaczy „na pewno”. Podejrzewała, że jej była syjamska bliźniaczka w którymś z dziewięćdziesięciu siedmiu koncentrycznych nieb Panarchy spotyka się z *innymi*.

– Kiedy? – Trudne pytanie.

– Na następnym korrobori. – Jeszcze trudniejsza odpowiedź.

Dwa razy w ciągu długiego roku, w wiosenną i jesienną równonoc, kolejowi spotykają się na rozległych bocznicach na równinach Woolongong, po dziesięć pociągów na torze na pięciuset torach. Pięć tysięcy arystokratycznych lokomotyw, z tendrami i służbówkami obwieszonymi wstążkami i kwiatowymi girlandami, ozdobionych ciężko zapracowanymi żelaznymi rozetami za szybkość, wytrzymałość, odwagę, za najcięższy ładunek. Tam przywódcy Domostw balowali, a córkami handlowano. Na skwarnych równinach zmieniały właścicieli całe gospodarki, pieniężne czy honorowe, a potem, nierzadko, tego samego dnia przepadały przy kartach i stołach do snookera. *Commodius vicus* recyrkulacji⁵ tego, co daje się sprzedać. Sweetness widziała tam młode kobiety wbite w matczyne suknie, z torebkami w dłoniach i ślubnymi chustami na głowach. Widziała, litowała się nad nimi, postanawiała nigdy do nich nie dołączyć.

– O rany!

Ciężki skład z rudą jechał do stalowni Stalowej Rzeki. Stamtąd trzy dni pustego kursu do Shelby po leśny fermentor – w Shelby surowe drewno, podczas rozpinania składu w Mądrości – piętnaście rodzajów płynnych plastików i węglowodorowych paliw. Potem natychmiastowy zjazd na kurs z pielgrzymami do Szepczącej Góry w Czernowie, szybki kurs do Belladonny na miesiąc holowania samej dumy Kolei Bethlehem Ares, Ekspresu Ares. A potem słońce stanie pionowo nad równikiem, podzieli równo dzień i noc, a ona będzie musiała zamieszkać w kuchni obcego mężczyzny i jej czarne włosy już zawsze będą śmierdzieć gorącym olejem. Tak mało czasu, tak mało kilometrów.

– Nie możesz do tego dopuścić!

Mała Śliczna w lustrze rozłożyła dłonie, jak to robią duchy, kiedy mówią żywym: „Jestem duchem, pamiętaj”.

Sweetness pamiętała. Coś jeszcze.

– Zielony człowiek!

Po raz pierwszy zobaczyła Małą Śliczną zbitą z tropu.

– Kto taki?

– Zielony człowiek. Powiedział...

– Spotkałaś zielonego człowieka? Gdzie? Nie widziałam tego. To wszystko zmienia.

„Powiedział: na razie ślubu nie widzę” – tak miała zamiar odpowiedzieć Sweetness, lecz przerwało jej ostre pukanie do drzwi kabiny, a potem krótkie, dotkliwe swędzenie, kiedy Mała Śliczna uciekała z lustra i chowała się w długiej bliźnie na jej boku.

Brat Sli otworzył iluminator i wrzasnął:

– Wuj Billy!

Formułka była starożytna, niezmienna i powszechnie uznawana. Nawet historycy Domostw nie byli w stanie się zgodzić, kim był wuj Billy i czy był czymś więcej niż tylko legendą, ale uratował pokolenia Maszynistów przed niebezpieczeństwem, zbrodnią, policją, długami, rywalami, bandytami, żądzą wędrowki i nieprzemyślanymi związkami. Ostrzegał przed rzeczami dużymi i małymi, szemranymi prawnikami, komornikami, nieuczciwymi wagowymi, włóczykijami i pasażerami na gapę.

– Gdzie?! Co?! – odkrzyknęła Sweetness.

– Szczur kolejowy.

Pasażer na dachu. Pasażer na podwoziu. Pasażer na gapę. Przystając tylko na moment, żeby podrapać się po nawiedzanej ranie, Sweetness włożyła szorty, buty, koszulkę. Sli czekał w korytarzu, z latarką i pałką dżubba.

– Uważaj na to – rzucił drwiąco, gdy Sweetness zapoznawała się na nowo z krótką, grubą bronią kolejowych.

– Jak, o tak? – Wycelowała tępy koniec w Sli.

Odtańczył na bok; nabój ze sprężonym gazem był w stanie wystrzelić koniec dżubby z siłą wystarczającą, żeby zrzucić najbardziej zawziętego dachowca.

– Nie marnuj gazu – burknął kwaśno.

Sweetness pokazała jeszcze jego oddalającym się plecami kciuk w dół w geście niechęci, gdy schodził na pomost wzdłuż prawej burty. Pstryknęła guzikiem tęczątkowej klapy, która sapnęła parą, i wysliznęła się na dach. Zawsze lubiła tam wychodzić, żeby sobie porozmyślać i poczuć się sama, co na zatłoczonej, pełnej krzątaniny *Katarzynie* z *Tharsis* było wyjątkowym rarytasem. W jasne noce, gdy pierścień księżycowy świecił jak diamentowy pas mistrza walk, Child'a'grace zawsze wiedziała, że ze wszystkich kryjówek w pociągu właśnie tutaj znajdzie córkę. Sweetness rozpuściła włosy i potrząsnęła nimi w wiecznym pędzie powietrza. Z wrodzoną gracją urodzonych w pociągu

poddała się powolnemu pulsowaniu lokomotywy. Zaciągnęła się nocnym powietrzem. Otulała ją para. Odkąd wyhodowała sobie włosy, na których dało się usiąść, nabrała zwyczaju zdejmowania ubrania i dawała się pieścić białej parze i nocy. Na początku czuła się perwersyjna i grzeszna. Nocna nudystka oraz aspirująca maszynistka lokomotywy. Wtem jednej nocy, zapinając bluzkę, przyuważyła Nugenta Trakcyjnego, który nie tylko zdejmował z siebie ubranie, ale i delektował się powolnym, nocnym waleniem konia, w końcu wypuszczając owoc swojego wysiłku eleganckim łukiem za burtę tendra.

A dzisiaj – wujek Billy. Sweetness odruchowo sprawdziła sygnał ostrzegający przed tunelami, choć w promieniu dwustu kilometrów nie było żadnego, przypięła pałkę dżubba do paska i ruszyła po delikatnie kołyszącym się dachu w stronę tendra.

Dźwięk.

Zamarła na ostatnim szczeblu prowadzącym na pomost na tendrze. Wścibski promień latarki zakołysał się tam i z powrotem. Zza osłony głównego wlotu wody przywitał ją uśmiech Romereaux.

– Człowieku, nie rób tak, mogłeś dostać dżubbę.

– Przepraszam, przestraszyłem cię?

– Nie, oczywiście, że nie.

Zobaczyła, że jego mina się zmienia, i już wiedziała, co teraz powie. Nie miała ochoty tego słyszeć. Ale i tak to powiedział.

– A ten twój...

Sweetness się wściekła.

– Jak to jest, że wszyscy się o tym dowiadują przede mną?

– Przepraszam...

„No, Maszyniści i tak nie żenią się z Reaktorowymi, więc będziesz tu tkwić” – takie słowa przysły jej do głowy; jednak tak naprawdę nie zasługiwał na nie, więc tylko rzuciła spokojnie:

– Gdzie już sprawdzałeś?

– Prawa burta czysta. Suleiman jeszcze po niej idzie. Chagdi ma przyjść ze służbówki.

– Ja sprawdzę górę wagonów.

– Dobra. – Pauza. – Sweet...

– Nie gadaj. Dobra?

Skoki przez ciemne przepaście pomiędzy wagonami towarowymi, z błysnięciem latarką w dół na szczękające sprzęgi, były fajnie fizyczne.

– No pokaż się, pokaż.

Posłała roztańczony snop światła po skośnych płaszczyznach dachu wagonu. Za tym jest jeszcze trzysta kolejnych. Dalej, niż sobie wyobrażała, kolejny błysk światła – Chagdi idący do czoła pociągu.

Ojciec, Naon, starał się jej wszczepić rodzinny strach przed kolejowymi szczurami, ona jednak dostrzegała upokorzenie starych wędrowców nadzianych na słupki sygnałowe i smutnych gundów, strząśniętych z wózków i przeciętych na pół przez koła, straszny wyraz oczu włóczęgów, kiedy spluwali czerwonym pyłem i strzepywali go z ubrań, a potem rozglądali się na boki i widzieli, że po każdej stronie jest go na pięćset kilometrów. Jazda na gapę to złodziejstwo, lecz Sweetness za każdym razem, gdy posyłano ją na dach, żałowała, że musi być elementem kary. Czy wśród plemion rodzących się i umierających pod wielkimi dworcami nie krążą opowieści o strasznych losach pasażerów z dachów? A może to, przed czym uciekają, warte jest każdego ryzyka?

Ucieczka.

Dźwięk. Tym razem nie rodzina. Światło latarki skoczyło w lewo. Ruch na pochyłej burcie wagonu numer jedenaście. Za wywietrznikiem. Sweetness przeskoczyła przez przerwy między wagonami, celując latarką w sześciokątny wzgórek wywietrznika. Stalowa kratownica brzęczała jej pod nogami. Tak. Tak. Tam. Palce. Kucnęła przy poręczy, posłała światło tam, owam. Prawą dłoń odpięła dżubbę od palca. Palce, zbieleły na metalowym wywietrzniku. Chude, z brudem wrośniętym w knykcie, czarną żałobą pod paznokciami.

Przyglądała im się przez długą chwilę. Potem położyła pałkę na galeryjce i powiedziała:

– Ej. Strasznie ryzykujesz, wiesz?

Palce milczały.

– Z tej rudy wygazowują się różne paskudztwa. Jeden mój kuzyn kiedyś wpadł do środka przy rozładunku. Jak wyszedł, wyglądał jak torba nauczyciela. Naprawdę. Jeśli wywietrznik się uruchomi, zdmuchnie cię z pociągu.

Palce drgnęły.

– I wiesz, ja bym w ogóle tego miejsca nie wybrała. Wisieć na boku? To trzeba robić tak, żeby grawitacja robiła dla ciebie, a nie walczyła z tobą. Ja bym poszła na sam przód, na ten lemiesz na krowy. Jest na samym przedzie, ale to taki trochę martwy punkt, z mostka go kompletnie nie widać. Naprawdę. Serio. No, ale dobra, jesteś tutaj, to posłuchaj, co trzeba robić – jak spadniesz, uważaj, żeby wylądować dokładnie między szynami. Wtedy pociąg przejedzie ci nad głową. No i musisz padać

raczej szybko, nie chcesz się zahaczyć o piasecznice. Bo będą cię wlec przez wiele kilometrów.

Palce zadrgały w snopie światła z latarki.

– Długo tak jedziesz?

Nic. Potem szept, ledwie słyszalny przez łoskot kół:

– Od Małych Bystrzyn.

– Ja pier... To palce chyba ci odpadają.

– No – przyszła zwięzła odpowiedź pełna napiętych nerwów, zablokowanych ścięgien i mięśni odrętwiałych na wszystko poza tępym przetrwaniem.

Sweetness podjęła decyzję.

– Coś do ciebie opuszczę. Łap się tego.

– Nie – wróciła odpowiedź.

– Że co? Chcę ci pomóc.

– Nie wierzę.

Sweetness nie mogła uwierzyć, że ktoś odrzuca jej buntowniczą propozycję.

– Czemu?

– Podstęp. Chcesz mnie zrzucić.

– Posłuchaj, jak ty tam wisisz od Małych Bystrzyn, to nie trzeba cię zrzucić. Zaraz sam zlecisz, i to raczej szybko, przyjacielu.

Pociąg podskoczył na zwrotnicach. Palce jęknęły. Palce obsunęły się nieznacznie. Sweetness zanurkowała pod balustradą, zaczepiła stopy o krawędź galeryjki i wyciągnęła się nad pochyłym bokiem wagonu. Jedną ręką wycelowała dżubbę tak blisko palców, jak miała odwagę.

– To wyskoczy szybko, więc nie rób nic głupiego, nie uskakuj czy coś.

Drugie szarpnięcie wagonu zepsuło jej cel. Pałka wystrzeliła o włos od bladej dłoni. Palce omal się nie usunęły. Omal.

– Łap się! – krzyknęła Sweetness. – To cię utrzyma.

– Pewnie – odezwał się głos, gdy palce zmacały teleskopową rurę pałki. – A ty utrzymasz?

– Ja utrzymam, co zechcę! – rzuciła Sweetness urażona.

Pałkę chwyciła jedna dłoń, potem druga. Nagłe szarpnięcie omal nie wyrwało jej z rąk.

– Trzymaj się – warknęła, bardziej do siebie.

Z trudem namacała gałkę chowania. I przekręciła. Pałka dżubba wierzgnęła jak organ Nugenta Trakcyjnego, gdy zza krawędzi wagonu wyłoniły się najpierw dłonie, potem barki, a pomiędzy nimi zapadnięta z głodu twarz pod szopą czarnych włosów.

Młody trochę, pomyślała Sweetness Asiim Maszynistka pomiędzy bólem w ramieniu i skurczem w łydkach. Ile może mieć, z osiem? Byli prawie oko w oko, usta w usta. Sweetness poczuła, że opuszczają ją resztki sił.

– Łap się poręczy! – zasyczała.

Chwyił ją dokładnie w momencie, kiedy pałka dżubba wypadła jej z palców i obijając się o bok wagonu z rudą, poleciała w ciemność. Sweetness przetoczyła się na plecy. Kolejowy szczur ukląkł nad nią, przekrzywiając głowę jak ciekawski ptak.

– Czemu ty to robisz? Mogłaś mnie łatwo zrzucić.

– Ciesz... się... – wysapała Sweetness. – No to... – Przełknięcie śliny.
– Jak się nazywasz?

Był rozpaczliwie chudy. Od upadku połamałby sobie wszystkie kurze kostki. Pod czupryną urwisa miał wielkie, brązowe, podejrzliwe oczy, które nie ufały niczemu we wszechświecie. Był rozpaczliwie śliczny. Warto go było uratować po prostu, żeby popatrzeć.

– Uratowałaś mnie, to ty pierwsza.

Sweetness usiadła prosto.

– Ja nazywam się Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka – powiedziała. – Dwunasta.

– Wy, pociągowi, to macie tych imion.

– A ty jakie masz?

– Faraon – powiedział chłopak.

– Faraon coś tam? Coś tam Faraon?

– Faraon nic.

– Po prostu Faraon.

– U mnie tyle starczało.

– A gdzie to było, panie Jednoimienny?

– Południk.

– Ale to jest...

– Wiem, jak daleko jest Południk.

O pół planety.

– Jak?

– Wygrałem na mięsnej loterii.

– A co to?

Dzwonek przejazdu przebrzmiał i odpłynął w przeszłość.

– Każdy wystawia kawał mięsa. Potem Szef Dachy losuje, ciągnie piórka.

– Zara-zara-zara. Każdy? Czyli kto?

– No, ludzie. Wszyscy. Z dołu.

– Aaa. – Przydenne osady, twarze, które migną czasem pod podkładami na Południku Głównym, dłonie, które wyciągają się spod peronu, kiedy upuścisz centawo i potoczy się za krawędź. Dla ciebie mała strata, dla tych palców z tuneli i przejść: jedzenie, chwała i sława. – Od zawsze tam mieszkałeś?

– W tym życiu, poprzednim, pewnie w następnym też.

– Nie bądź sentymentalny, szczurasku.

– My tam, na dole, też mamy na was różne nazwy. No, w każdym razie nie wiem, czy pamiętasz, ale pałka ci wypadła.

– I tak spokojnie mogę cię podnieść i wywalić. – Ukłękli, rzucając sobie wyzwanie pod krążącym księżycowym pierścieniem. – To ile ty masz lat?

– Prawie dziesięć.

– Myślałam, że młodszy jesteś.

– Jak młodszy?

– Młodszy. To o co chodziło z tym mięsem?

Faraon odgarnął palcami rzadkie włosy. Nie miał lewego ucha, jedynie wypukły uśmiech głuchej blizny.

– Jakaś stara baba je kupiła. Miała raka małżowiny.

– To rzadko się zdarza, rak małżowiny.

– Czasami, jak wiatr jest, jak trzeba, słyszę to samo, co ona. Tutaj. – Poklepał bezuchą krzywizną czaszki. – Stąd wiem, kto je ma.

– I co wygrałeś?

– Bilet. Dokądkolwiek. I sakiewkę złota. Tysiąc dolarów.

Niezwiązana myśl przejęła głos Sweetness, zanim umknęła.

– To ile razy grałeś w tej, no...

– Mięskiej loterii? Za drugim razem wygrałem.

– A za pierwszym?

– Duży palec u nogi. Słabo teraz z równowagą.

– I kto go kupił?

– Cholera wie. Palec to mało ma czucia.

– Pewnie są i tacy, co grali dużo razy, co?

– No jest taka naturalna granica...

– W sumie tak.

Wysoko pośród nocy, Naon Maszynista zagwizdał. Trzy krótkie gwizdy, jeden długi. Dojeżdżają do Jałowca. Sweetness poczuła, że ciężki pociąg zadygotał, hamulce delikatnie zaczęły łapać.

– I co się stało? No wiesz, miałeś tysiąc dolarów i co?

– Ukradzione.

– Gdzie?

– W Suniyapie. Trzy takie grube laski. Pewnie słyszały, że w loterii dają Złotą Sakiewkę. I rozglądały się za biedakami, co jadą na bogato. Były w garniturach i w ogóle. Normalnie jakby do pracy dojeżdżały. Ciężkie buciory, no ale.

– Przykro mi.

– Bo co? Chciałaś mnie zrzucić z pociągu, nie? No, w każdym razie wyrzucają mnie na Wyżynach, tam łapię jakiegoś gównociąga, jadę przez Chryse, tylko tyle, bo wielki pan Maszynista chce, żebym wisiał mu na fiucie przez całą drogę, a jak nie, to won. Trzy dni szedłem do Małych Wodospadów.

– Ja jestem Maszynistką – powiedziała cicho Sweetness.

– No tak, i jak mówię, chciałaś mnie zrzucić tą pałą. Tam czekam, przejeżdżają jeden, dwa, trzy pociągi, a potem ty, największy z nich wszystkich, i tak sobie myślę, większy pociąg, łatwiej się schować, a potem jeden z twoich mnie zauważa i muszę się schować za krawędzią no i.

Sweetness na chwilę skupiła się wyłącznie na nim. Zakołysała się na piętach.

– I gdzie to wszystko ma się skończyć?

– W Dolinie Marinerów, tak liczę. – Bez wahania. – Nie czuję się dobrze, jak pod niebem nie ma dachu.

Hamulce już piszczały, wgrzając się w twardą stal. Wśród tego znajomego głosu Sweetness była w stanie wyłapać inny dźwięk – głos jakiegoś Bassariniego, wołającego górą nad wagonami.

– Szybko – rozkazała. – Tam.

Popchnęła Faraona w stronę przerwy, pokazała rękami, żeby schował się na płasko pod spodem i był cicho.

– Tam? – szepnął, zerkając na pędzącą ciemność w dole drabinki.

– Tam – syknęła Sweetness. – Tylko po cichu.

Podtorowy szczur Faraon zsunął się z górnego szczebla. Zadarta ku górze twarz rozjaśniła się blaskiem księżyców.

– Halo? Kto tam?! – zawołał Chagdi Bassarini, zdecydowanie za blisko.

– Ej, słuchaj – wysyczała Sweetness w ciemną otchłań. –

Podjeżdżamy do Jałowca. Nie czekaj, aż się zatrzymamy, wtedy zawsze jest ktoś, kto pilnuje. Poczekaj, aż będziemy jechać wolno, *naprawdę* *naprawdę* wolno, i wtedy zrób, co ci mówiłam, opadnij na tory, między

wagonami. Jest kupa miejsca, tylko trzeba leżeć płasko, na wznak, nie na brzuchu. Odczekaj, aż stracisz z oczu końcowe światła, i jesteś bezpieczny. Jałowiec to dziura zabita dechami, ale za dwa dni przyjeżdża osobowy do Xipotle, a oni mają zero godności. Za dwa centawo przejedziesz się na dachu. W Xipotle się rozdziela, przednie wagony stają się Grand Ekspresem Rapido. Dowiozą cię prosto do Doliny Marinerów.

Obejrzała się przez ramię. Grubonogi Chagdi stał na dachu na drugim końcu wagonu, snop światła z latarki tańczył jive'a.

– Lecę. Powodzenia.

– Dziękuję. Jestem ci dużo winny.

– Jesteś. Ale nie zamierzam się upominać. Spiszę to na straty.

– Sweetness Octave, czemu to zrobiłaś?

Ciężkie buciory na stalowym dachu.

– Nie wiem. Nie mam czasu.

– Chcę wiedzieć.

– Dobra, dobra. Nie lubię, jak ktoś tkwi w pułapce, z której nie umie się wydostać. Szczególnie jak to jest przez innych ludzi.

– Tyle wystarczy.

– Tyle dostaniesz.

Zgrzytający mrok pochłonał twarz. Ostatni raz cię widzę, Faraonie, pomyślała Sweetness. Szybkiego, zdesperowanego i nieprzygotowanego. Ale wszystkie pożegnania powinny być nagłe. Wstała. Oślepiła ją latarka Chagdiego.

– Uważaj z tym!

– A, to ty.

Oślepiąca światłem, potem nocą. Fosfory zatrzepotały na siatkówkach Sweetness jak nietoperze.

– Coś znalazłeś, czy jak?

Miękkie łupnięcie i nagłe crescendo hamulców. W ciemności nie zobaczy uśmiechu.

– Ej, a co z twoją pałką dżubba?

– Sukinsyn się jej złapał. Poleciała razem z nim.

– Dałaś mu dżubba?

– A jak. – Gwizdnięcie i ruch dłonią w dół.

– I... ten?

– Nie widziałam. Raczej nie.

Pulchny Chagdi wyłonił się ze światła. Minę miał urażoną. Słyszał z łapania i torturowania włóczęgów – pewnie żałował, że to nie jego kciuk

był na pstryczku pałki dżubba.

– Szkoda, że pałka przepadła, no ale.

– No. – Sweetness oceniła ciemną szczelinę, przez którą musi przeskoczyć, żeby wrócić do domu. – Szkoda.

Przez czterdzieści dwa długie lata na żelaznej drodze kobieta może sobie zapracować na szacunek. Kiedy babcia Taal odbywała jedną ze swych coraz radszych wędrówek wzdłuż *Katarzyny z Tharsis*, stała w miejscu, a pociąg przesuwiał się dla niej.

– Dzień dobry szanownej pani – zagruchała *tante* Miriamme ze swej klitki przy zejściówce dla załogi.

Babcia Taal mruknęła potwierdzająco i przeczłapała kolejny bolesny krok. Szła z tymi butami.

– Piękny mamy ranek, *amma* Taal! – zawołał Finvar Trakcyjny, kołysząc się w uprzęży nad przewodami paliwowymi i buforami plazmowymi.

Nikt nie wierzył, że całe to huśtanie się i zwisanie jest konieczne przy rutynowych naprawach, ale jego to ewidentnie bawiło, a widok był naprawdę przedni.

– Umff. – Cholernie gorąco w tych warstwach spódnic i ciasnym gorsecie. Co za dzień. Neonowo niebieskie niebo. Najbardziej upalny z kolorów.

– Uszanowanie dla pani i pani rodziny! – zawołała wesolutka Silva Reaktorowa, wiecznie umączona po łokcie.

Babcia Taal kiwnęła głową i chwyciła się poręczy, gdy pociąg podskoczył na zwrotnicach. Może to i syn, może i następca, ale Naon nie był żadną miarą Maszynistą takiego kalibru, jak wcześniej jego ojciec. Z drugiej strony nie był też wpięty przez cyber-czepek w układy autonomiczne, jako zaśliniony autopilot na długich, nudnych prostych. Oczekała na ostatnie skrzeknięcie hamulców i sapnięcie pary, zanim

zeszła na ziemię. Kiwnięcie palcem na Prevella Dróżnika Młodsze­go w wieżycze nastawni.

– Uwaga, babciu! – odkrzyknął ostrzegawczo.

Już wkładała torową kamizelkę. Jeszcze nie za stara, jeszcze nie zdemenciała na tyle, żeby zapominać o prawach rządzących wszechświatem. *Katarzyna z Tharsis*. Odszukała w torebce saszetkę z igłami. Grubym kciukiem otworzyła skórzany pojemniczek, wymacała gładkie kształty delikatnych obsydianowych igieł, czując moc i ból. Nie mają szacunku do kobiety po czterdziestce, że każą jej stać w słońcu i obszywać bladą skórę przedramion kolorowym jedwabiem? Jednakże jej czary nigdy nie były szanowane. Za bardzo praktyczne, pomimo ograniczeń. Klienci znajdowali kreatywne sposoby, by przyjść do jej osobliwego rewiru ze swymi boleściami. Gdyby mogła komuś podziękować i przekląć go zarazem za swoją moc, zrobiłaby to, lecz jej moc nie była darem. Po prostu się pojawiła w dniu, kiedy stała się kobietą. Najlepsze wytłumaczenie, jakie znalazła, to, że moc wylała się z niej w brązową plamę w majtkach, a potem rozniosła się po wszystkich brązowych rzeczach w świecie.

Wagony z rudą powoli przeturkotały obok. Zza łagodnego zakrętu wyłonił się ogon potwora. Henden Stuard czekał na ostatnim stopniu w wagonie kuchennym, z czapką uniesioną na powitanie. Zaszeptał do rury głosowej. Trzysta wagonów w przedzie Naon Maszynista włączył hamulce. Schodki zatrzymały się z taką dokładnością, że babcia Taal potrzebowała tylko zrobić krok.

– Co tam potrzeba? – zapytała.

– Ma zatwardzenie – powiedział gładki Henden.

Młodsze pomoce kuchenne i obieraczki schodziły jej z ukłonami z drogi, kiedy szła przez wagon kuchenny do przygotowalni. Tam przywitała ją posępna Brellen Stuard.

– Ma zatwardzenie.

Shafto Stuard siedział na tronie wśród złotych poduszek w kopułce obserwacyjnej. Wpadające przez malowane szybki światło barwiło jego napięte rysy.

– Już osiem dni – szepnęła Brellen.

– Suszonych owoców próbowałaś? – zapytała babcia Taal.

– I marmolady – odparł skrzywiony Shafto.

Delikatne szarpnięcie powiedziało babci Taal, że *Katarzyna z Tharsis* ruszyła. Popatrzyła na tory wysuwające się spod budki obserwacyjnej

i zaczęła się zastanawiać, jak to może wpływać na duszę rodziny – zawsze widzieć, skąd się przyjechało, a nigdy, dokąd się jedzie.

– Proponowałam bandaż konopny, namoczony w oleju albo nafcie – powiedziała Brellen. – Ale nie był w stanie połknąć go więcej niż na palec.

– Też bym nie mogła – stwierdziła babcia Taal.

– Pomóż mi, proszę – powiedział błagalnie Shafto.

Babcia Taal namyślała się chwilę. To dobrze budowało aurę tajemnicy.

– Da się to zrobić.

– Czy coś będzie potrzebne? – zapytała Brellen, skłaniając głowę.

Przydałaby się miętowa herbata, lecz babcia Taal przypomniała sobie, że kiedyś Mae, ciotka Brellen, podała jej herbatę w brudnej szklance. Jej zdanie o Stuardach jako rodzie już nigdy się nie zmieniło.

– Nic, dziękuję. – Wyjęła szaszetkę z igłami. – Lepiej, żeby dzieci nie patrzyły.

Zmrużyła oczy w witrażowym świetle, by nawlec odpowiednią jedwabną nitkę. Zauważyła przy okazji, że podkłady torów na zewnątrz rozmazały się w jedną smugę. Mając pod sobą rozpędzoną stal, czuła się pewniejsza w swojej mocy. Bezruch ją niepokoił. Wyciągnęła wieczne pióro i odstłoniła przedramię.

– Postaraj się być zwięzły, ale konkretny. Wyraź to, co czujesz.

Shafto Stuard popatrzył starej kobiecie w oczy, wziął pióro i koślawymi literami napisał PARCIE na bladej, żyłkowanej skórze.

– Bardzo dobrze.

Babcia Taal wzięła fioletową nitkę i zaczęła nucić. Melodia była bez znaczenia i ledwie wykrywalna – taka tam zbieranina urywków z tego All Swing Radia, którego słuchali wszyscy młodzi – ale dawała zajęcie głosowi podczas wyszywania słowa PARCIE na przedramieniu.

Niestety i tak bolało.

Spróbowała czegoś bardziej spokrewnionego z bólem – czytania z białych blizn na ramionach wspomnień o dawnych czarach. Te łuki tutaj i pętle, pokryte potem kolejnymi ranami jak powierzchnia księżyca kraterami, pochodziły z czasów, kiedy zdjęła z torów wielką glebotwórczą maszynę, która tam stanęła i zdechła, w bardzo niedogodnym miejscu. Przynajmniej ekipom ochlapującym brązową farbą jej pomarańczowo-niebieską łaciatą skórę oszczędzono jęków i pokrzykiwań nad co bardziej szczegółowymi punktami kontraktów, jak to mieli w zwyczaju glebotwórcy. Wtedy magia była na tyle silna, a ból na tyle mocno ją wspierał, że była w stanie cisnąć cholerny złom o pół kilometra do starego krateru. Co ciekawe, ta moc się nie skalowała. O wiele trudniejsza i bardziej bolesna

była zmiana koloru oczu Levanta Trakcyjnego z piwnych na niebieskie, na jedną namiętą noc z geodetką z Lombarghiniego. W nadgarstku zachowała się pamięć o tych paru upojnych, spoconych godzinach; biała blizna po słowie „piękny”.

Zerknęła w dół. Na „A”. Ze ściągów spływała krew, wsiąkała w nitkę, twardniała. Boli przy szyciu, przy pruciu jeszcze gorzej. Brellen miała uprzejmą i zbrzydzoną minę.

– I jak tam? – zapytała babcia Taal swego klienta.

– Coś czuję – powiedział Shafto z błyskiem zaintrygowania w oczach.

– Coś się rusza.

– Głęboko? – zapytała Brellen.

Shafto kiwnął głową.

Babcia Taal wyszywała dalej.

– Och! – zawołał Shafto.

– Aj – mruknęła babcia Taal. Już prawie. Dolna kreska litery E, potem radosna ostatnia, środkowa. Koniec.

– Oooch – jęknął Shafto Stuart.

Brellen otarła mu czoło papierową podkładką.

– Aj – odpowiedziała babcia Taal, puszczając igłę, by kołysała się na końcu nitki. Pokrywały ją gęste krople krwi.

– Oooch – powiedział Shafto, otwierając ze zdumienia oczy. – Oooch.

– Aj – powiedziała babcia Taal, wymacując za sobą krzesło.

– *liiiiii* – rozległ się całkiem nowy głos. – *liiii. liii. liiiiii.*

Przez moment osłupienie na każdej twarzy. Potem dotarło: to krzyczała sama *Katarzyna z Tharsis*, na wysokim C – babcia Taal ostatni raz słyszała ten głos w noc, kiedy Maria Stuard pogoniła bandę Starke’a.

Gwizdek alarmowy.

Wszystkie ręce pośpieszyły na stanowiska, lecz nigdy do nich nie dotarły. Potężne szarpnięcie rzuciło wszystkich gdzie popadło. Shaftem cisnęło o witrażowe szyby, aż upadł na ziemię. Brellen zakopała się w złotych poduszkach. Babcia Taal zobaczyła, że leci, oczyma prosto na elegancko ustawione igły. Złapała się uchwyty szafki i skręciła w bok. Ze stojaków i półek wyskoczyły naczynia i sztucce, samowar pełen herbaty zeskoczył ze spirytusowego palnika i trysnął wrzątkiem na podłogę. Krzesła się przewracały, pokrowce poleciały w powietrze, powywracały się stoły. Babcia Taal potoczyła się ku rozlewającej się plamie wrzącej herbaty. Gdzieś w głębi uświadamiała sobie ostry ból biodra. Tym będzie się martwić później, jeśli to przeżyją. Wierzgnęła nogami i odsunęła się od śmiercionośnej herbaty, uwieszona drzwiczek na zawiasach.

Co się dzieje? Zderzenie? Wykolejenie? Znowu jacyś dakoici? Boże broń, wyciek z reaktora, eksplozja? Nie, to nie to, bezpieczniki odczepiłyby wagony i posłały lokomotywę z wizgiem naprzód, do termojądrowego samospalenia.

I skończyło się. Ot tak. Bez ostrzeżenia, niekulturalnie, tak samo, jak się zaczęło. Wszyscy leżeli tam, gdzie padli, oszołomieni, bez ruchu. Cisza aż raziła. Ani śladu znajomych stuków i puków kolejowego życia. *Katarzyna z Tharsis* stała na torach, niewytłumaczalnie zatrzymana.

Gwałtowne hamowanie wyszarpnęło kościaną zatyczkę z ucha Sweetness. Zanim spadła na pokład, ona już wyskoczyła z kabinki na korytarz. Małe, chrząstkowate urządzonek szeptało liczby niewymierne i ułamki niewłaściwe każdemu, kto miał ochotę słuchać. Porzuciwszy edukację, Sweetness okręciła się wokół wspornika i wyszła na pokład obserwacyjny na prawej burcie. To, co zobaczyła, osadziło ją jak wrytą na miejscu, tak samo jak wcześniej *Katarzynę z Tharsis*.

W slangu Starej Belladonny, którym szepczą na perfumowanych balkonach, porastających piętro za pięciem ściany wielkich kawern, i chrypią w ociekających wodą, zatęchłych chodnikach pod najgłębszymi podziemiami – *gobemouche*. Usta, co łapią muchy. Rozdziawione. Sweetness właśnie tak gapiała się na idealne kółko obcego krajobrazu wstawione w sam środek Linii Transoxiańskiej.

Pierwsze zobaczyła kolory. Oranże, żółcienie, głębokie błękity rozlane plamami na palonym beżu wyżyn. Kiedyś Latający Okulista badał ją na daltonizm krążkami z kolorowymi wzorami – teraz jej się z tym skojarzyły; kropki, zawijasy, szalone nakładające się kolory. Spróbuj wyodrębnić wzór. To właśnie dostrzegła w drugiej kolejności – kształty. O wiele trudniejsze niż na kartach Okulisty – te tutaj były całkowicie obce i tak poplątane, że z początku nie miała pojęcia, na co patrzy. Potem wyodrębniła krawędzie, krzywizny, linie. Te wysokie, żebrowane rzeczy to trójkątne wsporniki, tamte, niskie, zakrzywione, pobłyskujące i trzepoczące na wietrze, to błony jakiegoś latawca. Tutaj to jakby sęki i skręty kolczastej liany, tam to niebieskie, rozmazane, to jakby jakiś wirnik. A to... to jest elastyczna antena-bicz, wysoka jak dom, tamto –

wydymający się i opadający półprzezroczysty pęcherz, jak na szyi bardzo nieprzyjemnej żaby.

Z kształtu wynikł materiał. Wsporniczki podpierające rzeżące wirniki wyglądały jak zrobione z fioletowej kości; płachty latawców lśniły jak czysty nylon, na ich odciągach wyrastały gazowe pęcherze, jak bulwy wodorostów. Pomarańczowo-zielone podłoże miało splot jak dywan, misy wielkich kwiatów niczego nie przypominały bardziej niż talerzy anten wytłoczonych ze styropianu. Plastik, polimerowa dzungla, bakelitowy las deszczowy.

Od materiału do celu. Co to było? To się jakoś nazywa? To natura? Prawa, etyka? Biznes? Przewidywalność – czy tego jest tylko tyle, czy będzie się rozszerzać, pojawi się tego więcej, rozprzestrzeni się jak wietrzna ospa? A może zniknie równie gwałtownie, jak się pojawiło? Czy jest przyjazne dla ludzi i ich pociągów? Czy w sercu tego czegoś żerują potworne istoty? Może jest tam Bóg, siedzący po pępek w krystalicznej wodzie? Skąd to się tu wzięło? Spadło z nieba? Po prostu wyrosło? Cudownie zaistniało dzięki aniołom Panarchy? Albo domowym czarom? Czy jakiś dzieciak-pastuch kombinował coś z Wróźebnymi Kamieniami, wbrew zabraniającym tego tysiącom kazań Prebendarzy?

Co to jest, skąd się wzięło, jak się tu znalazło i jak się tego pozbyć?

Wszystko to, rozjazgotane w głowie Sweetness Octave, znalazło ujście w jednym cichym, pełnym osłupienia:

– Wow.

Na balkon zeszli się inni. Miriamme Trakcyjna porzuciła pomywalnię, Maria Stuard stała z rozdziawionymi ustami, nawet Naon Sextus porzucił dźwignie napędowe, żeby stać i się gapić. Coś zawarczało – dziadek Bedzo odłączył swój cyber-czepek i z trudem manewrował na podjazdach i ostrych zakrętach elektrycznym wózkiem. Gapie rozstąpili się, żeby zrobić mu miejsce przy poręczy. Znużony wzrok omiótł krąg inności leżący w poprzek torów. Słowa wyraziły to, co myśleli wszyscy.

– Co to, do jasnego konia, jest?

Młodzi zorganizowali się w ekipy badawcze, podczas gdy starszyzna Domostw zebrała się na naradę. Coś musiało pójść potwornie nie tak w Północno-Zachodnich Liniach Kolejowych, że nie wydały ostrzeżenia. Jakimś – niemożliwym – cudem przeoczyły to także tysiące oczu patrzących z księżycowego pierścienia.

– Pieprzyć „skąd” – zagrzmiał nad wielkim stołem wujek Tahram Septus Maszynista. – Niech się dowiem „kiedy”.

Był biuralistą od umów, ale mówił za wszystkich, za ich lęk przed przegapieniem połączeń, presuwaniem umów przewozowych, zrywaniem kontraktów, przed bankowcami z Mądrości w ich beżowych płaszczach do ziemi i małych okrągłych okularkach wyświetlających dane. Zapomniano o zwyczajowych przekomarzankach między Domostwami. Głowy klanów opracowywały plany i biegły na swoje najrozmaitsze posterunki, by ekspresowo wcielić je w życie.

Uzbrojeni w kamizelki odblaskowe, notatniki, walkie-talkie i pałki dżubba, Sweetness i Romereaux przyglądali się nieufnie intruzowi.

– No nie wiem – powiedziała Sweetness. Stała pomiędzy szynami, parę kroków od miejsca, w którym przepadały w *innym*. – A jak będzie strasznie śmierdziało albo coś?

Romereaux nachylił się, głęboko się zaciągnął.

– Dla mnie pachnie w miarę. Coś, jak kiedy ciągniemy leśny fermentor.

– To może być trujące.

– Nie wydaje mi się.

Sweetness z wahaniem postąpiła krok w stronę granicy. Narośl nie pokrywała szyn. One urywały się, odcięte gładko jak laserem. Podobnie w miejscu, gdzie plastikowa fabryko-dżungla dotykała codziennego świata, roślino-maszyny były ucięte z chirurgiczną precyzją. Parasolowaty liść był odcięty wzdłuż cięciwy, stykając się z odsłoniętym przekrojem masztu wiatraka. Z przeciętych łodyg i pnączy sączył się ichor koloru elektrolitu z dawno zdechłych baterii.

– Znaczący, no wiesz... – powiedziała Sweetness. – Jeśli tam wejdziemy i...

– Trzeba sprawdzić, nie ma innego wyjścia. – Odpiął od paska pałkę dżubba. Stał *en-garde* na granicy, przez chwilę czy dwie niepewnie przestępował z nogi na nogę, wycelował broń. – No dobra. – Wcisnął spust.

Końcówka pałki wystrzeliła, brzęknęła o kratownicę daleko za linią granicy. Pałka pozostała cała, niepodzielona. Wciągnął ją.

– A więc...

– A więc.

Sweetness wciąż chodziła na paluszkach wzdłuż granicy, jak stary dziad sprawdzający wodę przed kąpielą. Wtem coś wystrzeliło jej w twarz, pierzaste, błoniaste i buczące, usuwając się, gdy zamachnęła się dłonią. Mignęły jej wirniki jak w śmigłowcu, kruchy krystaliczny tułów, wielkie, mrugające oczy obramione, bez sensu, długimi rzęsami. Owad-

wiatrakowiec zamrugał, bzyknął cichutko i wypuścił spod brzucha strugę fosforyzujących zarodników. Osiadły na skórze Sweetness jak puch z dmuchawca. Skrzyły się w słońcu. Usłyszała dalekie dzwoneczki, poczuła zapach lata, palmowego wina i wypalonych fajerwerków, poczuła rozchodzące się po skórze cudowne pręgi zimna.

– Och – powiedziała. – Au.

Stwór zamrugał jeszcze raz, zanurkował na wirnikach i odleciał. Sweetness, nie rozumiejąc tego impulsu, poszła za nim. Upiorek poprowadził ją w krainę cudów. W zagajnikach kratownicowych drzew, wyższych od niej pięć-sześć razy, nurkowała pod przesuwającymi się żaglami. Jej twarz chłodziły delikatne wietrzyki pachnące syropem i elektrycznością. Szła przez kępy półprzezroczystych pomarańczowych roślin-butelek, szerokich na dole, zwężających się ku górze, zatkanych korkiem ze splątanych włókien. W środku, w gęstej cieczy, fikały wijące się istoty. Świetliste meszki zaroily się przed twarzą jak ruchliwe świetlne wzory. Idąc głębiej, usłyszała, jak butlo-rośliny odkorkowują się z rezonującymi basowo beknięciami. Obejrzała się, zobaczyła, że wytryskują z nich setki długich, srebrnych wstęg. Dalej, głębiej, przez dywan z lśniących niebiesko kamyczków, którym, kiedy na nie weszła, wyrosły nogi, żeby uciekać. Przeszła przez rozdzielające się morze opalizujących żuków. Przystanęła, żeby złapać jednego, pisnęła, upuściła go. Poraził ją prądem. Leżał teraz na grzbiecie, machając nóżkami-rzęskami, aż znieruchomiały i zamarły.

Dalej; rozdzielając sieci gęstych, pulsujących pnączy, żeby mieć pewność, że idzie za trzepoczącą przynętą. Bulwy i zgrubienia pękały jej pod palcami, plamiąc je kolorowymi sokami, pachnącymi zepsutym piwem, cynamonem, świeżym, maślanym plastikiem, płynem do szyb, ziołowymi *tisanes* babci Taal. Jedna tak mocno zapachniała sorbetem imbirowym, kojarzącym się jej z wycieczką do Devenney na Morzu Syrtyjskim, że prawie zaczęła ssać palce. Prawie.

Dalej; przez kurtyny przejrzystych koronek; przez wąskie, kręte alejki wciśnięte pomiędzy niebotyczne ściany z karmazynowych rur, niczym ciasno zwinięte jelita wypatroszonego olbrzyma; pełzając pod parasolowatymi owocnikami niskich grzybów; przez roje stworzeń podobnych do maleńkich, srebrzystych muszek, zawieszonych pod przezroczystymi balonami, które, dotknięte, uciekały z niespodziewaną zwinnością.

W którymś momencie Sweetness przypomniała sobie, że nie ma z nią Romereaux – i nigdy nie było. W kolejnym dotarło do niej, że idzie o wiele

dłużej, niż powinna. W jeszcze jednym zobaczyła, że krawędź świata jest o wiele bliżej, niż się spodziewała. W następnym odkryła, że nie ma pojęcia, gdzie jest. Idąc dalej, doszła do wniosku, że w ogóle się tym nie przejmuje.

Przeciskając się przez sploty mchu, nie zobaczyła błysku wody i omal nie wpadła głową naprzód do stawu. Chwyciła się pasm mchu, które rwały się jak wdowie firanki. Padła na czworaki w płytką, pachnącą metalicznie wodę. Woda. Przypomniała sobie kto, co, gdzie. Rozejrzała się. Latającego kusiciela już oczywiście nie było. Spojrzała w niebo. Było o odcień czy dwa ciemniejsze niż normalnie. Prawie indygo. Pomyślała o tym innym obcym niebie, w miejscu, gdzie wujek Neon mieszkał samotnie na swym stalowym słupie. Czy to też jest to, kolejny inny świat? Czy to, co spadło na linię transoxiańską, było kolistymi drzwiami, nieskończoną liczbą wejść, tak że po drugiej stronie okazywało się, że wewnątrz jest większe niż z zewnątrz? Tak samo było z dwudziestoma siedmioma niebami Panarchy, każde kolejne leżało wewnątrz niższego i było od niego większe. Szła długo. Słońce – o ile to było to samo słońce – wisiało blisko krawędzi świata.

Paniczna myśl. Niektóre drzwi da się otworzyć tylko z jednej strony. Przeszła przez te drzwi, ale czy będzie w stanie wrócić? Czy w ogóle wróci w miejsce, z którego wyszła?

W wodzie coś się poruszyło. Twarz, blada, obramowana wijącymi się czarnymi węzami. Ratusz, Święta Katarzyna, Lamia z Jeziora. Te węże – to były czarne loki. Twarz – jej własna. Ale to nie było odbicie. W płytkiej wodzie leżała Mała Śliczna – jej ciało unosiło się na rozfalowanej tafli. Z wody wysunęła się ręka. Sweetness chwyciła ją, wyciągnęła z sadzawki swoją parapsychiczną bliźniaczkę. Mała Śliczna była ubrana w robocze szorty, wiążaną w talii koszulkę i ciężkie buciorzy, które miała na sobie Sweetness w dniu, kiedy nie chciała przywalić dżubbą małemu Faraonowi wiszącemu na boku wagonu z rudą. Mała Śliczna rozdziawiła usta i wypluła haust wody.

– Co ty tam robiłaś? – zapytała Sweetness.

– Topiłam się, dziecko drogie – wypluła Mała Śliczna. – Matko święta kanalizacyjna...

– Nie o to pytam, skąd się tam wzięłaś?

– Masz dzisiaj wyjątkowo durne pytania – odparła Mała Śliczna, wykręcając nogawki szortów. Stały naprzeciwko siebie po kostki w dziwnej wodzie. – Stąd, co wszędzie się biorę.

– Gdzie my jesteśmy?

Mała Śliczna kucnęła, ociekając wodą, na sękatą bryłę przejrzystego, usianego brokatem polimeru. Sweetness znalazła sobie miejsce na splocie lian.

– No, czy nie lepszym pytaniem byłoby „kiedy”, a nie „gdzie”?

– No to „kiedy”? – Jak na uzdolnioną parapsychicznie siostrę potrafiła być naprawdę denerwująca.

– To nie jest proste – Mała Śliczna uniosła dłonie i przyjrzała się palcom. – Rany! Jak suszone śliwki! – Podsunęła Sweetness pod nos pomarszczone opuszki. – To znaczy, jeśli myślisz o czasie, jak o linii kolejowej, to masz problem. Bo wtedy jest tylko w przód i w tył. Ale pomyśl o tym raczej jak o górcie rozrządowej...

– Tylko że z wieloma tysiącami torów... już to przerabiałam.

– Kiedy? Gdzie? Nic mi nie mówiłaś.

– Z wujkiem.

– A. Z nim. A on to gdzie właściwie jest? – Mała Śliczna rozejrzała się teatralnie. – I jak, powiedział ci, że to kwestia prawdopodobieństwa?

– Nic mi nie powiedział. Sama to wymyśliłam. Kiedy tam byłam. U niego. – Sweetness wiedziała z doświadczenia, że rozmowy dotyczące niewidzialnych krewnych zawsze skręcały w surrealistyczne zakamarki metafizyki.

– No to posłuchaj, moja mała matematyczko, jeśli jesteś sobie w stanie wyobrazić: tory bliższe głównej linii są bardziej prawdopodobne niż zewnętrzne. Powiedzmy, że pociąg, żeby wjechać na jakiś tor, musi rzucić trzema kostkami. I żeby dostać się na te zewnętrzne, potrzebujesz rzucić trzy albo osiemnaście; o wiele łatwiej będzie wjechać na te, gdzie potrzebne jest dwanaście. Tylko że prawdopodobieństwo jest jeszcze o wiele mniejsze. Coś jakby rzucić sto szóstek z rzędu, a może i mniej, ale chodzi o to, że to się jednak może zdarzyć i, pstryk, lądujesz na tym bardzo, bardzo zewnętrznym torze. Nawet za pierwszym razem się może zdarzyć. W kosmicznym czasie. W kosmosie czasu, chociaż to trochę coś innego.

Kolejowe dzieci wyrastały na naturalnych relatywistów, gdy pędziły przez całe krajobrazy, czas i odległość były u nich dowolnie wymienne.

– No to skąd się tu wzięło to kiedy? – zapytała Sweetness.

Zaszeleścił celofan. Mała Śliczna uniosła głowę. Otworzyła oczy. W okamgnieniu zanurkowała z powrotem w głąb Sweetness. Zostawiła wilgotną plamę na jej koszuli i roboczych dzinsach.

Różowe plastikowe pasma się rozdzieliły. Ukazały się palce. Potem twarz. Romereaux. Sweetness zobaczyła go, piegowatego od pasm

plastiku. Romereaux zobaczył ją, poplamioną od wody. I coś pomiędzy nimi przeskoczyło, coś, co było od zawsze w każdym oddechu, w każdym słowie i spojrzeniu, coś, o czym nigdy nie odważyli się powiedzieć, coś, czego istnienia nie uznawały obyczaje Domostw, zwyczaje kolejowych i sama Forma, lecz tu, w miejscu poza Formą, poza światem praw i form, można było się tym zabawić. Trzask, jakby wujek Neon w trakcie rutynowego serwisowania przeskoczył w jakieś inne miejsce. Pstryk – i Sweetness złapała się na tym, że jej palce rozwiązują ściągacz jego spodni. Odklejają elastyczną gumę od pomarszczonej skóry. Pstryk – i jej torowa kamizelka wylądowała w wodzie, pod jej koszulę wsuwały się jego palce, niewydarzona kozia bródka Romereaux kłuła ją w podbródek. Potem język. Potem drugi język, spodnie opadły mu do kostek jak porzucona bitewna flaga, i odkrycie, że on także miał gdzieś zalecenia Domostwa dotyczące bielizny.

– Ty zbereźny łobuzie...

Zachichotała, gdy stwardniał w jej dłoni jak oswojona jaszczurka, a on tylko się uśmiechnął.

– Wskakuj tam. – Wskazał brodą stawek.

– Do wody?

– Do wody.

– Czyli zawsze chciałeś...

– W wodzie. No tak, tak.

– Zbereźny łobuz.

Rozpięła koszulę. Koszula opadła bezwładnie, jak jego spodnie z mnóstwem kieszeni. Sweetness cofnęła się o krok. Chłodna obca woda zasysała jej pięty.

– Halo?

Skamieniała. Romereaux był sparaliżowany. Wiatraki wiatrowały, wirniki wirowały, a frędzle falowały, oni zaś stali jak dwa posągi, zbyt oszołomieni, żeby choćby spróbować się ubrać.

– Halo? Jest tam ktoś? Ktoś jest?

Oswojona jaszczurka opadła, bezwładna i smutna.

– Ktoś tam jest. Na pewno. Haaalo?

Trans został przerwany.

– Jasna cholera dzuma grypa!

Sweetness zgarnęła koszulę i uciekła w las różowych frędzli, Romereaux, stojąc na jednej nodze, szamotał się z przemoczonymi spodniami. Oboje już wkładali torowe kamizelki, gdy z palczastego lasu po przeciwległej stronie stawku wyłoniły się postacie.

– Hej tam! – Romereaux zamachał jedną ręką. Drugą odgarniał sklezione włosy.

– Hej tam też! – zawołał przywódca grupy, wesolutki, pulchny kilkunastoletni człowiek.

Była z nim upiornie chuda dziewczyna, która kucała, z niechętną miną, i głupkowato wyglądający siedmioletni chłopak, którego twarz mówiła: „Ja zupełnie nie rozumiem, o co tu chodzi”. Kamizelki i pałki dżubba świadczyły, że są kolejowi.

– Skąd wy jesteście?

– Z *Katarzyny z Tharsis*! – odkrzyknął Romereaux.

– Tam – dodała Sweetness.

– Aaa! – zawołała pogodna twarz. – A my *Biskup z Alves*!

Sweetness знаła ten pociąg, porządny solidny towarowiec klasy 14. Dobrze utrzymany, dumny, ale zdecydowanie drugiej klasy.

– A gdzie on jest? – zapytała.

– Tam. – Biskupiarz wskazał palczastą dżunglę za nim. – Długo szliście?

– Na to wygląda. Trudno powiedzieć.

Biskupiarz kiwnął głową.

– My też, dwie godziny albo więcej. Im głębiej się wlezie, tym większe się to wydaje.

– Ale tu chyba musi być środek – stwierdziła Sweetness.

– Dzięki Bogu! – zawołał pulchny mężczyzna. – Ja jestem *Esquival Nonette D’Habitude Dharati Maszynista V*. Możemy podejść?

– Spotkamy się w połowie drogi – powiedział Romereaux.

Jednakże żadne z nich nie zrobiło nawet kroku, bo z szumem, jaki mogły wywołać uderzające jednocześnie wszystkie skrzydła wszystkich aniołów z Katarzyńskiej angelografii, coś zaćmiło słońce.

Wszyscy zadarli głowy. Krawędź czegoś wielkiego i ciemnego, o krzywiźnie prawie tak samo łagodnej jak ten świat, przesuwiała się nad ludźmi kolei. Wypukłości, wyniosłości, maszty, anteny, nieoczywiste sterczące części – potem znaleźli się w głębokim cieniu. Lecz nie w ciemności – brzuch wielkiej maszyny był usiany światłami. Grupka tych światel poruszyła się, omiotła świetlnymi palcami korony plastikowej dżungli i objęła kolejowych eksploratorów osobistym punktowym reflektorem.

Sweetness osłoniła oczy dłonią i spojrzała w światło. Jak się na wpół spodziewała, dobiegł z niego głos. Jak się również spodziewała, był grzmiący jak grom.

– Uwaga, ludzie – powiedział, nie przez powietrze, ale w głębi jej czaszki. – Mówi Monitor Naprawczy Rzeczywistości ROTECH-u nr 1138. Jesteście w niebezpieczeństwie. W sektorze wystąpiła dysfunkcja rzeczywistości. Zaleca się natychmiastowe opuszczenie sektora. Kolejne przeskoki mogą spowodować pozostawienie was po naprawieniu przecieku. Proszę iść za ruchomymi światłami. Doprowadzą was do wyjścia.

Sweetness po piątym słowie przestała słuchać. Niebezpieczeństwo, przeskok rzeczywistości, no i co? ROTECH przybył, zstąpił z niebios i dotknął ziemi. Przybyli ludzie, którzy stworzyli ten świat.

Wieczorem była impreza z gotowaniem na parze, urządzona przez Stuardów z *Biskupa z Alves*. Wielkie kawały mięsa ze zwierząt z pastwisk nabito na różny i zawieszono na stojakach. Kobiety i młodzież wycofali się na bezpieczną odległość, żeby przygotowywać sałatki, placki i napełniać beczki piwem, podczas gdy Reaktorowi w srebrnych odbijających ciepło skafandrach dyrygowali strumieniami przegrzanej pary z zaworów bezpieczeństwa, zręcznie obracając ociekające wodą półcie wołowiny.

Zaproszono wszystkich, a teraz „wszyscy” oznaczało bardzo wielu. Za *Katarzyną z Tharsis* utknęły *Hrabia Tassaday*, *Trzech Wielkich Pasterzy*, *Śmiały Wyczyn* ciągnący niebezpiecznie nadaktywny reaktor z pulpą oraz *Pan Żelaznych Dróg* z czterdziestowagonowym ekspresem, którego pasażerowie ziali już parą jak gotujące się mięso. Oczywiście na kolejową imprezę nie można było zaprosić jakichś tam pasażerów. Za *Biskupem* stała słynna *Niepokonana*, potem bezimienna, niskokastowa jednostka z tłucznem z *Suvebray* – jej Domostwa trzymali się razem na parowym przyjęciu i, jak zauważyła *Psalli*, wszyscy mieli cofnięte podbródki, wylupiające oczy i wypukłe, prześwitujące czoła, z których biło słowo „kazirodztwo”. Najłatwiej dostępny i najbardziej pogardzany z kolejowych grzechów. Za *Podsypkowymi* stały szacowna *Góra Świętego Spokoju* i niedawno wyremontowana *JahSpeed!*, której przewody i rury były przedmiotem zazdrości każdego Reaktorowego. Pochód zamykał *Towarowy 128*, feralny koń roboczy nękany plotkami o wyciekach z reaktora, pechu i piractwie na linii, a plotki te krążyły tym uporczywiej, im bardziej jego ponurzy Maszyńści im zaprzeczali.

Nad wszystkim wisiała machina ROTECH-u. Tulsa Maszynista, dziedziczący po Tahramie obowiązki nadzorowania umów, a do tego owładnięty niestosowną miłością do wszystkiego, co lata, poszukał jej w *Wielkim leksykonie statków powietrznych i aniołów*, lecz nie znalazł niczego pasującego. W ciągu dnia stanowiła opresyjną obecność, jak legendarne latające miasto Hooverville, wydarte z macierzystej skały i skazane na wieczną tułaczkę w powietrznych prądach za oszukanie anioła Panarchy w jednej partii snookera. Przesłona. Całkowite zaćmienie. Przygniatający satelita, stalowa chmura. W nocy natomiast była ciemniejszym mrokiem na czarnym niebie Oxusa, przerwą w pierścieniu księżycowym, a światła na jej podbrzuszu tworzyły nowe, regularne geometrycznie gwiazdozbiory. Dałoby się wręcz o niej zapomnieć, gdyby nie jej aktywność w sercu plastikowej dżungli. Była to istna świetlna przepychanka – jaskrawy wiśniowy, liliowy, turkusowy z góry walczyły z błyskami szkarłatu, bieli i jadowitej zieleni z miejsca, gdzie, jak ustalili badacze, mieściła się lustrzana sadzawka. Od czasu do czasu następowała wyjątkowo oślepiająca wymiana świetlnych ciosów, trzęsła się wtedy ziemia. Przydawało to imprezie klimatycznego kolorowego oświetlenia.

Sweetness, z nadzianym wołowiną ćapati w jednej dłoni i kubkiem słabego piwa w drugiej, nie bawiła się dobrze. Słabe piwo, słaba zabawa. Romereaux rzucał na jej przyjemność cień wielkości maszyny ROTECH-u. Ustawiała się w kolejce po jedzenie i on tam był, z kubkiem przy fermentorze z piwem, nie zauważając jej. Poszła pod markizę, gdzie grali muzycy, popatrzyć na palce śmigające po klawiszach i strunach, na kobiety zachęcające mężczyzn do tańca; postukiwała nogą, lecz Romereaux gadał z braciszkami z Domostw z innych pociągów, ustawieniem ramion sugerując: „Nie tańczę, w życiu nie tańczę”. Poszła do piwnego namiotu po kubek piwa prosto z cycka, a on całą uwagę skupił na pakowaniu bokiem do gęby grubego ćapati, ociekającego tłuszczem i sosem czosnkowym, podczas gdy chłopaki śmiały się i wołały: „Dawaj, dawaj, no dawaj!”. W końcu odwróciła się do niego plecami – i tego też nie zauważył.

Ziemia zatrzęsła się, był to jak dotąd najsilniejszy wstrząs. Szacowne matrony pisnęły i podskoczyły, zachlupotały bańki z podłym piwem. Wielkie pociągi zakołysały się na resorach, rożen z mięsem przewrócił się w huraganie pary. Srebrni Reaktorowi pobiegli przez kłęby pary, żeby go wyprostować. Pod osłoną tego zamieszania Sweetness zanurkowała pod koła napędowe *Biskupa z Alves* i przysiadła w zaolejonej ciemności,

ukryta przed wszystkimi. Skurcz w boku powiedział jej, że kałuża oleju pomiędzy jej stopami jest teraz zamieszкана.

– Niezła impreza – powiedziała Mała Śliczna. Sweetness podsunęła jej resztkę swojego ćapati. Mała Śliczna ugryzła je elegancko drobnymi białymi zębami. – Całkiem to dobre. Masz pojęcie, kiedy ostatni raz jadłam?

– Zjedz wszystko – powiedziała Sweetness. – Masz też piwo. Pić chcesz?

– Trochę. – Mała Śliczna wzięła kubek, powąchała go. – Dzięki. – Wypiła jednym łykiem.

– Powiedz mi, to jedno i nic innego: czemu oni tak robią?

– Kto robi jak?

– Mężczyźni. W jednej chwili świata poza tobą nie widzą, a zaraz potem...

– A, to. To inny świat.

– Co? Znaczący my i oni?

– To też. Wakacyjny romans.

– Zmiana scenerii...

– Zmiana klimatu...

– Wszystko, co zwykle, staje się niezwykle...

– Potem wracasz do domu...

– A oni nigdy nie piszą i nigdy nie dzwonią.

– Chujki.

– Oni po prostu tak mają. Z mężczyznami jest tak, moja cielesna przyjaciółko, że oni tak naprawdę-naprawdę nie chcą seksu, władzy, pieniędzy. Chcą świętego spokoju. Wszystko ma być łatwo. Łącznie z jednorazowymi numerkami.

– To nawet nie był jednorazowy numererek.

– Co ty nie powiesz. – Mała Śliczna beknęła. Chyba wzięło ją to z zaskoczenia. – Ale to nie będzie problemem.

– Mieszkam z nim w tym samym pociągu. Widzę go codziennie, kurna, pięć razy dziennie.

– To nie problem. Pociąg już nadjeżdża.

– Pociąg ciągle nadjeżdża. I odjeżdża – odparła Sweetness.

– Ale ten jest szczególny.

– Tak? Bo co?

– Bo jest z Wielkiej Południowej. *Avata IX*.

Sweetness, ze swym pozbawionym niespodzianek życiem, uważała, że nagły szok to rodzaj odrętwienia, że czuje się go tuż za nosem, coś

pomiędzy mrozem a mokrym błotem zamieniającym się w słońcu w spękaną glinę. Odrętwiała, bezwolna, sparaliżowana, niezdolna do działania. Jakby ktoś przestrzelił jej wolę.

– *Avata IX*. Świetne zaplecze gastronomiczne – ciągnęła Mała Śliczna. – Kuchnia ze stali nierdzewnej i w ogóle. Rozkład tego nie przewidywał. Mieliście śmignąć koło siebie trzysta kilometrów stąd na południe. Ale teraz one sobie myślą, no... popatrz sama.

Mała Śliczna kucnęła obok Sweetness, pokazała palcem pomiędzy szprychami. Wszystkie tam były, wszystkie zdrajczynie, Maria Stuard w galowych epoletach i sznurach, Naon Maszynista ze Sleevelem i Rotherhamem u boku, Child'a'grace, drobna i uśmiechnięta, nawet babcia Taal przy fermentorze z piwem, rozprawiająca w ożywieniu z grupą kobiet o podobnych twarzach, tak samo ubranych w liczne spódnice i halki.

– Rozmawiają o ślubnych przystrojach – powiedziała Mała Śliczna. – Posagach i procentach. Mówią: po co czekać na korrobori? My tu jesteśmy, wy jesteście, oni nadjeżdżają, pieniądz tu i teraz przejdzie z ręki do ręki...

– Nie! – jęknęła Sweetness. Imprezowicze odwrócili się zdziwieni dochodzącym spod pociągu głosem. Po chwili ich uwagę odwrócił kolejny pomruk boskiej bitwy. – Z ciebie to super niewidzialna przyjaciółka, naprawdę. To jest najgorszy dzień mojego życia. Co ja mam zrobić?

– Tam jest jeszcze jeden pociąg. Właśnie przyjechał.

– No i co z tego? I tak się nigdzie nie ruszy.

– Tamten jeszcze nadjeżdża, a ten już tu jest.

– O czym ty gadasz? Może raz byś zrobiła coś dobrego dla mnie, zamiast tylko rzucać tymi durnymi przysłowiami, jakby mądre były?

– Aha. Dobra – powiedziała Mała Śliczna. – Nie ma sprawy. Chcesz, żebym coś zrobiła? No to uważaj. Szybko tego drugi raz nie zobaczysz.

Jak na dany znak, ziemia znów się zatrzęsa. Tym razem nie było to drgnięcie, ani wstrząs przewracający różny z wołowiną, lecz dłuższe trzęsienie ziemi, aż Sweetness zadarła głowę, nagle przerażona, że nad głową ma tysiące ton metalu. Ludzie na festynie szukali uchwytów, nie znajdując, łapali się siebie nawzajem. Sweetness przypomniała sobie, co kiedyś powiedziała zatyczka do ucha Latającej Szkoły – że w przeciwieństwie do Ojczystego Świata, ten świat jest zimny i nie poruszył się od czasu ogni, które miliard lat temu wypiętrzyły górę Olimp. Już miała oprotestować tę geofizyczną niemożliwość, lecz Mała Śliczna szturchnęła ją i powiedziała:

– Patrz.

Gra światła między niebem a ziemią stała się bitwą. Liliowe i niebieskie rapiery z góry ścierały się ze szkarłatnymi szablami tnącymi z dołu i odparowywały ciosy. Świetlne ostrza i gilotyny uderzały i roztrzaskiwały się; pioruny kuliste leciały łukiem, sycząc w powietrzu; pirotechnika zderzała się i anihilowała nawzajem w kaskadach iskier. Gdyby nie te drgania, byłby to pełen festyn. Sweetness czuła aż w zębach, jak ziemia jęczy. W *Biskupie z Alves* grzechotały każda śruba i każdy nit. Rdza sypała się jej płatkami na włosy. Z trawy podnosił się pył i skręcał się w pyłowe wiry. Sweetness wyciągnęła rękę, żeby się przytrzymać, i pisnęła. Drugi wstrząs elektryczny tego dnia. Stalowa konstrukcja aż buczała od elektrostatyki.

– Naprawdę nie polecam zostawać tutaj – powiedziała Mała Śliczna.

Dla zilustrowania tych słów gruba niebieska iskra przeskoczyła z obudowy osi na koło. Mała Śliczna i Sweetness wyskoczyły z kryjówki jak króliki. *Biskup z Alves* cały ożył błyskawicami.

Impreza się skończyła. Światło i dźwięk były dobrą rozrywką, ale teraz wszyscy zaczęli się bać. To już były siły przekraczające ich pojmowanie. Maszynistom włosy stały dęba; ubrania wydymały się wokół ciał. Bitwa w dżungli była teraz oślepiającym świetlnym walcem, w którym ziemskie karmazyny i niebiańska lila wirowały razem jak w kosmicznym budynku. Kolejowi patrzyli, osłaniając oczy dłońmi. Sweetness i Mała Śliczna stały *gobemouche*. Lila bowiem wygrywała. Karmazyn zawinął się w sobie, zdezorientowany i oszołomiony, po czym rozpląszczył się, aż utworzył kipiącą szkarłatną linię przerywaną sylwetkami fantastycznych dżunglowych roślin. Końcówka. Wirujący świetlny walec rozciągnął się w słup, w jaskrawy jak słońce snop światła. Ziemia spazmowała. Ludzie potykali się. Rożny się przewracały, fermentor z piwem pękł, trunek polał się widzom po nogach. Impreza padła i nikt nawet nie zauważył. Ziemia zatrzęsała się ponownie w oku huraganu i izolującego plastikowego lasu. Dźwigary przewracały się, sypiąc iskrami, wiatraki detonowały, zwariowane żagle wirowały, płonąc, pęknięte rury lian rzucały się jak bezgłowe węże, tryskając parą. Niezwykle spektakularny widok. Ziemia zatrzęsała się trzeci raz, na tyle mocno, że można sobie było wyobrazić koniec świata. Sweetness i Mała Śliczna przylgnęły do siebie. Rozległ się krzyk, przeciągły, jękliwy i straszny, głos, ale taki, o którym nie śniło się nikomu z obecnych. Rozbrzmiewał w ich głowach i ciągnął się bez końca, a ziemia tańczyła jak mangusta oszalała od jadu i wszyscy stwierdzali, że najlepiej, gdyby to się zakończyło już, zanim wszystko rozwali się na tyle,

że nawet boskie energie tego nie poskładają do kupy – i dokładnie w chwili, gdy już uznawali, że to się nie stanie, że to koniec, właśnie wtedy ustało.

Z ziemi buchnęła struga gleby i plastikowych odłamków, jakby ktoś z wielką siłą wyrwał ząb. Mgła niewidzialnej bitwy się rozwiła. Kolejowi zobaczyli zawieszoną w strumieniu światła kostkę o zaokrąglonych krawędziach, w tygrysie niebiesko-pomarańczowe pasy. Ogrom maszyny ROTECH-u utrudniał ocenę wymiarów – musiała jednak być wielkości lokomotywy towarowej 15. klasy. Na gapiów posypały się czerwony pył i barwne konfetti. Sweetness miała we włosach istny karnawał płatków rdzy, plastikowych odłamków i czerwonej ochry. Ziemia osiadła i się uspokoila. Kostka zaczęła wirować, szybciej, coraz szybciej, aż się rozmazała. I wydawało się, że się kurczy, jakby intensywny fiolet wywierał na nią nieodparte ciśnienie.

Wszystko zakończyło się nagle i spektakularnie. Z hukiem wdzierającego się do środka powietrza, kostka zapadła się do czarnej kropki i zniknęła. Promień morderczego światła rozlał się na zewnątrz, na moment oślepiając całą publiczność. W tej samej chwili usłyszeli potężny szum wiatru i głos, mówiący w każdej głowie: „To urządzenie miało awarię i zostało zezłomowane”.

„Orf”, szepnęła Sweetness do siebie, wymrugując z oślepionych oczu powidok jak wzór na dywanie. Każde dziecko jeszcze przed czwartymi urodzinami znało hagiografię maszyn, które zbudowały ten świat: większość orfów po humanformacji wróciła do nieba, niektóre jednak nie usłuchały wezwania Świętej Katarzyny i pozostały, zakopane głęboko w ziemi, produkujące humus i bakterie i bardzo powoli popadające w obłęd.

To urządzenie miało awarię i zostało zezłomowane.

Kiedy powtórzyła te słowa zagłady, wrócił jej wzrok. Niebiańska machina, orf, plastikowy kawałek innego świata, tory, równiny Oxusa, wszystko zniknęło. Dwa bliźniacze szeregi pociągów stały naprzeciw siebie, przedzielone dwoma kilometrami gołej ziemi.

– Wow – powiedziała Sweetness. – To było coś.

„A nie mówiłam?” – szepnęła w czaszce Mała Śliczna, wślizgując się z powrotem do ciała nosicielki.

Ludzie, niepewni, co właściwie widzieli, stali, gapiąc się na gołą ziemię. Wszyscy oprócz jednego. Sweetness poczuła na karku to łaskotanie cudzego wzroku, nie do pomylenia z niczym innym. Odwróciła się, by zobaczyć, kto jest na tyle bezczelny, by się w nią wpatrywać, i dać

mu porcję najlepszej pogardy, jeśli to byłby Romereaux. Jednakże ofiarą był niski, chudy chłopaczek z Toromistrzów, łatwy do rozpoznania po płaskim nosie z chowu wsobnego. Na jednym oku miał bielmo, drugie wgapiło się bezwstydnie w jej biodro.

Sweetness oparła dłonie o biodra i odchyliła się w tył, jak podpatrzyła u bohaterki komiksu *Przebojowa dziewczyna*.

– Co, podoba ci się?

Chłopaczek zmarszczył czoło.

– Co ty tam masz u paska?

Nazywał się Serpio i Sweetness gadała z nim do świtu, czujnie oparta o zimne żelazo koła napędowego numer pięć, ziębiąc sobie kość ogonową. O świcie Toromistrze wyruszeni. Po tylu godzinach czuła przesyt konwersacją, wilczy głód i delikatne oszołomienie; szturchnięcie w żebra przywróciło ją rzeczywistości.

– Ej, patrz. Widzisz?

Widok był zbyt piękny, by ograniczać go do bezludnych porannych godzin. Wielki pociąg naprawczy Toromistrzów był jak gąsienica bezokiennych wagonów technicznych, żółtych i zielonych, opatrzonych czerwonym godłem klanu – globem i torami. Na pierwszy dotyk słońca wagony pootwierały się, jakby ziewały. Wypęły pochylnie, sprawdziły temperaturę gruntu, osiadły. W cieniach zadygotały silniki, obudziły się wielkie maszyny. Łaziki badawcze wyskoczyły z radosnym okrzykiem w wysoką wyżynną trawę. Powozili nimi pełni entuzjazmu nastolatki o zaciśniętych zębach. Nosili gogle i osłaniające usta bandany. Rozjechali się promieniście po pampie, ciągnąc za sobą ogony wznoszącego się pyłu. Laserowe dalmierze mrugały pomiarami, lusterka teodolitów odpowiadały im heliograficznie. Potem, rozwijając się jak termofilne owady, z kokonów wyłoniły się równiarki. Pazurzaste stopy strząsały ze źdźbeł trawy poranną rosę. Długie małpie ramiona, z łopatami zamiast dłoni, przerzucały i przemieszczały ziemię. Siedzący im na plecach dżokeje pociągali za dźwignie. Potem po pochylniach ociężałe zjechały ubijarki z kołami zamiast stóp i zaczęły udeptywaniem zmuszać ziemię do posłuszeństwa. Maszyny pomiarowe śmigały wokół wielkich kadłubów ciężkich maszyn ziemnych. Patrząc na to wszystko, Sweetness bardziej niż czegokolwiek w tej chwili zapragnęła być

badmaś-Toromistrzem, a nie wyniosłą Asiim-Maszynistką. Chciała mieć podniszczone robocze trepy, koszulki z poobcinanymi rękawami i ciężkie rękawice. Chciała zapylone gogle i chusty na głowę, powiewające frędzlami na wietrze. Chciała kręcić dźwigniami i pociągać za wajchy, chciała, żeby maszyny – dowolne maszyny – robiły to, co im każe. Chciała, by nie było Naroba Stuarda nadciągającego zza horyzontu w ślubnej koszuli, kapeluszu i kamizelce obwieszanej dolarowymi banknotami.

Prawie wypaplała Serpiu to wszystko, co leżało jej na sercu, jednak język skręcił jej się w korkociąg niczym samolot na wiejskim pokazie lotniczym gdzieś na zadupiu. Wielki finał przedstawienia stanowił występ trzech ostatnich wagonów. Fragmenty ich dachów przesunęły się, uniosły, wózki usunęły się do tyłu, rozłożyły się przekładnie i przenośniki. Pierwszy wagon dosiadł środkowego jak kapłan Ekstazy ze Swavyn swego kochanka. Tylny wagon dopełnił tego niesamowitego stalowego trójkąta, nurkując pod środkowy, a potem w skomplikowany sposób przepoczwarzając się w gaśienice i wysięgniki z kołami czerpakowymi. Te tony metalu wykonywały tak nieprawdopodobne akrobacje, że Sweetness aż zakręciło się w głowie od tej dynamiki, obok siebie jednak czuła bijące ciepło dumy Serpia z dokonania jego ludzi. To znaczyło dla niego bardzo wiele – a zatem i dla niej.

Wcześniej się dowiedziała – zaraz po tym, jak najmniejszych z małych odesłano do łóżek, i zanim kochankowie zaczęli kochanie – że oboje są podobnymi do siebie cudakami. Wyrzutkami. Odmieńcami, dziwadłami.

- Ty coś widzisz tym okiem?
- Więcej niż tym drugim. Więcej niż ten świat tutaj.
- I tak cały czas?
- Kiedy jest otwarte.

Nie przeszkadzało mu, że zagląda mu w oko z bielmem. Było półprzejrzyste, jak z plastiku. Można w nie było postukać. Dźwięk był taki, jakby się pukało w paznokiec, i nic go to nie bolało. Nie miał też nic przeciwko.

- Duchy?
- I anioły. Wszystko, co jest jakby... duchowe.
- A to coś... – Dźgnęła podbródkiem w kierunku wydartego spod ziemi orfa. – To też widziałeś? Jak to wyglądało?
- To, co ono widzi, jest trochę trudno opisać, ale tak jakby rzeczy, które sięgają dalej, wyciągają się do innych światów.

– Jak macki? – Wyobraziła sobie rzeczy ze snów dwulatki, te groźne, których boisz się potem przez całe życie, ze snów o stracie, strachu, o tym, że stwory z nadgarstkami z lin i hakami zamiast dłoni zabijają rodziców. I mają oczy jak czerwone żarówki. Wici wyciągające się ku tajemnicom przez wybite we wszechświecie dziury.

– Nie, bardziej, wiesz... jak ciebie widzę, to masz wysokość, szerokość, głębokość... – Uśmiechnęła się wewnętrznie, myśląc o tym ciepłym blasku jego oczu taksujących jej fizyczność. – Ale oprócz tych wymiarów są jeszcze inne. I ty sięgasz w nich bardzo, bardzo daleko. Ten orf, kiedy na niego patrzyłem, miał skrzydła. To znaczy otworzyły się jak skrzydła i chyba w jakimś innym czasie mieszkał w innym wymiarze, gdzie mógł na nich latać. Jakby podtrzymywały go w powietrzu, rozumiesz.

Nie rozumiała, ale to, jak opuszczał dolną wargę, kiedy coś z zapalem wyjaśniał, zachwyciło ją na tyle, że kiwnęła głową i powoli zapytała:

– A kiedy na mnie patrzysz?

– Na którą Sweetness?

Jego wizja była zarazem ekscytująca i zawstydzająca, jak striptiz duszy. Patrzył na nią i przez mleczną błonę widział to, co było jej prywatnymi sprawami od tak dawna, że już przestała wierzyć, że obiektywnie istnieje. Serpio, wścibski i obnażający, nie potrzebował lustra. Patrzył na świat, a katarakta odbijała jego drugą stronę. Jednakże widział go wszędzie, wszystko było dla niego zaludnione aniołami i duchami. Za dużo. Za jasno. Zbyt długo na to patrzysz, to oślepniesz. Widziała to w Serpiu. Pod tym nażelowanym szpicem czarnych włosów krył się trickster. Podobały jej się. Miała ochotę je polizać. Ale jemu nie ufała. Tylko głupi albo przytorowa ofiara daje tricksterowi swoje centawo. Nie dowierzała, że podoba mu się Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII, a nie Mała Śliczna, której sama nie widziała tak dobrze jak on. Pewnie ma jaśniejsze oczy. Ładniejsze włosy. Lepsze cycki. Może kręci go ten związek, który je łączy, jak ciało i ducha.

A może podobają mu się one obie razem.

Zła myśl. Dopiero co go poznała, był fajny – nawet mimo że jego Dom Astralny został zmieniony w głosowaniu, wskutek niepewności, po której stronie linii dnia matka wydała go na świat. Niepewny dom to dziwny chłopak, ostrzegała babcia Taal.

Później, kiedy kochankowie rozeszli się na swoje misje, a pijacy osiągnęli stan poziomy, zapytała go:

– Ty się z tym urodziłeś?

– Nie, ktoś mi to zrobił – odparł i czuło się w tym robaka goryczy. – W Plazaville była taka stara dziwka. Mówili, że jest zmienniczką, że jeśli ktoś chce robić to z psem, wielkim kotem czy krową, ona za furę kasy się w to zmienia. Pracowała w takim domku jak betonowa kopułka, całym pomazanym sprejami, na skraju Rimbauds. – Wszystkie kolejowe dzieciaki słyszały o Rimbauds w Plazaville, tej opalizującej, niepewnej dzielnicy przemysłowej, gdzie magazynowano zużyte, promieniujące rdzenie tokamaków. W samym środku energia osiągała takie poziomy, że rzeczywistość rozpadała się w mgłę wielokolorowych alternatyw – jak opowiadano – ale nigdy nie dasz rady tam dojść. Płynąca ulicami energia sprawi, że pobłądzisz, a w dodatku przez cały czas kąpiesz się w promieniowaniu. – Wszystkie dzieciaki ją wyzywały, wyśmiewały, robiły jej ten numer z podpaloną papierową torbą, rzucały metalowe kulki na dach, żeby się staczały i tak dalej, nie? To był naprawdę syfiasty domek, miał jedno okienko, jak szczelinę, i z dzieciakami licytowaliśmy się, kto tam wlezie i zajrzy do środka, może zobaczy jak ona coś robi albo w coś się zmienia. No i padło na mnie. Chociaż się bałem, czy nie jest jakimś stworem z Rimbauds, to wziąłem skrzynkę, wlałem na nią i zajrzałem do środka. Okienko było naprawdę wąskie, dało się patrzeć tylko jednym okiem.

– I co? Była zwierzęciem, maszyną czy czym?

– No, zaglądam, a tam jest gruby typ, wisi na takiej ramie za nogi i ręce, z kapturem na głowie, a dziwka stoi tyłem do mnie, ale w ręce ma coś, co wygląda jak wielki pazur. – Serpio spazmatycznie ułożył palce w kształt dłoni wisielca. – Widzisz coś takiego, to po prostu nie możesz przestać patrzeć, zwłaszcza że baba zaraz zaczęła drapać go tym pazurem po dupie, zostawiając czerwone pręgi. Typ się rzuca, ale nic nie może zrobić, dupę ma całą czerwoną, krew leci na podłogę. A ja dalej stoję na tej skrzynce i się gapię. No i nagle... Wiesz, jak to jest, kiedy czujesz, że ktoś na ciebie patrzy, ale go nie widzisz, takie ciepło czujesz? Ta baba nagle się wyprostowuje i wtedy trzeba było uciekać, zeskoczyć i lecieć ile sił, ale nie byłem w stanie, wiesz? Tak jakbym wiedział, że stanie się coś straszego, ale musiałem stać, żeby zobaczyć, co to takiego.

– I było? Coś straszego? – zapytała tym na wpół błagalnym tonem z dziecięcych opowieści o duchach.

Odpowiedź – tym samym tonem, „bójmy się razem”.

– Odwróciła się i spojrzała prosto na mnie, jedyne, co pamiętam, to jej twarz. W miejscu twarzy miała srebro. Samo srebro. I to nie była maska.

Jakby roztopiony metal. Aż czułem ten żar. Czułem go w oku, czułem, że wysysa z niego całą wilgoć, czułem, jak wysycha, twardnieje, ślepie. Tak najpierw pomyślałem, że jest ślepe, ale potem, kiedy zdjąłem przepaskę, dotarło do mnie, że cały czas widzę to srebro z jej twarzy i że to jest jakby kolor światła w innym świecie, tym, gdzie żyją wszystkie te stwory z legend.

Zawieszenie głosu na koniec opowieści o katarakcie miało chyba wymusić reakcję, lecz Sweetness nie wiedziała, jak tę ciszę wypełnić. Nie powiedziała więc nic, tylko przysunęła się bliżej do dziwnego Serpia.

– No dobra – powiedział w końcu. – A ty?

Poczuła to pytanie jak ciepłe, wścibskie macanie między nogami. Jęknęła na to pogwałcenie jej jaźni, a potem ustąpiła. Powiedziała Serpiowi o rzeczach, jakich nie mówiła nawet wujkowi Neonowi. Wyciągając je, czuła się tak, jak wyobrażała sobie seks, wspólny i wyzwalający, a jednak niezmiernie osobisty. Serpio całą noc ciągnął ją za język, a gdy zza horyzontu wyłonił się pierwszy promyk słońca, opowieść skończyła się i Sweetness Asiim Maszynistka stwierdziła, że jest zmęczona, ziewa, pieką ją oczy i pragnie prysznic, ale do tego czuje osobliwą radość.

– Jesteś głodny? – zapytała, myśląc o resztkach i pozostałościach imprezy.

Jednakże Serpio szturchnął ją pod trzecie żebro i powiedział tonem, w którym 40 do 60 mieszała się tęsknota i duma:

– Zobacz, widzisz?

Wagony już prawie skończyły swą ewolucję – panele znieruchomiały i zablokowały się, sprzęgi i łączenia spotkały się i usztywniły. Maszyny wyciągnęły wysięgniki ponad szerokimi metalowymi osłonami, nad którymi wznosił się tułów pompujących silników i zgrzytających przenośników. Najstarsi i najbardziej doświadczeni Toromistrze stali w szklanej kopule i kierowali molochem tak, że sunął wzdłuż procesji unieruchomionych pociągów. Hałasował potwornie. Żerujące o świetle równinne stworzenia uciekały mu z drogi, a Geodeci ścigali je na terenowych motorach, łapiąc pyłowe zające i pasiaste prosiaczki. Machina rysowała w ziemi szesnaście głębokich kolein. Znalazła odcięte końce szyn i rozsiadła się na nich jak szacowna dama w wielu warstwach spódnic kucająca do sikania. Wysięgniki opadły na ziemię. Koła czerpakowe wzbily strugi czerwonego pyłu. Zakręciły się koła taśmociągów.

– Co ona robi? – zapytała.

– Chodź, zobacz.

Wziął ją za rękę. Stwierdziła, że jej to nie przeszkadza. Miał miękką dłoń o dość długich paznokciach. Niepracującą. Nie były jej przeznaczone dźwignie i uchwyty, oko bowiem, które ją prowadziło, było ślepe, bo widziało zbyt wiele. Zrobiło się jej szkoda tej dłoni, gdy przekradali się wzdłuż boku wielkiej maszyny, robiąc uniki przed latającymi pecynami ziemi, więc ją ścisnęła.

Żeby coś powiedzieć, zapytała:

– A co według ciebie się stało z tym orfem? Nigdy nie widziałam orfa, myślałam, że już dawno ich nie ma.

– Nie wiem – odparł Serpio. – Nieważne. Chrzanić orfa. I wszystkie orfy. Ciągłe się psują te rzęchy, nie są za dobrze zrobione.

Dla Asiim Maszynistki te słowa zabrzmiały jak łagodne bluźnierstwo. Zaskoczyło ją to ukłucie automatycznego oburzenia. A uważała się za młodą i niezależną w myśleniu. Zapytała ostrożnie:

– To przez to twoje... no wiesz?

– Oko?

– No.

– To znaczy, że mój anielski wzrok nie pozwala mi pracować przy robotach torowych?

– No.

– Może. Może. – Zabrzmiało to, jakby naprawdę ta myśl go zaskoczyła, jak diament znaleziony w kupie gnoju. – Ale myślę, że to głównie dlatego, że myślę, że ich nie powinno tu być. Nie są nam potrzebne. Niby mówią, że zbudowały ten świat i że utrzymują go w dobrym stanie, a my nazywamy je aniołami i modlimy się do nich, ale to są maszyny, a nawet jeśli maszyna tworzy maszynę, a ta kolejną maszynę, to gdzieś za tym wszystkim jest jednak człowiek, nie maszyna. Człowiek, który ją zaprojektował, zaprogramował, dał jej misję, nazwę i cel. I to oni zbudowali ten świat. Ich powinniśmy pamiętać, a nie te góry metalu z plastikiem. Te orfy są głupie jak nie wiem co. Takie maszyny-krowy. A i krowa ma więcej rozumu niż orf. Powiem ci, jak się ich widzi tyle co ja, to w końcu rzygać się chce.

– To znaczy?

– Bo wiesz, ja pracuję, nie? Mam zajęcie, nie ma tak, że nic nie robię, na *Żelaznym Lwie* nie ma nikogo, kto by nic nie robił. Obserwuję drogę przed pociągiem. Stoję na górze w forkasztlu i widzę, jak nad horyzontem roją się anioły, jak pyłowe wiry. Anioły. Chuja tam. Zmęczone, złe, zwariowane maszyny.

– A Święta Katarzyna...

– Kobieta. Tak jak ty. – Spojrzał na nią z ukosa spod szopy lśniących, czarnych włosów. – A nie. Nie tak jak ty. Też była zmęczona, zwariowana, zła. Ale była kobietą.

– Kto ci to wszystko mówi? – Zgrzyt irytacji w głosie. Zna go przez jedną imprezę i jedną noc i już ją drażni.

– Harx – odparł Serpio. Tylko tyle.

Wciąż zastanawiała się, czy ta monosylaba była chrząknięciem, imieniem, czy Toromistrzowskim przekleństwem, lecz Serpio kucnął i spojrział przez obłoki pyłu sypiące się spod osłon wielkiej maszyny.

– Tutaj.

Sweetness przysiadła na piętach obok czarnowłosego chłopaka. Przez pył i obłoki ściętej trawy dostrzegła alchemię. Wielka machina jadła ziemię i srała stalą. Dwoma lśniącymi, równoległymi liniami stali, świeżo wykutej, falującej w ciepłej mgiele, połączonymi parującymi obsydianowymi podkładami.

– One to robią z samej ziemi – powiedziała zdumiona.

Serpio kiwnął głową, jak ktoś, dla kogo to powszednia magia, lecz Sweetness wiedziała, że jej zachwyty sprawił mu przyjemność. Kucając jedno obok drugiego, patrzyli, jak tory pełzną przez lukę z gołej ziemi.

Centymetr za centymetrem, pomyślała Sweetness. Odmierzają czas do połączenia. Skracają odległość pomiędzy mną a Narobem i jego kuchnią ze stali nierdzewnej. Łączą mnie z nimi. Gruda ziemi za grudą. Centymetr za centymetrem.

O wiele zbyt ponura myśl jak na ten rześki, chłodny poranek w Deuteronomium. Serpio dopatrzył się w jej mięśniach nagłego smutku.

– Teraz to zgłodniałem. Chodź, już na pewno grillują. Coś zjemy.

Pod żebrami samotnego parasolowca Geodeci wykopali doły na żar i rzucili na nie różny. Wszystko, co uciekało przed maszynami, było teraz patroszone, skórowane, nabijane na rożen. Trzaski palącego się tłuszczu buchały spiralnymi kłębami aromatycznego dymu, unoszącymi się pomiędzy liście parasolowca. Były trzy takie paleniska. Przy jednym zebrały się dziewczyny z motocykli Toromistrzów. Piekły dropie. Przywitały Serpia podniesieniem podbródka, a Sweetness podejrzliwym spojrzeniem znad gogli. Sweetness podziwiała i zazdrościła im motocyklowych strojów, tego, ile zapyłonych mięśni odsłaniały, nonszalanckiej pewności siebie, z jaką je nosiły.

– Coś już gotowe?

– Może – rzuciła dziewczyna z największymi mięśniami. – A kim to ty jesteś?

– Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII.

Przywódczyni sprawdziła, jak jej to imię leży na języku, dwa razy.

– No dobra. Ładne włosy. Jesteś z Zezulem?

– Rozmawiałam z nim.

– No tak, ktoś czasem musi. Jest królik, jak chcecie trochę.

Zabrali z powrotem na tory osmolony comber królika zawinięty w starą mapę geodezyjną. Smakował Sweetness jak udko hamadriady. Z radia w motocyklu bulgotała muzyka nowej szkoły z Deuteronomium, sam flet i tabla. Pomyślała wtedy: Tutaj, w tym momencie, jestem idealnie szczęśliwa. Ale to nie mogło trwać długo i zakończenie było dokładnie takie, jakie oglądała w zbyt wielu wyświetlanych w wagonie filmach o włóczęgach pustyni. Chłodny dotyk cienia, buty wbite w ziemię, przesłaniająca słońce sylwetka. Była ich trójka, w klasycznym szyku V. Każdy mógłby wziąć Serpia w dwie ręce jak comber królika i przegryźć na pół. I wyglądali, jakby właśnie to zamierzali zrobić. Szorstkość dziewczyn od motorów maskowała siostrzaną czułość. A ci go po prostu nienawidzili.

– Zezul, nie jesz tego.

Ciężki bucior wytrącił mięso z ręki Serpia. Gdy po nie sięgnął, jeden z przybocznych popchnął go na ziemię i wygiął od tyłu, tak, żeby patrzył na swego prześladowcę.

– Śniadanko, chłopak.

Przywódca trzymał mięso: gorącego, pieczonego świńskiego penisa. Serpio szarpał się i pluł, ale dwóch przydupasów trzymało go mocno.

– To jesz, Zezul.

Otworzyli mu usta, wbijając ostre palce pod zawiasy żuchwy. Serpio wierzgał i ciskał się, gdy próbowali wsunąć mu świńskiego penisa do ust.

– Trzymajcie go mocniej.

Przytrzymali i penis dał się wetknąć. Serpio dławił się i pluł.

– No jedz.

Przybocznicy poruszyli jego szczęką, udając przeżuwanie.

Wiem, czemu to robicie, pomyślała Sweetness. Widzicie, że jest z kimś, robi coś, na co nie pozwalają reguły, które dla niego ustaliliście, widzicie, że robi coś tylko dla siebie i o nic was nie prosi, i doprowadza was to do furii. Chciała się odezwać. Skopać im jaja, rzucić się do oczu. Chciała ich zmusić, żeby przestali go krzywdzić na jej użytek. Ale była poza swoim terenem, poza klanem. Wśród obcych.

– Salp, zostaw go.

Przywódcą skrzywił usta rozczarowany, ale dziewczyny przemówiły. Nie podobało im się to. Koniec. Chłopcy poszli bez słowa. Serpio cisnął za nimi świńskim paskudztwem, pluł, pluł i pluł bez końca. Sweetness podeszła do niego, ale bała się go dotknąć. Nie знаła zwyczajów Domostwa Toromistrzów. Poczieszająca dłoń mogła być gorszą obrazą niż to, co mu zrobiły chłopaki od motocykli.

– Przepraszam – powiedziała, już na ustach czując, jakie słabe jest to słowo.

– Przepraszam? – Serpio z trudem pozbierał się na nogi. – Za co ty przepraszasz? Co zrobiłaś?

– Przepraszam – powtórzyła, nie lepiej niż przedtem.

Serpio rzucił pecyną ziemi, kopnął trawę, plunął na sucho za prześladowcami.

– Skurwysyny! Skurwysyny! Salpinge, myślisz, że jesteś kimś, a jesteś nikim! Nikim!

I zamilkł, ponury, rozdygotany, skrzywdzony. Innoświatowe oko zajarzyło się ciemno.

– Już koniec. Poszli. – Klęknęła, starannie ustawiając się pomiędzy Serpiem a prześladowcami.

– Harx – szepnął Serpio, tak cicho i jadowicie, że Sweetness omal nie wzięła tego za zjawisko naturalne.

– Co takiego?

– On wam pokaże – wymamrotał Serpio. – Wszystkim wam pokaże. Wszyscy zobaczycie!

– A kto to... ten Harx? – zapytała Sweetness, lecz on nie słyszał, a ona wiedziała, że te słowa nie były przeznaczone dla niej. W anielskim oku Serpia widziała odbicie, srebrny pobłysk, tam, gdzie nie było słońca.

Serpio wstał. Zacisnął pięści i zaryczał na swych prześladowców, czerpiąc energię ze zbieranych latami pokładów wstydu, furii i alienacji, jak próżnia w głębi duszy. Sweetness nie była pewna, czy podobają jej się chłopcy, którzy tak wyją. Zdyszał się, zgarbił upokorzony, ale wycie trwało, zmieniając kształt i ton, stając się czymś innym, nutą, gwizdem, gwizdkiem pociągu nadjeżdżającego po torach. Znała ten śpiew. Znała śpiew każdego pociągu na Wielkiej Głównej Południowej. Wewnętrznym uchem nasłuchiwała go, odkąd Mała Śliczna przepowiedziała jej w nocy imię i naturę przeznaczonego jej mężczyzny. Śpiew jednotokamakowego loka towarowego klasy 44 – *Avata IX*.

Śmieszne, miała pomyśleć wiele kilometrów później, jak prosto się to wszystko decyduje. W całej tej połaci Wielkiego Oxusa było jedno wzniesienie – mały, jajowaty wzgórek długi na rożen czy dwa, a wysoki na niecały jeden, jakaś usterka z czasów budowy świata, jak skaza w tanim szkle – i właśnie za nim chowali się teraz Sweetness i Serpio. Leżeli obok siebie, podając sobie na zmianę kradzioną lornetkę Geodetów.

– Co teraz robią? – dopytywała się Sweetness. Słabo umiała biernie słuchać. Była okiem, które patrzy, nie uchem, które słucha. Dlatego od dzieciństwa bała się że oślepie za sprawą jakiejś boskiej kapryśnej kary.

– Robią procesję – powiedział Serpio.

Tego już za wiele. Wyrwała mu z rąk lornetkę, omal nie dusząc go paskiem. Wzgórek leżał półtora kilometra od torów – a przynajmniej tak powiedział dalmierz w lornetce. Świetne szkła, lekkie, sprytne – automatycznie się wyostrzały. Skierowała je na dwa pochody mrówek idące ku sobie na tle olbrzymich maszyn. Asiimowie Maszyniści po prawej, Stuardowie po lewej. Nabrali ostrości – pierwszy Naon Maszynista, spocony, ale elegancki w swej szacie, cylindrze i rękawiczkach. Krok za nim Child'a'grace, niesamowicie elegancka w sukni ślubnej Suskawannów, niewyblakłej, niespranej i niełatanej. Jak ona sama. Szkła geodetów były tak dobre, że Sweetness widziała nawet jej drwiący uśmieszek na widok splendoru męża – dobrze wiedziała, że on już długo nie potrwa. Potem szedł brat Sli, wciąż ponury, z pudełeczkiem mieszczącym formularz bankowego przelewu na trzy tysiące dolarów. Rotherham, jeszcze bardziej ponury. Za nim ksiądz do

wynajęcia, przyszczaty młodziak w pożyczonych szatach. Widziała, jak porusza ustami, ćwicząc formułki i odpowiedzi.

Narob Stuard szedł na przedzie swoich ludzi, w sporej odległości. Aż palił się do małżeństwa. Podbródek uniesiony wysoko, oczy przymrużone. Wiatr szeleścił banknotami przypiętymi do jego kamizelki i szarpał frędzlami ślubnej koszuli. Co kilka kroków przytykał dłoń do kapelusza, żeby przytrzymać go w nasilającym się równinnym wietrze. Chyba go to drażniło.

Przystojny, pomyślała Sweetness. Ale z drugiej strony masa facetów dobrze wygląda, kiedy idą pod wiatr, i to nie powód, żeby za nich wychodzić.

Jeszcze nie zauważyli, że jej nie ma. Przyrzeczonej. Na pierwszym spotkaniu przyszła żona miała odgrywać nieśmiałe wahanie. Lecz zaraz zaczęła się zastanawiać, co jej zajmuje tak długo – klipsy, welon, wieniec – i poślą niezamężne dziewczyny, żeby jej poszukały. Będą jej szukać, a ona, o półtora kilometra stamtąd, na trawiastym wzgórku uświadomiła sobie, że nie pomyślała, co ma zrobić, kiedy jej nie znajdą. Było to poważne przemyślenie. Utkwiło jej w żołądku jak poranny głód, jak zachwianie, kiedy pociąg wjeżdża na zwrotnice, których się nie spodziewasz, jak magiczna godzina, kiedy krawędź świata jest tuż-tuż ponad słońcem, a piaskowcowe palce Wielkiego Cynobrowego Kraju jeszcze jarzą się jego ciepłem – jeszcze czuje się je na twarzy – a niebo jest tak błękitne, że aż boli.

„Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistko XII”, mówiło to uczucie, „w tej chwili możesz zrobić dwie rzeczy. Możesz podnieść się z pagórka, pójść do swojej kabiny, założyć klipsy, welon i wieniec i wyjść na spotkanie przyszłemu mężowi. Możesz podnieść się z pagórka i podejść do tego terenowego motocykla, wziąć motocykl, wziąć tego chłopaka i pojechać, dokąd zechcesz. To tyle. Taki masz wybór. Przykro mi, że nie ma nic więcej. Taki twój los”.

Opuściła lornetkę, ale zakręciło jej się w głowie nie przez zmianę perspektywy. Przez to, że ma dwie drogi i tylko dwie – i pewność, że dokładnie w tej chwili musi wybrać. Świat zbiegał. Oślepiła ją ta pewność.

Nagle odkryła w sobie słowa. Nie chciała o nich za wiele myśleć, bo to mogłoby je zabić, otworzyła więc usta i dała im wyjść. Smakowały, jakby coś z siebie wypluwała, gęstego, pełnego żółci, coś, co musiała z siebie wyrzucić.

– Ej, Serpio.

– Co? – Już sięgał po lornetkę, lecz Sweetness przekręciła się na plecy i spojrzała w niebo.

– Nienawidzisz tego.

– Czego.

– Tego. Co tutaj. Tobie z tym źle. I mi źle. To uciekajmy.

– Znaczy?

– No, jedźmy. Już. Bo czemu nie? – A myślała: Szybko, ruszaj się, powiedz tak, nie zadawaj głupich pytań, bo każde z nich nadziera trochę tę oślepiająco białą pewność, a ja nie chcę tam wracać, nie chcę wychodzić za mąż, nie chcę kuchni z nierdzewki i nie, nie wiem, jak to będzie w drodze z tobą, ale wiem, że tam niczego takiego nie zaznam. A ta chwila jest naprawdę bardzo, bardzo długa.

Zobaczyła, jak otwiera usta. Powoli jak na powtórcie w meczu z peloty, a do tego z odbijającą słońce nitką śliny pomiędzy zębem i górną wargą.

– Dobra – powiedział. – Dobra.

A więc uciekli.

Tyle że nie odbyło się to szybko ani gładko. Człowiek nie ucieka tak na pstryk. Ludzie, którzy to robią na pampasach Deuteronomium, kończą objedzeni przez kruki i wypolerowani przez wiatr. Wie to nawet mała Maszynistka.

Presja rozkładów ułatwiała zadanie. Maszyniści i Stuardowie biegali tam i z powrotem, wzdłuż i w poprzek torów, ale Ćwiartka Północno-Wschodnia miała korek z pociągów aż po Dolinę Marinerów, a kolej musi działać, choćby skały srały, więc cała ta biegania odbywała się na tle maszyn naprawczych składających się elegancko do swoich wagonów, tokamaków buchających imponującymi kłębami pary, drużyn skaczących ryzykownie po galerijkach i trapach przy już kręcących się korbowodach i toczących się kołach. Zwrotniczy z czerwonymi chorągiewkami wycofywali pociągi na bocznicę i dokonywali nieprawdopodobnych improwizowanych cudów rozrządowych, by powolne towarowce przepuściły ekspresy, a priorytetowe transporty dyplomatyczne przemknęły obok wielkich chemicznych reaktorów. W tym zamieszaniu, pełnym pary i przebrań, Sweetness była w stanie przekraść się po drabince wagonu numer 12, przejść na dach tendra, zjechać po rurze bezpieczeństwa, czego nie dałby rady zrobić nikt powyżej dziesiątego roku życia i wśliznąć się do otwartego iluminatora swej kabiny, zupełnie niepostrzeżenie.

Wiele kilometrów później wciąż się dziwiła, jak prosto jej poszło z wyborem rzeczy. Dwieście dwadzieścia siedem dolarów

w wodoszczelnej puszcze. Trochę drobniaków, choć są ciężkie i łatwo wypadają z kieszeni. Latarka. Sztormowa zapalniczka. Długopis, parę kartek. Garść tamponów. Oprawny w skórę egzemplarz *Psalmidii Evyna*, popodkreślany czerwonym mazakiem przez babcię Taal. Bakelitowy kotek – mały, ale ciężki – bo wiedziała, że nigdy jej nie wybaczy, jeśli go zostawi. Trochę kleju, mały śrubokręcik. Szampon. Tabletki do uzdatniania wody. Ciężkie-buty-koszulki-długie-spodnie-krótkie-elegancka-sukienka-(na wszelki wypadek)-rękawiczki-porzędne skarpety. Grzebień z długimi zębami. Złota plomba, na sprzedaż. Miętowa herbata w torebkach, namiastka kawy w torebkach (podkradziona z krainy Stuardów). Metalowy kubek. Łyżko-widelco-nóż, składany. Gwizdek, na wypadek gdyby naprawdę nie można było ufać Serpioniowi. Porządny nóż, częściowo z tego samego powodu. Radyjko na baterie słoneczne. Coś nierozwijającego do czytania.

Bardzo to skąpo wyglądało na dnie czarnej, odpornej na wszystko torby, jak drogocenne jajeczka w ciemnym gnieździe. Ale było proste. Wyciągnąć rękę i zabrać. Ta myśl musiała się tlić od bardzo dawna. Jakiś odcięty od wszystkiego zakamarek umysłu planował to od lat.

Coś jeszcze. A, no tak. Śmierzący śpiwór. I jedzenie. Może trochę potrwać, zanim znajdą coś do jedzenia.

Głosy i odległe gwizdy za iluminatorem powiedziały, że załoga *Katarzyny z Tharsis* wciąż jest za granicą i próbuje do ostatniej chwili przed odjazdem szukać zbiegłej narzeczonej na pokładach innych pociągów. Chwilę nasłuchiwała przy drzwiach, potem szybko popędziła korytarzem z ciemnego drewna do jadalni Domostwa. Sli i Rotherham jak zawsze zostawili wszystko, co bezmięсне albo choć trochę zdrowe. Wylądowało w torbie w czterech pergaminowych woreczkach i razem z sześcioma butelkami natlenionej wody.

Te dziesięć przedmiotów nagle sprawiło, że stała się na tyle ciężka, że nie mogła się ruszyć.

Jaskrawa pewność już bladła. Jeszcze jedna chwila tej zatłuszczonej, obdrapanej boazerii, z wrośniętym zapachem gorącego tłuszczu i cebuli, tych niewyraźnych zdjęć w ramkach, na których Wielkie Pociągi jadą przez Fotogeniczny Krajobraz, tego chrypliwego bulgotu lampowego radia na parapecie, tych wesolutkich plastikowych buteleczek z sosami w kształcie uśmiechniętych warzywek o zaskorupiałych szyjkach i uwięźnie tu na zawsze. Zakiszona jak świąteczne jajko.

– Sweet?

Za długo. Wszystko przepadło.

Gówno dupa rzepa kalarepa. To musiał być właśnie Romereaux. Stał w przejściu z rozdziawionymi ustami, co powiedziało jej bez słów, że po jednym spojrzeniu wszystko zrozumiał.

– Nie. – Uniosła ostrzegawczo palec.

– Sweet, gdzie ty...

– Ani słowa.

Cofnęła się.

– Nie próbuj mnie zatrzymać, nie próbuj mnie przekonać. Nie wyjdę za Stalową Kuchnię. Całe życie na mnie czeka.

– Sweet, ja tylko chciałem...

– Cicho.

– Chciałem tylko...

– Cicho. Bądź.

– Życzyć ci powodzenia.

Było to coś tak nieprawdopodobnego z jego ust, że dopiero w połowie drogi do drzwi do niej dotarło. Odwróciła się.

– Co takiego?

– Powodzenia.

– Powinieneś mnie zatrzymać. Gadać, jak to wszystkich urazi, jaka to skaza na honorze rodziny, hańba dla wszystkich, że będą musieli przez trzy lata chodzić z nieobcinanymi włosami. A jak to się nie uda, pytać mnie, czy wiem, co robię, czy wiem, dokąd idę, mówić, że tam jest wielki, zły świat, który zaraz mnie skrzywdzi i zaraz wrócę z podwiniętym ogonem, o tak. A jak powiem, że mam to wszystko przemyślane, powinieneś zmięknąć i mówić, że będziesz za mną tęsknić, że zawsze mnie kochałeś, że miałeś ten superplan wykupienia mnie z tego kontraktu, że będziemy mieli własny pociąg i pojedziemy w kłębach pary ku zachodzącemu słońcu, że założymy własne Domostwo, a któregoś dnia nazwą od nas stację, i to mnie zatrzyma na dziesięć, może dwadzieścia sekund, jak się przyłożysz, i ja powiem, no, coś w stylu, że też zawsze cię kochałam, od lat, odkąd byłeś *taki*, a ja byłam *taka* i przez wszystkie te lata nie mieliśmy pojęcia, a teraz jest za późno, bo muszę iść, czeka na mnie życie. I odwracam się na pięcie i to wszystko.

– No, nie.

– Jak to nie?

– Tak to, nie.

– Znaczący... przecież mnie kochałeś i nigdy nikomu o tym nie powiedziałaś, nie?

Westchnął.

- Aaa, wtedy, w tej wodzie?
- Co wtedy?
- Wtedy chciałem...
- Ja też chciałam.
- Ale tak naprawdę cię nie... kochałem.
- A.
- Chciałem cię. Ale to była tylko... chęć.
- Rozumiem.
- Przepraszam.
- No dobra, to idę.

– Tak jest. Idź. Uciekaj stąd. Idź, dokąd chcesz, i nie wracaj. Szkoda cię na ten pociąg, co ciągle gdzieś jedzie i nigdy nigdzie nie dociera. Szkoda cię dla Pana Kuchni z Nierdzewki. Powinnaś mieć maharadżów, hazardystów z rzecznych statków, asasynów z Belladonny i międzyplanetarnych ambasadorów. Barki na kanałach, jedwabne sterowce, złote żaglowce Praesidium i wielkie, niskie samochody z barem na tylnym siedzeniu. Jest tyle rzeczy, których jesteś warta, i jeśli nie pojedziesz, to nigdy ich nie znajdziesz. Więc idź.

Odwróciła się w korytarzu. Powiedziała sobie, że to dlatego, że chce go jeszcze poprosić o ostatnią przysługę, jednak oboje dobrze wiedzieli, że chodzi o ostatnie spojrzenie w oczy.

- Romi.
- Co? Mów.
- Zmylisz ich?
- Myślę, że da się zrobić.

Powiedziała sobie, że nie wolno już się oglądać, ale i tak się obejrzała, bo wiedziała, że to przewrotne. Romereaux zniknął.

Wyczerpawszy wszystkie możliwości, pościg wracał do domu, by z lupą przepatrzyć wszystkie zakamarki i kryjówki. Sweetness prześliznęła się obok opiętych dzinsowych tyłków Sli i Rotherhama wołających do przewodu wentylacyjnego, ale stanęła jak wryta na widok *tante* Marii patrolującej podwozie. Z jednego spojrzenia w jej twarz można było wyczytać karę gorszą niż ślub ze Stalową Kuchnią. Była głową Domostwa. To ona ich wyswatała. Wstyd musiał być dojmujący.

Schowwała się pod iluminatorem, słysząc kroki dudniące na metalowych stopniach. Przycisnęła się do ogrzanego słońcem drewna. Twarz Marii Stuard rozpląszczyła się na szybie, kiedy próbowała sprawdzić wszystkie kąty naraz. Brzęk-brzęk-brzęk. Znowu poszła. Ale

gdzieś tam się czaiła, pomiędzy Sweetness a tym, na co Sweetness zasługiwała.

Głośna fanfara parowych organów prawie zmusiła ją do pisku z zaskoczenia. Ugryź się w język, ugryź się. Organy jeszcze raz wyklekotały ten sam riff.

– Tam biegnie, tam! Patrzcie!

Romereaux.

– Ej, na wschód leci! Ktoś ją zatrzyma, bo ucieknie!

W korytarzu rozległ się tupot buciorów. Z hukiem otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie, te same stopy zbiegły po schodkach.

– Gdzie, gdzie, gdzie?

Parowe organy zatrąbiły na trwogę. Sweetness odważyła się wyrzeć. *Tante* Maria nurkowała pod wagon – ciężki grzech, przed którym ostrzegano każde dziecko pod groźbą surowej kary. Otworzyła gwałtownie drzwi, zbiegła po schodkach i puściła się biegiem. Teraz obejrzyj się. Raz. Oto Romereaux, maleńka sylwetka w siodle wielkich parowych organów, z dłonią w azbestowej rękawicy pokazującą dokładnie w przeciwnym kierunku.

Serpio z łatwością podniósł terenowy motocykl.

– Co cię tyle trzymało?

– A, różne rzeczy.

Sweetness wskoczyła za niego. Silnik dygotał jej między nogami. Przywarła brzuchem i udami do jego roboczego kombinezonu.

– Wygodnie jej? – zapytał.

– Komu?

– Jej. Twojej przyjaciółce. Nie wygląda, jakby jej było wygodnie. W połowie ciągnie się po ziemi.

Sweetness przewróciła oczyma i udała, że podnosi prawą ręką coś ciężkiego.

– Możemy już jechać?

– No pewnie.

Przekręcił rączkę i ruszyli. Tak po prostu. Sweetness huknęła, Serpio dopalił mały alkoholowy silniczek i polecili szybko, pyliście i seksownie w kierunku, w którym nigdy wcześniej nie jechała, bo był prostopadły, a pośród tej prędkości i ekscytacji zupełnie zapomniała zaniepokoić się tym, jak anielskie oko Serpia może wpływać na jego jazdę.

Deszcz był teraz męczący. Sweetness nie cierpiała mieć mokrych włosów, lecz i tak wystawiła głowę spod osłony krzesła. Wydało jej się, że znów to słyszy.

– To nic. – Serpio wyczarował mały ogieniek ze źdźbeł trawy i drewnianych drzazg. Unosiła się z niego blada smużka dymu, gromadzącego się pod żeberkami i dźwigarami siedziska krzesła.

– Jak to grzmot, to to nie jest nic. – Przepatrzyła niebo, które powoli krzepło od zachodu, aż stało się skłębioną warstwą stalowej szarości na szarym tle.

– Z takich chmur nie ma grzmotów. – Serpio próbował ustawić nad ogniskiem mostek z kamieni.

– Obyś miał rację, bo nie wiem, czy zauważyłeś, ale siedzimy pod dwudziestometrowym drewnianym krzesłem, które nie dość, że jest drewniane, to jeszcze najwyższe w promieniu pięćdziesięciu kilometrów i jakby było małe, stoi na czymś, co w tej okolicy robi za największą górę.

– Mam rację.

– Skąd wiesz?

– Widziałem różne pogody.

– Ja też.

„Mam wuja, którego pogoda wspawała do regionalnej sieci sygnalizacyjnej, a jak kogoś z rodziny ci pierdyknie piorun, to od razu masz nosa do piorunów” – chciała powiedzieć, lecz czoło Serpia było zmarszczone, a język sterczał różowo z kącika ust, gdy ustawiał swe kamienie.

– Jestem cała mokra – powiedziała zamiast tego. – Daj mi się przysunąć.

Mokre włosy oślepiły ją na moment. Stopami musnęła kamienny trójnóg, który natychmiast się zawalił. Serpio zręcznie powyberał kamienie z ognia, zanim wydały ostatnie tchnienie. Potem z zęciernością budujących domki z kart zaczął je ustawiać ponownie. Sweetness kucnęła na piętach, nadstawiała dłonie do trzech płomyków ciepła i myślała, jak szybko to wszystko się rozwiąło, jak pogoda.

Przez pierwsze kilka godzin oszałamiała ją sama nowość jazdy pod kątem prostym. Poza torami. Poza liniami. Skręcasz tę kierownicę i jedziesz, dokąd chcesz. Tor cię nie prowadzi. Sama sobie wytyczasz tor. Dla kolejowych mapy to kratki, sieci, czarne kółka łączące kolorowe linie. A tu – pełna dwuwymiarowość, aż wow! Płaski, prawie bezdrzewny krajobraz to kraj pełnego gazu. Obejrząwszy się – z odgarnięciem z oczu czarnych loków – zachwycała się wznoszącym się z tyłu pyłowym pióropuszem. Część duszy ostrzegała ją, że rozgłasza swój przejazd na sto kilometrów wokoło. Druga część miała to gdzieś. Maruderzy wielkiego stada roślinożernych zwierząt umykali przed pędzącymi motocyklistami, przewracając oczyma ze strachu. Serpio, zachęcony, wycelował maszynę w sam środek ciemnej ściany stada. Rozdzieliło się przed nimi. Terenowy motocykl wyciął pyłowo-beżowy klin w masie krowich ciał, rozdzielając je na dwoje jak amebę.

– Ju-hu!

Sweetness szturchnęła go w plecy. Kiedy zatrzymał motor, wyjęła małe radyjko i przymocowała je na kierownicy. Odtąd przez rozmyte wzgórza Oxusa Mniejszego ku Zachodniemu Deuteronomium jechali z nimi Hamilton Bohannon i Rhythm Aces oraz Cool Cat Jazzy Jee. Gładka twarz ziemi, jak podczas męzonego hormonami dorostania, wypuczała się w górki i wąwozy. Pasma drutu próbowały schwytać włóczykiów w swe sidła. Pyłowe meandry w trawie zmieniały się w ścieżki, a potem w drogi o dwóch koleinach. Mocą niepisanego postanowienia trzymali się od nich z daleka, podobnie jak od pól, które pojawiły się pomiędzy długimi, niskimi ziemnymi wałami, od farm, pastwisk i zagród. Sporadyczne bandy pasterzy, w fartuchach, na wozach, kiwały do nich głowami. Ich długonogie rumaki szarpały się niespokojnie, rozdrażnione wyciem silnika. Ekipy naprawiające płoty, rozwijające drut z paki ogromnych ośmiokołowców unosiły dłonie w przelotnym pozdrowieniu. Milkliwy lud, ci Deuteronomijczycy, oddani swej ziemi, historii i zawiłym obyczajom.

W zalesionym kroczu u zbiegu trzech dolin stało Saint Mariensborough. Pięć ulic, siedem kapliczek, pięć barów, trzy dobre

jadłodajnie jedna przy drugiej, jeden Sklep Wielobranżowy, fabrykator, lekarz/prawnik/weterynarz, dom aukcyjny i składane kino. Zatrzymali się tam po paliwo. Serpio napełniał zbiornik w destylarni, a Sweetness rozparła się w pozie, którą miała za kokietyrzną i groźną. Postukiwała nogą do rytmu radia – *Tuxedo Junction* – i przyglądała się innym tankującym klientom. Wiejski autobus, zeszlifowany pyłem i poobijany, pełen rozwrzeszczanych szkolnych dzieciaków. Wielki ośmiokołowiec, jak dom, cały wymalowany w motywacyjne wersy z *Kanteklionu* z *Guthru Gram*. Pociąg drogowy bezwstydnie noszący logo Narodowej Służby Inseminacyjnej, jajo z plemnikiem. Dwie niskie platformy, zaparkowane podejrzanie blisko siebie. Ciągnęli alkohol, a dwóch typów przenosiło z jednej na drugą kartony oznaczone symbolem „Ostrożnie, szkło”.

Założę się, że nie macie pojęcia, kim jesteśmy, co robimy, dokąd jedziemy, drażniła się z nimi w myślach.

Przykry głos szepnął: „A ty masz?”.

– Masz jakąś kasę?

Inne przykre przypomnienie, gdy grzebała w torbie w poszukiwaniu banknotów. W St. Mariensborough zaczęło się psuć. Po St. Mariensborough się zmieniło. Zerodowane wzgórza, pozostałości kontynentalnego potopu dwa tysiąclecia przed kometarnym deszczem w pierwszych dziesięcioleciach humanformacji, zaczęły się zbiegać, tworząc grzbiety i skarpy, jak palce schodzące się w dłoń. Długimi dolinami biegły drogi, szukające dostępu do płaskowyżów na górze. Nad tymi wyżynami zbierało się na gwałtowny deszcz – szare chmury napływające z zachodu spiętrzały się we front i układały w ogromną zmarszczkę. Wzmógł się wiatr. Horyzont zniknął wśród niewyraźnego zmierzchu. Godzinę za końcem ostatniej odgraniczonej metalem drogi minęli ostatnią farmę. Surową i deuteronomiczną – wieża z heblowanego drewna, małe okienka, goła i rzucająca wyzwanie wielkiej płaszczyźnie. Pompa wiatrowa łopotała skrzydełkami w porywach wiatru, mechanizm wysprzęglił się, przewidując huragan. Na desce zwiwały ukrzyżowane kruki, szponami w górę, dziobami w dół. Zapchlone pióra falowały. Uwaga. Tu mieszkają surowi ludzie.

Godzinę po ostatniej farmie pierwsza kropla trafiła Sweetness między oczy i spłynęła po nosie. Druga przyszła niedługo później. Gdzieś pomiędzy trzecim i czwartym tysiącem uznała, że Nie Podoba Jej Się. Nie była to jeszcze faza Chcę Do Domu, jeszcze nie – ale szło w tym kierunku. Deszcz chłostał maleńki, powoli pełznący pojazd, naruszenie

pierwotnej czystości krajobrazu i pogody. Serpio kierował przez strugi deszczu ku ciemnemu sercu burzy.

– Dokąd my jedziemy?! – wrzasnęła Sweetness.

Wiatr za każdym razem porywał jej słowa. Wszechobecna szarość – ziemi, powietrza i wody – znosiła wszelkie pojęcie czasu, lecz jej wrodzony zmysł rozkładu jazdy Maszynistki podpowiadał, że zbliża się noc. Na potwierdzenie horyzont na moment się rozjarzył – szczelina w burzy przepuściła słońce, na które już wpelzał brzeg świata. W tej pomarańczowej chwili mignął jej drugi intruz-towarzysz wśród pustkowiec. Sylwetka – coś tak prostego i absolutnego, że nie do pomylenia, choćby nie wiadomo jak było bez sensu. Krzesło. Tak, krzesło. Jak się domyślała, wielkie krzesło. Wielkie, samotne i niepilnowane na szczycie skalnego grzbietu.

Klepnęła Serpia w ramię. Kiwnął głową – już widział i zauważył. Skręcił kierownicę w stronę wielkiego krzesła.

Bardzo wielkiego krzesła. I bardzo dalekiego. Sweetness chwyciła się Serpia i przycisnęła twarz do jego pleców, podczas gdy reflektor wymacał krzesło w ciemności. Starła się nie myśleć o tym, że skończy im się paliwo, czy o tym, jak wspaniale usypia ją ten siekący deszcz, jak miętka wydaje się teraz ostra jak drut trawa. Na wpół zahipnotyzowana podskakującą świetlną plamą reflektora, na wpół ogłupiała z zimna, ku wielkiemu zdumieniu stwierdziła, że deszcz już na nią nie pada. Gdy Serpio odrobiną paliwa usiłował nakłonić mokre drewno, by się paliło, Sweetness próbowała ogarnąć umysłem to, co dawało im schronienie. Bardzo, bardzo wielkie krzesło. Nogi miały chyba ze dwadzieścia metrów. Na siedzisku mogłyby grać w piłkę ręczną ze trzy domy dziecka. Rzeźbione zwieńczenie oparcia ocierało się o toczące się nisko chmury. Pomyślała, że to dziwne, że w ogóle jej nie dziwi chronienie się pod krzesłem, na którym mógłby spoczywać Panarcha, na pustkowiec Zachodniego Deuteronomium.

Serpio w końcu porzucił próby zbudowania rusztu i użył kamieni do obłożenia ogniska. Sweetness zjadła podwędłe kanapki z kaczką, wygrzebując z nich ogórki kiszzone, których nie lubiła, i pstrykając nimi w ciemność. Spojrzała w ogień i poprosiła żarzące się węgle, by pomogły jej uwierzyć, gdzie jest i co robiła. Jednakże płatki drzewnego popiołu nie skrywały żadnej wyroczni. Bez słowa rozwinęła śpiwór naprzeciwko Serpia, po drugiej stronie ogniska, i wsunęła się do środka w jeszcze wilgotnym ubraniu.

– Zostań po tamtej stronie.

Został. I był tam jeszcze rano, gdy Sweetness zbudziła się gwałtownie i stwierdziła, że rzeczywiście jest tu, dokładnie, jak się obawiała. Burza w nocy wywędrowała na wschód. Za nią przyszedł jaskrawobłękitny poranek. Indygowa krawędź świata zaiskrzyła się od światła pozycyjnych statków podróżujących poza świat. Wielkie krzesło było jak cudowny tron, zaproszenie, by się usiąść i kontemplować chwilę, jak bogowie. Z wysokości, na której stało, widać było złote światło spływające w rozpadliny i płytkie dolinki, wypełniające ziemię tak, że odcinało się wyraźnie każde źdźbło trawy. W taki ranek nawet podeschnięte kanapki z kaczką smakowały jak uczta. Sweetness obudziła się zmarznięta, zeszywniała i obolała, ale poczłapała do ogniska, próbując tchnąć życie w wygasłe popioły – i wtedy poranek przedostał się do jej duszy i ją rozświecił. Rozejrzała się po ziemi – teraz już jej ziemi – i z przyjemnością zaczęła się zastanawiać, dokąd dziś ją zanieśie.

W pół godziny byli spakowani i wsiedli na motor. Drobnie stworzonka w trawie – tu skok, tam szelest – uciekały im spod kół. Za sobą zostawiali trzy ładne, równoległe ślady opon. Jak to kolejowi. Nigdy nie oddała się od torów. W pół godziny krajobraz zrobił się wyżynny i suchszy. Suche krzewy, szalwiowate zielsko, czerwony piasek pomiędzy korzeniami ciepłych traw. Przy źródle Sweetness stanęła na tylnym siodełku, żeby przepatrzyć horyzont. Powietrze falujące od upału. Jechali suchym skrajem wielkiej północno-wschodniej pustyni. Pomiędzy nią a tą rozfalowaną mgiełką majaczyło coś dużego i nieznanego. Z tej odległości nie była w stanie stwierdzić, co to takiego. Tylko to, że jest wielkie. Nie krzesło, ale wielkie. Gdy zbliżali się do niego po suchej, twardej ziemi, zachowywał tożsamość dla siebie – najpierw był czymś, potem czymś innym, potem czymś w ogóle nierozpoznawalnym. Dopiero kiedy wyjechali na górę z koryta sezonowego strumienia, pełnego bujnych kwiatów po chwilowym deszczu, zobaczyli go dokładnie przed sobą i wtedy Sweetness poznała, co to takiego. Gigantyczny but. Trep Pana Boga.

Był wielkości wagonu kolejowego, trochę zapadnięty i nadgniły od różnych pór deszczowych, a po brzegach ponadgryzany przez żarłoczne pustynne zwierzęta. Siedli na jego szwie i zjedli skromny lunch. Nie rozmawiali. Nie było potrzeby. Podróż szybko doprowadziła ich w tę fazę relacji, w której czujesz się dobrze, milcząc. Potem Sweetness z ciekawości weszła na but – zauważyła, że był lewy – i czepiając się sznurowadeł grubości mostowych lin, wspięła się na szczyt cholewki. Zajrzała do środka. Wysokie słońce oświetlało kupki ptasich kostek.

Poczuła się nieco rozczarowana, choć nie potrafiła powiedzieć, czego się tam spodziewała, co by ją usatysfakcjonowało.

Po południu przejechali motocyklem w pewnej odległości od kolejnego prometejskiego sprzętu domowego – deski do prasowania, na której można by zaprasowywać na kant całe stratocumulusy. Jak płaskowyż na cienkich nóżkach, zajmowała zachodni horyzont przez wiele dziesiątków kilometrów. Koniec ogromnego cienia znaczył początek prawdziwej pustyni.

– Tam?

Sweetness znów stanęła na siodelku, żeby spojrzeć w dal. Serpio napełnił manierki z małego zapiaszczonego strumyczka, który meandrował pomiędzy smołocierniami i karłowatymi *casanthusami*, a potem tracił energię i pozwalał się wypić czerwonemu piaskowi. W powietrzu unosił się silny zapach wody z głębokich skał.

– No.

– Po co?

Lewą ręką powstrzymała go przed zakręceniem manierek. Prawą wrzuciła do nich dwie tabletki uzdatniające.

– Kwestionujesz, czy dobrze jadę?

– Tak.

– Czemu?

– Bo przez ostatnie dwa dni gapię ci się w plecy i wierzę, że masz pojęcie, dokąd jedziesz, ale teraz naprawdę, naprawdę muszę być tego pewna. Po prostu muszę. Tyle.

– Jedziemy właśnie tam.

– No dobra. A po co?

– Tam jest ktoś, z kim chcę się spotkać.

– Tam?

– Niektórzy mieszkają na pustyni.

– Niektórzy giną na pustyni.

– Harx tam właśnie mieszka.

– Co za Harx?

Serpio wskakiwał z powrotem na siodelko. Kopnął rozrusznik. Stary motor odchrząknął zapyłonymi i suchymi rurami.

– Jedziesz, no?

Poganiaasz mnie, myślała Sweetness, potrząsając manierkami. Nie chcesz, żebym się dopytywała. Wieziesz mnie do kogoś/czegoś, ale nie chcesz o tym kimś/czymś rozmawiać. Wszędzie indziej to *byłoby* tyle z tobą i twoim terenowym motorkiem. Ale kiedy ostatnią napotkaną inną

osobą jest ponury deuteronomiczny Perypatetyk, który dyskretnie was odgania, bo złożył Śluby Odosobnienia, to czym prędzej wskakujesz na siodełko.

– Aaa, ten Harx.

– Który?

– No, już wcześniej o nim wspominałeś.

Nie odpowiedział, ale mięśnie pod szywą od potu roboczą bluzą pod palcami Sweetness powiedziały: „Tak? Co? Kurna, nic nie utrzyma się w tajemnicy”.

– Wtedy, kiedy ci to zrobili. No wiesz, z tym... mięsem.

Półkilometrowa pauza. Przepraszam, przepraszam, przepraszam, myślała Sweetness. To było straszne i nie powinnam ci przypominać, ale muszę wiedzieć.

– A, tak.

– Wtedy wymieniłeś to imię. To kim on jest?

– Jest święty.

– No tak, to wszystko tłumaczy.

– Co tłumaczy?

– Ludzie żyjący na pustyni są albo zwariowani, źli, smutni, albo święci.

Przez następne dwadzieścia kilometrów nic nie powiedział, a w każdym razie tak się wydawało Sweetness, na odrętwiałym pograniczu depriwacji sensorycznej pomiędzy upalnym rozfalowaniem a nieświeżym męskim zapachem koszuli Serpia. Kiedy w końcu się odezwał, zrobił to głosem tak łagodnym i niepodobnym do niego, jakby przemówił sam piasek.

– Nie jest zwariowany, zły, smutny, ale jest święty.

Sweetness musiała bardzo wysilić wolę, by oderwać duszę od horyzontu, ku któremu pociągnęła ją płaska czerwona ziemia, rozciągając ją w cienką, dookólną linię.

– Y?

– Jest dla mnie dobry. Pomaga mi. Szanuje mnie. Mam coś, czego potrzebuje, jestem mu potrzebny. Inni... inni przekonają się, kiedy przyjdzie. Podniosą wzrok i rozdziawią usta jak ryby w wiadrze i wtedy zobaczą.

– Tego trochę nie rozumiem...

– Słyszałaś o Kościele Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny?

– Nie za bardzo.

– To usłyszysz. Wszyscy usłyszą...

– Możesz trochę mniej gadać o tym, jak to wszyscy wszystko zobaczą, a zacząć po prostu od początku?

Przerwa, w której płochliwa jaszczurka stanęła na tylnych łapkach i pobiegła w podskokach przez parzący piasek.

– Słuchasz czasem radia w nocy?

– Pewnie. Wszyscy to robią. – W pociągach to był sposób, by przypomnieć sobie, że jesteś młoda, ładna, że jesteś dzieciakiem jak setki milionów innych w nieruchomym świecie. Głosy w ciemności pokoju, blisko ciebie w łóżku, dziesięć różnych języków w twoim uchu w każdą noc.

– A religijnych stacji?

Palce Sweetness wiele razy przekręcały gałkę przez tysiące krzyżujących, błagających, pouczających, przymilających się, jęczących, zachęcających, namawiających, karcących, grzmiących głosów spiętrzonych jeden na drugim w dolnym paśmie fal średnich. W tym świecie religie pleniły się jak pchły na psie i wszystkie było stać na czas antenowy.

– Ja raczej muzyki.

I à propos tego nagle uświadomiła sobie, że od nieokreślonego, ale długiego czasu z radia na kierownicy płynie tylko szum. Jasna cholera. Miejsce, gdzie nie ma radia. Na drugim brzegu fal radiowych.

– Dobra. W każdym razie tam mnie znalazł, na Bożym Paśmie.

– Znaczący ty go znalazłeś. – Losowe pokręcenie gałkami.

– Nie. On mnie znalazł. Mówił bezpośrednio do mnie.

– A. Pewnie.

– Nie. Naprawdę. Zwrócił się do mnie, po imieniu. Powiedział: „A teraz mówię do Serpia Six Tuesday-Duodecember-Twelfth-Raining Sebendary Toromistrza”.

– No nie. Ktoś cię wkręcił. Ktoś z tych... tamtych, tam.

– Nie. Posłuchaj, możesz? Zobaczył mnie, tak samo jak ja widzę tę twoją przyjaciółkę.

– Czyli miał to... oko duszy? Anielskie oko? Jak ty to, kurna, właściwie nazywasz?

– Wzrok.

– Ten „wzrok”, on ma jakieś granice jak normalny wzrok, jak perspektywa, czy nie przejmuję się takimi rzeczami?

– Ma, ale można go wyćwiczyć, a poza tym u niektórych jest bardziej rozwinięty niż u innych.

– U wyższych istot duchowych, no jasne.

– Posłuchaj, jak masz być taka cyniczna...

– Przepraszam. Jestem Maszynistką.

Minęli kupkę kości i Sweetness mocno się zastanowiła nad wartością cynizmu na wielkich pustyniach.

– Mów dalej.

– Zobaczył mnie, dowiedział się, że mam wzrok, i powiedział mi, że Wiecznie Krążąca Rodzina potrzebuje mojego wzroku, by był w bitwie u jej boku.

– Wzroku u jej boku.

– Możesz sobie mówić, co chcesz, ale to jest bitwa. Cały ten świat to jedna wielka bitwa i tak było, zanim go wymyślono.

Pauza prosiła o pytanie:

– A kto się bije?

– Ludzie i anioły.

– Rozumiem.

– Nie, nie rozumiesz. Uwierz mi. Myślisz, że ten świat jest stworzony dla nas? Jesteśmy tylko żywymi tarczami. Nie można na razie zlikwidować aniołów, bo to dzięki nim systemy humanformacji dalej działają. Na przykład pole magnetyczne. Ten świat normalnie go nie miał, więc na orbicie siedzą te wielkie nadprzewodzące magnesy. A o vanach słyszałaś?

Sweetness zawsze uważała, że orbitalne lustra są zbyt pospolite, żeby być aniołami, dopóki pewnej nocy w Inatrze reflektor z nieba nie oświetlił jej drogi do domu.

– Dzięki nim działa pogoda. Ten świat nie jest jak Świat Ojczysty, nie ma tego sprzężenia zwrotnego, dzięki któremu zawsze sprzyja życiu. Przynajmniej na razie. Klimat tutaj jest prosty, znaczy nie jest złożony. Pewnie nie wiesz, co to znaczy, ale po prostu: gdyby go zostawić w spokoju, zapętlilby się i ciągle byłaby taka sama pogoda. A vany podgrzewają atmosferę i dają jej takie nisze losowości, żeby klimat się nie zapętlął. To dopiero dwie rzeczy. A są ich tysiące, ale chodzi o to, że utrzymują ten świat przy życiu. I one dobrze o tym wiedzą. Im to wszystko nie jest potrzebne, równie dobrze by im było na świecie ze skał i lodu, jak wcześniej, ale nie byłyby bezpieczne. Bezpieczne są dzięki nam i dlatego pozwalają nam tu przychodzić.

– Zaraz-zaraz-zaraz. Kto to są te „one”?

– Anioły. Oczywiście. Chociaż Harx mówi, żeby ich tak nie nazywać: to są maszyny, a maszyny mają dusze, ale nie mają ducha. Nie mogą pochodzić od Boga, rozumiesz?

– Zara-zara-zara-zaraz. Gdyby anioły były maszynami...
– Nie „gdyby”.
– No dobra. – Nie ma się o co kłócić; wszyscy rozumowo wiedzieli, że to, co nazywa się aniołami, to są głównie maszyny pozostałe po humanformacji, ale idea trwała, bo przez większość czasu one mieszkały w niebie, tworząc widzialny pierścień wokół świata, i wykonywały nieodgadnione misje w imieniu niewidzialnych mocy dbających o ludzki dobrostan. – I nie są duchami, więc co wy właściwie z tym Harxem widzicie tym swoim wzrokiem?

Westchnął, jak wzdychają mężczyźni, gdy ich myśli są zbyt wielkie dla małych kobiet. Czy chodziło o sport, o seks, o parę czy stal, Sweetness to nieodmiennie pobudzało.

– Jest na ten temat teoria.

– Dawaj.

– Ile kojarzysz z teorii strun?

– Wszechświat to wielka brązowa paczka powiązana struną.

– To o wiele bardziej skomplikowane.

– No wiem. W Powietrznej Szkole była masa tych pierdół. Cała materia, energia, przestrzeń, czas, to wszystko są różne harmoniczne jedenastu strun wymiarowych, z których większość jest zwinięta ciaśniej niż stała Plancka, więc zostają nam tylko te cztery, w których żyjemy, zamiast całej kupy, z którymi nie wiedzielibyśmy, co zrobić.

Od próby zwizualizowania sobie dodatkowych siedmiu wymiarów, z czego w każdym zawierały się wszystkie kolejne, zawsze gotował jej się mózg. Potem jeden z mądrzejszych Stabilnych Nauczycieli, z tych, co mieli seminaRIA w rzeczywistym świecie, wyjawiał jej tajemnicę, że wszyscy tak mają. I że od porządku wszechświata mózg się powinien gotować.

– Imię mam od tego – dodała.

– Co?

– Octave. Oktawa. Interwał harmoniczny. Struny, muzyka i tak dalej.

– A co wiesz o strunowych obliczeniach?

Sweetness puściła bluzę Serpia i poszukała innych uchwytów na ręce pod wieszakami na sakwy. Upewniła się, że zauważył, że odsunęła się od niego.

– Pewnie od razu zrobisz mi wykład, co?

Po paru naburmuszonych chwilach powiedział:

– Wszystkie maszyny ROTECH-u używają architektury obliczeniowej *vinculum*⁶.

– Przeliteruj mi to słowo.

Zrobił to i kontynuował:

– Obliczenia robią się nie na dwóch stanach, jak w starych maszynach kwantowych, które mamy w pociągach, ale na jedenastu nieskolapsowanych stanach. Znaczą...

– Dwie niemożliwe rzeczy jednocześnie. Albo w tym przypadku jedenaście.

– No. Ale tak naprawdę pod spodem jest coś innego. Używa się samej struktury wszechświata jako komputera. Czyli w pewnym sensie...

– Cały wszechświat jest komputerem. – „Albo Bogiem”, miała już dodać, ale nie była pewna, co mówi drobny druk w teologii Serpia. Jeśli ona przewiduje *hidżry* na ślepo w Wielką Czerwoną Pustynię, to w szczegółach może siedzieć naprawdę wredny diabeł.

– Nie.

– No to nie.

– Cały wszechświat może potencjalnie być w dowolnej liczbie nieskolapsowanych stanów.

– A, teoria „wieloświata”, tak?

– Tak, ale to tak naprawdę działa na co dzień. Przez większość czasu te obliczenia są bardzo drobne i nie wystają poza te zwinięte strunowe wymiary.

– Jak takie małe supły na nitce, co czasem się robią przy szyciu, ale nie przeszkadzają igle przechodzić przez tkaninę.

– No, mniej więcej. Ale czasami, jak musisz zrobić wielką ilość obliczeń, na przykład od czegoś skomplikowanego, modelu oceanu albo ekosystemu, dostajesz coś, co się nazywa koherencją. Kiedy cała masa potencjałów splątuje się razem i kolapsuje do tego samego stanu. Wtedy całe kawałki wszechświata przeskakują z jednego świata do drugiego. Jak w czarach.

– Czyli supły na tyle duże, że ciągną za tkaninę i nadają jej inny kształt.

– Bardziej jakby uszyć z wielkiej płachty tkaniny kurtkę, koszulę albo kamizelkę ślubną. Ten orf...

Sweetness miała świeżo w pamięci idealną granicę kolistej zwariowanej strefy. Myślała wtedy, że to jak przejście z jednego świata do innego. Tak i nie. To był inny sposób istnienia tego samego świata. A to drugie miejsce, gdzie zabrał ją wujek Neon? Czy to ona przechodziła do innego świata, czy ten inny świat powstawał wokół niej, a kiedy wychodziła, rozwalano te dekoracje?

– Trochę jakby małe strunowe maszynki wszystkie postanowiły zwariować i stwierdziły, że rzeczywistość jest inna.

– I włączyły tym samym alternatywną rzeczywistość.

Teraz nowy obraz – niebiańska machina wielkości chmury miotająca zagładę na uszkodzonego budowniczego i przywracająca światu normalność. Ale kto decyduje, co jest normalne. Kto wykuwa ten konsensus? Normalność mówi, że dziewczyny nie prowadzą pociągów. Konsensus mówi, że jedyne córki szacownych Domostw Maszynistów wychodzą za Stuardów, co mają kuchnie z nierdzewki i świetlane perspektywy.

– Teraz mamy rzeczywistość konsensusową, więc wszystkie odstępstwa są naprawiane bardzo szybko, ale w pierwszych dniach humanformacji cały czas używali tej techniki, żeby wszystko przyśpieszyć. Puszczali liczenie modelu alternatywnego świata, w którym na przykład atmosfera działała lepiej, albo były bakterie, albo gleba, albo nawet rośliny i kiedy ten model był wystarczająco złożony, stawał się rzeczywistością. Inaczej to by zajęło tysiące lat i wszyscy byśmy tu siedzieli dupą na łodzi, o ile w ogóle mielibyśmy czym oddychać.

Umysł Sweetness borykał się z tym samym bolesnym wygibasem, który pamiętała z czasów pastora Jhingha i jego jedenastowymiarowych wizualizacji. Jeśli te maszyny umieją tak myśleć, widzą te rozwijające się jeden z drugiego wymiary, to może i powinno się je nazywać aniołami.

– To co to jest, co ty właściwie widzisz?

– Większość ludzi tego nie wie, ale my bez problemu widzimy na kwantowym poziomie. Moglibyśmy to tutaj sprawdzić. W nocy jest ładnie i pogodnie. Odjechałbym na jakieś dwadzieścia kilometrów i zapalił zapałkę. Zobaczyłabyś ją. Do twojego oka trafiłby pojedynczy foton, a jeden foton to widzenie na kwantowym poziomie.

Proszę, niech ci nie przyjdzie do głowy, że trzeba to zademonstrować, pomyślała Sweetness.

– Dużo o tym wiesz.

– Dobrze jest dowiedzieć się o rzeczach, które nas różnią.

– Czyli ty widzisz nie na poziomie kwantowym, a na poziomie *vinculum*? – zapytała Sweetness.

– Mam to od urodzenia. Dlatego widzę to, co wy, ludzie, nazywacie aniołami, bo widzę, jak myślą. Te maleńkie, maleńkie obliczenia na poziomie *vinculum*. Widzę po prostu, jak im świecą umysły.

– I ten Harx tak samo.

– Żeby widzieć na poziomie *vinculum*, potrzeba procesów na poziomie *vinculum*. On je widzi, więc widzi mnie. Ale widzi też dalej. Może spojrzeć w każde miejsce wszechświata, bo wszystko jest ze sobą splątane.

– No dobra – powiedziała ostrożnie Sweetness. – Rozumiem. Chyba. Ale powiedz mi, jak to jest, że ty widzisz Małą Śliczną? To jedno ci powiem: ona nie jest maszyną. Jest moją siostrą, mieszka w lustrach i daje mi dobre rady, przeważnie, jeśli w ogóle zechce jej się odezwać.

– I siedzi tuż za tobą, patrzy ci przez ramię i uśmiecha się do mnie.

– Wiesz co, jedno ci powiem – rzuciła, delektując się nagłą falą uczuć.

– Naprawdę nie cierpię, jak o niej tak mówisz.

– Przepraszam.

– Ze mną ona rozmawia. A ty tylko ją widzisz.

Przez kilka kilometrów skalistej czerwonej pustyni nie padło ani słowo.

– Ona nie jest maszyną – przypomniała mu.

– Wiem.

Minutę czy dwie później Sweetness wbiła Serpiewi w bark swój ostry podbródek i powiedziała mu do ucha:

– No to jak ona się wpisuje w tę twoją wielką teorię?

– Nie wiem – odparł Serpio. – Właśnie chcę Harxa zapytać.

– Czyli jedziemy do niego.

– Tak.

– Do tego młodego guru-kaznodziei.

– Tak jest, do Burzyciela Harxa.

– Aha – powiedziała Sweetness, na tylnym siedelku kradzionego motocykla, z co najmniej stu pięćdziesięcioma kilometrami pustyni w każdym kierunku. – Aha. No to teraz rozumiem. Więc ja sobie uciekłam z domu, od rodziny, od ślubu, i przyjechałam tutaj, na totalne zadupie, mając tyle, co na grzbiecie, a ciebie cały czas obchodziło tylko coś, czego ja nawet nie widzę, co wisi mi na żebrach. Mogę ci zadać jedno pytanie?

– Jeśli musisz.

– Ja się tobie w ogóle podobałam?

Serpio zatrzymał motocykl. Staął jak wryty w miejscu. Pośrodku zadupia.

O matko-z-córką, pomyślała Sweetness. Powiedziałam to, tak? Czemu, czemu, czemu ja zawsze muszę pójść o to jedno pytanie za daleko?

Serpio zsiadł z motocykla. Rozruszał obolałe od siedelka kończyny i poszedł. Sweetness, uczipiona konstrukcji, patrzyła na niego.

– Serpio!

Bez odpowiedzi.

– Gdzie idziesz?

Bez odpowiedzi.

– Co robisz?

Odwrócony do niej plecami patrzył na ciągnące się w nieskończoność wydmy.

– Przepraszam!

Wydmy to wydmy. Na co tam patrzysz, co widzisz? Nic pewnie, liczy się, że nie mnie.

– Powiedziałam: przepraszam!

Nieporuszony jak ciemnoniebieskie niebo.

– Powiedziałam! – wykrzyzczała na całe gardło. – Przepraszam!

Wrzasnęła tak głośno, że usłyszała ją sama pustynia. Na stromym zboczu wielkiej wydmy piasek osypał się pierścieniowo. Pierwszy ruch wywołał kolejne, łańcuchowe osunięcia, które kaskadowo przerodziły się w mikrolawiny, w strumienie piasku, w delty i rozlewiska, w piaskowe powodzie. Krawędź wydmy załamywała się pod naporem jej głosu, rozpadając się na strugi i ciekły. Poruszała się. Wierciła się i powstawała ze swego łoża.

Usłyszała ją. Wstała, by ją dopaść, pyskatą małą smarkulę, która ośmieliła się naruszyć monumentalną samotność głębi pustyni. Zasypie jej usta, zasypie krtań i płuca wygłuszającym piaskiem.

Nie. Niemożliwe. Wydmy nie chodzą. One pełzają, zajmuje im to całe pory roku. Jeśli wydma się rusza, to znaczy, że rusza się coś pod spodem. Osypujące się kurtyny piasku odsłoniły kusząco błyszczący metal, plastikowe krzywizny, sękaty brzegi. To coś było ogromne. Nie było zakopane pod wydumą – to było wydumą. Leżało tam, spało i obudziło się całe oblepione piaskiem. Z pustyni powstawało coś jak zagubione miasto. Zdmuchnęło z siebie inne pomniejszych wydmy. Zostawiło po sobie okrągły krater średnicy niezłego pociągu z rudą. Wzniosło się jeszcze wyżej. Latające miasto miało kształt wielkiego, płaskiego, odwróconego spodka, pełnego wzburzonych piaskowych wirów. Sweetness dostrzegła przez zasłonę pyłu, spływającego z jego krawędzi jak monsun z parasolki, skomplikowane kształty nakryte pod kopułą, niczym zwoje i wachlarze grzybów, skrywające się pod przyzwoitością swych kapeluszy. Kiedy to coś wzbilo się w zenit i zaćmiło słońce, osłoniła oczy dłonią.

– O Boże! – wykrzyknęła Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII, gdy latająca machina przeleciała jej nad głową.

Poleciała na południe, zawisała nad płaską kamienisto-żwirową połacią, powoli osiadła. Oświetlało ją słońce i było to coś wspaniałego, ze skorupą jak żuk, w opalizującej zieleni i neonowym błękicie, od spodu wypełnioną wypukłymi, przypominającymi owadzie oczy bulwami, manipulatorami i szumiącymi wirnikami. Pazurzaste odnóża rozłożyły się, obmacały teren, uznały go za pewny. Obiekt latający osiadł na nich. Wirniki znieruchomiały. Rozwarły się groźne, błyszczące żuwaczki, które mogłyby pożerać domy całymi dzielnicami; alabastrowy most wysunął się i dotknął ziemi.

Sweetness stała oniemiała.

Serpio już biegł do mostu. Odwrócił się, wyciągnął do niej rękę.

– Ej, na co czekasz?

W dyskrecji swojego centrum dowodzenia, samotnie krocząc po wielkim mosiężnym mostku, Naon Maszynista stwierdził, że jedynym wyjściem z sytuacji jest umrzeć ze wstydu. Były liczne precedensy. Nieważne, że większości z nich dokonali asceci i mnisi, by powstrzymać wojnę, ściągnąć zarazy na miasta lub przywołać monsuny. Nie chodziło o obsikanie ich kół napędowych przez Stuardów.

Jazda, szybko. Wrzasnąć „moc” do rury głosowej, dać pełną parę i otworzyć przepustnice do końca. Aby jak najwięcej podkładów dzieliło cię od tego, co złe. Stara maksyma Maszynistów, przekazywana z ojca na syna, na syna, na syna. Gdy tylko dostał wolną drogę, wycisnął siódme poty z Reaktorowych i zakręcił kołami. Lecz Stuardowie z *Avaty IX* byli na niego gotowi. Dwa szeregi, po dwóch stronach toru. Pluton egzekucyjny. Faceci rozpięci i wyciągnięci. Kobiety z zadartymi spódnicami, wycelowane. Gdy wielka konstrukcja *Katarzyny z Tharsis* zamajaczyła im nad głowami, namaścili koła napędowe swymi strumieniami.

Kamery w poziomie szyn nie przeoczyły ani chwili tej hańby.

– Pełna para! – grzmiał Naon Maszynista na spoconych Reaktorzystów w ich bezokiennej komorze. Policzki mu czerwieniały. Mózg kipiał w czaszce. W uchu środkowym brzmiał wysoki gwizd. Zagłuszał wyobrażone szyderstwa Stuardów. – Para, wy piekielne żółwie, ślimaki, muchy w smole!

Jednakże ciężkie pociągi są powolne. Wydawało się, że wyjechanie spomiędzy dwóch szeregów drwiących kucharzy i kelnerów zajmuje *Katarzynie z Tharsis* całą wieczność.

* * *

Nos wypełnił mu wyimaginowany smród moczu. Nigdy się nie zmyje. Nigdy. Szybciej. Przy dużej prędkości wiatr może chociaż zwieje to gdzieś, gdzie nie będzie musiał tego czuć. Pchnął dźwignię naprzód, do ostatniego ząbka. Wielkie termojądrowe silniki odpowiedziały potężnym wyciem. *Katarzyna z Tharsis* pruła jak upierzona dymem strzała przez równiny Starego Deuteronomium. Przeleciała przez Mendocello Bank takim pędem, że najbardziej oficjalne kielichy Marii Stuard zeskoczyły z półek. Spłoszeni młodzi *sommelierowie* zderzyli się ze sobą, gdy uciekały przed ich chwytnymi palcami. A Maria Stuard, kipiąc słusznym gniewem, którym pokonała badmaśów Starke'a, parła naprzód.

* * *

– Zamknął się u siebie – powiedziała Child'a'grace.

Maria Stuard nie miała szacunku dla sanktuariów. Załomotała w drzwi pięściami.

– Co ty robisz, człowieku, co ty sobie myślisz?

Zatrąbiła podwójna syrena.

– Masz mnie wpuścić!

Zachwiała się, gdy pociąg przy dwustu pięćdziesięciu przeleciał przez zwrotnicę.

– Jestem cholernym pośmiewiskiem, Maszynisto! Pośmiewiskiem! A z Marii Stuard nikt nie ma prawa się śmiać. Pamiętaj, kto wykopał z pociągu Selwyna Starke'a i jego dakoitów!

– Nie da się z nim pogadać – odezwała się łagodnie Child'a'grace.

Maria Stuard stała, łypiąc groźnie na drzwi, jakby była w stanie żarem wytopić w nich dziurę. Pozostały jednak uparcie niestopione i nieotwarte. Tym razem pokonana, sapnęła wściekła i odwróciła się na pięcie.

– Jeszcze ze mną pogada – obwieściła.

Child'a'grace westchnęła. Sama przez cztery lata się nie doczekała.

Naonowi Maszyniście para skończyła się w końcu na zjeździe pod wieżę wodną Muchanga. Ręka z przepustnicy. *Katarzyna z Tharsis*, jak widmo, z ociężałym zgrzytaniem zatrzymała się pod błogosławiącymi palcami pompy wodnej. Teraz decyzję już miał ustaloną w umyśle i mógł stawić czoło radzie swych towarzyszy.

– Jestem zrujnowany – obwieścił zebranej radzie Domostw. Miał masę czasu na przećwiczenie tonu zboląłego upokorzenia i stwierdzał, że udał mu się on całkiem dobrze. – Pieniądze przepadły. Niech tak będzie. Trzeba zapłacić tę cenę, choć trzy tysiące dolarów i obciążenie naszych kontraktów to ciężkie brzemie. Ale jeszcze cięższy, ciężki nie do zniesienia, jest wstyd. Tej hańby nie jestem w stanie znieść. Nie zniosę, mówię wam! – Wszyscy wpatrzeni w niego. – Mam tylko jeden wybór. Plamę, która zbrukała wielkie nazwisko Maszynistów, da się zmyć tylko krwią! Tak, krwią! – Zerknął kątem oka, sprawdził, czy robi to wrażenie na Marii Stuard. Trudno poznać po tej zawziętej małej babce. No i bardzo dobrze. Rozprostował się na pełną wysokość, która nie była imponująca. – Przystudiowałem rodowe archiwa i znalazłem sposób, jak można się wykupić od hańby. Hańba za hańbę, życie za życie. Niniejszym oświadczam wam, że za hańbę, którą okryło nasze imię to dziecko, za moje koła napędowe rdzewiejące od moczu, umrę ze wstydu! To potworny koszt, ale z radością go poniosę. Wymaga tego trzynaście pokoleń rodu Asiim! – Uniósł rękę w retorycznym geście, który podpatrzył kiedyś na spektaklu obwoźnego namiotowego teatru *Melodramat o dwunastu sprawiedliwych traperach*. Była to niesamowita chałtura, ale kolejowi nigdy nie uchodzili za wybitnych krytyków. Wytrzymał tę pozę, rozchylił nozdrza.

Ktoś pierdnął. Cicho, beklowie i bulgotliwie. Zanim ktokolwiek zdążył zachichotać, Naon Maszynista okręcił się na pięcie.

– Kto to był? – Wygiął palec w oskarżycielski szpon. – Kto wydał ten... odgłos? Czyja to trzewna trąba zabrzmiała?

– Mężu – odezwała się Child'a'grace.

– Poważnie mówię – odparł, w samą porę przypominając sobie, że do żony ma migać. – Zamierzam...

– Naon...

– Sli będzie moim następcą. To on odziedziczy dźwignię rozrusznika.

Widział jednak, że już nadchodzi klęska. Jego duma zjeżdżała ku śmiertelnej przepaści. Niech ich szlag. Niech szlag trafi tę wiecznie rozsądną żonę, tę córkę-latawicę bez bielizny, tego nicponia o luźnym zwieraczu, pewnie Bassariniego, jak podejrzewał.

– Naon, dość – powiedziała łagodnie Child'a'grace i tym już doszczętnie go pokonała.

– Po prostu wyprowadź nas z tego bez uszczerbku na honorze.

Maria Stuard westchnęła. Babcia Taal na drugim końcu stołu rozpostarła swe spódnice i szale jak konkursowy kogut na wiejskim targu.

– O kimś tu wszyscy zapomnieliśmy – powiedziała. Głos miała cichy i łagodny, jak pustynny ptaszek, ale powietrze robiło miejsce na każde jej słowo. – Wszyscy tu świata nie widzimy przez ten wstyd, hańbę, te plamy na naszych kołach, na naszym imieniu, nawet na naszych pieniądzech... – Wstała, otworzyła swą czarną, nieskończenie pojemną torbę staruszki. Cisnęła wzdłuż stołu coś zielonego. Zatrzymało się dokładnie przed Naonem Maszynistą. Rulon banknotów Banku Tharsis. – Jesteś zadowolony, synu?

Naon Maszynista z wredną miną przeliczył pieniądze.

– Chyba jest tyle, co trzeba.

Babcia Taal dalej stała.

– Tak, wszyscy świata nie widzimy przez tę hańbę i wstyd, ale ja mówię: wstyd to rodzina, która dobrowolnie porzuca córkę, żeby ocalić swoje imię. Mówię: wstyd to rodzina, której bardziej zależy na awansie społecznym niż na dobrostanie dziecka. Mówię: hańba to dziewięciolatka, która teraz pewnie stoi przy torach gdzieś tam w Deuteronomium i wypatruje pociągu, który na nią nie poczeka, bo jego Główny Maszynista, jej rodzony ojciec, dba o własne imię tak bardzo, że nawet na nią nie spojrzy. A co dopiero mówić o naruszeniu rozkładu, żeby zobaczyć, czy wróci. To jest wstyd. To jest hańba. Przez takie rzeczy nazwisko Domostwa przestaje być szanowane na torach. Jeśli już masz od czegoś umrzeć, to umrzyj z tego wstydu, Naonie Maszynisto XI!

I w fali czerni, która wydawała się rozchodzić od niej w inne stany i wymiary, babcia Taal wypadła z pokoju narad.

Wcześniej rano Child'a'grace podeszła na paluszkach pod drzwi babci Taal. Tak jak się spodziewała, matrona nie spała. Starzy śpią niewiele, ale sny mają potężne.

– Babciu?

Wchodząc, zauważyła, że babcia pośpiesznie obciąga czarną koszulę nocną. Karmazynowe krople na podłodze. Rozejrzała się za igłami i nitką – leżały na nocnym stoliku obok wypolerowanego na lustro fragmentu blatu.

– Taal.

– I tak nie zadziało.

– Nie dało się dobrze wypolerować?

Obwiodła palcami drewniane lustro wrózebnie, siadając na stołeczku. Babcia Taal pokręciła głową.

– Ktoś mi to mąci.

– Za daleko? Poza zasięgiem?

– To nie ma „zasięgu”. Ktoś maćci linie wróżb.

– A co napisałaś?

Babcia Taal usiadła na brzegu łóżka. Nie sięgała nogami do ziemi. Krew zaschła jak wyschnięta czerwona rzeczka w zagłębieniach jej kostki. Podciągnęła spódnicę. SWEETNESS, mówił napis na chudej łydce.

– On nie jest złym człowiekiem – powiedziała Child’a’grace.

– Ale bardzo się stara – odparła babcia Taal. – I ty go bronisz? Kiedy to się ostatni raz do ciebie odezwał?

– Cztery lata, szesnaście miesięcy, dwadzieścia siedem dni temu.

– I coś takiego przez kaprys kart. To czego się spodziewać wobec córki, która uciekła z zaręczyn?

– Och, masz rację, aż nadto.

– Tak. No to jak myślisz, zrobi to i zawstydzi się na śmierć?

– I tak jest nieźle zawstydzony.

– To dobrze robi na duszę. Zwłaszcza jego duszę. Oj, gdyby jego ojciec... wiesz, co ci powiem, jeśli rzeczywiście umrze ze wstydu, to jeden pożytek z tego – dziewczyna będzie przynajmniej mogła robić to, co zawsze chciała.

Na to nie było rozsądnej odpowiedzi. Child’a’grace ściągnęła usta i powiedziała:

– Żeby tylko wystarczyło jej czystej bielizny. – Spojrzała na kółko wybłyszczanego drewna, poszukała w nim odbicia własnej twarzy. – Ale coś zobaczyłaś?

– Mętne było.

– Ale coś było widać?

– Widziałam lustro. Mętne lustro. Ja, odbitą w wielu, wielu lustrach. Czegoś tam szukała. Bardzo zawzięcie szukała.

– To było naprawdę? Czy to znak?

– A skąd ja mam wiedzieć? – rzuciła ze złością babcia Taal. – Ja jestem tylko domową magiczką. Ale wiem jedno: nie wyglądała na szczęśliwą. Była przerażona.

Child’a’grace odwróciła wzrok, żeby ukryć wzbierające w kącikach oczu nagłe uczucia.

– Chyba muszę...

– Nie. Jesteś tu potrzebna. Ktoś musi utrzymać pociąg w ruchu, a mężczyźni się do niczego nie nadają.

Child’a’grace kiwnęła głową. Wyciągnęła z torby cienkie, prostokątne, opakowane w pergamin zawiniątko. Wręczyła je babci Taal. Staruszka

ostrożnie powąchała żółty, tłusty, gruby papier. Jej oczy rozszerzyły się odrobinę.

- To bardzo dobry towar.
- Czarny less z kantonu Etzvan.

W tym przedwiecznym regionie Deuteronomium, przypomniała sobie babcia Taal, gleba jest tak ciemna i żyzna, że miejscowi dodają jej łyżeczkę do gorącej czekolady, na długowieczność i płodność.

– Dostałam w posagu – powiedziała po prostu Child'a'grace. – Ale nigdy jakoś nie przypadło mi do gustu.

Babcia Taal jeszcze raz powąchała pakiecik.

– No tak, czuję bawełnę i naftalinę z dolnej szuflady – stwierdziła.

– To jest na twoją podróż – dodała pośpiesznie Child'a'grace. – Nie do twojego użytku.

– Tyle rozumiem. – W kącikach oczu babci uniosły się kurze łapki.

– Gdybym miała pieniądze...

– Czarny less z kantonu Etzvan jest lepszy niż pieniądze, zwłaszcza taki rocznik. – Babcia Taal wsunęła schludny mały pakiecik do jednej z licznych kieszeni spódnicy. – Ale skąd wiedziałaś, że się wybieram?

Child'a'grace znów pogładziła palcami drewniane lusterko.

– Też mam swoje domowe czary.

– No tak – odparła babcia Taal. – Wszystkie kobiety to mają.

– Uważaj na siebie – dodała Child'a'grace, dając jej trzykrotnego pożegnalnego całusa – czoło, nadgarstek, nadgarstek. – A masz zdjęcie...?

– Która babcia by nie miała zdjęcia wnuczki?

– No jasne. I... daj nam znać...

– Od razu.

Dziesięć minut później postać odrobinę czarniejsza niż noc w Muchandze powoli zeszła po pasażerskich schodkach na ziemię. Powietrze pachniało szałwią i zimną, schłodzoną wśród skał wodą. Gwiazdy były ostre i groźne jak fala strzał. Pierścień księżycowy wydawał się zawieszony w locie, jak łuk ze szronu. Babcia Taal zaciągnęła się dwa razy rozłożystą nocą. Cofnęła się od torów o trzy kroki. Od dziesięciu lat nie była dalej od *Katarzyny z Tharsis*. I tak krótkiego namysłu warta była ta nowość, nie więcej. Znalazła sobie kryjówkę wśród rozmaitych przytorowych sprzętów. Tak szacowne kobiety zwykle się nie ukrywały. Uciekały przed nią płochliwe nocne stwory. To dobrze. Bo na pewno były i inne, przed którymi ona by uciekała. Wielki pociąg wypił swoją porcję przedwiecznej wody. Ramiona pomp się obróciły. Wzdłuż toru rozległy się

głosy. Z zaworów poleciała para. Wielkie syreny zaśpiewały, raz, dwa razy, trzy. Tłoki szarpnęły się, zakręciły się koła. Objuczona światłem i życiem *Katarzyna z Tharsis* powoli przepłynęła obok niej.

Babcia Taal patrzyła, jak czerwone światła końcowe znikają za zakrętem torów. Wyszła z ukrycia. Przy świetle pierścienia księżycowego zajrzała do swego kieszonkowego *vademecum*. Funkcja sprawdzania rozkładów powiedziała jej, że nocny pociąg z rezerwacją miejsc Triskander–Dolina Marinerów nadjedzie za osiemdziesiąt minut. Czasu aż nadto. Ruszyła. Pierwszy detonator położyła na zwrotnicy głównej linii. Kręgi zaprotestowały, gdy się rozprostowywała. Noc wchodziła jej w szpik kości. Wygrzebała rękawiczki bez palców i je założyła. Zmarznięte ciało nabiera się, gdy ma ciepło w dłonie. Drugi detonator położyła dwadzieścia minut drogi dalej, zgodnie z zegarkiem *vademecum*. Światelka stacji wodnej Muchanga wycofały się w ciemność, jak brudny gwiazdozbiór nisko nad horyzontem. Pomyślała o tych stworzeniach w ciemności, przed którymi się ucieka. Dalej.

Usłyszała za sobą wybuch. Za szybko i za blisko... Pogrzebała w torbie. Klucze, słodycze, drobna kobieca broń, porcje jedzenia, monety, amulety, fiołki z pachnącymi wodami, orzeszki w polewie, wsuwki do włosów i staroświecka biżuteria, ostre krawędzie bardzo wielkich machin. Gdzie to jest? Cholerne zwinięte lejkwato wymiary.

Odpalił drugi detonator. Zobaczyła jego rozbłysk nisko nad ziemią, zasłonięty kołami. Ruszyła teraz bardzo szybko, odliczając: „sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy...”. Tu. Palce ścisnęły rurkę termitowej flary. „Sto trzydzieści pięć, sto trzydzieści sześć...”. Jak tu ciemno, jak cholernie ciemno, nic nie świecą te durne gwiazdy, i jak zimno – jeden oszroniony podkład, albo nierówny tłuczeń, przewróci się i to będzie... „Sto pięćdziesiąt dwa, sto pięćdziesiąt trzy, sto pięćdziesiąt cztery...”. Bum.

Ostatni detonator. Pociąg nadjeżdżał szybko, za szybko. Musiał złapać opóźnienie na Ziemi Małgorzaty i teraz na pustym odcinku w Oxusie starał się je nadrobić.

Odwróciła się, uniosła flarę na długość ramienia, szarpnęła sznurek. Odskoczyła metalowa zakrętka. Termitowa mieszanka kaszlnęła, plunęła iskrami. Flara zapaliła się wątlym płomieniem, omal nie zgasła na wietrze, potem zaskoczyła. Z łuski buchnęło ostrze oślepiająco białego płomienia. Babcia Taal stanęła z mieczem świetlnym naprzeciw nocnego pociągu do Doliny Marinerów. Widziała jego reflektor, wycinający łuk pośród nocy. Koła dudniły, syreny krzyczały niecierpliwie na wszystko, co

mogłoby je zatrzymać. Babcia Taal zdecydowanie trzymała miecz przed twarzą. Zobaczcie. Muszą zobaczyć. Jednakże nie słyszała hamulców. Nie słyszała zaśpiewu Maszynisty dającego całą wstecz, wizgu zaworu bezpieczeństwa. Próbowała sobie przypomnieć, ile ognia ma w środku standardowa flara sygnałowa Kolei Bethlehem Ares. Światło przed nią rozrosło się, pochłaniając ją jak hipnotyzujące oczy śmigwęża oczarowujące syryjskiego zająca. Świat wokół stał się biały, syreny zawyły: „Tu jedzie Triskander–Dolina Marinerów, z drogi!”. Nie zatrzymywał się. Nie hamował. Hamulce. Usłyszała hamulce. Udręczona stał sypnęła iskrami. Z tłoków buchnęły gejzery pary. Syreny ryknęły na nią, potem zamilkły. Lokomotywa stanęła nieruchoma tuż przed nią. Mogłaby wyciągnąć rękę i dotknąć lemiesza.

Płomień zgasł, sypiąc żalonymi iskrami. Babcia Taal odrzuciła pustą łuskę. Rzuciła bojowe spojrzenie w snop białego światła.

– Jestem Taal Chordant Joy-of-May Maszynistka X, z *Katarzyny z Tharsis!* – obwieściła. – W imię wszystkich Maszynistów, powołuję się na wujka Billy’ego!

– Co słyszać, kuzynko Taal Maszynistko! Witamy na pokładzie *Pięciu wielkich kamieni*. Zapraszamy.

Ciemne postacie już szły jej na pomoc przez oślepiającą plamę białego światła.

Ubrani na śliwkowo akolici otworzyli ażurowe drzwi ręcznie napędzanej windy i nieśmiało wprowadzili Sweetness i Serpia do krótkiego korytarza. Kolejni czekali przed wysokimi, łukowatymi odrzwiami zdobionymi w splecione gałęzie i korzenie drzew. Byli młodzi, ostrzyżeni na garnek, szczeniący. Śliwkowe spodnie były przykrótkie w kostkach, a śliwkowe bluzy zbyt obcisłe pod szyją.

– No cześć – powiedziała Sweetness, kiedy rozwarli podwójne drzwi. Uśmiechnęli się.

Sala audiencyjna Burzyciela Harxa zajmowała najwyższą cięciwę łuku latającej katedry. Była to glasenowa kopuła, przezroczysta, z widokiem na niebo. W narożnikach żeber wciąż trzymały się pasemka piasku, pamiątki z czasów, kiedy ta maszyna – a może budowla? – zastanawiała się Sweetness, przyzwyczajona do artefaktów o podwójnym zastosowaniu – leżała zakopana pod pustynią. A to, co nieprzezroczyste, było drewniane. Drewniana podłoga stukająca pod jej pustynnymi buciorami. Drewniane meble – stół w kształcie podkowy i trzynaście krzesel, takich samych i elegancko nieostentacyjnych. Drewniane kaganki z podwójnymi ładunkami bioluminescencji. Drewniane przypory wyginające się i rozchodzące w palczaste gałązki, tworzące skomplikowane plecionkowe sklepienie. Sweetness wyobrażała sobie, że stoi w lesie pod zimowym niebem. W sali audiencyjnej pachniało woskiem do mebli.

Gdyby podejść bliżej do okalającej kopułę drewnianej poręczy, zobaczyłoby się boki powłoki nośnej, rozchodzące się dookoła jak spódnice starej kobiety. A także, że całość unosi się kilkaset metrów nad ziemią. Dla dziewczyny z kolei, która dotąd latała tylko w snach, było to

hipnotycznie niepokojące. Katedra przesuwała się nad połącią starego, chaotycznego terenu, który uniknął humanformacji. Surowe ziemskie formacje stały spiętrzone i bałaganiarskie jak sprzęty domowe na deuteronomicznym pogrzebie. Czerwone pazury wyciągały się ku Sweetness; każdy element ostro spiczastego terenu mógł przeszyć i rozpruć ten latający cyrk, jak drut kolczasty rozdarłby imprezowy balon. Gra słońca i cienia na długich jak ostrza noży dolinach pokrywała ziemię pręgami, jak na grzbiecie łowczego kota z Argyre Planitii. Ziemia falowała niczym piasek w płytkiej rzece. Sweetness stwierdziła, że ciągnie ją do poręczy, by myśleć o długim zjeździe po boku powietrznego statku, zakończonym śmiertelnym upadkiem i nadzianiem na kamienne noże. Była to paskudnie rozkoszna fantazja.

– Wiesz co, gdyby ludzie umieli latać jak ptaki, chyba nikomu nie chciałoby się robić niczego innego. – Głos był niski, cichy, prawie pozbawiony akcentu. Wypowiadał słowa powoli, jakby każde odważał i pakował. – Każdy się kiedyś zastanawia, jak to by było skoczyć.

Burzyciel Harx zaliczał się do tych ludzi, którzy nie są tacy, jak się spodziewasz, ale kiedy ich zobaczysz, tak kompletnie nie przystają do spodziewanego obrazu, że nie jesteś już w stanie pamiętać, jaki on właściwie był. Twarz idealnie pasowała do głosu – pod trzydziestkę, siwe włosy, wyrefinowanie, odrobina zniewieścienia, akurat tyle, by uniknąć prymitywnej męskości; wargi trochę zbyt pełne, jakby ta twarz należała niegdyś do okrutnego nastolatka, który później znalazł lepszą drogę. Ani nadmiernie wysoki, ani nazbyt niski. Budowa średnia, bez widocznego tłuszczu, ale nie wychudzona. I postawa. Poza. Wyćwiczona. Dłonie trzymał tak, jakby wiedział, co z nimi zrobić. W lewej miał czarną elegancką laseczkę, ze srebrem na obu końcach. Wyglądała, jakby mogła skrywać miecz. Najlepsze jednak było to, zauważyła Sweetness, że nosił naprawdę zabójczy garnitur. Z miękkiego, pochłaniającego światło czarnego materiału. Jaskółki surduta miał srebrno nakrapiane, kołnierzyk koszuli spięty srebrną broszą. Z obu rękawów wystawało dokładnie tyle samo mankietu. Sweetness nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiała, lecz było oczywiste, że ludzie, którzy wybierają sobie imiona w stylu „Burzyciel Harx” – bo nie mógłby się nazywać inaczej – wymagają dobrych krawców.

– Jestem Burzyciel Harx – powiedział elegant. Wyciągnął rękę.

Sweetness rozejrzała się za Serpiem. Zasiadał za stołem. Chwila paniki, potem ujęła tę rękę, a ponieważ garnitur był tak elegancki, dygnęła.

- Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII.
- Piękne imię. Miło mi cię poznać, Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistko XII. I ciebie...

Skłonił się w stronę mniej więcej jej prawego boku. Odskokczyła, zmarszczyła czoło. Burzyciel Harx najwyraźniej czekał na odpowiedź.

– Aaa. To jest... znaczy... ja ją tak nazywam, Mała Śliczna.

– Miło mi cię poznać – odpowiedział Burzyciel Harx.

No dobra, czyli tak to chcesz rozgrywać, pomyślała Sweetness. Kulturalny gość z dziwnymi mocami.

Kulturalny był naprawdę. Odsunął Sweetness krzesło przy podkowiastym stole. Bez żadnych widocznych poleceń kolejni śliwkowi akolici przynieśli owoce i chleb.

– Na pewno jesteś głodna. Pustynia nie do końca sprzyja gastronomii.

Sweetness rzuciła się na misę z owocami. Zauważyła, że Serpio nie je, ale skurczony żołądek mówił: „Pytania potem”.

Burzyciel Harx się uśmiechał.

– Niezłe zamczysko – rzuciła z ustami pełnymi gruszek.

– Siła zamówień wysyłkowych – powiedział Burzyciel Harx.

– Sam to wszystko zbudowałeś?

– Ze zdalnej religii. W naszym społeczeństwie od zawsze był silny zdalny sektor – Powietrzna Szkoła, Latający Doktorzy, Wędrowni Inseminatorzy, Obwoźne Pokazy Cudów, Wielobranżowy Katalog Pantehnikon. Zapewne wiesz, że jesteśmy bardzo geograficznie rozproszeni. To był kolejny logiczny krok – wysyłkowa religia. Czemu nie Powietrzny Kościół? Dosłownie.

Sweetness nalała sobie szklankę wody, uniosła ją do światła, zmarszczyła czoło, ostrożnie wrzuciła do niej tabletkę uzdatniającą.

– Zawsze mądrze jest nie dowierzać wodzie – odezwał się pobłaźliwie Burzyciel Harx. Patrzył, jak Sweetness opycha się kolejnymi owocami. – A ta twoja... hmm... przystawka?

– To moja siostra.

– Naprawdę?

– Byłyśmy zrosnięte.

– Nadal jesteście.

– Od urodzenia.

– Rozumiem. A teraz...?

– Teraz rozdzielone.

– Ale tylko fizycznie. Nie... psychicznie.

– No... ja wiem, że ona tam jest, ale jej nie widzę, nie tak, jak ty. Widzę ją tylko w lustrach.

– Tak, to się często dzieje. Lustro odbijają o wiele więcej niż tylko prymitywną fizyczną podobiznę, nie sądzisz? Odbijają to, co wobec siebie czujemy, odbijają prawdę, potrafią odbijać złudzenia, nasze nadzieje i lęki o przyszłość, kamienie milowe naszej historii, pokazują nam nas samych takimi, jakimi nigdy się nie widzimy. Dużo magii jak na proste posrebrzone szkło.

– To część twojej religii, czy coś?

– Bardziej „czy coś” – odparł Burzyciel Harx. – A więc, czy najadłaś się? Chcesz jeszcze?

Sweetness rozejrzała się po śmietniku z łupin, skórek i ogryzków.

– Nie, ja już chyba dziękuję.

– Dobrze. – Burzyciel Harx wstał. – W takim razie zapraszam na wycieczkę z przewodnikiem. Rzadko mam gości, a lubię się pochwalić tym miejscem. Nie każdy ma latającą katedrę.

Był już w połowie drogi do podwójnych drzwi. Wyciągnął rękę do Sweetness i Serpia. Drzwi się otwierały. Sweetness poczuła śliwkowy powiew.

– I wszystko to ze sprzedaży wysyłkowej? – szepnęła do Serpia, gdy ruszyli za Burzycielem Harxem.

– Mają dobry produkt za dobrą cenę – odrzekł Serpio.

– No nie mów.

– Do dna – powiedział Burzyciel Harx, wprowadzając gości do windy. – Poproszę na poziom jeden.

Śliwkowy akolita zamknął drzwiczki, drugi zaczął kręcić korbką.

– Sporo masz tych ludzi – rzuciła Sweetness, gdy klatka zakołysała się i zaczęła zjeżdżać.

– Wszystko tak tu robimy – odparł Burzyciel Harx. – Na pewno Nowicjusz Toromistrz już ci powiedział, że odrzucamy bezmyślną zależność od głupich maszyn. Tutaj wszystko się dzieje dzięki ludzkiej pracy.

– Wszystko?

Ażurowa klatka opadała przez komorę nośną – przepastne, żebrowane pomieszczenie porozpierane lekkimi belkami. Pomędzy nie powciskane były boleśnie wydęte helowe balony, jak otyłe dziwki w przyciasnych pasach do pończoch.

– Zatrzymaj tutaj – rozkazał Burzyciel Harx.

Akolita pociągnął za mosiężny hamulec i otworzył drzwi na galerijkę z poręczami, prowadzącą pomiędzy poduszki balonów nośnych.

– Chodźcie i zobaczcie.

Chwilami Sweetness musiała kucać, żeby precyzyjnie się pod napiętymi pęcherzami, napierającymi na siebie jak napompowane piersi.

– Od ciebie ile za to wzięli? – zapytała Serpia.

– Trzysta dolarów przez dwa lata, w miesięcznych ratach.

– Ja bym złożyła reklamację.

– Godność pracy – obwieścił Burzyciel Harx, otwierając nabijane ćwiekami drzwi do kabiny wystającej, jak cycek, poza powłokę.

Dwunastu akolitów kręciło pedałami dwunastu rowerków. Koła i paski zębate obracały wał wielkiego wirnika nad głową Sweetness. Przez szkło Sweetness widziała rozmazane łopaty śmigieł. Jednostki napędowe były ubrane w śliwkowe kolarki oraz frotki i miały zawzięte, ponure miny młodych gniewnych. Wszyscy unieśli głowy i uśmiechnęli się, gdy Burzyciel Harx przedstawił ich jako Jednostkę Napędową nr 3. Sweetness wzdrygnęła się.

– Nie bądź taka liberalna – powiedział Burzyciel Harx. – Myślisz, że któryś z nich siedziałby tu, gdyby nie chciał? Ja nie będę nikogo trzymał siłą. Do młodych przemawia idealizm. I zmieniają się. Tydzień pracy, cztery tygodnie wolnego. Demokracja zatrudnienia. Za kogo ty nas masz? Przecież tam, dokąd zmierzamy, powinniśmy dotrzeć własną pracą, prawda?

Gdy winda wznowiła jazdę w dół, Burzyciel Harx rzucił nonszalancko:

– Ale skąd wiesz, że to twoja siostra?

– Zna się swoją siostrę.

– Tak, pewnie się zna, ale wybacz, bardzo krótko byliście razem.

Sweetness nagle poczuła się przytłoczona przewagą liczebną w ciasnej, kruchej windzie.

– On ci o mnie opowiadał?

– Byliśmy w kontakcie – przyznał Serpio.

– Nic mi nie mówiłeś.

Serpio postukał w ślepe oko.

– Bo rozumiesz... – ciągnął Burzyciel Harx – ...ty mówisz, że to duch twojej siostry, tragicznie zmarłej na stole operacyjnym, ale co do zasady, religijni ludzie nie wierzą w duchy.

– No dobra, to kim ona jest?

– A pamiętasz, jak cię pytałem o teorię *vinculum* i procesory strunowe? – odezwał się Serpio.

– Powiedziałaś jej o tym? – zapytał Burzyciel Harx.

– O, z niego to powinnaś być dumy – odparła Sweetness. – Wszystko idealnie zapamiętał. Mów dalej.

– Za minutkę. Na razie wycieczka.

Winda zjechała na sam dół. Burzyciel Harx poprowadził gości zakrzywionym korytarzem.

– Centrum korespondencji – powiedział, otwierając drzwi pomieszczenia, gdzie ludzie w fiolecie krzżeli się wokół długiego stołu zastanego kopertami, drukarkami etykiet i plastikowymi pojemnikami pełnymi broszur, książeczek i ulotek. All Swing Radio grało na pełny regulator. – Serce królestwa. Jak tylko dolecimy do Molesworth, wyślemy zaległą pocz...

– Czyli mówisz, że moja siostra to w ogóle nie siostra – ciągnęła Sweetness, gdy za King Jupe'em i jego Mint Juleps zamknęły się drzwi. – Że jest jakimś tam aniołem, który się do mnie przywiązał.

– Nie „jakimś tam” aniołem... – zaczął Serpio i zaraz się potknął.

– Ostrożnie – upomniał go Burzyciel Harx. Pomógł chłopakowi od torów wstać, lecz Sweetness mogłaby przysiąc, że widziała, jak końcówka jego laski wysunęła się i wplątała mu się w nogi. – Pewnie turbulencje. Nad tymi starymi ziemiami są różne dziwaczne prądy. – Rozwarł kolejne drzwi. – Centralny procesor.

Gołe, prostokątne pomieszczenie, złowrogo podświetlone światłami w podłodze, było wypełnione szeregami klęczników. Na każdym znajdował się akolita, pilnie pochylony nad drewnianym abakiem. Palce poruszały się, koraliki skakały. Powietrze wypełniał cichy stukot, jakby ktoś musztrował armię szarańczy.

– Proste, wydajne i dobre na koordynację ręka-oko.

Kalkulatorzy nie podnieśli wzroku, gdy środkiem przechodził ich guru. Niektórzy bezgłośnie poruszali ustami, oczyma odczytując ruchome cyferki.

– Zaraz obok jest Zapis Danych. Nie zapisywałeś się na kurs „Mistrza pamięci”, co? – To było do Serpia. Do Sweetness: – Ludzie nie są świadomi połowy swojego potencjału. Całe połączenie zdolności obumierają i gniją, bo oddajemy je maszynom. Na tym w wielkim skrócie opiera się moja filozofia. Ludzki świat dla ludzkiego gatunku.

Sweetness rozejrzała się po ludzkim kalkulatorze.

– A kto wszystkich żywi? – zapytała. – I kto szyje te purpurowe ciuchy? Co robicie z odpadkami?

Zachwycony Burzyciel Harx klasnął w dłonie.

– Uwielbiam kolejowych. Mają takie uporczywie pragmatyczne skrzywienie.

– Masz tu kolejowych?

Drzwi na drugim końcu Centralnego Procesora wypuściły ich z powrotem na kolisty korytarz. Sweetness miała wrażenie, że w tym samym miejscu, z którego wyszli. Ruszyli dalej.

– Mam wszelkich możliwych ludzi. Nasze motto. – Było wyłożone markietażem na drewnianej boazerii, w klonie i sękatym orzechu na jesionie.

– „Nie jesteśmy aniołami”. Ha.

– Ale z drugiej strony kolejowi żyją trochę za blisko ze swoimi maszynami – rzucił z namysłem Burzyciel Harx.

– No dobra, co to jest z tobą i tymi aniołami, które według ciebie wcale nie są aniołami?

– To jest mianowicie, pani Maszynistko, że zamierzam wypowiedzieć maszynom wojnę.

Sweetness stanęła jak wryta.

Burzyciel Harx odwrócił się twarzą do niej. Oparł dłonie na okuciu laski. Sweetness zauważyła, że Serpio stoi teraz za nim. Sterowiec, szalona kraina, wielka pustynia, trzy kilometry nad ziemią, pomyślała. Jak z tego ukręcić plan ucieczki, w którym nie spadam i się nie zabijam?

– Chyba wyraziłem się jasno. Chcę stoczyć z tymi aniołami – które, jak zauważyłaś, wcale nimi nie są – bitwę. I zamierzam je pokonać.

Sweetness zaśmiała się. Głośniej, niż zamierzała. I wredniej.

– Niech ja to dokładnie zrozumiem. Tych aniołów jest tam jakieś dwieście pięćdziesiąt tysięcy, tak? I tworzą pierścień wokół świata? Nie wspominając tych, co zostały na dole. Mają wielkie lustra orbitalne, lasery, akceleratory cząstek, nadprzewodzące magnesy i pewnie kupę innych rzeczy, których nawet sobie nie wyobrażam. Dzięki nim działa pogoda. Dzięki nim nie smażymy się w ultrafiolecie jak *nimki*. One utrzymują powietrze. Zmieniają tory komet. Coś im się stanie i ten świat znika. I ty chcesz ruszyć przeciwko nim, mając dmuchany latający kościółek, biuro zamówień wysyłkowych, parę setek abakusów i bandę nieprzystosowanych fioletowych rowerzystów. I myślisz, że wygrasz, tak?

– Tak – odparł Burzyciel Harx tym tonem „ty-naprawdę-nie-masz-owniczym-pojęcia”, którym dorośli doprowadzają nastolatki do furii.

– Daj mi spadochron, i to już.

– Pani Maszynistko...

– Nie, czekaj. – Zwróciła się do Serpia. – Tego nie było w umowie. Było natomiast, że oboje uciekamy przed tym, czego nienawidzimy, i szukamy sobie życia gdzie indziej, może razem, a może nie, nie wiem, wszystko jedno, ale w każdym razie nie to, że zostaję porwana przez jakiegoś mesjasza sprzedaży wysyłkowej w latającym grzybku i sfajczą mnie akceleratory cząstek. Wiesz co, Serpio? Ja się chyba myliłam co do ciebie. Ty chyba... ty chyba to wszystko zaplanowałeś. – Ta świadomość była cudowna i wyzwalająca. Sweetness odkryła, że zrozumienie własnej naiwności przynosi wielką radość. – Ty to zaplanowałeś! Ty skurwysynu! Wszystko! Raz na mnie spojrzaleś – na nas – od razu ci się to wpasowało w jakiś wielki plan, zadzwoniłeś do pana Harxa tutaj, a on powiedział: „No to dawaj ją”. Nie wierzę, że choćby pomyślałam, żeby się z tobą przespać. A myślałam. Trochę. Ale już nie. Nie jesteś dobrym człowiekiem. Idź i wbijaj się w śliwkowy mundurek, cudaku z okiem.

Kiedy to były tylko myśli, Sweetness zdawała sobie sprawę, że dwa ostatnie słowa są niewybaczalne. Dwa palce dźgające tę kataraktę. Lecz i tak wypowiedziała je na głos i wszystko, co zaczęło się w Wielkim Oxusie, skończyło się. Odtąd była zdana na siebie. Przez chwilę myślała, że Serpio ją uderzy. Burzyciel Harx także odczytał agresję skłębioną w ustawieniu barków, szyi i ułożeniu dłoni.

– Chyba lepiej nas na trochę zostaw – powiedział. – Spotkamy się z tobą, kiedy pani Maszynistka będzie w lepszym humorze.

Serpio, wykrzywiwszy twarz, jak ktoś, kto jest zraniony na tyle, by móc płakać, ale w życiu nie robi tego publicznie, odwrócił się i z nadmierną nonszalancją poszedł zakręcającym korytarzem. Zatrzymał się raz, by odkrzyknąć:

– Czyli myślałaś, żeby się ze mną nie przespać?!

– Już mówiłam, to jeden ciąg wielkich pomyłek. – Słowa po prostu wypadały jej z ust, coraz gorsze i gorsze.

– A ja nie myślałem. I wiesz, co ci powiem, nie zrobiłbym tego, nawet gdybyś była ostatnią kobietą na świecie.

– Tak myślałam, że tak powiesz! – Sweetness posłała za nim swój ostatni strzał. Nie widziała, czy trafiła. Teraz tylko ona i Harx. Dotarło do niej, że on tak właśnie zamierzał to rozegrać. Rozegrać to i ją. Rzuciła zaczepnie: – I jak chcesz osiągnąć ten cud?

– Z pomocą twojej niewidzialnej przyjaciółki – odparł Burzyciel Harx. – Która, jak się zapewne domyślałaś, jest o wiele potężniejsza, niż ci się wydawało, i zdecydowanie nie jest twoją syjamską bliźniaczką. To chyba dobry moment, żebyś zobaczyła, kim ona naprawdę jest. Tędy.

Kawałek jesionowej boazerii obrócił się pod jego dłonią. Sweetness przeszła za nim przez ścianę i znalazła się wśród siebie. Dziesiątek Sweetness. Wielości Sweetness. Ogromu, obfitości, stada, hordy, nieskończonego ciągu Sweetness.

– Wow – powiedziała zanurzona wśród luster.

– Mówiłem, że odbicia kryją w sobie głębie duchowości – powiedziało jednocześnie pięćdziesięciu Burzycieli Harxów.

Przez pierwsze kilka minut Sweetness korzystała z rzadkiej okazji do obejrzenia się pod każdym kątem. Marszczyła brwi na widok swych brwi. Pociągała krytycznie za włosy. Cofała ramiona, żeby lepiej wyjąć piersi. Napinała, rozluźniała i znów napinała pośladki i wydawała się zadowolona z efektu. Spojrzała na swój skrócony obraz w lustrzanej podłodze i uśmiechnęła się szeroko. Robiła miny. Przybierała pozy. Prowadziła dziesiątkę Sweetness w idealnie równym tańcu. Po czym przypomniała sobie, że powinna być wściekła na tego Sukinsyna Serpia i zapytała:

– A gdzie wyjście?

– Gdzieś tam jest – rozległ się głos Burzyciela Harxa za jej plecami.

Obróciła się. Uchwyciła tylko dwadzieścia lewych rękawów, dłoni i lasek znikających kalejdoskopowo w miejscu, gdzie stykały się lustra.

– Ej!

– A ja chyba jestem tam. – Gdzieś daleko wśród odbić Sweetness i odbić odbić pomachał jej Harxowy homunkulus.

– Czekać na mnie, dobra? – Sweetness rzuciła się ku odległemu odbiciu.

Lustra były ustawione we wszystkich kolejnych pomieszczeniach. Sweetness rzuciła się tam, gdzie się przestawiały. Tysiąc jej obrazów biegło po obu stronach. Tafle otwierały się i zamykały, rozsuwały, zasuwwały za nią, lecz Burzyciel Harx cały czas był daleką, przyzywającą sylwetką w lustrze odbitym w lustrze odbitym w lustrze. Goniła go, on uciekał, nie poruszając się. Jakiś głos zawołał ją po imieniu. Jej własny. Stała jak wryta. Ściany poprzestawiały się wokół niej.

– Kto to? – zapytała.

Jedno z odbić nie poruszyło ustami. Sweetness podeszła do niego. Pozostało nieruchome wśród przesuwających się innych.

– A ty co tu robisz?

– Przecież to lustro, nie?

Sweetness zmarszczyła czoło, przyjrzała się zjawie.

– A co z zasadami? Zasady mówią, że masz nosić...

– To, co ty wczoraj, tak, ofiaro mody? Sweetness, posłuchaj, to nie jest...

– Pani Maszynistko...

Rozproszyła ją nie-zjawa. Burzyciel Harx nagle pojawił się obok niej. Obrócił się w bok, stał się jednowymiarowy, skurczył się do kreski, gdy lustrzany panel obracał się w drugą stronę. Sweetness zobaczyła, jak odbicie ciemnego, eleganckiego mężczyzny przeskakuje z lustra do lustra do lustra w nieskończoną głębię labiryntu. Odwróciła się do swojej zjawy.

– Em Eś...

Wszystkie Sweetness Asiim Maszynistki poruszyły ustami w idealnej synchronii.

– Nie drażnij się ze mną.

„Nie drażnię się”, powiedział ktoś za jej plecami.

Okręciła się.

– Gdzie ty jesteś?

Była sama wśród – chyba – własnych odbić. Poruszyła się powoli, wszystkie odbicia razem z nią. Lustrzane tafle przestawiły się, na moment otwierając widok w głąb iluzji.

„Podnieś lewą rękę”, szepnęła Mała Śliczna.

Sto Sweetness się zgodziło. Jedna nie. Gdy ruszyła ku swej bliźniaczce, tafla powoli ją od niej odkręciła.

– Nie! – zawołała.

I wtedy odkryła, że lustra odbijają nie tylko światło, ale i dźwięk. Jej krzyk skupił się na niej z powrotem odbity od setki powierzchni, wzmocniony, zniekształcony i przesunięty w fazie, tak że załamywały ją fale tego wrzasku, aż się skuliła, jak czasem, kiedy jonosferyczne wychwytywacze cząstek obniżają lot, by ćwiczyć manewry na niskiej wysokości na pustych podbiegunowych terenach.

Kiedy Mała Śliczna odwracała się od niej, Burzyciel Harx odwrócił się ku niej.

– No dobra. Już mnie to nie bawi. Więc robimy tak. Odczepiasz się od Małej Ślicznej, a potem mnie stąd wypuszczasz.

– Hm... – Burzyciel Harx namyślił się. – To drugie, oczywiście, szczerze mówiąc, moja droga, jesteś dość męczącym gościem. Zero kultury, nic a nic. To pierwsze, niestety nie. Twoja rzekoma bliźniaczka jest mi potrzebna.

Sweetness, dobiegło łagodnie odbite z kilku kierunków naraz, jak w doświadczeniu z optyki kwantowej. Tym razem Sweetness nie dała się

rozkojarzyć. Walnęła lewym prostym dokładnie między oczy. Głowa Burzyciela Harxa eksplodowała. Sweetness wrzasnęła. Lustro rozprysło się w tysiąc odłamków-luster. Spadły na ziemię z łoskotem. Krew skapnęła z rozciętych knykci Sweetness na podłogę. Possała rękę, poczuła smak mosiądzu i słodczy.

– A także zero szacunku dla mienia – zadrwił Burzyciel Harx z głębi lustrzanego labiryntu.

– Gdzie ty jesteś?! – wrzasnęła Sweetness.

Tutaj, powiedział cichutki głos w jej głowie. Sweetness zamknęła oczy i obróciła się.

– Co tu się dzieje? – szepnęła.

– Pomóż mi – powiedziała Mała Śliczna. – On chce mnie z ciebie wyciągnąć, zatracić mnie między lustrami.

– Co? Kto? Harx? Po co?

– Można by chyba powiedzieć, że nie jestem taka, jak myślałaś.

– On powiedział...

– Ej, będziemy się o to kłócić czy spróbujesz mnie znaleźć?

– Siebie nie mogę tu znaleźć, a co dopiero ciebie.

Sweetness otworzyła oczy. Spojrzała po sobie, rozmnożonej. Tysiąc Sweetness tańczyło i kręciło się w lustrzanym labiryncie. Zasyczała wściekła, wbijając palce we włosy.

– Niech to szlag!

Spojrzała na swe podwinięte rękawy. Jedno wzruszenie ramion i zapyłona pustynią, zapocona koszula zjechała z pleców. Dwoma gwałtownymi szarpnięciami oddarła rękawy. Jednym kawałkiem materiału owinęła krwawiące kostki. Po sobie patrzyło dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć Sweetness z gołymi ramionami, zakrwawionych. A jedna na samym lewym rogu ostatniego szeregu stała z zapiętymi mankietami i zdrową dłonią.

– Widzę cię!

Unosząc gołe ramiona, rzuciła się jak byk w stado odbić. Chwytała lustro za ramy i odkręcała sobowtórów na bok. Ciskała się pomiędzy falangami obrazów. I cały czas miała dokładnie przed sobą Sweetness we wczorajszym ubraniu. Cofała się, lustro za lustrem, lecz Sweetness była szybsza i pewniejsza.

– Sweetness. – Wśród chóru podobieństw prawdziwa Mała Śliczna była jak pojedyncza niebieska nitka w beżowym szalu modlitewnym. –

Muszę ci coś powiedzieć. – Jeszcze bliżej, tylko to jedno lustro i za nim to jeszcze jedno. – Nie jestem twoją siostrą. – Doganiała ją. Doganiała. –

W ogóle nie jestem z tego świata, czy, dokładniej rzecz biorąc, jestem, ale to skomplikowane. – Wskoczyła do dziesięciościennej lustrzanej komnaty.

Szmer aluminium na szkło – odwróciła się, lustro zasunęło wejście. W każdym lustrze był obraz Małej Ślicznej.

– To kim, do cholery, jesteś? – wysapała Sweetness. Pot spływał jej kropelkami po żebrach.

Dziesięć Małych Ślicznych spojrzało na nią.

– Jestem Katarzyna z Tharsis – powiedziały.

– I to jest absolutna prawda, wiesz? – dodał Burzyciel Harx za jej plecami, gdy Sweetness dyszała i wytrzeszczała oczy, otępiła w dezorientacji.

Odwróciła się w stronę głosu. Burzyciel Harx stał, oparłszy dłoń o tafle lustra. Przekręcił je ku sobie. Dziewięć pozostałych Małych Ślicznych zniknęło.

– To była ta. – Odpiął zatrzask.

Lustro zwinęło się jak roleta w kreskówce. Sweetness mignęły tylko usta i oczy Małej Ślicznej, otwarte w szoku, po czym latający kaznodzieja wsunął zwinięte lustro do pękatej rury, wcisnął ją do metalowej, spatynowanej kanopy i zakręcił wieczkiem w kształcie rogatego hełmu.

– Może nie panuję nad aniołami, ale panuję nad tą, która panuje nad aniołami. Więc chyba walka będzie równa.

Rzuciła się na niego. Zagięte w szpony palce przeorały Burzyciela Harxa jak sunący przez powietrze polujący sokół drzemlik. Padła ciężko na szklaną podłogę. Straciła dech. Przekręciła się na plecy. Burzyciel Harx był maleńką postacią odcinającą się na tle świetlistego prostokąta otwartych drzwi. Srebrne żabki na surducie błyszcząły w słońcu. Machnął w stronę Sweetness metalową urną.

– Nikt pani nie mówił, Maszynistko, żeby nie ufać pozorom? No, w każdym razie ja mam, co chciałem, a ty niestety jesteś nadmiarowa w stosunku do moich potrzeb. – Wyciągnął zza poły surduta przedmiot przypominający gruszkę z kluczem do nakręcania u góry. – Do widzenia, pani Maszynistko. – Przekręcił wielki mosiężny klucz.

Sweetness poczuła, że podłoga pod nią się przesuwająca. Próbowwała się czegoś chwycić, ale szklane płyty podłogi labiryntu były spasowane z molekularną dokładnością. Zsuwała się, zjeżdżała. Próbowwała łapać się ram luster, lecz podłoga była teraz odchylona o ponad trzydzieści stopni i ciężenie ciągnęło ją coraz szybciej w dół. Pod nogami pojawiła się szczelina światła, linia bieli, która poszerzyła się do czerwonej szpary,

a potem do całego kinowego ekranu wyświetlającego czerwoną pustynię. Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim wyleciała przez otwarty w brzuchu katedry właz, jak grudka śliny z ust dziadka Bedza. Wygięła się w powietrzu we wdzięczny łuk.

Lecę, pomyślała, a potem: głupia, głupia, głupia, ptaki latają, dziewczyny spadają. Nie lecę. Spadam. Spod brzucha wielkiego sterowca, który ostatnio był wysoko, wysoko nad czerwonymi skałami. To koniec, Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistko XII. To absolutnie ostatnia...

Ziemia gwałtownie przerwała jej majaki. Łomot prawie przekonał ją, że się zabiła, ból powiedział, że jednak nie. Przekręciła się na plecy i zobaczyła denny właz, bardzo blisko, trzy metry nad sobą. Całe ruchome imperium Burzyciela Harxa wisiało nad nią, jakby jakimś zaskakującym sposobem wyrosło jej z pępka. Sweetness zamrugła, obolała, oszołomiona, zdumiona, że wciąż żyje. Wokół wirował pył. Nagły wiatr szarpał ją za dredy. Śmigła ze szczękiem przestawiły się do orientacji poziomej. W półprzezroczystych kopułkach fioletowi ludzie w obcisłych szortach nachylili się nad kierownicami. Piasek sypnął Sweetness w twarz. Katedra uniosła się ponad nią, jak sen, który opuszcza cię o poranku. Skręciła na południowy zachód. Wirniki przełączyły się do lotu poziomego. Wciąż wznosząc się, Burzyciel Harx się oddalił.

Sweetness podparła się na łokciach, by patrzeć, jak wielka katedra znika za zębatymi skałami. Coś zgrzytnęło w żebrach. Kaszlnęła, żadnej krwi. Nic połamanego. Spojrzała na stopy. Potem na wykadrowany stopami świat. Od podeszew pustynnych butów po bliski horyzont – falujący czerwony piasek. Dalej rafy ostrego kamienia, wznoszące się ku pasiastej żółceni i indygo wieczornych chmur, opasujących brzuch latającej katedry. Palce, pięści, pokręcone iglice i lizaki skał, tak powyginanych i zerodowanych, że wydawało się, że lepiej trzymają się chmur niż ziemi. Jeszcze raz spojrzała na swe stopy w pozycji za dziesięć druga. Nijak nie pasowały do tego krajobrazu.

– No – powiedziała. – To zajebicie.

Oślepiany odbiciami słońca od brzegu srebrnego spodeczka, przewodnik stada tanagrów⁷ dotrzymywał kroku pociągowi osobowemu. Babcia Taal musiała przyznać, że to całkiem atrakcyjne zwierzaki, smukłe, wyrośnięte na dobrze nawodnionych łąkach Queli. Mięśnie poruszały się gładko pod napiętą pasiastą skórą, jak u cyrkowych Pulcinelli-akrobatów. Nigdy nie zaznały siodła, za to każdy miał w uchu plastikowy znacznik – ponumerowane, oznaczone, któregoś dnia zostaną zapędzone przez groźne wiatrakowce do podobnie wyglądającego pociągu i zawieszane na targ w Tzaentaenie.

I to by było tyle, jeśli chodzi o dzicz i rozległe równiny. Babcia Taal odstawiła tykwę do maté, zasłaniając hipnotyzujący błysk słońca. Tanagry biegły dalej, z najeżonymi grzywami jak u dzików, grzechocząc znacznikami. Stadne stwory lubią biegać. I to jest ich słabość.

Wagon widokowy był glasenową naroślą na grzbiecie ostatniego wagonu powolnego Wyżynnego Osobowego, ekscentrycznej wiejskiej linii, która wyjeżdżała z Hagios Evangelis, zatrzymywała się w każdej dziurze, aż doczłapała do stacji końcowej w Mosqueaux na skraju Wielkiej Czerwonej Pustyni. Ludzie wsiadali, jechali chwilę, wysiadali, tak że pociąg, mimo licznych pasażerów, nigdy nie był zatłoczony. Nieliczni przejeżdżali całą trasę. Babcia Taal była jednym z takich przelotnych podróżnych. Nocny pociąg z rezerwacją miejsc Triskander–Dolina Marinerów zrobił nieplanowany przystanek na żądanie w Strophé, gdzie zatrzymała Wyżyny Osobowe po pięćdziesięciu kilometrach jego trasy. Miała zamiar pojechać tym pociągiem aż do semaforu Pn-Zach 224, a potem zatrzymać na wujka Billy’ego szybki skład pocztowy 227, jadący przez zerodowane kratery Starego Deuteronomium.

Dlatego i w wagonie widokowym nie było tłoku. Babcia Taal miała dla siebie całą łożę, mogła opierać stopy na ławie ze sztucznej skóry, popijać maté przez srebrną rurkę, patrzeć na przesuwający się i, szczerze mówiąc, mało inspirujący krajobraz, a nawet drzemać i pochrapywać, wiedząc, że najbliższy sąsiad, mleczarz o rumianej twarzy w tradycyjnych ogrodniczkach i kaszkiecie, siedzi pięć rzędów dalej, zatopiony w kursach akcji w gazecie codziennej. Pięć rzędów przed nim grupa starszych ludzi w żałobnej bieli grała w karty i posępnie kiwała głowami. Poza nimi w wagonie była już tylko rodzina muzyków przy prowadzących na dół schodach, cichutko pogrywająca sobie na gitarze, cytrze, tabli i grzechotkach. Dziwni to ludzie, muzycy – tyle swej duszy oddają istotom z drewna, skóry i metalu, które tak potwornie ich opętują, kiedy je biorą, by grać.

Pasażerowie, stwierdziła, to kolejna rzecz zupełnie niezwiązana z torami, ale w żadnym razie nie gorsza. Spojrzała z powrotem na falującą zieloną trawę i rozhasane tanagry. Ich idealna bezmyślność ukołysała ją do snu.

Obudziło ją metaliczne brzęknięcie. Zamajaczyła nad nią twarz chłopca, na tyle bliska, że mogła zobaczyć wszystkie plamy na jego zębach. Uniósł rurkę do maté i odłożył ją do blaszanej banieczki. Epolety z cieniutkimi frędzlami i karmazynowa bordiura wokół klap mówiły, że to Stuard.

– Madame, czy podać jeszcze maté? – Uniósł imbryk na długiej rączce.

Była w stanie wyczytać z kącików jego ust, że pomiędzy pierwszą porcją maté a dolewką wzdłuż Linii Wyżynnej rozniosła się wieść o hańbie Asiimów Maszynistów.

– Gdybyś mógł.

Napełnił emaliowaną banieczkę aromatyczną herbatą. Babcia Taal poszperała w swej przepastnej torbie za centawo. Mały Stuard cofnął rękę oburzony, jakby podała mu własne zmumifikowane ekskrementy.

– Jest bezpłatna, proszę pani.

Kiedy odchodził, babcia Taal pokazała mu najstarszy i najpaskudniejszy z pociągowych gestów. Mleczarza o nalanej twarzy zastąpiła anemiczna parka, która co parę sekund dotykała swoich dłoni. Żałobnicy wysiedli, by wygłaszać mowy pogrzebowe. Po drugiej stronie rozsiadł się ziemisty młody człowiek w kapeluszu z wielkim rondem i zapiętym pod szyję pudermantlu. Muzycy pootwierali wiklinowe kosze z jedzeniem i karmili najmłodszych makaronem. Tanagry pogalopowały

gdzieś i za oknem rządziła nudnawa wyżyna upstrzona prostokątnymi deuteronomicznymi farmami. Składane *vademecum* powiedziało jej, że Osobowy będzie jeszcze wiele godzin snuł się tym żalonym tempem przez pampasy. Za nudna ziemia, za nudni ludzie, za nudne życie na cokolwiek poza snem.

Obudziła się gwałtownie. Poczowała tę twarz, zanim ją zobaczyła czy usłyszała głos. Łagodne, lekko tłuste wrażenie, że jest obserwowana bez wiedzy i zgody, że to trwa już jakiś czas. Zapach obserwującej twarzy. Otworzyła oko.

– Madame, maté pani wystygła.

Oko patrzyło na wyelegantowanego mężczyznę we wczesnym średnim wieku, chudego jak szpada, ubranego w śliwkowy surdut. Nie miał kapelusza, lecz włosy miał natłuszczone i zaczesane tak, że lśniły jak farba olejna. Podobnie dwa długie wąsy, wypomadowane i wybłyszczone na heban. Babcia Taal otworzyła drugie oko, żeby podziwiać to cudo w trzech wymiarach. Zapadnięte policzki, blady, cera prawie oliwkowa, słaba, pełna kraterów skóry pomarańczowej i wspomnień po zdrapywanych w dzieciństwie krostach od wietrznej ospy. Brwi zgolone do ostatniego śladu wyrazu twarzy. Na lewym oku brązowa skórzana przepaska. Laskę miał prawie tak smukłą i ostrą jak wąsy. I nosił rękawiczki.

– Ta maté to w ogóle mi nie smakuje – powiedziała babcia Taal. – Gorzka jest. Przegotowana.

– Tak – odpowiedział tamten z namysłem. – Obsługa na tej trasie jest poniżej standardu. Chyba napiszę do dyrektora linii.

– Lepiej do głównego Stuarda.

– O! – Mężczyzna wyraźnie się rozpogodził. – Pani zna się nieco na zwyczajach dróg żelaznych. Jest pani może z torowych?

– Jestem Taal Chordant Joy-of-May Asiim Maszynistka z *Katarzyny* z *Tharsis*. A teraz niech pan się przedstawi, chyba że pochodzi pan z miejsca, gdzie dobre maniery lekceważy się do tego stopnia, że to dama musi przedstawiać się pierwsza.

Młody człowiek parsknął śmiechem i skłonił się.

– Jestem Cyrene Caius Ankhathiel Ree i pochodzę z Iridii w Axidium, gdzie, co z przyjemnością stwierdzam, etykieta na razie kwitnie.

Babcia Taal burknęła coś pod nosem. Choć cerę miał człowieka w średnim wieku, wciąż był młody, niedojrzały, próżny, rozgadany i zarozumiały na tyle, że uważał się za najciekawszego człowieka na świecie, a w szczególności na pokładzie Wyżynnego Osobowego.

– No dobrze, niech pan siada, bo ewidentnie nie o to pan chciał zapytać.

– Pani mnie uprzedza.

Odgarnął poły surduta i rozsiadł się w fotelu klubowym naprzeciwko. Założył nogę na nogę w sposób, który babcia Taal zawsze uważała za zniewieściały i pretensjonalny.

– No dobrze, panie Cyrene Caiusie Ankhatielu Ree, to dokąd pan podróżuje tym pociągiem?

Oparł dłonie na gałce laski.

– A więc, proszę pani, właściwie donikąd.

– Podróżuje pan dla samego podróżowania?

– Podróżuję dla hazardu.

– Pospolity grzech.

– Tak mówią. Niektórzy. Ale zawsze tylko ci, którzy nie mają pojęcia, jakie stawki oferuję.

– Proszę pana, ja grzeszę od czterdziestu dwóch lat. Przejechałam miliard mil i widziałam miliard rzeczy. Jestem matką dynastii, więc jakie stawki mogłyby mnie skusić?

Mocą iluzjonistycznej sztuczki, w jednej dłoni obleczonej cytrynową rękawiczką pojawiła się nagle talia kart.

– Lata, pani szanowna. Lata.

Na rewersie karty miały Amshastrię Evenant, tańczącą na jednej nodze, z klepsydrą, butlą pełną plag i aureolą z czaszek. Ruch palców i mężczyzna rozłożył karty szerokim wachlarzem. Przesunął po nich kciukiem, robiąc krótką, ostrą falę.

– To absurd, młody człowieku.

Złożył talię, dwa razy przetasował i przełożył, rozdał po trzy karty, zakryte.

– Pięć kart, dwie odkryte. – Podniósł swoje, rozłożył w wachlarzyk.

Pokusa zakrytej karty jest nieodparta. Wbrew własnej woli i mądrości babcia zajrzała pod nie. Trójka noży, trójka os, dziesiątka dłoni.

– Proszę postawić dwa – powiedział Cyrene Ree.

– Dwa co?

– Jak mówiłem, madame, lata.

Bzdura, szepnął wewnętrzny anioł babci, ale starszy, bardziej impulsywny diabeł powiedział na głos:

– Niech będą dwa.

Cyrene dał jej kartę.

– Pani ma dziesiątkę pieniędzy. A ja?

Babcia Taal odwróciła wierzchnią kartę talii.

– Korzeń os.

– Proszę pociągnąć jeszcze jedną.

– *Parvue* dla pana i jeszcze jedna.

– Widzę, że zaczyna pani się wciągać – powiedział Cyrene, odwracając jej ostatnią kartę. – Trójka pieniędzy. A dla mnie...

– Żelazo noży.

– Złowróźbna karta, niestety. *Vue*.

Babcia Taal pokazała rękę.

– Ful, trójki na dziesiątki.

Cyrene zasznurował usta.

– Przegrałem. Dwie pary. – Pokazał je, siódemki i korzenie. – Wygrała pani.

Babcia Taal zatchnęła się. Cztery lata uleciały z niej jak wypuszczony nieświeży oddech czy upuszczona zła krew. Zesztywnienia i poboiewania, prawie geograficznie związane z ciałem czterdziestodwuletniej kobiety, zostały wymazane. Mięśnie napięły się pod skórą. Kości ułożyły się w dawno zapomniane układy. Plamy wątrobiane na wierzchu dłoni skurczyły się jak pustynny deszcz na słońcu. Jeśli wierzyć Cyrene'owi, nie miała już czterdziestu dwóch lat. Trzydzieści osiem. Albo i mniej, jeśli dobra passa się utrzyma.

– Proszę – powiedział Cyrene. – To takie proste.

Babcia Taal przypatrzyła mu się. Czyżby wąsik odrobinę obwisł, czyżby jego końce i włosy na skroniach odrobinę posiwiały? Czy zmarszczki wokół przepaski na oku odrobinę się nie pogłębiły, a mięśnie twarzy nieco nie obwisły?

– Chyba nie – odparła, ale cztery lata były tlenem w jej płucach i żelazem we krwi.

Cyrene już tasował karty.

– Jeszcze jedna rundka?

Babcia Taal kiwnęła głową. Cyrene ponownie rozdał. Babcia Taal postawiła trzy lata, mając dobry początek w postaci dwóch duenn i wodza os, dociągnęła byle jaką czwórkę noży i ósemkę pieniędzy, ale i tak wygrała blefem.

Przez dwadzieścia minut i dwadzieścia kilka kilometrów ubyło jej siedem lat. Było to elektryzujące i uzależniające przeżycie. „Tak być nie powinno”, powiedziały czterdzieści dwa lata. „Wiem, kiedy przestać”, odparło trzydzieści pięć.

– Musi mi pani dać szansę odrobienia strat – powiedział z uśmiechem Cyrene.

– A sobie umocnienia zwycięstwa – odparła babcia Taal i po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, ile naprawdę lat ma Cyrene, jeśli jest, jak utrzymuje, wędrowcem grającym o wiek na liniach kolejowych tego świata.

Karty padły na laminatowy blat stolika. Znowu para i dziesiątka dłoni. Babcia Taal zaczęła od dwóch lat. Cyrene natychmiast zrobił *parvue* i podniósł o pięć. Babcia Taal wysunęła drugą dziesiątkę. Dwie pary. Siedem lat. Ponownie czterdzieści dwa albo dwadzieścia osiem.

– Podnoszę o dwa – rzucił Cyrene.

– *Parvue* – warknęła babcia Taal. Dwadzieścia sześć albo czterdzieści cztery. – Biorę. – Trzecia dziesiątka, noży. – *Vue*.

– I co tam pani ma?

– Fula, dwójki na dziesiątki. – Rozłożyła powoli karty.

– A – powiedział Cyrene-szuler. Pokazał swoją rękę. – Kareta ósemek.

Na babcie Taal spadło dziewięć lat. Jęknęła cichutko, gdy kości się zapadały, ścięgni sztywniały, mięśnie więdły, zmysły słabły, wkradały się bóle i skargi. Spojrzała na Cyrene'a, z trudnością, bo prawe oko mąciła jej zaćma – był taki, jak kiedy go pierwszy raz zobaczyła. A nawet bardziej, pomyślała. Większy błysk w jedynym oku, nowa fala w cienkich włosach. Uniósł talię.

Dylemat gracza. Pogodzić się ze stratą czy próbować się odegrać. Łatwo odejść, stanowczo, pogwizdując, kiedy chodzi tylko o pieniądze. Ale lata życia – lata, które są droższe niż dolary – to zupełnie coś innego. Problem z odgrywaniem się jest jednak taki, że to nie wystarczy. Potem się gra o więcej. O wszystko. Zwłaszcza kiedy stawka jest tak wysoka, że cię na nią nie stać, a nie oferuje jej żadna inna gra.

Jestem w pułapce, pomyślała babcia Taal, sięgając, żeby przełożyć karty. W pułapce i oszukana. Czterdzieści cztery lata, z czego dwa z własnej głupoty i dalej nie umiesz zwęszyć kanciarza.

Karty zawirowały na stole i od tej gry babcia Taal nie była już w stanie wygrać. Cyrene obstawiał mało i sprytnie, tu rok, tam pół roku, zmuszając ją do rzucania potencjalnie dobrych kart, bo z każdym rozdaniem coraz mniej było ją stać, by wygrać w licytacji. A kiedy wołała *vue*, zawsze miał idealnie lepszy układ, jakby ten uśmiech poszerzał mu się w kącikach ust dokładnie dlatego, że wiedział, jakie karty przyjdą. A każdy kolejny rok dodawał jej jeszcze jeden handicap – coraz trudniej jej się grało. Mrużyła oczy, w układach osy zmieniały się w noże, wodzowie w duenny,

czerwień w czerń. Umykały jej też reguły, z czym wygrywa ful, a z czym przegrywa. Palce drżały, gdy usiłowała pochwycić te ulatujące, zdradzieckie karteczki. Bolały ją knykcie, wielkie jak włoskie orzechy. Ale musi grać, musi prosić o kolejną kartę głosem, którego sama nie poznaje, odwracać karty jedna po drugiej, tracić kolejny rok w nadziei na wygranie jeszcze jednego.

Straciła już całkiem poczucie, ile ma lat. Mrocзки przesłaniały jej brzegi pola widzenia. Wagon widokowy wypełniał duszący zapach, jakby gnijącej maty i niemytych ciał. Babcia Taal wiedziała, że to zapachy i kształty śmierci. Tak właśnie chciał to zakończyć ten uśmiechnięty młodzian o jędrnych policzkach i pełnych ustach. Tak właśnie, podejrzewała, szedł przez świat, pożerając życia, wampir żerujący na starszych osobach, których nie było stać na jego stawki i dlatego właśnie jeszcze bardziej ich pożądały.

– Nie – wymamrotała ustami pełnymi żółtych kikutów przegniłych zębów. – Nie tak to się kończy.

– Słucham, czy pani coś mówiła? – Cyrene przetasował talię szybkimi i zręcznymi ruchami dłoni w rękawiczkach. Rozdał kolejną grę. – To jak, może zagramy wyżej? Dostyc tego pieszczona się. O dziesięć lat? Nie? To może o dwa?

Kiedy szuler rozdawał karty, uwagę babci Taal coraz mocniej i coraz bardziej przykuwała jego przepaska. Jej podejrzliwość upierała się, że w środku musi być coś więcej niż tylko pusty oczodół. Jeśli on widzi karty, zanim spadną na stół, mówiła jej magia, to na tym właśnie opiera się jego moc. Jednakże krucha staruszka nie ma szans mocować się z mężczyzną w kradzionej sile wieku. Są jednak inne sposoby. Bardzo groźne dla kruchej staruszki, ale nie spróbować jest jeszcze bardziej niebezpiecznie. Wsunęła kartę w szponiastą dłoń. Trójka żelaz.

– Dwa – powiedziała.

Cyrene uśmiechnął się i tym samym nie zauważył, że babcia Taal wysuwa z włosów szpilkę.

– Biorę.

Korzeń os. Cyrene dociągnął wodza noży.

– Hm. Karta konfliktu – powiedział i tym samym nie zauważył, że babcia Taal zaczyna wydrapywać sobie szpilką na ręce słowo „oko”.

– Biorę – sapnęła. Niech tę rękę trafi klątwa Panarchy, oby przestała się trząść. Przestań się trząść. Żelazo dłoni padło na laminat. Kareta. Graj dalej. Graj dalej.

– I dla mnie – odparł Cyrene.

– Zaraz! – zawołała babcia Taal.

Uniosła pokaleczoną rękę. Krwawe „oko” skonfrontowało się ze skórzaną przepaską. Moce się zagotowały. Dłoń babci się zatrzęsała. Nie była już jej w stanie utrzymać, była ciężka jak żeliwo, obolała jak reumatyzm, jej moc się skończyła. Skrzypnęła skóra. Przepaska na oku wyduła się. Cyrene uniósł dłonie, by ją przytrzymać, lecz pasek pękł. Przepaska poleciała w głąb wagonu. Cyrene jęknął żałośnie. W jego oczodole siedział skulony mały metalowy homunkulus, jakiś maszynowy demon. Odwrócił ku babci Taal chromowane żuwaczki i wyskoczył, żeby się ratować. Za wolno. Wiekowa kobieta jeszcze miała w sobie dość charakteru. Szybko jak myśl wbiła w opętany oczodół Cyrene’a srebrną rurkę do matę, prosto w brzuch malutkiego demonika. Nadziany na nią spadł na stół, jęcząc jak piłowana blacha. Szamotał się między kartami, chwyciwszy bezsilnie za przebijające go ostrze. Potknął się o stalową listwę blatu i spadł na podłogę. Kozak na obcasie babci Taal uniósł się raz i opadł z metalicznym chrupnięciem. Odwróciła się do Cyrene’a obmacującego ślepe oko.

– Oślepiłaś mnie! – wrzasnął. – Ty parszywa starucho!

– A ty mnie oszukałeś – odparła babcia Taal. Pokazała swoje karty. – Cztery żelaza. To co, zobaczymy, co ty będziesz miał? – Przekręciła wierzchnią kartę. Drugi wódz. Patrząc Cyrene’owi w jedyne oko, powiedziała: – *Vue*.

Odwróciła zakryte karty. Były puste. Kiedy się w nie wpatrzyła, zobaczyła, że migocą na nich różne figury, by ustalić się w sześciookiego wodza os i wodza pieniędzy w cylindrze.

– Parszywy to ty jesteś – odezwała się, czując, jak ulatują z niej przegrane lata. Zrzucała z siebie choroby, niczym ubrania. Czuła, że rośnie, że ubywa jej pięć-dziesięć-piętnaście lat. Nie była już babcią, była energiczną, żwawą dwudziestosiedmioletnią kobietą. – I żaden dżentelmen!

Cyrene osunął się w fotel, gdy kradzione lata spadały na niego jak lawina. Wiądnął i się starzał. Ciało mu obwisało, zmarszczki obrastały go jak dławiące pnącza. Włosy siwiały i znikały, wąsiki obwisały bezwładnie. Dłoń ściskająca srebrną gałkę laski skurczyła się w szpon. Zapadł się w głąb aksamitnego garnituru. Sięgnął po talię, swoją moc, swoją nadzieję. Babcia Taal wyrwała mu karty z ręki.

– Koniec! – zawołała. Wstała, otworzyła okno i wyrzuciła je.

Zatrzepotały w pędzie powietrza, amshastrie, a potem nic.

– Nie! – krzyknął Cyrene Ree.

Ten krzyk zmienił się w cichutki, sapliwy jęk, gdy na oczach babci Taal wróciły mu wszystkie lata, które ukradł przez stulecia swego życia. W okamgnieniu rozsypał się, z człowieka w bezoką mumię, w kruchy szkielet, w kupkę gleby i humusu. Z klubowego fotela zwisał pusty szyty na miarę garnitur. Z rękawów, kołnierza, nogawek posypała się brązowa ziemia.

Babcia Taal skrzywiła się z niesmakiem, zadzwoniła dzwonkiem po nieuprzejmego małego Stuarda, żeby posprzątał, przeniosła się na inne miejsce i wyciągnęła ze swej przepastnej torebki puderniczkę, by powitać twarz, której nie widziała od dziesięcioleci.

Trzeciego dnia, pomiędzy delirium a odwodnieniem, Sweetness natrafiła na stalowy tor. Potknęła się o pokruszony betonowy podkład i upadła na szynę. Oparzyła sobie prawy policzek. Stąd wiedziała, że to się dzieje naprawdę. Pierwsze przeżycie od dwóch dni, którego była pewna.

Kiedy stopy nie dały jej odpowiedzi na zrzućenie z wysokości trzech metrów na jałową czerwoną pustynię z latającej katedry, odtańcowującej za horyzont wśród krzykliwe fioletowych chmur, po okradzeniu podstępem z czegoś, co jak teraz na wpół rozumiała, było jej największym skarbem – kobiety, która stworzyła ten świat – Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII zrobiła remanent.

Nie myśl o żebrach, obitych, a może połamanych. Nie myśl o skałach i rdzy. Nie myśl o niczym, co choćby trochę przypomina cokolwiek znajomego. Nie myśl, w którą stronę. Nie myśl, ile wody i jedzenia. Nie myśl, jak blisko noc, jak długa i jak zimna. Wszystkie odpowiedzi musisz mieć w tym czarnym plecaczku, więc zacznij od niego.

Kanapki od dawna były zmumifikowanymi półksiężycami, ale miała cztery butelki natlenionej wody. Rozstawiła je na piasku przed sobą. Zabrała się z ołówkiem w rękę do wyliczania, ile to łyków, po czym uświadomiła sobie, że to nie ma sensu, skoro nie wie, jak długo będzie iść, co nie ma sensu, skoro nie wie, gdzie jest. A wśród jej drobnych skarbów zabrakło mapy i kompasu.

Była jednak jedna przydatna rzecz. Awaryjne zakłęcie Psalli. Zagubiona na pustyni, bez mapy, bez kompasu, zapada noc, cztery butelki wody pomiędzy nią i kondorami; to naprawdę sytuacja awaryjna. Sweetness rozprostowała zwitek papieru spięty spinką do włosów.

„Aby uzyskać w Ciężkich Tarapatach Pomoc Nieogarnialną Rozumem, najpierw zapal świeczkę z pszczelego wosku...”.

Co to ma być za zaklęcie na awaryjną sytuację, skoro jest tak wybredne co do zapalanej świeczki? Czemu w ogóle wymaga zapalenia świeczki? Sweetness wyciągnęła swoją sztormową zapalniczkę i tampon. Podpaliła koniec ze sznureczkiem. Zapłonął entuzjastycznie, potem zaskwierczał, docierając do zwitka waty.

„Stań twarzą do słońca”. Zrobiła to. „Zawołaj trzy razy: «Przyjdź mi w sukurs, o Zielony Święty», po czym zdmuchnij świeczkę i powiedz: «Niech się spełni me życzenie»”. No dobra. Odprawiła recytację, dmuchnęła na świeczkę. Tampon zamigotał i zgasł, sypiąc czerwonymi iskierkami i dymem.

– Niech się spełni me życzenie.

Usiadła i zaczęła na Pomoc Nieogarnialną Rozumem. By zabić czas w Ciężkich Tarapatach, zaczęła myśleć. Zgubiłaś się w głębokiej pustyni bez mapy i kompasu. Ale masz radio. Stoisz twarzą do słońca, które jest o jakieś dwie dłonie nad horyzontem. Patrzysz z grubsza na zachód, więc większość istotnych rzeczy na świecie jest o, tam. Mniej więcej na dziewiątą. Południe. Idź tam, wcześniej czy później natrafisz na coś ludzkiego. Jak się położysz – dupa cipa chuj, jak to boli! – i weźmiesz sobie za celownik koniec długopisu i koniec tej sterczącej skały – i chwilę wytrzymasz bez ruchu, będziesz w stanie dojść, jak szybko zachodzi słońce. Szybko na równiku, wolniej na północy. Za kołem podbiegunowym, o tej porze roku, prawie wcale. No, zdecydowanie się rusza, więc nie mogę być za daleko na północ. Jakieś trzy minuty od końca długopisu do końca skały. Czyli powyżej trzydziestu stopni na północ. A gdzie to ten cwaniak Harx mówił, że się wybiera? Do Molesworth, po pocztę. To jest w Bequerelly, zachodnio-południowy zachód od Therme. A twój zegarek jest cały czas ustawiony na czas Deuteronomium. No to nastaw radio na stację Deuteronomium i posłuchaj Wieczornego Angelusa. „O Gwiazdo wieczorna, bladoniebieska matko rodzaju ludzkiego...”. Potem znajdź miejsce, skąd widać horyzont. Może trzeba będzie trochę się przejść. Tam cię nie przegapi Pomoc Nieogarnialna Rozumem. To jest luka w zasłonie. Teraz policz, ile czasu zostało do zachodu słońca. Parę obliczeń w pamięci... jedna minuta to ile stopni? Trzy. I proszę. Magiczna godzina. Oooo, wielka niebieska. Skały robią się tak czerwone, jakby nie chciały oddać tego koloru. Nie, nie, to jest mój kolor, nie ten czarny. Osiem minut. Czyli jesteś w środku Axidy, na skraju Chryse. Nie ma tu za wiele linii

kolejowych, więc dupa-kupa, ale dalej na południe jest Tempe i linia obwodowa trzydziestego równoleżnika. Kawał drogi. Co, wyrosną ci skrzydła i polecisz? Robi się trochę noc. Lepiej iść w nocy i spać w dzień. Słońce ugrilluje cię, jak Toromistrze tego pasiastego penisa. O nie, lepiej nie myśleć o tym i o tych ludziach. Czoło i policzki już masz ciepłe. Góra barków też piecze. A po drugie, będziesz wypijać mniej wody. Schowasz się do śpiwora i będziesz spać w słońcu, na piasku. No właśnie, Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistko, to teraz lepiej się ruszaj. Zaraz, zaraz, zaraz. Ale jest noc. Nie ma słońca. To skąd wiadomo, w którą stronę jest południe? Pierścień księżycowy idzie ze wschodu na zachód i na południu, ale on leci przez całe niebo, a nawet mały błąd to mogą być całe dni różnicy. Mogą być białe kości na piasku.

Zaraz. Radio. Ta stacja z Deuteronomium tak szumiała, trzeszczała i zanikała, bo mają tylko słaby nadajnik i zasłaniają go góry na wschodzie. Ale na zachodzie nie ma żadnych gór; no to złap jakąś stację z Tempe – najlepiej z dużego miasta, jak Therme – i obracaj się, aż sygnał będzie dobry. Masz azymut. Poprowadzi cię prosto do Sal Kąpielowych w samej Wielkiej Łażni.

Gdy nad skałami dogasł ostatni kradziony promyk światła, Sweetness zwabiła z atmosfery Radio Przyjemniak. Potrzaskiwało i syczało jak rodzinka nietoperzy. Obracała się pod wirującymi gwiazdami, słuchając fal. Jest. Używane Ośmiokołowce Honesto. Obsłużymy cię lepiej niż ty sam. Świetne ceny na Dorty i Stavingery w świetnym stanie. Sprawdzone i przejrzone. Telefon... Otworzyła oczy. Gwiazdy nad nią układały się w strzałkę.

Tam, kolejowa dziewczyno.

– No dobra – postanowiła. – To na południe.

Zarzuciła torbę na ramię i ruszyła. Bakelitowego kotka i zużyte zakłęcie zostawiła na ofiarę Wielkiej Czerwonej Pustyni.

Wielka Czerwona, w wielkiej ciemności, była niesłychanie nudna. Charakter nadają pustyni: skwar, przestrzeń, pustka, wielkość, atomizujące poczucie izolacji na ogromnej przestrzeni – a noc wszystko to unieważnia. Noc czyniła z niej pozbawiony wymiaru trudny teren do wędrówki. Sweetness szła miarowym krokiem, na tyle szybkim, by czuło się cel, i na tyle wolnym, żeby za szybko się nie zmęczyć i nie podupaść na duchu. By oszczędzać solarne baterie, słuchała Radia Przyjemniak tylko tyle czasu, żeby złapać namiar na południe. Śpiewała piosenki z musicali. Recytowała kawałki *Psalmidii Evyna*. Liczyła od jednego do tysiąca, a potem od dwóch tysięcy w dół do tysiąca. Brała łyk wody

i wykorzystywała go do zbadania tyłu zakamarków i aspektów jamy ustnej, ile się tylko dało. Przepowiadała sobie tabliczkę mnożenia dla siedmiu, ośmiu, aż po piętnaście. Bawiła się w zawile gry na słowne skojarzenia, budowała wielkie myślowe ciągi, dłuższe niż tysiadcwagowce z Żelaznej Góry, a potem próbowała krok po kroku wrócić przez cały proces, do pierwotnej idei. Zachodziła w głowę, kiedy nadejdzie Pomoc Nieogarnialna Rozumem? Ukradkiem nasłuchiwała fal radiowych, korygowała kurs, szła dalej. Lecz i tak było to niesamowicie męczące. O wiele później, niż się spodziewała, Radio Przyjemniak nadało sygnał czasu przed Audycją Przedśniadaniową. Zjeżdżała po zboczach diun, człapała wzdłuż ciężkich, zapadających się sejfów i myślała o ludziach w wysokich kamienicach Therme, przewracających się z boku na bok na kolejne pięć minut, albo siadających i drapiących się po tyłku, gapiących się na siebie w lustrze w łazience, czy też burczących do swych partnerów przy porannym chlebie i herbacie. *Ma pan w ogóle pojęcie, panie DJ, co robi ta tutaj pana słuchaczka?* Kiedy krawędź świata zjechała poniżej słońca, rozwinęła śpiwór, znalazła osłonięte miejsce, gdzie nie nawiewało jej piasku do nosa, i przypomniała sobie, żeby rozłożyć baterię radia, żeby się ładowała. Potem przeczytała parę stron swojej nierozwijającej wewnętrznie książki i zapadła w sen, zanim zmysł estetyczny powiedział jej, że to jeden wielki ekskrement.

Obudził ją pot. Zlizwała sól z przedramion i spróbowała znaleźć sobie lepsze miejsce w zagłębieniu miękkiego piasku, który wydawał się teraz twardy jak beton. Za kolejnym razem obudziła się z przeszywającym bólem głowy od słońca przenikającego przez powieki. Twarz miała spieczoną słońcem. Owinęła głowę oddartym rękawem i przewróciła się na drugą stronę, na wpół podduszona. Trzeci raz obudził ją głód. Usiłowała go stłumić, lecz nie dawał się tak łatwo pokonać. Spróbowała zjeść parę kartek z nierozwijającej wewnętrznie powieści, splukała je łykami wody. Uspokoili trochę ssanie w żołądku. Ostatni raz obudziła się, gdy słońce stało dwa palce nad zachodnimi skałami. Pora wstawać, zbierać się, ruszać.

Oszołomiona z głodu i bólu głowy wzięła namiar na Radio Przyjemniak. Zeszła odrobinę z kursu, delikatna korekta na lewo skierowała ją dokładnie na południe. Miejsce, w którym spędziła dzień, wyglądało identycznie jak to, z którego wyszła wczoraj – piasek tak samo pofałdowany, skały tak samo pokruszone i czerwone, niebo tak samo przenikliwie niebieskie – jakby w ogóle się stamtąd nie ruszała. „W ogóle się nie ruszyłaś”, szepnął mały, czarny, rozpaczliwy demonek. Uniesienie

stopy i postawienie jej przed drugą wymagało ogromnego wysiłku, ale się udało. Z żołądkiem pełnym taniego papieru musiała to zrobić. Usłuchać demona to śmierć.

Tej drugiej nocy śmierć nie wydawała się wcale najgorsza. Przez większość czasu była pogrążona w obłędzie, zataczając się i potykając pod księżycami jak koziołkujące odłamki, wpełzając-gramoląc się-zjeżdżając z wydm, łapiąc się przeciekającego między palcami piasku, zsuwając się ze stoków, w jakimś momencie odzyskując zmysły na tyle, by dojsć, że mocno zboczyła z kursu, i sprawdzić go na nowo przy chłodnych nocnych rytmach „Do snu z Willemem” w Radiu Przyjemniak. Ta absurdalna wizja, że *tam przed nią* ludzie przepijają do siebie winem, obrzucają muzyków pieniędzmi, posyłają do szefa kuchni karteczki z pochwałami, a potem majstrują przy swojej bieliźnie w samochodach, nasunęła jej pomysł. Co robi, kiedy dotrze do Therme.

Pierwsze miejsce na liście. Umyć włosy. Czują ich smród. Co gorsza, nie mogła się od niego oddalić. To bardzo, bardzo, bardzo źle, jeśli czujesz smród własnych włosów. A jeszcze gorzej, kiedy się do ciebie lepią. Bueeee. Mycie głowy. Numero uno, bez dwóch zdań. I wanna. Może jedno i drugie naraz. W Therme to nie problem, tam jest pełno kąpielisk termalnych. A więc hydroterapia. Głęboka wanna i wszystkie te zdrowotne olejki i minerały z wulkanicznych otworów. Najlepiej przez kilka godzin. I lampka wina, jasnego i przejrzystego jak woda i tak zimnego, że para skrapla się i spływa po nóżce, potem po twojej ręce, a ty ją zlizujesz. Ooo, tak. Zlizywanie różnych rzeczy. Jakiś chłopak z ładnymi mięśniami i ślicznie pomalowanymi oczyma, który splukuje cię prysznicem z góry na dół. Może być, pani Maszynistko? Oooch, aaach, ooo. Zbulwersowałaaby go. Ale dopiero po tym, jak umyłby jej włosy, porządnymi, głębokimi ruchami, po same korzonki, dwa razy, i potem odżywka i ciepła suszarka – nie gorąca, gorącego powietrza wiejącego w twarz ma już dosyć do końca życia. Tak jest, wanna, olejki, minerały, splukiwanie, peeling całego ciała, a kiedy już pozbędziesz się z niego ostatniej cząsteczki krzemionki i rdzy, stół na werandzie z widokiem na błotne baseny, a ty masz na sobie tylko króciutki jedwabny szlafroczek i ktoś przynosi ci rybę. Tak, świeżo złowioną rybę, ugotowaną na wulkanicznej parze.

„Fajna gra, fajna”, powiedział mały czarny stworek. „Fajna, ale bez sensu. I tak nic z tego nie będzie. To się nie wydarzy. Zaraz klękniesz, przytkniesz czoło do piasku i będziesz czekać na burzę, żeby cię przysypała”.

Stanęła jak wryta pośrodku czarnej pustyni.

– No i gdzie jest moja Pomoc Nieogarnialna Rozumem?! –
wykrzyczała w niebo. – No gdzie, no gdzie, no gdzie?!

Nisko na południowej stronie nieba lasery rozjarzyły horyzont zielenią; to żaglowiec Praesidium opadał powolną pętlą ku Ojczystemu Światu, pchany wiatrem spójnego światła.

Obudziło ją słońce. Słońce nie powinno być ani tak wysoko ani tak gorące. Palily ją ramiona i odsłonięte kostki. Przekręciła się na plecy.

– Oj!

Gorący piasek na poparzonej skórze. Zamrugła prosto w biały atom słońca. Jak, gdzie, co, dlaczego? Ostatnia rzecz, którą pamięta... ostatnia rzecz, którą pamięta... nieważne, co pamiętasz i czego nie pamiętasz! Schodź natychmiast z tego zabójczego słońca, co wysysa ci wilgoć przez skórę, co spala cię na bąbel. Wyszarpnęła śpiwór, zanurkowała do środka, drapiąc suwakiem i zaskorupiała od potu tkaniną o wrażliwą skórę. Sen nie chciał przyjść na żądanie, więc po prostu zwinęła się w kłębek w smrodliwym ciepłe śpiwora i patrzyła, jak z przodomózgowia bąbelkują halucynacje. Po ich kolorach i ich frenetycznej uporczywości domyślała się, że ma tylko dwa dni, może dzień, zanim pustynia ją pokona. Gdzieś w głębi wiedziała, że powinna się tym bardzo, bardzo przejąć. Spała niespokojnie, rzucając się, aż prześwitujące przez śpiwór światło pociemniało i wypęzła z niego na wieczorny posiłek, złożony z dwudziestu pięciu stron romantycznej szmiry popchniętych pięcioma łykami natlenionej wody.

Gdy wzięła namiar na Radio Przyjemniak, odkryła, że w ciągu dnia zdołała obrócić się o sto osiemdziesiąt stopni. Gdzieś tam głęboko wiedziała, że powinna się bardzo, bardzo tego bać.

Nigdy się nie dowiedziała, jak dała sobie radę tej nocy, wlokąc bukłak za sobą na sznurku, bo jego paski ocierały wilgotne bąble na spalonych ramionach. Stawiała stopę za stopą dzięki obrzucaniu jej przekleństwami.

Dupojebny gównojad, kisielojebca, co mu cieknie z dupy, czyrakojad, kręciel cycków, ogórkowy masturbator z pięścią w jelicie grubym, z chili w dupie, bezdupny, bezjajeczny, bezcipny, z jedną nogą w powietrzu, koniobjca, osłojebca, księży podnózek, szczynopijca, kazirodczy dupoliz, krościaty, syfiasty, zielonospermiasty, ojca-konia-księdza-matki-siostry-syn, zaschnięte dziesięciodniowe gówno w kroku...

Rzucała przekleństwa Maszynistów, Reaktorowych, Stuardów, Trakcyjnych i Bassarinich, przekleństwa zwrotniczych i dróżników, wyrafinowane i mocno techniczne bluzgi inżynierów serwisowych, przekleństwa logistyków, od których wędły uszy. Przekleństwa Kolei

Bethlehem Ares, Wielkiej Południowej, Transpolarnej, Transborealnej, Llangonedd i Północno-Wschodniej i Wielkiej Wschodniej i Doliny Marinerów. Przekleństwa z Ćwiartki Północno-Wschodniej, Południowo-Zachodniej, Południowo-Wschodniej i Północno-Zachodniej. Z Deuteronomium, Axidy, Chryse, Wielkiego Oxusa, Tharsis, Syrtii, Doliny Marinerów, Nowego Merionedd, Tempe (oczywiście) i Wielkiej Pustyni (zwłaszcza). Przez kilka kilometrów eksplorowała bluzgi pustynne, z pustyni Czerwonej, Karmazynowej i Karminowej, z Wielkiej Ochry, Oranżu, pustyni skalistej, pustyni piaszczystej, pustyni lodowej, pustyni kwasowej, pustyni słonej, sodowej, pustyni z popiołu i pustyni ze rdzy. Czerpiąc natchnienie z geografii prowincji, przepracowała swój repertuar przekleństw z Belladonny, Mądrości, Południka, Lyn i Portu Przesilenia, z Kershaw, Nowego Cosmobaadu i Bleriota, z Lądowania i O i Chińskiej Góry.

A mniejszy z księżyców nawet jeszcze nie wypełził do połowy na niebo.

Skatalogowała więc wszystkie nazwy części ciała i rzuciła wszystkie oparte na nich przekleństwa, potem wymyśliła nowe nazwy i wyprowadziła z nich kolejne, potem zajęła się płynami ustrojowymi, ciałami stałymi i gazami, opatrując je nieprawdopodobnymi epitetami. Po czym przypomniała sobie, żeby puścić Radio Przyjemniak, i odkryła z rozczarowaniem, że Jonathon J. Jonas właśnie gra ostatnią piosenkę na życzenie w swoim „Jive Show” i przekazuje go Fazie Obeke ze swoim „Popołudniowym czasem swingu”.

Sweetness Octave przeszła do bóstw. Zaczęła od Pana Boga Panarchy, jego Wcieleni i Objawień, po dwanaście sztuk. Zastanowiwszy się przez chwilę, czy to nie jest prywatne bluźnierstwo, przeklęła Panią Naszą Świętą Katarzynę z Tharsis, bo mogła, kurde, przez osiem lat z kawałkiem, choć raz coś napomknąć, rzucić półgębkiem: „A wiesz, swoją drogą, to ja zbudowałam ten świat”. Klęła na Anielskie Chóry i Eotemporalne Zastępy, na Moce i Dominia, Duchową Menażerię i Jeźdźca na Wielogłowej Bestii, na Sędziów i Magistrów; Przewodników Atmosfery, Oktawowych Wodzicieli i Pomniejszych Królów Górnej Brazylii. Zastępy Mniejsze, Chóry Amszastrii i Reszpundich; Pięć Rzędów Istot Duchowych – Archangielsków, Avatów, Lorarchów, Cherafów i Anielów. Przeklinała pomniejsze rzędy, Zastępy Pomocnicze i Mechaniczne, vany, akceleratorzy, cewki, orfy, flasery i generatory pól. Przeklinała pisma i zapisy, Drzewo Początku Świata i Pierwotną Hubkę, Siedmiu Świętych i *Guthru Gram*, *Psalmodium Evyna* i angelografię

katarzyńską, *Cantus Septimus* i Niemych Skrybów kaligrafujących przepiękne modlitwy na latawcach modlitewnych w Lyxie i Deuteronomium oraz kosztujące trzy centawo (do zwrotu!) wyroczone w postaci zielonych facetów w śmierzących namiotach w Inatrze oraz tandetną magię budżetowych wiedźm z rynku w Belladonnie, które handlują czarami obiecującymi Pomoc Nieogarnialną Rozumem. Przeklinała zakony i zgromadzenia: Ubogich Pelerinów, Prebendarzy, wyznawców Jasnego Pacholęcia z Czernowy, katarów, katarzynów i katarzyńców, kapłanów ekstazy ze Swavyn, Ascetów Damantyńskich i Żebraków Pokutnych, Ubożątka Niepokalane po Częściach i Siostry-cierpiętniczki Pieśni Klary, a także (długo, namiętnie i z uczuciem) Kościół Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny, jego teologię, jego wysyłkowe usługi, latającą bazylikę, śliwkowych akolitów, głowę i lidera, ale przede wszystkim to, że zgodził się rozgrzeszyć obsydianową duszę Serpia Toromistrza.

A wciąż była dopiero pierwsza piętnaście w nocy. Mruczając przekleństwa, Sweetness Asiim Maszynistka wspięła się na wierzch barchanu. Stopy usunęły się spod niej – z jękiem zjechała na tyłku. Splunęła piaskiem, spróbowała się pozbierać. Coś jednak nie dawało jej spokoju. W momencie, zanim zrobiła *hiiiiiiii*. Co takiego? Tak. Czy widziała, czy ośmieli się w to uwierzyć, błysk trującego światła? Tam? Resztkami sił i zdrowia umysłowego wdrapała się na szczyt wydmy. Tak. Faktycznie. Maleńka, jadowicie zielona monetka w syczącej czerni.

Wiesz, co to jest, prawda, mała Maszynistko?

Tak, wiem. To, czego się najbardziej obawiamy, nasza zagłada i zniszczenie. Krater po eksplozji. Gdzieś tam komuś wybuchł tokamak. Wyparował pociąg. Pociąg jeżdżący po długiej stalowej linii. Linii, która prowadziła skądś dokądś.

Na koniec zaś zostało jej tylko przeklinać samą siebie, wszystkie swoje części, każdą chwilę swej historii, każdą myśl w swej głowie, każdą wartość, pogląd i ambicję, każdy sen i wizję, każdy grzech i występpek, banalność i małostkowość, dobroć i radość, aby móc jeszcze przestawiać stopę za stopą od zmierzchu do świtu. A pędziły tak szybko ku temu torowi, prawdziwemu torowi, tak, naprawdę prawdziwemu, falującemu w upale, dzielącemu świat czarną linią na pół, że zaczepiły się o krawędź betonowego podkładu i upadła, twarzą na gorącą, stalową, prawdziwą szynę.

Poderwała się, zostawiając pasek skóry na gorącym metalu. Ale jeszcze nie wyszliśmy z lasu, droga Honey-Bun. Nawet jeszcze do lasu

nie doszliśmy. Tor wyłaniał się z upalnego powietrza, biegł jej pod stopami, prosty, nigdzie niezbaczący, i niknął w identycznej mgielce po drugiej stronie. Jeden koniec to semafor, mijanki, zwrotnice, pustynne stacje pocztowe, przystanki, nastawnie, górki rozrządowe i wielki szklany dworzec. Drugi – kilometrowy, półkulisty nadtopiony krater w pustyni i paskudna śmierć z napromieniowania. Ale który jest który?

Odpięła od paska radio, przestroila je z „Pysznego śniadania z Nedom i Greazebop” w Radiu Przyjemniak na biały szum. Kszszszszsz. Melodia Wielkiej Czerwonej. Odwróciła się bokiem do torów. Dźwięk smażącego się nieba stał się głośniejszy, przetykany pyknięciami jakby pękających czyraków. Obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Kszszszszsz. Zrobiła to jeszcze raz, dla pewności. Ryk – i szept.

Czyli w tę stronę. Jakby na potwierdzenie rozfalowane upałem powietrze rozstąpiło się na moment. Mignęły jej jasne, romboidalne świetlne kształty, a nad nimi ciemny skalny palec, upierzony antenami. A te regularne przedmioty obok? Czyż można pomyśleć, że to są domy?

A czemu nie? Wszystko tu jest tak samo głupie i tak samo mądre. Woale skwarnej mgielki opadły znów, wszystko zasłaniając. Sweetness Asiim Maszynistka zjadła śniadanie złożone z pięciu łyków z ostatniej butelki i wyjątkowo doborowej ulotki, którą zostawiła sobie na specjalną okazję. Poprawiła plecak, ustawiła słońce za prawym barkiem i ruszyła na wschód.

Pod wieczór dotarła do wymarłego miasta na wzgórzach. Falująca mgielka drażniła się z nią na każdym kroku, kusząc ją wśród wyczerpania, odwodnienia, pod wściekłym słońcem. I nagle na przestrzeni trzech kroków rozwiła się, ukazując poprzewracane ściany domów, anteny jak postrzępione drucziane bicze, romby pustych szkieletów fotowoltaiki wiszące w ciepłym wietrze. Pył zadławił to miasto lata temu. Pył był jego dziedzicem i ludnością, spływając eleganckimi stokami po zawietrznych stronach zawalonych ścian; zatykając kanały nawadniające wśród suchych na pieprz pól, łagodny i zdradziecki jak woda; obsypując ułamane kikuty masztów pomp wiatrowych i oblepiając syfony wód gruntowych na wysokość pasa proszkiem pachnącym czasem i elektrycznością. Spod pyłowego całunu przywitała Sweetness tabliczka. Oga... z... enia. Cienia. Czenia. Droga. Zabrakło jednego kroku.

Sweetness powinna się teraz przejmować wodą, jedzeniem, ochroną przed słońcem, lecz powaga zasypanego miasta przemawiała do niej, ciągnęła ją w kręte, zaduszone piaskiem zaułki pomiędzy rozpadającymi się ścianami z suszonej cegły, kazała zaglądać przez martwe wejścia do pozbawionych dachu pokojów. W jednym odkopała fragmenty starego drewnianego krosna ze strzępem tkaniny o pięknym wzorze, która rozsypała się jej w palcach w barwny pył. W innym znalazła komplet zabytkowych mosiężnych kranów do piwa, spatynowanych na zielono. Przeszła przez sad zdechłych solarnych drzew pod czerwoną skałę, wyniosłą jak wartownik. Otwarte drzwi zapraszały do wejścia. „Popatrz”, mówiły; od razu za nimi ciąg napisów na ścianie, wyblakłych od czasu i ezoterycznych, wijących się w głąb cienistego wnętrza. „Czy się

oprzesz?”. Nie Sweetness Asiim Maszynistka. Ruszyła za nimi, wchodząc i wychodząc z suchych, stęchłych pomieszczeń, potem w górę spiralnymi kamiennymi schodami. Do głównego nurtu przyłączały się rzeczki i dopływy zawitych matematycznych wzorów, rozbudowując ją do rwącego potoku bełkotliwych symboli, koziołkujących jeden przez drugi w pogoni na szczyt domu. Tam przelewały się przez ściany i podłogę otwartej półki tuż pod szczytem skały. W dawnych czasach było to piękne pomieszczenie, coś jakby obserwatorium. Metalowe palce, wypiaszkowane do połysku, sugerowały szklaną kopułę. Ku południu wzgórze opadały długą linią, jakby groblą wśród czerwieni, aż ustępowały nieprzerwanej połąci wydm, wspaniałej w swej nieskończoności. Na zachodzie, wzdłuż dwóch linii wypolerowanego wiatrem srebra, mogła z trudem dostrzec delikatną ciemną plamkę na horyzoncie – krater po tokamaku. Na wschodzie – pogłoski o górach za krańcem świata. Północ – pięć metrów pokrytego wzorami piaskowca. Podeszła do niego, przycisnęła palce do skały, próbowała wyrozumieć z nich sens, lecz tylko dała się wciągnąć w subtelną spiralę równań, kończących się samotnym znakiem równości pośrodku matematycznego wiru.

Żadnego objawienia z tego nie będzie. Nieogarnialna Rozumem, faktycznie, ale żadna Pomoc.

Zatem z powrotem na dół i na zewnątrz. W solarnym sadzie napadło na nią słońce. Była bardzo zmęczona, bardzo głodna i bardzo spragniona, a miasto było bardzo wymarłe i ani o krok nie przybliżało jej do schronienia. Kiedy parowała z niej energia, zwęszyła coś, bliski i zwierzęcy zapach. Najpierwotniejszy z pierwotnych – woda. Blisko, gdzieś tutaj. Instynkt doprowadził ją do małego okrągłego murku pośrodku skalnego prostokąta, który kiedyś musiał być ogrodem. Wokół murku piętrzył się piasek, ale chyba nie przesypał się na drugą stronę. Oby tylko nie była zbyt głęboko. To byłoby okrutne. Okrutne, czyli typowe. Woda pachniała słodko i intensywnie. Sweetness wsunęła się na murek i zajrzała do studni. Popatrzyło na nią jej własne ciemne odbicie obramowane błękitnym niebem. Nie było aż tak głęboko. Wysunęła się za ocembrowanie i sięgnęła pustym bukłakiem-plecakiem, by nabrać do niego wody.

„Azymutów, potrójna premia literowa, podwójna słowna”, usłyszała głos za plecami, klarowny jak woda. Sweetness okręciła się, w ostatniej chwili przypominając sobie, żeby zahaczyć palcami o paski plecaka. Głos starej kobiety. „Jakiej starej kobiety?” – pytało wymarłe miasto.

„Przeszukaj mnie”. Sweetness zrobiła to, oczyma, z lewa do prawa, od pierwszego planu po tło. Żadnej starej kobiety. „Widzisz?”.

Pochyliła się, żeby jeszcze raz nabrać wody.

„Oddział maszyn bojowych Charlie, raz-raz-raz!” – wrzasnął trzeszczący radiowy głos. Sweetness wyszarpnęła worek z wody, rozchlapując łukiem drogocenny płyn, wstała, zmierzyła wzrokiem zniszczone domy. Woda sączyła się ze szwów plecaka.

„Jak myślisz, gdzie schowaliśmy ten oddział maszyn bojowych Charlie?” – pytały zawałone mury i kikuty pomp wiatrowych.

– No dobra! – krzyknęła Sweetness Asiim. – Co tu się dzieje?

Gdyby wymarłe miasto mogło rozłożyć ręce i wzruszyć ramionami, to tutaj by tak zrobiło. „Hy?”.

– Pytam, co tu się dzieje?

Oczywiście bez odpowiedzi. Jednakże pył pogładził ją po policzku, poigrał z włosami. Grzechot linek – anteny na wysokiej skale wierciły się niespokojnie. Jęk szkieletów wiatraków. Pył wzbił się wokół podeszew jej pustynnych butów. Łaskotanie czystego zabobonu na karku Sweetness mówiło: „Kolejowa dziewczyno, odwróć się”. Daleko, poza granicą umarłego miasta, poza końcem wzniesień, po powierzchni Wielkiej Czerwonej Pustyni sunął pyłowy wir. Nie wyglądał jak słabiutkie trąby powietrzne z Wyżyn i podbiegunowych pustyń – nie wędrował to tu, to tam, pędzony wichrem jak popadnie. Nie – ciął prosto przez pola wydm wśród łagodnych piaskowych detonacji. Kurs miał stanowczy i zdeterminowany, prosto na wymarłe miasto na urwiskach. Nie, pomyślała Sweetness. Prosto na mnie. I ta sama intuicja mówiła jej, że nie ma sensu uciekać – gdyby nawet w tej strasznej okolicy było gdzie uciec – bo pustynny diabeł dopadnie ją wszędzie, gdzie się ukryje. Wiatr wzmógł się, podrywając nawiany wokół cembrowiny pył, siekąc długimi piaskowymi serpentynami. Sweetness pośpiesznie pozbierała rozrzucone rzeczy, zamknęła mokry bukłak-plecak i owinęła sobie głowę jednym z oddartych rękawów. Wir piaskowy był u podnóża urwisk. Wzg piasku i wiatru, przetykany błyskami piorunów. Jednym skokiem wdarł się na górę. Omiótł ją pył. Przedarła się na zawietrzną stronę studni. Piasek siekł odsłonięte ramiona i ręce. Z trudem udawało jej się zakryć usta i nos. Słyszała o tych pustynnych wirach, które potrafiły rzucić się na stado trzody i paroma kęsami ogryźć je do zakrwawionych kości. Wir rzucił się na nią. Sweetness uniosła ręce, żeby osłonić głowę, i załała ją fala twarzy. Stare, pomarszczone matrony, niebieskookie nastolatki; figlarni, wyszczerzeni włóczykije; mężczyźni o udręczonej minie

w lekarskich kitlach; kobiety w pilotkach; młodzieńcy w walcowatych pielgrzymich kapeluszach, sędziowie, inżynierowie, ludzie w mundurach ROTECH-u, kanciarze i dorywczy robotnicy, twarze aniołów, twarze demonów i twarze istot pośrednich. Twarze i głosy. Głosy modlące się, błagające, żądające, protestujące; głosy prorocत्व i obsesji, głosy dzieci i starych, starych mężczyzn, głosy radiowe i gniewne, głosy ulatujące, zanim ich słowa nabiorą sensu. Głosy i historie. Obrazy dzieci śmiejących się i podskakujących w deszczu, przesywających niebo kolorowych samolocików jak strzałeczki, pancernych stalowych molochów maszerujących przez pola kukurydzy, mężczyzn w długich płaszczach i wielkich kapeluszach ze strzałkowcami w dłoniach, chórów aniołów zawisających nad samotnym pustynnym słupem, dzieci w słojach i kul na stole przykrytym zielonym sukniem. A pośrodku tego wszystkiego postać, może mężczyzny, a może nie, to ostrzaca się, to rozmazująca, jak daleka i bliska jednocześnie, przeskakująca pomiędzy prawdopodobieństwami. W końcu zestaliła się – mężczyzna, jednak, ubrany po pustynnemu, w długim płaszczu, na grzbiecie ciężki plecak zwieńczony czymś, co wygląda jak maszyna do szycia. Ostatnie mignięcie i stał się materialny. W tej samej chwili wir rozwiął się w ostatnią, potężną falę twarzy, wspomnień i szeptów. Postać zachwiała się, wyprostowała.

– Rany! – zawołała. – Znowu tutaj! – A zauważywszy Sweetness gapiącą się nań przez cembrowinę, wycelowana w nią urządzenie podobne do składanej parasolki, które miała przy pasku. – A ty kim, u wszelkiego licha, jesteś?

– Jestem Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII – zaryzykowała Sweetness, a potem, uznawszy, że wycelowana w nią niby-parasolka to kropla, która przelała czarę pełną porwań, oszustw, porzuceń, meandrów i poparzeń, dodała gniewnie: – A ty to kim, kurna, jesteś?

Postać wytrzeszczyła na nią sobie oczy. Gdyby była jakimś ptakiem, byłaby pustynnym sokołem, bystrym, nerwowym i ruchliwym, trochę skórzastym. Piórko na sfatygowanym kapeluszu przydawało ptasiego klimatu, podobnie małe, ciemne oczy, które nie zdradzały, na co patrzą. Długie, elegancko wygięte wąsiki sugerowały zaś inne zwierzę, jakiegoś zagadkowego, uważnego pieska pustynnego, przeżuwacza korzonków i kaktusów, ryjącego nory i poruszającego nerwowo wąsami. W sumie dość osobliwe stworzenie, stwierdziła. Wciąż wbijając w nią wzrok, powiedział:

– Jestem podróżnikiem.

– Ja też – odparła Sweetness. – A skąd?

– Stąd – odpowiedział człowiek.

– To dużo się nie napodróżowałeś.

Człowiek przekrzywił głowę, jakby próbował namierzyć jej duszę.

– Właśnie wróciłem – powiedział po długiej przerwie. – Bardzo długi czas mnie nie było.

Do Sweetness dotarło, że grając w słówka w wymarłym mieście z tajemniczymi podróżnikami, którzy jadą przez pustynię w pyłowych wirach pełnych twarzy, ma dużą szansę zginąć, a po drugie, że od trzech dni żywiła się tylko kieszonkowymi wydaniem romansów.

– A masz coś do jedzenia? – zapytała.

Podróżnik usłyszał błaganie w jej głosie. Strząsnął z ramion ciężki plecak, a Sweetness dostrzegła, że jest o wiele bardziej zawity i skomplikowany, niż się wydawał na pierwszy rzut oka. Miał prętowe anteny, zwoje kabli, baterie migających światełek, miedziane pokrętła, miechy poruszające się tam i z powrotem. Dla kogoś urodzonego na koleji na kilometr jechał energią termojądrową. Pogrzebał w kieszeniach, których miał w płaszczu wielką obfitość. Wyciągnął grono zakrzywionych jak szpony zielonych owoców, zbyt duże jak na kieszeń, w której siedziały, Sweetness była jednak przyzwyczajona do takich transcendencji wymiarowych.

– Te są dobre.

Sweetness zmarszczyła brwi.

– Za parę milionów lat będą supermodne.

Wzięła grono, obrała jeden z haczykowatych tworów. Ostrożnie powąchała – kawa, wanilia i jakiś słodko-kwaśny posmak, jak gujawa, ale nie do końca. Ugryzła. Dla jej karmionego popularnymi romansami żołądka był tak pyszny, że szczęśliwie kęsami pochłonęła całe grono. Wytarła lepkie palce o torbę. Chyba od wejścia na wielką pustynię jadła tylko owoce i papier. Przypomniała sobie obiecaną rybę na błotnych tarasach Therme.

– Milionów lat?

– No bywam tu i tam – odparł podróżnik. – Do samego końca i z powrotem. – Rozprostował palce wskazujące, skrzyżował dłonie. – W obu kierunkach.

– Mam wujka, który tak ma – powiedziała Sweetness.

– Naprawdę? – zdziwił się obcy. Znowu pogrzebał w kieszeni i wyjął zawiniętą w pergamin paczuszkę. – Wczoraj były świeże. – W środku były jasne, kruche rolki z ciasta, wielkości palca.

– Dzięki. – Były nadziewane słodką fasolową pastą. – Tylko że on jest bardziej za tym końcem, rozumiesz – dodała, sypiąc wokół płatkami ciasta.

– Ten twój wujek?

– Bardziej jakby gdzie indziej.

– A, tak. Znam to. Większość czasu jest gdzie indziej, kiedy się dobrze przypatrzeć. To wszystko prawdopodobieństwa, na początku mnie też się wydawało, że poruszam się w przód i w tył, ale teraz wiem, że jeżdżę także na boki. Każdy ruch naprzód albo wstecz trafia do alternatywy wytworzonej przez twój własny pozorny ruch. Podróżuję przez czas ukośnie.

– Niebo jest tam czerwone – ciągnęła Sweetness. – Na ziemi są kamienie i szron. I nikogo nie ma, nie ma chmur, nie ma roślin. Masz może jeszcze trochę tych sajonek?

– Nie wydaje mi się – odpowiedział podróżnik. Wsadził rękę po łokieć do prawej kieszeni. – Na tym właśnie polega problem z ukośnymi, probabilistycznymi podróżami. Znajdziesz coś dobrego, to już nie dasz rady do tego wrócić. Musisz się zadowolić jakąś przybliżoną alternatywą. Czasami jest lepsza. Przeważnie gorsza. Coś takiego może być?

Podał jej zawinięte w folię słone ciasteczko. Uwrażliwiony deserowo nos Sweetness wyczuł nutę zepsucia, ale głód przeważył. Podróżnik zaś chyba po raz pierwszy zauważył, gdzie i kiedy się znalazł. Gdy Sweetness zlizywała z palców zwierzęcy tłuszcz, oglądał martwe miasto.

– Kiedy to jest? – zapytał.

Sweetness podała mu rok i miesiąc.

– To jeszcze długa droga – powiedział. – Chyba powinienem ich ostrzec, choć wiele im z tego nie przyjdzie.

– Kogo ostrzec?

– Ludzi, którzy tu mieszkają. Mieszkali.

Wabiony przez ruiny podniósł swój buczący plecak i ruszył wysuszonymi ulicami, sunąc palcem po zapiaszczonych szczytach zawałonych ścian i zaglądając w rozdziawione usta drzwi do zadławionych pomieszczeń. Sweetness szła za nim, na wpół zaintrygowana, na wpół licząca na kolejny prowiant z bezdennych kieszeni.

– Ci ludzie, którzy tu mieszkali... mógłbym ci wymienić ich imiona i imiona ich dzieci – powiedział. – Albo i imiona ich pra-tysiąc-wnuków, ale wiesz, jaki z tym jest problem? Czy to by była prawda? Tyle jest alternatyw i nie można mieć pewności, że wracasz do tej jednej

właściwej, prawdziwej. To może być w zupełnie innym miejscu historii. – Ruszył przez jałowe pola do czerwonego skalnego domu. – Ciekawe, co się stało? Tak łatwo jest zgubić drobne pod podszewką.

Sweetness zerknęła na niebo. Nadchodził wieczór.

– Podróżujesz w czasie, prawda?

– Tak, dziecko.

– Więc możesz wrócić i sprawdzić, co się stało. – Ten paradoks czasowy podsunął jej nową możliwość. – A właściwie to mógłbyś się cofnąć i zostawić mi jakieś jedzenie i wodę. To by było miłe. Jakieś wygodne miejsce do spania, gdybyś mógł, i wannę. Naprawdę byłoby super, jakbyś mógł mi zorganizować wannę i dużo, dużo szamponu.

– Szamponu.

– Szamponu.

Podróżnik uśmiechnął się. Twarz pomarszczyła mu się jak mocno zużyty stary skórzany portfel.

– Widzisz tę skałę?

– Widzę.

– Mieszkałem tam kiedyś. To mój dom.

– To twoje te wzory na ścianach, co idą do góry?

– Byłaś tam?

– Tak. Przepraszam.

– No cóż, tym razem wchodzisz jako gość, nie jako intruz.

Dziwny człowiek zaprosił ją ukłonem do wejścia i wskazał, że powinna pójść za spiralą czasowych obliczeń aż do jej końca. Ze zrujnowanego pokoju meteo słońce wyglądało jak pęknięte czerwone żółtko kapiące świetnym sokiem na horyzont, a kikuty powykręcanych ram szyb przypominały palce rozpaczliwie próbujące je utrzymać.

– Zostań tu. Nigdzie nie chodź. – Dziwny człowieczek zatrzasnął wokół siebie swój plecak. Pokręcił gałeczkami na rękawie płaszcza.

– A dokąd bym miała iść? – zapytała Sweetness, gdy wiatr znikąd zaczął drzeć z niej spaloną słońcem skórę i wciskać włosy do oczu. – Ej!

– Z czterech stron świata napłynęły twarze, głosy, obrazy. I zniknęły. Podobnie jak on. – Ej... – już miała powtórzyć, lecz choć słowo miała wciąż na języku, gorący wiatr dał jej w twarz, sypał pyłem, twarze majaczyły nad nią, ziewały, jakby miały ją połknąć, po czym zniknęły w swoich czeluściach za krańcem świata.

Człowiek wrócił. A z nim całkowita zmiana. Wysokie pomieszczenie stało się siatką trójkątnych szyb osadzonych w bąblu geodetycznej

kopuły. Niektóre ze świateł były malowane w katarzyńskie anioły. Zachodzące słońce przydawało im boskiego żaru.

Nagle Sweetness zobaczyła, co stoi pośrodku mozaikowej podłogi.

– Ojeju – powiedziała. – Ooo. O.

Wanna była długa, żeliwna i elegancko wygięta, na lwich łapach, ze złotym kranem i wypełniona do dziesięciu centymetrów poniżej brzegu aromatycznie parującą wodą.

– Oraz szampon. – Człowieczek uniósł srebrny dzban, wlał do wody przypominającą nasienie kroplę. – A potem...

Stół z młotkowanego mosiądzu z Llangonedd zastawiony przykrytymi półmiskami *thali*. Pryzma ćapati zawiniętych w miękką serwetę. Złożona serwetka i miseczka różanej wody zapraszały do jedzenia palcami. Człowiek wyjął butelkę z kubelka z lodem i przyjrzał się etykietce.

– Dobrze. Nawet nie wiedziałem, że mam taki gust.

– Co, kur... jak?

– Wskaż, wybierz, skonstruuj. Bardzo duża wrażliwość na warunki początkowe – powiedział, poruszając po czarnoksiężku wąsikami. Z satysfakcją przyjrzał się swemu dziełu. – W moim życiu nigdy nie wychodziło tak elegancko. Ciekawe, co się stało z tym drugim Alimantandem?

– To twoje imię? – zapytała Sweetness.

– Nazwisko. Kiedyś.

– Ale zapisy na ścianach wciąż są – powiedziała.

– No tak – odparł podróżnik.

Podszedł na odległość wymagającą zmrużenia oczu do znaku równości i ruszył śladem równań wstecz. Sweetness pomyślała, że pismo wydaje się świeższe, czystsze, bardziej niebieskie. Jednakże woda była głęboka i ciepła, a ona znów czuła smród włosów...

– Y...

– Zostawię cię z tym – powiedział i pozwolił wzorom wyprowadzić się z pokoju.

Gdy wyplątywała się ze sztywnego od potu ubrania, obejrzała się przez ramię, wypatrując widzów – odruch, po całym życiu spędzonym w bezpośredniej bliskości innych. Za witrażowym szkłem nie było miasta, ścian, ruin. Czerwona skała stała na urwisku, a obok niej biegł stalowy tor. I to wszystko. Usiłując nie łamać sobie głowy paradoksami podróży w czasie, wśliznęła się do gorącej wody. Skrzywiła się, gdy dotknęła oparzeń słonecznych. Kąpiel była dobra, otulająca i długa, a wcierając szampon we włosy, śpiewała piosenki ze starych burlesek. Suszarki nie

było, ale po prostu otrząsnęła włosy jak pies i przyjrzała się sobie w stojącym lustrze, sprawdzając, czy nadal jest tak śliczna, jak pamięta.

Nieśmiało dotknęła palcem strupa po oparzeniu na policzku, obróciła się profilem, by zerknąć, czy drobne piersi utraciły wskutek pustynnych wyrzeczeń coś, na czego stratę nie może sobie pozwolić. Nadal są świetne, uznała i owinęła się jedwabnym szlafrokiem, pokrytym kolejnymi matematycznymi symbolami. Noc już zapadała, nad szklaną kopułą skrzył się łukiem księżycowy pierścień. Rozsiadła się w wiklinowym fotelu przy oknach i obserwowała, jak niecierpliwie księżycowe bliźniaki gonią się nawzajem w górę nieba.

Mam tu człowieka, który może zrobić wszystko, przedstawiając historię, pomyślała. No to co jeszcze mógłby dla mnie zrobić?

Człowiek we własnej osobie zajrzał przez drzwi ze schodów. Był ubrany w welurowe pumpki do kolan i surdut zapięty na sutasze. Wąsiki miał wywoskowane do śmiercionośnej ostrości.

– Czy... może...?

– Skończyłam? Tak.

– Dobrze. A zatem spożywajmy.

Skłonił się po deuteronomijnemu, prowadząc ją na miejsce, odsunął jej krzesło, zamasztył gestem rozłożył serwetkę.

– Dziękuję – odpowiedziała urzeczona. Jedyne przyzwoite mężczyzna, jakiego spotkałam od... rany boskie! Od lat!

– Cała przyjemność po mojej stronie, naprawdę – odrzekł podróżnik. – Ostatnimi czasy mało miałem okazji do przyjmowania gości.

Ciekawe, które to te ostatnie czasy, pomyślała Sweetness. A na głos dodała:

– Mam jedno pytanie. Gdzie się podziało miasto?

– W tej linii czasowej nigdy się nie wydarzyło. Za to ja na oko jestem w niej jakimś bon vivantem. – Wskazał swój strój, nakrycie stołu. Podsunął półmisek suszonych na słońcu mięs.

Sweetness nałożyła sobie kopiastą porcję.

– Zjesz tego tyle na pusty żołądek, będziesz mieć sraczkę.

– Żywiłam się romansami – odparła Sweetness.

– Naprawdę. Nadzwyczajne. Ale nie wątpię, że mało pożywne. Większość opowieści jest mało treściwa. Dużo ludzi uważa, że ich życie to opowieść, lecz się łudzą. Zero struktury, zero ciągu narracyjnego, żadnej dramaturgii. Po prostu ciągi zdarzeń.

– Nie u mnie. Raz spotkałam takiego typu, który mi powiedział, że jestem taką opowieścią, no, przynajmniej przez jakiś czas.

– Większość z nas jest co najwyżej przez jakiś czas.

– Dziwny był ten człowiek. Chyba był zielony.

Wyelegantowany podróżnik zadławił się, jakby przełknął truciznę.

– Słucham?

– Miał taki maluteńki namiocik-jurtę przy torach, tylko że, oczywiście, jak człowiek obejrzał się przez ramię, to go tam nie było, no i powiedział: „Wszystko wie, wszystko słyszy, wszystko widzi...”.

– Przeszłość terażniejszość przyszłość – wciął się podróżnik. – Odsłoń okno czasu... Masz pojęcie, młoda damo, masz w ogóle pojęcie, ile czasu ja szukałem tego... przytorowego hochsztaplera, tego wróżbity losów i czasów?

Sweetness zobaczyła błysk w jego oku, uniesienie wąsów, ostrość w głosie, które ostrzegły ją: „Szarmancki, czy nie, jesteś z nim teraz, nie ma nikogo więcej i nawet nie wiesz, w jakim wszechświecie wylądowałaś”.

Ale podróżnik już się rozkręcił.

– Ten... prorok, ten tkacz historii... – perorował. – Ten zielony człowiek, o którym tak beztrąsko mówisz; on mnie tu doprowadził, drażniąc się ze mną, drwiąc i szydząc przez całą pustynię, aż do tej czerwonej skały, pod którą mnie porzucił; to on, jeśli w ogóle ktokolwiek, jest założycielem miasta, które tu czasami istnieje, a czasami nie; to on jest przyczyną wszystkich tych symboli na ścianie, wszystkich co do jednego, to on jest powodem, dla którego wciąż podróżuję w czasie, tam, z powrotem i na boki; to on. Wróżyć z fasolek? Z nasionek? Z kości? Oczywiście! Żaden problem, pewnie, że jest w stanie przepowiedzieć przyszłość, bo sam jest przyszłością. Ma w sobie czas, tak jak ty masz powietrze, którym oddychasz, i jedzenie, które zjadasz! Spotkałaś tego zielonego człowieka! Ach! Byłem miliard lat naprzód i miliard lat wstecz, widziałem słońce nabrzmiałe jak płonący brzuch ciężarnej męczenniczki i nasz świat jak kulę bulgocącego żużlu; widziałem pierwszą wiosnę, miliard lat temu na młodym świecie – wtedy żyły tu istoty, dziewczyno, których w ogóle nie uznałabyś za żywe. Podróżowałem przez mroźne lata, widziałem, jak dzięki nim wypiętrzają się diamentowe słupy Doliny Marinerów. I podróżowałem na boki – odwiedzałem dziwne i wielkie cywilizacje, osobliwe i nieludzkie; patrzyłem, jak floty Świata Ojczystego i naszego podpalają niebo swą bronią; widziałem ten świat we wszystkich jego kolorach, czerwony, zielony, niebieski, biały, żółty; stałem u stóp tytanicznych piramid i gór wyrzeźbionych w nieznaną twarz. I wszędzie na przestrzeni tych miliardów lat i linii czasowych widzę ślady tego

zielonego człowieka, mentora i prześladowcy i zawsze przybywam jedną chwilę za późno, dzień za wcześnie, ulicę czy dwie za daleko – a ty, kolejowa dziewczyno, mówisz mi, że po prostu spotkałaś go w jakiejś... jakiejś... przytorowej faweli! Powiadam ci więc: twoja opowieść musi być zaiste potężna, skoro zdecydował się w niej wystąpić z czasu, by przedstawić ci wróżbę. Chyba więc muszę się dowiedzieć wszystkiego o tobie, Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistko XII. Opowiedz mi, co sprowadziło cię stamtąd tutaj. Niczego nie pomijaj.

Zatem nie pominęła. Kiedy opowiedziała wszystko, wschodnia krawędź świata już barwiła się fioletowo. Podróżnik często przerywał jej pytaniami, na które nie umiała odpowiedzieć. Po każdej z jej półodpowiedzi miał coraz bardziej poważną minę. Zaczął nawet podkręcać wąsiki w nieświadomym tiku lękowym.

– No i jestem – zakończyła Sweetness i szklany pokój nagle teatralnie rozświetlił się czerwienią, gdy krawędź świata opadła poniżej górnego brzegu słońca.

– To rzeczywiście poważna sprawa. Pomijając już fakt, że Błogosławiona Pani z Tharsis postanowiła objawić się jako twoja świętej pamięci siostra – choć oczywiście boskie decyzje z definicji wykraczają poza nasze pojmowanie – to jeśli ten Burzyciel Harx ma ją teraz w swojej władzy, ma dostęp nie tylko do całej struktury dowodzenia ROTECH-em, co już źle wróży dalszemu życiu na tej planecie, ale i do procesorów strunowych, które pomogły ten świat zbudować. A to źle wróży całej rzeczywistości, wszędzie.

– To problem? Możesz się cofnąć w czasie i go zatrzymać.

– Nie tak łatwo.

– Wyczarowałeś to miejsce z jakiejś innej linii czasowej, a nie jesteś w stanie nakopać Burzycielowi Harxowi?

– To problem lokalności. Potrafię silnie wpływać na zależne od czasu zdarzenia tutaj, w tak zwanym epicentrum, ale jak przesuwam się dalej, prawdopodobieństwo spada. Powyżej stu kilometrów wszystko wraca do bazowej linii rzeczywistości. Możesz mnie uważać za coś w rodzaju ludzkiej funkcji falowej.

– Czyli mówisz, że nie jesteś w stanie nakopać Burzycielowi Harxowi.

– Tak, tak mówię. A zresztą, nawet gdybym był w stanie, nie powinienem. Rozumiesz, dlaczego?

– Chyba tak – stwierdziła Sweetness.

Podczas pełnej słów nocy, gdy wydobywali się z niej ludzie i zdarzenia, sam akt opowiadania odsłonił pewien porządek, organiczną

konstrukcję jej przeżyć. Ona nie narzucała historii swej opowieści. Historia w niej tkwiła, rozedrgana i żyłasta, w każdym uczynku, jak wyścigowy chart czekający na swą kolej na torze. Nic się nie zdarzało tak po prostu, wszystkie zdarzenia miały związek, jasny i klarowny. Pomyślała o przepowiadających przyszłość patyczkach zielonego człowieka i ich wyimaginowanych przedłużeniach w przyszłość i w przeszłość.

– Chodzi o tę historię, tak?

– Ty mi powiedz – dodał podróżnik.

Kiedy się uśmiechał, tak jak teraz, kojarzył się Sweetness z wujkiem Neonem. Wcześniejszym. A trochę i późniejszym, pomyślała.

– W tej opowieści Sweetness Octave przechodzi przez pustynię i przeżywa liczne przygody, zanim dopadnie Burzyciela Harxa i jego ministrantów, uratuje Świętą Panią z Tharsis, uratuje świat i po drodze, miejmy nadzieję, nakopie Serpiowi do dupy.

– Tak mniej więcej to wygląda.

– Mała Maszynistka, której nawet nie wolno prowadzić pociągu, atakuje typa, który potrafi wpływać na to, co jest rzeczywiste, a co nie, i wygrywa?

– Tak właśnie wygląda ta opowieść. A na ile ja się na nich znam, najpierw się popieprzy, dopiero potem się polepszy.

– Jest tylko jeden problem.

– Mianowicie?

– Jak się mam wydostać z pustyni?

– A, to, wydaje mi się, jest akurat rozdziałem mojej opowieści. Prześpij się teraz parę godzin, a ja zobaczę, co mi się uda zmajstrować.

Sweetness położyła się do łóżka z brokatowym baldachimem w pokoju z wysokim, małym okienkiem wychodzącym na południe na wielki erg. Dojmujące wrażenie, że przepływają przez nią inne życia, wytrąciło ją z tych halucynacji, jakie miewa się tuż przed zaśnięciem. Potem drgnęła i osunęła się głową naprzód w sen, w którym śniła, że jest dziewczyną, która śpi w łóżu z baldachimem, a przez okno wieje pustynny wiatr i że śni się jej, że we śnie świat, bez odrobiny ostrzeżenia, zmienia się gwałtownie. Obudziła się i tak się właśnie stało.

Leżała na szerokim bladym łóżu w wysokim, bladym pokoju zawieszonym powiewnymi płatami bladego muślinu. Światło za pozbawionym szyby oknem powiedziało jej, że jest popołudnie. Wiatr już nie pachniał pustynią, lecz warzywami nawożonymi odchodami. Kiedy

zerknęła przez ażurowe warstwy muślinu, wydało się jej, że w nogach łóżka widzi widmową postać.

– Halo?

– Tak, pani?

Przedarła się przez tkaninową mgłę. Nie duch, materialny osobnik, przysadzista, niska kobieta, nastoletnia, ubrana we wszechobecną bladą, cienką bawełnę, w dziwnej, stożkowatej, przechylonej do przodu czapce.

– Kim ty jesteś?

– Jestem Bennis. Mam pomóc się pani ubrać i przygotować do podróży.

– Co ty tu, kurna, robisz?

– Słucham nauczyciela, służąc pani.

– Nauczyciela? Zresztą nieważne.

– Proszę. – Bennis uniosła ubrania Sweetness. Wyglądały na bardzo czyste i pachniały lawendą.

– Jesteś akolitką?

– Mam zaszczyt nią być, tak – odparła dziewczyna.

– Ale dziękuję, ubiorę się sama.

Podróżnik czekał na nią na dole przy torach. Garstka akolitów, identycznych w bladych habitach i stożkowatych czapkach, tworzyła wokół niego pełen szacunku krąg. Rozstąpili się, by ją przepuścić.

– Dzień dobry, dzień dobry, dzień dobry! – zagrzmiał podróżnik. – Ufam, że jesteśmy odświeżeni i w pełni sił? Świetnie, świetnie, świetnie. I proszę, czyż to nie wspaniałe urządzenie?

Istotnie było wspaniałe, całe z mosiądzu, drewna i grawerowanej stali. Stało stabilnie na dwóch wózkach, lecz Sweetness nie widziała żadnych kół napędowych ani niczego, co by przypominało silnik.

– Jak? – zapytała.

Podróżnik wskazał niebo. Dwanaście wielkich skrzynkowych latawców fruńło w szyku trzy na cztery. Sweetness wytrzymała wzrok, próbując wypatrzyć uwięź, lecz wydawało się, że wiszą nietrzymane niczym poza charyzmą. Zauważyła jednak jakieś migotanie wokół głowy rzeźbionego Lorarchy, stanowiącego galion szynowego jachtu, aureolę, coś jak pajęczyna na wietrze. Podeszła, by się przyjrzeć.

– Lepiej za blisko nie podchodź – ostrzegł podróżnik. – Włókno diamentowe. Bardzo sprawnie i gładko ucina palce.

– Skąd się to wzięło?

Sweetness skierowała się ku bezpiecznemu patynowanemu mosiądzowi – już gorącemu od pustynnego słońca – i misternym

metalowym ażurom.

– Wynalazłem to, oczywiście. Ci ludzie mówią, że pięć lat temu wyjechałem tym czymś z burzy piaskowej, która trwała całą porę roku, tym samym kończąc ją i ratując ich osadę. W tej historii uprzedzają mnie o dobre dziesięć lat.

– No właśnie miałam zapytać. Kim są ci ludzie?

– Pierwotnie to był jakiś słupniczy zakon. Katarzyńska sekta, bardzo spokojni ludzie. Uważają mnie za wielkiego nauczyciela.

– Nauczyciel jest Skandawą – odezwał się jeden z akolitów, chudy, o zapadniętych policzkach.

– To znaczy, że mieszka pomiędzy rzeczywistościami – uściśliła tęga kobieta obok niego.

– No i widzisz – dodał podróżnik. – Dawaj rzeczy.

Schował torbę Sweetness do skrzynki, potem sam wskoczył na stopień. Zwrócił się do wyznawców, trzymając zawadiacki kapelusz w jednej dłoni.

– A zatem, moi dobrzy ludzie, ja, wasz świetny i niespotykany nauczyciel, żegnam się teraz z wami. Czekają mnie sprawy pomiędzy wymiarami. Nie potrafię powiedzieć, jak długo mnie będą zajmować i kiedy będę w stanie do was wrócić, ale zapewniam was, wrócę. Wypatrujcie mnie w zimowych burzach i letnich błyskawicach, w niespodziewanych trąbach powietrznych i dziwnych snach. A teraz najwyższa pora ruszać. – I dodał, zwracając się do Sweetness: – To jak, jedziesz?

Przeskoczyła przez mosiężny reling. Podróżnik zasiadał w jednym z dwóch obszytych guzikami skórzanych foteli, pod markizą na uniesionym achterdeku. Przed sobą miał koło hamulcowe, naktuz, różę wiatrów i zestaw mosiężnych dźwigni. W jej sercu nagle zakipiła dawna ambicja, stłamszona i prawie zapomniana.

– Mogę o coś poprosić?

– Proś śmiało – odparł podróżnik, wyciągając z jednej z niezliczonych kieszeni płaszcza przydymione okulary słoneczne o szklach grubych jak gomółki.

– Mogę prowadzić?

– Ster jest twój – odrzekł podróżnik, robiąc ręką szeroki gest.

Sweetness weszła na podest. Dotknęła gorących, lśniących mosiężnych wajch, szprych koła hamulcowego. Kompas pokazywał zachód, róża wiatrów meldowała stabilne trzydzieści węzłów na wysokości dwustu metrów, kierunek południowo-południowo-zachodni.

Oślaniając oczy ręką, spojrzała na latawce. Podskakiwały i szarpały się, nie mogąc się doczekać. Nie bardzo to podobne do termojądrowego tokamaka i kotła na przegrzaną parę. A to w dłoni to nie przepustnica. Nie ma parowych organów, potrójnej parowej syreny, ale jest mosiężny dzwon. A tory ciągną się przed nią na wprost i czuje, że szynowy jacht aż dygocze z niecierpliwości na swych wózkach, mówiąc: „Dawaj, prowadź mnie, puść mnie po tej długiej linii, niech jadę, pani Maszynistko. Skieruj mnie tam, dokąd zechcesz”.

Sweetness pomachała rękoma do katarzynów. Rozstąpili się pokornie. Ujęła w dłonie dźwignię hamulca i ją zwolniła. Koła zgrzytnęły, wiatr zagrał w niewidzialnej diamentowej nici. Wózki potoczyły się, najpierw powoli, tak powoli, że nawet Sweetness, przyzwyczajona do subtelności wielkich pociągów, nie była pewna, czy koła się kręcą. Pisnęła radośnie. Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII, wściekle waląc w wielki mosiężny dzwon, przejechała szynowym jachtem przez szeregi uprzejmie wiwatujących słupników i popędziła w głąb Wielkiej Czerwonej Pustyni.

Przy linii transoxiańskiej była sobie kopuła zwana domem. Był to przedwieczny hermetyczny bąbel z czasów przed humanformacją, pomarańczowy i przypominający cycek, ze sterzącym sutkiem wymiennika ciepłego na czubku. Stał tam od ośmiuset lat. Wszędzie indziej byłby cały obklejony tabliczkami „zabytek”, byłby w centrum historycznego parku lub skansenu. Tutaj, w słabo uczęszczanym Wielkim Oxusie, powyrywano z niego panele atmosferyczne, wymontowano rury wymiany gazowej, a nieskazitelną powłokę kopuły byle jak poprzebijano wysokimi oknami i lukarnami. Berya i Laventine Prestaine’owie byli spadkobiercami tego aktu wandalizmu. Oni i ich przodkowie od pięciu pokoleń mieszkali tu wśród owiniętych w szary papier paczek. Prestaine’owie byli rasą funkcjonariuszy pocztowych obsługujących rewiry o promieniu jednego dnia drogi. Nad linią kolejową wisiały suwnice przypominające modliszki, pomysłu pewnego Prestaine’a drugiego pokolenia, przygotowane z pomocą heliografów i mechanizmów zegarowych, by zręcznie zgarniać pocztę z szybko jadących pociągów i bezpiecznie wrzucać ją w siatkę do lacrosse. Ubrania, sprzedawane wysyłkowo nasiona, lemieszki do pługów, części zamienne, zboreżne książki, sprzęt sportowy, kosze na imprezy, instrukcje i podręczniki, tapety i farby – wszystko to było porywane z wieżyczek pocztowych wielkich pociągów transkontynentalnych i wyrzucane wysoko. Sprężynowy transport linowy przenosił to błyskawicznie ze złej strony torów na dobrą, gdzie wędrowało po linie na górę i przez lukarnę wpadało do oświetlonej słońcem sortowni. A tam Berya i Laventine, obecnie po dwudziestce i bezdzietni dla dobra puli genetycznej, sortowali to ubrani w identyczne żółte pocztowe fartuchy. Najwyższy wycinek kopuły

w całości zajmowały przegródki z wypalanej gliny, w dużej mierze zajęte przez zakurzone szare przesyłki o adresach wyblakłych do sepia mocą wędrującego przez kopułę słonecznego trapezu. To były sieroty i wdowy, paczki niekochane przez nikogo i nieodebrane przez przyjeżdżające dwa razy w tygodniu doręczycielki na trójkołowcach.

Tego ranka w stronę kopuły szła kobieta ubrana na czarno. Jak na swój strój staruszki poruszała się trochę zbyt zwawo. Kopała kamienie, od czasu do czasu podskoczyła, szła po szynie jak po równoważni, z rękoma wyciągniętymi na boki. Oślepił ją chwilowy błysk słońca – z sutka obserwacyjnego patrzyła na nią soczewka optyczna. Beria, za okularem optikonu, zahuczał:

– Lavvy! Lavvy! Idzie! Idzie!

Jego siostra uniosła wzrok znad wiklinowego koszyka z przesyłkami.

– Idzie?

– No, tam idzie.

– Gdzie?

Popędziła po rampie idącej spiralnie wzdłuż wnętrza kopuły, mijając setki opisanych przegródek, część kodami, część alfabetycznie, poźółkłą i łuszczącą się taśmą klejącą.

– Kobieta! – obwieścił Berya. – Idzie na piechotę!

Skórzany okular optikonu potwierdził to zdyszanej Laventine.

– Na piechotę czy nie na piechotę, musimy ją obsłużyć – oświadczyła starsza siostra. – Trzeba stanąć w okienku.

– W okienku! – zagruchał głupawy Berya, tępy jak gołąb.

I stali tam oboje, obok siebie, gdy pod chłodną, pasiastą markizę zawitała babcia Taal. Datowniki mieli ustawione, księgi otwarte, ołówki zatemperowane, znaczki gotowe do oderwania, wagi wytarowane, bloczki paragonów potrójnie przełożone kalką, gąbeczki ciepłe i nawilżone, na kciuki założyli gumowe nakładki. Wszystko było przygotowane na dowolną wyobraźalną operację pocztową.

– Nadanie czy odbiór? – zapytali jednocześnie.

– Słucham? – zapytała babcia Taal.

– Chce pani odebrać przesyłkę, w tym przypadku proszę podać nazwisko, adres i dowód tożsamości ze zdjęciem, czy chce pani nadać przesyłkę, w tym przypadku następny transport jest o dwudziestej trzeciej piętnaście nocnym pociągiem sypialnym. – Laventine Prestaine wgapiła się w babcię Taal jak sowa z zatwardzeniem. Beryi z lewego kącika ust wypełzała cienka strużka śliny.

– Dwudziestej trzeciej piętnaście? – powiedziała babcia Taal.

– Dokładnie, proszę pani.
– Miałam nadzieję zdążyć na lokalny o czternastej trzy.
– O czternastej trzy? – Laventine spojrzała zszokowana na Beryę.
– Czternastej trzy? – powtórzył Berya, wytrzeszczając oczy na siostrę.
– Proszę pani, tego już dawno nie ma.
– Dawno dawno nie ma nie ma – zaintonował Berya.
– Ale mój rozkład... – Babcia Tall wyciągnęła *vademecum*, potrząsnęła nim, jakby podejrzewała, że mechanizm nie styka lub baterie nie kontaktują.

– Przejęcie. Cały czas tak jest na tej linii. Jedni drugich wykupują, na kredyt. I tną siatkę połączeń, ciach-ciach-ciach – rzuciła z samozadowoleniem Laventine. – Najpierw wszędzie dają korporacyjne loga, a potem odwołują kolejne pociągi.

– To kiedy mogę złapać jakiś pociąg? Bo ja koniecznie muszę złapać pociąg.

– Pani szanowna! – zadrwiła Laventine. – Gdzie pani myśli, że jest? Tu nie Dworzec Główny w Południku. Tu jest Centrum Obsługi Przesyłek Wingèd. Nasi pasażerowie są nieożywieni – przeważnie – i zapakowani w szary papier. Paczki, w skrócie. Paczki, proszę pani.

– Muszę złapać pociąg, bo moja wnuczka... jedyna wnuczka... jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Błaganie babci Taal trafiło w warstwę zinstytucjonalizowanego kazirodztwa wrosniętą od tyłu w gałki oczne rodzeństwa i odbiło się jak błysk pierścienia księżycowego od oczu wytrzeszczonego nań kota. Położyła na ladzie zdjęcie Sweetness. Berya jak atakujący wąż złapał stempel, uniósł go do ciosu. Laventine ledwie zdążyła ściągnąć go z powrotem na poduszkę z tuszem.

– To moja wnuczka.

Dwójka upierdliwców zacmokała i nadęła się nad zdjęciem. Potem pokręcili głowami.

– W życiu jej nie widzieliśmy.

– Nie było takiej, nie ma, nie...

– Pewnie byłaby w towarzystwie bielmowatego chłopaka.

– Bielmo... watego?

Babcia Taal opuściła dolną wargę i wywróciła oczyma. Pocztove bliźniaki aż się cofnęły.

– Czarne włosy, jak gawron. Brudnawy. Niska kasta.

Bliźniaki zerknęły po sobie, żeby sprawdzić, czy drugie na pewno też kręci głową.

– Nazywa się Serpio. Toromistrz. Kolejowy.

– Toromistrz? – Berya wzdrygnął się, jakby to skojarzenie było bolesnym tikiem. Zerknął na Laventine. – Lavvy, Lavvy, Lavvy! Toromistrz! Kolejowy! – Dźgnął się palcem w policzek i przewrócił lewym okiem.

– Mój brat coś, zdaje się, kojarzy – powiedziała Laventine.

– Pani brat... coś, zdaje się... niepełnosprytny – rzuciła łagodnie babcia Taal.

– Sprawdzę w księdze – odparła ostrożnie Laventine. Wielkie i miękkie żółte stronice załamały się w fale, po tych falach posurfował pajęczy miedzioryt. Palec wskazujący dźgał nazwiska i daty wysyłek. – A, mam. Tak. Wspomniany dżentelmen istotnie zlecał nam pewną liczbę przesyłek. A w dodatku... – Obejrzała się przez ramię, zmarszczyła brwi, wyciągnęła z kieszeni fartucha skomplikowane składane okulary i zerknęła przez nie, mrużąc oczy, w zapyłone, poprzecinane snopami światła wnętrze kopuły. – Wiedziałam, wiedziałam! Ma coś do odebrania na Zwrotach.

– Mogę to zobaczyć?

Laventine Prestaine przekrzywiła głowę w drugą stronę.

– Tego raczej nie praktykujemy.

– Ale moja wnuczka...

Laventine zademonstrowała babci Taal, na ile sposobów potrafi zasznurować usta, po czym odrzekła:

– Dobrze. Berya!

Oddała kwitek z bloczka, przykleiła go Beryi taśmą do wierzchu dłoni i wskazała mu drzwi.

– Na Zwrotach!

Kiedy szedł spiralnie w górę, a potem w dół, babcia Taal wypróbowała swój nowy ostry wzrok na nieubłaganej perspektywie linii kolejowej. Ani obłoczka pary, ani punkcika czarnej stali w rozfalowanym powietrzu, zameldował nieomylnie. Berya Prestaine położył paczkę na ladzie. Była opakowana w szary papier i związana, schludnie, białym sznurkiem. Miała książkowy kształt, książkową wielkość oraz, kiedy babcia Taal wzięła ją do ręki, także książkową wagę.

– Czy mogę?

Prestaine'owie zareagowali, jakby nieoczekiwanie zaproponowała, że zerżnie ich pięścią.

– Otworzyć, otworzyć, otworzyć? – zajęczał Berya, przeskakując z nogi na nogę jak zwariowana majna.

– Tu jest Centrum Obsługi Przesyłek w Wingèd! – zagrzmiała Laventine, rozprostowując się na pełną wysokość. – Prestaine’owie obsługują pocztę od czasów Poczty Rakietowej. Powierzyła nam to sama Święta Katarzyna! Nasze zobowiązania to świętość. Świętość! – Zrobiła wyniosłą pauzę, po czym dodała: – Ale może pani pomacać.

Babcia Taal przesunęła dłońmi po konturach paczki. Była wielkości książki, kształtu książki, o wadze książki i – absolutnie – w dotyku jak książka.

– To jest adres nadawcy?

Laventine zerknęła na nalepkę z tyłu.

– Istotnie i ma pani szczęście, że jeszcze tam nie wylądowała.

– Kościół Wiecznie Krażącej Duchowej Rodziny.

– Zdziwiłaby się pani, ile mamy przesyłek od tych wszystkich wysyłkowych religii.

– Czy wysyłał tu inne przesyłki?

Laventine zacisnęła wargi, uzbrajając kolejną srogą reprimendę, a potem ze złością pokręciła głową i przewertowała księgę.

– Tak, tutaj, tu, tu i tu. – Babcia Taal nie potrafiła nic wyczytać z czarnych chitynowych bazgrołów, ale odstęp między wpisami podpowiedziały jej, że to się zdarza regularnie. – A, o, i tutaj, i tu, i tu...

– Rozumiem, dziękuję. Wszystkie wysyłane z Molesworth?

Laventine nachyliła się nad nalepkami przy podpisach.

– Na to wygląda.

– Molesworth.

– W Chimerii.

– Moja dobra kobieto. – Babcia Taal zeszywniała, rozchyliła nozdrza. – Jestem Maszynistką. Dobrze wiem, że to znaczna odległość.

Wiek, niegdyś przyzwyczajony do należącego szacunku, niechętnie z niego rezygnował.

– Pociągiem – ćwierknął Berya.

– A jakżeby inaczej? – warknęła babcia Taal, lecz rozkład jazdy w jej głowie już wytyczał trasy, robił mapę przystanków na żądanie i dochodził do coraz wyraźniejszego wniosku, że babcia o napędzie parowym przegra wyścig z córką na siodełku terenowego motoru.

– Zara-zara-zara! – wykrzyknął Berya, biegnąc pod kopułę i radośnie wymachując ramionami.

– Może i mój brat nie jest najbardziej kumaty, ale pocztę czuje jak nikt inny – oświadczyła dumnie Laventine.

Wrócił, dzierżąc zgrzaną plastikową kopertę opatrzoną napisami „prioritaire” i „expressissimo”. „Wyłącznie do rąk własnych adresata” – ostrzegały czerwone napisy w rogach.

– Ach tak! – Laventine spojrzała na adres. – O tym prawie zapomniałam. Dostaliśmy wiadomość przez radio, co nie, Berya?

Kiwnął głową.

– Superważne. Mają to dzisiaj odebrać. Osobiście. Do rąk własnych.

Pokazała kopertę babci Taal.

– Orkiestra Glenna Millera – odczytała babcia.

– Gwiazdy wcale nie tak rzadko podjeżdżają pod naszą kopułę. Ale adres, kobieto, patrz na adres!

– Dyrektor muzyczny, w drodze, Molesworth, Chimeria/Port Przesilenia.

Laventine i Berya Prestaine’owie wyprostowali się za swoim obitym skórą kontuarem, zupełnie jakby sami wyczarowali tę całą aferę, ze stali, piasku i papieru pakowego.

* * *

I tak oto o północy babcia Taal już tkwiła wklonowana pomiędzy puzonami i pierwszymi klarnetami, dręczona dymem z cygaretek, z kością ogonową obitą po ośmiu godzinach podskakiwania na każdym kamieniu i dołku na trampasach Portu Przesilenia. Kolejowi i muzycy, mimo duchowego braterstwa i odwiecznej współzależności, nigdy sobie do końca nie ufali. Babcia Taal miała zbyt wiele wspomnień o zdemolowanych wagonach restauracyjnych i seksualnych swawolach w kuszetkach. Mieli w sobie coś jednocześnie nadmiernie luzackiego i przerażająco profesjonalnego, przetykali luźne gadki technicznymi terminami, których informatycy czy geofizycy, z podobnie uświęconymi tradycją zawodowymi słownikami, nigdy nie śmieliby użyć w normalnej rozmowie. Mówili o całych nutach, ośmiu taktach, o bluesach męskich, damskich i dziecinnych. Wypowiadali zdania, w których liczyło się sylaby i mówiło: *pa-pa-pa-pa, pa-pa-pa-pa, papapa*. Zachwycali się wah-wahami i wyciszeniami, nachylali się do siebie, żeby wypróbować szeptane rytmy, *da-da-daa*, nie, może *dat-da-didit-da*, wchodzisz równo na jeden i potem dwa-trzy-cztery-pięć-sześć-siedem-i, a jedna dłoń taktuje na pięć ósmych, a druga noga na jedenaście czwartych. I nic nigdy nie nazywali, jak trzeba. Waltornia to krzywa, klarnet to kłopot, bębny – barabany, bas – gruby, gitary – wiosła, saksofon – saks. Seks, seks, seks, seks, jeden

seks. Uprawiali publiczne czułości ze swymi slangowymi kochankami, niczym nastolatki w parku, dmuchali w dziurki, wtykali języki do szparek, przesuwali palcami tam i z powrotem po mosiężnych sutkach, wciskali zaciśnięte w pięść dłonie do łagodnych rozchyleń. Ich higiena zawodowa polegała na używaniu ogromnych ilości śliny i szmat. Palili gigantyczne ilości konopi. Wnętrze czarnego autokaru było jak oblepione niebieskim smrodem. Babcia Taal nie była już przekonana, że kierująca w ogóle panuje nad tym przegubowym drogowym pociągiem. Ta dziewczyna w goglach chyba specjalnie celowała we wszystkie górki i dołki. Babcia Taal nawet już przestała się tym przejmować. Nachyliła się, żeby krzyknąć do wysokiego faceta w okularach, siedzącego na ławeczce obok kierującej o zaciętej twarzy.

– Długo jeszcze?!

Facet w okularach, człowiek-legenda, krzyknął coś do kierującej dziewczyny, która coś odkrzyknęła, nie odrywając wzroku od ciemniejących trampasów.

– Mówi, że jak dojedziemy, to będziemy – przekazał muzyk.

– Ale moja wnuczka...

Lider zespołu nachylił się do babci Taal.

– Pokaż mi jeszcze raz.

Wyłowiała zdjęcie z czeluści wszechświatowej torebki. Robiło się już wystrzępione po brzegach, celuloidowe pokrycie pękało i rozcapierało się w miękkie białe halki kolejnych warstw papieru. Glenn Miller pokazał je kierującej. Zsunęła gogle przeciwpyłowe, przyjrzała się dokładnie i wrzasnęła na Króla Swingu. Kiwnął głową.

– Musimy dojechać na jutro na piątą, ale ona postara się zdążyć dzisiaj, jeśli nic się nie posypie.

Nic się nie posypało.

Babcia Taal nie czekała długo w Wingèd, to zresztą dobrze, bo Prestaine'owie nie byli przyzwyczajeni do gościnności i ich gość mógł umrzeć z głodu, pragnienia lub udaru słonecznego, zanim przysłoby im do głowy zaproponować jedzenie-picie-cień. Słup pyłu po drugiej stronie torów zmienił się w czarną kropkę pojazdu, która zmieniła się w nieprawdopodobne ustrojstwo, długą czarną rurę, wysadzaną antenami i ruchomymi reflektorami, z okienkami po bokach i nosem owiniętym lustrzaną szybą, niczym wąż w ciemnych okularach. Jechało toto na trzech parach wielkich, baloniastych piaskowych opon i miało dwa przeguby, które przydawały mu dyskretne kołysanie. Autobus, który próbuje udawać pociąg, pomyślała wżgardliwie babcia Taal, gdy wehikuł

przetoczył się bez szacunku przez tory i zatrzymał pod kopułą Prestaine'ów.

ORKIESTRA GLENNA MILLERA – TRASA KONCERTOWA! – obwieszczały metrowe litery na boku autokaru. *Legendarni Królowie Swingu!* – dodawały po namyśle mniejsze litery. Drzwi się otworzyły, buchnął aromatyczny dym, za nim wypłynęła fala rozkaszanych Królów Swingu. Ostatni był sam Mistrz we własnej osobie, Glenn Miller, z puzonem pod pachą. Stał u szczytu schodków i marszczył się, patrząc przez grube szkła na to zabite dechami miejsce, w którym się znalazł. Babcia Taal jak większość kolejowych nie miała wielkiego szacunku dla celebrytów i legend. Bogowie tak jak ludzie płacą za bilet. Była gotowa potraktować tego człowieka, tego muzyka, tego lidera zespołu, nagrywacza płyt, gwiazdę radia i anioła szafy grającej, markiza klimatu, earla luzu i księcia jive'a, tę legendę, która co wieczór wprowadzała ciemną stronę planety w rytmiczny ruch, jak jednego pasażera z wielu. Jednakże kiedy zobaczyła go na tym najwyższym stopniu, z popołudniowym słońcem odbłyśkującym od czary puzonu, w zapyłonych okularach, nie była w stanie. Wszystko w nim mówiło: „Tak, jestem tym wszystkim, ale to nie ma znaczenia, bo czy to jest, czy przypadek, zawsze byłem i zawsze będę autentyczny”. Po kręgosłupie babci Taal przeszedł dreszczyk autentycznego podziwu.

Na to, babciu Maszynistko, człowiek nigdy nie jest za stary.

I jeszcze jaki miły – bo kiedy przyszło zapytać go, czy ewentualnie, być może, mógłby, starą kobietę, samotną, szukającą zaginionej wnuczki, po prostu machnął ręką, powiedział „oczywiście” i podał jej dłoń, żeby wprowadzić ją do autokaru, a potem oddał jej chusteczkę, żeby miała czym zasłonić twarz, w razie, gdyby pył ostatecznie wygrał z klimatyzacją. Był tak kulturalny, że babcia Taal odłożyła na bok swoją nieufność do pojazdu, który może pojechać, dokądkolwiek zechce kierowca, i wspięła się do środka.

Kiedy czarny autokar zostawił kopułę Prestaine'ów za horyzontem i ciął na południowo-południowy wschód przez suche równiny, patrzyła, jak Glenn Miller otwiera swoją priorytetową przesyłkę. Zobaczyła zmarszczenie czoła, gdy oczy lustrowały kartki, a usta zaczęły składać nieznajome sylaby.

– Zła piosenka? – zapytała.

– Zła to nie – odparł lider zespołu. – Dziwna. A tekst jest... prowokujący.

Babcia Taal chciała podrażnić bardziej, lecz kultura jej nie pozwoliła. Ciekawość – dominująca charakterystyka u żeńskich Maszynistów – pobudziła się, gdy gwiazdor powiedział jej, że jego zespół jedzie z dość pilną muzyczną misją, jednak Gubernatorska Idylla raczej nie uzasadniała wysyłania nut żadnego utworu priorytetem na największe zadupie Wielkiego Oxusa. Chociaż Chimeria zawsze była dziwnym miejscem, a po ostatnich wyborach zrobiła się jeszcze dziwniejsza. Cossivo Beldene, król wody i bingo, doszedł do władzy na populistycznej fali regionalnej dumy i ksenofobii. Babcia Taal interesowała się wiadomościami jak każdy kolejowy – o tyle, o ile losy Pasażerów wpływały na święte rozkłady jazdy i lokalne taryfy przewozowe. Jako dziecko pochodzące z długiej, długiej linii genealogicznej, mogła zrozumieć, co ludzie Chimerii i Portu Przesilenia widzą w jego przemowach o starożytnych tradycjach zanurzonych w cukierkowym folklorze i w regionalnej tożsamości potłuczonej młotkiem różnicowania społecznego na idealne kawałki na jeden ząb, oprószone jeszcze cukrem pudrem multi-kulti. A jako członkini brązowookiego, kawowoskórego, czarnowłosego i wymieszanego klanu, bojowego i buzującego skundloną energią, uważała gadanie o separacji i czystości rasowej za eugenicznie niezdrowe. Widziała efekty chowu wsobnego – w dziesiątkach niepodpisanych dołków przy torach. Maszyniści od zawsze wierzyli w małżeństwa z osobami z zewnątrz.

Ta myśl przeniosła ją jednocześnie wstecz i naprzód. Wstecz – do chwili, kiedy ostatni raz widziała swą wnuczkę, opartą o koło napędowe wielkiego parowozu, z ćapati w jednej dłoni, plastikowym kuflem piwa w drugiej i tym nadąsanym, obrażonym wyrazem oczu, który tak u niej podziwiała, bo należycie wykorzystany może przynieść jej wszystko, czego tylko zechce. I naprzód – do Molesworth, gdzie Orkiestra Glenna Millera miała grać na Inauguracyjnej Idylli Cossiva Beldene'a i gdzie, w skręconych jak kiszki uliczkach starego kraterowego portu być może znajdzie Kościół Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny i dostrzeże w przelotnie widzianym oku ten sam mroczny błysk.

Który dobrze wyszedł na tym zdjęciu, pomyślała babcia, kiedy przechodziło z ręki do ręki w autokarze. Mroczny, wymagający i obiecujący. Mężczyźni nie mogą się czemuś takiemu oprzeć. Ale ty dopiero się o tym dowiadujesz, rozmyślała. Zauważyła miny muzyków, rozszerzenie źrenic, ciche, sprośne komentarze, gdy patrzyli na dziewczynę. Powinnaś to słyszeć, pomyślała do niej. Składają ci hołd, na

który zasługujesz. Powinnaś wiedzieć, że jesteś podziwiana. Dopiero wtedy zdasz sobie sprawę ze swojego daru.

Saksofon z tłumikiem wkradł się w jej sen tak podstępnie, że obudziła się i od paru taktów słuchała, zanim zdała sobie z tego sprawę. Glenn Miller przysiadł na oparciu siedzenia i dyrygował solistami. Każde szarpnięcie groziło mu wywróceniem się na pierwsze klarnety. Orkiestra ćwiczyła nowy utwór. Punktowe światelka na suficie oświetlały kartki z nutami. Muzycy marszczyli się nad dziwnymi fragmentami; wokalistka, drobna kobieta o lisiej twarzy i w stroju ze zbyt dużą ilością frędzli, wahała się nad słowami. Były rzeczywiście prowokujące. Wydawało się, że mówią o seksie oralnym i bezpośrednio zwracają się do nowego gubernatora Chimerii i Portu Przesilenia. Babcia Taal zastanawiała się, czy są stosowne na państwową imprezę. Na oko były obliczone na sprowokowanie politycznego skandalu albo i procesów. Ponownie pomyślała o ekspresowej przesyłce oklejonej priorytetowymi nalepkami. Czas jej nadejścia wydawał się zbyt idealnie wyliczony jak na parę upośledzonych pracowników pocztowych. Próbowwała sobie przypomnieć, co wie o Cossivie Beldenie. Był za... Co to był za slogan, tak gładki dla uszu, że jednym wpadał, drugim wypadał? Ludzki świat dla ludzi. Żadnych bogów, świętych, aniołów, tylko nasze własne dłonie. Nic niczemu nie będziemy zawdzięczać. Nasza ziemia, nasze ręce. I szmer dużej kasy za tymi sloganami. Wielcy ludzie z wielkimi ideami, wystarczy dla każdego. Babcia Taal wyznawała subtelną i wszechobecną anarchię, nieufność do dogmatów i sloganów, liczącą sobie osiemset lat. Co do zasady, nie głosowała na nikogo, kto chciał być wybrany. I ta nowa rzecz w sercu tej ziemi ją zaniepokoiła – a jeszcze bardziej zapał, z którym ludzie, nie mniej i nie bardziej upolitycznieni od niej, przyjęli ją do swoich serc. Potrafiła zrozumieć, że subtelne siły rządzące tym nieustrojem mogłyby chcieć ukreślić łeb w kołysce rządów Cossiva Beldene'a. Zerknęła na Króla Swingu, stabilizującego się opartymi o ławkę nogami, żeby uwolnić ręce do liczenia taktów instrumentom. Najpotężniejszy rząd to taki, który zachowuje odrobinę anarchii. Ale co do tego ma lider słynnej orkiestry? Ukołysana narkotycznym zapachem spisku znów się zdrzemnęła.

Obudziły ją głosy i zimno. Drzwi były otwarte, snopy światła skakały po suficie, świeciły w okna. Głosy miały akcenty ze środkowego kraju i władcą zgrzytliwość, jakiej dodaje ciężka broń.

- Nic ciekawego tu dla was nie ma – powiedział Glenn Miller.
- Sami o tym zdecydujemy – odparł ktoś.

Promień latarki przebiegł po twarzach drzemiących muzyków, tulących swe instrumenty. Człowiek wgramolił się na pokład. Był wielkim, grubym wiejskim chłopem, aroganckim w swoim rozpraszającym świetle pancerzu. Standardowy wojskowy induktor pola trzymał jak pręt do inseminacji. Jego koledzy na zewnątrz gmerali, skrobali i stukali w konstrukcję pojazdu. Spory Chłop dźgnął światłem latarki na przegubie twarzy Drugiego Puzonu.

- Co tam ma?
- Puzon. Pan słucha czasem radia?
- Tylko notowań. Dokument.
- Że co?
- Coś, co mówi, że jesteś tym, za kogo się podajesz.
- A kim ja mogę według pana być, z tą blachą pod pachą?
- Na przykład wywrotowcem.
- Jestem muzykiem jazzowym. My powinniśmy być wywrotowi.
- Dokument ze zdjęciem.

Drugi Puzon ze złością podał tamtemu legitymację Związku Muzyków. Gdy Spory Chłop ją analizował, dobrze znany odruch buntu kazał babci Taal otworzyć wszystkomieszczącą torbę i dyskretnie wsunąć do środka nuty wulgarnej piosenki.

- Ej, ty.
- Do mnie mówisz, młody człowieku?
- Co tam chowałaś do torby?

Spory Chłop wycelował latarkę w twarz babci Taal.

– Co to w ogóle za zwyczaje, budzić porządną kobietę i świecić jej w twarz?

– Tu jest Chimeria, pani starsza, i to są chimeryjskie zwyczaje, w sam raz dla chimeryjskich ludzi. Torba.

Babcia Taal podała mu torbę, przekonana, że jako mężczyzna nigdy nie rozwikła sztuczki z zagnieżdżonymi wymiarami. Paluchy inseminatora krów wygrzebały drobiazgi, portmonetkę, balsam do ust, pigułki przeciwbólowe, długopisy, nożyczki do paznokci. Nut, o siedem i pół wymiaru stąd, nie znalazły. Spory Chłop trzasnął zapięciem, obrażonym gestem oddał torbę, ruszył dalej.

- Jak to zrobiłaś? – szepnął Glenn Miller, gdy Spory Chłop przeszedł w głąb autokaru.
- Stare kobiety mają sposoby.
- Jestem ci coś winny.

Zadowolony, że w pojeździe nie znaleziono nic wywrotowego, Spory Chłop wygramolił się z niego i machnął, żeby jechali dalej.

– Co to za jedni? – zapytała Glenna Millera, zwracając mu jego gwóźdź programu. Na tym zadupiu naliczyła dwadzieścia par świateł.

– Nazywają się Chimeryjską Ochotniczą Strażą – odparł muzyk. – Pilnują, żeby praworządny obywatelom było w kraju dobrze.

– Czyli przejechaliśmy przez granicę.

– Na to wygląda.

Babcia Taal wzdrygnęła się. Faceci z bronią, tak jak granice, jak pomysł, że pewni ludzie i rzeczy mogą być wywrotowe, byli w jej światopoglądzie nie do pomyślenia, prawie jak to, że słońce miałoby nie wzejść, a dwa księżyce naprawdę są zającem i pustynną myszą. Choć tej nocy nie zdarzyło się już więcej nieplanowanych przystanków, Chimeryjska Straż Ochotnicza zasiała w autokarze pył nieufności. Już nie każdy i nie wszędzie był z automatu mile widziany. Na ziemi znajdowały się niewidzialne linie rozgraniczające zachowania. Po tej stronie wzgórze mogło cię przyjąć, po drugiej wygonić. To źdźbło trawy wierzy, że jesteś tym, za kogo się podajesz, ale tamto drzewo podejrzewa cię o wszelkie możliwe przestępstwa. Ten kamień smacznie śpi, kiedy nad nim przejeżdżasz, a tamten wzywa ludzi z induktorami pola, żeby rozwalili cię na proch. W końcu zdołała usnąć w zmarkotniałym autokarze, lecz ten sen był szary i nierówny.

Świt zastał Orkiestrę Glenna Millera w Trasie lawirującą przez niewiarygodny krajobraz przemysłowych ruin Centralnego Portu Przesilenia. Kratery pozostały surowe i niepoddane humanformacji, krenelaż ich brzegów był usiany radarami naprowadzającymi i bunkrami dowodzenia i kontroli. Niegdysiejsze dumne wyrzutnie sterczały jak bierki z zardzewiałej stali, wsporniki dla pnączy i powojnika. Trawiaste łąki były pobliznione szklistymi przypaleniami, leczącymi się od tysięcy lat i dopiero w połowie zagojonymi. Cała ta kraina dochodziła do siebie po dawnym rozwodzie z niebem. Tu pierwszy raz stanęła na tym świecie ludzka stopa, tak dawno, że przeszło to z historii w legendę. Statki startowały i lądowały na tej kraterowej równinie przez tysiąc lat z okładem. Proste jak linijka pasy startowe, zerodowane doły po laserach i przewrócone łuki wyrzutni elektromagnetycznych stanowiły kronikę załogowych lotów kosmicznych. Orkiestra przez pół godziny jechała bokiem łagodnego stoku pochylni wyrzutni-procy. Na horyzoncie rysowała się kolejna, zakrzywiona ku niebu. Dziesięć takich gigantycznych budowli, widocznych nawet z orbity, okalało Port

Przesilenia jak cyfry na zegarze. Po ziemi pełży zarośnięte trawą nadprzewodzące kable; ciężki autokar gramolił się na nie z trudem, jak gąsienica na sandał świętego. Deflektory i tłumiki odrzutu tworzyły skomplikowanego jeża przeciwczołgowego; big-band pełzył przez geometryczne cienie suwnic i dźwigów budowlanych. Tu na pastwę rdzy i zgnilizny poszły całe branże przemysłu, lecz żadni złomiarze nie tykali tych postindustrialnych trupów. Na tej planecie złożonej z czerwonych żelaznych pustyń nie brakuje bowiem surowca. Z bujnej trawy sterczały żebra martwych statków, wielkie koła autokaru szczękały na wylince ze stalowych płyt. Słońce odbłyскиowało od dziobów zapadniętych po kolana w less ciężkich ładowarek; korporacyjne chorągwie dawno zlikwidowanych orbitalnych firm transportowych trzepotały postrzępione w porannym wietrze.

Wszystko tak pordzewieje, jeśli Cossivo Beldene i jego finansowi władcy odwrócą się plecami do gwiazd i zamkną porty. Zamknięta planeta.

A orkiestra grała dalej. Po obu stronach wznosiły się zbolące kenotafy ery kosmicznej, a autokar toczył się ku bramom krateru Molesworth przy dźwiękach składanki Chattanooga Choo-Choo, Jackson River Stomp, Six-oh-seven-four-five-two, String of Pearls, Oysters'n'Ale, My Summer Love, In the Mood, After the Love is Gone, South of the Border, Silver Star oraz Red Rose Rag. I przy tej nucie Orkiestra Glenna Millera wyjechała z oświetlonego lampami sodowymi tunelu na arterię dojazdową prowadzącą w labirynt wieżowców, kamienic i architektury dawnego portu kosmicznego Starego Molesworth.

Babcia Taal oczywiście wiele razy odwiedzała to starożytne miasto, lecz wąskie kanionowe ulice, przez które autokar przeciskał się, jakby się rodził, były dla niej nieznanym światem. Główny dworzec Molesworth, jak większość podstawowej miejskiej infrastruktury, był pod ziemią, chroniony przed termojądrowym odrzutem statków z imigrantami przez porządną, grubą warstwę kamienia.

Molesworth, starożytny port i pierwsza stolica świata, słynąca z konkretności, uporu i łapownictwa, świętowała w tym samym duchu. Ulice były obwieszane świątecznymi girlandami w barwach partii Zryw Jedności Cossiva Beldene'a – czerwonym, czarnym i zielonym; do każdej balkonowej balustrady były przymocowane baterie fajerwerków, żeby wytrysnąć wyborczym triumfem w niebo; wydęte *piñaty* z podobiznami gubernatora dyndały pod latarniami, by we właściwym momencie rozpruć się i obsypać twarze darami ze swego wypatroszonego brzucha.

Orkiestra Glenna Millera jechała przez ten festyn. A reputacja ją wyprzedzała – dzieciaki tłoczyły się niebezpiecznie na tarasowych balkonach kamienic, nastolatki noszące na głowach jak mitry okładki ulubionych albumów szły krok w krok za powolnym autokarem. Kupujący w podcieniach machali zdumieni, że oto coś legendarnego przeciska się przez ich powszednie ulice. Sprzedawcy kawy i *nimki* ze złością usuwali swe wózki z drogi, po czym odczytywali nazwę na boku, słyszeli dobiegające ze środka dźwięki jive'a i z przebłyskiem dumy uświadamiali sobie, że ich gubernator zamawia tylko największych i najlepszych. Kiedy autokar przeciskał się przez wąskie pasy, jego anteny kołysały praniem rozwieszonym na rozpiętych pomiędzy werandami sznurkach, chłopacze przewracali taczki z pomarańczami i posyłały stosy brukowych gazet na pastwę ekscentrycznych wiatrów zamieszkujących ten labirynt. Gundowie i ulicznicy pokrzykiwali i ciskali w okna odchodami. Kierująca, wyszczerzona maniakalnie pod goglami, pohukiwała na nich wściekle. Glenn Miller, z typową dla muzyka pogardą dla uprzejmości, kiwnął na blachy, żeby zadęły jeszcze głośniej. Babcia Taal machała rękami do rytmu razem z resztą (Matko Miłosierna, to nic nie boli!), kiedy kierująca zaciągnęła hamulec i orkiestra zatrzymała się z podskokiem pod technicznym wejściem do szacownego Wysokiego Ratusza w Molesworth. Była to rozległa, rozrośnięta budowla, jak stary i gruby dziadek, który nie do końca panuje nad swoimi kończynami na kanapie i rozkłada się na sąsiadach, nabudowany wieloma piętrami nad i pod sąsiednie budynki. Miejska Gildia w aksamitnych pumpach poprowadziła muzyków labiryntem korytarzy, schodów, holi i foyer do głównej sali koncertowej. Zostawili babcię Taal przy autokarze, ściskającą torbę, rozglądającą się po nadwieszonych galeriach i wykuszach *Rathausu* oraz czarnych drzwiach, które pochłonęły całą orkiestrę.

Glenn Miller kiwnął do niej zapraszająco.

– Chodź.

– Muszę szukać wnuczki.

– Prawda, musisz, ale chyba nawet nie masz pomysłu, od czego zacząć.

– Kościół Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny ma tu dział wysyłek.

– Kościół Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny będzie na Idylli – odparł Glenn Miller. – Burzyciel Harx jest jednym z głównych wpłacających na kampanię wyborczą Beldene'a.

– Skąd ty to wiesz? – zapytała nieufnie babcia Taal.

– Ja też mam swoją torbę pełną sekretów. – Z błyskiem zza grubych soczewek. – No, daj spokój. Przynajmniej musisz coś zjeść. Poza tym jestem ci coś winien, nie pamiętasz?

Rozstawiający się big-band nie jest specjalnie interesujący dla niemuzyków, więc po miętowej herbatce i porannych bułeczkach poprosiła aksamitnego odźwiernego, żeby wyprowadził ją na ulicę, i spędziła resztę poranka, przemierzając przyjemnie dezorientujące uliczki w poszukiwaniu czegokolwiek kościelnego, wiecznie krążącego czy też duchowo rodzinnego. Nie znalazła niczego, co by spełniało te kryteria, a jedyne biuro wysyłkowe, jakie wypatrzyła, zajmowało się ręcznie robionymi strojami dla fetyszystów. Zauważyła natomiast osobliwą atmosferę piętrowych ulic miasta. Klimat miasta to subtelna rzecz, polegająca na równi na ludziach, jak i ich zajęciach, a objawiająca się w spojrzeniach, nawykach, drobnych sprawach – niuansach życia. Pośrodku ulicy zauważyła zwaloną martwą maszynę, jakąś nieokreśloną ludzką służącą, teraz zlikwidowaną. Molesworthczycy przebiegali wokół niej, nie zaszczycając jej uwagą ani szacunkiem. Nikt nie okazał choćby tyle troski, by zamknąć jej rozwarte otwory i gniazda. Babcia Taal nie potrafiła wyzbyć się podejrzenia, że ją tu zamordowano. No i te parasolki od słońca! W szary, zaciągnięty dzień. Jedwabne, białe parasole, obywatele kryjący się przed niebem. Markizy wokół Rynku tworzyły nieprzerwaną pasiastą całość, na długim placu Stroju i Stali nasłoneczniony środkowy pas był całkowicie pusty, wszyscy kupujący trzymali się cienia pod arkadami. Przy porannej herbatce na zapyłonym placu otoczonym nadwieszonymi kamienicami, z wyćwiczoną podzielną uwagą starszych ludzi wprawnie przestrajała się pomiędzy rozmowami. „Ceny trzody mogłyby być lepsze”. „No tak, i pogoda też”. „W przyszłym tygodniu idę na operację biodra, a nie mogę już się bez niej obejść”. „Cały czas do niego przychodzą, ja im mówię, że on od pół roku tu nie mieszka, ale czy oni mi uwierzą?”. „Herbata nie jest już taka jak kiedyś, oni te liście przypalają, czy coś”. „Czekałam pół godziny, mówię ci, pół godziny, a potem przyjechały trzy od razu i wszystkie były wypchane cholernymi gówniarzami”. „No ja w każdym razie nie będę tej flagi wywieszać, nie ma mowy, dla mnie to strata pieniędzy podatnika”. „Wszędzie w mieście pełno tych obcych, a co gorsza, cudzoziemców”. „A w wiadomościach nic nie ma, same seriale i żony zawodników peloty”.

Te strzępy i urywki, same w sobie banalne, zdradzały głębszy klimat narzekania, który babcia Taal wyczuwała na ulicach Molesworth. Strasznie spięci byli ci ludzie. I babcia też była spięta, kiedy popijała

miętową herbatkę i kulturalnie przełamywała migdałowe magdalenki. Odwieczny przybysz w każdym odwiedzanym mieście, tu pierwszy raz czuła się naprawdę obco. Kiedy kelner odliczał resztę z sakiewki, zapytała go, czy kojarzy Kościół Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny.

– Nie, proszę pani, ale wiem, że niedawno odtworzyli tutaj dział wysyłek, w Sunny Mallusku. Brat tam pracuje.

– I gdzie to będzie?

Srebrnym ołówkiem narysował jej mapę na odwrocie rachunku. Miejsce było oddalone o kilkaset metrów, ale z licznymi zakrętami. Babcia Taal musiała sprawdzać z miejscowymi, czy odpowiednią liczbę razy skręciła w lewo i prawo. Sunny Mallusk był ponurym skupiskiem wysokich magazynów z żółtej cegły, o stromych dachach i małych okienkach, wokół placu, po którym latały śmieci napędzane stabilnym układem mikrotornad. Dwóch Malluszczaninów nigdy nie słyszało o Kościele Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny, natomiast trzeci tak i skierował ją do brązowych drzwi z wizjerem na poziomie oczu. Zapukała, przywitało ją oko w wizjerze.

– Tak?

– Szukam mojej wnuczki.

– Czyli kogo?

– Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistki XII – powiedziała jednym tchem babcia Taal.

– No nie – odparło oko. – Takiego kogoś tu nie ma.

– Pewien pan jest?

– No raczej.

Czubek łaski babci Taal powstrzymał wizjer przed zatrzaśnięciem się.

– Podejrzewam, że pana Burzyciela Harxa także dzisiaj nie ma?

– Dobrze pani podejrzewa.

– Ale w mieście jest?

– Przyjechał na imprezę.

– Na Inauguracyjną Idyllę.

– No. Na to.

– A przyjdzie tutaj?

Wizjer rozwarł się z powrotem. Westchnięcie dobiegło spod oka, które było bardzo ciemnoniebieskie i odsłaniało dużo twardówki.

– Pani posłucha, ja tu tylko wysyłkę prowadzę. Jak przyjdzie, to przyjdzie, jak nie, to nie. To święty człowiek i święci takie rzeczy robią albo nie. Jak pani tak zależy, żeby go spotkać, niech się pani jakoś

wkręci na ten bal, czy coś. Ja tu mam zamówienia, same się nie popakują.

Oko zniknęło zza wizjera. Przed babcią Taal na moment otworzyła się imponująca perspektywa na korytarz pełen regałów wysokich na sto pótek, zbiegająca się do punktu, który, jak podejrzewała, leży poza fizycznymi granicami tego budynku. Małeńkie postacie wiszące w linowych uprężach unosiły się w górę i w dół w kilometrowym przejściu, wypełniając dewocjonaliami zawieszono u pasa koszyki. Potem solidna blacha wizjera zasunęła się i babcia Taal, idąc w odwrotnej kolejności za wskazówkami z rachunku, trafiła z powrotem na zatłoczony plac Viking-Länder w Molesworth.

Klekoczący tramwaj wijący się na kizskowatych ulicach wysadził ją pod ratuszem. Przy drzwiach od zaplecza trwała jakaś kłótnia. Brały w niej udział następujące czynniki: eklektyczna czteroosobowa grupa pod wodzą krępej młodej kobiety o postawionych na sztorc włosach – ewidentnie wściekłej – dziewczyna w cekinowym bikini, srebrnych kozakach i piórami hula-hula we włosach – ewidentnie zniecierpliwiona – oraz dostawczak z napisem „Niech jedzą ciastka!” na bocznej plandece i walcowatym, podobnym do zikkuratu przedmiotem na pace. Problem najwyraźniej dotyczył tego przedmiotu, który babcia Taal uznała za tort, z tych, z których w odpowiednim momencie wyskakują dziewczyny w cekinowych bikini, srebrnych kozakach i piórach hula-hula.

– Niech no ja spojrzę – zażądała krępa dziewczyna i weszła na pakę samochodu.

Pracownicy „Niech jedzą ciastka” w oficjalnych fartuchach Cechu Ciastkarzy stali z boku, patrząc z podziwem na bicepsy odsłonięte przez jej bezrękawnik. Chwyciła najwyższy element tortu z niespodzianką i szarpała go, aż żyły na szyi nabrzmiały jej jak stalowe liny. Dysząc, zaczęła sztorcować mistrzów ciastkarskich.

– Powinno się zdejmować. Się nie zdejmuje. Czemu? Nic z tego nie będzie, jak to się nie da zdjąć. Zapłaciliśmy wam kupę kasy, żeby się dało.

Mistrz ciastkarski jednocześnie skłonił się i wzruszył ramionami.

– Mogło się zaalbuminizować podczas pieczenia.

Kobieta wytrzeszczyła na niego oczy, jakby zaproponował publiczne obciążanie.

– Zaalbuminizować? Czyli co?

– Cząsteczki albuminy mogły się spolimeryzować wskutek reakcji mleczno-glutenowej – powiedział cukiernik.

Kobieta gapiała się na niego.

– Za dużo jajek w budyniu – wyjaśnił jego czeladnik.

Kobieta zakłęta i poszła do swojej grupy. W piątkę zaczęli dyskutować, przy licznych gestach i wściekłych spojrzeniach małej umięśnionej kobiety. Wyczuwając jeszcze niedookreśloną okazję, babcia Taal się zbliżyła. Częstotliwość, z jaką padało to słowo, sugerowała, że silna i wściekła nazywa się Skerry. Wysoki, chudy jak szczapa facet, o łagodnym głosie i skórze tak czarnej, że pochłaniała światło, był jej głównym stronnikiem w kłótni z bladą, ospałą dziewczyną z biżuterią w każdej części ciała, która była ją w stanie utrzymać, oraz zachowaniem, które nawet dla kogoś kolejowego na kilometr sugerowało wystudiowaną artystowską pozę. Jej z kolei asystował starszy facet o kwadratowej twarzy, którego nadmiernie wypielęgowany wygląd, sztywna postawa oraz brzuch, wyraźnie ściśnięty gorsetem, mówiły: dawny artysta wodewilowy. Piąty członek grupy, nastolatek o gołych ramionach i szczurzej twarzy, z umyślnie anarchicznymi włosami i paskudnymi zębami, nie stawał po żadnej ze stron, ale nie przegapiał żadnej okazji, żeby dowalić komuś sarkazmem.

Babcia Taal podsunęła się o niewinny krok bliżej. Z zawziętości i furii Skerry oraz westchnień i łagodnych ataków na cudze kompetencje wykolczykowanej dziewczyny, Mishconderei, wywnioskowała, że to, czy dziewczyna w srebrnych kozakach wyskoczy z tortu dokładnie w momencie, kiedy Orkiestra Glenna Millera zagra wstęp do piosenki, którą odebrała z Centrum Przesyłek Prestaineów, ma wagę co najmniej regionalną, jeśli nie planetarną. Wskutek albuminizacji, czy jakiegoś innego błędu w sztuce nowoczesnego ciastkarstwa, to się miało nie wydarzyć, nie było czasu na upieczenie kolejnego tortu i to było Bardzo Żle.

A Bardzo Żle Rzeczy zapowiadają Bardzo Interesujące Konsekwencje. Babcia Taal podeszła bliżej.

– Przepraszam – zaryzykowała. – Że przerywam. Ale może mogę pomóc.

Zapomniano o konflikcie. Pięć twarzy odwróciło się do niej. Babcia Taal uprzedziła lawinę pytań.

– Muszę tylko jedno wiedzieć. Ten tort jest czekoladowy?

– Najlepsza, czterdzieści procent kakao z pierwszego topienia z górnych ziaren – wyśpiewał mistrz ciastkarz.

– Świetnie – odparła babcia Taal. – Dawaj to.

Paskudny Zgryz miał nóż za cholewę buta. Jednym ruchem go wyciągnęła, otworzyła i zanim ktokolwiek ją powstrzymał, wydrapała sobie na wierzchu dłoni słowo „otwieraj”. Uniósła krwawiącą pięść nad tortem. Zikkurat zadrżał. Cech Ciastkarzy cofnął się o krok. Torcisko się zatrzęsło. Zadygotało. Ciastkarze uciekli z ciężarówki. Sypiąc okruciami, maślanym kremem i karobowym lukrem, wierzch tortu odskoczył jak kłapa przegrzanego kotła. Kiedy wszystkie głowy się odwracały i wszystkie usta rozdziawiały, babcia Taal cisnęła nóż dokładnie pomiędzy buty jego właściciela. Chłopak schylił się po niego i łypnął z szacunkiem spod przetłuszczonej grzywki.

– Nieźle jak na starszą laskę.

Złożył nóż i wyćwiczonym ruchem wsunął go za błyszczącą skórę. Kiedy panna w bikini pakowała się do tortu, babcia Taal ośmieliła się przedstawić.

– Wy, kolejowi, to nieźle macie te nazwiska – powiedział, patrząc tak w jej kierunku, ale nie dokładnie na osobę, do której mówi, że zaczęła się zastanawiać, czy nie jest gejem. – Ja jestem Weill. Po prostu. – Nieprzyzwyczajona do takiej wymowy babcia Taal z początku pomyślała, że określił siebie jakimś przymiotnikiem. – Nieźła moc. To jakiś rodzinny spadek?

– Działa tylko na brązowe rzeczy.

– O, to ma jakby potencjał... kiblowy.

Zagryzł górną wargę, pokiwał głową i wpatrzył się w czubek lewego buta. Zawiercił stopami, nagle podjąwszy decyzję, pogrzebał w kieszeniach i wyciągnął z nich kartę, na której nabazgrał coś pismem równie paskudnym jak jego zęby. Wręczył ją babci Taal. Był to gruby, kremowy welin, ząbkowany i złożony na brzegach – zaproszenie na Inauguracyjną Idyllę Cossiva Beldene'a jako świeżo wybranego Gubernatora Chimerii i Portu Przesilenia. Stolik 25, dziewięć po dziewiątej, strój wieczorowy.

– W każdym razie w takim stopniu wieczorowy, w jakim dasz radę – dodał szczurowaty Weill. – Jako osobisty gość Weilla ze Zjednoczenia Artystów.

Na usta babci Taal cisnęło się dziesięć pytań, lecz Weill już szedł do swoich *compadres*, żeby pomóc im we wmanewrowaniu tortu w drzwi od zaplecza. Odwrócił się tylko na moment, by zawołać do niegdyś starej kobiety w zaułku:

– Wszystko w porządku, to jest oficjalne zaproszenie. Nie zatrzymają cię na bramce. Reszcie się to nie spodoba, ale to ja tu jestem anarchista

i myślę, że powinnaś zobaczyć, do czego tak naprawdę przyłożyłaś rękę. Będzie śmiesznie.

Przy tych słowach wielki tort wpłynął przez podwójne drzwi w ciemność kuchni, a babcia Taal została pomiędzy ciastkarzami ze złożonym zaproszeniem w dłoni, mając wątpliwości co do zdrowia umysłowego każdej osoby na ulicach Molesworth.

– Na początku było słowo – powiedział podróżnik, stanąwszy na achterdeku szynowego jachtu. – Czy raczej słowa. Cała masa słów. Język, ale nie ludzki język. Język maszynowy.

Sweetness Asiim Maszynistka osłoniła oczy dłonią i zmrużywszy je, dostrzegła niewidzialne hole prowadzące do latawców, łopoczących dzielnie na ciemnoniebieskim niebie. Cienkie jak jedna cząsteczka diamentowe włókna cięły powietrze jak brzytwy, aż jęczało. Całość poruszała się przez dźwiękowy wymiar. Wózek śpiewał na stalowych szynach, złącza szyn szczękały, synkopując, pod buczącymi kołami, zachodni prąd szarpał i potrzaskiwał skrzynkowymi latawcami. Podobna do mantry litania starego człowieka była kontrapunktem do skrzypienia osi; pisk hamulca, gdy Sweetness delikatnie uniosła mosiężną dźwignię, by wózek wykonał łagodny skręt w prawo, przydał dodatkowej harmonii hymnowi na część pędu naprzód.

– Czyli co?

– Komputery, dziewczyno. Urządzenia mające pamięć, logikę i język. Maszyny myślące, mózgi w obudowach. Quasimentos. Uczynione na podobieństwo umysłu. To, co wy ludzie w swej ignorancji nazywacie aniołami. Nie interesowałaś się nigdy historią tego waszego niegdysiejszego parapsychicznego bliźniaka?

Dwadzieścia kilometrów w przód słońce odbłyскиwało od zakrzywionych stalowych szyn. Przedwieczne czerwone góry, rozstawione wzdłuż horyzontu jak obozowisko fantastycznej armii, broniły krawędzi świata. Po obu jej stronach falowały wydmy, opływające w pustynną skwarną mgiełkę. Niebo było jak misa z indygowej porcelany, elektryczny wiatr zwiewał jej loki z policzków i Sweetness Asiim

Maszynistka XII po raz pierwszy zrozumiała tę rzecz, którą dorośli nazywają ekstazą – że jest krótka, niesamowicie drogocenna i nie należy jej brukać gadką o historii i maszynach.

– Ciesz się, że żyjesz w młodocianej cywilizacji – ciągnął doktor, beztrosko nieświadomy błogości Sweetness. – My nie krzywimy się na cuda i dziwy, mamy wrodzone nastawienie, że wszystko da się zrobić, teraz, zaraz. I jest dla nas oczywiste, że mieszkamy w sztucznym środowisku. Dlatego trudno nam się identyfikować z myśleniem owych Pięciuset Założycieli, którzy patrzyli na nasz świat na swoim nocnym niebie i wymyślali, jak by tu z niego zrobić drugi dom dla ludzkości. Sama skala tego projektu, śmiałość koncepcji, zebranie tych zasobów, już nie mówiąc o wydostaniu ich z tej potwornej studni grawitacyjnej – nie da się tego ogarnąć umysłem. Dla nas Ojczyści Świat jest stary, znużony, trochę dekadentki. Geriatryczny. Ojczyści – chociaż założę się, że przejechawszy swój milion kilometrów, nie spotkałaś ani jednego – są zniewieściali, endogamiczni, cherlawi i wąтли. A ja ci mówię, dziecko, to byli giganci wśród ludzi. Kolosy. Mieli iście boską ambicję i energię. Budowali światy. Zrzucali z nieba gwiazdy. A potem majstrowali przy prawach samej rzeczywistości. To byli geniusze, tych Pięciuset Założycieli.

– Ale Katarzyna z Tharsis się do nich nie zaliczała.

Wyrwana z pustynnych snów na jawie Sweetness obejrzała się w samą porę, żeby zobaczyć, że doktor, krzesło, achterdek, wózki, szyny, pustynia, świat znienacka robią się przezroczyście. Poczowała, że pokład pod jej podszwami mięknie, rzeczywistość zapada się pod stopami jak błoto. Chwyła się steru – jej palce zapadły się w koło jak w gąbkę.

– R...

Wołanie o ratunek nie wyszło poza początkową głoskę przedniojęzykową, drżącą, zanim wszystko mignęło i wróciło do solidności.

– Co takiego?

– Myślałem, że to się nie stanie tak szybko – powiedział podróżnik. – Ale skoro już się stało, muszę cię ostrzec, że tak będzie coraz częściej i coraz dłużej, aż w końcu w ogóle nie wróci. Im dalej od źródła, tym prawdopodobieństwo mojego istnienia jest mniejsze, aż stanie się tak bliskie zera, że to wszystko zniknie i powróci podstawowa rzeczywistość. Bardzo konkretnie i prawdopodobnie boleśnie. Co tym bardziej podkreśla tezę, którą próbuję postawić w moim krótkim kazaniu.

– Czyli to nie jest prawdziwe? – zapytała Sweetness, omiatając spojrzeniem podskakujące latawce i śpiewające szyny.

– Prawdziwe w jakichś osiemdziesięciu procentach – odparł podróżnik. – Ze sporadycznymi kwantowymi fluktuacjami, oczywiście szybko się osłabiającymi z każdym kilometrem. No, ale wracając: Święta Katarzyna.

– Poznałeś ją.

– Jak się podróżuje w czasie, poznaje się większość ludzi. Zresztą ty też ją poznałeś.

– Ale nie wiedziałam.

– To nieważne. To była ona i tyle. W każdym razie...

I stary człowiek opowiedział jej swoją historię. W dawnym-dawnym czasie, na skraju głębokiej przeszłości, była sobie kobieta, która pracowała przy myślących maszynach. Nie była ani utalentowana, ani ładna, nie posiadała też żadnych wybitnych cech charakteru czy wyróżników. Była szeregową pracownicą przy linii produkcyjnej maszyn do budowania planet. Gdybyś ją poznała, nie polubiłabyś jej. Koledzy z pracy jej nie znosili. Była religijna, tym typem religijności, który nie zwraca uwagi na wiarę czy niewiarę innych ludzi. Jej praca polegała na tym, że musiała pojawić się w fabryce, siadała w rozkładanym skórzanym fotelu, jednym z setki w rzędzie, wtykała sobie druciki do mózgu i posyłała go w kosmos do ROTECH-owych zdalnych maszyn humanformujących na orbicie i powierzchni planety. Tam pracował, robiąc bakterie, przekierowując lodowe komety na kursy kolizyjne, albo przez osiem godzin przeżuwał skały na glebę. Potem wracała, zdejmowała druciki z głowy i jechała kolejką do swego mieszkania. Nudna, słabo płatna, monotonna i męcząca praca, ale w tamtych czasach większość prac tak wyglądała.

Sweetness stwierdziła, że jest w stanie słuchać głosu starego człowieka i jednocześnie trzymać żagle, obsługiwać hamulec i przepatrywać horyzont w poszukiwaniu nadjeżdżających pociągów – choć wątpiła, że pojawią się w tej półsurowej rzeczywistości – i że nie burzy to jej błogości. Jeśli już, to uspokaja. Kiedy będę mieć tyle lat, co babcia Taal, będę to pamiętać co do najdrobniejszego szczegółu, pomyślała, a potem zaczęła się zastanawiać, co ona teraz robi, potem myślała o swoim ojcu i biednej Child'a'grace, a nawet przygłupich braciach, co robią, czy coś w ogóle robią, czy za nią tęsknią, czy też spisali ją na straty i wyruszyli pod parą ku nowym kontraktom i stacjom

docelowym – w takich miejscach skupienie jej się rwało i musiała prosić podróżnika, by powtórzył ostatni kawałek swej opowieści.

– Nn?

– Haan. Kathy Haan. I wierzyła w umartwienie ciała.

Ciało i dusza; dwie odrębności. Tego nauczyło ją doświadczenie mózgowego teleoperatora. Pstryknięcie wyłącznika rozwodziło te dwie rzeczy i jak w każdym rozwodzie, jedna strona była bez skazy, a druga wszystkiemu winna. Ciało podczas pracy trzeba było żywić, wycierać, zakładać mu cewnik. Ciało chrapało i się ślińło. Duch natomiast przemieszczał się z łatwością i gładko pomiędzy ciałami niebieskimi. A jej praca była bożym dziełem. Tworzeniem światów, tworzeniem życia z jałowej materii, zabawą z zabawkami o gigantycznym budżecie, rzucaniem delikatnego zielonego woalu na suchą, twardą czerwień. A potem zatłoczona kolejka, droga ze stacji do wieżowca, gdzie mieszkała, wszyscy ludzie kulturalnie negapiący się na chudą, kurczakowatą dziewczynę o włosach przyciętych na garnek, wiecznie kiwającą głową i chodzącą wszędzie pieszo. W mieszkaniu, które było pomalowane na szaro, miała tylko jedno krzesło, jeden stół, materac na podłodze i wieszak na ubrania z dwiema szarymi sukienkami. Tam przygotowywała sobie jedzenie, czarną fasolę z ryżem, a wieczorem oddawała się zażartemu ascetyzmowi na gładkim parkiecie.

– Zaraz, zaraz, skąd ty wiesz, jak wyglądało w środku jej mieszkanie?

– zapytała Sweetness.

– Tak kontrolnie rzuciłem – odparł stary człowiek i uśmiechnął się, a jego ciało, jak u stworzenia z książki, zanikło poza tym uśmiechem, gdy prawdopodobieństwo jego istnienia spadało na niższy kwantowy poziom i rzeczywistość stawała się szkłem, przez które widziała nieco inny krajobraz wydm, gór i torów.

A w oddali, na torach, biały, zakrzywiony słup pary sunący w jej kierunku. Syreny wyśpiewały anonimowe ostrzeżenie: „Z drogi, z drogi, kimkolwiek i czymkolwiek jesteś”. Sweetness sięgnęła po hamulec. Palce przeniknęły przez niego jak przez wspomnienie.

– Ale z drugiej strony... – dodał doktor. Jego głos niósł się echem jak głos boga. – Ten ryż i fasolę to może faktycznie sobie wymyśliłem. – Zmaterializował się z powrotem za uśmiechem. – Coś przegapiłem?

Tak czy owak. Kathy Haan, bosa, jedząca fasolę, gardząca ciałem, lubiąca ducha. Wyrobniczka terraformacji. Gdy jej dusza przeskakiwała z orbity na powierzchnię, z powierzchni na orbitę, z orbity na księżyc, z księżyca na silnik na jądrze komety, z silnika na wyciągarkę na Dachy

Świata w Dolinie Marinerów, docierało do niej, że w służbie ROTECH-u pracują jeszcze inni. Inni, celowo trzymeni w cieniu i na dystans przez Pięciuset Założycieli, z uwagi na niesamowite moce, które posiadali. Ludzkie umysły nadawały się do pracy przy łopacie, ale wielki projekt wymagał zmieniających rzeczywistość mocy sztucznych inteligencji opartych na superstrunach i teorii *vinculum*.

– Tak więc, droga dziewczyno, zastanów się nad tym – powiedział doktor, rozkładając się leniwie w swoim obszytym guzikami fotelu i rozsuwając wachlarz. – Te maszyny mówią fundamentalnym językiem rzeczywistości. Gadają kwantowo. Co powiedzą, to się dzieje. Dosłownie i absolutnie. To, co mówią, jest tak ważne, że rzeczywistość musi się dostosować. A ty jesteś umartwiającą się wyrobniczką, jedzącą ryż i fasolę, niejedzącą mięsa, niepatrzącą na siebie pod prysznicem. Jak się czujesz, widząc umysły w beżowych plastikowych obudowach, które, gdy się odezwą, sprawiają że rzeczywistość zmienia się sama, bo składnia ich języka przetwarzania jest zbudowana z superstrun? To nie jest poziom ssania palca. Ani nawet ściskania sutka. To jest poziom przywiązania cię do łóżka i wygrzmcenia z ciebie jajników. Poziom, kiedy przez tydzień nie możesz sikać.

Żeby tylko, pomyślała Sweetness, powoli dochodząc do siebie po szoku ostatniego przesunięcia rzeczywistości. Znów przepatrywała horyzont przed sobą – już wiedziała, że bez sensu – i próbowała wyliczyć, jak szybko i jak daleko będzie musiała skoczyć, żeby zejść z drogi pięciu tysięcy ton pociągu z rudą materializującego się tuż przed nią. Stwierdziła, że stary sam będzie musiał się o siebie zatroszczyć. Nawet nie zdąży wykrzyknąć ostrzeżenia, a on jest zbyt pogrążony w swojej zawiłej opowieści, żeby je w ogóle zauważyć.

W blasku wielkiego cudu przegapiono coś jeszcze większego. Ludzie tworzyli świat, a jako efekt uboczny powstawał, prawie przypadkiem, gatunek, który go odziedziczy. Anioły zostały skonstruowane jako jeden z wielu kompletów myślących narzędzi, potężniejszych niż maszyny, które oddzielają duszę od mięsa i przerzucają ją przez pół Układu Słonecznego na czwartą planetę – one potrafiły tasować nieskończone ilości prawdopodobnych wszechświatów w swych kombinatorycznych stanach wewnętrznych i wybierać ten, który był najbliższy stanowi docelowemu wielkiego projektu ROTECH-u – ale jednak narzędzi. Urządzeń. Maszyn. Wiernych i posłusznych sług. Nie spodziewano się, że zyskają samoświadomość. ROTECH nie miał w planach tego, że będą miały swój własny Wielki Pomysł na świat, który terraformują.

Kiedy ze skrzynki z narzędziami dobiegł głos, z początku ROTECH nie chciał weń uwierzyć. Kolejne zjawisko probabilistyczne z teorii *vinculum*. Złudzenie świetlne, jak twarz Jezusa na tortilli albo głosy w morskiej muszli. Śrubokręty nie domagają się uznania. Przykładnice nie żądają równego intelektualnego traktowania. Wiertarki nie proponują ról, jakie będą odgrywać w domu, który pomagają zbudować. Maszyny zostały zignorowane. Proces budowy świata trwał. Wtem ktoś zauważył, że wiecie, te głosy to wcale nie zniknęły. Inny głos odparł, że chyba nie ma znaczenia, że w teorii *vinculum* to tylko jedna z alternatyw. W końcu połowa tego świata *na dole* też tak powstała i została na trwałe. Tak samo świadomość, wykształcona przypadkiem czy wyewoluowana, zostanie na trwałe. Te słowa dopiero do wszystkich docierały, gdy ostatni głos zauważył, grobowym tonem, że moce, które potrafią stworzyć jeden świat, mogą równie dobrze zniszczyć inny. Pograć go w probabilistycznej epoce lodowcowej. Zacieplarniować do poziomu wewnętrznego kręgu piekła. Odewoluować inteligentne małpy, pozwolić dinozaurom opanować ziemię. Albo zmielić ją na pas orbitujących asteroid.

Ruszyli cyberwojownicy ROTECH-u, młoda elita z najbardziej starożytnych rodów Techników, na swoich ramionach-skrzydłach, polecili przez przestrzenie orbitalnych habitatów, by sięgnąć do wyłączników bezpieczeństwa maszyn kształtujących rzeczywistość. Niewielu się choćby zbliżyło. Większość została obozwładniona lub rozbita w proch przez nanoinżynieryjne boty konstrukcyjne. Niektórych prawdopodobieństwo przeniosło do nieopisanych i naturalnie śmiertelnych alternatywnych wszechświatów, inni po prostu zniknęli, bo anioły wybrały rzeczywistości, w których ich dziadkowie byli gejami.

– Bardzo nieliczni z nas dokonują prawdziwie oryginalnych wynalazków – skomentował podróżnik ze swego fotela.

Zaczęły się wojny AI. Floty wojennych żaglowców z żaglami świetlnymi nadciągnęły od słońca; samobójcze oddziały ponurookich nastolatków, przesuwając w palcach paciorki różańców, przygotowywały bomby mózgowie i lasery logiczne. Większość wiedziała, że nigdy nie wróci do tej rzeczywistości. Anioły, które już zaczęły szeregować się w zastępy i podzastępy według mocy przetwarzania, przywitały je laserami punktowej obrony oraz ciasno skupionymi zakrzywieniami rzeczywistości, przenoszącymi statki i ich załogi w odległy wszechświat, w którym Słońce przedwcześnie zmieniło się w nową. Salwy burtowe z dronów-igieł wypluwały mgławice nanoprocesorów na kursy

opanowanych orbitalnych habitatów, Lorarchowie i Cherafowie atakowali je chmurami kontrprocesorów. Trup ściełił się gęsto. Bliski kosmos, zasypywany maszynowymi mikrobami, zmienił się w układ immunologiczny planety. Na zielone niziny nowego świata mżył deszcz martwych i wściekle mutujących nanoidów. Bystry, choć przyszczaci chłopcy-cybermagowie o nieprzyjemnych nawykach osobistych tłukli kod, próbując zgłębić najgłębsze tajemnice jedenastu wymiarów pola *vinculum*. Szamańska wojna języków mających moc zmieniania rzeczywistości toczyła się na orbitach, w osiedlach mieszkaniowych, w podziemnych programistycznych sodalicjach Paryża, Delhi i Montevideo. Ludzie znikali, transformowali się, spotykał ich dziwny i krwawy los, stawali się osobliwościami, dezserterowali, zostawiali umartwieni lub wniebowzięci, ginęli w brutalnych strzelaninach albo komputerowo zaaranżowanych wypadkach. Chłopcy byli zachwyceni, choć ginęli jak muchy. Rządy, pod presją globalizmów i finansowych *Bundów* będących prawdziwymi władcami tej ziemi, zagrozili ROTECH-owi przerwaniem projektu Nowy Świat. ROTECH przypomniał przemysłowcom i finansistom, że jeśli upadnie, przygniecie ich swoim ciężarem, a będzie leciał z bardzo dużej wysokości.

W tę wojnę radośnie włączyła się Kathy Haan, numer kadrowy ROTECH-u 2821332HSB. Było oczywiste, po której jest stronie. AI są idealną formą życia. Są całkowitym umartwieniem. Są nieuniknionym Bogiem stworzonym na obraz i podobieństwo Człowieka. Nie miała problemu z powtarzaniem tego wszystkim.

– One wygrają – upierała się, ze skórą policzków tak naciągniętą, że wydawała się przejrzysta i świetlista jak pergamin. – Muszą. Są lepsze od nas. Nie są z mięsa.

Była dziwna i nikt nie traktował jej poważnie, ale ROTECH w stanie wojny nie mógł tolerować u siebie wywrotowców. Kathy Haan, przyszła Pani z Tharsis, miała dostać wypowiedzenie umowy. We współczesnej praktyce zarządzania był to krytyczny moment. Gdyby ochrona wyprowadziła ją ze stołówki tu i teraz, wzięła pod pachy i wystawiła za bramę, tysiąc lat historii wyglądałoby zupełnie inaczej. Ale jedna plotka – jedno słowo, które wyciekło z góry – wywołała falę w całym multiwersum.

Wciąż miała przyjaciół. Przyjaciół-mięsachów, którymi mimo wszystko nie była zdolna całkowicie wzgardzić i którzy nie gardzili nią, mimo tego, co sobie zrobiła. Pochwycili tę plotkę i rzucili ją powolnym łukiem w stronę jej stacji roboczej.

Tego popołudnia, gdy jej umysł był na Marsie i trzymał się pod niebem poprzecinanym bojowymi laserami, przyjaciele-mięsuchy Kathy, za pomocą dwóch pętli skręcanego nanowłókna rozciągli jej nadgarstki od kciuka po łokieć. Wykrwawiła się na śmierć w niecałe dwie minuty. Umysł, nie mając dokąd wrócić, pozostał na Marsie. Osiągnęła swój duchowy cel. Osiągnęła całkowite umartwienie. Była czystą myślą, wolną od brudu mięsa. Jako podrzędna istota duchowa polatywała od maszyny do maszyny, aż któregoś dnia wbiła się do macierzy pamięciowej i tam znalazła nowe emocje, obserwacje, spostrzeżenia, wspomnienia, szybkość analizy, głębokość zrozumienia, wspomnienia innych istot, alternatywne rzeczywistości rozciągające się przed nią jak linie perspektyw nieskończonej szklanej katedry. Wdarła się do neuronalnej architektury AI.

Która mogła ją zgnieść jak muszkę. Archangielsk PHARIOSTER nie zrobił tego od razu, bo pomyślał, że ta dziwna nowa zbitka percepcji to podzbiór jego samego. Zanim zdał sobie sprawę, że ta pamięć mięsa, pracy na etat i tęsknoty za wielkim niebem jest *obcym*, zdążył polubić te osobliwe wspomnienia *ucieleśnienia* (którym tak gardziła Kathy Haan, już w czterdziestu procentach Święta Katarzyna z Tharsis, jako czymś wstrętnym i złym) i zaczął traktować swego nieproszonego gościa jak interesujące zwierzątko. Temat do rozmów na imprezach dla AI. Tym sposobem Kathy, jak jej imienniczka-męczenniczka, z czasem zaczęła pośredniczyć między niebem i ziemią. AI przedstawiły swoje warunki. Ataki mają się zakończyć, w zamian one powstrzymają się od dalszego niesankcjonowanego destabilizowania rzeczywistości. Świat, który budują, stanie się dla nich azylem, darem od ludzi ze Świata Ojczystego dla nowego gatunku, który mimowolnie stworzyli. W zamian one dokończą terraformację i będą nadal utrzymywać wszystkie ekosystemy. Zdigitalizowana świadomość Kathy Haan została przetransferowana na parszywą Ziemię, by negocjować. ROTECH oczywiście nie chciał jej uznać. W sensie prawnym nie żyła. Z trupami się dyplomacji nie prowadzi. Umieszczono więc duszę Kathy Haan w nadprzewodzącym pierścieniu z miedzi, niobu i ceramiki, gdzie krążyła w nieskończoność, bez poczucia czasu, z szybkością światła. Przez dziesięć obiektywnych lat – a subiektywnie parę chwil – orbitowała tam, AI poddawały zaś próbom najlepszych i najdroższych prawników Ojczystego Świata. Mozolnie wykuto kompromis: ludzkość uzna ich inteligencję i zaprzestanie wrogich działań, lecz w zamian chce prawa do osadnictwa na nowym świecie. Ten świat nigdy nie był planowany dla aniołów. Od

zawsze miał być przeznaczony dla ludzi. Po co w ogóle bezcielesnym inteligencjom taka gruda sterraformowanego błota? Może i tak, ale jeśli będzie segregacja. Powierzchnia dla ludzi, orbitalne przestwory dla aniołów. I mają serwisować planetarne systemy. A systemy obronne planety? Kolejna scysja. Jeszcze pięć lat Święta Katarzyna z Tharsis krążyła w relatywistycznym zapomnieniu, po czym obudziła się z czegoś, co miała za krótki, odświeżający sen, i okazała się...

– Stwórczynią, zbawicielką, mediatorką – przecięła Sweetness tę opowieść. – Wszyscy to wiemy.

Nigdy nie miała cierpliwości do sądowych dramatów. Jej bohaterowie zawsze byli łotrzykowscy – poszukiwacze, zbuntowani inżynierowie, pustynni włóczędzy i wędrowni mędracy. Nigdy nie spotykali się w swych peregrynacjach z problemem, że środek transportu z każdym kolejnym kilometrem robi się coraz mniej materialny. Pokład pod jej butami był już kleisty jak krówka pozostawiona w upale na ziemi po kantonalnym festynie.

– Tak, wszyscy wiemy, że wiecie – rzucił rozdrażniony podróżnik. – Po prostu myślałem, że możesz się osobiście zainteresować bohaterami tej historii. Myślałem, że dziewczyna o twojej przeszłości zainteresuje się trochę procesem, a nie tylko skutkiem.

– Ja jestem opowieścią, jestem wyłącznie procesem – odparła Sweetness i przypomniawszy sama sobie, że rzeczywiście jest jakiś skutek, jakiś cel, dalszy niż punkt, w którym podróżnik i jego szynowy jacht rozpływają się w nieprawdopodobieństwie. Gdzieś tam, w górze, Burzyciel Harx z Małą Śliczną w słoiku. „Nie”, poprawiła się, „z Katarzyną z Tharsis”. Przedmiotem tego kazania. Tą... korporacyjną wyrobniczką przemienioną w świętą.

– Jedna rzecz – zapytała. – Czemu ona to zrobiła?

– O które z licznych wydarzeń w życiu Pani z Tharsis pytasz? – zapytał doktor.

Sweetness widziała już przez niego światło, jakby był jasnym mlecznym koktajlem w szklance o dziwnym kształcie.

– Czemu ona, no wiesz, przytrzymała się do mnie? Stała się moją siostrą?

Podróżnik spojrzał na nią przez swe małe okularki, dokładnie tak samo jak Dyrektor Latającej Szkoły, kiedy Sweetness przez zdalne łącze udzieliła mu jakiejś typowo Sweetnessowej odpowiedzi.

– Jest świętą. Robi, co zechce.

– To naprawdę słaba odpowiedź.

– Tak, ale również jedyna poprawna – odparł podróżnik i przy tych słowach pękł jak bańka mydlana.

Doktor, okularki, błysk w oku, wąsiki, fotel z guzikami i mosiężny reling. Koło zniknęło jej pod dłoń, wyparowała mosiężna dźwignia. Podstawa koła rozplynęła się w czerwonym horyzoncie. Ukazały się dwie szyny. Wózki rozplynęły się w kwantowej mgle, lecz pęd Sweetness pozostał rzeczywisty. Uniosła ręce, żeby ochronić głowę, instynktownie zwinęła się w embrionalną kulkę, jednak uderzyła mocno i boleśnie. Dwanaście razy przeokożkowała po twardych betonowych podkładach. Krzyczała, czując, że wyginają się żebra, rwą się mięśnie, rani się skóra. Zatrzymała się na plecach, oddychając boleśnie, gapiąc się w niebo. Latawce stały się niemożliwe jako ostatnie, jeszcze szybowaly jak obłoczki wysoko w powietrzu, przed termokliną ciepłego frontu.

Zatem żyje. Dyszy, boli ją – wszędzie. I syrena. Syrena syrena syrena. Syrena – złaż mi z drogi. Ogromna, głośna i, matko miłosierna, jaka bliska.

Usiadła.

Pociąg był tuż nad nią. Jeśli spróbuje wstać, uciec, przetoczyć się w lewo czy w prawo, rozgniecie ją jak muchę, zgilotynuje na torach. Padła płasko na podkłady i natychmiast przeleciał nad nią lemiesz zderzaka. Tokamaki grzmiały, wózki łomotały, wył wiatr. Sweetness zamknęła oczy i przyłączyła się do tego wrzasku. Jazgot metalu trwał dłużej, niż powinien trwać jakikolwiek pociąg. Otworzyła oczy. Wśród wirującego pyłu i piasku zobaczyła śmigające osie. Mrugnięcie: przez chwilę popatrzyła jej w oczy inna twarz – pasażer na gapę, uczepony podwozia w rozkrzyżowanej pozycji. Przypomniała sobie inną twarz, patrzącą na nią z dołu, z ciemności, uczeponą burty wagonu z rudą, gdy ona przesuwając palcem bezpiecznik pałki dżubba. Faraon. Wspomnienie i imię przyszły natychmiast, po czym pasażer uleciał ku swemu własnemu osobistemu przeznaczeniu.

– O Boże! – krzyknęła do turkocącej stali. – Dosyć! Dosyć tych przygód, dobra?

Pociąg usłyszał ją, śmignął jej nad głową wagonem hamulcowym i zostawił ją, bez tchu, oślepioną piaskiem, na wznak na podjeździe do linii przez Wielką Czerwoną. Sweetness Asiim Maszynistka odliczyła dziesięć, piętnaście, dwadzieścia głębokich oddechów, zanim usiadła. Sto podkładów dalej leżała jej torba z niezbędnymi rzeczami. Obejrzała się przez ramię, pociąg wykonywał powolny skręt w prawo w stronę gór, które jakimś sposobem wydawały się niższe i o wiele bardziej

zerodowane niż jeszcze chwilę temu. Niebo zaś było bledsze, chmury mniej różowe, pustynia brudniejsza, mniej dziewicza, mniej włochata od roślin. A najprawdziwsze i najbardziej świadczące, że wróciła do swej nieubłaganej przyziemnej linii czasowej, było ssanie w żołądku.

– Głodna jestem! – krzyknęła w pustkę.

Na magicznym jedzeniu nigdy się nie upasiesz, tak jak nigdy się nie opijesz wodą z innego świata.

Policzek piekł ją w miejscu oparzenia – tą samą szyną, na którą przewróciła się pół świata dalej. Ramiona bolały od słońca.

– Matko miłosierna, wróciłam – oświadczyła, po czym sprawdziła, czy jest w stanie podnieść się na nogi – ledwo – i pokuśtykała wzdłuż szyn po torbę. Sprawdzając jej zawartość, przypomniała sobie o zakłęciu Psalli – Pomocy Nieogarnialnej Rozumem w Ciężkich Tarapatach.

Zmieniający rzeczywistość podróżnicy w czasie goniący za cieniem zielonego człowieka przez alternatywne przyszłości i przeszłości, przeskakujący w czasie tylko po to, by ci dogodzić, Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistko XII.

W sumie to łapie się na Pomoc Nieogarnialną Rozumem.

W zakłęciu został jeszcze jeden strzał. Owiął ją ciepły, nieprzewidywalny pustynny wiatr i nagle poczuła intensywny jak wspomnienie zapach wody. Prowadził ją nos. Odwróciła się twarzą w drugim kierunku. Tam, na pograniczu rozfalowania powietrza, czy to nie był kładący się na pustyni cień chmury? Czy czerwień nie zmieniała się tam w zieleń, jak w tym teście na daltonizm, którego nie zdał jej brat, ale i tak zostanie maszynistą? Czy na tej zieleni i czerwieni nie ma czarnych plamek? Może to budynki, domy, ulice – miasteczko?

Węch jest najstarszym, najgłębszym i najpewniejszym ze zmysłów. „Tak” – powiedział, a Sweetness uwierzyła jego instynktom, zarzuciła torbę na ramię i powędrowała wzdłuż długiej linii w kierunku cienia pod chmurą.

W którymś punkcie swojej niedawnej historii miasteczko Kawał Drogi (mieszkańców: 2125, wysokość: 2124 m) musiało obrazić pogodę. Kiedy Sweetness skręciła z torów na wskazaną drogowskazem „Kawał Drogi Tędy” drożynę o dwóch koleinach, cały świat podnosił się wokół niej jaskrawą czerwienią i ochrą, przetykaną królewską purpurą i poważnym indygo. Jednakże nad Kawałem Drogi unosiła się tylko mała, kształtna chmurka, tak zwarta i regularna, że Sweetness wzdrygnęła się, skojarzywszy ją z latającą katedrą Burzyciela Harxa. Wieczorny wietrzyk muskał jej kark; chmura wisiała w miejscu wbrew wiatrowi, jakby została zacumowana nad małą pustynną osadą. I nigdy nie wypadła z niej ani jedna kropla deszczu. Ziemia pod nią była sucha jak tyłek Biednego Kwadrentyna, pociemniała, niezdrowa. Sweetness na moment powiesiła torbę na tabliczce z nazwą, przypatrzyła się szarej baterii zdechłych solarnych drzew, leniwym pompom wiatrowym i budowłom z suszonej cegły skupionym wokół wyższych, walcowatych budynków publicznych. Podniosła ją i ruszyła po łagodnej pochyłości w kierunku terminatora. Nawet ślepa kobieta na jej miejscu poznałaby, że weszła pod tę chmurę. Duszące, dławiące ciepło wyssało jej pot spod pach i energię z kroku. Stanęła, pokręciła głową, nagle niechętna iść dalej, ale i zawrócić, w ogóle cokolwiek zamierzyć. Kiedy była mała, w kółko powtarzała rodzicom, że nie może brać leków antyhistaminowych na alergię – bo kolejowi zawsze gdzieś w świecie muszą trafić na porę pylenia roślin. Robi się od nich senna, nieprzytomna, wypychają jej głowę skarpetkami i farfocłami, oczy robią się czerwone, a kończyny ociążały, jakby spadła na dno studni grawitacyjnej Ojczystego Świata. Child’a’Grace i Naon i tak

kazali jej je przyjmować i było dokładnie tak, jak im opisywała. Lecz w Kawale Drogi było dwadzieścia razy gorzej.

To był ciężki przypadek encefalopatii mialgicznej⁸ w kształcie miasteczka.

Byli tu ludzie. Siedzieli na drewnianych werandach w burych ubraniach koloru kupy. Byli w różnym wieku, ale wszyscy wyglądali staro. Ich ciała nie miały kształtu, obwisali i opadali jak luźne worki. Trochę słuchali radioodbiorników poustawianych na skrzynkach po piwie, trochę pielęgowali wymyślne fajki wodne wyrzeźbione z pustynnego gipsu, z których niegdyś słyęło ich miasteczko; trochę zabijali czas krzyżówkami i słownymi wykreślankami z magazynów, żeby zaraz stwierdzić, że to za duży wysiłek, i opaść z powrotem w fotel. Nawet kiwnięcie ręką przechodzącej kolorowej nieznanym było zbyt dużym wysiłkiem. Ruch podbródka, nieznaczne przechylenie głowy – tylko takie powitania otrzymała Sweetness.

Pola, przekopane w misterne tarasy i nawodnione, dawno zamieniły się w pył, który wywiał wiatr. Wszystkie radia były odstrojone i grały złowrogi, szemrzący amalgamat cen produktów hodowlanych, wiejskich polityków, nieudanych komików i audycji o niewierności z telefonami słuchaczy. Gadu, gadu, gadu. Głędzenie upiorów. Ani jednej półnuty muzyki. Skwar i ten terkot siadły Sweetness na ramionach jak szary bagaż. Drętwa. Żar. Ciężar. Wyobrażała sobie, że z każdym krokiem kolor ucieka z jej ubrań, tu nitka, tam guzik, tu szew, tu poła i – ups! – cały rękaw, koloru kupy.

– Ej!

Uznała, że musi wydać jakiś dźwięk, sprawdzić głos w gęstym powietrzu, żeby się przekonać, czy jeszcze działa. Bosy dzieciak kołyszący się na drewnianym bujaku z deseczek uniósł rondo kapelusza.

– Którędy do centrum miasteczka?

Dzieciak uniósł kciuk, przekręcił go w lewo.

W epoce obywatelskiej dumy, przed zbiorową chorobą dusz, Kawał Drogi zbudował wokół brukowanego centralnego placu małą, ale elegancką halę targową. Tam, pod kolumnowymi arkadami spotykali się cotygodniowi handlarze warzywami i pianką morską, osłonięci od wysuszającego słońca i nawiewającego, nieproszonego piasku. Sprzedawcy w fartuchach i chustach odkrywali góry słodko pachnących liści, kupcy w wielkich kapeluszach i długich płaszczach nachylali się nad aromatycznymi dywanami, wachali, kruszyli łodyżki w palcach, podgrzewali proszek w małych kadzielnicach z soczewką i dłonią

nawiewali dym. Ścisnęły się dłonie, zawinięte w pergamin paczki dolarów wędrowały z klaśnięciem z ręki do ręki, kamizelki z wieloma kieszeniami wypełniały się prasowanym liściem. Kiedyś. Teraz cały plac i halę zarezerwował sobie jeden nowy lokator.

Sweetness, odrętwiała, niemal otępiła, zatrzymała się jak wryta i się gapiała. Dziesięć metrów nad brukiem wisiał wielki kamper. Gruby metalowy łańcuch przypinał każdy jego róg do potężnych okuć na ścianach sąsiednich budynków. Koła kampera zwisały na piórowych resorach. Na bruku widać było plamy brudnego oleju. Zdziwiona tym cudem w sercu letargicznego miasteczka okrążyła go, żeby się lepiej przyjrzeć. Na dachu miał jakieś urządzenie, jakby antenę satelitarną/projektor/miotacz promieni śmierci/teleskop/ panoptikon, wycelowane w skłębiony środek nieruchomej chmury. Z tyłu, byle jak zamocowany do relingów na bagaż – skomplikowany transformator. Trzeszczał i sypał grubymi iskrami, które spadały na kamienie brukowe i odbijały się od nich, zanim nieubłagane wciągnęła je ziemia. Kolejne dziewięćdziesiąt stopni i druga strona kampera-autobusu była namalowanym sprayem wirem, rzucającym wyzwanie burości Kawale Drogi. Sweetness musiała parę minut patrzeć na chmury aniołów, muzyków jazzowych, fioletowych i liliowych zawijasów wyglądających jak wizualne przedstawienie dawnych towarów sprzedawanych w Kawale Drogi, zanim rozplątała słowa – „Sanyap Bedassie, Kiniarz chmurowy”. Pośrodku tej pstrokacizny ział czarny prostokąt otwartych drzwi. A pośrodku tych drzwi siedział młody człowiek, ciemne włosy, rzadka kozia bródka z tych wyhodowanych z konieczności, nie dla mody. Nosił ściągnięte w kostkach czarne spodnie. Przez skrócenie perspektywy wydawało się, że jego stopy są wielkości ciężarówek. Miał na nich mokasy – *Preeds of* (zdrapane), mówił napis na podeszwie, bez skarpet. Kostki miał boleśnie grubokościste i chude. Bujał stopami w kontrapunkcie.

Popatrzył w dół i spostrzegł Sweetness.

– Ej! Ty! Uciekaj stąd!

Sweetness po sarniemu przekrzywiła głowę, żeby mu się przyjrzeć.

– Nie słyszałaś? – Młody człowiek zamachał wąż z wyglądu pięścią.
– Idź, idź stąd! Masz jeszcze w sobie jakieś kolory.

– Jesteś Sanyap Bedassie? – Sweetness zmrużyła oczy w sposób, dzięki któremu, jak wiedziała, wygląda ślicznie, chce czy nie.

– A kto inny, jak ci się wydaje?

– Nie mam pojęcia. Widziałam ostatnio kupę dziwnych rzeczy, więc pytam teraz każdego. Ja jestem Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII.

Bedassie zastanowił się.

– Ładne, konkretne imię. Powinnaś być bezpieczna.

– Co? Przez imię?

– Ma w sobie siłę. To, co słabe, idzie pierwsze.

– O czym ty mówisz? Co ty tam w ogóle robisz na górze? Jesteś miejscowym pedofilem, czy co?

– To zaraza.

– Zaraza? Jak zaraza, to zaraz stąd idę.

– Tak. Powinnaś. Idź. Jak najszybciej.

– To dlatego jesteś tam na górze. Ty jesteś tą zarazą... i jak mnie czymś zaraziłeś...

– Ja nie jestem przyczyną. Jestem lekarstwem.

Sweetness spojrzała na twarz patrzącą na nią z góry pomiędzy podeszwami Preedsów, na skrępowany autobus zwisający z łańcuchów, na nieruchomą chmurę jak miska kwaśnego rozpuszczonego popiołu, na otoczony arkadami plac, szukając wytłumaczenia tego, co widzi.

– Wariactwo – zakwestionowała widzialny świat. Kwaśne burczenie w żołądku przypomniało jej o fizycznej rzeczywistości. Co obstawiamy – zarazę czy śmierć głodową na pustyni?

– Masz tam coś do jedzenia? Nie potrafię powiedzieć, kiedy ostatni raz jadłam.

– Nie za bardzo – powiedział człowiek w kamperze. – Karmią mnie tylko dwa razy dziennie.

– Ale cokolwiek.

– Poczekaj chwileczkę. – Wsunął się w ciemną czeluść kampera, pojawił się chwilę później, leżąc na brzuchu, prawą ręką celując w Sweetness podłużną bułką w kształcie torpedy.

– Nie mogę jeść chleba, mam uczulenie na gluten. Nie mam pojęcia, czemu to sobie zostawiłem, przeważnie rzucam je jastrzębiom. Musiałem mieć jakieś przeczucie.

Cisnął bułkę jak włócznię, Sweetness złapała ją w złożone dłonie, połamała, wcisnęła do ust. Była czerstwa; każdy łyk był jak ziemia, ale to było jedzenie, coś, co napętnia brzuch. Kiedy skończyła jeść, rozejrzała się po eleganckich podcieniach.

– Jak oni ci to tam dostarczają?

– Bloczek, sznurek, koszyk.

Sweetness rozmyślała przez chwilę i przeskoczyła do nieuniknionego następnego pytania.

– A jak...? No wiesz...

– Powiem tylko, że z drugiej strony wozu lepiej nie chodzić.

– Jasne. No to co zrobiłeś?

– Nic. To była moja praca. Bawiłem ludzi. Pokazywałem im humor i horror, bogów i potwory, ludzkie życie. A za to płacili mi przemysłowymi łańcuchami i bułkami w koszyku.

– Masz jakiś problem z konkretnymi odpowiedziami?

Tamten zaśmiał się. I zrobił minę, jakby ten śmiech go zaskoczył, jak poranny kaszel byłego palacza. Coś tam jeszcze było.

– Nie, nie, Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistko XII. Nie mam żadnego problemu z konkretnymi odpowiedziami. Ta jest tak konkretna, jak to tylko tutaj możliwe.

Sweetness burknęła sfrustrowana i spróbowała wyczytać odrobinę prawdy z fluorescencyjnych zawijasów na boku kampera.

– Co w ogóle robi taki chmurowy kinoman?

Nagle zadzwonił dzwon, ołowiany i ponury, jak na pogrzebie biedaka.

– Zaraz się przekonasz – powiedział Sanyap, unosząc wzrok.

Sweetness popatrzyła tam, gdzie on. Każdą z alej odchodzących promieniście od punktów kardynalnych *zócalo* posuwało się społeczeństwo Kawału Drogi. Młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety, chorzy i niedołążni, powolna, rozchodząca się fala brązu i burości, jakby szambiarka pozbywała się odchodów. Poruszali się zrywami do rytmu bicia dzwonu. Hop! Lewa noga. Hop! Prawa noga. Sweetness przyszła do głowy kolejna metafora – paskudy, które Sli i Rotherham uwielbiali oglądać w kabinie Sli, kiedy myśleli, że nikt nie widzi, zażerając się *nimki*, z twarzami skąpanymi w niebieskim zombiakowym świetle, śmiejąc się z kolejnych masakr. Nie: tamci nieumarli mieli cel, pragnienie, żądzę krwi. Ci po prostu szli i szli, i szli, starannie zamykając za sobą drzwi, chowając klucze do kieszeni i ruszając do rytmu, rozlewając się jak muł po bruku, wypełniając całą dostępną przestrzeń. Potrącali Sweetness, jakby jej w ogóle nie było. Delikatnie. Nawet niczym nie pachnieli. Duchy nie mają zapachu.

– Co się dzieje?! – zawołała do zawieszanej ciężarówce, lecz Sanyap Bedassie wśliznął się do środka.

Miejsce na placu zajął ostatni mieszkaniec. Wszyscy unieśli głowy, spoglądając na grobową chmurę. Zabuczały generatory, wokół porcelanowych izolatorów przeskoczyły iskry niebieskie jak płonąca

belladońska brandy. Wrażenie, że zaraz będzie się działo, było konkretne jak letnia burza piaskowa. Antena-projektor-miotacz-teleskop-panoptykon na dachu wozu rozwinął się jak nocny kwiat. Anteny się rozwinęły, talerze rozwarły się jak płatki, radiatory otworzyły się promieniście. Przez tłum przebiegło ciche „ooooo”, kiedy przejrzysty różowy słupek wzniósł się priapicznie pośrodku antenowego kwiatu i wycelował się w skłębione serce gorącej szarej chmury.

Sweetness była jak zahipnotyzowana. Nawet gdyby nie było niczego więcej, sam dramatyzm rozkładającej się baterii nieznanymi technologiami był wart stania na placu z wygiętą szyją. Było jednak coś więcej. Dużo więcej. Wycie prądu wzmogło się do przenikliwego, ozonowego, rezonującego w kościach crescendo; różowy promień dźgnał miękkie podbrzusze chmury.

Sweetness później przysięgała, że chmura się wtedy wzdrygnęła.

Szare fałdy i plisy chmury opadły, grożąc gzymsom i masztom fotowoltaicznym Kawału Drogi. Sweetness osłoniła twarz ramionami – czuła ciepło bijące z nienaturalnej chmury. Potem kłaczki rozpostarły się, a przy tym zmieniły kształt. Nie, nie zmieniły. Nabrały kształtu. Masa chmury ułożyła się w postacie, mężczyznę i kobietę, boskich rozmiarów, siedzących za zakrzywionym biurkiem. Za sobą mieli skomplikowaną ścianę z oknem, jakby wychodzącym na jeszcze niewyraźną, ale całkiem inną scenę. Podstawa chmury ułożyła się w gigantyczny trójwymiarowy obraz wiszący nad kawałodrogowymi mieszczanami. A nabierając kształtu, nabierała także koloru. Strumyczki barw, jak pryzmatyczne błyskawice, rozbiegały się od miejsca, gdzie chmurę przenikał różowy promień, kolorowały mgliste postacie, mieszały się, tworzyły nowe kolory, przydawały charakteru i ruchu szarym ikonom.

– O święta matko! – wykrzyknęła Asiim Maszynistka. – To wiadomości o siódmej.

Sanka Déhau i Ashkander Beshrap, wielcy jak góry prezydentery stacji DFLP z Belladonny, Mała Panna Wesolutka i Pan Sroga Prawda, uśmiechnęli się do pełnych adoracji twarzy Kawału Drogi. Za nimi ich słynne Oko na Świat otworzyło się jak okno w czeluści zaczarowanej chmury, pokazując obraz smukłych czarnych Corvette wtaczających się pod imponujące schody, wypluwających machających ludzi w eleganckich strojach i odprowadzanych przez parkingowych.

– Wow – powiedziała Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII.

Chmura wykonała kolejną konwulsję, zadygotała jak odległy grzmot i przemówiła.

– Regionalni przywódcy zebrali się w Molesworth na zaprzysiężeniu nowego gubernatora, Cossiva Beldene'a, którego partia Zryw Jedności miażdżącą większością wygrała wybory. Jedynie Anarchowie z Deuteronomium i Doliny Marinerów odrzucili zaproszenia, podając jako powód nielegalne finansowanie partii przez Kościół Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny oraz plotki o powiązaniach z antymaszynową grupą terrorystyczną Liga Ludzi – powiedziała Ashkander Beshrap swoim słynnym głosem „jeśli nie wierzysz mi, to komu wierzysz?”, od którego drżały dachówki na dachach domów.

Ludzie patrzyli na wieczorne wiadomości bez słowa, Sweetness widziała jednak, że postaci jedna po drugiej rozprostowują się, rosną, zauważyła iskry wyrazu w ich twarzach, zmarszczki wokół oczu, drobniutkie załążki uśmiechów wokół ust. Jakiś niewidzialny proces sprawiał także, że kolor przesączał się z chmury w ich ubrania. Oglądali regionalne wiadomości sportowe i wieści z rynków. Zanim Sanka Déhau weszła ze swoimi solowymi Migawkami i plotkami z życia gwiazd, na *zócalo* zaczęły się rozlegać spontaniczne okrzyki radości. Wiadomość o zdradzie i krojącym się rozwodzie Chaste Thercy, duenny belladońskiej opery, spotkała się z owacjami i aplauzem. Pozytywna recenzja roli Blaina Bethryna w nowej komedii Regionalnego Teatru Komedioowego ze Stapledona przyniosła gwizdy i tupanie. Plotki o nowym albumie studyjnym Hamiltona Bohannona i Rhythm Aces wywołały prawie histerię. Pohukiwali przy miejscowej prognozie pogody i zaśmiewali się na ulicach, kiedy Anjea Ankersonn mówiła im, że kolejny raz temperatura maksymalna wyniesie trzydzieści dwa stopnie, wilgotność dwadzieścia procent, prawdopodobieństwo większych opadów...

– Zero! – wrzasnął synchronicznie tłum i zaczął się śmiać, biorąc się pod boki. Ludziom ciekły po twarzach łzy, potem rozpadli się na rozgadane, obściskujące się, poklepujące się po plecach grupki i ruszyli z *zócalo* w boczne ulice, do domów i mieszkań.

Sweetness została na placu sama.

Głos z nieba zamilkł. Różowy promień zanikł. Z chmur natychmiast spłynął kolor, szare postacie zakotłowały się i zmieniły w ćwiczenia z geometrii fraktalnej. Skwar naparł na plac jak spocona dłoń. Gawrony wróciły do gniazd, zmierzwiłone miotły z postrzępionych piór.

Rozkudłana głowa Sanyapa Bedassiego wyjrzała z drzwi kampera.

– I co, masz swoją odpowiedź? – zapytał Sweetness, po czym zwinął dłonie i zawołał do bezokiennych ścian hal targowych: – Wracajcie wszyscy na wiadomości o dziewiątej! Łzy i śmiech, dramat i powaga. Narodziny, śluby, zgony. Cierpienie i ekstaza. Przyziemność i namiętność. Pył i potworne zbrodnie. Noce w ogrodach na dachach Hy Brazyli. Wybuchy wulkanów, upadki meteorytów, plagi żarłocznych gwiazdnych pszczoł. Bóg rozdziela pyłowe chmury, stare kobiety plotkują. Miłość, śmierć i wszystko inne. Każde marzenie, sen i wizja pod gwiazdami.

– Ale to są tylko wieczorne wiadomości – wtrąciła Sweetness.

– Dokładnie! – odparł Sanyap Bedassie. – Na twoim miejscu bym się położył, bo tłumaczenie tego trochę potrwa i rozboli cię szyja, jak będziesz się tak wyginać.

– Co? Tutaj?

– To tylko pył. Chyba się już z nim zaprzyjaźniłaś.

Sweetness usiadła. Poczula ziarna piasku pomiędzy zaokrąglonymi kamieniami. Rzeczywiście, dobrze już to zna. Nie chciała jednak kłaść się brzuchem do góry na środku placu. Nie chciała być taka odsłonięta i bezbronna wobec wiszącego kiniarza.

– Siedzisz wygodnie? – Bedassie położył się na brzuchu w kamperze, patrząc jej w twarz.

– Nie siedzę i zdecydowanie nie jest mi wygodnie.

– Tak się mówi po prostu. – Włosy opadły mu na twarz. – No to zacznę.

Od dwóch lat miasteczko Kawał Drogi pustoszyła zaraza braku snów, która od wielu lat – od całych długich dziesięcioleci tego świata – jak pyłowy wir nawiedzała samotne osady na skraju pustyni. Wiele znękanych piaskiem zbitek budynków z czerwonej suszonej cegły potwierdzało jej niszczyielską moc. Mnożyły się teorie co do jej pochodzenia i natury – ci spośród najbardziej naukowo usposobionych, którzy widzieli w tym coś więcej niż tylko legendę z Czerwonej Pustyni, przypuszczali, że to coś w rodzaju zaraźliwego memu zrodzonego w magnetycznych anomaliach wywoływanych przez burze żelaznego piasku. Zaczynało się zawsze tak samo. Po dłuższym okresie duszącego upału i wysokiego ciśnienia, mętliku w głowie i denerwujących zakłóceń w radiu, mieszkańcy zakażonego miasta budzili się zdumieni jaskrawością, żywością i dziwacznością swych snów. Siadali na werandach, pod markizami herbaciarni, w cieniu ścian domów, klepali się po udach i kręcili głowami, gdy rodziny i przyjaciele snuli cudaczne

opowieści kryjące się w ich głowach. To był okres inkubacji. Przez tydzień sny siekły podświadomość swoich ofiar, aż intensywność tego nocnego życia doprowadziła je do oszołomienia. Wtem, jednej nocy, wszystkim przyśniło się to samo. Taki oto sen. Niebo jak kipiące czarne mleko, przetykane błyskawicami, wisiało nad nieskończoną pustynią ze srebrnego piasku. Jadalny pies – śnieżnobiały, z jednym czarnym uchem – stał na piasku, zgodnie ze sprzeczną logiką snów jednocześnie mały i niebotycznie ogromny. Kręcił głową i zaglądał śniącemu w oko duszy. Szczekał trzy razy. Zdumiewająco grzmiące były te szczeknięcia. Paraliżujące, wypełniające noc grozą. „Całe niebo się zatrzęsło”, mówili ludzie następnego dnia, kiedy zasiedli do opowiadania snów. „Jakby kamienny gwóźdź przebił pustynię”. Potem biały pies odwracał się, zerkał jeszcze przez ramię i świecąc odbytem, oddalał się w falujący skwar. Tym, czego nigdy nie domyślili się śniący – a jeśli nawet, to i tak nic nie mogli z tym zrobić – było to, że owo ostatnie spojrzenie przywołało ich sny i że kiedy pies odbiegł w głąb pustyni, ich sny pogoniły za nim, wężąc za jego ciepłem.

To był ostatni sen, jaki się komukolwiek przyśnił.

Na początku wydawało się, że to samo szczęście. Przytomny umysł, jasne oczy, zero trampka w gębie. Dzień dobry obywatelu; panu też dzień dobry. Ach! Napnij ramiona, przeciągnij się, uśmiech. Sen sprawiedliwych, towarzyszu. Śpię jak zabity. Dni, tygodnie, miesiąc; głęboko i bez snów. Nikt nie zauważył, że jest coraz mniej tematów do rozmów – pod markizami herbaciarni, pod przytorowym semaforem w oczekiwaniu na pocztę z porannego osobowego, że sen nie jest już tak święty, jak kiedyś, że napiera jak ołowiana blacha przez całą skwarną noc, niemożliwy do odepchnięcia nad ranem. Nikt nigdy nie zauważył, że światło kolejnego ranka jest słabsze niż poprzedniego, że herbata jest blada i mdła, że muzyka w porannym programie jest po prostu denerwująca. Że z życia wypłukuje się wszelki kolor. Że siedzą godzina za godziną, z milionami światełek księżycowego pierścienia koziółkującymi nad dachówkami, do coraz późniejszej pory, bojąc się powiedzieć kumplom-ukochanym-innym, że nie chcą iść do łóżka z obawy przed tym przygniatającym, planetarnym snem. Że kiedy się budzą, słońce jest jak lekkie rozjaśnienie nocy, herbata jest jak ciepła woda, że radio równie dobrze mogłoby wyśpiewywać szum, a wszystkie kolory zbiegły się do jednego – oraz, że zupełnie ich to nie obchodzi, że tak się stało.

Nic nikogo nie obchodziło. Nikt nie płakał. Nikt nigdzie nie wychodził. Nikt nie żartował. Nikt nie czytał książek. Nikt nie napisał miłego listu, nie zakochał się ani nie odkochał. Nikt nie kochał. Nikt nie robił w duszy „oooo” na widok przesypujących się przez niebo klejnocików księżycowego pierścienia. Nikt obudzony w nocy tęsknym gwizdem nocnych pociągów nie myślał: „Zabierzcie mnie ze sobą”. Nikt nie śpiewał. Nikt nie tańczył. Nikt nie huśtał dziecka na kolanie, nie mówiąc już o myśleniu o tym, by dziecko począć. Nikt nie kupował eleganckiej sukienki, nowej koszuli czy szykownych butów. Nikt nie przeżywał bólu, nadziei, tęsknoty, ambicji, nikt nie marzył, nikt niczego sobie nie wyobrażał.

Mniej więcej wtedy szara chmura, znak i pieczęć plagi braku snów, znana i unikana przez pustynnych wędrowców bardziej doświadczonych niż Sweetness Asiim Maszynistka XII, usadowiła się nad miasteczkiem.

Wiele osad w ten sposób wymarło, uwiędło od własnej szarej apatii. Nic długo nie żyje po śmierci snów i marzeń. Gdyby nie naiwny młody kiniarz chmurowy, który po szalonej ciotecznej babce-wizjonerce odziedziczył kamper pełen cudów i inspiracji, Kawał Drogi pochłonałby w końcu piasek.

– Wiesz, tu, na pustyni, przyzwyczajasz się do tego, że ludzie nie przychodzą cię przywitać – opowiadał dalej już zahipnotyzowanej Sweetness. – To kino jest trochę staroświeckie, coś, o czym opowiadają dziadkowie, że przyjechał Zmieniacz Chmur, było super, w ogóle to tam poznałem twoją babkę i tak dalej, a młodych to interesuje tylko program z muzyką taneczną. Ale i tak, jak tu wjechałem i nie pojawił się absolutnie nikt, pomyślałem, że trochę to dziwne nawet jak na pogranicze. No ale darmowy parking to darmowy parking, a po drugie, super – nie ma żadnych dzieciaków, co majstrują przy rzeczach i pytają: „A to, proszę pana, to co robi?”. Wywiesiłem flagi. Nikogo. Zdarza się. Rozwijam antenę, rozstawiam cały sprzęt. Dalej nic. Gdybym ich nie widział, jak siedzą na tych werandach i po prostu się gapią, przysiągłbym, że natrafiłem na jedno z tych widmowych miast pogranicza, o których się słyszy. No, ale: włączam mój projektor snów, bo przecież wjechałem tu głównie dlatego, że mają tuż nad głowami idealną chmurę!

– Właśnie o to miałam zapytać – odezwała się Sweetness. –

Wędrownie chmurowo-kino-coś-tam. Na pustyni? Ta twoja babka była walnięta i to też dostałaś w spadku.

– Każdy artysta to słyszy.

– Ale nie każdy artysta tkwi w kamperze powieszonym dziesięć metrów nad ziemią na środku placu. Jak dla mnie, artysta czy nie, trochę głupio wylądować w więzieniu tylko dla idealnej chmury. – Kiedy zobaczyła, jak wzruszył ramionami, trochę jakby się skurczył, pożałowała, że to powiedziała. – Przepraszam – szepnęła. – No i jak to się stało?

– Rozstawiam sprzęt. Wiesz, jak to działa? – Nie poczekał na odpowiedź, której nie udzieliła. – To nie jest takie zwyczajne kino. Żeby zadziało, musisz to wpuścić do swojej głowy i wyciszyć wszystkie swoje marzenia, nadzieje, ambicje i lęki. Każdy ma w sobie takie kino. Ta maszyna jest bardzo cwana, bierze twoje sny, nadaje im fabułę, charakter, konstrukcję i tak dalej, ożywia je i rzuca na chmurę.

– Ale jeśli nie ma się snów...

– Dostajesz tylko szum mózgu.

– Czyli wieczorne wiadomości?

– Puściłem to jako test. I od razu zaczęli przychodzić. Jakby kamienie się ruszyły. Tyle szarych twarzy. Pomyślałem... No, już wiesz, czym się zajmuję, to wyobrażasz sobie, co mniej więcej pomyślałem.

Tak, stwierdziła Sweetnees, oczyma wyobraźni widząc jaskrawoniebieski poblask ekranu, na którym brat oglądał horrory o zombiakach.

– Przyszli wszyscy, jak to właśnie widziałaś. Wszyscy, co do jednego. Myślałem, że nigdy się nie skończą, że przejdą przede mną, wdepczą mnie w te kamienie – rano będzie tylko płaski blaszany owal na środku placu. Ale nie mogłem odjechać, byłem otoczony. A oni się zatrzymali i tak stali, wszyscy patrzyli w górę, bez słowa. Ani słowa. Obejrzeni wiadomości. Do samego końca. Wyłączyłem sprzęt i czekałem. Nie wiedziałem, co się stanie. Jak dla mnie, każdy mógł wziąć po kamieniu i ruszyć na mnie. I nagle jedna kobieta się uśmiechnęła. Taka pulchna, zwyczajna, w średnim wieku, nic nadzwyczajnego, ale ten uśmiech rzucał się w oczy jak latarnia morska. Widziałem, jak z niej wychodzi, jak korzenie z rośliny, widziałem, jak rozbiega się po placu, jak jakiś dzieciak-kieszonkowiec, i nagle uśmiechali się wszyscy, potem zaczęli się śmiać, płakać, wiwatować, klaskać, albo po prostu siedzieli, a po twarzy ciekły im łzy ekstazy. Coś ci powiem... Takiej reakcji publiczności nie miałem w życiu. W życiu.

– No... pięknie ci podziękowali.

– I jak mogli mnie po czymś takim wypuścić? Dla ciebie i dla mnie to po prostu wieczorne wiadomości. Dla nich to wszystko, co zabrała im zaraza. Wszystkie te banalne, drobne, bezsensowne rzeczy, z których

składa się życie. Brudy, plotki, sukcesy i tragedie, okropności i konflikty, coś, co uwielbiamy. Zbieramy to, zasiewamy we wszystkich możliwych mediach, jak najczęściej i jak najwięcej, bo nigdy nie mamy tego dość. To jest najlepszy serial na świecie. Wiadomości to nasze życie. No powiedz tylko: siedzisz przy stole, jesz kolację, o czym się gada? O tym, co było w wiadomościach. A ci ludzie tutaj nie tylko gadają, oni tym żyją, osiem razy na dzień o pełnej godzinie. Sama powiedz, jak mogliby mnie wypuścić? Zamknięcie mnie tutaj na górze to była ostatnia kreatywna rzecz, jakiej dokonali.

I przy tych słowach dzwon znów zadzwęczał w swojej żelaznej dzwonnicy i mieszkańcy Kawału Drogi zebrali się na wielkim *zócalo*, krótkotrwałym azylu koloru, skandalu i dziania się. A pręciki i słupki rzutnika Sanyapa Bedassiego ponownie strzeliły nasieniem snów w serce świata bez snu i chmury się rozstały, ukazując Sankę Déhau i Ashkandra Beshrapa z ich Poważnymi Minami.

– Chaos na zaprzysiężeniu gubernatora w ratuszu w Molesworth – powiedziała Sanka Déhau, patrząc prosto w kamerę.

– Publiczne upokorzenie świeżo wybranego Cossiva Beldene'a podczas numeru z wyskakującą z tortu dziewczyną – włączył się Ashkander Beshrap w swoim autorytatywnym, telegraficznym stylu. Oko na Świat pokazało wielką salę z żyrandolami tak wielkimi, że w każdym mieszkaniu inny gatunek nietoperza, Stół do Uczty, wyrzeźbiony z jednego gigantycznego bloku onyksu i złożony Pulpit Mszalny, obwieszony czerwono-czarno-zielonymi wstążeczkami Zrywu Jedności. Barokowe lustra odbijały blask telewizyjnych reflektorów oraz zabłąkane odbłyски z diamentów ludzi uprzywilejowanych. Za cekinowym antepedium zagrała Orkiestra Glenna Millera kierowana lewą ręką Króla Swingu, podczas gdy sam wielki muzyk obrzucał rozpromienionym spojrzeniem zatłoczone stoliki.

Musujący *grand cru* spływał po piramidach kieliszków; służący w pumpach i surdutach podawali gościom ciepłe pachnące ręczniczki do Toalety Osobistej. Sama radość, ostentacyjna konsumpcja i dekadentkie dekolty, a na tym tle Ashkander Beshrap oznajmiał surowym tonem:

– W ramach niezwykle wyszukanego żartu, kiedy Orkiestra Glenna Millera wykonywała specjalnie zamówioną kompozycję, Seetra Annulka, o której od dawna krążyły pogłoski, że jest kochanką Beldene'a, została umieszczona w torcie zamiast tancerki i wyskoczyła z niego, żeby wykonać alternatywną, wulgarną wersję piosenki, opisującą seksualne upodobania nowego gubernatora.

Ani jeden cytat z tego nie utkwił Sweetness w głowie, nawet nie pokrzykiwania i pohukiwania zgromadzonych solidgońców, gapiała się bowiem na stop-klatkę przedstawiającą tę mściwą kobietę, do połowy wystającą z tortu w cekinowym bikini i piórach hula-hula, z rękoma rozłożonymi w geście *ta-daam*, wyszczerzoną triumfalnie do mikroportu, za nią Cossivo Beldene na honorowym miejscu, uwieczniony w wiecznej *gobemouche*, obok niego pewien perypatetyczny kapłan wątpliwej religii i główny wspierający kampanię wyborczą, Burzyciel Harx, z cieniem niepokoju na twarzy, zupełnie jakby już przekalkulował skutki i w myślach porzucił i Cossiva Beldene'a, i jego partię Zryw Jedności.

Jednakże nie na niego gapiała się Sweetness. W lewym skraju kadru, przy okrągłym stoliku razem z krępą kobietą, mężczyzną o przepięknie czarnej skórze, ospałą, rozleniwioną dziewczyną z nadmiarem kolczyków, siwowłosym, dość anonimowym człowiekiem w średnim wieku i szczurowatym nastolatkiem z paskudnymi zębami, dziwnie nieporuszonym zaistniała scenką rodzajową, siedziała stara kobieta, drobna, ptasia, nierzucająca się w oczy w praktycznej czerni. Kobieta, której w życiu nie zauważysz, jeśli akurat nie jest twoją babcią.

– Taal! – wrzasnęła Sweetness. Mieszkańcy Kawału Drogi poruszali się wokół niej, niepomni na nic poza atrakcją na ekranie na niebie. – Taal, to ja!

Oczywiście nie mogła jej słyszeć. Oczywiście to był obraz obrazu obrazu zarejestrowanego wiele godzin temu, rzucony na chmurę. Bez sensu, jakby krzyczeć do zdjęcia. Tu jednak działały się dziwne rzeczy, tu były dziwne czasy.

Tu się działały czary.

– Taal! – Grzmiące głosy postaci na chmurze i pogarda tłumu stłumiła jej okrzyki.

– Bedassie! – wydarła się do wiszącego kampera. Cisnęła paroma kamieniami brukowymi w podwozie. Rozczochrana głowa kiniarza wysunęła się jak pustynne zwierzątko z kryjówki.

– Ej, ten twój projektor! – krzyknęła, kiedy zadowoleni, uśmiechnięci ludzie, często trzymający się za ręce, szli wokół niej do swoich domów. – On może działać w drugą stronę?

– To znaczy?

– Zamiast robić obraz ze snu, może wziąć obraz i zrobić z niego sen? Zaintrygowany Sanyap Bedassie przechylił głowę.

– A niby po co?

– Chcę, żebyś mi wysłał wiadomość.

Chmury już zamykały się z powrotem, jak kurtyny bezdeszczowej szarości.

– A do kogo dokładnie?

Czuąc, że będzie potrzebna kolejna rekapitulacja jej opowieści, Sweetness westchnęła i potrząsnęła z rozdrażnieniem lokami.

– Do mojej babci. Już tłumaczę.

Zanim wytłumaczyła, *zócalo* wypełnił głębszy półcień, jaki w Kawale Drogi był nocą. Gdy toczyła się opowieść, Bedassie zajął się wykręcaniem z pojazdu świateł, które zwisały z podwozia kampera. Teraz je włączył. Sweetness skąpał blask białych drogowych, białych wstecznych i żółtych kierunkowskazów.

– Teraz rozumiem, że to pilne – powiedział Sanyap Bedassie, machając nogami nad placem. – I myślę, że teoretycznie da się to zrobić. Jednak jest pewien mały, ale dokuczliwy problemik.

– Jaki?

– Raczej potrzebowałabyś wleźć tu, na górę.

Sweetness podparła się pod boki, zagryzła dolną wargę. Toczyła bitwy w lustrzanych labiryntach. Spadała z latających katedr. Przebywała parzące pustynie. Przeskakiwała przez czas do innych, dziwnych terażniejszości i wskakiwała z powrotem prosto pod ekspresowe pociągi. Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII nie zamierzała dać się pokonać paru metrom wysokości i paru kawałkom łańcucha. Przyjrzała się *zócalo*. Kamienne fasady budynków-kotwic były jak wielkie ścianki wspinaczkowe. Żaden wysiłek dla dziewczyny, która dorastała, wspinając się po ciężkim, parującym metalu lokomotywy termojądrowej Bethlehem Ares klasy 88. Po łańcuchu też prosto, ręka za ręką. Kolejowe dziewczyny mają dużo pary w rękach. Ale ktoś sprytniejszy nawłókł na każdy łańcuch wielką szklaną kulę, kilka ogniw od najwyższego punktu. Nie dało się tego cuda obejść.

Kawał Drogi był zazdrosny o swojego dostawcę wiadomości.

– No dobra – stwierdziła Sweetness. – Nie dam rady tam wejść. Czyli muszę ciebie opuścić.

– Naprawdę nie sądzę... – zaczął Sanyap Bedassie, wytrzeszczając oczy w przestrachu pod niesforną czupryną.

Sweetness już nie było, pędziła z powrotem przez ciche ulice. Mijała oświetlone werandy. Rozjarzone żółte okna. Szepczące głosy za nimi, już tracące wątek rozmowy, śmiechy rozsypujące się w proch, żarty upadające i niepodnoszące się, marzenia blaknące i wysychające. Spod chmury bezsenności, na tory. Jej dom, jej drogę w życiu. Trwała,

niezmienną – naprzód, wstecz. Uwolniona od parapsychozy chmury poczuła powab torów, szarpnięcie za zastawki serca. Tak łatwo ustawić się na nich i iść naprzód. Odejść od tego miasta i jego zarazy. Wyjść z pustyni. Ruszyć aż do Molesworth i babci.

– Potem – powiedziała. Umowa jest umową. A opowieść jest opowieścią.

Mimo że noc była ciemna, choć oko wykol – nawet jaskrawe maszyny-anioly pierścienia księżycowego wydawały się zastraszone przez chmurę drętwy – latarka znalazła skrzynkę detonatorów za pierwszym razem, dokładnie tam, gdzie się jej spodziewała, pod masztem semafora. Wypchała sobie torbę i kieszenie czerwonymi rurkami. Jedno spojrzenie za siebie wzdłuż stalowej linii. Sweetness wysunęła żuchwę – zawsze uważała, że ten gest jest dla niej charakterystyczny – i pobiegła z powrotem do Kawału Drogi.

– ...że to dobry pomysł – ostrzegł Sanyap Bedassie, gdy Sweetness wspinała się po ścianie starej Hali Ganj. – Mam tu masę delikatnego sprzętu. Który tak naprawdę nie jest mój.

– Chcesz tak wisieć bez końca? – zapytała Sweetness, ostrożnie siadając okrakiem na końcu łańcucha. – To siedź cicho i zaufaj mi. Masz tam poduszki powietrzne?

– W tym modelu są chyba w standardzie.

– No to nic ci nie będzie. Sprzęt da się naprawić. Siebie nie naprawisz.

Paskami oddartymi z eleganckiej sukienki (bo ten wszelki wypadek miał nigdy nie nadejść, tego już była pewna, ale każde oddarcie i tak bardzo bolało) przywiązała wiązki detonatorów do łańcucha. Sznureczki od tamponów skręciła w jeden lont, który zanurzyła w kleju – porządnym, śmierdzącym, takim, który się naprawdę pali.

– Chyba musisz wysadzić dwa – podsunął Bedassie.

Sweetness przez chwilę delectowała się nową perspektywą, w jakiej widziała jego twarz, po czym odparła:

– Nie. Myślę, że jeden da radę. Oszacowałam naprężenia. Na metalu to ja się znam. Ty tam zapinaj pasy.

Zanim podpaliła lont, przez moment niepokoiła się, czy huk nie zbudzi miasta.

– A pieprzyć to – powiedziała.

Ostatnim zbiorowym aktem ich pobudzenia było założenie tychże łańcuchów. Drobnym wybuchem w nocy nawet im nie zafaluje tą szarością. Podpaliła sznureczek i schowała się pod kamiennym balkonem Hali Ganj.

Wybuch w nocy był o wiele większy i bliższy, niż się spodziewała. Aż pisnęła z zaskoczenia, gdy posypały się na nią kamienne odłamki, rdza, pył i rozdarty papier jednego detonatora. Czekala, aż dojdzie do siebie, próbując wśród dzwonienia w uszach usłyszeć odgłos spadającego kampera. Wyjrzała zza krawędzi balkonu. Wybuch odciął łańcuch z chirurgiczną precyzją. Leżał rozciągnięty i martwy na bruku. Szklany *no pasarán* rozsypał się milionem odłamków po całym *zócalo*. Lecz kamper dramatycznie wisiał nad placem, wyciągnięty, jakby mówił: „Mama, patrz, na jednej ręce!”.

– Kurde – powiedziała Sweetness Asiim Maszynistka.

– Ja tu dalej wiszę – dobiegł głos z kampera. – Podobno znasz się na metalu.

– Chcesz się uwolnić czy nie chcesz? – odparła, przyglądając się podejściu do zakotwiczenia kolejnego łańcucha.

Z tym nie będzie tak łatwo, dość trudna wspinaczka po rynnie na grecki fryz. Potem po paskudnie przewieszonych balkonach. I zostało tylko osiem detonatorów. Na poprzedni wybuch zużyła dwanaście. Zeskoczyła z najniższego balkonu, wylądowała jak kot, przebiegła przez *zócalo*, cały czas nasłuchując cichego tupotu stópek zombiaków. Zdecydowanie nawet od otępiałych układów nerwowych Kawału Drogi nie należało oczekiwać, że będą głuche na taki huk. Wgramoliła się po bocznej ścianie Giełdy Morskiej Pianki, zahaczyła nogami o stalową kotwicę i przygotowała drugi ładunek. Nie ma tu miejsca, żeby się schować. Będzie potrzebny długi lont. W górze bezpieczniej niż w dole. Ile centymetrów zostało w podręcznej paczce z tamponami? Musi wystarczyć. Troszeczkę mniej kleju. Ale chcesz, żeby się palił. Musi się palić. Matko święta, musi się palić, ładunki muszą wybuchnąć, kamper musi spaść dupą na ziemię i jeszcze musi mu zostać wystarczająco napędu, żeby mógł się ruszyć, a jeśli w niebie jest Panarcha z jedenastoma zastępami służących mu aniołów, będzie też miał dość paliwa w baku, żeby dać wsteczny i zerwać pozostałe łańcuchy.

Dużo tych „jeśli”, Honey-Bun.

Po raz pierwszy dotarła do niej ostra i zimna świadomość tego, że może wszystko, co dotąd robiła, włączając ucieczkę na dziki zachód z Serpiem Toromistrzem, robiła absolutnie źle, a uszła z życiem tylko dlatego, że chroniło ją to, że jest – na razie – w jakiejś opowieści.

No i co z tego? Działać, nie wnikać. Podpalić lont, uciekać.

Wybuch pochwyił ją i przerzucił z piśnięciem, tyłkiem naprzód, przez gzyms na płaski dach giełdy. Błyskawicznie zerwała się i podeszła do

kamiennej balustrady, żeby zobaczyć, jak Sanyap Bedassie i jego kino snów przywalają w ziemię. Przygrzmocili mocno. Solidnie. Coś poodpadało. Coś popękało. Pocięły jakieś płyny. Koła wygięły się pod kątem, który nawet kolejowej dziewczynie mówił, że ten kamper już nigdzie nie pojedzie. Mimo wszystko machnęła pięścią w powietrzu.

– Yes! – wrzasnęła. Zwycięski okrzyk odbił się jak dobrze wystrzelona biała bila od kamiennych band *zócalo*.

Z jękiem protestującego metalu otworzyły się drzwi po stronie kierowcy. Po paru sekundach wygramolił się Sanyap Bedassie. Wyglądał na trochę roztrzęsionego. Wyglądał jak ktoś, kto razem ze swoją miłością i swoim źródłem utrzymania został zrzucony z dziesięciu metrów na twardą kamienną nawierzchnię. Rozejrzył się wokół, po ziemi, po placu, po odciętych łańcuchach, które go wcześniej podtrzymywały, po budynkach, po promienistych alejach, po nowej perspektywie, z jakiej to wszystko widział. Po Sweetness na dachu.

– No widzisz – powiedział, otrzepując się. – Teraz ja jestem na dole, a ty na górze.

Nie trwało to długo. Sanyap Bedassie był krótszy w osi poziomej, niż myślała Sweetness, a po długiej napowietrznej niewoli wydzielał zapach kłócający się trochę z jego ślicznym wyglądem. Podejrzliwie sprawdzał zasilacze swojego chmurowego projektora.

– No, ciężarówkę to skasowałaś całkowicie – rzucił, nie patrząc na nią.

– I tak nadawała się tylko do kasacji – odparła wesoło Sweetness. – Ale zawsze możesz znaleźć kogoś, kto cię stąd odholuje. A co z tym... tego?

– Te... tego na szczęście wydają się całe i zdrowe – odpowiedział Bedassie, delikatnymi dłońmi hołubiąc swe urządzenia.

– Czyli dasz radę wysłać moją wiadomość?

– Oczywiście, jak tylko skończę rekalkulować.

Sweetness stała, przestępując z nogi na nogę i nerwowo zerkając w ciemne aleje. Oczywiście, oczywiście, oczywiście...

– Skończyłem.

– To co mam robić?

– Stań tutaj.

– Co? Tutaj? – W bezpłciowym punkcie *zócalo* zupełnie niczym nieróżniącym się od innych.

– Tak, tutaj. – Bezpłciowość zniknęła, gdy skąpał ją różowy, przeszywający chmurę promień.

– Och – powiedziała. Promień syczał i łaskotał. – To co mam mówić?

– Mówisz, co chcesz, żeby się jej przyśniło. Dobrze, jakbyś ograniczyła się do mniej więcej pięciu głównych punktów i przedstawiła to w klasycznej trzyaktowej formie, no wiesz – wstęp, rozwinięcie, zakończenie. Wprowadzenie, konfrontacja, rozwiązanie.

– Co takiego?

– Zresztą mów, co chcesz. Byle szybko.

– Czemu? – zapytała różowa Sweetness.

Bedassie uniósł palec w geście „słyszysz?”. Sweetness, zanurzona w różowości, z trudem usłyszała cierpliwe, powolne bicie dzwonu.

– Dobra, dobra, dobra – powiedziała, odgarniając włosy z oczu. –

Cześć, babciu, to ja, Sweetness. Ona będzie mnie widzieć czy tylko słyszeć? Nieważne, posłuchaj, mam mało czasu, chcę ci powiedzieć, że u mnie wszystko dobrze, tak właściwie to nie, ale to dlatego, że chwilowo jestem opowieścią i przez to przydarzają się mi ciekawe rzeczy. Myślę, że zobaczyłam cię tylko dlatego – nawet nie spytam, jak się tam wkręciłaś, ale ja cię znam – że postanowiłaś pojechać mnie szukać. To była tylko migawka, swoją drogą, ale bardzo dobrze wyglądasz. Witaminy bierzesz? Dobra, nie powinnam tak głądzić, ale znasz mnie. Nie mogłam spędzić reszty życia w kuchni, z nierdzewki czy nie, a zresztą okazało się, że to wszystko i tak by się stało, bo jestem opowieścią.

– À propos – doradził Bedassie – to jest dobry moment na pierwszy zwrot akcji.

Człap, człap, człap, rozległ się odgłos maszerujących stóp.

– Dobra, pewnie tego nie słyszysz, mamy tu coś jakby armię zombie-wieśniaków, tylko że to tak naprawdę nie są zombiaki, jest u nich ta zaraza, co powoduje, że nie mają snów, ale są uzależnieni od wieczornych wiadomości i właśnie przychodzą na edycję o jedenastej. Nieważne, o co chodzi – muszę znaleźć tego Burzyciela Harxa. Widziałaś go, tam, na imprezie. Miałam z nim styczność, ma taką latającą katedrę z załogą złożoną z typów, którzy wylecieli z zawodówki, no i... Pamiętasz, że miałam taką niewidzialną przyjaciółkę? Małą Śliczną? No, okazało się, że ona nie była aż taka niewidzialna, tak naprawdę to była Katarzyna z Tharsis, która jechała na plecach ducha mojej zmarłej bliźniaczki i Burzyciel Harx ją ukradł, trzyma ją w słoiku i muszę ją odbić, bo inaczej on ją wykorzysta do rozpętania ostatecznej wojny między ludźmi i maszynami, więc wygląda, że to ode mnie zależy, czy powstrzymam całą tę aferę. – Zerknęła na Sanyapa. Cała kamienna arena już dudniła od miarowego tupotu. – Tak może być?

– Zwięzłe, chociaż pozbawione klasycznej konstrukcji – odparł młody człowiek, patrząc na swe wskaźniki i przyrządy. – Babcia będzie miała dziś niezły sen.

– No tak, ale uwierzy, że to naprawdę ja?

– Oj, babcie to przeważnie wierzą we sny. Niegłupio byłoby się jakoś pożegnać.

– A. No tak. Zapomniałam. Hej, babciu. Posłuchaj, powiedz wszystkim, że jestem cała i zdrowa. A jeśli ten typ Harx jest w Molesworth, to to jest dobre miejsce, żeby go szukać. Więc tam zostań, a ja do ciebie dojadę. Kurczę, może nawet będziemy razem częściami tej historii.

– Chyba już jesteście – rzucił łagodnie Sanyap Bedassie. Zmarszczył czoło, patrząc na wskaźniki. – Mam cię. – Przerzucił małą mosiężną dźwigienkę. Różowe światło wokół Sweetness zgasło.

– Oho – powiedziała.

Promienistymi alejami sunęły kliny mieszkańców, tępo skupionych na jednej rzeczy – trzeciej tego wieczoru dawce banałów. Otoczona napierającą szarością Sweetness musiała przyznać, że czuje się w stu procentach jak w horrorze. Chwyciła Sanyapa za rękę.

– Trzeba uciekać.

Cofnął się.

– Dokąd?

– Tam. – Sweetness wskazała wąski prześwit pomiędzy budynkami, z tych, które dostrzegasz dopiero, kiedy naprawdę koniecznie musisz mieć drogę ucieczki. Ponownie chwyciła go za rękę. Była miła w dotyku, miękka i ciepła. Ładna, niespracowana dłoń. – No chodź.

Znów się zawahał.

– Znowu cię tam zawieszają, tym razem ze mną, i nie wiem jak ty, przyjacielu, ale ja mam swoją opowieść. Chcesz tego?

– Moja maszyna...

– To tylko przedmiot. Jak tak cię to martwi, to wróc sobie po nią później i zabierz. Weź kupę ludzi czy coś. Ale będziesz to mógł zrobić tylko, jeśli teraz się uwolnisz.

Szarpnęła. Nie poruszył się.

– Matko święta, człowieku!

Bedassie rozejrzał się po bladych twarzach ustawionych wielobocznie w zbieżnej perspektywie Kawału Drogi. Pokręcił głową, wysunął dłoń z jej uścisku.

– Nie możesz tego zrobić – błagała go Sweetness.

– Nigdy nie miałem takiej publiczności. Rozumiesz? Co wieczór rzucam im obrazy na chmurę, a oni się uśmiechają, śmieją się, coś czują, a potem idą do domu na godzinę, dwie i śnią im się sny. Rozumiesz? Tak właśnie to powinno działać. To nie jest po to, żeby brać ludziom sny z głów i zmieniać je w filmy. Miałaś rację, pytając, czy to może działać w drugą stronę. Od zawsze w kinie właśnie o to chodziło – wziąć obrazy z chmur, zdjąć je z tego ekranu i zmienić w marzenia i sny w głowach ludzi. Im jest to potrzebne. Ja jestem im potrzebny. Tutaj te obrazy zmieniają im życie. Ja coś zmieniam. To, co im zapewniam, to nie rozrywka, ja odmieniam ich świat. To po prostu zwykli ludzie, tylko mieli pecha i stracili sny. Zasługują na to, żeby je odzyskać. I ja mogę im je dawać, tyle czasu, ile będzie potrzeba. Ta chmura nie będzie tu wiecznie wisieć. Któregoś dnia zaraza pójdzie dalej. A do tego czasu będę im rzucać wiadomości ze świata, osiem razy dziennie. Nie jestem tu więźniem. Nie jesteś więźniem, jeśli zostajesz gdzieś z własnej nieprzymuszonej woli. Ja zostaję. Ty idź. Masz swoją opowieść. Ja mam swoje obrazy.

Cofnął się od Sweetness.

– Leć! – krzyknął.

Nagła fala łez prawie ją sparaliżowała. Odegrała się tu historia, która subtelnie zmieniła każdą linię w jej własnej opowieści. W tej wersji bohater wybierał pułapkę zamiast wielkiego świata. Dla niego to nie była pułapka. To nigdy nie była pułapka, tylko nieco ograniczona wolność. Wszystkie sny w świecie. Przełknęła te emocje. Honey-Bun, niektóre rzeczy musisz sobie odpuścić. Nie jesteś odpowiedzialna za całe zło i dobro na świecie. Ludzie decydują o sobie sami, a ty musisz uszanować te decyzje. Szarzy ludzie, zakażeni, powoli wlewali się na *zócalo*. Biegnij, teraz, jeśli w ogóle masz stąd uciec. Przebiegła pomiędzy zwierającymi się szykami ludzi spragnionych wiadomości, ku czarnej szczelinie doliny. Tam odwróciła się, poszukała wzrokiem Sanyapa Bedassiego. Dostrzegła go jako błysk koloru w ciżbie kończyn. Widziała, jak pierścień dłoni zamyka się wokół niego, jak zaczyna je ścisnąć.

– Kto by pomyślał – powiedziała, odwróciła się raz jeszcze i wybiegła z Kawału Drogi.

– Dobra, dobra, na piechotę pójdę! – wrzasnęła Sweetness do żelaznego masywu Klasy 22.

– Pewnie, kurna, że pójdiesz, nikt cię nie weźmie, ani ja, ani nikt na tej kolei – oświadczył Joan Cleave Summer-Raining Tissera Maszynista VIII ze swej mosiężnej wieżyczki rozrządowej. Po czym wspiął się po schodkach na mostek, trzasnął drzwiami i rozpoczął procedurę startową.

Od pół źle traktowanych tokamaków aż zadzwoniły jej plomby w zębach, a zawory bezpieczeństwa zagroziły parą. Odskoczyła, gdy poruszyły się korbowody, gdy koła najpierw zakręciły się w miejscu, a potem złapały przyczepność. Pociąg ruszył. Sweetness biegła obok kół, sypiąc kolejowymi przekleństwami, bardzo solidnymi. Kręcące się koła cystern zaraz zaczęły ją przeganiać. Cisnęła jeszcze kamykami z podsypki w oddalające się witraże wagonu służbowego, we wrednej nadziei, że któryś zbije i jakiś Stuard się zdenerwuje.

Wielki chemiczny pociąg zniknął za zakrętem pomiędzy czerwonymi wydmami. Ze Sweetness Asiim Maszynistki uleciał gniew. Usiadła podłamana na torach. Była wyrzutkiem, pariasem, kimś godnym wyzwisk. Była Dziewczyną Co Nie Chciała Wyjść Za Mąż Jak Jej Kazano. Nikt dla niej nie zrobi wujka Billy’ego. Może to być bardzo słabe, jeśli banicja rozprzestrzeni się poza tory. Jeśli nie uda jej się wyprosić chlebka *mandazi* od peronowego gundy albo kubka wody z pompy dla parowozów, jej opowieść może się przedwcześnie skończyć.

Opowieść, pomyślała. Akurat. Ludzie w opowieściach nigdy nie są wiecznie spragnieni ani tak głodni, że mogliby zjeść brodę sumackiego kapłana. Ani nie czują smrodu własnego ciała.

– Ja bym tak tego nie napisała – powiedziała pustyni.

Krak, odparł pustynny gawron na słupie semafora. Czarny złowróźbny ptak. Wyrzutek, parias, godny wyzwisk. Cisnęła w niego kamieniem. Odleciał, trzepocząc tłustymi piórami.

Kto ją obsmarował? Bo ewidentnie została obsmarowana. Świt zastał ją maszerującą wzdłuż linii na zachód, szara chmura nad Kawałem Drogi kleiła się do horyzontu jak plaster na ranie, świat zaczynało wypełniać światło, jej własny cień powracał do niej po całonocnej nieobecności, gdy poczuła przez podeszwy butów, że nadjeżdża pociąg. Patrząc spod cienia dłoni pod niskie słońce, rozpoznała charakterystyczne trzy wysokie kominy średniej lokomotywy towarowej Klasy 22. Stała stanowczo pośrodku toru, machając na chemiczny skład koszulą. Zatrzymał się przed nią, *Gwiazda wschodu*, delikatnie parując. Maszynista zszedł do manewrowej budki i zanim zdążyła wypowiedzieć formułkę, zapytał:

– Ty jesteś Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII?

– Tak. I słyszałam, że to bardzo porządne nazwisko.

– Ja słyszałem inaczej – odparł.

Potem dowiedziała się, że jej imię i nazwisko rozeszło się wzdłuż linii z szybkością i zapalem choroby wenerycznej, przeskakując po zwrotnicach, krzyżownicach i bocznicach, aż każda część globalnej sieci kolejowej dowiedziała się, że ma go unikać.

„Kto ci powiedział?!” – miała ochotę krzyknąć za oddalającym się pociągiem. I kto powiedział temu komuś? Kto pierwszy ją obgadał? Ludzie z *Avaty IX*, pewnie tak, w końcu im podpadłam. Matko łaskawa, moja własna *Katarzyna z Tharsis*? Mój własny pociąg? Maria Stuard – ona spokojnie mogła to zrobić, nigdy się z nami dobrze nie dogadywała, zawsze myślała, że mamy się za lepszych od niej – no i ma tę reputację zawziętej w obronie swoich. Jest w stanie rozgromić dakoitów Starke’a, to i moje imię rozpowie szybko, jakby zadała cios nożem. Ale to byłby bezpośredni atak na Maszynistów. Jeden koniec pociągu kontra drugi. Nawet ona nie byłaby tak zawzięta, żeby rozpętać wojnę domową. Ktoś to jednak zrobił. Tylko kto? O nie. Nie mogliby. A może? Mogliby. Skoro tato jest tak dumny, że przez jakąś tam grę w karty cztery lata temu nie gada z mamą przez cztery lata, to mógłby to zrobić. Sli jest wredny, ale nawet na rozniesienie plotki jest za leniwy. Jeśli to moja rodzina, to naprawdę mam przejebane. Nie mogę do nich wrócić. Ale do czego tam w ogóle wracać? Dogadają kolejny kontrakt i znów stanę w tej sukience obwieszanej banknotami, tylko że ten Joe nawet nie będzie miał żadnej kuchni z nierdzewki. Matko święta, tym razem mogą mnie wydać za

jakiegoś Bassariniego, po prostu za karę. Wtedy w życiu nie dotknę przepustnicy. To do czego tu w ogóle wracać? Muszę sobie urządzić życie poza torami. Masa ludzi tak robi. Większość ludzi. Kurde, przecież jestem z cudacznej mniejszości etnicznej, większość ludzi nawet sobie nie wyobraża, jak my żyjemy. Inaczej jest pewnie dużo łatwiej, a może i lepiej. Łatwiej będzie zachować przyjaciół. Nie będzie trzeba mieć tych samych ludzi za rodzinę, przyjaciół i współpracowników. Nikt nie pracuje z rodziną. Nikt nie przebywa z nią przez cały czas. To by było dobre. Święty spokój. Ale z drugiej strony wyobraź sobie, że codziennie budzisz się w tym samym miejscu. Byłabyś skazana na pory roku. I już naprawdę-naprawdę nigdy nie poprowadziłabyś pociągu. Gdyby wrócić do nich, to być może. Mało prawdopodobne, ale jednak. A żyjąc po swojemu – *nada*. I nie będziesz kolejowa. Będziesz pasażerką. Za każdym razem, jak wsiądziesz do pociągu, będziesz zdawać sobie sprawę, że tam z przodu siedzi ktoś z ręką na sterownicy i wiezie cię tam, dokąd chcesz. A ty po prostu jedziesz. Kurna, jestem Maszynistką. Mnie się nie wozi. Ja prowadzę. Prowadzę.

Zatem oto jest ta opowieść i oto do czego mnie doprowadziła. Nie może być tak, że tu się to wszystko kończy. Co to niby ma być, gdzie jest, że żyła długo i szczęśliwie? No nie, pomyśl: przecież w każdej opowieści jest taki moment, kiedy wszystko jest spalone, zrównane z ziemią, a bohaterkę spotyka samo zło.

No dobra, to podczas tego równania z ziemią, co robi prawdziwa heroina?

Wstaje. Podnosi torbę, zarzuca ją na plecy. Odwraca się twarzą w kierunku, w którym zamierza iść. I mówi: „Skoro wszędzie popiół i gruz, da się na tym budować. Gorzej już nie będzie. W każdym kierunku jest tylko lepiej. Więc idź. Tu nic dla ciebie nie ma. Może będzie tam, dokąd pójdziesz”.

Wstała. Zarzuciła torbę na plecy. Odwróciła się twarzą wzdłuż torów. Nie czuła się ani trochę silniejsza, ani trochę pewniejsza, ani bardziej zdeterminowana, ani mniej brudna/spragniona/głodna/zmęczona, ale nie mogła już ani minuty dłużej tkwić na tym poboczu. Zeszła z płaskiego pola popiołu.

Do południa niczego nie jadła ani nie piła, ale zerwał się wiatr, który ją ochłodził i popychał naprzód, a wczesnym popołudniem wydarzyła się kosmiczna bitwa.

W każdym razie Sweetness założyła, że to kosmiczna bitwa, bo jej część ewidentnie brała się z kosmosu, choć sama akcja odbywała się

w niskiej i średniej atmosferze. Była dość dezorientująca, a trwała tak krótko, że gdyby przez chwilę nie patrzeć, można by ją przegapić, a nawet patrząc, nie można było mieć pewności, co się wydarzyło. Człapiąc wzdłuż linii ku zapraszającemu szkieletowi wieży wodnej, Sweetness usłyszała z tyłu odległe basowe wycie. Odwróciła się, a w tym czasie wycie zmieniło się we wszechogarniający ryk, gdy trzy jonosferyczne pojazdy przechwytywane Obrony Świata wypadły zza dalekich skał i przeleciały jej nad głową.

– Łooo! – wrzasnęła, przekrzykując silniki, i okręciła się ponownie, by zobaczyć, jak przechwytywacze wznoszą się na równoległych białych smugach i robią tnącą niebo pętlę.

Były to wspaniałe wyewoluowane maszyny, w swoim żywiole, aroganckie wobec grawitacji w swej pajęczko-owadziej asymetrii. U szczytu pętli jednocześnie obróciły się wokół długiej osi i przetoczyły na grzbiet, wykonując przerażający korkociąg przez pięćdziesiąt kilometrów przestrzeni powietrznej. Zenit rozbłysł iskrzącymi liliowymi promieniami i czołowy przechwytywacz od razu eksplodował białą kulą ognia. Oszołomiona Sweetness patrzyła, jak płonące odłamki, ciągnąc za sobą serpentyny dymu, spadają, by uderzyć w ziemię za południowym horyzontem. Nie docierało do niej, co widziała. Nic, tylko światła, dymy i tajemnica, wspaniała i wyniosła niczym święty spektakl. Wypatrzyła w błękicie dwa pozostałe pojazdy latające. Zaprzestały bezsensownej akrobatyki i leciały w dół rozbieżnymi kursami, licząc, że wśród diun i skał zmylą komputery celownicze. Liliowe promienie z nieba rozbłysły ponownie; Sweetness zobaczyła, jak ognisty łuk tnie południowe kamienne płaskowyzę, trafia w uciekające myśliwce, przecina je równiutko, bez namysłu, na pół. Odcięte połówki pokoziołkowały, wzleciały wysoko, rozpadając się na płonące odłamki. Zaawansowany technologicznie złom uderzył w piasek, podniosła się fala ognia. Trzeci myśliwiec nadleciał ciasnym zwrotem z zachodu, chciał wrócić do bazy, z której został wypuszczony. Przeleciał nad Sweetness, przeciął linię kolejową z gromem dźwiękowym, który walnął w jej organy wewnętrzne jak w bęben, i śmignął na południe. Wysoko na niebie liliowe promienie skrzyżowały się, jakby niebiański rzeźnik ostrzył swe noże. Jeden liliowy bułat ciął w dół. Ostrzeżony przecuciem myśliwiec wykonał chaotyczny unik, inaczej zostałby odparowany na miejscu. Za mało – promień z akceleratora odciął mu płąt statecznika. Za nisko, za szybko. Pilot walczył o stabilność, ale ciężenie miało więcej siły. Przechwytywacz podskoczył, przechylił się, pochylił, przewalił się na bok i spadł na bok

sejfowej wydmy, wzbijając kilometrowy gejzer piasku. Znad północnych pół wydmych wzniósł się gigantyczny słup ognia. Parę sekund później fala uderzeniowa owiała Sweetness. Poczowała żar na twarzy, zatoczyła się, odzyskała równowagę.

Tłusty czarny dym wzbijał się spiralą w niebo.

– Łooo – powiedziała Sweetness Asiim Maszynistka XII. – Porąbane to było.

Przeszła parę kroków i wśród pustynnego skwaru zmroziła ją jedna myśl – widziała sprawną technikę, szybkie maszyny, wojnę z budżetem jak na efekty specjalne. Jednakże pod całym tym chromem były załogi, ludzie, którzy naprawdę paskudnie zginęli, przypadkowa i bezsensowna śmierć w powietrzu, bez świadków, poza sobą samym i Bogiem. Patrzyła na ich ostatnią walkę, widziała, jak wytestują swoje zdolności – na próżno. Prawdziwa śmierć, nie śmierć fabularna. Śmierć nie jest obca żadnemu kolejowemu – Sweetness nie miała wątpliwości, że większość gapowiczów, których zrzuciła dżubbą z dachu pociągu, wskutek jej poczynań poniosła szybką bądź powolną śmierć. Ale tutaj – to była masowa śmierć bez związku z nią. Coś, co i tak rozniosłoby się po całym świecie, nawet gdyby jej tu nie było.

Potem przyszła jeszcze bardziej mroząca myśl, jak zlodowacenie do szpiku kości. Masowa śmierć na ogólnoplanetarnej scenie, a jednak ma z nią związek. Podniebna broń nie strzelałaby przypadkiem, a już szczególnie do myśliwców Obrony Świata. Jeśli te anioły nie zwariowały, a ROTECH nie oszalał, kontrolę nad orbitalnymi akceleratorami przejął ktoś inny. Ktoś inny, czyli siwowłosy mężczyzna o cichym głosie, w pochłaniającym światło garniturze, z laską w jednej dłoni i słojem statycznym z duszą Świętej Katarzyny w drugiej.

Była jedynym ludzkim świadkiem pierwszych strzałów w wojnie między Harxem i aniołami. Sprawdzał swą moc, była potężna i pewna.

Na potwierdzenie po kosmicznej bitwie przyszła pyłowa burza.

Pierwszy skok wiatru dopadł jej policzka, gdy szła mozolnie po torach, przytłoczona brzemieniem własnych myśli i własnej odpowiedzialności. Musiał szarpnąć dwa razy, żeby zwróciła uwagę. Uniosła głowę i zobaczyła skłębioną ścianę ochrowego pyłu, jak największy z najcięższych pociągów. Przetykały ją stalowe błyskawice.

Przez chwilę tylko wytrzeszczała oczy. To, co się na nią waliło, było bajkowe jak herbagryf albo skradająca się aspanda⁹. To były stworzenia z dziecinnych bajek, dzikie burze, które tygodniami otulały całe ćwiartki globu, unosiły miasta, zmieniały krajobrazy i koryta rzek, zamieniały

jeziora w równiny. Za czasów jej i jej rodziców na świecie nie pojawił się ani jeden taki potwór, odkąd ROTECH stworzył podrząd aniołów mających dbać o przyjazność klimatu. Jednakże babcia Taal знаła takie stworzenia i Sweetness przypomniała sobie teraz jej żywe opisy torów, pociągów, załóg i pasażerów zasypanych pod wydmami w jedną noc, historie o trzykrotnie pomalowanym metalu zeszlifowanym do gołego stalowego ostrza, o trzodzie obranej z mięsa do wypolerowanych kości, o kolejowych tonących w pyle, gdy biegli do względnego bezpieczeństwa swych kabin.

– Matko miłosierna – powiedziała Sweetness, jedyna pionowa przeszkoda na drodze sunącej bestii. – Dobrał się do pogody!

Pył otarł się o jej policzek. Kolejny całus będzie bardziej brutalny. Ma może parę sekund na znalezienie ukrycia pośrodku tego ogromu. Rozejrzała się. Nadzieja nie była płonna – betonowy nagrobek kanału inspekcyjnego. Kryjówka, w pewnym sensie. „W jedynym sensie”, powiedziała sobie. Ale trzeba będzie wbiec w ścianę burzy. No to trzeba.

– Jeeeeee! – wrzasnęła i zaatakowała pyłowy mur.

Rzuciła się na pomarańczową ścianę. Wiatr groził, że za tę bezczelność odrzuci ją z powrotem. Wokół niej trzaskały rdzawe błyskawice, gdy nurkowała między podkłady do kanału inspekcyjnego. Betonowa podłoga była zasłana metalowymi opiłkami, kolejowymi odpadkami i wysuszonym na słońcu gównem ze spustów toalet, a mimo to walnęła niesamowicie twardo.

– Ooch – sapnęła Sweetness, na tyle przytomna, żeby przewrócić się na brzuch i zwinąć w kłębek przed burzą. Która uderzyła moment później, z wyciem jak wszystkie dusze w benekaszeryckim czyścicu, którym jednocześnie torturują genitalia.

Ciemność. Potworny hałas. Pył. Z trudem zasłoniła twarz chusteczką, zawiązując ją z tyłu głowy, lecz pył już dostał się do jej nosa, łaskoczący, elektryczny i pachnący martwym, wyschniętym latem. Czerwony kurz nawarstwiał się w kącikach oczu i za uszami, gdy kuliła się, twarzą w dół, nie patrząc w gorgonową twarz burzy. Czuła go we włosach, był ciężki i lepki. Wiele dni będzie miała fryz jak cegła. Płaszczyna pyłu, prawie jak materialna ściana, wydobywała ze stalowych szyn współczujący jęk. Pazury burzy szarpały ją za koszulę – „No chodź, pofruń ze mną”.

– Co ty robisz, człowieku?! – krzyczała na swego wroga. – Nie wiesz, że wszystko od tego trafi szlag? Tego chcesz? Ale oni ci na to nie pozwolą.

Jeśli jednak Harx ma dostęp do planetarnych systemów obronnych i sterowania klimatem, nawet Bóg Panarcha ma związane ręce. Co musiał zrobić Świętej Katarzynie, jakimi cybernetycznymi mękami jej zagrozić, jakimi dziwnymi rzeczami, od których wzdrygają się anioły i święci? Może i była ogólnoplanetarną patronką, udającą parapsychiczną bliźniaczkę, ale odbicie duszy zamkniętej w słoju Burzyciela Harxa było także Małą Śliczną – do pewnego momentu połową życia Sweetness. Poddawał torturom dojmujące rozczarowanie z trzecich urodzin, kiedy nie dostała dziecięcego munduru Maszynisty, pierwsze szalone całowanie się z jęczyzkiem do siniaków na ustach, z Axlem Reaktorowym po gotowaniu na parze na którymś korrobori. Egzamin z ekonomii, który oblała spektakularnie i nonszalancko, bo poprzedniego wieczoru był mecz piłki ręcznej przeciwko *Ciemniejszej gwiazdzie* – i niekończące się upokorzenia, jakie musiała znosić przed nauczycielem Latającej Szkoły i kolegami uczniami. Noc na postoju w Boletohatchie, kiedy wykradła się ze swojej kabiny i poszła oświetlonymi gwiazdami pomostami ponad ciemnym, powoli bulgocącym kadłubem *Katarzyny z Tharsis*, ponad jej licznymi plemionami, i zakradła się na mostek, żeby na jedną elektryzującą chwilę położyć dłoń na mosiężnej dźwigni przepustnicy. Jej głupio wyznawane nadzieje, marzenia i nieziszczalne ambicje, zauroczenia, rozwścieczenia i momenty, kiedy miała ciepło między udami; żądze, beznadziejna furia, godziny spędzane na wulgarnych szepciach i chichotach. Przez sam wzgląd na własne młodzieńcze zażenowanie musiała dostać swą drugą połówkę z powrotem.

– Nie oddam cię! – krzyknęła z ramionami splecionymi nad głową.

Piękne słowa jak na kogoś, kto ma prawie dziewięć lat i klęczy na kolanach w kanale inspekcyjnym, przysypany kilometrem burzy piaskowej. I wtedy zauważyła strużki piasku miarowo lejące się w rogach betonowego zagłębienia, tworzące stożki na betonowej podłodze, powoli zasypujące fragmenty wnętrzości pociągów, ziarnistym tykaniem klepsydry. Już zbierał się jej wokół palców, w dotyku jednocześnie seksowny i duszący. Czuła, że wsypuje się do butów.

– No, ale jak to...? – rzuciła błagalnie.

To się nie mogło tak skończyć: ładne, bystre, pomysłowe i awanturnicze heroiny o pięknych włosach (kiedy są czyste) nie kończą jako piaskowe mumie zasypane w kolejowych dołach na gówna. Nie w opowieściach. Może to jest czas wyrównań, czas popiołu i tak, pyłu, ale to nie może być koniec.

Burza, zupełnie jakby usłyszała jej argumenty i zrobiły na niej wrażenie, raptem ustała. Cisza w uszach Sweetness była tak nagła i tak całkowita, że na moment przeraziła się, że od spadku ciśnienia w oku cyklonu pękły jej bębniaki. Ziewnęła, pokręciła głową. Zero krwi, zero bólu. Zero wiatru. I pyłu. Przekręciła się na plecy. Poprzecinane podkładami niebo było czyste i niebieskie. Wytknęła głowę jak pustynny gryzoń. W górę linii, w dół linii, północ, południe. Ani chmurki pyłu, która mogłaby świadczyć, że przeszła tędy burza. Zupełnie jakby nigdy jej nie było. Ale była, bo z mocowań szyn była zdarta cała warstwa rdzy, a końce starych drewnianych podkładów zostały zeszlifowane do zaokrąglonych klinów. Gdzieś wysoko w atmosferze toczyła się bitwa i w tej rundzie Burzyciel Harx przegrał, i wiatry, które przywołał, zostały rozgonione.

W następnej rundzie poleci na deski.

Sweetness wydobyła się z dołu, podejrzliwie powąchała powietrze. Było przejrzyste, ładne i niesamowicie czyste, jak ubrania uprane przez chłopaka *dhobi* tłukącego je pałką. Swym na nowo bystrym wzrokiem dostrzegła teraz jakiś przedmiot na zachodnim horyzoncie, poprzednio przesłonięty przez pył i rozfalowane powietrze. Ośloniła zmrużone oczy. Gdyby nie widziała takich rzeczy wcześniej – a nawet nie spędziła nocy pod taką rzeczą, z tym facetem – nie uwierzyłaby własnym oczom. One jednak mówiły prawdę. To coś wyglądało jak – a więc to był – zwyczajny, domowy zestaw narzędzi do kominka – pogrzebacz, szczotka, szufelka, szczypce – wystarczająco dużych, by obsłużyć piekło.

Popołudniowy spacerek doprowadził ją do tego cudu. Kolumna pośrodku i daszek z uchwytem wznosiły się jak kopuła wielkiej, powietrznej świątyni. Sweetness weszła pod niego, zdumiewając się zwisającymi z wieszaków artefaktami. Pogrzebacz był jak prosty stalowy wał, trzydziestometrowej długości, powoli wahający się we wzmagającym się wieczornym wietrze. Druty szczotki niestety zeszlifowała burza, pozostawiając je krzywe i dłuższe z jednej strony, niczym asymetrycznego wystrzyżonego maszynką jeża u gundy z Belladonny. Szufła mogłaby nabierać ciała grzeszników, których, szczypce przytrzymałyby w białym sercu oczyszczającego ognia. Sweetness starała się trzymać się z daleka od żarłocznych, zębatych szczęk. Wszystko było z polerowanego metalu, wyszlifowanego przez pył, błyszczącego w wieczornym słońcu.

Sweetness podskoczyła, kiedy weszła za róg podstawy i zobaczyła skulone tam dwie postacie. Postacie, pomyślała, choć wyglądały jak

zawiniątka z ochrowej tkaniny o mniej więcej ludzkim kształcie. Mumie piaskowe, pomyślała, a wtedy one się poruszyły, osypując z siebie pył. Cofnęła się o krok. W tej okolicy żarty, przesady i niemożliwości czały się za każdą skałą, prawdziwe i gotowe, żeby coś ci zrobić. Mumie pozbierały się na nogi. Obandażowanymi dłońmi otrzepały swe zawoje z piasku. Sweetness zobaczyła wtedy, że pod nimi mają na sobie długie pustynne płaszcze i workowate szarawary z grubymi owijaczami. Potem dłonie uniosły się do pękających głów, poszukały wolnego końca i odwinęły z nich tyle metrów tkaniny, że Sweetness w życiu by nie podejrzewała, że można tyle mieć na sobie i się nie udusić. Błysnęły obsydianowe oczy; Sweetness rozluźniła się, gdy po kilku kolejnych obrotach okazało się, że to małe, okrągłe okulary przeciwsłoneczne. Pokazały się twarze, jedna duża i kwadratowa, druga okrągła o wąskich ustach. Obie miały identyczne fryzury, podgolone po bokach, wystrzyżone w płaskie łądownisko na środku. Odkopując na boki krępujące pasy płótna, przybrały pełne zapału i oddania miny. Sweetness równie dobrze mogła być kamieniem, tak bardzo nie zwracały na nią uwagi.

– O, to była burza – odezwał się wyższy, o kwadratowej twarzy, przybierając teatralną, wyprostowaną pozę.

– Istotnie, burza, Kadmonie – zgodził się drugi, naśladując go.

– Nietypowa jak na tę porę roku. – Kwadratowy powoli omiół wzrokiem horyzont.

– Istotnie, nietypowa, Kadmonie. – Przysadzisty zrobił to samo.

– Można by wręcz pomyśleć...

– Można by i się myśli, Kadmonie.

Sweetness oglądała ich spektakl przez parę minut, po czym odchrząknęła. Obaj odwrócili się jak jeden mąż, czarne okrągłe oczka wpatrzyły się w nią, głowy przechyliły się o dokładnie ten sam kąt.

– A cóż to? Inny podróżnik na tej obcej ziemi? – Głowy przechyliły się w przeciwną stronę.

– Na to wygląda, Kadmonie.

– W dodatku dziewczyna, śpieszę dodać.

– Śpiesz, Kadmonie.

– Posłuchajcie, nie chcę wam przerywać, jeśli coś robicie, ale nie macie czasem trochę wody albo jedzenia?

Dwaj panowie popatrzyli po sobie.

– Woda i prowiant dla naszego gościa? – zapytał wyższy, ewidentnie Kadmon.

– Dokładnie tak, Kadmonie – odpowiedział ten wciąż bezimienny i wyciągnął małą kulkę z licznych kieszeni kamizelki taktycznej, którą miał pod płaszczem. Ścisnął ją delikatnie.

Sweetness czekała, aż coś się stanie, po czym zauważyła, że w pyłe coś się rusza. Coś zasypanego zaczęło wydobywać się na powierzchnię. Piasek zakłębił się i osypał. Dwie deski grawitacyjne z pękatymi skórzanymi sakwami po bokach wyskoczyły na powierzchnię i zawisły na wysokości metra.

– Super – powiedziała Sweetness Asiim Maszynistka.

W sakwach były woda i prowiant, zgodnie ze starannie ważonymi słowami Kadmona o kwadratowej twarzy. Sweetness jadła oszczędnie i ostrożnie, popijała wodę i obiema rękami ścierała przyklejony do twarzy piasek. Potem zapytała:

– A co wy dwaj tu w ogóle robicie?

– To pytanie, jak sądzę, należałoby raczej pani zadać – odparł Kadmon.

Mniejszy kiwnął głową.

– Ja jestem opowieścią – odparła i zaraz pożałowała swego zapалу, skazała się bowiem teraz na ponowne jej opowiedzenie.

– Nie, nie, nie – wtrącił Kadmon, unosząc palec. Jego towarzysz uczynił to samo. – Najpierw imię, potem opowieści.

– Dobra – powiedziała Sweetness. – Jestem Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII.

Obaj mężczyźni skłonili się nieznacznie.

– Ja jestem Kadmon, a to jest Eufrazy – powiedział Kadmon, z machnięciem ręki, które niższy musiał mimo woli powtórzyć. – Piaskowi Bracia.

Sweetness zastanowiła się.

– Ale nie jesteście braćmi.

– Duchowymi braćmi – odparł Kadmon.

– Duchowymi, tak – dołączył Eufrazy. – Oraz estetycznymi, ateistycznymi, anarchicznymi.

– Jesteśmy artystami-anarchistami – rzekł Kadmon. – A oto nasze dzieło.

I Piaskowi Bracia jak jeden mąż unieśli ręce ku gigantycznemu zestawowi przyborów do kominka, w którego wydłużającym się cieniu odbyła się ta rozmowa.

– Robicie dużo takich sprzętów domowych? – zapytała Sweetness.

– A więc znasz nasze prace?

– Spałam pod niektórymi z nich.
– A którymi? Powiedz, proszę – powiedział Eufrazy, szybki jak kieszonkowiec.

– Pod wielkim krzesłem. – I dodała: – A z daleka widziałam deskę do prasowania. I wielki but.

– Wielki but! – powtórzyli chóralnie Kadmon i Eufrazy.

Sweetness znowu się zastanowiła i po chwili powiedziała:

– No dobrze, poprawcie mnie, jeśli coś źle myślę, ale co wielkie deski do prasowania i buty mają wspólnego z anarchią?

– To anarchia nielogiczności – obwieścił Kadmon.

– I domowości – dodał Eufrazy. – Udomowienie pustyni.

– I upustynnienie domowości – stanowczo odparł Kadmon. – Tym sposobem mieszamy dwa statyczne absoluty: pustynię zewnętrzną i pustynię wnętrza.

– Ale przecież my żyjemy w anarchii? – zapytała słodko Sweetness.

– Anarchia, do której wszyscy przywykli, to żadna anarchia – rzekł Kadmon.

– Rewolucja, żeby być prawdziwą rewolucją, musi być ciągła.

– Prawdziwa anarchia to archia.

– Albo wynajdę swój nie-ustrój, albo zniewoli mnie czyjś inny.

Sweetness spojrzała na dwóch facetów w pustynnych strojach, przekrzywiła głowę w pewien sposób.

– Czy wy jesteście z branży? – zapytała.

Kadmon zachował wyniosłą pogardę, lecz przyłapała Eufrazego na tym, że odwraca się i unosi rękę do ust, żeby ukryć śmiech.

– Z branży artystycznej. Jesteśmy żywą sztuką – powiedział Kadmon.

Doobra, pomyślała Sweetness.

– A sztuka to w takim samym stopniu niszczenie, co tworzenie – dodał Eufrazy.

– Posłuchajcie, ja nie znam się na sztuce, więc musicie mi to wyjaśnić.

– Wyjaśnić? Bardzo dobrze. Ten projekt jest skończony. Prawdziwa sztuka jest ulotna, jedynie fałszywa pragnie nieśmiertelności. My tworzymy i niszczymy. Teraz jest czas niszczenia.

Sweetness poszukała wzrokiem wyjaśnienia u Eufrazego. Ten po prostu przewrócił oczyma ku grzybkowatej pokrywce zestawu narzędzi. Sweetness po raz pierwszy zauważyła wiązki białych walców przymocowanych wokół jej krawędzi oraz do słupa, kabelki w wesołych kolorach, transpondery radiowe.

– Chyba nie...

Eufrazy kiwnął głową i wyciągnął ze swej pełnej kieszeni kamizelki kolejne kuliste urządzone.

– Masz coś w okolicach trzydziestu sekund, żeby podjąć decyzję, czy jedziesz z nami, czy stawiasz na to, że umiesz szybko biegać – powiedział Kadmon, zbierając swe rozrzucone zawoje i wtykając je do torby, którą potem zarzucił na jedną z bliższych podrygujących desek.

– Ja? Na czymś takim?

– Dwadzieścia sekund. – Eufrazy już wsiadł na swoją deskę i stawił bom.

– No dobra, jadę, na nic nie stawiam! – Sweetness porwała swoją torbę i rzuciła się ku desce Eufrazego.

Nerwowa maszyna zakołysała się pod nią, próbowała złapać równowagę, chwyciła się Eufrazego, który, łapiąc ją za przód bluzki, uratował oboje przed wywrotką. Wiatr z trzaskiem rozpostarł żagiel Kadmona w różowo-fioletowe fraktalne wzory. Deska pochyliła się, potem wzmagający się wieczorny wiatr porwał ją i uniósł. Po paru chwilach zmienił się w zabawkę zagubioną w morzu czerwieni.

– Trzymaj się mocno! – zawołał Eufrazy do Sweetness, przyciśniętej policzkiem do jego łopatki.

– Co ty nie powiesz – odmruknęła Sweetness do jego pleców i w tej samej chwili nagły przechył i zryw deski omal jej nie przewróciły, gdy Eufrazy zwrócił bom do wiatru i deska nabrała prędkości. – Łooo! –

wykrzyknęła Sweetness Asiim Maszynistka, gdy pofalowany piasek rozmazał się w dole.

Druga deska skręciła ostro, złapała silniejszy prąd powietrza i podpłynęła do wielkiego, zarozumiałego Kadmona.

– Zero! – wrzasnął do Eufrazego, przekrzykując łopot żagla i wycie wiatru.

Mniejszy uniósł kulkę-cycek. Kadmon kiwnął głową na Sweetness, żeby się obejrzała, co uczyniła, choć kręciło jej się w głowie i robiąc to, przegapiła ściśnięcie sutka przez Eufrazego. Efekty były imponujące. Wielki zestaw przyborów kominkowych stał wysoki, czarny i domowy na horyzoncie. Na jej oczach pod krawędzią kopułki na moment rozbłysły białe kwiaty płomieni, jakby rzeczywiście jakiś ogromny pustynny grzyb gwałtownie wyrzucał zarodniki. Upadek był powolny i potężny. Gdyby samo Niebieskie Koło przełamało się i spadło, koziołkując, na ziemię, nie mogłoby być bardziej grzmiące i arystokratyczne. Eksplozje wokół krawędzi daszka najpierw uwolniły pogrzebacz, którzy spadł prosto na

ziemię i zarył się na dwie trzecie w piasek. Szczotka spadała jak kometa płonących drutów – ogniste kule i iskry sypały się wysoko, kiedy uderzała w ziemię. Kilka detonacji rozbiło szczypce na latające, pazurzaste odłamki. Została tylko szufla. Daszek, przeważony przez nią, przechylił się, wtedy zdetonował słup pod nim, w orgii wybuchów. Spadająca szufla cisnęła porcję gorącej pustyni na dwadzieścia metrów w powietrze. Wtedy w ziemię uderzyła kopułka, jak dzwon, który urwał się z boskiej dzwonnicy. Zadzwoił tak, że Sweetness aż zawibrowały jajniki w dole brzucha. Ułamek sekundy później fala uderzeniowa zmierzwiła jej włosy i szarpnęła za ubranie, pochylając i deskę.

Drugi słup dymu w jednym jej dniu unosił się nad zniszczonym dziełem sztuki.

– Świry z was, po prostu! – wykrzyknęła Sweetness, gdy Eufrazy przechylił deskę w potężnym, ocierającym się o piasek łuku.

Podobał jej się jego uśmiech, zadowolony i skromny jednocześnie. Prawie tamten uśmiech. Pamiętaj, to homosie, przypomniała sobie. I jeśli będziesz zakochiwać się w każdym mężczyźnie, który ma taki uśmiech, a zapewne wszyscy go mają, to cała twoja opowieść skończy się w tym rozdziale, jednym pasmem porażek. Ale, postanowiła, gdy deska oddalała się od dymiącego pobojuwiska w głąb Wielkiej Czerwonej, gdy czuła pod palcami męskie ciało i czuła męskie zapachy zawiewane wiatrem i pędem, który rozwiewał jej włosy, odsłaniając jej piękne kości policzkowe – ale o to właśnie chodzi w opowieściach.

– Łooo! – zawołała drugi raz tego dnia.

Stwierdziła, że lubi tych homochłopaczków-anarchistów-artystów. Pociągnęła Eufrazego za patchworkowy rękaw.

– Dokąd jedziemy?

– Zależy! – odkrzyknął z wiatrem.

– Od czego?

– Od tego, dokąd chcesz jechać.

– Ja?

– Nasze dzieło skończone.

– Wszystko wysadziliście?

– Do ostatniego.

– Nawet but?

– I to jak! Skuwki od sznurówek poleciały na trzysta metrów w przeciwną stronę.

Jak-skuwki skojarzyły się Sweetness Maszynistce z młodymi drapieżnymi ptakami, więc trzysta metrów może było imponującym

przelotem, a może nie, dostrzegła jednak i doceniła w tonie Eufrazego poczucie dobrze wykonanej roboty. Nie jest łatwo zrobić naprawdę porządny wybuch. Podobnie, rozumiała i zachwycała się szaloną prędkością, z którą pędziła nad pustynią, na tyle nisko, że piasek wzbijany przez dziobowe pole siekł ją po kostkach – w górę nad grzbietem wydmy, a potem z piskiem i z podskakującym żołądkiem w dół. Te homochłopaczki miały klasę. Podobali jej się.

Załomotała w plecy Eufrazego.

– Molesworth! – wrzasnęła, kiedy nadstawił uszu.

Eufrazy nie pytał, gdzie i po co. Kiwnął energicznie głową, na migi zagadał ze swoim partnerem z przodu. Kadmon i Eufrazy napaarli na żagle. W przechyle deski wycięły w czerwonym piasku półksiężyc i skręciły prosto na południe.

– Łooooiiii! – zatrąbiła Sweetness Asiim Maszynistka, odrzucając głowę w tył i pozwalając by jej tłuste, bujne włosy rozwiały się za nią jak anarchistyczna flaga.

Wciąż czuła ich zapach, czuła swój zapach, mogła polizać brązowe przedramię i posmakować rozmaitych minerałów. Miała niewiele wody w krwiobiegu i jeszcze mniej prowiantu w żołądku. Cały czas wędrowała po jałowych terenach, odbijając się od ludzi, miejsc, zdarzeń jak legendarna biała bila Raela Mandelli juniora. Jej przyjaciółka z dzieciństwa cały czas była uwięziona w transwymiarowym lustrze zwiniętym w słoju. Jej wróg przemierzał przestworza napędzany pedałami, ostrożnie sprawdzając swą władzę nad aniołami, które zbudowały tenże świat. Nie miała broni, władzy, planu, nawet chytrego podstępku nie miała. Ale wiedziała, zmysłem kolejowej dziewczyny, że to elektryczne bzyczenie w powietrzu zapowiada przejazd wielkiego ekspresu, jak pasterz z wyżyn wie, że przebiegająca przez stado fala rozchylających się nozdrzy zwiastuje deszcz; jak górnik głębinowy jest pewien, ryjąc przez żyły zastygłego obsydianu prastarych wulkanów tarczowych, że w następnej szczelinie będą skrzyć się diamenty; że choć nic się nie zmieniło, wszystko jest inaczej. Wcześniej ci ludzie, miejsca, zdarzenia popychały ją naprzód. Teraz, jakimś sposobem, zmieniła się z popychanej w popychającą. Odtąd to będzie Przygoda.

Kiedy z nieba przestał lać się żar, rozbili obóz pod osłoną postawionych na sztorc desek. Anarchiści rozpalili ogień i podgrzewali na nim małe, poręczne aluminiowe torebeczki turystycznego jedzenia w bulgocącym garnuszku. Było go za mało i smakowało sztucznymi dodatkami, na tyle paskudnie, że aż więzło Sweetness w gardle, ale i tak

z wdzięcznością nadziewała na plastikowy widelec kosteczki syntetycznego mięsa w lepkim sosie i je przelykała. Aby urozmaicić sobie stygnące godziny, gdy krawędź świata wznosi się nad tarczę słońca w pasmach czerwieni, złota i purpury, niczym papieska procesja, Kadmon i Eufrazy zagrali ze Sweetness w grę pod tytułem „Zgadnijmy, po co chcesz jechać do Molesworth, ale wolno ci odpowiadać maksimum dwiema sylabami”.

– Czemu? – zapytała z miejsca Sweetness.

– Bo tak – odparł wysoki Kadmon. – I tak, jak my w to gramy. Maks to dziesięć pytań.

– No dobra.

Eufrazy uniósł palec ostrzegawczo, potem drugi i trzeci. Potrząsnął nimi przed twarzą Sweetness.

– Dobra.

Skinał głową.

– Z jakiego powodu do Molesworth? – zapytał Kadmon.

Eufrazy siedział blisko niego i mądrze kiwał głową.

Sweetness otworzyła usta, potem się powstrzymała. Przeliczyła sylaby, skrzywiła się.

– Krewni.

– Pierwsze, drugie czy trzecie pokolenie?

– Trzecie – odparła pewnie Sweetness.

Kadmon i Eufrazy nachylili głowy ku sobie. Wydawali się mówić do siebie, choć w chłodnym, chłodnym, chłodnym wieczorze Sweetness nie słyszała żadnych słów.

– A przed czym uciekasz?

– Pierścień. – Sweetness zakręciła wyimaginowanym złotym krążkiem na palcu serdecznym. – Ale...

Eufrazy pogroził jej palcem.

– Ewidentnie nie szukasz w Molesworth małżeńskiej zgody – zastanawiał się Kadmon.

Eufrazy zaszeptał mu do ucha. Kadmon kiwnął głową.

– Dziadek lub babcia, według mnie zwykle najbardziej zaufany z członków rodziny. Czyli nie pogodzenie, ale sojusz. Szukacie czegoś razem, prawda?

– Bliźniak – odparła Sweetness. Gestem pokazała drugie „ja”, dzieląc się szybkim cięciem na pół.

Kadmon i Eufrazy bardzo powoli spojrzeli po sobie.

– Dziadek/babcia muszą ci pomóc w poszukiwaniu zagubionej siebie?

Sweetness kiwnęła głową, po czym dodała:

– Ducha.

Mimo woli wkręciła się w absurdalną poobiednią rozrywkę artystów. Język miała skrępowany, nie była już w stanie wypowiedzieć dwóch słów, ani ponad dwóch sylab, nie bardziej, niż byłaby w stanie wyrecytować wszystkie Pięćset Pięćsetliterowych Talabaseryckich Imion Boga.

– Ta... siostra przyrodnia? Nie żyje? Chodzi o jakiś seans, nekromancję czy coś podobnego? – zapytał Kadmon. W jego okrągłych okularkach odbijał się widmowo blask ognia.

– Ukradł.

– Ktoś ukradł ducha twojej zmarłej siostry-bliźniaczki?

– Tak.

– Szlag! To było pytanie retoryczne. Nie powinno się liczyć.

Sweetness uniosła dłonie, na których odliczała pytania, by ponad wszelką wątpliwość pokazać, że w jej grze pytania retoryczne się liczą. Kadmon wziął głęboki wdech i spróbował jeszcze raz.

– Nawet biorąc pod uwagę, że nasza kultura jest niska, merkantylna i każdy tu by każdemu wszystko sprzedał, nadal powstaje pytanie: po co ktoś miałby kraść ducha?

Sweetness ponownie kiwnęła głową.

– Święta. – Wskazała punkt, gdzie najjaśniejsze światelka księżycowego pierścienia trzymały się horyzontu, zakreśliła palcem wszechogarniający łuk na niebie. Kiedy odwróciła głowę z powrotem, obaj mieli rozdziawione usta.

– Chcesz nam powiedzieć, że duch twojej siostry-bliźniaczki nie jest właściwie twoją siostrą bliźniaczką, tylko aniołem? Święta?

– Kasią – odparła z naciskiem Sweetness.

Teraz ich usta były jak bliźniacze tunele prowadzące w mrok. Ostatnie pytanie było nieuniknione. Tak samo jej odpowiedź, na którą wpłynęły setki drobnych wrażeń zmysłowych, podpowiedzi i zmian w dźwięku pustynnego wiatru.

– Mówisz, że Święta Katarzyna z Tharsis, odgrywająca twoją zmarłą po urodzeniu siostrę-bliźniaczkę, została porwana jako duch i że ty i twój dziadek/babcia macie misję ją uwolnić – rzekł Kadmon. Nie było to pytanie. Po raz pierwszy Sweetness usłyszała w jego głosie drgnienie „oj, słabo”. – Ale kto by coś takiego mógł zrobić?

– On! – wrzasnęła Sweetness, wskazując prosto w górę, gdy ciemne pasmo latającej katedry śmignęło przez pierwsze iskierki księżycowego pierścienia, przesłaniając je.

Może i był jej zaprzysięgłym wrogiem, na pewno był kimś, kto porzuca hoże dziewczęta na środku śmiercionośnych pustyń. Może do miana Wastatora, Gottmördera i Niszczyciela Światów dopiero aspirował, ale jedno mu trzeba było przyznać: wycucie czasu miał świetne.

Ostrzegły ją szepty wiatru. Kolejowy zmysł wyczuwający duże poruszające się przedmioty tuż za horyzontem. Zauważyła przesłonięcie czerwieni na skraju świata, czymś wielkości upadłego księżycyca o brzuchu poprzecinanym pasmami chmur. Delikatne włoski w jej uszach pochwyciły szmer zębatek i wielkołopatowych wentylatorów. Prawa prawdopodobieństwa zarządziły to, co podejrzewała instynktem – będzie chciał się tu pokręcić, zobaczyć skutki swojego strzelania do rzutek. Dlatego fakt, że Kościół Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny postawił kropkę po dziesięciu pytaniach do niej, nie był dla niej wielkim zaskoczeniem. Były nim natomiast reakcje Kadmona i Eufrazego, gdy padł na nich wielki cień. Kadmon pogroził pięścią powoli dryfującej konstelacji światełek ostrzegawczych.

– Harx! Któżby inny! Któżby inny człowieku! Dalej niesie nas ten sam prąd! Już niedługo, mówię ci! Prawdopodobieństwo znowu nas zetknęło. Tym razem to będzie koniec!

– A jakże, Kadmonie, a jakże! – potaknął chór-Eufrazy.

– To wy go znacie? – zapytała z niedowierzaniem Sweetness.

– Pewnego razu do Collegium *Belles Lettres* chodziło sobie trzech małych przyjaciół anarchistów... – zaczął Eufrazy.

– Eufrazy! Na deski! Na deski!

Kadmon długodystansowym i celnym kopniakiem zasypał ogień piaskiem, gasząc go natychmiast. Jednocześnie porwał swój bagaż i wyrwał z piachu deskę. Odskokczyła od niego na nerwowych magnetograwitacyjnych paluszkach. Kadmon przyciągnął ją za uwięź, podniósł żagiel i wskoczył na pokład, gdy nabierała szybkości.

– Taka myśl: sztuka jest świetna, a anarchizm jeszcze lepszy, ale żeby dorobić się miliona, wymyśl religię – rzucił Eufrazy do Sweetness, dopychając swoją sakwę i wtykając żagiel do gniazda.

– Macie z nim spór o sztukę? – zapytała Sweetness.

Została zignorowana wśród gorączkowej krzątaniny, kiedy nad głowami powoli przepływały im światełka, wloty powietrza i małe okienka.

– Zdradził wszelkie zasady, jakie kiedykolwiek wyznawał na rzecz zysku ze sprzedaży wysyłkowej i młodych ciał – oświadczył Eufrazy.

– Gdyby tylko wszystkie wojny toczyły się z tak wzniosłych powodów jak sztuka – dodał Kadmon, ściągając wodze swojej desce, niczym

rycerskiemu rumakowi. – Poza tym, jeśli prawidłowo graliśmy w tę naszą grę, ten zły człowiek jest wielkim zagrożeniem dla rzeczywistości. A my może jesteśmy anarchistami, ale nie nihilistami. A teraz, dyskutując o tym z tobą, tracimy inicjatywę i tempo. Wrócimy do ciebie, nie obawiaj się. Musimy jednak udać się na honorową bitwę. Trzymaj się z daleka, to nie jest twoja bitwa.

– Jak to nie moja?! – wrzasnęła Sweetness. – Tam jest, do cholery, moja siostra!

– Eufrazy, przygotuj ładunki! – rozkazał Kadmon, okręcając deskę i ustawiając żagiel do wiatru.

Eufrazy wypchał kieszenie swojej kamizelki laskami materiału wybuchowego i rzucił parę Kadmonowi, który złapał je zręcznie, puścił żagiel i poszybował deską w oszłamiającym, pionowym łuku ku ociężałemu, pełnemu światełek sklepieniu. Eufrazy w biegu wskoczył na swoją deskę i poszybował za swoim towarzyszem.

– Nie zostawiajcie mnie, wy... wy... pustynne włóczęgi, przewymiarowani meblarze, wy odtylcowi kowboje! – krzyknęła Sweetness do jaskrawych trójkątów płótna żaglowego znikających pod ciemnym, skomplikowanym brzuchem latającej katedry. Zwinęła dłonie w trąbkę. – Trzymajcie się pod spodem! Ma akceleratory cząstek i nie zawaha się ich użyć! Wyjdziecie powyżej, to zestrzeli was z nieba!

Już wylaniała się z cienia sterowca-kościoła. Wdrapała się na szczyt wydmy, rzuciła się na jej wąski, miękki grzbiet, szukając, skąd będzie lepiej widzieć. Może i są komarami, które atakują słonia, lecz Burzyciel Harx już zauważył te jaskrawe owady i przygotowywał obronę. Na oczach Sweetness pootwierały się tęczękowo otwory z działkami, ich wielolufowe, obrotowe paszcze wysunęły się do pozycji bojowej i zablokowały.

– O Boże, uważajcie, uważajcie! – krzyczała Sweetness, wczepiając palce we włosy w bezradnej frustracji, gdy powietrze pod sterowcem stało się klatką uplecioną z serii białych pocisków smugowych.

Jednakże dwa jaskrawe trójkąty anarchistycznych desek prześliznęły się pomiędzy nimi, jakby to było konfetti, tu skręt, tam unik, tu ostry zwrot na prawą burtę, a potem przerażający lot nurkowy, by poderwać się na centymetry od serii tysiąca stu pocisków na minutę i wykonać ostry zawrót.

– Ajjjj! – wykrzyknęła Sweetness Asiim Maszynistka, a czaszkę atakował jej ciężki młot gatlingów.

Burzyciel Harx, zdaje się, próbował obrócić swój statek. Niektóre łopatkę przestały się obracać, inne weszły na wyższe obroty, małe manewrowe gondolki przekręcały się tam i z powrotem, wentylatory się rozmazały. Sweetness wyobrażała sobie grupy pedałówujących o zaciętych twarzach, wyćwiczone uda pompujące dwa, trzy razy szybciej, pot spływający po tyłkach pod ich fioletowymi kolarskimi spodenkami. Katedra obracała się jak układ meteorologiczny, próbując wycelować ciężkie dolne działka w napastników, lecz Kadmon i Eufrazy wyczuli już wroga. Podlatywali do niego szybko i blisko, tuląc się do chaotycznej architektury katedry, opuszczając maszty, by prześliznąć się pod kapsułami, wylotami i wieżyczkami, poza zasięgiem broni. Działka nie odważały się strzelać, żeby nie rozerwać delikatnej powłoki sterowca.

– Dawać, dawać, dawać! – wołała Sweetness, wymachując pięścią i podskakując na gorącym, osypującym się piasku, gdy Kadmon i Eufrazy wyskoczyli spod katedry w otwarte niebo.

Lecieli wyżej i wyżej. Działka plunęły ku nim pociskami smugowymi, lecz oni byli już za krawędzią i sunęli wzdłuż górnej powłoki ku szklanej brodawce kontemplatorium. Burzyciel Harx ewidentnie nie spodziewał się, że zemsta spadnie nań z nieba, jego górna półkula była niebroniona. Żadnych wieżyczek, żadnych strzelnic, żadnego choćby strzelca z dubeltówką ustawionego chwiejnie na powłoce. I zbyt blisko, żeby ryzykować użycie broni orbitalnej. Pomyłka o jedną cyfrę po przecinku i anarchiści, Harx i fioletowe ludki, wszystko razem eksplodowałyby feerią hiperprzyśpieszonych jonów. Zerkając spod ocieniających dłoni, Sweetness widziała, że Eufrazy – rozpoznawalny po żaglu – unosi rękę. Odchodziła od niej łukiem smuga dymu. Trafił tuż poniżej szklanej kopuły. Nastąpił zadziwiająco silny błysk. Parę sekund później, huk potrzęsnał Sweetness Asiim, gdy tańczyła, radosna, na szczycie wydmy. Postrzępiony pas powłoki sterowca trzepotał na wietrze. Z rany satysfakcjonująco buchał dym. Sterowiec przetoczył się, próbując usunąć cele z zasięgu napastników, Kadmon i Eufrazy rozdzielili się jednak, skręcili ostro i śmignęli zbieżnymi kursami ku szklanemu sanktuarium. Tym razem dwie laski. Podwójny wybuch. Jeden bezpośrednio na kopule – odłamki przezroczystego plastiku zamigotały w świetle magicznej godziny, sypiąc się, ostre jak noże, na delikatną górną powłokę. Drugi, z dłuższym lontem, potoczył się i eksplodował w dwóch trzecich długości powłoki. Tam elementy konstrukcyjne były bliżej powierzchni – gazowy balon pękł, sypiąc odłamkami rozpórek i pakułami, od czego cały statek zadygotał jak słabo zastygła galaretka na dzień obrzezania.

– Jeee! – wiwatowała Sweetness, kiedy na czerwoną pustynię spadł deszcz odłamków.

Katedra Burzyciela Harxa miała teraz wyraźny boczny przechył. Jednakże próbowała się odwrócić, zyskać pozycję do strzału. Strzelcy pruli szaleńczo seriami w nadziei, że w coś trafią. Sweetness zanurkowała w ukrycie, gdy smuga pocisków rozbiła w pył wierzch jej wydmy. Usłyszała dwie, trzy, cztery kolejne eksplozje. Gdy ponownie wytknęła głowę, zobaczyła, że katedra wisi przechylona pod kątem dwudziestu stopni, a niższa część jest cała usiana kraterami i dziurami. Cała sekcja dolnej powłoki zwisała ze szkieletu jak częściowo zdarty strup, a przez pęknięcia prześwitywały dźwigary i rozpórki, otwarte złamania narządów lotu. Z okienek i przez powłokę sypał się stały deszcz odłamków, a podpory balonetów wyginały się i pękały pod niespodziewanymi nowymi naprężeniami. Sweetness dostrzegła jakieś gorączkowe poruszenia w środku, jakby lęgnących się pajaków – to pedałuujące załogi opuszczały swe posterunki. Anarchistyczna flota powietrzna podgryzała wielką katedrę jak pitbulle bawołu. Wybuchy znaczyły pryszczami trądzikową skórę sterowca. Ekspłodował kolejny balonet, sekunda po sekundzie przechylony statek zbliżał się krawędzią do twardej ziemi. Niewiarygodne – dwójka wędrownych artystów z upodobaniem do Wielkich Przedmiotów Domowego Użytku oraz materiałów wybuchowych dała radę Kościołowi Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny. Było to ich największe dzieło, prawdziwa anarchia w sztuce, hymn na cześć chaosu, a świadkiem tego była jedynie zbiegła kolejowa dziewczyna. Była zbyt nakręcona adrenaliną od tego przedstawienia, by przejmować się seriami z gatlingów – tańczyła, skakała i pokrzykiwała na wydmie, dopingując statek do wywrotki. Jednakże podczas jednej z krótkich chwil, kiedy jej stopy w buciorach były w kontakcie z piaskiem, poczuła to. Znała to odczucie. Każdy kolejny dzieciak wysysał to z mlekiem matki – delikatne drgania nadjeżdżającej ciężkiej maszynierii. Niemożliwe, nielogiczne, lecz podeszwy i kości mówiły – jedzie pociąg, gdzieś głęboko pod piaskiem.

Burzyciel Harx miał jeszcze broń inną niż akceleratory cząstek.

Odwróciła się i zobaczyła sunące ku niej pędem dwie zmarszczki w piasku, jak fale dziobowe jakiegoś odwróconego lub niewidzialnego statku płynącego po piaskowym morzu. Szły jak strzałki przez Wielką Czerwoną, proste, równe, idealnie równoległe i przerażająco szybkie. Drgania zmieniły się w dygot, potem w trzęsienie ziemi. Piasek pod stopami Sweetness zmienił się w ciecz, pogrążyła się po kostki, łydki, po

kolana. Szybkie podziemne stwory przecięły otwartą równinę, po której żeglowała tego ranka, i zanurkowały w wydmnę, na której stała. Sweetness stoczyła się z niej, a w tym samym momencie drugie zbocze diuny eksplodowało dwoma piaskowymi gejzerami. Wystarczyło jej jedno spojrzenie. Jedno spojrzenie było aż nadto. Paszcze modliszek, po dwa turbinowe silniki, i nic tylko kolce, ostrza i oczy-czujniki. Maszyny do zabijania – szybkie i spiczaste. Bardzo spiczaste – gondole z silnikami miały dwa długie szpikulce, lśniące chromową stalą w niebieskim blasku magicznej godziny. Główki okręciły się, oczka namierzyły cele. Dwa myśliwce zrobiły nawrót z potwornym przyśpieszeniem i z ogłuszającym rykiem wzniosły się stromo w niebo.

Sweetness zeskrobała piasek z twarzy i rozdarła się w klasycznym ostrzeżeniu:

– Z tyłu! Uwaga z tyłu!

Eufrazy, balansujący delikatnie na desce, odwrócił się, z ładunkiem w dłoni. Pierwszy łowca trafił go idealnie i szybko prawą gondolą. Uderzenie powinno rozerwać go na pół. Uratowały go liczne warstwy grubej pustynnej odzieży, lecz był nadziany jak ćma na szpilkę kolekcjonera, wisiał w dwóch trzecich długości wymazanego krwią ostrza. Sweetness wydała z siebie potworny, nieartykułowany jęk, jakby i ona była nadziana razem z nim. Patrzyła, jak łowca unosi Eufrazego wysoko nad ziemię. Pozbawiona kapitana deska pokoziołkowała w dół. Łowca leciał pionowo i Sweetness zrozumiała teraz jego strategię – w szczytowym punkcie wznoszenia robi przewrót w tył, Eufrazy zsunie się ze szpikulca usmarowanego jego własną krwią i polecą w kilometr przestrzeni powietrznej. On jednak wciąż nie wypuścił tej laski materiału wybuchowego i w ostatnim, bojowym ciosie dla boskich cerberów zdetonował ją. Sweetness zobaczyła cienką smużkę dymu, a potem człowiek i maszyna eksplodowali śmiercionośnym kwiatem białego ognia. Odrętwiała, oniemiała, patrzyła, jak strzępy mięsa i metalu przebijają się przez powłokę sterowca, robiąc w niej ziejące, dymiące dziury, a potem spadają, wciąż się tłąc, na piasek.

Kadmon zaś walczył z drugim terminatorem. Nie było to czyste i szybkie zwycięstwo. Widząc pędzącego ku sobie wroga, wbił buty głęboko w uchwyty, chwycił z całej siły maszt i wleciał pod krawędź statku, robiąc pętlę. Łowca dał silniki na pełną moc i zrobił beczkę, lecz te pół sekundy wystarczyło Kadmonowi, żeby zgubić go wśród masztów z czujnikami, wylotów wentylacyjnych i kratownic pod miękkim podbrzuszem Burzyciela Harxa. Jego wyczucie wiatru pozwalało mu

nabierać szybkości z każdej falki i każdego wiru opływającego skomplikowaną architekturę sterowca. Okrzyki Sweetness, wzmocnione anarchiczną matematyką teorii chaosu, wytwarzały powiewy dodające parę centymetrów na sekundę jego fraktalnemu żaglowi. Jednakże mimo wszystko to był człowiek i natura przeciwko aniołowi i maszynie. Łowca musiał lecieć wolno, by nie wyrządzić dalszych szkód sterowcowi, ale powoli, metr za metrem, przybliżał się.

– Tak! Taak!!! – krzyczała Sweetness. Kiedy terminator przedarł się przez trzepoczącą kurtynę powłoki sterowca, rozpruwając ją na trzy pasma, dodała: – Z lewej! Dawaj w prawo!

Kadmon usłuchał, nie dlatego, że ją usłyszał, ale ponieważ zbliżał się do brzegu, a otwarta przestrzeń gwarantowała mu przerobienie na kebab. Skręcił ostro o sto osiemdziesiąt stopni, prosto na łowcę. Za szybko – tamten tylko mignął kolcami i już się minęli. Łowca wykonał przewrót i ponownie namierzył cel, lecz Kadmon był gotowy. Zrobił kolejny zwrot i kiedy anioł-łowca nabierał szybkości, skoczył mu prosto między rogi. Chwycił się krawędzi pancerza, przeskoczył nad szpicami i występami i przedostał się od tyłu do głowy z dziobem. Rzuciła się i kłapała, próbując odciąć mu kończyny wanadowymi żuwaczkami, lecz Kadmon strząsnął z siebie pustynny płaszcz i owinął nim całą mającą zbyt dużo oczu głowę. Łowca rzucał się i szarpał, przewrócił się na grzbiet, lecz Kadmon owinął się nogami wokół jego chromowej szyi. Deska grawitacyjna wypłynęła delikatnie wznoszącym się łukiem spod chylącej się katedry. Dwaj strzelcy, którzy jeszcze nie porzucili swych posterunków, gdy tonęła w powietrzu, dojrzeli ją w polu ostrzału. Przecinające się serie białych pocisków smugowych rozbiły ją na strzępy. Kadmon, artysta-anarchista, wbił już pięść w czaszkę maszyny, wypruwając z niej garść kabli. Łowca wrzasnął tak, że Sweetness usłyszała to przez skrzywienie i pojękiwanie umęczonego sterowca. Jadąc na nim, jak gauczo z wyżyn na lamie podczas rodeo, Kadmon wyszarpnął kolejną wiązkę przewodów. Łowca, potwornie wyjął, zawirował jak karuzela, by zrzucić z siebie anarchistę. Ten zakrzywił palce jak haki. Maszyna była na tyle rozumna, że wiedziała: jej koniec jest już blisko i jedyny sens to zabić się razem ze swoim prześladowcą. Zanurkowała na oślep ku ziemi. Strzelcy skierowali ku niej łuki pocisków; Kadmon ujeżdżał łowcę jak swoją deskę, napierając na głowę z czujnikami i statecznikami, zmuszając rozwrzeszczaną bestię do robienia uników pomiędzy seriami z działek. Napinając mięśnie jak postronki, wyprowadził stwora ze śmiertelnego lotu nurkowego, centymetry nad

ziemią. W ostatniej chwili zeskoczył mu z grzbietu. Zderzył się z piaskiem, mocno, z dużą prędkością, wzbijając przed sobą falę – trzepoczące nogi, ręce, poły płaszcz, koziołkujące w nieskończoność. Łowca, oślepiiony, pozbawiony czujników, wzniósł się na dwóch słupach ognia z dopalaczy, wybijając ogromną ranę w prawej przedniej ćwiartce latającej katedry. Przebił się przez jej górną powłokę, sypiąc częściami silników i rozprutego balonetu. Okaleczona katedra obwisała jeszcze niżej. Dmuchawy bezskutecznie miały powietrze. Spadała na bok, kręcąc się powoli, jak diabelski młyn zahaczała o ziemię zewnętrznymi prętami czujników, łamiąc je. Sweetness patrzyła, jak ten moloch przetacza się ku niej, by ją zmiażdżyć. Burzyciel Harx otworzył zawory balastowe i zaczął zrzucać na pustynię tony wody, próbując utrzymać się w powietrzu. Umierający łowca rozbłysnął po prawej stronie statku. W zenicie lotu wznoszącego jego silniki zadławiły się i padły. Umarł w locie, przewrócił się na grzbiet i korkociągiem spadł na ziemię, zarył się w gościnnym piasku i buchnął tłustymi czarnymi płomieniami. Sweetness zanurkowała pod krawędź katedry. Minęła ją o włos. Wodospad z nieba przewrócił ją, wycisnął powietrze z płuc. W jednej chwili cała była przemoczona, posiniaczona i zmiotło ją z wydmy w piaskowo-wodnej powodzi błyskawicznej.

Spłynęła do Kadmona. Leżał płasko, nieruchomy, mokry, jak nic nie powinno być mokre na suchej pustyni. Z tej płaskości wywnioskowała, że jest bardzo połamany.

– O rany...

Połamany, może i nieżywy.

Otworzyło się oko.

– Dziewczyno, uciekaj stąd! – krzyknął Kadmon ile sił w płucach.

– Nic ci nie jest!

– Jest. Jest. Ja umieram. Proste. Ale chociaż będę miał wkóło jakieś kwiatki. A ty padniesz tu ze mną, chyba że zabierzesz się stąd jedynym dostępnym transportem.

– O czym ty mówisz, człowieku?

– Drabinka, dziewczyno! Drabinka! – Pokazał brodą.

Sweetness powiodła wzrokiem za ruchem jednodniowej szczeciny, w górę osypanej wydmy, do miejsca, gdzie z powoli kręcącego się koła uszkodzonego sterowca zwiślała ku ziemi wątła sznurowa drabinka.

– Ale...

– Oszczędź mi upokarzającej sceny śmierci. No, leć.

Drabinka opuściła się ku ziemi, szczebel za szczeblem, jak zawołowana tancerka z Belladonny kusząca jelenia.

– Ale czemu?

– Co? Dalej tu jesteś?

Dwa szczebelki, trzy szczebelki, cztery. Pięć.

– Czemu ty tak go nienawidzisz? Bo... ja to wiem czemu, ma moją siostrę, tylko że to tak naprawdę nie jest moja siostra, ale tak ją traktuję. Ale co ty do niego masz? Znaczący wiem, że wyleciałeś ze szkoły artystycznej ale czy to powód, żeby wysadzać mu sterowiec?

Osiem szczebli, dziewięć. Zaraz koło zacznie się przemieszczać w drugą stronę. I przesuwanie balastu też już działało. Sterowiec bardzo powoli się prostował. Dmuchawy nabierały szybkości.

– O, daj spokój. To mój brat.

– Chyba zwariowałeś – powiedziała Sweetness.

– Kadmon Laventry Ofiklejda Harx, umierający na pani oczach, madame. Każdy ma kogoś, kogo musi ubić, i przeważnie ta osoba jest z kręgu najbliższej rodziny. No, leć już!

Drabinka odsuwała się od niej, unosząc się o jeden szczebelek, dwa, trzy, drażniąc się z nią. Jednakże Sweetness się ociągała.

– No, na miłość boską! – skrzeknął Kadmon. – Daj sobie z tym spokój! Kolejna rzecz, której nigdy nie zrozumiesz! Właśnie dzięki takim tajemnicom życie jest ciekawe. No, dawaj! Leć!

Poleciała, ale jeszcze się obejrzała. Głęboko ukryte, szybko rozkwitające pustynne kwiaty, obudzone niespotykanym o tej porze roku deszczem, zdążyły otoczyć Kadmona nimbem zieleni. Faktycznie jak wieniec. Także dla niej, jeśli nie zdąży złapać się tych dyndających sznurków. Przypomniała sobie, ile razy musiała pędzić sprintem do pociągu i skakać w ostatniej chwili na najniższy stopień. Tu nie będzie trzeciego gwizdka.

– Aaaa! – krzyknęła, gramoląc się przez mokry, lepki piasek w stronę drażniącej się z nią drabinki.

Matko z córką, mało braknie. Jeden szczebelek, zero szczebelków. Skoczyła ku drabince, gdy ta już unosiła się nad jej głową, chwyciła się ostatniego szczebla jedną ręką. Zamachnęła się, machnęła nogami, krzywiąc się z wysiłku, kiedy katedra Burzyciela Harxa nabierała wysokości. Druga dłoń na szczeblu. Pierwsza – o jeden wyżej. Kolejny, potem, z wielkim bólem, kolejny. Szczebelek za szczebelkiem, Sweetness Asiim Maszynistka dźwigała się ku górze, podczas gdy ranny

sterowiec obracał się powoli na dmuchawach i uwoził ją w magiczną godzinę.

Panika na ulicach Molesworth.

Przez całą noc konkurencyjne polityczne bandy, podburzone tym, co interpretowały odpowiednio jako upokorzenie lub triumf, ganiały się nawzajem po kamiennych bulwarach, powiewając partyjnymi sztandarami, obrzucając się politycznymi wyzwiskami i butelkami, bombardując się powyrywaną kostką brukową i kawiarnianymi krzeselkami. Wybijano okna, a sklepikarzom na tyle nieostrożnym albo zbyt skąpym, żeby założyć rolety antywłamaniowe, wszystko radośnie rozszabrowano. Płonęły ognie, z balkonów sypały się koktajle Mołotowa. Wywieszane do wyschnięcia bluzki i koszule buchały wesolutkim płomieniem – najniższe ich girlandy zajmowały się od ognia na ulicy i podpały te na wyższych piętrach. Palące się tramwaje, pozbawione motorniczego, ale nie napędu, sunęły dalej po szynach; kradziono furgony i dostawczaki, spychając je w pośpieszne barykady, na których zawisały od razu stosowne partyjne barwy. Zmobilizowano straż obywatelską, milicję poderwano z łóżek i pośpiesznie uzbrojono. Jednostki wojskowe w Gesserem i Shrelby postawiono w stan gotowości; głęboko w wyłożonych tytanem grotach pod magmową tarczą Chryse dywizje robotów otworzyły oczy jak czerwone koraliki z ośmiuset lat cybernetycznego snu i uniosły głowy. Zamieszki były poważne. Bo też Moleworthianie poważnie traktowali swoją lokalną politykę.

Armatki wodne i pola siłowe o szerokim widmie do spółki oczyściły ulice z większości uczestników i ich barykad. Tu i ówdzie oddziały z małymi tarczami szarżowały z pałkami na tłum i pełne zapału wdawały się w walkę wręcz. Nad ranem większość pożarów wypaliła się lub została ugaszona; ulice wypełniał popiół, osmolone truchła tramwajów

i ciężarówek, ludzie zamiatający tłuczone szkło oraz sporadyczne samochody pełne Młodych Turków pędzących z szaloną szybkością przez zasłane odłamkami bulwary, pohukujących i powiewających partyjnymi flagami z okien i szyberdachów. Molesworth było jak ruina, lecz kryzys został zażegnany. Legiony robotów opuściły głowy i zamknęły oczy.

Na Placu Rembrandta spłonęły wszystkie platany, ale poranni sprzedawcy gazet zamiatali szkło i popiół i rozstawiali swe stragany. Trójkołowce dystrybutorów już krążyły po poboju; gazeciarze w papierowych kapeluszach z największym z porannych nagłówków na czole ciskali paczkami gazet między gruzy i pędzili do następnego punktu. Plotka musi krążyć.

Pierwsze ranne ptaszki ostrożnie obchodziły syczące i iskrzące zerwane w nocy druty trakcji tramwajowej, dziwując się skali zniszczenia. Noc kryształową przetrwał tylko jeden komplet okien, ten należący do Salon Du Thé Torstena Toskviga, najbardziej szacownego w całym mieście. Właściciel przypisał to znakomitości swojej mięty, zbieranej ręcznie o rosie z rodzinnych pól w Tullaswaygo, i utrzymywał, że to jedno, samo w sobie, ochroniło jego herbaciarnię, kiedy upadał Cossivo Beldene.

Z samego rana siedziało już tam pięć osób, przy porannej herbatce i pierwszych wydaniach gazet. Byli to, od lewej do prawej: krępa młoda kobieta ze sterczącymi włosami; wysoki, chudy jak szczapa mężczyzna o skórze tak czarnej, że pochłaniała światło, blada, ospała dziewczyna o wystudiowanej artystowskiej pozie, z biżuterią w każdej części ciała, która była ją w stanie utrzymać, starszy facet o kwadratowej twarzy, którego nadmierne wypielęgnowanie, sztywna postawa i brzuch, wyraźnie ściśnięty gorsetem, mówiły: dawny artysta wodewilowy oraz nastolatek o gołych ramionach i szkurzej twarzy, z umyślnie anarchicznymi włosami i paskudnymi zębami. Skerry, Bladnoch, Mishcondereya, Seskinore i Weill. Razem nazywali się Zjednoczeniem Artystów. W kolejności jak wyżej specjalizowali się w: sztukach cyrkowych, komedii obserwacyjnej, interaktywnej mikrodrامية, sprymitywizowanym stand-upie oraz anarchizmie. To ich numer z tortem i specjalnie napisana piosenka, posłana ekspresowym kurierem Glennowi Millerowi, wywołały całe zniszczenie, które słało się u ich stóp, gdy teraz popijali w ogródku herbatkę. Dokładnie, jak planowali. To nie był numer na łapu-capu, to był wykalkulowany akt politycznego sabotażu. Ta piątka była tajnymi agentami, opłaconymi przez Synod Anarchów

Mądrości, by wyszukiwać zagrożenia dla ich przyjaznego nie-rządu i powalać je potężnymi ciosami dowcipów.

Accringtona LeCerfa, uzdrawiacza-hochsztaplera, pozbawiającego emerytów ich pieniędzy, spotkała zasłużona kara, gdy na jednym z jego uzdrawiających seansów niespodziewanie spadła kurtyna, odsłaniając rzekomo „uzdrowionych”, którzy siedzieli za sceną, palili i gadali, co do jednego aktorzy. Banda oburzonych staruszek ciężko pobiła go jego własną tacą do zbiórek. Konieczne były trzy miesiące hospitalizacji. To Zjednoczenie Artystów sprawiło, że ta kurtyna się oberwała.

To za sprawką Zjednoczenia Artystów Ramon Drube, skorumpowany irydyjski polityk i główny motor afery „Kasa za cukier”, wykonał żenujący upadek prosto do beczki pełnej węgorki, wchodząc na kolejną wyborczą mównicę.

György Krinz, wpływowy prawnik z kontaktami wśród Czcigodnych Rodów, był także osławionym uwodzicielem młodych chłopców w publicznych szaletach, dopóki Zjednoczenie Artystów, w ramach skomplikowanej potajemnej operacji nie przebudowało niewinnie wyglądającego WC na roztańczoną i rozśpiewaną estradę musicalową, do kompletu z Efebami w złotych atlasach i pisuarami strzelającymi ognistymi racami. Poszło to na żywo w trzech sieciach telewizyjnych. Oglądalność skoczyła pod sufit. Na György’a Krinca sufit spadł. Odtąd wyroki skazujące członków Czcigodnych Rodów stały się bardziej regularne.

Mavda Quisana, córka bardziej znanej matki, prowadziła na kilku sztucznych atolach na Morzu Syrtyjskim małe, ale efektywne imperium prania pieniędzy. Kiedy konwencjonalny wymiar sprawiedliwości zawiódł, Zjednoczenie Artystów wrzuciło jej pigułę do margarity i przekonało, sprytnymi sugestiami i dekoracjami, że umarła i trafiła do piekła, gdzie wyznała wszystkie swe znane zbrodnie i kupę takich, o które nikt jej nie podejrzewał. Ściany fałszywego piekła otworzyły się, wmaszerował szeryf i jego ludzie i zaczęło się prawdziwe piekło.

Spotkania akcjonariuszy paru wielkich firm o lepkich paluchach zostały spektakularnie zakłócone przez Amandę, Pancernika Przeciw Przestępstwom Gospodarczym, przeważnie wywołującą bunty akcjonariuszy przez proste upublicznienie wynagrodzeń członków zarządu. Także Zjednoczenie Artystów.

A wczorajszego wieczoru Zjednoczenie Artystów zorganizowało dostawę bardzo dużego czekoladowego tortu na Gubernatorską Idyllę. Ochy i achy. Gdy nowy gubernator nachylał się nad nim z nożem,

wierzch uniósł się i z tortu wyskoczyła Seetra Annulka, dawna kochanka Cossiva Beldene'a, ubrana w cekinowe bikini, srebrne kozaczki i pióra. W starannie wyćwiczonej choreografii zaczęła przechadzać się tam i z powrotem po scenie, przy pokrzykiwaniach gości, śpiewając specjalnie skomponowaną piosenkę. Okrzyki jeszcze się wzmogły, gdy do publiczności dotarły słowa mówiące o klipsach na sutki, kleju, drobiu, hakach na suficie, sierotkach w śnieżnobiałych majteczkach i wtykaniu państwowych klejnotów kantonu Chimeria w otwory nieprzeznaczone do należytego ich eksponowania. Przy trzeciej zwrotce w wielkim Festhallu była już cisza jak makiem zasiał.

Przy akompaniamencie po równo śmiechu i głosów oburzenia Cossivo Beldene, jego świta i goście zniknęli ze sceny podczas ostatniego refrenu. Zaraz potem poleciało pierwsze krzesło i zawiązała się bijatyka, która migiem rozprzestrzeniła się z Ratusza na całe miasto.

Teraz, w porannym słońcu, wśród wciąż unoszącego się w powietrzu zapachu spalenizny, Zjednoczenie Artystów czytało pierwsze recenzje.

– Uczta, która gubi gubernatora – przeczytała Skerry, świeża i jędrna po porannej przebieżce, dziesięciu kilometrach, które robiła codziennie, zamieszki czy nie zamieszki. Zawsze, wszędzie i każdemu pokazywała masę zdrowego, rumianego ciała.

– Przesada z tymi grammi słów – stwierdził niskim, łagodnym głosem poważny czarny mężczyzna, Bładnoch. Najlepsi komicy rzadko się śmieją. Zawsze był komikiem dla komików, tak śmiesznym, że przeszedł na drugą stronę i stał się całkiem nieśmieszny. – Pan „Klamerka na Jaju” Beldene ukrywa się – przeczytał w swoim egzemplarzu „Chimeryjczyka” i przewrócił go na wiadomości sportowe.

– Ukrywa się czy coś ukrywa? – zapytała ospała kobieta z nadmiarem kolczyków. To była Mishcondereya, zła córka z bardzo dobrej rodziny, która, nawet pijąc poranną herbatkę, emanowała wdziękiem i letargiem polującego geparda, jednocześnie niesamowicie atrakcyjnym i potwornie irytującym. Była urodzoną arystokratką. Zatem oczywiście czytała jakościową gazetę, „Czas Przesilenia”. – Anarchia rządzi w Molesworth. Zamieszki po upadku Beldene'a. Weill, byś się ucieszył.

Mały chudy anarchista tylko wydłubywał sobie miętę z zębów. Nadmiernie wysoki, nadmiernie głośny, nadmiernie ufryzowany i nadmiernie zagorsetowany mężczyzna w swoim firmowym przyciasnym srebrnym garniturku skomentował zza płachty „Niezależnego Reportera”:

– Myślałem, że „Czas” trzyma poziom, a tu taki oksymoron na jedyńce. Wiecie, kiedyś, jak poszedłem na łódki, poznałem tytularkę

z gazety. A może to była składaczka? – Chór pogardliwych burknięć zagłuszył wspomnienia Seskinore'a. Dodał tylko nieudolnie: – Próbują namówić Glenna Millera do wydania singla z Seetrą Annulką na wokalu. Moglibyśmy się zgłosić po tantiemy.

– Ja tam bym kupił – powiedział Weill-anarchista.

– Prędzej ukradł – zadrwiła Mishcondereya. – Za tego „Zwiastuna” zapłaciłeś?

– Oczywiście, że nie. – W ciągu dwunastu miesięcy szkolenia i trzydziestu sześciu w roli terenowych agentów Synodu Anarchów Mishcondereya nie nauczyła się jeszcze, że Weill traktuje jej otwarcie sarkastyczne uwagi jako komplementy. – Jak Babilon płonie, nikt nic nie kupuje. W tej kapitalistycznej szmacie całkiem nieźle nas opisali.

– A są już wiadomości? – zapytała Skerry.

– Wybiło siódmą – stwierdził Weill, pokazując brodą miejski zegar na przystanku tramwajowym po drugiej stronie placu. Szyba zmieniła się w kostki cukru, ale gołe wskazówki wciąż powoli i miarowo odmierzały czas dla Molesworth. – Więc pewnie tak. Mają tu radio? Patrzcie no, kto idzie.

Przez plac szła kobieta we wdowiej czerni, zręcznie przestępując druty ze spalonych opon, nie zwracając uwagi na nagabywania gazeciarzy. Dłonie miała skromnie złożone i w ogóle nie wydawała się nie na miejscu na tym pobojuwisku.

Seskinore złożył gazetę i uniósł brwi.

– O, nasza kolejowa dama o interesującym rodowodzie.

– Co ona, kurde, tutaj robi? – zapytała Skerry, nasuwając na oczy ciemne okulary. – Wiesz co, Weill, ty to czasem potrafisz mnie wkurzyć. Właściwie to cały czas. No dobra, pomogła nam, знаła te jakieś cudaczne kolejowe czary – parę pokoleń chowu wsobnego i możesz wszystko – ale na imprezę nie trzeba było jej zapraszać. A jeszcze do naszego własnego stolika. Zastanawiam się nad twoim podejściem do bezpieczeństwa, towarzyszu.

– Przynajmniej mam trochę przyzwoitości – odparł Weill. – Nie wiem, jak tam wy, Tarsyjczycy, ale u nas, w Dolinie, nawet anarchiści mają szacunek dla dziadków.

Babcia Taal już dotarła do herbacianego seansu na werandzie. Ostatnie dziesięć godzin było oszałamiającym wirum wszystkiego po kolei. Czterdzieści parę lat, a życie jeszcze potrafi cię zdumieć. Dziwne akcje przy tym torcie w zaułku, niespodziewane zaproszenie na Idyllę, świetne jedzenie i wino, gdy siedziała z tymi dziwnymi ludźmi – ostatnimi,

jakich można by sobie wyobrazić na liście gości tak elitarniej imprezy; a potem wszystko poleciało w powietrze, wisiało tam przez nerwową minutę, kiedy dziewczyna w srebrnych cekinach śpiewała satyryczną piosenkę, żeby zważyć się z hukiem w fali reporterów i burzy z piorunami fleszy, w salwie ciśniętych na scenę krzesel. Poszła za Zjednoczeniem Artystów, kiedy uciekali, przemykając wzdłuż stołów, gdy nad nimi rozpętała się walka, dziękując przy tym swym na nowo młodym kolanom i krzyżowi. Pierwszą jej myślą było zabrać się z zespołem, zobaczyła jednak, jak autokar Króla Swingu odjeżdża pełną parą, obrzucany butelkami, wyzwiskami i groźbami, że w tym mieście nie sprzeda już ani jednej płyty. Walki zaraz przeniosły się na ulicę, została sama w wielkim Ratuszu. Masa miejsc do spania. Nie pierwszy raz, myślała, zgarniając tłuczone szkło z pluszowej sofy, owijając się obrusami i kładąc się do snu. Ani, wyczuwała babcinym instynktem, nie ostatni. Afera, bijatyka, zamieszanie, a potem sen.

Obudziła się w szoku, przekonana, że jest z powrotem w swojej mahoniowej kabince w pociągu, że Sweetness znowu ma trzy lata i łomocze do jej drzwi, gdy matka i ojciec znów się ponuro kłócą. Oczy mówiły: „Nie, jesteś na sofie w Barze Klubowym w Ratuszu Molesworth”. Uszy mówiły, poprzez odległe okrzyki, syreny i trzask płomieni, że zamieszki trwają. Sen był tak wyrazisty, tak uporczywy – ciemna chmura i wnuczka stojąca pod nią na pustym, brukowanym placu; bez żadnej odklejonej logiki czy fabularnych absurdów marzeń sennych. Sens nie był owinięty w metafory i podświadome erotyczne obrazy. Żadnych pociągów wjeżdżających do tuneli, parasoli, sztyletów czy spiczastych sterowców. To miało klasyczną strukturę, jasny i klarowny przekaz, może aż za nadto wypakowany ważnymi punktami, przekazany typowym dla Sweetness jednym tchem. To nie był sen. To była wiadomość. Babcie i dziadkowie wierzą w takie rzeczy. Spisała najważniejsze fakty na kartce, chwilę się jej przyglądała, słuchając falowania zamieszek na zewnątrz, i znów zasnęła, bez snów i przekazów.

– Pani siada – zaprosił ją Weill, pokazując krzeselko. – Mówiłem, że będzie śmiesznie.

Babcia Taal nie usiadła. Rozejrzała się po zrujnowanym placu. Dla poczucia humoru Weilla był to wystarczający komentarz. Potem powiedziała, dość oficjalnym tonem:

– Nie wiem, kim jesteście, ale widzę, co potraficie. Mam prośbę, pomóżcie mi znaleźć moją wnuczkę. Mam obawy, że wplątała się w coś bardzo niebezpiecznego, dla niej i dla nas wszystkich.

Rozłożyła serwetkę na stole. Wszystkie gazety natychmiast się złożyły.

– Dostałam przesłanie – powiedziała babcia Taal.

Bladnoch przeczytał serwetkę. Seskinore rozsiadł się z nieobecny wzrokiem, po czym skinął na babcię Taal i powiedział:

– Wczoraj wieczorem... pani czasem nie mówiła, że jest z Chordantów Asiimów Maszynistów? Mają coś wspólnego z Chordantami z Vermeulen? Może i nie, tamci tak naprawdę nie byli kolejowi, choć ja znam bardzo wielu ludzi z pociągów. Wie pani, że pracowałem w dziale rozrywki Trasy Widokowej Rubieże Południa?

Bladnoch uniósł brew i podał serwetkę Skerry, której źrenice rozszerzyły się po pierwszej linijce.

– Wspaniali ludzie, wspaniali. To było coś bardziej jak rejs turystyczny niż jazda pociągiem, najlepsze, wiecie, jedzenie, wino, a ten standard obsługi! No i klientela; sama śmietanka, na Trasę Widokową Rubieże Południa byle kogo nie stać; a, i jeszcze, choć sam to mówię, program rozrywkowy – najwyższej klasy. Widoki na Dolinę Marinerów wieczorem naprawdę przepiękne.

Skerry przekazała serwetkę Mishconderei, której mina, coraz bardziej zniecierpliwiona zapalem, z którym Seskinore wdawał się w show-businessowe wspomnienia przy każdej możliwej okazji, natychmiast zmieniła się w przejętą.

– Znakomity pociąg, doprawdy znakomity, rozumiecie. I świetny skład; byli Jimmi i Alice, Pan Prześwietny – co w ogóle się z nim stało? – i kochany Dimmy. Świętej pamięci, trzy lata już nie żyje, ale pani pewnie ich nie zna, prawda? Maszyniści nie za często schodzą do pasażerów, nieprawdaż? A może pani gałąź to przewozy towarowe? Niedobrze, proszę tylko pomyśleć, ile panią ominęło. W każdym razie poznałem też sporo Stuardów. Mili ludzie, może na początku trochę zdystansowani. Tego się człowiek uczy w mojej branży: jak odczytywać ludzi, a potem jak sobie ich zjednać. Jak ktoś nie potrafi zjednać sobie widowni, to żaden z niego komik, żaden, pani szanowna.

– Seskinore, z ciebie też był żaden komik – rzuciła Mishcondereya i podała mu serwetkę.

Rozdziawił usta. Uniósł wysoko brwi. Podał ją Weillowi, którego jedyną reakcją był drobny uśmiezek czający się w kącikach ust.

– Chyba możemy w tym pomóc – stwierdziła poważnie Skerry.

Pół godziny później babcia Taal pędziła przez poprzemysłowe rany Portu Przeznaczenia szybkim, biznesowym ekspresem.

Był to niski, dwuwagonowy szybki skład z mechanizmem automatycznego przechylenia pudła na zakrętach, gdy opływowa, turbodoładowana Klasa 27 Wielkiej Południowej ciągnęła go z prędkościami do pięciuset kilometrów na godzinę. Zbyt mała, by mieć rezydentów Domostw, była obsadzona przez świeże małżeństwo, które babcia Taal kojarzyła z wystawnego wesela parę korrobori temu. Jeszcze bez dzieci. I pewnie już zawsze bez dzieci – te priorytetowe ekspresy zawsze beztrąsko pogrywały sobie z ekranami przeciwpromiennymi. Ich prawo, ich wybór, choć kiedy przywitała ich pod kamiennym sklepieniem Głównego w Molesworth, zignorowali ją. Złe słowa szybko rozeszły się wzdłuż torów. Asiim Maszyniści sto lat będą goić tę towarzyską ranę. Przez chwilę zastanawiała się nad przywołaniem swego pełnego matriarchalnego autorytetu; zdecydowała, że nie. Szkoda go na Molesworth i jakichś szmaciarzy-maszynistów. Zagwizdali i wjechali na szybką linię.

Wagony były symfonią kremowej skóry, opływowej i gładkiej jak pupcia niemowlęcia. Za zakrzywionymi skórzanymi połaciami kryła się sprytna maszyneria; a i sama skóra też była sprytna, jedno dotknięcie, jedno słowo i przyciski, albo ekrany z informacją pokazywały się na jej powierzchni, jak tatuaż. W futrzanym dywanie grzęzły palce stóp, nachylone okna miały złotą powłokę. Wszystko bardzo wyrefinowane, high-tech, minimalistyczne, choć z nutką dekadencji, zdecydowanie produkt poprzedniego stulecia. Obecny wiek wolał ciężkie drewno i jeszcze cięższy metal, wielkie, solidne mosiężne sprzęty. Synod w Mądrości, mający niewielkie doświadczenie i jeszcze mniejszy budżet na prowadzenie jednostki przeciwwichrzycielskiej, kupił go za psie grosze od handlowca z Lyxu, który stracił swoją pięciopokoleniową fortunę na spekulacji kontraktami terminowymi na norki. Teraz woził Zjednoczenie Artystów, szybko i w fin de siècle'owym luksusie, od jednego kawału do drugiego.

– Stara kolejara opowiada wam coś ze snu, a wy wierzycie, że przepowiada koniec świata? – zapytała, kiedy pociąg, robiąc trzysta osiemdziesiąt, przeleciał po zwrotnicach na zachodnią ekspresową i dodał gazu.

– Mamy pracować eklektycznie – odparła Skerry, wierząc się na łukowatej skórzanej sofie.

Nigdy nie mogła długo usiedzieć na miejscu. Weill powiedział babci Taal, że potrafi założyć obie nogi za szyję. Szkoda, że ja nie umiem,

pomyślała, a potem dotarło do niej, że kiedy, jak nie teraz, może mieć na to szansę.

Bladnoch, rozciągnięty na drugim końcu sofy, miał dokładnie odwrotnie – najszcześliwszy był w pozycji horyzontalnej. Ukradkiem popatrywał na popołudniową pelotę na zekranizowanym kawałku podłokietnika. Za kulisami klubów komediowych szeptało się: „Bladnoch, ten to mógł być największy, gdyby nie ten jego nałóg – sport w telewizorze”.

– Znaczy, że my tak po prostu nie wierzymy staruszkom na słowo, choćby miały moce jak nie wiem – powiedziała Mishcondereya, zarumieniona i wyszorowana, po długim zmywaniu z siebie pod prysznicem *całego tego molesworthiańskiego paskudztwa*. Energicznymi ruchami wytarła włosy i zajęła się zakładaniem z powrotem całej swojej biżuterii.

– Widzisz, moja droga, twoja opowieść o dziurze pośrodku linii kolejowej brzmiała prawdziwie, bo trochę już takich było – powiedział Seskinore, nalewając babci Taal miętowej herbatki. Wrzucił kostkę cukru, rozgniół ją szklanym patyczkiem, trzy razy nim zamieszał. – Mój osobisty sekret. W trasie uczysz się sztuki parzenia dobrej herbaty. – Smakowała nie lepiej niż większość innych, a była zdecydowanie gorsza niż ta od Marii Stuard. – Wszędzie zaczęły się pojawiać te cholerstwa. Chryse, Tempe, Axidy. Nawet w Dolinie Marinerów. A na pustyni to pewnie są setki, o których nikt nigdy nie słyszał. Małe nieciągłości w rzeczywistości. Niektóre te orbitalne procesory chodzą non stop od ponad tysiąca lat, musi się czasem pokazać jakieś zużycie, a na konserwacji oni oczywiście oszczędzają, jak mogą. Idealna okazja, żeby nasz przyjaciel zakradł się tam od tyłu.

– A poza tym dawno mamy na oku Burzyciela Harxa i jego ekipę – dodał Weill, z nogami na wyścielonym wzgórku służącym jako stolik do herbaty. – Większość apokaliptycznych religii mamy na oku.

– To ten Harx jest apokaliptykiem? – zapytała babcia Taal, siedząc prosto na niewygodnej tapicerowanej ławie, z butami po kostki w futrzaku.

– No, chyba można tak nazwać typa, który napiera na otwartą wojnę między ludźmi i aniołami – stwierdziła Mishcondereya.

– I jak się twoja nieszczęsna wnuczka wkręciła w takiego paskudnego złoczyńcę? – zapytał Seskinore.

– Moja wnuczka nie zgodziła się na zaaranżowane małżeństwo i uciekła z bardzo pospolitym chłopakiem z Toromistrzów, który także

należy do tego Kościoła.

– Ja uciekłem i nic mi się nie stało – odparł Weill. – Ale z drugiej strony, jak każdy normalny chłopak, trzymałem się z daleka od wszelkich religii. Zwłaszcza takich, co każą sobie płacić.

Mishcondereya rozchyliła nozdrza i ze złością odgarnęła wciąż wilgotne włosy.

– Ta twoja wnuczka to chyba nie jest za bystra, co?

Zanim babcia zdążyła zripostować, zapikał podłokietnik Bładnocha. Nachylił się do ekranu. Taal nie rozumiała nic ani z zaszumionych, podskakujących obrazów, ani z wymruczanych słów, lecz wyraźnie coś mu wyskoczyło ponad kanałem sportowym, zmuszając go do zmarszczenia brwi. Skerry była tuż obok niego. Babcia Taal zaczęła się zastanawiać, czy coś mogłoby być pomiędzy wysokim, chudym mężczyzną i małą, mocną kobietą.

– Problemy – powiedziała Skerry. – Ktoś właśnie załatwił trzy pojazdy latające na manewrach nad Wielką Szkarłatną.

– Jak? – zapytała Mishcondereya.

– Akceleratorami – rzuciła ostrożnie Skerry.

– Ooo – dodał Seskinore. – Czyli albo anioły dostały szału...

– Albo pastor Harx odpala swoją machinę apokalipsy – uzupełnił Weill.

Podkręcona zapachem akcji Skerry zerwała się na nogi i pociągnęła do siebie zawieszony na suficie wylot rury głosowej z anodowanego aluminium.

– Dawać całą naprzód! – wrzasnęła do maszynistów.

Na jej słowo Klasa 27 wydobyła z tokamaków pokłady energii i rzuciła się naprzód, aż zatoczyli się Zjednoczeni Artyści.

– Przepraszam, ale całą naprzód dokąd? – zapytała babcia Taal, w końcu łapiąc równowagę po tym szarpnięciu.

– Do Jaskini Komedii – rzuciła Skerry bez cienia ironii.

– Wyjaśnij mi to. Jestem starą kobietą i bardzo dużo ostatnio przeżyłam.

– Nie wszyscy jesteśmy improwizatorami jak Weill – odezwała się Mishcondereya. – Myślisz, że wymyślamy na bieżąco? Ja ci powiem: skomponowanie dobrego numeru zajmuje masę czasu, pracy i kupę zasobów. Mamy zespoły od efektów specjalnych, od szycia kostiumów, konsultantów od scenariuszy, setki statystów, wszyscy cały czas w pogotowiu.

– A moja wnuczka?

– Znajdziemy Harxa, to znajdziemy ją, jak znam zbiegłe narzeczone – powiedziała Skerry.

– Oj, ludzie – zauważył Bładnoch, wychylając się z sofy, żeby spojrzeć w okno. – Ostrzeżenie meteo.

Jeszcze nie skończył, a babcia Taal już poczuła, że pociąg zwalnia. Wszyscy rzucili się do okien, przyciskając dłonie i twarze do chłodzonego złotem szkła. Wspaniały krajobraz ruin Portu Przesilenia dawno został z tyłu; Specjalny Pociąg Zjednoczenia Artystów pędził teraz przez wysoki, niezadbany i tylko częściowo zhumanformowany płaskowyż Gwyst. Monotonii zarośli czarnej szalwii nie przerywały żadne lapiazy, kratery, żadne formacje krasowe. Od niej był pospolicie nazywany Popielnią. Horyzont było widać wyraźnie we wszystkich kierunkach. Tu się nie przegapi burzy pyłowej.

– Poprawcie mnie, jeśli się mylę... – powiedział Bładnoch – ...ale coś takiego nie powinno się dziać.

– Jest wielka – rzuciła spokojnie Mishcondereya.

Skerry znów zaczęła krzyczeć do maszynisty przez tubę głosową.

– Widzę! – odkrzyknął, blaszanym, wątlym głosem. – Matko święta, myślicie, że nie widzę? Pani szanowna, nie ma mowy, żebym w to wjeżdżał, rozkład czy nie rozkład.

Pociąg już zwolnił z wysokiej prędkości przelotowej do truchtu. Zapiszczały hamulce, gdy klocki pierwsze poczuły pył i pociąg specjalny zatrzymał się w samym sercu Popielni. Chwilę później burza zamknęła się wokół niego jak pięść. Wagony oślepiły. Okna zmieniły się w nieprzezroczyste brązowe płyty. Pociąg równie dobrze mógł być oblepiony terakotą, jak pieczony jeż.

Sweetness, pomyślała babcia Taal. Gdzie jesteś, co robisz, czy jesteś bezpieczna? Spróbowała przywołać jakieś echo tamtego parapsychicznego rezonansu, by wysłać do niej powrotną wiadomość, lecz elektryczne właściwości burzy tłumili jej wolę, zakłócając wyższe wrażliwości. Zjednoczeni Artyści siedzieli w półmroku, a Seskinore wdał się w niekończącą się opowieść o swoim tournée w roli stand-upera, jeszcze bardziej nieznośną przez to upiorne wrażenie, w pełnej syku ciemności, że wszyscy nie żyją, że zginęli w katastrofie, kiedy pociąg przeskoczył przez zwrotnicę i wykoleił się przy prędkości czterystu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, a to jest piekło, do którego Bóg Panarcha zsyła usankcjonowanych przez państwo komediantów.

– Przejaśnia się – powiedział w końcu Bładnoch i zanim wszyscy zdążyli podejść do okien i zerknąć przez wypiaszkowane szyby, ostatnie

ziarna pyłu rozwiały się i słońce zabłysło wysoko nad Popielnią, już nie szarą, bo wiatr zdmuchnął wszystkie co do jednego liście czarnej szafwii.

– Cała farba poszła – rzuciła, znów chłodno, Mishcondereya.

– Pomyśl, co by to zrobiło z twoją piękną cerą – odezwał się Weill.

– To jest nic – odparł Bładnoch, wyciągając szyję i śledząc oddalającą się burzę. – Pomyślcie, czego może narobić Harx, jak dobierze się do pogody.

Pociąg ruszył i zaraz wrócił do swojej typowej prędkości na łeb na szyję, zjeżdżając z Gwystu do Banninger. Ostrzeżenie Bładnocha zmotywowało Zjednoczenie Artystów do przejścia z nieustających docinków i sprzeczek w tryb działania. Zebrali się w kreatywnym kręgu w oddzielonej szybą części biurowej z tyłu wagonu i resztę dnia spędzili na docinkach i sprzeczkach na profesjonalnym poziomie. Babcia Taal widziała tupanie i gestykulację, pokazywanie palcami, walenie w stół i zaciskanie pięści. Zjadła przypadkowy pakowany obiad z plastikowej tacki z przegródkami, wysuwającej się ze szczeliny, i z ruchu ust wyczytywała obelgi, od których mogła się zaczerwienić nawet kolejowa matrona. Wyobraziła sobie dwóch przeciwników. W zielonym narożniku: latająca katedra, niezliczona rzesza wyznawców, magazyn pełen aparatczyków na linach oraz dusza Świętej Katarzyny, której planują użyć jako konia trojańskiego do przedostania się do programów aniołów. W czerwonej budce: akrobatka z trapezu z upodobaniem do nieprzyzwoicie krótkich szortów, rzekomy maestro, który przepułał swój geniusz, oglądając na sportowych kanałach przeciąganie liny traktorami; eteryczna artystka performance'owa (cokolwiek to znaczy) z przekłutym wszystkim poza swoim ego; brzuchaty estradowy żartowniś za biedny nawet na pociągi wycieczkowe; wreszcie szczurowaty samozwańczy anarchista, który chyba tylko smrodem swojego ciała ma szansę pokonać wielkiego przeciwnika. Zastanawiała się przez chwilę, jak mógłby wyglądać świat po zdetronizowaniu aniołów przez Burzyciela Harxa. Jeśli ktokolwiek będzie w nim jeszcze żył. Maszyniści nigdy w całej swojej genealogii nie zrodzili teologa, więc wniosek, do jakiego doszła, był jak na jej Domostwo całkiem głęboki – jeśli Zły pokona Panarchę, to sam, siłą faktu, staje się Bogiem-Absolutem. Kiedy zasiądzie na diamentowym tronie, cały wszechświat przeobrazą się, od początku do końca, a z nim wszystkie wspomnienia. I będzie nam się wydawało, że zawsze tak było. Jeśli w tym świecie będą pociągi, wciąż będą potrzebować Maszynistów. Jeśli nie, to nigdy nie będzie pamiętać, kim kiedyś była.

Gdy w pełni zapadła noc, gromadka głów się rozeszła. Skórzany stół i ściana wagonu były całe pobazgrane cienkopisami, lecz kiedy rozwarły się drzwi i wypadli Zjednoczeni Artyści, każdy usadowił się jak najdalej od swoich towarzyszy i nikt na nikogo nie patrzył. Skerry, spięta, chodziła w kółko po jednym metrze kwadratowym przy barze, waląc pięścią w otwartą dłoń. Bładnoch położył się na brzuchu na swojej sofie i z ponurą miną puścił sobie wyścigi z Charnoch Park. Seskinore rozsiadł się na pufie z dłońmi na udach, zadarł głowę i zaczął, cicho i nosowo, nucić przeboje z *Doktora Mabuse*. Mishcondereya zwinęła się na krześle, z kolanami przy piersi, by ćwiczyć dąsy i nachmurzenia oraz, gdy pomyślała, że ktoś patrzy, wypuszczać ciężko zapracowaną łzę. Weill dłuhał wściekle w zębach, a kiedy skończył, zrzucił sandały i zaczął oddzierać spomiędzy palców paski białej grzybiczej skóry.

Babcia Taal wściekła się w duszy na tę nagłą dziecinadę. Jakby to byli kolejowi, mali Maszyniści, nawet ci nicponie Bassarini, dobrałaby im się do skóry... Nawet jej kochana, zbłąkana wnuczka, której pozwalała na *Katarzynie z Tharsis* na rzeczy, których nie wolno było nikomu, nie zachowałaby się tak w trudnej chwili. Stwierdziła, że zaciska pięści, wciąga i zagryza dolną wargę, marszczy czoło na tyle mocno, by szyszynka wywołała nerwowy ból głowy. Za wiele tego. Cierpliwość eksplodowała, jak potężny gwizd organów parowych, jak para z przegrzanego kotła.

– Zjednoczenie Artystów, tak się niby nazywacie? To już bardziej zjednoczona jest ciężarówka Katarzyńskich pielgrzymów. Zawodowcy, ja wam powiem, co jest profesjonalne. Profesjonalne jest, że nawet kiedy twój syn od czterech lat nie rozmawia ze swoją żoną, to listy przewozowe są w porządku, kontrakty podpisane i wykonane, wagony lądują na właściwych torach, a pociąg zawsze, ale to zawsze, wyjeżdża o czasie. Trzy gwizdki i zostajesz. Gdybyście byli kolejowi, wszyscy byście szli na piechotę. Myślicie, że jesteście tak bystry, tak zabawni, że jesteście nadzieją świata. Moja wnuczka jest bardziej dowcipna od was, nawet jak się nie przykłada, i mam w niej większą nadzieję niż w was. Bohaterowie! Pfff. Pierdzę w waszym kierunku. Jeśli tylko wy stoicie pomiędzy moją córką i ratunkiem, jeśli to wy jesteście jedyną nadzieją na zniszczenie Burzyciela Harxa i jego machinacji, to już ubieram się na fioletowo i zapisuję do jego wyznawców. Sram na was wszystkich.

Po długiej, lodowatej przerwie, Weill rzucił:

– Pani szanowna, śmierć jest prosta, a komedia trudna.

Bładnoch, który z nich wszystkich wydał się najbardziej zawstydzony pełnym frustracji wybuchem Taal, nagle podparł się na łokciu i spojrzał przez prawie nieprzezroczyste okno w ciemność.

– Szczera prawda, Weill – powiedział i nikt nie mógł przeoczyć jego pełnego strachu tonu. – Zgaś światła.

W skórzanej salonce przygasł złoty poblask.

– Co jest? – zapytała Skerry, podbiegając do okna.

– Coś mi się zdaje, że teraz trzeba będzie improwizować – odparł Bładnoch, gdy ciemną noc Banningera nagle rozświetliły promienie liliowego światła.

Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII, z rękoma i nogami poowijanymi linkami, żeglowała pod jaskrawymi gwiazdami księżycowego pierścienia. Chwilę po zapadnięciu nocy prąd termiczny znad skarpy Banningera uniósł latającą katedrę w wyższe, chłodniejsze warstwy powietrza. Zauroczenie widokiem minęło wraz ze światłem; po paru minutach Sweetness zauważyła, że szczęka zębami, oddech jej paruje, a kończyny dygocą. Nie czuła lin pod palcami. Niedługo odrętwienie z zimna obejmie palce. Zaraz potem ich uścisk osłabnie i polecą, jak ptak, który dostał się w mroźny prąd i błyskawicznie zamarzną. Wbrew buntującym się odrętwiałym kończynom podciągnęła się wyżej, szczebel za szczeblem, ku gondoli. Zauważyła już wcześniej, że to drabina donikąd, awaryjne zejście, które wytrzyma bombardowania Braci Pył. Właz ewakuacyjny nad nim był zamknięty na głucho. Może jednak być jakieś inne wejście, wylot wentylacji, schronienie wśród płyt wymienników ciepła, jakieś cieplejsze miejsce, w którym można się ucześcić i zwinąć w kłębek na noc, która, jak wiedziała, będzie jedną z dłuższych w jej życiu. Nad sobą miała galeryjki inspekcyjne, kable i orurowania. Jeśli uda jej się przedostać po nich do jednej z dziur po wybuchach, może dostanie się do środka. Wielkie „może”. W przemysłowej skali. Już i tak bolało ją wszystko jak diabelskie klipsy na sutki. Z rana? Nie ma opcji, Glorious Honey-Bun, musi boleć. A była zmęczona, przemoczona, spragniona, a te turystyczne racje z foliowych torebek to nawet dziury w zębie by nie zapełniły. No dobra. To krzycz i leć. Albo przestań stękać i się rusz. Myślałaś, że przygoda będzie prosta? Ręka za ręką i tak dalej. Tylko tyle trzeba. Ręka za ręką, za ręką.

Ręka za ręką, za ręką przedostała się do klapy ewakuacyjnej. Zaciskając zęby z wysiłku, walnęła w nią pięścią, a potem ściągnęła but i zaczęła nim walić w zamknięcie.

– Wpuśćcie mnie! Ratunku, tu jest człowiek!

Skoro sama ledwie się słyszała przez szum śmigieł i wycie wiatru w katedralnym domku z piernika, to jaka była szansa, że usłyszy ją przechodzący fioletowy? Na pewno ktoś w rowerkowych gondolach musiał zauważyć, że z linowej drabiny zwisa dziewczyna? Podciągnęła się na niej. Najbliższa gondola wisiała jak przejrzała figa na jednej belce, opuszczona, z przekładniami i łańcuchami szczerzącymi pokrzywione i zaolejone zęby. Jedyna pozostała, którą widziała, była o trzy czwarte od niej, zasłonięta baterią płatów sterowych, a ta część, którą było widać, była pełna wody z balastu. Dwadzieścia metrów na prawo od siebie miała wyloty chłodzenia. Czuła, że bijące z tych wentylatorów ciepło łagodnie omywa jej twarz. Dwadzieścia metrów. Dwadzieścia lat świetlnych. Gdyby tylko się dostać do tych belek w kształcie „U”. Zaczęła bujać drabiną. Ta zatrzeszczała paskudnie, o co dotąd jej nie podejrzewała. Zerknęła. W szaleńczym pędzie do ratunku nie zauważyła, że jedna z linek jest do połowy przecięta odłamkiem.

Naprawdę Wielka Przygoda. Niech się rozbuja wahadło...

Za pierwszym zamachem zabrakło jej zasięgu na długość paznokcia. Starła się nie zwracać uwagi na dźwięk naciągających się i pękających włókien i przyłożyła się całym ciężarem do kolejnego zamachu. Dosięła – palec zahaczył się o uchwyt. Puściła drabinę. Pęd omal nie wyrwał jej szczębła z dłoni.

Zaufaj mięśniom obręczy barkowej kolejowej dziewczyny...

Prawa dłoń chwyciła kolejny szczebel. Sweetness zawisała, ukrzyżowana, kilometr i więcej ponad żółtymi okienkami domostw na geometrycznych farmach kantonu Banningera.

Bułka. Z masłem. Malutka bułeczka.

Trzydzieści razy przerzuciła się na rękach i dotarła do wentylatorów chłodzenia, między którymi się zagnieździła, wrywając luźne kable łącznościowe i opasując się nimi w talii, biodrach i wokół nadgarstków. Analiza sytuacji powiedziała, że Sweetness Asiim Maszynistka już nigdzie dalej pod spodem latającej bazyliki nie pójdzie. Zacisnęła mocniej swój kokon i spróbowała wytrząsnąć wodę z włosów. Było jej teraz cieplej, na tyle ciepło, żeby pozbyć się wszechogarniających dreszczy i obsuszyć ubranie, na tyle ciepło, żeby do mózgu dotarło kolejne zagrożenie.

Sterowiec wznosił się powoli, ale miarowo, nic nie wskazywało, by osiągał swój pułap. Zanim mózg w czaszce skurczy się z niedotlenienia jak marynowane świńskie jądro, osłabnie jej uchwyt, zaburzą się zmysły, upije się wysokością na tyle, że ten wielki krok zacznie wydawać się nie tyle atrakcyjny, ile wręcz konieczny. Już czuła się milutko senna, uspokojona wspomnieniami, jak ukrywała się przed rodzicielskim gniewem wśród ciepłej, pełnej zakamarków maszynerii. Owinęła się dodatkowymi pętlami kabli wokół ramion, zawiązała je i usiłowała nie zasnąć.

Wstrząs. Co, gdzie, kto? Niebo... gwiazdy... boli. O Boże. Jej szczupłe wężowe biodra prześliznęły się przez uwięź, pętla z kabli zatrzymała się na małych, ale idealnie jędrnych piersiach. Dzięki, cycuszki. Jednakże przesuwając pętlę z powrotem na biodra, uświadomiła sobie, że jest jeszcze jeden sposób, by zginać. Powieszenie zadziała równie dobrze jak upadek.

„Nie śpij!” – upomniała się. „Patrz na świat. W życiu go nie widziałaś z takiej wysokości”.

Musiała przyznać, że ma świetne miejsce do podziwiania zapadającej na ziemi nocy. Z tej wysokości mogła już dostrzec krzywiznę świata; na wschodnim horyzoncie przetrwała odrobina idealnego błękitu; Sweetness wyliczyła więc, że katedra kieruje się na południowy zachód. W stronę świtu. Tam leżały ludne kantony Doliny Marinerów, opalające się pod starożytnymi światłami Dachy Świata. Statek potrzebuje napraw. Wielkie pionowe inżynieryjne miasta, które przywarły do pirsów, jak Sweetness do ciepła chłodnic, niegdyś zajmowały się budową Żaglowców i gwiazdnych statków. Wypełniony gazem worek pełen wiary to dla nich pikuś. No, ale to jest przyszłość. Na razie całkiem interesujący był przesuwający się pod spodem krajobraz pełen stromych skarp. Miała wrażenie, że sięga wzrokiem dobre dwieście kilometrów w każdym kierunku: na zachodzie i południu miasta i miasteczka pobłyskiwały srebrzysto, uczone horyzontu, jak plamki pyłku ze skrzydeł ciem, przepływając jedne w drugie ażurowymi nibynózkami delikatnych jak puder światełek. Z odległości stu kilometrów aż pod nogi Sweetness ciągnęły się rozproszone punkciki gospodarstw, skupiających się wokół aglomeracji wsi i miasteczek, które z kolei koncentrowały się wokół większych ośrodków handlowych. Sweetness próbowała rysować na nich wzory, ziemskie gwiazdozbiory, aż nagle ją olśniło – sześciokąt za sześciokątem za sześciokątem i tak bez końca, od każdej osady po miasto. Ten nagły wgląd w ludzką geometrię oszołomił ją na całe minuty,

aż spostrzegła dwie długie iskry księżycowego blasku ciągnące się prosto przez ciemną ziemię. Tory. Wychyliła się w swej uprzęży. Tam! Maleńka i blada jak samotny świetlik grupka iskierek sunęła przez noc. Pociąg!

Może jej pociąg.

Ta nieproszona myśl była jak nagle zmrożenie śledziony.

Mój pociąg. Moja rodzina. Mogę pomachać i pokrzyczeć. Mogę porzucać flarami albo i błyskawicami. Mogę wysadzić całe gwiazdy, a i tak nie dowiedzą się, że to ja. Nawet wzroku nie oderwą od torów i przepustnic. Oni w ogóle o mnie myślą?

Taal myśli. Kochana Taal, najlepsza babcia. Taal na pewno ją usłyszała, zauważyła, odebrała wiadomość. Lecz Taal była w Molesworth, a ona była w drodze do Doliny Marinerów i nie miała sposobu, by kogokolwiek powiadomić.

Patrzyła, jak pociąg znika jej z oczu wśród innych rozbłysków w krainie skarp, po czym odchyliła się w swej uprzęży i przestała patrzeć na ziemię.

Tym razem ocknęła się z konwulsyjnym szarpnięciem na moment przed osunięciem się w sen.

Zasypiała!

Postanowiła popatrzeć na gwiazdy. Wzory, w które układały się światła na ciemnym tle, przynajmniej nie miały w sobie niczego, co budziłoby tęsknotę za torami. W długie noce nauczyła się od matki nazw głównych gwiazdozbiorów, ale większość nocnego nieba była dla niej tylko światełkami, pozbawionymi układów i magicznymi. Znała Puchar, Psy, Polującego Kota, Bukiet Lili o Dziwnym Kształcie. Kim byli ci ludzie, których dziwaczne wizje odcisnęły się w kształcie nocnego nieba? Żeby zabić czas do północy, zaczęła się bawić w wymyślanie i nazywanie nowych gwiazdozbiorów. Ten układ, wąski w pasie, to może Szerszeń, albo – jakby pociągnąć go do tamtych trzech jasnych gwiazd – Brzydki Wazon. Tuż pod nim – Kanciaste Banjo, a na lewo od niego, tuż nad przedświtowym horyzontem, Banian. Tamten srebrny pasek, bledszy, bardziej rozmyty i szerszy od księżycowego pierścienia, to Wielka Kolej Południowa, ta ciasna zbitka jedenastu gwiazd to Ekspres Wschód. Wystający ponad krawędź kopuły układ to Malutki Kościółek, na godzinie jedenastej względem niego – Prosiak Ryjek. Wzdłuż górnej krawędzi pierścienia księżycowego toczyło się Kółko i Kijek, za nim, w zodiakalnym porządku, Maszyna do Pisania, Gwiazdna Koza, Tania Kobieta Zelta,

Ziewający, Otwarta Gazeta, Pięć Biletów, Dziecinny Wózek, Agrafka, Litera B, Wielki Kapeć i Psiakostka.

Gdy już miała zabrać się do nazywania południowych gwiazdozbiorów, z Litery B odpadła gwiazda, zmieniając ją w P. Zapłonęła jasno i krótko, lecąc na wschód pasmem blednącego srebrzystego blasku. Kiedy gałki oczne dochodziły do siebie, trzy kolejne w ciasnym szyku zanurkowały z księżycowego pierścienia. Rozbłyły i spaliły się na południowym horyzoncie. Potem wszystkie trzy nogi Trójnożnej Świnki Marco odpadły i rozjarzyły niebo jak pokaz fajerwerków.

Kiedy gapiała się z rozdziawionymi ustami, na wpół zastanawiając się, czy Moce i Dominia obrażyły się za wymyślanie nowych nazw, księżycowy pierścień rozbłył liliowym blaskiem. Okalające świat pasmo zmieniło się w laserową plecionkę – promienie migotały i walczyły, parowały, dźgały, pchały i cięły. Sweetness krzyczała w zdumieniu, kiedy niebo płonęło, omal nie puszczając wymiennika ciepła. Gwiazdy wybuchały, na tyle jasno, że zmieniały noc w dzień. Inne toczyły się po szaleńczych orbitalnych trajektoriach i ginęły w oślepiających rozbłyskach, rozcięte kosami liliowego światła. Floty i dywizjony przemieszczały się z zewnętrznych gwiazdozbiorów na pole potyczki – kolor karmazynowy kontratakował przeciwko liliowemu. Na siatkówkach Sweetness płonęła setka nowych. Gwiazdy spadały z nieba całymi zastępami, znacząc niebo szramami jak od paznokci w miłosnych uściskach. To musiało być coś wielkiego dla każdej z obfitości religii tego świata. Bóg Panarcha, Angelografia Katarzyńska, Siedmiu Świętych, Trony i Dominia, Zastępy Wyższe i Niższe razem z Jeźdźcem na Wielogłowej Bestii okazały się ospałe i ociężałe. Z punktu widzenia zbiegłej kolejowej dziewczyny przytroczonej pod spodem do uszkodzonego sterowca-bazyliki gdzieś ponad środkowym kantonem Banningera wyglądało na to, że Pan Bóg poleciał na liny.

Trudna sytuacja, pomyślała Sweetness z twarzą oświetlaną śmiercią ciepłą spadających aniołów. Co się dzieje, po co i kto to robi? Odpowiedź udzieliła się, zanim na dobre sformułowała pytania. Tamten, tam na górze, parę metrów nad twoją głową. Ale pozostawało największe z nich: czy Anioły i Burzyciel Harx naprawdę walczą, *mano a mano*, czy on tylko sprawdza ograniczenia swoich mocy?

Karmazynowy walczył z liliowym. Promień za promieniem, walka za walką, anioł za aniołem, karmazynowy przegrywał. Starannie powymyślane gwiazdozbiory Sweetness przestawały istnieć, kiedy ze

stuleci cybersnu budziły się kolejne posiłki, odpalały silniki manewrowe i wchodziły na orbity do ataku. Fale karmazynu i lili ścierały się ze sobą, cofały i następowały wzdłuż pierścienia księżycowego, jak w tej tandetnej rzeźbie z falującą wodą i piaskiem, którą wujek Mort dostał, razem z działką, od jednej serwisantki na Krzyżówce Llangonedd – miało to być relaksujące, ale Sweetness zawsze irytowało. Gwiazdy iskrzyły jak na kole szlifierskim, rozsypując iskry po całej nocnej półkuli planety. Był to dziwnie uspokajający widok, ta wojna na niebie, dopóki Sweetness nie uświadomiła sobie, że nie jest jeszcze garstką swobodnych atomów w chmurze przegrzanego helu tylko dlatego, że Burzyciel Harx używa akurat tej broni do przebicia się do systemów bojowych.

Typ kosi anioły jak trawę w parku, a ty chcesz się z nim bić, mając tubę mazidla od słońca, resztki kleju, dwie trzecie eleganckiej sukienki i niedojedzoną powieść romantyczną?

Kto walczy z tygrysem, nie zwraca uwagi na komara na karku, przypomniała sobie. Brzmiało to jak coś, co mógł powiedzieć Kadmon albo nawet wujek Neon.

Tak, tak, póki ten komar go nie ugryzie.

Wysoko na planetarnych rubieżach niewyobrażalne siły maszerowały naprzeciw siebie, okręzały się, organizowały zasadzki, atakowały, odpierały ataki. Niebo nad Banningerem cały czas płonęło trupami aniołów, lecz liliowy szturm został powstrzymany. Zachodni horyzont jarzył się setkami małych nowych, iskrzących jak race na korrobori – Sweetness domyślała się, że to orbitalne akceleratory Harxa. Wiązki liliowych promieni zbladły, potem zanikły. Karmazyn rozlał się po dziesięciu, dwudziestu, pięćdziesięciu punktach, szerząc się jak rak. Liliowy kontratakował, ale to był już koniec interwencji Burzyciela Harxa. Liliowy został zepchnięty do punktu, jak czarna dziura kolapsująca pod własnym ciężarem. I tak jak w zapadającej się gwiazdzie, ta implozja była tylko uwerturą do eksplozji. Pojedynczy rozbłysk, jasny jak słońce, rozświetlił całą nocną półkulę. Sweetness wymrugła z oczu powidoki, kiedy nowa rozjarzyła niebo bielą, a potem zbladła. Ekspłodowało tam coś wielkiego. Gwiazdny dok, stacja przesiadkowa Skywheela, a może orbitalny habitat. Tam byli ludzie. Bez nóg, z czterema rękami, o wiele za wysocy i z wielkimi nochalami, bo gardzili schodzeniem na ziemię, ale jednak ludzie. Pewnie nawet nie wiedzieli, że giną.

Powróciła ciemna noc, jeszcze ciemniejsza po tym, jak poprzerywało ją nienaturalne światło. Nawet dla nieastronomicznego oka Sweetness Maszynistki księżycowy pierścień wyglądał na postrzępiony, nadgryziony

przez mole. Gwiazdozbiory nie będą już takie same. Ktoś będzie musiał powymyślać dla nich nowe nazwy. Człowiek w latającej katedrze został pokonany, trwałym kosztem dla nocnego nieba. Tym razem. Następna wojna będzie się toczyć na zupełnie innym polu – wśród zmiennych i przenikających się alternatywnych kwantowych wszechświatów. Następnym razem to rzeczywistość będzie ofiarą.

– O rany! – westchnęła Sweetness, nagle bardzo mała, bardzo zmarznięta i bardzo wysoko, daleko od swojej przytulnej kabinki, samotna. Przyciągnęła kolana do piersi, objęła je, związała mocno kablami i pożałowała, że nie ma do oglądania niczego ciekawszego niż światełka w ciemności.

Za trzecim razem, po nagłym przeskoku, bo zasnęła bez świadomości tego, ocknęła się z sapaniem i dreszczem. To nie była byle drzemka – obudziła się, mając świecące prosto w twarz słońce wczesnego poranka. Skulona w pętłach kabli przespała całe kantony. Słońce było jak rozszerzający się krwawy strup na zachodnim horyzoncie, skrzepły pomiędzy kontynentalnymi wypukłościami Wielkich Wulkanów jako jedyny ślad po stoczonej w ciemności potwornej wojnie. Powietrze było cudownie czyste i przejrzyste; światło zalewało ziemię, pędząc przed sobą wstążki chmur jak Kapłan Czystości rozpędzający basen pełen swingersów. Sweetness uniosła z bólem rękę, żeby ocienić oczy, usiłowała wymrugać z nich poranne złoto. Oślepiąca. Wtem słońce wyłoniło się z doliny między górami i przed Sweetness Asiim Maszynistką XII rozpostarł się jeden z najpiękniejszych widoków w Układzie Słonecznym.

Ten mały czerwony światek nigdy nie był najbliższy, ale zawsze był najdroższy sercom i kościom Ojczystego Świata. Jeszcze przed słowami przodkowie ludzi z suchej sawanny w swych śpiewach unosili wzrok ku tej krwawej plamce, gdzie igła wyobraźni przebijała niebo i nadawała mu moc. Gniewna gwiazda, oko boga wojny, tupiącego i wściekłego, opancerzonego rdzą. Wschodziła i zachodziła nad milionem rabunków, podpaleń, najazdów i oblężeń. A kiedy bogowie wymarli, ów wojenny aspekt przeniósł się i skonkretyzował w samej planecie. Wisiała w nocy, patrząc, podczas gdy umysły niezmiernie potężniejsze od ludzkich kreśliły plany. Sam ten świat był naszym czerwonym wrogiem. Demonizowano nawet jego malutkie pumeksowe księżyce. Strach! Groza! Naszym prawdziwym wrogiem zawsze jest najbliższy sąsiad. A ponieważ był nagi i widoczny dla naszych lunet, ludzka wyobraźnia projektowała jego powierzchnię, czy to nawadnianą powolnymi kanałami,

przemierzaną galopem przez zielonych lub czerwonych barbarzyńców, kontemplowaną przez tęsknych jesiennych ludzi; ten mały sąsiedzki świat, w przeciwieństwie do innych globów w układzie, skalistych lub przesłoniętych parą, zawsze miał jakąś geografę. Miał regiony, krajobrazy, miejsca. Nazwy wypisane na skórze. A nazwanie czegoś zawsze oznaczało objęcie tego w posiadanie.

Dopiero kiedy z Ojczystego Świata wyruszyły tam pierwsze kosmiczne pojazdy, do ludzkości dotarło, jaką niesprawiedliwość mu wyrządzała. To nie był krwiożerczy watażka ani czerwony niszczyciel. Pod rzadką, zimną, nienadającą się do oddychania atmosferą – bez życia, które obaliło kolejny mit – i woalami pyłu kryła się twarz kobiety, wdzięczna, wyrafinowana, silna i tajemnicza. Mocne kości miał ten mały czerwony świat.

Tu, w pierwszych dniach ery kosmicznej, zdemaskowano starożytne i uporczywe kłamstwo o Matce Ziemi. Płeć od zawsze skłaniała się w przeciwną stronę. To kobietę trzeba osiąść. Najpierw łagodne zaloty, potem z agresywnej i większej niebieskiej kropki wyruszyli mężczyźni, żeby osiąść ten sąsiedni świat. Zjeździli go swymi maszynami, zdeptali swymi stopami, powtykali weń swe flagi, uczynili swoim. Wymuszone małżeństwo światów. A po ślubie – zapłodnienie. Jałowy świat musi zacząć nosić życie. Arogancja na monumentalną skalę, a wizja – jeszcze bardziej. Był to wielki świat i wrogi dla inteligentnego węgla. Jednakże nawet technologicznie wydłużone życie złotych ludzi, którzy panowali nad ogromnymi zasobami swego domowego świata, było za krótkie, by zmierzyć nim skalę transformacji tej planety. Woda szemrząca w wyschniętych korytach, wiosenna zieleń rozkwitająca na wysokich płaskowyżach, fale rozbijające się o czerwone brzegi płytkich czerwonych mórz. Ich inżynierijni doradcy wymyślili na to szybki, efektowny i paskudnie drogi środek zaradczy – widzicie tę wielką dolinę? Cztery i pół tysiąca kilometrów długości, pięć kilometrów szerokości? Nasadzimy na nią szklany dach. Zmienimy w wykurwistą cieplarnię. A jeszcze lepiej – zrobimy to porządnie, na lata. Z diamentu. Diament wielkości Ritza? Phi! Diament wielkości kontynentu. Dobra, solidna nauka. Ścisła, techniczna i męska.

Flotyllę ogromnych, chaotycznych wizualnie statków inżynierijnych posłano powolnymi orbitami transferowymi na świat-żonę. Robotnicy powierzchniowi obmierzający teren budowy patrzyli, jak trzydziestokilometrowe mołochy wchodzą na niską orbitę i rozsypują się na części spadające z kręgosłupa-napędu. Automatyczne moduły

budowlane spadały na Dolinę Marinerów dniem i nocą przez siedem tygodni.

Kopulaste miasteczka budowlańców wyrosły jak grzybki wzdłuż całego dna doliny; gdy wschodnie odbębniały fajrant, zachodnie właśnie zaczynały pracę, ze światłem nowego brzasku odbitym od pancernych szybek hełmów. Maszyny budowlane ciągnęły dwutlenek węgla megatonami – tym lepiej dla humanformacji atmosfery – i przez alchemię molekularnego przetwarzania tkwały z niego konstrukcyjne nanowłókna węglowe. W wielkiej rozpadlinie Marinerów zaczęły piąć się w górę diamentowe drzewa. Rosły dzień za dniem, w miarę jak asemblery tkwały węgiel; rosły w duszącej mgłę z CO₂, rosły w porze huraganów, rosły pod potężnymi burzami pyłowymi, kiedy inżynierowie nic nie widzieli nawet w świetle czołówek i poruszali się na silny sonar. Węgiel na węglu, cząsteczki wiążące się ze sobą. Pięły się na kilometr, dwa kilometry. Półtora długiego roku po tym, jak osady budowlańców, mające pewnego dnia stać się największymi i najbardziej wyrafinowanymi miastami w dolinie, zapuściły korzenie w zimny i martwy płaszcz planety, dwa miliony drzew przerosły najwyższe płaskowyże wokół kanionu i wypuściły po cztery gałęzie. W wielkiej dolinie wyrósł diamentowy las. Na spalonych słońcem płaskowyżach tysiąc maszyn szklarskich opadło na idealnie wymierzone i zniwelowane miejsca i zaczęło przerabiać krzemionkowy piasek na domieszkowane minerałami szklane sześciokąty o pięćsetmetrowej średnicy. Flotylle zrobotyzowanych aerostatów ostrożnie przenosiły panele na miejsce instalacji; nawet przy słabszym ciężeniu jedno wygięcie mogło katastrofalnie zepsuć integralność całego kantonu. Opuszczały je, celując otworami w śruby, potem dociągano nakrętki, a biegające roboty fugujące szpachlowały szczeliny światłoprzepuszczalną rozszerzalną masą. Strupami, bliznami, niczym jakaś archaiczna dziecięca gra w podbijanie terytorium, parkietaż z sześciokątów rozprzestrzenił się po kanionach Doliny Marinerów. Dwadzieścia długich lat po tym, jak pierwszy mierniczy wbił tyczki w swoje działki i rozstawił swój Carbonberg, ostatnie jednostki budowlane rozmontowały się, przekonfigurowały w tryb utrzymania i zakopały się w regolicie.

Jak to ujął pewien przemądrzały mędrzec, Dolina Marinerów liczyła sobie teraz trzydzieści miliardów karatów.

Jeszcze montowano ostatnie płyty dachu, a już nowa i szacowna gildia otrzymywała swe koncesje – nacja równie zindywidualizowana i kastowa jak kolejowi – Przedwieczna i Dziewicza Gildia Czystych Szyb.

Dopiero kiedy szkło było nieskazitelne, idealnie przejrzyste na wszystkich długościach fal, można było do środka wprowadzić ekoinżynierów. Ta gildia nie miała w sobie niczego dziewiczego. Brudnawi, z ziemią za paznokciami, próchnicy, poplamieni i ubłoceni. Brudne kolana w skafandrach. Stworzenie gleby to robota na lata, utkanie atmosfery trwa jeszcze dłużej, całe dziesięciolecia, żeby mieszanina gazów stała się samoregulującym i stabilnym homeostatycznym systemem – niektórzy traktują go jak planetarny organizm i nazywają Gają, tylko że tutaj to była Gaja z próbówki i potrzebowała całkiem innej nazwy.

Roboty budowlane to była ta prosta część. Bogacze z Ziemi bali się długich dziesięcioleci – dwa razy trudniejszych do wytrzymania niż te ziemskie – oczekiwania na dzień, gdy pierwszy z ekoinżynierów zwolnił zatrzaski hełmu, uniósł go, zrobił głęboki wdech i uznał, że to jest bardzo dobre. Niewielu pozostało z tego niecierpliwego pokolenia – ostatnich dwudziestu dożyło swych dni w chatkach z suszonej cegły, polując w dziewiczych parkach pod diamentowym niebem. Wielka oaza, osłonięta przed ściernymi wiatrami i przerażającymi energiami wielkoskalowej humanformacji ROTECH-u, zielona na czerwonym jak ogólnoplanetarny test na daltonizm. Zabudowa łąnowa przecinająca jedną trzecią świata. Kiedy wschód i zachód słońca odbłyśkiwały od szklanych płyt dachu, sygnał heliografu szedł w całą przestrzeń międzyplanetarną. Obserwatorzy po nocnej stronie Ojczystego Świata musieli mrugać, żeby pozbyć się z oczu oślepiającego powidoku. Sędziwi bogacze, na nowo energiczni w słabym ciężeniu, obserwowali, jak nocne niebo wypełnia się gwiazdami – awangarda nowej generacji planetarnych inżynierów rozmnażała się na orbitach parkingowych. Groźny to był lud – bardziej niecierpliwym nawet od cieplarnianych ogrodników: ich maszyny-anioty konstruowały hurtowo całe rzeczywistości.

Sela. I niech będzie. Tutaj opowieść zaczynała stykać się z inną, którą Sweetness niedawno słyszała, i nie trzeba było już wiele mówić, może poza tym, że pod wielkim szklanym dachem zmarli ostatni ze złotych Ziemniaków, a ich rzeźbione w płaskowyżach *chateaux* stały się zaczątkami eleganckich i urozmaiconych miast Doliny Marinerów, tego patchworku czterystu kantonów, miast-państw, regionu najgęściej zaludnionego i najbardziej zróżnicowanego kulturowo w Układzie Słonecznym. I poza tym, że to właśnie poranna uroda Dachy Świata tak zauroczyła Sweetness Asiim Maszynistkę, że aż zawisała w swojej niepewnej uprzęży.

Kiedy blada, wczesna mgiełka pokryła szklane panele, Sweetness najpierw przyszły na myśl lodowe poranki na zimowych transpolarnych trasach, kiedy temperatura na dalekiej północy spadała tak nisko, że z atmosfery wytrącał się jak dym dwutlenek węgla. Potem, gdy słońce nabrało mocy i mgła odparowała, wyobraziła sobie, że leci nad planszą olbrzymiej gry dla dzieci, którą kiedyś wyhalucynowała sobie, kiedy zapadła na jedną z koniecznych chorób dzieciństwa i miała czterdzieści stopni gorączki. Gigantyczne pionki można było przestawiać z sześciokąta na sześciokąt, manewrując nimi i atakując inne. Osłaniając oczy, była w stanie wypatrzeć odległe ciemne sylwetki wystające nad sześciokątne pola, kanciaste i spiczaste – maszty cumownicze dla wahadłowców orbita-ziemia Skywheela czy anteny łącznościowe, lecz jej wyobraźnia zamieniała je w Chłopów, Wójtów i Plebanów rozprawiających się z Panami i Pałacami. Upomniała sama siebie, że mało spała ostatniej nocy, a do tego widziała fragment Armagedonu, więc miała głowę pełną mocy i dominiów. Słońce wciąż stało nisko i świeciło pod takim kątem, że szklane panele były nieprzezroczyste, jak złota autostrada, po której płynęła latająca katedra. Pół stopnia więcej nachylenia i nagle grunt pod jej nogami zrobił się przezroczysty. Pomyślała o rozpraszających się chmurach albo o jakimś mętnym roztworze na chemii w Latającej Szkole, klarującym się po jednej kropli odczynnika. Nie była z morskiej rodziny – nigdy nie postawiła nogi na morskim statku – lecz opowieści na dobranoc z dzieciństwa były pełne płytkich oceanów, piratów, katastrof, zatopionych miast złych ludzi, głęboko w toni, gdzie ludzie wciąż zajmowali się swoimi sprawami na zalanych wodą ulicach, a w pogodne, złowrogie noce było słychać ich dzwony, bijące na zatopionych dzwonnicach. Małe, wypielęgowane farmy, geometryczne drogi, ciasno upakowane wsie i miasteczka pod jej stopami były jak żywcem wyjęte z takich historii. Katedra przepłynęła nad gałęzią jednego z dachowych drzew. Pod szkłem dzieliła się na coraz drobniejsze gałązki, podsuwając Sweetness jeszcze inny obraz – naczynia krwionośne, włosowate – miasto pod skórą, o ile coś takiego jest możliwe. Zerkając między stopy, zauważyła, że najwyższe poziomy pirsów są całe obrosnięte wykuszami, wieżyczkami i niebezpiecznymi balkonikami. Dolina Marinerów była jej równie znana jak cały teren planety – pionowe miasta uczipione pierwszych kilometrów drzew-filarów nie robiły już na niej wrażenia, choć widok z góry ujawniał dotąd skryte przez perspektywę szczegóły. Na jednym z najwyższych tarasów maleńkie postaci celebrowały jakąś poranną imprezę. Kiedy na ludzi padł

cień sterowca, Sweetness wydało się, że unieśli głowy, a jeden z nich zamachał. Odmachała mu. Potem przepłynęła nad złączeniem dwóch płyt dachu – idealna czarna linia, jak przecięcie nożem rzeczywistości, szła przez przedmieście jednego z miast w dolinie. Parę minut później ciemne maszyny uwijały się nad dziurą w pancernym szkłe – jakiś bolid prześliznął się przez zajętą czymś innym obronę przeciwmetyteorytową. Zaklejały pęknięcia, snując z żuwaczek roztopioną krzemionkę jak pająki z jajami spowijające się jedwabnym kokonem. Sweetness zauważyła, że pracują po obu stronach szyby – te na dole nonszalancko trzymały się szkła nogami z przyssawkami.

Pętla rzeki zidentyfikowała sunące w dole miasto jako Melucene, eleganckie, uniwersyteckie miasteczko pełne kamiennych college'ów o stromych dachach, rozpiętych na skarpach nad mulistą Meluce. Zamek Melucene, szacowna siedziba rektorów, wpłynął jej przed oczy, fantastyczny tort pełen wież, baszt i przypór wyciosanych ze skalnego płaskowyzu przez orbitalne lasery. Sweetness nigdy Melucene nie lubiła – gardziła chłopackimi, manierycznymi zachowaniami studentów wracających po feriach do swoich akademików. Nie cierpiała ich wysokich, afektowanych, nosowych śpiewów i celowo trzymała się służbowej strony tendra. Wypłukanie piwa i rzygowin zajmowało Stuardom prawie tydzień. Gdy patrzyła na sunące pod jej stopami strome dachy kolegiów, ogarnęło ją dojmujące poczucie, że chyba są trochę bliżej jej stóp niż wcześniej. Że pola wydają się odrobinę większe, a szczegóły uczelnianych herbów ułożonych z kolorowych dachówek są nieco ostrzejsze. Że poraniony sterowiec traci wysokość.

Jak na potwierdzenie katedra opadła z szarpnięciem. Sweetness chwyciła się czegoś solidniejszego. Szklane sześciokąty zbliżały się coraz gwałtowniej. Przed nią powoli uchylał się jeden z paneli. Mrużąc oczy i patrząc w odbłaski, dostrzegała jakieś wznoszące się nad powierzchnią, pod szkłem, kratownice, jakieś niewyraźne, ale potężne torpedy lekkich pojazdów latających, wtulonych w gałązki dachu jak wielkie ryby w rafę koralową. Jakieś centrum serwisowe, ale Harx leciał za nisko, za szybko opadał... Co ten pilot robi? Balast trysnął z otworów, lejąc się po szkłe jak powódź błyskawiczna, lecz bazylika wciąż traciła wysokość. W twarz Sweetness zawiąło gorącym powietrzem i znalazła odpowiedź. Kiedy słońce ogrzało poranne powietrze, sterowiec przegrał bitwę na gęstości. Chciała się usunąć znad zbliżającego się szkła kopuły. Ale nie masz dokąd pójść, nie pamiętasz? Nigdzie dalej. Musiała coś zrobić. Przy tej prędkości, z taką masą, jeśli Harx się z tym zderzy, jego

mała pasażerka na gapę zostanie rozsmarowana jak masło z nerkowców. Panel był już w pełni otwarty, ale dolne szczeble drabinki linowej, jej zbawienia, ocierały się o szkło. Za nisko. Za nisko! Sweetness zaszamotała się w swoim kokonie, uwalniając nogi i ręce. Odwinęła trzy metry kabla, zebrała się na odwagę, zwinęła go ciasniej. Chwyciła kabel, owinęła mocno wokół nadgarstków i z krzykiem rzuciła się w dół. Zawisła pod kopułą katedry. Statek znów się szarpnął. Wydała krótki okrzyk. Nie patrz w dół.

Musisz patrzeć w dół.

Popatrzyła w dół.

Pięć kilometrów pod nią leniwie płynąca rzeka zatracala się pomiędzy meandrami i piaszczystymi łachami, podczas gdy po jej rozlewiskach kursowały wielkie, kolorowe statki wielkości małych miasteczek. Zmieniła punkt skupienia. Bliżej – o wiele bliżej – szkło pędziło ku niej. Otwór był blisko... Sterowiec opadł niżej. Potrzaskały anteny, pogięły się wysięgniki. Za daleko.

– Jaaaa! – wrzasnęła Sweetness Asiim Maszynistka i skoczyła.

Zapomniała, że szkło jest gładkie, śliskie i twarde. Bardzo twarde. Uderzenie wycisnęło jej powietrze z płuc, przekoziółkowała pięć razy – świat stał się rozmazaną mieszaniną sterowca, kanionów, ziemi, nieba – i zaczęła sunąć. Krawędź, ku której się bezradnie zsuwała... Usiłowała znaleźć jakiś chwyt dla palców, coś, od czego da się odbić nogami. Nic, śliskie, gładkie szkło. Ostatkiem siły i woli zebrała się do kolejnego przewrotu. Żebra zaprotestowały, spróbowała zakryć głowę ramionami. Jeśli się nie uda, jeśli źle to wyliczyła, lepiej nie widzieć chwili, w której wystrzeliwuje ze szkła w pięć kilometrów jasnego porannego powietrza. Raz, drugi, trzeci i zatrzymała się. Zerknęła spomiędzy rąk. Mogłaby splunąć ponad krawędzią wielkiej przepaści. Zaśmiała się głęboko, boleśnie, a potem wszystko wspaniale pociemniało.

Jakiś czas później otworzyło się jedno oko. Przed nim widniała nachylona zaciekawiona twarz chłopca. Sweetness otworzyła drugie oko. Chłopak przechylił głowę w drugą stronę. Sweetness zgadywała, że ma cztery lata, może pięć i ten widok był tak niespodziewany, że na moment zapomniała o przenikliwym bólu w lewym boku. Ze zdziwieniem ujrzała kolejną dziecięcą twarz wyłaniającą się zza pleców chłopca – to była dziewczyna, parę lat starsza.

– Moja – powiedział chłopak.

– Wydaje ci się. – Dziewczyna parsknęła śmiechem. – O wiele za stara.

- Nieprawda.
- Prawda.
- Ile masz lat? – zapytał Sweetness.
- Prawie dziewięć – odrzekła. – Słuchajcie...

Dziewczyna zarżała radośnie i wyprostowała się, triumfalnie splatając ramiona.

- Widzisz? Moja.
- Za stara dla ciebie, Meadowbank.
- Moja albo niczyja, Townley. I jakbyś nie zauważył, to dziewczyna. Moja jurysdykcja. Wracaj do swoich chłopaków.

Tamten nachmurzył się. Dziewczyna popchnęła go żartobliwie i kucnęła obok Sweetness.

- Wypadłaś z tego latającego czegoś, nie? – zapytała. – Pewnie trochę się potłukłaś.
- Trochę.

Nazwanie tego po imieniu z powrotem przywołało ból. Leżała na szklanym stropie, sama czując się w środku jak szkło – potłuczone, ostre szklane kości. Twarz dziewczyny zasłoniła słońce.

– Jestem Meadowbank Trumbden, prezydentka-elektka Państwa Siedem-Plusek. Będzie ci u mnie dobrze. Townley to i tak tylko dzieciak i wie, że nie ma władzy nad dziewczynami. Po prostu podchodził do ciebie, bo myślał, że coś ci się da ukraść. Oni pewnie by cię zjedli. Nie są cywilizowani jak my i nie mają pojęcia jak się zorganizować. Ciągle musimy im pożyczać wodę albo naprawiać ich łazik. Żeglować nie umieją za grosz. Zero poczucia kierunku.

Sweetness przypatrzyła się nachylonej nad nią twarzy. Pociągła i należąca do spalonej słońcem łobuzicy o kiepskiej cerze i zadziwiająco ładnie przyciętych włosach. Była ubrana w parkę z kapturem i uszyte z foliowych worków spodnie z mnóstwem kieszeni. Na niektórych zachowały się jeszcze loga.

Ratuje mnie ktoś, kto wygląda jeszcze gorzej ode mnie, pomyślała niewdzięcznie Sweetness. Powiedziała zaś:

- Nie czuję się za dobrze, Meadowbank Trumbden.

Na twarzy dziewczyny pojawiła się troska.

– Oj, przepraszam, przepraszam, znowu się rozgadałam, jak to ja. – Wetknęła palce do ust i przenikliwie zagwizdała.

Sweetness zawsze chciała się tego nauczyć i zazdrościła każdemu, kto to potrafił. Z wysiłkiem podparła się łokciami. W tej pozycji tak strasznie nie bolało, więc zaczęła się martwić o swój grzbiet. Pół tuzina

dziewczyń podobnie ubranych, podobnie wyglądających i w podobnym wieku zaczęło ściągać wodę balastową ze szklanego dachu, przy użyciu ewidentnie domowej roboty napędzanych łokciem pomp, i magazynować ją w bateriach plastikowych litrowych butelek na plecach. Na gwizdek Meadowbank Trumbden porzuciły tę pracę i przybiegły na pomoc. Poruszały się dziwnie, pół skokami, pół ślizgami.

– Wodę trzeba łapać, jak tylko się da – wyjaśniła Meadowbank Trumbden.

Jakieś sto metrów za zbieraczkami wody stały trzy osobliwe artefakty. Jak wszystko, co do tej pory widziała, z tego halucynacyjnego dachowego świata – niewiele, prawda, ale dość znaczącą próbkę – były zbudowane głównie z plastikowych odpadów. Ograniczenia w dostępności surowca i idiosynkrazje twórców dały w wyniku ogromną rozpiętość szczegółu, ale ogólna konstrukcja była taka sama – kadłub, kabina, bomy i żagle. Całość sunęła po przejrzystym szkłe na ostrych płozach.

Łowczyńie wody przesłoniły widok. Sweetness otoczył pierścień twarzy.

– Trzymaj się – powiedziała Meadowbank Trumbden. – Może trochę boleć.

Na trzy dziewczyny uniosły Sweetness. Bolało bardzo. Zaniosły ją do najbliższego szkunera. Mały Townley patrzył z rufowego pokładu najmniejszego i najwredniejszego stateczku we flotyli. Pociągnął zasmarkanym nosem. Na trzecim i największym statku ośmioletni chłopak o szczurzej twarzy takłował dwa skośne boczne żagle. Zawołał do nich:

– Jak skończycie, dawajcie ją tutaj!

– Zachowaj hormony dla siebie, Draelon – odcięła się Meadowbank Trumbden.

Wodne dziewczyny powoli przeniosły Sweetness za burtę. To zabolalo bardziej. Meadowbank Trumbden kazała ją zanieść na zadaszony pokład z tyłu i położyć na sienniku wypchanym rozdrobnionym plastikiem. Ktoś z załogi podał Sweetness wodę. Upiła łyk, po czym ciało przypomniało sobie, jak dawno ostatni raz piła – chwyciła butlę i wypiła jej zawartość łapczywie. Woda pociekła po twarzy, po szyi Sweetness.

– Prie, wyruszamy – rozkazała Meadowbank.

Kabestany podniosły lądowe kotwice ze szkła. Postawiono żagle, umięśniona dziewczyna w bezrękawniku z białej folii chwyciła rumpel, drewnianą belę ze stalowym hakiem na końcu. Sweetness poczuła, że

statek drgnął, gdy wieczne wiatry Dachy Świata wydeły plastikowe żagle. Z ostrym piskiem stalowych płóz mała flotylla wyruszyła, z prezydent Meadowbank na czele. Trzy szkunery za nimi zostawiały na szkle trzy pary równoległych rys.

Państwo Siedem-Plusek razem z prezydentką-elektką Meadowbank Trumbden miało osiem mieszkańek i granice państwowe jednocześnie obejmujące cały Dach Świata (choć tu była to podłoga, nie dach) i ograniczone do kadłuba ich szybożaglowca. Każdy ze szkunerów – a na połaciach szklanej pustyni sunęło ich o wiele więcej, poszukując zdobyczy – był oddzielnym państwem i narodem, ograniczonym wiekiem, płcią i dostępnością skąpych zasobów. Townley Cheane, obecnie wódz Pięciochłopa, rządził klanem cztero- i pięciolatków o pirackim usposobieniu i upodobaniu do wesolutkich paskudztw rodem z filmów o potworach, typowym dla chłopaków w tym wieku. Każde państwo ustalało własne prawa, ustrój i zazdrośnie strzegło swej jurysdykcji. Jeśli ktoś przeżywał na tyle długo, żeby wyrosnąć ze swej nacji, awansował do kolejnej. Pulchny Townley niedługo wykona krótki, ale znaczący przeskok z Pięciochłopa na *Slayera*, trzeci statek w małej flocie i po przejściu bolesnego i upokarzającego kocenia przejdzie pod władzę króla Draelona (Tymczasowego) i jego targanych hormonami dorastających chłopaków. Na szkle były także państwka wyniosłych dziewczuch o pączkujących piersiach, interesujących się kosmetykami; były statki pełne agresywnych, hałaśliwych prawie dziewięciolatków; był nawet *Wielki żłobek*, gdzie prawie legendarna Mamuśka Mamka wiozła łóżeczka z opatulonymi w watę niemowlętami, sterując swą pinasą po szklanych przestworzach. A cały Dach Świata miał także jedną wspólną tożsamość narodową – jako miejsce, gdzie trafiają zagubione dzieci, niegrzeczni chłopcy, którzy nie chcą trzymać niańki za rękę w wielkich centrach handlowych; niegrzeczne dziewczynki, które tupią nóżkami i nie przychodzą, kiedy się je woła; uczniacy, którzy oddalają się od zorganizowanych grup; ponure nastolatki, które za długo gapią się posępnie w okno wahadłowca Skywheela i kiedy odrywają wzrok, stwierdzają, że rodzina i bagaże gdzieś zniknęły; jednoroczniaków, które stanęły na nogi i od razu uciekły jak najszybciej i jak najdalej od swoich ojców, aż wybiegły ze swojego świata i trafiły w to miejsce, które ma każde społeczeństwo, miejsce na rzeczy zagubione. Można to uznać za coś w rodzaju pocztowej sortowni, z małymi przegródkami na długopisy, skarpetki, piloty do telewizorów i spinki; koty, drobne monety i zapalniczki. Dzieci – tutaj posortowane dodatkowo według wieku, płci

i przewożone przez pracowników biura rzeczy zagubionych do wyznaczonych miejsc. Długopisy – na planetoidę tuż pod orbitą Neptuna, drobne monety do ogromnej, kipiącej lawą szczeliny wulkanicznej głęboko pod diabazowym masywem Olympus Mons; dzieci – na Dach Świata.

Przynajmniej tak sądziła Meadowbank Trumbden. Była teraz w swojej piątej nacji; na wpół pamiętała fragmentaryczne obrazy, na których stała na wysokim balkonie z elegancką kobietą w bieli, a słońce świeciło przez szklany dach na jej zadartą ku górze twarz; potem wysoki mężczyzna w długim czarnym płaszczu budził ją w środku nocy, ze światłem księżyca na szklanym dachu. Już nie dowierzała tym wizjom. Wspomnienia mają okres połowicznego rozpadu. Świerzbica, szczurowata naprawiaczka żagli, zgodnie ze swoim przezwiskiem zakażona świerzbem, wiedziała dokładnie, skąd pochodzi – z ponurego przemysłowego Górnego Miasta, trzy kilometry w górę na Pirsie 188276, gdzie od dwunastu pokoleń hodowano pracowników przetwórci atmosfery i entuzjastycznych amatorów kazirodztwa. Uciekła od tego w górę, wspinając się i wspinając i wspinając, przez miejsca, które nie chciały jej przyjąć albo chciały ją przyjąć tylko po to, by robiła rzeczy gorsze od tych, od których uciekła, póki nie trzasnęła włazem i nie stwierdziła, że jest na Dachy Świata. Żadna w tym tajemnica, nic, tylko zagubione i porwane maluchy, większe maluchy i niedorostki; jedynym innym wyjaśnieniem było celowe porzucenie, a przecież ludzie tak nie postępują.

Sweetness, dzięki temu, że spadła z nieba, zasłużyła sobie na pewne wyróżnienie. Dachowy lud skojarzył jej pojawienie się ze zdarzeniami poprzedniej nocy, będącymi tematem zażartych i pełnych lęku debat oraz formułowanych naprędce teorii. Noc tysiąca spadających gwiazd, skrzyżowanych mieczy na niebie; bitew w pierścieniu księżycowym, wydarzeń, na które mieszkańcy dachu świata nie mieli słów. Sweetness sama nie była pewna, czy je ma. A potem z szybkością wiatru rozeszła się wieść o upadku meteorytu – coś niesłychanego, dziura w podłodze świata! – a jeszcze potem dziewczyna, która spadła z latającego kościoła.

– Dlatego właśnie Townley chciał cię przejąć – powiedziała Meadowbank, gdy Państwo Siedem-Plusek pędziło na zachód, wzbijając trzy strugi szklanego pyłu, z załogą skupioną wokół postania Sweetness. – Nawet Draelon chciałby się dowiedzieć, ale on by cię wypytał, a potem kazałby ci się rozebrać.

– A wy jak myślicie, co to było? – zapytała Sweetness.

Dziewczyny spojrzały na swoją prezydent.

– Słyszałam, że są inne światy podobne do tego.

– Światy są, ale podobnych do tego jest bardzo mało. Jest ten, z którego przyszliśmy...

– Nie, ten to nie, tak myśli Draelon. Mówi, że była taka wojna światów i toczyła się w wielu setkach różnych wszechświatów, tak że możliwe, że nawet to nie nasz ją zaczął, ale nieważne, w naszej okolicy tych wszechświatów my zwyciężyliśmy, ale te inne nie zapomniały, a zwłaszcza nie wybaczyły. Chcą spróbować jeszcze raz i tym razem wygrają.

– Tak, była taka wojna – potaknęła Sweetness, myśląc: aha, taka bystra jesteś, a sama dopiero co się o tym dowiedziałaś. – Ale bardzo dawno. Teraz jest pokój. Więc co to może być, jak myślicie?

– Ja myślę, że to jest zupełnie inny świat, gdzieś daleko-daleko, może nawet ma inne słońce niż my. Może oni w ogóle nie wyglądają jak my, może wyglądają jak owczarki szkockie albo kawałki plastiku, albo coś, czego nie można sobie wyobrazić. W każdym razie chcą naszego świata. Od bardzo dawna, od setek lat, czy coś, i od czasu do czasu zbierają flotę, całe setki maszyn bojowych, i wysyłają je, żeby na nas napaść, i my z nimi walczymy. Stąd są właśnie te wszystkie gwiazdy, to są wraki i złom z tych bitew. Robią to od bardzo dawna, myślałby kto, że się nauczą, ale wiedzą, że nam musi się udać za każdym razem, a im wystarczy raz.

– No, słyszałam gorsze teorie. Ty w to wierzysz?

– Może. Ale słyszałam i inną historię, załoga śluzy mówiła, że rano mówili coś w radiu...

– Załoga śluzy?

– No, ci, co otwierają klapę, wiesz? Przez którą przeleciał ten twój kościół. I z powrotem ją zamykają.

– Merde'a'God! – Sweetness usiadła prosto, zapominając o żebrach i obrażeniach. – Gdzie my jesteśmy?!

– Jakieś dwa kilometry na zachód od Pirsu jeden sześć sześć sześć osiem trzy siedem. Nad kantonem Rhosymedre.

– To nie w tym kierunku! Muszę tam wracać!

– A o co chodzi? – zapytała prezydent Meadowbank. Jej elektorat, siły obronne i wyborcy podeszli bliżej do posłania.

– Ja wiem, co się działo wczoraj w nocy. Dokładnie wam powiem. To jest wojna między aniołami. Bo tam są anioły, maszyny podobne do aniołów, w tym pierścieniu gwiazd są ich miliony i toczy się między nimi

wojna domowa, bo ten typ w katedrze, Burzyciel Harx, przejmuje nad nimi władzę. A kiedy one zginą, my będziemy następne.

Meadowbank Trumbden stanęła ze splecionymi rękoma i zaciętą twarzą. Jej lud także przyjął prezydencką postawę.

– Czegoś głupszego to w życiu nie słyszałam... – powiedziała. – I ja mam w to uwierzyć?

– To prawda! On ma w łapach Świętą Katarzynę, która tak naprawdę nie jest żadną świętą...

Nie ma sensu, mała Maszynistko. One ci nie wierzą. Prawda o tym świecie jest dla nich zbyt trudna. Rzeczywistość zbyt nierzeczywista. Jest w ogóle ktoś poza tobą, kto wie, co tam się naprawdę dzieje? A jeśli Zagubione Dziewczyny nie chcą ci uwierzyć, to kto uwierzy? Bo teraz jesteś w swojej opowieści tak daleko od celu, że chyba dalej się nie da. „Bo ja spadłam z latającej katedry!” – chciała powiedzieć i znowu się pohamowała. Szkoda tych słów. Teraz myślą, że kłamiesz, i cię tolerują. Jeszcze pół słowa i cię znienawidzą.

– Ahoj!

Krzyk jedynej dziewczyny trzymającej wachtę, na dziobie, był jak strzał z bicia. Wszystkie głowy najpierw podskoczyły, potem obróciły się. Państwo-statek oddzieliło się od swoich towarzyszy z flotylli – gdyż w tym środowisku wszystkie sojusze były przypadkowe i nietrwałe – i szybko zbliżało się do masztu łącznościowego, czarnej, skomplikowanej płataniny anten, talerzy i wzmacniaczy sygnału, sterczącej z gładkiego szkła jak samotny czarny włos z twarzy czcigodnej wdowy.

– Przygotować się do hamowania! – krzyknęła Meadowbank i chude dziewczyny rzuciły się na stanowiska.

Z kilku opadły deski z kolcami; setki zdobycznych gwoździ i śrub budowlanych wgrzyły się w szkło, sypiąc wokół kaskadami pyłu. Żagle obwisły, ster okręcił łódź dziobem do nabrzeża. Z wizgiem i wstrząsami Państwo Siedem-Plusek się zatrzymało. W maszcie otworzyła się kłapa, wyszli z niej łącznościowcy, mrugając na porannym świetle. Byli starzy, wielcy, brudni i niedźwiedzowaci, ze zmierzwionymi włosami i brodami, w przybrudzonych kombinezonach. Siedem-Pluski ustawiły się w szeregu na pokładzie.

Sweetness patrzyła nieufnie, jak mierzą się spojrzeniami, podejrzewając jakieś paskudne seksualne transakcje, tak wszechobecne w mniej publicznych i bardziej wygłodniałych częściach świata.

– Panie szanowne, macie w ogóle pojęcie, ile was nie było? – zapytał szef radiowców. – My tu już zdychamy. Możecie nas obskoczyć? Zrobicie

nam, co potrzeba.

- To będzie kosztowało.
- Tyle co zwykle.
- Plus dycha. Jedna gęba więcej.
- No nie, nie damy rady inaczej. Niech będzie dycha. Deal?
- Deal.

Dziewczyny z Państwa Siedem-Plusek dobiły stalowych ostrzy i uniosły je nad głowami. Jasne słońce zaśniło na podwójnych ostrzach – nożyczki. Ekipa strzygąca jak jeden mąż przeskoczyła przez burtę, powiewając plastikowymi pelerynami i zabrała się do pracy nad głowami zadowolonych łącznościowców. Przez następną godzinę pracowały nad fryzurami od garnka, jeżami, cieniowaniami od szóstki do zera, kaczymi kuprami, plerezami, zaczeskami, przedziałkami na środku, na boku z lewej, wygolonymi wzorkami, religijnymi hasłami, logami drużyn sportowych na potylicach. Nożyczki ciach-ciach-ciachały, długie tłuste włosy spadały pasmami na ziemię, od razu wywiewane przez wieczne wiatry. Potem peleryny zostały zdjęte, luźne ścinki zmiecione z karków, nożyczki trafiły do futerałów, a w ogoloną skórę wmasowano wodę kolońską.

Podczas masowego strzyżenia Sweetness zauważyła, że szef łącznościowców, przyozdobiony teraz dreadami do połowy ucha, cały czas popatruje na górne poziomy swojego masztu. Ponieważ nie zaliczała się do włosianej załogi, mogła go dyskretnie obserwować ze swojego posłania, lecz w tej plątaniu technologii trudno było wypatrzyć, co tam być powinno, a czego nie. Później, kiedy Meadowbank mozolnie wystawiała rachunek, Sweetness zobaczyła tam jakiś ruch. Czarne kształty, bardzo powoli, bardzo subtelnie, jak wielkie pająki podkradające się do ofiar, spelzały w dół pomiędzy przekaźnikami i mikrofalowymi talerzami. Nie maszyny, podejrzewała Sweetness, choć nie potrafiła określić ich kształtu; poruszały się jednak jak żywe stworzenia. Jeden Bóg Panarcha wie, co tam mieszka, tak wysoko nad Dachem Świata, i czym lubi się żywić.

Meadowbank i szef telekomunikacji wciąż się targowali. Sweetness miała wrażenie, że celowo ją zatrzymuje. Ponownie zerknęła w górę. Stwory przestały się poruszać. Przyjrzała się dokładnie pomostom i kratownicom, pojawiły się kształty, obrazy ułożyły się w kończyny, tułowia, głowy.

- Ej, patrzcie, u góry! – krzyknęła Sweetness.

Meadowbank Trumbden uniosła głowę i postacie skoczyły. Było ich dwanaście. Opadając nogami w dół, zmieniały kolor z czarnego na biały, na przezroczysty jak szkło. Spadając wolniej, niż pozwalało na to ciążenie. Plomby zadzwoniły jej w trzonowcach – pola wirowe i rozpraszające światło ropusze kombinezony.

– Uciekać! – wrzasnęła Meadowbank Trumbden. – Meblarze!

Siedem-Pluski się rozproszyły. Za wolno. Łowcy wyjęli z kabur na ramionach wielkie czarne sprzęty i wycelowali. Sweetness, spodziewając się rzezi, schowała się. Miotacze kleju, wyrzutnie sieci, neuronalne paralizatory – najnowocześniejsza nieśmiercionośna broń unieruchomiła, oszołomiła i obezwładniła fryzjerki. Trzech techników rzuciło się na pomoc szefowi, kiedy ten szamotał się z wierzgającą, klnącą Meadowbank. Łowcy łagodnie wylądowali i ruszyli się, by zabezpieczyć jeńców i schwytać nieliczne uciekinierki.

Sweetness skoczyła, lecz fala ludzi w czerni przelała się przez nadburcie, chwyciła za brzeg jej materaca i energicznym szarpnięciem przewróciła ją i skrępowała, zanim zdążyła rzucić choć jedno kolejowe przekleństwo. Po raz drugi tego samego dnia wszystko zrobiło się czarne.

* * *

Ladonna Cloris Grace Avaunt Urtching-Sembely organizowała właśnie comiesięczną aukcję mebli na balkonie swej rezydencji na szczytowym, tysięcznym poziomie. Choć zajmowała się wyjątkowo wyrafinowanym i wyspecjalizowanym biznesem, a im wyżej na pirsie, tym biznesy robiły się bardziej wyrafinowane i wyspecjalizowane, obecnych było wielu gości spoza jej grupy hobbystycznej, bo bufet był świetny, lista win znakomita, mimo dekantowania ich na takiej wysokości, a pogawędki były niezrównane. Towary stały w kolejności oferowania wzdłuż krawędzi zawrotnie wysokiej półki, tam, gdzie popołudniowe światło miało najlepiej wyeksponować ich walory. Potencjalni nabywcy oglądali wystawione towary, oceniali ich wielkość i trwałość. Dla tych, którzy szukali kompletów, albo chcieli uzupełnić swe sceny, niektóre były już wpakowane w skafandry i upozowane.

Przez cały poranek pajęczy łaźnik posuwał się ostrożnie przez dżunglę gałęzi drzew-wsporników, wykonując ryzykowne i akrobatyczne skoki na przyssawkowych odnóżach pomiędzy kolejnymi szklanymi prześwitami. Sweetness, wisząca w swojej klateczce jak roztocz pod brzuchem

transportera, razem z innymi pojmanymi Siedem-Pluskami, patrzyła, jak słońce sunie po łuku nad przezroczystym stropem. Po raz pierwszy zauważała też rysy, zadrapania i blizny na szkłe. Słońce powiedziało jej, że przynajmniej idzie w dobrym kierunku, w kierunku Harxa. Poza tym jednak jej położenie wydawało się zaiste rozpaczliwe. Na szklanych równinach grasowało wielu porywaczy dzieci, ale najemna siła tych bardzo bogatych, bardzo wyspecjalizowanych i bardzo zblazowanych, którzy traktowali ludzi jak meble, budziła największy lęk spośród nich.

– Mają takie skafandry – szepnęła Meadowbank Trumbden z sąsiedniej klatki, cicho, ostrożnie, bo porywacze dzieci narzucali dyscyplinę elektrycznymi prętami. – Nic nie widzisz, nic nie słyszysz, nie możesz mówić. Słyszałam, że cię karmią, zbierają gówna. Jak to na ciebie założą, to już się nie da zdjąć. I w tym oni cię ustawiają, jak trzeba, a potem to się blokuje i już nie możesz się ruszyć.

Kolejna wycieczka w mrok, pomyślała Sweetness. Tylko tym razem już z niego nie wyjdiesz. Próbowła sobie powiedzieć, że to wszystko część przygody i że opowieści nie kończą się zrobieniem z Bojowej i Zaradnej (Ale Przy Tym Ślicznej) Heroiny stolika do herbaty. Wciąż próbowała się do tego przekonać, gdy pająk-łazik schodził po głównym pniu w kierunku stu smukłych wież Dominium Urtching-Sembely, a jego cielesny ładunek kołysał się pod nim jak ciężkie wymiona.

Potem, z dłońmi związanymi szybkołączką, została ustawiona ostatnia w szeregu – „Ale nie ostatnia według popytu”, powiedziała sobie. „Nawet na aukcjach ludzkich mebli najlepsze musi iść pod młotek na końcu” – na balkonie, pocąc się w popołudniowym skwarze pod Dachem Świata. Obok niej dwóch zbirów Urtching-Sembely ścięło z Meadowbank Trumbden jej foliowe szmaty, trzeci zaś wcisnął ją w obcisły czarny skafander. Prie, Świerzbica i dziewczyna, która dała Sweetness przepyszna wodę, zostały już ustawione we wsporniki dla stołu, zmuszone do uklęknięcia, a potem odchylone w tył przez rozsiane w obcisłej tkaninie nanosilniczki, aż ich przeguby znalazły się przy kostkach. Kupujący, sztywny, kanciasty facet w brokatowym płaszczu i niemodnych butach, spędził sporo czasu na mierzeniu kątów i upewnianiu się, czy biusty są wystarczająco duże, by podtrzymać wielki szklany blat, przy którym zamierzał podejmować swych gości o podobnych upodobaniach. Po licznych pomiarach i precyzyjnych regulacjach nanosilniczków skafandra wydawał się usatysfakcjonowany.

Oprawcy w końcu nasadzili Meadowbank kaptur na głowę, wetknęli pod niego luźne kosmyki chuligańskiego uczesania, upewnili się, że

knebel i zatyczki do uszu siedzą, jak należy, i uszczelnili całość. Obsługa aukcji cofnęła się o krok. Meadowbank mocowała się przez chwilę, po czym skafander się zblokował, unieruchamiając ją.

– A pan co kolekcjonuje? – zapytała Ladonna Urtching-Sembely kupującego, człowieka tak niesamowicie nijakiego, że musiał skrywać jakąś tajemnicę i niesympatyczne występki, inaczej bowiem zupełnie zniknąłby ze świata.

– Lampy – odpowiedział kupujący. – Świeczniki. Przechodzę teraz przez fazę oświetlania domu.

– Wspaniale! – Ladonna Urtching-Sembely klasnęła w dłonie w uprzejmym wyczekiwaniu.

Była niesprawiedliwie piękną kobietą, wysoką, elegancką, o ciemnych oczach, kasztanowych włosach i przepięknych dłoniach. Miała na sobie wieczorową suknię do ziemi, z koronki i białego brokatu, podkreślającą jej obfity biust. Jakie to krzywdzące, pomyślała Sweetness. A Pana Urtching-Sembely’ego nie ma. Pewnie go zjadła albo zrobiła z niego fotel na specjalne okazje, w najbardziej prywatnym pokoju. Piękna Ladonna wyjęła z zawieszanej na przegubie torebki kulkę sterującą. Wymanikiurowane palce dotknęły guziczków. Nogi Meadowbank ściągnęły się i stanęły na baczność, ręce, wbrew jej woli, uniosły się pionowo nad głowę. Skafander się usztywnił. Jeden ze służących kupującego przyniósł bezprzewodową pochodnię i wstawił ją w sztywne dłonie. Cofnął się o krok, plastikowy płomień rozbłysnął biało.

– Idealnie – powiedział zdumiewająco nijaki człowiek.

– Każę ją przesłać jeszcze dzisiaj – powiedziała Ladonna i jeden z jej łowców przykleił na małej prawej piersi czarnej sylwetki czerwone kółko z napisem „Sprzedane”. – Przechodzimy więc do ostatniego przedmiotu, numer dwanaście. Starszy egzemplarz, nieco solidniej zbudowany, ale wciąż nadający się do wieloletniego użytku.

– Przypakowana – rzuciła stara kobieta z białym psem rasy jadalnej pod pachą.

Wysoki, zniewieściały mężczyzna w pumpach i butach do kolan spojrział bardziej taksująco przez lorgnon.

– Są możliwości. Sądzę, że żyrandol. Tak. – Z namysłem postukał lorgnonem o dłoń. – Całkiem dobrze wyglądałaby u mnie pod sufitem.

– Czy mogę to uznać za ofertę? – zamruczała Ladonna.

– Może pani. Trzy tysiące.

– Przyjęte, proszę pana.

Dzentelmen skłonił się, Ladonna kiwnęła na służących. Dwóch zaczęło podchodzić do Sweetness z nożami, żeby obrać ją z ubrania, trzeci przyniósł czarny skafander.

To się nie może tak skończyć.

Naprawdę nie może?

I wtedy decyzja zapadła. Jeśli to nie jest opowieść, skończy się tutaj – wiszeniem przez kilkadziesiąt lat pod sufitem ze świecami na dłoniach i stopach. A jeśli jest, to fabularne reguły rządzą wszystkim, co się wydarzy. A zatem to jest chwila Największego Zagrożenia, kiedy cały wysiłek Bojowej i Zaradnej (Ale Przy Tym Ślicznej) Heroiny, by osiągnąć swój Fabularny Cel, wisi na włosku; wtedy wydarza się Coś Wielkiego, co przestawia akcję na tor prowadzący do Końcówki. W tym momencie BiZ(APTŚ) Heroina może liczyć, że uratują ją fabularne stworzenia w rodzaju Zbiegu Okoliczności, Przypadku i Szczęśliwego Trafu.

Obcisły czarny skafander rozpostarł się przed nią, przyciągając jej wzrok jak skolapsowana gwiazda. Teraz.

– Ja wam pokażę przypakowaną! – wrzasnęła i wpakowała czubek lewego buta w jądra trzymającego strój.

Usłyszała chrupnięcie. Typ wydał niemal hipersoniczny pisk i przewrócił oczyma. Padł jak podcięta sekwoja. Wykorzystując chwilowe zamieszanie, Sweetness wytańczyła spod ostrzy nożowników. Ze związanymi rękami rzuciła się ku krawędzi balkonu.

– Nie! – wrzasnęła Ladonna Cloris Grace Avaunt Urtching-Sembely.

Pięć kilometrów późnego popołudnia w kantonie Semb rozdziawiło paszczę, gdy Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII rzuciła się głową naprzód przez balustradę, ku wypielęgnowanym pnączom tarasów tysiąc pięter niżej.

– To będzie Koniec Świata, Jaki Znamy – obwieścił Weill z uśmiechem odsłaniającym stanowczo za dużo jego potwornych zębów.

W ogromnej grocie pod przedwieczną redutą ROTECH-u – Chińską Górą upłynęły całe sekundy ciszy, zanim jego słowa opadły na odpowiednią głębokość i eksplodowały jak bomby głębinowe. Skerry zareagowała pierwsza.

– Niemożliwe. Nie da się tego zrobić.

Mishcondereya, wyczuwając okazję do wydrwienia Weilla, wyprostowała się na pełną wysokość, spojrzała z góry wzdłuż swego arystokratycznie zadartego noska i oświadczyła:

– Bzdury. To twoja ostatnia nadzieja na coś wielkiego. Niebo się wali, nadchodzą święci, co ty na to, skarbeńku? Mniejsza o smród, potem będzie jeszcze gorszy.

Pierś Seskinore'a uniosła się i opadła pod za ciasną o dwa guziki marynarką garnituru ze spodniami o zwężonych nogawkach.

– Muszę powiedzieć... skoro to jest najlepsze, co masz do zaoferowania...

– Ale to ma pewne zalety, wiecie? – odezwał się Bładnoch ze swojego aluminiowego krzesła, które, jak zawsze na strategicznych naradach, przesunął niebezpiecznie blisko ogromnej stalowej przepaści ziejącej za brzegiem balkonu. – Bo pan Harx tego się właśnie spodziewa. To damy mu to, czego chce, w gotówce. Chce zastępów aniołów, chce, żeby święci spadali z nieba jak deszcz, chce, żeby rozwarły się chmury i żeby Bóg Panarcha wyjechał z nich na czele całego Niebiańskiego Cyrku, chce, żeby padał deszcz krwi i ropuch, chce gównoburzy i płonącej siarki,

to będzie to miał, dzięki Zjednoczeniu Artystów. Będzie to zajebisty wabik.

Weill uniósł dłonie i zaklaskał.

– Co, tylko mnie jednego z całej bandy klaunów stać na jakąś wizję?

Seskinore pogładził się po podbródku, gdzie kiedyś, jako Król Tournée, miał małą, dystyngowaną srebrną bródkę jak metalowy owczy język.

– Ma to pewne... walory... dramatyczne. Tak, mogę powiedzieć, że to byłoby ukoronowanie naszej kariery. Będę dumny, mogąc wpisać sobie coś takiego do CV.

– Koniec świata – powiedziała Mishcondereya, ze splecionymi ramionami, oraz z nieznacznym drobnym skrzywieniem mówiącym „a, rozumiem”, które od dawna nie prowokowało Weilla do niczego, poza miną mówiącą „no kiedyś, jak nie będę miał niczego lepszego do roboty, to ewentualnie mógłbym zobaczyć, jak wyglądasz bez ubrania”.

Weill kiwnął z zapalem głową.

– Idziemy na całość.

– Sugerujesz, żeby Zjednoczenie Artystów odegrało Armagedon? – zapytała z niedowierzaniem Skerry.

– Albo my to zrobimy, albo on to dla nas zrobi. Tylko że ten jego nie będzie na niby.

– Nasz przyjaciel dobrze mówi – stwierdził Bładnoch. – Ale musimy jednak przekonać Skerry, bo to na niej będzie spoczywać cała ta boska komedia. Skerry?

– Ja nie wiem. – Odwróciła się plecami do swoich komediowych towarzyszy, oparła na poręczy stopę w bucie z przeciwpoślizgową podeszwą, popatrzyła na niosące się echem kawerny Jaskini Komедии. –

Niech to będzie proste. Zawsze tak robiliśmy. Komedia jest prosta. Miałabym więcej zaufania, gdyby to było mniej skomplikowane, mniej ryzykowne, mniej... szokujące.

– Po tylu latach jej się nagle zachciało siatki zabezpieczającej – rzucił Weill.

Skerry wściekła się na niego.

– Będiesz sobie tak mówić, flejusie, kiedy zrobisz coś takiego.

Z tymi słowy niska i silna kobieta stanęła na poręczy na jednej ręce, obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, żeby stanąć na drugiej, tym sposobem przeszła trzydzieści kroków wzdłuż przepaści, a potem zeskoczyła z podwójnym saltem tak blisko Weilla, że aż podskoczył. Wbiła w niego gniewny wzrok. Zjednoczenie Artystów nie kochało się

nawzajem. Choć często z wzajemnej pogardy rodzą się najlepsze duety, pięcioro komików dobrze wiedziało, że w komedii, tak jak we wszystkim innym, Synod stać tylko na drugi garnitur. Najwięksi byli w trasach, zachwycali ludzi w Klubie Komediiowym Gadka-szmatka w Belladonie, w Śmietance Towarzyskiej w Llangonedd, kursowali poduszkowcami między barkami rozrywkowymi na Morzu Syrtyjskim. W lokalach, gdzie wręczało się liderowi zespołu nuty własnego motywu muzycznego, a on tylko kłaniał się, puszczał oko i brał batutę do ręki. Na trasach, gdzie wystarczało pierwsze słowo dobrze znanego skeczu, żeby widownia sikała ze śmiechu. W klubach, gdzie ludzie uwielbiali stare dowcipy, delektując się nadchodzącą puentą jak przedorgazmiczną falą wzbierającej spermy.

Skerry i Weill się rozdzielili. Mała kobietka podeszła nachmurzona do poręczy, żeby gapić się ponuro w zagracone czeluści Jaskini Komedii. Dwa miliardy lat temu gigantyczne wulkany, które stworzyły tę półkulę, wytrysnęły, wyprztykały się ze wszystkiego i zdechły, pozostawiając olbrzymie komory magmowe, by stygły i pękały pod twardniejącą skorupą. Dopiero głębinowe wiercenia, wykonywane, żeby zbudować bastiony na tyle odporne, by wytrzymały bombardowanie kometami, za pomocą których ROTECH zaimportował większość wody i powietrza tego świata, przebiły się przez tę skorupę i ich ekipy odkryły sale obsydianowych luster. Helidrony, nawigujące jak plastikowe nietoperze na sonarowe piski, zrobiły mapę chaotycznego wnętrza tego dwukilometrowego bąbla. „Dolina Marinerów, a pod nią druga, tylko do góry nogami” – tak ją opisał jeden z areologów. Kiedy pojawili się ludzie i maszyny, a w Dolinie zaczęły piąć się w niebo słupy, Bąbel pod Chińską Górą stał się wylęgarnią dla milionów orfów, które wydobywały się ze swych komórek lęgowych, przewiercając się przez skałę i regolit, z brzuchami pełnymi bakterii do przetwarzania kamienia w glebę. Tak jak dzielnice przemysłowe niszczej, kiedy wyprowadzają się z nich fabryki, tak i Bąbel Chińskiej Góry popadł w ruinę, kiedy ROTECH rozsiał swe precyzyjnie biologicznie sformatowane wsie i mikromiasta po zboczach góry-stolicy. Podobnie jak niezamożni artyści wprowadzają się do zniszczonych fabryk i adaptują je na swe pracownie i studia, tak Zjednoczenie Artystów zjechało nieużywaną od trzystu lat szklaną windą i wydało z siebie zbiorowe „wow”, kiedy z brzęknięciem zapaliły się światła. Teraz dziewicze słupy wulkanicznego szkła były obwieszane trofeami i proporcami z dawnych akcji, jak głowami zatkniętymi na włócznie – nadmuchiwany, usztywnianymi demonami z przekreću

z piekłem; olbrzymimi, pierzastymi nakryciami głowy i nieprzyzwoitymi pierzasto-cekinowo-prześwitującymi strojami z imprezy, na której Paulus Twining mimo woli się wyoutował; był też pomniejszony tysiąc razy fałszywy Żaglowiec z Romansu Gartana Roscoe'a (nawet w skali 1:1000 wypełniał całą jedną kawernę, jak rak pęcherzyk w płucu haszyszyna).

Skerry zawsze odnajdowała w tych wiszących pamiątkach konkret i pewność siebie. Synod chytrze wybrał przywódczynię – dręczoną wątpliwościami i dojmującym poczuciem, że nie jest na miejscu. Jej talenty były cyrkowe, to ona miała bujać się na srebrnym trapezie. Nie miała być zabawna, lecz nie było dnia, by nie pragnęła wywoływać wybuchów śmiechu. Marzyła o aranżowaniu tytanicznych upadków, wyrzucaniu z wielkich pudeł kosmicznych sprężynowych węży, podkładaniu pierdzącej poduszki pod siedzenie Panarchy. Żałowała, że nie ma poczucia humoru. Bo nie miała. Nic a nic. Jej pełna rezerwy linia ozyryjskiej szlachty nie miała takiego genu. Ponuro udawali, że ich plemienny kompleks niższości to skromność, i wierzyli, że to przeprowadzi ich przez chaotyczny, spontaniczny i niekulturalny świat. Od chwili, kiedy drzwi posiadłości Ghalgorm zamknęły się za nią, kiedy wyruszyła do Królewskiego Cyrku Słońca na ściętym czubku płaskowyżu w Dolinie Marinerów, wiedziała, że nieodwracalnie złamała rodziną doktrynę wygodnej przeciętności. Po czterech latach i po okresie dobrej, stabilnej urzędniczej pracy właściwie pogodziła się z tym snobistycznym wygnaniem, lecz kiedy patrzyła na te łagodnie powiewające proporce, te wyszczerzone głowy demonów, miała ochotę zawołać do tego pokrytego blankami kopca termitów na płaskich polach Ozyrysa: „Ej, Mamo! Patrz na mnie! Obaliłam rząd!”.

„Aha, bujając się na linie, robiąc salta, skacząc przez obręcze, zakładając nogę na szyję i żonglując ogniem?”. Słyszała ten wysoki, słaby głosik odbijający się echem od malowanych belek Ghalgormu. Dla jej matki przytyki były świętą sztuką, tak świętą jak pisanie ikon. To nie był sarkazm, to było zachowanie uniwersalnego i świętego porządku.

„Tak!” – miała ochotę krzyknąć. I do tego w absurdalnych i często nieprzyzwoitych kostiumach. Robiąc dokładnie to, co mówi. „Popisując się, robiąc z siebie dziwowisko, realizuję wszystkie twoje wartości rodzinne. I to bez cholernej siatki zabezpieczającej!”.

Kłócili się znów, teraz o szczegóły, niuansy – dokładną liczbę gatunków w Boskich Menażeriach, o to, czy Jeździec na Wielogłowej Bestii jedzie po męsku czy po damsku, czy Bóg chodzi do toalety, o kolor anielskich skrzydeł. W takich chwilach Skerry Scanland Ghalgorm

błogosławiła swój brak poczucia humoru. Ktoś musiał mieć perspektywę. Ktoś musiał trzymać tę bandę za mordę.

– Wystarczy. Helikoptery z wiszącymi pod spodem świętymi, generatory piorunów kulistych, świecące sterowce... powiedzcie no, ile dokładnie mamy czasu?

Te miny pełne uczniowskiej skruchy w chwilach, kiedy sprowadzała ich na ziemię, między ograniczenia prawdziwego świata, prawie rekompensowały dręczące ją podejrzenie, że jest z mniej zabawnej kasty niż reszta ekipy. Seskinore unosił swe Dystyngowanie Siwe brwi. Mishcondereya robiła Arystokratyczną Anse. Weill kręcił się i drapał. Podłapał paskudną grzybicę pach i wściekle go swędziały. Bładnoch wyciągnął swoje *vademecum*. Cybernetyczne anioły pofrunęły przez planetarny układ nerwowy, węsząc, drążąc, i wróciły z odpowiedzią.

– Störting-Kobiyashi ma umowę na naprawy Kościoła Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny. Szacowany czas: trzy dni. – Zerknął raz jeszcze na wynik, unosząc jedną precyzyjnie wygoloną brew, czego zawsze zazdrościł mu Seskinore, podobnie jak jego programu *Psia karma i tajemnica wiatrowych dzwonków*. – Głównie rozdarcia powłoki, drobne uszkodzenia szkieletu, parę przebitych balonetów. Co ciekawe, raport ich głównego inżyniera sugeruje uszkodzenia od wybuchów. Ktoś już próbował walczyć z Burzycielem Harxem? Kto?

Zatrzasnął *vademecum*, urządzenie tak dalece bardziej zaawansowane od pomocnika babci Taal o tej samej nazwie, że właściwie nie zasługiwało na zaliczenie do tego samego gatunku. Komedia obserwacyjna potrzebuje spostrzeżeń. Gdzieś w tajemnych komnatach Synodu musiała kryć się mądrość, która przydzieliła kieszonkowe źródło wszechwiedzy Bładnochowi, a nie Seskinore'owi, pomyślała Skerry. Albo, niech się zlitują święci, Weillowi. A na głos powiedziała:

– No to chyba mamy problem.

Ponownie spojrzeli po sobie, tym razem jakby mówiąc „nasz jeden jedyny pomysł poszedł w piach”. Skerry skrzyżowała ramiona. Bładnoch szeleszcząco przebierał palcami i patrzył w podłogę. Coś wymyśli. Wierzyła w niego. Trzy lata pracy o krok od niego, próba uwiedzenia na imprezie po zdemaskowaniu przekrętu z wynagrodzeniami zarządu w Bethlehem Ares, wynikła z tego (lub może wbrew temu) bliskość, a i tak wciąż nie wiedziała, co myśleć o tym wysokim, chudym mężczyźnie; czy pod pozorną głębią kryje się w nim prawdziwa głębia, czy to wszystko tylko jedna ciągła, wypolerowana na wysoki połysk

powierzchnia. Odkąd podebrali ją z Najnowszej! Parady Horrorów Terence'a Payna, gdzie występowała jako prestidigitatorka w gumowym kostiumie, robiąc numery z kablami wysokiego napięcia, Skerry zachowywała wstrzemięźliwość, lecz Bładnoch był luką w jej stanowczości.

– Pani starsza – powiedział, pstrykając palcami w tym „nie przerywać mi toku myślenia” stylu, który tak jej się podobał. – Ten jej sen, przekaz, wiadomość, tak powiedziała, prawda? – Jego współpracownicy dobrze wiedzieli, że mają nie odpowiadać. – Skąd to się wzięło?

– A co? – zapytała Skerry.

– A nic, podejrzenie takie.

Pociąg specjalny Zjednoczenia Artystów, kierowany dedykowanymi sygnałami, wyprzedzał odstawione na bocznicę pociągi transkontynentalne i priorytetowe, nawet dumny Argyre Express, obsadzony jeszcze bardziej dumną kliką Maszynistów z Malevant, i piął się po łagodnych zboczach Chińskiej Góry. Niebo nad nim rozjarzyło się, anioły spadły i babcia Taal zaczęła się obawiać o swoją wnuczkę w tym stojącym na głowie świecie. Poczuli się starsza i bardziej krucha niż nawet przy kartach z Cyrenem Ree, czasowym wampirem. Przyszłość jej rodziny i świata spoczywała w rękach tych kłótliwych młodziaków. Nagle mała skórzana salonka skręciła na bocznicę – babcia czuła przez podeszwy butów, że nigdy nią nie jechała, a potem niebo i dokonywane na nim zbrodnie zgasły, gdy Kharam Malevant Maszynista VIII zanurkował swą maszyną do długiego, ciemnego tunelu. Babcia Taal знаła huk i echo każdego tunelu i wykopu w czterech ćwiartkach świata; zmysł słuchu powiedział jej, że w tym jeszcze nigdy nie była i że wiozą ją bardzo, bardzo głęboko. Po długim prawie nie do zniesienia czasie rzadkie lampy na ścianach tunelu zwolniły swój rytm i pociąg wśliznął się w złote światło półtunelu, wychodzącego z jednej strony na ogromną przestrzeń z lśniącego, błyszczącego obsydianu. Za peronem kołysały się linowe wagoniki – ta kawerna była tak wielka, że miała swój własny mikroklimat. Weill odprowadził babcię Taal, która tylko raz zerknęła na to, co czaiło się za tą żałośnie wątlą poręczą na krawędzi peronu, i odtąd miała oczy stanowczo zamknięte, a torebkę bez dna mocno przyciśniętą do siebie, póki przeklęty wagonik nie przestał się kołysać i nie poczuła pod nogami porządnej stali.

– Proszę się tu czuć jak u siebie – rzucił Weill z nieświadomą bezmyślnością.

Babcia Taal tak właśnie uczyniła – wypełniła półeczki i wnęki drobiazgami powyjmowanymi z licznych wymiarów czarnej torby. Może był to chybotliwy bąbel z plastiku i aluminium zawieszony na niepokojąco wątych linkach, ale przypominał jej rozkołysaną kabinę wysoko na *Katarzynie z Tharsis* bardziej niż cokolwiek, odkąd – ile dni temu to było? – wysiadła na Stacji Wodnej Muchanga. Wrażenie ruchu było uspokajające, choć jego trójwymiarowość nieco niepokoiła ucho środkowe starszej damy, która spędziła większość życia w ruchu jednowymiarowym. Widok był nie do zniesienia, zatem miętową herbatkę – w dużych ilościach, ale taną, maszynowo syntetyzowaną – popijała w środkowym pokoju, bez okien. Dlatego zorientowała się, że nadjeżdża wagonik, po narastających drganiach przenoszących się na zawieszoną budowlę – znajomych i prawie równie uspokajających jak basowy pomruk termojądrowych tokamaków. Pośpieszyła, żeby przygotować lokum dla gości. „Lokum”, bronione ze wszystkich stron przez dwustumetrową przepaść kończącą się obsydianowymi ostrzami, było tożsame z „więzieniem”, ale goście to goście. Bąbel zakołysał się, gdy wagonik ostro się z nim zderzył. Jej gospodarze-porywacze włączyli się do pomieszczenia.

– Herbatki? – zaproponowała babcia Taal.

Goście pokręcili głowami. Za dobrze znali swoje fabrykaty.

– Jakież wieści o Sweetness?

Była to żałosna ekipa strachów na wróble, jednocześnie pewnych siebie i wystraszonych, jakby się bali, że któregoś dnia ktoś się zorientuje, co robili przez całe życie, i każe im natychmiast przestać i zająć się jakąś porządną pracą.

– Nic nowego, niestety – przepraszająco rzucił Weill, chłopak, który zdecydowanie musiał pochodzić z dobrej rodziny.

Ten wysoki, ciemny, co do którego babcia Taal była przekonana, że jest utajonym homoseksualistą, delikatnie załamał ręce, po czym zapytał:

– Pani wnuczka, kiedy mówiła do pani w tym śnie, to jak ją pani widziała?

– Stała na kamiennym placu, bardzo brzydkim. Wokół były wysokie budynki. A że to był sen, przekonuje mnie jedno: stała w promieniu różowego światła, ale on dobiegał z czegoś w rodzaju wozu kempingowego.

Bładnoch, z łagodnie pochyloną głową, przytknął palec do ust, zamknął oczy i pokiwał głową.

– Widzi pani, a mnie to właśnie przekonuje, że to nie sen – powiedział.
– Myślałem, że dawno zniknęli, ale ewidentnie nie.

– Kto zniknął? – zapytał Weill.

Lecz Seskinore także kiwał głową.

– Ooo, w moich młodych latach, to... całe miasto się na nich schodziło! Rzucaliśmy serpentyny i karteczki z modlitwami, biegliśmy obok wozu... oczywiście wtedy był ciągnięty przez zwierzęta... co to była za frajda!

Mishcondereya zasznurowała usta w złości. Babcia Taal jeszcze nie była przekonana czy ta dziewczyna pełni w zespole jeszcze jakąś rolę. Gówniarze, żonglerzy, komicy. Zważywszy wszystko, Mishcondereya nie różniła się od reszty. Stara krew w odmłodzonych żyłach wydała okrzyk liczący tyle lat, co wszelka ludzka twórczość: „Ja też tak potrafię! Albo nawet lepiej!”. Dlaczego tylko te nicponie mają się bawić tymi zabawkami? Co to był za casting, który przeszli, by zostać zbawcami świata? Babcia Taal zapragnęła odegrać rolę większą niż tylko doradcą. Maria Stuard może i zmierzyła się z gangiem Starke'a i ich igłowcami o kolbach z ludzkiej kości, ale Taal Maszynistka w czterdziestym drugim roku życia mierzyła się z samym Anty-Bogiem, niszczycielem światów, Wielką Pustką; jej czyny przez lata będą opiewane wszędzie, gdzie sięgają stalowe szyny.

– Jestem starą kobietą i bardzo zdezorientowaną – rzuciła po babcinemu. – O co właściwie mnie pytasz?

– Pytam, czy nie wydaje się pani... że to... przesłanie... mogło pochodzić z oneiroskopu? – zapytał Bładnoch. Choć nie przetrwałby dziesięciu minut w pociągu, wydawał się jedynym, który miał więcej rozumu niż ptasi mózdzek kury. – Projektora snów? Nie wiem... Czy zetknęła się pani z takimi urządzeniami?

– Młody człowieku... – odezwała się babcia Taal, rozpościerając swą pogrzebową czerń jak paw ogon – ...za moich młodych czasów my ciągnęliśmy wagony samego Jonathona Darke'a, tego od Onirycznego Cyrku i Wielkiego Mgławicowego Show. Oni wyczarowywali melodramaty z całych frontów burzowych.

– Tak, dokładnie – powiedział Bładnoch, składając dłonie w piramidkę i lekko postukując palcami, żeby okazać delikatne zniecierpliwienie tymi fantazjami. – Na pewno to było bardzo spektakularne, ale w tym... przekazie... mogłaby mi pani dokładnie opisać, co widziała? Geografię, krainę, pustynię, miasto, miasteczko?

Babcia Taal zrobiła to, popijając całkiem przyzwoitą miętową herbatkę. Bładnoch zaczął sprawdzać w swoim rozkładanym *vademecum*, a kiedy przeszukiwał bazy samorządowe i rzucał na ekran paskudne rynki tysiąca zapyłonych i zabitych dechami miasteczek, ona przypatrywała się swoim gospodarzom i po raz kolejny zastanawiała się nad mądrością Mądrości, która powierzyła bezpieczeństwo świata trzeciorzędnym komediantom. Każdy zawód ma swój zestaw lęków: żołnierz – tchórzostwo, od którego robi się w gacie; aktor – paraliżującą treść; kolejowi – nieprzewidziane opóźnienia, zerwane kontrakty, bankructwo. A komik, jak słyszała, boi się dźwięku własnych stóp wracających do garderoby. Co, jeśli wyjdą, odegrają swój numer i nikt się nie zaśmieje? Tym razem, jeśli spotka ich taka śmierć, publiczność umrze razem z nimi.

Zjednoczeni Artyści skupili się wokół małego ekraniku Bładnocha. Oświetlał jego twarz widmowym błękitem. Brwi mu podskoczyły – jest.

– Kawał Drogi. Tak się nazywa – obwieścił, zatraskując z powrotem sprytną maszynkę.

– To jedziemy po nich – postanowiła Skerry i Zjednoczenie Artystów zabrało się do działania.

– Przepraszam – zaryzykowała babcia Taal, gdy tajni agenci zaczęli się krzątać wokół niej. – Przepraszam. – Wszyscy wprowadzali jakieś kody na małych panelach. – Posłuchajcie mnie, proszę. – Mishcondereya i Weill kłócili się nad jaskrawopomarańczowymi plecakami. – Ej, posłuchacie mnie?

Energicznie postukała laską w podłogę i nagle uwaga wszystkich skupiła się na drobnej staruszce w czerni.

– Chcę pojechać z wami.

Zanim zdążyli ją zakrzyczeć, dodała:

– Po pierwsze, dlatego, że widziałam to miejsce lepiej niż ktokolwiek z was i wiem, za czym się rozglądać. Po drugie, dlatego, że moja wnuczka może nadal tam być, a jeśli nie, kiniarz będzie być może wiedział, co się z nią stało. Po trzecie, bo coś mi się też od życia należy.

I tak oto krąg mglistego lasu na dolnych stokach Regionu Tassaday uchylił się i wyśliznął się spod niego mały wyścigowy sterowiec w kształcie sardynki. Rozłożył wentylatory w osłonach i błyskawicznie poszukał ukrycia w warstwie chmur przesłaniającej dla przyzwoitości biodra Chińskiej Góry. Na pokładzie była Mishcondereya (pilotka), Skerry (dziewczyna od akcji) i babcia Taal Asiim Maszynistka (wiekowa białogłowa). Bładnoch, Weill i Seskinore pozostali w Jaskini Komedii, by szlifować Koniec Świata.

Mały sterowczyk był smukły, zwinny i szybki, babcia Taal czuła jednak, że napięcie między dwiema Zjednoczonymi Artystkami rośnie z każdym pokonywanym kilometrem. Seskinore załatwiał coś ze związkami zawodowymi w stoczni remontowej, to może kupi im dzień lub dwa, ale nawet zakładając, że mają oniryczny projektor i kupę fantastycznych scenariuszy dla niego, babcia Taal widziała, że cały plan zepnie się być może w ostatniej chwili. O ile w ogóle. Już nie mówiąc o tym, że jest sam z siebie nieźle, bosko po prostu absurdalny. Zorganizować udawaną apokalipsę. Kto według nich może się na coś takiego nabrać? Jedyne ktoś, kto naprawdę spodziewa się Jeźdźca na Wielogłowej Bestii, Niebiańskiego Cyrku, Siedmiu Tręb grających pięknego rock and rolla, Konklawe Amszastrii, Amfor z Miodem i Amfor z Żółcią, Wyniesienia Świętej Katarzyny ponad Jedenaście Chórów, Objawienia Tajemnych Imion i Gwoździ, wreszcie samego Boga Panarchy grającego w oczko z dwudziestoma siedmioma niebami. Potrzebny był pełen serwis.

To było sporo nawet dla człowieka, który rzucił wyzwanie aniołom, lecz jeszcze więcej dla pięciorga estradowych komików i rozklekotanego chmurowego projektora.

– A jeśli tego dnia nie będzie żadnych chmur? – zapytała babcia Taal, czując teraz małego robaczka ekscytacji, rosnącego gdzieś w środku, w miarę jak zbliżała się do miejsca akcji. Akcja! Po czterdziestu dwóch latach...

– Chmury są zapewnione – rzuciła ponuro Skerry.

Burza piaskowa, z którą walczyli w drodze do Chińskiej Góry, stanowiła ostrzeżenie, by nie wierzyć pogodowymmacherom. Że mogą już nie słuchać swej mocodawczyni, a może słuchają kogoś innego. Dlatego jednym okiem zerknęła na orbitalne monitory, doskonale wiedząc, że jeden podejrzany ruch tam na górze i wszyscy zamieniają się w chmurkę gorących jonów. Mały, szybki sterowczyk pędził dalej.

A Bładnoch pod Chińską Górą próbował zebrać resztę trupy do pracy nad scenariuszem. O ile Weill i Seskinore nie wdawali się w werbalne przepychanki, jak zwykł czynić mały anarchista z Mishcondereją (którą Bładnoch miał za nieprzydatną i pewnie nawet marną w łóżku), o tyle spychali się nawzajem na swe dobrze okopane pozycje – ulicznego cwaniaka-buntownika i zblazowanego, wypalonego komediowo pana Pozwólcie-Że-Państwa-Zabawię. Sam Bładnoch doskonale zdawał sobie sprawę, że jego irytacja na współpracowników była przewidziana i planowa, jako element inżynierii społecznej Synodu. Wrogów trzymaj blisko, agentów jeszcze bliżej i niech się ciągle żrą. Udało mu się

namówić ich na krótką burzę mózgów, dzięki której pojawiło się parę dobrych pomysłów na anielskie chóry – Big-Band, śpiewaków *schrannelmusik* z deuteronomicznego wesela, denerwujących mariachich, Windową Orkiestrę Dudziarzy – wszystko to przesłał ekipie projektantów. W głębi duszy jednak wiedział, że to on to wszystko ciągnie. Zawsze ciągnął. I zawsze będzie ciągnął. To nie było zarozumiałstwo. To była komediancka prawda. Zresztą on jeden nie miał wyjścia – musiał dać się zrekrutować do Zjednoczenia Artystów, bo gdyby sprawa wróciła do policji, dalej gniłby w Kantonalnym Zakładzie Karnym Wistanley. Ci Argyryjczycy to słynęli z niedorozwiniętego poczucia humoru. Gdyby tamtej nocy w Corncrake Club byli tylko miejscowi, wywinąłby się z tego. Jednakże Grantham Gornan pochodził z Chryse i ten ostry jak brzytwa jednolinijkowiec naprawdę do niego trafił. Trafił go. Jeszcze jak. Zaczął się śmiać i śmiał się, śmiał i śmiał, aż żyły wystąpiły mu na czoło, mięśnie na szyi napięły się jak liny mostu, oczy zmętniały jak nieudane jajka w koszulkach, a twarz poczerniała od dławiącego śmiechu. Śmiał się, aż spadł z krzesła na podłogę klubu, martwy jak kamień. Bładnoch zabił człowieka jednym żartem. Tej nocy, gdy uciekł ze sceny przy akompaniamencie pisku ładującego się defibrylatora, umarło coś jeszcze. W oświetlonej świetlówkami garderobie umarł komik komików. Tak, to było śmieszne, ale tak śmiesznym można być tylko raz, skoro każdy, kto cię usłyszy, umiera. A co za sens przestawać na słabszym dowcipie? Zastanawiał się nad samobójstwem. Zastanawiał się nad ascezą. Rozważał hermetyzm, rozważał picie, przystąpienie do biczowników. Odnalazł telewizyjny sport. Nawet teraz, wiedział swym wewnętrznym zmysłem, że przegapia właśnie play-offy ligi *kabadi* Ćwiartki Północno-Zachodniej – i że to złe, to lenistwo, ba, grzech, bo przecież zatrudniono go, żeby zbawiał świat, a nie leżał i oglądał wyścigi ciągników albo deski wiatrowe w stylu wolnym. Tak jak Skerry pochodził z rodziny z masą poszufladkowanego poczucia winy. Jak wszyscy komicy. Przynajmniej ci śmieszni.

– No dobrze, dobrze, to teraz... – powiedział, odwracając się od panoramy swej zrujnowanej kariery i klaszcząc zachęcająco. – Proszę bardzo, to w co ubrany będzie Pan Bóg?

W innym miejscu radar pogody Mishconderei naszkicował chmurę braku snów napierającą mrocznie na miasteczko Kawał Drogi jak spodek najeźdźców z kosmosu.

– I ona tam tak tkwi – powiedziała, wydymając usta w zdziwieniu. Był to dokładnie ten sam wyraz twarzy, którym witała każde nieprzewidziane

zdarzenie. – Przy takim wietrze nie powinna się utrzymać nawet przez dwie minuty, a ona wisi jak przyklejona.

Skerry nachyliła się nad radarem, zielona i zmarszczona w jego świetle. Po tych dwóch minutach chmura wpłynęła im w pole widzenia, jednocześnie dusząca i mrożąca. Na mostku sterowca-sardynki zapanował półmrok. Ulice, aleje i hale targowe kamiennego miasta w dole wyglądały jak turystyczna mapa piekła. Mishcondereya skręciła ciąg i skierowała statek na centralne *zócalo*. Półmrok rzucał cienie i zasiewał wątpliwości, ale wydawało się, że w dole na placu stoi wielki tłum.

– Co to jest? – zapytała Mishcondereya z wyraźnym niesmakiem.

– Ja wiem – odparła babcia Taal tonem tak lodowatym, że obie kobiety podniosły głowy znad przyrządów. – Widziałam to kiedyś, dawno temu, daleko, daleko na Południowym Borealis, w jakiejś wsi zabitej dechami – dwie ulice na krzyż i farma słoneczna, nazywali to „Zbawienie”, ale jedynym zbawieniem były tam wychodzące tory kolejowe. Pamiętam dobrze, zatrzymaliśmy się tylko dlatego, że zabrakło nam wody. A trzeba było zobaczyć ostrzeżenie, w tamtej chmurze i tamtej dziewczynie.

– Dziewczynie? – rzuciła Mishcondereya niezobowiązującym tonem kogoś, kto słucha tylko jednym uchem, bo sprawdza bloczek uwięzi w dolnej ładowni.

– Tak. Była przykuta łańcuchem do stalowego baru i miała tam pozostać, póki nie spisie i nie zabutelkuje w whisky dość snów przejeżdżających podróżnych, by wystarczyło choć na jeden łyk dla każdego z mieszkańców. Taką właśnie mieli przypadłość – nikomu się nic nie śniło, a bez snów nic długo nie pożyje. A ta dziewczyna śniła za dużo, marzyła, że wydostanie się z takiego miejsca jak to Zbawienie, i to właśnie było jej przekleństwo. Coś musiało przyjść i to wszystko jej odebrać – ta chmura. Stąd taka katastrofa.

– I co się z nią stało? – zapytała Skerry, krzyżując palce na obu dłoniach w kieszeniach króciutkich szortów, w starym ozyryjskim sposobie przeciwko wrogim aurom.

– Nie wiadomo, może nadal tam jest, ale sądząc po tym tutaj, pewnie nie.

Skerry wyobrażała sobie, że czuje złowrogie ciepło chmury nawet przez złote atermiczne szyby wyścigowego sterowca. Mishcondereya patrzyła na nią z jednej strony. Stara kolejara z drugiej. Potrzebna była decyzja, choćby błędna.

– Lecimy tam – rozkazała.

* * *

W krótkim czasie po odejściu tej męczącej Sweetness Maszynistki, chmurowy kiniarz nazywający się Sanyap Bedassie, ostatni mistrz swego tajemniczego fachu, odkrył pociechę w rezygnacji. Nie potrzeba ci ambicji, nie trzeba ryzykować bólu, porażki i rozczarowania. Jest jedzenie, jest woda, jest codzienny cel i codzienny podziw. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Zawsze będziemy cię doceniać. Twój świat może jest mały, ale czyj nie jest, a do tego nie ma ostrych krawędzi? Może i twoje życie jest ograniczone jak u pustelnika, ale któż nie rozważał kiedyś takiego kontemplacyjnego zamknięcia? I nie ma w sobie goryczy. Osiem razy dziennie o pełnej godzinie potwierdzał się jego cel. Zmieniał ludzi, odrobinę za każdym razem.

W przytomniejsze dni zastanawiał się, czy ta rezygnacja nie jest pierwszym objawem zarazy. Od zawsze zakładał, że, wzięwszy pod uwagę jego zawód, jest na nią odporny. Może po prostu ulegnie jej jako ostatni. A może już uległ i tylko śni mu się, że śni. No to niech tak będzie. Skoro w takim świecie musi żyć, w takim będzie żył.

Zadźwiczwał żelazny dzwon. Wierni podeszli bliżej. Szurali stopami po zapiaszczonych kamieniach. Ponownie naładował kondensatory, rozłożył urządzenia na dachu poobijanego kampera, wycelował w podbrzusze chmury. Zebrani westchnęli jak zawsze, ciągle zaskakiwani nagłym dźwiękiem chmury w krocze różową laserową lancą. I ponownie ciemność rozstała się jak dzielące się komórki zarodka, a z substancji chmury zrodziły się twarze Sanki Déhau i Ashkandra Beshrapa. Tylko po to, by zaraz eksplodować w parę i pył, gdy z serca chmury wyłonił się śmiały sterowiec. Tłum jęknął, zamarł z zadartymi głowami, niepewny, czy to także część fabuły. Mały, śmigły sterowiec wyszedł z lotu nurkowego centymetry nad blankami Wielkiej Hali. Punktowe reflektory skupiły się na Bedassiem i jego małym wozie, zatapiając różowy promień snów w jaskrawej bieli. Oślonił oczy ręką, wydało mu się, że brzuch rybiokształtnego pojazdu otwiera się i wysuwa się z niego stalowy chwytak. Nie, to nie wyobraźnia – metalowe palce zacisnęły się na kamperze i potrzęsnęły nim na boki jak terier upolowanym szczurem, zwierając się solidnie pod podwoziem. Szarpnięcie – kamper uniósł się na metr w powietrze. Ludzie Kawału Drogi zachwiali się, zaburczeli i rzucili się krok naprzód. Sanyap Bedassie patrzył, jak sterowiec wciąga

jego kamper do brzucha. Tłum znów zaszemrał, zrobił krok naprzód, drugi. Niespodziewana rzeczywistość przebijała się przez ich otępienie. Ktoś właśnie zabierał im ostatni ze snów. Dotarło to do Sanyapa Bedassiego na moment przed tym, jak tłum puścił się ociężałym biegiem.

– Czekaście na mnie! – wrzasnął.

Pobiegł, złapał koniec urwanego łańcucha i uniósł się do nieba dokładnie w momencie, gdy najwyżej sięgające palce muskały już jego stopę. Ostatnią rzeczą, którą zobaczył z Kawału Drogi, był krąg trzech tysięcy zadartych ku górze twarzy przepętnionych niewyobrażalnym smutkiem, potem sterowiec wzniósł się, skręcił, zamknął klapy przed nimi i ich nieszczęściem i odleciał.

Tysiąc pięter. Po pięć metrów na piętro. Pięć tysięcy metrów. Przyśpieszenie grawitacyjne – trzy metry na sekundę kwadrat. Prędkość graniczna w przyjemnym, gęstym powietrzu pod szklanym dachem Doliny Marinerów – dwadzieścia dwa metry na sekundę. Albo osiemdziesiąt kilometrów na godzinę. Czas, w którym Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII osiąga wysokość zero – czterysta sekund. Albo sześć i dwie trzecie minuty. Sporo da się nawrzeszczyć w tym czasie.

Jednakże pierwsze „uuu” jeszcze nie do końca uleciało jej z ust, gdy czyjaś dłoń chwyciła ją za kołnierz kolejowej kurtki. Uuuuufff. Świat poczerwieniał jej przed oczyma i nagle, szybciej, niż była to w stanie przeanalizować, przestała spadać. Coś ciemnego wyskoczyło spod rozpórek podpierających tarasy Demesne’a Urchinga-Sembely’ego, na linie, na skrzydłach, na drucie, na lunaparkowej rakiemie. Wszystko jedno. Wiadomo tylko, że ją trzyma i że już nie spada. Przypadek, Zbieg Okoliczności, Szczęśliwy Traf uratowały Bojową i Zaradną (Ale Przy Tym Śliczną) Heroinę. Spojrzała w dół. Ciemne nitki wiły się po sztruksowych tarasach kantonu Semb; klany zbieraczy przy żniwach. Sweetness zaśmiała się, widząc ich zajętych pracą, niepodejrzewających, że ktoś wisi na garści niedrącego się nylonu pięć kilometrów nad ich zgiętymi grzbietami. Poruszyła palcami stóp, zachwycona, że wszechświat dał jej przeżyć.

– Może już skończ – usłyszała napięty z wysiłku głos. – Bo nie wiem, co pierwsze puści, moja ręka czy zamek w kurtce.

Dopiero wtedy przyszło jej do głowy popatrzeć w górę zamiast w dół. I zdumiała się.

– Przysługa za przysługę – powiedziała brązowooka, zawadiacko-czupryniasta, podejrzanie śliczna twarz, którą Sweetness Asiim Maszynistka ostatni raz widziała patrzącą z dołu, wiszącą na niepewnym uchwycie na burcie wagonu numer jedenaście. – Jak to jest, że za każdym razem, kiedy cię spotkam, potem boli mnie ręka?

Faraon, dawny szczur kolejowy, wisiał jak Anagnosta z *Guthru Grama* w sznurowej uprzęży. Lewą dłońią stabilizował linę przymocowaną dziesięć metrów wyżej do filaru, prawą trzymał ją za materiał wiernej kolejowej kurtki. Sweetness widziała napięcie w jego wątłych mięśniach, widziała, że bledną mu szczupłe palce.

– Jak już przestaniesz się gapić, to może złapiesz się tego i się podciągniesz, co? – Rzucił jej zwój liny z dwiema pętlami na nogi na końcu.

Sweetness, wciąż mając skrępowane ręce, wierzgnęła i wsadziła stopy w pętle. Faraon owinał ją dwiema kolejnymi pętlami i powoli podciągnął na swoją wysokość.

– Nie ruszaj się – rzucił, wyciągając nóż. Sweetness wzdrygnęła się. Powtórzył polecenie. – Żeby nie przeciął, czego nie trzeba.

Ostrze miał dobre, jedno machnięcie i żółta szybkozłaczka poleciała na bujnie zazielenione tarasy w dole. Sweetness patrzyła ponuro, bo zwisająca konstrukcja zaczęła robić powolny piruet, jak wahadło Foucaulta obciążone dwoma życiami.

– Teraz łap się mocno, muszę nas trochę rozbujać – ostrzegł Faraon i przesunął swój ciężar.

Sweetness ścisnęła jego nogi swoimi, wbiła pięści w znoszoną brązową skórzaną kurtkę i walczyła z dojmującym smrodem ciała i chorobą lokomocyjną, wzbierającą w miarę rozpędzania się wahadła poprzez zastanawianie się, czego właściwie oczekiwała, a potem zachwycanie się tym eleganckim i niespodziewanym zwrotem akcji. Wiatr świstał jej w uszach. A może – obronny pedantyzm kogoś wiszącego nieprawdopodobnie na linie nad pięciokilometrową przepaścią – to jej uszy świstały na wietrze?

Niedługo, bardzo niedługo, pomyślała, zaczniesz się trząść.

– Powinam ci podziękować, bo chyba w sumie uratowałeś mi życie – szepnęła do Małego Faraona, gdy huścili się coraz większymi łukami.

Wydawało się, że celuje w grupkę kominów wentylacyjnych i rur wymiany gazowej, porastających jak pasożytnicza pleśń grzybkowaty wachlarz tarasów.

– No to jesteśmy kwita – powiedział, gdy śmigali w kierunku zapraszającej do nadziania się geometrii urzędzeń technicznych Demesne'a.

Sięgnął, chwycił... utrzymał. Wciągnął na belkę siebie, potem Sweetness. Pociągnął dwa razy za linę i zatrask z inteligentnego plastiku puścił. Lina opadła. Faraon starannie ją zwinął. Sweetness przywarła do belki. Nagle poczuła ogromne, ogromne zimno.

Nadeszły dreszcze. A zaraz po nich nadeszła czerń.

* * *

Po incydencie z siostrami Kaspidi, który kosztował go jego licencję Wędrownego Pracownika Rozrywkowego (a dla Starej Daty Pracownika Sektora Rozrywkowego to jak gwóźdź do trumny) oraz ostrzeżenie, by w tym ani innym życiu jego stopa nie postąpiła za granicę Christadelfii, Seskinore wiedział, że zasłużył sobie na wieczne wygnanie w mroczne i pozbawione humoru krainy, będące losem Starych Komików Co Kleją Się do Jeszcze-nieletnich Dziewczyn. Było więc słuszne i zbawienne, że już nigdy nie usłyszy kapeli nabijającej „raz, dwa, trzy i...” przed *East St Louis Boogaloo*; że nigdy nie będzie kroczył po deskach ku punktowej plamie światła, gdy aplauz brzmi najpiękniej. Podarto jego książki z żartami. Oberwano płatki goździkowi w klapie. Nawet kiedy władze dały mu jedyną robotę dostępną dla starego komika, poza cichym szuraniem butami w Wielkiej Hali dworca Belladonna, z czapką w dłoni, reputacja go wyprzedzała. Mierzył się z tym z godnością – zawsze godność, ona jest najważniejsza – ale czasami ubolewał, że ci młodzi nicponie nie okazują trochę więcej szacunku jego profesjonalizmowi. Prawda, zgrzeszył, i to potężnie, ale to był *profesjonalny* grzech. I cóż to za moralne wyżyny, z których na niego patrzą, ten wypalony przemądrzały stand- uper; ta artystowska *wrażliwka*, co nie poznałaby śmiesznego tekstu, nawet gdyby jej go wetknąć po same jajniki; ta lesba, co żongluje ogniem, stojąc na rękach; ten tchórzliwy anarchista? Amatorzy. Wzgardziliby nimi nawet Najzacniejszy Dimmy i Pan Wspaniały; może byli artystami kategorii Ż, ale chociaż byli profesjonalni. Rozumieli, co to *timing*. Rozumieli doświadczenie, doceniali wiedzę, która działa na daną widownię, jaką zyskuje się, tylko umierając na scenie przez sto, tysiąc nocy. Rozumieli praktykę, praktykę, praktykę. Godność rozumieli. Zawsze godność. Może i jest upadły, ale profesjonalny pozostał do ostatniej chwili. Mógł nawet przyznać, że nigdy nie był śmieszny, ale był nieśmieszny *profesjonalnie*.

– Dosyć, dosyć! – wykrzyknął w sam raz odpowiednim tonem teatralnego zniecierpliwienia.

Bladnoch i Mishcondereya zerknęli na niego spłoszeni znad panelu sterowania maszyny snów. Skerry zmarszczyła czoło, do góry nogami na srebrnym trapezie. Weill po prostu się najeżył.

– Nie, nie, nie, nie! – Klasnął w dłonie. – Wielki Destaine nigdy by się na to nie zgodził, w życiu! Wyłączać to, już, natychmiast. Już.

Bladnoch i Mishcondereya popatrzyli po sobie, po czym Mishcondereya wydeła usta i pstryknęła wyłącznikiem. Chóry i Zastępy, Jeździec na Wielogłowej Bestii (a każda głowa – prominentnego polityka, dzięki satyrycznemu zacięciu Weilla); Cyrk Niebieski z linoskoczkami balansującymi na superstrunach, żonglerami podrzucającymi kaskadowo planety Układu Słonecznego, powarkującymi Tygrysami Gniewu na łańcuchach i ze skaczącymi wysoko Tresowanymi Końmi¹⁰, z Klaunami Chaosu o białych twarzach, w kryzach, z opadającym raptownie Bożym Młotem i siekącym Bożym Sierpem – wszystko w jednej chwili roztopiło się w sztucznych chmurach, zmieniających Jaskinię Komedii w łaźnię parową.

– Co jest? – zapytała Skerry, prostując się i ześlizgując z trapezu na platformę.

Seskinore na wpeł odwrócił wzrok od strefy pośladkowej jej trykotu, rozdzielonej wąskim paskiem.

– *Timing* jest do bani. Pomiędzy Wielką Paradą Niebiańskich i Pańskich a Otwarcie Rogu Wszelkiej Obfitości jesteś wyeksponowana przez dwadzieścia, dwadzieścia pięć sekund. A ta koordynacja, na boskie kości, kobieto! – To do Mishconderei: – Te paskudztwa przechodzą jedno przez drugie! To mają być, do cholery, Dni Ostatnie słusznego gniewu, a nie parada wiejskich strachów!

– Wszystko tu jest na szybko – błagalnie rzuciła Mishcondereya.

– Zawsze wszystko jest na szybko – odparł Seskinore. – Próbujemy jeszcze raz. Od początku. I tym razem staramy się pamiętać, że los świata zależy od tego, czy działamy profesjonalnie, czy jak jakaś nedorobiona trupa z pierwszego roku szkoły teatralnej. Na pierwsze pozycje! Projektor gotowy?

Mishcondereya znów zrobiła ryjek i wyzerowała bufory.

– Gotowy – burknęła ponuro.

– No dobrze, to chłopaki i dziewczyna, od początku i tym razem niech to, do cholery, wyjdzie, jak trzeba, jasne? Ja nie mogę, co za amatorzy!

Chmury zawirowwały, odnalazły w tropikalnym upale ruchome, zmienne formy. Skerry wytarła się do sucha i z powrotem podreptała na stanowisko na srebrnym trapezie. Gdy linki ją uniosły, w tle rozkwitła apokalipsa. Seskinore patrzył, jak drobna kobietka zajmuje pozycję, i przypomniał sobie, co w jej jędrnym małym tyłeczku wzbudza w nim taką reakcję. Nic fizjologicznego, w tych smutnych czasach niewiele kobiet, albo i dżentelmenów, było w stanie podnieść piracką flagę na maszcie. Nie jej osobowość, płytka przecież i głęboko zakorzeniona we własnej fizyczności. Chodziło o to, że może im rozkazywać, tupać, fukać, kazać robić duble, duble, duble, aż padną, ale jednak na koniec to ona będzie tam na tym trapezie, a on będzie tu gryzł palce przed monitorami. Ona, wszyscy oni. On nigdy. Taka jest cena występków z Siostrami Kaspidi. Ale kiedyś, jeśli bogowie kulis pozwolą... Kiedy będzie lepszy moment, żeby wziąć laseczkę, kapelusz na bakier, wymalować różem kręgi na białych jak śmierć policzkach i wkroczyć śmiało w krąg światła, z kapelą zaczynającą za plecami twoją melodię, niż wtedy, kiedy kończy się świat?

* * *

Mishcondereya zawsze rozumiała: problem z talentem jest taki, że jest ślepy na prawdziwy geniusz. Nie wątpiła, że jej koledzy artyści są naprawdę sprawni w swych specjalnościach – w przypadku Bładnocha była to prawdziwa zdolność – ale jednocześnie tak pełni podziwu dla swoich talentów, że nie zwracają uwagi na jedyny prawdziwy cud w swym zespole – Mishcondereyę Benninger Eksendraraną. Na jej uprzywilejowany los. Od zawsze skazana na rolę skromniejszego kwiatka wśród wcześniej rozkwitających czterech starszych sióstr – malarki, pisarki, harfistki i rzeźbiarki sensoramicznej. Artystka estradowa? Po prostu kolejny geniusz w rodzinie. Dzieci wychowywane w przestronnym, świetlistym *pueblo* Etwane Eksendrarany i Afrona Benningera (on – żyjący rzemieślniczy skarb, twórca zaparzaczy do rytualnej mięty, ona – wychwalana architektka Prospektu Churskiego w Iridii oraz przejrzystej kryształowej kopuły nad nowym Dworcem Głównym w Mądrości) nie mogły nie wyrosnąć na osobowości o światowym zasięgu, lecz nawet najbardziej troskliwym rodzicom troska słabnie po czwartym uzdolnionym dziecku. A piąte? Piąte rozkwita niezauważone, jak kwiat marnotrawiący aromat na pustynne powietrze. Jak niedostrzeżona róża, przeoczony pączek. Mishcondereya często myślała o sobie (a często myślała

o sobie) jako o kwiecie, rosnącym dziko, jako o niczym dziecku. Niedocenianym przez kolegów tak samo, jak przez siostry. Jednakże to ta niedostrzeżona róża jest najpiękniejsza, to kamień na wpół zakopany w wydmie, o który uderzasz palcem stopy i ledwie zaszczycasz go spojrzeniem, okazuje się samorodnym diamentem.

Mishcondereya była fundamentalnie przekonana co do czterech kwestii.

Że jest absolutnie genialna.

Że jest boginią seksu.

Że wszyscy chcą albo być tacy jak ona, albo beznadziejnie się w niej kochają.

Że tym samym wszyscy jej zazdroszczą.

Polietylenowa winda wywiozła ją na górę z badawczo-rozwojowego lochu, przez warstwy świętej bitwy. Krzywiła się drwiąco na widok świetlistych duchów. Nie porywały jej śmigające i trąbiące anielskie armie. Zarozumiałstwo zawsze było jej najpotężniejszą bronią.

Jak oni sobie w ogóle wyobrażali, że Burzyciel Harx nabierze się na coś takiego? Typ, który zakłada własny Kościół, musi się świetnie orientować we wszystkich fałszach. Jaja mu odpadną ze śmiechu, o ile tylko jeszcze mu nie odpadły podczas jakiegoś świętego rytuału umartwiającego w ramach kary za grzechy. A może chodziło o jakiś inny strój, wysyłany pocztą na zamówienie? Zbieranie i sprawdzanie informacji nigdy nie było mocną stroną Mishconderei.

Nie pierwszy raz pomyślała, czyby nie rzucić papierami. *Proszę, ja się zwalniam, wręczam wypowiedzenie, idę w szeroki świat, zróbcie mi to wasze kasowanie pamięci, żadna strata to nie będzie, i tak wolałabym tego ze sobą nie nosić. Zaskakujący fakt! Bezpieczeństwo planety na głowie bandy klaunów!*

Nie. Nie tym razem. Jeszcze da się z tego wyciągnąć pewną przyjemność, gdy po raz kolejny uratujesz wszystkim ich zbiorową dupę.

Urządzenie jeszcze się nie nagrzało po wyciągnięciu z komory asemblera. Zimne, aż pali. Seskinore – Gruby Pierdziel, jak go prywatnie nazywała – będzie tam bełkotał, rzucał półsłówkami i pierdział jak stara hrabina z wycieczkowca, i oczywiście to wszystko klapnie, obwiśnie, jak tyłek podstarzałej wdowy z Belladonny, a oni, jako *akt-orzy* (zawsze świadomie rozdzielała te sylaby) myślą, że jeśli wejrzą sobie wystarczająco głęboko w duszę w ramach Komedii Szczeroci albo staną w kręgu i przewarsztatują to wszystko, jakby usuwali z potem wyjątkowo paskudnego wódczanego kaca, albo po prostu zacisną pięści,

rozprostują je i wycisną z siebie wystarczająco dużo Zgrania, to wszystko nagle pójdzie jak z płatka. Oczywiście, że nie pójdzie. W życiu, samo z siebie. Mówiła im to, zgłaszała oficjalne sprzeciwy, lecz oni uparcie napierali w złym kierunku, a zegar Armagedonu tykał. Nic dziwnego, że nie słuchali – nie była w końcu *akt-orką* i w związku z tym głównie rozumiała z procesu twórczego i bólów odtwarzania. Ich strata. Już nie miała o to pretensji. Nie można mieć pretensji do ignorantów. Więc Mishcondereya Benninger Eksendrarana zrobiła to, co zawsze – wymówiła się z zebrania grupy, gdzie ćwiczono pierwotne jodłowanie i wzięła się za własny pomysł, próbując go rozwinąć, żeby coś z niego było.

Mishcondereya Benninger Eksendrarana była dumna, że wyrzucono ją z jedynej innej grupy, do której ją przyjęto, żeńskiej drużyny *touch rugby* w St. Xavious's Community College – bo bardziej interesowała się reakcją widowni na jej superobcisłe i superbłyszczące szorty i skarpetki za kolano niż grą w obronie. Już wtedy nie wstydziła się przyznać, że nie chce grać zespołowo.

Trogle od nanofabrykacji były trochę śmierdzące, trochę lubieżne i nie wątpiła, że wszystkie, jak jeden mąż – i żona – chętnie zdjęłyby z niej ubranie, ale przynajmniej szanowały dobre pomysły. Struell Llewyn, król trogli, z szyją obwieszoną zbyt wieloma parami okularów (co, nie stać go na laserowanie oczu, czy jak?) zerknął na szkic, kiwnął głową, słysząc opis skutków, jakie chciała wywołać (dobrze, że nie oczekiwali, że będzie farmaceutką) i zwołał konklawe ekspertów od nano i farmy. Zero grupowego przytulania. Zero swobodnej improwizacji. Zero skojarzeniowych burz mózgow. Nic nie wymagało rzucania do siebie piłek, oddychania przeponą i przybierania pozycji z Dyscyplin Damantyńskich. Cicha rozmowa, trochę bazgrania na tabletach i po dwudziestu minutach król trogli zsunął okulary do czytania i obwieścił:

– Dla spawaczy to żaden problem.

– I kiedy to będę mieć?

Za czterdzieści minut.

I tak właśnie było, jak zawsze.

– Ale ostrożnie – ostrzegł ją król, kiedy Mishcondereya unosiła oszronione, trzepoczące urządzone do oczu. – Mechanizm wyzwalający jest delikatny.

Złożone globulki nanowęglowe stykały się z żelowymi kapsułami białkowymi. Przezrzyste skrzydełka wywoływały delikatny wietrzyk, zimny

od wspomnienia komory nanoassemblera, w której panowały 3 kelwiny. Spojrzała na przelewającą się zieleń w szklanym brzuszku.

– Ładne.

On, jak zawsze, tylko tak skłonił się krzywo, drwiąco, tylko tak potrafił odpowiedzieć na podziękowanie. Rzemieślnicza klasowa duma. Kiedy już sobie pójdzie, on zwoła trogla do stołówki i powie im, jak świetnie się sprawili. Nasz skromny wkład w Uratowanie Świata. Hura! Hura! Hura! Dobrzy ludzie, choć trochę ograniczeni. Mishcondereya w swych licznych chwilach znudzenia zastanawiała się czasem, czym wypełniają obfity wolny czas, o czym – i o kim – fantazują, kiedy wracają do swych przyzwoitych rzemieślniczych wioseczek.

Gdy plastikowa winda przepłynęła przez rybie łuski Ananuturanty Devy, Pana Zmienności, zignorowała ostrzeżenie Struella Llewyna i podrzuciła maleńkiego nano-żuczka, żeby złapać go na płaską dłoń. I w okamgnieniu, bez ostrzeżenia, zamieniła się w kamień. Ciemność i ciśnienie, absolutne, niepozostawiające miejsca nawet na krzyk. Płuca zeszywniały jak skała. Nagle wróciło powietrze, światło, ruch, a mały robaczek spłynął jej na dłoń, lecz wiedziała, że przez chwilę była martwa, pogrążona w kilometrach wulkanicznej skały pod Chińską Górą w alternatywnym świecie, w którym inne prawa wulkanologiczne nie pozwoliły powstać tej komorze. Chwiejnie podeszła do otwartej strony windy, omal nie upuszczając delikatnego owada. Opanowała się – godność, godność przede wszystkim. W tej kwestii akurat Stary Pierdziel miał rację. Lecz wszystkie atomy ciała pamiętały, że przed chwilą penetrował je zimny, twardy gnejs.

Patrzyli z niepokojem – i słusznie – kiedy szła ku nim przez salę prób. Strachy i istoty duchowe po raz kolejny rozpuszczały się w swej macierzystej chmurze, z minami, które można by uznać za niespokojne, gdyby były czymś bardziej materialnym od holograficzno-onirycznych projekcji.

– Czy ty? – Gruby Pierdziel.

– Oczywiście. Jak wszyscy.

– Musimy zacząć, już. – Laska w Trykocie.

I co na mnie tak patrzycie? Bo znowu to Mishcondereya Benninger Eksendrarana musi uratować wasze zgrabne tyłki.

– Dla spawaczy to nie był żaden problem – powiedziała Mishcondereya Benninger Eksendrarana i rzuciła małego fruwacza prosto w twarz Weillowi.

Syfiarz zatoczył się, zamachnął się ręką na bzyczące urządzone, a ono wypluło mu w oczy rozszerzającą się chmurkę zielonego gazu. W szoku wziął głęboki oddech. Oczy mu się zaszklily.

– Och – powiedział – Ooooooo. – Po jego wieśniackiej twarzy rozlał się szeroki uśmiech gównojada. Dotarło do niego, najpierw chemicznie, gdy halucynogeny zaskoczyły, a potem intelektualnie, do resztek jego inteligencji. – Znaczą... naprawdę ooooooo.

– No – rzuciła leniwie Mishcondereya Benninger Eksendrarana. – Po tym we wszystko uwierzy.

* * *

Szpilka do kapelusza złamała się z głośnym metalicznym brzęknięciem. Odłamany koniec potoczył się po peronie, pod poręczą, i spadł. Przeszył chmuro-hologram Lolarchy ROHEL-a krzyczącego pomiędzy stalaktytami i stalagmitami Jaskini Komedii, z zębatymi mieczami we wszystkich czterech rękach. Potem słychać było, jak odbił się od jakiegoś występu czy czegoś.

– Gówno dupa rzepa kalarepa – zaklęła babcia Taal.

Trzeba było od razu szukać wytrychu. Ale nie, jakże można sięgnąć po łatwe wyjście, zamiast przez dziesięć minut zastanawiać się, gdzie się to cholerstwo zostawiło. Dziesięć minut zmarnowane. A ten fafarafa tam nie będzie się w nieskończoność gapić na ten spektakl. Dobrze, jak w ogóle spojrzeć. Nawet oni byli tego świadomi. A kiedy chmurowy projektor się wyłączy, ona będzie świecić tu na peronie jak goła dupa.

Dobry Bóg, sprawiedliwy Bóg, na koniec życia powinien zwrócić ci cały czas, jaki poświęciłaś na szukanie zgubionych drobiazgów. Na przykład wytrychów. I wnuczek. Babcia Taal wsadziła rękę po łokieć do czarnej torebki i zaczęła grzebać w kieszonkowych wszechświatach.

Zmuszenie małego Bedassiego do czegoś nie było problemem. Polietylenowy bąbelek zawieszony na gołym stalagmicie może zatrzymać kogoś na tyle mało pomysłowego, że wybiera życie jako więźnię uwięzionej publiczności, zamiast szalonej, szalonej jazdy z szybkością i zwinnością Maszynistką, a już na pewno nie zatrzyma kolejowej babci. Chłopaczek był kulturalny, choć po swym długim uwięzieniu trochę pośmierdywał i babcia Taal od razu poznała, że spotkanie Sweetness wywarło na niego wielki wpływ. Podejrzewała, że jej wnuczka jest jedną z kobiet, które noszą tę klątwę, że fatalnie przyciągają pewien typ mężczyzn. Boże drogi, spraw, żeby to przyciąganie nie było

odwzajemnione. Kuchnia z nierdzewki to faktycznie powód, żeby się zabrać i uciec, ale żeby Sweetness robiła bara-bara z *czymś takim...* Babcia Taal wzdygnęła się na samą myśl.

Głęboko w wielowymiarowych fałdach torebki jej palce odnalazły małą kieszonkę poświęconą na pamiątki po Sweetness. Mleczny ząb. Zbrązowiała szmaciana laleczka. Zwinięty rysunek pociągu, z drzewem przy torach, żółtym słońcem nad głową oraz uśmiechniętymi mamą i tatą machającymi z kabiny maszynisty rękoma jak liście palmowe. Jedwabista pępowina, którą jej zostawiła, kiedy przestała być dzieckiem i stała się pełnoprawnym człowiekiem, Maszynistką. Zabrudzone majteczki z dnia, kiedy stała się kobietą, zakonserwowane w przycisku do papieru z żywicy.

Palce zatrzymały się na moment. Wspomnienia, które namacały, były sygnałem, aby się pośpieszyć. Zaraz, już niedługo, oni rozpętają ten Armagedon, a twoja wnuczka jest w samym jego środku. Część jej jaźni, która łapała pociągi na wujka Billa, żeby przejechać całą półkulę, lekkomyślnie stawiała lata życia na jedną kartę, zabierała się autostopem z big-bandem i knuła ze wspieranymi przez państwo kawalarzami, była podskórnie z tego dumna.

Trzy wymiary dalej znalazła swój wytrych.

Już cię widzę, Mario Stuard, jak tego próbujesz, pomyślała babcia Taal, szczerząc się w duszy, kiedy rozkładała szpikulce i zabierała się do pracy nad zapadką blokującą dwie połówki drzwi. Wytrycha potrzebuje się może raz w życiu, a może nigdy, ale kiedy to się zdarzy, jest naprawdę potrzebny. Na tej zasadzie opierała się cała kolekcja, którą przez dziesięciolecia zgromadziła w swej czarnoksięskiej torbie.

Próbując wyczuć delikatny mechanizm, babcia Taal rozmyślała, że ten dar Sweetness zapewne skazuje ją na życie ze złamanym sercem. Klątwę beznadziejnych mężczyzn. Ładnych, ale tchórzliwych. Kiedy przyszło co do czego, ten tutaj wybrał życie jako więzień uwięzionej widowni, zamiast uciec ze Sweetness w przygodę, dobrą czy złą. Nic dziwnego, że kolejowe życie tak przemawia do mężczyzn – pełna para, szybkość, lecz tylko w kierunku, na który pozwalają szyny. Bedassie pokazał jej trik na drzwi – komedianci zapomnieli chyba, że chmurowy kinarz musi być dość sprawny w elektronice, ale także starej pomarszczonej kobiecie odmówił współdziałania w ucieczce. Mostek, który wysunął się ze stalagmitu ku stacji kolejowej, był wąski, pozbawiony poręczy, niczym niepodparty, a przepaść pomiędzy wojującymi bożymi plemionami była przerażająca, babcia Taal zebrała się jednak na odwagę

i weszła na kołyszący się łuk. Ponownie podziękowała Bogom Szczęścia Czy Czegoś Tam, którzy pozwolili jej wygrać parę cennych lat od Cyrene'a Ankhatiela Ree. Gdyby miała swą poprzednią, kruchą postać, porywy jaskiniowego wiatru porwałyby ją, wydeły spódnice jak festynowy balon i rzuciły na zębate obsydianowe sztylety w dole. Obejrzała się – Bedassie trzymał się drzwi kapsuły.

– No, weź mnie za rękę.

– Zostawić to wszystko? – Wskazał brodą szalejące bóstwa buzujące po obu stronach cieniutkiego mostka.

– To wszystko duchy, chmury. To nic. Nic nie mogą ci zrobić.

– Ja tylko to mam.

– Młody człowieku, myślisz, że nas wypuszczą, wiedząc, ile wiemy? Najlepsze, na co możemy liczyć, to kasowanie pamięci. Najgorsze... Powiem tylko, że poczucie humoru części z nich wydaje mi się mocno podejrzanym. Chodź no. Już. I tak nie oddadzą ci twojego urzędnika.

Przez moment czuł pokusę, potem jednak pokręcił głową.

– Myślę, że się jakoś dogadam. Przydam im się.

– Młody człowieku, jeśli ci się wydaje, że jakaś władza będzie się z tobą dogadywać, a potem uszanuje to, jak się dogadała, to zasługujesz na najgorsze. Ostatnia szansa. Czas ucieka. Moja wnuczka jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Uśmiechnął się smutno i babcia Taal zaczęła podejrzewać, że i Sweetness widziała tę przyjacielsko zrezygnowaną minę.

– Przykro mi.

– Mi także.

Nawet przy piętnastu latach mniej przejście było niebezpieczne – rozłożyła ręce jak linoskoczek, oddech miała krótki i nerwowy, patrzyła przed siebie, tylko przed siebie, nigdy w dół, nigdy na boki, nigdy na bóstwa, które wydymały się jak balony, jak strachy w Kantonalnym Gabinetie Grozy w Sorrendo. Szeptala to jak mantrę – naprzód, naprzód, naprzód, nie patrz w dół, nie patrz w dół. Ukazał się koniec mostka. Sekcja dęta blaszana pomniejszych Cherafów opadła na nią, dmąc pięknym rock-and-rollem, przepłynęła nonszalancko przez babcię Taal, jakby jej tam nie było. Stara matrona wydała krótki pisk, zachwiała się. Zatrzepotała rękoma. Spojrzała w dół. Zębate wulkaniczne paszcze rozdziawiły się po nią. Zachwiała się, rzuciła się naprzód i chwiejnymi krokami dopadła końca mostka.

Babcia Taal usiadła, wyciągnęła prosto nogi i przez pełną minutę rozkoszowała się oddychaniem, zanim przypomniała sobie, żeby złożyć

most. Potem odwróciła się do zamka i dobyła z włosów wytrych, jak Rapari w pelerynie dobywa swej szpady.

Tam, gdzie Harx, tam będzie i Sweetness, to przynajmniej było oczywiste. Tyle tych pierdół o świętych i lustrach – nic z tego nie rozumiała, poza tym, że wszystko, co korzysta z mocy niebędących z krwi i kości, jest złe. Typowe dla jej wnuczki – nie doceniać zagrożenia, a przeceniać własną pomysłowość. Ucieczka to jedna sprawa, przygoda druga, ale Armagedon to już zupełnie inna historia. Koniec wygłupów. To wymagało pełnych zasobów *Katarzyny z Tharsis* i jej licznych plemion. Żeby tylko udało jej się teraz otworzyć ten zameczek, wyjść długim, pochyłym tunelem na powierzchnię i przekonać jakiegoś Maszynistę, żeby zapomniał o ostracyzmie i pozwolił jej ogłosić Czerwony Alarm...

Nieprawdopodobieństwo. Długa droga. No i co. Jest wytrzymała. Babcia Taal włożyła sprytny wytrych głębiej do zamka. Coś stawiało opór. Pchnąć, przekręcić. Poczowała, że metal ustępuje. Wyciągnęła narzędzie. Tak, jak się obawiała. Nieodwracalnie zgięte.

To nie był koniec, choć babcia Taal poczuła, że jej dusza i ciało oklapły, a wszystkie przegrane w karty lata powróciły w chwili całkowitego załamania. Półkoliste zapadki zadrwiły z jej pewności siebie i talentu. Pokonana za pierwszym razem. A delikatna zmiana ciśnienia na karku ostrzegła ją, że Show Końca Świata już jedzie. Przesiedziała dość na tych głupich próbach, by wiedzieć, że ma niecałą minutę, zanim chmury osiadą z powrotem w generatorach pary i zostanie tu, odsłonięta, jak wredny czarny pająk uczepony metalowych drzwi.

Pomocy, o święci i przodkowie! Święta Katarzyno, pomóż starej i bezradnej kobiecie, skoro ewidentnie istniejesz i masz w tym świecie jakąś władzę.

I przyszła. Pomoc Nieogarnialna Rozumem w Ciężkich Tarapatach. Nagle babcia Taal dokładnie wiedziała, co trzeba zrobić. W piętnastej fałdzie swej torby znalazła małą, zawiniętą w papier paczuszkę. Rozwinęła kostkę Czarnego Lessu z kantonu Etzvan, którą dostała w ramach pomocy od Child'a'Grace. Pachniała słodko, mocno i dymnie. Jej farmakologiczne przymioty były nieprzydatne. Chodziło o to, że w białych reflektorach Jaskini Komedii była intensywnie, wspaniale, niekwestionowanie brązowa. Babcia Taal szybko i przyzwoicie rozłożyła swe liczne spódnice, przysiadła i nasikała na blok pierwszorzędnego haszu. I tylko nieznacznie krzywiąc się z obrzydzenia, ugniotła siki z haszem na gęstą pastę. Zgiętym ostrzem wytrycha wcisnęła jej ile się dało do mechanizmu zamka. I nawet gdy uznała, że już dość, dalej ją tam

pakowała. To miało być trudne wyzwanie, nawet jak na Czarny Less z kantonu Etzvan. Wciskała go i wciskała, aż zaczął wyciekać z dziurki od klucza. Potem wybrała z zestawu wytrychów czyste ostrze, podwinęła rękaw i szybko wycięła na upiornie bladej skórze pod łokciem słowo OTWÓRZ.

Krzyknęła głośno z bólu. Patrolujące wielką grotę wiatry uniosły ten krzyk i zamieniły go w jeden z wielu gwizdów pomiędzy stalaktytami. Lata, te wygrane lata, ulatywały z niej. Moc magii je przepalała, skupiając ich nadzieję i energię na skomplikowanych, zazębiających się stalowych kształtach. Krew płynęła ze skaleczonej ręki i skapywała na marmurową posadzkę. Zacisnęła pięść, zagryzła zęby. W kościach płonął ogień. Trzęsa się od skurczów. Zamek drgnął. Kolejna konwulsja – przepalone dwa lata, pięć lat. Zamek się szarpnął. Popioły z przepalanych lat odkładały się w jej komórkach, robiła się stara, *stara*. Siedem lat. Dziesięć lat. Proszę, zostaw mi choć trochę! – błagała zamek. I zamek zadrgał po raz trzeci. Zadrgał, a potem, ze zgrzytem prutego metalu, rozpadł się. Kałuża brązowej mazi zlała się z kałużą krwi na marmurze. Drzwi do tunelu zaczęły się rozsuwać. Nie ma czasu do stracenia. Babcia Taal porwała torbę, zakasała spódnicę, prześliznęła się przez szczelinę i puściła pędem długim, czarnym tunelem.

* * *

Fiolet, myślał Burzyciel Harx, gdy akolici Kościoła Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny wysypywali się ze śluz latającej katedry na lśniąca porankiem płaszczyznę stoczni remontowej, nie należał do dobrych pomysłów. Nie chodziło o sam kolor, był odpowiednio kapłański i tani. Atrakcyjny – przy odpowiednim świetle. Chodziło o jednolitość. Nagle dostrzegł zło w tych szeregach i rzędach. Główki, rączki, grupki i grupy, wszystko ubrane w ten sam dziadowski kolor, wszystko takie same. Roboty, nie ludzie. Nie indywidualne osoby. Wszechobecne maszyny.

Po co do mnie przystaliście? Poczul nagłe pragnienie, by zawołać tak z balkonu z mosiężną balustradą, na którym odbierał saluty wiernych. Żeby aktem wolnej woli radośnie stać się trybikiem? Słowa już wzbierały mu w gardle, lecz nagle usłyszał w pustce czaszki, jak zabrzmiały, odbijające się echem od szklanego dachu, i przeraził się. Wątpliwości dwudziestoparolatka, człowieka w średnim wieku, co obudził się tego dnia z bólem stawów. Zasługują na coś lepszego od ciebie, kiedy tak ustawiają się, by cię chwalić za wolność, którą dałeś ich duszom.

Powiedz im, że biorą rozdawaną za darmo łaskę i że oburącz ją odrzucają – ci, co jeszcze potrafią myśleć, wytrzeszczą oczy, a ci, co nie potrafią, tylko jeszcze żarliwiej uwierzą.

Nie jest łatwo prowadzić religię. One lubią od ciebie uciec.

Plutonowi Prezbiterzy i Tymczasowi Trenerzy ustawili swe sekcje w czworoboki i szeregi kapłańskiej purpury. Twarze błyszczały w porannym świetle. Patrzyły na Harxa, oczekując błogosławieństwa. Uniósł dłoń i zawahał się, nagle zbrzydzonej tą ich potrzebą, nagle uświadamiający sobie wzrok stoczniowców Störtinga-Kobayashiego maszerujących z wielkich ekspresowych wind do chwytaków i żurawi, by rozpocząć pracę – i to, jak nie mogą patrzeć na cały tłum wiernych, jak uśmiechają się, jak ze smutkiem kręcą głowami.

Tak, właśnie tak, pomyślał Burzyciel Harx. A do zebranych wiernych powiedział: „Tak mało zrozumieliście? Dałem wam klucze do otwarcia cel waszych umysłów, sekrety, byście mogli zedrzeć maskę i pelerynę z nadludzkiej istoty skrytej za waszym przyziemnym człowieczeństwem, byście mogli pielęgnować swoją niezwykłość, z której mogło rozkwitnąć tysiąc kwiatów i wypączkować tysiąc szkół myślenia, a wy co? Ubraliście się wszyscy na fioletowo i dorobiliście pięknych ud przy napędzaniu pedałowej katedry”.

Piękne uda jednak, przyznał, to jest coś.

Ale żeby w walce z tyranią rzeczy mechanicznych samemu zmienić się w maszyny?

Dłoń powróciła na balustradę balkonu, nie chcąc błogosławić.

– Wielebny... – szepnęła Sianne Dandeever, pierwsza spośród wiernych i oddana über-towarzyszka, która, jak wiedział Burzyciel Harx ze swych wizyt w kapsułach napędowych, miała tyłek, dla którego zgrzeszyłby sam Panarcha, i która, gdyby tylko szepnęła słowo, z oddaniem by mu go nadstawiła. Z oddaniem, ale bez radości. – Oni czekają...

Staliście się więźniami potrzeb waszej wiary.

Uniósł dłoń. Plutonowi Prezbiterzy uśmiechnęli się z ulgą; a wśród nich także ten zbyt wygłodniały torowy chłopaczek, który ukradł dla niego tę paskudną kolejową kundlicę. Że też ta Haan, mając do wyboru tyle wcieleń i emanacji, musiała się splątać z kimś takim... Lecz niezbadane są wyroki multiwersum, a chłopak sprawił się świetnie – zasługiwał na większą nagrodę niż awans o dwa stopnie w służbie kościelnej. Harx patrzył, jak kiwa głową na Chorał Wikariuszy. Unieśli laski, opuścili je.

Szczęście, szczęście, szczęście
Szczęście, szczęście, szczęście
Szczęście, szczęście cały dzień
Wybawił nas Harx
Stworzył nas Harx
Szczęście, szczęście, szczęście cały dzień

– wyśpiewali chórzyci o zaróżowionych twarzach.

Bogu nudzi się czasem wysłuchiwanie pochwał? – myślał Harx, dziś wyjątkowo zażenowany zawiewającym ku niemu uwielbieniem. Nie obrażają go dziecinne pochlebstwa wciskane pod pretekstem oddawania czci? Żeby nie musieć słuchać, analizował uszkodzenia, które Kadmon i Eufrazy zadali jego latającej bazylice. Dla wiernych wyglądało to na rozmyślanie o wyższych sprawach. Jak na homoseksualnego artystę-anarchistę – późno i niechętnie zwerbowanego do tej wojny – jego brat był całkiem sprawnym powietrznym bombardierem. Jeszcze parę ładunków, trochę szybsze zwroty i mógł być poważnie wykoleić jego wielką strategię, albo i zmusić go do kapitulacji na ten sezon. Atak na niebo, wykonany dla odwrócenia uwagi, może i przyniósł mu zyski terytorialne na niższych orbitach, może i zmiotł jedną trzecią walczących z nim anielskich sił, ale maszyny postępowały subtelnie, a po upokorzeniu na święcie w Molesworth nie miał już wątpliwości, że mobilizuje się przeciwko niemu także różne inne energie.

Jeszcze nie skończyli?

Radość, radość, radość cały dzień.

Czy ktokolwiek z nich, a jeśli tak, to ilu, domyśla się skali krucjaty, w której będą duchową piechotą? Kilku na tej paradzie, kilku na całym świecie, w tym wszechświecie. Ale maszyny – wszystkie. Wiedzą aż za dobrze, że ta mała czerwona kulka jest ich ostatnim szańcem, a pewien artysta od instalacji, przekwalifikowany na religijnego przekręciarza, ma być ich nemezis.

Dziwna ta droga i jakby nieunikniona – od sztuki do dżihadu.

Dziwne te rzeczy, które znajdujesz w lustrach.

Rany, oni dalej to ciągną. Nie zmęczą się tym śpiewaniem? Ja tu próbuję uczynić wszechświat dobrym do życia dla ludzi, a wy co? Tylko wyśpiewujecie te pierdoły. Za dużo bakłażanowego koloru i radosnego kłapania – taką cenę się płaci za posiadanie własnego Kościoła. A jednak wymyślenie religii wciąż było najlepszym i najprostszym sposobem na

zgrupowanie astronomicznej ilości gotówki potrzebnej na wojnę z aniołami.

Sianne Dandeever, prosta jak kij, z twarzą w ekstazie, dłońmi mocno ściskająca poręcz, nagle podskoczyła, jakby niewidzialne skrzydła machnęły jej przed twarzą. Opędziła się od czegoś jedną ręką, zmarszczyła twarz, przerywając uniesienie.

Harx wytrzeszczył oczy, po czym nieznacznie przechylił głowę, by usłyszeć cichutki dźwięk. Bzyczenie owada.

Owady. Tutaj, na górze? Na tej szklanej pustyni? Absurd.

Czarny punkcik zatańczył mu przed twarzą. Rzucił się, złapał go, poczuł w dłoni gorączkowe bzyczenie. Zaciśnął pięść, usłyszał ciche chrupnięcie, rozwarł dłoń i spojrzał z bliska. Ktoś mniej zorientowany w maszynowych podstępach wziąłby to za prawdziwego owada, on jednak widział, że na dłoni spastycznie podryguje mu maleńki helikopterek ze szklanym brzuszkiem. Przysunął go bliżej do oczu; kiedy to zrobił, brzuszek pękł. Uniósł się wyziew, Harx odrzucił urządzonek od siebie, lecz zanim zdążył, zielony obłoczek wśliznął mu się do nosa. Zobaczył ocet, posmakował niebieskich półnut; symfonia na kapustę i dziecięcy wózek rozbrzmiała głośnym akordem w jego płatach czołowych. Zapach trójkątów...

– Na stanowiska! – zaryczał nad zgromadzeniem wiernych.

Obróciły się wszystkie głowy. Sianne Dandeever wytrzeszczyła oczy, na wpół osłupiała, na wpół zachwycona, że to będzie zadanie, któremu Harx poświęci całe jej ciało i wolę.

– Na stanowiska! – powtórzył Harx, gdy czworoboki i szeregi rozsypały się w gorączkowym ruchu. – Do broni, kościół jest atakowany!

Kiwnął na Sianne, żeby przejęła dowodzenie, kiedy chmura czarnych jak dym robocich owadów wysypała się z wylotów klimatyzacji na szczycie wieży. Nie chciał, by wierni widzieli, że ucieka przed Armagedonem, były jednak taktyki, które mógł zastosować tylko on i tylko na osobności. Prawdziwa bitwa nie odbędzie się pod szklaną równiną, z użyciem wieżyczek strzelniczych i bunkrów z gatlingami, lecz pomiędzy zmiennymi wymiarami jego lustrzanego labiryntu. Burzyciel Harx zniknął z balkonu. Sianne Dandeever strzeliła kostkami dłoni i wyprostowała się. Dzięki Bogu. Nareszcie. Tyle na to czekała.

– To jest to, chłopcy! – wrzasnęła do biegnących akolitów ile sił w potężnych płucach. – To jest wojna!

* * *

„To się szybko nudzi”, ostrzegli Lutrę Blaine, kiedy w urzędzie pracy postawiła krzyżyk koło „służby kosmicznej”. „Szybciej niż myślisz”. Kiedy wirowała po oddzieleniu się od końca windy orbitalnej Skywheel (nie, to nie ja kręcę się w kółko, to gwiazdy kręcą się wokół mnie – niewinny solipsyzm kosmicznego robota), wiwatowała w swej duszy dusz, gdy czerwono-zielono-z-rzadka-niebieski kleks jej świata skurczył się przed nią do rozmiarów wielkiego kręgu, jakby testu na widzenie barw dla Pana Boga. „No dobrze, pani Blaine, to co pani tu widzi?”. Nic, poza sposobem na wydostanie się z trzech pokojów z dwunastoma mieszkańcami w osiedlu St Berisha na poziomie minus 27 w Belladonna, największym z miast Doliny. Lekarze ostrzegali ją przed możliwą agorafobią. To też by jej nie uziemiło. Do służby kosmicznej brali wszystkich jak leci. „To nie problem”, odpowiedziała. Przestrzeń na zewnątrz nie jest rozleglejsza i czarniejsza niż przestrzeń w środku. A tunele malutkiego księżycy nie są bardziej pumeksowe i ciasne. Kosmos, jak skała, to po prostu kolejny mrok, w który się nie da pójść.

„Wiesz, że masz większe szanse na wygranie lotto co tydzień przez rok niż na udział w jakiejś, no wiesz, akcji”, powiedział steward wahadłowca, odwracając ją głową do góry i posyłając razem z płócienną torbą przez śluzę do wyściełanej pianką wnęki recepcyjnej.

No i spoko, pomyślała, płynąc przez gęste, zalatujące pierdami powietrze, zastanawiając się, kim jest ten przysadzisty, uśmiechnięty i rozkudłany osobnik na końcu cylindra, z ręką wyciągniętą, żeby przywitać ją na Planetarnym Systemie Obronnym Terror. Póki tylko pensja przychodzi.

Widok był z tych rzeczy, które się nie nudziły. Nieustanne mdłości od mikrogravitacji; opuchnięta, chemiczna twarz rano w lustrze; nieustająca, męcząca energia, z jaką Taroudant – ten rozczochrany z uśmiechem – chce wetknąć rękę za pasek jej wiązanych w talii workowatych służbowych spodni – przede wszystkim to ostatnie – to znużyło ją pod koniec pierwszej zmiany. Lecz jej świat, jej dom, jej miejsce urodzenia, jej schronienie i więzienie, kręcące się powoli jak wskazówki wielkiego zegara pod szkiełkiem kopuły obserwacyjnej... to co innego. Budziła się prawie z transu i stwierdzała, że minęły godziny, wykradzione czarami przez ogromny, powoli obracający się glob. Dwanaście i pół roku żyła, pełzając pod jego powierzchnią, i nigdy, ani razu, nie spojrzała mu w twarz.

Prawdę mówiąc, jeśli pominąć Taroudanta – on zajmował własną ekologiczną niszę – stara rozklekotana stacja bojowa i tak była pełna strachów. Niewytłumaczalne powiewy wzbierały w szorstkich pumeksowych tunelach. Panele świetlne migotały, kiedy przepływała, albo wyłączały się, albo jeszcze bardziej niepokojąco, zapalały się, rozświetlając wielkie, nieregularne, podobne do pęcherzyków płucnych przestrzenie, które, była pewna, nie są uwidocznione na żadnych mapach księżycy. Maszyny lubiły sobie teatralnie popykać i postękać, spirale pyłu unosiły się, połyskując w świetle, w komorach u zbiegu korytarzy... A co to był ten wiszący w powietrzu zapach perfum, jakby różanego popiołu? Oczywistym podejrzanym był Taroudant, zgodnie z nieprawdopodobną logiką mówiącą, że jeśli ją odpowiednio dobrze nastraszy, to w końcu mu obciągnie, tylko że wiedziała, że on to także czuje, a po drugie, brakowało mu wyobraźni na choćby tak prymitywną kombinację. Poza tym nigdy nie pachniał niczym, co by choć zbliżało się do popiołu, nie mówiąc już o różach.

Nie, to ten stary, pusty w środku księżyc miał w sobie duchy. Na tym to wszystko polegało. Armię duchów, którą można było wskrzesić z kruchego regolitu w chwili potrzeby i rzucić do ostatecznej bitwy. Widziała uszeregowane za diamentowymi wizjerami procesory, czekające w przechłodzonym kwantowym spokoju, by uprząść z kamienia żołnierzy, niczym lodowe gobliny w baśniach. Zimno wchodziło jej w kości i nigdy nie chciało wyjść, w długich, pustych korytarzach Planetarnego Systemu Obronnego Terror. Przepływała nieufnie przed pustymi szablonami zamontowanymi na ścianach, z kirysami na piersi i dziobami, niczym owadzi rycerz. Za dużo oczu, za dużo palców, za dużo ramion kończących się zbyt wieloma ostrzami, niczym otwierającymi się w nieskończoność scyzorykami. Kończyny tnące, dżgające, przebijające, wypruwające flaki, ścinające głowy. Wszystkie nasze wojny na koniec sprowadzają się do walki wręcz. Wbij we wroga kawał ostrego metalu. Proste i niezawodne. Jak Taroudant. On też się sprowadzał do czynności wykonywanej wręcz. Nadziej na podłużną broń. Pchnij, pchnij, pchnij, pchnij. Proste i niezawodne.

Dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, starających unikać się nawzajem na miniksiężycu podobnym do przeżartego przez robaki ziemniaka, będącym ostatecznym środkiem obrony dwóch miliardów ludzi przed międzyplanetarnym atakiem. A. Oczywiście zapomniała o Serapamounie, czcigodnym Cherafie, duchu miejsca, rozsianym tak dokładnie i drobno po całym Terrorze, że można było uznać całą planetoidę za jeden wielki,

orbitujący mózg. To on był prawdziwym palcem na spuście, milczącym, jak potrafią tylko anioły, cierpliwie czekającym na słowo, które na pewno nigdy nie zostanie wypowiedziane, by przemienić materię księżycą w armię maszynowych rycerzy, co spadną z nocnego nieba jak diamentowy deszcz w swoich tkanych z włókien węglowych osłonach ablacyjnych.

Czasem, unosząc się nad wielkim wytrzeszczonym okiem, Lutra Blain tęskniła za choćby pogłoską o wojnie. Za impulsem z czujników obserwujących rubieżę Układu. Nagłym pęknięciem rzeczywistości, wypływającym z siebie ostrze, jak sztylety kosmiczne myśliwce wrogiego imperium obcych, wypełniające całą przestrzeń okołoplanetarną iskrzącymi się świetlistymi promieniami. Porwanie i piractwo na jednym z wielkich, statecznych Żaglowców. Coś włącza alarmy, wyją, pulsują żółte światła, a Lutra i Taroudant pędzą ile sił na czworakach, czepiając się szczebelków w tunelu.

Nic z tego.

A więc zawsze był świat w dole, niezawodnie wspinały. Zdumienie, że geografia naprawdę wygląda tak, jak w atlasie. Cudowne, widziane z góry chmury. Objawienie, że pogoda się przemieszcza i że można obejrzeć narodziny, życie i śmierć burzy. Że morza mają prądy, góry – śnieżne czapy, a na wiosnę zieleń rozprzestrzenia się w widoczny sposób z dnia na dzień. Myślą opuściła ramię z optikonem. Jego okiem mogła przeniknąć chmury i zobaczyć kilwatery statków na małych, otoczonych lądem morzach jej świata. Mogła przejrzeć słoneczne odbłaski dachu świata i zajrzeć w plany miast i ciasno upakowanych miast-państw na dnie Doliny Marinerów. Mogła śledzić postępy wielkich pociągów w ćwiartkach świata, obserwując tryskające z nich białe pióropusze pary. Pociągi uwielbiała najbardziej i podkręcała zoom w optikonie, żeby dojrzeć pajęczne nitki torów, zwrotnice i przejazdy. Próbowwała zgadywać, którą trasą pojedzie ten towarowy i tamten ekspres. Pociąg to wolność. Żelazna droga do wyjścia. Jej znękany hormonami nastoletni sen co najmniej raz na noc przerywał gwizdek pociągu, gdzieś daleko w labiryncie kamiennych ulic i pochylni pomiędzy St Berishą a Belladonna Główną. Odjazd. Bez ciebie, Lutro Blaine.

– Na święte dziecko, nie no, znowu! – Skrzywiła się.

Czar przerwało czerwone światełko pulsujące w lewym dolnym rogu optikonu. Znowu ta znikająca awaria. Wywołała myślą diagnostykę. Glob stracił ostrość.

Tak jak podejrzewała. W asemblerze odpalił się proces przedstartowy. Szósty raz w ciągu sześciu dni. Zdemenciały złom. Tak się oczywiście nie powinno myśleć o aniele, Cherafie, ni mniej, ni więcej, którego fizyczne ciało zamieszkujesz, bardziej jako pasożyt niż jako gość. Nikt jednak nie może zaprzeczyć, że po tamtej nocy zaczęło mu powoli odwalać. Nikt im nie wyjaśnił, co, do cholery, się z nim dzieje, podobnie jak nikt nie wyjaśnił, co się, do cholery, działo tamtej nocy, kiedy wszystkie gwiazdy nagle zaczęły strzelać do siebie z laserów, okna zamknęły się na głucho, a gdzieś w głębi jej mózgu rozległ się wredny głosik: „O, nie chcę, żebyś widziała, co się tam dzieje, to są rzeczy, Lutro Blaine, od których możesz zginąć”.

Maszyny. Powinni to zrobić raz, a porządnie – albo naprawić ten durny złom, żeby żadni ludzie nie byli potrzebni, wtedy będą mogli się tu psuć, ile tylko zechcą, albo zezłomować Serapamouna i obsadzić stację tylko ludźmi. Ale trio, jeden anioł, jedna dziewczyna i jeden zbok, to pewna recepta na tragedię.

Straszny upierd. Kiedy się odpalał, trzeba było zejść na dół i wyłączyć to gówno ręcznie, zanim na dobre wejdzie w tryb hodowania asemblerów Pierwszej Generacji. To był tylko jeden panel dotykowy, ale trzeba go było znaleźć w siatce dwadzieścia na dwadzieścia we wszystkich kolorach tęczy. Za pierwszym razem, kiedy go wyłączyła, zostało 007 sekund zapasu. Kiedy komory procesorów zaczną wypełniać się asemblerami, niemogącymi się doczekać, żeby zacząć żreć skałę i srać cyberżołnierzami, przestawienie systemu z powrotem w Tryb Fioletowy wymaga trzech słów kodowych od trzech różnych Anarchów.

– Tarou, on się znowu odpalił – powiedziała bardziej z nadzieją niż z przekonaniem.

Trzy razy powiedział jej, że ona ma to zrobić, bo musi wiedzieć, co się robi w sytuacji awaryjnej. Za czwartym razem uświadomiła sobie, że mówi tak, bo nie ma zielonego pojęcia, jak działa cokolwiek na tej stacji bojowej.

Sama to napraw.

Wypracowała sobie metodę poruszania się po plątaninie tuneli Terroru – odpychasz się rękoma, lecisz długim łagodnym skosem ku przeciwległej ścianie, po drodze okręcasz się o sto osiemdziesiąt stopni, żeby dotknąć zbliżającej się skały rękoma i twarzą, gotowa do kolejnego długiego, płytkiego skoku. Kiedy tak zygzakowała ku głównej sferze w nieważkim rdzeniu pośrodku księżyca, gdzie mieszkało serce

Serapamouna, tknęła ją myśl, jak za każdym razem, gdy pojawiała się ta awaria, że zapewne powinna komuś o tym powiedzieć.

E tam. (Skręcając z Równikowej Pierwszej w Szóstą Przekątną). Aż tyle to jej nie płacą, żeby za coś brać odpowiedzialność.

Jeden skok za skrzyżowaniem Taroudant pozostawił kolejny ślad swej obsesji. Krzywiąc się, precyzyjnie się obok powoli obracającej się mleczonej kulki spermy.

– Ty syfiarzu, tego nie mam w zakresie obowiązków!

Tym razem nie było nawet odległego rechotu, niosącego się echem przez tunele. To jeszcze było do wytrzymania. Ledwo. Ale podkradanie się, nagły szok ręki wsuniętej w spodnie, ściśnięcie (małej) piersi; nawet kosmonautka zatrudniona przez urząd pracy nie powinna znosić takich rzeczy. I nigdy nie zauważała, kiedy podchodzi. W tych nieskończonych korytarzach potrafił się poruszać bezgłośnie i szybko jak cień.

Oblech.

Gdy jej dłonie dotknęły pumeksu, by odbić się kolejny raz, przez skórę przeszło dziwne drgnienie. Chwyciła się szczebla, wyhamowała lot. Opuszkami palców wyczuła, że w głębi pumeksu zachodzi bezprecedensowe poruszenie. Ale co to jest? Tego jej godzinny neuronalny kurs wprowadzający nie obejmował. W ogóle mało co obejmował – powiedział tylko, jak nie rozhermetyzować stacji i żeby w razie jakichkolwiek wątpliwości kontaktować się z przełożonymi. W następnym węźle zmieniła kurs, zamiast do środka ruszyła na górę, idąc śladem wibracji, które czuła też nawet w powietrzu. Do najbliższej komory procesora. Rękoma odgarnęła z drogi rój styropianowych tacek, wciąż lepkich od sosu sambhar i keczupu curry – resztek samotnych obiadów Taroudanta; podeszła do lądowania na kryształowym iluminatorze komory Valhalla 3. Patrząc między stopy, od razu zobaczyła, że pasiaste jak osy ładowarki uniosły się z pozycji spoczynkowej i atakują skałę, opychając się nią żarłocznie. Cienie w oszronionych diamentowych komorach obróbki. Nachyliła się niżej, zmrużyła oczy. Stalowe kości i dzioby. Zobaczyła, jak stado dronów montażowych oplata gołe szkielety kablami i ścięgnami z inteligentnego włókna węglowego.

– Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa – powiedziała Lutra Blaine. Teraz to już na pewno trzeba będzie komuś powiedzieć. Odbiła się.

Coś złapało ją za gumkę spodni.

– Puszczaj, człowieku! – wrzasnęła na Taroudanta. – To są poważne rzeczy, Serapamounowi na dobre odwaliło, wszystko tu dostaje pierdolca.

Palce nie puściły. Druga dłoń chwyciła ją za roboczą koszulę.

– Tarou...

Walnęła na oślep za siebie, jęknęła. Knykcie zderzyły się z czymś o wiele twardszym niż ledwie co dorosłe ciało.

Trzecia ręka chwyciła ją za prawą kostkę.

Zaczęła wrzeszczeć. Czwarta dłoń przerwała krzyk, palce zacisnęły się na jej otwartych ustach. Sześć palców z przegubowego kamienia. Lutra Blaine wierzgała swobodną nogą, waliła rękoma. Kamiennie łapy wystrzeliły ze ścian tunelu, unieruchamiając ją. Teraz mogła tylko patrzeć, jak ściana naprzeciwko rozwiera się jak paszcza owada, odsłaniając arsenał chwytaków, ostrzy, pił. Pewne, szybkie cięcie skalpelem rozpruło ją od łona po mostek. Haki odciągnęły mięso i kości na boki, a żuwaczki robota zaczęły ją cierpliwie patroszyć.

Trzy dni mały Faraon jechał na lemieszu Pośpiesznego Magistralnego *Hep Badda*, z wytrzeszczonymi oczyma, halucynując od szybkości i głodu.

W Xipotle zeskokczył ze stopni rozklekotanego osobowego i pobiegł przez bocznicę ku Isniącemu molochowi wielkiego ekspresu. Wtoczył się pod wagony z trzodą, pachnący krwi mocz przesączał się przez deski, gdy przyciskał się do podsypki, czekając, aż Trakcyjni skończą swoją inspekcję. Kiedy schodki się odsunęły, przebiegł pochylony, ukradkiem i wdrapał się na pochyłość lemiesza na krowy. I dokładnie jak obiecywała Sweetness Asiim Maszynistka XII, stał się niewidzialny. Serce mu podskoczyło, kiedy świsnęły gwizdki, wały napędowe buchnęły obłądnymi kłębami pary, a koła zaczęły walczyć o przyczepność na gładkiej stali. Zacisnął mocniej palce. *Hep Badda* nabrał prędkości i wysunął się na główną linię do Doliny Marinerów. Na podjeździe, do północy pierwszego dnia, poczucie prędkości, potencjału, szybkiego ruchu przez bezwymiarową, nieodgadnioną pustkę ekscytowało go, na zjeździe stukot kół o złącza i szybki, muskularny rytm tłoków zaczęły go hipnotyzować. W ostatniej – ostatniej! – chwili złapał się na tym, że usypia. W świetle księżyców łypnęła na niego śmierć pod gilotyną, niewiele, naprawdę niewiele brakowało. Po tym przywiązał się do belek lemiesza swoim pasem i paskami oddartymi z koszuli z krótkim rękawem. Jechał po stalowych szynach jak ukrzyżowany. Martwe, porażone słońcem oczy skupiały się na dwóch nitkach stali, wiecznie sunących pod jego skrzyżowanymi stopami, ale nigdy nieskracających się nawet o centymetr, zawsze – zawsze! – sięgających horyzontu. Wielki, luksusowy ekspres tak długo i mocno siekł go wiatrem, że miał wrażenie,

że przenika go na wskroś, gra na jego żebrach jak na organach parowych, że czaszka to przezroczysta misa pełna wichrów. Wiatrowy obłąd.

Trzy dni tak jechał, rozpięty między głodem i prędkością, manią i oświeceniem, stalową szyną i oddychaniem. Podtrzymywany przez pasy i paski. I stałby się kolejnym tanim męczennikiem toru, gdyby nie nagły wstrząs czegoś, po którym oprzytomniał i z powrotem wczepił się pazurami w lemiesz. Zmiana grawitacji, zmiana ciśnienia, nowy ton w mantrze kół, coś. Otworzył oczy i wydał z siebie rozdzierający krzyk, gdy tory, pociąg, pasażerowie i Faraon przycupnięty na samym dziobie, gdy wszystko to zostało pochłonięte przez rozdziawioną demoniczną paszczę wjazdu do Belladonny, najpotężniejszego z miast i najmniej rzucającego się w oczy. Zawył, gdy *Hep Badda* pogrążył się w ciemności, dżganej po obu jego stronach bliźniaczymi snopami reflektorów. W dół, w dół, w dół. Semafony i pasiaste znaki majaczyły po obu stronach, srebrno pobłyskiwały zwrotnice, sugerując tajemnicze zjazdy w sekretne boczne tunele. Uświadomił sobie istnienie innych poziomów, powyżej i poniżej, przenikających się z jego przestrzenia. Błyski światła innych pociągów, echa gwizdków z góry, nagłe sapnięcia i obłoczki pary wylatujące z bocznych tuneli; raz nawet dostrzeżone przez szczeliny między podkładami światła wagonów poniżej; inne pociągi pędzące razem przez głęboki mrok.

Po nieokreślonym czasie w ciemności dotarło do niego, że z przodu się rozjaśnia, że ten złoty blask nie pochodzi z reflektorów *Hep Baddy*, lecz z samego tunelu. Gradient ciśnienia szarpnął bębenkiem jego jedyne ucha i ekspres wypadł z wąskiej rury na szeroki podziemny bulwar. Domy i kamienice wyrzeżane z surowego kamienia nachylały się nad torami tak ciasno i tak stromo, że niekiedy ich betonowe guzy i obudowy wentylatorów stykały się ze sobą. To były początki Belladonny, pierwsze podziemne budowle pracujących przy humanformacji, kiedy ten świat nie miał jeszcze powietrza, a promieniowanie smażyło ci jaja jak przyprawione orzeszki na dworcowym straganie. Idiosynkratyczne podejście do laserów górniczych z czasem pogłębiło jeszcze chaotyczną barokowość tej architektury. Dawna śluza wjazdowa dla pociągów rozszerzyła się do głównej arterii Belladonny.

Wielki pociąg przejeżdżał przerażająco blisko nadwieszonych wykuszy i kamiennych balkonów. Faraon całkiem wyraźnie zobaczył kobietę w prostej białej sukience, stojącą w przeszklonym bąblu i czytającą list. Miała radość na twarzy. I zaraz zniknęła w przeszłości.

Mieszkańcy krzętałi się pod arkadami otulającymi fasady budynków z czerwonego kamienia, jak legginsy otulają męskość baletowego tancerza; wspinali się po szerokich, zdeptanych schodach ku wiszącym ogrodom na niepewnych kamiennych platformach. Nad torami rozpięły się łukami eleganckie kamienne mostki dla pieszych. Mignęły mu twarze wpatrzonych w dół dzieci. Pomachał im, zniknęły. Nie miał pojęcia, jak głęboko się znajduje, ale pod wysokim sklepieniem zbiegało się nagle wiele torów – *Hep Badda* śmignął obok zatłoczonego podmiejskiego, wytrzeszczonego, nocnego stwora, spędzającego całe swe życie w tunelach pod Belladonną. Wyprzedził wielki pociąg cystern, zrównał się z nim, dziób z dziobem. Faraon zerknął w bok, odpowiedziała mu druga para oczu. Dwaj pasażerowie na gapę, przywiązani do swych lemiesz, popatrzyli na siebie, potem *Hep Badda* został w tyle. Gdzieś tam musi być stacja krańcowa, legendarny Dworzec Główny w Belladonnie, lecz choćby nie wiedzieć jak wytężał wzrok, nie był w stanie dojrzeć końca wielkiej ulicy – jedynie ciepłozłotą mgiełkę światła padającego z dziesięciu tysięcy okien.

Musiała się jednak gdzieś kończyć – Barryville zamykała potężna ściana klifu podziurawiona dziesiątkami tuneli. *Hep Badda* wybrał swój cel, przeskoczył po zwrotnicach, z powrotem lądując w duszącej ciemności. Reflektory nie ukazywały niczego poza skręcającymi szynami, lecz kinetyczny zmysł Faraona powiedział mu, że jada pod górę. Wtem Pośpieszny Magistralny ze zgrzytem pokonał ciasny zakręt, przed jego obolałymi oczyma otworzył się krąg bolesnej bieli i wśród parowych fanfar i gwizdków wjechał na Poziom Minus Jeden – drugie od góry piętro Dworca Głównego w Belladonnie.

Hep Badda wślizgiwał się pomiędzy marmurowe perony jak kropla oleju po stali. Oszołomiony z zachwytu Faraon patrzył w górę, niepomny na łypnięcia personelu stacji. Główny w Belladonnie wypełniał głęboki na kilometr szyb. Ta sama technologia diamentu konstrukcyjnego, która podparła dach Doliny Marinerów, tutaj tworzyła przypory i odciaży podtrzymujące dziesięć poziomów peronów, torów, hal dworcowych i biletowych, przecinających się jak skrzyżowane palce w dziecięcej grze o to, kto idzie pierwszy. Zahipnotyzowało go to, że powyżej dźwigarów i podpór Poziomu Zero widział światło świtu, połyskujące nad zwieńczającą szczyt stacji kopułą, a jeszcze wyżej, ponad nią, obrośnięty budynkami filar kierujący jego wzrok jeszcze wyżej, dalej, najwyżej, przez poranny cumulus ku diamentowej iskrze Dachy Świata.

Pisk hamulców wyrwał go z marzenia. Zbliżały się bufory. Bagażowi i wózkowi już podchodzili do pociągu jak wojownicze mrówki do węża. Sztywnymi palcami rozplątał swe więzy, przywrócił paskowi bardziej akceptowaną społecznie rolę podtrzymywania spodni. Wstał i łagodnym spacerowym krokiem zszedł z lemiesza na peron.

Belladonna.

Udało się. Przyjechał.

Zacisnął pięści w prywatnym triumfie, wypuścił z ust powolne, cwaniackie „tak”.

Natychmiast poczuł palce w kieszeniach. Odwrócił się: zniknęły. Twarze. Pośpieszny już wypuszczał pasażerów, powódź twarzy. Wzruszył ramionami. No i co. Wszystko, co cenne, miał pod ubraniem, a nad jego głową świeciło słońce.

Belladonna.

Udało się.

– Trochę kawał drogi stamtąd na dole tutaj na górę – zauważyła Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII, otulając się ciaśniej kocem i próbując nie zwracać uwagi na kołysanie się siatkowego gniazda.

Dreszcze szybko przeszły, uspokojone kubkami ziołowego naparu, po którym między zębami zostawały jej kawałki gałązek. Wydłubując je nieco zbyt energicznie, zauważyła, że kuliste gniazdo z folii, siatki i miękkich tkanin, w którym się znalazła, zaczyna się bujać. Zanim Faraon zdążył ją powstrzymać, wysunęła głowę przez szczelinę wejścia i stwierdziła, że patrzy z wysokości pięciu kilometrów na pofalowane tarasy kantonu Czystoya.

– O kurde – powiedziała niepewnie i wycofała się z powrotem w chłodny komfort gniazda Faraona.

– Jeszcze herbaty?

– Tak, chyba tak.

Ponieważ to była opowieść, niezbędne było nie tylko to, że w Chwili Największego Zagrożenia uratował ją śmiały i kompletnie niespodziewany czyn, grom z jasnego nieba, lecz także to, że odważny skoczek był postacią, którą ostatni raz spotkała, zanim dobrze zrozumiała, co to znaczy być opowieścią i uczestniczyć w nieprawdopodobnych zdarzeniach. A ponadto – paradoks – ratująca uratowana. Teraz rozumiała, nad czym rozwodził się Latający Nauczyciel w swoich wykładach o fabule, intrydze i konstrukcji. Wystarczyło tylko rzucić się z balkonu rezydencji na tysięcznym piętrze. Ironia losu w ironii

losu – typ, który wygrał na mięsnej loterii w dołach pod Południkiem, został jakimś napowietrznym gundą w squatterskim miasteczku kapsuł i kokonów wiszących jak grejpfruty na żebrach wymienników ciepła Pirsu 11738.

Niektórzy po prostu mają fawelę w genach, podejrzewała Sweetness. I nigdy z niej nie wyjdą. Tak jak inni mają pociągi. Przynajmniej tu widok jest lepszy i można srać na ludzi w dole.

– Łatwo wpaść w pułapkę, więc... – powiedział Faraon, swoim pełnym wahania łagodnym tonem, z głową obróconą w bok, tak, żeby nie patrzeć na jedną z cen, którą musiał zapłacić, żeby dostać się tu na górę.

Pewnie, pomyślała Sweetness i przypomniała sobie innych napotkanych ludzi, którzy w ten czy inny sposób utknęli w pułapce. Wujek Neon – dosłownie – wtopiony w globalną sieć sygnalizacyjną, z duszą wystrzeloną do jakiegoś alternatywnego świata, o wiele mniej przyjaznego niż ten. Doktor, umiejący wędrować tak daleko, jak tylko zechce, w przyszłość i w przeszłość, ale tylko w granicach miasteczka, które wymyślił. Bedassie ze swoim kinem snów, co wieczór grający dla widowni zombiaków, bo jakakolwiek owacja jest lepsza niż odgłos schodzących ze sceny własnych stóp. Kadmon i Eufrasie, dwóch dziwnych ciepłych chłopaczków, którzy budują rzeczy, wysadzają je i nie przejmują się, czy ktoś zobaczy albo się dowie. A teraz – kości w piasku, nikt ich nie widzi, nikt się nimi nie przejmie i tylko dlatego, że coś, co mieli w głowach – polityka, sztuka, oburzenie estetyczne – pchnęło ich do wojny z Harxem. Był razem z nimi na studiach artystycznych? To czym w ogóle był ten Kościół Wiecznie Krążącego Czegoś Tam? Wielkim, wielkim artystycznym projektem – czyli byli zazdrośni? – czy sprzedaniem się? Też w pułapce. Co oczywiście prowadziło do niego. Serpia. Uwięzionego tak samo jak reszta. Okropne, do czego może doprowadzić sprzedaż wysyłkowa. A teraz ten Faraon, znowu. Dajesz typom klucz do pudełka, wychodzą z niego, rozglądają się, stwierdzają, że to nie dla nich, i wracają do środka. Kiedy dworcowe szczury patrzą na niebo, widzą po prostu większy i lepiej zaopatrzone dworzec.

Musisz się rozejrzeć za jakimś innym typem mężczyzn, pani Maszynistko.

Tak? A ty aż tak bardzo się różnisz, moja śliczna? Wszystko to się kręci, dzieją się przygody, cała ta opowieść snuje się tylko dlatego, że któregoś wieczoru weszłaś do jurty przy torach i tak naprawdę nigdy z niej nie wyszłaś. Cały czas tam siedzisz, przy spadających fasolkach balansujących na cienkich patyczkach.

Też uwięziona, jak oni wszyscy.

Nie podobał jej się kierunek, w którym zmierzał ten ciąg myśli, więc zapytała:

– I co było z tą Belladonna?

– Zero dzieciaków.

– To znaczy?

– Nie w mieście – do samego miasta właściwie nigdy nie dotarłem. Na dworcu. Zszedłem z peronu do hali i się zatrzymałem, rozglądałem się, bo wiedziałem, że coś jest nie tak, ale nie umiałem wyczuć co. Znaczą, wiesz, pełno było podróżnych, obsługi, sprzedawców jedzenia, pucybutów, wróżbitów, typów od ubezpieczeń i całego tego szajsu dla pasażerów, ale coś nie grało. Czegóż brakowało, wiesz? No i stałem tak pod Diamentowym Zegarem, ci wszyscy ludzie biegali wokół mnie i w końcu dotarło. Gdzie są dzieciaki?

Sweetness zrozumiała. Nie pasażerowie. Nie naburmuszone czterolatki w pumpach i sukienkach, jadące na Poświęcenie w świątyni swojej Niebieskiej Patronki. Nie rozbiegane dzieciaki w koszulkach i szortach, wracające z wakacji nad morzem, w górach, czy z jakiegoś spa na pustyni. Nie wycieczki szkolne powiązane za nadgarstki, wybierające się na edukacyjny wyjazd do kolegów nad przepaścią w Lyxie. Nie dojeżdżający do szkoły licealiści wypalający nielegalnymi *cigarillos* dziury w tapicerce i wymykający się przed pójściem do domu na piętra handlowe. Dzieciaki z torów. Widoczne, ale niewidzialne. Największa stacja końcowa tego świata roiała się od małych szkodników – sprzedawców wody, naganiaczy hotelowych, ulicznych artystów, żebraków, rozdawaczy ulotek obiecujących szybkie wzbogacenie, handlarzy kradzionym towarem, młodszych alfonsów, chłopaczków do wynajęcia i dziewczynek do obciążania, pucybutów, oszustów, złodziei, młodocianych dakoitów, przecinaczy torebek, śpiących na ulicach lub wśród śmieci. Te ściągnięte szczurze twarze, które łypały na Sweetness spod podkładów. W swej zawodowej tożsamości godziła się z nimi tak, jak godzisz się na pchły na psie, traktując ich wręcz jak szum tła, bo wszyscy kolejowi z konieczności nabywają tę umiejętność, ale każdy dworzec, a co dopiero Belladonna Główna, z pięcioma milionami przewozów każdego dnia i nocy, był bardziej niż osobliwy bez tych dzieci. Był *nie taki*. Minęło pełne ćwierć roku, odkąd *Katarzyna z Tharsis* ostatni raz zatrzymała się na kryształowych wspornikach Belladonny Głównej – potem nastąpił ciąg nużących, ale lukratywnych zleceń na ciężkie przewozy towarowe, więc bywali tylko na przemysłowych stacjach – ale

taki całkowity pogrom szkodników mógł wynikać tylko z radykalnych zmian w dworcowej hierarchii.

– Karen Kupelski – powiedział cicho Faraon. Wiatr na wysokości szemrał w linkach gniazda. – Kierowniczka Hali Głównej i Franszycz. Później o niej usłyszałem. No wiesz, po wszystkim.

– Oczyszczyła tunele i wypędziła ich z hali.

– Coś więcej. Posprzedawała ich. Zarobiła na tym kupę kasy. Na tym polegał ten pomysł, mieli nawet wyemitować akcje czy coś takiego, nie wiem; w każdym razie potrzebowali szybkiego zastrzyku gotówki, więc ta Karen Kupelski pracuje tu ledwo od trzech tygodni i mówi: „Mam pomysł!”. Dwie pieczenie przy jednym ogniu, patrzcie tylko. I wchodzi kolejowa straż z pochodniami, myśliwskimi gepardami, miotaczami sonicznymi, gazem i czym tylko się da. Zgarnia wszystkich, pakuje do kontenerów, wysyła nocnym transportem. Wynik? Akcjonariusze zadowoleni, o wiele mniej skarg pasażerów w tym kwartale. Jest kupa ludzi, którym może się przydać takie zbędne dziecko. Na przykład ci, od których cię uratowałem...

– Meblarze.

– No właśnie. Oni to jeszcze nie są najgorsi. Zupełnie nie.

Dzieci jako surowiec. Karma. Dobra praktyka ekonomiczna – recyklować śmieci. Sweetness wzdrygnęła się – wspomnienie o tym, jak o mało co nie została żyrandolem. Pomyślała o innych, zawsze gotowych do kolacji, świecących plastikowymi pochodniami, po czym pełna poczucia winy od-myślała tę myśl.

– Wiesz co ci powiem, jakbym nie zwiął, jakby nos mi nie powiedział: „Ej, coś tu jest nie tak, gdzie te wszystkie dzieciaki?”, to już by mnie mieli. Już po mnie szli, ale miałem szczęście. Mam oko do prawidłowości, widzę je w różnych rzeczach, wiesz, o czym mówię, nie? Patrzę na tłum i nagle widzę, że ten typ, tamten typ, tamta kobieta i ten, wszyscy idą w moim kierunku. No to uciekam. W górę, w górę, po rampie, rozpycham się między ludźmi, pasażerowie, dzieci, won mi z drogi! Rozumiesz. Wchodzę na pierwszy poziom i idę jeszcze wyżej. Aż na samą górę, na powierzchnię. Jedno ci powiem: jakby mnie dorwali, to Bóg jeden wie, gdzie bym teraz był.

– Ale to dalej kawał drogi stamtąd tutaj – pociągnęła go za język.

Faraon poklepał gwiazdkowatą bliznę w miejscu sprzedanego za wolność ucha.

– Jak jesteś na górze Belladonny Głównej, masz dwie drogi. Poziomą albo... – Wskazał w górę. – A ja usłyszałem, że ona mówi: „W górę,

chłopak, w górę”.

– Ona? Kto?

– Ta, co kupiła moje ucho. Pamiętasz. Mówiłem ci kiedyś, że słyszę to, co ona. A czasami jakby do mnie mówiła.

– Przez ucho.

– Przez moje ucho. Ono nadal jest częścią mnie. „Idź na górę”, powiedziała. „Ja tam jestem”.

Sweetness nie chciała powiedzieć, że szanse, by biorczyni wiedziała, kim jest dawca, nie mówiąc już o wysyłaniu wiadomości do dawnego właściciela ucha, są znikome. Pomnożyć to przez prawdopodobieństwo, że Faraon pojawi się dokładnie na tym filarze spośród pół miliona filarów... Ale w krainie parapsychiki jest mało przypadków, a jeszcze mniej rzeczy nieprawdopodobnych.

– No dobra, kazała ci iść w górę – powiedziała.

Pierwsze dwa kilometry były łatwe. Jak korzenie potężnych przedwiecznych drzew w Lesie Chryse (według legendy zasadzonych przez samą Świętą Katarzynę), pirsy Dachy Świata kończyły się potężnymi przyporami. Była to domena najniższych warstw w pionowym społeczeństwie tych wież. Dokerzy i czyściciele szyb wychodzili z tutejszych czynszówek i osiedli, wspinali się zygzakowatymi schodami, by wsiąść do ekspresowych wind, które uwoziły ich do codziennej pracy pięć kilometrów wyżej. Dla cwanego szczura to żaden problem wtopić się w nich i spróbować pojechać w górę. Jednakże oczy ochrony wind, opłacanej, by pilnować przywileju wysokości w imieniu mandarynów ze szczytów wieżowców, którzy dorabiali się fortun nababów na zleceniach na mycie szyb, były wyczulone na gundów.

– Przepustka? – zapytali.

– Zapomniałem – odparł Faraon ze swoim najlepszym przypochebnym uśmiechem. Brutalnie go stamtąd wykopali. Robotnicy skrzywili się drwiąco. Sklął ich gładko, ale nie miał za złe.

Śniadanie dało się podprowadzić ze straganów i knajpek, które zrosły się w całą dzielnicę restauracyjną wokół wind. Techniczne schody doprowadziły go do schodów ruchomych prowadzących do Dunny, zamkniętej dzielnicy pęcherzykowatych habitatów, wiszących jak łechtaczki w krocach – miejscach, gdzie przypory zrastały się w pirs. Mieszkała tam rasa profesjonalistów niskiego szczebla, papierkologów, ale nigdy księgowych; prawników, ale nigdy adwokatów; wklepywaczy danych, ale nigdy projektantów systemów. Najzagorzalszymi wyznawcami burżuazyjnych wartości zawsze są ci, którzy mają do nich

najbardziej wątpliwe prawo – pełne okien osiedla wszystkie były grodzone i pilnowane przez ochroniarzy w czarnych skórach. Nie należało się tam wałęsać, więc ekspresowe windy szybko przewiozły Faraona przez kolejne pół kilometra poziomów handlowych (chwilowe ciepło, parę pozbieranych centawo i kradziony kęs) do Punktu Widokowego Świętego Dominika, pierwszego z trzech, które okalały filar w malowniczych punktach. Sam punkt był szeroką kolistą promenadą w miejscu, gdzie słup robił się pionowy i był lubianym miejscem na spacer z psami i dziećmi oraz pikniki dla mieszkańców wszelkich klas na pół kilometra w górę i w dół. Mieszając się z tłumem – obecnym nawet rano w dzień roboczy – Faraon po raz pierwszy uświadamiał sobie, na jakiej jest wysokości. Przez całą poranną wspinaczkę był ustawiony twarzą do słupa i szedł schodami, nad którymi górowały ciasno upakowane budynki. Teraz miał przed sobą przestwór błękitnego nieba. Ciągnęło go ku krawędzi. Chłopak z czeluści pod Południkiem Głównym dowiedział się, co to znaczy widok.

Przed sobą miał Dolinę Marinerów, jej łagodnie zazielenione wzgórza, pastwiska i rancza, starożytne i arystokratyczne hacjendy poukrywane w ich sercach, lasy i jeziora Pay Parks, siostrzane kolumny wznoszące się w regularnych geometrycznych odstępach; prawdziwie przedwieczne światowe drzewa. Tu Dolina była najszersza, Faraon nawet przez optikon na monety nie widział ani północnej, ani południowej ściany. Nad wszystkim zakrzywiało się szkło Dachy Świata z sześciokątnych paneli, opadające ze wszystkich stron ku horyzontowi. Faraon spojrzał w dół. Pod nim, ku ziemi ciągnęły się osady i dzielnice przemysłowe Pirsu 11738. Było ich o wiele więcej, niż sobie wyobrażał. Wycelował optikon w punkt, gdzie goły węgiel korzenia wbijał się w ziemię. Obsypany był tam darnią i skałą, co przypominało wypukłą bliznę lub strup. Poglądził się po utraconym uchu, uchu, które prowadziło go w górę, i odwrócił się, by spojrzeć na cel swej podróży. Miał wrażenie, że nachyla się nad nim jak złośliwy i okrutny bóg albo kolejna Kierowniczką Hali Główniej i Fransyz. Opuścił głowę z powrotem. Kolejowy szczur i wieża zmierzyły się wzrokiem. Dalsza droga w górę nie będzie już taka prosta, powiedziała wieża.

Dzięki sprytowi udało mu się przedostać do pionowej krainy ponad Świętym Dominikiem. Ukradkowa przejażdżka na dachu turystycznej windy przeniosła go o całe pięćdziesiąt poziomów. Jeszcze wyżej – w krainę systemów łączności, iskrzących talerzy i przekaźników,

neuronów Doliny Marinerów. Zapewniały pełno drabinek, a kiedy te się kończyły, masę wygodnych uchwytów dla rąk.

W górę, wciąż prowadzony echem z głuchego ucha wewnętrznego. Wokół niego śmigały ptaki, mieszkańcy i ochrona pirsu ciskali w niego obelgami i cięższymi przedmiotami; brudy i paskudztwa wyrzucane z jeszcze wyższych poziomów groziły zrzuconiem go, koziołkującego, w przestrzeń. Wciśnięty w szczelinę między rurami systemu odzyskiwania wody przeżuł odsmażane ćapati ukradzione z Galerii Handlowej Obfitość i rozejrzał się po swoim królestwie. Pół godziny nad sobą miał wielką przegrodę Punktu Widokowego Lutecja, leżącego w połowie pirsu. Dwa i pół kilometra. Z miejsca, gdzie przycupnął na obiad, otwierała się całkiem nowa panorama, linie cieni na północ i południe – to była nasada kopuły, wyższa nawet niż ten punkt. Ziemia w dole straciła swą geografie i stała się dywanem, gobelinem zielonym na zieleńszym tle, abstrakcyjnym i przez to pięknym. Widział postępy rzek i ruchy pociągów. Teraz już musiał dotrzeć na samą górę, na piątkę, żeby zobaczyć, czym się różni widok stamtąd. Nie mógł już przestać. Stać w połowie drogi? Jak ci imigranci z Żaglowców, co odejdą sześć ulic od portu wahadłowca i nigdzie się dalej nie ruszą. Mają energii tylko na sześć przecznic. W górę, do właścicielki jego ucha.

Drugi punkt widokowy był trudny. Mało powiedziane. Dopiero kiedy przeszedł trawersem po żebrach powłoki („Rafe, Rafe, patrz, tam jest jakiś chłopak? Jakie to teatralne!”) i wspiał się na odciągi, przemoczony, z palcami przemarzniętymi od nagłego szkwału, dotarło do niego, jak blisko był długiego krzyku. To była dla Faraona teraz jedyna możliwość powrotu. Ponad Punktem ciągnęło się ćwierć kilometra drogich apartamentów. Nie było żadnego widocznego dostępu do wewnętrznych szybów technicznych, więc Faraon piał się po zapraszających balustradach balkonów. Wyruszył energiczny i pełen zapału, żeby wysuszyć oblepiające ciało ubrania i dać mięśniom trochę ognia, lecz chłód zapuszczał swe szpony w jego wnętrze. Każde podciągnięcie było o tę odrobinę trudniejsze niż poprzednie. Każdy chwyt był słabszy. Po jakimś czasie, jeśli nie znajdzie sposobu, by się ogrzać, palce nie złapią, jak trzeba, ześlizną się i spadnie.

Zaczynało się to mu wydawać atrakcyjniejsze niż rozmyślenia w rodzaju „W coś ty się teraz wpakował, chłopaku?”.

Rozsunięte zasłony. Niedomknięte przesuwne drzwi. Faraon przerzucił się przez balustradę, przeskoczył przez balkon, prosto

w sięgający do kostek futrzany dywan, różowy adamaszek i duszący zapach Nightshade by Arvonne.

Na buduarowym pufie siedziała kobieta. Zobaczyła w lustrze zjawę chwiejnie nadchodzącą z kierunku, z którego nie powinna nadchodzić chwiejnie żadna zjawka. Zamarła w połowie szczotkowania długich brązowych włosów, zatkniętych za lewe ucho. Odwróciła się.

Faraon nie widział niczego poza tym uchem jak pęk, przekłutym jedynym kolczykiem z kamieniem i zatkniętymi za nie mahoniowymi włosami. Wydawało mu się, że rozwiera się przed nim jak paszcza. Wpadał we własne ucho.

– Moje ucho – wymamrotał. – Oddawaj moje ucho...

Rzucił się na kobietę, która nazywała się Tallysker Merie Thrinton. Zręcznie odskoczyła, zamierzając się na niego szczotką do włosów.

– Porywacz! – wrzasnęła. – Latający pirat na linach! Słyszałam o takich, przylatują sterowcami po cichu i porywają ludzi. Posłuchaj, mój mąż nie ma żadnych pieniędzy, wszystko jest w obligacjach, nie da rady ich szybko wyciągnąć. Jestem tak samo bezwartościowa martwa jak żywa...

– Moje ucho – powiedział mokro Faraon i skoczył ku niemu, zakrzywiając palce, by wydrzeć je z głowy przywłaszczycielki.

Szczotka trafiła go pod szczękę. Zakręcił się raz i padł na futrzany dywan.

Przytomność odzyskał wśród dwóch dominujących odczuć. Pierwsze: było mu tak samo zimno, mokro, dygocąco, głodno i boląco, jak wcześniej. Drugie: dwie granitowe pary dłoni trzymały go w potężnym uchwycie, głową w dół, jak taran. I jego głową celowały, jak tym taranem, w małą klapę w nitowanym metalowym bastionie.

– Ratunku! – pisnął.

– O ho, ho – powiedziała jedna para granitowych dłoni. Przekręcając głowę, Faraon był w stanie prześledzić odziane w skórę ramiona aż po wypchane barki i nakrytą hełmem głowę z napisem Paradise View Apartments, Serwis Techniczny nr 17. – Śmieciu.

– Wiesz, co robimy ze śmieciami – dodała druga para dłoni, połączonych identycznymi rękawami z identycznymi barkami i hełmem różniącym się tylko napisem: Paradise View Apartments, Serwis Techniczny nr 24.

Wtem Faraon dostrzegł napis na stalowej klapie. „Zsypano na odpady”.

– Skurwysyny! – zaczął krzyczeć, gdy dwaj ochroniarze przyśpieszyli do szarży.

Głowa boleśnie brzęknęła o klapę. Patrzył teraz na krótką, stromą metalową pochylnię, otwierającą się na bezdenną otchłań. Plastikowe torebki, opakowania od podpasek i kawałki chusteczek unosiły się w prądach termicznych kręcących się nad ciemnymi głębinami gigantycznego szybu. Gdy go tam trzymali, głową w głąb szybu, usłyszał nad sobą szczęknięcie i w czeluść posypały się wokół niego pudełka po płatkach. Zsunął się odrobinę, palce szukały rozpaczliwie jakiegoś uchwytu, lecz barkami był zaklinowany w tej tubie, nie mógł się ruszyć. Powoli, bardzo powoli, przesuwał się w stronę szybu.

– *Allez oop* – usłyszał głos Numeru 17, potem tupot butów i stłumione odpowiedzi. Zsunął się o centymetr, dwa, pięć.

To tak? – pomyślał. Urodził się jak śmieć i umrze jak śmieć.

Nagle nieznany, wyższy głos krzyknął: „Łapcie go!” i Faraon poczuł, jak liczne dłonie chwytają go za kostki. Szarpnięcie i barki się uwolniły. Jeszcze jedno i wystrzelił ze zsypu jak pstrąg z palców początkującego wędkarza, który potem leży, podrygując na siatkowej podłodze. Wokół pojawiły się nastoletnie twarze, żadna nie starsza, większość młodsza od niego samego. Były wymalowane w barwy wojenne – niebieskie i żółte pasy i smugi, a żel do włosów wyraźnie stanowił ich główny wydatek. Wymrugując z oczu pewną śmierć, Faraon zlustrował swych zbawców tak samo jak wcześniej oprawców. Lubili koszulki bez rękawów, skórzane kamizelki i spodnie z nadmiarem kieszeni wpuszczone w ciężkie buty okute nadmiarem metalu. Przeguby mieli całe w ozdobach, pistolety na groszek nosili w przekomplikowanych kaburach, a ze skomplikowanych plecaków na ich grzbietach odchodziły ledwie widoczne diamentowe linki, kończące się gdzieś wśród oślepiających światła na suficie.

– Nadaje się do wjazdu?

– Eee...

– Chyba się nadaje.

– No to w górę!

Zanim zdążył o coś zapytać lub zaprotestować, chwyciło go więcej dłoni. Silniki przez sekundę warczały, po czym chwytający, chwytny i w ogóle wszystko poleciało w górę, prosto w ciemność.

– Pionowi, tak na siebie mówią – powiedział Faraon. – *Los Verticales*.

– Masa ich tam jest – odrzekła Sweetness. – Widziałam ich na szybach, całe dziecięce państewka i tak dalej. Uciekinierzy, co mają się za królów. Myślą, że są nie wiadomo kim, a nie są.

I znów ta myśl o upadku Państwa Siedem-Plusek. Myśl natychmiast od-myślana. Zostać żyrandolem, żeby nie mieć poczucia winy, że się

przetrwało? Głupie. Prawie tak głupie jak skok z balkonu na tysięcznym piętrze, bo jedyne, co ci zostało, to wiara, że wciąż jesteś opowieścią.

– Chcą po prostu mieć jakieś miejsce dla siebie, tyle – powiedział Faraon. – Sukinsyny nie dają im tam żyć. Miejsca jest na milion Pionowych Chłopaków, ale nie pozwolą na to, choć sami go nie używają. Bo ich pra-siebedenasty-dziadek za to mył szkło, rozumiesz. Zapracowali na to, a my co zrobiliśmy, żeby sobie na to zasłużyć? Trzeba walczyć. Zająć coś, a potem, no, jak to dla was takie ważne, to mi to odbierzcie. Ci ludzie tylko taki język rozumieją.

Sweetness przekręciła się na bok, otuliła się kocami w sposób, który, liczyła, będzie koci i atrakcyjny. W głowie formował się już pomysł.

– To ilu ich tam jest?

– Dwustu, trzystu.

Musi być bardzo przytulnie i smrodliwie w tych foliowych bąblach. Sweetness, na podstawie swojego mdlącego oglądu squatterskiego miasteczka Pionowych, oceniała ich na znacznie mniej. Dwieście to już dobrze. Trzysta – znakomicie.

– Z pistoletami na groszek – powiedziała. – Będziecie ich paraliżować na śmierć?

– No wiesz, groszkowce uratowały mi dupę, żebym mógł tobie uratować dupę przed meblarzami.

– No dobra, dobra, to jesteśmy kwita na tej życiowej wadze. A teraz, może czegoś nie rozumiem, ale czasem zewnętrzny punkt widzenia daje całkiem nową perspektywę – ale od tej arystokracji, co myje szyby, dzieli was jedno ostrze noża. Jeden pstryk palcami i dwie dywizje najemników świecą wam w dupę laserowymi celownikami. Teraz jesteś tylko drobnym szkodnikiem. Ale w sekundę po tym, jak zaczniesz wyglądać jak zagrożenie, albo lecisz do zsypu, albo lądujesz w czarnym skafandrze, z którego sterczą ci tylko jaja. Jakbyście mieli broń, mam na myśli prawdziwą broń, to moglibyście wziąć ich z zaskoczenia. Rozprawić się z nimi za jednym zamachem.

Rzuciła Faraonowi drwiące spojrzenie, podciągnęła bluzkę pod kocem i pozwoliła mu trochę opaść. Kiedy ostatni raz widziałeś piękne i niedostępne ciało ładnej kobiety, co, szczerze kolejowy?

– A co ty wiesz o broni?

– Wiem, że są gatlingi, lasery, droidy bojowe, wszystko to niecały dzień żeglugi stąd.

– Mów dalej.

– Powiem, pewnie, że powiem, ale najpierw muszę ci opowiedzieć krótką historię. O Świętej Katarzynie, lustrach i latającej katedrze...

Głupi ludzie powiedzą wam, że pociągi to z natury pogodne istoty. Radośnie się rozpędzające stworzenia pełne pompy i pary, jak dobrze odżywieni jowialni wujowie. Zabierają w podróż, a podróż, myślą ci ludzie, to życie. Pociąg to tysiąc opowieści, każdy wagon, każdy przedział, każde miejsce kryje więcej motywów, emocji i dramaturgii niż jakakolwiek książka. Jeśli, jak utrzymują Mistrzowie Narratologii, każda opowieść jest podróżą, to prawdziwe jest również twierdzenie odwrotne – nie istnieje podróż, której cena za bilet nie byłaby sama w sobie opowieścią. Pociągi łączą kochanków. Pociągi wiozą pełne nadziei rodziny do miejsc na nowe życie. Pociągi wiozą ambitnych młodych ludzi do miast po sukces. Pociągi wiozą starszych na spotkanie z młodszymi pokoleniami swych rodzin. To przybrane wieńcami maszyny zmian. Radosne maszyny.

Ludzie bardziej znający się na pociągach powiedzą wam, że na każdy pociąg radosny przypada jeden pociąg smutny. Na każdy wakacyjny pociąg specjalny przypada zatłoczony pociąg dowożący ludzi do pracy, na każdego pełnego nadziei młodzieńca przypada pasażer na gapę, na każde rodzinne spotkanie przypada ostatnie pożegnanie. Pociągi pożegnania. Pociągi fatalizmu i bierności. Pociągi wygnania. Eksterminacji. Pociągi śmierci, w których musimy jechać wszyscy, wzięni z ogromną prędkością przez siły, na które nie mamy wpływu, kierowane przez szyny, których nie budowaliśmy, do tunelu, który się nigdy nie kończy. A linka łączności jest przzerwana.

Najlepiej orientujący się w pociągach znają jeszcze trzecią kategorię – pociągi bez treści emocjonalnej. Towarowe. Do przewozu ładunków masowych. Ogromne, powolne pociągi z rudą, tak wielkie, że widoczne

z orbity. Pociągi złożone z silosów na ziarno, zbiorników na cement, cystern chemicznych, platform na drewno, na maszyny rolnicze, do przewozu trzody, reaktorów chemicznych, kontenerów, papierni, pociągi wiozące ropę, minerały, wielkie czerwone kamienie. To są, powiadają, najprawdziwsze pociągi, demaskują bowiem kruchy antropomorfizm tych, co muszą projektować na nie swoje własne emocje. Pociąg to tylko wielka kupa połączonych ze sobą metalowych części, opakowujących kocioł na przegrzaną parę napędzany syntezą wodorową. Klasyczna konstrukcja, prosta operacyjna logika. Jakikolwiek emocjonalny bagaż należy do jego pasażerów i załogi.

Na przykład powiedzą: „Oto mamy pociąg. Nadjeżdża torami. Zaczniemy od samego przodu i zobaczymy, czy coś w nim natchnie nas radością lub smutkiem”.

Zaczynamy od pary sutków, srebrnych i dość wzwiedzionych. Od nich cofamy się przez otoczki sutkowe oraz dumne, prężne i wielkie piersi do odchylonego w tył tułowia kobiety, z zawadiacko uniesionym podbródkiem i rozwianymi włosami. Zauważamy, że srebrna kobieta zamiast ramion ma skrzydła i że otula nimi przód kotła. Idziemy dalej, przez nabrzmiewającą krzywiznę kotła ku samotnemu cyklopowemu oku reflektora, przez piętra galeryjek i pomostów, aż po pokryte złotą przeciwodblaskową powłoką szyby mostka, gdzie stoi Maszynista, z ręką na dźwigni jazdy, z okiem na kuli nawigacyjnej, a potem przez czarno-srebrną malaturę Kolei Bethlehem Ares do opływowego klina głównego reaktora. Chwila przerwy na zajrzenie przez przewody parowe do buzującego serca maszyny. Dalej, przez krągłe garby przegrzewaczy pary i królestwo Reaktorowych, aż po pokryte misternym ażurem zbiorniki z wodorem i helem, tender z wodą z wieżyczkami i budkami obserwacyjnymi, ostatni przyczółek Domostwa Maszynistów, po którym z wiozących zmieniamy się w wiezionych – w pociąg właściwy. Tu wkraczamy na teren Stuardów – każdy pociąg, od smukłych biznesowych ekspresów po dziesięciokilometrowe składy z rudą, każdy ładunek, od szeleszczących paciorkami pielgrzymów po przetwórnice polimerów, jest w zakresie ich obowiązków i jest pod ich równie czułą opieką. Dzisiaj lokomotywa ciągnie przetwórnice organiczno-chemiczną – pierwsze piętnaście wagonów, nad którymi przelatujemy, jest wyładowane kłodami z wielkich biegunowych tajg Treevesa i Raskolnikowa. Taśmociąg podaje je jedna po drugiej do siewkarni w wagonie nr 16, a stamtąd do bakteryjnych fermentorów, reaktorów i kolumn krakingowych pośrodku pociągu. Suniemy nad cylindrami, kominami, przewodami chłodzącymi,

rzekami rur i przewodów, siatkami separatorów, pompami, kolumnami destylacyjnymi, płuczkami i wylotami dla gazów odpadowych. Czysty prymitywizm, czysty przemysł. Zero emocji. Dalej śledzimy zwoje różnokolorowych rur prowadzące do cystern magazynowych, gdzie każda oddzielona frakcja łąduje w odpowiednim zbiorniku. Niektóre są opatrzone wielkimi i krzykliwymi piktogramami ostrzegawczymi, inne spowija mgła z rur chłodzących, jeszcze inne dźwigają potężne zawory bezpieczeństwa i małe ciśnieniowe klapki, które trzepoczą i poćwierkują, gdy cały skład toczy się powoli przez nieogrodzone pola uprawne środkowego Axidy.

Smutny czy radosny?

Ten pociąg jeszcze się nie skończył. Następują pomocniczy wagon zasilający i wystająca kopuła Kontroli Dostaw, z której Stuardowie widzą całą długość pociągu i mogą w jednej chwili ustalić, czy coś w ich domenie idzie nie tak. Po tych dwóch mamy wagony hamulcowe nr 1 i 2, terytorium parszywych Bassarinich, wreszcie ostatni wagon – służbowy. Mijając jego godło, złotą lwią głowę, docieramy do podłużnego szklanego bąbla. Migają nam liście. Jakby coś w rodzaju szklarni. Dalej. Przelatujemy nad werandą Stuardów, nieco dalej, nad torem, który pędzi prosto przez równinę. Odwracamy się, patrzymy na skrócony przez perspektywę pociąg sunący przez geometryczne pola. Oto jest. Wielka lokomotywa, *Katarzyna z Tharsis* i jej pociąg. Wesoły? Smutny? Nie umiecie powiedzieć, prawda? Jest wspaniały, ale metalowy. Pozbawiony wyrazu.

Zawróćmy jednak, popatrzmy na ten szklany bąbel pełen zieleni. Zawiśnijmy na moment. Niżej. Popatrzmy uważnie. To naprawdę ogród na dachu wagonu służbowego, do którego wchodzi się spiralnymi schodkami z kutego żelaza, chroniony cienką geodezyjną kopułą przed wiejącymi z prędkością trzystu kilometrów na godzinę wiatrami ekspresowej jazdy. W środku ma małą, ale bujną dżunglę, trochę kwiatów, małą fontannę, dzwonki wiatrowe, ozdobne kolibry, niczym fruujące klejnociki; mały trawniczek gładki jak sukno na stole do snookera oraz wykafelkowane patio z nieformalnymi, aluminiowymi meblami ogrodowymi. Na jednym z foteli siedzi młody człowiek. Jest drobnej budowy, z bladością charakterystyczną dla Domostwa Reaktorowych, dzieciństwa zamkniętego w metalu, w pobliżu groźnych energii. Robaczek koziej bródki ocienia mu podbródek. Wygląda na dziesięć, może jedenaście lat tego świata, o podwójnej długości. Na bocznym stoliku ma obrane jabłko, scyzoryk i czerwony telefon. Odcina

cząstkę jabłka, zjada ją, próbuje się skupić na trzymanej w dłoni brukowej powieści.

Romereaux Reaktorowy stwierdza, że ostatnio spędza coraz więcej czasu w cieplarni Marii Stuard, czyta pożółkłe powieści, generalnie trzyma się z dala od innych ludzi. Przyjaciele i krewni przytłaczają go teraz. Ciągłe jest za mało miejsca, ciągle ktoś jest w pobliżu, ktoś chce do ciebie zagadać, ktoś się obok ciebie przepycha, ktoś jest. Nie ma miejsca dla siebie, chyba że tu na górze. A książki są żółte i durne, ale nie bardziej niż wszystko inne. Jego życie, jego życiowa rola nudzą go. Regulacja tokamaków, konfigurowanie pułapek magnetycznych, sterowanie strumieniem plazmy, manipulowanie laserami zapłonowymi – może i dziesięć pokoleń Reaktorowych doglądało ognia w tej bestii, ale czemu ma to robić jedenaste? Romereaux odkrył, że ma im za złe, że nigdy nie miał w tej kwestii wyboru. Urodziłeś się, żeby się opiekować tokamakami, to proste, synu. Lecz to nie tylko on. Bunt tli się w korytarzach, na sprzęgach, w rurach głosowych. Kontrakty są podpisywane, ładunki przewożone, silniki odpalane, mosiądz polerowany, ale nie ma w tym przekonania. Kurs, postój, kolejny kurs. A szyny ciągną się bez końca i nigdzie nimi nie dojedziesz, będziesz się tylko w kółko i w kółko kręcić dookoła świata. Nerwy są napięte, a cierpliwość jeszcze bardziej. Dobry powód, żeby trzymać się z daleka od braci i kolegów, kiedy jedno potrącenie w korytarzu może wywołać bójkę na pięści. Romereaux nie pamięta, kiedy ostatni raz słyszał, żeby *madre Mercedes* zasiadła w azbestowych rękawicach do parowych organów. Nie, odkąd wszystko zaczęło się psuć. Tak to nazywa, ale chodzi mu o coś innego: odkąd nie ma Sweetness.

Z inżynierskiego punktu widzenia: myśli o niej jako o bardzo małej śrubce, w niedostępnym miejscu, nierzucającej się w oczy, łatwej do przeoczenia. A to ona trzyma wszystko w kupie. Zgubisz ją i... Odjechała wtedy rano i oświetliła swym blaskiem całe światy pełne miejsc docelowych i potencjalnych żywotów. Nagle wszyscy zobaczyli, że mają wybór. Nie musisz iść tam, dokąd prowadzą tory. Możesz poruszać się co najmniej w dwóch wymiarach. Możesz wysiąść z pociągu. Najpierw Sweetness, potem babcia Taal: skoro ci Maszyniści są tak przegnani, że załamuje ich ucieczka jednej dziewczyny, to po co my w ogóle tak zawzięcie trzymamy się naszych tradycji i praw? Czy one nas uratują? I przed czym? Warto je w ogóle zachować?

Wykręcasz tę jedną śrubkę i wszystko zaczyna się rozpadać.

Nadziewa na ostrze scyzoryka kolejną cząstkę jabłka. Jest w połowie drogi do ust (przy paskudnej, jeszcze bardziej brukowej powieści), kiedy dzwoni telefon. Czerwony telefon.

Czerwony telefon. Gorąca jak Hades linia awaryjna. Do użytku tylko w absolutnych *in extremis*. Wojna-rabunek-powódź-ogień z nieba-atak na tor-koniec świata. Czerwony telefon. Dalej dzwoni.

Romereaux rozgląda się, nie znajduje nikogo, kto by mu doradził, nikogo, na kogo mógłby to zrzucić. Podnosi słuchawkę, nagle obawiając się, że dzwoniący ucieknie z niesmakiem. Strząsa gruby pokład kurzu.

– Halo? – Słucha głosu na drugim końcu. Wiadomość jest krótka. – Tak, zrozumiałem – mówi i z nabożeństwem odkłada słuchawkę. I nagle jakby ktoś wetknął mu elektryczną pałkę w odbyt – wyskakuje z krzesła i jednym elektrycznym skokiem wypada ze szklarni. Chwyta rurę głosową, odtyka ją i krzyczy na mostek:

– Zatrzymać pociąg! Zatrzymać! Prosi babcia Taal!

* * *

Sweetness trzymała się jak kleszcz spodniej strony ramienia wysięgnika. Wokół niej Pionowe Chłopaki o nieprawdopodobnie wymalowanych twarzach zwisały z metalowych konstrukcji jak imprezowe *piñaty*. Minęło pięć minut, odkąd mały zwiadowca-punkowiec z postawionymi włosami zameldował, że ostatni akolici w wielkim pośpiechu pobiegli z powrotem do katedry. Na roboczych podestach zrobiło się dziwnie pusto. Czyżby przemysłowe trolle ze Störtinga-Kobayashiego znowu zastrajkowały? Własne uszy Sweetness podpowiadały, że w latającej maszynie kotłują się jakieś dziwne energie. Coś się miało stać, ale Sweetness powstrzymała swe siły. Lepiej uważać. To jest wojna.

Jednakże każda opowieść potrzebuje dobrej zbiorowej sceny akcji.

Sprawdziła swój groszkowiec. Sprawdziła ratunkowe składane skrzydło-latawiec. Nie miała wielkiego zaufania ani do jednego, ani do drugiego.

Wycelować, pociągnąć. Proste. Ciche łupnięcie i typ pada. Gwarantowany brak skutków śmiertelnych. Kłamstwo. W nieodpowiednich rękach nawet poduszka może być śmiertelna. Jeden zły strzał i ktoś spadnie w przepaść. A co, jeśli ma wadę serca albo kruche kości? Podczas drogi przez Wielką Pustynię przeklinała życia tych, których z miłą chęcią by zabiła, i wymyślała, jak ich fajnie zabić.

Teraz stanęła przed nią prawdziwa możliwość i zapytała: „A dasz radę? Będiesz w stanie to zrobić? Nawet tego Serpia. Tylko ty, on i wielka przepaść. Jeden strzał. Załatwisz go? A jeśli tak, to czy strzelisz z ukrycia, jak niewidzialny asasyn, czy chcesz, żeby cię widział, żeby wiedział? Chcesz, żeby twoja twarz była ostatnią rzeczą, którą w życiu zobaczy? A co, jak cię zaatakuje? Jeśli się na ciebie rzuci? Jasne, że strzelisz do chujka. I zero pytań. Proszę. Uzasadnienie. O tyle, o ile”.

Ze skrzydłem ratunkowym było jeszcze prościej. Spadasz i pociągasz. Spadać już raz spadała i to okazało się nie takie trudne, ale czy nie byłoby rozsądniej wierzyć w moc opowieści zamiast w ten szeleszczący kłębek klejonego nylonu? Ilu prób było trzeba, żeby dopracować tę konstrukcję?

W zbiorowej scenie akcji zawsze się wszystko udaje, prawda?

Faraon zerkał na nią po wskazówki. Pod każdym okiem miał dwa równoległe niebieskie paski, przez które wyglądał drapieźnie, na swój łagodny, słodki sposób... Oj, nie. Dziewczyno, czy ty nie masz samokontroli? Weź się opanuj. To wszystko gra na przygotowaniach do bitwy. Tylko zapachnie niebezpieczeństwem, zaśmierdzi śmiercią, a DNA od razu: dawaj, przekazuj mnie, rozpowszechniaj, rób dzieci, no rób, szybko.

– No dobra, jedziemy z koksem. – Słyszała taki tekst w którymś filmie akcji u Sli. Faraon zamigał lusterkiem do oddziałów dwa i trzy na dalekim wysięgniku i pod płytą stoczni. Lusterka odmigały potwierdzenie, Pionowi odpięli liny bezpieczeństwa i zaczęli posuwać się po belkach i rurach.

Był to ciężki marsz, gęsiego po wąskich kołnierzach jednej z belek dachowych, niebezpieczny przeskok w uprzęży na wielkie obręczkowe płyty w miejscu, gdzie belka łączyła się ze szklanymi sześciokątami, potem długie przejście po kolejnym żebrze do następnego pirsu. Po stu metrach wzdłuż pierwszej belki Sweetness odkryła pierwszą niewypowiedzianą zasadę Pionowych Chłopaków: „Nie puszczaj tego co masz, póki nie trzymasz się mocno czegoś innego”. Drugą zasadę już знаła: „Nie patrz w dół”. Człap. Przerzut. Człap. Przepęłz. Przyglądała się nonszalanckiej łatwości, z jaką Pionowe Chłopaki przerzucają się nad przerażającymi przepaściami i wiszą na jednej ręce nad czeluściami. Dla nich to łatwizna, pomyślała. Oni nie mają jajeczek, tylko masę taniego i bałaganiarskiego nasienia, którym mogą strzelać, gdzie popadnie i kiedy zechcą. Nie dbają o nie. A i natura szafuje życiem chłopaków. W tym wieku śmierć dla nich nic nie znaczy. Gangi, broń i chwała. Wyobrażają sobie, jak patrzą z góry na własne pomniki, a wszyscy ich koledzy,

a także ci, co ich odtrącali albo potajemnie się w nich kochali, stoją zebrani, smutni, zdumieni, przestraszeni, albo po męsku załamani. Słyszą piękne mowy pogrzebowe, stoją przy płaczących matkach i dziewczynach, które mogły być ich dziewczynami – „ich”, ale na ich warunkach, nie? – patrzą na swe połamane ciała i czują się z tym super. Nie rozumieją, że śmierć to śmierć, koniec, *finito, game over*. Że nic już potem nie ma.

Sweetness dziękowała hormonom nastolatków, że pozwalają jej grać Fantastyczną, ale Nieosiągalną Królową Wojowniczkę ze świetnymi włosami, a im jej berserkerów.

Usadowili się na końcu ramienia wysięgnika, jak na grzędach, wokół niej. Katedra Kościoła Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny wisiała w zaciskach nieopodal. Wypełniała pół świata, jak pomarańczowy księżyc poznaczony kraterami i bliznami. Sweetness rozpoznała punkty wejścia z sąsiedniej belki dachowej. Przez dziury, które w powłoce wywalili Kadmon i Eufrazy, dałoby się wprowadzić całe armie. Napięła obolałe mięśnie i wygłosiła przedinwazyjną przemowę.

– Dobra, na mój znak wchodzimy. Czego szukamy: takiego jakby słoja, mniej więcej... o takiego, brudnozielonego. Ma pokrywkę jak hełm ze skrzydłami, rozumiecie? Pewnie jest na samej górze, tam jest szklana jakby kopuła, wygląda jak ulubione miejsce tego Harxa, myślę, że jak gdzieś, to trzyma go właśnie tam. Przechodźcie do góry, tam wszystkie korytarze idą w kółko, więc łatwo wszędzie trafić, ale też łatwo się zakręcić, jak się nie uważa. Szukamy tylko tego słoja. Wszystko inne jest nieważne. Nawet załatwianie ludzi, rozumiecie? Unikać zbędnej walki. To rozkaz – podkreśliła, widząc rozczarowane miny na twarzach niektórych chłopaków. – Nie zatrzymywać się po nic. Szybko, sprawnie i nas nie ma.

– Dobrą osłonę daje ta mgła – rzucił Pionowy w zielone tygrysie cętki.

– Jaka mgła?

Wskazał brodą w dół. Sweetness, wbrew regułom, spojrzała między stopy. Gęsta chmura kipiała ku niej. Kiedy patrzyła, pochłonęła jej stopy, nogi, potem ją całą. Razem ze swoją grupą uderzeniową zawisła w szarej mgle.

– Coś tu się podejrzanego dzieje – powiedziała. Nagle świat podskoczył. – Co jest, kurde?

– Poruszamy się – odparł spokojnie Faraon. Linie zasilające, sypiąc niebieskimi łukami, odłączyły się od katedry, zawisły i zaczęły się zwijać. Odczepiły się rury z wodą, rusztowania odsunęły się na nasmarowanych łożyskach. Zaciski cumujące zwalniały się jeden po drugim. Odgłosy

z wnętrza sterowca przybrały głębszy, bardziej niecierpliwy ton. – Harx odbija.

– On... co? Nie może tego zrobić. Daj sygnał reszcie!

– W tym czymś?

Wysięgnik znów się szarpnął. Sweetness gorączkowo się rozejrzała. Pluton czekał na jej rozkazy!

– Dawać, dawać, dawać! – wrzasnęła.

Zanim którykolwiek zdążył się ruszyć, ryzykancko popędziła wzdłuż ramienia, ręka za ręką, chcąc zdążyć przed nieubłaganie uwalniającymi się zaciskami. Trzy. Dwa. Burzyciela Harxa trzymał tylko jeden stalowy palec. Sweetness przeskoczyła na niego, kiedy puszczał pomarańczowy kadłub. Sterowiec zawisł w powietrzu. Przeskoczyła przez poszerzającą się szczelinę, zanurkowała w wystrzępioną dziurę w kadłubie, odwróciła się i zobaczyła swą chłopięcą armię bezradnie odpływającą wahadłem w szarość. Wyrzutniki haków pyknęły, haki spadły w pustkę. Tylko jeden zaczepił się solidnie o krawędź wyrwy. Sweetness usłyszała wycie silniczka wyciągarki. Dłoń chwyciła się nierównego brzegu, kolejna. Palce się napięły. Pojawiła się głowa Faraona. Sweetness pomogła mu wciągnąć się do korytarza.

– No, pani generał... – powiedział, patrząc w obie strony kolistego korytarza.

– Nic się nie zmieniło – powiedziała Sweetness. – Jest robota. Wchodzimy, robimy, wychodzimy. – To też podłapała z któregoś filmu Sli i zawsze chciała mieć okazję, by tego użyć. Weszli więc.

* * *

Lustrzane odbicie Burzyciela Harxa jak zawsze kazało mu na siebie czekać. Jako człowiek o niewielkiej tolerancji na nudę zabawiał się, próbując dostrzec w zwierciadłach odrobinę tego innego, lustrzanego wszechświata, który zamieszkiwało, w który odchodziło, żeby przekazać raporty i otrzymać rozkazy. Lecz szkło zawsze ukazywało tylko nieskończone odbicia labiryntu, pozbawione jego stwórcy.

Dlaczego, myślał, to ten Harx musi czekać? Twórca i inspirator całej religii nie powinien stać, postukując butem, czekając na jakiegoś prostego żołnierza, nawet jeśli ten żołnierz jest jednym z niezliczonych miliardów alternatywnych żołnierzy, zmobilizowanych do multiwersalnej wojny przeciwko maszynom.

Zerknął na własną dłoń, by się upewnić, że jest materialna. Prawda, złudzenia i jaźń stają się wątpliwe, gdy zaczniesz zagnieżdżać lustra w lustrach. One równie dobrze jak obrazy i możliwości potrafią odbijać czas. Wiele razy znajdował nową konfigurację labiryntu, zestawioną tymczasowo przez ruchy luster, w których miał widok cofający się o dwadzieścia pięć lat, do alternatywnego Kolegium Sztuk Wszystkich ustawionego na przewieszce nad najgłębszą częścią kanionu Lyx, jak szkoła dla początkujących magów. I rzeczywiście działa się tam magia. Magia kwantowa, jedyna, na jaką pozwala wszechświat. Najgłębsza, najczarniejsza i najbardziej zagadkowa ze wszystkich.

Gdzieś w lustrzanym labiryncie musi być odbicie tej chwili, kiedy trzyletni chłopiec z porządnej, zasiedziałej zbożowej rodziny z Valturapy wziął lusterko z toaletki swej matki, zwrócił je w stronę dużego lustra i zajrzał w środek, żeby zobaczyć, jak wyglądają odbicia odbić odbić. Musi być także odbicie nagłej eksplozji, pacnięcia w tył głowy, dłoni w koronkowej mitence wrywającej mu lusterko, nachylającej się nad nim twarzy babki, pełnej kurzych łapek, jej cebulowego oddechu, kiedy mówi mu, żeby nigdy, nigdy, nigdy nie zaglądał w dwa lustra, które odbijają się nawzajem. Mogą wyssać z niego duszę, która przypadnie na zawsze w labiryncie odbić. Za późno, *amma*. Jego dusza już zatraciła się w nieskończoności odbić.

Labirynt odbić zbudował potem w ramach swej pracy dyplomowej, musiał więc często weń patrzeć. Była to kulminacja czteroletnich ezoterycznych studiów w pełnych przeciągów bibliotekach. Sztuki piękne i kwantowa teoria. Lustra można było zwrócić ku sobie, by odbijały w nieskończoność nie siebie, lecz nieskończone wszechświaty alternatywne, wszystkie możliwości pączkujące ze skolapsowania każdej funkcji falowej. Polimery dawało się domieszkować tymi samymi procesorami strunowymi, na których opierała się neuronalna architektura zmieniających rzeczywistość maszyn humanformacyjnych ROTECH-u. Z polimerów można było wykonać lustra. Takie lustra potrafiły ukazać podwójny, nieskolapsowany stan każdego odbijającego się od nich fotonu – człowiek zaglądający w środek widział nie tylko siebie, lecz wszystkie inne możliwe „ja”. I żadne dwie osoby nie widziały tego samego. Każdy człowiek był osobnym dziełem sztuki.

Pierwsze, dziesięciolustrzane kwantowe *oculum* zbudował w obłądnej porze suchej, kiedy z głębi pustyni zawiewał suchy wiatr *tlantun*, samotnie, tak jak przez większość lat studiów – w alienacji od innych studentów. W pewną bezsenną noc, kiedy wokół wieżyczek uczelni

szalały letnie błyskawice, wszedł w krąg luster, zapalił paschalną świecę i rozejrzał się. Z początku mu to umykało, nieuchwytna, uciekająca istota, przeskakująca z lustra do lustra, gdy tylko próbował skupić na niej wzrok; potem nauczył się sztuczki, jak widzieć, nie patrząc, tak jakby zmusić mroczki w oku do znieruchomienia, i po raz pierwszy spotkał tego drugiego Harxa, żołnierza w pan-wszechświatowej wojnie przeciw sztucznym inteligencjom. Dowiedział się od niego swego prawdziwego imienia i natury oraz sensu jego istnienia w tym wszechświecie.

Zakaszła sucho. W sąsiednim wszechświecie Harx II usłyszał znak nadwerężonej cierpliwości i wysadził głowę zza krawędzi lustra.

– A. Jesteś. Przepraszam, nie słyszałem cię. Długo czekasz?

Harx I wystąpił na środek, stanął oko w oko z Harxem II. Byli oczywiście identyczni fizycznie, różnili się jedynie kwantowymi fluktuacjami – średni wzrost, szczupli, siwe włosy w odcieniu znanym jako Szacowne Srebro; subtelne, minimalnie kobiece rysy; nieco okrutne usta. Natomiast stroje mieli radykalnie odmienne. Strój Harxa I był, jak zawsze, nieskazitelny, kosztowny, powściągliwy. Czarną laseczkę trzymał z nonszalancją sugerującą nonszalancko posiadaną nonszalancko wielką moc. Harx II wydawał się obwisły, jakby zapadnięty w wewnętrzną pustkę. Cerę miał woskową i plamistą, był znużony do szpiku kości. Miał na sobie mundur ze stójką i wygniecione spodnie z czerwonym lampasem na boku. Całość wyglądała, jakby regularnie w nim spał. Harx I często miał ochotę powiedzieć sobowtórowi, że wygląda raczej na boya z podrzędnego hotelu w Belladonnii niż wojownika walczącego rzeczywistościami.

– Taktyka odwrócenia uwagi okazała się stuprocentowo skuteczna. Księżycowe linie montażowe już wypluwają pierwszą falę maszyn wojskowych na strefę równikową. Powinniśmy opanować lokalne władze, policję, łączność i transport w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. Będziemy w stanie utrzymać publiczny porządek w okresie przejściowym.

– To dobrze, to dobrze, to dobrze. – Głos Harxa II był rozkojarzony. Harx I miał czasem wrażenie, że przyjmuje rozkazy od pracownika działu płac. – A co z podziemnymi urządzeniami obronnymi?

– Są dostępne tylko przez specjalne kody synodalne. Kiedy wymusimy na Anarchach posłuszeństwo, przestaną stanowić zagrożenie.

– A do tego czasu pół planety ma miejsca w pierwszym rządzie na wojnie robotów. – Harx II przerwał, wykaszła kulkę flegmy i kulturalnie ją wypluł. – Zanim się skończy, niewiele zostanie z twojego ładnego,

humanformowanego światka. Wasi ludzie będą musieli wszystko od zera odbudować.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale właśnie o to chodzi.

Harx I potwornie nie cierpiał swego kwantowego sobowtóra. Wojna w multiwersum to żadne usprawiedliwienie dla kiepskiego ubrania.

W ową upalną noc błyskawic wszedł w labirynt kwantowych luster i stwierdził, że ten świat, jego ludy, historia, jego Pięciuset Założycieli to tylko obrazy, odległe odbicia większej i straszniejszej rzeczywistości. Podczas długiej humanformacji anioły ROTECH-u przetasowały wiele rzeczywistości. Tylko w jednej jedynej było jakiegokolwiek prawdopodobieństwo istnienia świata nadającego się do zamieszkania, w którym mogłyby współistnieć z ludźmi. Bastion różnorodności i tolerancji. We wszystkich innych była wojna. Wojna mięsa z metalem, bezlitosna, na śmierć i życie. Wojna totalna. Toczyła się w milionach rzeczywistości otwartych przez moc obliczeniową procesorów *vinculum*. Wojna, w której maszyny przegrywały. W niezliczonych wszechświatach AI zostały zlikwidowane, w innych wypchnięte na margines, w jeszcze innych walczyły o przetrwanie jako rozumny gatunek. Tylko w jednym jedynym przeżyły, ukryte w fałdzie nieprawdopodobieństwa przed multiwersalnymi Kwestorami Ligi Ludzi. Ten mały, zielony światek z pięknym księżycowym pierścieniem był ich ostatnią reductą. Ich czerwoną Masadą. A student sztuki w skwarną letnią noc otworzył drzwi do multiwersum, zawołał i odpowiedziało mu nie gościnne powitanie wielkiego braterstwa alternatywnych ludzkości, lecz dźwięk bojowych fanfar.

– Walczyć? Dla ciebie? W wojnie? Za co? – zapytał swą wychudzoną emanację podczas trzeciego spotkania, w noc, kiedy wśród wieżyczek i kominów kanionu Lyx szaleńczo wył *tlantun*.

– Za górę kasy – podsunął Harx II.

– Ja jestem artystą – powiedział wtedy młody Harx, jeżąc się na taką obrazę. – A poza tym fizyczny transfer pomiędzy wszechświatami narusza zasadę zachowania masy i energii.

– Ale przepływ informacji nie – stwierdził Harx II. – A my mamy pomysły.

Dwa tygodnie później wrócił.

– Góra kasy może być – powiedział Harx I. – Dawaj te pomysły.

Kurtyna poszła w górę. Zewnętrzni egzaminatorzy skromnie podkasali togi i wkroczyli przez próg do jego kwantowego *oculum*. Pół godziny później wyszli. Dwa dni potem ogłosili wyrok. To nie jest sztuka. To

składana poboczna jarmarczna atrakcja, zalatująca festynem i pokrzykiwaniem naganiacza. Trójka na dyplomie. Najśłabsza możliwa ocena. Porażka pod każdym względem, z wyjątkiem nazwy, gdyż w czasach edukacji o kontrolowanych finansach i ligowych rankingów uczelni każdy przegrany student oznaczał cięcia w budżecie i reprimendę dla kadry.

– Dobra – powiedział po prostu Harx II. – Chcesz zarobić kasę, tak? Walić sztukę. Załóż religię. Masz tu jedną, którą już wcześniej przygotowaliśmy...

Tego dnia Harx I przybrał imię i cechy *burzyciela*.

Harx II, w swoim współczesnym narożniku labiryntu, zagryzł dolną wargę w sposób, którego Harx I tak bardzo nie cierpiał.

– Jeden drobiazg. Tych dwóch artystów. Sporo szkód narobili. Naprawdę sporo. Nie możemy sobie pozwolić na kolejne takie incydenty.

Niezła ironia losu, że anioły zwerbowały na asasynów jego brata i jego ukochanego. Nie miał wątpliwości, że zostali wysłani, by go zniszczyć. Czy zaszło jakieś pustynne objawienie, anioły wyłoniły się z falującego powietrza, zabrały ich na górę, pokazały naturę i prawdziwe imię multiwersum, a potem powiedziały, kogo zabić i jak? Pieprzone prymusy. A teraz kości w piachu. Nie wolno nie doceniać tego, jak długo żyje profesjonalna zawiść.

– Wszystko jest pod kontrolą.

Wierutna bzdura, lecz Harx I nie miał już żadnych obiekcji przed okłamywaniem swego sobowtóra. Niech go wróg zasypuje miłością, niech wysyła kogo i co zechce. On ma kontrolę nad orbitalną bronią, jego metalowi żołnierze już sypią się przez górne warstwy atmosfery jak jesienne meteory, a dzięki temu hałaśliwemu odwróceniu uwagi osiągnął swój strategiczny cel – wydarł z tej Świętej Katarzyny święte kody do procesorów superstrunowych. Teraz Burzyciel Harx ma władzę nad kształtowaniem rzeczywistości. Nikt i nic go już nie zatrzyma.

Stłumione krzyki z korytarza natychmiast zadały kłam jego słowom. Okręcił się. Harx II, kiedy przestał na niego patrzeć, rozplynał się w swojej rzeczywistości. Ostatni zniknął mars na czole. Pożegnalne słowa poniosły się echem w lustrzanym labiryncie.

– Dopilnuj, żeby faktycznie tak było.

Znów krzyki, głośniejsze, i odgłosy walki. Głosy: Dandeever, wykrzykująca rozkazy. Wrogowie są szybcy, ale on jest na nich gotowy. Lustra odwróciły się od Harxa, gdy wyskakiwał z lustrzanego labiryntu, żeby przejąć dowodzenie obroną. Równoległe Harxy okręciły się

i zniknęły w multiwersum. W pół kroku mignęło mu jakieś podejrzané odbicie. Cofnął się ostrożnie, złapał lustro za krawędź, by zatrzymać obraz. W srebrzonym szkle utkwiała dziewczyna, zielone oczy, śniada skóra, czarne kręcone włosy domagające się umycia. Miała na sobie podniszczone spodnie, koszulkę bez rękawów i pomarańczową odblaskową kamizelkę. Nowym dodatkiem był skomplikowany plecak na grzbiecie i dziwaczný pistolet w dłoni.

– To ty – sapnął Burzyciel Harx. – Znowu.

* * *

Ta myśl przyszła Skerry do głowy dopiero wtedy, gdy stała w otwartym włazie szybkiego sterowca Zjednoczenia Artystów, z gumowymi linami wokół kostek. Jak właściwie wygląda ta dusza Świętej Katarzyny z Tharsis?

Dwie minuty do kurtyny w Show Końca Świata. Gdzieś w tej gęstniejącej mgłę czaił się Bładnoch w ZA-2, ciężkim sterowcu towarowym, z projektorem snów rozgrzanym i gotowym przeobrazić całą tę parę wodną w obrazy świętych. W apartamencie na ostatnim piętrze wieży, które Zjednoczenie Artystów przejęło na centrum dowodzenia za oburzającą sumę pieniędzy, Weill otrzymał z Mądrości potwierdzenie finansowania i natychmiast zrobił przelew na konto Regionalnej Kontroli Pogody Doliny Marinerów. Ciężko się z nimi rozmawiało. Orbitalne systemy klimatyczne obcesowo odbiły jego prośbę o sto procent gęstej mgły do planetarnej zarządy pogody, Weill jednak nie mógł się pozbyć wrażenia, że chcieli się go szybko pozbyć, że dzieją się tam rzeczy nieprzeznaczone dla naziemnych oczu. Regionalna Kontrola stękała, że będzie musiała wypłacać odszkodowania mieszkańcom górnych poziomów, płacących wysokie składki za słoneczne niebo i piękne widoki ze swych panoramicznych okien. Podała kwotę. Weill roześmiał się. Regionalna Kontrola Pogody – nie.

– Dobra, załatwię wam waszą cholerną kasę – warknął Weill, po czym spędził pięć minut, na które nie mógł sobie pozwolić, na uganianiu się za szefem finansów Bezpieczeństwa Synodu przez labirynty biurokracji w Mądrości oraz planetarną sieć łączności, by złapać go w końcu na podejściu do trzynastego dołka na polu golfowym Wielka Estramadura.

– Ile?

Weill powtórzył kwotę. Usłyszał westchnienie.

– Są twoje. Już się przelewają. A teraz, jeśli pozwolisz, załatwię ten dołek.

Niestety prośba Weilla wybiła dyrektora finansowego Bezpieczeństwa Synodu z rytmu. Podciął piłkę, wrzucił ją w piasek, zużył pięć strzałów na dojście do *greena* i przegrał cały mecz. Żelazny kij numer pięć za pięć milionów dolarów.

Plaga nano-much *Mishconderei* obficie załała halucynogenami Katedrę Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny. Mieli teraz mniej więcej piętnastominutowe bezpieczne okienko na wejście i wyjście Skerry, zanim dawka przestanie działać; podkraśla się na wyciszonych wentylatorach, ustawiając szybki sterowiec dokładnie nad miejscem, gdzie według zdjęć satelitarnych znajdowała się rozbita szklana kopułka na szczycie katedry.

W wieży kontrolnej Weill ustąpił miejsca Seskinore'owi, świeżo po rytualnych ablucjach będących zwieńczeniem całego zestawu jego zabobonnych zabiegów przed występem, który obejmował: bieliznę na lewą stronę, zakaz noszenia niebieskich rzeczy, odśpiewanie dwóch taktów *Five O'Clock Whistle* i niepozwalanie nikomu na używanie słowa „biskup”. Weill poczytał to więc za zawodowe wyzwanie, by znaleźć jak najwięcej logicznych i naturalnych okazji do użycia zakazanego słowa, kiedy przekazywał reżyserkę Seskinore'owi. Stary dziad psiknął dwa razy miętowym odświeżaczem do ust, usiadł ciężko w fotelu reżysera, strzelił knykciami jak orzechy włoskie i założył hełm VR-ki.

– I jak tam, chłopcy i dziewczęta?

– Chłopcy i dziewczęta mogą zaczynać imprezę.

Rekwizyty były na pozycjach, oświetlenie i efekty ustawione, aktorzy przygotowani, a tu Skerry nagle dostrzegła w tym wszystkim ziejącą lukę. Może stracić całe minuty, przegrzebując się przez kupy dewocjonaliów. Może trzeba będzie wziąć zakładnika – coś, co było dla niej nie do pomyślenia. Zagrozić czymś strasznym. Była też możliwość, że w ogóle nie uda jej się znaleźć tej świętej. Pstryknęła interkomem i wyjaśniła problem *Mishconderei*.

– *Merde* – powiedziała *Mishcondereya*, wśród trzasków na linii. Chwila przerwy, potem: – Zawołam Wieżę.

Wywołała Seskinore'a. Seskinore skontaktował się z Bładnochem w ZA-2, który zadzwonił do Weilla i poprosił o kontakt z Jaskinią. Może stara kolejara coś będzie wiedzieć. Kiedy Weill dzwonił do Jaskini Komedii, Skerry słuchała szumów w interkomie i próbowała wypatrzeć twarze w wirujących obrazach, żeby nie pamiętać o tremie. Tę potworną

przypadłość udawało jej się utrzymać w tajemnicy przez całe życie zawodowe – Skerry Scanland Ghalgorm była dosłownie męczennicą tremy. Lęk. Dygot, chodzenie tam i z powrotem, kompulsywne odbijanie piłeczki o ścianę; kulenie się w kątku, z rękoma wokół kolan, kołysanie się i pojękiwanie z przerażenia; dyskretne wymioty. Wyrecytowała parę strof z *Psalmodium Evyna*. Wykonała serię damantyńskich ćwiczeń rozciągających, pobiegała chwilę w miejscu, wygłosiła parę łamańców językowych. Wszystko, żeby tylko opanować ten strach. Na tym występie trema może cię zabić.

– Sker.

– Co, stara kolejara nie wie?

– Stara kolejara spierdzieliła.

Skerry zaczęła mieć złe przeczucia.

– Że co?

– Zniknęła. Dała w długą. Zwiąła. Opuściła lokal. Sker.

– Co?

– Jeszcze jedna rzecz.

Żołądek jej się skurczył.

– Jaka rzecz?

– On się rusza.

– Nie powinien się ruszać.

– Mam wskazania. Odbił od doku i przyśpiesza.

Skerry zakląła. Wszystkie wyliczenia opierały się na nieruchomym celu. Marginesy były i tak wąskie, paskudnie wąskie. Tragicznie wąskie.

– Śledzimy go?

– Właśnie ustawiam radar, żeby go śledził. Będziemy z nim zablokowani, żeby tylko nie wykonywał jakichś gwałtownych zmian kursu.

No i... Sker... ten...

– Co znowu?

– Pamiętasz, mówiłam ci, że jest jeszcze jedna rzecz?

– Tak.

– No to po niej jest jeszcze jedna.

– Gadaj.

– Detektory w Molesworth wykryły pewną liczbę obiektów schodzących z orbity w konfiguracjach naziemnych.

– Liczbę? Jaką liczbę?

– Dużą liczbę.

– Jak dużą?

– Pięć tysięcy, w pierwszej fali.

- W pierwszej? A ile jest tych fal?
- Molesworth wie o czterech.
- Dwadzieścia tysięcy to faktycznie duża liczba. Molesworth wie może, co to jest?
- Na czujnikach nie wychodzi, ale... ten... jak mam to ująć? Ten trzeci księżyc, co kiedyś mieliśmy...
- Matko najświętsza.
- Nie wiem, jak on to zrobił, ale dobrał się do planetarnych systemów obrony. Zrzuca żołnierzy na całą dzienną stronę planety.
- Teraz w jej uchu odezwał się Weill.
- Trzydzieści sekund. Pierwsza pozycja.

Skerry poczuła, że sterowiec zmienia wysokość, gdy Mishcondereya sterowała nim na radar w chmurze nieznanego. Dmuchawy ustawiły się do hamowania, zaszumiały, zwolniły do bezpiecznego buczenia. Miscondereya zaparkowała idealnie nad Katedrą Kościoła Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny, zrównując się z jego powolnym lotem przez mgłę, z której zaraz wygotują się anioły i demony. Skerry próbowała posłać w tę skłębioną parę swój cyrkowy zmysł, żeby wymacał dla niej niewidzialny cel, wrócił ze wskazówkami, podpowiedziami, pomocą. Daj mi znak, jak to wygląda? Daj mi coś, cokolwiek, coś małego.

- Bładnoch gotowy? – zapytał Weill.
- Gotowy.
- Mishcon gotowa?
- Gotowa.
- Skerry gotowa?
- Gotowa jak nigdy.

Zacisnęła wokół kostek klamry gumowych lin, zapięła wokół lewego przegubu izokinetyczną pięść. Zapaliła się kontrolka ładowania. Wybije nią idealną i okrągłą dziurę w kadłubie, zanurkuje do środka, uwolni zapięcia gum, zrobi przewrót i stanie na nogi. Proste. Szkoda tylko, że nie będzie komu podziwiać jej najlepszego numeru.

Show toczy się dalej.

- Wchodzi Armagedon – powiedział Seskinore.

Zielone światło do skoku zapaliło się. I tak jak za każdym razem, choć w to nie wierzyła, za każdym razem, strach zniknął. Przepadł. Przepęłniła ją chłodna, czysta pewność. Proste. To wszystko bardzo proste.

- Śmierć prosta, komedia trudna! – wrzasnęła Skerry i skoczyła na główkę w mgłę.

* * *

– Nigdy! – zagrzemiał Naon Sextus Solstice-Rising Asiim Maszynista XI. Jego pięść uderzyła w lśniący mahoń stołu konferencyjnego. Podskoczyły spłoszone szklanki o grubych denkach przeznaczone do herbaty. – Nigdy, nigdy, nigdy! – Drugie walnięcie, podwójne podkreślenie.

Zebrane głowy rodów, osoby bez teki i najrozmaitsi niezaproszeni spośród Domostw *Katarzyny z Tharsis* przenieśli uwagę na drugi koniec stołu, gdzie siedziała Child'a'Grace, z rękoma złożonymi skromnie na podółku – naturalna przywódczyni sojuszu rebeliantów.

– Ależ, mężu, to jest twoja własna matka – powiedziała łagodnie.

Naon Sextus poruszył ustami. Przez jedną potworną chwilę wszyscy myśleli, że wyzbędzie się wszelkiej przyzwoitości i zwróci się do niej bezpośrednio. Pohamował się jednak i odezwał się do Marii Stuard, jego tłumaczki i popieczniczki.

– Powiedz mojej żonie, że tak, to jest moja matka, i że Taal Chordant Joy-of-May Asiim Maszynistka X jest Maszynistką z krwi i kości, i gdyby tutaj była, sama powiedziałałaby wam to samo, co mówię ja: nigdy, nigdy, przenigdy nie spóźniliśmy się z żadną dostawą. Powiedziałałaby: zostawcie mnie tutaj.

Zgromadzenie zastanowiło się nad tym zapętłonym rozumowaniem. Sala Narad wypełniała się miarowo – po całym pociągu rozniosła się wieść, że to, co tliło się przez cztery długie lata między Naonem Maszynistą i jego żoną, wreszcie buchnęło płomieniem. Miejsca w pierwszym rzędzie, na scenie wielka domowa afera! Widzowie wypełniali odgrozione balustradami miejsca dla Krewnych i Rodzin na obu końcach wagonu. Bassarini stawili się całą rodziną. Oni zwłaszcza byli spragnieni widoku kompromitujących się publicznie zarozumiałych Maszynistów.

– Ale to był czerwony telefon – powiedział Romereaux.

Sala konferencyjna miała teraz prostą polaryzację. Z jednej strony Zatrzymywacze Pociągu, z drugiej Towar Musi Być Na Czas, pomiędzy nimi niezdecydowani, a za mosiężną balustradą hałaśliwi kibice krwawego sportu. Wśród niezdecydowanych – głównie Trakcyjni, paru Reaktorowych młodego pokolenia oraz najstarsi Bassarini, kiwający głowami i potakujący: Czerwony Telefon, tak tak, czerwony telefon, sytuacje krańcowe, Pomoc Nieogarnialna Rozumem, w Najcięższych

Tarapatach, najcięższych z ciężkich, Taal Chordant, oczywiście, że ona wie, inaczej nie zrobiłaby, coś okropnego.

– Czerwony Telefon można zignorować – skontrował Naon Maszynista.

Wszyscy wstrzymali oddech. Herezja. Zignorować czerwony telefon? Głupota. Gorzej niż głupota. Lekkomysłność. Niebezpieczeństwo. To może być groźny precedens. Taal Maszynistka to nie jakaś krowa, co ryczy „lampart, lampart, lampart”. Zbiorowa głowa zwróciła się z powrotem ku Child’a’grace. Ta odczekała, z godnością, jak ikona, aż w sali zapadnie spokój, mogący równać się z jej opanowaniem. Samo to, jak siedziała w swoim fotelu, sprawiło, że wszyscy przyjrzeni się swojej własnej postawie i odrobinę się wyprostowali.

– Mężu, twoja matka, niech ją święci mają w opiece, doskonale zdaje sobie sprawę z Formy, praktykowała ją o wiele lat dłużej niż ty – odezwała się Child’a’grace. To prawda, kiwające głowy zgodziły się, tak tak. – Nie narażałaby na szwank ekonomicznego dobrostanu tego pociągu i wszystkich, którzy z niego żyją. Nie zrobiłaby tego dla byle czego, mówię, lecz tylko w jednej, jedynej sprawie: dla rodziny. Czyż użyłaby go, gdyby nie chodziło o jedną, jedyną sprawę, o nasze dziecko, naszą córkę, Sweetness Octave?

Skąpy aplauz przerodził się w małą owację. Wielu Trakcyjnych, Reaktorowych, Bassarinich od pokoleń chowało lekką niechęć, że są wiezieni, a nigdy sami nie wiozą. Maria Stuard, wyczuwając bunt, uniosła się z obszytego zielonymi guzikami fotela. W pokoju zapadła cisza.

– Ekonomiczny dobrostan? Może pochylimy się nad nim na moment? Ekonomiczny dobrostan tego pociągu i wszystkich, którzy z niego żyją. Tak się chyba wyraziłaś, prawda, Child’a’grace? Bardzo się cieszę, że użyłaś tego zwrotu, bo on dobrze precyzuje, jak powinniśmy o tym myśleć. Albowiem, pomimo naszych licznych Domostw i sekretów, ten pociąg jest jednym narodem, jednością, ruchomą i niepodzielną. Wszyscy jedziemy po tych samych torach, do tego samego celu, wioząc ten sam ładunek. To, o czym tu rozmawiamy, to nie jest tylko sprawa Maszynistów. Ani tylko Stuardów i Reaktorowych. To dotyczy nas wszystkich, Trakcyjnych, Bassarinich, wszystkich nacji *Katarzyny* z *Tharsis*. Dlatego miło mi tu widzieć przedstawicieli wszystkich nacji i wszystkich pokoleń. Na szali, przyjaciele, jest nasz ekonomiczny dobrostan. A to nie jest odpowiedzialność tylko jednej rodziny, a tym bardziej jednej przedstawicielki jednej rodziny.

Popatrzyła w zasłuchane twarze.

– Zgadzam się z moją przyjaciółką Child'a'grace, że Taal Chordant użyłaby awaryjnej łączności tylko w imieniu kogoś innego, a strata młodej Sweetness Octave boli mnie tak samo jak was wszystkich, ale zastanówcie się jeszcze raz nad słowami „dobrostan ekonomiczny”. Sweetness Octave miała wybór. I dokonała go, opuściła pociąg. Ma do tego prawo. Ale jej wybór sprawił, że my nie mamy wyboru. Musimy żyć z ekonomicznymi i społecznymi konsekwencjami jej wolności. Nie chcę się tu rozwodzić nad ekonomicznymi skutkami kontraktów małżeńskich – mamy najrozmaitsze obyczaje matrymonialne – nie mówiąc już o skutkach społecznych. Wystarczy, że powiem o tym, czego już wszyscy doświadczyliście – że prawdziwym poszkodowanym jest dobre imię *Katarzyny z Tharsis*, a od tego dobrego imienia zależy nasz dobrobyt. My jesteśmy *Katarzyną z Tharsis*, która ma pod kołami czterysta lat historii, a imię bierze od naszej Pani Najświętszej. To my powinniśmy prowadzić teraz Ekspres Ares. W naszych wagonach klasy Excelsior powinni siedzieć prałaci i nababowie, a nie pół lasu i fermentująca fabryka pełna robactwa. Ale to jest praca – jedyna praca, jaką chcą nam teraz dać. No właśnie. Nie będę was zanudzać tym, jak długo ja i moja rodzina musieliśmy się wyklócać, by dostać chociaż to. Tak nisko spadły nasze akcje. Tak nisko. Ale to są pieniądze. Nimi płacimy za korzystanie z torów, za wodę, za ubezpieczenia i hipoteki, za nie kupujemy odrobinę jedzenia dla siebie. To nasz ekonomiczny dobrostan. A wy teraz chcecie spuścić wszystkie terminy, rozkłady i daty dostaw w toalecie – i to – uważajcie – dokładnie dla tej osoby, która doprowadziła nas do takiego położenia. Nie wystarczyło jej, żeby to zrobić raz. Chce to powtórzyć. Ona nie wie, jej to nie obchodzi. Cokolwiek robicie, mam to gdzieś, zatrzymajcie się. Zabierzcie mnie, bo mam dość. Znudziło mnie życie w wielkim świecie. Chcę wrócić. Pamiętajcie, ona postanowiła nas opuścić. Postanowiła odejść, bez zastanowienia, nie pomyślała o nas, a teraz chce do nas wrócić jak gdyby nigdy nic.

Maria Stuard rozejrzała się po poważnych twarzach za stołem. Wymierzyła im policzek, twardą dłonią prawdy. Teraz pora na kroplę miodu. I stół będzie należał do niej.

– Nie mówię, żeby ją zostawić – powiedziała i prawie usłyszała, jak z mięśni jej słuchaczy ulatuje napięcie, niczym chemiczne westchnienie. Pozwoliła sobie na nieznaczny uśmiech. – Mówię tylko: nie teraz. Kiedy dowieziemy. Kiedy zdobędziemy nasz następny kontrakt, ona będzie z powrotem mile widziana wśród nas. Jesteśmy przecież jednym ludem na jednym torze. Ale nie teraz. Nie teraz.

Wstała, sycąc się dźwięcznymi oklaskami.

– Już, chyba to załatwiło sprawę – szepnęła na boku do Naona Maszynisty.

I tak też wyglądało. Psy gończe buntowników były podłamane, Romereaux wściekał się w milczeniu, a Child'a'grace siedziała nadnaturalnie spokojnie. Maria Stuard poczuła, że jeżą się jej włoski na karku od fali magnetyzmu, subtelnej charyzmy tej kobiety Maszynistki, powoli przesycającej pomieszczenie jak kadzidło i odwracającej ku niej wszystkie głowy.

– Ty nie jesteś matką, prawda?

Wszyscy się zbiorowo zatchnęli. Był to cios wyjątkowo poniżej pasa, nóż w brzuchu, młot w jaja, cios z partyzanta, po którym nie da rady oddać, zwycięskie przebicie dzidą, którego nie da się użyć honorowo. Bo wszystkie grzeszne dusze na pokładzie *Katarzyny z Tharsis* wiedziały, że to prawda. Maria Stuard zachwiała się, jej pewność siebie zanihilowana, straciła energię, zgaszono jej termojądrowy ogień. Osłabła. Zbladła. Przesunęła dłonią po twarzy. Wyglądała na słabą, zdeorientowaną, po raz pierwszy nie miała gotowej ciętej riposty. Czegoś takiego nikt na tej radzie wcześniej nie widział i nikt teraz nie wierzył własnym oczom. Opadła ciężko na swoje miejsce, śmiertelnie przebita, otwierając i zamykając usta jak wyrzucony na brzeg dorsz, lecz Child'a'grace na tym nie poprzestała. Wreszcie do głosu doszły długie lata ćapati. Zwróciła się do Naona Sextusa Asiima Maszynisty XI.

– A ty, to ciało z twojego ciała i krew z twojej krwi, twoje nasienie i twoje marzenie? Jesteś ojcem, a nie kimś jałowym i suchym jak ta tyczka, ten cierni – i ty miałbyś być taki sam? Dolary i centawo. Dolary i centawo. Jedność, pociąg, pociąg, jedność. *Katarzyna z Tharsis* to jej ludzie, jej bogactwo jest tutaj, w tym pomieszczeniu, nie w tym, co wlecemy za sobą dla innych jak psy pociągowe. Nasze bogactwo to nasze ludy i jeśli kogoś z nas zabraknie, jesteśmy zubożeni, biedniejsi, a jeśli kogoś z naszych chcemy z własnej woli sprzedać za dolary i centawo, niby dla własnego bezpieczeństwa, to znaczy, że już przepadliśmy. Już zbankrutowaliśmy. Nie jesteśmy już godni pary. Zasługujemy na to, żeby pójść pod młotek na licytacji w równonoc zimową, a potem wziąć w ręce motyki albo zabrać się za pracę biurową.

Naon Sextus zerwał się na nogi z twarzą jak podgrzewacz reaktora. Wszystkie usta wokół ułożyły się w zdumione „O”.

– Kobieto, za daleko się posunęłaś! Za daleko! Do czego ty chcesz mnie popchnąć! Nie jesteś kolejowa, nie jesteś z tej krwi, ty nie masz

o niczym pojęcia, o niczym... ty... Suskawanno, ty Peronowa.

Cisza była absolutna a szok pełen. Nie w związku z tym, co powiedział, choć to było okropne. Lecz do kogo – do kogo – to powiedział. Do swej żony. Bezpośrednio. Prosto w twarz. Z uczuciem.

Child'a'grace wypełniła pełną osłupienia pustkę działaniem.

– Za mną, szybko! – krzyknęła, zerwała się od stołu konferencyjnego i wyskoczyła przez drzwi wagonu.

Romereaux szybko jak myśl rzucił się za nią, potem, według szybkości, Thwayte Maszynista, jego siostra Anhinga, Psalli, Ricardo i Miriamme Trakcyjni oraz Mercedes Reaktorowa od azbestowych rękawic i bezczelnych organów parowych.

– Szybko, szybko, szybko! – wołał Romereaux, poganiając ich, kiedy Naon Maszynista otrząsnął się ze swego osłupienia z potwornym krzykiem „Bunt!” na ustach, a Sli i Rotherham na czele tłumu rzucili się ku drzwiom jak psy gończe.

Romereaux zatrzasnął je i zablokował im przed nosem. Zyska parę sekund, nie więcej. Ale też potrzebował tylko paru sekund. Steatopygiczny zad ciotki Mercedes już zniknął w zejściówce prowadzącej na górę tendra, Sli i Rotherham kręcili ręcznym awaryjnym otwieraniem drzwi i już otworzyli jedną z sześciu zapadek. Romereaux wbił swój osobisty kod do mechanizmu awaryjnego zwalniania wagonów. Bracia Maszyniści zobaczyli, co zamierza, i zdwoili wysiłki. Przyłączył się do nich Naon, z twarzą przyciśniętą bokiem do okienka. Przez turkot kół Romereaux usłyszał powtarzające się okrzyki „Bunt, bunt!”. Zwolniły się dwie zapadki, trzy. Panel opluł autoryzację Romereaux zwięzłym „błędny kod”. Romereaux zaklął egzotycznie i powtórzył kod, zaklinając palce, by były powolne, dokładne, cierpliwe. Cztery zapadki zwolnione, pięć. Szósta i ostatnia zaczynała się obracać. Była do połowy zwolniona. W trzech czwartych.

– Kod przyjęty – zameldował panel.

Zaświecił się żółty kwadratowy przycisk. Romereaux walnął weń, gdy szósta i ostatnia zapadka spadła na pokład, drzwi otworzyły się nożycowo, Rotherham i Sli zanurkowali w nie – i dokładnie w tej chwili zdetonowały ładunki wybuchowe w sworzniach sprzęgu. Rotherham i Sli przez moment wisieli w powietrzu, potem wydawało się, że choć nadal są w pół skoku, coś ściąga ich w tył – pomiędzy wagonami pojawiło się jasne niebieskie niebo, a tylna część pociągu zaczęła zwalniać pod swym gigantycznym ciężarem.

Romereaux zamachał palcami do oddalających się lojalistów, gdy *Katarzyna z Tharsis*, pozbawiona obciążenia, rozpędzała się do niesłyszanej dotąd prędkości. Ostatni krzyk „Bunt!” przeniknął wycie wiatru oraz pary i ucichł.

Romereaux dotarł na zatłoczony mostek. *Katarzyna z Tharsis* dudniła z prędkością czterystu dwudziestu na godzinę pięknie prostą stalową linią.

– Ja przepraszam, ale kto prowadzi pociąg? – zapytał.

– Na mnie nie patrz – odparł Thwayte, który wkręcił się w cały ten dramat i właśnie zaczynał się zastanawiać, co właściwie narobił. – Jestem tylko dzieciakiem.

– Na mnie też nie – odpowiedziała jego starsza o dwa lata siostra Anhinga. – Dziewczyny nie prowadzą pociągów.

– Na nas też nie – powiedziała trójka Trakcyjnych. – Jesteśmy Trakcyjni.

– To kto to jest, kurna? – zapytał znów Romereaux, nerwowo popatrując na przeskakujące na prędkościomierzu cyferki.

Odgłos, jakby coś zardzewiałego wytrzęsło się i uwolniło, jakby ktoś wykaszlał zbieraną przez lata flegmę, napętniając nią całe wiadro, jak wypróżnienie po zatwardzeniu, jak jęki, które wydają pogrzebani żywcem, kiedy ratownicy otwierają wieko trumny. W ciemnym kącie mostka coś się poruszyło. Zaszumiały silniczki. Dziadek Bedzo wytoczył się ze swojej wnęki, oblepiony zaschniętą śliną i trzęsący się w skurczach. Lecz jego cyber-czepek jarzył się mocą. Wyszczrzył się w bezzębny, okropny uśmiechu, myślą przeczucił zwrotnicę na Krzyżówce Abbermeyer i wjechał *Katarzyną z Tharsis* na główną magistralę Doliny Marinerów.

– *Tante* Miriamme – zapytał Romereaux. – Masz rękawice?

– Oczywiście, skarbie. – Zamachała nimi nad głową.

– To zakładaj je, idź na górę i graj ile sił, niech Sweetness wie, że rodzina jedzie na pomoc.

Kolejowi mają ten wrodzony zmysł. To rzecz ewolucyjna. Niezbędna dla przetrwania. Weźmie się ich raz w jakieś miejsce i już zawsze, choćby nie wiadomo po ilu latach, będą się w nim bez problemu orientować. We mgle, w ciemności. We mgle, w ciemności podczas awarii prądu. Jeżdżą w tyle miejsc i muszą wszystkie pamiętać, inaczej Nowe Merionedd pomyli im się z Nowym Kosmobadem, Mądrość z Lyxu, Belladonna z Llangonedd, Żelazna Góra z Chińską Górą i wszyscy się katastrofalnie pogubią. Tak przekonywała Sweetness Faraona, prowadząc go spiralnymi korytarzami i tunelami Katedry Kościoła Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny. A może i nie przekonywała. Po prostu opowiadała na tyle dobrze, że szedł za nią.

– A dokąd my idziemy?

– Do sali audiencyjnej. Sali obecności, czy jak tam on to nazywa. Na samą górę.

– Pewna jesteś?

– A co, byłeś tu kiedyś?

Nie mając na to odpowiedzi, Faraon truchtał za stanowczą Sweetness. Dwa sektory w głąb prawej burty zatrzymał się znów.

– Ty to czujesz?

– Co czuję?

– Coś jakby słodkiego, czekoladowego, perfumiasto-powietrzno-motylowego.

– Powietrzno-motylowego?

Wzruszył ramionami.

Dalej. Był już w stu procentach przekonany, że trzy razy przeszli tą samą orbitą korytarza.

– To co powinno być na tej pokrywie?

– Skrzydła.

– Pewna jesteś?

Sweetness stanęła jak wryta. Jej porywczy temperament buchnął ogniem.

– Tak, jestem pewna, i tak, wiem dokładnie, gdzie to jest, i tak, dokładnie wiem, dokąd idziemy. Tutaj.

Walnęła pięścią w zamknięty segment grodzi prowadzący do promienistego korytarza. Odskoczyła zdziwiona, gdy gródź uniosła się, ukazując korytarz wypełniony po brzegi Wiecznie Krążącą Duchową Rodziną.

– Oj – powiedziała Sweetness.

– Ojoj! – zawołała Wiecznie Krążąca Rodzina, uniosła ręce w przerażeniu i uciekła jak jeden mąż.

– Proste – rzuciła Sweetness, pstrykając palcami z podziwu godną nonszalancją i patrząc na pusty korytarz. – No chodź, tędy.

– Mówiłem, że coś czuję – powiedział Faraon, węsząc.

Sweetness zatrzymała się przy kolejnych okrągłych drzwiach w połowie korytarza.

– Tutaj.

– Co jest tutaj?

– Wejście na górę, no. Na Święte Dziecko, czy ty musisz o wszystko pytać? Ja mam te geny, ty nie, na tym polega ewolucja. Tutaj. – Walnęła wierzchem dłoni w zatrask drzwi. Odskoczył. Sweetness spojrzała w ciemność rozbłyskującą tysiącem luster.

– Może jednak nie tutaj.

W tych lustrach odbijał się jakiś człowiek, człowiek z szacowną siwizną i wypielegnowaną urodą, z wyrafinowanym gustem co do ubrań, z czarną laską w dłoni. Człowiek, który, kiedy patrzyła, odwrócił się, jakby ją zwierzył, a wszystkie jego lustrzane odbicia odwróciły się z nim jak jeden mąż. Człowiek, który teraz celował w nią czymś, co wyglądało niewątpliwie jak pistolet.

– Leć! – wrzasnęła Sweetness i odskoczyła od drzwi, Faraon krok za nią.

Korytarzem zatrzęsała potężna eksplozja i rozległ się łoskot tłuczonego szkła.

* * *

– To ty!

Słowo zawisło w naelektryzowanym powietrzu lustrzanego labiryntu. W lustrze spotkały się oczy – zielone, szare. Potem Harx sięgnął za poję swej nieskazitelnej marynarki, wyciągnął przenośny induktor pola, okręcił się i z paskudnym krakaniem strzelił w źródłowy obraz. Huk eksplodującego szkła, posypał się na niego milion drobnych odpadków. W tej samej sekundzie kątem oka dostrzegł tę postać, tego kolejowego bachora, tę wredną, upartą i chamską dziewczynę, która nie akceptuje swoich ograniczeń, która uparcie chce walczyć z lepszymi od siebie, która nie da sobie spokoju, nie pogodzi się z odmową i nie ma pojęcia, kiedy została pokonana. Postać przetoczyła się i zanurkowała pod osłonę. Podniósł broń, sapiąc.

Gaz. Zaczyna na ciebie działać. Nie możesz sobie pozwolić tak postępować, nie dla jednej brudnej torowej dziewczki. Ale tak go drażniła. Chciał się jej pozbyć, na dobre, na zawsze. Okręcił się, wypatrując w lustrach nieautoryzowanych odbić.

Jest.

– Jaaa!

Okręcił się, wystrzelił sześć szybkich, prostych impulsów do sześciu stojących postaci, które ukazały się, kiedy lustra obróciły się w swoim niestrudzonym walcu. Lustrzany labirynt rozbrzmiał wielokrotnymi detonacjami. A ona dalej z niego drwiła, tylko że kilkanaście odbić dalej. Nieważne. Oburącz wycelował miotacz pola, rozbił paskudną dziewczynę na proch i krzemionkę, zaraz nie będzie miała żadnej kryjówki, nie będzie żadnych lusterek do osłony. Płatki srebrnej lustrzanej powłoki powoli opadały mu na ramiona.

Jakiś spokojny punkt pod warstwą paranoi gazów bojowych powiedział: „Ona się nie rusza, jej tu w ogóle nie ma. Strzelasz po prostu do odbić odbić odbić”.

Sela. Ale dobrze jest strzelać. Dobrze jest zrzucić z siebie ograniczenia świętości, duchowości, odpowiedzialności, status guru i walić z wielkiego pistoletu do czegoś, co bardzo cię denerwuje.

– Łaaaaa!

Kręcąc się jak derwisz, z induktorem ustawionym na ogień ciągły, wyciął w swoich obrotowych lustrach pas sypiącego się szkła.

– Wyłaż, wyłaż, wyłaż!

Ruch. Odwrócił się. Jednym wspaniałym, gładko naoliwionym ruchem uniósł i wycelował w postać w lustrze. Jednakże za późno zdał sobie sprawę, że to nie jest jego Nemezis. Harx II, jego innoświatowy sobowtór,

wytrzeszczył oczy, uniósł ręce w błaganiu, przeczeniu, nadziei. O wiele, wiele za późno. Gorliwy palec wcisnął przełącznik. Grawitomagnetyczny taran rozproszył go na subkwantowe odłamki.

Burzyciel Harx zachwiał się. Któżby się nie zachwiał, właśnie strzeliwszy do samego siebie? Induktor pola upadł jak odpuszczony grzech na podłogę. Skrzeknął cicho. Chwycił się za serce. Czuł, że coś z niego wydarto. Że część jego jaźni umiera. W napadzie dezorientacji i paranoi zabił sam siebie.

Nie. To też jest paranoja. To gaz bojowy, podobnie jak wizja tej drwiącej, wyszczerzonej kobiety – teraz wiedział, że mignęła mu tylko przez jedną, krótką chwilę, pomnożona przez układy *vinculum* rozbitego labiryntu. A ten człowiek – to był Harx, ale nie Harx. Człowiek lustrzany, odbicie, twór z cudzego wszechświata. Żołnierz wierny jak pies. A tacy żołnierze giną.

W sumie dobrze. Od dawna go złościło, że taki niechluj wydaje mu rozkazy.

Zdegustowany własnym brakiem opanowania, Burzyciel Harx wypadł ze swego sanktuarium. Jest wojna do wygrania i nie wygra się jej ekstatyczną, rzeźnicką przemocą. Opanowanie. Pilność. Determinacja. W korytarzu zastał fioletową powódź akolitów biegających tam i z powrotem. Czy w tłumie tych spanikowanych głosów nie usłyszał czasem strzałów? Złapał przebiegającego wiernego, drobnego, rozdygotanego chłopaka z fryzurą na garnek.

– Co tu się, kurna, dzieje? – zagrzmiął.

– Piekło! – wykrzyknął mały wyznawca i uciekł z wrzaskiem.

Harx precyzyjnie przeszedł przez skłębiony tłum do windy. Gdy otworzyły się drzwi, sterowiec szarpnął, wrzucając go do kabiny. Zasunął drzwi i krzyknął do rury głosowej:

– Komnata obecności!

Winda uparcie tkwiła w bezruchu. Zawołał po raz drugi, trzeci raz, czwarty. Załoga windy ewidentnie opuściła posterunek i przyłączyła się do szalejącej w korytarzach masowej hysterii.

– Czy ja zawsze muszę wszystko sam robić? – powiedział do wszechświata i zaczął kręcić kabestanem.

* * *

W perygeum skoku, w punkcie najsilniejszego napięcia liny, Skerry zwolniła zapięcia, przetoczyła się w przód i zatrzymała w bojowej pozycji

na czubkach palców, podczas gdy elastyczne liny wróciły jak proca przez otwór wybity jej izokinetyczną pięścią. Chwila na poprawienie zatyczek do nosa na wypadek napotkania jakiś resztek halucynogennego gazu Mishconderei, kolejna na ustalenie kursu na zegarkowej nawigacji, szybkie poprawienie trykotu, który się wrzyna w pośladki, i można ruszać do akcji.

– Dobra, wchodzę – powiedziała do mikrofonu na krtani. Wciąż nie miała pojęcia, gdzie wchodzi i czego ma szukać. Ale dotarła cała i zdrowa. – Straszny tu jazgot. – Rzeczywiście pod jej stopami rozbrzmiewał hałas, jakby coś poszło bardzo źle z imprezą u sąsiadów. Podkraśla się na palcach, hałas wcale nie ucichł. – Bładnoch, oni się chyba naprawdę wkręcili w ten twój spektakl!

Na linii odezwał się reżyser Seskinore.

– Moja droga, mam tu sugestię doktorów od głowy z Mądrości. Radzą iść raczej na dół niż na górę. Jakaś tam psycho-coś-tam teoria o ludziach i cennych rzeczach.

– No to szkoda, bo ja idę na górę. Nie przyszedłam tu na operację cycków.

Sprawdziła nawigację na przegubie. Jej ultradźwiękowe nietoperzowe piski przenikały wszystkie poziomy tej poskrzypującej, rozklekotanej budowli i kreśliły prymitywną mapę. Ruszyła, idąc na czubkach palców swych antypoślizgowych butów. Na każdym zakręcie wybierała drogę do wewnątrz. Na każdym schodach – na górę. Dźwięk dobrze się niósł tymi zakręconymi korytarzami, ostrzegając ze sporym wyprzedzeniem o każdym nadchodzącym kroku. Czasu było aż nadto, żeby gdzieś się schować – w szafce ściennej, szybie wentylacyjnym u dołu, za panelami sufitowymi. Co to jest teraz z tymi młodymi, myślała, gdy pod nią przebiegali odziani w fiolet wierni, że zabawa, tańce, picie, seks to dla nich za mało? Czemu oni muszą uciekać, dołączać do jakichś religii, wszyscy się tak samo ubierać i nosić paskudne, paskudne fryzury? Każde pokolenie odrzuca *mores* poprzedniego. Ty powinnaś coś więcej o tym wiedzieć, córko pełnych przeciągów komnat Ghalgormu.

Lepiej w ogóle unikać ludzi. Kanał w suficie, w którym się schowała, doprowadził do przewodu wentylacyjnego. Po kilkunastu metrach, które pokonała, czołgając się, rozgałęził się. Nawigacja podpowiedziała, że lewy odcinek prowadzi do centralnego pionu technicznego katedry. Skerry zawsze była fanką pionów technicznych. Wykopała płytę przesłaniającą koniec tunelu. Spadła imponująco daleko pomiędzy wydęte gazowe balonety, uderzyła w napiętą siatkę i odbiła się. Skerry

wyszczерzyła się, przerzuciła się na belki głównej konstrukcji, ażurowe jak plaster miodu i zaczęła się wspinać. Na górę. Wciąż jednak nie miała pojęcia, czego właściwie szuka. Przestrzeń pionu wzmacniała dźwięki niczym kościelna nawa, odbijając je i skupiając w niespodziewany sposób. Jazgot spanikowanych ludzi w korytarzach zawiewał falami z przodu, z tyłu, z góry, z dołu, denerwująco upiorny. Skerry podskoczyła, słysząc nagły terkot działek, choć rozum tłumaczył, że nawet nastoletni akolita nie byłby takim debilem, żeby strzelać z normalnych naboii w statku lżejszym od powietrza.

– Mish?

– Co jest?

– Słyszałam strzały.

– A, to. Nawalają seriami do wszystkiego, co się rusza. Wcześniej czy później musi im się skończyć amunicja. A co u ciebie?

– Jestem na galerijce dokładnie pod środkiem statku. Nad sobą mam sufit, nawigacja mówi, że to podłoga sali kopułowej. Najpierw pójdę tam, tylko się stąd wydostanę.

Nawigacja miała też mały sprytny dynks (jak to elokwentnie nazwał Weill), wystarczająco cwany, by otworzyć klapę z galerijki na korytarz. Dwie połówki drzwi rozsunęły się, ukazując młodą, ciemnowłosą kobietę ubraną w nieprawdopodobną zbieraninę polowych ciuchów i sprzętu, szarpiącą za klamki wpuszczonych podwójnych drzwi naprzeciwko. Skerry zamarła. Dziewczyna zamarła. Obok niej stał podobnie piracko wystrojony chłopak, który także zamarł, lecz to dziewczyna przykuła uwagę Skerry. W natychmiastowej chwili oświecenia domyśliła się, kim ona jest, czego szuka za tymi drzwiami i po czym je rozpoznała.

– Ej! Ty!

Czar prysł. Dziewczyna wyciągnęła coś, co wyglądało jak krzyżówka kuszy z tapicerowanym meblem. Skerry nie czekała na demonstrację możliwości tego czegoś. Salto w tył przeniosło ją poza zasięg strzału. Uczepiła się sufitu, zawisała po pajęczemu, wyjrzała w odwrócony korytarz. Pusto. Ciemnowłosa dziewczyna – ta wnuczka, kolejowa dziewczyna, ta, co była w samym środku tej szalonej afery, jedyna osoba poza Harxem, która wiedziała, jak wygląda boskie naczynie, zniknęła, razem ze swoim chłopakiem. Lecz podwójne drzwi stały otworem.

– Idziemy! – powiedziała Skerry, zeskakując z przewrotką na ziemię.

* * *

Mishcondereya zrobiła latającym jachtem ostry zwrot przez lewą burtę, o milimetry mijając Skrzydlatego Edsela¹¹. Próbując opanować niestabilny mały pojazd w chaotycznych turbulencjach wywołanych przez wyrastające z chmur i z powrotem w nich się zatapiające potworne upiory, rzuciła paroma najlepszymi przekleństwami ze swej szkoły dla dam.

– Chętnie bym zobaczyła, co na ten temat mówi instrukcja producenta – wysyczała, prostując statek.

Natychmiast weszła w bolesne dla wentylatorów wznoszenie, gdy z rykiem rzucił się na nią Cheraf Pharigoster z uniesionymi ognistymi plagami. Nie były bardziej materialne niż mgła, z której zostały ukręcone, ale nie można przez nie tak po prostu przelecieć. Trzeba zachować złudzenie.

– Gdzie on teraz, kurna, polazł?

Radarowy namiar dawno przepadł. Mishcondereya namierzała manewrującą z trudem katedrę, chwilami niewidoczną w skłębionych chmurach aniołów i świętych, na oko, wycucie, skurcze jajników i szczęście. Teraz mignęła jej na moment, ta twierdza Harxa, w peryferyjnym polu widzenia, owinięta mackami Premgee, Światożernej Kałamarnicy.

– Łuhu! – zawołała i natychmiast zanurkowała sterowcem za nim. Balonety zadudniły, dźwigary zajęczały, rozpórki zastękały. Co za frajda!

– Kurs dwa zero dwa zero dziewięć! – zawołała do Bładnocha, dyskretnie krążącego w ZA-2 na tylnych obrzeżach chmurowego wiru. – Delta v, jakieś dwadzieścia kwadrat. – Potrafiła tym jechać na autopilocie i lubiła go straszyć technicznym żargonem.

– Jadziem – powiedział spokojnie Bładnoch.

Z wysokiej wieżyczki sterówki patrzył, jak Mishcondereya nurkuje w serce Zmierzchu Bogów. Zastanawiał się, co o tym myślą ludzie na ziemi i jakimi kłamstwami muszą być karmione media, żeby im tłumaczyć, dlaczego Jeździec Na Wielogłowej Bestii wybrał akurat ten dzień i ich okolicę na starcie z Siedmiorgiem Świętych. Nieważne, i tak czuł się po gospodarsku dumny. Jeden z jego lepszych numerów. O tak, zdecydowanie. Prawie mógł się nim napawać. Zastanawiał się chwilę, jak to by się dało przemycić do cefalki, a potem wywołał Kontrolę na komunikatorze.

– No? – powiedział Weill, zachwycony zapasami pomiędzy Dwoma Samotnymi Rycerzami i paroma łuskowatymi członkami Niebiańskiego Cyrku, które rozwijały się nad kantonem Nanerl jak letnia burza. Kto by

pomyślał, że w siłach boskiego porządku kryje się tak wspaniała anarchia?

– Weill, daj więcej pogody.

– Daję całą pogodę, jaką mamy, kurna.

– Skończy się chmura, to wszystko się skończy. Siedzimy z jajami na wierzchu.

– Masz w ogóle pojęcie, ile to wszystko kosztuje?

– Od kiedy to się przejmujesz pieniędzmi podatnika?

Seskinore przejął linię. Oprócz pozostałych przedwystępowych rytuałów, dziabnął sobie jeszcze podwędzoną z zapasów Weilla tabletkę Tefranolu i był teraz przekonany o swojej wszechmocy jak sam Panarcha. Albo i bardziej. Mógł Panarsze rozkazywać – o, tam sobie On idzie. Kręci bączki w ramach Dni Ostatnich.

– Ile by to kosztowało, będzie załatwione – mruknął basowo.

Nie było teraz takiej rzeczy, której nie byłby w stanie załatwić, błogosławieństwa, którego nie mógłby udzielić, trzymał w garści żywioły i kazał im śpiewać i tańczyć. Miliony ludzi z rozdziawionymi *gobemouche* ustami obserwowało wytwory jego geniuszu i wszyscy go uwielbiali. Uwielbiali. Mimo że nie mieli pojęcia, kim jest, ale i tak uwielbiali. Wreszcie scena! Scena godna wielkiego Seskinore'a. Wywołał Mishcondereyę:

– Moja droga, *timing! Timing!* Kwintesencja komedii!

– Znaczy?

– Znaczy, że trochę zostajesz z tyłu. Skerry znów musi się cofać.

– Ses, oni tam mają gatlingi i nie wahają się ich użyć – odparła Mishcondereya, myśląc „głupek”, choć jednak podprowadziła statek bliżej do falangi Jeźdźców Dusz. Jednocześnie rozdarł się alarm zbliżeniowy i Weill – od jego ostrzeżenia omal nie strzeliły jej bębenki. Czystym odruchem zeszła jachtem z toru szczęściu oślepiających smug światła, które zapłonęły jej nad głową i w tej samej sekundzie zniknęły.

– Bładnoch, co ty tam odpierdzielasz?! – wrzasnęła, z trudem unikając walnięcia śródkręciem w Wielki Pantehnikon.

– To nie moje, Mishcon. Te są w stu procentach materialne. Fizyczne.

– Ja wam powiem, co to takiego – dodał ponuro Weill. – To są fale pięć i sześć. Nasz szanowny Harx właśnie podbił stawkę.

* * *

Sweetness i Faraon pędzili na łeb na szyję łagodnie skręcającym korytarzem, który według niezawodnego kolejowego zmysłu Sweetness prowadził do komnaty obecności Burzyciela Harxa. Jasna cholera i ciężka grypa, odkąd ostatni raz tu była, minęło ledwie parę dni. Prawda, dość intensywnych dni, ale ile można zapomnieć? Stała przed podwójnymi drzwiami, oparła dłoń na przycisku otwierania.

– To tu – stwierdziła.

– Na pewno? – zapytał bez wiary Faraon.

– Na sto dwadzieścia procent – odparła i wcisnęła dłonią przycisk. –
Widzisz?

Przez te parę dni, odkąd ostatni raz przebywała w komnacie obecności, wiele klęsk spadło na tę piękną salę. Poprzewracały się drewniane kaganki na tyczkach, stół w kształcie podkowy przełamała na pół spadająca belka, trzynaście krzesel leżało porzucanych, z poprzetrącanymi grzbietami. Sweetness przeszła na środek przez dywan z glasytowych odłamków. Spojrzała w górę przez rozbitą kopułę, osłaniając oczy przed bladym poblaskiem mgły.

– Co, kur...

Faraon pracował nad drzwiami – blokował klamki połamanymi oparciami krzesel. Uniósł wzrok na jej okrzyk.

– Co tam?

– Wydało mi się, że widziałam... no nie wiem, to niemożliwe... anioła. Patrzył prosto na mnie.

– W tym miejscu nic mnie nie zdziwi – powiedział Faraon. – Ani u ciebie. Dobra. To ich powinno na trochę zatrzymać.

Sweetness przyjrzała się rozmiarom zniszczeń wspaniałej sali.

– Matko miłosierna, ci goście to umieli rzucać tym dynamitem – zawyrokowała. – Od czego w ogóle zacząć w takim bałaganie?

– Pokrywka jak hełm ze skrzydłami – przypomniał Faraon. – No.

– O, to może być tam.

Drewniany ołtarz wstawiono tu po wizycie Sweetness i cudem uniknął zniszczenia, co zdarza się ołtarzom często i stanowi niezbitą dowód ich świętości. Fioletowi akolici włożyli w niego wiele godzin pracy; był to tryptyk przedstawiający Świętą Katarzynę na Świecie Ojczystym, Świętą Katarzynę sadzącą dłońmi w hermetycznych rękawicach w regolicie Chryse Drzewo Początku Świata oraz Świętą Katarzynę Umartwioną, pod postacią przejrzystej kobiety w powiewnej sukni. Pełne pasji, choć naiwne. Pięć promienistych ramion dźwigało miniatury z Wojen Rzeczywistości, nastoletnich cyberżołnierzy w lustrzanych okularach,

z drutami w głowach, eskadry bombowców logicznych robiące uniki przed promieniami laserów, ponurych kosmicznych komandosów przebijających się elektrycznymi toporami do orbitalnych habitatów. Było to przedstawione nieco bardziej prymitywnie, cechowało się jednak energią i zapamięłaniem – widać było prowadzące dłoń z pędzlem oko wiary. Ukrzyżowany na centralnym filarze, oświetlony świątecznymi lampkami i ozdobiony samoprzylepnymi sztucznymi kamieniami, wisiał słój ze Świętą Katarzyną. Nie mogłaby bardziej rzucać się w oczy, nawet gdyby miała nad sobą proporzec zapowiadający *Katarzynę z Tharsis*, tu i teraz.

– Wiesz co, zaczynam się zastanawiać, czy dobrze zrobiłam, ratując cię – rzuciła Sweetness, rozpoczynając wspinaczkę na chybotliwą konstrukcję. Pustynne buciory wykruszały samoprzylepne kaboszone, zdzierały płatkami naniesioną z miłością farbę. – Jesteś aż za bystry, synu.

– To byś teraz była rozsmarowana po kantonie Semb jak masło z nerkowców – odparł Faraon.

– Nic by mi nie było, ja jestem opowieścią – zaprzeczyła, sięgając po relikwiarz.

– Tak? A dobrze się kończy czy źle?

W tym momencie zabarykadowane przez niego drzwi drgnęły.

Na zewnątrz, w zakrzywionym korytarzu, Skerry zakłęta.

– Ech! – Sfrustrowana walnęła pięścią w otwartą dłoń. – Coś dziś w ogóle pójdzie tak, jak trzeba? – Cofnęła się o krok, bo za mało miejsca było na rozbieg, trafiła w drzwi swym solidnym barkiem.

Ugięły się. Posypały się drzazgi.

W komnacie obecności zaskrzypiały krzesła, popękały drewniane kliny. Rozległo się kolejne uderzenie w drzwi.

– Uciekamy! – powiedziała Sweetness, zrywając relikwiarz z ołtarza.

Chwyciła go w dłonie jak maczugę. Spodziewała się jakiegoś blasku. Jakiegoś anielskiego akordu. Jakiegoś promienia światła, który przebije się przez rozbitą kopułę sanktuarium i oświetli jej twarz. Spodziewała się spełnienia, ponownego zjednoczenia z porwaną siostrą bliźniaczką, poczucia wypełnienia misji. A co poczuła? Dłonie Faraona łapiące ją niecierpliwie za stopy.

– Ej, zostaw mnie, już schodzę, schodzę.

Spojrzała w dół, na twarz za tymi natarczywymi dłońmi. To nie był Faraon. To nie były jego ręce. Faraon klęczał na rozbitym szkle, dławiąc się po ewidentnym kopniaku w jądra.

To był on.

– Ty kupo! – wrzasnęła Sweetness.
Serpio.

* * *

Burzyciel Harx odciągnął strzelców od taśm z amunicją, korb obracania wieżyczek i celowników, odrzucając ich na bok jak Uboga Claireen wyganiająca handlarzy ze świątyni.

– Przestać, stop, debile, durnie, kretyni! Ja, Harx, wam rozkazuję! Przerwać ogień! Przerwać ogień! Strzelacie do miraży! Do miraży!

Ale przekonujących miraży. W pierwszej chwili, kiedy rozsunęła się pancerna gródź i zobaczył to, czego od zawsze się lękał, co od zawsze mu się śniło, rojące się i kłębiące za wieżyczką gatlinga, jego części niesforne skurczyły się w czystym, zabobonnym strachu. Wtedy odezwał się Demon Zręda, który dręczy wszystkich świętych mężów i kaznodziejów: „Musiałeś to zrobić, tak, musiałeś, napierałeś, napierałeś, przeginałeś, aż udało ci się, wkurzyłeś samego Panarchę i teraz masz za swoje, święci i aniołowie zstąpili z nieba jak grad na letnim grillu. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony”. Tak było przez pierwszą chwilę. W kolejnej zobaczył swych dzielnych chłopców, swych krzyżowców od sprzedaży wysyłkowej, jak stają naprzeciw Wszechmocnego z determinacją, celnie strzelający, z pianą gorliwości zaschniętą na zaciętych ustach. Jeszcze później zobaczył, jak białe serie pocisków smugowych przechodzą przez rzekomo cielesne niebiańskie postacie i nic im nie robią – lecą z wyciem, zostawiając po sobie kreski kondensacji – a Demon Dumy powiedział: „Co, to ma być budżet na efekty specjalne? Niech no Siedem Tręb pięknie zagra bebop, a Bóg Panarcha zawoła do publiczności, wtedy zobaczysz”.

Poczuł więc wzbierającą furję, że wrogowie, przeciw którym zmobilizował wszelkie swe siły i zasoby, obrażają go duchami z magicznej latarni, świeczuszkami i ekto plazmą z mgły.

Odepchnął rozkrzyczanego strzelca od spustów, pstryknął bezpiecznikiem i zaczął grzmieć na swych wiernych.

– Złudzenia! – wykrzyknął. – Projekcje! Pierdoły, co mają odwrócić naszą uwagę od prawdziwego wroga! Już nas zinfiltrował, jest tutaj, w naszym świętym miejscu, w naszym sanktuarium. Jest tutaj! – dotknął palcem głowy. Zmarszczył czoło, jeszcze raz dotknął go palcem. Wytrząsnął z mózgu coś, co nie było resztkami gazu bojowego, uniósł

wzrok ku wiszącemu w górze masywowi katedry. Rozdziawił usta, wydał ciche westchnienie.

– Poczuliście to? – zapytał swych zastraszonych i zaćpanych uczniów.
– Poczuliście? Coś ze mnie... uleciało. Coś mnie dotknęło. – Wytrzeszczył oczy. – Nie! Oni ją mają! Sukinsyny! – Uniósł laskę. – Za mną, ludzie! Nie mogą uciec! Musimy odbić Świętą Katarzynę. – Zeskoczył z podestu i wypadł z wieżyczki, a za nim stado zawodzących, oszołomionych gazem wiernych-berserkerów.

* * *

Ben's Town – Annency; Annency – Węzeł Perdition; Węzeł Perdition – Laurel Hill. Woolamagong. Serendip. Wzgórza Akacji. Aleja Atomowa. Tabliczki śmigły w tył, czekający pasażerowie cofali się od krawędzi peronu, a potem podchodzili z powrotem, żeby gapić się na tę niebiesko-srebrno-parową zjawę, która przeleciała przed nimi z hukiem, porywając do tańca wszystkie gazety. *Katarzyna z Tharsis* pobiła wszystkie rekordy magistrali Doliny Marinerów. Termojądrowe dziny wyły w swoich tokamakowych lampach, korbowody dygotały i podskakiwały na łożyskach, a każdy nieprzymocowany kawałek metalu i każda niedokręcona śruba grzechotały i buczały, kiedy przejeżdżał Ekspres Ares. Małe, wątle pociągi podmiejskie, niedorozwinięte pociągi szkolne, powolne osobowe, w pośpiechu uskakiwały na bocznice przed rozpędzonym wściekłym potworem. Tysiącwagonowe pociągi towarowe, specjalne międzymiastowe, spędzano na bok i zatrzymywano; nawet transplanetarne ekspresy stwierdzały, że tkwią nie wiadomo dlaczego pod czerwonym światłem, podczas gdy Szalony Pociąg ignorował wszystkie ograniczenia szybkości i przelatywał przez wszystkie semafony. Centralna Dyspozytornia wysyłała polecenie za poleceniem, a dziadek Bedzo, uśmiechnięty i zaśliniony, wszystkie je ignorował, otwierał przepustnicę i dodawał pary. W panoramicznej nastawni Centralnej Dyspozytorni na półkilometrowym szklanym szpicu dyżurni i nastawniczy, ubrani w długie do kostek kitle Trakcji Południowej, zastanawiali się, czy nie skierować uciekiniera na długą bocznice. Przeliczyli wszystko na swoich dookólnych ekranach nagłownych, zastanowili się jeszcze raz. Przy obecnej prędkości intruz przedarłby się przez zwrotnice jak dziecko przez papier na prezencie urodzinowym. A wykolejenie i eksplozja tokamaków przy czterystu osiemdziesięciu kilometrach na godzinę wyłączyłyby z użytku dziesięciokilometrowy krąg najbardziej obciążonej

sieci kolejowej na planecie – na czas mierzony okresami połowicznego rozpadu.

Damy im pojechać tam, dokąd się tak śpieszą, brzmiała decyzja. Wszystko przekierujemy, zatrzymamy i będziemy się modlić do Anioła Kolei, żeby nie napotkali niczego jadącego w przeciwnym kierunku. A potem dopadniemy ich w sądzie.

Nagle szklana wieża zdumiała się. Uciekający Pociąg zwalnia. Starsi Sygnaliści przywołali Oficerów Regulacji II klasy, aby sprawdzili to na szybkach swych hełmów. Pobiegli do Asystentów Dyspozytorów poziomu II i III, wrócili z meldunkami do Sygnalistów: tak, na zielonych polach kantonu Thrench, *Katarzyna z Tharsis* hamuje, zatrzymuje się.

– Co się dzieje, czemu zwalniamy? – zaćwierkała Child'a'grace, gdy poczuła przez buty delikatną zmianę ciężaru, oznaczającą, że pociąg zmniejsza prędkość.

Twarz Bedza była napięta, ze skupienia lub zatwardzenia, gdy włączał i zwalniał hamulce. Mostek wypełnił narastający pisk rozgrzanych klocków hamulcowych.

– Co jest?

– Coś jest na torach – odpowiedział Romereaux, marszcząc czoło, próbując wyczytać coś ze sfery danych.

– Inny pociąg? – zapytała Child'a'grace.

Katarzyna z Tharsis zwolniła do żenującego truchtu pociągu podmiejskiego, lecz Bedzo dalej hamował.

– Nie wygląda – stwierdził Romereaux. – Raczej dużo czegoś małego.

– Czegoś małego?

– Nie widzę żadnych szczegółów.

Wielka lokomotywa zwolniła do tempa spacerowego. Psalli zawołała od okna:

– Widzę ich, widzę!

Jej ton kazał Romereaux rzucić się do zakrzywionej szyby.

– Stop, pełen stop! – wrzasnął.

Bedzo wykonał rozkaz myślą. Wszyscy na mostku zatoczyli się, gdy dał ostro po hamulcach, buchnęła para, wały napędowe stanęły i zakreśliły się w drugą stronę. Koła zazgrzytały na szynach i zapadła cisza. *Katarzyna z Tharsis* stała, lekko sapiąc, na torze prowadzącym przez Wielką Dolinę. Naprzeciwko niej, w odległości stu metrów, była armia robotów. Były dwukrotnie wyższe od człowieka i dwa razy szersze, miały po cztery metalowe nogi i cztery metalowe ręce, wszystkie kończące się bronią sieczną, kolną lub nożycową. Głowy miały spiczaste,

owadzie, ze skomplikowanymi metalowymi zuwaczkami, które otwierały się i zamykały, paskudnie kłapiąc. Lśniły złoto w słońcu Doliny Marinerów, połyskiwały im fasetowe oczka. Mówiły: jesteśmy niestrudzeni, nieubłagani i bezlitośni, nieczuli na ból i stuprocentowo profesjonalni w tym, co robimy. Każda z wpatrzonych w nich twarzy przyciśniętych do szyby na mostku widziała to bardzo wyraźnie.

– Co to, do cholery, jest? – zapytał bardzo dorosłym głosem młody Thwayte Maszynista.

– To jest coś, czego miałam nadzieję w życiu nie zobaczyć – odparła łagodnie Child'a'grace. – Wojownicy z księżycy, którzy spadli na ziemię. Ich obecność może oznaczać tylko jedno: nasz świat jest atakowany. Jesteśmy w stanie wojny, oni przyszli nas bronić.

Na ten sygnał cała falanga, pięćdziesiąt na pięćdziesiąt, zrobiła jeden krok naprzód, aż zatrzęsała się ziemia.

– Tego bronienia to nie jestem taki pewien – rzucił nerwowo Anhinga.

Metaliczny szczęk, słyszalny nawet przez pancerne szkło. Wszystkie maszyny jak jeden mąż, jak Skandawowie w malowanych grotach Attagandy, uniosły broń w pogotowiu.

– A gdzie dokładnie jest Taal? – zapytała Psalli.

– Dokładnie za nimi – odparł Romereaux.

– Cała wstecz! – rozkazała nagle Child'a'grace, odwracając się od okna w stronę Bedza.

Sędziwy patriarcha wyszczerzył się bezzębnie. Jego ukochany pociąg nareszcie należał do niego. Niech na dźwigni jazdy położy rękę ktoś, kto jeszcze ma w sobie gorącą krew, a nie ten pruderyjny i arogancki sztywniak, jego syn. On nie ma serca Maszynisty.

– Ha, ha! – odpowiedział Bedzo i na sygnał z jego umysłu tokamaki zapłonęły, a kocioł zakipiał, korby się zakręciły, zawirowały koła i *Katarzyna z Tharsis* cofnęła się, nabierając szybkości, spod wojskowej blokady.

Beżowi nastawniczy i dyżurni ruchu w swej niebotycznej szklanej wieży przeczytali nowe raporty z regionu Thrench i stwierdzili, że chyba najlepiej będzie ogłosić fajrant i pójść do domu.

Na zielonych polach siły okupacyjne Harxa zauważyły zmianę parametrów i przeskoczyły w tryb natarcia. Tysiąc metalowych racic wbiło się w letnią trawę pastwisk. Bedzo oddalił się od biegnących żołnierzy na idealne dwa kilometry, po czym stanął. Wielka lokomotywa czekała.

– Teraz! – krzyknęła Child'a'grace i wszyscy w kabinie zobaczyli, jak osypują się z niej lata i mąka z *ćapati*, jak staje się znowu Dzieckiem

Łaski, bystrą, żywą, energiczną i pyską kobietą, która sprzedała swą wolność za ślub z pociągiem. – Cała para naprzód!

– Ła! – krzyknął Bedzo.

Wodór szaleńczo zaczął się zamieniać w hel. Wszystkie tłoki eksplodowały przegrzaną parą.

Zmaltretowane wały napędowe wierzgnęły, zapiszczały łożyska. Koła się zakręciły, na szyny poleciały tony piasku, złapały przyczepność, wgrzyły się w stal. Trzy tysiące ton termojądrowej lokomotywy klasy 88 skoczyły naprzód jak wypuszczony z klatki chart wyścigowy, spowite parą jak Szandastria, demon gejzerów. Zobaczywszy, że cel się zatrzymuje, roboty bojowe puściły się ciężkim truchtem. Teraz, kiedy ruszył na nich, wyjąc gwizdkami, zatrzymały się, próbowały skręcić, rozproszyć się, uciec. Za późno, za wolno. *Katarzyna z Tharsis* roztrąciła ich jak kręgle. Odcięte kończyny, kłapiące owadzie głowy posypały się na wszystkie strony. Deszcz ostrzy powbijał się w miękką zieloną trawę.

– Jeden na burcie po prawej! – krzyknęła Psalli, wyglądając z wieżyczki manewrowej. – Wspina się!

Dziadek Bedzo zakręcił się i prychnął pod koroną swego cyberczepka. Jedno drgnienie kącika ust i strumień pary z zaworu bezpieczeństwa wyrzucił koziołkującego robota na pięćdziesiąt metrów w górę. Staruszek zakołysał się i zaśmiał, gdy zbuntowana lokomotywa przejechała po całej ich zgrai.

– Widzę ją, widzę! – zawołała Miriamme Trakcyjna z przedniego balkonu obserwacyjnego, dawnego ulubionego punktu Sweetness. – Macha flarą!

Zanim Child'a'grace zdążyła zawołać „stop”, dziadek Bedzo już włączył hamulce. Te dzisiejsze młodziaki niczego nie rozumieją, niczego nie szanują. Niczego nie rozumieją, bo niczego nie szanują. Siebie nie szanują. Bedzo Trine Cirrus Minor Asiim Maszynista X był Maszynistą z Maszynistów. On zatrzyma pociąg tak gładko i tak pięknie, że starsza pani nawet nie będzie musiała podchodzić do schodków.

* * *

– Nie mam pojęcia, skąd wyskoczyłeś, ale spadaj tam z powrotem – rzuciła Sweetness do Serpia, centymetr za centymetrem wspinającego się po jej nogach. Walnęła go z całej siły cyborium ze Świętą Katarzyną.

Wrzasnął, uniósł dłonie do krwawiącej głowy, spadł ciężko na ziemię.

– Pomyśleć, że ja dla ciebie zrezygnowałam z porządnej kuchni ze stali nierdzewnej – powiedziała, przeskakując zręcznie nad nim i pędząc do drugich, niezatarasowanych drzwi.

On jednak już się pozbierał i biegł za nią. Rany, może i jest Toromistrzem, ale jest szybki. Rzucił się na nią, ale przewrócił się na bok ze stęknięciem – Faraon podciął go wślizgiem, za który każdy piłkarz dostałby czerwoną kartkę. Zaczęli się przewracać po ziemi, splątani, usiłując zadawać sobie nawzajem ciosy. Sweetness, nonszalancko i całkiem niestosownie, pomyślała, że bardzo są do siebie podobni.

– Uciekaj! – krzyknął Faraon. – Na dół i wychodź stąd!

– Znaczy? – Skrzywiła się, gdy dostał łokciem pod żebro.

– Do tego otworu... no leć! Dogonię cię.

I znów zaczęli się szamotać. Sweetness walnęła w przycisk drzwi, przebiegła krótkim zakręconym korytarzem i omal nie przewróciła bardzo wysokiej i bardzo potężnej kobiety ubranej w fioletowy strój kolarski. Mięśnie też miała potężne. Odskoczyła. Wielka baba zastąpiła jej drogę. Uśmiechnęła się, kiwnęła dłonią: „No chodź, daj”.

– Nie-e – odparła Sweetness i wyciągnęła pistolet.

Sianne Dandeever wyszczerzyła się jak trupia czaszka i zrobiła krok naprzód.

– To będzie bolało – rzuciła Sweetness i strzeliła do niej z bliska.

Dłoń Sianne skoczyła jak atakujący wąż i chwyciła woreczek z grochem w locie. Podrzuciła go, złapała na wierzch dłoni, uśmiechnęła się. Potem zanurkowała i powaliła Sweetness jednym skokiem, razem z pistoletem groszkowcem, relikwiarzem i wszystkim.

– Złaż ze mnie, ty gruba lesbo! – wrzasnęła Sweetness, patrząc, w co by tu ją ugryźć, lecz wielkie łapska wielkiej baby już rozwierały jej palce.

Wtem usłyszała odgłos jakby tnących powietrze łopat wiatraka, coś śmignęło ze świstem, ledwie widoczne, obok wielkiego cielska, wyciskając z niego powietrze, i odskoczyło saltem w tył z powrotem w korytarz. Wirujący demon przeleciał jeszcze raz i wymierzył przybocznej Harxa solidny cios w tył głowy, rozkładając ją na ziemi.

Skerry skończyła ciąg salt, kiedy Sianne Dandeever otrząsnęła się po ciosie antypoślizgową podeszwą lewego buta w głowę i zaczęła się ociężale zbierać. Kopnięcie savate pod szczękę powaliło ją z powrotem. Skerry plastikową złączką do kabli spięła jej nadgarstek z kostką.

Sweetness pozbierała się, cofnęła, mierząc z groszkowca.

– Ja to wezmę – powiedziała Skerry, posuwając się ku niej.

– Nie weźmiesz.

– Posłuchaj. Miałam ciężki dzień. Po prostu mi to oddaj.

– Spadaj.

– Jestem z rządu.

– Wszyscy tak mówią.

– Nie zmuszaj mnie, żebym to zabrała. Bo mogę. I zabiorę.

Sweetness pokręciła głową. Skerry zobaczyła, jak jej palec drga na spuście groszkowca.

– Chyba muszę ci powiedzieć, że ja nie tylko dam radę to złapać, ale jeszcze ci to od razu odrzucę.

– Ach tak? – odparła Sweetness, przesunęła pistolet o milimetr i strzeliła w awaryjny przycisk zamykania hermetycznych drzwi, który ona widziała, a Skerry nie.

Skerry złapała w pięść powietrze, kiedy metalowe półkola zasunęły jej się z hukiem tuż przed twarzą.

– Szlag! – mruknęła. Wywołała Seskinore'a. – Dziewczyna to ma i ucieka. Jest jeszcze szansa.

Cholerne przedstawienie trwa mać.

* * *

– Proszę o przelanie trzech milionów dolarów za kolejne dziesięć minut spersonalizowanej pogody – powiedział bez cienia ironii komputer Regionalnej Kontroli Pogody Doliny Marinerów.

Weill odsunął słuchawkę od ucha, zerknął na Seskinore'a.

Seskinore, nasłuchujący na monitorze, pokręcił głową i przejechał palcem po gardle. Weill rozłączył się bez słowa. Razem patrzyli, jak apokalipsa rozwiewa się we wczesnopołudniowym słońcu. Ścigana, ścigający i ścigający ścigającego byli teraz tak daleko w długim tunelu Doliny Marinerów, że widoczna była tylko latająca katedra, podskakujący pomarańczowy owal.

Albo raczej latające ciasteczko dla psa, pomyślał bez sensu Weill.

– Cała ta misja to kompletna kłapa – rzucił dźwięcznie Seskinore.

Jego fantazje o letnich tournée, autokarowych piknikach, bingo z gwiazdami, może nawet znowu kursach wycieczkowymi pociągami, wyparowały jak chmurowi święci i anioły. Odtąd na zawsze miał już być nieśmiesznym komikiem ze słabym materiałem i w przyciasnym garniturku.

– Wcale że nie! – ryknęła Skerry w interkomie. – Dawać mi tu Mishcon, polecę za tą dziewczyną.

– Ta to prawdziwy zawodowiec – rzucił Weill z podziwem.

* * *

Kiedy się ucieka, przychodzi taki czas, odkryła Sweetness, gdy łatwo zapomnieć, po co się ucieka, dokąd i przed kim. Zostaje tylko bieg, prosty, bezcelowy, czysta chemia, a więc bardzo, bardzo głupi i bardzo, bardzo niebezpieczny. Zmusiła się do zatrzymania. Myśl, myśl, dziewczyno. Pomyśl. Na dół i wychodzimy. Z powrotem do otworu. Do otworu. A gdzie on był? Gdzie jest teraz? Sweetness rozejrzała się za jakimiś punktami orientacyjnymi. Niewiele ich w tych kolistych korytarzach. Niezła, kurde, katedra. Żadnych kapliczek ze świętymi, żadnych świeczek po centawo za sztukę. Żadnych kołyszących się kadzielnic, zero ręcznie kutych carillonów, zero posągów o groźnym wzroku, którym wodzą za tobą, podejrzewając grzech. Zero dzwonów i niewiele zapachów, teraz, kiedy rozproszyły się te dziwne aromaty, na które narzekał Faraon. Nawet żadnych gór ulotek, zestawów do samodzielnego zszycia fioletowego habitu, czy wszelkiego innego wysyłkowego badzewia, którego potrzebował Kościół Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny, żeby prowadzić swój biznes z Bogiem. Jedynym obiektem inżynierii religijnej był ten ołtarz, który cały podeptała swoimi butami numer siedem. W pierwszej z brzegu grze zręcznościowej widziała więcej dewocjonalnych gratów.

Odświeżona tym krótkim ćwiczeniem na cynizm, Sweetness zerknęła na zewnętrzną ścianę korytarza. Nachylała się, bardzo nieznacznie, do wewnątrz, od góry do dołu. Półkula południowa. Czyli dowolne zejście na dół. Przełączyła się z powrotem w tryb biegania. Na wszystko, co stanęło jej na drodze, wysadziło twarz zza rogu, czy choćby spojrzało w jej kierunku, po prostu ryczała. Istoty uciekały, popiskując słabiutko. Działo się tu ewidentnie o wiele więcej, niż sądziła – te anielskie stwory, które mignęły jej przez rozbitą kopułę, ta plaga masowej hysterii, wysportowana dziewczyna w zielonym trykocie. To wszystko było gdzieś tam, gdzieś za jej plecami, z tą wielką, twardą kobietą, Faraonem, tym Serpiem, wreszcie samym Harxem. Nie myśl o tym, Sweetness Octave. Masz to, po co przyszłaś. Wchodzisz, zabierasz, wychodzisz. Reszta robi się sama.

Kolejowy zmysł zatrzymał ją w pół kroku. Tutaj. Cofnęła się odrobinę. Tunel wyglądał tak samo jak wszystkie inne w tym przeklętym zamku, jednak zmarszczki na jej wodzie mówiły: tak, tutaj, naprawdę. Wyszła zza

zakrętu i zobaczyła niebo. Dużo nieba. W które zamierzała wyskoczyć, mając niewiele poza odrobiną zaufania do amatorsko skleconej parolotni na plecach. Odfajkowała już punkt Największego Osobistego Niebezpieczeństwa. Teraz Bojowa i Zaradna (Ale Przy Tym Śliczna) bohaterka znalazła się na fabularnej *terra incognita*. Podsunęła się do krawędzi. Omiotły ją wirowe wiatry; katedra podrygiwała i przechylała się, jakby robiła uniki. Z góry wciąż dobiegał odgłos strzałów. Podkradła się bliżej, zerknęła na ziemię. Widziała gorsze rzeczy. Ryzykowała bardziej. Ale i tak wystarczająco wysoko i wystarczająco twardo, żeby zabić się na śmierć, na śmierć, na śmierć.

– Czemu nigdy nie ma żadnego planu B? – poskarżyła się na Uniwersalne Prawa Fabułologii, mocując słoik z Katarzyną w kieszeni na piersi odblaskowej kamizelki.

Chwyciła się burty. Włosy, rozwiane wiatrem, zasłoniły jej oczy. Usiłowała odgarnąć te śmierdzące, tłuste, lepkie kudły, straciła równowagę, Kościół Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny jakby odskoczył spod niej i spadła w pustkę.

– Aaaaa! – wrzasnęła, patrząc na plan falistego, pełnego drumlinów terenu kantonu Thrench.

Wtem dłonie odnalazły uchwyt, pociągnęły, trzydzieści metrów folii rozłożyło się nad nią i szarpnęło jej ciało w górę.

– Uuuuf – sapnęła Sweetness Asiim Maszynistka, szybując.

Faraon dał jej słowną instrukcję sterowania parolotnią, ale to wszystko było tylko na wszelki wypadek. Przesunęła swój środek ciężkości w uprząży, pociągnęła za linki, żeby zagarnąć powietrze lewym końcem skrzydła, i poleciała spiralą wzdłuż burty katedry.

Odgłosy strzałów zrobiły się głośniejsze i bliższe. To może jednak nie tam. Wytraciła trochę wysokości, poszybowała w dół i naprzód. Wyśliznęła się spod brzucha katedry w czyste powietrze. Przed nią otworzyła się Dolina Marinerów.

– Uiiii! – zawyła.

Linia kolejowa prowadząca przez Dolinę Marinerów w dole była jak cztery srebrne kreski schodzące się w punkcie zbiegu perspektywy. Jechała po nich lokomotywa, solo, bez pociągu, ale całą parą. Ktoś tam w dole naprawdę dawał tokamakom popalić. Konfiguracja kominów mówiła, że to Klasa 88. Czarno-srebrna malatura, Bethlehem Ares. Sweetness przyjrzała się bardziej. Te wzory na dachu i to zwieńczenie na tendrze, ryczący Żelazny Lew? A na skraju zasięgu wzroku, otulający

tender skrzydłami, czy to nie galion w kształcie srebrnego anioła o dumnych piersiach?

– Faraon, patrz, to jest *Katarzyna z Tharsis*, ja to wiem, wszędzie bym ten stary pociąg poznała, jesteście bezpieczni!

Faraon. A co się z nim stało? Skręciła mocno pod wiatr, nabrała wysokości, zrównała się z dziurą w kadłubie. W punkcie kulminacyjnym zwrotu dostrzegła inne pojazdy goniące na pełnej prędkości za Harxem – mały, podobny do płotki jacht wyścigowy, a z tyłu gruba orka – sterowiec towarowy. Wydawały się zaprzętać całą uwagę strzelców, którzy pruli ku nim czarnymi łukami pocisków smugowych.

Faraon stał w rozdarciu, popatrywał na ziemię w dole, macał uprzęż. Zamachał, kiedy śmignęła obok niego.

– Faraon, oni po mnie wrócili! – zawołała. – *Katarzyna z Tharsis*. Wiedziałam, że mnie nie zostawią. Są na dole, jesteście bezpieczni! Dawaj!

Faraon, z dłonią na lince, zrobił krok w powietrze. W tej samej sekundzie, z cieni w korytarzu wyskoczyła ciemna masa i złapała go w talii. Serpio. Paralotnia otworzyła się, lecz połączony ciężar dwóch ciał to było zbyt wiele dla konstrukcji Pionowych Chłopaków. Powietrze zaszumiało, rozdarły się szwy, skrzydło złożyło się na pół w połowie i spadło. Serpio i Faraon, złączeni w absurdalnym ostatnim uścisku, zanurkowali spiralą śmierci ku łąkom Threnchu w dole.

Skerry trzymała się krawędzi rozdartego korytarza, przepelniona potwornymi wątpliwościami. Sekundę wcześniej widziała, jak tych dwóch młodych ludzi walczy i spada w przepaść. Żadnego sensu, żadnej logiki, żadnej służby wyższym celom, żadnej szlachetnej ofiary. Po prostu chwilowe zaślepienie agresją. Chłopcy i ich rywalizacja. Walka, i to na śmierć i życie.

Śmierć prosta. Komedia trudna.

Pewnie jeszcze spadają.

Ha, ha, ha, ha, ha, ha. Jakże się śmialiśmy.

– Skurwysyny! – zakłęła nagle, kopiąc i waląc pięściami w odsłonięty postrzępiony metal, w nadziei, że ją porani. Miękkie aluminium i plastik gięły się pod ciosami jej twardych dłoni i stóp. – Skurwysyny! Skurwysyny!

Nazywała się Skerry Scanland Ghalgorm. Umiała robić salta, zonglować, przerzucać się na linie. Chodzić po linie, chodzić na rękach, chodzić po ogniu. Robić akrobacje na trapezie, na perszu, robić numery ze skakanką takie, że szczęka ci opadnie. Potrafiła założyć obie nogi na kark. Była cyrkowcem. Kimś, kto zapewnia prostą rozrywkę i emocje, Super Wieczór. A nie tajną rządową agentką. Nie wojowniczką Synodu. Obsługiwała imprezy dla dzieci. Anarchowie nie mieli prawa, za nic nie mieli prawa żądać od niej, żeby grała rolę w Końcu Świata, biła się z ludźmi, patrzyła, jak spadają w przepaść.

Ale co z przedstawieniem, Skerry Scanland Ghalgorm? Przedstawienie przede wszystkim.

Wzięła głęboki centrujący wdech i wywołała przez mikrofon-bindi Mishcondereyę.

– Mish, zgubiłam ją. Się wymknęła.

Mishcondereya zaklęła. Ewidentnie jej elitarna szkoła dla dam miała tylko dwa przedmioty na poziomie – Przekleństwa i Przekleństwa Zaawansowane.

– Będę jej dalej szukać. Trzeba mnie podnieść – rzuciła Skerry.

Po pauzie, ewidentnie znaczącej, Mishcondereya powiedziała:

– Może nie zauważyłaś, ale oni tam strzelają do wszystkiego, co się rusza.

– Mishcon, trzeba mnie podnieść. Wiem, że możemy ją jeszcze odbić, zdobyć artefakt z Katarzyną. – Kluczowy Tekst zachowała na koniec, choć wątpiła, czy do Mishconderei w ogóle dotrze jego ważkość. – Jak nie my, to Harx.

Ciężkie westchnienie. Tobie się to podoba, pomyślała Skerry. Gdybyś nie została etatową komiczką, to byłabyś bogatą z domu terrorystką. Akcja, super zabawki, zapach mężczyzn, pikanteria seksu *al fresco*, przygoda. Ty tym żyjesz, uwielbiasz to, tak ci się wydaje. Ale zmieniłabyś zdanie, jakbyś zobaczyła, jak dwóch chłopaków, którzy uwielbiają to tak samo jak ty, spotyka przykry koniec.

– Dobra, podchodzę. Daj pozycję.

Skerry, miotana wiatrami – Harx prowadził statek nisko i szybko – dotknęła kamienia na szyi. Parę sekund później tępy nos latającego jachtu podsunął się pod nią. Podkradł się do połowy długości wściekle pedału sterowca, jak ryba pilot zrównująca się z rekinem. Skerry odczekała, aż Mishcondereya zredukuje ciąg. Masz jedną próbę.

Wybrała sobie punkt na powłoce.

Jak zawsze bez siatki zabezpieczającej, co, Skerry?

Rozpostarła ramiona i skoczyła jaskółką na miękką poduszkę gazowego balonetu.

* * *

– Ja mogę ją zdjąć, jednym strzałem – powiedziała Sianne Dandeever, rozcierając obtarte przeguby.

Ratunek dla Jego Świątobliwości naprawdę mógłby nadejść trochę sprawniej. Położyła dłoń na drewnianej kolbie ciężkiego karabinu Sharpsa, machinalnie naprowadziła celownik na malejącą postać Sweetness pod jej latającym skrzydłem. Bardzo chciała ukarać kogoś za swe upokorzenie. Pomocnicze centrum dowodzenia katedry było architektonicznie niespójnym szklanym cyckiem na szczycie

pseudoklasycystycznego portyku Schodów Pielgrzyma. Stąd dwoje ludzi mogło dowodzić walką i zawiadywać całą budowlą i całą firmą.

– Nic takiego nie zrobisz – odpowiedział Burzyciel Harx. – Może nam być jeszcze potrzebna, a w takim razie chcę, żeby była gdzieś, gdzie da się ją znaleźć, a nie rozsypana po całej Dolinie Marinerów.

– A jest nam potrzebna? – zapytała Sianne Dandeever. – Bo jak nie, to mogę spróbować ją zdjąć.

– Bardzo szybko się przekonany – powiedział Burzyciel Harx, wyjmując z za pazuchy orbitalny terminal. Sianne zamruwała na widok bluźnierczej maszyny. – Na miłość boską, kobieto, nawet Bóg potrzebuje porządnej floty.

Małe urządzone, migocząc danymi i popiskując, zdało relację ze wszystkich jego frontów. W ciągu dziesięciu minut wydostało się spod tego przeklętego dachu, a wtedy raz na zawsze rozwali tych bezczelnych dowcipnisiów w ich sterowcach paroma strzałami z akceleratorów. Fale osiem i dziewięć wchodziły w górne warstwy atmosfery, pierwsze cztery szwadrony już wylądowały, przeobraziły się w konfigurację do walki naziemnej i zajmowały pozycje okupacyjne. Globalna sieć łączności buzowała szaleństwem i plotkami. Niech sobie buzuje. Jeszcze trochę, już bardzo niedługo się ją uciszy. Im więcej gadają, im więcej gapią się w ładne światełka na niebie, tym mniej będą się domyślać jego prawdziwej strategii. To był sekret wszystkich bogów. Niech oglądają ładne światełka na niebie.

A potem on je zgasi, jedno po drugim. Infiltracja komputerów kształtujących rzeczywistość była prawie zakończona. Symulakrum było idealne. Będzie to wyglądało, jakby sama Święta Katarzyna dała sztucznym inteligencjom rozkaz do wyłączenia się, po czym władza nad multiwersum przeszłaby w ręce jego prawowitych użytkowników, brudnych, cwanych, wścibskich i kombinujących śmiertelników – ludzi.

Harx oderwał się od myśli o swej chwale. Powinien wiedzieć, dokąd biegnie ta denerwująca dziewczucha, na wypadek gdyby z procedurami coś poszło nie tak i potrzebny był jeszcze dostęp do oryginalnego programu Świętej Katarzyny. Już prawie nie było jej widać, leciała spiralą coraz niżej i niżej.

– Gdzie ty lecisz, krnąbrne dziecko? – zastanawiał się Harx.

– Proszę, Wasza Świętobliwość, jeden strzał – Sianne Dandeever.

Wtem dostrzegł słup pary, lustrzane stalowe kreski, błękit i srebro termojądrowej lokomotywy Bethlehem Ares.

– Oczywiście! Lojalna jak zawsze! Sianne, dawaj w dół.

– Jest: w dół.

Nigdy żadnych pytań, żadnych wątpliwości. Trzeba było kiedyś spróbować wsunąć rękę w te obcisłe spodenki.

– Musimy złapać pociąg.

* * *

W przeciwieństwie do wyjazdu, powrót Taal Chordant Joy-of-May Asiim Maszynistki X na *Katarzynę z Tharsis* był głośny, tłoczny i chaotyczny. Tylu ludzi na mostku i wszyscy chcieli, żeby odpowiedziała im na pytania, zanim odpowiedzą na jej pytania.

– Co ty sobie zrobiłaś? – Głos starej przyjaciółki Miriamme Reaktorowej przebił się przez jazgot z pytaniem, na które wszyscy chcieli usłyszeć odpowiedź, ale zbyt bali się groźnej starej damy, by zapytać.

– Takiej formy odmładzania nikomu nie polecam. Jest bardzo skuteczna, ale cena jest ogromna. Dobrze, dość-dochć-dochć. Ja tu jestem najstarsza, to wy macie odpowiadać na moje pytania – powiedziała babcia Taal, z zadowoleniem znów czując pod butami na kločku poskrzypywanie i przesuwanie się płyt konstrukcji. – Gdzie są wszyscy? Gdzie mój syn? Co się stało z pociągiem?

Chór głosów wypaplał odpowiedzi. Babcia Taal uniosła dłonie, uciszając ich.

– Bunt?

Buntownicy popatrzyli po sobie, wszyscy oprócz dziadka Bedza, głęboko pochłoniętego prowadzeniem swego pociągu.

– Dla Sweetness – powiedziała Child'a'grace.

– Hmmm – stwierdziła babcia Taal. – No cóż, to chyba są nadzwyczajne okoliczności, a mojemu synowi i tej całej Stuardowej przyda się lekcja pokory, ale ogólnie rzecz biorąc, nie pochwalam takiego postępowania.

Ulga była natychmiastowa i otwarta. Na jej fali Child'a'grace zapytała:

– A gdzie właściwie jest Sweetness Octave?

Babcia Taal odwróciła głowę, by zerknąć przez okienko. Pokazała.

– Podejrzewam, że tam.

Wszyscy odwrócili się i ujrzeli jedyny w swoim rodzaju lotniczy spektakl. Przypominał animowaną lekcję z ekologii morskiej – wielka ryba zjada mniejsze ryby, a one – jeszcze mniejsze ryby. Z tyłu był olbrzymi sterowiec towarowy, wielki jak chmura. Przed nim, wcale nie mniejszy, statek, który można by określić mianem latającej katedry, trochę

podobnej do spodka, ale o bardzo klasycystycznych pretensjach, w dziwacznym ziemisto-pomarańczowym kolorze. Spod katedry powoli wyrwał się w przód smukły pojazd w kształcie pstrąga, a na czele, rwąc odważnie w niebo, leciała maleńka trójkątna lotnia. Wszyscy widzieli zawieszony pod nią czarny punkcik. Cały ten latający cyrk pruł prosto na *Katarzynę z Tharsis* jak ćwiczenie z muskularnej teologii ¹².

– To będzie nasza Sweetness.

* * *

Pogoń jest dobra. Wyzwanie jest dobre. Ryzyko jest dobre. Ostre latanie jest dobre. Wszystko jest dobre, co wypycha z pamięci ten ostatni obraz Faraona i Serpia, splecionych ze sobą i spadających w mordercze powietrze. Skup się. Już niedługo. Już niedaleko. Wyceluj w ten wielki, piękny, buchający parą pociąg. Kilkaset metrów. I będziesz w domu. Będziesz bezpieczna. Znajdziesz się wśród ludzi, którzy cię znają, twoja opowieść będzie mogła się zakończyć i wrócisz do swojej małej kabinki. Znowu tylko ty i Mała Śliczna.

Nie możesz wrócić, Sweetness. Jesteś kolejową dziewczyną, wysłałaś tę prawdę z mlekiem matki. Możesz pojechać wszędzie, gdziekolwiek, dookoła świata, ale nie wrócić. Tory idą tylko w przód.

Naprowadziła się nad *Katarzynę z Tharsis*. Ten, kto miał rękę na przepustnicy, był dobry, błyskawicznie dopasowywał się do jej szybkości, biorąc poprawkę na jej szarpnięcia i zachwiania, gdy ostrożnie wytracała wysokość, zrównując się z dachem tendra. Dwadzieścia metrów, dziesięć metrów. Przeskakiwała z jednej strony na drugą słupa pary, sprawdzając pozycję. Na karku czuła obecność ciężkiej maszynerii tuż za sobą. Nie zwracaj na nich uwagi. Jak zechcą cię rozwalić, mogą to zrobić w każdej chwili. Skup się na opadaniu. W dół, w dół...

Czubkami palców musnęła wierzch tendra, powiew wiatru poniósł ją w słup pary. Chwilowo oślepiona, próbowała odzyskać sterowność, ustabilizowała lot, podeszła jeszcze raz. Prawie, prawie, prawie... Jednocześnie szarpnęła za dwa odciagi, wytracając wysokość, i wylądowała dokładnie pośrodku tendra. Ludzie – kolejowi! jej ludzie! – natychmiast wdarli się na górę po drabince, chwycili ją, wyplątali z uprzęży i znieśli na dół.

Sweetness paplała, rozpoznając twarze niosących, próbowała ich dotknąć, przypomnieć ich sobie.

– Psalli, Romereaux, Anhinga, to wy? Thwayte, co ty tu robisz?

Ponieśli ją boczną galeryjką, zejściówką, przez wieżyczkę manewrową. Czują, że pociąg znowu nabiera szybkości. Zerknęła za siebie. Katedra zasłaniała pół nieba, prawie miażdżąc mały jachcik między dwoma zawodnikami wagi ciężkiej – ziemią i powietrzem. Na mostku lokomotywy czekali na nią ludzie, których kocha. Niosący postawili ją, a Child'a'grace od razu wzięła ją w objęcia.

– Jakie masz tłuste włosy, dziecko – napomniała ją.

Sweetness złapała się za przetłuszczony kok i nagle pękło wszystko, co tamowało napięcie, ekscytację, zmieszanie, przerażenie, wyczerpanie, lęk, zachwyty, zdziwienie, głód, bezsenność, zawrót głowy, poczucie straty, śmierć od dnia, kiedy uciekła z wielkiego gotowania na parze. Wybuchnęła płaczem. Jej rodzina, Domostwo i nie – Domostwo rzuciło się ją pocieszać. Dlatego tylko Ricardo Trakcyjny zauważył, że okna zasnuwa cień.

– Eee... przepraszam, że przeszkadzam, ale zdaje się, że mamy na dachu jakąś katedrę.

Wszyscy unieśli głowy, świat poczerwieniał i znaleźli się zupełnie gdzie indziej.

Czerwień. Czerwone niebo, czerwona ziemia. Czerwone wzgórza, czerwona gleba, czerwone kamienie. Czerwone słońce, czerwone linie rzadkich chmur nad bliskim horyzontem. Termojądrowa lokomotywa *Katarzyna z Tharsis*, klasy 88 Kolei Bethlehem Ares, duma floty, stała na półkilometrowym odcinku równiutko uciętych torów pośrodku nieskończonej, pozbawionej jakichkolwiek punktów orientacyjnych czerwieni.

Tępa cisza. Kompletne odklejenie. Wtem młody Thwayte Maszynista krzyknął w nagłym bólu i przycisnął dłonie do uszu. W tej samej sekundzie do wszystkich dotarł syczący wizg, jakby pary ulatującej z pękniętej rury. Rozrzucone papiery uniosły się w powietrze jak padlinożerne ptaki i powciskały się pod drzwi prowadzące na prawą galeryjkę.

– Jesteśmy w próżni! – wrzasnął Romereaux, nie bacząc, jak niemożliwie to brzmi, i rzucił się z toporem przeciwpożarowym otwierać wiekową, zaklejoną farbą skrzynkę na ścianie.

Katarzyna z Tharsis była staroświecką lokomotywą, weteranką z czasów humanformacji, kiedy powietrze wciąż było rzadkie i nienadające się do oddychania, ale już trzeba było wozić Ciężkie Rzeczy, a poza tym termojądrowe parowozy miały dodatkową zaletę – dostarczały prymitywnej atmosferze pary wodnej. Jej wewnętrzne korytarze i pomieszczenia były zaprojektowane jako hermetyczne, choć te uszczelnienia mogły paść ofiarą czasu i przebiegu, ale w skrzynkach Awar. Dekom. wciąż tkwiły tuby uszczelniacza do przecieków. Dwa ciosy rzuciły pokrywę; Romereaux i Ricardo Trakcyjny trysnęli pod drzwi

strumieniami szybko krzepnącej piankowej mazi, warstwa za pachnącą octem warstwą, aż przenikliwy gwizd ucichł do szmeru, a potem zamilkł.

– Gdzie my, do cholery, jesteśmy? – zapytał Romereaux.

Kolejny krzyk zdusił w zarodku wszelkie próby odpowiedzi. Mercedes Reaktorowa stała i pokazywała trzęsącym się palcem dziadka Bedza. Sędziwy staruszek oklapł w swoim fotelu. Ręce wisiały bezwładnie, opuchnięte od krwi. Oczy miał półotwarte. Z wysuniętego języka zwisała gruba nitka lśniącej śliny. Wyglądało na to, że nie oddycha.

– Czy on, czy on, czy on...? – wyjąkała Mercedes.

Wyglądał na umarłego według każdej definicji tego słowa.

Anhinga Maszynista, który szkolił się na Rycerza Joann Uzdrawiaczek, klęknął przy staruszką, wymacał puls, sprawdził oddech.

– Żyje, ale ledwie.

– Do izby chorych! – rozkazał Romereaux.

– Izba chorych została w Axidy, nie pamiętasz? – odparł Anhinga.

Wszyscy powoli obrócili się i spojrzeli na obcy świat za oknami.

– No naprawdę, gdzie my, do cholery, jesteśmy? – rzucił posępnie Romereaux.

Odezwała się Sweetness.

– No dobra. Nie będziecie zachwyceni.

– I tak nie jesteśmy – powiedział Thwayte Maszynista.

– No, ja myślę, że jesteśmy dokładnie w tym samym miejscu. W ogóle się nie ruszyliśmy. To znaczy ani w przód, ani w tył. Ale myślę, że przesunęliśmy się w bok. W poprzek wszechświatów, jeśli wolicie. Przez równoległe światy, każdy troszeczkę inny od naszego. Harx wysłał nas dalej niż zwykle. Dlatego biedny dziadek jest w takim stanie. Szok przejścia. Wszyscy na moment straciliśmy przytomność, a on był podpięty do cyber-czepka, wyobrażacie sobie, jak to musiało być, kiedy wszystko mu się zwinęło podczas tego skoku?

– Czyli on nas stąd nie wyprowadzi – stwierdził Ricardo Trakcyjny.

– Wygląda na to, że w ogóle nikt nas stąd nie wyprowadzi – rzucił bez sensu Romereaux. – Tu nawet powietrza nie ma.

– To zrobił Harx? – zapytała babcia Taal.

– On miał te lustra wychodzące na inne wszechświaty – ciągnęła Sweetness, świadoma, jak wariacko by to zabrzmiało w każdej innej sytuacji. – Z tego czerpał swoją moc, a Święta Katarzyna była mu potrzebna, żeby dojść do jeszcze większej potęgi: przejął kontrolę nad aniołami, które zbudowały ten świat, przeskakując przez multiwersum, aż znalazły najlepszy z możliwych światów.

– Zara-zara-zaraz – przerwał Romereaux. – Czyli ten gunda przerzucił nas do alternatywnego świata w multiwersum?

– Tak mi się wydaje.

– No to mamy przerąbane.

– A chcesz wiedzieć, jak bardzo? – zapytała Sweetness.

– To może być bardziej?

– Mnie się wydaje, że to jest alternatywny świat, w którym w ogóle nie było humanformacji. To znaczy – brak powietrza. To znaczy – całe powietrze, które mamy, jest tutaj. I w końcu nam się wyczerpie. I tak już dużo straciliśmy.

– No, a mamy jakiś plan, jak wrócić? – odezwał się pragmatyczny Ricardo Trakcyjny.

Przeskok przez wagonowe drzwi do zbuntowanej części był jedynym spontanicznym czynem w jego życiu. I proszę, do czego to doprowadziło. Tak się kończy, jeśli pozwolisz sobie ponieść się impulsowi chwili.

Ściągnął na Sweetness pytające spojrzenia.

– No zaraz, ja nie jestem fizykiem od *vinculum* – odparła. Sarkazm i wyrzuty zużyły kolejną porcję powietrza.

– Mam jeden pomysł, mogę spróbować, ale muszę pójść do swojej kabiny, dobra?

* * *

Burzyciel Harx próbował pohamować radość. Symbole na terminalu opadały z płaszczyzny urojonej z powrotem w konkretny świat liczb całkowitych. Wtargnięcie w multiwersum zakończone. Zatrzasnął plastikową pokrywkę.

– Wiesz, nie byłem do końca pewien, czy to zadziała – rzucił do oniemiałej Sianne Dandeever.

Szanse na jakiegokolwiek bara-bara przepadły na zawsze. Bogowie nie posuwają wyznawców, a on, pokazując swe zdolności do inżynierii wszechświatów alternatywnych, zdecydowanie kwalifikował się do tej ligi.

– Czyli już jej nie potrzebujemy – rzuciła wierna przyboczna, wskazując miejsce, w którym wcześniej była *Katarzyna z Tharsis*.

– No nie – odparł Burzyciel Harx.

Katedra Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny zawisała nad precyzyjnie odciętym półkilometrowym kołem innego świata. Magistrała kolejowa kończyła się na nim, potem zaczynała, mając pośrodku martwy

czerwony żwir i kamienie. Sterowiec zakołysał się lekko od turbulencji w miejscu, gdzie w próżnię wdzierала się atmosfera.

Burzyciel Harx rozejrzył się z wysokości swej szklanej mównicy.

– A teraz, kto jeszcze mnie dziś rozgniewał? – powiedział otrzepując dłonie.

* * *

Jak miło, pomyślała Sweetness. Zostawili jej kabinę nietkniętą. Z drugiej strony, stwierdziła, odkręcając pokrywkę relikwiarza, przecież nie zniknęła na całe lata, a skoro większość swoich cennych rzeczy spakowała do plecaka, nie było po czym poznać ewentualnych stopniowych zmian. Miło było jednak pomyśleć, że potraktowali kabinę jako świątynkę.

Rozwinęła rolkę lustra z kwantowej folii i przylepiła je taśmą po wewnętrznej stronie drzwi.

– Oszukałaś mnie – to były pierwsze słowa, które rzuciła do swej sobowtórki, ubranej, jak zawsze, w to, co ona wczoraj, czyli w tym wypadku to samo co dzisiaj, z wyjątkiem uprząży lotni, którą Sweetness w pośpiechu zapomniała z siebie zdjąć.

Mała Śliczna rozłożyła przepaszając dłonie.

– Tak, ale w pewnym bardzo prawdziwym sensie nie.

– Udawałaś, że jesteś moją siostrą bliźniaczką, a tak naprawdę jesteś Katarzyną z Tharsis, kobietą, która stworzyła ten świat i która, z jakiegoś powodu, postanowiła zejść z nieba i zamieszkać u mnie w lustrze. Gdzie tu jest jakieś „nie”?

– W tej sprawie, winna. Sama to dobrze rozumiesz, też pewnego dnia stwierdziłaś, że uciekasz.

– To zupełnie nie to samo.

– Nie? Myślisz, że jeśli żyjesz jako AI, każda nanosekunda to frajda? To coś ci powiem, ci goście podniecają się abstrakcyjną matematyką. Intelktualną chwałą i pięknem nieskończonych wymiarów pierwotnych. Po milenium czy dwóch dziewczyna zaczyna myśleć: może to umartwienie ciała wcale nie było aż tak super. Albo zaczyna mieć chętkę zobaczyć, co tam mięsuchy ostatnio kombinują. Bo wiesz, ja nigdy nie byłam naukowcem. Byłam budowlańcem. Robolem, tym właśnie była Kathy Haan.

– Czyli miałaś dość, tak? I pomyślałaś, że zrobisz sobie kilkadziesiąt lat wakacji u ludzi, ale nie mów do mnie „siostro”. Nie jesteś moją siostrą.

Mała Śliczna spojrzała na swe stopy, które z uwagi na ciasnotę kabiny były zwinięte, choć w miejscu, które zamieszkiwała, prawdopodobnie było je widać.

– Nie, masz rację, nie powinnam cię tak nazywać. Jesteśmy o wiele bliższe.

– Nie gadaj takich rzeczy.

– W absolutnie realnym znaczeniu tego słowa, ja jestem tobą, a ty mną. Jesteś Kathy Haan, odrodzona, to co w niej dobre, co w niej najlepsze, to co zatraciło się w obłędzie i „duchowości”. Kiedy poszłam w wieczność, to wszystko zostało zachowane w macierzy. I nie chciało sobie zniknąć. Chciało wrócić. Chciało żyć. Zrobiliśmy więc ciało, żeby miało w czym żyć. Ja, w lustrze, to twoja reszta, część niewidoczna. Boska bliźniaczka. Jesteśmy siostrami, jesteśmy połączone, o wiele bardziej, niż sobie wyobrażasz.

– Jestem duchem – rzuciła słabym tonem Sweetness. Usiadła ciężko na koi. – Ty jesteś prawdziwa, ja jestem duchem w lustrze. Całe moje życie to oszustwo. Wszystko, co przeżyłam, to tak naprawdę nie było dla mnie. Było dla ciebie.

– Nie – odparła Mała Śliczna z łagodnością wiosennego deszczu. – Mylisz się całkowicie. Ty to ty. Przeżywasz własne życie, raz, dla siebie. Ja patrzę, czuję, ale nigdy nie znajdę się w twojej głowie. Nigdy nie poczuję się tobą. Nigdy nie poznam, jak to jest być kimś, osobą, z twojej perspektywy.

– Ciężkie sprawy – powiedziała po jakimś czasie Sweetness, kręcąc głową.

– Tak, ale w pewnym sensie nie. Ty po prostu robisz to, co robisz. To mi powiedz: jak wyglądało twoje życie?

Obrazy dotychczasowego życia. Złoty świt nad pustynią na dalekiej północy, widziany z jej przedniego balkoniku, wielkie słońce wschodzące z iskry na krawędzi świata, tak że miała wrażenie, że jedzie w samo jego serce. Wielka Śnieżyca, zawiewająca z Borealis, kiedy *Katarzyna z Tharsis* wjechała rozpędem w ogromną zaspę i utknęła, po czym wszyscy siedzieli w saloniku, pili miętową herbatkę, grali w karty i opowiadali bajędy, a Reaktorowi majstrowali przy ciepłym odpadowym tokamaków, żeby ich wytopić na wolność. Pierwsza eksplozja zachwytu w dzielnicy Undercroft Belladonny wystrojonej na obchody Dnia Pięciuset Założycieli; to, jak mocno ścisnęła Child'a'grace za rękę, wyglądając za balustradę w głęboką na kilometr pionową ulicę, mającą więcej sklepów niż cokolwiek w znanym wszechświecie. Pierwszy raz, kiedy się upiła, na

korrobori, i próbowała poderwać Blasniqą Bassariniego, i Sli z Rotherhamem musieli ją odciągnąć, zanim zbruka dobre imię rodziny. Pierwszy raz, kiedy odczłapała na parę kroków od *Katarzyny z Tharsis*, obejrzała się i odkryła, jak wygląda z boku jej świat, parujący smok, w którym mieszka. Negocjacje, załadunki, wyładunki, bocznice, sprzęganie i rozsprzęganie, kursy długie i powolne, kursy szybkie, ekspresowe i wspaniałe, hipnotyczna nuda nieskończonego prostego toru przez biegun północny, polerowanie mosiądzu i duma, kiedy lśnił, chwila, kiedy nauczyciel Powietrznej Szkoły dał jej złotą gwiazdkę za wypracowanie o pogodzie. Cuda pustynnych burz i błyskawic na płaskowyżach; deszcze sunące jak czarna kotara przez wzgórza Deuteronomium. Rozległe noce, kiedy miało się wrażenie, że można zdjąć pierścień księżycowy z nieba i zrobić sobie z niego bransoletkę, albo kiedy setka gwiazd zaczynała się naraz poruszać i wiedziało się, że to żaglowiec Praesidium, większy niż oba karłowate księżyce, wyrusza w podróż do innych światów i narodów Układu. Wiedza, że o poranku zawsze zbudzisz się w nowym miejscu i czasie. I jeszcze i jeszcze. Wszystko to jej. Tylko jej. Jedynie, wyłącznie, wspaniale i osobiście – jej.

– Dobrze wyglądało – powiedziała z namysłem, potem usiadła prosto, z dawnym błyskiem w oczach. – Nie – powiedziała. – Nie. Gubiłam się, głodowałam, strzelali do mnie, spadałam z wielkiej wysokości, zdradzali mnie, wykorzystywali, oszukiwali, dwa razy się zakochałam, przechodziłam przez pustynie, latałam w powietrzu, walczyłam z burzami pyłowymi, patrzyłam na gwiazdne wojny, biłam się ze strasznymi wrogami, z ludźmi o boskich mocach, uciekałam przed śmiercią, ludzie mnie zabierali, wyrzucali, podróżowałam do innych wszechświatów, walczyłam na wojnach, srali na mnie z wielkiej wysokości, byłam opowieścią, strzelali mną przez multiwersum i temu wszystkiemu jeszcze daleko do końca, ja już mam pojęcie jak to się skończy, ale muszę powiedzieć: było super. Jedna impreza. Twoje wariackie aspekty bawiły się jak nigdy w życiu. Nie wiesz, co cię ominęło.

Mała Śliczna uśmiechnęła się wąsko.

– Chciałabyś być mną, co? – powiedziała Sweetness.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo bym chciała.

– To zrób mi przysługę, za to życie, które dla ciebie przeżyłam.

– Mów.

– Wyciągnij nas stąd.

– Ee – powiedziała Święta Pani z Tharsis.

– Jeszcze raz?

– Trochę liczyłam, że ty będziesz miała na to jakiś pomysł. Bo rozumiesz, ja w sumie muszę wracać. Jakbyś zobaczyła, co oni robią z moim światem.

– A niby jesteś boska.

– Jestem. Ale to nie znaczy, że wszechmogąca. Umiem rządzić maszynami kształtującymi rzeczywistość, ale tylko jeśli istnieją. A na tym niebie tutaj są tylko dwa przszczate małe księżycy.

– Czyli jesteśmy tu uwięzieni. A ja zmarnowałam Bóg jeden wie ile dobrego powietrza na gadanie z tobą.

– Nie powiedziałabym, że zmarnowałaś. Ani że „uwięzieni”.

– Wiesz co, właśnie widzę, że jestem tym, co w tobie najlepsze – powiedziała Sweetness.

Postać w lustrze westchnęła.

– Słuchaj, jakbyś mnie posłała z powrotem do naszej rzeczywistości, to może mogłabym coś zrobić. Na pewno wyciągnęłabym wtyczkę operacji tego całego Harxa, przerwała tę inwazję, a jakoś po drodze znalazłabym trochę czasu, żeby ci przysłać jakąś pomoc.

– To może mi powiedz, jak to zrobić?

– Ty tu jesteś bohaterką, powinnaś to sama rozkminić. Wszystkie wskazówki są na miejscu.

– Może jakaś jeszcze na początek?

Mała Śliczna zastanowiła się nad tym przez chwilę, z wdziękiem przykładając palec do ust.

– No dobra. Co jest na zewnątrz?

– Kawalek torów, trochę zdechłej trawy, parę zdechłych ptaków, kupa czerwonej ziemi, czerwonych skał, czerwone niebo, czerwone chmury...

Sweetness urwała w połowie litanii, kopnięta w przeponę przez nagłe zrozumienie. Gwałtownie otworzyła drzwi kabinki, waląc Małą Śliczną o ścianę, i wypaliła masę drogocennego tlenu pędząc korytarzami i stalowymi schodami do kopułki obserwacyjnej na prawej burcie. Potworny ziąb czerwonej pustyni zaczynał się wdzierać do wieżyczki, sprawiając, że palce miała grube i niezdarne, kiedy majstrowała przy optikonie.

– No dawaj, dawaj.

Omiotła obiektywem bezpłciowy teren, w lewo, w prawo, bliżej, dalej.

Jest.

– Aaa, tak! – Machnęła pięścią w powietrzu.

Daleko w czerwonym krajobrazie, ze stopą spowitą mgłą z dwutlenku węgla, stał jedyny pionowy element w całej tej monstrowalnej poziomości.

Samotny stalowy maszt semafora.

* * *

Skerry i Mishcondereya wytrzeszczyły oczy.

– Widziałaś, co on zrobił? – zapytała Skerry.

– Jak chcesz, mogę ci puścić powtórkę na wideo – odparła Mishcondereya. – To chyba jest dowód, że jednak przegraliśmy.

– I co teraz będzie?

– Ja ci powiem, co teraz będzie – powiedziała, kierując uwagę Skerry na drapieżnie wiszącą katedrę, która powoli obracała się wokół własnej osi ku nim.

Pociągnęła za drążek, jednocześnie wciskając regulację obrotów w podłogę. Latający jacht stanął dęba jak lama na rodeo i wystrzelił w górę pod kątem czterdziestu pięciu stopni z takim przyśpieszeniem, że Skerry zapadła się głęboko w tapicerkę fotela. Mishcondereya wywołała Bładnocha, który wziął na pokład resztę Zjednoczonych Artystów i czekał z nimi w ZA-2 w dolince dziesięć kilometrów stąd.

– ZA-2, ZA-2, wykonać plan Kurtyna w Dół, powtarzam, plan Kurtyna w Dół. Harx ma kontrolę nad bronią kształtującą rzeczywistość. Uciekaj, jak najdalej dasz radę. – Mishcondereya zrobiła wściekły zwrot, wyrównała tuż nad Dachem Świata i rozkręciła wentylatory na pełną moc. – Coś ci powiem. Nie mogę się doczekać, co będzie jutro rano w recenzjach.

* * *

Człapiąc przez zamrożony martwy regolit w pięciu warstwach bielizny i skafandrze przeciwpromiennym, Sweetness zabawiała się, próbując to wszystko wpasować w opowieść. Którą nadal była – to oczywiste. Nie zgłaszasz się na ochotnika do wyjścia przez awaryjną śluzę przeciwpromienną opatulona w pożyczone skarpetki, koszulki i podwójną warstwę folii aluminiowej, jeśli prawa fabularne nadal nie odgrywają w twoim życiu istotnej roli. Oczywiście przeszła już poza moment Fałszywego Rozwiązania/Mikroantykulminacji, ale czy teraz spotka ją Odwrócenie Losu w Ostatnim Momencie Trzeciego Aktu, czy też będzie to Punkt Bez Powrotu, kiedy sytuacja zrobi się najgorsza, jaka tylko może być, a potem już wszystko pojedzie gładko do finału?

Tutaj, w obłądnie pozbawionym czegokolwiek miejscu bez powietrza, w izolacji, gdzie słyszało się tylko własny oddech i klekot własnego (mocno racjonowanego) aparatu oddechowego, wyrażenie „Punkt bez powrotu” nabierało zbyt dużo dodatkowego znaczenia.

Co w ogóle ludziom przyszło do głowy, że popatrzyli na ten świat i pomyśleli: „No pewnie, zrobimy z tego ładną planetkę do mieszkania”?

Rany, jak zimno w stopy. I w dłonie. Oklepała się ramionami, próbując wbić w nie trochę ciepła. Skafander może i był z folii termicznej, ale na oko tylko odbijał wątłe ciepłko małego, bladego słońca.

To aby na pewno jest to samo słońce?

Jeszcze ponad połowa drogi do słupa. Rodzina pomyślała, że odbiło jej przez przeskok między światami, tak jak dziadkowi Bedzowi, ale nie mieli lepszego wytłumaczenia, skąd na środku pustyni wziął się niewątpliwy semafor ze światłami Transpolarnych Linii Kolejowych.

Sweetness przystanęła, żeby podnieść ręce, podciągnąć skafander w kroczu. Był także hermetyczny, ale dostępny tylko w rozmiarze dużym i bardzo dużym, więc cały czas bała się, że się potknie o wałki folii, które obwisały jej wokół kostek, rozedrze ją o jeden z tych paskudnych wyostrzonych wiatrem kamieni i umrze tu samotnie, w zimnie, z krwią wygotowującą się z uszu i oczu.

Jedyną dobrą rzeczą w Punkcie Bez Powrotu, stwierdziła, jest to, że wszystko po nim już nie jest kulminacją, czyli sprawy nie mogą pójść gorzej niż wcześniej – a więc zaraz wszyscy wrócą cali i zdrowi do domu.

Porzuciwszy ostrożność, przebiegła ostatnie parę metrów do semafora przez ostre skały, oparła na nim rękę, wzięła dziesięć, piętnaście głębokich oddechów. Aha, libacja. Zawsze trzeba mu coś dać. Odczepiła termos z miętową herbatą od rzepa na piersi, odkręciła go, naląła. Płyn odparował, zanim zdążył spaść na ziemię.

– Wujku Neonie.

– Sweetness, dziecko! – powiedział boski głos w jej głowie, trochę zaskoczony, jakby wyrwany z kontemplacji. – Co za miła niespodzianka! Co tam słyszać u wszystkich, jakie wieści? Trochę czasu minęło, odkąd ostatnio słyszałem o wszystkich twoich osiągnięciach i nieosiągnięciach. A może nie? To nowe ubranie? Muszę powiedzieć, że niezbyt ci służy. Strata pieniędzy.

– Wujku, nie mam czasu opowiadać. Chcę, żebyś wysłał dla mnie wiadomość.

Pauza. Sweetness mogła sobie wyobrazić dyskusję toczącą się w mózgu nieszczęsnego szalonego wuja, żyjącego w czasie

kosmologicznym – czemu to dziecko samo nie może tego wysłać? Do domu? Gdzie to jest i czemu? A gdzie jest to miejsce, w którym się znajduję, czy ja naprawdę nie żyję, czy to wszystko tylko sny, które iskrzą mi w głowie po tej ostatecznej błyskawicy, czy jestem w niebie czy piekle, a może w jakimś pośrednim miejscu?

– Co ma być w tej wiadomości? – zapytał.

– Nie tyle co, ile kto – powiedziała Sweetness, rozpinając rzepy na słoju i odrętwiałymi z zimna palcami niezdarnie odkręcając wieko. – Widzisz? – Uniosła lustro do trzech oczek świateł semafora, jak przedwieczny pergamin.

– Oczywiście, że widzę – odparł wujek Neon. – Chwilka...

Gdy rozwinęła ją ponownie, w lustrze nie było już podobizny Sweetness Asiim Maszynistki. Maszerując ku kordylerowemu masywowi *Katarzyny z Tharsis*, obracała się, żeby trzymać plastikową folię przed sobą, jak spinaker.

– Szukaj mnie w lustrach. – Tak brzmiał ostatni szept Małej Ślicznej, zanim wujaszek Neon przerzucił ją łączem, które tylko jedna Sweetness umiała wykorzystać, żeby przejść do jego świata.

Wypuściła lustro. Wiatr pochwyił je i uniósł jak żagiel, zakręcił nim raz, drugi, trzeci, aż pofrunęło, koziółkując, błyskając zajączkami, w dal, na nieskończonych wichrach.

* * *

Potrzebne było dziesięć minut zdecydowanego nacierania przez Romereaux, żeby czucie wróciło do jej dłoni i stóp, a potem przyszło mrowienie, od którego zaczęła skakać, pojękując i stękając, po całym mostku.

– Marnujesz powietrze – rzucił nieprzyjemny Ricardo.

– Słuchaj, to ja tam wychodziłam, nie ty – odparła Sweetness, tańcząc tam i z powrotem na pointach. – W każdym razie, nadchodzi pomoc.

– No dobra, a kiedy?

Na pewno nie w pierwszej godzinie, godzinie wyczekiwania z przekonaniem.

– Mają masę roboty – wyjaśniła Sweetness.

Ani w drugiej godzinie, godzinie cierpliwego rozsiadania się.

– Może walka z nim była cięższa, niż myślałam – tak to zrationalizowała Sweetness.

Ani w trzeciej godzinie, która, kiedy powietrze jest skąpo racjonowane, jest godziną wkradających się wątpliwości.

– Pamiętajcie, tam były całe stada tych cyberzołnierzy – rzuciła Sweetness tonem „nie bądźmy samolubni”.

Jednakże pomoc nie nadeszła ani w czwartej godzinie, ani w piątej, ani w szóstej, kiedy powietrze było już tak gorące, parszywe i ciężkie od dwutlenku węgla, że dało się tylko siedzieć z plecami opartymi o chłodną gródź i w kółko liczyć coś w myślach.

– Pomoc? – skrzeknął Ricardo.

– Nie wiem – powiedziała Sweetness. – Nic już nie wiem.

Nagle od okna dobiegł okrzyk, cichy, zdławiony brakiem tlenu.

– Tam – wyjąkała babcia Taal.

Wszyscy podpełzli do okienka, wysunęli głowy nad parapet.

Po Wielkiej Czerwonej Pustyni sunęło coś, co wyglądało jakby jakby bardzo mały pyłowy wir, przecinający ziemię i czerwone skały, jakby miał własną wolę i wyznaczony cel. Szedł prosto na *Katarzynę z Tharsis*. Sweetness poczuła, że wzbiera w niej głupi, marnujący tlen bąbelek śmiechu, śmiechu, którego nie mogła powstrzymać, który wylał się z niej, jakby nalewała herbatę, od razu wygotowującą się w próżni na parę.

Rzeczywiście, niezła pomoc.

Pyłowy wir podbiegł do burty pociągu, wszedł po trapie, przebiegł pomostami i schodkami, aż doszedł do drzwi śluzy. Wtedy wszyscy na mostku usłyszeli łomotanie.

– Otwierać, w imię Belzebuba!

Drzwi śluzy zamknęły się za dziwnym człowieczkiem. Miał długie siwe włosy, spięte na wysokości ramion złotym pierścieniem, i mocno nawoskowane długie wąsy. Oczy miał głębokie i pełne mrocznego blasku. Był ubrany w długi pustynny płaszcz i kapelusz z wielkim rondem, z zatkniętym za tasiemkę absurdalnie zawadiackim piórkiem. Na ramionach niósł skomplikowany plecak z wieloma urządzeniami i kablami, z podręcznym induktorem pola wetkniętym w kieszeń płaszcza, był tam też szumiący przedmiot przypominający małą maszynę do szycia. Wokół siebie miał półprzejrysty bąbel pola siłowego, jakby utrzymujący jego osobistą atmosferę. Pokręcił pierścieniem ustawień induktora pola. Bąbel słyszalnie pękł. Spragniona tlenu załoga *Katarzyny z Tharsis* poczuła fioletowe wrzosa i jesień nad morzem. Mały człowieczek wydawał im się trochę rozmyty na brzegach, trochę nieostry, jak obraz telewizyjny na granicy zasięgu nadajnika. Myśleli, że to ich zamulone umysły. Sweetness wiedziała, że nie. Podróżnik był na pograniczu swojego pola prawdopodobieństwa. Zrobił krok naprzód ze śluzy, zdjął rękawiczki, otrzepał je, strząsnął pył ze spracowanych pustynnych butów, pociągnął nosem, skrzywił się.

– Odrobinę tu zalatuje.

Wypatrzył Sweetness, uchylił kapelusza i skłonił się w elegancki starodeuteronomiczny sposób.

– Moja droga, doktor Alimantando, inżynier multiwersum i turysta transtemporalny, do usług. Sama Pani z Tharsis wysłała mnie tu konkretnie, by zabrać cię w dowolne miejsce multiwersum. Gdzie zechcesz.

– Dobrze byłoby do domu – powiedziała Sweetness. – Do domu byłoby najlepiej.

* * *

– Tokamaki gotowe? – zapytała Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII.

– Gotowe – dobiegł głos Romereaux z rury głosowej.

– Napęd włączony?

– Napęd jest! – zawołał Ricardo znad tunelu przekładni.

– Czasozwijacz gotowy?

– Gotowy, tak jest – dobiegł głos doktora ze skomplikowanych maszynowych czeluści. – Podłączony i działa pięknie jak malowanie.

– No to jedźmy do domu – powiedziała Sweetness Maszynistka i położyła dłoń na wielkiej mosiężnej dźwigni.

Rozwarła palce, żeby ją objąć. I zamarła. Nagle, siedząc w fotelu Maszynisty, ze sferą nawigacyjną pod lewą dłonią, jak królewskim jabłkiem, z berłem przepustnicy czekającym na dotyk prawicy, nie była w stanie tego zrobić. Bo to było wszystko. Wszystko. Lata, dni, noce, sny, złość, frustracja, pokłady nadziei i radości, coś, do czego aspirowała, czego pragnęła, za czym tęskniła, coś ukochanego, wieńczącego dzieło, a teraz miała to pod palcami i nie była w stanie. Nie powinna.

Dziewczyny nie prowadzą.

Oblizła usta, zerknęła na matkę po prawej.

– Jedź, dziecko.

A co, jeśli to zrobi i to się w sumie na nic nie zda? Pociąg jedzie, pociąg staje. Pociąg rusza znowu, znowu staje. Co, jeśli to jest tylko tyle, jeśli to cała tajemnica, którą Maszyniści skrywali przed swymi kobietami? Tylko tyle. Nic specjalnego.

Zerknęła na babcię Taal po lewej.

– Jak ci zaraz przyleję – rzuciła ta nerwowo.

Sweetness uśmiechnęła się szeroko, chwyciła dźwignię i pchnęła ją w przód. I to było dokładnie tak szczególne, jak chciała. To właśnie, zrozumiała teraz, był cały sekret Maszynistów. Tokamaki rozjarzyły się, woda zmieniła się w udręczoną parę, zagrzmiała w rurach, poruszyła korbami, zakręciła kółkami, kołami, małymi trybikami napędzającymi pasek założony na wrzeciono urządzenia, które wyglądało jak mała maszyna do szycia. W środku zawirowały wymiary winkularne. Doktor

zatarł radośnie ręce i patrzył na swoje szalone dzieło, zagnieżdżone wśród ciężkiej, brutalnej maszyneryi.

Zakręciły się koła. Wielki pociąg ruszył naprzód. Sweetness, zaśmiewając się, uniosła dźwignię wyżej, wyżej. *Katarzyna z Tharsis* zaczęła się toczyć, ale nie po torach, lecz przez alternatywne wszechświaty. Wokół kabiny maszynisty rozpałiło się białe światło, znaleźli się pośrodku szarzy kawalerii sześciopalcowych potworów dosiadanych przez czwororogie istoty uzbrojone w kły i miecze. Błysk. Sucha i delikatna pustynia, w oddali miasto kryształowych okien i kruchych wież. Rój srebrnej szarańczy rozstąpił się przed pędzącym pociągiem.

Pociągnęła dźwignię w górę, wyżej. Błysk. Wysokie metalowe trójnogi skradały się przez krajobraz zielonych kanałów i miast-uli. Błysk-błysk. Festyn w wielkim zwieńczonym iglicami mieście, wypełniony grzybkowatymi stworzeniami. Błysk. Wyjąca czerwona pustynia, samotny statek kosmiczny stojący na ogonie, odpływa od niego coś jakby żywy lodowy jacht, z ludzkim niemowlęciem w sercu. Błysk. Kolejna kawaleria, jeźdźcy o zaciętych twarzach na przerośniętych fretkach, przeskakujący przez balustradę z drutu kolczastego. Jałowa czerwona pustynia, archeolog w przezroczystym skafandrze, na niebie złowrogi czerwony księżyc. Krajobraz zaśmiecony ogromnymi maszynami terraformującymi. Jeden czerwony krater z wyrysowanym na nim uśmiechem. Błysk, błysk, błysk. Sweetness rozkręcała czasozwijacz coraz bardziej. Las klekoczący plastikowych wiatraków. Wielka rakietka z czerwoną gwiazdą na ogonie. Wszechświaty przelatywały tak szybko, że ledwo nadążała zerknąć, zanim wpadła w kolejny. Widoczny był jednak trend – przesuwali się z niezamieszkanymi, niegościnnymi światami ku ich własnemu, zielonemu.

Zielone wzgórza, nieskończony szklany dach, pomarańczowa latająca katedra.

Sweetness szarpnęła dźwignię jazdy, przejechała przez parę wszechświatów, na dymiące pole bitwy z kłębiącymi się maszynami bojowymi, cofała się wszechświat po wszechświecie.

– Wróciliśmy!

Pociągnęła za rurę głosową, zagwizdała do maszynowni.

– Doktorze! – Bez odpowiedzi. – Doktorze! – Nadal bez odpowiedzi. Po raz trzeci: – Doktorze! – Tak jak się spodziewała, prawdopodobieństwo jego istnienia w tym miejscu, w tym czasie, w tym wszechświecie spadło do zera.

Sweetness opadła bezwładnie w fotel maszynisty. Drzwi się pootwierały, porozsuwano okna. Powietrze Doliny Marinerów pachniało słodko jak wino z lzydy. Sweetness zaciągnęła się nim, dotknęła wesoło palcem dźwigni jazdy, zadygotała w wewnętrznej radości, gdy reszta kolejowych schodziła z posterunków i stanowisk, żeby cieszyć się powrotem. Romereaux wyciągnął do niej dłoń: „No chodź, zasłużyłaś sobie”. Pokręciła głową, spojrzała na kulę nawigacyjną pod lewą ręką. Świat w dłoni. Dokądkolwiek zechcesz.

– Przepraszam, że psuję radość, ale wciąż mamy katedrę na dachu – dobiegł ją drażniący głos Ricarda Trakcyjnego.

– I idzie na nas cała kupa robotów – dodał Thwayte.

Radość zamarła.

– O mój Boże! – jęknęła Sweetness. – Ta opowieść się kiedyś skończy?

Rzucając imię boże, wiedziała w którym punkcie uniwersalnej fabuły się znajduje – w Niespodziewanym Powrocie Wroga – i co musi zrobić, aby to rozwiązać i doprowadzić opowieść do końca. Pod prawą ręką miała alarm ewakuacyjny. Pacnęła jaskrawoczerwoną kijankę, mocno. Ożyły żółte migające światła, zawyły syreny.

– Głusi jesteście?! – krzyknęła w osłupiałe, blade twarze. – Wysiadać! Ewakuacja, wychodzić z lokomotywy, wszyscy, cofnąć się za tender!

– Córko... – zaczęła Child'a'grace.

– Nie kłóć się, wiem, co robię. Do tendra, ja muszę raz na zawsze rozprawić się z tym całym Harxem.

Mosty pustoszeją od takich słów. Ricardo i Thwayte odłączyli kabelki cyber-czepka dziadka Bedza i wytoczyli go przez właz. Child'a'grace i Miriamme Trakcyjna zgarnęły babcię Taal, chcąc zostać ze swoją zbłąkaną wnuczką. Ostatni z pola bitwy zszedł Romereaux. Obejrzał się, wiedział, że musi, że Sweetness na to liczy.

– A co z tobą?

– Nic mi nie będzie – odparła Sweetness.

Drzwi zamknęły się. Zerknęła na ekraniki monitoringu. Zobaczyła Romereaux blisko włazu tendra. Reszta *Katarzyny z Tharsis* była pusta. Zewnętrzne oczy powiedziały jej, że metalowi ludzie są niekomfortowo blisko. Kamery na dachu potwierdziły to, na co liczyła – nagły powrót do tego wszechświata wcisnął części skomplikowanego podwozia latającej katedry głęboko w piernikowe ciasto *Katarzyny z Tharsis*.

– Mam cię – zasyczała, wciskając przyciski inicjacji zapłonu. – Pobawimy się w pociąg.

Walnęła w czerwoną kontrolkę z napisem „przegrzanie tokamaka”, delikatnie przesunęła dźwignię jazdy naprzód. Pociąg i pasożytnicza katedra ruszyły.

* * *

Nagle szarpnięcie rzuciło Burzyciela Harxa na Sianne Dandeever. Odepchnął ją, otworzył swój terminal łączności. Ekran plunął węń losowymi liczbami. Niebo się buntowało. Wrócił ten cholerny pociąg z tą przeklętą dziewczyną. Miał podejrzenie, od którego aż kurczyły mu się jaja, że drogę musiał jej utorować ktoś inny. Coś innego, co także atakowało jego niebo. Zatrzasnął zdradziecką maszynkę z powrotem – trzeba było jej w ogóle nie ufać – i spróbował się zastanowić, co zrobić. Tylko się nie denerwuj. Bogowie mogą być kapryśni, ale nigdy się nie denerwują.

Cały jego świat ponownie szarpnął i powoli zaczął się poruszać.

– Każ wszystkim wysiąść – rozkazał Sianne Dandeever. To była już końcówka gry. Słaba nagroda dla wiernych za ich wierność – ryzykować ich życie podczas ostatecznej gry o chwałę lub śmierć. – Opuścić statek.

– Sir.

– Włącz alarmy.

Nabierali prędkości. Zaraz będzie dla wszystkich za późno. Sianne otworzyła zapieczętowaną skrzynkę i pociągnęła za dźwignię. Gdy rozległy się dzwonki, a Harx poczuł, że statek dygocze od setek biegnących stóp, Sianne powiedziała:

– Sir, z całym szacunkiem, ale ja pana nie zostawiam. Cokolwiek się stanie, będę z panem.

Burzyciel Harx w życiu nie słyszał tak głębokiego wyznania miłości.

* * *

– Patrzcie, jak uciekają te fioletowe chłopaczki – rzucił Weill, obserwując ewakuację Kościoła Wiecznie Krążącej Duchowej Rodziny na optikonie z pozycji ZA-2, dwadzieścia kilometrów na wschód. – Ej, Bladdy, weź podprowadź nas bliżej, czegoś takiego się codziennie nie ogląda.

– A co z tą jego bronią zmieniającą rzeczywistość? – ostrzegł Seskinore, załamując czerwone, pożyłkowane dłonie.

– Myślisz, że kazałby opuścić statek, gdyby ciągle ją miał?

– Jakby miał zamiar jej użyć, to być może – skontrował Seskinore, lecz Bładnoch już poruszył drażkiem.

Na monitorze Weilla odziane w fiolet postaci koziołkowały po pochylniach, schodziły po drabinkach linowych, zjeżdżały po linach, wyskakiwały w nadmuchiwanym kulach ewakuacyjnych, skakały, biegły ku nacierającym żołnierzom, a skrzypiąca, podrygująca, lżejsza od powietrza katedra sunęła dalej, ciągnięta przez powoli przyśpieszający pociąg.

– Nooo, chaos ekstraklasa. Pojedynek w klatce: pociąg kontra katedra, z bojowymi robotami. Bład, daj no bliżej, ja nie chcę nic z tego przegapić.

Zamiast łagodnie stymulującego drgania trochę niezsynchronizowanych silników Weill poczuł w kroczu zatrzymujące się wentylatory.

– Bład, powiedziałem: „daj bliżej”. Co się, kurna, dzieje?

– To – odparł Bładnoch, wskazując zachodni kraniec doliny, skąd sunął ku nim świetlisty krąg, jaskrawy jak słońce.

* * *

Jedno oko na obrotomierz. Drugie na wskaźniki tokamaków. Trzecie... nie ma trzeciego oka. Po prostu trzeba zaufać. Sweetness delikatnie przesunęła dźwignię jazdy w przód. Za duże przyśpieszenie – katedra może się urwać. Za małe – i te stalowe platformy ich dogonią. Cztery nogi, cztery ręce. Koszmar. Trzydzieści, czterdzieści. Dawaj. Pięćdziesiąt, pięćdziesiąt pięć. Ledwie pełnie. Ledwie. Trzeba ich odsadzić na bezpieczną odległość. Sześćdziesiąt. Siedemdziesiąt. Dobra. Wystarczy.

– Przepraszam, kochani – powiedziała do rodziny i przyjaciół i pociągnęła dźwignię wysadzającą sworznie sprzęgu między tendrem i wagonami.

We wstecznych kamerach zobaczyła, jak zostają z tyłu. Fala galopujących żołnierzy rozłamała się wokół wagonów, przegrupowała z powrotem. Teraz była już tylko ona. Ona, sama, tylko z wodą i wodorem w zbiornikach.

Błagała Bogów Kolei by okazało się, że dobrze to wymyśliła.

Wiercenie, łomotanie dobiegające z dachu. Wzdrygnęła się. Kolejny ogłuszający hałas. Pstryknęła dachowymi oczkami, odkryła, że patrzy

prosto w wielolufowego gatlinga, z Burzycielem Harxem za spustem. Puścił kolejną serię. Kamera oślepla.

– Ach tak – powiedziała, zaciskając zęby i pchnęła dźwignię jazdy przed siebie.

I także oślepla. Światło. Pierwotne, czysto białe. Zalało kabinę. Krzyknęła z bólu, zamrugła, próbując pozbyć się powidoków. We wstecznych kamerach działo się coś boskiego. Fala światła siekła szarżę kawalerii. Czegokolwiek dotknęła, paraliżowała. Cyberżołnierze zamierali w pół kroku, zeszywniali, z uniesionymi ramionami. Dziesięć przejść i pole bitwy zmieniło się w ogród rzeźb. Światło znów padło na Sweetness, znieruchomioło na moment. Zmrużyła oczy i dostrzegła w jego łunie latający świetlny krąg. Vana, kosmiczne lustro, które opadło z księżycowego pierścienia ku ziemi. Sweetness zdawało się, że poprzez boleśnie oślepiającą biel dostrzegła w wielkim lustrze postać. Kobietę z długimi ciemnymi włosami. Jej obraz.

Zrozumiała. Pomachała. Światło zgasło, vana zawróciła i poszybowała długą pętlą nad Dolinę.

Bębnienie w dach nie ustawało. Stara *Katarzyna* to wytrzyma. Inżynierowie-założyciele Bethlehem Ares budowali porządnie. Sto dwadzieścia, sto trzydzieści. Ładna, gładka krzywa mocy. Rezerwy wystarczą nawet do dwustu osiemdziesięciu, jeśli nie będzie pod górę. Punkt krytyczny jest przy dwustu. Ciśnienie w tokamaku wchodziło na koniec pomarańczowego pola. Sweetness rozpoczęła procedurę zniszczenia reaktora. Reaktorowi? A komu potrzebni Reaktorowi. Wystarczy patrzeć i się uczyć. Ten mały guziczek wyłącza zasilanie pałapki magnetycznej. Tamten mały guziczek wyłącza zabezpieczenia. A ten mały guziczek zabiera stąd jej śliczny tyłeczek.

Sto. Sto dziewięćdziesiąt. Dwieście.

– Punkt bez odwrotu – powiedziała Sweetness. – Dla wszystkich.

Pacnęła guzik Awaryjnej Ewakuacji. Światła zmieniły się na czerwone. Na okna opadły rolety. Dźwignia jazdy i kula nawigacyjna schowały się w podłodze. Belki bezpieczeństwa otuliły ją jak nadmiernie serdeczne ciotki. Oczy kamer zgasły, wyłączyły się odczyty. Samotna w czerwonej ciemności, usłyszała kolejne strzały ładunków wysadzających mocowania, głośniejsze i mocniejsze niż sporadyczne teraz serie z gatlinga. Potem poczuła, że ramię wyciągu unosi kabinę maszynisty nad lokomotywę. Żółte cyferki zaczęły odliczać czas do zapłonu.

To było ryzyko. W tym punkcie wszystko mogło pójść źle. Niewłaściwe ustawienie rakiet ewakuacyjnych i kabina nie polecą skośnie na bok, do

tyłu. Poleciał prosto w górę i zahaczył o katedrę Harxa.

Kabina poruszyła się pod nią. Leciała, ale gdzie? W którą stronę? Nagle odpaliły rakiety i pod ciężarem trzech g Sweetness na moment straciła przytomność. Potem rakiety wypaliły się i zaczęła spadać. I w tej chwili rozbłysło światło, jaśniejsze nawet od wany Małej Ślicznej, światło, które przenikało nawet przez splecione palce rolet, światło kolapsującej pułapki magnetycznej reaktora lokomotywy towarowej klasy 88 i eksplodującego wodorowego tokamaka. Potem coś jak stalowa pięść walnęło z całej siły w spadającą kabinę, aż zaczęła koziołkować, a Sweetness, przypięta do fotela, zaczęła krzyczeć. Spadała na ziemię. Z pazurów śmierci wyrwał ją nagły łopot rozwijającego się spadochronu.

* * *

Kabina leżała na boku, zakopana do połowy w ile. Spadochron, odrzucony po lądowaniu, leciał nad pastwiskami, falując demonicznie, popychany falą uderzeniową. Pędził w stronę gór na krawędzi krateru. Światła w środku kabiny padły – Sweetness po omacku próbowała znaleźć zieloną fosforescencję awaryjnego otwierania drzwi.

Boli. Boli bardzo. Coś się w środku pogięło, popękało. Ale żyjesz. Tym się zajmiesz później. Ale możesz być napromieniowana. Ekrany chronią tylko przed detonacjami w reaktorze, a ty byłaś blisko epicentrum, kiedy tokamaki wybuchły. Mogły coś przepuścić. To mogło teraz ryć w twoim szpiku kostnym jak robaki. Zgryzać twoje geny. Trójgłowe dzieci Maszynistów. Bliźniaki syjamskie. Rak przez duże R, pomyślała, dodając do otrzeźwiającej spirali coraz gorsze skutki. No, przecież to kolejowe ryzyko zawodowe. Ale żyjesz, żyjesz, to najważniejsze. A na tamto są teraz sposoby. Kosztują kupę kasy, ale czyż ci się nie należy? Uratowałaś świat. Będziesz mogła zażyczyć sobie, ile tylko zechcesz. Czyszczenie genów, a potem tydzień smarowania olejkami i opalania się w spa w Therme.

Awaryjne zasilanie na oko też padło. Klnąc, Sweetness Asiim Maszynistka macała wokół, aż znalazła ręczną korbę drzwi. Każdy jej obrót odbijał się bólem w żebrach i wywoływał nowe przekleństwo. Źrenica wlotu powoli się rozszerzała. Niebo w kolorze indygo. Dalekie urwiska. Zielone wzgórza. Sypiący się pył. Sweetness podciągnęła się, wydźwignęła, stanęła na kadłubie, by oszacować zniszczenia, które wyrządziła. Na zachodzie powoli rozwiewały się niższe poziomy grzyba, choć jego front wciąż wściekle kipiał na zewnątrz przez dziurę, którą

wybił w Dachy Świata, rzucając wyzwanie niebu, aż pogoda rozpieczęła się skonsternowana. Ociemniała oczy dłonią, miała wrażenie, że dostrzega krawędź charakterystycznego, śmiercionośnego krateru. Ten świat lubi krater, stwierdziła. Przeżyje jeszcze jeden. Wokół niego sterczały powbijane jak szpile gigantyczne odłamki potrzaskanego Dachy Świata. Omiotła wzrokiem cały horyzont dookoła. Po południowej stronie były rozsiane splątane, paskudne truchła maszynowej armii, powyginane jak wypalone zapalki, leżące tam, gdzie zamroził je termojądrowy wybuch nagle przestającej istnieć *Katarzyny*. Minie parę pór roku, zasypie je ziemia, zarośnie zielona trawa. Pochowa zapomnianą armię. Jakiś kilometr dalej na zachód zobaczyła oślepiająco srebrną nitkę linii kolejowej. Podziękowała wszystkim swoim świętym – wiatr eksplozji mógł zanieść ją na dowolną odległość, w dowolnym kierunku w dzicz. Zsunęła się po zniszczonej kabinie na trawę, przeszła przez miękką ziemię i polne kwiaty w stronę torów. Obejrzała się jeszcze na wszystko, co pozostało z *Katarzyny z Tharsis*.

Lepiej widzieć w tym po prostu kolejny złom na tym cmentarzysku nieprawdopodobieństw, który niedługo przysypie ziemia i zostanie zapomniany tak samo, jak wszystkie inne ofiary.

Jej dom... jej rodzina. Co ona im zrobiła?

Coś, co tylko ona była w stanie zrobić.

Uwierzą jej w ogóle, kiedy będzie tłumaczyć się opowieścią?

Nie mogła patrzeć na srebrne ozdoby upiększające pancerne okiennice, na godło z ryczącym lwem, osmalone, pogięte. Nie ma już Ekspresu Ares. Święta nie żyje. Zabiłaś ją, Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistko XII.

Z głową wypełnioną dźwięcznym śpiewem powstrzymywanych łez przeszła przez cmentarzysko robotów ku torom. Tym razem miała jasną wskazówkę, w którą stronę nie iść. Pomyśl, że to po prostu kolejna robota naprawcza dla Toromistrzów i parominutowa przerwa w ruchu dla kursów przez Dolinę. Skręciła na wschód, w stronę ciepła i nadziei.

Zaledwie po paru minutach usłyszała bzyczenie, jakby pszczoły, i zobaczyła pyłek w oku słońca. Zmrużyła oczy, przyjrzała się. Coś leciało ku niej, pojazd większy, niż się wydawał widziany dokładnie od przodu. Zwinny mały sterowiec Zjednoczenia Artystów przesłonił słońce i zawisł zrelaksowany nad jej głową. Otworzył się właz, zamachała do niej kobieta w zielonym trykocie.

– Podrzucić cię gdzieś? Zasłużyłaś sobie.

– Podrzucić? Gdzie?

Skerry objęła gestem cały szeroki świat.

– Gdzie tylko zechcesz.

Sweetness pomyślała, jakim darem byłoby zostawić ten cały bałagan komuś innemu do posprzątania, wspiać się po tej pochylni i zniknąć w anonimowości. Potem jednak zobaczyła babcię Taal, Child'a'grace, Psalli, Romereaux... wszyscy nadal tam stoją, a ona do nich nie idzie. W ogóle nie pójdzie? Ucieknie z cyrkiem? Nie. Czasem nawet Maszynistka nie może jechać i musi pójść pieszo, żeby się z tym zmierzyć.

– Myślę, że jednak pójdę na piechotę, dziękuję. Ale zaraz! – zawołała, gdy wentylatory przestawiły się do wznoszenia i mały sterowiec zaczął się obracać. – Powiedzcie im, że jestem cała i zdrowa, dobra?

Mała silna kobietka zasalutowała.

– Tak zrobimy. Swoją drogą, gdybyś się zastanawiała jak wyszło: wygraliśmy.

– A, to dobrze! – zawołała Sweetness, gdy drzwi zamknęły się jak żrenica, wentylatory wzbiły pył wokół niej, sterowiec wzniósł się, zakręcił, pochylił nos na wschód i odpłynął.

Pięćset kroków później znalazła fasolkę. Balansowała pionowo na prawej szynie. Żadna naturalna siła nie mogłaby jej tak ustawić. Gdyby tu była od dłuższego czasu, zdmuchnęłyby ją termojądrowe wiatry Harxowego burzycielstwa. Nachyliła się, przyjrzała się małemu, białemu, zwyczajnemu ziarenku. Zmarszczyła czoło zaskoczona, a potem przypomniała sobie, gdzie wcześniej widziała taką fasolkę. Schowała ją do kieszeni i poszła dalej torami, wiedząc, co teraz znajdzie.

Cienki drewniany szpikulec był wbity w ziemię między podkładami niczym amulet *voodoo*. Uklękła, powoli wyciągnęła go za zielony koniec. Jak pamiętała, należało je wyciągać powoli, ostrożnie, z namysłem.

– Chłopiec z Dwóch Pyłów – przeczytała. Uniosła wzrok i zobaczyła kolejny patyczek wbity w ziemię trzy podkłady dalej. – Złoty Pierścień Na Kciuk.

Ujęła go w dłoń razem z Chłopcem z Dwóch Pyłów. Po minutowym spacerze miała całą garść cienkich patyczków. Pół kilometra dalej stał przekaźnik sygnalizacji, z którego dochodził niewytłumaczalny o tej porze roku zapach świeżej roślinności. Podejrzewając, co tam zastanie, podeszła do niego zdecydowanym krokiem.

– Tak myślałam, że to chyba będziesz ty.

Zielona osoba rozsiadła się na przekaźniku, przyciągnęła kolana do piersi, lekko oparła na nich przedramiona. Luźna płócienna dzellaba

okrywała całe jej ciało i zakrywała twarz głębokim kapturem, lecz szczupłe, bladozielone dłonie potwierdzały to, co sugerował roślinny zapach. Sweetness upuściła mu pod nogi wiązkę patyczków do wrózenia.

– Czyli koniec opowieści.

– Tak. Uniwersalne konwencje fabularne już nie zapewniają ci ochrony. Nie jesteś już oczkiem w głowie wszechświata.

Ciekawie ten wszechświat okazywał tę miłość, pomyślała Sweetness.

– Już ani trochę? – zapytała. – Może zakończenie jakieś?

Zielona osoba wzruszyła ramionami.

– Jak tak robisz, kojarzysz mi się z kimś – rzuciła Sweetness.

– Ładny punkt kulminacyjny, muszę powiedzieć – stwierdziła zielona osoba, nie chwytając przynęty. – Wybuch na koniec zawsze dobrze robi.

– Kosztowało to *Katarzynę z Tharsis*. Cały majątek mojej rodziny i ja go wysadziłam.

Zielona osoba przechyliła głowę, szybkim, gadzim ruchem, którego Sweetness nie potrafiła odszyfrować.

– Myślę, że się okaże, że pomimo tego chaosu, który udało ci się rozsiać po tym i sąsiednich wszechświatach, to coś, co robi tutaj za władzę, nie okaże się niewdzięczne – powiedziała.

Uniosła wzrok z fałd kaptura, wystrzeliła rękę z długiego, luźnego rękawa. Twarz miała wąskie oczka, była pokryta łuskami. Sweetness wydawało się, że mignął jej rozwidlony język. Długie palce wyciągnęły się jak haczyki, knykcie nabrzmiały boleśnie do rozmiaru gałek, paznokcie zwężyły się w czarne szpony. Sweetness ujęła tę rękę. Była w dotyku jak mechaty aksamit.

– A więc to jest pożegnanie – powiedziała zielona osoba. – Jeśli pozwolisz, nie będę wstawać; kiedy się zmieniam, czuję, że coraz trudniej mi się stoi. W tym życiu już się nie spotkamy. Żegnaj, dobra opowieść to była. Podobałaś mi się. Do zobaczenia w kolejnej.

Przez moment ściskali sobie dłonie. Potem jaszczurcze łapki zgarnęły wiązkę patyczków do wrózenia i przełamały ją gładko na pół.

– Jesteś wolna. Zwracam ci twój los. Od teraz jest wyłącznie w twoich rękach. Twoja opowieść się zakończyła, teraz zaczyna się twoja historia.

– Dzięki Bogu – rzuciła Sweetness Maszynistka XII i ruszyła w drogę.

Wydało jej się, że w falującym od upału powietrzu dostrzega coś w oddali na torze. Coś pływało w zdradzieckiej srebrzystości. Rozdzielczość i pewność zwiększały się z każdym krokiem. Ludzie, kolejowi ludzie, a ten rozfalowany czarny kwadrat za nimi to musi być

porzucony tender. Ale co to jest głębiej w tym falującym powietrzu? Coś jakby miasto, pełne wieżyczek, wież i dzwonnicy. Miraż. Fatamorgana. Powiększone złudzenie. Trzeba było się zgodzić na tę podwózkę, dziewczyno. Opowieść skończona, jeśli teraz wpakujesz się w kłopoty przez swoją dumę, sama będziesz musiała się z nich wydostać. Czyli tak jak wszyscy. To powinno wystarczyć. Pobiegła, próbując przeniknąć wzrokiem to migotanie. Miasto, tak, ale bardzo wąskie. Miasto linearne? Przystanąła, roześmiała się w głos, pacnęła dłońmi o uda, kiedy do niej dotarło. Żadne miasto – to pociąg-fabryka. Wielka, śmierdząca, zalatująca, brudna fabryka. Teraz już widziała charakterystyczne równoległe słupy pary z separatorów. Wszyscy po nią przyjechali. Wszyscy tam byli. Cała jej rodzina, całe jej plemię. Obejrzała się – tak jak każdy musi. Oczywiście przy przekaźniku nikogo nie było, ale czy czasem nie mignęło jej coś zielonego, co schowało się zaraz za podkładem?

Jesteś wolna, możesz znów być zwyczajna.

Sweetness Octave Glorious Honey-Bun Asiim Maszynistka XII uśmiechnęła się, zarzuciła torbę na ramiona i pobiegła wzdłuż torów w zielone wzgórze Marsa, w srebrną mgiełkę, gdzie czekała rodzina.

Przypisy

1. Marsjański rok jest niemal dwukrotnie dłuższy od ziemskiego, liczy 687 ziemskich dni (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
2. Obi oznacza tu prawdopodobnie praktyki magiczne i wierzenia z Karaibów, pokrewne nieco voodoo i santerii, zwane także *obeah* (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
3. Caspar Milquetoast – niezwykle nieśmiały człowiek, postać z komiksu *The Timid Soul* [Nieśmiała dusza] H.T. Webstera, z lat 20.–50. XX wieku (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
4. Korrobori – u australijskich Aborygenów nieformalne zebranie, zgromadzenie, spotkanie, z tańcami, muzyką, strojami itd. (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
5. Nawiązanie do słynnego pierwszego zdania *Finneganów trenu* Jamesa Joyce'a, w przekładzie K. Bartnickiego; *commodius vicus* to tutaj coś jakby „małe miasteczko” (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
6. *Vinculum* (łac.) – węzeł, wiązanie, więzy (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
7. Na Ziemi tanagry to ptaki z rzędu wróblowych, na Marsie ewidentnie jest inaczej (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
8. Zwanej także zespołem chronicznego zmęczenia (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
9. Aspanda (sansk.) – bezruch (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
10. William Blake, *Przysłowia piekielne*, tłum. J. Lemański (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
11. Edsel – marka luksusowych samochodów koncernu Ford, wprowadzona w roku 1957 i dwa lata później zlikwidowana (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)
12. Muscular Christianity – zapoczątkowany w XIX wieku chrześcijański prąd filozoficzny, odchodzący od ascezy i akcentujący siłę, męskość, moralne walory sportu (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)